

Susan Howartch

Grzechy ojców cz.1

Część pierwsza

Sam 1949 Rozdział pierwszy 1 Owej burzliwej wiosny 1949 roku - wkrótce po moim powrocie z Niemiec - szef zaproponował mi, bym ożenił się z jego córką. Było to, jak sobie od razu uświadomiłem, wydarzenie bez precedensu. Wchodziłem już w wiek średni i bynajmniej nie chowałem się pod kloszem, ale jeszcze nigdy nie oświadczał mi się potencjalny teść, na dodatek bez wiedzy i zgody przyszłej panny młodej. Na moment odebrało mi mowę. - No! - rzucił zachęcająco Korneliusz, zanim milczenie zaczęło ciążyć nam obu. - Co powiesz? Wiedziałem dokładnie, co mam ochotę powiedzieć. Niemcy mają specjalny zwrot na takie oka- zje: "ohne mich". W podróży słyszałem go wielokrotnie. "Beze mnie". "Na mnie nie licz". Te cierpkie słowa stały się dla mnie symbolem wyczerpania i braku złudzeń powojennej Europy. - Ohne mich! - powiedziałem odruchowo. Byłem zbyt zaskoczony, żeby bawić się w dyploma- cję. Na szczęście Korneliusz nie zna niemieckiego. Spojrzała na mnie tępo, a ja zdałem sobie sprawę, że zyskałem kilka cennych sekund, i błyskawicznie wykorzystałem ten czas, by się pozbierać. - Słucham? - zapytał chłodno. - To znaczy: "Cóż za kusząca propozycja!" - odparłem pewnie i obdarzyłem go moim najserdeczniejszym uśmiechem. Dwadzieścia trzy lata w banku inwestycyjnym na Wall Street rozwinęły we mnie, być może nadmiernie, umiejętność radzenia sobie w podbramkowych sytuacjach. Siedzieliśmy w jego służbowym gabinecie. Za przeszklonymi drzwiami ukośne promienie popo- ludniowego słońca wlewały się na patio. Bank, potężny relikw dziesiętnastego wieku w stylu renesan- sowym, stał przy Willow Street numer 1, tuż obok skrzyżowania z Wall Street, lecz schowane na ty- łach budynku biuro głównego udziałowca równie dobrze mogło się znajdować o setki mil od hałaśli- wych ulic centrum Manhattanu. Okryta kwieciami magnolia przywodziła mi na myśl inne, bezpowrot- nie utracone lata - letnie miesiące w Maine, w posiadłości, gdzie mój ojciec był głównym ogrodnikiem. Piękno kwiatów magnolii stało się dla mnie nagle nie do zniesienia. Musiałem odwrócić wzrok, ale kiedy rozejrzałem się po pokoju, zobaczyłem ponure meble, jaskrawy, utrzymany w podstawowych barwach obraz nad kominkiem, a za biurkiem drobnego niespokojnego mężczyznę w dyrektorskim fo- telu. - Zrobisz to, Sam? - zdawać się mogło, że za chwilę zemdleje z ulgi. - Mogę na ciebie liczyć? Pomyślałem o wszystkich przeszłych sytuacjach, w których zadawał mi te same pytania, a kiedy ponad jego ramieniem znów spojrzałem na patio, nie zobaczyłem już magnolii, lecz wysoką ceglana ścianę, czarną od miejskiej sadzy, i zamurowane dawno temu przejście, ongiś prowadzące na Willow Street. - Nie tak prędko! - zaprotestowałem ze śmiechem. - To zbyt uroczysta chwila, abyś mnie pogą- niał. Nie co dzień się zdarza, że zatwardziały czterdziestojednoletni kawaler otrzymuje od szefa tak zaskakującą ofertę... - Sam, ja wiem, po prostu wiem, że to jedyne wyjście. - ...i nie sądz, że cię nie rozumiem i nie współczuję ci. Mieć osiemnastoletnią córkę, która właś- nie próbowała romantycznej ucieczki z plażowym fagasem, to gehenna. Ale jako jeden z twoich najstarszych przyjaciół i z pewnością najbardziej lojalny współpracownik, czuję się w obowiązku zazna- czyć, że mogę być nie najlepszym kandydatem do roli twego zięcia. Oczywiście doceniam ten niesły- chany komplement, jakim mnie obdarzasz... - Och, na miłość boską! - zdenerwował się Korneliusz - bądźmy ze sobą szczerzy! Co ma zrobić ojciec pięknej córki, która odziedziczy po nim fortunę? Jeżeli czuje choć szczyptę odpowiedzialności moralnej, powinien wydać ją za mąż za kogoś, komu może zaufać, zanim jakiś przekłety żigolak zmarnuje jej życie! - Tak, ale... - Problem polega na tym, że ludzi, którym ufam, jest bardzo niewielu. W gruncie rzeczy na sto procent ufam dziś jedynie trzem facetom, z którymi się przyjaźniłem, jeszcze zanim Paul zostawił mi cały swój majątek. A ponieważ Jake jest żonaty, a Kevin to odmieniec, pozostajesz ty. Do diabła, Sam, nie rozumiem, dlaczego dajesz się prosić! Od lat powtarzasz, że chciałbyś się ożenić, a doskona-

le zdajesz sobie sprawę, że dołożę starań, aby to małżeństwo ci się opłaciło, i to pod wieloma względami. O co ci chodzi, na litość boską? Istniało kilka powodów, które mógłbym wymienić, lecz jakakolwiek próba szczerzej odpowiedzi zaowocowałaby tylko przedłużeniem rozmowy, a zdążyłem się już zorientować, że trzeba ją natychmiast zakończyć. Korneliusz potrzebował czasu, żeby się uspokoić. Najwyraźniej po eskapadzie Vicky wpadł w panikę, jeśli wszakże dam mu szansę na odzyskanie równowagi, wkrótce sam dojdzie do wniosku, że najlepiej będzie zapomnieć o tych wariackich matrymonialnych rojeniach. Odchrząknęłam, niechętnie postanowiwszy zataić prawdę i wyłgać się z kłopotu. - Nie widzę problemu - powiedziałem uspokajająco. - Taką okazję szkoda byłoby przepuścić, ale chyba dasz mi parę dni, żebym oswoił się z tą myślą? Jestem człowiekiem, a nie robotem zaprogramowanym tak, by reagował we właściwy sposób, kiedy ktoś naciśnie odpowiedni guzik! - No wiesz, Sam! Nigdy nie traktowałem cię jak robota. I mam nadzieję, że ty nie uważasz mnie za szalonego naukowca, którego korci naciskanie nieodpowiednich guzików! Spojrzał na mnie z chłopskim uśmiechem, jednym z najbardziej uwodzicielskich w jego repertuarze, który nadawał mu całkowicie niewinny wygląd, po czym sprężyste zerwał się z fotela i wyciągnął rękę. Szare oczy błyszczały mu ze wzruszenia. - Stokrotne dzięki, Sam! - oznajmił. - Byłem pewien, że mnie nie zawiedziesz. Zanim zdążyliśmy uścisnąć sobie dłonie, rozdzwonił się biały telefon na biurku, przez który łączono rozmowy na jego prywatnej linii. - To na pewno Alicja - Korneliusz w mgnieniu oka był znów równie spięty jak przedtem. - Mówiła, że da mi znać, jeśli Vicky tknie choć trochę jedzenia z tacy, którą zostawia się jej pod drzwiami. Pozwolisz, że cię przeproszę... Uciekłem. 2 Niełatwo się pracuje u kogoś, kto jest twoim rówieśnikiem. Nie jest też łatwo pracować u swojego najlepszego przyjaciela, zwłaszcza gdy ta przyjaźń trwa od dwudziestu czterech lat. Korneliusz i ja, dziś obaj po czterdziestce, spotkaliśmy się po raz pierwszy w roku 1925, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat. Później związała nas wspólna praca, ale cóż za paradoks: bank zbliżył nas do siebie, a równocześnie stworzył między nami przepaść. Spędziliśmy w nim razem szmat życia, ponieważ jednak to Korneliusz był szefem, nigdy nie stykaliśmy się na równej płaszczyźnie. Żywiłem dla niego szacunek i nasze stosunki układały się harmonijnie, lecz czasem (w końcu jestem tylko człowiekiem) mimo woli złościła mnie myśl o mojej podrzędnej pozycji, a już nigdy nie czułem się bardziej rozgoryczony niż tego dnia, gdy Korneliusz próbował mnie skłonić do małżeństwa z Vicky. Poznaliśmy się za sprawą wuja Korneliusza, Paula Van Zale'a. Był to szalenie bogaty i potężny człowiek, który posiadał własny bank inwestycyjny na Wall Street, piękną reprezentacyjną żonę, nieruchomości przy Piątej Alei w Nowym Jorku i letnią rezydencję w Bar Harbor w stanie Maine. W okresie gdy dorastałem, Paul wywarł na mnie niezatarty wpływ. Byłem synem niemieckich imigrantów; ojciec pracował jako ogrodnik, matka jako gosposia, oboje zaś opiekowali się posiadłością Paula w czasie długich miesięcy dzielących jego wizyty. Ponieważ byłem tylko synem jego służących, nie spodziewałem się nawet, że w ogóle zwróci na mnie uwagę, kiedy latem pojawił się w Bar Harbor. Jednakże gdy skończyłem siedemnaście lat, zaprosił mnie do siebie na wakacje. Miałem być jednym z trzech towarzyszy, jakich wybrał dla swojego ciotecznego wnuka z Ohio, który miał go odwiedzić tego lata. Korneliusz był jego jedynym krewnym płci męskiej. Nie mając własnych synów, Paul doszedł do wniosku, iż najwyższy czas się przekonać, czy chłopak ma dość silny charakter, by udźwignąć ciężar fortuny Van Zale'ów i w przyszłości przejąć po nim bank. Z początku Korneliusz był dla mnie niewiadomą, podobnie jak dwaj pozostali. Wybrany przez Paula kwartet protegowanych robił dziwaczne wrażenie, a chociaż wszyscy byliśmy w tym samym wieku - mieliśmy po siedemnaście lat - poza tym nic nas nie łączyło. Kevin Daly był synem bogatego polityka pochodzenia irlandzkiego i uczęszczał do ekskluzywnej szkoły, którą od mojego liceum w Bar Harbor dzieliła przepaść. Jake Reischman pochodził z niemiecko-żydowskiej elity Nowego Jorku i mieszkał w pałacu przy Piątej Alei, którego ja, wychowany w pawilonie pod bramą

posiadłości Van Zale'a, nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Kevin wydawał się nazbyt ekstrawertyczny i pewny siebie, Jake - niewiarygodnie ugrzeczniony i przemądrzały. W ich obecności dotkliwie odczuwałem niższość swojej pozycji towarzyskiej i gdyby nie fakt, że Korneliusz był przez nich jeszcze bardziej zahukany niż ja, zapewne odrzuciłbym bajeczną szansę na awans społeczny, którą podsunął mi Paul, i z rozpaczy uciekłbym do domku przy bramie. Jednakże w krótkim czasie Paul zdołał nas ze sobą oswoić. Pod koniec lata zgodnie czciliśmy go jak boga i wszyscy bez wyjątku pragnęliśmy odnieść w życiu równie oszałamiający sukces. Kiedy w 1926 roku ponownie zwołał swoich czterech pupili, wszyscy z podnieceniem oczekiwali spotkania. Niestety, nasz zjazd nie trwał długo. Wkrótce potem Paul został zabity. W owych czasach bogacze jego klasy byli do tego stopnia narażeni na ataki bolszewickich fanatyków, że Paul zatrudnił na stałe ochroniarza, ale zamachowcy mieli dość sprytu, by poradzić sobie z tym powszechnie stosowanym środkiem ostrożności. Oszołomiony wieścią o jego śmierci świat został następnie ogłuszony jego testamentem: Paul wyznaczył Korneliusza na swego spadkobiercę. Dopiero wtedy po raz pierwszy dał do zrozumienia, że uznał cioteczkiego wnuka za człowieka dostatecznie twardego, by mógł przyjąć tak znaczną odpowiedzialność. Z biegiem czasu wszyscy stopniowo zdali sobie sprawę, iż Paul Van Zale postawił na właściwego konia. Korneliusz był chorowity i wyglądał bardzo delikatnie. W wieku osiemnastu lat miał twarz żywym wyjętą z chłopięcego chóru; cechował go też szacunek wobec starszych oraz uśmiech, który sprawiał, że kobiety odczuwały nieodpartą potrzebę matkowania mu. Trudno było sobie wyobrazić kogoś z pozoru bardziej nieszkodliwego i równocześnie - jak to kiedyś lakonicznie ujął Paul - kogoś, kto z równą zręcznością potrafił wgryźć się prosto w tętnicę szyjną niczym wampir. Objęcie stanowiska prezesa zajęło Korneliuszowi parę lat, ale nim jeszcze przekroczył trzydziestkę, jego życie w najdrobniejszych szczegółach stało się lustrzanym odbiciem życia Paula. Miał swój bank na Wall Street, reprezentacyjną żonę, posiadłość przy Piątej Alei i w Bar Harbor; odziedziczył po Paulu majątek, karierę i sławę. Mnie także powiodło się nie najgorzej. Po śmierci Paula w 1926 roku wyjechałem do Nowego Jorku, Korneliusz bowiem, który był realistą, wiedział, że wkrótce będzie mu potrzebny lojalny sprzymierzeniec, ja zaś - jako oportunistą - nie zamierzałem przepuścić szansy, dzięki której mogłem zrobić karierę i pieniądze, czyli urzeczywistnić klasyczne amerykańskie marzenie. Rzecz jasna, nikt z udziałowców u Van Zale'a nie potraktował nas poważnie. Myśleli, że jesteśmy dwoma uczniakami, którzy bawią się w bankierów, tak więc ze śmiechem spisali nas na straty zakładając, że nasze ambicje z góry skazane są na porażkę. Później często myślałem o ludziach, którzy śmiali się z nas w 1926 roku. Żaden z nich już nie żyje. Kiedy zaczynaliśmy, najbardziej wpływowym udziałowcem był ulubiony wspólnik Paula, Steve Sullivan, starszy od nas o jakieś dwadzieścia lat. Potężny, ekstrawagancki, przebiegły, z początku nas przerażał, lecz już od pierwszego dnia obaj wiedzieliśmy, że właśnie jego trzeba będzie pozbyć się z banku, jeśli Korneliusz kiedykolwiek ma zasiąść w wyściełanym fotelu prezesa. - Oczywiście trudno go będzie wyeliminować - powiedział wtedy Korneliusz, wyciągając cały swój strategiczny talent - ale nie widzę powodu, dla którego nie miałyby nam się to w końcu udać. Chcieć to móc. Udało się. Pozbyliśmy się go. Potem umarł. Pośrednio ciążyła na nas odpowiedzialność za jego śmierć, chociaż Korneliusz nigdy nie dopuszczał do siebie tej myśli. Twierdził, że to nie nasza wina, że Steve rozbił się samochodem na drzewie po wypiciu całej butelki whisky. Korneliusz nie był w stanie przyznać, że cokolwiek zaszło z jego winy. Oświadczał: "Zostałem zmuszony do zrobienia tego, co zrobiłem", a potem zaczynał mówić o czym innym. Zdawać się mogło, że posiada niewyczerpaną zdolność odcinania się od przeszłości, o której nie chciał pamiętać. Często mu tego zazdrościłem, bo cóż by to była za ulga, gdybym potrafił zagłuszyć wyrzuty sumienia nie tylko w związku ze Steve'em Sullivanem, lecz także z powodu tego, że byłem Amerykaninem niemieckiego pochodzenia, który nie walczył na wojnie. Właśnie wróciłem z moich pierwszych

powojennych wakacji w Niemczech. Myślałem o nich bez przerwy, odkąd znalazłem się z powrotem w Nowym Jorku, i czułem, że wspomnienia nadal będą mnie prześladować z nieznosną ostrością: leżące w gruzach miasta, koszmarna cisza spustoszonych wsi, śmiech alianckich żołnierzy na ulicach, a w końcu ten jankeski szeregowiec, który stał obok mnie i gwizdał "Lili Marlene"... Tego kwietniowego popołudnia w 1949 roku, kiedy uciekłem z gabinetu prezesa, miałem wrażenie, że w porównaniu z upiorną wizją Niemiec idiotyczny pomysł ożenienia mnie z córką Korneliusza zakrawa niemal na żart. Mój przypływ dobrego humoru był jednak tylko chwilowy. Sytuacja zaczęła się robić niezręczna i kiedy wbiegłem na górę po schodach z tylnego holu, sapałem nie tylko z wysiłku, lecz także ze zdenerwowania. Wszedłem do gabinetu. Na biurku znalazłem stertę listów do podpisu, sześć różowych notek z zapisami rozmów telefonicznych i sążniste memorandum mojego asystenta, ale postanowiłem nie zwracać na nie uwagi. Zrobiłem sobie podwójne martini z lodem i sięgnąłem po słuchawkę. Po ósmym sygnale Teresa odebrała telefon. - Cześć - powiedziałem. - To ja. Jesteś zajęta? - Gotuję jambalayę na kolację dla Kevina i właśnie się zastanawiam, czy starczy mu odwagi, żeby ją zjeść. Jak leci? - W porządku. Możemy się dzisiaj spotkać? - No... - Skłamałem. Czuję się fatalnie. Może wypijemy szybkiego drinka? Usiądę w kuchni, a ty będziesz sobie gotować. - Dobra, to czekam. - Jesteś najwspanialszą dziewczyną w Nowym Jorku. Już jadę. 3 Teresę poznałem cztery miesiące wcześniej u mojego przyjaciela, Kevina Daly'ego. Doroczne przyjęcia gwiazdkowe Kevina pozostały jedyną okazją, przy której on, Jake Reischman, Korneliusz i ja znajdowaliśmy się pod jednym dachem. Od czasu wakacji w Bar Harbor wszyscy przebyliśmy długą drogę. - Oto bractwo z Bar Harbor! - wykrzyknął z emfazą Kevin, kiedy czwórka byłych protegowanych Paula Van Zale'a zebrała się ponownie po wojnie. - Czy może winienem rzec: "mafia z Bar Harbor"? To prawda, że słowo "bractwo" było nazbyt sentymentalne, by opisać więzy, jakie wciąż nas łączyły, a nawet słowo "przyjaźń" nie oddawało już precyzyjnie specyfiki naszych stosunków. Jake i ja spotykaliśmy się wyłącznie w interesach, a odkąd Jake został szefem własnego banku inwestycyjnego, wolał je załatwiać bezpośrednio z Korneliuszem. Korneliusz widywał się regularnie z Kevinem na zebraniach rady Fundacji Sztuk Pięknych Van Zale'a, natomiast rzadko stykał się z nim towarzysko. Po nieważ dla mnie sztuka mogłaby nie istnieć, praktycznie straciłem kontakt z Kevinem do czasu, gdy poznałem Teresę. Komuś z zewnątrz mogło się wydawać, że Korneliusz i ja jesteśmy sobie najbliżsi, ja jednak podejrzewałem, że Korneliusz najlepiej rozumiał się z Jakiem. Oczywiście zawsze, a zwłaszcza po lampce szampana, gotów był przysięgać, że kocha mnie jak brata. Nigdy też nie zaniedbywał okazji, by delikatnie umocnić swoją władzę podkreślając, jaki to ja jestem niezastąpiony, aczkolwiek żaden z nas nie miał złudzeń co do rzeczywistego charakteru naszych układów. Była to zresztą ich ciemna strona, którą obaj nauczyliśmy się akceptować w milczeniu i która nigdy nie stała się przedmiotem dyskusji. Nie ma ludzi niezastąpionych. Wiedziałem o tym, tak samo jak wiedziałem, że Korneliusz zawsze będzie szefem, a ja, jeśli będę grzeczny, zaledwie jego prawą ręką. Roztrząsanie tej sprawy byłoby stratą czasu. Stanowiła fakt, z którym należało się pogodzić - spokojnie i bez rozdźwięku. - Ech, wy bankierzy! - rzekł kiedyś Kevin, gdy przypadkiem upiliśmy się na tyle, by zacząć przy nim wspominać niektóre mniej głośnie epizody z naszej wspólnej przeszłości. Kevin nie robił tajemnicy ze swojej pogardy dla Wall Street, mimo to śledził rozwój naszych karier z zachłanną ciekawością literata, który wszędzie szuka natchnienia. W 1929 roku, gdy porzucił harwardzki wydział prawa i przeniósł się do Nowego Jorku, zamierzał być powieściopisarzem, lecz stworzył w życiu tylko jedną powieść. Już od lat pisywał sztuki teatralne, początkowo zabawne, później coraz bardziej kontrowersyjne, i już dawno przeprowadził się z modnej kawalerki w Greenwich Village do równie modnego domu z czerwonej cegły, położonego w tej samej dzielnicy, na zachód od placu Waszyngtona. Kevin uwielbiał swój dom. Korneliusz wysunął kiedyś tezę, iż był on dla niego substytutem rodziny, która nigdy nie wybaczyła

Kevinowi trybu życia, zasługującego w ich oczach na wieczne potęgę-pienię. Teza ta nie została ostatecznie dowiedziona, trudno było jednak zaprzeczyć, że Daly wydał mnóstwo pieniędzy na pokazową chałupę. Ponieważ nie lubił zostawiać domu bez opieki, sporym nakładem sił i środków przekształcił górne piętro w mieszkanie z atelier dla dozorczyni. Dozorczynie utrzymywały się na posadzie przeciętnie pół roku. Młode, atrakcyjne, nieodmiennie jasnowłose i za- wsze płci żeńskiej, bywały pisarkami, malarkami lub rzeźbiarkami. Adeptek gry na wszelkich instru- mentach nie wpuszczano, bo robiły za dużo hałasu. Dziewczęta były szczęśliwe, że mają mieszkanie za darmo i jasne układy z pracodawcą, który nie ma najmniejszej ochoty zaglądać im do sypialni. Problemy zaczynały się wtedy, kiedy Kevin odmawiał pożyczania pieniędzy. Potrafił być twardy. Podobno równie bezwzględnie pozbywał się z domu młodych chłopców, choć na ogół wolał mieszkać sam. Mieszkał sam, jeśli nie liczyć aktualnej dozorczyni, kiedy zaprosił mnie do siebie na bibę w cza- sie ubiegłych świąt Bożego Narodzenia. Jak się okazało, z trójki jego starych przyjaciół tylko ja jeden przyjąłem zaproszenie. Jake był w Kalifornii, a Korneliusz, któremu nie podobało się poprzednie przy- jęcie, znalazł sobie jakąś wymówkę. - Nie rozumiem, po co chcesz się zadawać z tą bandą zбочeńców - powiedział, lecz ja tylko się roześmiałem. Seksualne upodobania bliźnich były mi obojętne, poza tym Kevin wydawał najlepsze przyjęcia w mieście. Kiedy przybyłem na miejsce, około czterdziestu osób wytwornie zdierało sobie gardła pod kryształowymi kandelabrami w wielkim staroświeckim salonie. Aby zadośćuczynić konwencjonalnym gustom, gospodarz serwował tradycyjny zestaw koktajli, choć znakiem firmowym zabaw u Daly'ego było to, że goście mieli okazję upić się szampanem. Na nieszczęście tego samego dnia podczas lunchu wdzięczny klient uparcie pompował we mnie szampana. - Poproszę szkocką z lodem - powiedziałem do wynajętego lokaja i właśnie przymierzałem się do półmiska z kawiozem, kiedy ktoś obok mnie wykrzyknął: - Pan chyba jest stuknięty! Kto odmawia darmowego francuskiego szampana? Odwróciłem się. Zobaczyłem pulchną młodą kobietę o rozwichrzonych włosach, wielkim nosie i szerokich ustach, która uśmiechała się do mnie. Ubrana była w źle dopasowaną szkarłatną sukienkę, a na szyi zwisał jej złoty łańcuszek z krzyżykiem. Oczy miała bardzo wąskie, bardzo ciemne i bardzo błyszczące. - Chyba nie jest pan z show-biznesu! - dodała ze śmiechem. - Ci zawsze piją szampana! - Prawdę mówiąc, myślałem, że się w nim kąpią. Czy pani też jest aktorką, panno... - Kowalewski. - Słucham? - Teresa. Jestem nową dozorczynią. Byłem zdumiony. Ta dziewczyna diametralnie różniła się od wiotkich wykształconych blondy- nek, które zwykle zatrudniał Kevin. - A co się stało z tą Szwedką... Ingrid? - zapytałem o pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. - Ingrid pojechała do Hollywood. - Moja rozmówczyni patrzyła na mnie z takim samym zdzi- wieniem, z jakim ja patrzyłem na nią. - Nie należy pan do tej tłuszczy, która zwykle tu bywa, prawda? Czy nie jest pan przypadkiem adwokatem Kevina albo kimś w tym rodzaju? - Niezły strzał. Jestem bankierem. - Kim? Jezu, co za potworny hałas! Przez moment wydawało mi się, że mówi pan: "bankierem"! - Tak właśnie powiedziałem. A pani, Tereso? - Maluję. Rany, naprawdę pracuje pan w banku? To znaczy, że przez cały dzień sterczy pan w kasie i wypłaca forszę? Byłem oczarowany jej ignorancją. Później odkryłem, że ona była oczarowana moją. - Nigdy nie słyszał pan o Edwardzie Munchu? Ani o Paulu Klee? - Nie - odparłem - ale z największą rozkoszą czegoś się o nich dowiem. Po kilku randkach napomknąłem jej o swojej pracy. - To znaczy, że nie mogę przynieść do was dziesięciu dolców, żeby otworzyć rachunek? - Taką klientelą zajmuje się nasz bank komercyjny, Van Zale Manhattan Trust. P.C. Van Zale i spółka to bank inwestycyjny. Zbieramy kapitał dla wielkich krajowych korporacji, wypuszczając pa- piery wartościowe, w które może inwestować zwykły obywatel. - Nie wierzę w kapitalizm - oświadczyła stanowczo Teresa. - Uważam, że jest niemoralny. - Moralność jest jak futro z norek - powiedziałem. - Dobrze, jeśli człowieka na nie stać. Roześmiała się, od tej pory jednak unikałem w rozmowie tematów zawodowych. Tymczasem

twórczość Teresy wciąż pozostawała tabu. Kiedy wreszcie zabrała mnie do swojej pracowni, wszystkie płótna były odwrócone do ściany, bo jak twierdziła, nie nadawały się do oglądania. Pewnego razu, kiedy brała prysznic, miałem ochotę odkryć nie wykończony obraz na sztalugach, obawiałem się jednak, że pozna, iż ruszałem zasłonę, a za bardzo ją polubiłem, bym miał narażać nasz świeżo upieczony romans. Podobała mi się jej bezpretensjonalność i to, że zawsze mówi to, co myśli. Była sprytna i w żadnym razie naiwna, a jednak udało jej się zachować prostotę przywodzącą mi na myśl dziewczyny, z jakimi umawiałem się dawno temu w Bar Harbor. Chciałem z nią chodzić do eleganckich nocnych klubów w śródmieściu, ona wolała jednak małe egzotyczne knajpki w Greenwich Village. Chciałem wydać uroczysty obiad, by mogła poznać moich przyjaciół, lecz oświadczyła, że woli wieczory we dwoje. Chciałem, żeby częściej bywała u mnie, ale mówiła, że służba ją denerwuje. Dość długo zwlekałem z zaproszeniem, bo trudno mi było uwierzyć, że jej obojętny stosunek do pieniędzy nie jest wyłącznie pozorny, aż wreszcie w lutym podjąłem ryzyko i zwabiłem ją na słuchanie płyt z mojej kolekcji. W miłym nastroju siedzieliśmy przy gramofonie, potem obejrzelśmy razem ulubione programy w telewizji, a rano przeczytaliśmy w łóżku "New York Sunday Timesa". - I pomyśleć, że niektórzy wstydzą się bogactwa! - powiedziała do mnie czule Teresa, kiedy w niedzielę wieczorem znów wyładowaliśmy w łóżku. - Ja się tego nie wstydzę. To moje pieniądze; zapracowałem na nie i jestem z tego dumny, ale spotkałem w życiu wiele kobiet, którym bardziej zależało na moim koncie w banku niż na mnie. - Sam - powiedziała - ilekroć zaczynamy rozmowę o czymś ciekawym, zawsze w końcu schodzi na forszę. Zauważyłeś? Nie mogę tego zrozumieć. Pieniądze mnie w ogóle nie interesują. Dlaczego bez przerwy o nich mówimy? Uśmiechnąłem się, przeprosiłem ją i ostatecznie uwierzyłem, że naprawdę tak myśli. Może i nie obchodziły jej pieniądze same w sobie, miała jednak zdecydowane poglądy na temat ich zarabiania. Co prawda pozwalała, żebym jej stawiał obiady i od czasu do czasu przyjmowała jakiś drobny upominek, ale odrzuciła moją ofertę pomocy finansowej, twierdząc, że "kto chce iść własną drogą, musi płacić za siebie". Aby zapewnić sobie skromne utrzymanie, podejmowała dorywcze prace w charakterze kelnerki, które porzucała natychmiast, gdy tylko zgromadziła oszczędności pozwalające jej przeżyć kilka tygodni. Nie interesowała jej stała posada ani normalny styl życia, lecz pomimo owej cygańskiej beztroski (która mnie w niej urzekała) była na tyle konwencjonalna, że bawiło ją gotowanie, próbowała szyć i pielęgnowała staromodne poglądy na temat przyjmowania pieniędzy od zaprzyjaźnionych mężczyzn. Ta dziwaczna mieszanka konserwatyzmu i ekscentryzmu pociągała mnie coraz bardziej; co prawda nie pochwalałem jej stosunku do stałej pracy, ale szanowałem malarską pasję Teresy, a choć nie mogłem zaakceptować jej miejsca wśród nowojorskich niebieskich ptaków, to jednak byłem pełen podziwu wobec faktu, że sama daje sobie radę w tym mieście i żyje według reguł, które sama ustala. W końcu nadszedł moment, gdy nie mogłem już oprzeć się pokusie, by napomknąć o niej przyjaciół. - Nowa dziewczyna? - spytał z roztargnieniem Korneliusz. - To miłe. Dlaczego nie przyprowadzisz jej do nas na obiad? - Nie miałyby ochoty na obiad z bandą milionerów w pałacu przy Piątej Alei. - Nie ma takiej kobiety - oświadczył Korneliusz - która nie miałyby ochoty na obiad z bandą milionerów w pałacu przy Piątej Alei. Kiedy w odpowiedzi roześmiałem się tylko, stwierdził, że widocznie wstyd mi się pokazywać z Teresą, i zupełnie przestał się nią interesować. Korneliusz żenił się dwa razy: najpierw ze starszą od siebie o czternaście lat damą z towarzystwa, która wyszła za niego dla pieniędzy, po czym obdarzyła go czymś, czego nie mógłby kupić za żadne pieniądze - jego córką Vicky; a następnie z młodszą od siebie o dwa lata pięknoscią, również z najlepszych sfer, która wyszła za niego z miłości i wniosła mu w posagu dwóch synów z poprzedniego małżeństwa. Pierwsza żona Korneliusza, Vivienne, mieszkała teraz na Florydzie i nie widziałem się z nią od wielu lat. Drugą żonę, Alicję, widywałem często w roli pani Korneliuszowej Van Zale, małżonki znanego milionera będącej jednym z filarów nowojorskiej elity. Korneliusz nie

miewał ko- chanek. Nie pochwalał jakichkolwiek dewiacji w życiu prywatnym i chociaż nigdy nie powiedział mi wprost, że powinienem się ożenić i ustatkować, wiedziałem, że odruchowo potępiłby pomysł przy- gruchania sobie artystki w rodzaju Teresy. Tymczasem coraz bardziej doskwierał mi upór, z jakim Teresa obstawała przy swojej finansowej niezależności. Było to niewątpliwie urocze, lecz nie mogłem się w tym dopatrzeć za grosz sensu. Lu- biłem dawać prezenty; nie robiłem tego z mętnych pobudek i czułem się dotknięty, gdy mnie o nie po- sądzano. Miałem wrażenie, że jej podejście deprecjonuje nasz związek, tym bardziej że chciałem tylko ułatwić nam obojgu życie, a przynajmniej tę jego część, którą dzieliliśmy ze sobą. Rzecz jasna, jakiś cynik mógłby niezbyt życzliwie skomentować propozycję umieszczenia Teresy w miłym apartamencie, odległym zaledwie o dwie przecznice od mojego mieszkania przy Park Avenue, ale prawda była taka, że miałem już dość ciągłego skradania się wokół domu Kevina o różnych porach nocy i podejrzewa- łem, że Kevin również ma dość ciągłych zamachów na jego święty spokój. - Zrozum - powiedziałem w końcu Teresie, po raz kolejny próbując ją przekonać, że tak dalej być nie może - mamy szczęście! Dzięki moim pieniądzom nasz romans może nam dać dwa razy więcej przyjemności! To premia, a nie kamień młyński u szyi. Po co męczyć się bez powodu? Ani w tym sen- su, ani logiki! Istnieją pożyteczniejsze sposoby wykorzystania naszego cennego wolnego czasu! Ku swemu zadowoleniu osiągnąłem pożądany efekt: rozśmieszyłem ją. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że przedstawienie problemu w kategoriach dowcipu bynajmniej go nie rozwiąże. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby mieszkać w śródmieściu - odparła. - Owszem, mam nadzie- ję, że kiedyś tak będzie, ale wtedy to ja będę opłacać czynsz. Byłem tak rozgoryczony, że miałem ochotę ją uderzyć. Do tego stopnia straciłem panowanie nad sobą, że oskarżyłem ją, iż zamierza wprowadzić się do mnie i dlatego się ze mną droczy. Zanim jeszcze spojrzała na mnie z pogardą i oświadczyła, gdzie mogę sobie wsadzić swoje cenne gniazdko, zorientowałem się, że plotę bzdury; wiedziałem przecież, że nie lubi mojego mieszkania i źle się w nim czuje. W pierwszej chwili poczułem się dotknięty, potem jednak przyszła fala ulgi. Pomimo chwilowej frustracji nie byłem ani zaślepiony, ani naiwny i zdawałem sobie sprawę, że mężczyzna na moim sta- nowisku nie może jawnie trzymać u siebie artystki i oczekiwać, że nadal będzie szanowanym obywatel- em. Ta naga prawda jeszcze bardziej wzmogła moją determinację, by mieć Teresę tak blisko przy so- bie, jak to tylko możliwe w okolicznościach, na które mój świat zwykł był pobłaźliwie przymykać oczy. Ponownie rozważyłem sytuację. Szło mi całkiem nieźle, aczkolwiek musiałem dołożyć więcej starań, jeśli chciałem ją wyrwać z tego domu w Greenwich Village. Zdecydowałem, iż pora na długi weekend w jakimś romantycznym zakątku. Wiedziałem z doświadczenia, że takie weekendy, zaaran- żowane we właściwym momencie, potrafią przynieść nadspodziewane efekty, i mając już przed oczy- ma wizję przyszłego szczęścia zacząłem się zastanawiać nad odpowiednim miejscem. Maine, Cape Cod, Północna Karolina, Floryda... Mój umysł poruszał się bez przeszkód po całym Wschodnim Wy- brzeżu, wypuścił się nawet na Bermudy, nim przyszło mi do głowy oczywiste rozwiązanie: Europa. Teresa, córka polskich imigrantów, nigdy nie była w Europie i zawsze marzyła, żeby tam pojechać. Olśniewająca, romantyczna, kusząca Europa... Dwa tygodnie... a wszyscy twierdzili, że Paryż prawie nie ucierpiał w czasie wojny. Zabrałem ją na kolację "a deux" przy świecach w jej ulubionej francuskiej restauracji. Zamówi- łem szampana i wysunąłem myśl, że mogłaby mi towarzyszyć w podróży do Europy. Nie powiedzia- łem jej, że dokonałem już rezerwacji w hotelach na terenie Niemiec. Rezerwacje można było odwołać, a marszrutę zmienić. Poza tym nigdy nie rozmawiałem z nią na temat Niemiec - z wyjątkiem tego, że zaraz na wstępie oświadczyłem, że co prawda jestem Amerykaninem pochodzenia niemieckiego, ale nie mam w Niemczech żadnych krewnych. Posunąłem się nawet do kłamstwa mówiąc, że urodziłem się w Stanach. - Paryż! - wyszeptwała oszołomiona Teresa. Węszyłem już łatwe zwycięstwo. - Popłyniemy pierwszą klasą i urządzimy sobie wielki bal! - Jasne, że chciałabym z tobą

pojechać... - westchnęła. - Świetnie! A zatem postanowione! Jutro dzwonię do biura podróży!
- ...ale nie mogę. To na nic, Sam. Jeśli raz pozwolę się kupić, będziesz mnie kupował bez prze-
rwy, aż w końcu, zanim się obejrzę, wyląduję w apartamencie na szczycie wieżowca nad East River, wyposażona w książeczkę czekową, etolę z norek i kochanka, który mnie będzie uważał za swoją prywatną własność. Nie zrozum mnie źle: wiem, że chcesz jak najlepiej i doceniam to, ale niezależ-
ność znaczy dla mnie więcej niż tuzin podróży do Europy i nie zrezygnuję z niej nawet dla ciebie. - Ależ ja szanuję twoją niezależność, Tereso!
- Za to ja straciłabym dla niej szacunek, gdyby była na sprzedaż. Pokłóciliśmy się. Bardzo mocno odczułem ten zawód. Miałem ochotę odwołać urlop, bo nie wyobrażałem sobie, jak wytrzymam bez niej dwa tygodnie. Potem powiedziałem sobie, że zachowuję się jak zadurzony smarkacz i czas najwyższy, bym nieco ochłonał w samotności. Przeprowadziłem w duchu długą i poważną debatę, żeby ustalić, czy jestem zakochany, choć logicznie rzecz biorąc zdawało się to niepojęte. Przeprowadziłem więc następną długą i poważną debatę, w wyniku której zmuszony byłem przyznać, iż znalazłem się w sytuacji mającej niewiele wspólnego z logiką. Oszalałem na punkcie Teresy, a byłbym jeszcze bardziej szalony, gdybym próbował się tego wypierać. To, iż umiałem po męsku stawić czoło kłopotliwej rzeczywistości, niewątpliwie było powodem do dumy, jednakże mój triumf okazał się krótkotrwały, kiedy pojąłem, że zapędziłem się w następną ślepią uliczkę i nie mam pojęcia, jak z niej wyjść. Nie mogłem oficjalnie żyć z Teresą. Najwyraźniej nie byłem jej także w stanie przekonać, żeby żyła ze mną nieoficjalnie. Mój logiczny umysł, który mimo tak absurdalnych okoliczności od czasu do czasu jeszcze funkcjonował, podpowiadał mi, że istnieją trzy możliwe wyjścia. Mogłem z nią zerwać. Mogłem utrzymać niezadowolające status quo. Ewentu-
alnie mogłem się z nią ożenić. Zerwanie nie wchodziło w rachubę. Utrzymywanie status quo już nieźle dało mi się we znaki. Małżeństwo było tak samo wykluczone jak publiczny romans. A może jednak nie? Owszem, tak. Nie miało szans na przetrwanie. Naga prawda, której musiałem czasem spojrzeć w twarz, jeśli chciałem pozostać przy zdrowych zmysłach, przedstawiała się tak: Teresa nie pasowała do mojego świata. Jeśli mielibyśmy się pobrać, któreś z nas musiałoby zmienić styl życia, a nie mogłem przecież oświadczać się jej słowami: "Słuchaj, chętnie bym się z tobą ożenił, ale zanim cię poprowadzę do ołtarza, musisz wprowadzić w swoim życiu mnóstwo zmian". Zastanawiałem się, czy nie powinienem zacząć od sie-
bie, wkrótce jednak porzuciłem ten pomysł. Mój świat podobał mi się taki, jaki był, i jakakolwiek ra-
dykalna odmiana po prostu nie mieściła mi się w głowie. Potem pojechałem do Niemiec i gdy po raz pierwszy od kilkunastu lat postawiłem stopę na oj-
czyźnej ziemi, zapomniałem o wszystkim - o Teresie, o banku, o całym moim dotychczasowym życiu. Powrót do starego kraju okazał się dla mnie ciężką próbą. Myślałem, że jestem dobrze przygotowany. Czytałem niezliczone reportaże i rozmawiałem z ludźmi, którzy byli w Niemczech. Czekałem cztery lata od zakończenia wojny, gdyż chciałem być pewien, że zdołam się pogodzić z chaosem, który mogę tam zastać. Na miejscu przekonałem się nie tylko o tym, iż rzeczywistość wygląda o wiele gorzej, niż byłem to sobie w stanie wyobrazić, lecz tak-
że i o tym, że nie mam pojęcia, jak się z nią uporać. Żaden gazetowy reportaż, żadne zdjęcie w maga-
zynie "Life", żaden naoczny świadek nie mógł mnie przygotować na spotkanie z miastami, leżącymi w gruzach tak samo jak moje złudzenia, i z tym jankeskim żołnierzem, który gwizdał "Lili Marlene". - I jak było w Europie? - spytała wesoło Teresa, kiedy wróciłem do Nowego Jorku. - Wspaniale. Nie mogłem mówić o Niemczech; zacząłem snuć opowieść o Paryżu, podpierając się wspom-
nieniami z przedwojennej wizyty w tym mieście. - Jak było w Niemczech? - zagadnął mnie Korneliusz jakiś czas później. - Nie tak tragicznie. Wróciwszy wszakże na róg Willow i Wall zrozumiałem, że nie mogę już dłużej udawać, że nic się nie stało. Jeśli miałem w przyszłości żyć w zgodzie z samym sobą, musiałem przeprowadzić daleko idące zmiany zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym. Chciałem zadzwonić do Paula Hoffmana z ECA (Economic

Cooperation Administration - Za- rząd Współpracy Gospodarczej), który w tym czasie rekrutował bankierów chętnych do pomocy przy odbudowie europejskiej gospodarki. Podniosłem nawet słuchawkę, żeby dowiedzieć się o numer ECA w Waszyngtonie, ale odłożyłem ją, kiedy uświadomiłem sobie, że najpierw czeka mnie rozmowa z Korneliuszem. O rezygnacji nie mogło być mowy. Bank Van Zale'a był całym moim życiem, symbo- lem mojej kariery, ucieleśnieniem klasycznych amerykańskich tęsknot, które tak długo dręczyły mnie po nocach. Musiałem wziąć bezpłatny urlop, a tylko jeden człowiek był władny dać mi to, czego pragnąłem. Perspektywa nieuchronnej przeprawy z Korneliuszem nie była zachęcająca. Korneliusz był izo- lacjonistą, choć teoretycznie po Pearl Harbor zerwał z tą doktryną, dostosowując się do oficjalnej po- lityki USA. Nigdy nie potrafił racjonalnie wyjaśnić źródeł swej niechęci, lecz nie lubił Europy i wie- działem, że nie przykłaśnie projektowi urlopu, który pozwoli mi pracować na rzecz odbudowy tego kontynentu. To, iż w teorii zgadzał się z ekonomistami głoszącymi, że od energicznego wprowadze- nia w życie planu Marshalla zależy w znacznym stopniu dobrobyt samej Ameryki, nie miało tu żadne- go znaczenia; w praktyce żałował każdego dolara wydanego na rozwój krajów, które wciągnęły USA w drugą wojnę światową, czego im nie mógł wybaczyć. Na dodatek prócz nieuleczalnego szowinizmu Korneliusza musiałem jeszcze przezwyciężyć jego opór przed pozbawieniem się, choćby na krótki czas, moich usług. Co prawda nigdy się nie łudziłem, że jestem mu niezbędny w banku na Willow Street 1, miałem jednak świadomość, że żaden z pozosta- łych partnerów nie może się ze mną równać jako współpracownik ani też powiernik. Jak sam często mawiał, było zaledwie parę osób, którym mógł całkowicie zaufać. Na swoje nieszczęście - zważywszy okoliczności byłem jedną z nich. Myślałem, że moje położenie jest już krańcowo niezręczne, lecz się myliłem. Sprawy przybrały o wiele gorszy obrót po ucieczce Vicky Van Zale z poznanym na plaży chłopakiem, kiedy to Korne- liusz zaczął snuć te swoje matrymonialne mrzonki. Mało, że nie miał ochoty rozpiąć łączących nas od tak dawna kajdan wspólnej przeszłości, teraz dążył jeszcze do tego, żeby wyrzucić klucz. Kiedy owe- go wieczoru jechałem na spotkanie z Teresą, zastanawiałem się z rozpaczą, jak zdołam się wydostać ze złotej klatki na rogu Willow i Wall, którą Korneliusz wciąż zapobiegliwie umacniał. Wysiadłem z mercedesa. - Nie czekaj na mnie, Hauptmann - rzuciłem. - Wrócę do domu taksówką. Kiedy samochód odjechał, spojrzałem na obsadzoną drzewami ulicę i pastelowe niebo. Wieczór był cudowny; nagle wbrew wszelkim przeciwnościom moja rozpacz ucichła i nawet zdołałem się uś- miechnąć na wspomnienie ostatniej rozmowy z Korneliuszem. Czy naprawdę poważnie myślał, że uda mu się mnie przekupić albo przekabacić, żebym ożenił się z jego rozpuszczoną córeczką? Chyba po- stradał zmysły. Chciałem się ożenić z Teresą. Naturalnie, że ożenię się z Teresą. To dlatego sam po- myśl ślubu z kimkolwiek innym wydał mi się tak niedorzeczny. Zrozumiałem, że już od jakiegoś czasu chciałem się z nią ożenić, ale ukrywałem to przed samym sobą. Teraz mogłem w głębi serca przyznać, jak bardzo ją kocham. Teraz nie musiałem już sobie powtarzać, że nie pasuje do świata nowojorskich bogaczy. Mój świat miał się odtąd zmienić, a ja wraz z nim. Kiedy za pomocą jakiegoś błyskotliwego dyplomatycznego pociągnięcia - którego na razie nie umiałem sobie wyobrazić - zapewnię sobie urlop, pojedę do Europy, poświęcę się idei planu Marshalla i wreszcie jako lojalny Amerykanin będę walczył o Niemcy, które tak bardzo kochałem przed wojną. A później? Później przewidywany powojenny boom będzie już w pełnym rozkwicie i jakoś zdo- lam przekonać Korneliusza, że w jego najlepiej pojętym interesie leży otwarcie placówki Van Zale'a w Europie... Jak okiem sięgnąć, słało się przede mną nowe życie; drzwi domu Kevina otworzyły się sze- roko na powitanie, a ja biegłem po schodach do Teresy. Uśmiechnęła się do mnie, a kiedy ją zobaczy- łem, poczułem, że zaraz serce mi pęknie z radości i z ulgi i że nareszcie udało mi się rozwikłać wszys- tkie konflikty, które tak długo czekały na rozwiązanie. Było to kuszące, olśniewające złudzenie. Mimo to nigdy w życiu nie zapomnę, jak bardzo byłem szczęśliwy tego kwietniowego wieczoru w

1949 roku, kiedy zobaczyłem uśmiechniętą Teresę i wbieg-łem po schodkach prosto w jej ramiona. - Cześć, kochanie! - powiedziała, całując mnie na powitanie. - Zostaw swój najnowszy milion dolców za progiem i wskakuj do środka. Zrobię ci martini, po którym nawet generał Sherman nie ruszyłby z miejsca. Rany, wyglądasz prawie tak źle jak twój głos w słuchawce! Co się, u licha, stało? Rozdział drugi | Pełne wargi Teresy pokryte były szkarłatną pomadką, na jej nie upudrowanym nosie zauważy-łem rozmazaną smugę sadzy. Ciemne włosy sterczały dziko w najmniej oczekiwanych kierunkach, jak gdyby zaprzeczały istnieniu grawitacji. Turkusowa sukienka, ściągnięta białym paskiem stanowiącym "pendent" do sandałów na wysokich obcasach, wyglądała, jak gdyby zbiegła się w pralni: szwy na biodrach naciągnięte były do granic wytrzymałości, a guziki na biuście ledwie się dopinały. Jak zwykle nie miała na sobie żadnej biżuterii poza złotym krzyżykiem. - Wyglądasz cudownie! - stwierdziłem i pocałowałem ją jeszcze raz. - Skąd wytrzasnąłaś tę sek-sowną kieckę? - Z ulicznego bazaru na Lower East Side. Nie wykręcaj się, tylko odpowiedz mi na pytanie! Dlaczego przez telefon mówiłaś takim ponurym głosem? Nie miałem ochoty wdawać się w wyjaśnienia dotyczące natury moich skomplikowanych związków z Korneliuszem. - A, jest taka duża korporacja o nazwie Hammaco, która chce wypuścić akcje o wartości dziewięćdziesięciu milionów dolarów... - O Boże. Czekaj, zaraz zrobię drinki. Na pewno nie masz nic przeciwko siedzeniu w kuchni? Właśnie gotuję ryż do jambalai. - A gdzie Kevin? - Jeszcze nie wrócił z próby - odparła, prowadząc mnie przez hol na tyły domu. Dom Kevina to cacko, ale kuchnia była prawdziwym majstersztykiem i skupiła w sobie wszyst-kie jego zalety. Umebłowana dość skąpo, miała w sobie tę niewymuszoną prostotę, jaką można osiągnąć dopiero za duże pieniądze. Była to replika dużej, przestronnej kuchni, którą Kevin podziwiał kie-dyś na pewnej nowoangielskiej farmie. Staroświecki piec, zainstalowany wyłącznie dla celów zdobni-czych, lśnił wypolerowaną czernią na tle częściowo odsłoniętej ceglanej ściany. Solidne szafki zrobio-no z klonowego drewna. Na środku stał ciężki prostokątny stół i cztery drewniane krzesła. Parapet zastawiony był ziołami w doniczkach, na ścianie wisały miedziane patelnie, a czerwone płytki podłó-gowe połyskiwały ciepło w łagodnym świetle. Kevin zatrudnił gospodynię i sprzątaczkę na przy-chodne, chcąc utrzymać w domu nieskazitelny porządek, niweczony zresztą natychmiast, ilekroć do kuchni weszła Teresa. - Przepraszam za ten bałagan - powiedziała, uprzątając skrawek stołu. Gospodyni ma dzisiaj wolne, więc obiecałam Kevinowi, że ugotuję mu żarcie, bo dał mi pięć dolarów na buty. Od tamtych w końcu odpadły mi obcasy i ten mały człowieczek za rogiem powiedział, że tym razem nie da się ich już naprawić... Dziwne, byłam pewna, że mam gdzieś oliwki do martini. Ciekawe, co z nimi zrobiłam? - Kevin pożyczył ci pieniądze? - Nie, dał mi je. Nigdy nikomu nie pożycza. - Tak właśnie myślałem. A zatem, jeżeli możesz brać pieniądze od Kevina... - Nie mogę. I dlatego w zamian gotuję mu kolację. Chyba będę się musiała rozejrzeć za jakąś pracą, bo zdążyłam już upłynnić wszystkie oszczędności... Przykro mi, kochanie, ale nie mogę znaleźć tych oliwek. Może kot je zjadł. Dwie kostki lodu do martini? - Dzięki. Słuchaj, wcale nie musisz szukać nowej pracy. Właśnie wpadł mi do głowy świetny pomysł... Rzuciła się na mnie bez ostrzeżenia. - Mam już powyżej uszu twoich świetnych pomysłów! I mam dość tego ciągłego gadania o pie-niędzach! Wybacz, ale jestem dziś w wyjątkowo podłym nastroju. Zupełnie mi nie idzie robota. I dla-tego, jak tylko podam Kevinowi kolację, będę musiała iść na górę i wziąć się do malowania. - Hej, zaczekaj chwilę! - Zbity z tropu tym niespodziewanym atakiem, zdołałem tylko wymam-rotać z urazą: - Mam ci coś ważnego do powiedzenia! Wyrznęła w stół paczką ryżu. - Moja praca też jest ważna! - wrzasnęła. - Myślisz, że to tylko zabawne hobby, bo nie przynosi mi żadnych dochodów! Forsa, forsa, forsa, tylko o tym potrafisz myśleć w dzień i w nocy! No po-wiedz, czy kiedykolwiek myślisz o czym innym? Nie dałabym za to złamanego grosza! Już od dłuż-szego czasu wiem, że masz o mnie fałszywe pojęcie, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy przypad-kiem ja też nie wzięłam cię za kogoś zupełnie innego, niż jesteś. O, potrafisz dużo

mówić, ale to tylko pozory, a co w rzeczywistości kryje się za tym pozorem wielkiego świata i uwodzicielskim "savoir-faire"? Nie mogę się zdecydować, czy naprawdę jesteś miłym przyzwyczajonym facetem, czy zwykłym drańcem. Chyba musisz być draniem, skoro postanowiłeś zmarnować sobie życie, wybierając tak skorumpowaną, materialistyczną, odrażającą profesję jak bankowość, ale... - Chwileczkę! - zdążyłem już dojść do siebie i teraz wiedziałem dokładnie, co mam mówić. Nie podnosiłem głosu, zmieniłem tylko ton, jak to zawsze robiłem, ilekroć klient zaczynał się stawiać i trzeba go było bezboleśnie usadzić. - Wyjaśnijmy sobie parę spraw. Bankowość to dobry zawód. Możesz uważać, że jako boski dar dla ludzkości nie dorównuje malarstwu, ale gdybyś odrobinę więcej wiedziała o finansach, a mniej czasu poświęcała wchłanianiu tych bzdurnych marksistowskich sofizmów, zrozumiałabyś, że praca banków ma żywotne znaczenie dla gospodarki, a przez to i dla całego kraju. Więc przestań mi tu opowiadać bajeczki z lat trzydziestych o tym, że bankierzy to bandyci, dobrze? Zastanów się i spróbuj przez chwilę pomyśleć. Mamy rok 1949 i co się dzieje? To bankierzy będą odbudowywać Europę po tym, jak politycy i bohaterzy w mundurach rozwalili ją na drobne kawałki! I o tym właśnie chciałem z tobą pomówić. Przyszło mi na myśl, jak mogę wykorzystać swoją wiedzę i doświadczenie w bankowości dla sprawy, która naprawdę jest tego warta... - Och, dajże spokój. Te szurze wyścigi są takie płytkie, takie jałowe... - Na litość boską! - rozżościłem się. - Nie wciskaj mi teraz tych pokrętnych filozoficznych bredni na temat sensu życia. A kto, do diabła, wie, jaki to wszystko ma sens? Na dłuższą metę stworzenie obrazu jest równie bezsensowne jak zarobienie dolca, nie sądzisz? Pewnie twoim zdaniem jestem tak zajęty robieniem pieniędzy, że nie zadaję sobie fundamentalnych pytań, ale nie jestem takim bezdusznym robotem, za jakiego mnie uważasz. Często, szczególnie ostatnio, zastanawiałem się, jaki cel ma życie? Czy istnieje Bóg? Wydaje się to nie do pomyślenia, ale jeśli istnieje, cholernie kiepsko sprawdza się w zarządzaniu. Czy istnieje życie pozagrobowe? Znowu trudno to sobie wyobrazić, ale jeśli jest coś takiego i jeżeli Bóg trzyma na tym rękę, musi tam panować nielichy bałagan. Ja osobiście nie lubię fantazjować. Bardziej interesują mnie namacalne fakty, które mogę uporządkować w jakiś spójny system. Żyjemy w społeczeństwie kapitalistycznym i to się za naszego życia nie zmieni. A pieniądze są siłą napędową tego społeczeństwa. Pieniądze są potrzebne do życia; mając je, można robić to, co naprawdę chce się robić, można czynić dobro. I w ten sposób dochodzimy do tego, co miałem zamiar ci powiedzieć. W tej chwili w Europie... - Europa! - wybuchnęła Teresa. - Gównu mnie obchodzi Europa! Martwię się o nas i o to, dokąd zmierzamy! Ja przynajmniej próbowałam zaakceptować cię takiego, jakim jesteś, z bankowością i całym tym bagnem. Ale czy ty kiedykolwiek uczyniłeś wysiłek, żeby przyjąć mnie taką, jaką ja jestem, Sam? Kiedy wreszcie przestaniesz próbować mnie kupić i przerobić na jakąś cholerną udomowioną konkubinę? - Jezu Chryste! - krzyknąłem, tracąc panowanie nad sobą. - Nie chcę cię zmienić w udomowioną konkubinę! Chcę, żebyś została moją żoną! Na drugim końcu holu drzwi wejściowe otwały się z lekkim trzaskiem. - Hej, Tereso! - zawołał Kevin. - Zgadnij, kto przywiózł mnie wielkim jak ciężarówka rolls-royce'em z rogu Broadwayu i Czterdziestej Drugiej? Staliśmy bez ruchu i patrzyliśmy na siebie. Wargi Teresy były lekko rozchylone, mały złoty krzyżyk zniknął pomiędzy wypukłościami jej piersi. Pożądałem jej. - Zaczekam na ciebie na górze - powiedziałem przyciszonym głosem. - Nie chce mi się rozmawiać z Kevinem. - Nie. - Tereso... - Przykro mi, wiem, że zachowuję się podle, ale nic na to nie poradzę. Po prostu nic nie mogę na to poradzić... Jakoś nie potrafię ułożyć sobie życia. Gdybym tylko mogła pracować... muszę spróbować, muszę dzisiaj coś popchnąć, inaczej chyba zwariuję... - Ale ja muszę z tobą porozmawiać! - Nie dzisiaj. Nie mogę. Muszę być sama. Muszę pracować, muszę! - Ale ja cię kocham... Pomogę ci wszystko ułożyć. - Jak ty zupełnie nic nie rozumiesz! Kuchenne drzwi otwały się szeroko i Kevin wykonał triumfalne wejście zgodnie z najlepszą tradycją show-biznesu. - Tereso, mój aniele! Cóż to za smakowity zapach dobiega się z piekarnika? O, cześć, Sam! No nie, nie

uciekaj jeszcze! Dlaczego masz taką spłoszoną minę, jak gdybym cię przyłapał "flagrante delicto"? Przecież wiesz, że pozwałam zatrudnionym przez siebie paniom przyjmować gości płci męskiej! - A kiedy niechętnie opuściłem się na najbliższe krzesło, wykrzyknął ze śmiechem, jakby wylewając nością mógł rozładować panujące w kuchni napięcie: - Chryste, ci skretyniali aktorzy doprowadzili mnie dziś do ostateczności! To cud, że jeszcze nie umarłem na apopleksję! Kevin nie wyglądał na czterdzieści jeden lat. Był smagły, wysoki (tak jak ja mierzył sześć stóp) i w przeciwieństwie do mnie zachował zarówno młodą sylwetkę, jak czuprynę. Jego frywolne maniery łatwo mogły wprowadzić w błąd. Podobnie jak Wall Street, Broadway był polem bitwy, na którym tylko najtwardsi mieli szansę przeżyć. Przedzielona dołeczkiem broda Kevina, będąca według powszechnej opinii źródłem jego powodzenia u obu płci, osadzona była w mocnej, bezlitosnej szczęce. - ...spójrzcie, kogo tu mamy! - zakończył swoją przemowę i wykonał szeroki gest w stronę drzwi z miną prestidigitatora, który właśnie ma wyciągnąć z kapelusza sześć królików. Zerknąłem ponad jego ramieniem i na progu ujrzałem Jake'a Reischmana. Nieskazitelnym jak zawsze Jake zatrzymał się w drzwiach, badając wzrokiem nieznaną otoczenie z tą samą wyrafinowaną cyniczną miną, z jaką zwykle spoglądał na świat. W identyczny sposób wytrawny podróżnik przystanąłby zapewne u bram jakiegoś zakazanego miasta. Kuchnie z pewnością były dla Jake'a czymś zupełnie nowym, bo wątpię, by miał dotąd okazję obejrzeć choć jedną. W przeciwieństwie do Korneliusza, który urodził się na farmie w Ohio, a wychował pod Cincinnati w środowisku, w którym przeważała klasa średnia, Jake całe życie spędził w najwyższych sferach nowojorskiej niemiecko-żydowskiej arystokracji. Nasze spojrzenia zetknęły się. Nawet się nie zawahał. Jego usta wygięły się w grzecznościowym uśmiechu, choć oczy pozostały lodowato błękitne. - Guten Tag, Sam. - Witaj, Jake. Nie podaliśmy sobie rąk. - Naturalnie Teresę już poznałeś... - Wręcz przeciwnie - powiedział Jake. - Nie miałem dotąd tej przyjemności. - Nie? - zdziwił się Kevin. - Przecież dokładnie pamiętam... A, nie, rzeczywiście, to była Ingrid. Wobec tego pozwólcie, że dokonam prezentacji: Jake, to jest Teresa Kowalewski. Tereso, to jest Jake Reischman, kolejny rekin finansjery w gronie moich przyjaciół. - Panno Kowalewski - rzekł gładko Jake, ponownie przywołał na twarz oficjalny uśmiech i wyciągnął rękę. To, iż błyskawicznie opanował wymowę polskiego nazwiska, było tak oszałamiające, że przez chwilę wszyscy patrzyliśmy na niego z podziwem. - Hej - bąknęła w końcu Teresa i pośpiesznie wytarła rękę, zanim ujęła podaną sobie dłoń. - No, to czego się napijemy? - Kevin przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza. - Jake, mam tu doskonałą gorzałę z Południa. Rozsmakowałem się w niej dzięki Teresie. Przywiozła mi ongiś flaszkę aż z Nowego Orleanu, a teraz sprowadzam ją skrzynkami wprost z Kentucky. Kosztowałeś kiedyś bourbona o nazwie Wild Turkey? Jake wzdrygnął się. - Poproszę raczej szkocką. Może znajdzie się czarny Johnnie Walker. Bez wody, nawet sodowej. Trzy kostki lodu. W tej samej chwili na kuchenkę zaczął cichaczem wydostawać się ryż i Teresa z okrzykiem zniecierpliwienia rzuciła się, żeby go powstrzymać. Kevin wyszedł z kuchni w poszukiwaniu szkockiej, a ja przyglądałem się, jak Jake machinalnie zdejmuje plasterki cebuli z najbliższego krzesła i siada naprzeciw mnie. Odwróciłem wzrok. Próbowałem obmyślić strategię ucieczki, nie potrafiłem jednak znaleźć żadnego pretekstu, który nie budziłby podejrzeń, że moje pośpieszne wyjście jest w istocie zamierzonym afrontem. W końcu uczyniłem dość nieudolny wysiłek, żeby zagaić przyjacielską rozmowę: - Jak tam interesy? - zapytałem. - Miernie. Miejmy nadzieję, że obniżka ceny kupna akcji FRB pomoże wydobyć rynek z depresji. Mam już dość słuchania przemówień Trumana na temat grożącej inflacji, podczas gdy wszem wiadomo, że niebezpieczeństwo należy już do przeszłości... Słyszałem, że niedawno wróciłeś z podróży po Europie? - Tak. - Chciałem powiedzieć coś więcej, lecz zabrakło mi słów. - To miłe - ciągnął nie zrażony Jake. - A propos, przeglądałeś może dzisiejszego "Timesa"? Grupy mężczyzn w butach z cholewami paradują po ulicach północnych Niemiec, śpiewając "Deutschland über alles"... Czasami

zdaje mi się, że świat się prawie nie zmienia. Ale nie wątpię, że ty dostrzeżesz w Niemczech spore zmiany. Byłeś w Niemczech, prawda? - Tak. Skosztowałem martini, lecz nie mogłem go przełknąć. Odstawiłem szklankę na stół. W tej samej chwili zaległa w kuchni ciszę przerwał wchodzący Kevin. - Co słychać u Neila, Sam? - zagadnął wesoło, mając oczywiście na myśli Korneliusza. - Czy jego córki udało się już wpędzić go w nerwową chorobę? - Wciąż się stara - wykrztusiłem. - Biedny Neil! Już od dawna czułem, co się święci. Na miejscu Vicky, gdyby to mnie pogrzebał - no żywcem jak Rapunzela w tym przedpotopowym relikwie architektonicznym, który Neil nazywa domem, z pewnością dałbym nogę z pierwszym młodym człowiekiem, jaki by się napatoczył. Bóg mi świadkiem, że nikt bardziej ode mnie nie lubi Neila i Alicji, ale szczerze mówiąc, uważam, że nie mają pojęcia, jak wychowywać dorastającą pannicę. Kiedy pomyślę o moich czterech siostrach... - Kiedy ja pomyślę o moich dwóch córkach - wpadł mu w słowo Jake, który miał troje dzieci wchodzących właśnie w okres dojrzewania - jest dla mnie oczywiste, że Neil i Alicja zawsze wypełniały ten trudny obowiązek najlepiej, jak umieli. - Cóż, wszyscy wiemy, że dzieci to kara boska - Kevin podał Jake'owi szkocką i hojnie dolał dzinu do mojej na wpół opróżnionej szklanki. - Szekspir wiedział, co robi, kiedy tworzył postać króla Lira... Tereso, czy to na pewno jest jambalaya? Wygląda jak pewien organ kozła... nie będę wdawał się w szczegóły, w każdym razie to jakieś egzotyczne danie tureckie albo może libańskie... - Serdeczne dzięki - Teresa wciąż wściekle zeskrobywała z dna garnka przypalony ryż. - Zjesz sałatę? - Z rozkoszą kochanie. No więc, jak już mówiłem... dlaczego wstajesz, Sam? Chyba nie zamierzasz zmarnować tego dzinu, którego właśnie szczodrnie ci nalałem! Czemu chcesz już uciekać? W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. - Któż to może być? - zadumał się Kevin, od niechcienia dodając mi kroplę wermutu. - Może któryś z aktorów wpadł mnie przeprosić za to, że usiłował dokonać gwałtu na mojej sztuce. - Czy ktoś mógłby mnie wyręczyć i otworzyć drzwi? - Nigdy jeszcze nie widziałem Teresy tak zgnębionej. Ryż, który wykypiał z garnka, przywarł do kuchenki na amen. Jake rozejrzał się dookoła, jak gdyby zdziwiony, że nie ma tu kamerdynera, a przynajmniej regu- laminowo ubranej pokojówki, która wpuszczałaby gości. - Tereso - odezwał się Kevin - nie mamy oliwek do martini dla Sama? Dzwonek zadzwonił jeszcze raz. - Może by tak któryś z was, cholerni milionerzy, ruszył tyłek i otworzył te drzwi! - wrzasnęła Teresa. Jake spojrzał na nią po raz pierwszy z wyraźnym zainteresowaniem, w końcu jednak to ja wyszedłem z kuchni, kiedy dzwonek rozległ się po raz trzeci. W holu zwoleń kroku. Miałem mętlik w głowie. Dlaczego właściwie chciałem wyjść? To oczywiste, że powinienem zostać. Nie mogę wyjść, nie dokończywszy rozmowy z Teresą. Jeżeli jest jakiś problem, trzeba go przedyskutować. Praca może poczekać, aż go rozwiążemy... tylko na czym właściwie ten problem polega? Czy Teresa miała rację mówiąc, że zupełnie niczego nie rozumiem? Otepiałam ze zmęczenia i troski o naszą przyszłość pociągnąłem do siebie drzwi. Na progu stał Korneliusz. Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem. - Co ty tu robisz? - spytałem niezbyt mądrze. - Pomyślałem, że Kevin to chyba jedyna osoba w Nowym Jorku, która będzie mnie w stanie pocieszyć. A co ty robisz u niego? Myślałem, że ostatnio rzadko się widujecie. - Miałem randkę z dozorczynią Kevina. Kuchenne drzwi otwarły się szeroko i na korytarz wyjrzała Teresa. - Sam, dawaj go tu, kimkolwiek jest. Może zje trochę ryżu. Chyba zrobiłam go tyle, że starczyłoby dla wszystkich wojsk alianckich w Europie. - Tereso, chciałbym, żebyś poznała Korneliusza Van Zale'a - bąknąłem, jako że nic lepszego nie przyszło mi do głowy. - Cześć - powiedziała Teresa. - Lubisz ryż? Wejdz i chlapij sobie trochę Dzikiego Indyka. - Trochę czego? - zapytał szeptem Korneliusz, kiedy Teresa się wycofała. - To taki bourbon z Południa. - Dobry Boże!... Mocny? - Na oko sto jeden procent. - Zdaje się, że właśnie tego mi trzeba. Weszliśmy do kuchni, gdzie Korneliusz został powitany z entuzjazmem, a przy okazji taktownie zapytany o Vicky. - Miałem ochotę do ciebie zadzwonić, kiedy wróciłeś z nią wczoraj do domu - powiedział Jake - doszedłem jednak do wniosku, że sam to zrobisz, jeżeli

będiesz chciał z kimś porozmawiać. - Dzięki za troskę, Jake, ale to było ponad moje siły. Z trudem dowlokłem się dziś w południe do biura. Dyskretnie przesuwalem się pod ścianą w kierunku pieca, gdzie Teresa mieszła jambalayę, lecz zanim do niej dotarłem, Kevin uniósł szklankę i powiedział ze śmiechem: - Cóż, nieczęsto cała nasza czwórka spotyka się pod jednym dachem! Wypijmy za bractwo z Bar Harbor! Obyśmy nadal opływali w dostatki, wznosząc modły przed ołtarzem Mamony, jak za- pewne życzyłyby sobie nasz wielki mefistofeliczny dobroczyńca. Kiedy z ociąganiem sięgnąłem po drinka, na którego nie miałem najmniejszej ochoty, Korneliusz kwaśno odparował: - Do diabła z ołtarzem Mamony! Jak wiadomo każdemu, kto kiedykolwiek był bogaty, pienią- dze nie gwarantują niczego prócz kłopotów. Czy sądzicie, że ta katastrofa miałaby miejsce, gdyby Vicky nie była dziedziczką fortuny Van Zale'ów? - Mogłaby mieć - stwierdził Kevin. - Vicky jest bardzo ładna. A przy okazji, gdzie się podział ten gagatek, który spowodował całe zamieszanie? - Oczywiście zapłaciłem mu - Korneliusz ciągnął bourbona prawie w tym samym tempie co gos- podarz. - Ile? - zainteresował się Jake. - Dwa patyki. - Takiemu fagasowi? Byłeś nazbyt hojny. - Nie dojechali aż do Marylandu, prawda? - Kevina interesowała bardziej sama nieudana próba ucieczki niż jej finansowe konsekwencje. - Policja zatrzymała ich na granicy stanu. - Korneliusz wychylił do końca swoją szklankę, która natychmiast została napełniona ponownie. - Komentarze w prasie wołały o pomstę do nieba - ciągnął Jake. - Co robią twoi rzecznicy? Nie mogli przekupić wydawców i umieścić w gazetach jednej przyzwoitej notatki? - Wylałem szefów działu. - No, myślę! Jeżeli płacisz ludziom, którzy mają za tobą sprzątać, trudno, żebyś znosił ogłuszają- ją łoskot cegieł, jakie upuszczają po drodze. Teresa nie starała się już unikać mego wzroku. Zupełnie zapomniała o mojej obecności. Zastyg- ła w miejscu z mokrą sałatą w rękach i słuchała, wytrzeszczając oczy. - A co ty o tym wszystkim myślisz, Tereso? - spytał uprzejmie Kevin, wciągając ją do rozmowy. - W tym gronie jesteś jedyną osobą, która przeciwzyła w praktyce ucieczkę z domu w wieku osiem- nastu lat. Teresa spieszyła się, jak gdyby przyłapano ją na zagładaniu przez firankę do oświetlonego poko- ju, w którym rozgrywa się obsceniczna, lecz mile podniecająca scena. Poczulem nagły przypływ gniewu i odruchowo pociągnąłem spory łyk martini. - No cóż... - zaczęła nieśmiało, zerkając ze zmieszaniem na Korneliusza - powiedziałabym, że Vicky to szczęściara, skoro jej ojcu tak na niej zależy, że pojechał za nią i przywiózł ją z powrotem. Korneliusz był wstrząśnięty. Chyba nigdy dotąd nie wpadło mu do głowy, że jakiś ojciec mógłby pogodzić się z ucieczką córki. - I co się stało, kiedy wyjechałaś? - zapytał z miną człowieka, który czuje się zmuszony do za- dania pytania, choć wcale mu nie zależy na tym, żeby usłyszeć odpowiedź. - Pojechałam do dużego miasta, a konkretnie do Nowego Orleanu, poznałam faceta, który mi się spodobał, zamieszkałam z nim i zaczęłam malować. - Jezu Chryste! - wyjąkał Korneliusz. - On wcale mnie nie utrzymywał! - dodała pośpiesznie Teresa. -Pracowałam jako kelnerka i wszystkie domowe wydatki dzieliliśmy na pół. Rzecz jasna, nie twierdzę, że pana córka powinna pójść w moje ślady, ale... - Ale trochę seksu nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło - wtrącił przyjaźnie Kevin. - Absolutnie się z tym nie zgadzam, i to pod żadnym względem - oświadczył blady jak ściana Korneliusz. - Do licha, nie zauważyłem, żebyś ty bardzo ucierpiał! Kiedy sobie przypomnę te orgietki, jakie urządzaście z Samem w dwudziestym dziewiątym roku... a propos, Sam, masz jeszcze tę fantastycz- ną płytę, wiesz, tę, na której Miff Mole i jego Molersi grają "Alexander's Ragtime Band"? - Zapominasz o najważniejszym, Kevin - wtrącił Jake. - Zgadzam się z Neilem w całej rozciąg- łości, jeśli chodzi o jedno: każdy mężczyzna chce, żeby jego córka aż do dnia ślubu była dziewicą. Powinieneś jak najszybciej wydać ją za mąż, Neil. Chyba możesz to załatwić? Jeśli po dwóch latach małżeństwo się rozpadnie, nie szkodzi. Nawet w tym krótkim okresie Vicky zyska trochę doświad- czenia, które pozwoli jej stawić czoło łowcom fortun, jacy zaczną ją nachodzić na drugi dzień po rozwodzie. Korneliusz natychmiast przybrał obojętny wyraz twarzy, starając się przypadkiem nie zerknąć w moim kierunku. - Tobie też umknęło sedno

sprawy, nieprawdaż, Jake? - odparował Kevin. - Skoro Vicky już nie jest dziewicą, po co Neil ma zawracać sobie głowę tym staroświeckim remedium, jakim jest małżeńsko z rozsądku? Dlaczego dziewczyna nie może sama decydować o sobie i uczyć się na własnych błędach? - Nie bądź śmieszny! - sarknął Jake. - Jak można pozwolić dziedzicze kilku milionów dolarów, żeby robiła to, na co ma ochotę? Byłoby to karygodnym niedopatrzaniem. A poza tym kto powiedział, że Vicky już nie jest dziewicą? Przecież myślała, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wyjdzie za mąż za tego fagasa, prawda? To jasne, że oszczędzała się na noc poślubną. - No, jeśli tak uważasz - rzekł Kevin - to doprawdy jesteś łatwowierny. - Dość! - ryknął Korneliusz tak nieoczekiwanie, że wszyscy podskoczyliśmy. - Mówimy o mojej córce, a nie o postaci z którejś sztuki Kevina! Naturalnie, że Vicky wciąż jest... to nie podlega dyskusji i w ogóle nie ma o czym mówić. - Odepchnął od siebie pustą szklankę i dźwignął się z krzesła. - Muszę wracać do domu. Kevin, czy mogę skorzystać z twojego telefonu i uprzedzić Alicję, że już ja- dę? - Jasne. Aparat jest w moim gabinecie. - Rany, on się naprawdę martwi - zauważyła cicho Teresa, kiedy Korneliusz zniknął za drzwiami. - Prawie zapomniałam, że to słynny milioner. Zachowywał się zupełnie jak zwykły człowiek. Znowu poczułem, że ogarnia mnie złość. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego przelotny obraz rodzinnych kłopotów bogacza zdołał do tego stopnia zauroczyć Teresę, na której dobra materialne zwykle nie robiły wrażenia. - Widzę, że niewiele wie pani o milionerach, panno Kowalewski - ni stąd, ni zowąd zagał Jake tak gładko, iż trudno było uwierzyć, że jakakolwiek kobieta da się nabrać na te towarzyskie frazesy. - Muszę kiedyś zaprosić panią na drinka i nieco oświecić w tej materii. - Nawet nie próbuj - wtrącił Kevin. - Sam uczy ją wszystkiego, co powinna wiedzieć o milionerach. Tereso, jak się miewa nasz stary libański cap w garnku? Zaczekaj, Jake, zjesz z nami jambalaye. - Niestety, jestem dziś umówiony na kolację, więc podobnie jak Neil muszę się pożegnać. Do widzenia, panno Kowalewski, nie wątpię, że się jeszcze spotkamy. Cześć, Kevin, i dziękuję za drinka. Odwrócił się do mnie: stara fortuna naprzeciw nowych pieniędzy, magnat z Piątej Alei i prowincjonalny imigrant, dwaj Amerykanie niemieckiego pochodzenia, których dzieliło sześć milionów żydowskich trupów i sześć lat piekła w Europie. - "Auf wiedersehen", Sam - powiedział. Ogarnęła mnie rozpaczliwa tęsknota za czymś cennym a zaprzepaszczonym. Przez chwilę widziałem w nim nie wyniosłą głowę rodu Reichmanów, lecz sympatycznego chłopaka, który wiele lat temu deklarował z takim zapalem: "Przyjedź koniecznie - u nas znowu poczujesz się dumny, że jesteś Niemcem!" Przypomniałem sobie atmosferę tego domu przy Piątej Alei, gdzie piłem niemieckie wino, słuchałem niemieckich duetów wygrywanych przez jego siostry na wielkim fortepianie i gdzie jego ojciec rozmawiał ze mną po niemiecku o złotym wieku niemieckiej kultury przed rokiem 1914. - Jake... - odezwałem się. Przystanął i obejrzał się przez ramię. - Słucham? - Może zjedlibyśmy kiedyś razem lunch? Chciałbym z kimś porozmawiać o mojej podróży, z kimś, kto jest w stanie zrozumieć... Wiesz, jaki Neil jest niemożliwy, gdy chodzi o Europę... - Przykro mi, ale Europa w tej chwili zupełnie mnie nie interesuje - oznajmił uprzejmie Jake. - Paul Hoffman próbował mnie skaptować do ECA i musiałem mu otwarcie powiedzieć, żeby poszukał sobie kogoś innego. W przeciwieństwie do takich jak ty, którzy woleli nie wojować z Hitlerem, ja spędziłem cztery lata poza domem i obecnie pragnę jedynie siedzieć w Nowym Jorku i patrzeć, jak inni sprzątaj ten europejski bałagan. A teraz, jeśli pozwolisz, naprawdę muszę już iść. Cóż, Kevinie, do zobaczenia na następnym zebraniu rady Fundacji Sztuk Pięknych albo na premierze twojej nowej sztuki, jeśli wypadnie wcześniej. - Pod warunkiem, że przeżyję te próby! Odprowadzę cię. Wyszli. Jednym haustem wypłem resztę martini w oczekiwaniu na to, co nastąpi. Nie czekałem długo. - Boże wszechmogący, Sam! - wyszeptwała Teresa ze zgrozą. - Popierałeś Hitlera? Rzuciłem pustą szklanką w ścianę. Oczywiście wypłem za dużo. Zdałem sobie z tego sprawę w momencie, gdy szklanka rozbiła się w drobny mak, i starając się zapanować nad sobą, powiedziałem szybko: - Przepraszam. Nie jestem wściekły na ciebie, tylko na Jake'a. W 1933 roku byłem w Niemczech i kiedy

zobaczyłem, jak Hitler stawia ten kraj na nogi, zrobiło to na mnie wrażenie. Wielu ludzi myśla- ło wówczas podobnie, a jednak tylko dlatego, że kiedyś w rozmowie wyraziłem się pochlebnie o Hit- lerze, Jake natychmiast zwrócił się przeciwko mnie i roztrąbił po całej Wall Street, że jestem faszystą. Nigdy mu tego nie wybaczę. Jestem lojalnym obywatelem USA. I stanowczo sprzeciwiałem się pro- pagandowej opinii, że każdy Niemiec, który nie jest Żydem, automatycznie opowiedział się za fa- szyzmem. Nie wzięli mnie do wojska z powodu wady wzroku, a nie dlatego, że byłem fanatycznym hitlerowcem z szafą pełną swastyk! - W porządku, Sam - bąknęła z zakłopotaniem Teresa. - Nie ma sprawy. Rozumiem cię. Ale ja nie byłem już w stanie zamilknąć. - To prawda, że byłem przeciwny przystąpieniu Stanów do wojny w 1941 roku - powiedziałem - tak samo jak wielu innych porządnym i lojalnym Amerykanów. A ja jestem Amerykaninem. Nie jes- tem Niemcem. Nie jestem faszystą. Nigdy nim nie byłem. Nigdy. Drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Kevin. - To by było na tyle - powiedział. - Jake odpląnął swoim rollsem, Neil wystartował cadillakiem i wszystko wróciło do normy. Tak czy nie? Sam, wyglądasz, jakbyś chciał się napić. Co cię, u licha, opętało, żeby wyciągać Jake'a na rozmowy o Niemcach? Odkąd wrócił do domu w czterdziestym piątym, stało się oczywiste, że ta przekłeta wojna zamieszalała mu w głowie jeszcze bardziej niż tobie. Wstałem niepewnie. - Stłukłem ci szklanę. Pozwól, że ją odkupię. Naprawdę mi przykro, że narobiłem takiego ba- łaganu. - Och, przestań pleść bzdury i siadaj, na miłość boską. Słuchaj, Teresa, muszę jeszcze przerobić dwie odsłony, więc jeśli przygotujesz mi tacę z tym starym capem, zamknę się w gabinecie, a wy bę- dziecie się mogli do woli tarzać po kuchennym stole albo odprawiać inne egzorcyzmy konieczne, by wypocić ten zawzięty teutoński Angst... - Sam już wychodzi - oświadczyła Teresa. - A ja muszę jeszcze popracować. Nic mi dzisiaj nie wyszło. - Tereso... - słowa uwięzły mi w gardle. - Przykro mi, Sam. Próbowałam ci wytłumaczyć... - Niczego nie tłumaczyłaś! - Och, przestań się ze mną kłócić, przestań mnie prześladować, po prostu przestań, przestań, przestań! - W porządku. Jasne. Przepraszam. Zadzwońię do ciebie - z trudem docierało do mnie, co mó- wię. Po omacku skierowałem się do drzwi. - Na razie, Kevin. Dzięki za drinka. Kiedy byłem już w połowie drogi do wyjścia, usłyszałem, jak Kevin mruczy: - Leć za nim, idiotko! Nie widzisz, że zaczyna mieć tego dość? - Na nim świat się nie kończy - odburknęła Teresa. Frontowe drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem. Chwiejnie zszedłem po schodach na ulicę. Chwilę stałem w miejscu, wycierając zamglone okulary, a potem jak ślepiec powlokłem się w stronę centrum. 2 W rezultacie strajku z ulic zniknęła ponad połowa taksówek, na Szóstej Alei wsiadłem więc do autobusu jadącego w kierunku północnym. Czułem, że ścisk w metrze byłby ponad moje siły. Za mną jacyś dwaj przemysłowcy rozmawiali o Niemcach. Ze złością zatęskniłem do dnia, gdy Niemcy wreszcie przestaną być przedmiotem obsesyjnego zainteresowania. Jeszcze cztery lata po wojnie Germania powalona fascynowała Amerykanów równie mocno jak poprzednio Germania nieo- kielznana. - ...jeśli nawet zniosą ograniczenia nałożone na przepływ kapitału do Niemiec, kto zechce tam inwestować? Kraj wciąż jest pod okupacją, waluta nie ma pokrycia, a poza tym nadal pozostaje zbyt wiele otwartych kwestii, na przykład Zagłębie Ruhry. Jeśli tamtejsze zakłady przemysłowe pójdą do rozbiórki... tak, wiem, że ECA jest temu przeciwna, ale powiedz to Francuzom! Krzyczą, że nie moż- na pozwolić szwabskim draniom dźwignąć się z kolan, i zresztą trudno ich winić... Nie mogłem dłużej tego słuchać. Wsiadłem z autobusu i dalej poszedłem pieszo. Na przelaj do- tarłem do Piątej Alei, a potem przez Madison do Park Avenue; wokół wyczuwałem raczej, niż widzia- łem Nowy Jork - bogaty, olśniewający, nietknięty, oddzielony przepaścią od tamtych miast o obskur- nych zrujnowanych ulicach. Przez głowę przepływały mi zapamiętane obrazy: zadymiona kawiarnia w Düsseldorfie, gdzie orkiestra grała "Bei Mir bist Du schön", a uróżowane dziewczyny kołysały się w objęciach spekulantów czarnego rynku; amerykańscy żołnierze żując gumę na zniszczonych uli- cach Monachium; angielski turysta, który upił się ze mną i bełkotał: "Powie panu, co dziś zwiedza- łem..." Nagle zdałem sobie

sprawę, że stoję przed swoim domem. Było wpół do dziewiątej. Za mną na Park Avenue wciąż dudnił ruch uliczny, przede mną portier z uśmiechem przytrzymał otwarte drzwi. - Dobry wieczór, panie Keller. Jakaś pani czeka na pana w holu. Spojrzałem na niego tępo, wciąż bowiem byłem pogrążony w myślach, zanim wszakże zdażyłem się odezwać, jakiś głos z przeszłości zawołał: "Sam!" Kiedy się odwróciłem, ujrzałem maleńką, seksowną i doskonale mi znaną postać, która drobnym kroczkiem śpieszyła ku mnie przez hol. Niegdyś kasztanowe włosy opadały miękko kruczoczarnymi falami wokół doskonale zakonserwowanej twarzy, błyszczące niebieskie oczy przyglądały mi się z nie skrywanym zainteresowaniem, które jednak nie było w stanie zamaskować desperacji. - To ty, Sam, prawda? - nieoczekiwanie zawahała się, a ja uświadomiłem sobie, że musiałem się zmienić o wiele bardziej niż ona w ciągu tych osiemnastu lat, które minęły od jej rozvodu z Korneliuszem. - Vivienne! - Kochanie! Poznałeś mnie! Przysłuchujący się z aprobatą tej idiotycznej rozmowie portier rozpromienił się, gdy Vivienne rzuciła mi się na szyję. - Kochanie, to naprawdę niebiańsko, że po tylu latach znów mamy okazję się spotkać! Sam, słoneczko moje - Vivienne cmoknęła mnie dyskretnie i wypuściła z objęć - wybacz, że cię nachodzę, ale... - Chodzi o Vicky? - Naturalnie, że chodzi o Vicky! Ten cholerny kurdupel zabronił mi wpuszczać do tej jego no-ry przy Piątej Alei, ale mówię ci, złotko, mówię ci tu i teraz, że nie wyjadę z miasta, póki nie zobaczę się z córką, a jeśli ten sukinsyn, mój były mąż, myśli, że będę spokojnie patrzeć, jak rujnuje jej życie... Zauważyłem urzeczony spójrzanie portiera i odruchowo podjąłem próbę uciszenia Vivienne, prowadząc ją w stronę windy. - Lepiej wejdźmy na górę - zaproponowałem niechętnie i od razu zostałem wciągnięty w wir rodzinnych kłopotów dynastii Van Zale'ów. 3 Moje bocianie gniazdo znajdowało się na dwudziestym ósmym piętrze. Choć było dla mnie za duże, wybrałem je, bo podobał mi się widok z okien, poprzez gmach Chryslera, Empire State Building i Metropolitan Life ciągnący się na południe ku zamglonym wieżom centrum Manhattanu. Ogromny salon wykorzystywałem z okazji przyjęć, za stołem w jadalni bez trudu mogło zasiąść szesnaście osób, a służbówki były na tyle wygodne, że nie miałem kłopotu z zatrudnieniem małżeństwa o pierwszorzędnych kwalifikacjach w charakterze gospodyni i szofera. Mieszkałem głównie w swojej jaskini, przez pośrednika określonej mianem biblioteki. Był to duży słoneczny pokój, w którym kazałem ustawić ulubiony fotel, lampę do czytania z gęsią szyjką i starą skórzaną kozetkę, którą moja matka chciała wyrzucić, kiedy kilka lat temu kupiłem jej trzypokojowe mieszkanie. Z wyjątkiem dwudziestu oprawnych w skórę roczników "New Yorkera" nie było tu żadnych książek, a ich miejsce zajmowała kolekcja płyt, dwa gramofony, trzy magnetofony, telewizor i radio. W zamkniętej szafce trzymałem pamiątki z Niemiec: akwarele z Siebengebirge pędzla mojej kuzynki Kristiny, album zdjęć zrobionych w małym domku w Düsseldorfie, pamiątki z podróży do Berlina i Bawarii. Na ścianach wisiały fotografie w ramkach: moi rodzice, pies, którego kiedyś miałem, dwa ujęcia Wall Street z przełomu stuleci i panoramiczny widok Ocean Drive w pobliżu Bar Harbor. Uwielbiałem swoją jaskinię. Sam utrzymywałem w niej nieskazitelny porządek, bo lubiłem myśleć, że jest to jedyna część mieszkania, do której służba nie ma wstępu. Dywan odkurzałem w niedzielę rano, kiedy gospodyni wychodziła do kościoła. Korneliusz naśmiewał się z moich dziwactw, ale ja naprawdę lubiłem odkurzacze. W gruncie rzeczy lubiłem wszystkie maszyny, a im bardziej były skomplikowane, tym większą sprawiały mi radość. W owym czasie moim ulubionym hobby było rozbieranie na części i składanie z powrotem odbiornika telewizyjnego. Podobały mi się cienkie druciki, lśnący metal i niesamowita logika i precyzja systemu. Kiedy pracowałem własnymi rękami, posługując się elektroniczną wiedzą nabytą z biegiem lat, potrafiłem wyciszyć całą resztę świata i zapomnieć o stre-sach, jakich nie szczydziło mi życie na rogu Willow i Wall. Pozostałe pokoje zostały urządzone przez modnego dekoratora wnętrz i tworzyły dokładnie taki dom, w jakim musi mieszkać mężczyzna na moim stanowisku, chcąc wyrzucić odpowiednie wrażenie na swoich

klientach, przyjaciółach, wrogach i wszystkich, którzy wiedzieli, że rozpoczął karierę jako imigrant i syn robotnika. Nie byłem snobem, a jedynie człowiekiem praktycznym. Ponieważ bez przerwy stykałem się z wpływowymi ludźmi, musiałem im prezentować szacowną domową fasadę. Była to jedna z życiowych prawd, których mój dobroczyńca Paul Van Zale nauczył mnie przed laty w Bar Harbor. - Kochanie, masz doprawdy cudowny apartament! - wykrzyknęła Vivienne, kiedy wprowadziłem ją do salonu. - A na tym wielkim tarasie wyhodowałaś sobie istną dżunglę! O, uwielbiam wspólczesne malarstwo! Czy ten obraz nad biurkiem to Picasso? - Nie, namalował go facet nazwiskiem Braque. Neil podarował mi go w dwudziestą rocznicę naszej współpracy. Powiedział, że to dobra inwestycja. Przypomniałem sobie, jak Teresa osunęła się miękko na sofę, szepcząc: "Jezu, to Braque!" Gwałtownie szarpnąłem drzwiczki barku. - Napijesz się czegoś, Vivienne? - Kochanie, królestwo za martini. Wystarczy, że ktoś wspomni o Korneliuszu, a już mam ochotę upić się ze złości. Kiedy mieszałem jej drinka, powiedziała, że jak tylko przeczytała w gazetach o ucieczce Vicky, wsiadła do pierwszego pociągu z Florydy do Nowego Jorku, i że kilkakrotnie usiłowała się dostać do domu Van Zale'ów, żeby zobaczyć się z córką, za każdym razem bez skutku. - Oprócz tego bez przerwy telefonowałam - dodała - ale odbierał sekretarz na zmianę z asystentem. W końcu pomyślałam o tobie. Jesteś jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który w każdej chwili może się dodzwonić do Korneliusza, więc uznałam... - Wybacz mi, Vivienne, ale czy uważasz, że rozmowa z Korneliuszem przyniesie jakikolwiek pożyteczny efekt? Mam wrażenie... - Sam, ja muszę z nim porozmawiać. Tu chodzi o Vicky, nie o mnie! Sądzisz, że zależy mi na kontaktach z nim? Mój Boże, kiedy pomyślę, jak mnie potraktował... no tak, faktem jest, że wysłałam za niego dla pieniędzy, ale w sumie bardzo go lubiłam i byłam całkiem dobrą żoną, a kiedy zaszłam z nim w ciążę... - Owszem, pamiętam. - Próbowałam ograniczyć się do wody sodowej, lecz ta sytuacja wyraźnie mnie przerastała. Wstałam, żeby dolać sobie whisky. - ...nagle odkrył, że zawdzięcza ożenek swojej forsie. Jasne, że postąpiłam jak idiotka pozwalając, żeby się o tym dowiedział, ale jak ktoś podsłuchuje pod drzwiami... - Vivienne, wierz mi, pamiętam to aż za dobrze! - Założę się, że ten mały łajdak nigdy ci nie powiedział, co było dalej. "To koniec - powiada, zimny jak krab w majonezie. - Skończone. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia." Potrafisz to sobie wyobrazić. Cóż za sposób postępowania z czułą, wierną i brzemienną żoną. A potem był urazony, kiedy w sądzie ogoliłam go do czysta i zyskałam wyłączne prawo do opieki nad Vicky! - Vivienne, to już przeszłość. Wiem, że początkowo miałaś pełne prawa rodzicielskie, ale odkąd Vicky skończyła dziesięć lat, jej jedynym opiekunem jest Korneliusz, a on nie zechce się zgodzić, żebyś wtrącała swoje trzy grosze teraz czy kiedykolwiek. - Może sobie nie chceć, do diabła z nim! Nie będę siedzieć bezczynnie, podczas gdy ten drań robi, co może, żeby uprzykrzyć życie mojej córeczce! Posłuchaj, Sam: chcę, żeby Vicky zamieszkała ze mną, dopóki się nie otrząśnie po tej katastrofie. Wiem, że według Korneliusza jestem biedniejsza od białej hołoty, bo miałam dość odwagi, żeby ponownie wyjść za męża i wypiąć się na jego milionowe alimenty, ale mój mąż... mój ostatni mąż umierając pozostawił mi trochę pieniędzy. Poza tym mam teraz najładniejszy domek w Fort Lauderdale. O, tak, zdaje sobie sprawę, że to nie Palm Beach, ale tam jest po prostu przyjemnie i mam naprawdę sympatycznych znajomych. Czy nie rozumiesz. Mogłabym stworzyć Vicky normalny dom! Przecież sam wiesz, co spotyka te wszystkie wielkie dziedziczki: łowcy posagów, tłumy żigolaków, fałszywi rosyjscy książęta, alkohol, narkotyki, załamania nerwowe, samobójstwa... - Vivienne! Neilowi nie mniej niż tobie zależy na tym, żeby Vicky prowadziła normalne, szczęśliwe życie! - Korneliusz - oświadczyła Vivienne - od dwudziestu trzech lat mieszka w pałacu przy Piątej Alei, ma pięćdziesiąt milionów dolarów na drobne wydatki i własny bank na Wall Street, a cała śmietanka Wschodniego Wybrzeża rozpycha się cadillacami na jego podjeździe tylko po to, żeby powiedzieć mu "hallo!" Nie rozpoznałby normalnego człowieka, nawet gdyby spotkał się z nim oko w oko w samo południe. -

Nonsens! Van Zale'owie prowadzą najspokojniejsze, najszczęśliwsze i najmniej pretensjonalne życie ze wszystkich znanych mi rodzin! - Jeśli to prawda - rzuciła wściekle Vivienne - to dlaczego Vicky ucieka z domu przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy? Nie twierdzę, że jesteś kłamcą, złotko, ale uważam, że w tym domu obluzowała się jakaś śrubka, i chcę, żeby moja dziewczynka wróciła do mnie. - Ku memu zaskoczeniu zaczęła łkać, a jej biust, o którym Korneliusz powiedział kiedyś, że przysporzył mu większej liczby erotycznych snów niż jakakolwiek inna napotkana w życiu część ciała, unosił się i opadał z hipnotyzującą miarowością. W jakiś graniczący z cudem sposób udało jej się zachować doskonałą figurę i wyglądać młodziej niż ja, choć była ode mnie starsza o czternaście lat. - Napijesz się jeszcze? - zaproponowałem, żałując, że nie jestem w łóżku z Teresą i usiłując myśleć logicznie. Nie miałem ochoty się do tego mieszać, czułem jednak, że sytuacja da się jeszcze obrócić na moją korzyść. Zresztą i tak byłem już zamieszany po uszy: jeśli chciałem uzyskać od Korneliusza okresowe zwolnienie z banku, musiałem najpierw wybić mu z głowy te matrymonialne mrzonki, a żeby to osiągnąć, musiałem mu podsunąć alternatywne rozwiązanie problemów jego córki. Pod warstwą teatralnych łez i afektowanych wykrzykników Vivienne wyczuwałem szczerą troskę o Vicky. Pomyślałem, że nie od rzeczy byłoby się zastanowić, czy długie wakacje na Florydzie nie wyjdą dziewczynie na zdrowie. Pozostawało kwestią otwartą, jak na tego typu argument zareaguje Korneliusz, lecz co mi szkodziło spróbować. Wstałem, podszedłem do telefonu i ująłem słuchawkę. - No dobrze, zadzwonię do niego. - Jesteś słodki! - Vivienne, cała drżąc z wdzięczności, podbiegła truchcikiem, żeby mnie ucałować w policzek. Telefon odebrał jeden z pracowników banku. - Tu Keller - powiedziałem. - Zastąpiłem go? - Jesteś cudowny! - tchnęła mi do ucha Vivienne, wyciągając rękę po słuchawkę. Cofnąłem się stanowczo. - Pozwól, że ja się tym zajmę... Neil? Tak, to ja. Czy postarasz się bez nerwów wysłuchać de-nerwującej nowiny? Jest u mnie Vivienne. Chce zaprosić Vicky na jakiś czas do Fort Lauderdale, żeby wszyscy mogli trochę odetchnąć. Osobiście uważam, że to wcale nie jest taki zły pomysł. - Zwariowałaś? Vicky nie cierpi tej dziwki! - Możliwe, ale chyba nic się nie stanie, jeśli pozwolisz Vivienne, żeby sama z nią porozmawiała? Świat nie zawali się od tego bardziej, niż już się zawalił, a kto wie, może Vicky będzie ci kiedyś wdzięczna. - Daj mi do telefonu Vivienne. - Nie. Zaraz się pokłócicie. Nie oddam słuchawki, póki nie przełączysz rozmowy do pokoju Vicky. - Cholera! - zaklął Korneliusz, mimo to usłyszałem, że każde asystentowi przełączyć rozmowę. Czekałem. Po chwili rozległ się sygnał, lecz nikt nie podniósł słuchawki. - Neil? - odezwałem się w końcu z wahaniem. Tak jak podejrzewałem, wcale się nie wyłączył. - Tak, jestem tu - przyznał posepnie. - No cóż, będziesz musiał zawiadomić Vivienne, że Vicky nie odbiera telefonu. - Czy żądam zbyt wiele, prosząc cię, żebyś pofatygował się na górę i powiedział jej, że dzwoni matka? - Stanowczo zbyt wiele. Ale chyba i tak pójdę do niej. Sprawdzę, jak się czuje. Odłożył słuchawkę na stół. Posłyszałem odgłos zamykanych drzwi. Korzystając z przerwy, zdałem relację Vivienne. - Mój Boże, Sam, czy na pewno nic się jej nie stało? Nie wspominała o samobójstwie, prawda? - Ależ skąd. Po prostu obraziła się na cały świat. Czekaliśmy dalej. Próbowaliśmy pozbyć się myśli o Teresie w taniej turkusowej sukience, o małym złotym krzyżku tonącym w zagłębieniu pomiędzy jej piersiami, zaraz jednak na to miejsce wśliznęło się wspomnienie naszej ostatniej nocy. Wypiłem trochę za dużo i dlatego trudno ją było zaliczyć do wybitnie udanych, choć Teresa zarzekała się, że było świetnie. W przyszłości, kiedy będę pracował w Niemczech dla ECA i wreszcie pozbędę się kłopotów, rzucę palenie i mocne trunki, ograniczając się do okazjonalnej lampki wina. W słuchawce coś pstryknęło. Wymarzona przyszłość rozplynęła się, a ja pozostałem uwikłany w mglistą, chaotyczną teraźniejszość. - Sam? - rzucił zdyszany Korneliusz. - Ona zniknęła! - Co?! - Kazałem chłopcom sforsować drzwi. Okno było otwarte. Opuściła się na taras po związanych prześcieradłach. Chryste, Sam... - Czy mogę ci jakoś pomóc? - Tak, trzymaj z dala ode mnie tę dziwkę Vivienne - rzekł drżącym głosem Korneliusz i rozłączył się. Wpatrywałem się w

trzymaną w ręku słuchawkę, podczas gdy Vivienne stanowczo domagała się informacji o tym, co zaszło. W końcu oprzytomniałem na tyle, by jej odpowiedzieć: - Vicky znowu uciekła. Spojrzała na mnie najpierw ze zgrozą, później z niedowierzaniem. - Chyba nie spodziewasz się, że w to uwierzę? - wypaliła. - Ten łajdak wciska ci kit, żeby się mnie pozbyć! - Nie tym razem. Tym razem mówił prawdę. Boże, mam nadzieję, że nigdy nie pokarzesz mnie osiemnastoletnią córką! Wyczerpany opadłem na sofę. - No i co on ma teraz zamiar zrobić? - zawołała rozpaczliwie Vivienne. - Przecież trzeba coś zrobić, na miłość boską! Uznałem, że mam już jej dość. Dwukrotnie nacisnąłem dzwonek, dając znak szoferowi, żeby podjechał pod budynek, po czym stwierdziłem: - Neil ma armię ludzi, którzy dla niego pracują, a komisarz policji jest jego osobistym przyjacielem. Znajdzie ją. A teraz, jeśli mi wybaczysz, Vivienne... - Nie mogę stąd wyjść! Muszę czekać, aż oddzwoni, żeby cię zawiadomić o rozwoju wypadków! - Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem. - Byle się pozbyć starej torby, prawda? Skąd ten nagły pośpiech, kochanie? Spodziewasz się kogoś? - Nie. - Na pewno? A propos, czy nadal umawiasz się z tymi podpitymi blondyneczkami z Brooklynu i innych równie podłych dzielnic, czy też przestałeś się już czuć pariasem i ośmielasz się spoglądać nieco wyżej? - Mój szofer odwiezie cię do hotelu, Vivienne. Pozwolisz, że odprowadzę cię do drzwi. - Pewnie dlatego się nie ożeniłeś - stwierdziła od niechcenia. - Tylko z takimi dziewczynami czujesz się swobodnie, natomiast żadna z nich nie czułaby się swobodnie u ciebie - Vivienne cynicznie powiodła spojrzeniem po salonie. - A może się mylę? Do bogatych mężczyzn dziewczęta przystosowują się łatwiej. - Sama wyszłaś za męża dla pieniędzy - wyrwało mi się - więc powinnaś wiedzieć najlepiej. Roześmiała się. - Tak, kochanie - odparła bez chwili wahania - ale nie jestem jedyną osobą w tym pokoju, która wie, jakie to uczucie, gdy od stóp do głów jest się prywatną własnością jednego z najbogatszych ludzi w mieście. Zapadła cisza. Bez słowa wyszedłem do przedpokoju i otworzyłem przed nią drzwi wejściowe. - Zadzwoń do mnie, kiedy czegoś się dowiesz, dobrze? - bąknęła, podając mi nazwę swojego hotelu. Przypomniała sobie, że rozstanie ze mną na przyjacielskiej stopie leży w jej dobrze pojętym interesie. Gdy nie odpowiedziałem, oblekła twarz w uśmiech i nastroiła głos na uwodzicielskie tony. - No, dajże spokój, Sam! Gdzie się podział ten miły chłopiec, którego kiedyś znalazłam? Gdzie ten niewinny uśmiech, południowo-zachodni akcent i urocze staroświeckie maniery? Przepraszam, zachowałam się jak jędrza, ale byłam tak strasznie zawiedziona, że nie udało mi się porozmawiać z Vicky. Jestem pewna, że w życiu prywatnym idzie ci jak po maśle. Facet, który zrobił taką karierę - i takie pieniądze - musi być bardzo sexy... Vivienne westchnęła i ujęła mnie za obie ręce, przeciągle zaglądając mi w oczy. - Nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda, kochanie? - wymruczała, znacząco ściskając końcami palców moją dłoń. - Naturalnie, że tak, Vivienne! - odparłem tak samo nieszczerze i nareszcie udało mi się jej pozbyć. Wróciłem do jaskini i usiadłem. Po chwili do drzwi zapukała gospodyni mówiąc, że kolacja czeka na przenośnym barku w jadalni. Nie ruszyłem się z miejsca. Wypuszczona przez Vivienne strzała pogrążała się coraz głębiej, niczym spadające z dużej wysokości piórko. Pierwszy raz w życiu żałowałem, że los zetknął mnie z Korneliuszem, żałowałem, że Paul Van Zale nie minął mnie obojętnie, kiedy przed laty przyszybałem jego żywoplot. Bez trudu wyobraziłem sobie, jak mogło wyglądać moje życie. Do tej pory mieszkałbym już w nowym dwupoziomowym domu na przedmieściach Bar Harbor albo Elsworth... nie, morskie powietrze w Bar Harbor byłoby lepsze dla dzieci, bo oczywiście miałbym dzieci - czworo lub nawet pięć - i ładną żonę, która byłaby zarazem doskonałą kucharką. Przyjaźnilibyśmy się ze wszystkimi sąsiadami, w sobotę smażyli steki w ogródku, a w każdą niedzielę chodzili do kościoła. Nie jeździłbym do Niemiec, gdyż miałbym na utrzymaniu powiększającą się rodzinę i naturalnie nie byłoby mnie na to stać, i dlatego też pozostałbym amerykańskim patriotą; kimś, kto nie czekając na powołanie ochotniczo wstępuje do wojska w 1941 roku, kto gardzi germańskimi mieszkańcami załatwiającyymi sobie ci- chaczem zwolnienia, komu nawet w głowie się nie mieści, że jakiś milioner może

zwolnić przyjaciela od służby wojskowej za pomocą jednego telefonu do waszyngtońskiego urzędnika, który jest mu wi- nien przysługę... W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Zaskoczony, wychyliłem głowę z jaskini i na korytarzu zobaczyłem moją gospodynię, drepczącą niepewnie w miejscu. - To pewnie panna Vicky, proszę pana - szepnęła nerwowo. - Portier dzwonił przed chwilą z ho- lu, żeby nas uprzedzić. Powiedział, że pobiegła prosto do windy, zanim ją zdążył zatrzymać. - Panna Vicky? - Tak, proszę pana, panna Van Zale. Dzwonek rozdzwonił się ponownie i tym razem już nie umilkł. Zdecydowałem się opuścić mój azyl, pośpiesznie wyminąłem gospodynię i sam otworzyłem wejściowe drzwi. - Vicky... Jezu Chryste! - Wujku! - wykrzyknęła Vicky, jak gdybym był ostatnim człowiekiem, jaki pozostał na ziemi, i przez próg rzuciła mi się w ramiona. Rozdział trzeci 1 - Wujku Samie, przyszedłem do ciebie, bo jesteś jedyną normalną osobą, jaką znam - mówiła Vic- ky, ściskając mnie za ręce, jakbym był klamrą na ścianie przepaści. - W gruncie rzeczy tylko ty mo- żesz mnie uratować, więc bardzo cię proszę, nie głośzcz mnie po głowie i nie odsyłaj z powrotem do tatusia jak pudła, który się urwał ze smyczy. Jeśli to zrobisz, rzucę się z Mostu Brooklyńskiego. - No nie! - sapnąłem. - Chyba będę musiał na chwilę zsiąść z białego rumaka i rozluźnić zbroję. Napijesz się czegoś słodkiego?... A w ogóle może byś coś przekąsiła? Nie zdążyłem jeszcze zabrać się do kolacji, a jeżeli mam cię ratować, muszę być najedzony. Wprowadziłem ją do jaskini, zabrałem z jadalni przenośny barek z wyżerką i poprosiłem gospo- dynię o dodatkowe nakrycie. Po powrocie odnalazłem taśmę, na której nagrałem kilka płyt Glenna Millera, i założyłem ją na magnetofon. Marzycielska, kojąca muzyka wypełniła pokój, a ja zwróciłem uwagę mego gościa na karafkę z winem. - Chciałabyś spróbować? - To ten kalifornijski sikacz, który tatuś podaje w domu? - Nie, to francuskie wino z Bordeaux. - Och, wujku, jesteś tak fantastycznie europejski i cywilizowany! Uśmiechnęła się do mnie promiennie, uczennica w kłopotliwych, lecz podniecających opałach. Miałem wrażenie, że choć rzeczywiście miała kłopot, nie mogła się oprzeć dziecinnej pokusie, by nie- co go u dramatyzować. W odpowiedzi również się uśmiechnąłem, usiłując dostrzec w tej dziewczynce kobietę, jaką kiedyś się stanie, ale widziałem jedynie uniform nastolatki: dzinsy o szerokich nogaw- kach i grubo wywiniętych mankietach, bawełniane skarpetki i rozciągnięty różowy sweterek. Wijące się złote włosy, długie i gęste, miała zaczesane do tyłu i związane na karku różową kokardą. Po matce odziedziczyła zadarty nos, po ojcu błyszczące szare oczy o czarnych rzęsach; miała gładki owalny podbródek Vivienne i uparte usta Korneliusza, które w chwilach zadumy wyglądały tak zwodniczo spokojnie. Zastanawiałem się, jak bym z nią postępował, gdyby była moją córką, i doszedłem do nie- zbyt krzepiącego wniosku, że prawdopodobnie nie poradziłbym sobie z tym zadaniem lepiej od Korneliusza. - Zjesz trochę marynowanej pieczeni, Vicky? - zagadnąłem, kiedy gospodyni podała dodatkowe nakrycie. - Jejku, chybaby mi to nie przeszło przez gardło... chociaż właściwie pachnie nawet ładnie. Nie jadłam od wieków. Obdzielwszy się hojnie jedzeniem i pićciem, usadowiliśmy się na skórzanej kozetce. - A więc - zacząłem - co mam zrobić, żeby cię ocalić? - Możesz mi pomóc wydostać się z domu. - Znowu? Tak szybko? - Ja po prostu muszę wyjechać. Och, wujku... - Vicky, skoro jesteś na tyle dorosła, żeby uciekać do Marylandu, jesteś też dość duża, by prze- stać mówić mi "wujku". Od dzisiaj wystarczy Sam. - Ale ja lubię myśleć o tobie jak o wujku! Zawsze traktowałam cię jak wujka! Powściągnąłem chęć, by westchnąć: "Dzięki Bogu!", a zamiast tego spytałem: - Co takiego się dzieje w domu? Wiem, że była awantura, kiedy po świętach Bożego Narodze- nia przestałaś chodzić na kurs wyceny dzieł sztuki, ale... - O Boże, jakie to było okropne! Cały problem polega na tym, że tatuś w ogóle mnie nie słucha. Nigdy nie wolno mi robić tego, na co ja mam ochotę. Zawsze muszę mu ulegać. Kiedy w zeszłym ro- ku skończyłam szkołę panny Porter, chciałam się zapisać na studia przygotowawcze w Europie, ale tatuś się nie zgodził. Powiedział, że Europa jest dekadenska, a wszystkiego, czego mi potrzeba, mogę się nauczyć tu, w kraju. Wobec tego postanowiłam od razu iść na normalne studia, ale usłyszałam, że jestem za młoda, żeby

wyprowadzić się z domu, i że najpierw muszę sobie czymś "zapełnić" jeden rok. Pomyślałam, że mogłabym spędzić wakacje w Europie, tatuś jednak nie chciał mnie puścić samej i uparł się, żebym jechała z ciotką Emily, która doprowadza mnie do rozpaczki, i kuzynkami, które doprowadzają mnie do szału. A potem wymyślił ten numer z wyceną dzieł sztuki. Przede wszystkim w ogóle nie chciałam się tego uczyć! Bez przerwy mu powtarzam, że marzę tylko o jednym: żeby iść na studia i zgłębiać filozofię. - Filozofię? - To naprawdę jedyny przedmiot, jaki jest mnie w stanie zainteresować. Wiesz, o co mi chodzi: kiedy człowiek dorasta, przyjmuje wszystko za pewnik, ale potem nagle zaczyna myśleć: "Dlaczego ja jestem bogata, podczas gdy większość ludzi na świecie jest biedna?" A potem myśli sobie: "I co to w ogóle za świat?" Czyta różne rzeczy, na przykład Marksa, i to zmusza go do myślenia. Wtedy dostrzega, że filozofia społeczna jest tylko jednym z aspektów bardzo szerokiej materii... Oczywiście ta- tuś sądzi, że jestem stuknięta. Uważa, że filozofia to hobby dla nieudaczników. Chce, żebym wybrała coś praktycznego, na przykład język hiszpański, albo coś, co jest odpowiednie dla kobiety, jak literatura angielska. Uznałem, że chyba już czas oddać Korneliuszowi sprawiedliwość tam, gdzie mu się należała. - Ale zgadza się, że powinnaś studiować. Jednak nie jest takim potworem. - Owszem, twierdzi, że chce, żebym skończyła studia. Chociaż... - Vicky odłożyła widelec i zapatrzyła się w kieliszek wina. Po chwili podjęła: Ostatnio mam wrażenie, że zmienił zdanie. Myślę, że tylko mnie zwodzi. Między innymi dlatego jestem taka zrozpaczona. Wydaje mi się... wujku, bardzo cię proszę, nie śmieć się ze mnie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale wydaje mi się, że zamierza mnie zmusić, żebym wyszła za męża. Bardzo wyraźnie widziałem własny widelec, zastygły w powietrzu nad miską sałaty. Po chwili opanowałem się i nabiłem nań plasterka ogórka. - Jasne, że chcę wyjść za męża - dodała Vicky pośpiesznie. - Chcę być żoną i matką tak samo jak każda normalna dziewczyna. Ale zanim się ustatkuję, chcę najpierw skończyć studia. - Rozumiem cię doskonale. Nie rozumiem tylko, dlaczego uważasz, że ojciec chce cię wydać za męża. - Podejrzywałam go o to już od pewnego czasu, ale ostatecznie przekonała mnie awantura o Jacka. - Jacka? Tego plażowicza? - Proszę, nie nazywaj go tak. To brzmi, jakby był żigolakiem, a to nieprawda. To bardzo miły chłopak. - Przepraszam. Opowiedz mi, co się właściwie zdarzyło, chciałbym znać podstawowe fakty. Twój ojciec mówił, że poznałaś go kilka miesięcy temu na Karaibach? - No właśnie. Wcześniej nigdy nie jeździłam z tatusiem i Alicją na Karaiby, bo byłam w tym czasie w szkole, ponieważ jednak rzuciłam kurs wyceny dzieł sztuki, tatuś powiedział, że muszę jechać z nimi, bo nie zostawi mnie samej, żebym siedziała beczynnym w Nowym Jorku. Właściwie nie miałam nic przeciwko temu. Nowy Jork w lutym jest ohydny. Tak więc popłynęliśmy na Barbados i tam, na plaży, poznałam Jacka. Pracował jako ochroniarz w jednym z hoteli. Jesienią miał zamiar wrócić na studia do Kalifornii. Oczywiście mieszkaliśmy na jachcie tatusia, ale codziennie schodziłam na brzeg, szłam z Jackiem popływać, a potem na lody. Rozmawialiśmy o filmach. Miał bzika na punkcie Betty Grable. Pokazywał mi kiedyś jej fotosy. Powiedział, że mam takie nogi jak ona. Był naprawdę bardzo sympatyczny. - Mhm. - Bawiliśmy się cudownie, nic poważnego, co najwyżej od czasu do czasu jakiś całus... rany, jak było romantycznie! No a potem tatuś powiedział, że czas już płynąć na Antiguę, i tak to się skończyło. Ale dałam mu swój adres i obiecał, że do mnie napisze. I nagle, w zeszłym tygodniu - bums! W drzwiach stoi Jack we własnej osobie! Byłam strasznie podekscytowana. Powiedział, że załapał się na barkę z transportem bananów do Miami, a stamtąd przyjechał na gapę pociągiem towarowym. Podobno od kiedy wyjechałam, bez przerwy o mnie myślał. No cóż, uznałam, że to bardzo ładnie z jego strony, że przyjechał, i wypada mi zaproponować, żeby zatrzymał się u nas na kilka dni. Ale wtedy tatuś się wściekł i powiedział, że pod żadnym pozorem się nie zgadza, a Jack niech się wynosi do diabła. Mój Boże, jak można być takim gburem! Myślałam, że umrę ze wstydu. Jack poszedł do schroniska YMCA, a ja się strasznie pokłóciłam z tatusiem i właśnie wtedy... - urwała. - Pewnie powiedział, że najlepiej byłoby, gdybyś wyszła za męża i

wreszcie miałby cię z głowy? Nie powinnaś była brać tego tak poważnie, Vicky. W złości ludzie często mówią głupoty, a twój ojciec nie jest wyjątkiem. - Nie, to nie było tak. Widzisz, już od pewnego czasu zaczął głośnić, że powołaniem kobiety jest rola żony i matki. No i dobrze, zapewne ma rację. Ale powtarzał to w najmniej odpowiednich momentach, jak gdyby bez przerwy robił mi przytyki, a ja byłam już tak zmęczona jego rozkazywaniem, że ta małżeńska papka reklamowa po prostu przepełniła czarę. Chciałam się zdobyć na jakąś manifestację, żeby zamknąć mu usta, żeby mu przypomnieć, że to jest moje życie i pora już, aby przestał się do wszystkiego wtrącać. Postanowiłam więc... - ...zamanifestować swoją niezależność, uciekając z Jackiem? - Biedny Jack! To było podle z mojej strony. Wcale go nie kocham i nigdy nie miałam zamiaru wychodzić za niego ani nawet z nim... no wiesz... spać... - zarumieniła się. W jej oczach nieoczekiwanie błysnęły łzy, szybko więc zamruwała powiekami, żeby je powstrzymać. - Wiem, że zachowałam się fatalnie, ale byłam taka zdesperowana... Myślałam, że to coś rozwiąże... Choć to tylko wszystko pogorszyło. Kiedy wróciliśmy na Piątą Aleję, odbyła się następna straszna scena i wtedy uświadomiłam sobie, że nie mogę, po prostu nie mogę tam zostać ani chwili dłużej. - Neil znów zaczął starą śpiewkę o roli żony i matki? - Och, było o wiele gorzej! Powiedział, że jeśli tak mi pilno do ołtarza, bez trudu znajdzie dla mnie odpowiedniego męża. A wtedy Alicja powiedziała... powiedziała... powiedziała... - Vicky zbladła śmiertelnie. Przestałem jeść. W końcu udało jej się wyjąkać: - Alicja powiedziała, że powinnam wyjść za Sebastiana. - Dobry Boże, teraz wiem już wszystko! - roześmiałem się. - Biedna Alicja, ciekawe, od jak dawna hołubi to marzenie! - Wujku Samie... - Głos Vicky zdrzął, a ja miałem ochotę się kopnąć za tę nieczułą uwagę. - ...nie ma się z czego śmiać. To bardzo poważna sprawa. Sprawa życia i śmierci. - Przepraszam cię, kochanie. Nie miałem zamiaru... - Widzisz, Alicja zawsze dostaje to, czego chce. Tatuś całkiem oszalał na jej punkcie i stał na głowie, żeby jej dogodzić. I dlatego, kiedy nagle oświadczyła, że pragnie, abym poślubił Sebastiana, potwornie się przeraziłam. Oczywiście to jasne, dlaczego jej na tym zależy. Czuje się winna, bo kiedy wyszła za tatusia, okazało się, że nie może mieć więcej dzieci, więc umyśliła sobie, że jeśli jej syn ożeni się z córką tatusia, będą przynajmniej mogli mieć wspólne wnuki. Vicky zadygotała, i to bynajmniej nie ze wzruszenia. Jej bladość przybrała teraz zielonkawy odcień. Zaczęłem się zastanawiać, czy zaraz nie zwymiotuje. - Nie cierpię Sebastiana - wyszeptala. - Nie mogę na niego patrzeć. Uznałem, że najlepszą taktyką, jaką mogę przyjąć w tej rozmowie, jest daleko posunięta rzeczowość. Melodramat rzadko osiąga pełnię kwitnienia w atmosferze zdrowego rozsądku. - I dlaczegoż to Sebastian wydaje ci się taki straszny? - zapytałem. - Wiem, że jest nieśmiały, ale całkiem przystojny i na tyle inteligentny, że doskonale radzi sobie w Harvardzie. Nie była w stanie odpowiedzieć. Zaczęłem się poważnie niepokoić. - Vicky, czy twój ojciec wie, co czujesz do Sebastiana? - Nie - odparła. - Cztery lata temu zdarzył się pewien incydent, ale im się wydaje, że wszyscy już o nim zapomnieli. Obiecaliśmy sobie nigdy więcej do tego nie wracać. Zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. - Posłuchaj, kochanie, jestem pewien, że Neil bardzo by się przejął, gdyby wiedział, że to zdanie - nie będę wnikał w szczegóły - wciąż cię dręczy. Co prawda pod tym jednym względem mogę cię uspokoić. Twój ojciec nie ma najmniejszego zamiaru zachęcać cię do małżeństwa z Sebastianem. Właściwie mogę ci przysiąc, że Sebastian w ogóle nie figuruje w jego planach dotyczących twojej przyszłości. Na twarzy Vicky odmalowała się ulga i zrobiło mi się jej żal. - Jesteś tego pewien? - Najzupełniej. Niewielu rzeczy jestem równie pewien. Nie mogę tu powtarzać naszych prywatnych rozmów, ale daję ci słowo honoru, że twoje przypuszczenia są pozbawione podstaw. - Jednak Alicja... - W holu odezwał się brzęczyk i Vicky aż podskoczyła. - Kto to? - Nie wiem. Moja gospodyni się tym zajmie. Vicky, mrzonki Alicji to jej problem, nie twój. Jej policzki z wolna zaczęły nabierać delikatnych kolorów. - Mimo to chciałabym na jakiś czas wyjechać z domu... Wujku, a może ty byś mnie zabrał do Europy? - Do Europy? Ja? Co za wspianiały pomysł! Choć wątpię, czy twój ojciec zgodzi się dać mi ko-

lejnny urlop, skoro dopiero co wróciłem do biura. Słuchaj, a może byś na jakiś czas pojechała do matki, na Florydę? Twoja matka jest właśnie w mieście i prawdę mówiąc, widziałem się z nią dziś wieczorem. Bardzo się o ciebie martwi... - Ta stara jęzda? Martwi się o mnie, tak? Jedyne, czym się martwi, to jak utrzymać przy sobie najnowszego kochanka! Wolałabym spędzić wakacje w Bowery niż w Fort Lauderdale z moją matką! Gospodyni zapukała do drzwi i zajrzała do środka. - Bardzo pana przepraszam, panie Keller, ale państwo Van Zale;owie właśnie jadą na górę. - Nie! - pisnęła Vicky. - Boże, dopomóż nam! - westchnąłem po niemiecku. W holu rozległ się dzwonek do drzwi. 2 - Nie chcę ich widzieć! - szlochała Vicky. - Nie mogę! Złapałem ją za ramiona i potrząsałem solidnie. - Bardzo cię proszę, w tej chwili się uspokój! O, tak już lepiej. Porozmawiam z twoim ojcem w salonie, a ty nigdzie się stąd nie ruszaj. Czy mogę ci zaufać, że będziesz tu grzecznie siedzieć i nie uciekniesz? Przykro by mi było zamykać cię na klucz. - Zostanę - odparła cichutko. - Świetnie. A teraz pamiętaj: aczkolwiek może ci się to wydać niewiarygodne, twój ojciec na- prawdę pragnie twego szczęścia. I zapamiętaj sobie jeszcze jedno: nikt nie może cię zmusić do mał- żeństwa. Wystarczy, że powiesz "nie", a w najgorszym wypadku, że będziesz milczeć, zamiast powiedzieć "tak". - Dobrze, wujku - szepnęła. Jej wielkie szare oczy, lśniące od powstrzymywanych łez, spogląda- ły na mnie z oddaniem, jak oczy żarliwego wyznawcy wlepione w kaznodzieję głoszącego słowo boże z ambony. Przez krótką chwilę znów pomyślałem o moich wszystkich nie narodzonych dzieciach w nie istniejącym dwupoziomowym domu na przedmieściach Bar Harbor. - No, już! - powiedziałem szorstko, ściskając ją pośpiesznie za rękę. Pamiętaj, że dałaś mi sło- wo, więc siedź tutaj. I nie podsłuchuj. - Puściłem muzykę nieco głośniejszą i uciekłem do holu. Otworzy- łem drzwi dokładnie w chwili, gdy Korneliusz po raz drugi nacisnął dzwonek. Stali obok siebie na korytarzu: Korneliusz blady i wyczerpany, Alicja blada i znudzona. Znając Alicję podejrzewałem, że znudzona mina maskuje inne, bardziej burzliwe uczucia, znając zaś Korne- liusza wiedziałem, że jego wyczerpanie nie jest udawane. Miał na sobie czarny garnitur, w którym ra- no był w biurze, co jasno wskazywało na panujące u Van Zale'ów zamieszanie, ponieważ zwykle za- raz po powrocie do domu przebierał się w mniej oficjalny strój. Alicja w norkach i brylantach wyglą- dała nieskazitelnie jak zawsze. - Jest tutaj, prawda? - spytał Korneliusz. - Jeden z ochroniarzy widział, jak spuszcza się z okna, i zamiast zatrzymać ją siłą, poszedł za nią, a później zdał mi raport. - Wejdźcie. Poprowadziłem ich do salonu. Rozejrzeli się dokoła wyczekująco. - Jest w jaskini, słucha Glenna Millera - wyjaśniłem. - Neil, Vicky jest zdecydowana opuścić na jakiś czas Piątą Aleję, a ja nabieram przekonania, że ma słuszość. Myślę, że w tej chwili najlepszym rozwiązaniem byłyby długie wakacje, na tyle długie, żeby kurz z tej eksplozji zdążył spokojnie opaść. Jak sądzisz, czy twoja siostra mogłaby przyjść ci z pomocą? Gdyby Emily zaprosiła Vicky do Velle- trii... - Uważam, że już najwyższy czas, żeby Vicky przestała uciekać - odezwała się Alicja głosem wyczerpanym z wszelkich emocji. Przez cały czas prostowała szew rękawiczki i nie patrzyła na mnie. - Zresztą Vicky nie cierpi Środkowego Zachodu, a dziewczęta Emily ją drażnią. W porywie natchnienia przypomniałem sobie o wdowie po Paulu Van Zale'u. - Wobec tego może Sylwia w San Francisco... - zacząłem. - Sylwia - przerwała mi Alicja, wciąż uważnie oglądając rękawiczkę - wybrała się w morski rejs. - Sam - bąknął niepewnie Korneliusz - czy mówiłaś Vicky, że Vivienne chce ją zaprosić do Fort Lauderdale? - Tak. Nie jest zainteresowana. - Dzięki Bogu! Nie moglibyśmy się na to zgodzić, prawda, Alicjo? - Zdecydowanie nie - odparła Alicja. - Poza tym ja wcale nie chcę, żeby wyjeżdżała! - wykrzyknął Korneliusz, zanim zdążyłem przy- toczyć następny argument. - Pozwól mi z nią porozmawiać. Chcę jej powiedzieć, że nie miałem za- miaru robić jej przykrości... chcę, żeby wiedziała, że wszystko będzie dobrze, że ją kochamy i chcemy, żeby wróciła do domu! - Czy nie rozumiesz, że to niczego nie rozwiązuje? Próbujesz udawać, że problem nie istnieje! - Jaki problem? Szczęknęła klamka i do salonu zajrzała Vicky. Na twarzy miała ślady łez. W oddali orkiestra Glenna Millera grała "Księżycową serenadę". -

Vicky!... Kochanie, zamartwialiśmy się na śmierć!... Jak mogłaś nam to zrobić!... Vicky, prze- cież my cię kochamy! Proszę cię, słonko, proszę, wybacz nam i wróć do domu! Alicja wyjęła z torebki papierosa i zapaliła go małą złotą zapalniczką wysadzaną szmarag- dami. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby paliła w jego obecności. Korneliusz był astmatykiem. - Och, tatusiu... Rzuciła mu się w ramiona i uwięzła w nich na dobre. Orkiestra Glenna Millera nadal grała "Księżycową serenadę". - Tatusiu, tak mi przykro, naprawdę nie chciałam cię zranić... och, tatusiu, ja też cię kocham... Alicja podeszła do lustra i zaczęła badać jeden ze swoich brylantowych kolczyków. Jej spojrze- nie napotkało moje i natychmiast umknęło w bok. Przyglądziwszy pasemko ciemnych włosów, po- prawiała pierścionek z brylantem na serdecznym palcu prawej ręki. - Kochanie, przysięgam ci, że dojdziemy do porozumienia. Powiedz tylko, czego pragniesz, a ja to zaraz załatwię. - Korneliuszu... Odwrócił się do żony. - O co chodzi? - Nic takiego... Pomyślałam, że jeśli Vicky czuje się lepiej, moglibyśmy wrócić do domu. Dosta- tecznie długo nadużywamy już gościnności Sama. - Tatusiu - odezwała się Vicky, całkowicie ignorując macochę - chciałabym na jakiś czas poje- chać do Europy. - Cokolwiek sobie życzysz, kochanie. Europa? Sam z tobą pojedę, jak tylko uda mi się wyrwać z biura. - Nie, nie, wcale nie o to mi chodziło! Kochany tatusiu, wiem, że nie cierpisz Europy i w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, żeby cię tam ciągnąć! Chcę jechać z wujkiem Samem. Oboje, Korneliusz i Alicja, odwrócili się równocześnie, żeby na mnie spojrzeć. Odchrząknąłem i zaśmiałem się przepraszająco, zanim jednak zdążyłem się odciąć od tego pomysłu, Alicja ostro zabra- ła głos: - Nie bądź śmieszna, kochanie. Sam jest zapracowany i nie ma czasu jeździć z tobą po Europie w charakterze przyzwoitki, a nawet gdyby miał, sam pomysł jest w najwyższym stopniu niewłaściwy. Jeżeli ojciec uważa, że może ci pozwolić na kolejną podróż do Europy, poproszę ciotkę Emily, żeby ci towarzyszyła... W gruncie rzeczy chyba byłoby najlepiej, gdyby Emily przyjechała do Nowego Jor- ku i pomogła nam rozwikłać tę sytuację. Jeśli Sam nie będzie miał nic przeciwko temu, skorzystam z jego telefonu i od razu zadzwonię do Velletrii. A teraz biegnij z tatusiem i bardzo cię proszę, nie rób dziś już więcej melodramatycznych scen. Korneliuszu, może poczekalibyście z Vicky w samochodzie, aż skończę rozmawiać z Emily? - Oczywiście - Korneliusz posłusznie odwrócił się do córki i wziął ją za rękę. - Chodź, kochanie. Wszystko będzie dobrze, przyrzekam ci to. Vicky obejrzała się jeszcze przez ramię, a kiedy uśmiechnąłem się do niej pokrzepiająco, odpo- wiedziała uśmiechem. - Dzięki, że mnie wysłuchałeś, wujku Samie - powiedziała, po czym dała się wyprowadzić z po- koju. Ostatnie słowa, jakie usłyszałem, zanim trzasnęły za nimi drzwi wejściowe, brzmiały: "Tatusiu, błagam, pozwól mi studiować filozofię!" Kiedy oboje wyszli, w salonie zapadła cisza. Alicja i ja spoglądaliśmy na siebie ze znużeniem. - Mój Boże - westchnęła. - Sam, bądź tak dobry i nalej mi coś do picia. Może być podwójne sherry. Jeszcze trochę i będę się nadawać do domu wariatów. Mruknałem coś współczująco, szukając w barku Tio Pepe. - Mimo wszystko uważam, że Vicky robi błąd, uciekając do Europy, ale skoro Korneliusz obie- cuje jej gwiazdki z nieba, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się z nim zgodzić. Jak już powiedzia- łam, osobiście jestem przeciwna ucieczkom dokądkolwiek. Vicky musi w końcu stanąć obiema noga- mi na ziemi i zacząć się uczyć na własnych błędach, inaczej na zawsze pozostanie niedojrzałą małą dziewczynką. Nalałem jej sherry do szklanki. - Lodu? - Tak, proszę. Ta europejska moda na picie letnich trunków jakoś do mnie nie przemawia. A skoro już mówimy o starym kontynencie, co jej strzeliło do głowy, że koniecznie chce znów tam je- chać? I dlaczego upiera się przy tym idiotycznym pomysle, że będzie studiować filozofię? Przecież wie, że Korneliusz uważa to za wariactwo, czy nie mogłaby wybrać czegoś, co przypadłoby mu do gustu? Zresztą i tak nie widzę sensu w posyłaniu dziewcząt na studia, zwłaszcza takich, które jak Vicky w oczywisty sposób predysponowane są do roli żon i matek. Uważam, że to kompletna strata czasu. - Może jakieś pomaturalne seminarium w Europie byłoby bardziej odpowiednie - wtrąciłem dyp- lomatycznie. Alicja wzdrygnęła się,

nie wiadomo, czy na wzmiankę o Europie czy o szkole pomaturalnej. - Możliwe - skwitowała - ale w najlepszym wypadku będzie to tylko czasowe rozwiązanie problemu. Podeszła do telefonu ze szklanką sherry w dłoni. - Muszę zadzwonić do Emily. Przepraszam, że korzystam z twojego telefonu, Sam, ale wolę z nią rozmawiać wiedząc, że Korneliusz nie podsłuchuje z drugiego aparatu. Halo? Centrala? Proszę o rozmowę z Velletrią w Ohio, osobista do pani Emily Sullivan... Dziękuję. - Podała numer i usiadła, nieśpiesznie sącząc sherry niczym kot zlizujący śmietankę z nieznanego garnka. Zielone oczy, ukośnie osadzone nad wysokimi kośćmi policzkowymi, potęgowały jeszcze to wrażenie. Alicja miała trzydzieści dziewięć lat, lecz dzięki gładkiej bladej cerze bez jednej zmarszczki wyglądała młodziej, a jej smukła figura przywodziła na myśl fotografie z działu mody w "New York Timesie". - Naturalnie - dodała w trakcie oczekiwania na połączenie - wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Korneliusz nie postępował z nią tak beznadziejnie głupio. Oboje wiemy, że rozpuszcza ją od chwili, gdy przyszła na świat. Robiłam, co mogłam, żeby nasze życie rodzinne było choć trochę zbliżone do normy, ale kiedy Vicky dostała się pod moją opiekę, miała już dziesięć lat, a ta jej matka poczyniła sobie haniebnie. Pozwalała ośmioletniej dziewczynce malować usta! Niesmaczne. Biedna matka! Tak czy owak, próbowałam być dla niej dobrą matką, Bóg mi świadkiem, że próbowałam; Korneliusz o tym wie i ja wiem, ale... Halo? Emily? Tu Alicja. Emily, czy mogłabyś jak najszybciej przyjechać do Nowego Jorku? Strasznie mi przykro, że to brzmi, jak gdybym cię poganiała, ale ręce mi już opadają, a oczywiście Korneliusz zupełnie nie panuje nad sytuacją... Niech cię Bóg wynagrodzi, Emily, bardzo ci dziękuję. Kiedy mogę się do ciebie... natychmiast? Emily, bardzo trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna... Posłuchaj, przedzwonię do ciebie później, żeby omówić szczegóły. Jestem w tej chwili u Sama i... nie, nie ma jej tutaj, ale zadzwonię do ciebie z domu i... naturalnie, że będziesz mogła z nią porozmawiać. Dobrze. Dziękuję ci, moja złota. Do usłyszenia. Odłożyła słuchawkę. - Tobie także dziękuję, Sam. Tak mi przykro, że pierzemy przy tobie nasze brudy. Czy mogłabym cię prosić o jeszcze jedną sherry? Czuję, że muszę na chwilę usiąść, zanim zejść do auta. Jestem kompletnie wykończona. Wziąłem jej szklankę i zawróciłem do barku. Mimo iż bardzo chciałem im pomóc, zaczynałem się czuć niepewnie. W ciągu tych osiemnastu lat, odkąd Korneliusz ożenił się po raz drugi, między Alicją a mną nawiązała się jedynie uprzejma znajomość i podejrzewałem, że z chwilą gdy wróci jej zwykła rezerwa, zacznie żałować, że była ze mną aż tak szczerą. Nasze oficjalne stosunki nie oznaczają bynajmniej antypatii; przeciwnie - podziwiałem jej urodę i styl, ponadto szanowałem ją za bezwzględność wobec Korneliusza - tym bardziej że w środowisku, w jakim się obracali, wierność była rzadkim zjawiskiem. Sposób bycia Alicji mógł jednak onieśmielić każdego, a lodowata, kosztowna, arystokratyczna uroda z góry wykluczała myśl o mniej formalnej przyjaźni. Nawet gdyby nic jej nie łączyło z moim szefem, i tak nie przyszłoby mi do głowy, żeby z nią pójść do łóżka. Nieraz zastanawiałem się w duchu nad małżeńskim pożyciem Van Zale'ów. Były to takie sobie luźne i powierzchowne - bo trudno wysnuwać wnioski, kiedy nie zna się faktów - spekulacje, do jakich często skłania prywatne życie dobrze znanych osób. Nie doszedłem do żadnych konkluzji poza stwierdzeniem faktu, że skoro ich małżeństwo przetrwało osiemnaście lat i nic nie wskazywało na zdradę którejkolwiek ze stron, musieli widocznie tworzyć razem sprawnie działający system. Byłem ciekaw, na czym polega, gdyż czułem, że ich związek nie zawsze jest szczęśliwy, ale Korneliusz nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich małżeńskich problemach, a ja rzecz jasna nie pytałem. W szalonych młodzieńczych latach często wymienialiśmy poglądy na temat naszych kobiet, jednakże od jego ślubu z Alicją tego rodzaju pogawędki ustały jak nożem uciął. Teraz, po latach, ani mnie nie przyszłoby do głowy, żeby omawiać z nim kwestię Teresy, ani on nie dyskutował ze mną o Alicji. - Posłuchaj, Sam - powiedziała Alicja, jak gdyby czytała mi w myślach wiem, że nigdy nie wykroczyliśmy poza oficjalną znajomość, ale sprawy zaszły już tak daleko, że muszę cię prosić

o szczerą rozmowę. Czy Korneliusz wyjawiał ci swoje plany? Przybrałem odpowiednio zdziwiony wyraz twarzy. - Plany? - Związane z Vicky. Na Boga, przecież musiał z tobą o tym rozmawiać. Dałabym głowę, że od czasu tej ucieczki bez przerwy ci się zwierza. Na pewno wiesz, że zdaniem Korneliusza jedyną nadzieją na uniknięcie nieszczęścia jest możliwie jak najszybszy ślub. - Hm bąknąłem. - No cóż... - Prawdę mówiąc - ciągnęła Alicja, nie zwracając na mnie uwagi - mam w związku z tym bardzo mieszane uczucia. Zgadza się, że małżeństwo to jedyne rozwiązanie, ale z drugiej strony sama wiem, co to znaczy związać się z kimś zbyt młodo i później tego żałować. Kiedy po raz pierwszy wyszłam za męża, miałam zaledwie siedemnaście lat, a Vicky jest w tej chwili równie niedojrzała jak ja wtedy. Uważam, że powinna skończyć przynajmniej dwadzieścia jeden lat, nim będzie zmuszona stawić czoło małżeńskim obowiązkom i wymogom tego stanu. Problem polega na tym, że nie sądzę, byśmy z Korneliuszem wytrzymali jeszcze trzy lata tej huśtawki. A to dopiero początek! Wystarczył błahy incydent z wakacyjną sympatią o kurzym mózdzku i proszę, wszystko się wali. Co będzie, kiedy pojawi się pierwszy naprawdę cwany playboy? Sama myśl o tym to koszmar. Przeprowadziłem kilka błyskawicznych dedukcji. Alicja chciałaby, żeby Vicky wyszła za jej syna, lecz Sebastian ma dopiero dwadzieścia lat i przypuszczalnie nie bardziej dorósł do małżeństwa niż Vicky. Pani Van Zale marzy się więc ślub dojrzałej już pasierbicy ze statecznym, dwudziestotrzyletnim Sebastianem, który do tej pory ukończył studia na Harvardzie i rozpocznie gładką karierę w banku. Tymczasem Korneliusz wygłasza opinie, że trzyletnia zwłoka będzie miała katastrofalne skutki, i sugeruje, iż powinienem wkroczyć na scenę ze ślubną obrączką w garści, aby oszczędzić wszystkim rozstroju nerwowego. Dylemat Alicji wydawał się przejrzysty: rozdarta pomiędzy zrozumiałą chęcią, by trzymać stronę syna, a równie zrozumiałą obawą przed kryzysem, do jakiego w niedalekiej przyszłości mogła doprowadzić Vicky, chciała poznać mój pogląd na tę sprawę w nadziei, że pomoże on jej dojrzeć jasne rozwiązanie problemu. Zastanawiałem się jaką przyjąć taktykę. Logicznie rzecz biorąc, powinienem się sprzymierzyć z Alicją na korzyść Sebastiana. Każdy, kto promował alternatywną kandydaturę do ręki Vicky, zasługiwał na poparcie. Z drugiej jednak strony nie mogłem zapomnieć o odrazie, jaką Vicky darzyła Sebastiana. Byłem pewien, że nigdy za niego nie wyjdzie. Choć może się myliłem... Młode dziewczęta często zmieniają zdanie. A Alicja to cenny sojusznik... Zmysł praktyczny przeważał. Wziętem głęboki wdech. - No cóż, Alicjo - powiedziałem ostrożnie. - Doprawdy ci współczuję, bo problem jest rzeczywiście poważny. Ale czy Vicky wyjdzie za męża teraz, czy trochę później, odpowiedzialność za jej los nie będzie ciepłą małżeńską synekurą i prawdę mówiąc, miałem zamiar poinformować Korneliusza, że nie jest to zadanie, jakiego chętnie bym się podjął. Oczy Alicji rozszerzyły się. Miałem uczucie, że lecę samolotem, który właśnie wpadł w powietrzną dziurę, albo że grzęzawisko, po którym brodziłem od południowej rozmowy z Korneliuszem, ostatecznie zamyka mi się nad głową. - Ty? - zapytała z niedowierzaniem. - Tobie proponował, żebyś się ożenił z Vicky? Zbyt późno zrozumiałem, że dylemat Alicji nie polegał bynajmniej na tym, czy Vicky powinna wyjść za Sebastiana. Nie mogła się po prostu zdecydować, czy mają się pobrać teraz, czy później. - Neil rozważał tylko różne opcje - dodałem szybko. - Oczywiście obaj doszliśmy do wniosku, że Sebastian jest o wiele bardziej odpowiedni. Alicja odstawiła szklankę i zaczęła wciągać rękawiczki. Twarz miała gładką i twardą jak kość słoniowa. - Korneliusz nigdy nie lubił Sebastiana - powiedziała. - Mogłam się była domyślić, że będzie mnie próbował wykiwać. - Alicjo... Omal nie skoczyła mi do oczu. - Zrobiłbyś to, prawda? - syknęła trzęsącym się głosem. - Ożeniłbyś się z nią! Wystarczy, żeby Korneliusz głośniejsz trzasnął z bata! Chociaż właściwie po co miałby trzaskać? Podsuwa ci piękną dziewczynę, dostęp do majątku Van Zale'ów i perspektywę, że twoje dzieci będą się cieszyć wszystkimi przywilejami, których ty byłeś pozbawiony! Żeby odrzucić taką ofertę, trzeba by człowieka większej klasy niż ty, Samie Kellerze! Czulem, jak fala gorąca uderza mi do głowy, mimo to zdołałem jakoś się opanować. - Kocham inną kobietę - oświadczyłem z wyrafinowaną

uprzejmością - i zamierzam wkrótce się z nią ożenić. Nie zależy mi na tym, żeby zabiegać o Vicky. Może inni widzą w niej najlepszą partię na Wschodnim Wybrzeżu, ale dla mnie to tylko mała roztrzepana pensjonarka, która wciąż mówi do mnie "wujku Samie". - Więc Korneliusz będzie jednak musiał strzelić z bata. Co za różnica? Efekt końcowy będzie taki sam. Ożenisz się z nią - wycedziła Alicja i wyszła, trzasnąwszy mi drzwiami przed nosem. Przez chwilę stałem, słuchając odległego skrzypienia windy. W końcu otarłem pot z czoła, wróciłem do jaskini i wyjąłem z milczącego magnetofonu przewiniętą do końca taśmę Glenna Millera. 3 Miałem ochotę zadzwonić do Teresy, ale bałem się, że przeszkodzę jej w pracy i rozżłości się jeszcze bardziej. Chciałem się napić, żeby osłabić napięcie seksualne, które nie dawało mi spokoju, wiedziałem jednak, że tego wieczoru wypilem już zbyt wiele. Pragnąłem wreszcie przestać myśleć o życiu, jakie mogłem wieść, gdyby Paul Van Zale minął mnie obojętnie, lecz byłem tak przygnębiony, że kiedy opadłem na kozetkę, przez dłuższy czas nie potrafiłem się z niej podnieść, pogrążony w bezowocnych marzeniach o małym domku na prowincji. Powiedziałem sobie, że fetyszyzuję życie rodzinne, ponieważ jestem kawalerem, aczkolwiek to banalne proste wyjaśnienie w niczym nie ujęło czaru moim rojeniom. Potem przyszło mi na myśl, iż mój sentymentalizm może mieć źródło w tym, że jestem Niemcem, i marzenie od razu straciło cały urok. Pomyślałem: jakie to dziwne, że różne narody obierają sobie różne przedmioty wzruszeń. Brytyjczycy roztkliwiają się nad zwierzętami, Francuzi świata nie widzą poza swoją "l'amour", Amerykanie nie zaś gloryfikują przemoc - najpierw Dziki Zachód, a teraz drugą wojnę światową, wszechobecną w powodzi hollywoodzkich filmów i musicali z Broadwayu. Stwierdziłem w duchu, że Rodgers i Hammerstein bezbłędnie utrafili w ów sentymentalny nurt rozległej amerykańskiej podświadomości, wystawiając najpierw "Oklahomę", a teraz, począwszy już od jutra, "Południowy Pacyfik". Przypomniałem sobie, że powinienem odszukać dawno kupione bilety na sobotnie przedstawienie. Chciałem zrobić Teresie niespodziankę. Wciąż jeszcze mogłem to zrobić. Przygnębienie nareszcie zaczęło się rozwiewać. Ostatecznie wszystkim wiadomo, że pomyślny romans rzadko przybiera kształt stale wznoszącej się krzywej na wykresie szczęścia. Przeważnie występują w nim fluktuacje, podobnie jak na rynku papierów wartościowych. Jeżeli indeks giełdowy od czasu do czasu spadnie, nikt automatycznie nie wysnuwa z tego wniosku, że cała gospodarka zmierza ku ruinie. Właśnie planowałem, jak ponownie oświadczyć się Teresie przy lampce szampana w czasie uroczystej kolacji po brawurowym spektaklu, kiedy zadzwonił telefon. Porwałem za słuchawkę. - Teresa? - zapytałem bez tchu. - Kto? Nie, tu Vivienne. Czy są jakieś wieści? Uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że zupełnie o niej zapomniałem. - Vivienne! - powtórzyłem. - Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Tak, z Vicky wszystko w porządku. Wróciła do domu i nie musisz się już o nią martwić. - Czy ktokolwiek jej powiedział, że jestem w mieście? - Sam jej o tym powiedziałem, ale Vicky nie ma w tej chwili ochoty na pobyt w Fort Lauderdale. Postanowiła wyjechać do Europy z ciotką Emily. Przykro mi, Vivienne, robiłem, co mogłem, żeby uczynić zadość twojej woli. Nie uwierzyła mi. - Tylko jednej woli potrafisz czynić zadość, Samie Kellerze! - powiedziała cierpko. - I tylko jednemu panu służysz ty i twój miecz! - po czym trzasnęła słuchawką tak samo gwałtownie jak Alicja drzwiami. Położyłem się spać i śniłem o świecie, w którym sam byłem swoim własnym panem. Leżałem i śniłem o świecie bez Korneliusza. We śnie przeniosłem się na drugą stronę lustra, za którym czekało błękitne niebo i jeszcze bardziej błękitne morze w Bar Harbor. Leżałem i śniłem... 4 Przyśnił mi się koszmar, który dręczył mnie w regularnych odstępach czasu od wybuchu wojny w 1917 roku. Z biegiem lat zmieniał się, wchłaniając nowe przeżycia, ale zaczynał się zawsze tym samym prawdziwym zdarzeniem z przeszłości: kiedy miałem dziewięć lat, pewnego dnia wchodząc do klasy zobaczyłem, że ktoś napisał na tablicy: "Hans-Dieter Keller to parszywa niemiecka świnia". Po tym grupa starszych chłopców spuściła mi lanie i z płaczem uciekłem do domu. Na tym etapie snu zęgnąłem się z faktami i zaczynałem snuć fantazje. Bywały różne, lecz ich

temat pozostawał taki sam: opowiadałem się za faszyzmem, żeby zemścić się na kimś, kto zrobił mi krzywdę, potem zaś wyrzekałem się doktryny, która zniszczyła wszystko, co ukochałem. Aktowi za- przaństwa towarzyszyły nieodmiennie brutalne wizje - swastyki splamione krwią, buldożery toczące zwalę trupów, miasta obrócone w perzynę przez bomby zapalające. Tej jednak nocy pośród znajomych koszmarów wyobraźnia znalazła nową przerażającą ścieżkę. Bez ostrzeżenia przeniosła mnie na skażoną ziemię pod małym niemieckim miasteczkiem, a kiedy znów zacząłem myśleć o wszystkich, którzy zginęli, postyszałem, że towarzyszący mi żołnierz gwizdże "Lili Marlene". Obudziłem się z jękiem, pozapalałem wszystkie światła i chwiejnym krokiem dowlokłem się do jaskini. Opornymi palcami zdołałem umieścić płytę na talerzu gramofonu. Potrzebna mi była jakaś sta- ra melodia, wesoła melodia z dawnych, szczęśliwych lat, aby wymazać z pamięci koniec snu. Wybra- łem płytę, z którą wiązały się beztrioskie wspomnienia lata 1929 roku, kiedy to razem z Korneliuszem urządzaliśmy szaleńcze zabawy i przemycanym szampanem święciliśmy nasze dwudzieste pierwsze urodziny. Miff Mole i jego Molersi zaczęli grać "Alexander's Ragtime Band". Kiedy przesłuchałem ją trzykrotnie, poczułem się lepiej. Uspokoilem się nawet na tyle, by bez emocji wrócić do prawdziwych wydarzeń z przeszłości. W 1917 roku narodowe antypatie były zja- wiskiem powszechnym, a moja rodzina ucierpiała przypuszczalnie mniej niż inni Amerykanie wywo- dzący się z Niemiec, mój ojciec bowiem nie dał się zastraszyć. Po incydencie w klasie wywiesił na ganku wielką amerykańską flagę, po czym oznajmił dyrektorowi szkoły, że jeśli natychmiast nie po- dejmie stosownych kroków w celu ukarania moich prześladowców, będzie to pogwałceniem konsty- tucyjnych praw przysługujących mi jako obywatelowi USA. Dyrektor, człowiek prawy i pozbawiony uprzedzeń, odpowiednio zareagował i moja dalsza szkolna kariera przebiegła bez zakłóceń. To ojciec podsunął mi myśl, że byłoby lepiej, gdybym przyjął typowe amerykańskie imię. Proponował Hanka, który kojarzył się z Hansem, lecz ja się uparłem na Sama, bo tak miał na imię sławny kowboj z popu- larnych komiksów. Następne lata poświęciłem na gruntowną amerykanizację. Ojciec twierdził, że nie muszę mieć wyrzutów sumienia, ponieważ Niemcom nie zawdzięczamy nic, podczas gdy Ameryka dała nam wszystko. W 1918 roku zginęła cała jego pozostała w Niemczech rodzina, ale nigdy nie poruszał tego bolesnego tematu. Matka straciła na wojnie dwóch braci, natomiast jej siostra z Düsseldorfu ocalała i w 1920 roku ponownie wyszła za mąż. Odtąd często udawałem się w tajemnicy na pocztę - nie w Bar Harbor, lecz w Elsworth - skąd wysyłałem do Europy paczki żywnościowe. Kiedyś przez dzie- sięć minut stałem przed urzędem pocztowym, nim odważyłem się wejść, tak bardzo wstydziłem się zdradzić, że cokolwiek mnie łączy z Niemcami. Stałem się wzorowym Amerykaninem. W gimnazjum zbierałem same piątki, na zabawę matural- ną przyszedłem z najładniejszą dziewczyną i sam zdobyłem środki na naukę w szkole prawniczej, wy- konując podczas wakacji prace ogrodowe w bogatych posiadłościach, jakich nie brakło w Bar Harbor. Co roku w Święto Dziękczynienia jadałem indyka w sosie borówkowym, czwartego lipca puszczałem fajerwerki i przy każdej patriotycznej okazji śpiewałem "Gwiazdzisty sztandar" głośniejsz niż pozostali. Posunąłem się nawet do tego, że zacząłem rozmawiać z rodzicami po angielsku, kiedy byliśmy sami, ojciec wszakże stanowczo położył temu kres. Powiedział, że znajomość języków obcych daje czło- wiekowi ogromne perspektywy i że absolutnie nie mogę pozwolić, by mój niemiecki zarzewiał. Ojciec nie lubił swego pracodawcy, ale będąc człowiekiem praktycznym, bez oporów przyjmo- wał profity, jakie mógł zaoferować swemu personelowi Paul Van Zale. Wykonując obowiązki ogrod- nika, gospodyni i dozorców letniej posiadłości Paula, rodzice zarabiali całkiem nieźle, a kiedy Paul roztoczył nade mną protektorat, ojciec pierwszy uściśnął mi dłoń. - Na tym właśnie polega bycie Amerykaninem, Sam - powiedział. - To twoja wielka szansa. Szansa, o jakiej marzy każdy imigrant. Potem oświadczył, że powinienem na kolanach podziękować Bogu za to, że jestem obywatelem najwspanialszego kraju na świecie, gdzie nawet biedak może zrobić pieniądze i karierę.

Zrobiłem pieniądze. Zrobiłem karierę. Mieszkalem na Park Avenue, kolacje jadałem na Piątej Alei i codziennie stykałem się z arystokracją Wschodniego Wybrzeża, której pełen był pałac na rogu Willow i Wall. Potem pewnego dnia 1933 roku opuściłem świat moich amerykańskich pragnień, a gdy do niego wróciłem, nic nie było już takie jak dawniej. Pojechałem do Niemiec. Zobaczyłem ojczysty kraj po raz pierwszy od chwili, gdy miałem dwa lata. Zastałem w nim dziwnego małego Austriaka z wąsikami w kształcie szczoteczki do zębów, który twierdził, że nie trzeba się wstydzić tego, że jest się Niemcem. Przekonałem się też, że Niemcy są piękne, piękniejsze, niż to sobie wyobrażałem, i o wiele piękniejsze, niż kiedykolwiek ośmielili się napomknąć rodzice, którzy zapierali się własnej nostalgii w trosce, by wychować mnie na dobrego Amerykanina. Zanim jeszcze odnalazłem ocalałych niemieckich krewnych, Ameryka wydawała mi się już bardzo odległa; zmieniła się w obraz oglądany przelotnie poprzez gęstniejącą mgłę, a przez cały czas ten śmieszny mały Austriak powtarzał mi, że powinienem być dumny z tego, że jestem Niemcem - aż w końcu poczułem się dumny. Ludzie przypuszczalnie widzą we mnie praktycznego, twardogłowego i mocno stojącego obywatela z nogami na ziemi biznesmena. Zapewne nawet nie zdają sobie sprawy, że pomimo iż nigdy nie tracę kontaktu z rzeczywistością - a może właśnie dlatego - potrzebne mi są również marzenia: marzenia amerykańskie, niemieckie, nawet sentymentalne marzenia o szczęściu rodzinnym. Wojenna propaganda narzuciła wszystkim obraz bezdusznych robotów, jakimi rzekomo mieli być Niemcy, lecz to nie roboty zbudowały owe bajkowe zamki w Bawarii, nie roboty stworzyły jedno z najpiękniejszych dzieł literatury światowej i nie roboty w latach trzydziestych były brawo w berlińskiej filharmonii, ilekroć grano IX Symfonię Beethovena. Nie jestem faszystowskim automatem, za którego uważają mnie wrogowie, i nigdy się nim nie stanę. Zbyt wielkie znaczenie mają dla mnie marzenia. Nawet teraz, choć Niemcy moich marzeń umarły, a system amerykańskich wartości dogorywał, zdołałem jeszcze stworzyć sobie wizję Europy, która wciąż mogła podtrzymać mnie na duchu. Znow zacząłem sobie wyobrażać przyszłą pracę dla ECA, a ostatnią spójną myślą, jaka przeszła mi przez głowę, zanim usnąłem na kozetce w jaskini, było: "Dzięki Bogu, jeszcze nie jest za późno, żeby zacząć od nowa". Kiedy o siódmej rano obudziło mnie słońce, musiałem jednak z bólem serca odłożyć swoją nową wizję na bok do czasu, gdy okoliczności będą bardziej sprzyjające. Zwlokłem się z kozetki i zmusiłem do przejścia przez cały rytuał mycia, golenia, ubierania i jedzenia. W końcu, nie znajdując już żadnego pretekstu, by odwlec to, co nieuchronne, wezwałem mercedesa i po raz kolejny wyruszyłem do banku na rogu Willow i Wall. Znalazszy się w biurze, zadzwoniłem po swojego asystenta, przywitałem i odprawiłem sekretarkę, napiłem pierwszą filiżankę kawy, powiesiłem kapelusz, przejrzałem pocztę, rzuciłem okiem na nagłówki w "Wall Street Journal" i podszedłem do kominka, żeby nakręcić zegar z drezdnieńskiej porcelany, który kiedyś należał do Paula Van Zale'a. W chwili gdy otwarłem szklaną osłonę, rozległo się pukanie do drzwi. - Proszę! - zawołałem. Szczęknęła klamka i zobaczyłem go w lustrze. Był wysoki jak jego ojciec, ale szczupły i ciemnowłosy. Oczy błyszczały mu w bladej ascetycznej twarzy. - Wejdz, Scott - rzuciłem szorstko i spojrzałem na zegar Paula. Spóźniał się o minutę. - Podać ci dokładny czas, Sam? - zapytał syn Steve'a Sullivana, jak zawsze układny i chętny do pomocy. - Nie trzeba - powiedziałem. - To nie ma znaczenia. Zatrzasnąłem szybkę, odcinając się od wszelkich wspomnień o Paulu. - Co słysząc w sprawie oferty Hammaco? - Bridges McCool już definitywnie odpadł z przetargu, ale ten drugi syndykat dalej jest z nami w ringu. Przed chwilą sprawdziłem, żeby mieć pewność. Aha, a tu jest ta analiza, o którą prosiłeś. - Dzięki. Wyglądasz fatalnie. W ogóle się nie kładłeś? - No... właściwie zasnąłem przy biurku o drugiej nad ranem. - Na przyszłość nie pokazuj mi się w pracy w takim stanie. Nie zaimponujesz nikomu, a już najmniej mnie, wyglądając, jak gdybyś przed chwilą wyszedł z jakiejś speluny w Bowery! - Właśnie udało mi się zdobyć brzytwę... - Nie interesuje mnie, w jaki sposób zamierzasz poprawić swoją aparycję. Po prostu doprowadź

się do porządku, i to migiem! - Dobrze, Sam - rzekł nieskazitelnie posłuszny, pełen uszanowania Scott, i wyszedł. Natychmiast pożałowałem, że byłem aż tak obcesowy. W rodzinie Van Zale'ów Scott zajmował szczególne miejsce. Był pasierbem Emily, siostry Korneliusza, który od 1933 roku wspólnie z nią zajmował się jego wychowaniem. Matka Scotta umarła w 1929, jego młodszy brat Tony zginął na wojnie, ojciec, niegdyś prezes zarządu Van Zale'a, także już nie żył, nic więc dziwnego, że z biegiem lat Scott przyłgął do rodziny swojej macochy. Przyszedł mi na myśl jego zmarły ojciec, Steve Sullivan, z którym w latach trzydziestych Korneliusz walczył o władzę w banku. Przypomniałem sobie wypowiedziane dawno temu słowa Korneliusza: "Rzecz jasna, trudno go będzie wyeliminować..." I pomyślałem o własnej roli w tej eliminacji. Później nieraz powtarzałem sobie, że nie miałem innego wyjścia, jak tylko wykonywać rozkazy, lecz procesy zbrodniarzy wojennych ostatecznie skompromitowały tę wątpliwą linię obrony, i teraz, chcąc ulżyć sumieniu, mogłem co najwyżej próbować wyrzucić z pamięci całe to zajście. Okazało się to jednak niemożliwe, nawet gdybym miał talent do zapominania tego, o czym nie chcę pamiętać. Z chwilą gdy w banku pojawił się Scott, raz na zawsze straciłem okazję do pograżenia się w idyllicznej amnezji. Nie mogłem okazać, że jego obecność mnie drażni, gdyż w ten sposób przyznałbym, że gnębi mnie poczucie winy, zawsze więc starałem się to ukrywać. Czyniłem wręcz niesłychane wysiłki, by go polubić, i do pewnego stopnia mi się to udało, choć prawdę mówiąc czułem się przy nim nieswojo i wraz z upływem czasu uczucie to nie tylko ustawało, lecz nawet przybierało na sile. Nie potrafiłem zgłębić przyczyny tego stanu. Stwierdzenie, że przywodzi mi na myśl przeszłość, o której wolałbym zapomnieć, było bez wątpienia prawdziwe, aczkolwiek nazbyt proste. Istoty ludzkie mają zdolność przystosowania się do nie sprzyjających warunków, a ja już dawno osiągnąłem punkt, w którym przestałem automatycznie myśleć o śmierci Steve'a Sullivana, ilekroć do pokoju wchodził Scott. Nie wątpiwiwą pomocą okazało się to, iż Scott właściwie nie był podobny do ojca. Nie palił i nie pił, a także - o ile można to było stwierdzić - nie miał stałej dziewczyny. Przesiadywał w banku do późnych godzin wieczornych i często pojawiał się tam również w weekendy. Ubierał się dość konserwatywnie, czarował klientów potężnym zasobem wiadomości i co roku posyłał Emily kwiaty na Dzień Matki. Żaden młody Amerykanin nie mógłby się zachowywać bardziej przykładowie, co nieraz z quasi-ojcowską dumą podkreślał Korneliusz, ja jednak zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie w tym tkwi powód, dla którego Scott zawsze zbija mnie z tropu: po prostu był ciut za dobry, aby być prawdziwy. Usiadłem, wciąż trzymając w ręku jego najświeższą analizę rynku, i nacisnąłem guzik interkomu: - Jeszcze jedną kawę. Sekretarka przyklusowała z tacą. Podniosłem słuchawkę czerwonego telefonu łączącego mnie bezpośrednio z położonym piętro niżej biurem dyrektora zarządu. - Biuro pana Van Zale'a - odezwał się jeden z asystentów Korneliusza. - Tu Keller. Przyszedł już? - Nie, proszę pana, jeszcze go nie ma. Rozłączyłem się. Sekretarka wniosła kilka wewnątrzbankowych dokumentów. Rozległ się brzęczyk telefonu. - Proszę wstrzymać wszystkie rozmowy - przerzuciłem nowy plik papierów, odsunąłem je na bok i zabrałem się do raportu Scotta. Telefon rozdzwonił się ponownie i nie przestawał dzwonić. Stuknąłem w interkom: - Na litość boską, niechże pani odbierze ten telefon! Dzwonek ucichł. Wróciłem do raportu. Napisany był nieskazitelnie, pochyliłem się więc do przodu i jeszcze raz sięgnąłem po interkom. - Sam? - odezwał się Scott w chwilę później. - Wpadnij do mnie. Pojawił się gładko ogolony. - Doskonałe - podniosłem raport. - Dziękuję ci. Pomyślmy teraz, w jaki sposób możemy zasięgnąć języka w obozie nieprzyjaciela, żeby się zorientować, jak kształtuje się ich oferta. Musimy wygrać ten przetarg na akcje Hammaco, Scott. Dziewięćdziesiąt milionowa emisja to nie byle co. Czy mamy kompletny wykaz firm wchodzących w skład tego syndykatu? Przyniósł go ze sobą. Byłem mile zaskoczony, lecz powstrzymałem się od komentarza. Przebiegłem wzrokiem listę nazwisk i nagle na moment znalazłem się znów w tych odległych czasach sprzed Kryzysu, kiedy to ja stałem tam, gdzie

teraz stał Scott, a na moim miejscu siedział jego ojciec. Wspomnienie zaczęło blednąć. Cisza się przedłużała. Wciąż wpatrywałem się w trzymaną w dłoni listę. - Sam? - spytał wreszcie niespokojnie Scott. - Czy coś jest nie tak? - Nie, nie, wszystko w porządku. Próbowałem tylko sobie uzmysłwić, która z firm jest tym słabym ogniwiem, jakiego możemy się uchwycić, żeby wywęszyć, co się dzieje. Zastanówmy się... Bonner i Christopherson - może tu da się coś wycisnąć. Korneliusz ostatnio wydobył Bonnera z kłopotów przy okazji emisji SEC, żeby mu zrekompensować wykluczenie go z fuzji Pan-Pacific Harvester jeszcze w czterdziestym trzecim. Rzecz jasna Christopherson już nie żyje, ale Bonner chce do nas doszłusować, kiedy Harvester wypuści następny pakiet. Zadzwoń do Bonnera. To twardy klient, ale spróbuj go przycisnąć. Sądzę, że będzie wiedział, po której stronie kromki znajdzie masło. - Bonner osobiście nie wszedł do syndykatu. Jest tam jego zięć Whitmore. - Tym lepiej. Znam Whitmore'a od lat i wiem, że kręgosłup ma równie twardy jak meduza. To właśnie on wpakował Bonnera w tarapaty w związku z SEC. Zadzwoń do Whitmore'a i nie ograniczaj się do naciskania, przyduś go i trzymaj, aż mu rura zmięknie, by użyć nieśmiertelnych słów tego cholernego Brytyjczyka, Lloyda George'a. Chcę dzisiaj mieć dojdzie do ich obozu, Scott. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale masz to załatwić. - W porządku, Sam. To wszystko? Z westchnieniem podszedłem do okna i spojrzałem w dół na rosnącą na patio magnolię. - Chyba tak... Ależ te czasy się zmieniają! - dodałem impulsywnie. - Kiedy byłem smarkaczem, siedzieliśmy tu na Wall Street jak bogowie i czekali, aż klienci przypełzną w pokorze prosić nas o pieniądze. Teraz to klienci siedzą na laurach, podczas gdy my walczymy między sobą o ich zlecenia. Przetargi ofertowe! Mój Boże, Paul Van Zale zapewne przewraca się w grobie! Scott uśmiechnął się, lecz nie skomentował moich słów, ot, pełen uszanowania młody człowiek, z pobłażaniem znoszący nostalgiczne perory starszej generacji. - Dobra - dodałem szybko. - To już wszystko. Skontaktuj się ze mną po rozmowie z Whitmore'em. - Tak jest - odparł i wyszedł. Ponownie sięgnąłem po czerwony telefon. - Biuro pana Van Zale'a - oświetlił mnie asystent. - Chryste, jeszcze go nie ma? - odłożyłem słuchawkę i wezwałem sekretarkę: - Będę musiał poprowadzić zebranie zarządu. Proszę mi przynieść główne akta Hammaco. Dwunastu udziałowców rozpierało się wokół stołu w sali konferencyjnej i plotkowało o golfie. W dawnych czasach, na długo przedtem, nim zacząłem pracę u Van Zale'a, sześciu członków zarządu siedziało przy masywnych biurkach w wielkiej sali bankowej i tylko dyrektor miał odrębny gabinet, który teraz należał do Korneliusza. Po fuzji z innym bankiem w 1914 roku wielką salę przeznaczono na wydział syndykalny, a członkowie zarządu otrzymali własne pokoje na piętrze. Ostatnio, w związku z rozwojem banku, odbyła się kolejna przeprowadzka: Korneliusz zatrzymał dyrektorskie biuro na parterze, sześciu najstarszym stażem udziałowcom pozostawił pokoje na piętrze, reszta zaś wyładowała z powrotem w wielkiej sali, do dziś nazywanej "puszką syndyka" na pamiątkę byłego przeznaczenia. Pracownicy wydziału syndykalnego przenieśli się na Willow Street 7, do przyległego budynku, który nabyliśmy w ramach powojennej ekspansji. Członków zarządu Korneliusz dobierał z typowym dla siebie sprytem. Najpierw fasada: sześciu panów po sześćdziesiątce, którzy nie tylko wnosili solidne doświadczenie, ale też zapewniali nam szacowny fronton. Następnie sześciu pięćdziesięciu latków o mniejszych może zasługach, za to bez wątpliwości pogodzonych z myślą, że nigdy nie zasiądą w dyrektorskim fotelu. Pozostawało trzech mężczyzn po czterdziestce. Tym należało bacznie się przyglądać, na wypadek gdyby ulegli manii wielkości i próbowali zdobyć większą władzę, niż można im było spokojnie powierzyć. Korneliusz i ja byliśmy jak zwykle najmłodsi. Dzień, w którym Korneliusz poczułby się zmuszony wprowadzić do zarządu kogoś młodszego od siebie, jeszcze nie nadszedł, choć teraz, gdy obaj przekroczyliśmy czterdziestkę, zdawaliśmy sobie sprawę, że należy dać firmie zastrzyk świeżej krwi, zanim bank całkiem zgrzybieje. Korneliusz jednak z niechęcią myślał o młodych ambitnych ludziach znajdujących się o jeden szczebel niżej od niego. Na ogół uważano to za dziwactwo i twierdzono, że kto inny na jego stanowisku chętnie skorzystałby z

możliwości narzucania swej woli młodszym udziałowcom, ale ja rozumiałem go aż za dobrze. Obaj doskonale wiedzieliśmy, jak niebezpieczni mogą być młodzi ambitni ludzie. Kiedy wszedłem do sali konferencyjnej, panowie poprawili się w krzesłach i przestali rozmawiać o golfie. Uśmiechnąłem się do nich serdecznie. W odpowiedzi oni uśmiechnęli się serdecznie do mnie. Wymieniliśmy ciepłe powitania, podczas gdy jeden z asystentów roznosił filiżanki kawy, a następnie zasiedliśmy do uświęconej tradycją codziennej dyskusji. W rzeczywistości zebrania zarządu były zwyczajną stratą czasu i nieraz proponowałem, żeby je ograniczyć do jednego w tygodniu. Ich celem była bieżąca informacja o różnych przedsięwzięciach banku i konsultacje dotyczące strategii jego działania, chociaż ci z "puszki" i tak orientowali się, co robią pozostali, a wybrani współnicy z pierwszego piętra, z wyjątkiem mnie, byli już za starzy, by powierzać im jakiegokolwiek istotne zadania. Dzięki informatorom obaj z Korneliuszem doskonale wiedzieliśmy, co się dzieje w "puszce", i gdyby zebrania odwołano, nie stracilibyśmy wiele, lecz jak każdy mądry dyktator Korneliusz wołał zachowywać płaszczyk demokracji. Zebrania odbywały się codziennie pod fikcyjnym pozorem, że wszyscy decydujemy o tym, co będzie najlepsze dla firmy. Czasami przeprowadzaliśmy nawet głosowanie, które Korneliusz po cichu ignorował, jeśli wynik okazywał się sprzeczny z jego oczekiwaniami. Wspólnicy obrażali się na jakiś czas, zwykle nie na długo. Szef nie lubił, kiedy otaczali go ludzie niezadowoleni, i każdemu, kto się uskarżał, delikatnie sugerowano przeniesienie się do innej firmy. - Ostatecznie - powiadał troskliwie Korneliusz w takich sytuacjach - nie chcę przecież pana unieszczęśliwić. Pozostali współnicy wyciągali z tego odpowiednie wnioski i dokładali starań, by w obecności szefa prezentować ukontentowaną minę. Korneliusz był właścicielem kontrolnego pakietu udziałów, posiadał też absolutną władzę zatrudniania i zwalniania kogo tylko zechciał, zatem jedyną rozsądną taktyką było pozostawanie z nim w możliwie najlepszych stosunkach. Prócz tego każdy miał świadomość, że bynajmniej nie jest niezastąpiony. Van Zale był potężnym bankiem inwestycyjnym, którego historia sięgała połowy dziewiętnastego wieku, i nigdy nie uskarżał się na brak doskonałych fachowców, chętnych do pracy na rogu Willow i Wall. - Co słyhać w sprawie Hammaco, Sam? - zagadnął mnie jeden z czterdziestopięcioletnich woliowych strzelców, których należało otaczać pieczołowitym nadzorem. - Wszystko w porządku - odparłem. - Jutro zamykają przetarg. Prognozy są pomyślne. - O co dokładnie chodzi z tym Hammaco? - zainteresował się jeden z siwowłosych weteranów, który dopiero co powrócił z wakacji na Florydzie. - To warta dziewięćdziesiąt milionów emisja akcji Hammer Machine Corporation, zamierzającej się zająć także przemysłem zbrojeniowym. Jako że zimna wojna przybiera coraz gorętsze formy, interes jest doskonały, zwłaszcza dla takiej firmy jak Hammaco. Warunki przetargu były dość ostre. Kopie warunków sprzedaży, wstępnego kosztorysu i proponowanych stawek zakupu otrzymacie panowie w okólniku. Mamy już za sobą robocze zebranie w siedzibie Hammaco oraz wstępne spotkanie naszego syndykatu. Właściwe rozmowy dotyczące cen odbędą się jutro rano, a rozmowy ostateczne o drugiej po południu. - A jak tam nasi rywale? - zapytał inny wolny strzelec. Ci zawsze usiłowali trzymać mnie na baczność. - Mam do nich dojście. Jak tylko się dowiem, ile zamierzają zaoferować, dopilnuję, żebyśmy ich przebili. Nie widzę problemu - odwróciłem się do dwóch współników z parteru, którzy nadzorowali prace przygotowawcze nad ofertą Hammaco wykonywane przez wydział syndykalny. - Chciałbym zamienić z wami słówko po zebraniu. Rozległo się pukanie i do sali zajrzał Scott. - Sam, ważny telefon. Zerknąłem na współników. - Przepraszam was na moment, panowie. - W kącie przy aparacie szepnąłem do Scotta: - To Neil? - Nie, prezes Hammaco. - Chryste! W słuchawce usłyszałem, że pan prezes chce mnie zaprosić na lunch. Przyjąłem zaproszenie. - Odwołaj tamto spotkanie - powiedziałem do Scotta po zakończonej rozmowie - i dowiedz się, czy może jakimś cudem nasi rywale nie wytrzymali tempa i dali za wygraną. Nie zdążyłem jeszcze z powrotem zająć miejsca za stołem, kiedy telefon zadzwonił znowu, przyprowadzając mnie o nerwowy wstrząs.

Podniosłem słuchawkę. - Keller. - Chcę cię tu natychmiast widzieć - oznajmił lodowatym tonem Korneliusz i przerwał połączenie z trzaskiem gilotyny spadającej na szyję przestępcy. Nie wdawałem się w domysły, co takiego mogłem przeskrobać. Czasami lepiej nie myśleć, bo człowiek tylko się denerwuje, wyobrażając sobie katastrofy, które nigdy nie miały miejsca. Zapaliłem papierosa, grzecznie poprosiłem najstarszego wspólnika, żeby dalej poprowadził zebranie, po czym nie przestając obawiać się najgorszego - cokolwiek by to było - zbiegłem na parter do biura dyrektora, by stawić czoło lwu w jego jaskini. Rozdział czwarty 1

Korneliusz siedział skulony w obrotowym fotelu za potężnym biurkiem i wyglądał tak marnie, jak gdyby przed chwilą miał atak astmy. Już chciałem z niepokojem zapytać go o zdrowie, ale zauważyłem nieprzyjemny grymas jego ust i zmilczałem. Bardzo niechętnie pozwoliłem sobie na pierwsze nieśmiałe domysły co do postępu, który go tak rozżłościł. - Zadam ci bardzo proste pytanie - rzekł znużonym głosem, jakim zawsze przemawiał, zanim stracił cierpliwość. - Czy udzielisz mi na nie prostej odpowiedzi, czy też oczekuję zbyt wiele? Nie miałem innego wyjścia, jak wziąć byka za rogi. - Co się stało? - Gdybym cię na przykład zapytał, czy masz zwyczaj rozgłaszać treść poufnych rozmów odbywanych ze mną w tym pokoju, mogę się chyba spodziewać, że nie usłyszę w odpowiedzi mętnych wykrętów, które wprawiają mnie w zakłopotanie, prawda? Nie cierpię, kiedy wprawiasz mnie w zakłopotanie, Sam. Strasznie mnie to wkurza. - Skończ z tym, Neil. Doskonale wiesz, że nie powtarzam naszych prywatnych rozmów każdemu, kto chce słuchać. Korneliusz zerwał się, jak gdyby tylko na to czekał, obiema rękami oparł się o biurko i wrzasnął: - W takim razie dlaczego, u diabła, powiedziałeś Alicji, że chcę, abyś ożenił się z Vicky? - Bo dała mi do zrozumienia, że o wszystkim wie. - Odruchy obronne miałem wykształcone do tego stopnia, że dopiero gdy wypowiedziałem te słowa, poczułem, jak serce zaczyna boleśnie łomotać mi w piersi. Zaciśnąłem dłonie za plecami, wciągnąłem głęboko powietrze, żeby się uspokoić, a następnie wykonałem klasyczne posunięcie, przechodząc z obrony do kontrataku: - A dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś mi, że Alicja myśli, że popierasz jej plany co do Sebastiana? - spytałem gniewnie. - Jak, według ciebie, się czułem, kiedy oboje z Alicją mówiliśmy o dwóch różnych sprawach, przekonani, że mówimy o tym samym, i nagle się zorientowała, że próbowałeś wystawić ją do wiatru? Ja też nie lubię, gdy stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, Neil, i nie sądzę, że masz monopol na wkurzanie się na swoich przyjaciół. Korneliusz opadł z powrotem na fotel. Doświadczenie zdobyte w ciągu wielu lat naszej znajomości nauczyło mnie, że kiedy był zły, musiał się na kimś wyładować. Z kolei lata znajomości ze mną dały mu świadomość, że do perfekcji opanowałem sztukę wchłaniania i neutralizowania jego gniewu, przy czym bynajmniej nie dawałem się zakrzyczeć. Teraz zobaczyłem, że złość mu minęła i pozostało tylko rozżalenie i zmęczenie. Oddychał nierówno. Kiedy wyjął pigułki przeciwastmatyczne, odwróciłem się. Nie znosił, gdy ktoś widział go w takim stanie. - Wierz mi, bardzo mi przykro, jeśli niechcący skłóciłem cię z Alicją, ale... - Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o moim małżeństwie. Ani teraz, ani kiedykolwiek. - Kiedy przerwał, żeby zażyć pastylki, miałem wrażenie, że w rzeczywistości chciałby o tym ze mną rozmówić, lecz powstrzymują go jakieś złożone uczucia, których nie rozumiałem. - A skoro już mowa o małżeństwie - dodał z wysiłkiem, nie mogąc jednak opanować kolejnego przypiływu wściekłości - Alicja powiedziała mi, że, cytując, miałeś zamiar mnie poinformować, koniec cytatu, że nie możesz ożenić się z Vicky. Interesujące, zważywszy, że jeszcze wczoraj dawałeś mi do zrozumienia, iż chętnie przemyślisz tę sprawę. Może byś tak, z łaski swojej, zaspokoił moją ciekawość? Nie znoszę dostrzegać się o istotnych decyzjach z drugiej ręki. Teraz już rzeczywiście znalazłem się w głębokiej wodzie. Strzepnąłem niewidoczny pyłek z fotela dla gościa i usiadłem powoli, dając sobie w ten sposób kilka cennych sekund na ustalenie dalszej strategii. Czy mam skłamać, zacząć się wykręcać czy też powiedzieć prawdę? Uznałem, że sprawy zasły już za daleko, by bezczelne kłamstwo cokolwiek mi dało, lecz wahałem się, czy powinienem powiedzieć całą prawdę, czy tylko jej część. W

końcu, nie mogąc się zdecydować, jak duża ma być ta część, postanowiłem dać sobie spokój z unikami i wyznać wszystko jak na spowiedzi. - No cóż, Neil - zacząłem z uśmiechem, jakim w trudnej sytuacji darzy się starego przyjaciela - nie sądź, że nie kusila mnie twoja propozycja. I nie sądź też, że w normalnych okolicznościach nie zrobiłbym wszystkiego, żeby ci pomóc. Niestety, moje położenie bynajmniej nie jest normalne. Do szaleństwa zakochałem się w Teresie, dozorczyńni Kevina, i postanowiłem poprosić ją o rękę. Spojrzał na mnie tępo. Jego klasyczne delikatne rysy robiły wrażenie wyrzeźbionych w marmurze. Próbował coś powiedzieć, astma wszakże okazała się silniejsza i słowa utonęły w nieregularnym rżeniu. Nie chcąc mu się narzucać, podszedłem do barku ukrytego za szafą biblioteczną i nalałem szklanek wody z kranu. Wiedziałem, że pod żadnym pozorem nie należy okazywać zaniepokojenia ani wzywać pomocy. Postawiłem przed nim szklankę i podszedłem do okna. Odwrócony do niego tyłem, jak gdyby nic się nie stało, powiedziałem spokojnie: - Wiem, że pewnie nie mieści ci się w głowie, skąd ta namiętność do biednej jak mysz kościelna córki polskich imigrantów z górniczego miasteczka w zachodniej Wirginii, ale już się zdecydowałem i skłamałbym, pozwalając ci wierzyć, że cokolwiek, nie wyłączając ciebie, mogłoby mnie skłonić do zmiany tej decyzji. Lubię Vicky, jest prześliczna i bardzo miła, ale ona nie jest dla mnie, Neil. Gdybym się z nią ożenił, nikomu nie wyszłoby to na zdrowie, a najmniej samej Vicky. Umilkłem i nadstawiłem uszu. Jego oddech nieco się poprawił; pigułki zaczynały chyba działać, doszedłem więc do wniosku, że mogę zaryzykować odwrócenie się. - Może byś wolał dokończyć tę rozmowę kiedy indziej? - zapytałem, dając mu szansę, żeby się mnie pozbyć i dojsć do siebie bez świadków. - Mhm - szepnął. - Później. Przy lunchu? - Jem lunch z Fredem Bucholzem z Hammaco. Korneliusz wyraźnie się ożywił. Zaczął oddychać ciszej, a jego twarz nabrała ledwie zauważalnych kolorów. Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział: - Wygraj ten przetarg, a zapomnimy o wszystkim. Nawet o Vicky. Korneliusz nigdy tak łatwo nie kapitulował ani też nie zmieniał zdania bez wyraźnych motywów. Oferta Hammaco była ważna, lecz nie kluczowa dla dobra całej firmy. Kiedy sceptycznie zmierzyłem go wzrokiem, dostrzegł to i uśmiechnął się. - Za dobrze mnie znasz, Sam - rzekł, zapominając o gniewie. - To prawda, Hammaco jest tu sprawą uboczną. W rzeczywistości zmieniłem plany co do Vicky. Wczoraj wieczorem Alicji udało się mnie przekonać, że: po pierwsze, dziewczęta nie powinny zbyt młodo wychodzić za mąż, a po drugie, małżeństwo z tobą byłoby dla Vicky życiowym błędem, niezależnie od tego, ile miałyby lat. Tak więc najlepiej zapomnijmy o wszystkim. Przepraszam, że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Wiedziałem, że Alicja ma na niego duży wpływ, lecz wiedziałem też, że Korneliusz potrafi się upierać przy swoich co bardziej perwersyjnych pomysłach, i wciąż trudno mi było uwierzyć, że zrezygnował ze spisku. - Dobrze - odparłem. - Zapomnijmy o tym. - Ruszyłem w stronę drzwi. - Kiedyś będziesz mi musiał opowiedzieć więcej o Teresie - rzucił za mną. - Może po waszych oficjalnych zaręczynach? Zawsze świetnie się bawiłem na twoich zaręczynach, Sam. Czy zdajesz sobie sprawę, że miałbyś już co najmniej trzy żony, gdyby udało ci się doprowadzić do ołtarza wszystkie narzeczone? Uśmiechnąłem się do niego przez ramię. - Tym razem nie mam zamiaru dopuścić, by historia się powtórzyła. Wpadnę do ciebie po lunchu, żeby streścić ci rozmowę z Bucholzem. - Powodzenia. Drzwi zamknęły się za nim. W tylnym holu panował półmrok i chłód. Pozwoliłem sobie na mały przystanek, przez chwilę napawając się ulgą, a następnie, wciąż świadom mdlącego uczucia w żołądku, wróciłem do swojego gabinetu, aby tam ochłoniąć po rozmowie. Nim zdążyłem się odprężyć, poderwał mnie telefon. Dzwonił przedstawiciel jednego z wiodących banków naszego syndykatu. - Sam, zaczynam się niepokoić tą sprawą Hammaco. Cena cynku wciąż spada, a stal nie wykazuje tendencji zwykłych... - Otrzymałem wiadomość z pierwszej ręki z ministerstwa finansów, że mimo wszystkich plotek o deflacji nie grozi nam załamanie. Uspokoiwszy go nieco, pozbyłem się go i wezwałem sekretarkę. - Niech mnie pani połączy z ministerstwem finansów. Miałem ochotę się napić, ale była dopiero dziesiąta. Zamiast tego

zapaliłem następnego papierosa. Pięć minut później informacja z ministerstwa finansów przestała być czczym wymysłem, a stała się kartą atutową mocno osadzoną w rzeczywistości, co dostatecznie podniosło mnie na duchu, bym odważył się zadzwonić do Teresy. - Cześć - powiedziałem, gdy podniosła słuchawkę. - Mów, jeśli dzwonię w niewłaściwym momencie. Chciałem się tylko dowiedzieć, co słyhać. - Wszystko w porządku. - Wbrew tym słowom jej głos brzmiał niepewnie. Przepraszam, że wczoraj tak paskudnie cię potraktowałam, Sam, ale byłam bliska załamania. - Oczywiście, rozumiem. Nic nie szkodzi. - Ponieważ teza, iż kobiety są bardziej humorzaste od mężczyzn, została udowodniona naukowo, dokładałem wysiłków, by postępować taktownie. - Bardzo chciałbym się z tobą spotkać dziś lub jutro - powiedziałem - jeśli jednak chcesz, zostawię ci trochę więcej czasu, żebyś się mogła uporać ze swoimi problemami. Ale pamiętaj, mam zamiar zająć ci sobotni wieczór, nawet gdybym musiał siłą wywlec cię z domu! Kupiłem bilety na "Południowy Pacyfik". - Fajnie. Cisza. Zaskoczony, próbowałem stłumić rozczarowanie. - Przepraszam cię, Sam, czy powiedziałeś "Południowy Pacyfik"? Jejku, to fantastycznie! Jak udało ci się zdobyć bilety? A to dopiero niespodzianka! Poczułem się o wiele lepiej. - Urządzimy sobie prawdziwe święto - powiedziałem. - To będzie pamiętny wieczór. Cmoknąłem do telefonu, odłożyłem słuchawkę i w doskonałym nastroju wezwałem Scotta, żeby zdał mi raport z pola bitwy o akcje Hammaco. 2 - Nie wiem, co robić, Sam - mówił Scott. - Tamci na pewno nie zrezygnują z wyścigu, więc zadzwoniłem do Whitmore'a, ale on mnie unika, a trudno jest kogoś dusić, aż mu rura zmięknie, kiedy jego sekretarka powtarza jak papuga, że jest na konferencji. - A to sukinsyn! I pomyśleć, że drań zawdzięcza mi stanowisko! Jeszcze w trzydziestym piątym dopuściłem Bonnera do stołu, kiedy dzielono się akcjami kolei. Whitmore nigdy w życiu nie zdołałby się ożenić z córką szefa, gdyby nie błysnął mu w oczy rzekomo swoim sukcesem. Dobra, Scott, łap za drugi aparat i ucz się przerabiać plotki na filety. Rozmowa, mająca miejsce chwilę później, potoczyła się według znajomego schematu, który w ciągu lat spędzonych przeze mnie na stanowisku prawej ręki Korneliusza zdążył mi się już znudzić. Zatelefonowałem do biura firmy Bonner i Christopherson. Whitmore znów próbował zasłonić się sekretarką, co wzbudziło we mnie tylko niesmak. Gardzę tchórzostwem u ludzi interesu. Powinno im starczać odwagi przynajmniej na pozorne starania, by wydobyć się z opałów. - Proszę powiedzieć panu Whitmore'owi - oznajmiłem sekretarce - że dzwonię, żeby mu wyświadczyć przysługę. Właśnie otrzymałem poufne informacje z SEC. Whitmore galopem przybiegł do telefonu. Rozparłem się wygodnie w obrotowym fotelu, z roztargnieniem przyglądając się grze promieni słonecznych na gładkich mahoniowych powierzchniach mebli, i słucałem własnego głosu sączącego strumień kojących frazesów. Kiedy byłem młody, ze zdenerwowania często uciekałem się do pomocy owych grzecznościowych banałów, ze zdumieniem wszakże przekonałem się, iż moi oponenti niemal zawsze topnieli pod hipnotyzującym wpływem piętrzących się pustych fraz wypowiedzianych słodkim głosem. Była to lekcja, którą zapamiętałem na zawsze. - Jak się masz, Frank! Dawnośmy się nie widzieli! Co słyhać? Jak tam żona... a dzieci? No, świetnie! Cieszę się, że to słyse. Posłuchaj, Frank, dzwonię do ciebie, bo jesteś jednym z moich najstarszych i najserdeczniejszych przyjaciół i chcę, żebyś wiedział, że chętnie ci oddam przysługę. Nigdy nie zapominam o przyjaciółach, Frank. Jedyne, czego nie trawię, to gdy ktoś zapomina, że ma zobowiązania wobec swoich przyjaciół... Przez jakiś czas ciągnąłem dalej w tym stylu. Ujmując rzecz w skrócie, przypomniałem mu, że jego teść Bonner chciał, aby bank Van Zale'a włączył jego firmę do syndykatu przy następnej emisji Pan-Pacific Harvester. Napomknąłem, że bank zawsze jest obłożony przez firmy chcące wejść do syndykatu, który gwarantuje obfite zyski, i że część z nich nieuchronnie musi odejść z kwitkiem. Dałem mu do zrozumienia, że choć stosunki pomiędzy Van Zale'em a Bonnerem i Christophersonem ostatnio się poprawiły, potrafię wyobrazić sobie sytuację, w której nastąpiłoby ich gwałtowne załamanie, skutkiem czego Bonner zostałby wykluczony z nowego syndykatu. - A przy

okazji, jakże się miewa twój niezrównany teść? To znakomicie! No tak, twój szef byłby bardzo rozgoryczony, a wiesz, Frank, martwi mnie myśl, że mógłbym rozczarować takiego miłego fa-ceta jak pan Bonner... I tak dalej, i tak dalej. - ...więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy się spotkać, rozumiesz, nie oficjalnego, powiedzmy, że wpadniemy gdzieś na skromnego drinka dziś wieczorem... - O wpół do siódmej w University Club? - podsunął słabym głosem Whitmore. - Lepiej w Metropolitan Club. I powiedzmy, że punktualnie o szóstej. Odłożyłem słuchawkę, wciąż wpatrzony w smugi światła wpadającego przez okno. Po chwili do pokoju wrócił Scott. - Moje gratulacje, Sam! - wykrzyknął entuzjastycznie. - Przygwoździłeś go tak, że ani zipnął! Spojrzałem na niego. Nie było powodu, dla którego miałbym wątpić w jego szczerość, a jednak w nią wątpiłem. Uczucie to trwało nieco ponad sekundę, choć nie potrafiłem go uzasadnić. Później ustąpiło miejsca zwykłemu wyrzutom sumienia, że mu nie ufam, w ramach rekompensaty więc za nieu- zasadnione podejrzenia przez pełną minutę byłem dla niego miły, po czym odesłałem go z powrotem do pracy. Po jego wyjściu miałem właśnie ponownie wezwać sekretarkę, kiedy przelotne spojrzenie na kalendarz przypomniało mi, że za tydzień wypada Wielki Piątek. Aby podkreślić swe episkopalne wy- chowanie, Korneliusz dawał pracownikom wolne zarówno w piątek, jak i w poniedziałek wielkanoc- ny, co nieodmiennie wykorzystywałem na długi weekend u mojej matki w Maine. Postanowiłem zadzwonić do niej, by potwierdzić swój przyjazd. Podniósłszy słuchawkę, automatycznie wyobraziłem ją sobie w brzydkim drewnianym domku, który kupiłem jej po śmierci ojca. Sam wybrałbym dla niej coś zupełnie innego, ale moja matka była nieugięta. Nie chciała nowej podmiejskiej willi z widokiem na morze ani samochodu, zależało jej natomiast na tym, by sklepy i kościół mieć pod ręką. Kupowa- łem jej różne rzeczy do domu, które zawsze później gdzieś chowała, gdyż według niej były za elegan- ckie, żeby ich używać. Przestałem już ją zapraszać do Nowego Jorku, bo ostatecznie pogodziłem się z tym, że nie przyjedzie. Sam pomysł podróży powietrznej śmiertelnie ją przerażał, pociągów nie lubi- ła, a moją propozycję, że przyślę po nią limuzynę z szoferem, odrzucała z punktu, uważając, iż byłoby to nazbyt krepujące. Tymczasem w rzeczywistości jej strach przed podróżą rodził się z głębokiego przekonania, że gdy tylko postawi stopę w Nowym Jorku, natychmiast padnie ofiarą złodziei lub morderców. Ojciec, w znacznie większym stopniu obdarzony awanturczą żyłką, niegdyś z dumą odwiedzał mnie raz do roku, żaden z nas jednak nie dał rady wyrwać matki z Maine. W ciągu moich wizyt rzadko ją widywałem, większość czasu bowiem spędzała w kuchni, gotu- jąc dla mnie ulubione dania. Zwykle robiłem sobie wycieczkę na Mount Desert. Jeśli po drodze spot- kałem znajomego, od razu zapraszałem go na piwo, żeby później nie narzekał przed matką, że stałem się zbyt wielkopański dla dawnych przyjaciół. Poza tym nie starałem się udzielać towarzysko. Chętnie słuchałem starych znajomków, którzy uskarżali się na swoje żony, na raty hipoteczne i na to, jak trud- no jest wyżyć za trzy tysiące rocznie, chociaż niestety sam niewiele mogłem powiedzieć o własnym życiu, nie budząc u rozmówcy niedowierzania, zawiści i urazy. Wieczorami oglądaliśmy z matką telewizję. Telewizor był błogosławieństwem, bo absorbował zarówno oczy, jak uszy. Dawniej, ilekroć nasze spojrzenia zetknęły się w czasie audycji radiowej, czu- liśmy się w obowiązku wymieniać uwagi, teraz natomiast mogliśmy spokojnie obserwować ekran w krzepiącej świadomości, iż do końca programu komentarze są zbędne. Matka była dumna ze swego odbiornika, który co roku wymieniałem na nowy, ja zaś szczęśliwy, że wreszcie znalazłem prezent, z którego korzystała i który mogła docenić. - Witaj, mamó - powiedziałem, kiedy odebrała telefon. - Co słyhać na dalekim południu? - A, nic takiego. Pogoda jest okropna, strasznie zimno. Mój reumatyzm znów się odezwał, ale doktor powiada, że mam brać aspirynę. Liczy sobie pięć dolarów za wizytę, a potrafi tylko mówić, żeby "brać aspirynę". Pani Hayward zmarła i miała bardzo ładny pogrzeb. Marie Ashe rozeszła się z mężem. Pił, zawsze mówiłam, że to nicpoń. Telewizor odbiera jak złoto. Poza tym w sumie nic no- wego. Przyjedziesz w przyszłym tygodniu? Na co miałbyś ochotę?

Przez chwilę rozmawialiśmy o jedzeniu. W końcu matka stwierdziła rzeczowym tonem, który miał ukrywać podniecenie: - Cieszę się, że znowu cię zobaczę. A co tam słysząc w Nowym Jorku? - Wszystko w porządku. Matka nigdy nie pytała mnie, czy mam jakąś dziewczynę, nigdy nie napomykała, że powinienem się ożenić, nigdy nie skarżyła się, że nie dałem jej wnuków. Tylko raz, przed laty, zaczęła mnie wypytywać o życie prywatne i ojciec wpadł wtedy we wściekłość. "Nie nękać chłopaka tym cholernym bab- skim wścibstwem! - krzyknął na nią. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jeśli będzie się czuł u nas nie- swojo, więcej nie przyjedzie i już go nie zobaczymy?" Kiedy zacząłem protestować, wściekł się z kolei na mnie: "Masz mnie za głupca? Myślisz, że nie rozumiem?" Matka była przerażona kruchością naszej więzi i nieraz myślałem, jak niewdzięcznym zadaniem jest wychowanie dzieci. W jaki sposób rodzicom udawało się znosić tę ciężką wieloletnią pracę, te ofiary ponoszone, by dzieciom niczego nie brakło, skoro tak niewiele otrzymywali w zamian - krótką wizytę w jakieś święto państwowe, kilka godzin spędzonych przed telewizorem w milczeniu, którego żadna ze stron nie umiała przerwać? Żałowałem, że matka nie potrafi się cieszyć prezentami, którymi najchętniej bym ją obsypał, by zagłuszyć wyrzuty sumienia. Żałowałem, że nie istnieją żadne magiczne słowa, którymi mógłbym rozproszyć wzajemne skrepowanie. Po śmierci ojca zdołałem się przemóc na tyle, by zapytać: "Czy to wszystko było tego warte?", ale matka mnie nie rozumiała. Kiedy próbowa- łem tłumaczyć, odparła po prostu: "Oczywiście. Jeżeli jesteś szczęśliwy..." - Cieszę się, że jesteś szczęśliwy, Hans - mówiła, podczas gdy ja patrzyłem, jak promień słońca kładzie się na dywanie w moim biurze. Od śmierci ojca coraz częściej wyrывało się jej moje niemiec- kie imię. - Dobrze, że tak ci się świetnie powodzi w Nowym Jorku. - A ja się cieszę, że już niedługo będę w domu - powiedziałem i od razu zrobiło mi się bardzo smutno, bo, o czym rodzice i ja wiedzieliśmy od lat, w rzeczywistości nie mogłem już wrócić do do- mu. Byłem ofiarą klasycznego paradoksu, który przypuszczalnie występuje także w innych krajach. Chociaż dla mnie jest typowo amerykański: przeszedłem przez lustro do krainy mlekiem i miodem płynącej tylko po to, by odkryć, że przepuszcza ono tylko w jedną stronę i obojętne, jak bardzo bym się starał, już nigdy nie zdołam wrócić do kraju tak wyraźnie widniejącego za szklaną ścianą. Mleko kwaśniało, a miód kiedyś się kończył, lecz szkła nie dało się rozbić. Byłem banitą w świecie, który sam sobie wybrałem, więźniem odsiadującym wyrok, którego nikt nie był w stanie skrócić. Kiedyś rozmawiałem na ten temat z Teresą. - Musisz się odciąć od przeszłości - powiedziała stanowczo. - Dajesz się złapać w pułapkę, w jaką wpadają wszyscy imigranci, i oglądasz się na dom przez różowe okulary. No, mnie przynajm- niej coś takiego nie grozi! Aż za dobrze pamiętam swoje rodzinne miasto: pył węglowy, brudne rude- ry, bosa dzieci na nędżnych ulicach, ojciec bez przerwy pijany, matka wiecznie w ciąży. - Ale przecież to był dom, prawda? - przerwałem jej. - Wciąż jeszcze nosisz go w sobie. - Amputowałam go - stwierdziła z uporem. - Już go nie ma. Chciałem zadać jej jeszcze parę pytań, lecz zmieniła temat i nigdy już do niego nie wróciła. Mi- mo to często zastanawiałem się, jak dalece udała się jej ta amputacja, zwłaszcza iż widziałem, że wbrew swoim cynicznym uwagom wciąż trzyma się symboli dzieciństwa: małego złotego krzyżyka reprezentującego kościół, od którego dawno odeszła, polskiej kuchni, którą przedkładała nad inne, o ile tylko nie przyszła jej chęć wyczarować jakieś kreolskie danie na specjalną okazję, oszczędności nabytej w ciągu lat ubóstwa, a wreszcie, co najważniejsze, owej mieszaniny godności i dumy, która zabraniała jej żyć z mężczyzną lub też schylać się po różne finansowe profity, jakie mogła napotkać po drodze. W końcu doszedłem do wniosku, że jej przekonanie, iż zdołała się odciąć od przeszłości, jest czystą iluzją. Przeszłość wciąż była przy niej obecna, Teresa nadal znajdowała się po tamtej stronie lustra. Żyła z dala od domu, a jednak udało jej się utrzymać kontakt z dzieciństwem. Mimo iż wtopiła się w nowojorską społeczność, pozostała nietknięta, nieskażona. Kiedy to sobie uświadomiłem, zro- zumiałem też, dlaczego tak bardzo pragnąłem ją zdobyć. Żywiłem rosnące przekonanie, że Teresa może mnie przeprowadzić z powrotem

przez lustro. Byłem prawie pewien, że gdy już będę ją miał, zdołam wreszcie wrócić do domu. Słońce wciąż padało na dywan w moim biurze. - Jest jeszcze coś - powiedziałem impulsywnie do matki. - Co takiego? - Poznałem pewną dziewczynę i chciałbym ją przywieźć ze sobą w przyszły weekend, żeby ci ją przedstawić. Na imię ma Teresa. Ma dwadzieścia pięć lat. Wychowała się w katolickiej rodzinie, ale już nie praktykuje. Mieszka w Nowym Jorku dopiero od paru miesięcy. Poprzednie siedem lat spędziła w Nowym Orleanie, a w ogóle pochodzi z zachodniej Wirginii. Lubi gotować. - O! - w głosie mojej matki zabrzmiała obawa, że zaraz powie coś niewłaściwego. Niesłychane podniecenie walczyło w niej ze świadomością, iż musi zachować spokój, żeby nie wprawiać mnie w zakłopotanie. - Teresa, powiadasz? - bąknęła niezobowiązująco. - To pewnie Włozka? Byłem przygotowany na to pytanie i postanowiłem od początku być szczery, żeby dać jej czas na oswojenie się z tą myślą. - Nie - odparłem. - Ona jest Polką. Zapadła cisza. - No cóż - rzuciła szybko matka, gorączkowo usiłując zatuszować lukę w rozmowie. - Jestem pewna, że w Stanach jest wielu miłych Polaków. Koniecznie zabierz ją ze sobą. Ja... wysprzątam pokoj gościnnie i wyjmę tę nową pościel, którą od ciebie dostałam, wiesz, tę, co była za dobra, żeby jej używać na co dzień. - Świetnie, ale nie nastawiaj się na Bóg wie co. Teresa jest zupełnie zwyczajną dziewczyną. To nie żadna księżniczka ze Wschodniego Wybrzeża. Matka zdołała się jakoś ze mną pożegnać, omal nie mdlejąc ze zdenerwowania. Po zakończonej rozmowie nie wróciłem natychmiast do pracy, lecz jeszcze przez chwilę siedziałem w fotelu i myślałem. Zdawałem sobie sprawę, że matka miała nadzieję, iż ożenię się z panną z wyższych sfer, z drugiej zaś strony byłem pewien, że w obecności Teresy będzie się czuła o wiele swobodniej niż z jakimś kosztownym produktem anglosasko-protestanckiej arystokracji. Na nie-szczęście Teresa była Polką, ale uznałem, że gdy tylko matka zobaczy pierwszego wnuka, zaraz zapomni o wszelkich uprzedzeniach. Podejrzywałem co prawda, iż Teresa może się nie palić do macierzyństwa, nie wątpiłem jednak, że zechce mieć dzieci, kiedy w końcu uświadomi sobie, że nie musi to koniecznie kolidować z jej sztuką. Zamierzałem zatrudnić całodobową nianię, by mogła malować, ile-kroć jej przyjdzie ochota. Wiedziałem, jak wiele to dla niej znaczy, poza tym byłem zdania, że oprócz domowych obowiązków kobieta powinna mieć jakieś hobby. Korneliusz wspomniał niedawno, że odkąd chłopcy dorosli, Alicja miewa problemy z wypełnieniem sobie wolnego czasu. Poczułem ciepło wokół serca, gdy wyobraziłem sobie, jak matka radośnie odkurza gościnnie pokoj. Cieszyłem się, że sprawiłem jej przyjemność. Odtąd często będę jej sprawiał przyjemności. Było to miłe uczucie. Z westchnieniem skupiłem się na sprawach zawodowych i podyktowałem tyle pism, ile zdążyłem w krótkim czasie, jaki mi jeszcze pozostał, wyszedłem z budynku i kazałem szoferowi zawieźć się do Colony na lunch z prezesem Hammaco. 3 Spotkanie przebiegło w miłej atmosferze i byłem z niego bardzo zadowolony do chwili, gdy po powrocie Scott oznajmił mi, że poprzedniego dnia Bucholz jadł lunch z głównym księgowym konkurencyjnego syndykatu. Natychmiast przestałem się cieszyć. - A to drań! - powiedziałem. - Sonduje nas obu! Jeśli chce wybrać tego, który mu się bardziej spodoba, po jakiego diabła każe się nam wysilać w tym cholernym przetargu? Niech się ograniczy wyłącznie do towarzyskich spotkań albo niech się w ogóle z nami nie widuje do czasu, gdy doręczymy mu zalakowane oferty. W dzisiejszych czasach cały problem z klientami polega na tym, że mają się za Bóg wie kogo. Śmiać mi się chce, kiedy przeglądam sprawozdania z procesów w urzędzie antymonopolowym i czytam, jak komisja oskarżycielska bredzi o wszechpotężnym spisku bankierów inwestycyjnych, którzy terroryzują nasz wielki przemysł. Coś takiego! Ja tu bez przerwy się użeram z rywalami, a oskarżyciel powiada, że w branży bankowej nie ma konkurencji! Czasami żałuję, że Departament Sprawiedliwości nie wytoczył sprawy z ustawy o monopolu Van Zale'owi i spółce. Powiedziałbym sędziemu Medinie to i owo do słuchu! - Nie wątpię, Sam. - Scott jak zwykle skorzystał z okazji, by mi z szacunkiem przytaknąć. Prędko zmieniłem temat. 4 Dałem Whitmore'owi mój prywatny numer telefonu i kazałem mu dzwonić natychmiast po usta-

leniu ostatecznej oferty cenowej na zebraniu jego syndykatu, które miało się odbyć nazajutrz po południu. - Jasne, Sam, nie ma problemu, nie ma żadnego problemu... - Whitmore wyglądał blado, mimo to zmusił się do serdecznego uśmiechu i zanim się rozstaliśmy, długo i mocno ściskaliśmy sobie dłonie. Z domu zadzwoniłem do Scotta. Jak zwykle siedział jeszcze w biurze. - Umówiliśmy się na jutro - powiedziałem. - Whitmore słodko jak kanarek wyśpiewa nam wszystkie szczegóły finalnej oferty naszych przeciwników. Pracujesz nad końcowym raportem o stanie rynku? - Oczywiście - odparła ta chodząca doskonałość. Odłożyłem słuchawkę. 5 Wziąłem akta Hammaco do domu i siedziałem nad nimi do północy, sprawdzając każdy szczegół i obliczając najkorzystniejszą cenę, jaką mogliśmy zaoferować. Potem przespałem się kilka godzin, a rano znów pojechałem do miasta, gdzie czekało mnie decydujące starcie. Kiedy o ósmej do mojego gabinetu wszedł Scott, przejrzelśmy razem jego raport o stanie rynku i skorygowaliśmy kalkulację cenową. Poranne zebranie komisji cenowej syndykatu odbyło się o dziesiątej, a naradę końcową wyznaczono na drugą. Spodziewałem się wiadomości od Whitmore'a około trzeciej, co oznaczało, że komisia zdąży jeszcze wprowadzić ewentualne poprawki, nim o czwartej złożymy ofertę. Nie mniej niż harmonogram napięte były moje nerwy, gdy o drugiej zasiadłem w fotelu przewodniczącego i złożyłem sprawozdanie dotyczące warunków na rynku, stanu najnowszych ofert o podobnym wolumenie i jakości, a także stopnia zainteresowania akcjami Hammaco ze strony zinstytucjonalizowanych nabywców. Następnym punktem obrad było ustalenie ceny, jaką otrzyma emitent, oraz ceny, po jakiej akcje zostaną wystawione do publicznej sprzedaży. Jako główny księgowy poddałem pod dyskusję wielkość opartą na "koszcie pieniądza", nad którą zebrani głowili się przez jakiś czas, aż wreszcie po kilku kolejnych głosowaniach udało się nam ustalić cenę ostateczną. Nikt nie odpadł w ostatniej chwili, nie groziła nam zatem panika przy powtórnym dzieleniu akcji. - Dobrze, panowie - powiedziałem w końcu. - A teraz, jeśli będziecie łaskawi poczekać kilka minut, skontaktuję się ze swoim informatorem, żeby się przekonać, czy nie uda się nam zdobyć paru liczb z przeciwnego obozu. - Zwróciłem się do dwóch współników z "puszki": - Dzwońcie do chłopaków spod siódemki, niech zainicjują już przygotowywać papiery. Nie przewiduję żadnych poważniejszych korekt. Pośpieszyłem z powrotem do swojego gabinetu. - Połącz mnie z Whitmore'em - rzuciłem, mijając Scotta, ale Whitmore nie wrócił jeszcze do biura. Widocznie narada cenowa naszych rywali wciąż była w toku. Zrobiłem sobie bardzo wytrawne martini z lodem i dwoma oliwkami. Sącząc je powoli, usiadłem, żeby poczekać na telefon. Zadzwonił czerwony. - Są jakieś wieści? - spytał Korneliusz. - Jeszcze nie. W tym momencie rozległ się brzęczyk drugiego telefonu. Była to moja prywatna linia. Odwiesiłem Korneliusza i złapałem białą słuchawkę. - Sam? - odezwał się Whitmore. - Wal! Podał mi ich ustalenia. Rozłączyłem się z nim i od razu zrobiłem sobie następne, jeszcze mocniejsze martini. Potem zadzwoniłem do Scotta. - Wejdź do mnie - powiedziałem, po czym połączyłem się z działem syndykalnym na Willow Street 7 i kazałem im wszystko wstrzymać. Duszką wypłem martini i właśnie zapaliłem papierosa, kiedy do pokoju wpadł Scott. - Przebili nas - oznajmiłem. - Boże! Ale jak? - Chyba zmniejszyli marżę do minimum. To niemożliwe, żeby przy takiej cenie udało im się jeszcze zgarnąć jakiś znaczący zysk. - Co robimy? - Lecimy do Neila. Zbiegliśmy na parter. Korneliusz rozmawiał z asystentami, których na mój widok natychmiast odprawił. Kiedy Scott zamknął drzwi, Korneliusz spytał ostro: - I co? Przekazałem mu nowinę. Przyjął ją ze stoickim spokojem. - No cóż, są dwie możliwości - powiedział, rozpierając się wygodnie w fotelu. - Albo nasi znani rywale postradali zmysły, albo Whitmore kłamie. - Jezu! - zatkało mnie. - Jeżeli skłamał, ja mu... - Oczywiście - zmitygował mnie Korneliusz. - Oczywiście, że mu pokazemy. Tymczasem jednak... - Neil, wątpię, czy zdołam skłonić ponad połowę syndykatu do przebicia tej ceny, a jeśli sami pokryjemy różnicę, nasz zysk całkiem się rozplynie. - Myślę, że Whitmore cię zwodzi - rzekł Korneliusz - ale nie z własnej woli. Nie ma na tyle odwagi. Prawdopodobnie tak go

wystraszyłeś, że pobiegł się wypowiadać szefowi, i teraz Bonner wy- daje mu rozkazy. Co prawda pomogłem mu niedawno przy okazji SEC, bo uznałem, że korzystniej mieć ich w kieszeni, niż bez przerwy słyszeć ich ujadanie koło pięt. Bonner rozplywa się w uprzejmościach i pewnie chce wyrwać dla siebie miejsce w następnym syndykacie dla Pan-Pacific Harvester, ale możliwe też, że nie wybaczył nam wygryzienia Christophersona z fuzji PPH w czterdziestym trzecim i mimo przyszłych widoków nie mógł się oprzeć pokusie, by odplacić nam pięknym za nadobne. - To możliwe. Obaj chwilę się nad tym zamyśliłiśmy. Scott stał cicho przy drzwiach. - Bonner wie, że jeśli przebijemy tego rodzaju ofertę, będziemy musieli obciąć sobie nos, żeby ratować twarz - ciągnął Korneliusz. - Chce zrobić z nas idiotów. Lepiej trzymajmy się tego, co mamy, a założę się, że jeszcze wygramy ten cholerny przetarg z rękami w kieszeniach. - Zgoda - odwróciłem się do Scotta. - Wydaj chłopcom spod siódemki komendę "cała naprzód" i każ im jak najprędzej skończyć tę papierkową robotę. - Już się robi, Sam - rzekł Scott. 6 Prezes Hammaco zadzwonił trzy minuty po szóstej. Piłem czarną kawę i właśnie zapalałem kolejnego papierosa. - Sam? - Cześć, Fred! Jak tam przetarg? - No cóż, Sam, było naprawdę blisko i przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale... Wyraz twarzy musiał mi się zmienić, choć dałbym głowę, że nie drgnął w niej żaden mięsień. Spojrzałem przez biurko na Scotta. Zauważyłem, że domyślił się, co się stało, i nagle doznałem paraliżującego olśnienia: on się cieszy. Świadomość ta, wyrażona w słowach, a jednak w jakiś sposób niewyobrażalna, uwolniła we mnie potężne emocje, których nie starałem się analizować ani też nie próbowałem tłumić. Nic nie powiedziałem. Odłożywszy słuchawkę wstałem, podszedłem do okna i w milczeniu wyjrzałem na patio. W końcu pierwszy odezwał się Scott: - Przykro mi, Sam. Chyba jest mi tak samo przykro jak tobie. Wszyscy napracowaliśmy się nad tą ofertą. Odwróciłem się do niego. - Może konkurencja miała u nas kapusia - rzekłem - tak jak my u nich. Może Whitmore działał na dwa fronty i przekazywał informacje w obu kierunkach. Scott spojrzał na mnie z roztargnieniem. - To chyba możliwe, choć raczej mało prawdopodobne. Myślisz, że przyjęli tego rodzaju taktkę? I kto z naszej strony mógłby sypać na konto Whitmore'a? Od razu zorientowałem się, że jest niewinny. Człowiek, który miałby coś na sumieniu, o wiele staranniej usiłowałby rozwiać podejrzenia. Na przekór jednak wszystkiemu przeświadczenie, iż nadal nie jestem w stanie niczego udowodnić, popchnęło mnie za daleko i straciłem nad sobą kontrolę. Zanim zdołałem się powstrzymać spytałem bez ogródek: - Rozmawiałeś dzisiaj z Whitmore'em? Nagle dotarło do niego, o czym mówię. Jego zwykłą bladeść okrył krwisty rumieniec. - Jeżeli miałeś na myśli to, co wydaje mi się, że miałeś, Sam - rzekł, starając się panować nad głosem - jestem zmuszony żądać, żebyś nie tylko odwołał to pytanie, ale też mnie przeprosił. W przeciwnym wypadku pójdę do Korneliusza i powiem mu, że nie mogę z tobą dłużej pracować. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w nim jego ojca. Miałem wrażenie, że jestem świadkiem pierwszej odsłony spektaklu, który przed laty widywałem codziennie: Steve osaczony, Steve w kontratak, Steve torujący sobie drogę z opresji paroma cierpkimi zdaniem, po których wraz z Korneliuszem cofaliśmy się na miękkich nogach do najbliższego narożnika. Zdażyłem zapomnieć, jak bardzo baliśmy się Steve'a Sullivana. Nie pamiętałem zmieszanej ze zgrozą ulgi, jaką odczułem na wieść o jego śmierci. Dokładałem starań, by o tym zapomnieć, bo takie rzeczy lepiej wymazać z pamięci. Teraz wracały i objawiały mi się aż nazbyt wyraźnie. Zdjąłem okulary i zacząłem je przecierać chusteczką. Pomimo wstrząsu - a wstrząs przeszedłem nielichy - byłem wściekły na siebie za to idiotyczne oskarżenie, przez które wystawiłem się na tak udany kontratak. Nie miałem pojęcia, jakim sposobem mógłbym jeszcze wyjść z twarzą z tej rozmowy. W końcu udało mi się wykrztusić: - Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ta przegrana sprawiła mi wielki zawód. Korneliusz wpadnie w furję, kiedy się dowie, że czepiałem się Bogu ducha winnego Scotta. Uzna mnie za historyka. Za wszelką cenę musiałem zatuszować ten incydent. - Naturalnie, że wycofuję pytanie - dodałem szybko - i oczywiście przepraszam. Dziękuję ci za pracę, jaką włożyłeś w ten

przetarg. Doceniam twoją lojalność i pomoc, Scott. Nie drgnął, chociaż wyczułem, że nieco się odprężył. - Dzięki, Sam. Nie ma o czym mówić. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłś zdenerwowany. - Jeżeli mógłbym cię teraz przeprosić... - Jasne. Wyszedł. Uczyniłem potworny wysiłek, by możliwie jak najszybciej dojść do siebie, mimo to dopiero po pełnej minucie odważyłem się sięgnąć po czerwony telefon. - I jak? - spytał Korneliusz. - Przegraliśmy. - Zejdź do mnie na dół. Pił coca-colę z rżniętej kryształowej szklanki, na mój widok jednak od razu ruszył w kierunku ukrytego barku. - Napijesz się? - spytał, podnosząc butelkę brandy. - To bardzo ludzki i w tych okolicznościach wielkoduszny gest. Ale nie chciałbym pić sam. Korneliusz wyjął dwa kieliszki wielkości napastrków i ostrożnie nalał do każdego z nich po kil- ka kropel brandy. - No? - podjął, kiedy jednym haustem połknąłem zawartość kieliszka. - Przykro mi, Neil. Co jeszcze mogę powiedzieć? Oczywiście przyjmuję całą odpowiedzialność. - Odpowiedzialność biorę na siebie ja. To ja powiedziałem, że należy zignorować Whitmore'a. Powinniśmy byli skorygować ofertę, może nie o tyle, na ile liczyli, ale jednak trzeba było wprowadzić pewne poprawki... No cóż, to by było tyle, jeśli chodzi o nekrologi. Ostatnio wszystko idzie nie tak, zauważyłeś? Najpierw Vicky, teraz znowu Hammaco. Zastanawiam się, co nas jeszcze dotknie. Pod- obno kłopoty lubią chodzić trójkami... Sam, wyglądasz strasznie. Co prawda absolutnie nie pochwa- lam picia w pracy, ale chyba dobrze ci zrobi jeszcze jedna brandy. Był taki miły, że zacząłem się denerwować. - Nie, nie będę już pił - powiedziałem. - Nic mi nie jest. Neil, doprawdy nie wiem, jak cię mam przeprosić za to, że nie wyznaczyłem odpowiedniej ceny... - Och, daj spokój z tymi przeprosinami i lepiej mi powiedz, co cię naprawdę dręczy. Zaczynam się o ciebie martwić. Za dużo pijesz i palisz... a propos, zrób mi przysługę i zgaś tego cholernego pa- pierosa. Sprawiasz wrażenie, jak gdybyś zaraz miał się rozpaść na kawałki. W czym problem? Nie chodzi tylko o Hammaco, prawda? Czy to ma coś wspólnego z tą dziewczyną, za którą tak szalejesz? To ona tkwi u źródeł tego stanu? - Chryste, nie! Ona to jedyne jasne światło na horyzoncie! - A więc o co chodzi? Bo chodzi o coś, prawda? - No cóż... - Daj spokój, Sam, przypomnij sobie dawne czasy. Kiedy jeden z nas popełnił jakiś błąd albo wpakował się w tarapaty, drugi przychodził mu na ratunek. Musieliśmy tak postępować, żeby tu prze- trwać. Widzę, że masz kłopoty, a jeśli się posypiesz, będzie kupa zamieszania, więc lepiej ze mną po- rozmawiaj. To twój moralny obowiązek członka zarządu Van Zale'a. Kiedy Korneliusz zaczął mówić o moralnym obowiązku, lepiej się było z nim nie spierać. Bez wątpienia powinienem wykorzystać tę okazję i powiedzieć mu o swych planach wyjazdu do Niemiec i pracy dla ECA, choć z drugiej strony, mimo iż był dziś wyjątkowo przystępny, nie mogłem się oprzeć myśli, że chwila jest w najwyższym stopniu nieodpowiednia. Odrzucając rękę jego córki, prze- grywając przetarg na akcje Hammaco, a potem jeszcze prosząc go o przedłużony urlop, byłem na naj- lepszej drodze, żeby napytać sobie biedy. A może jednak nie? Po zastanowieniu doszedłem do wnios- ku, że być może jest akurat odwrotnie. Może to idealny moment, by pozbyć się ciężaru, który mi leżał na sercu. Postanowiłem zaryzykować i zwierzyć mu się. - Wiesz, Neil, ostatnio w ogóle czuję się trochę przybity. Kiedy byłem w Niemczech... - O Boże - jęknął Korneliusz. Wrócił do barku, wyjął dwa duże kieliszki i nalał nam podwójne brandy. - Bardzo żałuję, że nie trzymasz się z dala od Europy - powiedział. - Dobrze wiesz, że zawsze wytrąca cię z równowagi. Nie pojmuję, dlaczego w zeszłym miesiącu musiałeś znowu jechać do Nie- miec. Gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że masz masochistyczne skłonności. Przez moment odczułem dotkliwie, jak bardzo jestem samotny. Uświadomiłem sobie własną izo- lację, niemożność podzielenia się z nikim najtajniejszymi myślami. Chciałem porozmawiać o Nie- mczech, zrzucić z siebie wspomnienie ostatniego pobytu, może nawet dokładnie opowiedzieć, jak ciężko mi było dorastać w niemieckiej rodzinie w czasach pierwszej wojny światowej i po niej, lecz nikt nie chciał mnie słuchać. Korneliusz tracił cierpliwość, ilekroć chociaż słowem wspominałem o Niemczech, Jake już dawno się ode mnie odwrócił, Kevin był mi obcy. Nawet Teresa, z którą

naj- bardziej chciałem się tym wszystkim podzielić, w niewytłumaczalny sposób odsunęła się ode mnie, za- słaniając się swoją pracą. Szukałem słów, które oddałyby to, co czuję, nie rozdrażniając go jeszcze bardziej. - Niemcy mają dla mnie szczególne znaczenie, Neil - rzekłem cicho - takie jakie dla ciebie mają Stany Zjednoczone. Czy pamiętasz, jak się denerwowałeś, kiedy podczas kryzysu ludzie koczowali w jaskiniach w Central Parku? W Niemczech ludzie mieszkają w schronach przeciwlotniczych. Za- mknięto port w Hamburgu i trzydzieści tysięcy robotników wyleciało na bruk. A w całym Zagłębiu Ruhry... - Tak, tak, tak - przerwał mi Korneliusz. - To oczywiście straszne, ale wszystko da się naprawić. Amerykanie jak zwykle polatają Europę i może będziemy mieli parę lat spokoju, zanim wybuchnie trzecia wojna światowa... Dojrzałem okazję i postanowiłem z niej skorzystać. - Do tego właśnie zmierzam. Amerykanie będą odbudowywać Europę i ja chcę wziąć w tym udział. Właściwie nawet muszę wziąć w tym udział, to mój moralny obowiązek, jeśli pozwolisz, że posłużę się twoim ulubionym wyrażeniem... - Bzdury - oświadczył Korneliusz, który był o wiele bardziej przenikliwy, niż można by sądzić, znając jego upodobanie do wyświechtanych frazesów. - To nie poczucie obowiązku, a poczucie winy. - No więc dobrze, niech będzie poczucie winy! To w niczym nie zmienia mojego pragnienia, że- by na jakiś czas urlopować się z banku i przejść do ECA! Czy nie rozumiesz, Neil? Czy naprawdę nie jesteś w stanie tego pojąć? To dla mnie wyjątkowa okazja, żeby poświęcić się jakiejś ważnej, uczciwej sprawie, i jeżeli wypuszczę ją z rąk... - Chryste, mówisz jak harcerzyk! - Bo nie dane mi było być harcerzykiem za młodu - odparłem. - A może szkoda. Może byłoby lepiej, gdybym nigdy nie zetknął się z Paulem, nie zaczął tutaj pracować i nie dał się wciągnąć w życie, które upływa mi na szantażach, oszustwach i kłamstwach - nie, nie przerywaj mi! Chciałeś, żebym ci powiedział, co mnie gryzie, więc pozwól mi skończyć! Afera z Hammaco to po prostu suma wszyst- kiego, co w moim życiu jest złe. Robimy z Whitmore'a szmatę, próbujemy wykopać rywali, w odpo- wiedzi inkasujemy kopniaka od nich, i po co to wszystko? Po to, żeby bank mógł zgarnąć kolejny mi- lion dolców, a Hammaco mogło wejść do branży zbrojeniowej i zacząć podkręcać zimną wojnę? Czy nie widzisz, ile w tym zła? Jaki to ma sens? I czy w ogóle cokolwiek z tego ma sens? Nigdy nie zada- jesz sobie tego rodzaju pytań? Nigdy nie dręczą cię takie wątpliwości? - Nigdy - odparł Korneliusz. - Lubię swoją pracę, cieszę się, co zdołałem w życiu osiągnąć, i jestem zupełnie szczęśliwy. Niczego nie żałuję, nie dręczą mnie złe przecucia i nie staram się umar- twiać, grzebiąc sobie w duszy. - Ach, tak? - rzuciłem, w przyspieszonym tempie kończąc brandy. - Wobec tego pozwól, że cię o coś zapytam. Nigdy nie przychodzi ci na myśl Steven Sullivan? I czy doprawdy nigdy nie wspomi- nasz Diny Slade? 7 Nie miałem zamiaru zadawać mu tych pytań. Już od dawna bardzo rzadko wspominaliśmy na- szego dawnego przeciwnika Stevena Sullivana, a nigdy, pod żadnym pozorem, nie wymienialiśmy na- zwiska Diny Slade. Od chwili gdy Korneliusz po raz pierwszy stał się ze Steve'em minęło dwadzieścia lat. Mieliśmy wtedy jeszcze mleko pod nosem, ale dzięki ciężkiej pracy w banku po śmierci Paula zdołaliśmy już nabrać nieco pewności siebie i Korneliusz coraz wyraźniej czuł, że nie jest w stanie dłużej znosić po- błżliwej, mentorskiej pogardy swego najpotężniejszego współnika. Kiedy jednak po raz pierwszy na- pomknął, iż moglibyśmy "przekonać" (to jego własne słowa) Steve'a, żeby wyniósł się z Nowego Jor- ku i objął nadzór nad londyńskim oddziałem Van Zale'a, myślałem, że zwariował. - W jaki sposób mamy go do tego zmusić? - zapytałem, w równym stopniu przerażony i oszo- łomiony. Sam pomysł wygryzienia Steve'a z budynku przy Willow Street 1 przywodził mi na myśl dwoje kociąt, które próbują pozbawić lwa obiadu, ciągnąc go za ogon. - Nie bądź głupi, Sam - odparł Korneliusz, jak zwykle poirytowany naiwnością, którą po dwóch i pół roku pracy w banku wciąż jeszcze od czasu do czasu przejawiałem. - Nie pamiętasz, co było po śmierci Paula? Po zabójstwie Paula w 1926 roku Steve musiał ukryć przed policją pewne fakty związane z morderstwem, aby chronić bank. Sprawcy mordy padli ofiarą jego prywatnej, całkowicie zresztą udanej wendety.

Korneliusz właśnie uznał, iż najwyższy czas, byśmy posłużyli się tym niezgodnym z prawem postępkami jak dźwignią, za pomocą której wypchniemy Steve'a z banku przy Willow i Wall. - Ależ to szantaż! - wyjąkałem ze zgrozą. - Skądże znowu - zapewnił mnie Korneliusz - przecież tu wcale nie chodzi o pieniądze. Mam jedynie zamiar zwrócić mu uwagę na kilka faktów i posłużyć się delikatną logiczną perswazją. Co w tym złego? Komiwojażerom nikt tego nie zabrania. Nie byłem obecny przy rozmowie Korneliusza ze Steve'em. Siedziałem w swoim pokoju i czekałem ze ściśniętym sercem. Nie miałem nadziei, że uda mi się przyprzeć Steve'a do muru, lecz podziwiałem odwagę, która mu kazała spróbować. Po jakimś czasie wrócił. Usta miał trochę sine, lecz poza tym promieniał. - Udało ci się? - omal nie zachłysnąłem się z podniecenia. - Jasne - Korneliusz bezskutecznie usiłował przybrać nonszalancki ton. Wybuchnęliśmy śmiechem, ja entuzjastycznie ścisnąłem mu dłoń, a potem popędziliśmy do domu, ażeby tam wznieść toast. Pamiętam, że gdy radośnie jodlowaliśmy w holu: "Jupiiii!", pomyślałem, że Korneliusz jest najbardziej niezwykłym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałem, i że naprawdę mam szczęście, mogąc go uważać za swego przyjaciela. Wiedziałem, iż we własnym interesie powinienem go lubić, ponieważ w jego rękach spoczywa moja przyszła kariera bankowa, a nigdy nie mógłbym pracować u człowieka, którego bym nie szanował. Teraz, kiedy Korneliusz cieszył się opinią skończonego despoty, wielu ludziom trudno byłoby uwierzyć, jak hojny był dla mnie w czasach naszej młodości. Bez oporów dzielił ze mną dom i majątek, nigdy nie wykorzystywał tego, że nasz status finansowy i społeczny znacznie się różnił, i bez wahania stawał u mego boku, tak samo jak ja stałem przy nim podczas pierwszych zmaganiach, które miały nam zapewnić przyszłość w banku. Był wobec mnie lojalny i szczery, niezachwianie uczciwy, niezmiennie życzliwy i uczynny. Był także - a i w to mało kto dzisiaj wierzył - bardzo wesołym kompanem. Często dawniej zaśmiewaliśmy się do rozpuku, zwłaszcza podczas tego cudownego lata 1929 roku, gdy udało nam się pozbyć z banku Steve'a Sullivana. Nigdy nie zapomnę swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Wydaliśmy huczne przyjęcie, piliśmy nielegalnego szampana i tańczyliśmy z naszymi ulubionymi dziewczynami do taktów "Alexander's Ragtime Band". Nie tylko my cieszyliśmy się latem dwudziestego dziewiątego roku. W dalekim Londynie Steve Sullivan zakochał się w Dinie Slade, młodej kobiecie, która ongiś była kochanką Paula. Ponieważ wiedzieliśmy, iż powrót na scenę Steve'a, który zechce odzyskać utraconą pozycję w Nowym Jorku, jest tylko kwestią czasu, bardzo podejrzliwie patrzyliśmy na ich romans. Dina była kimś więcej niż tylko eks-kochanką Paula. Była również jedną z jego słynnych protegowanych i dzięki jego pomocy w 1922 roku założyła w Londynie własną firmę kosmetyczną. Była od nas o siedem lat starsza, bardzo kompetentna, niesłychanie ambitna i choć nie zetknęliśmy się z nią osobiście, przez długi czas spędzała Korneliuszowi sen z powiek. Jego nieprzychylnie nastawienie do Diny brało się przypuszczalnie z zazdrości, Paul bowiem wysoko ją cenił i chyba naprawdę kochał. Urodziła mu nawet syna Alana, który później zginął na wojnie. Korneliusza, który w duchu postanowił zostać spadkobiercą Paula, zrozumiałą niechęcią napawało istnienie potomka z nieprawego łoża. Odczuł wyraźną ulgę, kiedy dziecko zostało pominięte w testamencie. - Jeżeli Steve kręci z Diną Slade - powiedział do mnie w 1929 na wieść o londyńskich podbojach Steve'a - nic dobrego z tego nie wyniknie. - Może chociaż uda jej się przytrzymać go w Londynie! - zadeklarowałem z nadzieją, ale się myliłem. Krach na Wall Street ściągnął Steve'a z powrotem do Nowego Jorku. Wkrótce okopał się na rogu Willow i Wall i nie ruszył się stamtąd aż do 1933 roku. Kiedy rząd rozpoczął weryfikację banków inwestycyjnych, Steve wyjechał do Europy, żeby nie składać zeznań przed komisją (Van Zale, podobnie jak wiele innych wielkich banków, miał na swoim koncie różne ciemne sprawy sprzed czasu). Znalazłszy się po drugiej stronie Atlantyku, natychmiast zaczął od nowa przysparzać nam kłopotów. Porzucił żonę i odnowił dawne więzy z Diną Slade. Później się z nią ożenił, potwierdzając nasze podejrzania, iż stworzyli nierozzerwalny sojusz. Zanim jednak zdążyli się

pokusić o przejęcie kontroli nad bankiem, Korneliusz wykonał manewr oskrzydający. Prezes nowojorskiego zarządu został "skłoniony" do odejścia na emeryturę (jakiś czas wcześniej odkryliśmy, że miał na sumieniu rutynowe machinacje z ukrywaniem dochodów przed urzędem podatkowym), a kiedy Korneliusz objął władzę w Nowym Jorku, dostał też do ręki bat na Steve'a. Choć w Londynie Steve miał całkowitą swobodę, londyński oddział jako całość podlegał centrali w Nowym Jorku. Teraz wystarczyło już tylko zapędzić go w ślepią uliczkę, gdzie mogliśmy go przygwoździć, gdyby próbował się wyrwać. - Tym razem go mamy - zauważyłem z ulgą, znów się jednak myliłem, bo tym razem to Steve zaszedł nas z flanki. Wycofał się z banku Van Zale'a, pieniądze uzyskane ze sprzedaży firmy Diny Sładek przeznaczył na otwarcie własnego domu maklerskiego w Londynie i wkrótce nasi najlepsi europejscy klienci rezygnowali z usług Van Zale'a i przenosili się do niego. Mimo iż Steve nie był już naszym udziałowcem, daleko było jeszcze do zawieszenia broni. Przeciwnie, jak zauważył kiedyś porzytywany Korneliusz, wojna weszła w nową, jeszcze bardziej zacieklą fazę. - I co my teraz zrobimy? - spytałem z konsternacją. - No cóż - rzekł Korneliusz. - Trzeba go powstrzymać, rzecz jasna. Ten drań chce rozwalić nasz londyński oddział. Godzi w całość naszych interesów w Europie. - Ale jak go zdołamy powstrzymać? - Kiedy atakujesz wroga - oznajmił Korneliusz - celuj zawsze w jego piętę achillesową. - Chodzi ci o jego pijaństwo? - A cóż by innego? Rozgłosimy, że nie wycofał się z własnej woli. Powiemy, że udziałowcy Van Zale'a zgodnie wymogli na nim rezygnację z powodu alkoholizmu. - Ależ to oszczerstwo! - Więc niech wytoczy nam proces! Niech stanie na podium dla świadków i stara się przekonać ławę przysięgłych, że jest abstynentem! Byłem poruszony. - Ale czy mamy moralne prawo niszczyć mu w ten sposób reputację? - A co ma z tym wspólnego moralność? Tu chodzi o przetrwanie! Musimy chronić nasze interesy w Europie! Trudno było temu zaprzeczyć. Uciszyłem swoje wątpliwości i wkrótce plotka zaczęła się szerzyć. Niedługo później doszła nas wieść, że Steve został przyjęty do prywatnego sanatorium wyspecjalizowanego w leczeniu alkoholików. Zdaliśmy sobie sprawę, że czyni olbrzymi wysiłek, by zwyciężyć nałóg. - Dobra - powiedział Korneliusz. - Teraz przyszła pora na ostateczny cios. Rozgłoszę po całej Wall Street, że Steve wylądował w szpitalu z "delirium tremens", a ty pojedziesz do Anglii i rozpuścisz tę samą wieść w City. A kiedy już tam będziesz, postaraj się go załatwić. Mówię poważnie: załatw go. Na dobre. Niech cały świat, nie tylko finansjści, dowie się, że to zapijaczony wrak. - Nie wyobrażam sobie, jak mam to zrobić, chyba że umieściłbym w największej angielskiej gazecie sfalszowane zdjęcie Steve'a na odwykowiec i... - O, właśnie. Zrób to. - Ale... - Sam, chcę, żeby facet zobaczył to zdjęcie i pojął, że jest skończony. Rozumiesz? Posłuchaj, ten drań od lat nas prześladowa. Przysporzył bankowi nieobliczalnych strat i jeśli pozwolimy mu teraz wysliznąć się z opresji, wbije nam nóż w plecy, jak tylko dojdzie do siebie, to pewne. Musimy go wykończyć, Sam. Musimy. Czy mamy inne wyjście? To jego wina, sam nas do tego zmusił. Jesteśmy tylko ofiarami działającymi w obronie własnej. - Neil, chyba w to nie wierzysz. To niemożliwe. - Owszem, tak właśnie uważam! - rzekł zaciekle Korneliusz, a potem wyrafinowanym uprzejmym tonem dodał: - Mam nadzieję, że nie będziemy się o to kłócić, Sam. Mam nadzieję, że nie zamierzasz mi mówić, co mam robić dla dobra mojej własnej firmy. Patrzyliśmy na siebie, ja zaś od razu wiedziałem, że oto stoję twarzą w twarz z realiami, na które nie mogę przymknąć oczu, zrozumiałem bowiem, że mój przyjaciel jest przede wszystkim moim szefem, od którego jestem całkowicie zależny. Nie wątpiłem, że rozstanie się ze mną bez żalu, jeśli tylko uzna, że tak będzie dla niego lepiej. Przeżyłem gorzką chwilę nagiej prawdy. "Zmieniłeś się - pomyślałem, choć oczywiście nie powiedziałem tego na głos. - To niedobrze. Powinniśmy nadal być przyjaciółmi jak w latach dwudziestych w Bar Harbor." Wspomnienie Bar Harbor przywiodło mi na myśl słowa, które rzekł do nas Paul: "Jeżeli chcecie do czegoś w życiu dojść, chłopcy, nie traćcie czasu na narzekania, że świat urządony jest tak, a nie inaczej. Skoncentrujcie się raczej na tym, żeby dać sobie radę w rzeczywistym świecie." - No

i co ty na to? - zapytał Korneliusz. Wstałem. - Każę sekretarce zarezerwować bilet na najbliższy rejs do Anglii. Pojechałem do Londynu. Wykonałem rozkaz. Steve zginął. Był już wtedy od jakiegoś czasu "czysty", lecz kiedy zobaczył zmontowane zdjęcie, wypił butelkę whisky i wyruszył z Norfolk do Londynu, żeby ze mną pomówić. Jego samochód roztrzaskał się na drzewie gdzieś w pobliżu Newmarket. Nikt inny nie brał udziału w wypadku. Steve zmarł później w szpitalu. "Powiedz Korneliuszowi, że nigdy mu nie wybaczę - odpisała na mój list z kondolencjami Dina Slade - i nigdy nie zapomnę." - No, jeśli to nie jest wypowiedzenie wojny, to nie wiem, co nim jest! - stwierdził Korneliusz, kiedy przekazałem mu jej słowa. - Dobrze więc; pora, żebym raz na zawsze zajął się tą panią. Poznałem Dinę Slade w Londynie i polubiłem ją. Na myśl o roli, jaką odegrałem w śmierci Steve'a, robiło mi się niedobrze, a oprócz wyrzutów sumienia miałem też świadomość, że tak dalej być nie może. - Myślę, że zrobiliśmy już dosyć, Neil. Zostawmy ją w spokoju. - Nie proszę cię o nic poza tym, żebyś mi nie przeszkadzał! Tym razem mam zamiar osobiście wyrównać rachunki. - Neil, Dina kochała Steve'a. Dosyć już wycierpiała... - Zamknij się. I nie staraj się mną komenderować. - Wcale nie mam zamiaru tobą komenderować! Próbuję ci po prostu wytłumaczyć, że... - Daruj sobie! Ta kobieta od lat przysparza nam tylko kłopotów. Próbowала wpływać na Paula, żeby zmienił testament, bo oczywiście chciała, żeby jej syn odziedziczył fortunę Van Zale'ów. Rozwaliła małżeństwo mojej siostry ze Steve'em, a wiesz równie dobrze jak ja, że Emily bardzo się zmieniła, odkąd ten drań ją porzucił. A kiedy dała Stevenowi pieniądze na własny interes, to już nie był policzek, a cios prosto w zęby. Jasne, że bez jej pomocy nigdy by mu się to nie udało. W dodatku teraz ma jeszcze czelność deklorować nową rundę wrogich manewrów! Przykro mi, Sam, ale moja cierpliwość już się wyczerpała. Dam tej kobiecie nauczkę, którą popamięta na zawsze. Jednakże to w końcu Dina Slade dała mu nauczkę; w końcu to Korneliusz otrzymał lekcję, którą zapamiętał na zawsze. Przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności dysponował prawną możliwością pozbawienia Diny jej domu, Mallingham Hall. Odwet postanowił rozpocząć od wyrzucenia jej stamtąd. W 1940 pojechał do Anglii, aby osobiście zadać jej "coup de grâce", i choć nie widziałem żadnej możliwości pozwalającej zmienić jego nieuchronny triumf w porażkę, przekonałem się później, że jej nie doceniłem. Przechytrzyła go. Podpałała dom, woląc zniszczyć wiekową siedzibę rodu, niż dopuścić, by wpadła w ręce Korneliusza, i przez ten akt destrukcji dowiodła mu, że istnieją rzeczy, których nie można kupić za żadne pieniądze, których żadna siła nie wydrze i żaden człowiek, nawet Korneliusz, nie zbruka. Nie dała mu nawet szansy na wyrównanie rachunków. W dniu pożaru pożegłowała do Francji, by wziąć udział w historycznej ewakuacji brytyjskich wojsk spod Dunkierki. Kiedy nie powróciła, było to tak, jak gdyby raz jeszcze dała mu szcztka w nos. Zginęła bohaterską śmiercią, raz na zawsze umykając mu z rąk; odtąd miał żyć ze wspomnieniem jej niepodważalnego zwycięstwa. - A więc w końcu wygrała - powiedziałem mu, kiedy wrócił do Nowego Jorku. Musiałem to powiedzieć. Robiłem błąd, ale nie mogłem się powstrzymać. Chyba zaczynałem zdawać sobie sprawę, że choć aż nazbyt często mam ochotę mu się sprzeciwić, nigdy nie zdobędę się na odwagę, by to zrobić. Popatrzył tylko na mnie. Potem powiedział: - Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o tej kobiecie ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości. Od dziś nie chcę więcej o niej słyszeć. Odwrócił się i odszedł, nim zdążyłem zareagować. Od tamtej chwili trzymałem język za zębami. Upływał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, a ja nigdy nie poruszałem tego tematu, aż wreszcie owego kwietniowego popołudnia w 1949 roku, moje poczucie winy, obrzydzenie do samego siebie i nieznośne uczucie osamotnienia kazały mi przekroczyć wzniesione przez mój własny zdrowy rozsądek bariery i nagle postyszałem, jak zadają mu dwa pytania, których - o czym wiedziałem - nigdy nie powinienem zadawać: - Czy nigdy nie przychodzi ci na myśl Steve Sullivan? I czy doprawdy nigdy nie wspominasz Diny Slade? 8 Oczy Korneliusza przybrały nieobecny wyraz. Pociągnął brandy i spojrzął za okno. - Nie sądzę, żeby wyczyny Steve'a Sullivana i jego

ostatniej żony miały cokolwiek wspólnego z naszą obecną dyskusją. - A ja sędzę, że tak! Uważam, że sprawa Sullivana równie jasno jak sprawa Hammaco pokazuje, jakiego rodzaju życie prowadzimy od chwili, gdy w latach trzydziestych przejąłeś władzę w tym ban-ku, i uważam też, że od czasu do czasu należałoby ci przypomnieć, że zrujnowaliśmy Steve'a Sulliva- na i doprowadziliśmy go do śmierci! - Co się tyczy jego śmierci, nie ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Był pijany, wjechał samo- chodem w drzewo i to wszystko. - Nigdy by się nie upił, gdybyś mi nie kazał... - Zrobiłem, co było konieczne. Nie pozostawił mi wyboru. Sam, bardzo cię proszę, przestań się pograżać w chybionych skrupułach! Tak się składa, że tego rodzaju histeryczne demonstracje wyrzu- tów sumienia śmiertelnie mnie nudzą. - W porządku, może masz prawo twierdzić, że Steve cię zmusił, żebyś walczył z nim aż do końca. A co z... - Nie mam ochoty dyskutować o Dinie Slade. To nie moja wina, że wypłynęła na ten samobój- czy rejs! W żadnym wypadku nie pozwolę się obciążyć odpowiedzialnością za jej śmierć! - W takim razie dlaczego zająłeś się trojgiem ich dzieci, kiedy Dina zginęła? Dlaczego przywioz- łeś je tu na czas wojny? Miałeś wyrzuty sumienia! Zrobiłeś to ze wstydu, bo zginęła bohaterską śmier- cią, najpierw udowodniwszy ci, że jesteś mały i płytki! - To już czyste wymysły, Sam. Najwyraźniej za dużo wypieś. To nie ja podjąłem decyzję o przywiezieniu ich do Ameryki w 1940 roku. Emily na to nalegała. Oczywiście to dla niej typowe, poświęcić się opiece nad dziećmi spłodzonymi przez jej byłego męża z kobietą, która go jej zabrała. - Doprawdy? Jesteś pewien, że Emily nie zajęła się nimi dlatego, że jako twoja siostra czuła się do pewnego stopnia odpowiedzialna za zło, które wyrządziłeś? - Mam wrażenie, że cierpisz na jakąś manię prześladowczą. Nie żyje już nikt, kto by wiedział dokładnie, co zdarzyło się w latach trzydziestych, kiedy Steve i ja walczyliśmy o kontrolę nad ban- kiem. A Emily z pewnością nie wie o tym zupełnie nic. - Nie sądzisz jednak, że jest dostatecznie inteligentna, żeby się tego domyślić? I powiedz mi jeszcze jedno, Neil, naprawdę uważasz, że Scott również się nie domyślił? Korneliusz okręcił się w fotelu. - Scott i ja rozumiemy się nawzajem. - Jesteś pewien? Neil, właśnie to miałem na myśli mówiąc, że dobrze by było, gdybyś od czasu do czasu przypomniawszy sobie Steve'a Sullivana. Może nie powinieneś bez przerwy się okłamywać, że w niczym nie zawiniłeś i nie masz czego żałować. Niewykluczone, że kiedy się głębiej zastanowisz, dostrzeżesz, że to nie ja, a ty tracisz kontakt z rzeczywistością. Uważam, że Scott kiedyś narobi ci kłopotu, Neil. Wiem, że on sam twierdzi, iż znenawidził ojca, kiedy Steve porzucił Emily, żeby po- gnać za Diną Slade. Wiem, że według ciebie jest do twojej siostry przywiązany bardziej niż do własnej matki, a tobie równie bliski jak młodszy braciszek. Ale prawda jest taka, że ani ciebie, ani Emily nie łączą z nim więzy krwi, a poza tym cokolwiek by mówić, jest synem człowieka, którego zniszczyłeś. Nie zrozum mnie źle: lubię go. Ale mu nie ufam. Dla mnie to bomba zegarowa, która tyka nam pod nogami. Kiedy nadejdzie czas, nie oferuj mu miejsca w zarządzie. Ulokuj go w zarządzie jakiegoś in- nego banku, skoro jesteś do niego taki przywiązany, ale, na Boga, pozbądź się go z Willow Street! Korneliusz bez słowa podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać wewnętrzny numer Scotta. Urwa- łem. - Scott - rzekł uprzejmie Korneliusz - czy byłbyś tak miły i zaraz tu do mnie zszedł? Dziękuję. Odłożył słuchawkę. Czekaliśmy w milczeniu, choć ja i tak wiedziałem, co się zaraz stanie. Usiłuj- ąc mu dyktować, jak ma zarządzać firmą, popełniłem poważny błąd i teraz miałem to odpokutować. Jakikolwiek wyzwanie dla jego autorytetu zawsze prowokowało go do wystąpienia, którym w spo- sób nie podlegający dyskusji podkreślał swoją władzę. Scott wśliznął się cicho do pokoju i zamknął za sobą drzwi. - Słucham, szefie? - Sam i ja byliśmy zachwyceni twoją rzetelną pracą nad ofertą Hammaco rzekł kurtuazyjnie Korneliusz - i sędzę, że nadszedł czas, by zaofiarować ci miejsce w zarządzie. - Korneliuszu! - czarne oczy zabłysły, a na twarzy rozlał się promienny uśmiech. Patrzyłem w bok, kiedy ściskali sobie dłonie, ale w końcu ja także musiałem podać mu rękę na znak przyjaźni. - Moje gratulacje, Scott! - powiedziałem. - Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności! - Dzięki, Sam! - Jego uścisk był stanowczy i mocny. Korneliusz

powiedział, że szczegóły omówią później. Gdy rozradowany Scott zostawił nas samych, usiadłem bez słowa. Pozostała na dnie kieliszka brandy miała gorzki smak. - Co do ciebie, Sam - odezwał się łagodnie Korneliusz - doszedłem do wniosku, że jesteś poważnie przepracowany i potrzebny ci jakiś drobny relaks. Zaraz zatelefonuję na lotnisko La Guardia i na cały weekend postawię do twojej dyspozycji mój prywatny samolot. Mógłbyś zabrać Teresę na Bermudy. Udało mi się wykrztusić: - Dzięki, ale mamy bilety na "Południowy Pacyfik". - Naprawdę? No to świetnie! Powinno ci to pomóc na parę godzin oderwać się od problemów! A wracając do twoich problemów, sądzę, że na razie nie powinniśmy dyskutować o przyszłości. Nie byłoby to uczciwe, biorąc pod uwagę twój obecny stan ducha. - Neil... - Och, nie sądz, że nie rozumiem! Rozumiem cię doskonale! Cierpisz na kryzys zaufania, który zwykle dopada mężczyzn po pięćdziesiątce, a nie takich młodzieniaszków jak ty i ja, ale wyjdiesz z tego, Sam. Po prostu trzeba ci trochę czasu na dojście do siebie po tej wizycie w Niemczech, a jak już się pozbierasz, będziesz patrzył na życie z racjonalnego, zdrowego punktu widzenia i sam wtedy zrozumiesz, co to za głupi pomysł z tym urlopem, który ma ci pomóc w kultywowaniu jakiejś nie- szczęsnej obsesji wynikającej z twojego niemieckiego pochodzenia... - Ale... - Spokojnie, Sam! O nic się nie martw! I nie sądz, że nie stanę przy tobie w tych ciężkich chwilach. Wierz mi, nie pozwolę, żebyś zmarnował sobie życie robiąc coś, czego później będziesz żałował! Ostatecznie nie jesteś wyłącznie moim współpracownikiem, prawda? Jesteś mi bliski jak rodzony brat i w tych okolicznościach uważam, że mam moralny obowiązek zaopiekować się tobą i ocalić przed sobą samym... - Neil, przestań. Nie jestem w tej chwili skłonny do wysłuchiwanie banałów na temat moralnego obowiązku. Przykro mi. Korneliusz westchnął. - Myślałem, że chwila jest odpowiednia, skoro, o ile cię dobrze zrozumiałem, właśnie próbowałeś udzielić mi wykładu na temat norm moralnych. Nie chcę być dla ciebie zbyt szorstki, kiedy jesteś w takiej kiepskiej kondycji, ale może lepiej powiem ci od razu, że nie mam specjalnej ochoty słuchać twoich kazań. Gdybym chciał wysłuchać kazania, poszedłbym do kościoła. "Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie" - rzekł Chrystus, rozumiejąc przez to, że kościoły i banki nie powinny wchodzić sobie w drogę i była to cholernie mądra rada. Wiem, że w tych murach nie zachowuję się jak święty, ale poza nimi zawsze dokładałem starań, żeby żyć uczciwie. Jeżeli Pan Bóg prowadzi jakąkolwiek księgowość, już na pierwszy rzut oka zauważy, że moje życie jest jak system dwustronnego księgowania, i sądzę, że kiedy podsumuje wszystkie "winien" i "ma", dojdzie do wniosku, że nie jestem wcale taki najgorszy. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? - Powinienem. Słyszałem to wiele razy. - Więc bądź tak dobry i zastosuj to do sprawy Scotta. Być może zasłużyłem na krytykę za siebie, w jaki potraktowałem Sullivana, ale jeśli w czymś zawiniłem, odkupiłem to poprzez Scotta. Wychowywałem tego chłopca od czternastego roku życia. Zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem. To dobry chłopak, Sam. Wbij to sobie do głowy i proszę, postaraj się w przyszłości nie histeryzować z jego powodu. Wyrósł na człowieka, z którego mogę być dumny, a jeśli ci się wydaje, że nie jest mi wdzięczny za to, że uporządkowałem ten haniebny bałagan, jaki Steve zrobił ze swoich rodzicielskich obowiązków... Rozległ się brzęczyk interkomu, a kiedy Korneliusz nacisnął przycisk, usłyszałem głos jego sekretarki: - Panie prezesie, mam tu na linii pańską siostrę. Chce mówić z panem Kellerem. Czy pan Keller jest jeszcze u pana na naradzie? Spojrzeliśmy na siebie, obaj jednakowo zaskoczeni. - Tak, jest. Chwilczkę - powiedział szorstko Korneliusz i pochylając się do przodu, wręczył mi słuchawkę, abym mógł porozmawiać z Emily Sullivan. Rozdział piąty 1 - Chciałam z tobą pomówić o Vicky - powiedziała nazajutrz przy obiedzie Emily Sullivan. - Wiem o wszystkim. Korneliusz nie wytrzymał i wyznał, co ma na sumieniu. - Co takiego? Eee... przepraszam cię, Emily, ale czy nie mogłabyś... - Wyrażać się jaśniej? Oczywiście mówię o tym całkowicie poronionym pomysle, że Vicky miałaby wyjść za ciebie za męża. Od chwili gdy otrzymałem katastrofalną wiadomość od prezesa Hammaco, upłynęło prawie dwadzieścia godzin. Właśnie

skończyliśmy obiad w moim apartamencie. Była druga po południu w sobotę. Zdziwiłem się, kiedy Emily oznajmiła, że chce się ze mną spotkać, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby mówić o czymkolwiek oprócz swojej bratanicy. Podobnie jak Alicja, Emily zawsze była ze mną w dobrych stosunkach, jednakże mimo upływu lat nasza znajomość nie zacieśniła się zbyt. Emily wyglądała na swoje czterdzieści trzy lata. Nie nadała za modą, w rezultacie więc zawsze robiła wrażenie zaniedbanej. Poza tym się roztyła, a choć nie była brzydka, jakoś udawało jej się nie rzucać w oczy. Dwadzieścia lat temu każdy zauważał rodzinne podobieństwo między Emily a Korneliuszem. Teraz obcy człowiek nie odgadłby, że są rodzeństwem. Korneliusz bez wysiłku zachował młodzieńczy wygląd, Emily nie zadała sobie trudu, by zatrzymać mijającą młodość. Mimo to w pewnych chwilach przypominała go bardzo i czasami myślałem, że w miarę jak blaknie fizyczne podobieństwo, coraz wyraźniej upodobniają się do siebie duchowo. Emily trzęsła żelazną ręką licznymi komitetami społecznymi w Velletrii, zamożnym przedmieściu Cincinnati, gdzie się wychowała, i jeśli wierzyć słowom Korneliusza, jej czas wypełniony był dobrymi uczynkami, które wymagały ciężkiej pracy, determinacji i niepospolitych zdolności miazdżenia wszelkich napotykanych przeszkód. - Kiedy Korneliusz opowiedział mi o tym spisku mającym na celu twoje małżeństwo z Vicky - ciągnęła Emily, obracając w palcach kieliszek reńskiego wina, którego prawie nie tknęła - uznałam, że koniecznie muszę się z tobą zobaczyć. - Ależ, Emily - odparłem - śmiało możesz się uspokoić! Neil osobiście mnie zapewnił, że porzucił już ten zamysł, a zresztą nawet gdyby tak nie było, ja nie przyłożyłbym do tego ręki. Jestem poważnie zajęty kimś innym. Emily z wyraźną ulgą rozsiadła się wygodnie na krześle. - Dziękuję, Sam. Tego właśnie chciałam się dowiedzieć. Nie byłam pewna, jak dalece mogę ufać zapewnieniom Korneliusza, że zmienił zdanie, a ponieważ wiem, że jest zdolny manipulować losem swoich bliskich w fałszywym przeświadczeniu, że czyni tak dla ich dobra, czułam, że się nie uspokoję, dopóki nie rozmówię się z tobą. Chyba nie muszę ci przypominać, jaką rolę odegrał Korneliusz w skjarzeniu mojego małżeństwa ze Steve'em, a w tej jego kolejnej matrymonialnej intrydze najbardziej przeraziło mnie to, że łatwo mogła dojść do skutku, gdybyś okazał się chętny do współpracy. Przy minimalnym wysiłku błyskawicznie rozkochałbyś w sobie Vicky. - Hm... Emily, czy ty trochę nie przesadzasz? Oczywiście traktuję to jako komplement i czuję się mile połączony, ale... - Daj spokój, Sam, fałszywa skromność wcale do ciebie nie pasuje. Nie sądzę, aby Korneliusz, będąc mężczyzną, miał pojęcie, jak atrakcyjny możesz być dla młodej dziewczyny, jeśli tylko zechcesz. Vicky nie jest głupia, ale to jeszcze dziecko, a jej wychowanie, delikatnie mówiąc, pozostawia sporo do życzenia. Nie oparłaby się umizgom inteligentnego obytego mężczyzny w wieku własnego ojca, mężczyzny, którego słynny zawodowy wdzięk przeszedł już do legendy. - Przyznasz, Emily, że zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie. - Nie miałam takiego zamiaru. Próbowалаm tylko oddać ci sprawiedliwość. Poza tym tak się składa, że wierzę, iż w głębi serca jesteś przyzwoitym człowiekiem, który w żadnym razie nie skrzywdziłby tej małej. Oczywiście jedynym lekarstwem na kłopoty z Vicky jest jej edukacja. W naszej rodzinie od dawna się przyjęło, że kobiety powinny być wykształcone. Kiedy Vicky nauczy się myśleć samodzielnie, będzie się mogła uporać z różnymi trudnościami nieodłącznie związanymi z pozycją dziedziczki takiej fortuny. Vicky musi iść na studia. Dojrzałość przyjdzie sama zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy. Powstrzymałem się od wytknięcia Emily, że jej własne studia w Wellesley nie ustrzegły jej przed małżeństwem ze Steve'em Sullivanem. - Nie podzielasz zatem poglądu Alicji - rzekłem ostrożnie - że nauka to strata czasu dla dziewczyny, która jest wprost stworzona do roli żony i matki? - Bardzo lubię drogą Alicję - stwierdziła Emily, z wysiłkiem dopijając reńskie - ale trudno ocenić rzeczowych uwag na temat wykształcenia inteligentnych dziewcząt od kobiety, której ulubionym zajęciem jest słuchanie bzdurnych radiowych seriali! - Sądzę, że Neil też ma wątpliwości, czy studia rozwiążą problem Vicky. - Korneliusz - oznajmiła Emily - powinien się zastanowić nad swoją

własną przyszłością. Do- prawdy, wielka szkoda, że nie skończył studiów! Gdyby na skutek astmy sam nie był tak poważnie niedoksztalony, być może za młodu uniknąłby wielu kłopotów! To katastrofalne małżeństwo z Vi- vienne, a potem... - Emily wydeła wargi na wspomnienie skandalicznego romansu Korneliusza z Ali- cją. - Korneliusz bardzo się zmienił, odkąd wuj Paul zaczął go obdarzać swoimi względami. Kochana mama za życia często nad tym ubolewała. Już nigdy nie był taki jak dawniej... a przecież pamiętam, jakie to było miłe, dobre dziecko! Uniosłem z niedowierzaniem brwi, lecz Emily nie patrzyła na mnie. - Wykształcenie - powtórzyła surowo, jak gdyby chciała w ten sposób zrównoważyć ów nieoczekiwany upust sentymentalnych uczuć. - Oto odpowiedź. Mając porządne wykształcenie, Vicky bę- dzie lepiej przygotowana do tego, aby się ustabilizować, wyjść za mąż i mieć dzieci jak każda normal- na kobieta... Nie, dziękuję za kawę, Sam. Muszę wracać na Piątą Aleję. Obiecałam Vicky, że pój- dziemy kupić trochę ubrań, które przydadzą jej się w podróży. Bilety zarezerwowano na środę, mamy więc bardzo niewiele czasu. - Na pewno się cieszysz, że już jutro przyjadą twoje córki. Pozdrów je ode mnie, dobrze? Nie poznałbym dziś Lori na ulicy! Ile ona ma lat? Czternaście czy piętnaście? - Prawie szesnaście. A Rose osiemnaście. - Nie mów! Boże, jak ten czas leci... Pożegnaliśmy się uprzejmie z ledwie skrywaną ulgą. Właśnie unosiłem z jadalni rozpoczętą bu- telkę reńskiego wina, kiedy zadzwonił telefon. - Sam - powiedziała Teresa - bardzo mi przykro, ale mam dla ciebie złe wieści... 2 Przyszły mi na myśl słowa Korneliusza: "Kłopoty lubią chodzić trójkami". - Co się stało, złotko? W czym problem? - Złapałam jakiegoś wirusa i czuję się jak kupa błocka z Missisipi. Nie dam rady iść dzisiaj na "Południowy Pacyfik". Naprawdę strasznie mi przykro. Na chwilę zaległa cisza. Nie zdołałem natychmiast ukryć rozczarowania, w końcu jednak odez- wałem się: - To fatalnie. Mnie też jest przykro. Przed oczami mignęła mi wizja: płótna ustawione rzędem pod ścianą za sztalugami, Teresa leży w łóżku, a ukośne promienie słońca wpadające przez świetlik igrają w jej rozczochranych włosach. - Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej - dodałem serdecznym, zatroskanym głosem i od razu przypomniałem sobie Emily mówiącą o moim "zawodowym wdzięku" jak o parze rękawi- czek, które można wkładać i ściągać wedle woli. - Na razie wzięłam trzy aspiryny. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się przespać parę go- dzin i obudzę się w trochę lepszym stanie... Zadzwonię do ciebie jutro, dobrze, kotku? - Jasne. Patrzyłem tępo na ogromny salon zaprojektowany, umeblowany i wyposażony z myślą o czło- wieku, za jakiego się kiedyś uważałem. - Muszę się z tobą zobaczyć - powiedziałem nagle. - Muszę. - Oczywiście. Spotkamy się, jak tylko będę mogła wstać bez uczucia, że zaraz wykituję. A teraz, słonko, nie chcę być niegrzeczna, ale... - Naturalnie. Wypoczywaj i lecz się. Porozmawiamy później. Odłożyłem słuchawkę i długo siedziałem wpatrzony w milczący telefon. Wypiłem resztę wina, po czym wrzuciłem bilety do kosza na śmieci, ale mniej więcej w połowie następnego papierosa zmie- niłem zdanie i wyjąłem je. Kiedy sobie pomyślałem, ile trudu kosztowało mnie ich zdobycie, żal mi by- ło tak je zmarnować. Zaczęłem dzwonić do przyjaciół, pytając ich, czy mają plany na wieczór. Wszys- cy byli już zajęci. W końcu, zmęczony prowadzeniem uprzejmych konwersacji po tym, jak kolejno odmawiali przyjęcia biletów, dałem sobie spokój z przyjaciółmi i zacząłem się zastanawiać nad jakimś dalszym znajomym, któremu nie przeszkadzałoby to, że akurat nie jestem usposobiony towarzysko. Natychmiast przyszedł mi na myśl Scott. Uznałem, iż po mojej ostatniej wrogiej demonstracji zwykła dyplomacja nakazuje uczynić przyjazny gest w jego kierunku. - Halo? - odezwał się Scott, podnosząc słuchawkę w swoim mieszkaniu na East Side. - Mówi Sam. Słuchaj, mam na zbyciu dwa bilety na dzisiejsze przedstawienie "Południowego Pacyfiku". - Dzięki, ale nie przepadam za musicalami. Na pewno jest masa ludzi, którzy znajdą w tym o wiele większą przyjemność. - Nikt ci nie przychodzi do głowy? Chyba je w końcu wyrzucę. - Czekał, niech pomyślę. - Scott podszedł do sprawy sumiennie, zupełnie jak gdyby rozwiązywał jakiś biurowy problem. - Może Korneliusz zabrałby Vicky? - podsunął. - Przynajmniej na jakiś czas oboje przestaliby myśleć o swoich wspólnych

problemach. - Przypadkiem wiem, że Korneliusz i Alicja są dziś zaproszeni na kolację. A ty nie zechciałbyś się poświęcić i pójść z Vicky, Scott? - Jem dziś kolację z Emily. Dlaczego sam jej nie weźmiesz? Chyba że to ty nie masz czasu? - Nie, to ta druga osoba. - A więc masz rozwiązanie. Idź z Vicky, a wyświadcysz przysługę wszystkim, nie wyłączając siebie. Przecież miałeś ochotę to zobaczyć, prawda? - Chyba tak - powiedziałem. - No tak, to prawda. Dobra, Scott, dzięki za pomysł. Zastanowię się nad tym. Zrobiłem sobie drinka, puściłem taśmę z nagraniami Glenna Millera i usiadłem, żeby rozważyć sytuację. Idąc za radą Scotta, niczym nie ryzykowałem. Vicky miała na dniach wyjechać do Europy, jeśli więc ją zaproszę, nikt nie będzie mnie podejrzewał, że w cyniczny sposób zaczynam ją uwodzić. Ponadto, w przeciwieństwie do różnych innych kobiet, którymi mógłbym zastąpić Teresę, Vicky nie będzie oczekiwać, że pójdę z nią do łóżka, będzie to zatem spokojny wieczór bez seksualnych napięć. Pomyślałem, że to byłbym w stanie znieść. W każdym razie nie było w tym nic złego. Ponownie podniosłem słuchawkę i zacząłem wykrecać numer. 3 "Południowy Pacyfik". Rodgers i Hammerstein. Kurtyna idzie w górę przed Mary Martin. Kurtyna w górę przed Eziem Pinzą. Kurtyna w górę: pokazują się autorzy w amerykańskich mundurach i nagle nie jestem już w tej zatłoczonej sali po zachodniej stronie Broadwayu, lecz w oddalonej o trzy tysiące mil cichej, zabitej deskami wiosce pod Monachium, gdzie doświadczając straszliwej kolizji moich dwóch sprzecznych narodowości słyszę, jak idący obok mnie jankeski szeregowiec gwizdże "Lili Marlene". 4 Wszyscy krewni, jakich miałem w Niemczech, zginęli podczas wojny. W 1940 roku mój kuzyn Erich, pilot Luftwaffe, został zestrzelony w bitwie o Anglię. W 1942 dowiedziałem się od znajomych z Zurychu, że na rodzinny domek w Düsseldorfie spadła bomba, grzebiąc pod gruzami moją ciotkę. W rok później bomby zniszczyły fabrykę wujka. Jego zabrano do szpitala, ale nie udało się go uratować. Końca wojny dożyła tylko Kristina, kuzynka, którą najbardziej lubiłem. Nie utrzymywałem z nią kontaktu i dopiero po Dniu Zwycięstwa otrzymałem krótki list, w którym pisała, że po śmierci matki poprosiła o przeniesienie z wojskowego szpitala w Düsseldorfie do Monachium, dokąd wyjechała wraz ze swą przyjaciółką. Ta właśnie przyjaciółka powiadomiła mnie trzy miesiące później, że Kristina także już nie żyje. Zginęła w przypadkowej strzelaninie. Natychmiast odpisałem, prosząc o bliższe szczegóły, nie doczekawszy się jednak odpowiedzi, zrozumiałem, że kiedyś będę musiał zebrać siły i sam dokładnie wyjaśnić, co zaszło. Zbieranie sił zajęło mi cztery lata. Powracający z Europy żołnierze ze zgrozą opisywali tamtejsze warunki i dopiero w 1949 roku uznałem, że sytuacja zdążyła się już chyba polepszyć na tyle, by uczynić tę wizytę znośną. W połowie marca poleciałem na stary kontynent. Bez trudu odnalazłem dziewczynę, która do mnie pisała. Poznałem ją przed wojną w Düsseldorfie, nawiązałem więc kontakt poprzez jej rodzinę. Po powrocie do domu rzuciła pielęgniarstwo i pracowała teraz w jednym z tych nowych nocnych klubów, serwujących czarnorynkowego wędzono- nego łososa po dwadzieścia dolarów sztuka tym, których na to stać. Nie chciała ze mną rozmawiać, w końcu jednak namówiłem ją na drinka w moim hotelu. Przez godzinę uparcie zadawałem jej pytania, zanim wreszcie powiedziała mi, co się stało. Były na jakimś przyjęciu. Kristina wyszła późno. W połowie drogi do domu wpadła w zasadzkę zastawioną na gangsterów czarnego rynku i żandarmeria wojskowa otworzyła do niej ogień, nie zdając sobie sprawy, że jest zupełnie niewinna. - Żandarmeria wojskowa? - powtórzyłem. Nie byłem pewien, czy się nie przesłyszałem. - Tak. To byli żołnierze. - Dziewczyna spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała po angielsku: - Wasi żołnierze. Amerykanie. Nie pamiętam, jak wyjechałem z Düsseldorfu. Odwiedziłem Bonn i Kolonię, zanim sobie uświadomiłem, że muszę się wydostać z doliny Renu. Udałem się na południe jako anonimowy turysta biegle władający niemieckim. Ze wzgórz nad Norymbergą patrzyłem na upiorne ruiny starego miasta, chodziłem zniszczonymi ulicami Monachium, w którym Kristina spędziła swoje ostatnie dni. Widywałem na ulicach amerykańskich żołnierzy, lecz nie odzywałem się do nich, a oni myśląc, że jestem Nie-

mcem, nie odzywali się do mnie. Byłem sam, zamknięty w swoim bólu, dopóki pewnego wieczoru nie spotkałem w hotelu cudzoziemca, który tak jak ja bezbłędnie mówił po niemiecku. Był Anglikiem. Zaczęliśmy razem pić. Po jakimś czasie powiedział: - Nie rozpoznałby pan teraz londyńskiej City. A czy będąc przed wojną w Anglii kiedykolwiek odwiedził pan Coventry? Odparłem, że potrafię zrozumieć jego nienawiść do Niemców, lecz on zaśmiał się i rzekł: - To nie tak. Anglicy nienawidzą Francuzów. W doskonaleniu tej szczególnej umiejętności mamy wielowiekowe doświadczenie, natomiast nienawiści do Niemców wciąż jeszcze musimy się uczyć. Trudno mi było stwierdzić, do jakiego stopnia mam go traktować poważnie, był bowiem bardzo pijany, poza tym Anglicy odznaczają się specyficznym poczuciem humoru, powiedziałem więc tylko: - Osiągnąłem już etap, na którym do nikogo nie czuję nienawiści. Nienawiść jeszcze bardziej wszystko utrudnia. Nie pozwala człowiekowi się pogodzić z całą tą zgrozą i bólem. A trzeba się jakoś z tym pogodzić. - Ach, zgroza, zgroza, zgroza! - rzekł Anglik pośpiesznie. Tym razem wyczułem nie czarnego humoru, za pomocą którego usiłował złagodzić naszą pozbawioną ogródek rozmowę. - Jeśli pan pozwoli, opowiem panu o zgrozie, jaką dziś odkryłem, kiedy pojechałem sobie na wycieczkę. Chciałem spędzić spokojny dzień za miastem. Znalazłem się w małej dziurze zwanej Dachau. Oczywiście nie reklamują jej jako turystycznej atrakcji, ale na miejscu zawsze trzyma jakiś żołnierz, który może pana oprowadzić... - Niech mi pan o tym nie mówi. Nie chcę wiedzieć - wtrąciłem i w tej samej chwili zrozumiałem, że muszę poznać każdy szczegół. Młodzieniec, którym byłem przed wojną, chętnie tańczył na germańską nutę, lecz musiał opuścić parkiet, zanim muzyka przebrzmiała. Mężczyzna w średnim wieku, którym tymczasem się stałem, studiował ten utwór w manuskrypcie i teoretycznie znał jego zakończenie, lecz chciał jeszcze usłyszeć te finalne akordy. Musiał się przekonać, tak by nie pozostał w nim ani cień wątpliwości, do jakiej melodii by tańczył, gdyby pozwolono mu zostać na parkiecie do końca zabawy. Pojechałem do Dachau. Istnieją rzeczy, o których nie sposób mówić. Spotkałem kiedyś człowieka, który mi powiedział, że przez trzy lata był jeńcem wojennym. Kiedy usłyszałem, że siedział w niewoli u Japończyków, rozmowa się skończyła, bo wiedziałem, że już nic więcej nie da się powiedzieć. Gdyby po powrocie do Stanów ktoś mnie spytał: "Jakie miejsce w Niemczech zrobiło na tobie największe wrażenie?", a ja odparłbym: "Dachau", odpowiedź ta również uniemożliwiłaby dalszą rozmowę. Nie byłbym w stanie o tym mówić. Co najwyżej mógłbym napomknąć, że tego dnia pogoda była ciepła i wiosenna i dookoła panowała cisza i spokój, nie potrafiłbym jednak opowiadać o zdjęciach stosów ciał przesuwanych przez buldożery, nie potrafiłbym mówić o porytych paznokciami sufitach komór gazowych i nigdy nie zdobyłbym się na to, żeby wyrazić, co czułem, kiedy po tej zatrutej ziemi szedłem do bramy, a towarzyszący mi jankeski żołnierz gwizdał końcowe, wpadające w ucho takty "Lili Marlene". Mary Martin śpiewała: "Wreszcie się od niego odczepię", a widownia szalała. Rozejrzałem się po radosnych podnieconych twarzach ludzi, którzy przeżyli wojnę w kraju nie tkniętym jej niszczącej ręką, i choć byłem jednym z nich, czułem się wyizolowany, odgradzony poczuciem winy za to, że ocalałem. Właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że jeśli Korneliusz nadal będzie mi odmawiał urlopu, zrezygnuję z posady u Van Zale'a. Żaden człowiek, nawet Korneliusz, nie powstrzyma mnie przed tym, bym poszedł za nakazem sumienia i zmył z siebie winę, której już nie mogłem udźwignąć. Mary Martin zakończyła sceniczne odczepianie się, a widownia wołała o bis. Znowu pomyślałem o mojej niepowtarzalnej szansie, by w szeregach ECA pozbyć się uczepionych mej duszy wyrzutów sumienia. Pracując równocześnie dla dobra USA i Niemiec, mogłem odpuścić przed Niemcami za tych wszystkich, którzy zginęli od amerykańskich kul, a przy tym odpuścić przed Ameryką za to, że nie chciałem się bić z nazistami. Było to jedyne realne rozwiązanie mojego dylematu, jedyna sposobność, by na zawsze uwolnić się od bolesnych konfliktów przeszłości, i nagle, gdy tak siedziałem w broadwayowskim teatrze, moja sytuacja wydała mi się

jaśniejsza niż kie- dykolwiek przedtem. Miałem uczucie, że pozwolono mi przeżyć po to, bym wniósł własny szczególny wkład do powojennego świata, i choć nie jestem przesądny, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gdy- bym zlekceważył tę wyznaczoną mi rolę, nie na długo pozostałbym przy życiu w pustym świecie, jaki zbudowałem dla siebie w Nowym Jorku. Mary Martin bisowała. Siedząca obok mnie dziewczuszka błyszczącymi oczyma wpatrywała się w scenę. Przedstawienie toczyło się dalej - i dalej - i dalej... 6 - To było kapitalne, prawda, wujku? - wykrzyknęła z entuzjazmem Vicky. Miała na sobie bladobłękitną wieczorową sukienkę bez rękawów z kloszową spódnicą i stójką. Zwinięte w węzeł włosy upięła na czubku głowy, żeby wyglądać doroślej. Była leciutko umalowana, a jej jasna delikatna skóra miała odcień brzoskwini, którą utalentowany wirtuoz ogrodnictwa otaczał przez lata nieskończenie troskliwą opieką. - Oczywiście musicale nie są specjalnie ambitne - ciągnęła z ożywieniem - ale sądzę, że nawet taki kompozytor jak Wagner lubił czasem usiąść w piwiarni i posłuchać wesołych piosenek, zanim za- brał się do pisania kolejnej części "Pierścienia". Lubisz Wagnera, wujku? - A kto to taki? - spytałem przekornie i oboje zaczęliśmy się śmiać. - Myślałem, że podoba ci się jego teutoński duch! Oczywiście Wagner ma wiele wspólnego z Nietzchem. Siedzieliśmy w Copacabanie; orkiestra zapomniała na chwilę o najnowszym szaleństwie rumbi i grała walca. Przechodzący kelner napełnił szampanem nasze opróżnione kieliszki. - Czuję się tak wspaniale! - zawołała Vicky. - Czemu życie nie składa się wyłącznie z takich rze- czy jak teatr, walc, Copa i szampan! Nie wiem, jak ci dziękować, wujku, że mnie ze sobą zabrałeś. To taka cudowna odmiana po tym wszystkim, co się ostatnio działo! Nagle przypomniała mi się nie zamierzona uwaga Emily na temat Korneliusza: "To było takie miłe, dobre dziecko!" Uśmiechnąłem się do Vicky. - Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że przyjęłaś moje zaproszenie - powiedziałem kurtuazyjnie. - To byłaby niepowetowana strata, gdybyś została w domu. Znowu zacząłem myśleć o Teresie. Naprawdę była chora czy też problemy twórcze wpędziły ją w taką depresję, że nie mogła znieść myśli o spędzeniu wieczoru poza swoją pracownią? Postanowi- łem zatelefonować do niej zaraz po powrocie na Park Avenue. - Czy masz płytę tego zespołu, wujku? A w ogóle opowiedz mi o swojej kolekcji płyt... Zacząłem mówić o swoich nagraniach, ale sławiąc Louisa Armstronga, Kida Ory'ego i Miffa Mole'a, nieustannie myślałem o innej muzyce: o szeleście zrzucanych ubrań, skrzypieniu łóżka, akor- dach westchnień, polifonii rozkoszy. Piłem szampana i paplałem z Vicky o niczym, lecz przez cały czas byłem z Teresą, moją piękną Teresą; widziałem, jak leży nago w skotłowanej pościeli, a mały zło- ty krzyżyk ginie pomiędzy jej pełnymi piersiami. - ...wujku? - Przepraszam, co mówiłaś, kochanie? - Czy moglibyśmy zatańczyć? - Naturalnie! - Zrobiło mi się wstyd, że sam na to nie wpadłem, i bez zwłoki poprowadziłem ją na parkiet. Dłoń Vicky dotknęła mojego ramienia. Jej ciało otarło się o moje. Byłem z Teresą, a jednak nie z Teresą, w łóżku, a jednak nie w łóżku, w niebie, a zarazem na ziemi. Poczulem budzący się w lędźwiach instynktowny odruch i pośpiesznie odsunąłem się od Vicky. Wyjąkałem: - "Przepraszam cię na chwileczkę" i już torowałem sobie drogę pomiędzy innymi parami, kierując się ślepo w stronę męskiej toalety. Samotność przyniosła mi mdlącą ulgę. Później umyłem ręce, przetrarłem okulary i starannie osuszyłem chusteczką pot z czoła. Wzrok mi się nieco przejaśnił. Zobaczyłem w lustrze wypraną z emocji twarz i wielkim nakładem sił zmusi- łem się do powrotu na salę. Vicky siedziała sztywno przy stoliku i przyglądała się tańczącym parom. Orkiestra grała fokstro- ta. - Już jestem - zagailem z niezobowiązującym uśmiechem. - Bardzo cię przepraszam, ale wi- docznie zjadłem coś na obiad... Urwałem. Już wcześniej zauważyłem, że jest bardzo blada, a teraz dostrzegłem, że nie może się przemóc, aby na mnie spojrzeć. Na parkiecie myślałem, że zdążyłem w porę odskoczyć, widać jednak nie byłem dość szybki i w tej jednej nieszczęsnej chwili beztroski wieczór zamienił się w niewyobra- żalnie grząski towarzyski ambaras. Wiedziałem, że nie mogę pominąć tego milczeniem, jeśli w przyszłości mamy spotykać się bez skrepowania. Usiadłem, nakazałem sobie spokój i

rzuciłem od niechcenia: - Podejrzewam, że masz już powyżej uszu mężczyzn demonstrujących w tańcu wciąż te same tuzinkowe odruchy! I pomyśleć, że chciałem być inny niż przeciętny smarkacz, który wkłada smoking i gna na pierwszą randkę! Słuchaj, wiem, że stawiam ci wygórowane żądania, ale czy nie mogłabyś w głębi serca uznać mojej niewiarygodnie młodzieńczej reakcji za komplement pod swoim adresem? Zapewniam cię, że rzadko jestem aż tak oczarowany, kiedy proszę damę do tańca! Spojrzała na mnie z uwagą wielkimi szarymi oczami. Czekałem z zapartym tchem, widocznie jednak znalazła w mojej twarzy to, czego w niej szukała, bo powiedziała spokojnie: - Dobrze. Dziękuję za komplement. Nie próbowaliśmy już tańczyć. Zamówiliśmy kawę i zacząłem jej opowiadać o swojej ostatniej podróży służbowej do Los Angeles. Lody na nowo zostały przełamane. Dopiero gdy wychodziliśmy z budynku, Vicky odezwała się nieśmiało: - Może to lepiej, że nie jesteś naprawdę moim wujkiem, inaczej twój komplement byłby trochę... niezręczny. - Mowa! - przyznałem, usiłując utrzymać lekki ton, ale zachodni żargon zabrzmiał mi w uszach jak przykry zgrzyt. Vicky nie dodała nic więcej. Kiedy szofer otworzył przed nią drzwi, wśliznęła się na tylne siedzenie mojego mercedesa, a ja wsiałem za nią, starając się jej nie dotykać. - To był uroczy wieczór - powiedziała uprzejmie, gdy minęliśmy bramę posiadłości jej ojca. - Jeszcze raz ci dziękuję. - Cała przyjemność po mojej stronie. Wyszło mi to o wiele za gładko. Ostrze napięcia cięło na strzępy wszelkie pozory nonszalancji. - A zatem do zobaczenia - powiedziałem szybko, pomagając jej wysiąść z samochodu, i lekko uściśnłem jej dłoń. - Baw się dobrze w Europie i nie zapomnij wysłać mi pocztówki. Patrzyła w dół na swoje rękawiczki. - Vicky? - rzuciłem ostrzej. - Tak mi głupio... Wszystko mi się już pomieszało... Nawet nie wiem, czy w ogóle chcę jechać do Europy... Ponad nami otworzyły się frontowe drzwi i Alicja, nieskończenie wytworkna w prostej czarnej sukience, zbiegła po schodkach na podjazd. - Witaj, kochanie, dobrze się bawiłaś? To świetnie. Bardzo się cieszę. Dziękuję, Sam, że byłeś tak miły i zabrałeś ją do teatru. Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni. Może wstąpisz na drinka? Musieliśmy zrezygnować z przyjęcia, bo Korneliusz został wezwany na nadzwyczajne zebranie w jakiejś podkomisji Fundacji i jeszcze nie wrócił, ale oczywiście gdybyś miał ochotę na małą szkocką... Alicja wyraźnie starała się na nowo nawiązać ze mną normalne stosunki dyplomatyczne, nadważone szorstkimi słowami, które usłyszałem od niej w zeszłą środę. Uśmiechnąłem się, żeby dać jej do zrozumienia, iż mnie również na tym zależy. - Dzięki, Alicjo, ale pora już wracać do domu - powiedziałem, zważając, by w głosie zabrzmiał stosowny żal. Ponownie zerknąłem na Vicky. - Uwierz mi, kochanie, w tej chwili Europa to dla ciebie najlepsze wyjście - dodałem ciszej. - Jak już się tam znajdziesz, zobaczysz swoje problemy z nowej perspektywy, a wtedy nadanie im właściwej rangi przyjdzie ci o wiele łatwiej, niż gdybyś została w Nowym Jorku. - Chyba... chyba tak. - Ja wiem, że tak. Cześć, Vicky. "Bon voyage". - Dziękuję. Nie poruszyła się. Obejrzałem się jeszcze przez ramię, lecz światło z holu miała za sobą i nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy. Dopiero gdy znów się odezwała, zrozumiałem, że nasza znajomość nieodwracalnie weszła w nową fazę. - Do widzenia, Sam - rzuciła. **Rozdział szósty 1** Gdy tylko znalazłem się w domu, wykręciłem numer w Greenwich Village. Kevin natychmiast podniósł słuchawkę. - Tom? - usłyszałem. - Gdzie, u diabła, byłeś? - Przykro mi, Kevin, mówi Sam. - Kto? - spytał z roztargnieniem. - Sam, ty wariacie! Sam Keller! Słuchaj, jak tam Teresa? Lepiej się czuje? W słuchawce zaległa cisza. - Czekaj. Pozwól mi się przez moment skoncentrować - powiedział po chwili Kevin. - Boże, co za ulga móc zapomnieć o własnych sprawach i zająć się kimś innym! Teresa? Nadal tkwi zamknięta na strychu z fiolką aspiryny. Prosiła, żeby zostawić ją w spokoju. Tym razem ja się zawahałem. - Ale jest w domu, prawda? - spytałem nagle. - Jesteś pewien, że nigdzie nie wyszła? - Chryste, jasne, że tak! Nie bądź śmieszny! Sam... - urwał raptownie. - Słucham? - Właśnie przeżywam fatalny zawód miłosny. Jeżeli nie masz nic innego do roboty, może byśmy poszli razem się upić? Kevin i ja nie byliśmy kompanami do kieliszka. Na sekundę nasze różne światy zderzyły się nie- zgrabnie i

znieruchomiały. - Na miłość boską, Sam! Nie robię ci propozycji! Ależ wy heteroseksualiści macie kosmate myś- li! - Skądże, nawet przez moment nie sądziłem... - Będę u ciebie za dwadzieścia minut - rzekł Kevin. - Pójdziemy do miasta i damy sobie w gaz. Rozłączył się. Siedziałem bez ruchu przez jakieś dziesięć sekund. Potem na oślep zbiegłem po schodach w mroczną i wilgotną kwietniową noc, wskoczyłem do taksówki i kazałem się zawieźć do Greenwich Village. 2 Dom Kevina miał dwa wejścia - frontowe i drzwi do sutereny, które kiedyś służyły jako wejście dla służby. Często zastanawiałem się, dlaczego Kevin nie przeznaczył dla swoich dozorczyń właśnie sutereny, ale doszedłem do wniosku, że północne oświetlenie strychu musi bardziej odpowiadać arty- tkom niż półmrok poniżej poziomu ulicy. Podobnie jak Teresa, ja również miałem klucz do wejścia dla służby. Tylne schody zaczynały się w piwnicy i wiły spiralnie w górę aż na strych, mijając po drodze drzwi wiodące na korytarze parteru i pierwszego piętra. Wyszedszy z piwnicy, otworzyłem pierwsze z tych drzwi. Choć wszędzie paliły się światła, pa- nowała niezmacona cisza. - Kevin? - zawołałem półgłosem. Nikt nie odpowiedział. Zajrzałem do położonego od frontu gabinetu, gdzie odkryłem, iż Kevin przerwał pracę nie tylko w środku sceny, ale wręcz w połowie zdania. Poszedłem do kuchni. Pośród odpadków na kuchennym stole znalazłem dwa brudne talerze, dwa puste kieliszki i na wpół opróżnio- ną butelkę czerwonego kalifornijskiego wina. Na kuchence w przypalonym garnku zastygły resztki "fi- lé gumbo", jednego z ulubionych kreolskich dań Teresy. Przypomniałem sobie, że Teresa była rzekomo za słaba, aby gotować. Przypomniałem sobie, że Kevin czekał na przyjaciela i najprawdopodobniej zamierzał spędzić ten wieczór poza domem. W na- stępnej chwili byłem już z powrotem na kuchennych schodach. Na piętrze zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Poniżej paliło się światło, natomiast ostatnia kondygnacja pogrążona była w ciemności. Nie próbowałem nawet przekreślić wyłącznika. Oparłem się o ścianę, nasłuchując dudniącego mi w piersi serca, i zacząłem się zastanawiać, czy za chwilę nie po- pełnię jakiegoś straszliwego błędu, wiedziałem jednak, że nawet gdyby miało się tak stać, nie zdołam temu zapobiec. Nie mogłem teraz odejść. Musiałem iść dalej. W chwili gdy postawiłem stopę na pierwszym stopniu ostatniego ciągu schodów, usłyszałem krzyk Teresy. Stałem jak wryty. Dokładnie wiedziałem, co oznacza ten krzyk. Krew napłynęła mi do twarzy; zacząłem się pięć pod górę, podczas gdy w oczach ćmiło mi się z bólu i wściekłości. W ciągu tych kilku sekund przypomniałem sobie wszystko i wszystko zrozumiałem: pełną aro- ganckiej wyniosłości wymianę zdań między Jakiem a Korneliuszem w zesłą środe, zafascynowany wzrok Teresy, przed którą nagle odsłonił się świat uprzywilejowanych bogaczy, Jake'a zwracającego na nią uwagę i niedbale napomykającego o randce... Poczułem, że wzbiera we mnie pasja. To jasne, że Jake z rozkoszą zabrałby mi dziewczynę. W jego oczach nadal byłem faszystą, a Żydzi nigdy nie przebaczą faszystom, nigdy, nigdy, nigdy... Gwałtownie pchnąłem drzwi na poddasze, uderzeniem pięści zapaliłem światło i zamarłem. Ktoś zaszamotał się w łóżku, lecz nie poświęciłem mu nawet jednego spojrzenia, całą moją uwagę bowiem przykuły obrazy. Stały rzędem pod ścianą jak płótna na ulicznej wystawie, i nawet z nie dokończonych prac na sztalugach zniknęła zasłona. Nikt się nie odzywał. Łóżko było w rogu, w cieniu za moimi plecami, a ponieważ wiedziałem, co w nim znajdę, nie czułem ciekawości, a tylko instynktowną potrzebę oddalenia tej bolesnej konf- rontacji na tak długo, jak to tylko możliwe. Obrazy dostarczyły mi potrzebnego pretekstu i jak zahip- notyzowany postąpiłem bliżej. Zobaczyłem jasne, schludne i obsesyjnie szczegółowe pejzaże małomiasteczkowej Ameryki. Zo- baczyłem białe drewniane domki, rząd sklepików i narożny bar, stłoczone w cieniu olbrzymiej hałdy żużlu. W dali widniały góry i maleńki biały polski kościółek na wzniesieniu. Każdy szczegół tej sceny odtworzono z niesłychaną pieczołowitością i kiedy zrozumiałem dojmującą tęsknotę, jaka się kryła pod tą migawką zatrzymanej przeszłości, pojąłem też, że Teresie udało się dokonać rzeczy niemożli- wej. Potrafiła swobodnie przemieszczać się między światami. Tafla lustra nie była dla niej przeszkodą. Czerpiąc siły z

żywej, realnej przeszłości, zdołała się uporać z terażniejszością, w której się znalazła, odcięta od korzeni. W ten sposób pokonała amerykański dylemat, podczas gdy ja poniosłem porażkę na całej linii. - On tego nigdy nie zrozumie - powiedziałem do niej. - Nigdy. Nie odpowiedziała. Odwróciłem się powoli, żeby spojrzeć im w twarze, i doznałem wstrząsu, który wyprał mi mózg z wszelkich uczuć. Ujrzałem scenę jeszcze bardziej przerażającą, niż to sobie wyobrażałem. Mężczyzną w łóżku nie był Jake, lecz Korneliusz. 3 Teresa, zeszywniała ze strachu, kurczowo ścisnęła prześcieradło, osłaniając nim piersi, jak gdyby zapomniała, że nieraz widziałem ją nago. W jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie wywołane moim widokiem. Próbowwała coś powiedzieć, choć oczywiście nie znalazła słów, które mogłyby wyrazić te odczucia. Wciąż jeszcze na nią patrzyłem, kiedy Korneliusz wysunął się delikatnie spod prześcieradła i zaczął zbierać z podłogi swe ubranie, sportowy strój, jaki bogacz wkłada na hulankę: białe spodnie, koszula w kratę z wykładanym kołnierzem, mokasyny i sztruksowa marynarka. Wyglądał jak młodzieniec, z tych silnych, nie z tych wrażliwych. Wargi miał stanowczo zaciśnięte, jasne oczy spuszczone, ruchy szybkie i ekonomiczne. Ubrawszy się stanął plecami do Teresy i podniósł na mnie wzrok. Wciąż nic nie czułem - ani chęci mordy, ani bólu, ani złości. Miałem wrażenie, że ten wstrząs zupełnie mnie wymózdzył. Stałem jak kołek i patrzyłem na niego, a on podszedł do mnie, opanowany jak zwykle, i powiedział: - Przepraszam cię. Nie powinienem był tego robić. - Nie krępuj się - usłyszałem swój drżący głos. - Możesz ją sobie zabrać, ty draniu. I zanim ktokolwiek zdążył dodać choć słowo, odwróciłem się i chwiejnym krokiem wyszedłem na ulicę. 4 Padało. Doszedłem do rogu i tam się zatrzymałem, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie jestem. W zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki. Greenwich Village zmieniło się w rozmazany gąszcz jasnych okien, przenikliwych świateł i uciekających przed deszczem ludzi. Potem wydawało mi się, że jestem na Ósmej, gdzieś na zachód od Piątej Alei, choć w ogóle nie pamiętałem marszu spod domu Kevina na wschód. Zaczepiła mnie prostytutka. Nie mogłem zrozumieć, czego ode mnie chce. Przez otwarte w pobliżu okno doleciała piosenka Franka Sinatry. Później uświadomiłem sobie, że znajduję się w metrze śpieszącym z łoskotem ku śródmieściu, ale przy Herald Square ewakuowałem się na powierzchnię, gdyż zaczęło mi się robić niedobrze. Zwymiotowałem do studzienki kanalizacyjnej, potykając się przeszedłem kilkanaście kroków i znowu zacząłem wymiotować. Ludzie patrzyli na mnie, jak gdybym był włóczęgą z Bowery, a po chwili zaczęła mnie inna prostytutka i musiałem przejść na drugą stronę ulicy, żeby się od niej odczepić. Drżąc na całym ciele stałem w powodzi jasnych świateł przed wystawą u Macy'ego i miałem wrażenie, że jestem postacią z wielkiego ponurego malowidła, będącego przeciwieństwem obrazów Teresy. Przedstawiało piekło na ziemi, strzeżone przez betonowe mury i wielkie zaryglowane bramy z napisem "Przejścia nie ma". Jakimś cudem udało mi się złapać taksówkę. - Róg Park Avenue i... - mówiłem niewyraźnie. Wymioty pozostawiły mi w ustach gorzki posmak. Kiedy samochód pomknął Trzydziestą Czwartą Ulicą, spojrzałem w górę, szukając śladów pierwotnej przyrody na mokrym nocnym niebie, lecz zobaczyłem tylko rozjarzoną bryłę Empire State Building, a za nim lunę sztucznych blasków, które miały ukryć mrok świata. Zapłaciłem taksówkarzowi pod domem i jak pijany dowlokłem się do holu. - Sam! Nareszcie! To był Kevin. Dawno już zdążyłem o nim zapomnieć i kiedy się zatrzymałem, moje oczy zaczęły mechanicznie rejestrować oderwane szczegóły jego powierzchowności - sylwetkę, na której nawet sportowa odzież wyglądała wytwornie, cieniutkie zmarszczki w kącikach oczu do dziś obywających się bez okularów, boksyerską szczękę zadającą kłam jego aparycji gwiazdora z poranków filmowych. Przyglądając mu się obojętnie z pozycji nieznanego, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy sobie obcy. Owszem, łączyły nas zwykle młodzieńcze zwierzenia dawno temu w Bar Harbor, od tego czasu jednak ani razu nie rozmawialiśmy ze sobą na jakikolwiek znaczący temat. Spojrzał na mnie i natychmiast domyślił się, co się stało. - Ty głupcze - powiedział. - Chciałem ci tego oszczędzić. - Za bardzo się starałeś. W jego twarzy zaszła

jakaś trudna do określenia zmiana, niweczając maskę dziecka szczęścia, i pierwszy raz w życiu ujrzałem w nim nie hałaśliwego ekstrawertyka, który wydawał najlepsze przyjęcia w mieście, lecz enigmatyczną postać piszącą białym wierszem niezrozumiałe dla mnie sztuki. - Pozwól, że pójde z tobą na górę - rzekł - i zrobię ci drinka. - Chcę zostać sam. - Nie, lepiej nie. Nie w tej chwili. Nie miałem sił się z nim wyklócać, w milczeniu więc pojechaliśmy windą do mojego bocianiego gniazda. Znalazłszy się w jaskini, opadłem na kozetkę, Kevin zaś zajął się rozlewaniem brandy. Dopiero gdy usiadł naprzeciw mnie, uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem mu wdzięczny za to, że ze mną został. Gwałtowne uczucia zaczęły sobie wreszcie torować drogę na powierzchnię, a ich siła przeraziła mnie. Nie byłoby dobrze, gdybym był sam. - Zdaje się, że nagadałem ci bzdur przez telefon - zauważył. - Przypuszczalnie dlatego, że byłem zdenerwowany. - Powiedz mi... Chcę wiedzieć. Dokładnie. - Pojawił się koło ósmej. Teresa gotowała, więc kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, wyszedłem z założenia, że to ty. Nie wzbraniam jej korzystać z kuchni przy okazji ważniejszych randek, jeśli nie ma mnie w domu, a na ten wieczór miałem pewne plany... ale nic z nich nie wyszło. Dlatego mnie zastał. Był bardzo zakłopotany, kiedy otworzyłem mu drzwi, próbował nawet się tłumaczyć, ale mu przerwałem i powiedziałem, że nie mam ochoty go wysłuchiwać, bo mam własne problemy. Potem zamknąłem się w gabinecie i usiłowałem pracować. Nie muszę chyba dodawać, że bezskutecznie. Wypiłem brandy do dna. Kevin ponownie napełnił mi kieliszek. - Posłuchaj, Sam - dodał po chwili. - Zdaję sobie sprawę, że jest to nieszczęście katastrofalnych rozmiarów, ale jeżeli między tobą a Teresą naprawdę zrodziło się coś poważnego, jeśli, na miłość boską, możecie to jeszcze naprawić... nie, posłuchaj mnie! Słuchajże! Jedynym elementem, który da się wyróżnić w tym galimatiasie, jest to, że cała ta sytuacja jest nie tylko potworna, jest niewytłumaczalna. Zamyślił się na moment. - Tak - podjął - zupełnie niepojęta! Zastanów się przez chwilę. Obaj znamy Neila na tyle dobrze, by wiedzieć, że choć może się to wydać niewiarygodne, w przeciwieństwie do Jake'a nie jest przeciętnym milionerem, który rutynowo zalicza, co tylko wpadnie mu w oko. Neil jest monogamistą. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby zdradził Alicję? - Nie. Nigdy. - No właśnie. Musisz przyznać, że zachował się osobliwie. A postępek Teresy także budzi zdumienie. Zważywszy, do jakiego stopnia jest pochłonięta pracą, zwyczajnie nie ma czasu, nie mówiąc już o ochocie, poświęcać się lubieżnym praktykom na jakąś większą skalę. Próbowałem zrozumieć, o czym mówi, lecz przerastało to moje siły. - Do czego właściwie zmierzasz? - Usiłuję powiedzieć, że moim zdaniem dzisiejszy epizod zakrawa bardziej na odosobniony wybryk niż na prolog wielkiej namiętności. - Chyba się mylisz - powiedziałem. Wargi stawiały mi opór i nadal miałem trudności z formułowaniem słów. - Myślę, że zakochała się w nim do szaleństwa. - Dlaczego? - Pokazała mu swoje obrazy - ledwie wydobywałem z siebie głos. Moja dłoń odruchowo sięgnęła po kieliszek brandy. - Jezu Chryste! - rzekł Kevin z niesmakiem. - Czy ona nie widzi, że Neil to największy filistyn, jakiego nosił ten świat? Postrzega sztukę wyłącznie w kategoriach książeczki czekowej i rocznego bilansu! W przedpokoju rozległ się brzęczyk i obaj podskoczyliśmy. Kieliszek niechcący wierzgnął mi w dłoń, a brandy pociekła na stół. - Zostań tutaj - rzekł Kevin. - Ja się tym zajmę. Mimo to wyszedłem za nim z pokoju. - Tak? - rzucił Kevin, podnosząc słuchawkę domofonu. Potem umilkł. Niczego nie mogłem dośłyszeć, postanowiłem więc podejść bliżej, kiedy Kevin oznajmił sucho: - Przyjmij moją radę i zjeżdżaj. Sam jak na jeden wieczór dość już dzisiaj przeszedł. Wyrwałem mu słuchawkę. - Teresa? Odpowiedziało mi chrząknięcie Korneliusza. - Wejdz na górę - rzekłem i przerwałem połączenie. Kevin spojrzał na mnie sceptycznie. - Jesteś pewien, że powinieneś w tej chwili z nim rozmawiać? - Tak. Mam ochotę go zabić, ale tego nie zrobię. Teraz nawet się cieszę, że byłem zbyt wstrząśnięty, żeby uderzyć go tam, na strychu. Myślę, że masz rację, Kevin. Musi być jakieś wyjaśnienie. Po prostu nie mogę uwierzyć... - przerwałem, żeby otrzeć pot z czoła, lecz po chwili zdołałem opanować głosem powiedzieć: - Nie wrócę do pracy u Van Zale'a. To

już skończone, tak samo jak moja przyjaźń z Neilem. Gdybym tylko mógł zabrać Teresę do Niemiec, może... - Zabrać Teresę do Niemiec? - Tak. Chcę pracować dla ECA. Rekrutują bankierów inwestycyjnych do pomocy przy przebudowie Niemiec. Będę współtworzył nową Europę. Na pewno wszystko się w końcu ułoży. - Ależ, Sam... Sam, Teresa nie będzie w stanie pracować, jeśli wywieziesz ją z Ameryki i izolujesz w jakimś kraju, gdzie nie będzie się nawet mogła z nikim porozumieć! - Przecież nie będzie sama! Ożenię się z nią, jasne, że się z nią ożenię! Będziemy mieli nowy ładny dom z nowoczesną kuchnią, w której będzie mogła gotować swoje kreolskie potrawy, i troje albo czworo dzieci, i... dlaczego tak na mnie patrzysz? Rozległ się dzwonek. Odwróciłem się gwałtownie od Kevina i otworzyłem drzwi. Korneliusz przeszedł obok mnie bez słowa i z miną zmarzniętego delikatnego dziecka zatrzymał się pod lampą na środku przedpokoju. Ręce miał wciśnięte głęboko w kieszenie spodni i kulił się w sztruksowej marynarce, jak gdyby temperatura na zewnątrz spadła poniżej zera. - Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? - spytał nie patrząc na Kevina. - Nie. - Ale... - Nie, do cholery! Przestań się ze mną sprzeczać i włącz do jaskini! Weszliśmy wszyscy do jaskini. - Może brandy, Neil? - zaproponował Kevin. - Nie, dziękuję. Kevin, u diabła, jak się w to wdałeś? - Mógłbym ci zadać to samo pytanie! Właśnie przed chwilą zgodziliśmy się z Samem, że to, iż znalazłeś się w łóżku z Teresą, jest zgoła niewytłumaczalne. Jak do tego doszło? Korneliusz odwrócił się do mnie. - Sam, czy naprawdę musimy roztrząsać nasze prywatne problemy przy kimś, kogo kobiety nie interesują i w związku z tym nie pojmie z naszej rozmowy ani słowa? - Ależ kobiety niezmiernie mnie interesują - powiedział Kevin, zbierając się do wyjścia. - Przypuszczalnie nawet bardziej niż was. Przyznaję jednak, że nigdy nie byłem zainteresowany uwiedzeniem dziewczyny mojego najlepszego przyjaciela. Tego rodzaju rozrywki pozostawiam takim jak wy. - Zostań - wtrąciłem. - Neil próbuje się ciebie pozbyć, bo zaplanował sobie tę rozmowę zakładając, że nie będzie przy niej osób trzecich. Korneliusz nagle przysiadł na brzeжку kozetki, Kevin zaś bez słowa przyniósł z salonu trzeci kieliszek i nalał wszystkim brandy. Piliśmy w milczeniu. Widząc, że największe tempo przybrał Korneliusz, poczułem się trochę lepiej. Kiedy byłem już w stanie zapanować nad nerwami, odezwałem się: - No dobra, słucham. Mów. Tylko mów prawdę, bo jeśli zaczniesz łąć, to cię... - Dobrze - rzekł szybko Korneliusz. - W porządku. Czekałem. Kevin też czekał. Korneliusz miał coraz bardziej zgnębioną minę, w końcu jednak powiedział: - To wszystko stało się właściwie przez przypadek. Byłem podminowany. Problemy osobiste. Ale chciałbym od razu wyjaśnić, że kocham moją żonę, i jeżeli sądzicie, że mam zamiar się rozwieść, grubo się obaj mylicie. Nikt nie zaprotestował. W dalszym ciągu piliśmy i czekaliśmy. - Musiałem z kimś porozmawiać - ciągnął Korneliusz - choć nie za bardzo wiedziałem, z kim. Może powinienem był iść do prostytutki, ale właściwie nie miałem ochoty na seks, a poza tym nie pochwalam takich rzeczy. W końcu zdecydowałem, że wpadnę do ciebie, Kevinie, bo ty jakoś zawsze umiałeś mnie pocieszyć, kiedy byłem przygnębiony... - Zdecyduj się - przerwał mu Kevin. - W jednej chwili zachowujesz się tak, jak gdyby moje preferencje seksualne czyniły ze mnie trędowatego, a w następnej mówisz, że łąknąłeś mojego towarzysza. - Do licha! Słuchaj, przepraszam cię... - W porządku, oszczędź sobie. Mów dalej. Chciałeś ze mną porozmawiać, więc przyszedłeś do mnie i zapytałeś o Teresę. Ciekawe, jak to wytłumaczysz? - Pytałem, gdzie jest, bo chciałem z tobą porozmawiać bez świadków! Ale ty byłeś w takim pasukudnym humorze, że nawet nie dałeś mi szansy cegokolwiek wyjaśnić! - To wszystko brzmi tak nieprawdopodobnie - orzekł Kevin - że chyba musi być prawdą. A czy byłbyś łaskaw nam wyjaśnić, dlaczego, jeśli twoja wizyta była tak spontaniczna, Teresa spędziła w kuchni minimum dwie godziny, gotując dla ciebie kolację? - Nie sądzę, że gotowała dla kogoś konkretnego. Powiedziała, że traktuje to jak terapię - lubi gotować, kiedy praca kiepsko jej idzie. Mówiła, że ostatnio wszystko ją wpędza w depresję, do tego stopnia, że nawet odwołała jakąś uroczystą randkę z tobą, Sam... - ...więc usiedliście sobie w kuchni - wpadłem mu w słowo, z przykrością wspominając resztki "filé

gumbo" i butelkę kalifornijskiego wina - i zjedliście razem kolację. - Kuchnia jest dosyć daleko od poddasza - zauważył cynicznie Kevin. - I co dalej? - W sumie nie miałem specjalnie o czym z nią rozmawiać, ale byłem jej wdzięczny za gościnne przyjęcie, więc czułem się w obowiązku bąknąć parę słów. Zapytałem ją, czy widziała retrospektywną wystawę Braque'a w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, potem przez jakiś czas rozmawialiśmy o nowo- czesnym malarstwie i napomknąłem o płótnie Kandinsky'ego, które właśnie kupiłem do biura... - No dobra, to już wiemy. Plotkowaliście o sztuce. I wtedy zaprosiła cię na górę, żeby pokazać ci swoje obrazy? - Błąd - odparł Korneliusz. - Nic podobnego. Opowiadała jakieś bzdury, że niby jej obrazy nie są na tyle dobre, aby je komukolwiek pokazywać. Byłem dosłownie oszołomiony. Jezu, jak pomyślę o tych wszystkich nowojorskich artystach, co to na siłę wypychają mi do gardła swoje wypociny... a tu nagle spotykam dziewczynę, która najwyraźniej wołałaby umrzeć, niż pokazać mi swoje prace. "To kicz - powtarzała. - Zwyczajnie kicz." "I co z tego - ja na to. - W artystycznym świecie oglądałem już sporo kiczu. Wcale mnie to nie przeraża." Ruszyłem po schodach na poddasze. Pobiegła za mną i przez całą drogę bez przerwy jęczała, że to bezużyteczne śmieci, ot, trzeciorzędny Norman Rock- well. Ta jej nieśmiałość wydała mi się urocza... Tak czy owak wlałem na strych, żeby rzucić okiem na jej obrazy, i okazało się, że wcale nie są złe. Prawdę mówiąc, niektóre bardzo mi się podobały. To amerykański prymitywizm, rzecz jasna, ale sam rysunek wykazuje silne wpływy klasyczne. Powiedzia- łem: "Twoje prace przypominają mi Breughla", a ona wykrzyknęła: "To najwspanialszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam", i nagle... czy ja wiem... Była taka słodka i rozgorączkowana... łóżko stało tuż obok i... po prostu stało się. Korneliusz umilkł. Kiedy nikt się nie odezwał, wychylił swoją brandy do końca. - Oczywiście to było niewybaczalne - powiedział. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, być może poza tym, że byłem zdenerwowany i wytrącony z równowagi przez swoje osobiste proble- my... Moja cierpliwość się wyczerpała. Skoczyłem na równe nogi. - Chcesz mi wmówić, że to już wszystko? - zapytałem trzęsącym się z wściekłości głosem. - Naprawdę sądzisz, że dam się nabrać na tę bajeczkę? Oczy Kevina rozszerzyły się. Bładość Korneliusza przybrała chorobliwy odcień. - Mówiłem ci, żebyś nie łąał! - krzyknąłem. - Ostrzegałem cię! Kevin na wszelki wypadek stanął między nami. - Spokojnie, Sam. Skąd jesteś taki pewien, że on kłamie? - Zgrabnie połączył w jedną historyjkę dwie różne okazje! - odepchnąłem go łokciem. - Pierw- szy raz spałeś z nią tej samej nocy, kiedy ją poznałeś, prawda? - wrzasnąłem na Korneliusza. - Spałeś z nią w zeszłą środę! To wtedy Alicja dowiedziała się ode mnie, że chciałeś mnie ożenić z Vicky, i z rezultacie wybuchła między wami potworna awantura! A nazajutrz rano, czyli w czwartek, omal nie umarłeś na astmę w swoim biurze, kiedy ci powiedziałem, że mam zamiar ożenić się z Teresą. Dała ci do zrozumienia, że jej związek ze mną jest już nieaktualny, a ty uznałeś, iż była to w równym stopniu moja decyzja jak jej, i nagle z przerażeniem odkryłeś, że moje uczucie do niej jest o wiele silniejsze, niż kazano ci wierzyć! Byłeś tak przepelniony skruchą, że składałeś się w scyzoryk, byle mi tylko do- godzić, mówiłeś, że mam zapomnieć o tej aferze z Vicky, nie martwić się katastrofą z Hammaco, ofe- rowałeś mi swój samolot, żebym spędził weekend na Bermudach... - Racja - powiedział Korneliusz. - Święta racja. Absolutnie wszystko się zgadza. Tak właśnie było. To ona do tego doprowadziła, bo roztoczyła przede mną fałszywy obraz sytuacji. Nigdy rozmyś- lnie nie odbiłbym ci Teresy, Sam. Przysięgam. - Jeśli to prawda, skurwysynu, to dlaczego znowu dziś tam polazłeś, skoro wiedziałeś ponad wszelką wątpliwość, co do niej czuję? - Bo sama mnie zaprosiła. Tym razem Kevin musiał mnie przytrzymać, inaczej bym go uderzył. Z ust płynęły mi bezładnie niemieckie słowa, których nikt nie rozumiał. Staralem się znaleźć właściwe zwroty, lecz na próżno. Wszystko mi się splątało. W końcu dałem za wygraną, opadłem na kozetkę i ukryłem twarz w dło- niach. - Nie chciałem ci tego mówić - rzekł Korneliusz - bo wiedziałem, że cię to zabol. Dlatego uda- wałem, że to, co w rzeczywistości zaszło w środę, miało miejsce dzisiaj. W środę było tak, jak mówi- łem, z tą różnicą że ty,

Kevinie, położyłeś się spać, a Teresa sprzątała w kuchni po tej jambalaj i za- miast na "filé gumbo", zaprosiła mnie na kawę. Jak już powiedziałem, dla mnie to był przypadkowy incydent i dałem sobie słowo, że się nie powtórzy. Ale wczoraj wieczorem, kiedy siedziałem w biu- rze... ty już poszedłeś do domu... - Korneliusz zawahał się. - Zadzwoiła do mnie i zaprosiła mnie na dziś na kolację. Powiedziałem: "Odważna jesteś", ona jednak miała inne zdanie. "Nie jestem własno- cią żadnego mężczyzny - odparła. - Robię to, na co mam ochotę. Żal mi Sama, bo to miły facet, ale on nie jest i nigdy nie będzie dla mnie." Ja na to: "Zgoda, skoro tak uważasz, chociaż powinnaś, do licha, wszystko z nim wyjaśnić, żeby chłop wiedział, na czym stoi." "Jasne - przytaknęła -tylko że ja go lubię i nie chcę mu sprawiać większej przykrości niż to konieczne. Powiem mu, jak trafię na właściwy mo- ment." Poradziłem, żeby się z tym pośpieszyła, i odłożyłem słuchawkę. Potem zacząłem się kręcić po pokoju i myśleć o tym wszystkim. Wiedziałem, że głupio robię. Wiedziałem, że byłoby lepiej, gdybym dał jej spokój. Ale widzisz, mam pewne problemy... - znów urwał. - Nie chcę się zagłębiać w szczegó- ły. Nastąpiła cisza. Nagle poczułem się bardzo, bardzo zmęczony, tak zmęczony, że nawet nie byłem w stanie dłużej się na niego złościć. Możliwe, że sam postąpiłbym tak samo, gdybym opierał się na równie fałszywych przesłankach. Skłonny byłem uwierzyć, że oszukał mnie tylko dlatego, żeby oszczędzić mi dalszych zgryzot. O ileż łatwiej byłoby mi uważać go za stronę atakującą, a Teresę je- dynie za pełną skrupułów zdobycz. Myśl, że w rzeczywistości role się odwróciły, była dla mnie nie do zniesienia. - Nie będę jej już więcej odwiedzał - zakończył Korneliusz. - Nie mógłbym. Nie po tym, co za- szło. Powtórzyłem słowa wypowiedziane na poddaszu: - Jest twoja. Możesz ją sobie wziąć. - Uważam, że powinienes pomówić z Teresą, zanim wyrobisz sobie ostateczny sąd - wtrącił sta- nowczo Kevin. - Kevin, czy nie rozumiesz, że pokazano mi drzwi tak dosadnie, jak to tylko możliwe? Gdyby to nie był Neil, znalazłby się kto inny. Najwyraźniej Teresa dojrzała już do odmiany. Chyba podświado- mie domyślałem się tego od chwili, gdy zaczęła znajdować wymówki, żeby się ze mną nie spotykać. - Tak, ale... - Kevin z roztargnieniem odgarnął włosy do tyłu. - Jest mnóstwo rzeczy, których w tym wszystkim nie rozumiem - powiedział w końcu. - Wiemy już, że Neil ma jakieś tam osobiste problemy, które sprawiają, że zachowuje się nietypowo, ale nadal nie wiemy, dlaczego Teresa rów- nież postępuje dziwnie, dlaczego w tak haniebny sposób wystawia cię do wiatru, przygotowując ci rogi z twoim najlepszym przyjacielem? Tego właśnie zupełnie nie mogę zrozumieć. Byłem tak wyczerpany, że ledwie starczyło mi sił, by wzruszyć ramionami: - Neil potrafi z nią rozmawiać o sztuce. Jest przystojniejszy ode mnie. Może to po prostu kwes- tia wymiany zeszlorocznego samochodu na najnowszy sportowy model? Kevin milczał przez chwilę, a potem rzekł łagodnie: - Sam, czy ty jesteś pewien, że w ogóle ją znasz? Teresa nie jest jedną z tych łatwych dziew- czyn, które beztrudno zamienią cię na innego faceta tylko dlatego, że jest przystojniejszy i ładnie mówi o sztuce! To skomplikowana kobieta, która z powodów, jakich nawet nie próbuję się domyślać, mu- siała dojść do wniosku, że Neil pomoże jej rozwiązać pewne problemy o wiele lepiej niż ty. Odstawił kieliszek i ruszył w stronę drzwi. - Jedź do Niemiec, Sam - dodał, nie patrząc na mnie - i przygruchaj sobie jedną z tych słynnych kobietek, które mają w głowie tylko Kinder, Küche i Kirche. Wierz mi, nigdy nie będziesz szczęśliwy z kimś takim jak Teresa. Nie potrafisz przewidywać konfliktów mających źródło w pracy twórczej, a nawet gdybyś potrafił, wątpię, czy umiałbyś się z nimi uporać. Chodź, Neil, idziemy. Najwyższy czas, żebyśmy dali Samowi ochłonać. Korneliusz obejrzał się jeszcze w przedpokoju. - Sam, chyba dojdziemy do zgody, prawda? Wiem, że stała się rzecz straszna, ale... - Och, na litość boską, wynoście się stąd i dajcie mi wreszcie spokój! Posłusznie powłókł się dalej, mała smętna figurka z nosem spuszczonej na kwintę. Gdy wyszli, stałem w przedpokoju, póki nie usłyszałem skrzypienia zjeżdżającej na parter win- dy, a kiedy narastająca cisza stała się nie do zniesienia, chwiejnym krokiem ruszyłem w kierunku bu- telki brandy, która mogła oddalić ode mnie ból. 5 Przyszła do mnie nazajutrz. Miała na

sobie schludny czarny kostium, białą bluzkę z żabotem i czarny kapelusik z piórkiem. W pierwszej chwili jej nie poznałem. Miałem kaca i nie myślałem zbyt jasno, dlatego na dźwięk jej głosu w domofonie ogarnęła mnie pewność, że chce do mnie wrócić. Dopiero gdy ujrzałem ten oficjalny strój, uświadomiłem sobie, że naszego romansu nie da się już wskrzesić. - Cześć - bąknęła nieśmiało, mnąc w dłoniach pasek torebki. - To ładnie z twojej strony, że po- zwoliłeś mi wejść. Obiecuję, że nie zajmę ci wiele czasu. Niezdolny wykrztusił słowa, otworzyłem szerzej drzwi. Kiedy mnie mijiała, z trudem się po- wstrzymałem, by jej nie porwać w ramiona. Zanim jednak zdążyłem się ruszyć, powiedziała cicho: - Przyszłam, bo jestem ci winna dwie rzeczy: przeprosiny i wyjaśnienie. Zaciągnąłem szczelnie zasłony swojej duszy, żeby nie domyśliła się, jak bardzo cierpię, i nagle zrozumiałem, że mój tak zwany "zawodowy urok" był niczym więcej jak tylko zbroją chroniącą mnie przed pociskami, których nie szczędziło mi życie. Próbowałem ją zrzucić, lecz okazało się to niemoż- liwe. Wrosła we mnie jak przeszczepiony płat skóry; gdybym ją zdarł, wykrwawiłbym się na śmierć. - No cóż, przydałoby się jakieś skromne "przepraszam" - stwierdziłem, uśmiechając się do niej dobrodusznie. - Jestem ci wielce zobowiązany. - Nie zamierzam przeproszać cię za to, że spałam z Korneliuszem - oznajmiła uprzejmie Teresa. Nie istnieje zbroja, której nie można przebić. Odwróciłem się pokonany. - Wejdz do salonu i usiądź - powiedziałem, dokonując nadludzkich wysiłków, by mój głos brzmiał grzecznie i spokojnie. - Przepraszam cię za mój wygląd. Będę musiał zacząć wcześniej wsta- wać w niedziele. Napijesz się kawy? - Nie, dziękuję. Weszliśmy do salonu. Pewną ręką podałem jej ogień i sam też zapaliłem. Na dworze znów pada- ło. Widziałem, jak moje rośliny na tarasie połyskują mokro i chwieją się w podmuchach zimnego wia- tru pędzącego wzdłuż Park Avenue. - Chciałam cię przeprosić za to, że nie byłam wobec ciebie szczerą - odezwała się Teresa. - Za to, że zwodziłam cię różnymi wymówkami, zamiast powiedzieć ci prawdę. Okazałam się tchórzem, Sam. Wolałabym myśleć, że nie byłam ci w stanie tego powiedzieć, bo cię naprawdę lubiłam i wiedzia- lam, jak bardzo ci na mnie zależy. Na pewno była to jedna z przyczyn mojego tchórzostwa. Ale jest jeszcze coś. Nie potrafiłam znieść prawdy o sobie. Wiesz, wszyscy żywimy nasze drobne złudzenia i czasami nie jest je łatwo odrzucić i stawić czoło światu bez broni i nago. - Rozumiem. - Doprawdy? Nie jestem taka pewna. Tak czy owak, to wszystko, co się dotyczy przeprosin, a te- raz przechodzimy do wyjaśnień. Najchętniej powiedziałabym: "Och, nigdy mnie nie rozumiałeś!", ale sprawa nie jest aż tak prosta. Myślę, że w teorii rozumiesz mnie całkiem dobrze - problemy imigranta z Europy, robotnicze pochodzenie, chęć wybicia się w Nowym Jorku, ciągła presja, w wyniku której musisz rezygnować ze swoich zasad, żeby iść do przodu... - urwała na chwilę, po czym podjęła rów- nym głosem: - Wszystko to rozumiesz. Ale zachowujesz się jak dziecko, które próbuje podliczać słupki, zanim się nauczy dodawać. Rozpoznajesz cyfry, ale nie potrafisz ich zsumować. - Nie jestem pewien, czy za tobą nadażam. - Pozwól, że podam ci przykład. Teoretycznie wiesz, jak ważna jest dla mnie moja praca. W praktyce jednak wciąż traktujesz mnie tak, jakbym była w stanie prowadzić normalne życie, i zu- pełnie nie umiesz zaakceptować mojego prawdziwego "ja". Kiedy zaproponowałeś mi małżeństwo, nie oświadczyłeś się mnie, prosiłeś o rękę kobietę, w którą twoim zdaniem powinnam się zmienić. - Ależ to nieprawda! Wcale nie próbowałam cię zmienić, Tereso! Nigdy nie ośmieliłbym się żądać, żebyś zrezygnowała z malarstwa! Zawsze respektowałam twoją karierę! - O Jezu, Sam, tak gładko przechodzi ci to przez gardło, a w rzeczywistości nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz! Respektujesz moją karierę? Jasne! Tyle tylko, że zawsze musiałyby ustąpić twojej karierze, temu, czego ty chcesz i co ty uważasz za najlepsze dla naszego małżeństwa! - No cóż, to normalne, że w małżeństwie musi istnieć pewna hierarchia ważności... - Dla mnie ważne jest tylko jedno, Sam: moja praca. I dlatego nie mam ochoty mieszkać z kimś, być panią domu i przedkładać interes męża ponad swój własny, jak powinna robić dobra żona. Może zdołasz zrozumieć to, co ci próbuję wyjaśnić, kiedy powiem, że pęd do pracy jest u mnie silniejszy niż pociąg

płciowy. Lubię seks, trudno go czymkolwiek zastąpić, i oczywiście czasami mi go brakuje, ale nawet gdybym musiała się obejść bez mężczyzny, jakoś to przeżyję. Za to bez pracy nie wytrzymam na pewno. Właśnie dlatego ostatnio czułam się tak podle. Przez te osobiste rozterki zupełnie nie mogłam pracować - nie jestem w stanie niczego stworzyć, jeżeli psychicznie znajduję się w rozsypce. Teraz wreszcie się pozbierałam na tyle, by zaakceptować siebie taką, jaka naprawdę jestem. I nie sądzę, że to było łatwe. Nie było. - Nic nie rozumiem. Chcesz powiedzieć... - Chcę powiedzieć, że łatwiej jest iść za większością, udawać, że jest się taką samą jak inne, i czekać, aż pojawi się ten wymarzony, a kiedy w końcu zabrzmi marsz weselny, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko inne zblednie w blasku małżeńskiego szczęścia. Chcę powiedzieć, że o wiele łatwiej jest udawać, iż ma się w sobie zadatki na idealną kobietę, słodką, oddaną i uległą. Ale ja nie jestem słodka, oddana i uległa, Sam. Co więcej, nigdy się taka nie stanę. Nie mam zamiaru się zmieniać, a kiedy już to sobie uświadomiłam, zrozumiałam też, że nie chcę takiego mężczyzny jak ty. Myślałam, że jest inaczej. Wmawiałam sobie, że mi na tobie zależy. Ale nie mogę brać sobie na kark sympatycznego faceta o normalnych rodzinnych ciągach. Potrzebuję kogoś, kto pogodzi się z tym, że zawsze będzie musiał ustąpić przed moją pracą, kto już ma żonę i rodzinę, jakiej ja mu nie stworzę, i kto zechce zostać kochankiem na przychodne - innymi słowy, taki sam egoista jak ja. Potrzebny mi ktoś w rodzaju Korneliusza. Po dłuższej chwili wstałem i podszedłem do okna. Deszcz wciąż zaczął, a szczyty wieżowców tonęły w chmurach. W końcu, spoglądając przez mgłę w kierunku Wall Street, rzekłem: - Chcę wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. - Nie jestem pewna, czy powinnam z tobą rozmawiać o Korneliuszu. - Nie interesują mnie jego wyczyny w łóżku. Po prostu chcę wiedzieć, jak do tego doszło. - Zdjąłem okulary i zacząłem polerować szkła. - Między nami zapewne wszystko skończone - podjąłem - ale muszę się najpierw z tym pogodzić, zanim będę w stanie zająć się czymkolwiek innym, a nie mogę się z tym pogodzić, dopóki nie poznam całej prawdy. Zaczynam wierzyć, że to, co się stało, było nieuchronne, ale muszę być pewien, rozumiesz? Proszę cię, przecież nie kazałbym ci o tym mówić, gdybym w głębi duszy nie czuł, że to ważne. - No cóż... czy mogłabym się czegoś napić? - Jasne - zerknąłem na zegar i zdziwiłem się, że wskazuje południe. - Czego ci nalać? - Dzikiego Indyka pewnie nie masz, co? Roześmialiśmy się uprzejmie - dwoje obcych ludzi, wspominających zdarzenie z dawno minionej przeszłości. - Co powiesz na martini? - Może być. Zmieszałem dwa bardzo wytrawne martini, dodałem do nich mnóstwo lodu i po trzy oliwki na szklanekę. Nie miałem najmniejszej ochoty na drinka, wiedziałem jednak, że będzie skutecznym lekarstwem na kaca, a chciałem myśleć jasno. - Pamiętasz, że w zeszłą środę nie chciałam cię zaprosić na poddasze? zapytała Teresa. - Pamiętam. - Po twoim wyjściu wróciłam na górę i próbowałam na nowo wziąć się do pracy, ale to był beznadziejny wysiłek. W końcu dałam za wygraną i zeszłam na dół, żeby posprzątać ten bałagan w kuchni, i kiedy tak szarpałam się nad zlewem, czułam się gorzej niż kiedykolwiek w życiu. Usiadłam i pomyślałam: "Mam dwadzieścia pięć lat, jestem bez grosza i zmierzam donikąd." Nie mogłam nawet udawać, że przymieram głodem dla mojej sztuki, bo już od jakiegoś czasu żyłam na koszt Kevina. Te go ranka dał mi dwa tygodnie na znalezienie pracy i przejście na własny garnuszek, ale faktem jest, że w tym konkretnym momencie byłam jego utrzymanką. To, że jest homoseksualistą, niczego nie zmienia, może tylko pogarsza sytuację, bo brałam od niego pieniądze, nie dając niczego w zamian. Pomyślałam: "Ależ ze mnie oszustka! Hipokrytka, która chełpi się przed tobą własną niezależnością, a za twoimi plecami bierze szmal od Kevina..." Jakże ja sobą gardziłam! Teresa umilkła na chwilę. - Potem przyszedł Korneliusz. Pora była dość późna. Kiedy mu powiedziałam, że Kevin już się położył, stwierdził, że to nic nie szkodzi, i poprosił mnie o filiżankę kawy. Zupełnie nie potrafiłam go rozgryźć. Miałam wrażenie, że jego stan emocjonalny uniemożliwia mu prowadzenie rozmowy. Siedział bez słowa przy kuchennym stole i pił kawę. Było w tym coś niesamowitego. W zwykłych okolicznościach czułabym

skrepowanie, ale byłam do tego stopnia wytracona z równowagi, że pomyślałam tylko: "A, do diabła z nim!" i nie wysilałam się na żadne grzeczności. I nagle ni stąd, ni zowąd za- pytał: "Widziałas tego Braque'a, który wisi u Sama w salonie?", a ja odpowiedziałam: "Widywałam już lepsze". Potem przez jakiś czas mówiliśmy o malarstwie. Nie wiem, dlaczego Kevin uważa go za filistyna, bo może Korneliusz nie potrafi utrzymać pędzla, ale chyba ma dobre oko w malarstwie, a już z pewnością rozmawia o sztuce sensowniej niż większość ludzi. W końcu zapytał o ciebie i ja mu po- wiedziałam - po raz pierwszy odważyłam się wypowiedzieć to na głos - że to nie ma sensu i że mam zamiar z tobą zerwać. On na to: "Świetnie! To może pokażesz mi swoje obrazy?", i oboje zaczęliśmy się śmiać, bo to był taki banał, jedna z wersji tego starego numeru ze znaczkami. Kiedy powiedziałam, że na pewno mu się nie spodoba, odparł: "Możemy spróbować". Nie potrafię opisać, co w nim zobaczyłam, ale nagle ogarnęło mnie przecucie, że on jest kimś w sam raz dla mnie, więc powiedzia- lam: "Czemu nie?" i zaprowadziłam go na górę. Z tych nerwów przez cały czas o czymś gadałam, na- tomiast on wcale nie był zmieszany, i wtedy uświadomiłam sobie, że to uczucie jest wzajemne, że z jakichś przyczyn uznał, że ja jestem kimś w sam raz dla niego. Teresa znów urwała. - Tak ładnie o nich mówił... - podjęła. - Bardzo ładnie... trudno to wyjaśnić, ale był szczery. Nie słuchałabym go nawet przez moment, gdyby wciskał mi kit. - Rozumiem - powiedziałem po chwili. Teresa niezgrabnie zdusiła papierosa i wstała. - Właściwie nie mam już nic więcej do powiedzenia, poza tym muszę lecieć... Wybacz mi, Sam. Wiem, że potraktowałam cię podle, i bardzo mi przykro, że sprawiłam ci ból. Mam nadzieję, że wkrótce sobie kogoś znajdziesz. Wstałem również, żeby odprowadzić ją do drzwi. - Chciałbym cię prosić o pożegnalną przysługę - rzekłem opanowanym głosem. - Czy mógłbym kupić jeden z twoich obrazów? Podobał mi się ten z hałdą w tle i białym kościółkiem na wzgórzu. Zapadła absolutna cisza. Odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć. Stała bez ruchu, ja zaś pomyśla- łem beznamiętnie, jak dziwnie wyglądamy tym razem - ona taka schludna w czarnym dobrze skrojo- nym kostiumie, ja taki niechlujny w wymiętym szlafroku. Nagle zaczęła płakać. Łzy wezbrały jej w oczach i spłynęły po policzkach, lecz nie odezwała się ani słowem. - Już sprzedany? - spytałem. Pokiwała głową i zaczęła grzebać w torebce, szukając chusteczki do nosa. - Ile kupił? - Wszystkie. - Kiedy wystawa? - Jesienią... w jego galerii... Kompletuje zbiór amerykańskich prymitywów. - Aha. Gratulacje. - Och, Sam, kochanie... - Nie bój się - powiedziałem. - Nie będę pytał, czy obiecał ci tę wystawę, zanim poszedł z tobą do łóżka, czy potem. Żegnaj, Tereso, Może nie skończyliśmy w jednym łóżu, ale z pewnością jedzie- my na tym samym wozie. Jeśli droga stanie się zbyt wyboista, zadzwon, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci jakoś pomóc. Uwierz mi: każdy, kto jest własnością Korneliusza Van Zale'a, zasługuje na wszelką pomoc, jaką tylko może uzyskać. 6 Kupił ją. Wziąłem pryznic, ogoliłem się i ubrałem w najlepszy popielaty garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i założyłem ulubiony ciemnoniebieski krawat. Mógłbym mu wybaczyć, gdyby ich związek narodził się z nagle uświadomionej wspólnoty zain- teresowań, jak namiętność do sztuki. Mógłbym mu wybaczyć, gdyby - co mało prawdopodobne, lecz niewykluczone - od pierwszego wejrzenia szaleńczo się w niej zakochał. Mógłbym mu nawet wyba- czyć, gdyby odkrył w tym związku magiczną formułę zapewniającą mu zadowolenie z sypialnianych igraszek w stopniu, jakiego nie mógł osiągnąć gdzie indziej. Ale Korneliusz był bogaty. Był przystoj- ny. Mógł zdobyć każdą kobietę, jakiej zapragnął, wiedziony zmysłowym kaprysem, którego jego żona widocznie nie była w stanie zaspokoić. Nie musiał zabierać mi Teresy, niszczyć cech sprawiających, że była niepowtarzalna, i zmieniać jej w niezgrabną zakłopotaną kobietę w czerni, której w pierwszej chwili nie poznałem. Prawda wyglądała inaczej: zobaczył ją, uznał, że jest zabawna, więc ją nabył, mniej więcej w ta- ki sam sposób, w jaki nabył płótno Kandinsky'ego wiszące nad kominkiem w jego gabinecie. Przy- pomniał mi się Paul Van Zale, któremu obsesja władzy kazała utrwalić własne cyniczne sądy na po- datnych czystych tabliczkach młodych umysłów jego protegowanych.

Zrozumiałem, jakim byłem głupcem, wciągając Teresę w plugawy świat Paula i oczekując, że pozostanie bez skazy. Pomyślałem szyderczo, że przez długi czas małżeństwo z nią nie mieściło mi się w głowie, ponieważ uważałem, że nie będzie pasować do tego świata. Teraz, dzięki Korneliuszowi, dopasowała się do niego aż za dobrze. Zawiązałem krawat. Wyszczotkowałem włosy i zrobiłem przedziałek w miejscu, gdzie wyglądał najkorzystniej, a kiedy skończyłem, krytycznie obejrzałem się w lustrze. Byłem doskonale ubrany, świetnie utrzymany i pozostawałem w idealnej harmonii z moim wzorcowym mieszkaniem. Wyszedłem z sypialni i wróciłem do salonu, żeby dokończyć drinka. Deszcz przestał padać i chmury uniosły się znad lśniącej iglicy budynku Chryslera. Przez chwilę patrzyłem w okno, jak gdybym spoglądał w przeszłość, szukając w niej młodzieńca, którym byłem ongiś w Bar Harbor. Jednakże ów młodzieniec dawno przepadł, początek mego życia pozostał jedynie niewyraźnym wspomnieniem, a drogę powrotną do tamtego świata zagradzał mi brud, przez który brnąłem w pogoni za swoim amerykańskim marzeniem. Nie da się wrócić do przeszłości. Może zdolałbym ją dogonić z Teresą, lecz Teresa odeszła, pochłonęło ją bagno i teraz już bez cienia wątpliwości wiedziałem, że niezależnie od tego, ile razy w przyszłości trafię do Bar Harbor, nigdy już nie wrócę do domu. Przeszłość została zamknięta jak wieko grobowca. Pozostawała przyszłość. Myślałem wyłącznie o jednym. - Tak łatwo się z tego nie wykręci - powiedziałem na głos do budynku Chryslera. A do siebie dodałem: - Zmuszę go, żeby za to zapłacił. Niemcy mogą poczekać. I tak w końcu tam pojedę i będę usiłował naprawić błędy przeszłości, bo wiedziałem, że muszę to zrobić, ale o pomoc nie zwrócę się do ECA: zażadam spełnienia marzeń od Korneliusza Van Zale'a. Przypomniała mi się często powtarzana przez niego maksyma: "Kiedy chcesz rozprawić się z wrogiem, zawsze celuj w jego piętę achillesową." Pomyślałem o achillesowej pięcie Korneliusza. Myślałem o niej już od pewnego czasu. To jasne, że jej nie skrzywdzę. Jakżebym mógł! To rozkosz opiekować się kimś tak ślicznym, miłym i niewinnym. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby była najszcześniejszą dziewczyną w Nowym Jorku. Dam jej piękny dom, mnóstwo służby, rachunek kredytowy u Tiffany'ego i dziecko co dwa lata, i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Dobrze byłoby w końcu się ożenić, a takiej żoneczki jak Vicky będą mi zazdrościć wszyscy przyjaciele. Wyobraziłem sobie minę mojej matki, kiedy zobaczy pierwszego wnuka. Wyobraziłem sobie miesiąc miodowy, który zmienia się w pieczołowicie zaplanowaną przeze mnie idyllę. Wyobraziłem sobie intymne kolacje przy świecach z okazji każdej rocznicy ślubu i to, jak obsypuję żonę brylantami, futrami i wszystkim, czego tylko zapagnie... W tym momencie się pohamowałem, przypominając sobie, że jestem człowiekiem praktycznym, i zacząłem rozpatrywać sprawę z nieco bardziej obiektywnego punktu widzenia, lecz konkluzja pozostała ta sama. Miałem już dość brudów w życiu prywatnym. Miałem dość kobiet, które mnie porzucały i sprzedawały się innym mężczyznom. Byłem spragniony niewinności, czystości, spragniony normalnej, przyzwoitej i szczęśliwej rodziny, młodej i ładnej żony, czwórki obiecujących dzieci i ślicznego domu na przedmieściu, najpierw Nowego Jorku, potem Bonn... Korneliusz się oczywiście wścieknie, ale nie będzie w stanie nic zrobić. Załatwię sobie wyjazd. Korneliusz zrozumie, że ma sznur na szyi. Podszedłem do telefonu, a kiedy angielski kamerdyner podniósł słuchawkę w pałacu Van Zale'ów, nawet się nie zawahałem. - Dzień dobry, Carraway, mówi Keller - powiedziałem moim najbardziej uroczym tonem. - Czy byłbyś tak uprzejmy i połączył mnie z panną Vicky? Część druga Alicja 1949 Rozdział pierwszy 1 - Sam ożenił się z Vicky! - syknął Korneliusz. Oddychał nierówno i z trudem wydobywał z siebie głos. Odczekałam trzy sekundy, by ta potworna wiadomość w pełni do mnie dotarła, po czym mogłam już poświęcić całą uwagę stanowi jego zdrowia. - Przyniosę ci lekarstwo - powiedziałam, spuszczając nogi z łóżka. - Połóż się. Stał w drzwiach łączących nasze sypialnie, ale kiedy usłyszał, co do niego mówię, posłusznie przyczłapał do mojego pokoju i opadł na poduszki. Twarz miał w nienaturalnym kolorze i wyraźnie się męczył. Znalazłam właściwą fiolkę u

niego w łazience, wyjęłam z niej dwie tabletki i nalałam wody do szklanki. Żyłam z nim zbyt długo, żeby bać się jego astmatycznych ataków, byłam jednak zdenerwowana, gdyż wiedziałam, że nie znosi, kiedy widzę go w takim stanie. Następne pół godziny upłynęło w przeraźliwie powolnym tempie. Chciałam posłać po lekarza, ale moja propozycja została odrzucona. Korneliusz potrafił ocenić stopień nasilenia każdego ataku z dokładnością eksperta i w chwili gdy miałam zamiar podważyć jego decyzję, poczuł się lepiej, chociaż minęło kolejne dwadzieścia minut, nim ośmielił się cokolwiek powiedzieć. Jego pierwsze słowa brzmiały: - To najgorszy dzień w moim życiu. - Uspokój się, Korneliuszu, bo od nowa zacznie się atak. - Sam ożenił się z Vicky! - wrzasnął na mnie. - Słyszałam, kochanie. Nie rozumiem, dlaczego się tak denerwujesz. Czy nie postąpił dokładnie tak, jak chciałeś? - nachyliłam się, żeby wygładzić pościel. Korneliusz przewrócił się na brzuch, ukrył twarz w poduszce i jęknął. Jego jasne loki rozsypały się po białej powłoczce. Korzystając z tego, że mnie nie widzi, usiadłam na łóżku i dotknęłam najbliższego pasemka. Ponieważ włosy nie są unerwione, niczego nie poczuł, ale i tak wstrzymywałam oddech ze strachu, że mnie przyłapie. Niemal w tej samej chwili gdy opieszale cofnęłam rękę, przeturlał się z powrotem na plecy, gwałtownie spychając przy tym koldrę poniżej pasa. Bluza od piżamy, którą rozpięłam, kiedy zaczął się atak, rozchyliła się i zauważyłam, że zachował jeszcze resztki opalenizny z wakacji, które spędziliśmy w lutym na Karaibach. Pod krętymi złotymi włoskami, pokrywającymi regularny owal w centrum klatki piersiowej, rysowały się pięknie sklepienie żebra i równa, twarda, męska faktura jego skóry. - Słyszałam telefon - odezwałam się po chwili. - Skąd dzwoniłi? - Z Annapolis. Pobrali się dzisiaj po południu w Elkton w stanie Maryland po dopełnieniu jakichś symbolicznych formalności meldunkowych. Jak się okazuje, bajeczka o szkolnej koleżance w Chevy Chase, którą opowiedziała nam Vicky, była zmyślona od początku do końca. Kiedy przyjechała z Velletrii do Waszyngtonu, Sam czekał na nią na dworcu. - Nie rozumiem - powtórzyłam uprzejmie, patrząc na niezgrabny węzeł troka jego piżamy. Odwróciłam wzrok w samą porę, nim spoczął na niewyraźnych kształtach widocznych pod materiałem. - Dlaczego doszli do wniosku, że muszą brać ślub w tajemnicy? - Sam wiedział, że uznałem jego małżeństwo z Vicky za nie najlepszy pomysł. - Tak? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? - Cała ta sprawa kosztowała nas już tyle nieporozumień, że nie chciałem jeszcze raz jej wyciągać. - Ale co się stało, że zmieniłeś zdanie? - Ja... wpakowałem się w niezręczną sytuację. Przez przypadek. I nie byłem pewien, czy Sam tego nie wykorzysta. - Na litość boską, o czym ty mówisz? - Istotne jest jedno: nie byłem pewien Sama. Zawsze chciałem, żeby Vicky poślubiła mężczyznę, któremu mogę całkowicie zaufać. - Ale... - Nieważne. Nie chcę do tego wracać. Słyszac gwałtowną nutkę w jego głosie wiedziałam, że muszę skierować rozmowę na inne tory, zanim Korneliusz zakończy ją na dobre i zniknie w swoim pokoju. - No cóż - powiedziałam lekko - wcale nie dziwi mnie to, że postanowili się pobrać. Ostatecznie Vicky jest śliczna, a Sam, choć może niezbyt wytworny, na pewno jest atrakcyjnym mężczyzną. Oczywiście wątpię, czy wpadłoby mu do głowy, żeby się z nią ożenić, gdybyś sam nie zaszczeplił w nim tego pomysłu, ale nie o to mi chodzi. Co mnie naprawdę zdumiewa, to fakt, że Emily do tego dopuściła. Miała Vicky pod nosem przez całe dwa miesiące: sześć tygodni w Europie, a potem dwa w Velletrii. Że też nie zauważyła niczego podejrzanego! Sam musiał kontaktować się z Vicky, listownie lub przez telefon... - Niekoniecznie. Najprawdopodobniej uknuł to wszystko, kiedy niespodziewanie wybrał się znów do Europy w końcu kwietnia. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w tę opowieść, że jeden z naszych klientów zamierza rozwinąć działalność na forum międzynarodowym. - Przecież spędził w Paryżu zaledwie tydzień! - Alicjo, Sam potrafi wziąć jakąkolwiek firmę, zbadać jej status, poddać drobiazgowej analizie, przebudować, połączyć z inną, rozdzielić udziały pomiędzy członków syndykatu i zgarnąć zyski, mając do dyspozycji czterdzieści osiem godzin. Nie mów mi, że w ciągu tygodnia nie zdążyłby zorganizować własnego ślubu! Korneliusz pociągnął wodę ze szklanki i na chwilę

zapadła cisza. Opierał się na łokciu, zwrócił do mnie tyłem, gdy tymczasem ja przyglądałam się skrawkowi jego ciała widocznemu pomiędzy spodniami a bluzą od pizamy. Wyciągnęłam rękę. Moje palce podkradły się do jego skóry na odległość milimetra. - I co masz zamiar zrobić? - spytałam mechanicznie i cofnęłam rękę, kiedy odstawił szklanę. - A co ja mogę zrobić? Facet mnie trzyma za jaja. To wulgarnie wyrażenie, zupełnie nie pasujące do języka, którym się posługiwał w mojej obecności, zdradzało, do jakiego stopnia Korneliusz jest wytracony z równowagi, równocześnie zaś trochę go otrzeźwiło. Zapiął bluzę, dyskretnie sprawdził rozporek i odrzucił kołdrę. - Oboje powinniśmy iść spać - rzekł, wstając z łóżka i kierując się w stronę drzwi łączących nasze pokoje. - Już po północy. - Ależ, Korneliuszu... - Nadzieja, że na resztę nocy pozostanie u mnie, była tak silna, iż odurchowo próbowałam go zatrzymać. - Może to jeszcze nie oznacza nieszczęścia - dodałam szybko. - Sam przepada za Vicky, a cokolwiek byś o nim mówił, jestem pewna, że postara się być dobrym mężem. Oczywiście szkoda, że Vicky nie wyszła za mężczyznę, który naprawdę ją kocha, ale... - O Boże, nie zaczynaj znowu z tą swoją obsesją na punkcie Sebastiana! To jakieś wynaturzenie! - Daleko mu do twojej niezdrowej fiksacji na punkcie córki! - wypaliłam i aż podskoczyłam, gdy Korneliusz trzasnął drzwiami, nie trudząc się, by mi odpowiedzieć. Cała drżąca usiadłam na brzegu łóżka. Czas płynął, a ja siedziałam tak bez ruchu. Właśnie pogodziłam się z myślą, że resztę nocy spędzę w samotności, kiedy wśliznął się z powrotem do pokoju. Choć zawiązał trok porządniej, spodnie dalej opadały mu w pasie, bo był taki szczupły. Usiadł przy mnie i nakrył moją dłoń swoją. Patrzyłam na te cudowne ręce, które powinny należeć do artysty, i wyobraziłam sobie, jak szkicują piękny obraz albo grają nokturn Szopena. Ale Korneliusz nie grał na żadnym instrumencie, a kartom papieru powierzał jedynie swój podpis. W życiu otrzymałam od niego zaledwie dwa listy. Pisał do szpitala, kiedy urodziłam drugie dziecko z mojego pierwszego małżeństwa. Zachowałam te listy i jeszcze do tej pory, osiemnaście lat po narodzinach Andy'ego, czytałam je od czasu do czasu, żeby przypomnieć sobie dni, kiedy mogliśmy się ze sobą bez trudu porozumieć, nawet na papierze. Milczeliśmy oboje już przez minutę, w końcu więc powiedziałam spokojnie: - Przykro mi, że cię zdenerwowałam tą niemądrą uwagą. Naprawdę powinieneś położyć się i odpocząć, bo znów ci się pogorszy. Bez wahania wskoczył do łóżka, a gdy zgasiałam światło i położyłam się obok niego, jego palce od razu splotły się z moimi. Leżeliśmy tak przez jakiś czas - połączeni, lecz dalecy, oboje pogrążeni w swoich myślach - i w chwili gdy poczułam, że dłużej już nie zniósę tego napięcia, jego dłoń rozluźniła uścisk i zasnęła. Oczekałam dość długo, by upewnić się, że śpi wystarczająco głęboko, a potem opasałam się jego ręką i przytuliłam do niego w ciemności tak mocno, jak tylko starczyło mi odwagi. 2 Obudził się o świcie. Poczułam, że jego palce bezwiednie błądzą po moim udzie i w ułamku sekundy także się obudziłam, śmiertelnie przerażona, że domyśli się, iż sama położyłam jego dłoń tam, gdzie najbardziej pragnęłam jej dotknąć. Udając, że jeszcze śpię, poruszyłam się odrobinę, by mógł cofnąć rękę. Leżeliśmy bez ruchu. Pomyślałam z ulgą, że znów zasnęła, lecz on rzekł cicho: - Alicjo? - a nie doczekawszy się odpowiedzi, zapalił światło, które oboje nas oślepiło. Gdy zdołałam otworzyć oczy, zobaczyłam, że wciąż zasłania twarz dłonią. Miałam trzy sekundy na obejrzenie sobie linii jego ramienia i barku, zanim ręka opadła. Szybko odwróciłam wzrok. - Alicjo... - Nie, nie rozmawiajmy teraz, Korneliuszu. Jak zamierzasz przebrnąć przez cały dzień w biurze, jeśli się lepiej nie wyśpisz? To nie jest pora na rozmowy, a poza tym i tak nie ma o czym mówić. - Mój Boże - westchnął - czasami naprawdę myślę, że powinniśmy się byli rozwieść. Nie mogłam dłużej udawać, że jeszcze na wpół śpię, i przemawiać do niego chłodnym, beznamietnym głosem. Zerwałam się, na oślep odgarnęłam włosy z oczu i krzyknęłam: - Nie mów tak! Jak śmiesz mówić w ten sposób! Nigdy, nigdy więcej nie wolno ci mówić takich rzeczy! - Nie mogę znieść tego, że jesteś nieszczęśliwa. - Naprawdę cierpiał. W oczach błyszczała mu rozpacz. - Kocham cię tak bardzo, że nie mogę tego znieść. Myślałem, że wtedy w kwietniu znaleźliśmy jakieś wyjście, ale... - Korneliuszu

- jakoś udało mi się przybrać ton suchego rozsądku - sędzę, że popełnilibyśmy wielki błąd, roztrząsając kwietniową decyzję właśnie teraz, kiedy oboje jesteśmy na skraju nerwowego wyczerpania. Pozwól, że powiem ci tylko jedno: znaleźliśmy jedyne możliwe rozwiązanie tej sytuacji i naprawdę odczułam ulgę widząc, że zdaje ono egzamin. Masz teraz atrakcyjną kochankę i bardzo się z tego cieszę. Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności. Owszem, ja na razie zdecydowałam się na samotność, ale to już jest moja osobista decyzja i bynajmniej nie musisz się o mnie martwić. Proszę cię, przyjmij do wiadomości, że jestem absolutnie szczęśliwa i choć oczywiście żałuję, że nie jesteśmy już sobie tak bliscy jak kiedyś, to jednak powinieneś wiedzieć, że całkowicie zaakceptowałam ten nowy układ i jestem zupełnie zadowolona z naszego małżeństwa. Leżał nieruchomo i patrzył w jakiś punkt nad obrazem na przeciwległej ścianie. - Ale jeżeli ty się z tym pogodziłaś i ja się z tym pogodziłem - rzekł powoli - dlaczego nie możemy zaznać spokoju? - To musi potrwać. Nie da się przestawić ze współżycia seksualnego na platoniczny związek jak za naciśnięciem guzika. Korneliuszu, musisz przestać traktować tę sytuację jako dziwną lub pod jakimkolwiek względem niezwykłą. Większość par i tak nie sypia ze sobą po osiemnastu latach małżeństwa. Nie ma w tym nic niezwykłego. - Zastanawiam się, co by było, gdyby... - To najgroźniejsze zdanie, jakie zna język angielski. Proszę, nie używaj go. Nie cierpię tego. Zawsze stanowi wstęp do jakichś bezcelowych rozważań o tym, co minęło, a co najlepiej wyrzucić z pamięci. - Bo nie rozumiem, dlaczego musimy tak cierpieć... - Przesadzasz z tym cierpieniem. Wyjątkowo nam się poszczęściło. Mamy pieniądze, nie zeznałyśmy się zbyt. Co prawda twoje zdrowie czasami szwankuje, ale nie przeszkodziło ci w zrobieniu błyskotliwej kariery. Mamy troje wspaniałych dzieci, a chociaż przyznaję, że twoja córka czasami doprowadza mnie do rozpacz, to w głębi serca jestem jej równie oddana jak ty moim chłopcom. To smutne, że nie mieliśmy ze sobą dzieci, skoro jednak ja się z tym pogodziłam, a pogodziłam się całkowicie, to uważam, że ty też powinieneś. Nie ma powodu, dla którego miałbyś czuć się winny, Korneliuszu. Już od tylu lat ci to powtarzam i będę powtarzać nadal, aż w końcu mi uwierzysz. Co się stało, to się nie odstanie. Przecież nie chciałeś się rozchorować w 1931 roku. To nie była twoja wina, raczej dopust boży. - Dopust boży to coś, co się zdarza i mija, a nie trwa przez całe życie... - Teraz zaczynasz się nad sobą użalać, Korneliuszu. Wiem, że mężczyźnie trudno pogodzić się z tym, że nie spłodzi potomka, lecz pomyśl, o ile cięższe miałbyś życie, gdybyś był nie tylko bezpłodny, ale trwale niezdolny do stosunków. W jednym z przedpołudniowych seriali bohater zaraził się polio i sparaliżowało go od pasa w dół. W rezultacie jego żona... - Błagam cię! - jęknął. - Nie wystarczy, że borykamy się z prawdziwym życiem? Czy naprawdę musimy jeszcze przejmować się wymagowanymi problemami wymagowanych ludzi? Roześmiałam się. Kiedy zobaczył, że mnie to bawi, też zdołał się roześmiać. Łzy paliły mnie pod powiekami. Odwróciłam gwałtownie głowę i w lustrze stojącym w drugim końcu pokoju zobaczyłam nasze odbicie, przystojną szczęśliwą parę w eleganckim kosztownym wnętrzu. - Bardzo cię kocham - powiedział. - Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie. - Ja też cię kocham, najdroższy. Lustro zdawało się wchłaniać nasze słowa, w wyniku czego stawały się one tak samo nierealne jak nasze odbicia. Przyszły mi na myśl wszystkie te historie o prawdziwej miłości, małżeńskiej harmonii i długim i szczęśliwym życiu, które czytałam w czasopiśmie, i nagle obraz w lustrze zamazał się, jak gdyby rzeczywistość w końcu wzięła górę nad mrzonkami. - Alicjo... Powinnam była go powstrzymać, lecz nie zrobiłam tego. Okazałam się słaba i głupia, przywarłam do niego, kiedy zaczął mnie całować, i w ten sposób zniweczyliśmy cały z trudem osiągnięty postęp w kierunku nawiązania spokojnych platonicznych stosunków. Znaleźliśmy się z powrotem w miejscu, z którego startowaliśmy przed tą katastrofalną kłótnią w kwietniu tego roku. Nic się nie zmieniło, a już na pewno nie żal i dotkliwe poczucie trudnej do zniesienia bezsilności. Kiedy nie sposób było dłużej zamykać oczu na jego porażkę, powiedział do mnie: - Zrobmy to, co robiliśmy przed ślubem.

Kiedy byłaś jeszcze w ciąży i nie mogliśmy... nie mog-łem... Byłam słaba, a teraz płaciłam za tę słabość, stając się świadkiem jego upokorzenia i wstydu. Bardziej ze względu na niego niż na siebie postanowiłam tym razem być silna. - Nie - odparłam. - Ale ja nie mam nic przeciwko temu, przysięgam. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa! Doskonale wiedziałam, że w głębi duszy mierzyły go wszelkie odchylenia od seksualnego wzorca, który uważał za normalny. W ciągu pierwszego roku naszego małżeństwa, kiedy sprawy fizyczne układały nam się bez zarzutu, nieraz dziwiłam się, że typowy dla klas średnich konserwatyzm, mocno podlany purytańskim światopoglądem, może być aż tak podniecający. Z wiekiem uświadomiłam sobie, że Korneliusz podniecał mnie nie pomimo tego, że był purytański, lecz właśnie dlatego. Przypominały mi się opowieści o mężczyznach z epoki wiktoriańskiej, którzy przyzwyczajeni do kobiet odzianych od pięt po szyję w kunsztowne toalety, gotowi byli mdleć na widok damskiej kostki. Widok Korneliusza, który zrzucał nie tylko koszulę, lecz i sztywne maniery rodem ze Środkowego Zachodu, wystarczył, by nawet teraz, po tylu latach małżeństwa doprowadzić mnie do ekstazy. Ta ekstaza sprawiała mi ból. Ukrywając ją za najbardziej beznamiętną z moich masek, powiedziałam kojąco: - Jeśli rzeczywiście gotów jesteś zrobić wszystko dla mojego szczęścia, to proszę, wróćmy do porozumienia, jakie zawarliśmy w kwietniu. Wiem, że kochasz mnie bardziej niż kogokolwiek innego i ta wiedza mi wystarcza. Nie ma potrzeby, żebyś udowadniał mi swoją miłość fizycznie, i nie powinien się czuć do tego zobowiązany. Błyskawicznie wstał z łóżka i ruszył gwałtownie do drzwi. - Korneliuszu... - W porządku - powiedział. - Byłem głupcem. Przepraszam, że zakłóciłem ci spokój. Dobranoc. Drzwi zamknęły się i znów byłam sama. Natychmiast zgasila światło, żeby nie widzieć pustego miejsca, na którym tak niedawno spał obok mnie, ale za oknem zaczynało już świtać i kiedy nie mog-łam już dłużej ignorować owej pustki w łóżku, nagle opuściła mnie odwaga i rozplakałam się. 3 Mydlane opery czasami mnie śmieszą, kiedy ukazują wielką namiętność jako coś wspaniałego, dzięki czemu świat staje się ekscytujący, a zarazem błogi, wypełniony muzyką łkających skrzypiec i nie kończącymi się złotymi zachodami słońca. Wielkie namiętności wyglądają zupełnie inaczej. Prze-rażają i niszczą, burzą ogniska domowe, rujnują ludziom życie i odzierają ich z wszelkich pozorów dobrego wychowania, błyszcząca politura nieodparty chnień zaś przykrywa brudną, ciemną warstwą cudzego cierpienia i krzywdy. Mając siedemnaście lat, poślubiłam mojego pierwszego męża Ralpha Foxwortha, żeby wyrwać się z domu, w którym nie byłam szczęśliwa. Kiedy skończyłam dwadzieścia lat i od pięciu miesięcy nosiłam w łonie mojego drugiego syna, poznałam Korneliusza. Trzy dni później przeprowadziłam się do niego, a nim Andrew przyszedł na świat, wkroczyłam już na nową drogę życia u boku drugiego męża. Wciąż jeszcze byłam bardzo młoda. Myślałam, że jeżeli będziemy się kochać wystarczająco mocno, rzewne skrzypce i złote zachody słońca zaczekają, aż wynurzymy się z cienia, jaki rzucił na nas rozwód. Myślałam, że jakoś zniosę przegraną w batalii z Ralphem o opiekę nad synami, kiedy przyjdą na świat następne dzieci. Myślałam, że dopóki Korneliusz jest ze mną, przetrwamy każde niepowodzenie, jakie może nas dotknąć w przyszłości. Ale nie było złotych zachodów słońca. Skrzypce grały kliwie przez krótki czas, a potem umilk-ły. Teraz spoglądałam na życie zupełnie inaczej. Nie jestem religijna. Oczywiście chodzę do kościoła w Boże Narodzenie i Wielkanoc, które stają również okazją do spotkań towarzyskich członków kościoła episkopalnego, doszłam wszakże do przekonania, że istnieją pewne naturalne prawa, które rządzą ludzkim losem, tak samo jak prawa natury regulują otaczający nas świat. W dzieciństwie uczyłam się, że morzem kołyszą pływy: skoro nadchodzi przyływ, musi również przyjść odpływ. Kiedy byłam starsza, dowiedziałam się, że wielkie namiętności podlegają podobnym bezlitosnym prawom: jeśli w zamian za raj oddajesz męża i dzieci, nie powinnaś być zaskoczona, kiedy okazuje się, że w raju jest albo więcej, albo - jak w moim wypadku - o wiele mniej cudów, niż gwarantowała umowa. Upłynęło trochę czasu, zanim to zrozumiałam, tym bardziej że pierwsze dwa i pół roku

naszego małżeństwa były naprawdę szczęśliwe. Mącił je tylko mój osobisty żal, że nie mogę widywać synów. Jednakże siódmego września 1933 roku - w każdą rocznicę tego dnia przygniata mnie brzemień tamtej tragedii - Korneliusz dowiedział się, że został bezpłodny na skutek świnki, którą przeszedł dwa lata wcześniej. Trudno się dziwić, że to odkrycie miało wpływ na nasze życie intymne. Przyjeliśmy, że po- trzeba nam trochę czasu, żeby przystosować się do zmienionej sytuacji, ale nawet nie zaświtało nam w głowach, że nasze małżeństwo będzie odtąd ułomne. Przez jakiś czas borykaliśmy się z nim nie- zdarnie. W końcu Korneliusz przezwyciężył swoje problemy, lecz z niewyjaśnionych przyczyn wkrót- ce pojawiły się z powrotem. Chodził do różnych lekarzy, którzy zgodnie twierdzili, że nie istnieje żadna fizyczna przeszkoda uniemożliwiająca mu utrzymywanie ze mną normalnych stosunków płcio- wych. Niestety, ta jednomyślna diagnoza nie zdołała sprawić, by nasze kłopoty zniknęły. Korneliusz był coraz bardziej skrupowany, ja coraz bardziej nerwowa i nawet w tych rzadkich chwilach, gdy udawało nam się skonsumować nasze małżeństwo, moment uniesienia był zawsze za krótki i zanadto podszyty niepokojem, by dać nam coś więcej niż tylko ulotną próbkę rozkoszy, w których, jak nam się kiedyś wydawało, mieliśmy się pławić do woli. Zdając sobie sprawę, że nasz problem ma źródło w bezdzietności, rozważaliśmy możliwość adopcji, ale porzuciliśmy ten pomysł, gdy Ralph ożenił się ponownie i wielkodusznie zezwolił mi wi- dywać się z chłopcami. Wkrótce potem Korneliusz także uzyskał większy dostęp do Vicky i mogliśmy teraz gościć całą trójkę w czasie Świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia, jak również przez cały sierpień, który zwykle spędzaliśmy w Bar Harbor. Powtarzałam sobie surowo, że pragnienie, by wi- dywać chłopców jeszcze częściej, jest nierozsądne, bo i tak wygrałam los na loterii. Kiedy w 1938 ro- ku Ralph zginął w katastrofie lotniczej koło Lakewood w stanie New Jersey, Sebastian i Andrew, któ- rzy mieli wtedy dziewięć i siedem lat, zamieszkali z nami na stałe. I natychmiast wszystko zmieniło się nie do poznania. Byłam taka szczęśliwa, że w końcu mam okazję być prawdziwą matką. Korneliusz doszedł widocznie do wniosku, że nasza bezdzietność już mi nie doskwiera, bo znów na jakiś czas pozbył się kłopotów. Nie zdołaliśmy wprawdzie osiągnąć do- skonałości pierwszego okresu małżeństwa, przypuszczalnie jednak radziliśmy sobie nie gorzej niż przeciętny mąż i żona po siedmiu latach pożycia. Obezwładniające zażenowanie, które nas dzieliło, rozpierzło się. A potem w 1941 roku Korneliusz wywalczył wreszcie prawo do wyłącznej opieki nad córką i Vicky sprowadziła się do nas. Przychodzi mi na myśl kilka przyczyn, dla których to Vicky odmieniła nasze małżeństwo, acz- kolwiek trudno mi zdecydować, która z nich jest właściwa. Być może zaszkodziła nam kombinacja tych kilku czynników, lecz niezależnie od przyczyn pozostaje niezaprzeczalnym faktem, że na nowo wkroczyliśmy w ciężki okres. Prawdopodobnie główny problem polegał na tym, że nie przewidziałam, jakie to trudne dziecko. Zdążyłam ją już całkiem nieźle poznać, nie wzięłam tylko pod uwagę, że Vicky w trakcie wizyt u nas zawsze zachowywała się najlepiej, jak umiała. Kiedy z nami zamieszkała, sprawy przybrały inny obrót. To jasne, że nie można przez cały czas wymagać od dziecka doskonałych manier, tak samo jak nie można oczekiwać, że zadanie macochy będzie łatwe. Jednakże źle oceniłam, ile czasu, cierpliwości i umysłowego wysiłku potrzeba, by pomóc sfrustrowanej dziesięciolatce przystosować się do nowego otoczenia. Vicky była niegrzeczna, zbuntowana i uparcie dramatyzowała swoje położenie, klasyfikując mnie jako złą macochę. Ja równie uparcie starałam się traktować ją ulgowo, gdyż walcząc o nią w są- dzie rodzice nie przebiegali w środkach, a jej matka, nieodpowiedzialna nimfomanka, najwyraźniej nie miała pojęcia, jak należy właściwie wychowywać dziecko. Mimo to Vicky zszarpała mi nerwy i wkrótce zdałam sobie sprawę, że żyję w ciągłym napięciu. Chciałam ją kochać. Zawsze marzyłam o córce, małej dziewczynce podobnej jak dwie krople wody do Korneliusza, gorzko się więc zawiodłam, kiedy Vicky okazała się tak inna od mojego wys- nionego ideału. Naturalnie strąłam się ukryć rozczarowanie. Myślałam, że robię to po mistrzowsku, ale być

może Korneliusz domyślił się, co czuję, i miał do mnie o to żal. A może czuł się winny, że zamiast własnej dał mi córkę innej kobiety. A może napięta atmosfera w domu rodziła podświadome napięcia w jego psychice... Jak już powiedziałam, potrafię wymienić sporo powodów, dla których Vicky przyczyniła się do rozkładu naszego małżeństwa, cokolwiek jednak to było, zapowiadało się na to, że rozkład ten stanie się trwałym, a nie tylko przelotnym elementem naszego domowego krajobrazu. Ciężko było z tym żyć. Dokładałam starań, by wobec dzieci zachowywać się normalnie, nie chciałam bowiem, aby odbiły się na nich nasze problemy, lecz w roku 1945 wydarzył się incydent, który nieomal doprowadził nas do rozwodu. Vicky miała wtedy czternaście i pół roku, Sebastian szesnaście. Nie mogę na ten temat powiedzieć nic ponad to, że byłam i wciąż jestem przekonana o niewinności mego syna. Przez tę swoją okropną matkę Vicky miała uraz na tle spraw seksualnych i chociaż usiłowałam jej spokojnie wytłumaczyć, jak w pewnych okolicznościach zachowują się mężczyźni, wpadała w histerię i nie chciała słuchać. Korneliusz był beużyteczny; w sprawach dotyczących Vicky tracił zdolność logicznego myślenia i gdy zaczęłam bronić Sebastiana, od razu stanął po jej stronie przeciwko mnie. Ponieważ nie mogłam mu wybaczyć tego, co powiedział o moim chłopcu, a on nie mógł mi wybaczyć tego, co ja powiedziałam o jego córce, nic dziwnego, że w końcu się po- różniliśmy i przez okrągły rok nawet nie próbowaliśmy ze sobą sypiać. Potem wszakże znów do mnie przyszedł. Powiedział, że stoczył się tak nisko, że poprosił Jake'a Reischmana o wypożyczenie mu jednej z jego kochanek - to typowe dla Jake'a, iż ma do dyspozycji cały harem - lecz po tym zajściu czuł się tak splugawiony, że nie mógłby tego powtórzyć. Powiedział, że mnie kocha i chce, żebym do niego wróciła. Wróciłam do niego. Przez jakiś czas byliśmy szczęśliwi, nie trwało to jednak długo. Chyba oboje wiedzieliśmy, że to nie może trwać, ale... och, jakie to było bolesne! Nie umiem już dłużej być chłodna, oschła i obojętna, to ponad moje siły. Jestem taka nieszczęśliwa. Nie potrafię opisać tego bólu, nieustannie obecnego w każdej cząsteczce mojego ciała. Kiedy nie byłam w stanie dłużej go znieść, poszłam do lekarza i powiedziałam: "Proszę, proszę mi dać jakieś środki uspokajające", a gdy zapytał o powód, tak mnie zbił z tropu, że nie powiedziałam: "Mój mąż rzadko kiedy może się ze mną kochać". Powiedziałam: "Mój mąż i ja nie mamy dzieci". - Ależ, pani Van Zale! - rzekł zdumiony. - Macie ich państwo troje, dwóch pani synów i córkę męża! - Miałam na myśli inne dzieci - odparłam. - Te wszystkie, których nie udało się nam mieć. Jednakże nie potrafiłam mu tego wytłumaczyć. Jak miałam mu powiedzieć, że planowaliśmy z Korneliuszem siedmioro dzieci, tak, siedmioro: córkę i sześciu synów. "O jednego więcej niż Rockefellerowie" - mawialiśmy ze śmiechem. Ustalaliśmy dni ich urodzin, wybieraliśmy dla nich imiona i obmyślali kariery. - O, to była tylko zabawa - oznajmiłam pierwszemu psychiatrze - sposób, żebym poczuła się lepiej, bo tak bardzo tęskniłam za moimi chłopcami. - Nie, to nie była zabawa - wyznałam następnemu. - To była rzeczywistość, one wszystkie stały się realne, wiedziałam dokładnie, jak wyglądają, a potem pewnego dnia zniknęły i nie wiem, wciąż nie wiem, jak mam przeboleć tę stratę. Tak bardzo za nimi tęsknię. Kiedy o nich pomyślę, nie mogę znieść tego, że nie istnieją... Psychiatra był bardzo miły, lecz niczego nie rozumiał. - Naprawdę nadawałam się do rodzenia dzieci - powiedziałam patrząc, jak wypisuje mi nową receptę na środki uspokajające. - Nie jestem nikim szczególnym, nie błyszczę intelektem ani zdolnościami i dopiero kiedy urodziłam Sebastiana, po raz pierwszy w życiu czułam, że jestem kimś, jestem prawdziwym człowiekiem, Alicją Blaise Foxworth, utalentowaną, błyskotliwą osobą, która osiągnęła sukces... Przy narodzinach Andy'ego czułabym się tak samo, ale już wtedy wiedziałam, że będę musiała go oddać, więc starałam się jak najmniej angażować emocjonalnie. Wszystko na próżno. Po rozstaniu z nim płakałam bez przerwy, choć w końcu musiałam przestać, żeby Korneliusz się o tym nie dowiedział. Musiałam zamknąć w sobie cały ból i udawać, że nie mam nic przeciwko temu. Czasami myślę, że przez te wszystkie lata nie robiłam nic poza ukrywaniem bólu i udawaniem, udawaniem, udawaniem... Widzi pan,

Korneliusz nie może się dowiedzieć, że tak mi na tym zależy, bo sprawiłoby mu to ogromną przykrość. Kocham Korneliusza i nie zniósłabym myśli, że go ranię. Wolałabym umrzeć, niż dopuścić, żeby odkrył, jak bardzo boleję nad tym, że nie mamy dzieci... A przecież to było kłamstwo. Żyję, mimo iż dopuściłam do tego, żeby się dowiedział. Szóstego kwietnia 1949 roku zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia. Moja samokontrola rozsypała się w proch, a kruchy związek, który z takim trudem przetrwał tyle lat, ostatecznie zmienił się w ruinę nie do naprawienia. 4 Wszystko zaczęło się, gdy Vicky, jak zawsze skłonna do melodramatów, wdała się w tę śmiesz- ną ucieczkę z poznanym na plaży próżniakiem. W gładkiej fasadzie, kryjącej nasze burzliwe życie ro- dzinne, pojawiła się wówczas głęboka szczelina. Korneliusz potrafił tylko zapytywać z rozpaczą, w którym miejscu popełnił błąd. Kiedy patrzył na mnie z wyrzutem, jak gdyby to z mojego powodu Vicky okazała się tak samolubna i nieodpowiedzialna, z trudem powstrzymywałam się od powiedze- nia mu, że całe nieszczęście wzięło się stąd, iż rozpieszczał ją od kolebki, starając się wynagrodzić so- bie brak wszystkich innych dzieci, których nie mógł mieć. Myślę jednak, że nawet on dostrzegał tę oczywistą prawdę. Sytuacja z pewnością podsycala jego poczucie winy wobec mnie i nasze stosunki dojrzały już do tego, żeby się oziębic na dobre, kiedy odkryłam, że w tajemnicy planuje wydać Vicky za Sama Kellera. Sam był dla Korneliusza niczym brat, tak więc zawsze traktowałam go jak szwagra. Ponieważ należał do mężczyzn, którzy nie pozwolą, by dama czuła się zaniedbana, łatwo przyszło mi się z nim zaprzyjaźnić. Doskonale wiedziałam, że potok jego łask zawdzięczam wyłącznie temu, iż jestem żoną Korneliusza. Gdyby Korneliusz kiedykolwiek się ze mną rozwiódł, Sam nawet by na mnie nie spojrział, albowiem postrzegał świat w kategoriach tego, co Korneliusz uważał za istotne. Tacy jak on instynk- townie grawitują ku źródłom bogactwa i władzy. Pozbawieni ich w chwili urodzenia, mają niezawod- ny instynkt, który pozwala im wybrać właściwego patrona i przyłączyć do niego na dobre i złe. Zbyt inteligentny na zwykłego lokaja i zbyt chytry, by nie wykorzystał każdej sposobności wynikającej z przyjaźni z Korneliuszem, Sam nie był jakimś tam płaszcącym się totumfackim, lecz potężną siłą u jego prawicy. Rzecz jasna, nie był odpowiednim mężem dla Vicky. Wiedziałam, że jej nie kocha, ale wiedziałam też, że mógłby ją poślubić, żeby przypodobać się Korneliuszowi. Stanowczo nie pochwalam mężczyzn żeniących się z dziewczętami, których nie ko- chają. Moje pierwsze małżeństwo nauczyło mnie dobitnie, co czeka dziewczynę w pozbawionym mi- łości związku, a choć w skrytości ducha tęskniłam do chwili, gdy Vicky wreszcie się wyprowadzi, to jednak nie mogłam usankcjonować pomysłu, żeby ją wydać za Sama, zwłaszcza że był ktoś o wiele bardziej odpowiedni, kto był gotów ofiarować jej miłość, jakiej przy boku Sama na pewno by nie za- znała. Sebastian zawsze kochał się w Vicky. Nie było w tym nic nienaturalnego. Nie łączyły ich więzy krwi; co prawda po moim ślubie z Korneliuszem stali się przyrodnim rodzeństwem, lecz nie wycho- wywali się razem od kolebki. Osobiście uważałam, że jej związek z Samem byłby o wiele mniej natu- ralny, od dziecka bowiem uczono ją traktować go jak wujka. Sebastian jest spokojny i zrównoważony. Stanowiłby znakomitą przeciwwagę dla tej postrzelo- nej dziewczyny. Ponadto jest inteligentny i mógłby więcej niż sprostać jej nieśmiałym intelektualnym ambicjom. To prawda, Vicky nastawiła się przeciwko niemu, ale takie stanowisko wypływało z prze- kory wieku młodzieńczego. Byłam pewna, że kiedy dojrzeje, będzie umiała docenić go tak, jak na to zasługiwał. Jeśli jednak mam być ze sobą szczerą, muszę przyznać, że nie chciałam ich zeswatać wyłącznie dlatego, że według mnie do siebie pasowali. Prawdę powiedziawszy, w normalnych okolicznościach uznałabym pewnie, że Vicky nie jest warta Sebastiana, i miałabym nadzieję, że wywietrzeje mu z gło- wy ta cieleca miłość, na którą zapadł w dzieciństwie. Niestety, okoliczności jak zwykle były dalekie od normy. Pragnęłam, żeby się pobrali, ponieważ czułam, że to zdjęcie z Korneliusza poczucie winy i uzdrowi nasze kalekie małżeństwo. Czułam, że jeśli jego córka i mój syn dadzą nam wnuki zamiast tamtych nie narodzonych dzieci, nasze poczucie krzywdy rozplynie się w

radości z tego, cośmy zyska- li. Z biegiem lat umacniała się we mnie wiara, że ich małżeństwo jest jedynym lekiem dla naszego mał- żeństwa, które przysparzało nam już zbyt silnych napięć. W kwietniu 1949 roku to ciągle napięcie do- prowadziło mnie prawie do załamania. Coraz trudniej mi było udawać, że wciąż go pożądam, skoro panicznie bałam się nocy. Bałam się, że znów będę cierpieć męki, zastanawiając się, czy zechce mnie przytulić, bałam się, że znów może okazać się bezsilny, i bałam się nawet tych rzadkich okazji, gdy mu się udawało, bo wtedy miałam do niego żal, że osiągał rozkosz, która zawsze była poza moim za- sięgiem. Rozgniewał mnie tamten wypadek z kochanką Jake'a Reischmana, chociaż Korneliusz przy- sięgał, że z nią też do niczego nie doszło. Uważałam, że nie miał prawa iść do innej kobiety, skoro ja tak się starałam, żeby być dla niego dobrą żoną. Nie widziałam powodu, dla którego to ja miałam po- nosić karę tylko dlatego, że jak żadna inna kobieta rozumiałam, że w jego pojęciu bezpłodność ujmuje mu męskości. Mój gniew narastał. Wciąż go tłumiałam, ale nie mogłam go całkowicie ugasić. Połączy- ny ze strachem, zniszczył moją namiętność do męża, którą zawsze uważałam za pewnik. I to właśnie wówczas, gdy nasz związek znalazł się na samym dnie dołka, a ja bardziej uparcie niż kiedykolwiek pielęgnowałam marzenie o połączeniu Sebastiana z Vicky, dowiedziałam się, że do roli pana i władcy został wybrany Sam. - Muszę z tobą zamienić parę słów - zwróciłam się grzecznie do Korneliusza, kiedy już przy- wieźliśmy Vicky do domu z mieszkania Sama w środowy wieczór na początku kwietnia. - To ważne. - Odprowadzę tylko Vicky do pokoju... - Jak zwykle usiłował zagłaskać ją na śmierć w dowód ojcowskiej miłości i jak zwykle ta mała spryciara starała się poruszyć wszystkie czułe struny w jego sercu. - Zaczekaj na mnie na górze - dodał po namyśle. - Jak tylko ją uspokoję, chcę jeszcze zdjąć z siebie ten cholerny garnitur. Bez słowa protestu poszłam do swojej sypialni. Minęła godzina, zanim usłyszałam go za ścianą, i jeszcze pięć minut, nim się przebrał, ale nie zamierzałam go krytykować za tę zwłokę. Pewnie gru- chał z Vicky i nawet nie zauważył, że czas leci. Nie było w tym nic niezwykłego. Kiedy Korneliusz za- jęty był córką, zawsze zajmowałam miejsce w drugim rzędzie. - Muszę z tobą porozmawiać - powtórzyłam, gdy wszedł do pokoju. O tej porze miałam już na sobie nocną koszulę i peniuar, choć jeszcze nie zmyłam makijażu. Oczywiście w ogóle mnie nie słuchał. - O Boże! - jęknął rozdzierająco. - Biedne maleństwo! I co ja mam teraz zrobić? Ostatnia kropla mojej cierpliwości wyparowała. - Nie udawaj, że sam tego nie zaaranżowałaś! - Co masz na myśli? - wytrzeszczył na mnie oczy. Tego już było za wiele. Mogłam tolerować jego szczerą troskę o dobro córki, ale nie udawaną nieświadomość czy intrygi knute za moimi plecami. - To, że mnie okłamałeś! - wypaliłam. - Zawsze dawałeś mi do zrozumienia, że dzielasz moją nadzieję na małżeństwo Vicky z Sebastianem, a tu nagle dowiaduję się od Sama, że za moimi plecami zawarłeś z nim umowę! Podobno ma zamiar cię poinformować, że nie może się z nią ożenić, ale jeśli sądzisz, że mu uwierzyłam, to się grubo mylisz! To jasne, zrobi, co mu każesz, choć uważam to za haniebnę. Nie pojmuję, jak możesz robić coś takiego własnej córce! Jak możesz wydawać ją za czło- wieka, który w ogóle o nią nie dba, podczas gdy przez cały czas tu, w naszym domu, jest młody człowiek, gotów całować ziemię... - Och, na litość boską! - Korneliusz zerwał się na nogi. Każdy miesiąc jego ciała zdawał się tę- żeć ze złości. - Nie wciskaj mi tych babskich romantycznych bzdur! Jak gdyby Vicky kiedykolwiek miała zamiar wyjść za Sebastiana! Alicjo, zaczynasz wpadać w obsesję na punkcie tego chłopca. Nig- dy dotąd tego nie poruszałem, bo nie chciałem cię ranić, ale teraz widzę, że osiągnęłaś etap, którego nie można dłużej pomijać milczeniem. To ślepe uwielbienie dla Sebastiana jest nieuczciwe w stosunku do Andy'ego, a na Sebastiana też bardzo źle wpływa! - Nigdy nie lubiłeś Sebastiana - powiedziałam. - Nigdy. - To nieprawda i tylko dowodzi, jak histerycznie oceniasz sytuację. Posłuchaj, Alicjo. Musisz być rozsądniejsza. Takie zastępcze życie przez Sebastiana i Vicky jest nienormalne. Stworzyłaś sobie wyimaginowany świat, w którym twój syn żeni się z moją córką i płodzi pół tuzina dzieci, które bę- dziesz mogła irracjonalnie traktować jak nasze własne. Musisz wrócić do

rzeczywistości i uświadomić sobie, że te marzenia nie mają najmniejszej szansy się ziścić. - Ale ja naprawdę wierzę, że z czasem... - Nie. Przykro mi. Proszę, nie myśl, że ci nie współczuję, bo tak nie jest. Ta tragedia stała się osią naszego małżeństwa i zdaję sobie z tego sprawę. Ale musimy dołożyć wszelkich starań, by jakoś sobie z tym poradzić. Mnie w pewien sposób jest łatwiej, mam swoją pracę na rogu Willow i Wall, ale przecież ty też masz swój świat tutaj, na Piątej Alei i mogłabyś robić o wiele więcej niż teraz, aby prowadzić interesujące, pełne i wartościowe życie. Zamiast tracić czas na mydlane opery, mogłabyś wyjść z domu, częściej spotykać się z przyjaciółmi, może zaangażować się w jakieś nowe akcje dob- roczynne? Jestem pewien, że gdybyś znalazła sobie sensowne zajęcia, życie wydawałoby ci się mniej frustrujące, więc bardzo cię proszę, uczyn jakiś wysiłek, żeby wyjść z tego dołka, w którym się po- grążasz! Nie chcę pewnego pięknego dnia po powrocie z pracy zastać cię w stanie nerwowego zała- mania. - Jeżeli się załamie - usłyszałam swój nabrzmiały furia głos - będę to zawdzięczać wyłącznie to- bie. To nie moja wina, że nie możemy mieć dzieci. W sypialni paliły się wszystkie światła. Nie było tu nawet skrawka cienia, który mógłby ukryć wyraz naszych twarzy. Przez chwilę staliśmy bez ruchu jak zahipnotyzowani tą oślepiającą jasnością, potem Korneliusz zrobił krok do tyłu. Twarz miał białą jak kreda. - Dlaczego nie mogę przyjemnie spędzać czasu przy radiu? - zapytał mój głos. - Zawsze to lepsze niż przesiadywanie po kątach i rozmyślanie o tych wszystkich dzieciach, których mi nie dałeś. A już z pewnością lepsze niż rozmyślanie o mężu, z którego nie ma żadnego pożytku w łóżku. Zapadła cisza. Powtarzałam sobie w duchu, że to wszystko tylko pomyślałam, że nie wypowie- działam tego na głos. Nie mogłam powiedzieć tego głośno po prostu dlatego, że nie byłam zdolna do takiej złośliwości. Korneliusz zrobił kolejny krok do tyłu. Oczy błyszczały mu z bólu. Zrozumiałam, że słowa zos- tały wypowiedziane i nie można ich cofnąć. Milczeliśmy oboje. Patrzyłam na tę znajomą ukochaną twarz, którą cierpienie zmieniło nie do poznania. Korneliusz cofał się nadal, aż w końcu zahaczył o stół. Wtedy się odwrócił, otworzył drzwi i chwiejnym krokiem wypadł na korytarz. - Korneliuszu! - odzyskałam głos, ale było już za późno. Pobiełam za nim długim korytarzem, wysłanym kilku metrami czerwonego chodnika, do szczytu wielkiej klatki schodowej, i przez cały czas wykrzykiwałam jego imię. Zobaczyłam, że przechodzi przez hol. Nawet się nie obejrzał. Schody wydawały się nie mieć końca. Pantofle szurały gorączkowo na rozległej marmurowej posadzce. - Korneliuszu! - załkałam. - Korneliuszu! Wybiegłam przez drzwi wejściowe; dogoniłam go w połowie podjazdu i chwyciłam za rękę. Wyrwał się. - Przestań wrzeszczeć - rzekł ostro. - W tej chwili przestań. - Korneliuszu... - Nie mam ci nic do powiedzenia. Zostaw mnie. Ruszył w kierunku bramy, a kiedy próbowałam ucześcić się jego ramienia, odepchnął mnie tak gwałtownie, że upadłam. Bruk podjazdu przypominał bryły lodu. W domu zaczęły się zapalać światła, hałas bowiem pobudził służących. Ze wstydem wśliznęłam się do przedsiionka. Zdażyłam schronić się w bibliotece, zanim do holu wbiegła ochrona. Oczekałam chwilę na wypadek, gdyby wrócił po swojego ochroniarza albo samochód, ale nic takiego się nie stało. Kiedy wreszcie w domu zapadła cisza, na palcach weszłam po schodach i usiad- lam w jego sypialni. Wrócił o świcie. Wciąż na niego czekałam, ponieważ jednak zażyłam trzy tabletki uspokajające, byłam opano- wana. Gdy wszedł do pokoju, nie zaszczyił spojrzeniem krzesła, na którym siedziałam, lecz stanął przy oknie, rozsunał zasłony i zapatrzył się w Central Park. W końcu nie oglądając się powiedział: - Po prostu nie rozumiem, dlaczego przez tyle czasu niepotrzebnie się męczymy. - Korneliuszu... Kochany... Obrócił się gwałtownie. - Bardzo cię proszę, żadnych scen! Mam ich już potąd! Powtarzałam sobie, że muszę zachować równowagę. Widocznie tylko udając spokój mogłam zmniejszyć jego cierpienie. Nie wolno mi było okazywać żadnych emocji. Nie potrafił stawić czoła moim żalom, tak samo jak własnym. - Byłeś u kogoś? - zapytałam bezbarwnym głosem. - Tak. - Zmiana, która we mnie zaszła, wyraźnie podniosła go na duchu. Nadal nie mógł się zmusić, żeby na mnie spojrzeć, ale usiadł na najbliższym krześle i zaczął ściągać buty. - Czy... - Jasne. I było świetnie. Jak

gdybym nigdy nie chorował - cisnął pantofle w drugi kąt pokoju i spojrzął za nimi. - prostytutka? - Nie, na Boga! Może ty uważasz, że jestem do niczego, ale nie upadłem jeszcze tak nisko, że- bym musiał za to płacić! - Wobec tego kim ona jest? - Nie znasz jej. Teresa jakaś-tam. Ma upiorne polskie nazwisko, którego nie jestem w stanie za- pamiętać. To najnowsza gospodyni Kevina. - Kevin ma polską dziewczynę? Myślałam, że ona jest Szwedką. Rozmowa zaczynała się przeradzać w towarzyską pogawędkę. Ze zdziwieniem słuchałam włas- nych rzucanych od niechcenia uwag, patrząc, jak Korneliusz rozpina górny guzik koszuli. - Ingrid pojechała do Hollywood. - Aha. Zamilkliśmy oboje. Korneliusz przestał się rozbierać. Podniósł z podłogi krawat i zaczął okręcać go wokół palców. - Oczywiście wystąpisz o rozwód - rzekł w końcu uprzejmie. Gorączkowo szukałam odpowiednich słów, a kiedy się wreszcie odezwałam, mój głos zdawał mi się jeszcze bardziej odległy. - Z powodu cudzołóstwa? Popatrzył na mnie. - Oczywiście możemy posłużyć się cudzołóstwem jako prawnym pretekstem, choć w gruncie rzeczy myślałem o... no cóż, nie widzę powodu, dla którego w zaistniałej sytuacji chciałabyś nadal być moją żoną. Teraz, kiedy wreszcie wiem, co naprawdę czujesz, nie rozumiem, jak udawało ci się znosić nasz związek przez tyle lat, ani po co miałabyś go dalej znosić. Podejrzewam, że litowałaś się nade mną i myślałaś, że jesteś zobowiązana trwać przy mnie, ale teraz już nie musisz czuć się tym skre- piona. Wręcz przeciwnie, to ja mam obowiązek bezzwłocznie pozwolić ci odejść. Nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa. - Chyba że... - Krawat był już naciągnięty jak postronek. Kiwnęłam głową, lecz on patrzył na swój krawat i nie zauważył tego. - Chyba że pomimo wszystko wciąż uważasz... - Podniósł głowę i wreszcie napotkał mój wzrok. Krzesło upadło na podłogę, kiedy zerwał się na równe nogi i przez cały pokój rzucił mi się w ramiona. Długo trwaliśmy w uścisku, a gdy wreszcie wrócił nam spokój, trzymając się za ręce, usiedliśmy razem na brzegu łóżka i zaczęliśmy rozmawiać tą specyficzną słowną stenografią, której małżeńskie pary uczą się z biegiem lat. - Wciąż nie mogę uwierzyć... - Nie bądź śmieszny, Korneliuszu. Jeśli się kogoś kocha, to się go kocha, i basta. - I w głębi serca nie chcesz... - Nie. A ty? - Nigdy w życiu. Rozwody są dla innych. - Jestem na siebie wściekła, że przeze mnie pomyślałaś... - Nie, dobrze, że w końcu to powiedziałaś. - ...wszystkie te bolesne, obraźliwe słowa... - Oczyszczyły atmosferę. Teraz widzę, że za długo puszczałyśmy to na żywioł. To moja wina. - Nie. - Chodzi mi o to, jak zareagowałem. Chryste, Alicjo, czy kiedykolwiek mi wybaczysz... - Ona nie ma znaczenia. Kto wie, czy nie byłoby lepiej... - Tylko pod warunkiem, że się zgodzisz. - No cóż, jeśli jest odpowiednia... Bez hałasu, bez kłopotu. Czy ona... - Nie. Nie jest ładna ani tym bardziej piękna. Uwierz mi, nadaje się. Wstyd mi tylko, że nie mia- łem odwagi zawrzeć z tobą takiej umowy wiele lat temu i oszczędzić ci tego... - Nie. Dawniej czułabym się urażona. Teraz wydaje mi się to słuszne. Nie potrafię tego wyjaśnić. - Przede wszystkim musimy to przedyskutować, ustalić pewne rzeczy i położyć kres tej męczar- ni. Oboje już dość się nacierpieliśmy. Zapadła cisza, podczas której oboje porządkowaliśmy myśli i zbieraliśmy siły do dalszej roz- mowy. Nadal mocno ścisnęłam go za rękę. Niebo ponad parkiem zaczynało blednąć. - Zaczniemy od tego, co jest oczywiste - rzekł wreszcie Korneliusz. - Po pierwsze, rozwód od- pada. Kocham cię i sama myśl o tym, że mielibyśmy przestać być małżeństwem, jest nie do przyjęcia. Po drugie, koniec z seksem. Wiadomo, że nasze życie płciowe się skończyło, i jeśli się z tym pogo- dzimy, obojgu nam będzie lżej. Po trzecie, koniec z wiernością. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: w tych okolicznościach nie możemy od siebie oczekiwać, że będziemy żyć w celibacie, zwłaszcza że ja mam dopiero czterdzieści jeden, a ty trzydzieści dziewięć lat. Byłam do tego stopnia pochłonięta wyobrażaniem go sobie z inną kobietą, że umknęły mi szer- sze implikacje tej uwagi. - Korneliuszu, wolałabym, żebyś miał wiele różnych kobiet niż stałą utrzymankę, która może się w tobie zakochać. - Nie ma najmniejszej szansy, że ta kobieta się we mnie zakocha. To jedna z tych egocentrycz- nych artystek, których jedyną namiętnością jest praca. Zresztą gdyby kiedykolwiek robiła mi trudnoś- ci, mogę jej zapłacić, żeby się

odczepiła. Dlatego właśnie jest odpowiednia do tej roli i dlatego wolał- bym mieć jedną stałą kochankę. W ten sposób łatwiej mi będzie panować nad sytuacją. Poza tym sznurek przypadkowych kobiet uwłaczałby nam obojgu. A teraz, jeśli chodzi o ciebie... - zaczerpnął głęboki wdech i nagle go zamurowało. - Och, o mnie się nie martw, Korneliuszu. Jeśli tylko będzie nam znów ze sobą dobrze... - To tylko pobożne życzenia. Należy stawić czoła faktom. Oczywiście wolałbym uznać cię za świętą, która w błogiej wstrzemięźliwości siedzi w domu i czeka, aż wrócę od kochanki, ale nie do- szedłbym do tego, do czego w życiu doszedłem, gdybym oddawał się mrzonkom! To jasne, że musisz wziąć sobie kochankę. To jedyne praktyczne rozwiązanie. - Ależ nie wyobrażam sobie, że mogłabym pragnąć kogokolwiek poza tobą! - Mnie też nie podoba się myśl o tobie w ramionach innego, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że jeśli ta umowa ma w ogóle zdać egzamin, musimy do niej przystąpić na równych prawach, inaczej ja będę się czuł jeszcze bardziej winny, a ty staniesz się jeszcze bardziej zgryźliwa i sfrustrowana niż teraz - no powiedz, że nie, Alicjo! Przyznaj szczerze! Musimy być wobec siebie uczciwi! - To prawda. Udawanie wyrządziło nam już zbyt wiele szkód. - No właśnie - westchnął z ulgą. - Zobaczysz, wszystko się uda. Małżeństwo powinno być dy- namicznym związkiem, który rozwija się i zmienia w zależności od rozwoju i zmian, jakie zachodzą w partnerach. Tak będzie lepiej. Prawdę mówiąc, już czuję się o wiele różnie. To, że usiedliśmy ra- zem, żeby porozmawiać o naszych problemach, jest najmądrzejszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić. - O tak, czuję, że teraz jesteśmy sobie o wiele bliżsi. Jak za dawnych czasów. - Tak nam się kiedyś dobrze ze sobą rozmawiało, prawda? - I tak przyjemnie milczało. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że uwielbiam, kiedy siedzimy w milczeniu? - Przypominam sobie, choć na długo o tym zapomniałem. Nasze milczenie od tak dawna było pełne napięcia... - pocałował mnie w policzek. - Ale teraz wszystko się zmieni, prawda? - uśmiechnął się. - Znów będziemy szczęśliwi... Chyba powinniśmy się trochę przespać, zanim słońce wzejdzie wy- żej. Pewnie jesteś tak samo zmęczona jak ja. - Pocałował mnie jeszcze raz i powiedział, że mnie ko- cha. - Ja też cię kocham - szepnęłam, uszczęśliwiona tuląc się do niego. Kiedy poczułam, że jego cia- ło nareszcie dotyka mojego bez cienia skrępowania, przeszył mnie od dawna zapomniany dreszcz żą- dzy, i zrozumiałam, że nasz problem wprawdzie zmienił postać, wciąż jednak nie został rozwiązany. Rozdział drugi 1 Nasza nowa zażyłość wkrótce wyparowała bez śladu. W miejsce napięć, które udało nam się zneutralizować, pojawiły się nowe i musiałam się wycofać za lodowatą fasadę, żeby dotrzymać osią- niętego z takim trudem porozumienia. Zakrawało na straszliwą ironię, że gdy tylko pozbyliśmy się brzemienia naszego fizycznego współżycia, tłumiący moje pożądanie stres zniknął i znów zaczęłam go pragnąć. Oprócz tej dotkliwej tęsknoty niewiele do mnie docierało, usiłując więc oderwać myśli od Korneliusza, pograżyłam się w świecie przedpołudniowych seriali i magazynów dla kobiet. Zdarzały mi się nawet erotyczne sny. Z początku byłam przerażona, dotąd bowiem uważałam, że tylko mężczyźni mogą snuć we śnie takie realistyczne fantazje. Potem zaczęłam za nimi tęsknić, bo przynajmniej na jakiś czas łagodziły moje napięcie. Żadne z nas nie przewidziało, że Korneliusz zacznie się ode mnie izolować, jak gdyby wzdragał się podejść zbyt blisko z obawy, że nasz związek wróci do poprzedniego kształtu. Wkrótce brakowało mi już nie tylko seksu, lecz także przelotnych pieszczotliwych gestów - dotyku jego palców splecio- nych z moimi, krótkich krzepiących uścisków ramion i muśnięć jego warg, kiedy zatrzymywał się na chwilę, żeby mnie pocałować. Teoretycznie powinno ich być więcej, skoro oboje mieliśmy się poczuć o wiele swobodniej. W praktyce jakakolwiek fizyczna bliskość rodziła teraz wzajemne skrępowanie. Bałam się, że znów go utracę, i ku mojej rozterce widziałam go teraz tak wyraźnie, że rzucały mi się w oczy szczegóły, na które od lat nie zwracałam uwagi: wciąż wyraźne naleciałości środkowo za- chodniego akcentu, zręczny krok, promienny uśmiech, tym bardziej oszałamiający, że w spoczynku twarz Korneliusza była jak wykuta z kamienia. Zobaczyłam na nowo rzeźbiony profil, prosty nos, wy- tworną linię czoła pod jasnymi wijącymi się

włosami. W końcu zauważyłam też, jaki jest niski, niewiele wyższy ode mnie. Jego wzrost jednak nie miał znaczenia, gdyż był wspaniale zbudowany; miał cienkie, lecz mocne kości, gładką skórę i mięśnie wyrobione przez regularne wizyty na pływalni. Widywałam go coraz rzadziej. Coraz dłużej zatrzymywał się w biurze, jak gdyby wbrew wszystkiemu, co zostało powiedziane, wciąż nie mógł pozbyć się poczucia winy. Zgadywałam, że czasami wstępuje do domu Kevina w Greenwich Village. Powtarzałam sobie nieustannie, że to dobrze, iż znalazł kogoś odpowiedniego, ale stwierdzenie, które w kwietniu wydawało się niepodważalne, teraz podsycalo tylko moją rozpacz, zwłaszcza kiedy wiedziałam, że jest z inną kobietą. Czyniłam doprawdy nadludzkie wysiłki, by racjonalnie rozważyć sytuację. Korneliuszowi nie mogłam się zwierzyć, ponieważ znów usiłowałby się ze mną kochać i wszystko wróciłoby do dawnego kierunku winy i frustracji. Poza tym w kwietniu odrzuciłam go tak bezwzględnie, że teraz nie miałam prawa burzyć naszego świeżo osiągniętego ładu. Doszłam do wniosku, iż na mnie ciąży obowiązek dostosowania się do okoliczności, choć wydawało mi się to niemożliwe, bo cokolwiek by mówił na ten temat Korneliusz, nadal nie wyobrażałam sobie, że mogłabym się pocieszać w ramionach innego mężczyzny. Rozważyłam teoretycznie ów pomysł, to prawda. Dawniej, gdy między nami było bardzo źle, żałowałam czasami, że nie mogę się zwrócić do kogoś innego, zawsze jednak od razu odrzucałam taką możliwość. Nie chodziło jedynie o to, że Korneliusz był całym moim życiem i porzucenie go - czy to na stałe, czy też w ramach drobnego "skoku w bok" - zwyczajnie nie mieściło mi się w głowie. Nie była to również wyłącznie kwestia dumy podpowiadającej mi, że kobieta naraża się na upokorzenie, oddając się mężczyźnie, którego nie kocha, by zaspokoić swe fizyczne żądze. Decydującej wagi nie miało także i to, że inni mężczyźni, czując, jak bardzo jestem przywiązana do męża, nawet nie próbowali się do mnie zalecać. Po prostu mój dotkliwy głód seksualny dotyczył wyłącznie Korneliusza. Żaden inny mężczyzna nigdy nie wzbudził we mnie pożądania i w gruncie rzeczy w ogóle nie patrzyłam na nich pod tym kątem, ządado bowiem pragnęłam własnego męża. Problem stał się na tyle palący, że nie mogłam się skoncentrować na domowych obowiązkach, a owego czerwcowego ranka po ślubie Vicky leżałam w łóżku, z trudem mobilizując siłę woli konieczną, by zmierzyć się z tym, co przyniesie dzień. Wreszcie jednak wstałam, uprzytomniwszy sobie, że atak astmy Korneliusza daje mi znakomity pretekst, żeby wejść do jego sypialni i zapytać go o samopoczucie. Pod drzwiami zawahałam się. Mogło się okazać, że jest nazbyt skrepowany i wcale nie ma ochoty mnie widzieć. Ze wstydem przypominałam sobie własną słabość poprzedniego wieczoru, kiedy to zachęcałam go do pieszczot, zamiast oszczędzić mu upokorzenia, skoro i tak było wiadomo, że nic z tego nie wyjdzie. Przelknęłam wstyd i uznałam, że muszę postarać się naprawić szkodę spowodowaną moim egoistycznym zachowaniem. Odczekałam trochę, żeby się uspokoić, a potem zebrałam wszystkie siły i nacisnęłam klamkę. Może łatwiej nam będzie przełamać zakłopotanie, jeśli udam, że ów fatalny incydent w ogóle nie miał miejsca. Zajrzałam do pokoju. Korneliusz jeszcze spał, ale w czasie, gdy mu się przyglądałam, bojąc się podejść zbyt blisko, drgnął, przeciągnął się i otworzył oczy. - Byłam ciekawa, jak się dzisiaj czujesz - powiedziałam tonem pielęgniarki z pierwszorzędnej kliniki. - Czy nie jesteś zbyt słaby, żeby iść do biura? Usiadł tak raptownie, jak gdybym strzeliła z bata. Zrozumiałam, że niepotrzebnie się martwiłam, że będzie zażenowany. Myślał wyłącznie o swojej córce. - O Boże! Vicky i Sam! Chryste... - jęknął, opadając z powrotem na poduszki, i zakrył twarz dłońmi, jakby w ten sposób mógł się schronić przed złym wspomnieniem. Po chwili znów usiadł i z roztargnieniem przejechał palcami po włosach. - Alicjo, czy powinienem do niej zadzwonić? Nie wiem, gdzie zatrzymali się w Annapolis, ale mógłbym się tego dowiedzieć. Gdybym zatelefonował teraz, może bym ich jeszcze złapał, zanim wyjadą w podróż poślubną! - Korneliuszu - przynajmniej do tej kwestii byłam w stanie podejść rozsądnie - na twoim miejscu dałabym im spokój. - A jeżeli Vicky jest nieszczęśliwa? Jeśli mnie potrzebuje? - No cóż, kochanie, nie przypuszczam, by zapomniała twój numer

telefonu. Jeżeli będzie cię po- trzebować, sama do ciebie zadzwoni, a na razie jestem pewna, że zupełnie niepotrzebnie się martwisz. Vicky prawdopodobnie jest teraz w siódmym niebie małżeńskiego szczęścia. Wracając do twojej ast- my... - Mniejsza o astmę. Muszę wydać oświadczenie prasowe. Wszystko wróciło do normy. Już był w akcji, już zapomniał o innych problemach. Zadzwonił po lokaja, po czym podniósł słuchawkę białego telefonu: - Taylor, daj mi tu Hammonda. Chcę podyktować oświadczenie dla prasy w sprawie ślubu mojej córki... tak, ślubu. Ś-l-u... zgadza się - trzasnął słuchawką i odwrócił się do czarnego telefonu, lecz zrezygnował z wykręcenia numeru. - Chryste, jak ja to powiem Emily? Alicjo, czy nie mogłabyś... - Dobrze - skinęłam głową. - I zadzwoń do Sylwii. Boże drogi, moja biedna mała Vicky... Na szczęście w tym momencie zjawił się jego lokaj, wróciłam więc do swojego pokoju i nacis- nełam dzwonek. Należała mi się kawa, zanim zacznę się szarpać z telefonem. Miałam ochotę najpierw podzielić się nowiną z Sylwią, wdową po Paulu Van Zale'u, ale ponie- waż Nowy Jork wyprzedzał San Francisco o trzy godziny, było na to stanowczo za wcześnie. Korne- liusz był szczerze oddany swojej ciotecznej babce, choć odkąd jeszcze przed wojną osiedliła się w Kalifornii, widywali się rzadko. Sylwia, która wcale nie była taka stara, jak sugerował tytuł "ciotecznej babki", wyszła ponownie za mąż w 1939 roku po dłuższym pobycie u krewnych w San Francisco. Jej nowy mąż prowadził dochodową praktykę adwokacką w rejonie Zatoki. Przyniesiono kawę. Nie mogłam już dłużej zwlekać. Zaciśniełam zęby i zebrałam wszystkie siły, by powiadomić szwagierkę, że nie spisała się w roli przyzwoitki. Nie lubiłam Emily, a ona odpłacała mi tym samym, nie chcąc jednak martwić Korneliusza, za- wsze wylewnie okazywałyśmy sobie sympatię. Z natury drobnomieszczańska Emily potępiała mnie za to, że porzuciłam swojego pierwszego męża, nosząc w łonie jego dziecko. Podejrzywałam, że jest oziębła, nie byłam więc zaskoczona, gdy się okazało, że nie jest w stanie zrozumieć siły namiętności, która kazała mi zostawić dzieci i związać się z ukochanym mężczyzną. Emily bardzo dużo mówiła o chrześcijańskim miłosierdziu, lecz podobnie jak wiele innych dewotek rzadko wprowadzała swoje słowa w czyn. Zresztą nawet gdyby była ateistką, i tak nie byłaby zdolna mi współczuć, gdyż dawno już postanowiwszy, że jej życiową misją będzie poświęcenie się dla dobra dzieci własnych i cudzych, konsekwentnie stawiała interesy tych dzieci ponad własne. Podejrzywałam, że w krótkim okresie mał- żeństwa Emily mąż został bezlitośnie zepchnięty na podrzędną pozycję w rodzinie. Na nieszczęście wybrała sobie mężczyznę mało odpowiedniego na cziciela swojej świętości. Steve Sullivan niewiele czasu poświęcał kobietom, których seksualne upodobania nie były równie szczerze i wybujałe jak jego własne. - Witaj, moja droga - powiedziała, kiedy Emily odebrała telefon w Velletrii w stanie Ohio. - Tu Alicja. - Alicjo, kochana, cóż za miła niespodzianka! - Emily, zawsze gotowa rozpocząć dzień od dob- rego uczynku, powitała mnie tak radośnie, że aż się skrzywiłam. - Co słyhać w Nowym Jorku? - Fatalnie. Vicky właśnie uciekła z Samem. W słuchawce zapadła grobowa cisza. Gdyby nie to, że wieść ta była tak samo niesmaczna dla mnie, jak najwyraźniej dla niej, zapewne poczułabym niewybaczalną, lecz jakże ludzką radość z jej osłupienia. - To nie może być prawda - wyszeptala po chwili. - Nie wierzę. Kiedy to się stało? - Ślub odbył się wczoraj. Sam dzwonił wieczorem do Korneliusza z Annapolis. - Z Annapolis? - Z Annapolis, w stanie Maryland. - Wiem, że Annapolis jest w stanie Maryland - stwierdziła zimno Emily. - Nie rozumiem tylko, skąd Vicky się tam wzięła? Zwięźle streściłam garść znanych mi szczegółów. - Dziwne, moja droga, że nie domyśliłaś się, co ona knuje - dodałam, nie mogąc się oprzeć chęci odwetu za ten chłodny ton przez wytknięcie jej paru prostych prawd. - Byłaś z Vicky, kiedy spotkała się z Samem w Paryżu, a przecież młode dziewczęta nie potrafią ukryć sympatii. Zawsze bez końca plotą o swoim ukochanym każdemu, kto tylko chce słyhać. - Sugerujesz, że Korneliusz wini mnie za tę katastrofę? - zapytała lodowatym głosem Emily. - Nie, naturalnie, że nie, moja droga, ale... - Bo doprawdy to nie moja wina, że Vicky zdecydowała się wyjść za dwukrotnie od siebie star- szego mężczyznę tylko po to, żeby

wyrwać się z domu! - Emily, czy chcesz mi dać do zrozumienia... - Niczego nie chcę ci dać do zrozumienia poza tym, że się nie godzę, aby obarczano mnie winą za to nieszczęście! Co więcej, stanowczo odrzucam twoje oskarżenia, jakobym to ja była za nie odpowiedzialna, podczas gdy tylko próbowałam ci pomóc, kiedy sama przyznałaś, że nie jesteś w stanie poradzić sobie z Vicky! - Nigdy nic takiego... - Owszem, tak powiedziałas. Czy mogłabyś poprosić do telefonu Korneliusza? - W tej chwili układa oświadczenie dla prasy. - Dobrze. Zadzwoń do niego później, jak się uspokoję. A na razie możesz mu ode mnie powiedzieć, że mam nadzieję, iż teraz, kiedy zrujnował życie swojej córce, nareszcie jest zadowolony. - Emily, Korneliusz wcale nie chciał, żeby Vicky wyszła za Sama! Zmienił zdanie! Ta wiadomość była dla niego strasznym ciosem! - Co za bzdury! Chyba w to nie wierzysz? - Emily! - Sądziś, że nie znam własnego brata? I doprawdy sądziś, że nie znam Sama Kellera? Mój Boże, gdybym ci opowiedziała... ale tego nie zrobię. To już zamknięta przeszłość i nie należy jej wskrzeszać. Jest dla mnie oczywiste, że Korneliusz zaplanował to od początku do końca, jak zwykle przy wydatnej pomocy swego... nie, nie będę zaszczycać Sama mianem jego przyjaciela. Zawsze miał zły wpływ na Korneliusza. Gdyby nie to, że był pod ręką i zawsze skrupulatnie wypełniał każdy rozkaz, Korneliusz nie porwałby się na żadną z tych swoich mętnych intryg. O, co do Sama Kellera nie mam żadnych złudzeń! Nie chcę, żeby zabrzmiało to, jak gdybym żywiła jakieś uprzedzenia, ale ostatecznie on jest Niemcem, a dziś wszyscy już wiemy, do czego zdolni są Niemcy! - A gdzie się podziało chrześcijańskie miłosierdzie! - wykrzyknęłam; wcale nie czułam się w obowiązku bronić Sama, nie mogłam się jednak oprzeć pokusie wbicia szpileczki w ten nadęty słusznym oburzeniem balon. - Czyż Chrystus nie nakazał nam wybaczać swoim nieprzyjaciołom? A może uważasz, że wystarczy, jeśli On im wybaczy? Emily trzasnęła słuchawką. Dołałam sobie kawy i przyznałam w duchu, że rozmowa nie należała do udanych, lecz przecież zostałam brutalnie sprowokowana. Przy odrobinie szczęścia Emily, uzmysłowiwszy sobie, jak niesprawiedliwie mnie potraktowała, zadzwoni z przeprosinami i zdążymy się pogodzić, zanim Korneliusz dowie się o naszej kłótni. Zaczęłam się od niechcenia zastanawiać, do jakich to przeszłych sprawek robiła aluzję Emily. Po chwili, setnie znudzona, doszłam do wniosku, że przyczynek musiał dotyczyć zmarłego w latach trzydziestych męża Emily, Steve'a Sullivana - alkoholika, który stoczył się na samo dno. Upór, z jakim Emily kreowała na świętego człowieka, który porzucił ją dla innej kobiety, stawał się już nie do zniesienia, napomknienia zaś, iż Sam i Korneliusz nie zawsze zachowywali się jak ministranci, były nie tylko głupie, ale wręcz naiwne. Steve próbował się pozbyć Korneliusza z banku, którego mój mąż był prawnym właścicielem. Wszyscy o tym wiedzieli. Oczywiście Korneliusz musiał się bronić i prawdopodobnie nie miał innego wyjścia, jak tylko podjąć bezwzględne kroki, lecz w wielkim biznesie, podobnie jak na wojnie, nie obowiązują zwykłe cywilne normy i trudno mi winić Korneliusza za to, że zrobił wszystko, by utrzymać się w banku. Zresztą jego świat na rogu Willow i Wall i tak mnie nie dotyczył, bo i skąd? Finanse nie interesują mnie w najmniejszym stopniu. To zajęcie dla mężczyzn i bynajmniej nie zamierzam w nim uczestniczyć. Jedyne, co ma dla mnie znaczenie, to kochający mąż, który niezależnie od tego, co dzieje się w banku, zawsze ma czas dla rodziny. Kiedy znów zaczęłam myśleć o rodzinie, zorientowałam się, że wciąż jeszcze jest za wcześnie, by podzielić się z Sylwią nowiną o ślubie Vicky, wobec czego zdecydowałam, że zadzwonię do Cambridge w stanie Massachusetts. Sebastian ukończył właśnie drugi rok studiów ekonomicznych na Harvardzie, ale dotąd nie dał mi znać, kiedy przyjedzie do domu na wakacje. W zeszłym tygodniu kilkakrotnie omal nie uległam pokusie, by chwycić za telefon. Sebastian nie lubił jednak, kiedy dzwoniłam do niego bez powodu, zacisnęłam więc zęby i postanowiłam czekać, aż sam się odezwie. Podniosłam słuchawkę, pomyślałam sobie, że mimo wszystko z ucieczki Vicky wynika jakaś korzyść, jest bowiem świetnym pretekstem, by zapytać Sebastiana o termin przyjazdu do domu. - Kochanie, to ja - powiedziałam nerwowo, kiedy odebrał telefon. - Obudziłam cię? - Tak. -

Och, tak mi przykro. Słuchaj... - Co się stało? - Słuchaj, chodzi o Vicky. Złe wieści. Chciałam cię uprzedzić, zanim przeczytasz o tym w gazetach... Ona znów uciekła. W słuchawce zapadła cisza. - Wczoraj w Marylandzie wzięła ślub z Samem Kellerem. Oboje z Korneliuszem o mało nie zemdleliśmy, ale oczywiście teraz już nic się nie da zrobić. Wszyscy musimy się jakoś z tym pogodzić. Sebastian dalej milczał. Serce pękało mi z żalu. Dodałam pośpiesznie: - Kochanie, jest mi tak strasznie przykro... - Niepotrzebnie. Dobra, dzięki, że zadzwoniłaś. Połączenie zostało przerwane. - Sebastianie... - Nadal nie miałam pojęcia, kiedy wraca do domu. Przez chwilę się wahałam, czy zadzwonić do niego jeszcze raz, doszłam wszakże do wniosku, że nie powinnam mu się narzucać, do- póki się nie otrząśnie z pierwszego szoku i rozczarowania. Poczułam przygnębienie. Najwyraźniej każda rozmowa, jaką usiłowałam przeprowadzić przez telefon tego ranka, była z góry skazana na nie- powodzenie. Uznałam, iż nowiny są na tyle złe, że najlepiej obwieszczać je listownie, zadzwoniłam więc po pokojówkę, włożyłam najelegantszą czarną sukienkę, aby choć trochę zatrzeć wizję Vicky odzianej w biel, po czym zeszłam na dół, żeby napisać do Andy'ego. 2

Kochałam mojego młodszego syna, nigdy jednak nie byłam mu potrzebna. Pewnie zadziało tu jedno z naturalnych praw rządzących stosunkami międzyludzkimi. Jeśli w pogoni za wielką namięt- nością porzucasz swoje dziecko tuż po urodzeniu, nie powinnaś być zaskoczona, kiedy malec instynk- townie szuka miłości u niańki, ciebie zaś uważa za miłą obcą panią, która zbyt często próbuje go ca- łować. Oczywiście było mi smutno, że straciłam najlepsze lata dzieciństwa Andy'ego, mimo to nie czu- łam gorczy, jego radość życia bowiem nie ucierpiała przez to, że wyrzekłam się go w niemowlęctwie. Andrew zawsze był ulubieńcem ojca. Ponadto miał wspaniałą nianię, która traktowała go jak rodzo- nego syna. Tak więc, chociaż w teorii został uszkodzony, w praktyce pławił się w dowodach zain- teresowania dających mu silne poczucie bezpieczeństwa. W o wiele gorszej sytuacji znalazł się Sebas- tian, na tyle duży, by tęsknić za mną, kiedy wyprowadziłam się z domu. Czasami miałam wrażenie, że choćbym nie wiem jak się starała otoczyć go miłością, i tak nie zdołam mu wynagrodzić tego, że przed laty ważniejszy był dla mnie Korneliusz. Próbowałam kiedyś wytłumaczyć chłopcom, do jakiego stopnia byłam oczarowana, gdy w mo- im życiu pojawił się Korneliusz, lecz żadnego to zbytnio nie zainteresowało. - Nie chciałam was opuszczać - jąkałam bez ładu i składu, wciąż nie umiając podejść do tego spokojnie. - Omal nie umarłam, kiedy mi was zabrano, ale byłam tak bezradna i pozbawiona własnej woli, jakby ktoś mnie zahipnotyzował. Po prostu nie mogłam postąpić inaczej! - No i co z tego? - rzekł beztrząsco Sebastian. - Przecież w końcu nas masz. Jakie to ma teraz znaczenie? Niepotrzebnie rozdrapujesz przeszłość i wciąż od nowa się martwisz. Andrew powiedział tylko: - Hejku, mamo, to zupełnie jak w kinie! Zastanawiałam się wówczas, czy nie byłoby mi łatwiej porozumieć się z córkami, jednakże do- świadczenia z Vicky wkrótce wybiły mi z głowy tę iluzję. Zawsze miałam trudności z przekazywaniem synom tego, co chcę im powiedzieć - może rozłąka z nimi pozostawiła po sobie trwałe багаż skrepo- wania, a może po prostu rozpaczliwie pragnęłam, żeby mnie kochali pomimo mojego postępowania. Rozdarta pomiędzy chęcią, by ich rozpieszczać, a strachem, że każdy przejaw nadmiernej pobłażli- wości Korneliusz odczyta jako znak, iż próbuję sobie w ten sposób zrekompensować brak innych dzieci, traktowałam ich na przemian z czułością i chłodem. Przez dziesięć minut gryzłam koniec pióra, lecz napisałam tylko: "Najdroższy Andrew!" Zawsze ciężko szło mi pisanie listów, chyba że były to listy do Sebastiana. Wyobraziłam sobie An- dy'ego, który kończył właśnie ostatni semestr w Groton, w nadziei, że pomoże mi to znaleźć odpo- wiednie słowa. O czym w tej chwili myśli? Pewnie o sporcie. Andrew był taki prostoduszny. Wyobrazi- łam sobie jego zielone oczy, iskrzące się ognikami, których w moich oczach zawsze brakowało, jego ciemne włosy sterczące w poprzek czoła, usta, których kąciki wyginały się w radosnym uśmiechu. Andrew ucieleśniał marzenie każdej matki o szczęśliwym, normalnym, doskonale przystosowanym do życia osiemnastoletnim synu. Byłam z niego dumna. Nie

mogłam zrozumieć, dlaczego tak trudno mi znaleźć słowa, którymi chciałam się z nim podzielić. "Myślę, że będziesz zdumiony, kiedy się dowiesz, że Vicky niedawno wyszła za mąż - napisałam po dwóch falstartach. - Wzięła ślub z Samem. Byliśmy z Korneliuszem bardzo tym zaskoczeni, ale ży- czymy im wszystkiego najlepszego. Nie wierz w żadne sensacyjne historie, na które trafisz w gaze- tach, bo dziennikarze nigdy nie pominą okazji, żeby wszystko zagmatwać. Vicky na pewno się ucie- szy, jeśli prześlesz jej gratulacje. Mam nadzieję, że w szkole wszystko w porządku. Już wkrótce wrócisz do domu! Nie wątpię, że będzie Ci smutno opuszczać miejsce, z którym wiąże Cię tyle wesołych wspomnień i w którym tak dobrze Ci szło. Bardzo za Tobą tęsknię, kochanie, i całuję..." Rzadko się rozpisywałam. Wychodziłam z założenia, że dziecko w internacie woli częściej do- stawać krótkie listy, niż od czasu do czasu długie. Zresztą żaden z chłopców nigdy nie zgłaszał za- strzeżeń. Ogarnęła mnie dojmująca tęsknota za Sebastianem i gdy tylko zapieczętowałam list do An- dy'ego, wyjęłam czystą kartkę papieru i pod wpływem impulsu napisałam: "Kochanie! Tak mi przykro z powodu tego idiotycznego ślubu Vicky! Wiem, jak bardzo musiało Cię to do- tknąć, ale nie złość się na Korneliusza, bo naprawdę odbyło się to bez jego wiedzy i woli - kiedy otrzymał wiadomość, tak się zdenerwował, że dostał silnego ataku astmy. Wściekła jestem na Sama, że się tak wygłupił, a Vicky najchętniej bym rozerwała za to, że jest taka nieodpowiedzialna, choć oczywiście nie powinnam być dla niej za surowa, bo ma dopiero osiemnaście lat. Wiem, najdroższy, jak bardzo musisz być przygnębiony, ale proszę Cię, dostrzegaj w życiu jasne strony tam, gdzie mo- żesz je znaleźć. Sam stanowi przynajmniej znaną wielkość i możemy być pewni, że utrzyma Vicky na przyzwoitym poziomie - to nie to, co by było, gdyby wyszła za tego smarkacza znad morza, dla któ- rego cywilizacja kończy się na jakiejś ruderze przy bocznej szosie w Kalifornii. Jest jeszcze jedna rzecz, dla mnie oczywista, choć może nie tak oczywista dla Ciebie: to małżeństwo się nie utrzyma. Daję mu w najlepszym wypadku pięć lat i tak sobie myślę, że do tego czasu Ty skończysz dwudziesty piąty rok życia, będziesz miał posadę w banku i cała sytuacja będzie wyglądała zupełnie inaczej. Cału- ję Cię mocno, kochanie..." Przeczytawszy list dwukrotnie, zakleiłam bardzo starannie kopertę, a potem zebrałam siły, by napisać nieodzowny liścik do Vicky. Po trzech wstępnych szkicach, dwóch filizankach kawy i czte- rech papierosach - zwykle rzadko paliłam - spłodziłam, co następuje: "Moja najdroższa Vicky! Oczywiście zaskoczyła mnie wiadomość o Twoim ślubie, mimo to składam Ci najserdeczniejsze życzenia na nową drogę życia. To dobrze, że wszyscy znamy Sama i jesteśmy świadomi wartościo- wych cech, dzięki którym był jednym z najbardziej atrakcyjnych kawalerów w Nowym Jorku. Jestem pewna, że wiele dziewcząt może Ci pozazdrościć. Twój ojciec całkowicie pogodził się już z tą nowiną i możesz być pewna, że oboje zgotujemy Wam życzliwe przyjęcie, kiedy wrócicie do miasta. Pamiętaj, proszę, że zrobię wszystko, by jakoś ułatwić Ci przejście z jednego świata w drugi. Jak wiesz, ja również młodo wyszłam za mąż i nieraz żałowałam, że nie ma przy mnie starszej kobiety, z którą bym mogła porozmawiać o mniej znanych aspektach życia w małżeńskim stadle. Wiem, że w przeszłości istniały między nami różnice zdań, ale proszę Cię, byś zrozumiała, że zawsze szczerze troszczyłam się o Twoje dobro i że jako jedyne dziec- ko Twego ojca zajmujesz bardzo szczególne miejsce w moim sercu. Łączę najgorętsze ucałowania..." Po tym tytanicznym wysiłku czułam się tak wyczerpana, że ledwie znalazłam siły, by ponownie ująć pióro, ale postanowiłam, że nie będę się uchylać od napisania ostatniego listu. Zgniotłam papie- rosa, aż rozsypał się w popielniczkę, po czym skreśliłam bez wahania: "Drogi Samie! Nie mam zamiaru udzielać Ci rad, skoro najwyraźniej całkowicie panujesz nad sytuacją, ale jeśli pozwolisz, proponuję, byście wstąpili do nas z Vicky zaraz po powrocie do Nowego Jorku. Biedny Korneliusz jest zdecydowany pogodzić się z losem, dobrze by mu jednak zrobiło, gdyby wiedział, że jego córka jest szczęśliwa i zadowolona. Wątpię, czy zależy Ci na moich najlepszych życzeniach, mi- mo to chętnie Ci je złożę, jeśli uznasz, że poprawi to stosunki rodzinne. Ukłony, Alicja". Zaadresowałam dwa ostatnie listy

do mieszkania Sama przy Park Avenue, a po tygodniu, w piątek wieczorem, kamerdyner oznajmił, że przyszedli do nas z wizytą państwo Kellerowie. Sam zeszczupłał, nabrał szyku i dosłownie promieniał. Jego sławny urok osobisty uwidocznił się w pełni. Vicky, która w dopasowanej różowej sukience i z lokami ściągniętymi do tyłu różową wstażką wyglądała zachwycająco, z uwielbieniem patrzyła mu w oczy, uczepona jego ramienia. Spodziewałam się jakichś oznak małżeńskiej harmonii, ale to oślepiające szczęście zaskoczyło mnie tak, że zabrakło mi słów. W panice odwróciłam się do Korneliusza, lecz z przerażeniem spostrzegłam, że on także nie mógł wydobyć z siebie głosu. Na szczęście Sam jak zwykle bez trudu znalazł odpowiednie słowa, by pomóc nam wszystkim przewyciężyć skrępowanie, i już po kilku minutach mogłam zupełnie szczerze powiedzieć do Vicky: - Wyglądasz cudownie, kochanie. Nigdy w życiu nie wyglądałaś ładniej. - Czyż ona nie jest prześliczna? - westchnął Sam. Jakieś nieprzyjemne uczucie, którego nie umiałam nazwać, kazało moim dłoniom zwinąć się ciasno w pięści. Patrzyłam, jak obejmuje ją ramieniem i siadają na sofie; patrzyłam, jak Vicky natychmiast przytula się do niego i z uśmiechem podnosi ku niemu twarz. - Nie rozumiem, dlaczego Carraway tak długo marudzi z szampanem - powiedziałam nerwowo do Korneliusza, wstając z miejsca. - Czy mam... - Tak, zadzwoń. - Z niewiadomych przyczyn Korneliusz także zerwał się na nogi, jakby nie mógł dłużej wytrzymać na krześle. Spojrzeliśmy na siebie z roztargnieniem i siedliśmy z powrotem. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, że zapomniałam zadzwonić po lokaja. - Nie znalazłaby się gdzieś popielniczka, Alicjo? - zapytał od niechcena Sam, otwierając papierośnicę. Skorzystałam z tej wymówki, żeby ponownie wstać, a kiedy przyniosłam Samowi popielniczkę, zmierzyłam go uważnym spojrzeniem, byłam bowiem ciekawa, czy celowo o nią poprosił, chcąc oszczędzić mi zakłopotania. Nie byłam w stanie tego stwierdzić. Znowu uśmiechał się do Vicky i zupełnie nie zwracał uwagi na mosiężną tackę, którą postawiłam przed nim na stole. - Kochanie, sięgnij do torebki i pokaż Neilowi i Alicji te piękne zdjęcia, które zrobiliśmy na Bermudach! - Sam odwrócił się do nas i tonem wyjaśnienia dodał: - Wynająłem jacht, który zabrał nas z Annapolis rankiem następnego dnia po ślubie. - Och, jakie to było romantyczne! - westchnęła z rozmarzeniem Vicky. - A kiedy wylądowaliśmy na Bermudach, znaleźliśmy tam tak cudowną plażę, że... - Chyba nie zamierzasz palić, Sam? - wtrącił Korneliusz, zdradzając, że nie dotarło do niego ani jedno słowo tej opowieści. - Ostatnio bardzo dokucza mi astma. Moje paznokcie wbiły się jeszcze głębiej w dłonie. Nagle uświadomiłam sobie, że muszę traktować Sama i Vicky z największą serdecznością, na jaką mnie stać, choć nie miałam pojęcia, dlaczego miałyby to być aż tak ważne. - Nie bądź śmieszny, Korneliuszu! - wykrzyknęłam. - Oczywiście, że Sam musi sobie zapalić! Klimatyzator wchłonie cały dym. Vicky, kochanie, pokaż nam te śliczne zdjęcia, nie mogę się już do czekać! Czy mieliście ładną pogodę? Bermudy to raj na ziemi! O ile dobrze pamiętam, to jeden z waszych ulubionych zakątków, prawda, Sam? Sam zaczął mówić o Bermudach swobodnym aksamitnym głosem, a Vicky równocześnie podawała nam fotografie. Właśnie po raz trzeci próbowałam wziąć inteligentny udział w rozmowie, gdy pojawił się Carraway z szampanem. - A zatem - powiedziałam gorączkowo, kiedy wszyscy wznieśliśmy kieliszki - wiele szczęścia na nowej drodze życia! - Życzymy wam wszystkiego najlepszego - dodał uprzejmie Korneliusz. Z ulgą zauważyłam, że już się opanował. - Serdeczne dzięki! - Sam obdarzył nas ciepłym, urzekającym uśmiechem. - Doceniamy to, prawda, kochanie? - Mhm... Ten szampan jest doskonały! Zauważyłam, że wszyscy pijemy w równym pośpiechu. - Proponuję toast na waszą cześć! - Sam tym razem skorzystał z całej siły swojego wdzięku, by nagiąć słuchaczy do swojej woli. - Dziękujemy za tak serdeczne powitanie i za to, że jesteście dla nas tak wielkoduszni i wyrozumiali... nie, mówię poważnie! Naprawdę! Kochani, jestem wam winien przeprosiny, więc najlepiej załatwię to od razu i poproszę o wybaczenie, że na jakiś czas zburzyłem wasz spokój ducha, bo przecież to właśnie zrobiłem, czyż nie? Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy! Rzecz w tym, że pamiętając to wszystko, co wydarzyło się przedtem,

doszedłem do wniosku, że nie mam innego wyjścia, jak tylko wczuć się w rolę Romea i porwać wam Vicky. Wiedziałem, że oboje staniecie okoniem, jeżeli przyjdę do was i oświadczę: "Wiecie, śmieszna sprawa, ale ja naprawdę chcę pojąć za żonę waszą niezwykle, piękną i czarującą córkę". Przyznaj się, Neil, wciąż jeszcze wątpisz w moją szczerość? Zupełnie niepotrzebnie. Kocham Vicky i ona mnie kocha i mamy zamiar być najszczęśliwszą parą małżeńską w całym Nowym Jorku. A co najbardziej niezwykle, byłam przekonana, że mówi prawdę.

4 Kiedy Kellerowie wyszli, Korneliusz zaszył się w bibliotece, żeby popracować, ale później dostrzegłam z okna sypialni, jak wykrada się z domu w towarzystwie swego ochroniarza. Ubrany był na sportowo w białą trykotową koszulkę, tenisówki i džinsy i wiedziałam, że wybiera się do tej kobiety w Greenwich. Cadillac skręcił za róg, brama zamknęła się z trzaskiem. Odwróciłam się gwałtownie od okna, wyszłam z pokoju i zaczęłam iść przed siebie. Dom był ogromny, szłam więc długo. Usytuowany na rogu Piątej Alei, zwrócony był w stronę Central Parku, choć główna brama wychodziła na przelotową ulicę prostopadłą do Piątej Alei. Paul Van Zale zbudował go dla Sylwii w 1912 roku, a po jego śmierci w 1926 posiadłość przeszła w ręce Korneliusza wraz z całym majątkiem Van Zale'ów. Ironii losu należało przypisać to, że choć Korneliusz w głębi serca nie cierpiał tego gmaszyska - ciężka architektura wzorowana na europejskich zabiegach kłóciła się z jego nowoczesnym smakiem - uparcie nie zgadzał się go sprzedać. Dom był dla niego symbolem potęgi, stosownym uzupełnieniem monumentalnego renesansowego budynku na rogu Willow i Wall, mieszkaliśmy więc w nim nadal, mimo iż dzieci dorosły. Nie przeszkadzało mi to. Mój ojciec, Dean Blaise, współczesny Paula, był tak samo jak on bankierem inwestycyjnym o skłonnościach do architektonicznego przepychu, a później po ślubie z Ralphem moje otoczenie także niewiele się zmieniło. Gdy tylko Ralph rozpoczął karierę polityczną, ojciec podarował nam wypełnioną antykami posiadłość w Albany. Przemierzając korytarze pałacu Van Zale'ów, znalazłam się wreszcie w pustym pokoju dziecinnym. Zaprojektowała go pierwsza żona Korneliusza, Vivienne, w czasie swojej ciąży, ponieważ jednak rozstali się jeszcze przed narodzeniem Vicky, pokój nie był używany do czasu, gdy ja rozpoczęłam życie z Korneliuszem. Zajmował go wtedy przez kilka tygodni Sebastian, póki sędzia nie uznał, że jestem złą matką, i nie przyznał praw rodzicielskich Ralphowi. Wiele lat później próbowałam przetrącić go na pokój zabaw, ale dzieci wolały się bawić w saloniku z wielkimi przeszklonymi drzwiami, które wychodziły wprost do ogrodu. Pokój dziecinnny zawsze był niewypałem, a nie używany przez wiele lat, zionął kurzem i smutkiem. Usiadłam na małym stołeczku obok konia na biegunach i zamyśliłam się. Może powinnam kazać odnowić ten pokój. To pewne, że Vicky w ciągu roku będzie miała dziecko. Odruchowo podniosłam się ze stołka, zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy wraz z Korneliuszem zerwaliśmy się na nogi na widok innej pary, która bez wysiłku osiągnęła nieosiągalną dla nas harmonię. Rozpoznawałam teraz nieprzyjemne uczucie, które tak zażarcie starałam się ukryć. Była nim zazdrość. Zazdrościłam kobiecie, której mąż dowiódł swej miłości w sposób tak niepodważalny, że zmienił ją w najbardziej promienną młodą małżonkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Natychmiast poczułam do siebie wstręt za to, że jestem zazdrosna. Zaraz potem odkryłam, że nienawidzę Vicky, bo przez nią uległam tak nieeleganckim destrukcyjnym emocjom. Przywołałam się do porządku. W rzeczywistości nie czułam do Vicky nienawiści, po prostu jej nie rozumiałam. Nie rozumiałam, dlaczego nigdy nie zaakceptowała mnie w roli matki, skoro jej własna matka nie zasługiwała na to miano. Nie rozumiałam, czemu tak źle się czuła w domu, podczas gdy stawałam na głowie, żeby być miła i cierpliwa. Nie rozumiałam, jak mogła w ogóle spojrzeć na Sama Kellera, kiedy Sebastian tak bardzo ją kochał. Niczego w niej nie rozumiałam. Cierpiałam niewysłowione męki przez tę enigmę, łamigłówkę, której zapewne nigdy nie zdołam rozwiązać. Jeszcze raz dołożyłam starań, by myśleć logicznie. W przeszłości zrobiłam dla Vicky wszystko, co w mojej mocy, a przecież nikt nie jest w stanie uczynić więcej. Co do przyszłości,

prawdopodobnie teraz, gdy Vicky wyprowadziła się z domu, nasze stosunki ułożą się o wiele lepiej. Prawdę mówiąc, gdybym tylko potrafiła powściągnąć moją głupią upokarzającą zazdrość, nie było powodu, dla której go nie miałybyśmy serdecznie się zaprzyjaźnić. Wiedziałam, że jestem zazdrosna, bo Vicky dobitnie wykazała mi, jak puste jest moje życie. Do- skonale zdawałam sobie sprawę, że najprostszym rozwiązaniem byłoby spróbować czymś je wypełnić, łatwiej jednak to powiedzieć, niż zrobić. Cóż takiego miałam uczynić, by moje życie stało się ciekawsze? Mój doroczny pokaz mody na cele charytatywne zawsze wzbudzał liczne zachwyty, choć zasadniczo nie lubiłam działalności dobroczyn- nej, gdyż byłam zbyt nieśmiała i brak mi było niezbędnej siły przebicia, a także zdolności organizacyj- nych. Moja sekretarka, osoba nadzwyczaj kompetentna, która bez wątpienia pracowała u mnie tylko dlatego, że starałam się jej jak najmniej przeszkadzać, miała "carte blanche" i sama prowadziła wszys- tkie moje akcje w taki sposób, jaki uznała za stosowny. Nie byłam pojętna, nie miało więc sensu zapi- sywanie się na poranny kurs francuskiej konwersacji albo popołudniowy kurs brydża. Nie byłam mu- zyczna, a chociaż nieźle rysowałam, nie widziałam zbyt wielu możliwości poprawy swego życia po- przez spędzanie większej ilości czasu nad szkicownikiem. Przypuszczałam, że powinnam się częściej spotykać z ludźmi, lecz jako żona Korneliusza regularnie widywałam całe tłumy i wiele czasu i energii pochłaniało mi prowadzenie życia towarzyskiego, jakiego wymagała ode mnie pozycja społeczna. Niekiedy zastanawiałam się mgliście, jak by to było, gdybym miała znajomych, którzy widzieliby we mnie tylko mnie, nie żonę Korneliusza. Sama myśl o tym wydawała się nierealna i granicząca z fanta- zją. Byłam żoną Korneliusza. Całkiem dobrze spisywałam się w tej roli i wcale nie chciałam być kimś innym. Jednakże Korneliusz miał inną kobietę. I całe poświęcone mu życie nagle wypełniło się pustką. Musiałam zacząć budować własne życie, a to było niezmiernie trudne, zawsze bowiem definiował mnie stosunek do innych ludzi. Byłam córką mego ojca, żoną Alpha, matką Sebastiana, żoną Korne- liusza... a teraz najwyraźniej muszę jeszcze zostać kochanką innego mężczyzny. Nie było sensu dłużej odsuwać od siebie tej myśli. Postępowałam jak tchórz, zamykając oczy na fakty, które tak rozsądnie wywiódł w kwietniu Korneliusz. Stało się dla mnie jasne, że dla wspólnego dobra muszę położyć kres samotności, przez którą stawałam się coraz bardziej znerwicowana i zgorzkniała. "Będę miała romans" - powiedziałam do siebie, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Potem dodałam zaciekle: "Muszę!" Ale kiedy przypomniał mi się Korneliusz w dzinsach, taki smukły i zgrabny, jakiś głos w moim sercu zawołał z rozpaczą: "Nie mogę, nie mogę..." 5 - Nic ci nie jest? - zapytał Korneliusz. - Nie, skądże! Czuję się świetnie. Dzwonił do mnie Sebastian. Jutro wraca do domu. - Mhm. To dobrze. A teraz, jeśli mi wybaczysz... Co za ulga, że nareszcie mam okazję uciec od problemów, których się nie da rozwiązać. Posta- nowiłam, że zastanowię się nad nimi później, kiedy na koniec sierpnia wrócimy do miasta po miesiącu spędzonym w Bar Harbor. Teraz byłam zajęta, podekscytowana i szczęśliwa. Teraz wreszcie miałam na co czekać. Mój pierwszy mąż twierdził, że Sebastian jest tępy, bo chłopiec późno zaczął mówić i począt- kowo nie nadał z nauką. Kiedy zyskałam swobodniejszy dostęp do synów, kupiłam specjalne książ- ki, żeby go podciągnąć w czytaniu i liczeniu, i wtedy właśnie się przekonałam, że jest inteligentny. Później inni także się o tym dowiedzieli, ale ja odkryłam to pierwsza. Jako dziecko Sebastian miał ze- za i wystające zęby. Korneliusz uważał go za brzydala; co prawda nigdy nie powiedział tego wprost, zauważyłam jednak, że często wyraża się pochlebnie o urodzie Andy'ego, podczas gdy o Sebastianie nie wspomina w ogóle. Znalazłam najlepszego chirurga w Nowym Jorku, który zoperował mu to krnąbrne oko, i najlepszego dentystę, który dopilnował, żeby zęby rosły prosto. Kiedy Sebastian cier- piał na typowe dla wieku młodzieńczego zaburzenia skórne, nie powtarzałam w ślad za Korneliuszem: "Z wiekiem mu to przejdzie!", lecz zabrałam go do najlepszego dermatologa. Teraz mój syn miał sześć stóp wzrostu, gładką cerę i fascynujące ciemne oczy, a w uśmiechu błyskały mu piękne równe zęby. Wciąż nie mogłam się nadziwić, że jest taki duży, silny i

dorośli. Czasem, gdy pojawiał się po długiej nieobecności, trudno było mi uwierzyć w cud, który sprawił, że dałam mu życie. Oto stał przede mną mój syn, żywa pamiątka tych niezapomnianych czasów, kiedy czułam, że jestem kimś, Alicją Blaise Foxworth, nieprzeciętną, utalentowaną, wyjątkową. Rankiem w dniu jego przyjazdu kazałam sobie ułożyć włosy, po czym ubrałam się w nową lniąną spódnicę i nową czarno-białą bluzę w duże grochy. Spódnica, węższa i krótsza od zeszłorocznego fasonu, korzystnie podkreślała figurę i cieszyłam się, że zadałam sobie tyle trudu, żeby zachować linię. Z wykładanej na wierzch bluzki nie byłam aż tak zadowolona, ale trudno oczekiwać, że każdy szczegół najświeższej mody będzie się człowiekowi podobał. Na głowę wybrałam mały czarny toczek, odnalazłam także rękawiczki i najelegantszą czarną portfelową torebkę, a następnie wyruszyłam na stację nowym bladeżółtym cadillakiem Korneliusza. Pociąg spóźnił się o dziesięć minut. Spokojnie stałam za barierką i kiedy wreszcie wtoczył się na stację, dołożyłam starań, by ukryć podniecenie, żyłam bowiem w ciągłym strachu, że zawstydzę Sebastiana jakąś głupią demonstracją matczynych uczuć. Sebastian nie był wylewny. Widząc, że idzie w moim kierunku, uniosłam rękę, uśmiechnęłam się przelotnie i zrobiłam nieznaczny krok do przodu. Serce tłukło mi tak, jak gdyby miało zaraz pęknąć ze szczęścia. Sebastian miał na sobie wymięty i niezbyt schludny letni garnitur, a jego ulubiony krawat najwyraźniej nie doczekał się wizyty w pralni. Był bez kapelusza. Stara poobijana walizka musiała być ciężka, ale niósł ją tak lekko jak damską torebkę. - Witaj, kochanie - rzuciłam. Wiedziałam, że lepiej nie przesadzać z serdecznością. - Jak się masz? Musiałam stanąć na palcach, żeby go pocałować. Był taki wysoki! - Dobrze. W zgodnym milczeniu ruszyliśmy do auta. - Chryste! - mruknął Sebastian na widok cadillaca. - Co za koszmarny kolor! - Korneliusz jest nim zachwycony. "Chacun ses goûts!" - Nie dałbym złamanego grosza za gust Korneliusza. Dlaczego, u diabła, nie kupi sobie porządniejszego rolls-royce'a? - Kochanie, wiesz przecież, że Korneliusz popiera amerykański przemysł! - Myślałem, że ostatnio modne jest pompowanie pieniędzy do Europy. Boże, ten Nowy Jork to okropne miasto! Spójrz tylko! Popatrz na ten brud, na te hordy bezmyślnych ludzi i te odrapane ulice! Istne wysypisko śmieci! - W Filadelfii jest jeszcze gorzej - zacytowałam nowojorski dowcip. - W Filadelfii? A gdzie to jest? Roześmialiśmy się oboje, a kiedy już siedzieliśmy w samochodzie, nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby pocałować go jeszcze raz. - Kochanie, tak się cieszę, że cię znów widzę. - Mhm. Jakie plany? To co zwykle? Żadnej nadziei, że Korneliusz odwoła wielkie ksenofobiczne rodzinne saturnalia z okazji Czwartego Lipca i wyjedziemy od razu do Bar Harbor? - Oj, kochanie, przecież wiesz, jak Korneliusz uwielbia amerykańską tradycję! - Emily i jej banda też będzie? - Czwartego lipca? Tak, oczywiście! - A Scott? - Chyba tak. - Chwała Bogu. Przynajmniej jedna osoba, z którą da się normalnie porozmawiać. - Kochanie, doprawdy nie powinieneś mówić takich rzeczy! - Ktoś jeszcze? - No... - Sam i Vicky? - Tak. Och, synku... - Nieważne. Nie chcę o niej mówić. Dalszą drogę przebyliśmy w milczeniu. Chciałam ścisnąć go współczująco za rękę, lecz wiedziałam, że to byłby błąd. Po przyjeździe do domu Sebastian od razu zniknął w swoim pokoju i puścił na cały głos "Tannhäusera". Dopiero o szóstej odważyłam się mu przeszkodzić. - Korneliusz wrócił, kochanie - powiedziałam, pukając do drzwi. - Może zjeździsz się przywitać? Sebastian wyszedł z kwaśną miną i bez słowa zbiegł po schodach do Złotego Salonu, gdzie Korneliusz przeglądał właśnie gazetę. - Witaj, Sebastianie! - Cześć. Podali sobie ręce. Nie pasowali do siebie - Korneliusz taki jasny i delikatny, Sebastian taki ciemny i silny, wyższy od niego o kilka cali. - Jak się masz? - Dobrze. - Miałeś wygodną podróż? - No. - A jak ci leci w Harvardzie? - W porządku. - To świetnie! Cisza. Nacisnęłam dzwonek. - Czego się napijesz, Sebastianie? - Piwa. - Zaraz każę przynieść. Czekaliśmy. Poczułam ulgę, znajdując wreszcie temat do rozmowy. - Kochanie, podziel się z Korneliuszem swoimi poglądami na temat sytuacji gospodarczej. Czy to, co mówiłeś na stacji, dotyczyło planu Marshalla? Reszta wieczoru minęła bez większych gaf, a o wpół do dziesiątej Korneliusz nas przeprosił,

mówiąc, że chce się wcześniej położyć. - Twoja wiedza jest imponująca, kochanie! - powiedziała, kiedy zostaliśmy sami. - Korneliusz był pod wrażeniem, jestem tego pewna. - Możliwe. - Sebastian niecierpliwie zabębnił palcami o stół. Miałam wrażenie, że najchętniej znów zamknąłby się w pokoju, żeby dalej słuchać "Tannhäusera". - Czy chcesz się już położyć, kochanie? - zapytałam. Czułam, że powinnam pozwolić mu odejść, jeśli ma na to ochotę. Nie chciałam być natrętna ani zaborcza. - Nie. Proszę cię, przestań bez przerwy mówić do mnie: "kochanie". Skoro już dałaś mi takie parszywe imię jak Sebastian, mogłabyś przynajmniej czasem go używać. - Naturalnie! Przepraszam. To zabawne, że człowiek nie może się odzwycząić od tych głupich pieszczotliwych zwrotów. - Uśmiechnęłam się do niego i pomyślałam: "Tyle miłości i nie ma komu jej dać". Rozejrzałam się bezradnie po pokoju, jak gdyby w którymś kącie czekał chętny odbiorca. - Nic ci nie jest, mamó? - Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz? - Wydajesz się bardzo spięta. A więc nawet Sebastian to zauważył. Większego upokorzenia nie mogłam już doznać. - Czuję się doskonale - powiedziałam raźniej, aczkolwiek jaśniej niż kiedykolwiek pojęłam, że wielkimi krokami zbliża się dzień, gdy już nieodwołalnie będę musiała przystąpić do rozwiązania problemu, który wciąż wydawał mi się nierozwiązywalny. 6 - Nic ci nie jest, Alicjo? - zapytał Kevin Daly. Dwa miesiące później siedzieliśmy na tarasie letniego domu Korneliusza w Bar Harbor. Korneliusz nie dostał w spadku letniej rezydencji Paula, ale później kupił podobną posiadłość o pół mili dalej. Dom zaprojektowano w stylu śródziemnomorskiej willi; miał trzydzieści pokoi z fantastycznym widokiem i dziesięć akrów malowniczego ogrodu, który opadał ku brzegowi morza. Spędzałam tam z dziećmi każde lato, a Korneliusz wpadał do nas tak często, jak tylko pozwalała mu praca. Co roku przyjeżdżały też z Ohio Emily i jej córki. Ponieważ dziewczęta wcześniej straciły ojca, Korneliusz uważał, że powinien otoczyć je szczególną opieką, one zaś z biegiem czasu zaczęły w nim widzieć substytut ojca, którego nie pamiętały. Korneliusz zawsze lubił dzieci, ponadto trudno było zaprzeczyć, iż powinien udzielić siostrze wszelkiej możliwej pomocy, nie oponowałam więc, chociaż całe lato z Emily przeważnie doprowadzało mnie do skrajnego wyczerpania. Byłam natomiast mocno zaskoczona, kiedy Korneliusz z równą werwą zajął się pasierbami Emily. Jej nieudacznego męża, Steve'a Sullivan, zmieniał żony jak rękawiczki i córki Emily nie były jedynymi dziećmi spłodzonymi przez niego na przestrzeni lat. Miał dwóch synów z pierwszego małżeństwa: młodszego, Tony, zginął na wojnie, za to starszy, Scott, był ulubieńcem Korneliusza i nawet pracował w banku. - Czemu nie? - mawiał Korneliusz. - Dlaczego miałbym żywić do niego jakieś uprzedzenia tylko z powodu Steve'a? Nie próbowałam się z nim spierać, jednakże jego wielkoduszność i prawdziwie chrześcijańska zdolność wybaczenia zrobiły na mnie duże wrażenie. Wszyscy wiedzieliśmy, że Korneliusz miał powody, by nienawidzić Steve'a, i człowiek mniejszego formatu na pewno nie zaprzętałby sobie głowy jego dziećmi z wyjątkiem tych, które były z nim spokrewnione poprzez Emily. Korneliusz jednak miał naturę dobroczyńcy. W 1940 roku obarczył się nawet trojgiem dzieci Steve'a z jego ostatniego związku z Diną Slade, Angielką, której powiodło się w interesach. Właściwie to Emily opiekowała się nimi w czasie wojny, lecz Korneliusz zawsze starał się być dla nich miły. Nie mam pojęcia, po co zadawał sobie tyle trudu, gdyż dzieciaki były nieciekawe i krnąbrne, i podejrzewam, że nawet taka urodzona męczennica jak Emily odetchnęła, gdy dorosły na tyle, by wrócić do Europy i kontynuować edukację w angielskich szkołach z internatem. W ciągu dwóch pierwszych lat po wojnie nadal spędzały z nami wakacje w Bar Harbor, kiedy jednak bliźniaki, Edred i Elfyda, skończyły osiemnaście lat, ich noga więcej nie postąpiła w Ameryce, a czeki, które hojnie wysyłał im Korneliusz, wracały odwrotną pocztą. - Widocznie doszli do wniosku, że wystarczająco długo żyli na mój koszt - stwierdził Korneliusz, ale widziałam, że czuje się dotknięty. Nie mogłam się powstrzymać od powiedzenia Emily, że uważam to za dowód haniebnej niewdzięczności, lecz Emily odparła tylko: - Dojrzewanie nie zawsze jest łatwe, zwłaszcza gdy w dzieciństwie straciło się oboje rodziców. W przeciwieństwie do angielskich Sullivanów,

amerykańscy Sullivanowie przepadali za Korneliuszem i zawsze okazywali mu sympatię i wdzięczność. W chwili gdy siedziałam z Kevinem na tarasie willi, grali z moim synem w tenisa na położonym nieco niżej korcie. Andrew partnerował Rose, starszej córce Emily, a Scott, który przyjechał z Nowego Jorku na długi weekend, grał w parze z młodszą Lori. Co się tyczy reszty rodziny, to Sebastian jak zwykle gdzieś wywędrował, Emily wizytowała miejscowy oddział Czerwonego Krzyża, a Korneliusza odwołano do telefonu, tak więc w końcu zostaliśmy we dwoje. Kevin zatrzymał się u swoich przyjaciół w North-East Harbor i tego dnia wpadł nas odwiedzić. - Naturalnie, że nic mi nie jest, Kevinie. Czuję się doskonale. Kevin był rówieśnikiem Korneliusza i miał miłą powierzchowność, którą ja, nie będąc nigdy w Irlandii, zapewne błędnie uważałam za irlandzką. Miał gęste ciemne włosy, jasne oczy i szeroki zwycięski uśmiech. Dwanaście lat temu przestał pojawiać się na przyjęciach w towarzystwie ciągle zmieniających się ślicznotek i nie zdementował pogłoski, jakoby zamieszkał z nim młody aktor. Znamość ta nie potrwiała dłużej niż w wypadku urodziwych dziewcząt, odtąd jednak cały Nowy Jork wiedział o upodobaniach Kevina Daly'ego, a biedny Korneliusz, który szczerze go lubił, lecz z zasady nie akceptował homoseksualistów, omal nie spalił się ze wstydu. Obecnie rzadko spotykaliśmy się z Kevinem towarzysko, chociaż podziwiałam jego piękny dom i zawsze cieszyłam się, kiedy raz do roku zapraszał nas do siebie na kolację. Podobały mi się też jego sztuki, aczkolwiek czytając później ich recenzje zastanawiałam się nieraz, czy na pewno zrozumiałam ich treść. Kevin pisał białym wierszem, co jednak mi nie przeszkadzało, aktorzy bowiem inteligentnie wypowiadali swoje kwestie w taki sposób, że brzmiały one jak zwyczajny dialog. Fabuła przeważnie była smutna, a ja lubię historie, które angażują mnie emocjonalnie. Postacie kobiet nakreślone były znakomicie. - W każdym razie... Nie, Kevinie, to naprawdę nic. Lubiałam go najbardziej z trzech mężczyzn, których Paul Van Zale uczynił przed laty wakacyjnymi towarzyszami Korneliusza. Nigdy do końca nie ufałam urokowi Sama ani wyrafinowaniu Jake'a Reischmana, za to Kevin był tak spontaniczny, że przy nim zawsze czułam się swobodnie. - Po prostu doskonale się tu bawiłam razem z dziećmi. - Starłam się odpowiedzieć na pytanie tak, by nie wzmacniać jego podejrzeń, że coś jest nie w porządku. - Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o powrocie do Nowego Jorku. - Chyba żartujesz! - wykrzyknął jowialnie Kevin, dolewając sobie bourbona i podsuwając mi kafelek z sherry. - Zawsze, jak zbyt długo jestem poza miastem, mam wrażenie, że zwariuję. Prawdę mówiąc, w tej chwili też mam to wrażenie. W Bogu tylko nadzieja, że dom nie spłonął jeszcze do fundamentów. Chyba zadzwonię do Mony, kiedy Korneliusz przestanie wisieć na telefonie. - Kto to jest Mona? - Moja nowa dozorczyńni. Powinnaś ją poznać. Jest taka zabawna! Ma dwie kompletnie niemożliwe złote rybki, które... Alicjo, jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze sherry? Nie? Wcale cię nie winię, ta ciecz wygląda okropnie. Kosztowałaś kiedyś bourbona "Wild Turkey"? Jest fantastyczny, zwłaszcza gdy człowiek czuje się odrobinę przygnębiony. Jakimś cudem udało mi się zaśmiać, choć właściwie miałam ochotę się rozpłakać. To dlatego, że był tak szczerze zatroskany. Pomyślałam, jak to ładnie z jego strony, że zwraca sobie głowę kimś, kto jest tylko żoną jego starego przyjaciela. Dokładając starań, by mówić tonem równie lekkim jak on, stwierdziłam wesoło: - Wychowano mnie w przekonaniu, że dżentelmeni piją szkocką, południowcy bourbona, a damy, jeśli w ogóle, sherry... no, chyba że są wyzwolone i mieszkają w Nowym Jorku, bo wtedy piją koktajle na dzinnie. Równocześnie zastanawiałam się w udręce, od jak dawna dozorczynią jest u niego Mona. Zdałam sobie sprawę, że Korneliusz musiał kupić tej Polce mieszkanie, gdy tylko usankcjonowałam ich związek, i nagle cały świat wydał mi się szary i brzydki. Dobiegający z kortu śmiech dźwięczał okrutną szyderczą nutką. W Nowym Jorku zostanę zupełnie sama. Sebastian wróci do Harvardu, Andrew wstąpi do wojska, żeby zrealizować swe marzenia o karierze pilota, a Korneliusz większość czasu będzie spędzał na Willow Street. Zupełnie sama, nie będę miała nic do roboty ani żadnego miejsca, gdzie mogłabym pójść, i nikogo, nikogo, nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić... - Och, Kevinie!

- wykrzyknęłam z rozpaczą i natychmiast zamilkłam. - Życie jest czasami koszmarnie, nie sądzisz? - zauważył Kevin. - Czy miewasz niekiedy uczucie, że najchętniej złapałabyś siekiere i rozniosła wszystko w zasięgu wzroku? Z rozkoszą bym to zrobił, ale na nieszczęście nie mam już czego niszczyć. W tej chwili moje życie osobiste przypomina Hiro- szimę po wybuchu bomby. - Ja... - I tym razem nie udało mi się nic więcej powiedzieć. - Oczywiście na twoim miejscu w pierwszej kolejności zabrałbym się za ten wasz upiorny dom przy Piątej Alei. Było mi cię żal, kiedy razem z Neilem poślubiłaś to mauzoleum! Teraz, gdy wszystkie dzieci dorosły, czy nie mogłabyś go namówić, żeby je sprzedał i pozwolił ci samej coś wybrać? Pomyśl, ile radości sprawiłoby ci szukanie ładnego lokum i jaka by to była ulga, móc wreszcie wyrzucić te wszystkie bezcenne antyki i kupić sobie właśnie takie meble, jakie chciałybyś mieć! Uważam, Alicjo, że należy ci się jakaś nagroda za to, że przez tyle lat byłaś niedoścignioną panią Korneliuszową Van Zale. Pora, żebyś dla odmiany pomyślała o sobie. Teraz twoja kolej na wyrażanie siebie, a kiedy mówię o tobie, nie mam na myśli pani Korneliuszowej Van Zale, lecz twoją osobę, Alicję... jak brzmi twoje panięskie nazwisko? - Blaise. - Alicję Blaise. Ciebie. Chyba się nie mylę twierdząc, że wciąż jeszcze istniejesz, pogrzebana żywcem w tym cholernym grobowcu na Piątej Alei? Mój Boże, gdybym miał dynamit, osobiście wysadziłbym go w powietrze, żeby cię uwolnić! Roześmiałam się. Oczywiście miałam pełne łez, lecz Kevin ich nie widział, bo przez cały czas przezornie wpatrywałam się w swoje dłonie. Z dołu, od strony kortu, również doleciał śmiech, ale tym razem nie zwróciłam nań uwagi. Tak samo ledwie zauważyłam, że na taras wrócił Korneliusz, a Kevin prosił mnie na chwilę i poszedł do telefonu, nagle bowiem ujrzałam swój problem z całkowicie odmienną perspektywy i wizja ta mnie urzekła. Zrozumiałam, że nie muszę robić z siebie ofiary, zostając czyjąś kochanką wyłącznie po to, żeby życie moje i moich bliskich stało się nieco znośniejsze, że w przeciwieństwie do tego, co dotychczas sądziłam, nie stoję przed ostatecznym krokiem, który pozbawi mnie resztek szacunku do samej siebie. Prawda była taka, że pani Korneliuszowa Van Zale nie musiała się poniżyć, inaugurując nową erę życia w cieniu mężczyzny, z którym sypia. Zamiast tego Alicja Blaise mogła dowieść swych praw, biorąc sobie kochankę. A to było już coś zupełnie innego. Biorąc sobie mężczyznę, zamiast samej zostawać kochanką, przyjmę rolę aktywną, nie bierną. Określę się sama, zamiast pozwalać, by określał mnie kto inny. Robiąc wreszcie coś tylko dla siebie, będę musiała to zrobić samodzielnie, bez niczyjej pomocy. Sama wybiorę tego mężczyznę. Być może także będę musiała go uwieść, jeśli on będzie zwlekał z uwiedzeniem mnie. Rysował się przede mną przerażający pejzaż, ale był to mój pejzaż, stworzony przeze mnie i należący wyłącznie do mnie. Pomyślałam w panice: "Nie mogę tego zrobić. Nie dam sobie rady bez pomocy, nie mam na tyle odwagi." Potem wszakże przypomniałam sobie słowa Kevina: "Pora na ciebie, Alicjo!" i pomyślałam: "Tak! Dlaczego tylko ja mam cierpieć, gdy wszyscy inni są zadowoleni i szczęśliwi? W imię czego?" I ta pierwsza iskierka gniewu natchnęła mnie odwagą, której potrzebowałam, by móc posunąć się dalej. Po raz pierwszy w życiu zaczęłam myśleć nie o mężczyźnie, który łaskawie zainteresowałby się mną dla własnej rozrywki, a o mężczyźnie, który mógłby właściwie odegrać rolę, jaką ja chciałam mu przeznaczyć.

Rozdział trzeci | Jak powszechnie wiadomo, mężczyzna nie ma kłopotu ze znalezieniem sobie partnerki do łóżka. Wystarczy, że zaproponuje to którejkolwiek z licznych chętnych kandydatek. Ale dla kobiety, zwłaszcza takiej jak ja, sprawa wygląda o wiele gorzej. Nowojorska socjeta znana była ze swobodnych obyczajów. Cyniczny żart, że jedynym sposobem zyskania pewności, że dana para ze sobą nie będzie sypiać, jest połączenie jej węzłem małżeńskim, korzeniami tkwił mocno w realiach. Niestety, z natury nie byłam rozwiązłą i jedynymi mężczyznami w moim życiu byli moi dwaj mężowie. To prawda, wciąż jeszcze wyglądałam młodo, zdawałam sobie jednak sprawę, że moja atrakcyjność dla płci przeciwnej ogranicza rezerwa, często nadająca mi pozory chłodnej i wyniosłej. Nie byłam i nigdy nie będę jedną z tych iskrzących się kobiet, które potrafią usidlić mężczyznę zapalając

papierosa. Biorąc kąpiel przed kolacją uświadomiłam sobie wyraźnie, że istnieją dwa oddzielne problemy, z którymi muszę się uporać. Pierwsza trudność polegała na tym, że zarówno mój temperament, jak i nader skąpe doświadczenie bynajmniej nie pomagały mi rozpocząć flirtu. Drugi problem nie był no- wy: nie znałam mężczyzny, który by mnie pociągał. Postanowiłam zająć się tym w pierwszej kolejności i uczyniłam spory wysiłek, żeby wyobrazić sobie kogoś odpowiedniego. Oczywiście musiał to być ktoś o tej samej pozycji społecznej; nie straciłam jeszcze rozumu do tego stopnia, żeby uwodzić słuchającego, listonosza czy ekspedienta u Macy'ego. Równocześnie zależało mi na tym, aby jego sytuacja rodzinna była równie stabilna jak moja, zatem musiał to być czyjś mąż. Niestety, znałam wyłącznie mężów moich przyjaciółek, a wobec nich nie chciałam postępować tak niegodziwie. W gruncie rzeczy nie miałam bliskich przyjaciółek - byłam zbyt nieśmiała - choć istniała pewna grupa kobiet, które lubiłam, i za żadną cenę nie chciałam dopuścić do tego, by przestały odwzajemniać moją sympatię. Pozostawali więc mężowie dalszych znajomych, lecz sam pomysł zwrócenia się do obcego z taką propozycją nie mieścił mi się w głowie. Dołałam do wanny gorącej wody i z rozpaczą zanurzyłam się z powrotem. Nie ustawałam w umysłowych wysiłkach i stopniowo sytuacja wydała mi się jaśniejsza. Zadałam sobie pytanie, dlaczego miałabym wykluczyć nieznajomych, skoro większość kobiet z pewnością wolałaby kochanka bez powiązań z ich codziennym życiem. Uświadomiłam sobie, że moja nieufność wobec nieznajomych bierze się nie tylko stąd, iż boję się, że będą o mnie plotkować, ale też stąd, że obawiam się plotek na temat Korneliusza. Nikt, kogo nie dosięgły ostre pióra brukowych dziennikarzy, nie potrafi sobie wyobrazić, do czego gotowa jest posunąć się ofiara, byle tylko nie stać się godną ich względów. Od chwili gdy opuściłam Ralpha i zamieszkałam z Korneliuszem, przywiązywałam najwyższą wagę do tego, aby nasze życie prywatne pozostało prywatne w każdych okolicznościach. Gazetowi plotkarze mieli na nas oko, byliśmy bowiem bogaci, wciąż jeszcze stosunkowo młodzi, a poza tym byliśmy rodzicami jednej z najładniejszych bogatych pańien na wydaniu w całej Ameryce. Co prawda nasze spokojne życie rodzinne dostarczało sępom niewiele karmy, przez cały czas wszakże zdawałam sobie sprawę, że ostrzą sobie dzioby w oczekiwaniu, aż komuś z nas podwinie się noga. Romantyczna eskapada Vicky z poznanym na plaży chłopakiem byłaby dwukrotnie mniej przykra, gdyby wiadomość o niej nie została rozplakatowana na wszystkich słupach ogłoszeniowych. Tak więc, ponieważ moja pozycja społeczna różniła mnie od większości kobiet, możliwości wyboru, albowiem w ramach wchodziło tylko jedno bezpieczne wyjście: musiałam znaleźć mężczyznę, który nie dość, że nie będzie o mnie opowiadał kolegom, to jeszcze oprze się pokusie, by w toalecie Knickerbocker Club nie rzucić od niechcenia: "Kurcze, Korneliusz Van Zale ma poważne kłopoty!" Portret mojego kochanka wreszcie nabrał ostrości. Musiał być nie tylko przyjacielem Korneliusza, ale i jego sprzymierzeńcem, zawsze wobec niego lojalnym. Rzecz jasna wiedziałam, że w Nowym Jorku jest tylko trzech mężczyzn, którym Korneliusz ufa bez zastrzeżeń. Sam Keller odpadał. Kevin nie mógł mi pomóc. Pozostawał Jake Reischman. Wygramoliłam się z wanny, rozsypałam puder po dywanie i owinęłam się największym ręcznikiem, jaki udało mi się znaleźć. Nieco później, siedząc przed toaletką, podczas gdy pokojówka szciotkowała mi włosy, znalazłam dość sił, by powtórnie zastanowić się na Jakim. Na jego korzyść przemawiało to, że czułam, iż mogę mu zaufać równie głęboko, jak ufał mu Korneliusz. Był niewątpliwie światowcem, a jednak w ciągu piętnastu lat małżeństwa prowadził szacowne, wręcz purytańskie życie rodzinne. Człowiek tego typu nie tylko wiedziałby, czym jest strach przed plotką, lecz również umiałby poprowadzić ten romans, wykazując przy tym maksimum dobrego smaku i rozsądku. Oczywiście był Żydem, ale o tym nie chciałam myśleć. A jednak pomyślałam. Na moment przeważał fakt, że zostałam wychowana wśród jankeskiej arystokracji Wschodniego Wybrzeża, potem wszakże przypominałam sobie, dokąd

antysemityzm do- prowadził Niemców, i zrobiło mi się wstyd. Żyd też był mężczyzną, nie jakimś obcym gatunkiem fau- ny, a zresztą Jake miał jasne włosy, tak samo jak Korneliusz. W chwili gdy odsunęłam od siebie poni- zające uprzedzenia zaszczerpione mi w dzieciństwie, pomyślałam, że Jake był jednym z niewielu zna- nych mi mężczyzn, jakich mogłabym uznać za atrakcyjnych fizycznie. Następnym szkopułem, pomyślałam, odprawiając pokojówkę i przerzucając kasetki, żeby znaleźć odpowiedni naszyjnik, polegał na tym, że musiałam stworzyć okazję do rozmowy z nim sam na sam. Widywałam go zwykle w towarzystwie żony, okropnej baby, której nigdy nie lubiłam, a niemądrze by- łoby dzwonić albo pisać do niego do domu. Spotkanie w jego banku nie wchodziło w rachubę. Musia- łam bardzo starannie zaplanować następny krok. Nie mogło być żadnej pomyłki, żadnej wpadki. Zesłam na dół na kolację. 2 - Kiedy otwierasz następną wystawę w Muzeum Sztuki Van Zale'ów, Korneliuszu? - zapytała Emily, kunsztownie skubiąc porcję pieczonej kaczki. - W poniedziałek po Święcie Pracy. Zebrałem kolekcję amerykańskich prymitywistów: kilka znanych nazwisk i paru debiutantów. - Jaka szkoda, że nie mogę zostać w Nowym Jorku, żeby ją obejrzeć! - powiedziała Emily. - Ale będę wtedy w samym środku objazdu. Zbieramy fundusze na rzecz europejskich uchodźców. - Nie cierpię prymitywistów! - wykrzyknęła jej córka Lori, wysoka hałaśliwa szesnastoletnia dziewczyna o lśniących ciemnych włosach i jasnoblękitnych oczach. - Lubię te wielkie tętniące życiem obrazy Rubensa, na których są nie ubrani mężczyźni. - Lori! - wtrąciła ze zgorszeniem jej siostra Rose. - Czy musisz być aż tak wulgarna? - Wydawało mi się, że specjalnością Rubensa były nagie kobiety? - zapytał ubawiony Scott. - Mylisz Rubensa z Michałem Aniołem, Lori. - Och, nie znoszę Michała Anioła! Jego anioły wyglądają jak hermafrodyty! - Dostyc tego, kochanie - powiedziała ostro Emily. - Ależ anioły są hermafrodytami - zakomunikował Scott swojej przyrodniej siostrze. - Anioły nie istnieją - oznajmił Sebastian, żując kaczkę. - Nonsens! - odrzekł Scott. - Istnieją w ludzkich umysłach. - Co nie znaczy, że są rzeczywiste! - Rzeczywistość jest tylko tym, co postrzega umysł. - Ale... - Ojej, nie znoszę tych intelektualnych dyskusji - powiedziała Lori. - Andrew, czy mógłbyś po- dać mi sól? - Jesteś taka nietolerancyjna, Lori! - zawołała Rose. - Nieprawda! Wiem, co mi się podoba, to wszystko, a amerykańscy prymitywiści mi się nie podobają. Dlaczego się nimi zajmujesz, wujku Korneliuszu? Myślałam, że podobają ci się tylko te paskudne grudy czerwonej farby na rozmazanych czarnych liniach, które maluje Picasso! - Czy nie mylisz Picassa z Kandinsky? - wtrącił Scott. - Myślałem, że Kandinsky to zawodnik Czerwonych z Cincinnati - powiedział Andrew. - A co to w ogóle jest amerykański prymitywista? - O Boże! - jęknął Sebastian. - Andrew żartuje - zaśmiała się perliście Emily. - Mało prawdopodobne - rzekł Sebastian. - Korneliuszu - wtrąciłam - mówisz, że kiedy otwierasz tę wystawę? Chyba nie widziałam jej w moim terminarzu. - Jak to, musi tam być! Moja sekretarka mówiła twojej sekretarce... - Lubię amerykański prymitywizm - powiedziała Rose. - Jest taki czysty i niewinny w linii. - Czarujący - zgodziła się jej matka. - Poza tym muszę przyznać, że lubię malarstwo, które coś przedstawia. - Czy na otwarciu będzie duże przyjęcie? - spytałam Korneliusza. - Tak, naturalnie. Przyjdzie cały artystyczny światek nowojorski. - I wszyscy członkowie Rady Fundacji Van Zale'a? - Jasne. A zatem Jake też tam będzie. Wyobraziłam sobie zatłoczone foyer, dym z papierosów, szansę na szybkie słówko w spokojnym kącie. Tylko w jaki sposób mam go oderwać od żony, która podczas wszystkich towarzyskich spotkań czepia się go niczym pijawka? Czekające mnie problemy jeszcze raz wydały mi się nie do przewidzenia. Kiedy przypominałam sobie, gdzie jestem, lokaje zbierali już ze stołu półmiski z głównym da- niem, żeby podać deser. - Jak rozwiązałaś to zadanie szachowe, które podali zeszłej niedzieli w "Timesie"? - zapytał Korneliusz Scott. - Ciekawe było, nieprawdaż? - Korneliusz rozpromienił się na myśl o dyskusji szachowej i obda- rzył Scotta szczególnie radosnym uśmiechem. Nie po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że żadnemu z moich chłopców nie udało się osiągnąć w stosunkach z Korneliuszem takiego stopnia zażyłości, jaki go łączył ze Scottem. Przez chwilę przyglądałam

mu się uważniej, ale dostrzegłam tylko jego bez- płciowe dobre maniery i miły swobodny uśmiech. Podejrzewam, że niektórym kobietom mógł się wy- dawać atrakcyjny, mnie jednak nie pociągał; w jego wyglądzie było coś, co napełniało mnie odrazą. Miałam wrażenie, że jego czarne oczy i czarne włosy są zewnętrznymi znamionami nieprzeniknionej, zamkniętej osobowości, i nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Korneliusz nie widzi żadnych przeszkód, by mu ojcować. Choć może stosunek Korneliusza do Scotta był bardziej braterski niż ojcowski. Róż- nica wieku wynosiła zaledwie jedenaście lat, a Korneliusz mówił mi kiedyś, jak bardzo chciał mieć brata. Do tego łączyły ich wspólne zainteresowania: bank, Emily i jej córki, szachy... - Nie cierpię szachów - oświadczyła Lori. - Mnóstwo małych figurek na jednej desce, i jaki w tym sens? - W życiu jest tak samo, Lori - uśmiechnął się do niej Scott. - Jesteśmy tylko tłumem małych fi- gurek, które usiłują się przebić na drugą stronę szachownicy. Zaczęłam od nowa myśleć o Jake'u Reischmanie... 3 - Muszę cię ostrzec - rzekł do mnie Korneliusz na tydzień przed otwarciem wystawy - ta kobie- ta... ta Teresa Kowalewski jest jedną z malarek, których prace wystawiam, i będzie na otwarciu. Oczywiście nie musisz się z nią spotykać. Prosiłem już, żeby przyszła później, tak że nie będzie jej na samym początku, kiedy będziemy się witać z innymi artystami. - Rozumiem. Moje wyobrażenie o tej nieznanym kobiecie stało się klarowniejsze: była na tyle ambitna, by dążyć do kariery przez łóżko. Powstrzymałam się od osądu, lecz z ulgą odnotowałam w duchu, iż Korneliusz prawdopodobnie ma rację zakładając, że nigdy się w nim nie zakocha. Korneliusz udawał, że czyta gazetę. Był wieczór; siedzieliśmy razem przy szklance czegoś moc- niejszego w Złotym Salonie naszego domu przy Piątej Alei. - No cóż, ja z pewnością nie mam ochoty jej witać - powiedziałam - ale jak mam unikać jej póź- niej, skoro jej nie znam? - Jest mniej więcej mojego wzrostu i ma ciemne kędzierzawe włosy, które zawsze wyglądają jak rozczochrane. Będzie w czerwonej wieczorowej sukni. - Skąd ta pewność? - Ponieważ ma tylko jedną wieczorową sukienkę. - Ach tak. Na tym rozmowa się zakończyła. Korneliusz przewrócił stronę gazety, Carraway zaanonsował kolację, i kiedy wstaliśmy z foteli, żeby przejść do jadalni, zaczęłam powtarzać w myślach skompli- kowany plan odciążenia Jake'a Reischmana od żony. 4 Zobaczyłam, że wchodzi do podłużnej, już zatłoczonej sali. Był wysoki, tęższy niż dawniej, a włosy miał nie tylko jaśniejsze niż Korneliusz, ale proste i przeredzone na ciemieniu. Jego oczy przypominały bezchmurne niebo w zimowy poranek. Patrzyłam, jak przepycha się w naszą stronę z pozbawioną wysiłku rutyną - słówko tu, słówko tam, klepięcie w ramię, profesjonalny uśmiech, krok do przodu, krok w bok, znów do przodu. Był sam. Początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że mój skomplikowa- ny plan nie jest już potrzebny, po raz pierwszy poczułam, że przeznaczenie jest po mojej stronie i los w końcu zaczyna się do mnie uśmiechać. Jake dotarł do nas. - Dobry wieczór, Neil... Alicjo... - Profesjonalny uśmiech zaignął także w zimnych błękitnych oczach, jakby dla potwierdzenia, że Jake znalazł się wśród starych przyjaciół. - Witaj, Jake. A gdzie Amy? - spytał swobodnie Korneliusz. - Musiała dzisiaj usunąć ząb mądrości. W nocy rozwinął jej się ropień. Ile się nacierpiła! W każdym razie prosiła, żeby was przeprosić i powiedzieć, jak bardzo jej przykro, że nie mogła przyjść. O, Vicky! Pani Keller, jest pani ucieleśnieniem czaru! Jak się pani podoba małżeństwo? - Och, wujku Jake, ależ z ciebie stary pochlebca! - Vicky uścisnęła go serdecznie. - Zrezygnuj z tego "wujka", moja droga, i pomiń słowo "stary". Zapominasz, że jestem równie młody jak twój małżonek! Cześć, Sam, jak się masz? Wystawy malarstwa jakoś mi do ciebie nie pasu- ją! - Vicky stara się mnie doksztalcić. Powtarzam jej, że to beznadziejne zadanie, ale ona nie przy- jmuje do wiadomości słowa "nie". Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że muszę włączyć się do rozmowy, zanim Jake pójdzie dalej. Powiedziałam szybko: - Co słychać u dzieci, Jake? Jak Eliza radzi sobie w nowej szkole? - Jedzenie jej smakuje, choć podejrzewam, że nie będzie w niej szczęśliwsza niż w poprzedniej, chyba że zdecyduje się przejść na dietę. Powinna zrzucić

ze trzydzieści funtów i stać się szczupłą i wiotką jak ty, moja droga. - Jake, gładki niczym arktyczny lód, uśmiechnął się do mnie oficjalnie i od niechcenia na znak aprobaty. - Dziękuję za komplement - wykrztusiłam suchymi ustami. Sam i Vicky pograżyli się już w rozmowie z kimś innym, a jakiś milioner złapał Korneliusza za guzik. Usłyszałam coś o nakładach na stypendia artystyczne oraz o utworzeniu jakiegoś dużego funduszu powierniczego. - Chyba powinienem się ulotnić, zanim mnie zapyta, gdzie ma zainwestować kapitał - mruknął Jake. - Przepraszam cię, Alicjo. Serce nieomal przestało mi bić. Czułam, że zaraz zemdleję. - Jake... Taktownie przystanął. - Jake, ja... - Na Boga, ależ tu zgiełk! Neil zaprosił za wiele ludzi. Przejdźmy trochę dalej, moja droga, w ogóle cię nie słyszę. Przesunęliśmy się do zaciszniejszego kąta za bryłą jakiejś rzeźby. Nerwowo otarłam dłonie o czarną wizytową suknię, jak gdybym z jej eleganckich fałd mogła wycisnąć potrzebny mi spokój. Otworzyłam usta i stwierdziłam ze zgrozą, że zapomniałam kunsztownej wstępnej frazy, którą bez końca ćwiczyłam na tę okazję. - Alicjo, czy coś się stało? Odzyskałam głos. - Nie, nic - wyjąkałam. - Zupełnie... Nieoczekiwanie zabrakło mi tchu i musiałam urwać, żeby go zaczerpnąć. Miałam wrażenie, że za karę wykonuję jakieś męczące ćwiczenia gimnastyczne. - ...nic - dokończyłam. - Po prostu... Jake, czy moglibyśmy się kiedyś spotkać? Chciałabym coś z tobą omówić. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale... - Dla przyjaciół zawsze mam czas. Co proponujesz? - Och, no cóż... myślałam, że może któregoś popołudnia wpadłbyś do nas na drinka. - Naturalnie. Bardzo mi będzie miło. Który dzień miałaś na myśli? - Sądzę, że... może w przyszłym tygodniu... w czwartek... Oczywiście, jeżeli nie sprawi ci to kłopotu... - Mam czas w czwartek. Czy jednak Neil nie będzie wtedy w Chicago? - Tak. Ale to bardzo poufna sprawa, Jake. Nie chcę, żebyś rozmawiał o tym z Korneliuszem. Ani z kimkolwiek innym. - Będę milczał jak grób, przyrzekam! - Minę miał rozbawioną i równocześnie zaintrygowaną. - Mam nadzieję, że nie stało się nic poważnego? - Och, nie - powiedziałam. - Nic. Serdeczne dzięki, Jake. - Do czwartku - uniósł od niechcenia dłoń w pożegnalnym geście, wtapiając się w tłum. - Już się nie mogę doczekać. Patrzyłam w ślad za nim. Miałam wrażenie, że hałas się wzmacnia i w końcu zaczyna rozsądzać mi głowę. Oparłam się o ścianę, próbując równomiernie oddychać, ale całe ciało miałam złane potem i czułam się gorzej niż kiedykolwiek w życiu. Wydawałam się sobie zbrukana, jak gdybym zaraziła się jakąś ohydą chorobą. Ogarnęło mnie nieodparte pragnienie, żeby poszukać pociechy u Korneliusza. Poczekałam, aż przestanie mi się kręcić w głowie, i po omacku zaczęłam się przepychać przez tłum w stronę miejsca, gdzie się rozstaliśmy. Droga zdawała się trwać wiecznie. Miałam uczucie, że znalazłam się w tym znajomym koszmarnym śnie, kiedy osoba, której szukasz, zawsze ci się wymyka. - Korneliuszu! Nareszcie go zobaczyłam. Zachwiałam się z ulgi i wtedy kobieta, która przy nim stała, zamilkła. Spojrzałam na nią. Nikt nic nie mówił. Wydawało mi się, że cała sala ucichła, choć gwar rozmów wciąż mdląco huczał mi w uszach. - Alicjo - rzekł Korneliusz głosem całkowicie wyczerpanym z emocji - to jest Teresa Kowalewski. Jak wiesz, wystawia tu część swoich obrazów. Tereso, to moja żona. Kobieta miała na sobie połyskliwą czerwoną suknię i czerwone buty. Oba odcienie czerwieni gryzły się ze sobą. Była wyższa od Korneliusza i wyglądała przy nim ciężko i niezgrabnie. - Serwus - powiedziała, robiąc przy tym wrażenie jeszcze większej i bardziej niezgrabnej niż przedtem. - Dobry wieczór. - Żałowałam, że nie przychodzi mi na myśl żadna miażdżąca uwaga. W przedpołudniowych serialach żony zawsze umiały pokazać kochankom, gdzie ich miejsce. Przez następną sekundę wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że to jest kobieta, która sypia z Korneliuszem. Wiedziałam, że gdzieś na Manhattanie mieszka Amerykanka polskiego pochodzenia o imieniu Teresa, która maluje obrazy i ma tylko jedną wieczorową suknię, i wiedziałam, że z różnych powodów Korneliusz regularnie się z nią widuje, dotąd wszakże nie pojmowałam, jak wielką rolę ta kobieta odgrywa w jego życiu. Bez wątpienia wolałam nie patrzeć prawdzie w oczy; być może kochając go tak, jak go kochałam, nie byłam do tego zdolna. Teraz natomiast niczym cios spadła na mnie świadomość przerażającego bolesnego

znaczenia tej nienaturalnej sytuacji. Ta wulgarna, nieokrzesa, krzykliwa dziewczyna sypia z moim mężem. Gdzieś w Nowym Jorku stoi łóżko, na które kładą się nago i oddają wszystkim fizycznym poufałościom, do jakich ja nie miałam już prawa. Wie, jak całuje. Wie, jaki jest w łóżku. Posiadła ogromną wiedzę, do której nie była uprawniona; wiedzę, która po- winna była należeć tylko do mnie. Spojrzałam na Korneliusza i po raz pierwszy poczułam się naprawdę zdradzona. - To najbardziej ekscytujący dzień w całym moim życiu! - mówiła pośpiesznie ta kobieta. - Jes- tem taka przerażona, że język mi kołkiem staje! - Doprawdy? - Teresa boi się krytyków - dodał niepotrzebnie Korneliusz. - Ach, tak. - O, jest Kevin! - wykrzyknęła z ulgą. - Wybaczcie, ale muszę... - i uciekła. Po chwili Korneliusz odezwał się z przymusem: - Bardzo mi przykro. Nie rozumiem, dlaczego do nas podeszłaś. Przecież cię uprzedzałem. - Tak. To nie ma znaczenia. - Rozejrzałam się tępo za kimś, z kim mogłabym porozmawiać. Na- stępny milioner złapał Korneliusza za guzik. Zaczęłam się zastanawiać, jaki jest w łóżku Jake Reischman. 5 Ubrana w swoją najładniejszą czarną sukienkę, usiłowałam się zdecydować, ile makijażu nało- żyć. Nie lubię się malować, kiedy jednak czterdziestka zbliża się szybkim krokiem, trudno udawać, że najbardziej człowieka zdo- bi własna powierzchowność. W końcu lekko upudrowałam twarz, posłuży- łam się szminką w naturalnym kolorze i starannie pociągnęłam rzęsy tuszem. Następnie zaczęłam przebierać w kasetkach z biżuterią. Odłożyłam brylanty, w których lubił mnie widywać Korneliusz, zlekceważyłam rubiny, szafiry i szmaragdy, którymi skrycie gardziłam, i wybrałam prostą złotą brosz- kę. Zanim wybiła szósta, byłam już na dole w jednym z salonów, nie ulubionym Złotym Salonie Korneliusza, małym i przytulnym, lecz w Sali Rembrandta, gdzie posępne autoportrety artysty spog- łądały z góry na wytworne osiemnastowieczne angielskie meble. Wypiłam bardzo duże martini i kaza- łam sobie przynieść następne, po czym w panice zaczęłam dochodzić do wniosku, że w Pokoju Wer- salskim atmosfera byłaby mniej przygnębiająca, aczkolwiek nie byłam pewna, czy zdołałabym znieść swoje odbicie w tych wszystkich pozłacanych lustrach. Poza tym umeblowanie było zbyt rokokowe. Jake zasługiwał na niewymuszoną elegancję angielskich wnętrz. Uznałam, iż skoro od lat ma pod swo- im dachem zbiory sztuki Reischmanów, przypuszczalnie nawet nie zauważył zapatrzonych w siebie Rembrandtów na ścianach. - Pan Reischman, proszę pani - oznajmił wyniośle Carraway swoim najwspanialszym angielskim akcentem. Kiedy się podniosłam, odkryłam, że martini, do którego nie byłam przyzwyczajona, uderzyło mi do głowy. Dyskretnie oparłam końce palców na najbliższym stoliku, żeby zachować równowagę. W tych okolicznościach ów symboliczny wysiłek z góry skazany był na niepowodzenie. - Alicjo! - Jake posuwił się wkroczył do pokoju. - Jak się masz? Mam nadzieję, że się nie spóźni- łem. Ujął obie moje dłonie, przytrzymał je przez sekundę i puścił. Jałowy i pozbawiony znaczenia fi- zyczny kontakt został zerwany, zanim zdążyłam zarejestrować jakąkolwiek emocję, nawet strach. Po raz pierwszy zauważyłam, że ma kwadratowe ręce o krótkich palcach, ręce robotnika. - Nie, skądże znowu, naturalnie, że się nie spóźniłeś! Usiądź, proszę. Czego miałbyś ochotę się napić? Czyniłam wysiłki, by nie przypominać aktorki po raz pierwszy czytającej nową rolę. Jake zerknął na pustą szklankę po martini, usiadł naprzeciw mnie i rzucił niedbale: - Poproszę szkocką z lodem. Czarny Johnnie Walker, jeśli można. Wymieniliśmy kilka uwag na temat wystawy, czekając, aż Carraway przyniesie drinki. Jake był odprężony, nieskazitelny i nieporuszony. Za to ja z takim uporem koncentrowałam się na prowadze- niu rozmowy, że zupełnie umknęły mi szczegóły jego wyglądu. Byłam jedynie świadoma, że jego ciemny garnitur ma doskonały krój, a w mankietach gładkiej koszuli połyskują złote spinki. - Vicky wygląda ślicznie! - powiedział Jake. - Małżeństwo wyraźnie jej służy. - Tak, wszystkim nam kamień spadł z serca. Carraway wyszedł. Jake wziął ze stolika swoją szklankę. - Twoje zdrowie, Alicjo! - rzekł z łagodną kurtuazją, której mógłby mu pozazdrościć każdy dyp- lomata. - Dziękuję, że mnie zaprosiłaś. A teraz pozwól, że spytam, o jakiej to poufnej sprawie wspomniałaś mi ostatnio? Muszę przyznać, że nie bardzo

wiem, jak pohamować ciekawość! Przemknęło mi przez myśl, że gdyby miał chociaż mgliste pojęcie o tym, co mi chodzi po głowie, nie zachowałby się aż tak nonszalancko. - No cóż... - upiłam trochę nowego martini i zaczęłam jeszcze raz: - Chodzi o... - po czym urwałam. - Chodzi o Neila? - spytał Jake taktownie, lecz na szczęście bez ogródek. - Tak - odparłam i szybko pociągnęłam następny łyk. Podsunął mi papierośnicę. - Nie, dziękuję, Jake, ostatnio prawie nie palę. Astma Korneliusza... - Nie jestem Korneliuszem, a poza tym myślę, że papieros pomoże ci się uspokoić. Wzięłam papierosa. Jake podał mi ogień i zapytał szorstko: - Czy Neil ma jakieś kłopoty? - O, nie! - odparłam pośpiesznie. - Wszystko jest w najlepszym porządku. Chodzi o to, że... no cóż, po prostu postanowiliśmy... żyć nieco inaczej. To znaczy, chciałam powiedzieć, że decyzję podjęliśmy wspólnie i naszemu małżeństwu nic nie zagraża, ale... hm, wygląda teraz trochę inaczej niż kiedyś. - Rozumiem - bąknął po chwili Jake i też zapalił papierosa. - Nie, nie sądzę, żebyś rozumiał, bo wyrażam się tak idiotycznie. Korneliusz ma kochankę, Jake. Ale... to nie jest tak jak w twoim wypadku... to znaczy, nie chodzi o przypadkową noc z kimś, kto akurat jest pod ręką. Spotyka się z nią regularnie. Przypuszczam, że o tym wiesz. - Nie - powiedział. - Nie wiedziałem o tym. - Och... Stale mi się wydaje, że ty, Korneliusz, Kevin i Sam znacie wszystkie swoje sekrety. - Moja droga, te czasy dawno minęły. Od tamtych wakacji w Bar Harbor dzielą nas już setki lat świetlnych. Skąd wiesz, że ma kochankę? - Oczywiście Korneliusz mi o tym powiedział. Minęła kolejna chwila, nim Jake stwierdził: - Oczywiście. - Z różnych powodów - nie chcę teraz zawracać ci nimi głowy - Korneliusz i ja postanowiliśmy, że nie będziemy już ze sobą sypiać. Przedyskutowaliśmy wszystko spokojnie i rozsądnie i doszliśmy do wniosku, że on weźmie sobie utrzymanie, podczas gdy ja powinnam... powinnam... - Znaleźć sobie kochankę? Neil mnie zaskakuje. Nie podejrzewałem, że potrafi się zachować w tak cywilizowany sposób. Czy z jakiegoś powodu nie ma w stosunku do ciebie przytłaczających wyrzutów sumienia? Usłyszałam, jak mój głos mówi prędko: - Nie chcę zagłębiać się w jego motywy, Jake. - A ja nie jestem pewien, czy chciałbym o nich słuchać. Cóż... - Jake rozparł się wygodnie w fotelu ze szklanką w jednej ręce i papierosem w drugiej. - A zatem szukasz kochankę? - Tak. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Dokończyłam martini słuchając, jak ta rozsądna, zrównoważona kobieta, która przecież nie mogła być mną, nonszalancko rozprawia o problemach związanych z planowanym cudzołóstwem. - Oczywiście sytuacja jest bardzo niezręczna. Muszę być absolutnie dyskretna i dlatego w ramach wchodzi tylko ktoś lojalny wobec Korneliusza. Zapewne uznasz to za paradoks lub nawet absurd, że tylko kogoś, kto jest mu wierny, byłabym w stanie prosić o coś, co zakrawa na haniebną nie-lojalność, ale... - Ale czy potrafisz sobie wyobrazić bardziej przyjacielski gest? Jeżeli mężczyzna zajmuje się żoną drugiego, ponieważ ten najwyraźniej nie ma na to ochoty, czyż w gruncie rzeczy nie wyświadczam mu największej przysługi? - No właśnie! - Ogromny ciężar rozpląnął się w poczuciu ulgi: rozumiemy się tak doskonale, iż dalsze wyjaśnienia są zbędne. - Właśnie. Sam widzisz, że znajduję się w dość niewygodnym położeniu. Jest tak niewielu mężczyzn, którym mogłabym całkowicie zaufać, a ponieważ Sam właśnie ożenił się z moją pasierbicą, a Kevin ma inne zainteresowania... - Kochana Alicjo! - Jake, odłożywszy papierosa i szklankę, zerwał się na równe nogi. - Cóż za wspaniały komplement! - Bez chwili wahania ujął moją dłoń i podniósł ją do ust, po czym usiadł obok mnie na sofie. - Pochlebiasz mi, moja droga! I bardzo ci jestem wdzięczny. Jednakże... - Nie jesteś zainteresowany. Nie wiedziałam, jak zniosę to upokorzenie. Twarz mi płonęła ze wstydu. Wbiłam wzrok w swoje dłonie, lecz kiedy z rozpaczą zastanawiałam się, jak zdołam mu spojrzeć w oczy przy następnym spotkaniu, rzekł sucho: - Nie doceniasz się. Zapewniam cię, że gdybyś nie była żoną Korneliusza Van Zale'a, nie czekałbym aż tyle lat na zaproszenie. Jego lewa ręka poruszyła się. Z przeraźliwą ostrością zobaczyłam płaskie kwadratowe paznokcie i obciążone warstwą ciała stawy. Jego dłoń nakryła moją, a ja się przekonałam, że te grube silne palce potrafią zamknąć się w mocnym krzepiącym uścisku. Potem nachylił się ku mnie i z równą ostrością dostrzegłam, jak

ciemna tkanina spodni napina mu się na udach. Przez moment miałam wizję krzepkiego ciała, które się pod nią kryło. Mój wzrok powędrował w górę po jego udzie i znów się za- trzymał, chociaż obraz, który teraz widziałam, istniał tylko w mojej wyobraźni. Było mi gorąco, lecz już nie ze wstydu. Usłyszałam swój cichy głos: - Wiem, że w normalnych okolicznościach nigdy nie zdradziłbyś mojego męża, ale ta sytuacja jest całkiem inna, Jake. Ostatecznie Korneliusz dał mi wolną rękę. Mogę mieć romans z kimkolwiek, kogo sobie wybiorę. - Alicjo - rzekł Jake - chciałbym ci udzielić pewnej rady. Neilowi się wydaje, że spokojnie pogodzi się z twoją zdradą. Może nawet zupełnie szczerze w to wierzy. Ale w rzeczywistości bardzo nie- wielu mężczyzn jest w stanie tolerować to, że żony przyprawiają im rogi. Wątpię, by Neil mógł kie- dykolwiek zająć miejsce w tym wąskim gronie wybrańców. Łatwo powiedzieć, że przedyskutowałeś- cie to jak ludzie cywilizowani, ale prawda wygląda inaczej: o cudzołóstwie nie da się dyskutować w cywilizowany sposób. To pierwotna dziedzina rządzona prymitywnymi emocjami, a w najgorsze kłopoty zawsze pakują się ci, którym się wydaje, że działają zgodnie z tak zwaną cywilizowaną umowa. Jeżeli go zdradzisz, nigdy, przenigdy mu o tym nie mów i dopilnuj, żeby w żadnym razie sam się nie dowiedział. Przeszedł mnie zimny dreszcz. - Uważasz, że związek ze mną byłby dla ciebie zbyt ryzykowny. - Nie, tego nie powiedziałem - Jake odprężył się, zadowolony, że potraktowałam jego ostrzeżenie poważnie. Wolną ręką sięgnął po papierosa. - Sądzę, że gdybyśmy byli ostrożni, mamy dziewięć- dziesiąt dziewięć procent szans na to, że nigdy się nie dowie. Tylko w literaturze cudzołóstwo nieuch- ronnie prowadzi do katastrofalnych skutków. Mimo to zawsze pozostaje niewielki margines ryzyka, a mówiąc szczerze, nie mogę sobie na to pozwolić. Prowadzę z Neilem rozległe interesy na Wall Street i jego dobra wola jest mi niezbędna. A poza tym... - urwał. Uśmiechnęłam się blado. - Poza tym - dokończyłam za niego - obojętne, jakie argumenty przeciwko tej tezie przytacza człowiek, kiedy chce uchodzić za światowca, po prostu nie idzie się do łóżka z żoną najlepszego przyjaciela. - Nonsens, to się zdarza bez przerwy! Zresztą tacy ludzie jak Neil i ja nie mają przyjaciół w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Mamy za to trzy inne P: popleczników, podwładnych i przelotnych znajomych. Innymi słowy tych, z którymi się układamy, tych, których kupujemy, i tych, którym kłaniamy się na ulicy, bo mamy w tym jakiś cel. Wstrząs, wywołany jego cynizmem, musiał się jakoś odbić na mojej twarzy, gdyż dodał śpiesznie: - Ależ owszem, lubię Neila i szanuję go, chociaż to nie ma nic wspólnego z tym, co miałem zamiar powiedzieć, mianowicie że trudno mi uwierzyć, że ja jestem najlepszym lekarstwem na twoje kłopoty. Może lepiej poczekać, aż Neil ochłonie z tego chwilowego szaleństwa i wróci do ciebie? Tak czy owak, czego on, u diabła, szuka u tej kobiety? Przecież to na twoim punkcie ma bzika! Nie masz pojęcia, jaki przeżyłem szok, kiedy powiedziałaś, że ma stałą kochankę. - Nic na to nie może poradzić... to nie jego wina... - Na domiar złego zaczęłam płakać. Dłoń Jake'a zacisnęła się na mojej. - Może spróbowałabyś mi wyjaśnić, na czym polega problem? - Nie mogę... To nie byłoby uczciwe wobec Korneliusza... Nikt nie może się o tym dowiedzieć. - Jesteś pewna, że nie byłoby lepiej komuś o tym powiedzieć? Zastanów się, czy nie zaprosiłaś mnie tu przede wszystkim dlatego, że odchodziłaś od zmysłów i chciałaś się komuś zwierzyć? - Być może. - Uwolniłam dłoń i zaczęłam szukać chusteczki. Jake zgniótł papierosa w popielniczkę. - Chyba w ogóle nie jest ci potrzebny kochanek - rzekł, sięgając po szkocką. - Myślę, że po prostu przydałby ci się ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać. - To nie jest aż tak proste - odparłam bez zastanowienia. - Nie? Gwałtownie potrząsnęłam głową. Patrzyłam na migotliwy złotobrazowy płyn w szklance, którą odstawił na stół. Jake nagle wstał. - Muszę iść, zanim zrobię coś bardzo głupiego - powiedział. Milczałam. Nie poruszył się. Minęło kilka sekund. Nie mogłam się zmusić, żeby na niego spojrzeć. - Naprawdę chciałbym ci pomóc. Żałuję tylko, że nie potrafię wymyślić żadnej sensownej rady. - Proszę, idź już, Jake. - Ale chciałbym, żebyś wiedziała... - Oczywiście. Rozumiem. Zapadła następna chwila ciszy. - Koniecznie musimy się znów spotkać - odezwał się wreszcie uprzejmym tonem - chyba że

wo- liz... - Owszem. Wolałabym, żebyśmy zachowywali się tak, jak gdyby to spotkanie w ogóle nie miało miejsca. - Jak sobie życzysz - ruszył w kierunku drzwi. - Wybacz mi, ale jestem pewien, że w ten sposób oboje postąpimy najmądrzej. Pokiwałam głową, zwieszoną nad splecionymi dłońmi, czekając na odgłos zamykanych drzwi. Miałam wrażenie, że czekałam całe wieki, aż wreszcie usłyszałam delikatny trzask zamka sygnalizują- cy, że zostałam sama. - O Boże! - zawołałam z rozpaczą. Łzy pociekły mi spomiędzy palców, a całym ciałem targnął szloch. Poczulałam jego dłoń na ramieniu. Zachłysnęłam się. Wstrząs był tak wielki, że to lekkie dotknięcie zmienił w elektryzujący akt przemocy. - Zamknąłem drzwi na klucz - powiedział i wziął mnie w objęcia. Rozdział czwarty 1 Byłam w stanie myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo różni się od Korneliusza. Usta Korneliusza były zawsze nieustępliwe, nawet kiedy całował delikatnie. Pocałunki Jake'a jak gdyby się rozplływały, trudniej je było określić. Wargi miał wąskie, lecz subtelne; jego twarde język próbował się wśliznąć do moich ust, kiedy jednak nie zdołałam ich rozchylić, dał za wygraną. Wyczuwałam burzące się pod tą gładką powierzchnią różnorakie emocje obce prostej fizycznej żądzy Korneliusza i mimo iż usiłowa- łam rozewrzeć zaciśnięte wargi, coraz bardziej brała we mnie górę wrodzona rezerwa. Zdałam sobie sprawę, że boję się nieznanego. Jake przerwał. Poczulałam, że oplecione wokół mej talii ramiona rozluźniają się. Podczas uścisku jego dłonie spoczywały nieruchomo, a jednak wyraźnie czułam silne palce, natarczywie wpijające mi się w plecy. Znow poczułam się przerażona, zagubiona, zmieszana. Spostrzegłam, że zerka pośpiesznie w stronę drzwi, jakby żałował, że nie możemy się przenieść na górę, gdzie oboje czulibyśmy się swobodniej. Oczywiście było to niemożliwe, z pewnością bowiem zauważyłby nas ktoś ze służby. W końcu, usiłując coś zrobić, żeby atmosfera pokoju przestała nas przytłaczać, zapytał cicho: - Może zaciągnę zasłony? Skinęłam głową i po chwili zasłony posuwistym ruchem odgrodziły nas od wczesnego zmierz- chu wpadającego przez okna, ale mimo iż w pokoju zrobiło się ciemniej, wciąż widziałam go bardzo wyraźnie. Kiedy zrzucił marynarkę, zobaczyłam, że choć jest o wiele wyższy od Korneliusza, daleko mu do jego doskonałych proporcji. Pomyślałam o cudownej linii szyi i ramion Korneliusza i nagle za nim zatęskniłam, nie tylko za jego fizyczną obecnością, lecz także za jego prostym, swobodnym i bez- pośrednim stosunkiem do seksu, który zawsze potrafił przebić skorupę mojej rezerwy i łatwo rozpra- szał najbardziej intymne lęki. Jake ściągnął krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Kiedy znow wziął mnie w ramiona, poczułam płonący w jego ciele żar. Pomyślałam ze stra- chem, że nie mogę się już wycofać, jeśli nie chcę zrazić go do siebie na zawsze, i wreszcie udało mi się rozchylić usta. Jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Wyrachowana zmysłowa powściągli- wość sprawiająca, że jego pocałunki były tak dziwnie niesprecyzowane i tak bardzo egzotyczne, roz- pływała się w mroczniejszej, bardziej agresywnej namiętności, najzupełniej sprzecznej z wytworną maską, którą prezentował światu. Po raz pierwszy miałam okazję zajrzeć w głąb jego duszy, szorst- kiej, nieokiełznanej i gniewnej, i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że za chwilę oddam się męż- czyźnie, którego zupełnie nie znam. Nie byłam w stanie dłużej zmuszać się do właściwych reakcji. Kiedy jego dłonie zaczęły się przesuwac i poczułam rosnące w nim napięcie, zawiodły mnie nerwy. Zesztywniałam z obawy i szarp- nęłam się w tył. Wypuścił mnie od razu i odsunął się. Jego oczy miały odcień rozpalonego fiołkowego błękitu. Byłam nieprzytomna ze strachu. - Przepraszam... wybacz mi... nie rozumiem... tak bardzo cię pragnęłam... - To jego pragnęłaś. Zobaczyłam, że szybko zaciera wszystkie ślady tej tajemniczej pierwotnej osobowości, którą przed chwilą ujawnił. Wyjął chusteczkę i starannie otarł pot z czoła, po czym zręcznie zapiąwszy ko- szulę aż po samą szyję, sięgnął po swoją szkocką, wypił ją do dna i z kieszeni odrzuconej na bok ma- rynarki wyjął papierosy. Zapalił, raz pociągnął, odłożył papierosa na popielniczkę i zaczął wiązać krawat. - Jake, nie wiem, co powiedzieć... Czuję się taka zakłopotana i wstyd mi... - Nie pleć bzdur. Jeśli ktokolwiek miałby się wstydzic czy odczuwać zakłopotanie, to raczej ja. Nie rozumiem, jak

mogłem być tak naiwny, by sądzić, że skomplikowany problem da się rozwiązać w równie prosty sposób. Masz - podał mi papierosa i wdział marynarkę. Włożyłam papierosa do ust, lecz nie byłam w stanie się zaciągnąć. Czułam się zagubiona, nie wiedziałam, co robić. Na szczęście Jake nie pozostał beczynny, posadził mnie obok siebie na sofie i objął, kiedy się przysunęłam, szukając u niego oparcia. Paliliśmy na zmianę. Po chwili zdobyłam się na odwagę i spytałam: - Bardzo jesteś zły? - Nie. Rozczarowany, owszem, w końcu jestem tylko człowiekiem. Ale nie zły. A jak tam z to- bą? Czujesz się lepiej czy gorzej? - Nie jestem pewna. Wszystko się tak poplątało. Czy można czuć się lepiej, narobiwszy takiego zamieszania? Właściwie w tej chwili powinnam się zupełnie załamać! Roześmiał się. - Żałuję, że tak nie jest! Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż pocieszenie cię. A teraz powiedz, o co naprawdę chodzi. Nie uważasz, że mam prawo wiedzieć? Powiedziała mu wszystko. Zajęło to sporo czasu. Potem Carraway przyniósł nam kanapki i kawę. Nie miałam apetytu, ale Jake się uparł, zjadłam więc pół kanapki z kurczakiem. Kawa była mocna i w końcu poczułam się lepiej. - Pomysł, że ślub Vicky z Sebastianem uzdrowi sytuację, jest nader interesujący - mówił Jake - wątpię jednak, czy słuszny. Wstrząs musiałby być o wiele silniejszy, by usadzić Neila z powrotem na właściwych torach. - Co masz na myśli? - To, że stracił poczucie proporcji, nie uważasz? Jego hierarchia ważności legła w gruzach. Człowiek zrównoważony zrozumiałby, że dopóki ma ciebie, jego bezpłodność jest bez znaczenia. Bo- że, gdybym ja miał taką żonę... ale nie odbiegajmy od tematu. Neilowi trzeba jasno uświadomić, co w życiu jest naprawdę istotne, choć przyznam się, że nie wiem, jak to zrobić. Był u psychiatry? - Nie, skądże! - odparłam zaskoczona. - Nigdy by mu to do głowy nie przyszło! To ja byłam u dwóch czy trzech psychiatrów, ale... - Ty? Na Boga, przecież ty jesteś normalna! - Jake odstawił filiżankę, strzepnął okruszek z rę- kawa i wstał. - Muszę już iść, inaczej Amy zrobi mi awanturę, jak tylko wejdę do domu. Posłuchaj, kochana, musimy się jeszcze spotkać. Zwykle pracuję do wpół do siódmej lub siódmej, ale przynajm- niej raz w tygodniu staram się wyjść z banku o piątej. Który dzień tygodnia najbardziej by ci odpowiadał? - Czy ja wiem... Do tego czasu Korneliusz wróci już z Chicago. - Wcale nie sugeruję, że mamy się spotykać tutaj! Mam apartament za Wschodnią Pięćdziesiątą. Umówmy się tam za tydzień od dzisiaj. - No cóż, bardzo chętnie, ale... - Będziemy tylko rozmawiać. To wszystko, czego ci na razie potrzeba. - Ale czy to będzie w porządku wobec ciebie? - A dlaczego nie? Czy byłoby uczciwiej wobec któregoś z nas, gdybym nalegał, żebyś poszła ze mną do łóżka, skoro marzysz wyłącznie o tym, żeby pójść do łóżka z kim innym? Zdaje ci się, że sprawiłoby mi to większą przyjemność niż tobie? - Nie czekając na odpowiedź, zapisał mi adres swojego mieszkania i zdjął jeden klucz z kółka, które wyjął z kieszeni. - W holu jest portier - dodał. - Jeśli cię zatrzyma, powiedz, że przyszedłeś do pana Straussa. Wzięłam klucz i starannie zawinęłam go w chusteczkę z adresem. Idąc z nim do drzwi, miałam ochotę powiedzieć mu jeszcze tyle różnych rzeczy, lecz nie potrafiłam znaleźć właściwych słów. Na- wet zwyczajne "dziękuję" i "do widzenia" sprawiało mi kłopot. W holu lokaj otworzył drzwi wejściowe, a u stóp schodów pojawił się Carraway. Zatrzymaliśmy się z Jakim niczym para aktorów w początkowej scenie debiutanckiego spektaklu. - Dobranoc, Alicjo. Dzięki za kawę i kanapki. - Ależ nie ma za co, Jake. Dobranoc - odparłam uprzejmie i stanęłam na schodach patrząc, jak jego samochód roztapia się w mroku. 2 - Do pana Straussa - oznajmiłam tydzień później umundurowanemu portierowi w nowoczesnym budynku mieszkalnym na Pięćdziesiątej Czwartej Wschodniej. Portier najwyraźniej nie uznał mojej wizyty za zdarzenie godne uwagi. Z uśmiechem wskazał mi windy i powiedział: - Numer 6 D, proszę pani. Usiłując zachowywać się tak, jak gdybym codziennie spotykała się z panem Straussiem w jego mieszkaniu, weszłam do windy i nacisnęłam guzik, zastanawiając się, ile kobiet trzymało w rękach klucz, który właśnie wyjęłam z torebki. Jake nagle wydał mi się niedostępny, odgradzony ode mnie la- tami pozamałżeńskich doświadczeń. Bez wątpienia zainteresował się mną tylko dzięki temu, że sta- nowiłam dla niego większe wyzwanie niż

łatwe zdobycze, do których zdążył się już przyzwyczać. Głęboko przygnębiona włożyłam klucz do zamka i otworzyłam drzwi. - Jake? - zawołałam niepewnie. Nie było odpowiedzi. Zamknęłam drzwi i na palcach przeszłam przez niewielki przedpokój do przestronnego salonu. Na ogromnym perskim dywanie stały długie niskie sofy obite tkaniną w kolorze złamanej purpury, usiane pękatymi gęsto wyszywanymi poduszkami z tego samego materiału co grube eleganckie zasłony. Ściany pokrywała wytłaczana tapeta w przygaszonym szkarłatnym odcieniu, który harmonizował z resztą. Trzy wiszące na ścianach obrazy przedstawiały dopracowane w najdrobniejszych szczegółach widoki Wenecji i sprawiały wrażenie oryginałów Canaletta wypożyczonych ze zbiorów sztuki Reichmanów. Trzy niskie mosiężne stoliki wnosiły do tego wystawnego wnętrza powiew Orientu. Przypominały mi, że Jake, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, jest również Żydem. Poczulałam, że jest mi bardziej obcy niż kiedykolwiek przedtem. Zdjęłam płaszcz i kapelusz i powiesiłam je w pustej szafie przy wejściu, po czym zaczęłam szukać w torebce papierosów. Zapalniczka odmówiła mi posłuszeństwa. Znalazłam małą kuchenkę, ale nie było w niej zapalek, zaczerpnąwszy więc głęboki oddech, zjrzałam do sypialni. Wielkie łoże spowite było metrami szkarłatnego jedwabiu i znów nie przyszła mi na myśl Europa, lecz Bliski Wschód. Krocząc po następnym cudownym perskim dywanie, zignorowałam jedyny zdobiący ten pokój obraz, naturalnej wielkości akt pędzla któregoś z francuskich impresjonistów, i zaczęłam otwierać szuflady nocnych szafek po obu stronach łóżka. Jedna była pusta, w drugiej leżał cienki tomik dowcipów rysunkowych z "New Yorkera", zbiór wierszy Goethego w oryginale i trzy paczki prezerwatyw. W oddali otworzyły się drzwi wejściowe. - Alicjo? - zawołał Jake. W poczuciu winy zatrzasnęłam szufladę i prędko wróciłam do salonu. - Przepraszam - powiedziałam bez sensu. - Właśnie... o, a co tam masz? Jake trzymał dużą brązową papierową torbę. Pocałowaliśmy się przelotnie, jak gdybyśmy od dwudziestu lat spotykali się tu co tydzień, po czym Jake wyminął mnie i wszedł do kuchni. - Przez jakiś czas nie korzystałem z tego miejsca. Zatrzymałem się, żeby kupić parę rzeczy niezbędnych do życia - wyjaśnił i wyjął z torby butelkę czarnego Johnnie Walkera, słoik oliwek, jedną cytrynę, cztery bajgle, pół funta białego sera i kilka plasterów wędzonego łososia. - Dżin i wermut są już na miejscu - powiedział. - Zrobić ci martini? - Nie pijam martini zbyt często, ale może... - Zaczekaj chwileczkę. - Zaczął przetrząsać zawartość szafki pod blatem. - Zdaje się, że mój ostatni gość wyniósł stąd dwie butelki wermutu i półtorej dżinu. Boże, co za poziom! Nie dasz się namówić na szkocką? - Nigdy jeszcze nie piłam whisky. Czulałabym się szalenie dekadentko! Mój ojciec miał bardzo staroświeckie poglądy na temat tego, co mogą pić kobiety. - Skoczę do sklepu. - Nie, nie, chętnie spróbuję! Tylko daj dużo wody. - Naturalnie. - Jake zaczął mieszać drinki. - Lubisz bajgle? - Ja... - Nigdy ich nie jadłaś? - uśmiechnął się. W oczach błyszczało mu rozbawienie pomieszane z czujnością. Chyba byłam dla niego taką samą niewiadomą jak on dla mnie. - Oczywiście, że jadłam! - odparłam zaczepnie. - Nie trzeba być Żydem, żeby je jeść! Kiedy się roześmiał, nieuchwytnie napięcie między nami momentalnie znikło. - To dobrze! Ale jedzeniem zajmiemy się później. Pozwolisz, że podam ci ogień? Przeszliśmy do salonu i zasiedliśmy na jednej z purpurowych sof. Okazała się zwodniczo wygodna. - I jak ci się tu podoba? - zapytał Jake, zanim znów zaczęłam się czuć nieswojo. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, nasze gusty bowiem najwyraźniej bardzo się różniły. Lubię ładne jasne wnętrza, utrzymane w pastelowych barwach i umeblowane eleganckimi sprzętami, pokoje, które dają poczucie nieograniczonej przestrzeni. - Robi wrażenie - stwierdziłam ostrożnie. - Ale przeczy najlepszym anglosasko-protestanckim wzorcom białej jankeskiej arystokracji! - rzekł ubawiony. Nim zakłopotanie zdążyło mi się odbić na twarzy, uniósł szklanekę ze słowami: - Za nas oboje! Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Pomimo że wciąż przytłaczały mnie dzielące nas różnice, zdołałam jakoś uśmiechnąć się do niego, podnieść własną szklanekę i wymamrotać: "Dziękuję". Whisky miała dziwny smak, ale była delikatniejsza od martini. Odstawiłam szklanekę, desperacko

szukając w głowie czegoś, co mogłabym powiedzieć. Chyba wyczuł moją panikę, bo znów zaczął mówić. - Rozmowy o arystokracji wyszły z mody, nieprawdaż? - rzekł lekko. - A pamiętasz, jak dawniej każdy bez skrepowania mówił "nasi" i "wasi"? Dwie magnaterie, żydowska i jankeska, bliźniacze filary nowojorskiej socjety, dwie równoległe linie, które się nigdy nie przetną! - Sądzę, że nie powinniśmy mówić o... - przerwałam, odkrywając, że nie potrafię nazwać dzielącej nas przepaści. - Owszem, powinniśmy! - wpadł mi w słowo Jake. - Musimy omawiać ten temat bez przerwy, dopóki śmiertelnie nas nie znudzi, inaczej przerodzi się w kamień młyński ciężący nam na szyjach! - Ja... - Pozwól, że na początek powiem ci, że chylę czoła przed twoją odwagą. - Odwaga? - Odwagą, żeby wyłamać się z konwenansów, które nam obojgu wpojono. - Masz na myśli... - Linie równoległe nigdy się nie spotykają. Ty zdołałaś je nagiąć. Może komuś, kto nie został wychowany ani przez "waszych", ani przez "naszych" trudno byłoby zrozumieć, jak wielkiej trzeba na to odwagi. - Nie, to nie była odwaga, a raczej... - Nie wiedziałam, jak mu wytłumaczyć, że w tej sytuacji różnice tracą znaczenie. - Oczywiście nie sposób udawać, że nic nas nie różni - powiedziałam w końcu - ale teraz liczą się tylko podobieństwa. Ostatecznie pochodzimy z tego samego świata, nawet jeśli ma on dwie odrębne połowy. Czuję, że mimo wszystko rozmawiamy tym samym językiem. - A jednak dialog wymaga tyle trudu! - odparł Jake. - Łatwo powtarzać ciągle to samo, nie dodając niczego nowego. Dlatego jestem przekonany, że powinniśmy wyrzucić z siebie wszystko, czego nie powiedzieliśmy sobie przez cały okres naszej znajomości. Ile to już lat? Dwadzieścia? No cóż, mniejsza z tym, od jak dawna udajemy, że się znamy, to teraz bez znaczenia. Jest mnóstwo innych pytań, które chciałbym ci zadać. Na przykład: jak to było, kiedy dorastałaś jako córka Deana Blaise'a, mała biała anglosasko-protestancka księżniczka w sercu Nowego Jorku? - Jake! - Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, słysząc ten karkołomny termin, i nagle dzieląca nas otchłań przestała być nieprzekraczalna. - Chyba nie mówisz poważnie, że chciałbyś o tym usłyszeć! - zaprotestowałam. - To niemożliwe! - Ach, wy rozmówczeni w tajemnicach Anglosasi! - wykrzyknął, śmiejąc się wraz ze mną. Jego palce zacisnęły się na moich. - Gdyby tylko było to w waszej mocy, najchętniej okrylibyście zasłoną cały świat w imię tak zwanego dobrego wychowania i dobrego smaku! Cóż, ja osobiście wolę głośno przyznać, że na tym świecie pełno jest bezsensu, a nawet śmiać się z niego, jeśli mam na to ochotę. Gdyby człowiek naprawdę zastanowił się nad tym, jak wariacko urządzony jest wszechświat, oszalałby w jednej chwili, toteż w ramach terapii dobrze jest od czasu do czasu się pośmiać, to uśmierza ból... A teraz proszę, opowiedz mi o swoim dzieciństwie. To zabawne, ale podejrzewam, że mimo wszelkich różnic było bardziej podobne do mojego dzieciństwa, niż ktokolwiek spośród "waszych" lub "naszych" miałby ochotę przyznać... 3 Snułam swoją opowieść przez kilka kolejnych tygodni. Spotykaliśmy się co czwartek, zawsze o tej samej porze, nie dłużej niż na godzinę. Oznajmiłam Korneliuszowi, że jestem w Komitecie nowej akcji dobroczynnej, a on w odpowiedzi wyraził zadowolenie, że znalazłam sobie jakieś nowe zajęcie. W ciągu tego czasu Jake ani razu nie dał mi do zrozumienia, że chętniej przeniósłby się do sypialni. Całowaliśmy się lekko na powitanie i cieplej na pożegnanie, poza tym nie dochodziło między nami do żadnych poufałości. A jednak ta zażyłość, która już istniała, miała dla mnie coraz większe znaczenie. Siadywaliśmy przy szklaneczce jego ulubionej szkockiej; mówiłam i jednocześnie obserwowałam jego palce obejmujące szklankę albo wykrój jego profilu, gdy podnosił szklankę do ust. Zarys jego wąskich wielkopańskich ust stał mi się równie znajomy jak jego wysokie czoło, cienki nos i mocny podbródek. Dni stawały się coraz krótsze i gdy zaczęłam go widywać wyłącznie w sztucznym świetle, zauważyłam, że jego proste przerzedzone włosy, które dotąd wydawały mi się bezbarwne, nabrały delikatnego złotego odcienia. Na każde spotkanie przynosił do jedzenia coś innego. Po bajglach z łososiem i białym serem przyszła kolej na pastrami, którego nie mogłam przelknąć, a potem na placki ziemniaczane, które bardzo mi smakowały. Dopiero kiedy sama przyniosłam trochę kawioru,

a Jake nie chciał go tknąć, zrozumiałam, że w czasie naszych spotkań ra- czy się tym, czego nigdy nie jada w domu. Kuchnia w pałacu Reischmanów na Piątej Alei była sta- nowczo zbyt wytworna, by uznać istnienie placków i pastrami. W gruncie rzeczy jedliśmy niewiele. Polubiłam szkocką, chociaż naturalnie w domu skrupulatnie piłam sherry, na wypadek gdyby Korneliusz zaczął się zastanawiać, gdzie nabrałam nowych przyzwy- czajeń. Paliłam też więcej niż zwykle, lecz nie miałam wyrzutów sumienia, bo Jake odpałał papierosa od papierosa. Czasem odnosiłam wrażenie, że pali aż tyle, ponieważ męczy go słuchanie moich wyu- rzeń, a czasami wydawało mi się, że chce w ten sposób przytępić głód seksualny. Nie znałam przy- czyny i nie potrafiłam jej odgadnąć. Zamiast tego mówiłam. Opowiadałam o samotnym dzieciństwie spędzonym z macochą, która mnie nie lubiła, i ojcem, który był zawsze zajęty, a Jake palił i słuchał w absolutnym milczeniu. Opowiadałam o kolejnych szkołach z internatem, o wakacjach spędzanych na wygnaniu w Europie w towarzystwie któregoś z ciągle zmieniających się guwernantek. Jake współ- czująco kiwał głową, ale wciąż był nieodgadniony. Powiedziałam mu, że wyszłam za Ralpa, żeby wyrwać się z domu, próbowałam opisać, jak rodząc moich synów czułam się kimś wyjątkowym, przy- toczyłam całą smutną historię mojego pierwszego małżeństwa i jego katastrofalnych skutków, a Jake słuchał i zachęcał mnie, bym mówiła, choć po co - nie wiedziałam. Mimo to nie przerywałam. Zwierzałam się temu obcemu człowiekowi, którego powierzchow- ność zaczynała mi się wydawać znajoma, aż pewnego dnia, w połowie szóstego spotkania, role z wolna się odwróciły i on zaczął mówić do mnie. 4 - Oczywiście wiedziałem, że jesteśmy inni - rzekł. - Zawsze wiedziałem, że jesteśmy wyjątkowi. Kiedy byłem mały, myślałem, że jesteśmy panującą dynastią, śmietanką Nowego Jorku. Mój ojciec był kimś na kształt Boga. Wszyscy się przed nami płaszczyli. Otaczał nas rój ubogich krewnych, którzy tylko utwierdzali we mnie dziecinne przekonanie, iż stanowimy pepek świata. Nie sądzę, byś mogła sobie wyobrazić, jak dalece szczelny był klosz, pod którym się chowałem, lecz zapewne bez trudu wyobrazisz sobie, jaki szok przeżyłem, kiedy wreszcie wychynałem na świat i zetknąłem się z kseno- fobią. Zupełnie nie byłem na to przygotowany. Ojciec napomknął mi o tym i owym, kiedy wpadł na obrazoburczy pomysł, że wyśle mnie do Groton, ponieważ jednak nigdy nawet nie wytknąłem nosa za bramę, nie miałem okazji spotykać się z chłopcami z tego innego świata. Władze Groton bardzo tak- townie usadziły ojca. Powiedziano mu, iż nie sądzą, by Groton była dla mnie odpowiednią szkołą. Obawiają się, że nie czułbym się w niej dobrze. Z początku nie mogłem uwierzyć, że mnie nie przyjęto. Potem poczułem się bardzo dotknięty, ale w końcu uświadomiłem sobie, że jedyną właściwą reakcją będzie dobrodusze "no to co?". Cza- sami mi się zdaje, że od tamtej chwili wciąż udaję wesołka i mówię: "No to co?". Boże, jak ja nienawidziłem "waszych". Potem w moim życiu pojawił się Paul i wszystko się zmieniło. Znasz historię Paula. Wiesz, że był jankeskim magnatem, który uczył się zawodu w żydowskim banku. Stanowił kłamrę spinającą dwa światy. Był związany z moim ojcem tak ściśle jak dziś Sam i Neil. Znałem go właściwie od zawsze, choć trudno powiedzieć, że znałem go dobrze, bo byłem dzieckiem, a dzieci nie brały udziału w tych niezwykłych spotkaniach, kiedy moi rodzice podejmowali obiadem Van Zale'ów. Mimo to Paul musiał mnie zauważyć, ponieważ zaprosił mnie na wakacje do Bar Harbor, gdy skończyłem siedemnaście lat. Byłem przerażony. Podziwiałem Paula, ale się go bałem. Obawiałem się też tych trzech gojów, których razem ze mną zaprosił do swojej letniej rezydencji, poza tym bałem się Bar Harbor, przystani najbardziej błękitno krwistych jankeskich arystokratów, którzy uważali, że Newport zeszło na psy, a wszystkie żydowskie kurorty na wybrzeżu New Jersey zupełnie się nie liczą. Tak więc kiedy pojawi- łem się tam na początku lata, byłem niezmiernie wyniosły i niezmiernie łaskawy. Pierwsze dwa dni by- ły dla mnie piekłem na ziemi. Potem Paul wyciągnął nas z naszych skorup i ze zdumieniem przekonałem się, że tamci byli równie spięci jak ja. Po obiedzie kazał nam dyskutować na zadane tematy. Jako pierwszy wybrał prob- lem: co to znaczy być Amerykaninem.

Oczywiście dla każdego z nas oznaczało to co innego. Musiałem im opowiedzieć o życiu młodego Żyda z Piątej Alei, Kevin tłumaczył, jak to jest, kiedy się pochodzi z irlandzkiej katolickiej rodziny, mocno zaangażowanej w działalność polityczną, Sam mówił, co to znaczy być imigrantem z Niemiec, a Neil wyjaśniał specyfikę poglądów zaściankowego mieszkańca Środkowego Zachodu z przedmieść Cincinnati. Paul zmusił nas, żebyśmy się poznali, i kiedy bariery runęły, zobaczyliśmy, że jesteśmy bardzo do siebie podobni - czterech inteligentnych ambitnych chłopców; idealny materiał, który Paul mógł do woli kształtować. Podkreślałam tu doświadczenie zdobyte w Bar Harbor, bo chcę, żebyś pojęła, że stało się ono w moim życiu punktem zwrotnym, i zrozumiała, jak wiele zawdzięczam Paulowi i dlaczego w swoim czasie uległem jego wpływowi. Paul zrobił dla mnie to, czego odmówili mi bogowie z Groton: wprowadził mnie do innego świata, ba, wniósł mnie tam na złotym półmisku, gdyż przed protegowanym Paula Van Zale'a natychmiast otwierały się wszystkie drzwi. Uczynił jeszcze więcej: traktował mnie dokładnie tak samo jak pozostałych, a oni, biorąc z niego przykład, uznali mnie za równego sobie. Znalazłem się w środowisku pozbawionym uprzedzeń, które pozwoliło mi nabrać tak bardzo mi potrzebnej pewności siebie. To była pozytywna strona wakacji w Bar Harbor, choć istniała też strona negatywna. To, do jakiego stopnia należy pozwalać zblazowanym cynikom w rodzaju Paula Van Zale'a roztaczać patronat nad nastolatkami pozostaje sprawą sporną, zwłaszcza jeśli smarkacze są w wieku, w którym nie tylko brak im pewności siebie, ale na dodatek przechodzą kryzys osobowości. Ja w tym czasie przechodziłem silny kryzys, bo właśnie uświadomiłem sobie, że nie chcę być bankierem. Rzecz jasna nie odważyłem się powiedzieć o tym ojcu. Mój ojciec był tyranem i wszyscy trzęśliśmy się ze strachu przed nim. Podobnie jak twój ojciec, zajęty był pracą i na szczęście nie widywaliśmy go zbyt często. Faktem jest, że w stosunku do moich siostr był pobłażliwy, natomiast brat i ja... Czy wiesz, że miałem starszego brata? Biedak, nigdy nie umiał sprostać wymaganiom ojca, więc ojciec bez przerwy go bił, aż w końcu pewnego dnia chłopak uciekł z domu i już się nie pokazał. Zginął w wypadku samochodowym na jakiejś teksańskiej szosie w 1924 roku. Bóg jeden wie, co robił w Teksasie, nikt nigdy nie próbował się dowiedzieć. Ojciec oznajmił, że nie chce więcej słyszeć jego imienia, a tymczasem, oczywiście, ja zostałem jedynym synem i spadkobiercą... W ciągu moich następnych wakacji w Bar Harbor - latem 1926 roku, tego samego roku, kiedy Paul został zabity - ośmieliłem się wreszcie poprosić Paula o radę. Kiedy jednak się mu zwierzyłem, że brak mi odwagi, by ojcu wprost oświadczyć, że nie chcę być bankierem, Paul stwierdził krótko: "Gdybyś naprawdę nie mógł się z tym pogodzić, powiedziałbyś mu". Nie mogłem pozbyć się myśli, że sytuacja nie jest aż tak prosta, lecz Paul raczej dobitnie kazał mi się pozbierać. Zapytał: "Jesteś ambitny, prawda?" Odpowiedziałem, że tak. Wtedy powiedział: "Czy nie chciałbyś w dniu, w którym skończysz czterdzieści lat, pomyśleć sobie, jak to fajnie, że udało ci się podwoić fortunę ojca?", a ja odparłem: "Owszem, ale w życiu liczy się coś więcej niż tylko sukces". Roześmiał się. Poklepał mnie po ramieniu, jak gdybym był jakimś rozczulającym niewinnym bobaskiem, i rzekł dobrotliwie: "Na miłość boską, idź do banku, inaczej przez resztę życia będziesz żałował zmarnowanej szansy!" Potem dodał: "Jesteś w wieku, w którym ma się głowę nabitą ideałami, ale jak będziesz starszy, sam zrozumiesz, że ideały są tylko kamieniem młyńskim u szyi. Moralisci umniejszają wagę materialnego sukcesu, prawda jednak jest taka, że próżny i oddany błahostkom rodzaj ludzki tylko doczesne powodzenie uważa za wartość. Jeśli chcesz do czegoś dojść w życiu, Jake, nie trać czasu na rozmyślania o tym, jak świat powinien być urządony. Skoncentruj się na tym, żeby nauczyć się radzić sobie z rzeczywistością." Poszedłem do banku i podwoilem fortunę ojca, choć w dniu moich czterdziestych urodzin wcale nie byłem szczęśliwy i zadowolony z siebie. Zabrałem żonę na kolację i przez cały czas udawałem, że mam jej coś do powiedzenia, a kiedy wróciliśmy do domu, prędko się jej pozbyłem i poszedłem do kobiety, którą utrzymywałem na boku... nie, nie tutaj, to było na West Side. Upiłem się, rano obudziłem się z kacem i byłem w stanie

myśleć tylko o jednym: jak wyglądałoby moje życie, gdybym stawiał czoło ojcu. Zastanawiałem się, co by było, gdybym nie usłuchał Paula Van Zale'a. Moje sekretne marzenia nie miały nic wspólnego z robieniem pieniędzy na wielką skalę ani, prawdę mówiąc, z jakąkolwiek idealistyczną wizją służenia ludzkości. Było to po prostu coś, co chcia-łem robić. Pragnąłem być właścicielem hotelu, rzecz jasna, wielkiego hotelu! Pięć gwiazdek we wszystkich przewodnikach! Marzyłem o własnym hotelu w Bawarii. Całe szczęście, że do tego nie doszło. Boże, ten Hitler okazał się bestią. Nie potrafię ci opisać, co czułem, kiedy w 1945 roku wróci-łem do Niemiec i zobaczyłem, do czego faszyci doprowadzili ten kraj... Kiedy zaczęto przesłuchiwać zbrodniarzy wojennych, byłem jednym z tłumaczy. Nie mogłem tego wytrzymać. Poprosiłem o przeniesienie i wylądowałem w Monachium, gdzie właśnie wtedy lik- widowano obóz w Dachau. Widziałem rzeczy... rzeczy, o których nie da się mówić, a jednak trzeba o nich mówić, powtarzać wciąż na nowo, inaczej ludzie zapomną... W końcu udało mi się wrócić do domu, wydostać się z tych ruin... To właśnie ruin najbardziej nie mogłem znieść; ruin, po których włóczyli się amerykańscy żołnierze z gębami pełnymi gumy do żucia. To był koszmar. Miałem wraże- nie, że jestem świadkiem grupowego gwałtu, którego ofiarą padły Niemcy, a wszyscy, hitlerowcy, alianci, po prostu wszyscy, tylko plądrują, depczą, niszczą... A przecież Niemcy były takie wspaniałe, takie piękne... Nigdy nie zapomnę, jak bardzo chciałem tam mieszkać, zanim wybuchła wojna... Moja żona nie czuła się w Niemczech dobrze, choć korzenie jej rodziny są tak samo niemieckie jak moje. Nie lubi mówić po niemiecku i udaje, że nie pamięta tego języka. Nie mam pojęcia, dlacze- go ją poślubiłem... nie, to nieprawda. Wiem dlaczego. Spotykałem się z gojką - ot, tak sobie, bez po- ważnych zamiarów, ale miałem dwadzieścia pięć lat i ojciec zapewne uznał, że nazbyt długo przymy- kał na to oczy. Powiedział, że według niego byłoby nieźle, gdybym od czasu do czasu zaczął widywać się z Amy. Był miękki jak jedwab, ja jednak wiedziałem, że to rozkaz. Naturalnie Amy była kimś dla mnie, jedną z "naszych", miała dziewiętnaście lat i podobnie jak moje siostry wychowano ją niczym tę lilię wśród pól... tyle tylko że była od nich ładniejsza. Z początku nawet mi się podobała. Boże, jaki to straszny błąd żenić się, będąc tylko w połowie zakochanym... Kocham swoje dzieci i oddałbym za nie życie, a mimo to nie wiem, co powiedzieć, kiedy jes- teśmy razem. Widuję je przelotnie - zbyt jestem zajęty w banku - i wiem, że to dokładnie ten model, którego chciałem uniknąć, mając osiemnaście lat. Cały cykl powtarza się od nowa, a ja znalazłem się na miejscu mojego ojca. Nigdy nie chciałem skończyć tak jak on. Ale skończyłem tak samo i teraz nic już nie mogę zrobić, może z wyjątkiem jednego: nie powiniennem stawać na drodze mojemu synowi, jeżeli dojdzie do wniosku, że przyszłość, którą mimo woli dla niego planuję, będzie dla niego cięża- rem nie do udźwignięcia. A jednak jeśli David się zbuntuje i odmówi pracy w banku, będzie to koniec Reischmanów. Przykro mi z tego powodu i nic na to nie poradzę. Zresztą ród Reischmanów wymiera. Demografo- wie nie potrafią wyjaśnić, dlaczego poszczególne rodziny po okresie rozkwitu upadają, ale jestem pewien, że działa tu jakiś wrodzony biologiczny model. Mój pradziadek przybył do Ameryki w towa- rzystwie trzech braci i wszyscy czterej spłodzili dwudziestu jeden synów. Teraz, po upływie trzech pokoleń, David jest jednym z dwóch męskich przedstawicieli najmłodszej generacji rodu Reischma- nów. Jeśli nie zechce przejąć banku, zamienię go w spółkę akcyjną, żeby zachować nazwę, sam zaś wycofam się na zaciszną posadę prezesa rady nadzorczej, choć wydaje się to bladym zakończeniem barwnej historii rodziny. Prawdopodobnie w tym czasie nie będziemy już nawet mieszkać na Piątej Alei, mam bowiem wrażenie, że marzeniem przedsiębiorców budowlanych w dzisiejszych czasach jest zburzenie tyłu prywatnych domów, na ilu tylko zdołają położyć łapska, żeby na ich miejscu postawić sklepy i bloki mieszkalne. Stary porządek się zmienia, jak wykazał to Tennyson, i ustępuje miejsca nowemu... Co nie znaczy, że podoba mi się ten nowy porządek. To, do czego przywykłem, wydaje się przy nim nie tylko przestarzałe, ale i pozbawione znaczenia. Cóż mogę na to poradzić? Chyba tylko robić

to, co zawsze, udawać pocziwca i stwarzać pozory, że nic mnie to nie obchodzi. Ale to nieprawda. Bardzo mnie to obchodzi. Mieszkam w domu rodzinnym i wiem, że jego dni są policzone. Pracuję w rodzinnej firmie, zdając sobie sprawę, iż jej żywot w postaci prywatnego domu bankierskiego także dobiega już końca. Żyję z kobietą, której nie Kocham, dla dobra dzieci, które rzadko widuję i z którymi nie potrafię się porozumieć. Zmieniam kochanki jak rękawiczki, a jednak sama idea miłości zdaje mi się coraz bardziej odległa. Jaki to wszystko ma sens? O co właściwie chodzi? Najwyraźniej o to, że nie sposób doszukać się w tym sensu. Niedawno zagadnąłem na ten temat Neila, ale uchylił się od poważniejszej dyskusji. Może go wystraszyłem, poruszając sprawy, do których jeszcze nie dojrzał, choć kiedyś zostanie do tego zmuszony. Pewnego dnia powie sobie: "Co ja, udiabła, robię i jaki to cholerstwo ma sens?" Chciałbym wiedzieć, co sobie wykoncypuje, żeby uśmierzyć niepokój. Chociaż Neil bardzo się ode mnie różni. Ma tę cudowną umiejętność postrzegania wszystkiego w czarno-białych barwach i tę niezachwianą wiarę, że Pan Bóg zawsze trzyma jego stronę. To prawdziwy majstersztyk anglosaskiej zdolności do samo oszukiwania się. Chyba że on naprawdę tak uważa. Ale czy to możliwe, by facet z jego umysłem - bo Neil z pewnością nie jest głupi - był aż tak prostoduszny? Czasami mi się wydaje, że zasłania się tą anglosaską fasadą jak tarczą. Czasami mam wrażenie, że jest zbyt przerażony, by zastanawiać się nad światem, w którym Bóg nie istnieje albo, jeśli istnieje, jest wrogi... Ale chyba zanadto się rozpędziłem. Dość już tej metafizyki. Alicjo, Kochanie, rozumiesz, co chciałem powiedzieć, czy przez cały czas plotłem bzdury? Dolałam do obu szklanek whisky, ujęłam go za rękę i powiedziałam łagodnie: - Opowiedz mi jeszcze o twoim wymarzonym hotelu... 5 Nazajutrz po tej rozmowie odwiedziła mnie Vicky. Rano przejrzałam pocztę i wręczyłam ją sekretarce, żeby wysłała odpowiedzi, zatwierdziłam przedłożone mi przez gospodynię dwa jadłospisy na najbliższe proszone obiady i napisałam cotygodniowy list do Sebastiana. Kazałam sobie przynieść kawę do saloniku na piętrze, gdzie stały radio i telewizor, po czym skończyłam układać bukiety w Złotym Salonie i uznałam, iż należy mi się półgodzinny relaks przy przedpołudniowym serialu. W chwili gdy przechodziłam przez hol, lokaj zaanonsował panią Keller. - Alicjo! - wykrzyknęła. - Jesteś zajęta? Pomyślałam sobie, że wpadnę do ciebie na moment. Wyglądała wyjątkowo ponętnie. Miała na sobie nowy błękitny płaszcz, w którym jeszcze jej nie widziałam, i chyba przed chwilą wyszła od fryzjera. Policzki barwił jej delikatny rumieniec, a w szarych oczach błyszczało szczęście. Nagle poczułam się stara i brzydka. - Tak się cieszę, że cię widzę, Kochanie! Napijesz się kawy, prawda? - zapytałam i zwróciłam się do lokaja: - Przed chwilą posłałam po kawę. Proszę dopilnować, żeby starczyło jej dla dwóch osób, i przynieść ją do Złotego Salonu. - Miałam zamiar oznajmić wam to dopiero wieczorem, jak tatuś wróci do domu - paplała z ożywieniem Vicky - ale po prostu nie mogłam się doczekać! Więc zadzwoniłam do tatusia do banku, powiedziałam mu, a on o mało nie pękł z emocji i zaraz powiedział: "Kochanie, musisz o tym powiedzieć Alicji, na pewno się ucieszy!" Już miałam do ciebie zadzwonić kiedy pomyślałam sobie: "Nie, pojedę na Piątą Aleję i zrobię jej niespodziankę..." Byłam ciekawa, co dzieje się w dzisiejszym odcinku. Czy ciąża siostry głównej bohaterki będzie w końcu stwierdzona i czy ojcostwo dziecka bohaterki zostanie wreszcie ustalone ponad wszelką wątpliwość? Przemknęło mi przez myśl, że prawdziwe życie jest o wiele mniej podniecające. Dziewczęta najwyraźniej zawsze dokładnie wiedzą, kiedy zachodzą w ciążę, a dumnego ojca można wskażać palcem z odległości pięćdziesięciu kroków. - ...więc wybiegłam z domu i wsiadłam do taksówki... Gdy weszłyśmy do Złotego Salonu, zauważyłam, że zegar z Sévres znów stanął. Poczułam przypływ irytacji. Wyraźnie poleciłam Carrawayowi, żeby przypomnieli nowemu lokajowi, iż ma go codziennie nakręcać. - To wszystko brzmi bardzo ekscytująco, Kochanie. Czy mam rozumieć... - Tak! Będę miała dziecko! Och, Alicjo, to najwspanialsza wiadomość, jaką można sobie wyobrazić! - wykrzyknęła moja rozradowana pasierbica i rzuciła mi się w ramiona. - To cudownie, Kochanie! - Spojrzałam na milczący zegar. Dla Vicky czas

gwałtownie pędził naprzód pulsującym strumieniem, lecz byli tacy, dla których dawno temu się zatrzymał, a za chronią- cym ich od kurzu szklanym kloszem wszystko ucichło. - Tak się cieszę - powiedziałam. - Gratuluję! Kiedy... - W kwietniu! - To świetnie! Wiosenne chrzciny są zawsze takie radosne. Muszę poszukać rodzinnej koszulki do chrztu. - Miałam wrażenie, że mówię to, co należy, choć nie byłam pewna, straciłam bowiem zdol- ność jasnego rozumowania. - A co na to Sam? - W porę sobie o nim przypomniałam. - Mało nie zemdlał z wrażenia! Jest w siódmym niebie! - No tak, naturalnie. Wcale mu się nie dziwię. - Kątem oka zauważyłam, że Carraway wchodzi z kawą. - Carraway - powiedziałam. - Zegar z Sévres znów się zatrzymał. Bardzo mnie to martwi. - Zatrzymał się, proszę pani? Zaraz osobiście się nim zajmę. Być może przydałaby się drobna konserwacja albo czyszczenie... - Wystarczy go nakręcać, Carraway, o czym doskonale wiesz. Nie, nie rób tego w tej chwili. Jestem teraz zajęta z panią Keller. Przyjdź później. - Jak pani sobie życzy. - Carraway wycofał się z miną zrezygnowanego światowca, jak gdyby tęsknił za angielską arystokracją, u której służył przed wojną. Zrobiło mi się wstyd za to małostkowe złośliwe przedstawienie, ale na szczęście Vicky niczego nie zauważyła. Jak zwykle była zajęta wy- łącznie sobą Piłam kawę, z uśmiechem słuchałam jej paplania i próbowałam nie myśleć o tych bajecznych i tak odległych czasach, gdy byłam kimś niezwykłym, Alicją Blaise Foxworth, utalentowaną, szczęśli- wą, niepowtarzalną. Oczywiście nie udało mi się odsunąć od siebie tej myśli. Przeszył mnie nagły ból, ostry jak rzeźnicki nóż. Nienawidziłam siebie za to, że nie zdołałam utrzymać noża w pochwie, a im bardziej się nienawidziłam, tym bardziej ból stawał się nieznośny. - Kochanie, tak mi przykro, że muszę już lecieć - powiedziałam. - Najchętniej plotkowałabym z tobą do wieczora, ale umówiłam się na lunch. Vicky ochoczo zerwała się z krzesła. - Och, naturalnie! I tak miałam zamiar wpaść dosłownie na pięć minut. Bardzo was proszę, przy- jdźcie dzisiaj do nas z tatusiem! Zjemy razem wyjątkowo uroczystą rodzinną kolację! - Dziękuję ci, kochanie, bardzo nam będzie miło. Około siódmej? - Nie mogłam sobie przypom- nieć, co mamy w planach na dzisiejszy wieczór, lecz to sprawdzę później. Pierwszym i najważniej- szym zadaniem było pozbyć się Vicky, zanim pomyśli, że jestem dla niej oziębła albo niezyczliwa. Od- prowadziłam ją do drzwi wyjściowych i pożegnałam najserdeczniejszym uściskiem, na jaki było mnie stać. - Do widzenia, kochanie... Bardzo ci dziękuję, że wpadłaś. Jestem taka szczęśliwa... i podnieco- na... - głos mi się załamał. - Alicjo... - w głosie Vicky zabrzmiało zdumienie i niedowierzanie. Z ulgą uświadomiłam sobie, że odebrała moje uczucia jako czysto damski sentymentalizm i była nim wzruszona. - Do zobaczenia wieczorem! - Biegłam po schodach i chociaż Vicky wołała coś za mną, nie obejrzałam się. Jakimś cudem wybuchnęłam płaczem dopiero w swoim pokoju, ale im gwałtowniej szlochałam, tym większą czułam dla siebie pogardę, im bardziej zaś sobą gardziłam, tym szybciej pły- nęły łzy. Na gwałt próbowałam odzyskać kontrolę nad sobą, a jedyną moją myślą było, że gdyby kto- kolwiek odgadł, jak straszliwie jestem zazdrosna, na pewno umarłabym ze wstydu. Lecz przecież nikt się nie dowie. Nikt już nawet się do mnie nie zbliżał. Stanowiłam relikwt umar- łego świata, tak samo jak zegar z Sevres; relikwt, który ktoś od czasu do czasu podziwia, ale nikt go nie dotyka, relikwt odgradzony od świata szklanym kloszem, którego już nikomu nie chce się podnosić. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym roztrzaskać to szkło, i zobaczyłam telefon przy łóż- ku. Łzy przestały mi płynąć. Z szuflady nocnej szafki wyszarpnęłam książkę telefoniczną i zaczęłam przerzucać kartki w poszukiwaniu litery R. Reischman i sp. Willow Street 15. Wykreśliłam numer. Policzki miałam suche i zeskorupiałe - łzy mój makijaż zamieniły w ruinę. - Reischman i spółka, dzień dobry, czym mogę pani służyć? - Chciałabym mówić z panem Reischmanem - zerknęłam do lustra, żeby ocenić rozmiary katas- trofy. Tusz do rzęs zupełnie się rozpuścił. - Dzień dobry, tu biuro pana Reischmana. - Czy zastałam pana Reischmana? - Zaraz sprawdzę, czy jest uchwytny. Kogo mam zapowiedzieć? Zaczęłam się trząść. - Panią Strauss. - Proszę chwileczkę zaczekać, pani Strauss. Usłyszałam pstryknięcie, kiedy sekretarka wcisnęła

przełącznik. Nadal drżałam na całym ciele, dziwiąc się w duchu, jak zdobyłam się na taką czelność, żeby przeszkadzać mu w pracy. Musiałam postradać zmysły. Co za potworna pomyłka. Może powinnam się wyłączyć... - Pani Strauss! - odezwał się Jake tym swoim perfekcyjnie zdawkowym tonem. - Jakże mi miło! Czym mogę pani służyć? Ścisnęłam mocniej słuchawkę. Mój głos, niewiarygodnie chłodny i obojętny, powiedział: - Dzień dobry, panie Reischman. Miałam nadzieję, że znajdzie pan chwilę czasu, żeby się ze mną spotkać. - Ależ oczywiście! Kiedy jest pani wolna? - Ja... - nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Zaciśnęłam oczy, jak gdybym mogła w ten sposób wymazać własną upiorną desperację. - Mogę odwołać lunch - rzucił Jake. - O! Wobec tego... - Wpół do pierwszej w mieście? - Tak. Dziękuję, przyjdę na pewno. - Odłożyłam słuchawkę. Przez długą chwilę siedziałam nieruchomo na brzegu łóżka, lecz potem próżność wzięła we mnie górę i szybko poszłam naprawić szkody, jakie łyzy wyrządziły mojej twarzy. 6 Byłam na miejscu trochę wcześniej, bo potrzebny mi był łyk whisky, żeby się uspokoić, zanim przyjdzie Jake. Bałam się, że stracę panowanie nad sobą i urządzę jakąś okropną scenę, po której będę żałowała, że mnie w ogóle zaprosił. Pewnie przyniesie coś do jedzenia na lunch. Będę musiała udawać, że chce mi się jeść, choć może później wróci mi apetyt. Może gdy go zobaczę, poczuję się lepiej. Wysiadłam z windy na szóstym piętrze, biegiem dopadłam drzwi mieszkania numer 6 D i zaczęłam gorączkowo szukać w torebce kluczy. - O Boże - jęknęłam, kiedy się okazało, że nie mogę ich znaleźć. - Och, do diabła! Drzwi otworzyły się na oścież. - Aż tak ci się śpieszy? - uśmiechnął się z progu Jake. Na moment odebrało mi mowę. - Ale... przyszedłeś za wcześnie! - wykrztusiłam dość idiotycznie. - Też się śpieszyłem. - To znaczy, że nie masz wiele czasu? - To znaczy, że mam mnóstwo czasu - rzekł, obejmując mnie - ale nie chcę tracić ani chwili. Drzwi zamknęły się za nami. Ponieważ nigdy dotąd nie byłam tu w środku dnia, światło w mieszkaniu wydało mi się inne. Wykwintny salon tonął w cieniu za gęstymi zasłonami, nagle jednak jego kosztowny egzotyczny wystrój przestał być obcy. Miałam wrażenie, że wkraczam do kraju, w którym jeszcze nigdy nie byłam, ale który dobrze poznałam w ciągu długich godzin wnikliwych studiów. Trzymał mnie mocno w ramionach. Zdażyłam się już oswoić z tym, że jest dużo wyższy ode mnie. Podniosłam głowę, zamykając równocześnie oczy - nie dlatego, że bałam się spojrzeć w twarz nieznanemu, lecz dlatego, że nie chciałam, by mój serdeczny przyjaciel dostrzegł, że coś jest nie tak. - Tak się cieszę, że jesteś! - wyszeptałam, powtarzając sobie raz po raz, że nie wolno mi zrobić sceny. - Tak bardzo chciałam cię znów zobaczyć! - Ale przecież wcale nie patrzysz! Z uśmiechem otwierałam oczy i poczułam, że łyzy ciekną mi po policzkach. - Alicjo... - Och, to nic - szepnęłam pośpiesznie. - Wszystko jest w porządku. Jest cudownie. Zupełnie nic się nie stało. - Ach, wy tajemniczy Anglosasi! - powiedział ze śmiechem. - Ta samokontrola! Ta dyscyplina! Ta bezwzględna zacięta górna warga! Też się roześmiałam. Śmiałam się i płakałam, choć wcale się tym nie przejęłam, ponieważ to, że byłam nieszczęśliwa, już nie miało znaczenia. Usiedliśmy na sofie i łyzy stopniowo obeschły. Nie było czasu na łyzy, bo właśnie go całowałam, a kiedy on mnie pocałował, nie chciało mi się już płakać. Nareszcie znów byłam kimś wyjątkowym, nie porzuconą, nikomu niepotrzebną kobietą, lecz Alicją Blaise Van Zale, bardzo utalentowaną, niezmiernie atrakcyjną, całkowicie niepowtarzalną, a jeden z najbardziej rzutkich mężczyzn w Nowym Jorku zakochał się we mnie i zapragnął mnie zdobyć. Część trzecia Korneliusz 1950-1958 Rozdział pierwszy 1 Był bardzo maleńki; miał bladą owalną twarzyczkę o filigranowych rysach i zamknięte oczy. Owinięty w biały szpitalny kocyk, wyglądał jak jedna z tych woskowych lalek, którymi dawno temu w Velletrii bawiła się moja siostra Emily. Nie mogłam uwierzyć, że jest żywą istotą; kimś, kto - gdy dorośnie - będzie ze mną omawiać tendencje giełdowe. Przez moment jednak zdołałam sobie wyobrazić dojrzałego mężczyznę, wysokiego jak Sam, ale poza tym ludzako podobnego do mnie, który siedzi w biurze na moim fotelu, przeprowadza uchwały na zebraniu wspólników, zarządza moją Fundacją Sztuk Pięknych, dyktuje oświadczenia prasowe, wozi się nowym cadillakiem i doprowadza do rozpacz

stada pięknych kobiet. Paul Cornelius Van Zale III (bo oczywiście później przyjmie moje nazwisko) - ban- kier inwestycyjny, filantrop, mecenas sztuki, moja duma i pociecha w odległej przyszłości, kiedy to będę już łysym, bezzębnym i zgarbionym starszakiem, z trudem poruszającym się po jakimś ponurym pałacu, emerytalnym schronieniu, które w wyobraźni umieściłem gdzieś w Arizonie. - Nazwiemy go Erich Dieter - mówiła Vicky, poprawiając sobie w ramionach to nierzeczywiste zawiniątko. - W skrócie Eric. Siostró, proszę go zabrać, dobrze? Dziękuję. Aha, i w wolnej chwili proszę przynieść jeszcze jeden wazon i wstawić do niego te kwiaty. - Moja córka opadła na poduszki, musnąwszy machinalnie jeden z goździków, pod którymi niknął nocny stolik. - No więc, jak już mówi- łam... - Erich Dieter? - spytałem. - Proszę zaczekać, siostró - wtrąciła ostro Alicja. - Vicky, może twój ojciec chciałby go na chwilę wziąć na ręce? - Co ty, Alicjo, mężczyźni nie interesują takie rzeczy! Dla nich noworodki to tylko małe wilgotne tłumoczki, które przeciekają w najmniej odpowiednim momencie! - Erich Dieter? - powtórzyłem. - Vicky, zupełnie niepotrzebnie z takim obrzydliwym współczesnym cynizmem mówisz o czymś, co jest ostatecznie jednym z cudów świata... - Erich Dieter? - wrzasnąłem. Wszyscy podskoczyli. Pielęgniarka omal nie upuściła dziecka. - Proszę mi go dać, siostró - powiedziała Alicja, przejmując zawiniątko z rąk pielęgniarki i ukła- dając je sobie na rękę z wielką wprawą. - Proszę teraz zostawić nas samych. Nie będzie siostra teraz potrzebna pani Keller. - Stać! - krzyknęła Vicky prawie tak głośno jak ja. - Nie pozwoliłam ci brać go na ręce! I nie pozwalam, żebyście we dwójkę nim komenderowali! On jest mój, nie wasz, i nie będziecie nim rozpo- rządzać! Ten właśnie moment wybrał Sam, by wkroczyć do pokoju z ogromnym bukietem żółtych róż. - O Boże! - krzyknęła Vicky, wybuchając płaczem. - Nie mogę już znieść tych kwiatów! Zaczy- nam się czuć, jak gdybym w ogóle nie była żywym człowiekiem, tylko jakąś maszyną zużywającą bukiety w charakterze paliwa! Zabierzcie je stąd i zostawcie mnie wreszcie w spokoju! Wynoście się wszyscy! Kiedy ze zdumieniem wytrzeszczyliśmy na nią oczy, zsunęła się jeszcze niżej z poduszki i na- ciągnęła kołdrę na głowę. - Proszę stąd wyjść - powiedziała grzecznie Alicja do purpurowej ze zmieszania pielęgniarki. Bezradnie pogłaskałem skulony pod kołdrą kształt. - Vicky, kochanie... bardzo cię proszę, wybacz nam... nie chcieliśmy cię zdenerwować... Na łóżko padł czyjś cień. - Sądzę, że powinieneś już iść - oświadczył Sam. - Ale... - Chodźmy, Korneliuszu - powiedziała Alicja belferskim tonem, którego u niej nie cierpiałem. Kołdra zatrzęsała się od stłumionego łkania. - Vicky... słoneczko... - bezskutecznie starałem się ściągnąć z niej nakrycie. - Już dobrze... oczywiście, że możesz go nazwać Erich Dieter... Dłoń Sama zacisnęła się na moim przegubie. - Wyjdź, Neil. - Ale... - To moja żona, nie twoja. Wyjdź. - A cóż to za pieprzone bzdury! - byłem do tego stopnia zdenerwowany, że przestałem panować nad językiem, i dopiero mina Alicji przypomniała mi, że w ciągu dziewiętnastu lat naszego małżeńst- wa nigdy dotąd nie wymówiłem niecenzuralnego słowa w jej obecności. Vicky gwałtownie odrzuciła kołdrę. - Jeżeli nie przestaniecie się kłócić i używać takich plugawych wyrażeń - wykrzyknęła - wstanę z łóżka, wyjdę ze szpitala, dostanę krwotoku i umrę! Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadło dwóch lekarzy i siostra oddziałowa. - Co tu się dzieje? Co to za hałasy? Kto niepokoi pacjentkę? - Chcę zostać sama! - załkała Vicky. - Nie mogę już znieść tych ciągłych kłótni o niego! Starszy lekarz spojrzał na nas zimnymi, pozbawionymi wyrazu oczyma o lekko przekrwionych białkach. - Proszę wszystkich państwa o opuszczenie pokoju. Muszę zostać sam z pacjentką. Jak niepyszni wynieśliśmy się na korytarz. Sam wciąż piastował w ramionach bukiet żółtych róż, Alicja dziecko. - Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny - syknął błady z wściekłości Sam. - Zachowałeś się haniebnie, Korneliuszu - oznajmiła Alicja lodowatym tonem. Odwróciłem się do nich plecami i opuściłem szpital. 2 Kazałem szoferowi czekać na Alicję, odprawiłem ochroniarza i z położonego na East Side szpitala ruszyłem piechotą przez miasto. W dali widziałem ciemne chłodne drzewa parku, ale dzielący mnie od nich dystans był większy, niż przewidywałem, w końcu więc zniecierpliwiony wskoczyłem do autobusu. Na chwilę

zapomniałem o wszystkich swoich problemach. Nie siedziałem w autobusie od chwili, gdy skończyłem osiemnaście lat. Początkowo jazda na stojąco w towarzystwie zmęczonych niechlujnych współpasażerów miała dla mnie urok nowości, później jednak zdałem sobie sprawę, że jestem tu równie samotny jak z Alicją na tylnym siedzeniu cadillaca. Odczułem ulgę, kiedy za parkiem mogłem sobie utorować drogę do wyjścia. Po Central Park West przetaczała się rycząca masa samochodów, jak zwykle w godzinach szczytu. Powoli pomaszerowałem do miasta, wcisnąwszy ręce głęboko w kieszenie. Po drodze próbowiałem rozpoznać różne modele samochodów mijających mnie w żółtym tempie. Lubię samochody, chociaż sam rzadko prowadzę; człowiek o mojej pozycji nie pokazuje się za kierownicą swojego samochodu, jeśli chce wywrzeć odpowiednie wrażenie na podwładnych. Czasami jednak wybieram się na przejażdżkę jedną z tych nowych autostrad, mając do towarzystwa tylko ochroniarza, i pozwalam swojemu ulubionemu cadillacowi zażyć trochę pędu. Cieszy mnie moc akceleratora, zryw silnika i uległość kierownicy reagującej na najlżejszy nacisk palców. Oczywiście nikomu o tym nie mówiłem - nawet ochroniarzowi. Mogłoby się to wydać dziecinne, a człowiek na moim stanowisku musi starannie unikać wszystkiego, co może go narazić na śmieszność. Nic szybciej nie rujnuje władczej fasady niż szyderstwo; tę życiową prawdę przyswoiłem sobie dawno temu, kiedy chcąc przeżyć w nieprzyjaznym otoczeniu odzierałem z potęgi innych ludzi. Dotarłszy do budynku Dakota windą pojechałem na szóste piętro, gdzie mieściło się mieszkanie Teresy, z którego rozciągał się widok na wschód, w stronę parku. Ledwie zdążyłem wyciągnąć klucz z zamka, Teresa wystawiła głowę z pracowni. - Cześć! - powiedziała zaskoczona. - Co za niespodzianka! Myślałam, że będziesz się opijał szampanem na stosie pieluch! - Mniejsza z tym. - Minąłem ją, nawet się nie zatrzymując, by ją pocałować, i wszedłem do kuchni. Jak zwykle panował w niej koszmarny bałagan. Na blacie piętrzyły się talerze, zlew zawalony był brudnymi garnkami, stół pokrywały sterty trudnych do zidentyfikowania produktów o zapachu wskazującym, że powinno się je bez zwłoki wyrzucić do śmieci. Wielki kosmaty rudy kot, którego Teresie w niewytłumaczalny sposób udawało się kochać, żuł coś w kącie. Podłoga też była brudna. - Kochanie, nie wchodź do tego chlewu. Usiądź sobie w salonie. - Rozglądałem się za czymś do picia. - Czemu od razu nie mówisz? Zaraz ci czegoś naleję! Miała na sobie obcisłe czarne spodnie, poplamiony beżowy kitel i stare pantofle z dziurami na noskach, przez które przezierały paznokcie ze złuszczonym czerwonym lakierem. Jej fryzura nasuwała myśl o wypadku w salonie kosmetycznym. Podczas gdy ciemne oczy Teresy mierzyły mnie przenikliwym spojrzeniem, zauważyłem, że jej pełne zmysłowe wargi są nietknięte pomadką, co świadczyło, że praca szła jej zbyt dobrze, by miała zaprzętać sobie głowę makijażem, zanim rano pobiegła prosto do pracowni. - Przepraszam, że wyglądam jak postać z polskiego dowcipu - powiedziała chwilę później, podając mi szkocką z wodą. - Odpocznij sobie, a ja pójdę wziąć prysznic. Gdy tylko posłyszałem odgłos zamykanych drzwi do łazienki, bezszelestnie wśliznąłem się do atelier, żeby zerknąć na nowe dzieło. Zdaje się, że był na nim jakiś pogrzeb, choć trudno było stwierdzić to na pewno. Cokolwiek zresztą miało przedstawiać, wymagało jeszcze sporo pracy. Nie podobał mi się ten nagły zwrot Teresy w stronę postimpresjonizmu. Był nazbyt wtórny i nie można było na nim zarobić. Jeżeli ludzie w ogóle chcieli wydawać pieniądze na te rzeczy, szukali autentyku, a nie trzeciorzędnej imitacji, poza tym talent Teresy marnował się w tej niewytłumaczalnej gonitwie za postimpresjonistyczną manierą. Jej naturalny prymitywny styl, od którego czasowo odeszła (właściwie dlaczego? Czyżby poczucie winy? Może świadomie kojarzyła go ze sprzedawaniem się? Bóg jeden wie, ja w każdym razie nie mogłem tego zrozumieć) wyraźnie klócił się z kierunkiem jej nowych poszukiwań artystycznego efektu. Wychodząc z pracowni, zastanawiałem się z rozpaczą, czy niedługo nie zacznie pstrzyć swoich płócien drobnymi kropkami na wzór Seurata. Jeśli tak, nie zdołam utrzymać języka za zębami i powiem jej, co o tym wszystkim myślę. Rzecz jasna bardzo ostrożnie rozmawiałem z nią o jej

pracy, i choć moja krytyka zawsze była szczerą, to jednak nigdy destrukcyjną. Obraz to jakby dziecko artysty, a nie mówi się matce prosto w oczy, że spaprała robotę i wychowała dzieciaka na bandytę. Odsuwając od siebie wszelkie myśli o dzieciach, wymknąłem się z atelier i wszedłem do sypialni. Łóżko było nie pościelone, na komodzie leżał stos śmieci kupowanych w dziesiątkach sklepów za grosik, po podłodze poniewierały się pończochy, z krzesła były jak zwisały wymięte ubrania. Inny kot chrapał na stercie bielizny przeznaczonej do prania. Na gzymsie kominka, pod plakatem przed- stawiającym Lenina z wyjątkowo zażartą miną, ułożone były dzieła lewackich pisarzy. Pomyślałem z westchnieniem, że Teresa będzie musiała dać sobie wreszcie spokój z tą przelotną fascynacją komu- nizmem. W dzisiejszych czasach nie było ani miejsca, ani perspektyw na przyszłość dla artystów o anty- państwowych odchyleniach, i jeżeli Teresa chce nadal się cieszyć spokojem, dobrobytem i regular- nymi wystawami w Nowym Jorku, plakat z Leninem musi stąd zniknąć, ustępując miejsca na przykład fotosowi Clarka Gable'a w kostiumie Rhett'a Butlera. "Przeminęło z wiatrem" było rdzennie amery- kańskie, tak samo jak szarlotka i gwiazdzisty sztandar. Kot otworzył żółte oczy i nie zmieniając pozycji łypnął na mnie ze swego legowiska. Pociągną-łem łyk whisky i odplaciłem mu tym samym. Wyszedłem z potyczki zwycięsko. Kot właśnie z powro- tem zamykał oczy, kiedy owinięta koszmarnym pasiastym ręcznikiem Teresa pojawiła się w pokoju, opadła na zmiętą pościel obok mnie i z zadowoleniem wyciągnęła ramiona nad głowę, ciskając ręcznik w kąt. Odstawiłem szklanę, zdarłem z siebie ubranie i rzuciłem się na nią. Kot spoglądał na nas od czasu do czasu obojętnymi żółtymi oczyma. - Chcesz jeszcze jednego drinka? - zapytała Teresa, kiedy już było po wszystkim. - Nie, dzięki. Leżeliśmy obok siebie. Czuję się tak samo jak poprzednio w autobusie zanurzony w brudzie, nazbyt blisko innej istoty ludzkiej, a równocześnie odizolowany, zupełnie sam. - Chcesz porozmawiać? - spytała. - Nie bardzo. Przypomniałem sobie utyskiwania mojej pierwszej żony Vivienne. Twierdziła, że dla kobiety to obraza, jeżeli mężczyźni brak elementarnych postcoitalnych dobrych manier. Z niesłychanym wysił- kiem przywołałem się do porządku. Jeżeli będę na tyle głupi, by traktować Teresę jak ciało do wyna- jęcia, któregoś dnia może się okazać, że podarła naszą umowę i wynajęła owo ciało komu innemu. - Przepraszam - powiedziałem, całując ją w usta i zatrzymując przez chwilę rękę na jej piersi. - Wiem, że zachowuję się obrzydliwie, ale miałem fatalny dzień. Oddała mi pocałunek, uścisnęła lekko moją dłoń i wymknęła się z łóżka. - Zjedzmy coś - powiedziała. - Nie jadłam od rana i zaraz umrę z głodu. Przygotuję coś dobre- go. Na co miałbyś ochotę? - Na hamburgera. Najbardziej podobało mi się w niej to, że nigdy nie dręczyła mnie głupimi pytaniami. Po prostu dowiadywała się, czego chcę, i brała się do roboty, żeby mi to dostarczyć. Kiedy była w szczytowej formie, bez słów diagnozowała stan mego umysłu i sama ustalała właściwy lek. Byłem pewien, że mnie lubi, ale pod tą flejtuchowatą powierzchownością krył się chłodny umysł, który tworzył pedan- tycznie uporządkowane obrazy. Oczywiście mimo tego, co mówiła, gdy w nią wchodziłem, nie byłem aż takim głupcem, by się ludzić, że mnie kocha. - Keczup - mruknęła, przeszukując kuchenne szafki. - Na górze, na puszcze z kocim zarcie. Artyści to dziwni ludzie. Kevin często prześladował mnie ową idiotyczną sentencją, przypisy- waną Scottowi Fitzgeraldowi: "Bardzo bogaci są inni niż ty i ja". Osobiście trzymam stronę Heming- waya. Bogaci wcale nie są inni, mają tylko więcej pieniędzy. Prawdziwa różnica na tym świecie nie dzieli bogatych i biednych, lecz tych, którzy tworzą, i tych, którzy są niezdolni do pracy twórczej. Ja, czterdziestodwuletni Korneliusz Van Zale, mam wiele wspólnego ze zwykłymi robociarzami, którzy zarabiają nędzne grosze. Jestem dumny ze swojej rodziny, cholernie ciężko pracuję od poniedziałku do piątku, od czasu do czasu lubię się napić piwa, zagrać w szachy albo obejrzeć mecz baseballowy, jeżeli mam okazję. A choć dwudziestosześcioletnia Teresa Kowalewski lubi gotowanie, robienie za- kupów i inne typowe damskie zajęcia jak pierwsza lepsza kura domowa z Westchester, kiedy wzywa ją płótno, wszystkie te robótki stają się zbędnym

balastem. Jeżeli nazbyt długo psują jej harmonię otoczenia, można być pewnym jakiejś emocjonalnej katastrofy. Czasami myślę, że talent artystyczny musi być podobny do chorobliwej mutacji ludzkiego mózgu. Trudno sobie wyobrazić, że człowiek może żyć równocześnie w dwóch światach - zewnętrznym świecie zwykłych ludzi i wewnętrznym świecie artystycznej wizji - i mimo to pozostać zdrowym na umyśle. Nic dziwnego, że van Gogh zwariował, Munch malował krzyki, a Bosch opętany był ideą piekła. To potworne: człowiek nosi w mózgu takie sceny, a tu nagle musi wyjść, żeby kupić chleb od jakiegoś idioty, który uparł się, żeby głądzić o pogodzie. Sam Keller myślał, że kupił Teresę, ale się mylił. Żaden mężczyzna nie miał Teresy na własność, bo żaden, nawet najbogatszy, nie był w stanie zapłacić jej tyle, żeby zrezygnowała ze swej sztuki. Dobrze znam artystów. Przyglądałem się im z tym samym zainteresowaniem, z jakim antropolog bada obcą kulturę, całkowicie odmienną od jego własnej. Fascynuje mnie przede wszystkim to, że artyści potrafią stworzyć coś z niczego. Jest to rzecz jasna władza, nie taka sama jak moja, ale jednak władza, która w dodatku w pewnych okolicznościach może okazać się o wiele potężniejsza od mojej, tajemnicza moc, niewyjaśniony cud, zapaśniczy chwyt unieruchamiający wieczność. Uczyniłem jeszcze jeden wysiłek, by wydać się miłym i dobrze wychowanym. - Dziecko jest śliczne - powiedziałem, patrząc, jak gęste krople keczupu kapią do mojego hamburgera - i takie małe, że trudno uwierzyć, że jest prawdziwe. - To musi być dziwne uczucie, mieć dziecko - Teresa, dla której wszelki twórczy popęd mógł się urzeczywistniać wyłącznie poprzez farby i pędzel, zmusiła się do przyznania, iż byłoby to niepowtarzalne doświadczenie. - Czy Vicky czuje się dobrze? - Kiedy Sam był u niej dziś rano, powiedzieli mi, że poród miała łatwy, ale pod wieczór była niezwykle rozdrażniona. W gruncie rzeczy zachowywała się, jakby coś w nią wstąpiło. Vicky jest zwykle łagodna, promienna i miła, natomiast dzisiaj... no cóż, chyba była zdenerwowana. Rozplakała się nawet. - Depresja poporodowa. - Myślisz? To właśnie to? - Na to wygląda. Nie martw się, kochanie, tego rodzaju stany są bardzo powszechne i nigdy nie trwają długo. Za dzień lub dwa wróci do siebie, zobaczysz... Kawy? - Dzięki. - Uświadomiwszy sobie, że zachowanie Vicky da się wytłumaczyć za pomocą prostych terminów medycznych, poczułem się o wiele lepiej. - Sam i Alicja uznali chyba, że to ja doprowadziłem ją do łez - dodałem impulsywnie - ale przecież to nie moja wina. Byłem po prostu zdziwiony, że chcą nadać dziecku niemieckie imię. - Można było przewidzieć, że Sam zacznie machać swoją chorągiewką - oznajmiła Teresa, podsuwając mi mleko do kawy. - Mają zamiar używać angielskiej formy "Eric", ale osobiście uważam, że mały powinien otrzymać imię po moim ciotecznym dziadku, tym, który zostawił mi cały swój majątek. Ostatecznie to Paul zwrócił uwagę na Sama, kiedy ten był tylko synem ogrodnika i przystrzygał żywopłoty! Keller zadzięcza mu wszystko. - Tobie też wiele zawdzięcza. Powinni byli nazwać dziecko Paul Cornelius. - Hm, wielu ludzi nie lubi tego imienia - powiedziałem, zmagając się z hamburgerem. - Ale mnie - dodałem tonem zwierzenia - zawsze się podobało. Jest inne. Nietuzinkowe. I właśnie dlatego nikomu z wyjątkiem Sama, Jake'a i Kevina nie pozwoliłem mówić do siebie "Neil", a i oni mówili tak wyłącznie dlatego, że Paul im kazał. Myślał, że Korneliusz to imię, z którym nastoletniemu chłopcu trudno sobie poradzić, a ponieważ w owych czasach zbyt mnie onieśmielał, nigdy mu nie wyznałem, że zawsze dodawało mi pewności siebie. Imię Neil jest pospolite, natomiast Korneliusz brzmi majestycznie. - Może następnego nazwą Paul Cornelius. Tak czy owak, kochanie, nie powinieneś się martwić tym, co dzisiaj zaszło. Wszystko się uspokoi. Nie zapominaj, że było to wielkie wydarzenie i emocje sięgnęły szczytu. - Racja. A skoro już mowa o emocjach, kiedy Sam wreszcie przestanie się zachowywać, jak gdyby posiadał sekret wiecznej młodości? To zaczyna być irytujące. Za to Alicja bez przerwy mówi o moim wnuku. Jezu Chryste, nie ma powodu, żeby wszyscy traktowali mnie jak zgrzybiałego starca wyłącznie dlatego, że moja córka urodziła dziecko! - Skończ hamburgera, staruszku, i wskakujemy z powrotem w bety. Godzinę później piliśmy w łóżku kawę, a Teresa leniwie

gryzła kawałek placka. Otrzeptałem so- bie z piersi okruchy i niechętnie spojrze- nałem na zegarek. - Muszę już iść. - Zostań dłużej, jeśli chcesz. Nie będę już dzisiaj pracować. - Muszę jeszcze udobruchać Alicję. - Taka była przykra w szpitalu? Boże, chyba jesteś święty, że to wytrzymujesz! Kto inny dawno by się z nią rozwiódł i poszedł w ślady Sama: weselne dzwony, śliczna młoda żona i dziecko jeszcze przed pierwszą rocznicą! Wstałem bez słowa i zacząłem wciągać na siebie ubranie. Pokój wydawał mi się teraz niemożli- wie brudny. - Wybacz, złotko, tak mi się chlapnęło. Prawdę mówiąc, staram się trzymać język za zębami, bo postanowiłam z zasady nie krytykować Alicji, ale wiesz, czasem mi się coś wyrwie. Nie zwracaj uwagi na moje złośliwości. - Chyba nie jesteś zazdrosna? - Kurczę, a niby o co? O to jej puste życie? - Jesteś pewna? - Złotko, wiesz, że cię kocham i twierdzę, że w łóżku jesteś doskonała, a w ogóle przystojniej- szy niż gwiazdor filmowy, ale chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabym się przenieść do twojego pa- łacu przy Piątej Alei? Dostałabym tam świra w przeciągu dwudziestu czterech godzin! Zresztą nie wi- dzę powodu, dla którego miałabym chcieć zająć miejsce Alicji. Nie zamierzam mieć dzieci, a ślubna obrączka nie sprawi, że zacznę lepiej malować. W końcu i tak wszystko sprowadzało się do malowania. Ślubne obrączki, dzieci i pałace na Pią- tej Alei jawiły się jako nierzeczywiste cienie próbujące skazić lśniąca powierzchnię obrazu. Znałem Teresę, a Teresa знаła siebie. Byłem bezpieczny. - Dobranoc, kotku - powiedziała, całując mnie w drzwiach. - Uważaj na siebie. - Owocnej pracy, Tereso. Na zewnątrz było już ciemno i wiał chłodny wiosenny wiatr. Postawiłem kołnierz, wezwałem taksówkę i już po chwili pędziłem przez Park Avenue z powrotem do innego świata, który rozciągał się przy Piątej Alei. 3 Zawsze gdy wracałem od Teresy, brałem prysznic. Nie miało to nic wspólnego ze stanem czys- tości jej mieszkania. Na początku naszej znajomości korzystałem z natrysku, zanim od niej wyszed- łem, ale natychmiast po powrocie do domu czułem gwałtowną potrzebę powtórzenia kąpieli. Wiele rozmyślałem nad znaczeniem tej obsesji na punkcie czystości i doszedłem do wniosku, że wypływa ona z chęci zamknięcia obu nurtów mojego życia w dwóch ściśle odizolowanych przedziałach. Była to również próba oczyszczenia, pokrewna rzymskiemu zwyczajowi zwanemu "lustratio", o którym wspominał kiedyś mój letni wykładowca w Bar Harbor. Rzymianie dokonywali aktu lustracji po od- prawieniu jakiegoś pogańskiego obrzędu, a przed powrotem do cywilizowanego życia. Właśnie pędziłem główną klatką schodową na rendez-vous z natryskiem, kiedy Alicja zawołała mnie z holu. Nie zatrzymałem się - chęć kąpieli była zbyt silna - ale obejrzałem się przez ramię. Alicja miała na sobie popielatą sukienkę z brylantową spinką na ramieniu, a spod jej gładkich, ciemnych, podwiniętych na karku włosów wyglądały kolczyki z brylantami. Wyglądała jak uosobienie piękna. Automatycznie przyśpieszyłem kroku. - Korneliuszu, zaczekaj! - Daj mi pięć minut, dobrze? - Czmychnąłem do łazienki, zamknąłem się od środka, zdarłem z siebie ubranie i zwinąwszy je w bezkształtny kłęb, upchnąłem do kąta za koszem na śmieci, byle da- lej z oczu. Potem z niezmierną ulgą wszedłem pod prysznic. Doliczywszy do stu osiemdziesięciu, zakręciłem wodę i zacząłem się energicznie wycierać przez następne sześćdziesiąt sekund. Znane czynności podziałały na mnie kojąco. Poczułem się dużo lepiej. Zawiązałem ręcznik na biodrach i sprawdziłem, czy moje genitalia są dokładnie zakryte. Był to ważny element, ponieważ nikt, nawet Teresa, nie mógł zobaczyć mnie nago. Faktem jest, że Teresa miała mnie okazję obejrzeć pewnego jasnego letniego wieczoru, kiedy w ferworze zrzuciliśmy z łóżka całą pościel, w tym prześcieradło, które zwykle przezornie podciągałem aż po pępek. Pomięła ten incy- dent milczeniem, starałem się więc nie przejmować. Być może nie zauważyła nic niezwykłego. Istoty ludzkie przyjmują wszelkie kształty i rozmiary, a z tego, co wiem, małe jądra stanowią jakieś osiem- dziesiąt procent ogółu i są równie powszechne u tych, którzy przeszli świnkę, jak i u tych, którzy nie mają pojęcia, co znaczy słowo "orchitis". Przymuszczałnie na pierwszy rzut oka moje jądra nie odbie- gały od normy, w moich oczach natomiast były kalekie, tym bardziej że wiedziałem, jak znacznie są zniekształcone. Zastanawiałem się często, co sądzi

Teresa o mojej przesadnej wstydlivosti, choć znając ją, śmiało mogłem przyjąć, że już dawno wzruszyła ramionami i w ogóle przestała o tym myśleć. Teresa koncentrowała się na sprawach zasadniczych. Dopóki reszta mojego wyposażenia spisywała się tak, jakby była w pierwszorzędnej kondycji, Teresa z pewnością nie zwracała sobie głowy pytaniem, dlaczego wskakuję do łóżka w spodenkach i wyzwalam się z nich dopiero wtedy, gdy jestem już bezpiecznie schowany w pościeli. Odziany w ręcznik wyszedłem z łazienki i z osłupieniem stwierdziłem, że Alicja czeka na mnie w sypialni. Odruchowo uniosłem dłonie do pasa, by sprawdzić, czy zasłona przypadkiem się nie osuwa. - Wybacz, proszę, że ci się narzucam - powiedziała, a ja nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo jest spięta - ale mam pewien naprawdę niecierpiący zwłoki problem. Jest tu Vivienne. Najwyraźniej jak tylko usłyszała od Sama o dziecku, wsiadła w pierwszy samolot odlatujący z Miami, a teraz chce się dowiedzieć, dlaczego Vicky nikogo nie przyjmuje. Mówi, że stąd nie wyjdzie, dopóki nie rozmówi się z tobą osobiście. - Chryste! Jak ona się tu dostała? - Przyjechała, kiedy byliśmy w szpitalu, i wpuścił ją ten nowy lokaj. Udzieliłam już Carrawayowi nagany za to, że odpowiednio go nie pouczył, ale... - Dobra, ja to załatwię. - Nacisnąłem dzwonek przy łóżku i trzymałem na nim palec do chwili, gdy pokojowy galopem przyniósł mi świeżą odzież. Potem podniosłem słuchawkę domofonu. - Hammond? - odezwał się do sekretarza. - Chcę, żeby moja była żona opuściła ten dom. Daj jej pieniądze, zabierz na kolację, zrób cokolwiek, ale pozbadź się jej. Odłożyłem słuchawkę, ująłem inną i wykręciłem numer Sama, chcąc mu zasugerować, iż skoro to on jest odpowiedzialny za pojawienie się Vivienne w Nowym Jorku, do niego należy odesłanie jej na Florydę. Niestety, gospodini w nowym domu Kellerów na Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej powiedziała mi, że Sam wyszedł na kolację. - Vivienne chyba uważa, że przekupiłeś lekarzy, żeby nie wpuszczali jej do szpitala - stwierdziła niechętnie Alicja, kiedy ponownie wyłoniłem się z łazienki, tym razem już w spodenkach. - Chryste! - Włożyłem czysty podkoszulek i sięgnąłem po sweter, który podał mi pokojowiec. - Mogę tylko powiedzieć - stwierdziłem, wbijając się w spodnie - że jeżeli ta kobieta myśli, że może wtargnąć do szpitala i niepokoić moją córeczkę... Przerwały mi podniesione głosy na korytarzu i w momencie gdy kończyłem zapinać rozporek, drzwi do sypialni otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Vivienne, ścigana przez Hammonda i jego dwóch pomocników. - Jak śmiesz rozkazywać swoim fagasom, żeby mną poniewierali! - wrzasnęła. - Zaskarżę cię do sądu, ty draniu! - Skarż. Zetrę cię z powierzchni ziemi. - Odwróciłem się do sekretarza. - Hammond, jesteś zwolniony. Zabieraj się stąd. Zdażyłem wsunąć stopy w mokasyny, zanim ktokolwiek zauważył, że jestem boso. Mężczyzna i tak z trudem narzuca innym swoją wolę, kiedy jest bez skarpetek, ale bez butów może wyglądać co najwyżej śmiesznie. - A teraz posłuchaj mnie, sukinsynu... - wrzasnęła do mnie Vivienne. - Milcz! - wybuchnąłem, rezygnując z neutralnej miny i spokojnego tonu tak raptownie, że wszyscy w pokoju podskoczyli. - Jak śmiesz wdzierać się tutaj! Nie jesteś już panią tego domu, która może wchodzić i wychodzić, kiedy jej się podoba! I jak śmiesz niepokoić moją żonę tymi karczemnymi scenami! - Chcę się zobaczyć z córką! Chcę zobaczyć swojego wnuka! Nie masz prawa mnie od nich izolować! Są tak samo moi, jak i twój! - Vivienne nagle bezsilnie opadła na łóżko. Miała na sobie gołąbkowy kostium, buty na bardzo wysokich obcasach i mnóstwo złotej biżuterii, która dźwięczała przy każdym kroku. Jej łzy żłobiły głębokie bruzdy w warstwie makijażu. Wyglądała jak wymalowany minią wrak i budziła we mnie nieopohamowaną odrazę. - Korneliuszu - odezwała się Alicja cichym opanowanym głosem - wiem, że Vicky nikogo już dziś nie przyjmie, ale czy Vivienne nie mogłaby choć na chwilę zobaczyć swego wnuka? - Och, na miłość boską, przestań wreszcie używać tego słowa! Sądzisz, że Vivienne chce, by jej przypominać, że jest już bliżej sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki? - Powiedz, czy to nie łajdak - zwróciła się Vivienne do Alicji. - Nawet nie czuje dumy z tego, że został dziadkiem! A można by pomyśleć, że oszaleje ze szczęścia, nie sądzisz? Zwłaszcza że nigdy nie zdołał spłodzić własnego syna! Zrobiło mi się niedobrze.

Odwrociłem się na bok z obawy, że zaraz zacznę wymiotować, zanim jednak zdążyłem zrobić krok w stronę łazienki, Alicja oświadczyła z wyrafinowaną godnością: - Bardzo cię proszę, Vivienne! To dla mnie gorzki zawód, że nie zdołałam dać Korneliuszowi dzieci, które niewątpliwie mogłby mieć z kim innym. Być może nie obchodzi cię to, że ranisz jego uczucia, ale muszę cię prosić jak kobieta kobietę, żebyś nie wkraczała w prywatne sprawy, które są dla mnie źródłem głębokiego smutku. Co się zaś tyczy obecnego problemu, osobiście zawiozę cię do szpitala i dopilnuję, żeby cię tam wpuszczono, jeżeli Korneliusz wyrazi na to zgodę. Czy się zgadzasz, Korneliuszu? Nie patrzyłem jej w oczy ze strachu, że ujrzę w nich litość. Podszedłem tylko do niej bez słowa, ująłem jej obie dłonie i pocałowałem ją w policzek. Potem zrzuciłem z nóg pantofle, usiadłem i zacząłem wkładać skarpetki. Oczy mnie paliły. Byłem jak porażony upokorzeniem, że Alicja czuła się w obowiązku skłamać dla ratowania mojego honoru. Znowu poczułem mdłości, kiedy sobie uzmysłowiłem, jak bardzo godny pożalowania muszę się jej wydawać. - Cudownie! - wykrzyknęła sarkastycznie Vivienne. - Uwielbiam takie słodkie małżeńskie scenki miłosne! A teraz, skoro już mi dowiodłeś, że jesteś jeszcze zdolny do tego, żeby dać buzi swojej obecnej żonie, czy mogę mieć nadzieję, że pozwolisz jej zawieźć mnie do szpitala? - Przysporzyłaś Alicji już dość kłopotów jak na jeden wieczór - powiedziałem, ponownie wsuwając stopy w buty. - Ja cię zawiozę. - Dzięki, ale wolałabym raczej jechać z sympatyczną kobietą, która rozumie, jak haniebnie mnie potraktowano! - Pojedziesz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie - oznajmiłem i wyminawszy ją, ruszyłem do wyjścia. 4 - Ileż czasu w przeszłości spędziliśmy raniąc się nawzajem - zauważyła Vivienne, pudrując sobie nos na tylnym siedzeniu mojego nowego błękitnego cadillaca. - Dopiero teraz po latach, widzę, jakie to było marnotrawstwo sił. Mam dla ciebie nowinę, złotko. Kiedy będziesz już stary, naprawdę stary, jak ja, nabierzesz zupełnie nowych poglądów na temat tego, co w życiu jest rzeczywiście istotne. Teraz najbardziej zależy mi na tym, żeby odnowić stosunki z córką i widywać się z wnukiem tak często, jak to tylko możliwe. Mieliśmy niesamowite szczęście, że trafiło nam się takie dziecko jak Vicky, nie uważasz? Pamiętasz nasz miesiąc miodowy w Palm Beach w tym cudownym château Lewisa Carso- na?... Boże, trudno dziś uwierzyć, że to nie sen, tyle się od tego czasu wydarzyło. Pamiętasz, jak rzucałeś palenie i bez przerwy gryzłeś jakieś chrupki, nawet w łóżku, kiedy się kochaliśmy? To zabawne, ale z trudem do mnie dociera, że ty i ja, dwoje obcych ludzi siedzących obok siebie w tym niebiańskim wozie - a propos, kochanie, ta tapicerka jest boska! było kiedyś kochankami związanymi najbardziej podniecającym romanssem w mieście! Czy nie wydaje ci się to z lekka fantastyczne? - Fantastyczne, owszem. Ale wtedy byliśmy innymi ludźmi. - Podejrzewam, że tak. Choć na swój sposób jesteś dziś nawet atrakcyjniejszy niż wtedy, kiedy byłeś tylko słodkim dzieciakiem z twarzyczką anioła i pięćdziesięcioma milionami na koncie! To urocze, że wciąż jesteś tak bardzo przywiązany do Alicji. Zapewne w wolnych chwilach uwodzisz tłumy kobiet? - Pilnuj swojego własnego pieprzonego interesu. - Najwyraźniej tego dnia byłem skazany na wygłaszanie wulgaryzmów w towarzystwie przedstawicielek płci pięknej. - Ja jeszcze pamiętam czasy, kiedy byłeś miłym dobrze wychowanym chłopczykiem, który nigdy nie odezwałby się w ten sposób przy damie! Udało mi się ugryźć w język i powstrzymać od komentarza, który sam się nasuwał. Jeżeli chcemy przetrwać wizytę w szpitalu, nie posuwając się do rękoczynów, musiałem ignorować próby sprowokowania mnie tą idiotyczną paplaniną. Dochodziła dziesiąta, ja jednak bez kłopotu uzyskałem wstęp do szpitala, który w trosce o dobre samopoczucie pacjentów prowadzony był w stylu hotelu de luxe. Oddziałowa na czwartym piętrze potwierdziła, że Vicky nie wolno teraz zakłócać spokoju, ale młodsza pielęgniarka zaprowadziła nas do pokoju dziecinnego, gdzie w towarzystwie trzech innych noworodków spał mały Eric Keller. - Ojej! - zakwiliła Vivienne, kiedy dziecko zostało wyniesione z sali w celu dokonania oględzin - Ależ to чудо! Czy mogę go potrzymać? Dostała go do potrzymania. Pielęgniarka uśmiechnęła się pobłaźliwie. Syn Sama dalej spokojnie spał. Oczka

miał zamkniętą, maleńka twarzyczka nawet nie drgnęła. - Czyż to nie jest ekscytujące? - zapytała Vivienne. - Pomyśl tylko, Korneliuszu: nasz wnuk! Nasz własny! Czyż to nie jest cudowne? Ja natomiast byłem w stanie myśleć wyłącznie o tym, że ta napalona dziwka, suka o nadmiernie wybujałych apetytach seksualnych, na widok której zbierają mnie mdłości, próbuje mi wmówić, że syn Sama Kellera to jakieś objawienie. Przeraziło mnie, że jestem aż tak zgorzkniały. W poszukiwaniu ja- kiejs bardziej konwencjonalnej reakcji spojrziałem na dziecko, dokładając starań, by wzbudzić w sobie to samo uczucie, które przeobraziło maskę Vivienne w żywą twarz, ale bez echa. Znów znajdowałem się w miejskim autobusie, otoczony przez ludzi, a mimo to samotny. - Owszem, miłe dziecko - bąknąłem. Zastanawiałem się mgliście, czy przypadkiem nie jestem zazdrosny o Sama, lecz to przecież było niemożliwe. Dziecko musiało mieć ojca, a czy mogłem sobie życzyć lepszego ojca dla niego niż mój najlepszy przyjaciel? Pytanie tylko, czy Sam nadal jest moim najlepszym przyjacielem. Byłem tego prawie na sto procent pewny, aczkolwiek po dwudziestu czterech latach spędzonych w świecie, gdzie ludziom, których nigdy bym o to nie podejrzewał, zdarzało się tracić poczucie rzeczywistości do tego stopnia, iż myśle- li, że mogą mnie bezkarnie przechytrzyć, moje poglądy na temat przyjaźni stały się cokolwiek cynicz- ne. Obawy o zdrowie psychiczne Sama przestały mnie jednak dręczyć od czasu, gdy w czerwcu ze- szłego roku ożenił się z Vicky. Nie miałem wątpliwości, że szczerze ją kocha. Na pewno zaś pożycie małżeńskie było dla niego na tyle ważne, że nie ośmieliłby się go rujnować, wbijając mi nóż w plecy, ponieważ kiedyś tam poderwałem mu kochankę - zakładając, rzecz jasna, iż wciąż miał mi za złe uwiedzenie Teresy, skoro dla niej ich romans był równie przebrzmiały co zeszlóroczny śnieg. Wzdrygnąłem się na wspomnienie okoliczności, w których zrodziła się moja zażyłość z Teresą. Nie przypuszczałem, że wprowadziła mnie w błąd co do uczuć Sama. I skąd miałem wiedzieć, że Sam, który zawsze uganiał się za lalkowatymi blondynkami, pozbawionymi jakichkolwiek uzdolnień, rozumu i szans na zaciągnięcie go do ołtarza, tak szaleńczo zakocha się w Teresie, że będzie się chciał z nią ożenić? Lekkomysłnie wdałem się w straszliwie niezręczny układ. W gruncie rzeczy miałem szczęście, że ocalałem gardło i powolutku zdołałem zaaranżować wszystko w możliwie jak najbez- pieczniejszy sposób. Mimo to do tej pory nerwowo macałem się po szyi, a w koszmarnych snach wi- dywałem ostrza noży błyskające ku mnie w ciemności. Może powinienem był zrezygnować z Teresy i nie podejmować ryzyka, ale była dla mnie wprost idealną kochanką, a kiedy Sam uniósł się dumą i stwierdził, że mam ją sobie zatrzymać, wydawało się to mniej kłopotliwe niż wyrzeczenie się jej. Późniejsze zaś uczucie Sama do Vicky przekonało mnie, że nie ma do mnie żalu o to, iż kiedyś ode- brałem mu dziewczynę. A może wciąż jeszcze chował urazę? Nie podobało mi się, że wybrał dla dziecka te niemieckie imiona. Był to akt buntu, wrogi gest obliczony na to, by mi przypomnieć, iż to on jako ojciec nadaje dziecku imię, ja natomiast nie mam żadnych praw. Nie lubiłem sytuacji, na które nie miałem wpływu, Samowi zaś miałem za złe to dawanie mi do zrozumienia, że w tej konkretnej sytuacji jestem zupełnie bezsilny. Erich Dieter. Dobry Boże! - Taka jestem szczęśliwa! - załkała Vivienne, kiedy dziecko zostało odniesione do łóżeczka. - Kochanie, chodźmy gdzieś i uczcijmy to lampką szampana! - Nawet na to nie licz - odparłem i natychmiast zdałem sobie sprawę, iż moje zachowanie wobec Vivienne tego wieczoru wyraźnie świadczy o tym, że coś ze mną jest nie tak. Jeżeli nie chciałem, by ktoś się domyślił, jak bardzo jestem rozczarowany, że ojciec Erica nie ma zamiaru się nim ze mną dzielić, jeżeli nie chciałem, by ktoś się zorientował, iż moje żałosne fantazje z ostatnich kilku miesięcy nieodwołalnie straciły szansę na realizację, musiałem wziąć się w garść, i to szybko. Zawsze najbar- dziej przerażała mnie myśl, że ludzie w skrytości ducha będą się nade mną litować, ponieważ nie mam własnych synów. - Przepraszam - powiedziałem prędko. - Tak, oczywiście kupię ci butelkę szampana, ale wy- bacz, że nie napiję się z tobą. Prawdę mówiąc, czuję się dziś fatalnie, to efekt uboczny nowego lekar- twa na astmę. Gdzie miałabyś ochotę pójść? -

Do Plaza. Nie wynajmujesz tam przypadkiem apartamentu? - Nie. Chciałabyś tam zamieszkać? - Och, kochanie, byłoby niebiańsko! Przepraszam, że wygarnęłam ci tyle potwornych rzeczy. Teraz przypominasz mi, jaki byłeś wspaniały, kiedy miałeś dwadzieścia dwa lata. - Masz dość pieniędzy na napiwki dla boyów? - Skarbie, myślałam, że nigdy o to nie zapytasz! Czy nie mógłbyś... Z cadillaca zadzwoniłem do Plaza, żeby się upewnić, czy mają wolny apartament, po czym wy- pisałem jej czek na tysiąc dolarów. - No cóż, Vivienne - powiedziałem, kiedy auto zatrzymało się przed hotelem - zamów sobie, co chcesz, do pokoju i baw się dobrze. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale wrócę już do domu, bo... - Korneliuszu. - Poczulem dłoń Vivienne na ramieniu. Zaskoczony odwróciłem się i spojrzałem na nią. W jasnym świetle padającym z hotelowego ho- lu zobaczyłem, jak bardzo niebieskie są jej oczy, i po raz pierwszy tego wieczoru dotarło do mnie, iż jest to ta sama kobieta, która wiele lat temu była moją żoną. - Muszę z tobą pomówić - powiedziała cicho. - Proszę, wejdź ze mną do środka. - Dobrze - odparłem po chwili wyzutym z emocji głosem i wysiadłem za nią z samochodu. Po drodze zabraliśmy walizki Vivienne z małego obskurnego hoteliku w pobliżu Grand Central Station, które boy wniósł teraz do holu, my zaś podeszliśmy do recepcji, gdzie Vivienne wypełniła kartę mel- dunkową. Nadal nie odzywaliśmy się do siebie i nawet jazda windą przebiegła w milczeniu. W apar- tamencie z roztargnieniem wręczyłem boyowi pięć dolarów napiwku i podszedłem do telefonu, żeby zamówić szampana. - Może być kalifornijski? - spytałem, przeglądając listę win serwowanych do pokoi. - Nie, Korneliuszu, nie może. Dyskutowaliśmy na ten temat już dawniej, kiedy trzeba było usta- lić, jakie wino każemy podać do kolacji. Dziwię się, że nie pamiętasz. Podejrzewam, że Alicja po prostu machnęła ręką i poddała się tej twojej manii wykluczającej z jadłospisu wszystko, co nie po- wstało w Ameryce. Poproszę Heidsiecka, rocznikowego, jeśli łaska. - Kawior? - Tak, rosyjski. Złożyłem zamówienie, odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do niej. Obserwowała mnie. Twarz miała bladą, lecz spokojną. - Słucham cię - powiedziałem grzecznie. - Korneliuszu - odparła - musimy się pogodzić. Zdecydowałam się przenieść do Nowego Jorku, żeby być blisko Vicky i tego brzdąca. O, naturalnie na Manhattan mnie nie stać, ale to tylko jedna z pięciu dzielnic, czyż nie? Mam zamiar wynająć małe mieszkanie w Queens. Kiedyś myślałam, że świat się skończy, jeśli upadnę tak nisko, żeby mieszkać w Queens, ale teraz widzę, że prawdziwy ko- niec świata nastąpiłby dopiero wtedy, gdybym trzymała się z dala od mojego dziecka. Milczałem przez chwilę. Potem powiedziałem ostrożnie: - Rozumiem, że Fort Lauderdale nie jest tym, do czego przywykłaś w przeszłości. Gdybym ku- pił ci dom w Palm Beach... - Korneliuszu, to nie ma sensu. Nie zdołasz mnie przekupić, żebym została na Florydzie. Posta- nowiłam wrócić do Nowego Jorku, a skoro mamy mieszkać w tym samym mieście, sądzę, że ze względu na Vicky powinniśmy przynajmniej spróbować zostać przyjaciółmi. - A ja sądzę, że ze względu na Vicky powinniśmy się trzymać jak najdalej od siebie! Bądź realis- tką, Vivienne! To jasne, że byłoby lepiej, gdybyśmy byli oddanymi sobie przyjaciółmi, wymieniającymi promienne uśmiechy, ilekroć znajdziemy się w pobliżu Vicky, ale tak przecież nigdy się nie stanie! Ty gardzisz mną, ja gardzę tobą i każde nasze spotkanie kończy się awanturą. Takie są realia, a mnie in- teresują wyłącznie realia! - W porządku - powiedziała. - Interesują cię tylko realia. To zainteresuj się odpowiedzią na ta- kie pytanie: dlaczego Vicky wyszła za Sama? Dlaczego uciekła nie tylko ode mnie, ale także od cie- bie? Czy przypadkiem nie szukała jakiegoś mądrego potężnego rodzica, który się nią zaopiekuje, bo my oboje zawiedliśmy? Korneliuszu, Vicky nadal jest małą dziewczynką, która próbuje przed nami uciec. W ten sposób nigdy nie dorośnie, ale gdybyśmy postarali się zmienić, przynajmniej formalnie zostać przyjaciółmi, a nie jawnie zwalczającymi się wrogami... - Oszczędź mi tej amatorskiej psychologii! To ty ją zawiodłaś, nie ja! To ty byłaś złą matką! Vicky błagała sędziego, żeby pozwolił jej zamieszkać ze mną! - Przekupiłeś go! - A właśnie że nie, do cholery! O Boże, Vivienne, spójrz, znów się kłócimy! Posłuchaj, jeśli chcesz się przeprowadzić do Queens, nie będę cię w stanie powstrzymać, ale nie zdziw się, jeśli Sam

przyjmie cię chłodno, a ja dołożę starań, żeby nasze spotkania były jak najrzadsze. Prawda, którą oboje znamy, wygląda tak, że straciłaś córkę i tylko siebie możesz za to winić. "Zbieramy tylko to, cośmy zasiali" - jak mawiała jeszcze w Velletrii moja matka. - Ciekawe, kiedy ty zbierzesz to, co zasiałeś? Zbuntowałaś Vicky, bo wystrychnęłam cię na dudka, wychodząc za ciebie dla pieniędzy; umyśliłaś sobie, że najlepiej się zemścisz, odbierając mi córkę! - Bzdura. Chodziło mi tylko o jej dobro. - Gdyby rzeczywiście chodziło ci o jej dobro, nie zniszczyłbyś szczęśliwego domu, jaki dla niej stworzyłam! - Tak, szczęśliwego domu, w którym sypiałaś z jednym facetem po drugim, a skończyłaś w ramionach gangstera z Las Vegas! Ładny przykład dla małej dziewczynki! - Danny Diaconi był moim mężem! Och, wynoś się stąd, niech cię wszyscy diabli, zostaw mnie w spokoju! Rzeczywiście nie możemy z sobą rozmawiać, to nie ma sensu! Z ulgą wyszedłem na korytarz. Po drodze minąłem kelnera niosącego tacę z szampanem i kawą, nawet się jednak nie obejrzałem. Dokładając wysiłków, by odpędzić od siebie wizję mojej byłej żony koczującej na stopniach naszego domu i ostatecznie dezorganizującej nam błogie życie rodzinne, zjechałem windą do holu i ze znużeniem dowlokłem się do cadillaca. Chciałem wrócić do domu, do Alicji. 5 - Czy moja żona już się położyła, Carraway? - spytałem kamerdynera, kiedy dotarłem na Piątą Aleję. - Nie, proszę pana, jest w Żłotym Salonie. - Proszę przynieść mi do salonu szkocką z wodą sodową - powiedziałem uprzejmym tonem, który rezerwowałem wyłącznie dla Carrawaya. Nie lubiłem angielskiej służby, obdarzonej wyjątkowym talentem do przyprawiania swoich amerykańskich chlebodawców o kompleks niższości, lecz Carraway był mistrzem w swoim gatunku, a ja zawsze doceniałem najlepszych. Carraway z kolei cenił sobie mój szacunek. Wcześniejsze doświadczenia zawodowe zebrane w moim kraju nauczyły go, co dzieje się w domach, których państwo nie mają zielonego pojęcia, jak należy traktować służbę. Wiedział, że u mnie ma się jak u Pana Boga za piecem. Na parterze oprócz biblioteki znajdowało się pięć pokoiów przyjęć, jadalnia i sala balowa, z rezydencją jednak korzystaliśmy tylko ze Żłotego Salonu, który był niewielki i przytulny. Pierwotny wystrój, wybrany przez Vivienne, utrzymany był w kolorze złotym, ale później, pod rządami Alicji, zdjęto złote draperie, zmieniono tapicerkę na meblach, a złoty dywan powędrował na strych. Dominującą barwą w pokojach była teraz blada zieleń. Kiedy otworzyłem drzwi, Alicja i Sam zerwali się tak gwałtownie, jak gdybym ich przyłapał na cudzołożnym uścisku. - Cześć - powiedziałem, przerywając niezręczne milczenie. - Właśnie odstawiłem Vivienne do Plaza i czuję, że zasłużyłem na drinka. Miło, że wpadłeś, Sam. Przepraszam za tę awanturę w szpitalu. Widziałeś się jeszcze z Vicky po moim wyjściu? - Nie, pomyślałem, że lepiej dać jej spokój. - Sam, wysoki mężczyzna w drogim garniturze, sztywno usiadł z powrotem i zmierzył mnie czujnym spojrzeniem zza okularów. - Ja też cię przepraszam, Neil. Byłem nazbyt szorstki. - No i, do diabła, miałeś rację! To twoja żona, nie moja! Zapomnijmy o całym tym zajściu, dobrze? - Z przyjemnością. Carraway wśliznął się do salonu z moją whisky. Wyglądał, jakby urodził się ze srebrną tacą w ręku. - Dziękuję, Carraway. - Dziękuję panu. - Anglicy nigdy nie mówią: "Proszę uprzejmie" albo "Nie ma za co", tylko bez przerwy powtarzają "Dziękuję". Pomaga im to utrzymać kontrolę nad sytuacją, która w przeciwnym wypadku przybrałaby wydmuch przyjacielskiej pogawędki przy kominku. Anglicy są mistrzami słownych gier - drobnych finezyjnych prób sił, sztuczek, za pomocą których można zdominować każdą trudną sytuację. Sam i ja też nie byliśmy nowicjuszami w tej grze. Jednym z paradoksów naszych rzadkich konfrontacji było to, że każdy z nas dokładnie wiedział, co ten drugi zaraz powie lub zrobi. - No! - rzekłem dobrodusznie po odejściu Carrawaya. - Co takiego knuliście, kiedy przyłapałem was na gorącym uczynku? Nieomal widziałem myśli Sama: "Nieprzyjazne pytanie; Neil bierze byka za rogi. Natychmiast zneutralizować". Zaśmiał się i wyciągnął długie nogi, żeby stworzyć wrażenie, iż jest całkowicie odprężony. - Otworzyłeś drzwi z takim trzaskiem, że nic dziwnego, iż oboje podskoczyliśmy. Nic takiego, Neil, po prostu chcieliśmy raz jeszcze przedyskutować kwestię imienia dla dziecka. Prawdę

mówiąc, nie jestem już taki pewien, czy powinienem go ochrzcić po moim kuzynie. Bardzo lubiłem Ericha, ale Vicky w ogóle go nie znała i to imię nic dla niej nie znaczy. Może lepiej nazwać go Paul Cornelius - po tobie i Paulu. Byłoby to wymowne zarówno dla Vicky, jak dla mnie. - No cóż - powiedziałem, myśląc: "Mdląco-słodkie pochlebstwo. Zniszczyć odrobiną kwasu. Uśmiechać się." - To dość interesująca sugestia. Mam być szczery? - Naturalnie! - przytaknął Sam, choć bynajmniej nie zależało mu na mojej szczerości. - Sądzę, że byłoby błędem rozczulać się nad Paulem, który zawsze gardził sentymentalizmem, co się zaś tyczy mnie, popieram oryginalne pomysły. Nie interesują mnie echa przeszłości. Lepiej pozostańmy przy Erichu Dieterze. Przyznaję, wtedy w szpitalu byłem zaskoczony, ale odniosłem błędne wrażenie, że Vicky chciała nazwać go na twoją część Samem. Fatalny błąd. Wygłosiłem zdanie będące oczywistym kłamstwem. Zapadła cisza. Przyglądałem się Alicji, która utkwiała zmieszany wzrok w suche polana ułożone na kominku. Zaciśnąłem ręce za plecami tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w dłoń. - W takim razie... - rzekł Sam, myśląc: "Boże, cóż za niezręczna sytuacja. Muszę to jakoś zatuszować." - Jeżeli jesteś tego pewien... - Do licha, Sam, ja nie mam z tym nic wspólnego! Jestem jedynie dziadkiem, jak Alicja nie prze- staje mi przypominać! - Kolejny fatalny błąd. Mimo nonszalanckiego tonu stworzyłem wrażenie, że jestem zły i zazdrosny. Czułem się upokorzony. Po plecach spłynęła mi strużka potu. Musiałem się ja- koś z tego wygrzebać. - Czuję się tak, jak gdybym miał siedemdziesiątkę i nadal szybko się starzał! - powiedziałem, usiłując obrócić wszystko w żart. Osiągnąłem tylko tyle, że poczuliśmy się jeszcze bardziej niezręcznie. - Powinienem się już położyć. Może sen mnie trochę odmłodzi. Nie wstawaj, Sam. Alicjo, powiedz Carrawayowi, żeby przyniósł Samowi jeszcze jednego drinka! Wyszedłem z pokoju, dokładnie zamknąłem drzwi i zrobiłem sześć kroków korytarzem, a po- tem na palcach podkradłem się z powrotem, żeby posłuchać, o czym będą mówili. Zza drzwi dobiegł głos Sama: - Do licha! Był strasznie zdenerwowany! A myślałem, że to dobry pomysł... - Teraz już się nie upieraj przy Paulu Corneliusie, bo jeszcze wszystko pogorszysz... Cicho odszedłem od drzwi. Schroniwszy się na piętrze, odesłałem pokojowca, usiadłem na łóżku i splatając kurczowo palce, na nowo zacząłem analizować sytuację. Nie rozumiałem, jak mogłem tak głupio to rozegrać. Może byłem wytracony z równowagi emocjonalnej? Nie, to niemożliwe. Już dawno się ze wszystkim pogodziłem. Problem wynikał z tego, że oni myśleli, iż jestem wytracony z równowagi, i to ich podejrzenia, a nie obiektywny fakt, tak źle na mnie podziały. Ogarniała mnie wściekłość na myśl, że tych dwoje uzna mnie za histeryka, kogoś, z kim trzeba się obchodzić w rękawiczkach, podczas gdy przecież do- skonale radziłem sobie w życiu. Już od szesnastu lat wiedziałem, że nigdy nie będę miał syna - ściślej mówiąc od szesnastu lat, siedmiu miesięcy i pięciu dni - a jeżeli ktoś nie umie się pogodzić z jakimś niewygodnym faktem po szesnastu latach - szesnastu latach, siedmiu miesiącach i pięciu dniach - to na litość boską w ogóle nie nadaje się do życia w społeczeństwie. Oczywiście pragnąłem syna, ale w ży- ciu nie można mieć wszystkiego, jak mawiała jeszcze w Velletrii moja matka, a ponieważ i tak miałem prawie wszystko, jak mógłbym się skarżyć? Nie skarżyłem się i taka była prawda; to tylko Alicja przypisywała mi uczucia rodem z oper mydlanych i wmawiała sobie, że cierpię, ponieważ zostałem czegoś pozbawiony. Oczywiście żal mi było Alicji, gdyż nie ulegało wątpliwości, że marzyła o dzie- ciach, lecz przecież miała już swoich dwóch chłopców, a ja dorzuciłem jej jeszcze pasierbicę, tak więc również nie miała powodu narzekać. Nie zamierzałem czuć się winny, gdy tworzyliśmy wszyscy jedną wielką szczęśliwą rodzinę, której los tak wyraźnie sprzyjał. Po co? Zresztą i tak nie wierzyłem w po- czucie winy. Wina to coś dla nieprzystosowanych neurotyków, którzy nie potrafią dać sobie rady w życiu. To Bóg rozdaje karty, a człowiek może je tylko wykorzystać najlepiej, jak potrafi. Na tym to wszystko polega. Szesnaście lat, siedem miesięcy i pięć dni. Brzmiało to jak wyrok więzienia. Siódmego sierpnia 1933 roku niebo było błękitne, gorące i lekko przymglone... I właśnie tego dnia wszystko się skończy- ło - moje marzenie o dużej rodzinie, doskonałe

fizyczne współżycie z żoną, nabożna cześć wobec Paula wypełniającego w moim sercu lukę pozostawioną przez ojca, którego ledwie pamiętałem, i nawet małżeństwo mojej siostry dobiegło końca, a ja znalazłem się w stanie wojny z moim szwagrem, tym sukinsynem Stevenem Sullivanem... Stojąc pod prysznicem, nagle uświadomiłem sobie, że przed chwilą brałem już natrysk. Mój rozsądek zaczynał chyba szwankować. Próbowałem dociec, co może oznaczać ta ponowna kąpiel. Kolejny akt oczyszczenia? Być może starałem się spłukać z siebie wspomnienie tej upokarzającej sceny, jaka rozegrała się w Złotym Salonie. Spływająca po ciele woda zawsze przynosiła mi czyste radosne myśli. Wdziałem piżamę, położyłem się do łóżka i właśnie otwierałem książkę, kiedy w pokoju Alicji otworzyły się drzwi. Błyskawicznie zgasłem lampkę i znieruchomiałem w ciemności. Być może jeśli będzie przekonana, że śpię, wśliznie się do łóżka obok mnie i położy sobie moją dłoń między udami. Już raz tak zrobiła powodowana litością, lecz później, gdy okazałem się bezsilny, ta sama litość nie pozwoliła jej kochać się ze mną w mniej konwencjonalny sposób. Wiedziała, że nie lubię takich praktyk, i bez wątpienia nie chciała mnie upokarzać jeszcze bardziej, uznawszy z góry, iż będę się do nich zmuszał, by ją zadowolić. Spociałem się na samo wspomnienie, zaraz jednak przypomniałem sobie, że niepotrzebnie się dręcę. Nasz związek cielesny był martwy. Dużo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, w jakim piekle kazałem jej żyć, egoistycznie usiłując wskrzesić minione doznania. Kiedy zdałem sobie sprawę z rozmiaru jej cierpienia, natychmiast położyłem kres naszym stosunkom. Dla Alicji zrobiłbym wszystko, po prostu wszystko. Kiedy odkryłem, że nie doczekamy się dzieci, zaproponowałem jej rozwód, żeby mogła je mieć z kim innym. Alicja pozostała ze mną, i to bynajmniej nie dlatego, że byłem bogaty. Miała własny majątek i własne miejsce wśród nowojorskiej śmietanki. Ta wyjątkowa piękna kobieta postanowiła trwać przy mnie w kłopotach, ponieważ uważała, że jestem jedynym człowiekiem, z którym będzie szczęśliwa. Nic dziwnego, że odtąd czyniłem co w mojej mocy, aby zapewnić jej szczęście. Chciała, żebym kochał jej synów; stawałem na głowie, by traktować ich jak własnych. Nie lubiła akcji dobroczynnych; zważałem, by nigdy nie zwracać jej głowy tego rodzaju działalnością. Naturalnie potrzebny był jej najlepszy dom, jaki byłem jej w stanie stworzyć. To ze względu na nią zatrzymałem posiadłość Paula przy Piątej Alei, której skrycie nie cierpię. Chciała położyć kres naszym stosunkom seksualnym - położyłem im kres. Gdyby zapragnęła rozwodu, znalazłbym w sobie dość siły, by i to jej dać, choć nie wiem, jak mógłbym dalej żyć bez niej. Powiedziałem jej nawet, żeby wzięła kochanka, ponieważ uświadomiłem sobie, że lepiej być mężem zdradzonym niż porzuconym. Kochałem ją. Pragnąłem jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety na całym świecie i często, gdy tak bez wysiłku i zaangażowania szczytowałem z Teresą, impotencja w stosunku do żony naprawdę wydawała mi się wyrokiem - szesnaście lat, siedem miesięcy i pięć dni więzienia w jakimś policyjnym państwie, gdzie sprawiedliwość nie istnieje, a tortury są na porządku dziennym. Budziłem się rano, wołając w myślach: "Dość się już nacierpiałem! Wypuście mnie!", ale codziennie pozbawiony twarzy strażnik więzienny przypominał mi, że już dawno wyrzucił klucz do mojej celi. Ktokolwiek rozdawał karty życia, do karowego pokera podstępnie podrzucił mi asa pik, i czasami wydawało mi się, że ten pojedynczy czarny pik był łopata, która kopała mi grób. Za drzwiami łączącymi nasze sypialnie zgasło światło, lecz poza tym nic się nie wydarzyło. Samotnie czekałem w ciemności. Znów byłem w śródmiejskim autobusie, choć tym razem autobus był pusty, kierowcy również nie było, a samotność w końcu stała się nie do zniesienia. Wstałem, podkradłem się do drzwi i zacząłem nasłuchiwać. Cisza. Cierpiąc męki niezdecydowania odszedłem od drzwi i uczyniłem wysiłek, by myśleć logicznie. Czy znajduję jakiś pretekst, żeby zapukać? Żaden nie wpadał mi do głowy. Może zdobyć się na uczciwość i zapytać wprost, czy nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli położę się na chwilę obok niej i potrzymam ją za rękę? Nie, to wykluczone. Od razu sobie pomyśli: "Biedny Korneliusz, wiadomo, że to wszystko, na co go stać! Powinno ulec tej jego

zachciance, ale jakież to żalosne!" Potworna ironia losu polegała na tym, że wcale nie byłem biednym Korneliuszem. Byłem bogaty, potężny i sławny, a moja kochanka jeszcze tego samego popołudnia mówiła mi, jaki jestem świetny w łóżku. Jeśli więc poniosłem klęskę, to tylko na jednym polu, a polem tym był umysł - umysł Alicji, rzecz jasna. Z moim umysłem wszystko było w porządku. Ponieważ jednak Alicja myślała, że jestem niczym, byłem niczym. Doszedłem do tego już wiele lat temu. Wszyscy ci głupcy, którzy tracą fortuny na psychiatrów, powinni od czasu do czasu dokonać trzeźwej samooceny. Oszczędziliby w ten sposób trochę pieniędzy. Zresztą i tak nie wierzę w psychiatrów. Są dobrzy dla bab i zbrojeńców. Wróciłem do łóżka. Myśl o zbrojeńcach przypomniła mi o Kevinie, a myśl o Kevinie przypomniła mi, jak niewiele jest ludzi, z którymi mogę jeszcze rozmawiać. Nigdy nie ośmieliłbym się ujawnić swych osobistych kłopotów przed kimś, kogo poznałem już po przejęciu fortuny Paula, najważniejszy aspekt władzy bowiem zasadza się na tym, że ludzie muszą uważać cię za niewzruszoną opokę, inaczej stracą do ciebie szacunek, jaki wymusza na nich twoja potęga. Nie miałem najmniejszego zamiaru dzielić się problemami z kimś, komu nie ufałem, a ufałem bardzo niewiele ludziom. Ufałem mojej siostrze, jednakże z biegiem lat oddaliliśmy się od siebie, zwłaszcza kiedy po wojnie wróciła do tej nudnej Velletrii. Ufałem żonie Paula Sylwii i zawsze szczerze ją podziwiałem, ale Sylwia mieszkała o trzy tysiące mil ode mnie. Moja matka umarła w 1929. Ojczym, którego nigdy nie lubiłem, także już nie żył. Mój ojciec, do którego rzekomo byłem podobny, umarł, kiedy miałem cztery lata. Nawet sam Paul, mój cioteczny dziadek, który adoptował mnie w swoim testamencie, nie żył już od dwudziestu czterech lat, a za życia niewiele się mną przejmował. Świadomość, że w gruncie rzeczy wcale go nie obchodziłem, wciąż sprawiała mi ból, choć tylko ja o tym wiedziałem i dlatego bez trudu zdołałem pogrzebać to wspomnienie wraz z innymi, których zdecydowany byłem nigdy nie wskrzeszać. Otoczyłem pamięć Paula swego rodzaju kultem właśnie dlatego, by nikt nigdy nie odgadł, jak wielki czułem do niego żal za tę ledwie skrywaną obojętność, która, gdyby żył dłużej, mogła się przerodzić w czynną antypatię. Nie było jednak wątpliwości co do tego, że pomimo swej antypatii Paul dał mi to, czego chciałem, i uważałem, że wobec tego powinienem szanować jego pamięć. Z pewnością miałem powody do zadowolenia, że kiedyś zostałem jego protegowanym. Czy bez jego pomocy dotarłbym na sam szczyt? Niemal na pewno tak, ale potrwałoby to znacznie dłużej. Poparcie Paula wytyczyło mi bezcenną drogę na skróty, która doprowadziła mnie do obecnej potęgi, choć wszystko to działo się tak dawno temu, że teraz praktycznie nie miało już znaczenia. Obecnie liczyło się jedynie to, że Paul jest martwy i nie może mi pomóc w rozwiązaniu moich problemów. Poza rodziną miałem tylko trzech przyjaciół, którzy znali mnie w czasach, kiedy byłem nikim - niewyrośniętym, niedocenionym Korneliuszem Blackettem z Velletrii w stanie Ohio. Nie byłem pewien, czy Samowi mogę jeszcze ufać na sto procent. Kevin mnie bawił, ale nigdy nie zdobyłbym się na poważną rozmowę z homoseksualistą, podczas gdy Jake... Tak, Jake'owi ufałem. Hołdował temu samemu stylowi życia co ja i miał podobne problemy natury zawodowej. Prawdopodobnie był jedynym prawdziwym przyjacielem, jaki mi jeszcze pozostał, lecz faktem było i to, że na płaszczyźnie osobistej nie łączyło nas nic. Rozmawialiśmy o finansach, polityce i sztuce, ale nigdy o naszych rodzinach. Wiedziałem, dlaczego tak jest. Człowiek, który kocha swoją żonę i mocno wierzy w znaczenie wierności małżeńskiej, niewiele ma do powiedzenia mężczyźnie, który nie spał ze swoją żoną od lat, a w wolnych chwilach uwodził każdą kobietę, jaka znalazła się w zasięgu oka. Nie miałem zamiaru go krytykować; nie mogłem go krytykować, tym bardziej że sam miałem romans z Teresą, jednakże różnice w naszym podejściu do życia rodzinnego tworzyły ledwie zauważalną, lecz wciąż obecną barierę pomiędzy nami. Zaświeciłem lampkę, aby zasygnalizować Alicji, że nie śpię. Potem ją zgasilem i odczekałem chwilę. Żadnej reakcji. Widocznie już spała. Szczęściara. Zastanawiałem się, czy w końcu poszła za moją radą i wzięła sobie kochankę, ale wydawało mi się to nieprawdopodobne. Alicja nie była rozpus-

tna, a jak powszechnie wiadomo, tylko takim kobietom odpowiada seks pozamałżeński. Zresztą kobiety nie miewają erotycznych myśli, które nawiedzają nas, mężczyzn. Kiedy widzą mężczyznę, nie rozbiegają go w myślach i nie kalkulują rozmiarów jego erekcji. Wyobrażają go sobie w smokingu, z bukietem dwudziestu czterech róż i na tle orkiestry smyczkowej, która gra "Nad pięknym, modrym Dunajem". Kobiety są romantyczne. Marzą o miłości, nie o seksie, Alicja zaś nie była zakochana w innym mężczyźnie. Gdyby tak było, wiedziałbym o tym. Poza tym seks napawał ją odrazą, to było widoczne. Nic dziwnego - po tym, przez co musiała ze mną przejść? Wstałem ponownie, poszedłem do łazienki, skorzystałem z toalety, spuściłem wodę i bez celu skierowałem się z powrotem do sypialni. Wyrzałem przez okno na Central Park i pomyślałem o setkach ludzi, których znałem w tym mieście, związanych z moim życiem zawodowym i towarzyskim. Z pewnością musi być ktoś, z kim mógłbym porozmawiać! Nie musi to być głęboka i pełna znaczenia rozmowa. Wystarczy błaha pogawędka, ot, żeby stąpić ostrze bezsenności. Zszedłem na parter do biblioteki. Miałem pięć książek adresowych. Numer jeden zawierał nazwiska ludzi, których lubiłem na tyle, by zapraszać ich na kolacje w wąskim gronie, numer dwa obejmował duże przyjęcia, numer trzy koktajle, numer cztery potańcówki, a numer pięć wystawy. Mój osobisty sekretarz indeksował je w skrupulatnie uaktualnianej kartotece, a co pół roku Alicja osobiście przeglądała notesy, kwalifikowała ludzi do różnych kategorii, wprowadzała nowe nazwiska i usuwała stare. Alicja zawsze wiedziała, kogo i jak często mam ochotę widywać. Byłem mniej więcej w połowie notesu numer jeden, kiedy uświadomiłem sobie, że jest o wiele za późno, by dzwonić do kogokolwiek w Nowym Jorku. Nadal przerzucałem stronicę, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Sylwii, ale wiedziałem, że będzie chciała porozmawiać o dziecku, a ja miałem już dość małego Erica Kellera jak na jeden dzień. Pod moimi palcami otwarła się strona oznaczona literą "S" i zobaczyłem nazwisko Sullivan. Na ułamek sekundy znów znalazłem się w przeszłości; ujrzałem Steve'a i wiedziałem, że gdyby mógł, starłby mnie z powierzchni ziemi. Znów otaczała mnie krew, mord i przemoc, od nowa odbywał się koszmarny ślub Emily, a Steve jeszcze raz odchodził z banku po to, by nabrać rozmachu przed miażdżącym ciosem. Znów ożywały intrygi i machinacje, i śmierć na pustej angielskiej szosie, i ta kobieta, która przez cały czas stała przy nim, która zniszczyła małżeństwo Emily i podburzyła Paula przeciwko mnie. Dina Slade - kobieta, która pokonała mnie wielkim samobójczym gestem, unicestwiając zarazem siebie. Znów była śmierć, krew i wina, choć przecież ręce miałem czyste, starałem się je oczyścić przez tyle lat i teraz już wiedziałem, że nie powinienem czuć się winny, że zostałem zmuszony do tego, co zrobiłem, że przeszłość umarła i nie zmartwychwstanie - nigdy, nigdy, nigdy. Zatrzasnąłem ciężkie wieko mojej żelaznej woli na grobowcu wspomnień i wymazałem z umysłu wszelką myśl o przeszłości. Sullivan, Scott: 85 Wsch No. 624, NYC. Odprężyłem się. Scott był moim chłopcem; zastępował mi może nie syna, dzieliło nas bowiem tylko jedenaście lat, ale młodszego brata. Steve wyrzekł się go szesnaście lat temu - szesnaście lat, siedem miesięcy i pięć dni, tego samego dnia, gdy dowiedziałem się, że nigdy nie będę miał własnych synów. Tego dnia Steve zostawił Emily i odszedł do Diny Slade. Dwóch synów z pierwszego małżeństwa porzucił tak samo jak spłodzone z Emily córki - jak gdyby nie mieli dla niego żadnego znaczenia. Młodszy Tony zawsze sprawiał mi kłopot, ale w 1939 wyprowadził się do Anglii i więcej go nie zobaczyłem. Zginął w 1944 roku. Scott natomiast przeżył wojnę, co więcej, był całkiem inny niż jego ojciec i brat; w jego obecności nigdy o nich nie myślałem. Scott nie był chełpliwym awanturnikiem, spijającym codziennie galony alkoholu i uwodzającym każdą kobietę w zasięgu wzroku. Scott był wyciszony. Był także mądry. Znał się na wielu interesujących rzeczach. Mówił mało, ale miał doskonałe maniery, które bardzo podobały się klientom, a przy tym potrafił być twardy, za co klienci go szanowali. Scott był twardy. Ceniłem to u niego. Mężczyźni, którzy nie palą, nie piją i przypuszczalnie nie uprawiają seksu, są zwykle degeneratami, starannie ukrywającymi swoje perwersyjne skłonności, lecz

Scott był normalny. Byłem pewien, że jest normalny, bo spędzałem z nim wiele czasu i zorientowałbym się, gdyby coś było nie tak. Opiekowałem się nim przez cały okres młodości i byłem z niego dumny. Prawdę mówiąc, lubiłem go o wiele bardziej niż któregośkolwiek z moich pasierbów, choć zawsze dokładałem nadzwyczajnych wysiłków, żeby ukryć to przed Alicją. Scott miał naturę sowy: często przesiadywał do drugiej w nocy nad jakąś nową, wysoce intelektualną książką. Zwykle unikałem intelektualistów, lecz Scott nigdy nie fetyszyzował tej bezużytecznej wiedzy, nigdy się nie wymądrzał i nigdy nie dawał odczuć swej wyższości komuś, kto ustępował mu wykształceniem. Poza tym można z nim było gadać godzinami, nie zdając sobie sprawy, jak wielkim jest erudytą, bo z przyziemnymi sprawami radził sobie tak samo dobrze jak z górnolotnymi intelektualnymi teoriami. Szanowałem w nim poczucie rzeczywistości. Sam Keller wpadał w histerię z jego powodu, ponieważ Sam nigdy nie zdołał pojąć, że Scott jest realistą w każdym calu. Scott nienawidził swego ojca i już dawno wykreślił go ze swojego życia. To ja się nim zająłem, ja się o niego troszczyłem, zrobiłem wszystko, co możliwe, by zapewnić mu błyskotliwą karierę - a to miało dla Scotta znaczenie. W gruncie rzeczy znaczyło to dla niego bardzo wiele. Gdybyśmy obaj byli postaciami z jednej ze sztuk Kevina, Scott chowałby w sercu głęboką urazę za to, że doprowadziłem do ruiny jego ojca, zza kulis zaś dochodziłby powiew krwawej zemsty, lecz to tylko dowodzi, jaką bzdurą potrafi być nawet najlepsza literatura. Scott nie chciał się, żeby mnie przygwoździć. Za bardzo był do mnie przywiązany, a poza tym, nawet gdyby mnie szczerze nienawidził, na tyle był realistą, by z góry porzucić myśl o zemście. Istnieją ludzie, których po prostu nie da się przygwoździć. Trzeba się do nich dostosować - a to właśnie w ostatecznym rozrachunku oznacza moja władza. Komunikuję się z ludźmi. Wysłałem do nich informację mówiącą, że powinni mi się podporządkować i traktować mnie z szacunkiem. Scott odebrał to przesłanie już wiele lat temu, odebrał je jasno i wyraźnie. Wiedziałem, że śmiało mogę czerpać zadowolenie z naszej przyjaźni bez jakichkolwiek historycznych strachów i obaw. Prawdę mówiąc, w skrytości ducha bardzo zależało mi na przyjaźni ze Scottem. Bez niego czułbym się o wiele bardziej samotny. Podniosłem słuchawkę. - Tak? - odezwał się Scott po pierwszym sygnale. - Cześć, tu Korneliusz. Obudziłem cię? - Nie. Czytam czcigodnego Bedę. To właśnie podobało mi się u Scotta. Inni nowojorczyki w tym czasie spali, uprawiali seks, upijali się albo oglądali telewizję, on zaś robił coś prawdziwie stymulującego. - Czcigodnego kogo? - zapytałem, czując, że już zaczynam się dobrze bawić. - Bedę. To był taki uczony północnoangielski mnich, który żył w ósmym wieku. Napisał historię anglosaskiego Kościoła. - No, nie jest to chyba książka, która trafia pod strzechy! - A powinna. Beda mówi o sprawach aktualnych w każdej epoce. - Na przykład? - O ulotności życia i ignorancji człowieka. - Mój Boże! Słuchaj, Scott, może byś tak wpadł do mnie, żeby mi to wyłożyć? Wyślę cadillaca. - Miej litość nad szoferem. Wezmę taksówkę. Westchnąłem z ulgą. Pustka nocy nie była już tak dotkliwa i na krótki czas mogłem zapomnieć o własnych kłopotach, rozprawiając ze Scottem o wywodach jakiegoś starego biednego mnicha. Pobiegłem na górę, wrzuciłem na siebie spodnie i pierwszy z brzegu sweter, zasznurowałem tenisówki i wróciłem do biblioteki, żeby tam na niego poczekać. 6 Pojawił się dziesięć minut później, wysoki szczupły trzydziestoletni mężczyzna o bardzo krótko przystrzyżonych czarnych włosach i czarnych oczach, osadzonych głęboko w bladej ascetycznej twarzy. Robił wrażenie kogoś, z kim należy się liczyć, i to mi się podobało. Nie lekceważyłem tego wrażenia - nigdy nie lekceważę zagrożenia, jakie stwarzają ambitni i energiczni ludzie, zdecydowani wykroić dla siebie z życia ładny kąsek. Mam już jednak prawie ćwierć wieku doświadczenia w postępowaniu z takimi ludźmi i wiem, jak utrzymać ich w ryzach. Nie mam nic przeciwko karierowiczom, oczywiście dopóki sny o potęgze tak dalece nie wymkną się im spod kontroli, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ich obudzić. To nie sukces jest mi solą w oku. Gardzę porażką. - Jak się masz, Scott! - uśmiechnąłem się, wyciągając do niego rękę. - Cześć! - uściśnął mi dłoń z przyjacielskim

uśmiechem wyrażającym zarówno pewność siebie, jak i sporą dozę zdrowego rozsądku. - Chyba oszalałeś! Co to za pomysł, ciągnąć mnie tutaj o pierwszej w nocy tylko po to, żeby porozmawiać na temat czcigodnego Bedy! - Kurczę, przecież wiesz, jacy są milionerzy. W każdym brukowcu przeczytasz, że robimy wszystko dla próżnej podniety... Słuchaj, a może byśmy zagrali w szachy, jak już opowiesz mi o tym Bedzie? - Powinienem być się domyślić, że Beda to tylko przynęta, żeby mnie tu zwabić z drugiego końca miasta! W bibliotece podszedłem do niewielkiego barku schowanego w kącie za ostatnią szafą i otworzyłem dwie butelki coca-coli. - W porządku - powiedziałem, podając Scottowi jedną i siadając naprzeciw niego przy szachownicy. - Teraz możesz mi wyłuszczyć poglądy Bedy na temat ulotności życia i ignorancji człowieka. - No cóż... - Scott poczęstował mnie gumą do żucia i kiedy obaj solidarnie zaczęliśmy ruszać szczękami, pomyślałem: Jakie to dziwne, że my dwaj, mieszkańcy kraju, o którym Beda nigdy nawet nie słyszał, rozmawiamy o jego poglądach w tysiąc dwieście lat po jego śmierci. Znowu poraziła mnie myśl, że artyści i myśliciele są w gruncie rzeczy nieśmiertelni, i znowu poczułem lekkie rozdrażnienie na myśl o potędze, która mnie ominęła. - Beda opowiada historię - zaczął Scott, nie przestając żuć - o nawróceniu na chrześcijaństwo jednego z wielkich angielskich królów, Edwina z Northumbrii. Edwin naradza się ze swoimi tanami - kimś w rodzaju marszałków - czy powinien zaryzykować przyjęcie chrześcijaństwa. Siedzą w wielkiej sali, zwanej Witenagemotem, i rozważają wszystkie "za" i "przeciw". Decyzja jest ważka, bo jeśli Edwin nawróci się na nową wiarę, oni również będą musieli ją przyjąć. W końcu jeden z nich mówi: "Słuchajcie, popróbujmy tej nowej religii. Co mamy do stracenia? Żyjemy w ciemności. Życie ludzkie jest jak lot jaskółki, która zimą wpada do oświetlonej sali zamkowej, przysiada na chwilę, by się ogrzać, i przez drzwi w drugim końcu sali wylatuje z powrotem w noc". Czyli, ujmując to bardziej dosadnie: nie wiemy, skąd przychodzimy, nie wiemy, dokąd zmierzamy, a krótki czas, jaki spędzamy w oświetlonej sali, jest tylko mgnieniem w porównaniu z przepastnym mrokiem wieczności. Spróbowałem skoncentrować się na sprawach zasadniczych. - Czy Edwin przyjął chrześcijaństwo? - Jasne. Rada doszła do wniosku, że każda religia, która może ich bardziej oświecić, warta jest tego, by się nią bliżej zainteresować. - I co się dalej działo z Edwinem? - Został rozgromiony przez swojego potężnego wroga Cadwallę i Anglia znowu pograżyła się w pogaństwie. - Czyli wszystko było tylko stratą czasu. - Doprawdy? Tego nie wiemy na pewno. Sądzę, że było wielu ludzi, którzy w ślad za Edwinem nawrócili się na wiarę Chrystusową i wytrwali w niej mimo zwycięstwa Cadwalli. Nie zapominaj, że w końcu chrześcijaństwo odniosło triumf. - Mała pociecha dla Edwina, który stracił wszystko! - Skąd ta pewność? Edwin zginął za coś, w co wierzył, za przekonania, którym rokował ostateczne zwycięstwo. - Tak, ale to nie zmienia faktu, że zginął jako bankrut! - Doprawdy? To już zależy od tego, jak definiujesz sukces i porażkę i jakie rzeczy uważasz za najistotniejsze. I czy przypadkiem nie wychodzisz z założenia, że śmierć zawsze oznacza porażkę, choć przecież wcale nie musi tak być? Natychmiast przysłała mi na myśl Dina Slade, która zakończyła bogate, pełne sukcesów życie, ginąc za swój kraj pod Dunkierką. - Nie rozumiem, po co zaczytujesz się tymi przygnębiającymi starociami, Scott. Zagrajmy lepiej w szachy. Zaczęliśmy grać. Po chwili zagadnąłem: - Czy ty naprawdę w to wierzysz? W to, że życie jest tylko lotem jaskółki przez oświetloną salę? - A ty nie? - Czy ja wiem... To chyba trochę odbiera mu sens, nie uważasz? - Życie jest pozbawione sensu - rzekł Scott. - I dlatego tak ciekawe są dzieła filozofów, którzy próbują nadać temu światu jakiś ład. - Czy nie szkoda fatygi? Bóg stworzył świat i to wystarczy. - A ty wierzysz w Boga, Korneliuszu? - Oczywiście. Wszyscy rozsądni ludzie w niego wierzą. Dzieło stworzenia musi mieć jakiś początek, a jest nim właśnie Bóg - od niechcienia zbiłem pionka. - Twój ruch. - Ależ to jest najciekawsze, Korneliuszu. Nie wszyscy rozsądni ludzie wierzą w Boga. Na przykład Chińczycy przed pojawieniem się buddyzmu w ogóle nie mieli żadnej koncepcji Boga. Innymi słowy jedna czwarta ludzkiej populacji przez całe stulecia żyła i umierała, nie czując

najmniejszej potrzeby wiary w istotę wyższą. - No cóż, to oczywiste, że Chińczycy są dziwni. Wszyscy o tym wiedzą. Dołałem sobie trochę coli. - Osobiście - oznajmiłem, kiedy Scott wykonał swój ruch - wcale nie uważam, że życie nie ma sensu, wręcz przeciwnie, wydaje mi się całkiem mądrze urządzone. Ja w każdym razie wiem, po co żyję. Powierzono mi wielki majątek i mam moralny obowiązek wykorzystać go dla dobra tak wielu ludzi, jak to tylko możliwe, co usiłuję osiągnąć poprzez Fundację Sztuk Pięknych i działalność dobroczynną. - Brzmi to dość jasno. - Mam cudowną rodzinę, kocham swoją pracę i prowadzę owocne, pożyteczne życie. Wiedzie mi się i jestem szczęśliwy. - To wspaniale - rzekł ciepło Scott - ale dla mnie pytanie samego siebie o to, czy udało mi się życie, jest zwykłą stratą czasu, bo niewielu ludzi spogląda na fakty wystarczająco obiektywnie, by dojść do jakichkolwiek istotnych konkluzji. Sądzę, że to fundamentalne pytanie, które powinien zadać sobie człowiek, nie brzmi: "Prawda, jaki jestem wspaniałym?", ale: "Czy to wszystko było tego warte?" - No dobrze - uznałem, iż czas najwyższy przenieść potyczkę na jego terytorium. - Od lat prowadzisz żywot pustelnika. Warto było? - Jasne! - zaśmiał się Scott. - Dawno doszedłem do wniosku, że nie interesują mnie ulotne przyjemności. One po prostu nie są ważne. Chciałem badać największe osiągnięcia ludzkiego umysłu po to, by kiedyś, gdy zadam sobie to pytanie, móc na nie odpowiedzieć niezachwianym "tak!". Świat istnieje realnie tylko w ludzkim umyśle, jeśli więc człowiek doskonali swój umysł, doskonali tym samym świat, w którym przyszło mu żyć. - Zdaje się, że się zgubiłem. Cały ten intelektualny żargon jakoś do mnie nie trafia. Twój ruch. Scott umknął koniem z zasięgu mojego gońca. - Wobec tego zapomnij o mnie, a zajmijmy się tobą. Warto było, Korneliuszu? - Oczywiście, że tak! Gdybym miał żyć jeszcze raz, postąpiłbym tak samo! Zawsze dawałem z siebie wszystko, żeby wnieść przyzwoite i owocne życie, a więcej żaden człowiek nie jest w stanie uczynić. - Zaiste, święte słowa. Twój Bóg musi być z ciebie zadowolony, Korneliuszu. - No cóż... prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie Boga w postaci ojca, który bez przerwy zagląda mi przez ramię. Widzę go raczej jako siłę, czystą formę potęgi. Zauważyłem szansę błyskotliwego wyjścia dla królowej, ale dzieliły mnie od niego jeszcze trzy posunięcia. - Dla mnie Bóg jest bezosobowy - dodałem, zastanawiając się, czy opłaca mi się zbliżyć konia. - Podobnie jak sprawiedliwość. - O, sprawiedliwość! - powtórzył Scott. - Tak, to fascynująca idea. Twój ruch. Zacisnąłem palce na jego koniu. - Masz na myśli zemstę? - spytałem, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Zapomniałem o szachach. - Sprawiedliwość w rozumieniu Starego Testamentu? Oko za oko, ząb za ząb i takie tam rzeczy? - Nie. Nie interesuje mnie starozakonna koncepcja sprawiedliwości, a sam akt zemsty uważam za mało zajmujący z intelektualnego punktu widzenia. Pościg za wrogiem z tasakiem do mięsa nie stawia przed umysłem żadnego wyzwania. W akcie odwetu człowiek bawi się w Boga. O wiele ciekawszy jest Bóg, kiedy bawi się w Boga, czyli, by rzecz wyrazić nie tak teologicznym żargonem, sprawiedliwość naturalna. - To znaczy co? Mówisz o tak zwanej "wyższej sprawiedliwości": kto sieje wiatr, zbiera burzę i tym podobne bzdury? - Korneliuszu, jestem takim samym ignorantem jak król Edwin i jego tanowie, nie u mnie powinni szukać oświecenia! Chyba chodziło mi o to, że usiłuję zgłębić znaczenie życia, niczym średniowieczny rycerz biorący udział w owej wielkiej alegorycznej wyprawie w poszukiwaniu Graala. Czy kiedykolwiek obliły ci się o uszy legendy arturiańskie? - Był chyba taki film z Johnem Barrymore'em, prawda? Wiesz co powinieneś się wreszcie oze- nić! Jak słyszę tę gadaninę o świętym Graalu, zaczynam myśleć, że robisz się takim samym dziwakiem jak ten gość, który go szukał, jakże on się nazywał? Galahad? Zdaje się, że coś z nim było nie tak. - Nie znał niewiasty. W wiekach średnich wierzono, że czystość daje mężczyźnie nadnaturalną moc. - Prędzej przyprawi go o załamanie nerwowe! Scott, nie powiesz mi chyba, że żyjesz w celibacie? - Pytasz mnie, czy zachowałem dziewictwo? - Niezupełnie. Jestem pewien, że... - Zakosztowałem już seksu? Oczywiście. Przecież wszyscy to robią. - Z dziewczętami? - spytałem, zdjęty nagłą paniką. - Wiesz, że ty czasami zadajesz

naprawdę niesamowite pytania, Korneliuszu! Tak, z dziewczę- tami. Po co pchać klucz między drzwi, skoro pasuje do zamka? Odprężyłem się, powstrzymując westchnienie ulgi. Nareszcie przemówił przez niego mój chło- piec, zdrowy, praktyczny i normalny Scott, który mocno stąpał obiema nogami po ziemi. Robiłem się nerwowy, kiedy wznosił się na te swoje intelektualne wyżyny i zaczynał gadać bez sensu. - Czasami trochę się o ciebie martwię! - powiedziałem, uśmiechając się do niego. - Tak? - Tak. - Zerknąłem na szachownicę i zobaczyłem, że zablokował błyskotliwy ruch, który zapla- nowałem dla mojej królowej. - Ale chyba martwię się niepotrzebnie, prawda? - dodałem, spoglądając na niego ostro. - Tak, Korneliuszu - rzekł, rewanżując mi się uśmiechem. - Zupełnie niepotrzebnie się martwisz. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Wykorzystałem ten czas, by zgłębić zagadkowy układ na dzielącej nas szachownicy. Nagle, wbrew samemu sobie, odezwałem się: - Może czasami wydaję się sentymentalny, ale zasadniczo jestem człowiekiem praktycznym. Mam nadzieję, że to rozumiesz? - Ależ oczywiście! - Scott spojrział na mnie zdumiony, że zadaję mu takie głupie pytanie. - Pod- obnie jak Byrona, interesują cię rzeczy "takie, jakimi są w istocie, nie takie, jakimi być powinny". - Byron to powiedział? - Tak. W "Don Juanie". - Nigdy nie przypuszczałem, że poeta może mieć tyle rozumu! - powiedziałem, uspokojony do reszty, i przesunąłem gońca w bok, aby wygrać tę partię. Rozdział drugi 1 Uładzenie wszystkiego po dramatycznym przyjściu na świat Erica Kellera zajęło nam trochę czasu, w końcu jednak okazało się wykonalne. Główna osoba dramatu zdążyła w tym czasie wyrosnąć z pierwszych śpioszków, jadła, spała i robiła wszystko, czego można się było po niej spodziewać. Wszystkie kobiety w rodzinie odbywały regularne pielgrzymki do kolebki malca, Sam zużył aparat fo- tograficzny nieustannie pstrykając zdjęcia, Vicky zaś sprowadziła z Anglii wykwalifikowaną nianię do zmieniania pieluszek, sama natomiast zmieniła garderobę i zaczęła czytać powieści kryminalne. Głosi- ła, iż są one pełne treści o ważkim znaczeniu społecznym, choć wydawało mi się to mało prawdopod- obne. Podejrzywałem, że mówi tak tylko po to, żeby z honorem wycofać się ze swojej wcześniejszej intelektualnej pozy. Mnie, jak nieraz jej wspominałem, nie musiała przekonywać, że Raymonda Chan- dlera czyta się o wiele przyjemniej niż Jeana-Paula Sartre'a. - Zresztą kobiety i tak nie nadają się na intelektualistki - zauważyłem później w rozmowie z Te- resą. Nie myślałem przy tym nawet o Vicky, a bardziej o matce i siostrze, dziedzicznie obciążonych intelektualnymi gustami. - Można je wykształcić na profesorów, choć w głębi ducha pragną jedynie być żonami i matkami, chyba że są artystkami, rzecz jasna. Artystki to wyjątki, które potwierdzają re- gulę, ale one akurat nie są normalne. - Serdeczne dzięki! - Chciałem tylko powiedzieć, że... - Lepiej zamilcz, kochanie - odezwała się dobrodusznie Teresa - zanim dzielę cię w łeb butelką z keczupem. Posłusznie ucichłem, chociaż nie mogłem się pozbyć myśli, że na szczęście Vicky w końcu oka- zała się podobna do Emily. Co by to było, gdyby przez jakiś złośliwy kaprys losu wyrosła na artystkę jak Teresa! Albo na przykład, co było o wiele bardziej prawdopodobne, okazała się nimfomanką jak Vivienne! Dreszcz mnie przeszył na samą myśl o tym. Jednakże nawet Vivienne w końcu uległa prag- nieniu, by zostać żoną i matką. Długo to co prawda nie trwało, jednakże dowodziło mojej tezy, że z wyjątkiem artystek wszystkie kobiety instynktownie dążą do życia rodzinnego. Z moją siostrą Emily miałem tylko jedną cechę wspólną: talent do wychowywania dzieci. Zdaję sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie często byłem zbyt pobłażliwy dla Vicky, ale przynajmniej dzięki temu wiedziała, że bardzo mnie obchodzi jej dobro. Dzieciom potrzebna jest nie tylko miłość, muszą też czuć, że rodzice zrobią wszystko, żeby zapewnić im dobrobyt i bezpieczeństwo. Vicky mia- ła za sobą kryzys, lecz zgodnie z powszechną opinią, którą sam byłem w stanie potwierdzić, wszystko obróciło się na dobre. Z pasierbami też miałem w przeszłości kłopoty, teraz zaś mogłem się nimi szczycić. Sebastian ukończył Harvard "summa cum laude", a Andrew był już oficerem wojsk lotni- czych. Oczywiście od czasu do czasu zdarzały się drobne utarczki. Mimo to nasze życie rodzinne, w którym napięcia i stresy przeplatały się z

długimi okresami spokojnego życia, prawdopodobnie nie odbiegało od normy i teraz, chwalebnie wypełniwszy zadania dobrego ojca, miałem wielką ochotę podjąć się roli czulego, lecz rozsądnego dziadka. Twardo postanowiłem, że nie będę robił z siebie głupca. Awantura po narodzinach Erica była dla mnie dobrą nauką, skrupulatnie więc starałem się zachowywać bez zarzutu, ilekroć moja noga stanęła w pokoju dzieciennym. Co prawda rzeczywiście wpadałem do Kellerów dwa albo trzy razy w tygodniu i rzeczywiście za każdym razem przynosiłem ze sobą jakiś mały prezencik, nigdy jednak nie zatrzymywałem się dłużej niż na dziesięć minut i nigdy nie wydawałem na raz więcej niż pięć dola- rów. Wizyty Erica na Piątej Alei przypadające w co drugą sobotę nieodmiennie przyjmowałem z wiel- kim spokojem, a jeśli którąś odwoływano, mówiłem tylko: "Szkoda" i więcej do tego nie wracałem. Zrobiłem małemu kilka - nie za dużo - zdjęć i bawiłem się z nim, choć niezbyt często, kiedy zaś Alicja mówiła uprzejmie: "Czyż on nie jest prześliczny?", odpowiadałem: "Owszem, nic mu nie brakuje". W te soboty, których Eric nie spędzał u nas, bywał u Vivienne, która nie mieszkała już w Que- ens, lecz w eleganckiej kamienicy w Westchester. Sam oznajmił Vicky, iż ze względu na Erica jego babka powinna mieszkać w elitarniej dzielnicy, a Vicky się z nim nie spierała. Ja też nie. Nigdy się nie wtrącałem ani nie skarżyłem, choć wiedziałem, że widok matki denerwuje Vicky. Ale to Sam był sze- fem. To była jego rodzina i Vivienne stanowiła jego problem. Ja ograniczałem się do tego, żeby być wzorowym dziadkiem, i starałem się schodzić z drogi Vivienne. W kwietniu 1952 roku Eric świętował drugie urodziny. Był wysoki jak na swój wiek i dobrze zbudowany. Miał jasne wijące się włosy, zbyt długie jak na chłopca, ale znów powstrzymałem się od krytyki czy interwencji. Dzięki ciemnym oczom wydawał się bardziej podobny do Sama, niż był w rzeczywistości. Mówił zrozumiale i rzecz jasna był bardzo inteligentny. Kupiłem mu wielką plu- szową żyrafę, czołg z obracającym się działkiem i jedną z tych zabawek z drewnianymi kołkami, które za pomocą młoteczka przepycha się przez otwory w desce. Wiedziałem, że prezentów było trochę za dużo, jednakże drugie urodziny to bardzo uroczysta okazja, poza tym przez cały czas zachowywałem się tak nienagannie, iż uznałem, że choć raz mogę sobie popuścić cugli. Vivienne też była na przyjęciu. Przyniosła ze sobą sześć zupełnie bezużytecznych podarków i gruchała do małego, aż zrobiło mi się niedobrze. Wyszliśmy z Alicją wcześniej. Urodziny odbyły się w niedzielę. W poniedziałek o godzinie dziewiątej rano Sam przyszedł do mnie do biura i zasugerował wspólnego wieczornego drinka w celu omówienia rodzinnego problemu. - Jakiego problemu? - zapytałem, nie pojmując, o co mu chodzi. Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że mówię poważnie, po czym ograniczył się do stwierdzenia: - Po południu mam spotkanie w mieście. Umówmy się w King Cole Bar w hotelu St. Regis o szóstej. - Wpadnij do nas, napijemy się w domu! - zaproponowałem przyjacielskim tonem. - Nie, Neil - odparł. - Sądzę, że będzie najlepiej, jeżeli spotkamy się na neutralnym gruncie. Miałem uczucie, że przez mój gabinet przeszło trzęsienie ziemi usuwając mi ją spod stóp. To by- ła próba sił. Sam próbował mnie zaszachować. - Jasne, czemu nie - bąknąłem nonszalancko i udałem, że wracam do pracy. Przez cały dzień usiłowałem się domyślić, co mnie czeka. Trzy razy już chwyciłem słuchawkę, żeby zadzwonić do Vicky, lecz w końcu się rozmyśliłem. Było całkiem możliwe, że Vicky nie zdawała sobie sprawy z istnienia tego tak zwanego problemu, jeśli natomiast o nim wiedziała, tylko bym ją zdenerwował wypytywaniem, zdając się tym samym na łaskę i niełaskę Sama. Próbowałem stłumić ogarniającą mnie panikę, ale koszarne myśli już wylazły z najciemniej- szych zakątków mojego umysłu na światło dnia. Czy był to długo odwlekany cios w plecy, zemsta za uwiedzenie Teresy? Nie, to niemożliwe, tym bardziej że Sam wciąż szalał na punkcie Vicky, a Teresa od dawna przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Ale w takim razie co on, u diabła, zamie- rza? Tkwiłem przy biurku i mniej więcej co dziesięć minut jęczałem boleśnie. Miałem absolutną ochotę pobiec na górę do gabinetu Sama, złapać go za rękaw i błagać: "Nie rób tego, Sam! Cokol- wiek to jest, nie rób tego!"

Pomyślałem sobie: "Boże, jak bym chciał, żeby wszystko było jak dawniej. Jakżebym chciał znaleźć się znów w 1929 roku, kiedy to wraz z Samem chodziliśmy na hulanki, upijaliśmy się nielegalnie pędzonym dżinem i tańczyliśmy przy dźwiękach "Alexander's Ragtime Band". Przywołałem się do rozsądku. Nostalgia donikąd nie prowadzi. Jeśli zacznę się bawić w sentymenty, przegram. Muszę na palcach skradać się naprzód, pilnie wypatrując, gdzie czai się kłopot, żeby w chwili gdy Sam spróbuje jakichś sztuczek, natychmiast go obezwładnić i skarcić za robienie z siebie idioty. Ale Sam nie jest idiotą. Nie próbowałby mnie przechytrzyć, gdyby wiedział, że trzyma mnie za... - O Boże! - jęknąłem, kierując się do barku, chociaż w końcu nie nalałem sobie drinka. To nie była odpowiednia pora na obłapianie butelki. Napić się będę mógł później, kiedy Sam już odsłoni swoje karty i prawdopodobnie okaże się, że ma do mnie pretensje, ponieważ daję Ericowi za dużo prezentów. Chyba wpadłem w histerię, wyobrażając sobie swojego najlepszego przyjaciela w roli skrytobójcy i wmawiając sobie, że mam nieczyste sumienie. Moje sumienie było bez skazy. Teresa już wcześniej skończyła z Samem. Szczerze wierzyłem, że on również przestał się nią interesować. Teresa właściwie zaprosiła mnie do łóżka. Byłem uwiedzionym, nie uwodzającym, padłem ofiarą grubego nieporozumienia. Kogo starsz się oszukać, Korneliuszu? Tak oczywiście powinno być, ale czy w istocie tak było? - Wiem, że zaglądasz do mojej galerii, Tereso. - Jasne. Robią tam świetne wystawy. - No cóż, oczywiście bardzo starannie dobieram artystów, których dzieła wystawiam. Muszę mieć o kimś bardzo wysokie mniemanie, zanim zdecyduję się zakupić jego... lub jej... prace... Prawda była taka, że miałem władzę i wykorzystywałem ją. Teresa, załamana, rozkojarzona emocjonalnie i zamartwiająca się swoją twórczością, nie wytrzymała próby. - Bardzo mi przykro, Korneliuszu... Nie miałam zamiaru mówić mu o wystawie, ale chciał kupić jeden z moich obrazów... Bardzo zależało mi na tym, żeby Sam nie od razu dowiedział się o wystawie. Pragnąłem, aby upłynął najpierw odpowiedni okres, który by zataił związek między sypialnią a salą wystawową, w końcu jednak nie było żadnej przerwy, tylko nieprzyjemne bezpośrednie przejście od jednego nagiego faktu do następnego. Z ich oczywistego zestawienia Sam mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek, aczkolwiek powstrzymał się od komentarza i nawet po wystawie ani słowem nie napomknął, że ma mi za złe to, co zrobiłem. Później nieraz żałowałem, że milczał. Miałem nawet przygotowaną mowę: "Z powodu moich osobistych problemów bardzo jej zapragnąłem, a wiedziałem, że tylko w jeden sposób uda mi się zaprzętnąć jej uwagę - poprzez sztukę..." To stwierdzenie mogło sprawić, że pozyskanie Teresy przestałoby przypominać transakcję handlową, a nabrałoby cech głupiego, nieprzemyślanego postępcu człowieka dotkniętego nieszczęściem. To stwierdzenie, choć Sam słysząc je, mógłby poczuć mdłości, miało przynajmniej jedną zaletę: było prawdziwe. Nic jednakże nie było w stanie zmienić faktu, że złożyłem niedwuznaczną propozycję, która nie została odrzucona. Czy Teresa poszłaby ze mną do łóżka, gdyby nie ta oferta, której tak trudno było się oprzeć? Może tak. A może nie. Ponieważ od trzech lat byliśmy ze sobą blisko, myślałem, że konsekwencje naszej znajomości nie są już tak istotne, niewykluczone jednak, że się myliłem. Może wciąż miały znaczenie. Może Sam został głębiej zraniony moją źle obliczoną w czasie transakcją, niż pozwa- lałem sobie wierzyć. O wpół do szóstej, owładnięty wrażeniem, że właśnie świta dzień Sądu Ostatecznego, wyszedłem z biura, wgramoliłem się do mojego nowego cadillaca, który jakby dla podtrzymania nastroju był czarny niczym karawan, i pojechałem do centrum, do St. Regis. 3 Bar King Cole w hotelu St. Regis jest olbrzymim jasno oświetlonym pomieszczeniem, wprost stworzonym na neutralne miejsce spotkań bankierów, którzy zwykle popijają w Knickerbocker Club. Długi szynkwias ciągnie się wzdłuż jednej ściany pod słynnym murem Kinga Cole'a pędzła Maxwella Parrisha, a stoliki są na tyle od siebie oddalone, że trudno jest cokolwiek podsłuchać nawet wówczas, gdy w barze jest pustawo i cicho. Sam dobrze wybrał pole bitwy. Planowałem spóźnić się o dziesięć minut, ale ku memu ogromnemu rozczarowaniu okazało się, że przyszedłem pierwszy. Nie chcąc tracić twarzy, co

niechybnie by nastąpiło, gdybym musiał czekać na niego, bez namysłu skierowałem się do toalety. Pierwszą osobą, na którą się w niej natknąłem, był Sam. Mył ręce niczym chirurg przygotowujący się do ważnej operacji, a przy okazji zerkał na zegarek. Widząc się nawzajem, zaśmialiśmy się obaj, a ja pomyślałem: "Pierwsza runda remisowa". - Czego się napijesz? - zapytał, kiedy w końcu usadowiliśmy się przy stoliku, a w pobliżu pojawił się kelner. Postanowiłem już wcześniej, że okażę mu kompletny brak zdenerwowania. - Poproszę o sok pomidorowy - odparłem z uśmiechem i pomyślałem: "To nim wstrząśnie". - Jeden sok pomidorowy, jeden gimlet - rzekł do kelnera. Wiedziałem już, że z drugiej rundy wyszedłem zwycięsko. Nie potrafił stawić mi czoła, nie wstrzyknąwszy sobie uprzednio do krwi trochę dżinu. Niestety, zanim jeszcze podano drinki, zacząłem żałować, że nie zamówiłem soku cytrynowego z lodem. Mógłbym zamienić napoje w chwili, gdy Sam będzie patrzył w inną stronę. Niewątpliwie potrzebowałem dżinu jeszcze bardziej niż on. - No więc w czym problem, Sam? - zapytałem, kiedy skończył mi relacjonować swoje popołudniowe spotkanie z prezesem Hammaco, wielkiej korporacji, która ongiś lekkomyślnie nas wykiwała, po czym przekonała się, iż był to gruby błąd. Pociągnąłem ze szklanki łyk gęstego mdlącego soku, zastanawiając się, czy istnieje jakiegokolwiek warzywo obrzydliwsze od rozgniecionego pomidora. - Niechże się dowiem! - dodałem zachęcająco. - Karty na stół! - Vicky jest bliska załamania - odparł natychmiast i zapalił papierosa. Wiedział, że nie znoszę, gdy ktoś pali w pobliżu mnie. Trzecia runda dla niego. - Vicky? Bliska załamania? - Byłem pewien, że przesadza. - Ale dlaczego? - zapytałem. - Nie rozumiem. - Mówi, że dłużej nie znieś tych ciągłych przepychanek. - Przepychanek? - zdziwiłem się, tłumiąc błyskawiczne wspomnienie hojnych podarunków wienne, wzbogaconych o moje prezenty od F.A.O. Schwartza. - Nie udawaj głupiego, Neil - Sam przestał się uśmiechać. - Nic nie zyskasz, zachowując się tak, jakbyś niczego nie pojmował. Czwarta runda dla niego. Uczyniłem wysiłek, żeby się skoncentrować. Na całe szczęście nie miało to nic wspólnego z Teresą. - Czyżby chodziło o Erica? - zapytałem wesoło. - Wyobraź sobie, że tak! Po jednej stronie ty i Alicja, po drugiej Vivienne, bez przerwy kręcicie mi się po domu, rozpuszczacie mi chłopaka i usiłujecie uczyć Vicky, jak ma wychowywać naszego syna. - Samie, ani Alicja, ani ja nigdy... - Tu nie chodzi o to, czy rzeczywiście wydajecie rozkazy. Sedno sprawy tkwi w tym, że Vicky jest przekonana, że tak właśnie robicie. Czuje się zlekceważona i ma do was żal. Pamiętaj, że sama jest jeszcze niemal dzieckiem i nie potrafi dać sobie rady z trójką dorosłych, którzy traktują jej terytorium, wojując ze sobą nawzajem i zasypując ją tak zwanymi dobrymi radami. - Nie udawaj, że sam nie masz w tym własnego interesu! To nie jest tylko problem Vicky, prawda? - No dobra - powiedział. - Przyznaję. Nie podoba mi się to, że staracie się zawładnąć moim synem i traktujecie go tak, jakby należał do was. Sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej, gdybyś był normalnym dziadkiem, powiedzmy po sześćdziesiątce, a ja dwudziestoparoletnim szczeniakiem. Powiedziałbym wtedy: "A, co tam, niech się biedny staruszek cieszy, musi mieć przecież w życiu jakąś przyjemność!" Ale my jesteśmy w tym samym wieku, i nie tylko to: mamy ze sobą wspólną przeszłość, która związała nas mocniej niż więzy krwi. Czasami patrzę na ciebie jak na mojego "Doppelgängera" i wiesz co? To niesamowite, ale widok ten wcale nie jest miły. Mogę znieść cię codziennie w banku, ale nie mam ochoty oglądać cię bez przerwy również w moim domu. Innymi słowy chcę, żebyś się wyniósł do diabła z mojego prywatnego życia, Neil. Cholernie się do wszystkiego wtrącasz, a poza tym bądźmy szczerzy, wypowiedzmy wreszcie na głos prawdę, którą znamy obaj: odkąd ożeniłem się z Vicky, nie jestem już twoją własnością. Nerwy zadygotały mi w ściśniętym żołądku. Wszystkie mgliste koszmary przybierały teraz twarde jak skała rzeczywiste kształty. Próbując się uspokoić pomyślałem: "Szósta runda dla niego". Pociągnąłem kolejny łyk soku pomidorowego i z wysiłkiem przybrałem przyjacielski wyraz twarzy. - Do diabła, Sam! - powiedziałem z humorem. - Co to za złowieszcze germańskie brednie o "Doppelgängern"? Spróbujmy się tak nie emocjonować. Przecież najważniejsze jest szczęście Vicky, chyba

zgodzisz się ze mną? W porządku, jeśli nasze wizyty doprowadzają ją do szału, ograniczymy je na jakiś czas. - To nie wystarczy - rzekł gwałtownie. Skończyłem sok i skinąłem na kelnera. - Doprawdy? - powiedziałem z lekkim uśmiechem, aby mu pokazać, że nadal zamierzam być dla niego życzliwy mimo wszystkich jego wysiłków, by mnie sprowokować. - Owszem. Chodzi o to, że chcemy mieć jeszcze jedno dziecko, ale Vicky otwarcie mówi, że nie może się na to zdecydować, kiedy krążycie wokół niej jak sępy gotowe pożreć wszystko, co wyjdzie z jej łona. - Słucham pana? - odezwał się z boku kelner. - Proszę o martini - powiedziałem - bez lodu. - Dla mnie to samo - dorzucił Sam, kończąc swój gimlet. Oczekałem sekundę, aż kelner się odwróci, po czym starłem z twarzy minę dobrego wujaszka i bez ostrzeżenia przeszedłem do ataku: - A teraz posłuchaj mnie, Sam... - Uwierź mi - wpadł mi w słowo; przekrzykiwał mnie, a jednak udało mu się stworzyć wrażenie, że mówi kojącym tonem. Nałożył równocześnie tę samą życzliwą maskę, której ja się przed chwilą pozbyłem. - Chciałbym podejść do tego rozsądnie. Wszyscy troje jesteście jego dziadkami i macie pewne prawa, a ja z pewnością nie chcę być nieludzki. Ale przede wszystkim muszę dbać o Vicky. Zgadzasz się z tym, Neil, prawda? Przecież sam to przed chwilą powiedziałeś: najważniejsze jest szczęście Vicky. Wiedziałem, że usiłuje mnie zapędzić w jakąś ślepią uliczkę, w której rozszarpie mnie na kawałki. Pośpiesznie wycofałem się z obranego kursu, potakująco pokiwałem głową i powiedziałem nie- zmiernie łagodnym i rzeczowym tonem: - Naturalnie. Masz rację. Ale zastanawia mnie to, że Vicky nadmiernie się tym wszystkim przejmuję. Chyba wpada w histerię, rozumiesz, co mam na myśli. Zachowuje się jak pensjonarka. Czy nie mógłbyś być wobec niej trochę bardziej stanowczy, przybrać jakiejś twardszej linii postępowania? Czy nie mógłbyś na przykład powiedzieć... - Neil - przerwał mi Sam - próbujesz mi dyktować, jak mam postępować z własną żoną? - Do diabła, nie! - odparłem. - Oczywiście, że nie! - Obejrzałem się za swoim drinkiem, ale barman wciąż jeszcze potrząsał mikserem do koktajli. - Jedną chwilkę - powiedziałem. - Muszę iść do toalety. Przepraszam cię na moment. Poszedłem do toalety, obejrzałem w lustrze swoją zbielałą twarz, skorzystałem w pisuaru, umyłem ręce i jeszcze raz zerknąłem na własne kredowe oblicze. Mózg miałem wyprany z myśli jak gładką kamienną płytę. Po powrocie w dwóch łykach wypilem połowę martini i odstawiłem szklanekę. - Posłuchaj, Neil - rzekł wyrozumiale Sam, jak gdyby myślał: "Biedny Neil, nie ma własnych synów, nie mogą być dla niego zbyt szorstki". - Ten problem wcale nie jest taki rzadki. We wszystkich małych amerykańskich miasteczkach jest nawet rzeczą powszednią. Córka wychodzi za męża, ale nadal pozostaje uzależniona od rodziców. W końcu mąż musi ją gdzieś wywieźć, żeby ją uchronić przed obłędem. Poczułem, jak ogarnia mnie złość, choć wyraz twarzy nie zmienił mi się nawet na jotę. Jakakolwiek manifestacja złego humoru odniosłaby wyłącznie ten skutek, że zrobiłoby mu się jeszcze bardziej mnie żal, a byłem zdecydowany nadawać ton tej rozmowie. Od tej chwili każde słowo było policzone, a każde zdanie zamieniało się w miecz. - Chcesz wyjechać z Nowego Jorku - stwierdziłem. - Tak. - Dokąd chcesz jechać? - To zależy od ciebie, Neil! - Sam znów się uśmiechał, popuszczając ciasno napiętą między nami smycz, żeby dać nam obydwu dodatkowe pole manewru. - Naturalnie nie chciałbym odchodzić z banku i pomyślałem, że mógłby to być idealny moment do otwarcia naszej filii w Europie. Ponieważ wszystko wskazuje, że powojenna europejska gospodarka zaczyna wreszcie nabierać sił... - Gdzie w Europie? - W Niemczech. Czulem łaskotanie noża pomiędzy łopatkami, lecz nie traciłem czasu na dokładny pomiar jego wielkości ani nie zastanawiałem się nad jego ostrością. Pierwszoplanowym zadaniem było podjęcie akcji defensywnej. - To naprawdę wspaniały pomysł, Sam! - oświadczyłem entuzjastycznie, manipulując naddatką smyczy tak, by skrócić z niego możliwie jak najzgrabniejszą pętlę. - Europejski oddział Van Zale'a znów w akcji! Zarabiamy pieniądze na powojennym boomie! Obawiam się tylko, że nie ma sensu otwierać biur gdzieś poza finansowym sercem Europy, a z powodu Rosjan sytuacja polityczna Niemiec wciąż jest niestabilna. Ulokujemy naszą filię w Londynie. - W

Niemczech mam wiele kontaktów, poza tym jestem dwujęzyczny... - Skoncentruj się na języku angielskim, Sam. Dość już miałem kłopotów z twoimi pro niemieckimi sympatiami. - Nie znam Anglii... - To ją poznasz. A jeżeli ci to nie odpowiada, zmień pracę. Smycz znów się napięła. Obserwowałem, jak Sam błyskawicznie rozpatruje różne opcje. Mógł złożyć dymisję z banku bez obaw, że zechce się na nim zemścić, bo wiedział, że nie zrobię tego ze względu na Vicky. Z drugiej zaś strony u Van Zale'a miał do wygrania dużą stawkę, większą niż gdziekolwiek indziej. Gdybym padł trupem, miałby szansę łyknąć cały bank. Nie lubił Anglii, byłem jednak pewien, że da sobie radę. Użyje swojego uroku, by przekonać Anglików, że jest stuprocentowym Amerykaninem, im zaś prawdopodobnie nawet do głowy nie wpadnie, że Keller to niemieckie nazwisko. A jeżeli ktoś w końcu zacznie się zastanawiać, czy Sam nie ma jakichś związków z Niemcami, to przy jego ciemnej karnacji i przybranym imieniu dojdzie przypuszczalnie do wniosku, że Sam jest niemieckim Żydem. Owa ironia losu sprawiła mi dużą przyjemność. Uśmiechnąłem się. Kolejna runda dla mnie. - W porządku. - Sam przybrał wielkoduszną minę, starając się stworzyć wrażenie, iż z własnej woli ustąpił mi pola w tej kwestii, chociaż wiedział, że to ja wymusiłem na nim zgodę. - Anglio, oto przybywam! Uśmiechnęliśmy się do siebie. Czułem, że niewiele brakuje, bym zemdlał z ulgi. Wygrałem. Wciąż miałem bat w ręce. Nie ośmielił się naciskać mnie zbyt mocno. Ustrzegłem swego wnuka przed wychowaniem na Niemca i mimo tego bezprecedensowego ataku na mój autorytet wciąż byłem niekwestionowanym szefem. - Proponuję dwuletni kontrakt w Londynie - oznajmiłem wielkodusznemu. - A potem możesz przekazać oddział komuś innemu i przywieźć Vicky z powrotem. Teraz miałem czas, żeby zbadać przystawiony mi do pleców nóż, ale zanim zdążyłem oddalić od siebie jego ostrze, mój zięć zaczerpnął tchu i wbił mi go w plecy aż po rękojeść. - O rany, Neil, myślałem, że wyrażam się jasno. Nie wrócimy już do Nowego Jorku. Milczałem. Nie byłem zdolny wykrztusić z siebie słowa. Nawet oddychanie sprawiało mi trudność. - Chętnie pójdę z tobą na kompromis, zaczynając od Londynu - stwierdził rzeczowo - ponieważ z punktu widzenia firmy tak będzie najlepiej. Ale jak tylko rozkręcę londyńską filię, mam zamiar otworzyć nasze biuro w Niemczech. Od dawna o tym marzyłem, a Vicky również tego pragnie, Neil, nie ludź się, że jest inaczej. Vicky chce tego, czego ja chcę, i pójdzie tam, gdzie ja pójdę, a jej chyba nie będziesz robił na złość, prawda, Neil? Kochasz Vicky i nie sądzę, byś chciał ją dręczyć, będąc mniej... jak by to powiedzieć?... elastyczny, niż powinieneś. Znów zapadło przerażające milczenie. Patrzyliśmy na siebie, nareszcie widząc sytuację taką, jaka była w istocie: to nie mąż i ojciec Vicky łączyli wysiłki dla jej dobra, ale dwa drapieżniki okrażały się wzajemnie w obrzydliwym brutalnym świecie, pełnym zazdrości i chęci odwetu. Teraz rozumiałem, że prawda nie jest ani biała, ani czarna, lecz stanowi brudną mieszaninę tych dwóch barw. Sam kochał Vicky. Chciał dla niej jak najlepiej, przede wszystkim jednak posługiwał się nią, żeby zdobyć to, czego sam pragnął, a pragnął nie tylko prowadzić samodzielne życie w Niemczech, z dala od długiego cienia swego Doppelgängera, ale także odpłacić mi z odsetkami za tę noc, kiedy zastał mnie z Teresą na strychu u Kevina. Miał zamiar odebrać mi córkę i wnuka tak samo nieodwołalnie, jak ja kiedyś zabrałem mu Teresę, i w żaden sposób nie mogłem go powstrzymać. Jeśli spróbuję uziemić go w Nowym Jorku, zrezygnuje z posady i wyniesie się za ocean. Z pewnością woli zostać u Van Zale'a, lecz jeśli jego plany wezmą w łeb, odejdzie i w krótkim czasie zajmie kierownicze stanowisko gdzie indziej. Ambicja i chęć odwetu znaczyły dla niego więcej niż sentymentalne więzy dwudziestosześcioletniego partnerstwa. Patrzyłem na zdruzgotane szczątki naszej przyjaźni, słysząc, jak mój własny głos mówi z boleścią: - Sam... co się stało z tymi dwoma smarkaczami, którzy bawili się przy "Alexander's Ragtime Band"? Sam ostatecznie zrzucił maskę swego wdzięku. Twarz mu stwardniała. - Płyta się zdarła, a chłopcy bawią się dziś w inne gierki - rzekł brutalnie, po czym skończył martini i wstał. - Powiniennem już wracać do Vicky, bo zacznie się martwić, co się ze mną stało. Poza tym muszę położyć Erica do łóżeczka. Wygrał końcową rundę. Nie

ruszyłem się od stolika. Przede mną stała pusta szklanka. - Bywaj, Neil. Cieszę się, że wreszcie to sobie wyjaśniliśmy. Odczekałem nieco, żeby się upewnić, że już poszedł. Potem zamówiłem jeszcze jedno martini i zacząłem się zastanawiać, jak zdołam powstrzymać Alicję od litowania się nade mną, kiedy usłyszy zatrważające wieści. 3 - Jestem wykończona - powiedziała Vicky - i to chyba dlatego, że staram się pełnić zbyt wiele ról jednocześnie: idealnej żony, idealnej matki, idealnej córki i idealnej pasierbicy. W związku z tym muszę z pewnych rzeczy zrezygnować i skoncentrować się na tym, co jest najważniejsze. - Postanowiłaś więc zostać idealną żoną i matką? No cóż, bardzo się cieszę, kochanie, zawsze tego dla ciebie pragnąłem, ale... - Nie myśl, że cię nie kocham, tatusiu. Po prostu muszę przestać być przede wszystkim córką. Nie jestem już małą dziewczynką i chciałabym wreszcie dorosnąć, ale kiedy widzę, jak ty i matka wyrywacie sobie Erica, czuję się żywcem przeniesiona w przeszłość... - Aha - powiedziałem, odwracając się do niej plecami. - ...i chcę wreszcie z tym wszystkim skończyć. Sam to rozumie. Chcę jechać z Samem. Rozmowa toczyła się w salonie domu Kellerów przy Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej, rannym następnego dnia po moim spotkaniu z Samem. Większość mebli pochodziła z kawalerskiego mieszkania Sama na Park Avenue i roztaczała wokół aury bezosobowego luksusu, jaką potrafią osiągnąć tylko najdroższe hotele. Braque, którego mu ongiś podarowałem, wisiał nad małym orzechowym biurkiem, stanowiąc niezbyt dobrane towarzystwo dla wczesnego Picassa, otrzymanego ode mnie w prezencie ślubnym. Na dworze padało. Podszedłem do okna i wyjrzałem na patio, gdzie rosły Sama, przeniesione tu z tarasu na szczycie wieżowca, demonstrowały swój niebywały entuzjazm dla miejskiego życia. Na stoliku pod oknem leżała książka zatytułowana "Heute Abend". Kiedy do niej zajrzałem, odkryłem, że są to rozmówki niemieckie. - Nie złość się, tatusiu... - Wcale się nie złościę. Wiesz, że zawsze chcę tylko twego szczęścia. Po prostu nie rozumiem... - Zamknąłem książkę i odwróciłem się do niej. - Dlaczego Niemcy? - zapytałem. - Dlaczego właśnie Europa? Czy nie byłabyś szczęśliwsza w Ameryce? - Wiem, że nie cierpisz Europy. Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz. - Wcale nie jest tak, że jej nie cierpię. Chodzi o to, że Europa do mnie nie przemawia, podobnie jak płótna Rubensa. Vicky, gdybym był pewien, że wolisz mieszkać w kraju, mógłbym kazać Samowi otworzyć nasz oddział w Bostonie albo Chicago... - Nie. Chcę jechać do Europy. Chcę tego, czego pragnie Sam. Po prostu chcę być tam, gdzie on. Odniosłem wrażenie, że Sam zaczął funkcjonować jako swego rodzaju Svengali. - Posłuchaj, Vicky, musisz być ze mną szczerą. Czy Sam zmusza cię do wyjazdu do Europy wbrew twojej woli? Spojrzała na mnie, jak gdybym postradał zmysły. - Ależ skąd! Och, tatusiu, jak możesz mówić takie głupstwa! Sam nigdy by mnie do niczego nie zmuszał! Jest dla mnie taki dobry! - I naprawdę jesteś z nim szczęśliwa? - Naturalnie! Co za pytanie! Tatusiu, bardzo cię proszę, przestań się o mnie martwić. Sam dba o mnie wcale nie gorzej niż ty! - Rozumiem - mruknąłem i zamyśliłem się nad tym, co powiedziała. Po chwili zapytałem: - I sądzisz, że pobyt w Europie sprawi, że poczujesz się bardziej dorosła? - Jestem tego pewna. - A zatem musisz jechać. Widziałem jasno, że jeśli Vicky chce dorosnąć, jestem ostatnią osobą, która powinna jej w tym przeszkadzać. Dojrzałym kobietom o wyrobionych poglądach łatwiej podejmować decyzje, gdzie chcą mieszkać i jakiej przyszłości pragną dla swoich dzieci, niż dziewczynkom całkowicie zależnym od despotycznych mężów. Na horyzoncie zamigotała drobna iskierka nadziei. Co dziwniejsze, czas działał na moją korzyść. W tej chwili równowaga sił została zachwiana i Sam był górą, jeśli wszakże nie dam się sprowokować, zachowam spokój i odegram rolę dobrodusznego, wyrozumiałego i pogodzonego z losem szefa, który dla szczęścia córki zniesie każdą obelgę, być może pewnego dnia Vicky poczuje się znudzona Europą, a wtedy szala przechyli się znów na moją stronę. Na razie musiałem przede wszystkim doprowadzić do zgody z Samem, ponieważ nie przyniosłoby to nic dobrego, gdyby w ataku złości rzucił posadę i pojechał prosto do Niemiec. Jak długo byłem jego szefem, teoretycznie zachowałem możliwość ściągnięcia go z powrotem zza Atlantyku,

a być może któregoś dnia pojawi się okazja, by rozstać się z teorią i wypróbować tę możliwość w praktyce. Nie cierpiałem gier na przeczekanie. Ciarki przechodziły mnie na myśl, że Sam jest górą, a ja muszę się uśmiechać i nie mogę próbować mu przeszkodzić. Poza tym do szafu doprowadzała mnie perspektywa, że Vicky i Eric znikną gdzieś w Europie. Jednakże należałem do ludzi, którzy utrzymują się na powierzchni. Z westchnieniem wezwałem na pomoc całą zdolność udawania, cierpliwość i żelazną determinację, które nabyłem w ciągu długich lat, i powiedziałem łagodnie i ulegle: - Nic się nie martw, kochanie! Teraz o wiele dokładniej rozumiem sytuację, więc jedź do Europy z Samem, jak tego pragniesz, i broń Boże nie czuj się winna. Jestem pewien, że w końcu wszystko obróci się na dobre... 4 Odgrywałem swoją rolę po mistrzowsku, dopóki Kellerowie nie wyjechali do Europy, lecz gdy tylko "Queen Mary" zaczęła się oddalać w stronę ujścia Hudsonu, poczułem się tak przygnębiony jak chyba nigdy dotąd. Pragnąłem znaleźć się sam, a jednak paradoksalnie nie mogłem się pogodzić z myślą o samotności. - Może masz ochotę na kolację na mieście? - zagadnęła Alicja, próbując być dla mnie miła. - Nie, dziękuję. Wiedziałem, że się nade mną lituje, a tego nie mogłem ścierpieć. Korzystając z pierwszej lepszej wymówki poszedłem do siebie na górę, później zaś wymknąłem się z domu, żeby odwiedzić Teresę, ale w holu budynku Dakota zatrzymałem się. Byłem tak osowiały, że nie miałem ochoty na seks, wobec czego spotkanie z Teresą mijало się z celem. Nie mogłem z nią o tym rozmawiać. Jakiegokolwiek wyjaśnienia zatracające o motywy Sama natychmiast wyciągnęłyby na światło dzienne jedyną rzecz, o której wzajemne zażenowanie nie pozwalało nam mówić: tamtą noc w domu Kevina, moją propozycję nie do odrzucenia, plugawy początek romansu, który w ogóle nie powinien był się zacząć. Poza tym nie chciałem, żeby Teresa dowiedziała się o zwycięstwie Sama. Jej wiara, że w mojej zbroi nie ma ani jednej szczelinki, była dla mnie niezmiernie istotna. Nie chciałem jej zdradzić, że jestem podatny na ciosy. - Dokąd teraz, proszę pana? - zapytał szofer, gdy po kilku sekundach wyszedłem z Dakoty. Zacząłem się szybko zastanawiać. Musiałem z kimś pomówić, ale komu mógłbym się zwierzyć, nie tracąc twarzy? Po raz kolejny powrócił stary problem: istniało bardzo niewiele ludzi, którym mogłem zaufać. Tym razem nie mogłem nawet porozmawiać ze Scottem albo Jakiem; nikt, kto pracował na Wall Street, nie miał prawa się dowiedzieć, że Sam wytarł mną podłogę. Może Kevin... Kevin mógł mnie pocieszyć, chociaż rzecz jasna trudno przypuszczać, że można prowadzić poważną rozmowę z homoseksualistą. Przynajmniej jednak znał okoliczności towarzyszące mojej waśni z Samem, nie musiałem więc wdawać się w długie wyjaśnienia dotyczące motywów jego postępowania. Myśl o tym, że nie trzeba będzie niczego wyjaśniać, była ogromnie kusząca. Ruszyliśmy w kierunku Greenwich Village 5 Kuchnia Kevina, ciepła i przytulna, przywodziła mi na myśl wiejski dom, w którym się urodziłem. Wciąż jeszcze pamiętam, jak murzyńska piastunka siedziała przy piecu, trzymając mnie na kolanach, podczas gdy Emily bawiła się lalkami, a matka zapominała o robótce, pogrążona w lekturze grubego tomiska, które później uznałem za Biblię, a jeszcze później odkryłem, że jest powieścią Balzaka w oryginale. W kuchniach zawsze czułem się bardzo pewnie, ucieszyłem się więc, kiedy Kevin zaproponował mi drinka nie w swoim eleganckim salonie, lecz przy kuchennym stole. - Dla moich gości to największy komplement! - zaśmiał się, otwierając flaszkę bourbona "Wild Turkey". - Pić w kuchni z Kevinem Dalym to tak, jakby Ludwik XIV udzielił ci audiencji w wychodku! Kevin był szczupłym wysokim brunetem i wyglądał równie normalnie jak ci faceci reklamujący dzinsy w katalogach firmy Sears Roebuck. Kiedy się uśmiechał, robił wrażenie upartego twardziela, kogoś, kto mógłby po paru drinkach rozpocząć bójkę w barze. W rzeczywistości Kevin gardził przeemocą i jako jej konsekwentny przeciwnik przez całą wojnę pracował w Czerwonym Krzyżu. Za dużo pił, ale ostatecznie był artystą, co w pewnym stopniu usprawiedliwiała go w moich oczach. Jego sztuki stawały się coraz mniej zrozumiałe, w dodatku uparcie pisał je białym wierszem, który ja osobiście uważam za intelektualną

manierę. Nie chodzi się do teatru, żeby słuchać poezji - no, chyba że jest to Szekspir, a każdy impresario może poświadczyć, że Szekspir nie jest dochodowy. Mimo to krytycy wychwalali Kevina, a ponieważ w tym mieście to krytycy forują albo kładą przedstawienie, jego sztuki zwykle robiły niezłą kasę. Dwie wcześniejsze, napisane, zanim rozwinął w sobie to niefortunne upod- obanie do białego wiersza, doczekały się głośnych adaptacji filmowych. Oczywiście zawsze robiłem co w mojej mocy, żeby popierać jego dzieła, nawet teraz, kiedy stał się mniej komercyjny. - ...i pomyśleć, że Sam cię tak wykiwał! - w głosie Kevina słychać było współczucie, lecz ani krzty zaskoczenia. - Nic dziwnego, że jesteś wykończony. Chłapnij sobie jeszcze. - Dzięki. - Poczuję się trochę lepiej. Nareszcie mogłem porozmawiać z kimś zupełnie otwar- cie. - Najgorsze - dodałem w przypływie szczerości - nie jest to, że stracę kontakt z Vicky i Erikiem. Będziemy się regularnie odwiedzać i myślę, że jeśli mądrze to rozegram, w końcu ich odzyskam. Naj- gorsze jest to, że Sam odszedł ode mnie na dobre. Przypuszczam, że trudno ci to zrozumieć, ile dla mnie znaczą trzej przyjaciele z Bar Harbor, ale... - To chyba kwestia odskoczni. - Zgadza się. Sam był jedyną osobą w banku, przy której mogłem się odprężyć. Nie musiałem przed nim odgrywać rekina finansjery, a teraz to się skończyło. Odtąd na rogu Willow i Wall robi się trochę puściej i będę się tam czuł bardzo... osamotniony. Tak, to właściwe słowo. Osamotniony. Cho- lera, już się czuję osamotniony! Mam wrażenie, że jestem odcięty od świata! - Twoje stanowisko w banku nieuchronnie wymusza pewien dystans. Ale życie prywatne? Prze- cież zawsze możesz porozmawiać z żoną. Albo z kochanką. Pomyślałem, że właśnie tego wieczoru uciekłem przed Alicją. Teresie również nie byłem zdolny stawić czoła. Milczenie przedłużało się. Zerknąłem na Kevina, lecz on przyglądał się rysunkowi indy- ka na flaszce bourbona. Czułem bolesny ucisk w gardle i nagle stłumione tą kojącą rozmową przygnę- bienie skoncentrowało się w rozpacz, której musiałem natychmiast dać upust. - Kevinie... - zacząłem. - Mhm? Nie wiedziałem, co powiedzieć. - Z Teresą wszystko w porządku? - zapytał od niechcenia Kevin, kiedy cisza znów zaczęła się przedłużać. - Czy może masz jej już dość? - Do licha, nie! Po prostu... Nie wiem. Nie. W każdym razie... - Chryste, jak czasami trudno się porozumieć, nie sądzisz? - rzekł Kevin. - Zupełnie jak gdybyś wpadł do jakiejś dziury i chciał wzywać pomocy, a tu nagle okazuje się, że straciłeś głos. Albo gubisz się i pytasz o drogę, ale nikt cię nie rozumie. Albo wdziewasz na siebie zbroję, która ma cię chronić, a potem odkrywasz, że nie możesz się z niej wydostać. - Zbroję? - Tak. Na Boga, przecież wszyscy to robią! Bez przerwy próbujemy się przed sobą schować. Może dlatego, że życie jest tak niesamowicie skomplikowane, iż mało kto odważy się stawić mu czo- ło bez zbroi, a przynajmniej ładnej staroświeckiej maski. Koszmar zaczyna się wtedy, jak w niej ugrzęzniesz. Wiem to z własnego doświadczenia. - Jak to? Zaplątałeś się w masce? Kiedy? - Kiedy udawałem heteroseksualistę, to chyba jasne! A co sobie myślałeś? Najgorsze było to, że z nikim nie mogłem uczciwie porozmawiać. W ogóle ciężko jest mówić o osobistych problemach, ale kiedy problem ma seksualne podłoże... On wie, pomyślałem z niedowierzaniem. On to rozumie. Nie, to niemożliwe, żeby mnie rozu- miał. I skąd miałby wiedzieć? Może powinienem mu się zwierzyć? Nie, wykluczone. Jak mógłbym ga- dać o tym z pedałem? Ale przecież właśnie rozmawiam z pedałem. Nieprawda, milczę. Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. Ugrzęzłem, jak to określił. Zatrzasnąłem się w zbroi, wpadłem w sidła własnej potęgi. - Kevinie... - Mhm? - Całe moje życie osobiste stanęło na głowie. Ja naprawdę kocham Alicję i to jej właśnie pragnę. Do Teresy chodzę dlatego, że... - urwałem. Czułem się tak, jakbym przebiegł sprintem sto jardów. Zabrakło mi tchu. - Wobec tego - rzekł bez skrępowania Kevin, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem - domyślam się, że chodzisz do Teresy, bo z jakiegoś powodu nie możesz mieć Alicji. - Tak. Ale... - Złapałem trochę powietrza, wciągnąłem je w płuca, podniosłem swoją szklankę i jednym haustem wypilem resztę bourbona. - ...ale to wcale nie jest wina Alicji - odparłem szybko. - Właśnie dlatego to wszystko jest takie potworne. Alicja nie ponosi tu żadnej winy. To nie znaczy... - Znów

podniosłem szklankę do ust, lecz okazała się pusta. - To oczywiście nie znaczy, że jestem impotentem. Nic podobnego. Staje mi nie gorzej niż innym facetom, Teresa jest tego najlepszym dowodem. Chodzi o to... Chodzi mi o to, że... - Rozumiem. - Chcę powiedzieć, że jestem w porządku, nic mi nie dolega. Po prostu... - Ku swemu przerażeniu odkryłem, że nie jestem w stanie mówić dalej. Kolejne kłamstwa nie chciały mi przejść przez gardło, podobnie zresztą jak prawda. Zdawałem sobie sprawę z obecności butelki bourbona, nie ośmieliłem się jednak wyciągnąć po nią ręki z obawy, że zdrzży, zdradzając, jak bardzo jestem zdenerwowany. Kevinowi mogłoby się zrobić mnie żal. Homoseksualista litujący się nade mną! Boże, co za kosztmar! Muszę się jakoś pozbierać, muszę... - Jezu, ależ ten seks daje nam popalić! - odezwał się nagle Kevin. - Impotencja, oziębłość, przedwczesny wytrysk, cudzołóstwo, sodomia i Bóg wie co jeszcze - jak w ogóle udaje nam się to znosić? Chyba następną sztukę napiszę o tym, jak dobrze być eunuchem. Napij się jeszcze. Kiwnąłem głową. Świeży bourbon zamigotał w mojej szklance i plusnął, kiedy Kevin dorzucił do niego kostkę lodu. - Oczywiście każdy psychiatra ci powie - ciągnął - że tego rodzaju problemy są zdumiewająco częste. Chyba dlatego, że nikt nigdy o nich nie mówi, każdemu się wydaje, że przeżywa jakieś unikatowe, przerażające doświadczenie. Jednym haustem wypilem połowę bourbona ze szklanki. Potem zapytałem ostrożnie: - Wierzysz w psychiatrów? - Sądzę, że niektórym są w stanie pomóc. Ale podobnie jak z Boga i papieża, nigdy nie miałem z nich wiele pożytku. - To znaczy, że nie potrafili ci wyjaśnić, dlaczego jesteś homoseksualistą? - Ależ wyjaśnili! Wyjaśniali mi wszystko w nie kończących się, bolesnych i sprzecznych ze sobą szczegółach. Chcę tylko powiedzieć, Neil, że zmarnowałem wiele godzin w konfesjonalech i wydałem fortunę na psychiatrów, a mimo to jestem przekonany, że nie istnieje jeden konkretny powód, dla którego moje seksualne upodobania są takie a nie inne. Powiem ci jeszcze coś: w przeciwieństwie do tego, o czym perorują przy koktajlach wszyscy ci dzisiejsi mądralsi, Freud nie oferuje kompletu odpowiedzi. Podejrzewam, że ludzki umysł jest podobny do planu pięciu nowojorskich dzielnic, i chociaż Freud przedarł się przez Manhattan i Bronx, to nigdy nie dotarł do Brooklynu, Queens albo na Staten Island. - Hm - bąknąłem. - No cóż, oczywiście ja raczej nigdy nie wierzyłem w psychiatrów... - Obserwując ich, można się nauczyć jednej istotnej rzeczy: jak słuchać. Czy umiesz słuchać, Neil? - Słuchać? - Tak, czy słuchasz Alicji? Czy słuchasz nie tylko tego, co mówi, ale też tego wszystkiego, co pozostawia nie wypowiedziane? Czy wiesz dokładnie, co dzieje się w jej umyśle? - Myślałem, że to mój umysł ma tu zasadnicze znaczenie! - Ale czy nie rozumiesz - sprzeciwił się Kevin - że to, co dzieje się w twoim mózgu, zależy od twoich wyobrażeń na temat tego, co dzieje się w mózgu Alicji! Napij się jeszcze. - Dzięki. Nie, może już wystarczy. Nie chcę wrócić do domu pijany. Myślałem o druzgocącej litości Alicji, o jej wytrwale ukrywanej pogardzie i braku seksualnego zainteresowania moją osobą. Doskonale wiedziałem, co dzieje się w jej umyśle. To nie była żadna tajemnica. Wszystko było aż nazbyt boleśnie widoczne. - Cóż, jak już powiedziałem, Kevinie, nie wierzę w te wszystkie psychoanalityczne frazesy. To jak religia, a jaką korzyść może człowiek odnieść z religii, jeżeli w nią nie wierzy? Tak czy owak, na tę sytuację nie ma cudownego remedium. Muszę po prostu z tym żyć. Co do reszty, jestem bezsilny... Bezsilny, tak, to właściwe słowo. Dlatego właśnie mnie to niepokoi. Wydaje się niesprawiedliwe, że posiadam olbrzymią władzę, a jednak właśnie w tej dziedzinie życia... To przecież kwestia władzy, nieprawdaż? Władza to środek porozumiewania się. Czy pamiętasz, jak Paul mówił o tym w Bar Harbor? - Ach, Mefistofeles! - zaśmiał się Kevin, rozlewając do szklanek resztki bourbona. - Jak mógłbym kiedykolwiek zapomnieć Paula Van Zale'a i te jego groźne kryptofaszystowskie brednie! - Kevinie! - A dajże spokój, Neil! Chyba nie powiesz, że żywisz jeszcze jakieś złudzenia co do Paula? - Nie mam złudzeń, ale wciąż go poważam. Ten człowiek odniósł w życiu sukces. - Uważam, że je zmarnował. Sądzę, że był głęboko rozczarowanym, może nawet udręczonym człowiekiem. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to, co zrobił, było

cholernie dziwne? Przyjął pa- tronat nad czwórką chłopaków i nawrócił ich na Van Zale'owski styl życia. Patrząc wstecz, myślę, że był to nie tylko niezwykły, ale też i cyniczny postępek. Jestem zdumiony, że nasi rodzice się na to zgodzili. No cóż, mój ojciec był zapewne zadowolony, że pozbył się mnie na całe lato, rodziców Sa- ma bez wątpienia zaślepiła perspektywa awansu społecznego, a ojciec Jake'a był jeszcze gorszy niż Paul, ale ciekaw jestem, co, u licha, myślała o tym twoja matka. Mogę się założyć, że miała mieszane uczucia. - Nie chciała, żebym tam jechał. Powiedz, Kevinie, dlaczego sądzisz, że jego zwyczaj wybiera- nia sobie protegowanych oznaczał, że Paul był rozczarowanym i zgorzkniałym człowiekiem? Po pros- tu spodobał mu się ten pomysł, bo nie miał własnych synów! - Taką wymówkę puścił wtedy w obieg, ale ja w to nie wierzę, nie dzisiaj. Sądzę, że cały ten plan miał być wprawką w egzekwowaniu władzy, a także próbą usprawiedliwienia siebie samego. Gdyby zdołał nawrócić grupkę inteligentnych młodych ludzi na swój sposób myślenia, to może jego sposób myślenia nie byłby aż tak cholernie podły, jak mu się w głębi duszy zdawało! - Ale... - Nie zrozum mnie źle. Pod wieloma względami lubiłem Paula i z pewnością doskonale się bawi- łem w Bar Harbor, choć wiele z tego, co mówił, było nie tylko bzdurą, lecz także niebezpieczną bzdurą. Na przykład "sukces za wszelką cenę" to niewątpliwie bardzo atrakcyjny slogan. Ale sukces w je- go pojęciu? I za każdą cenę? Mówię ci, Neil, to nie jest recepta na prawdziwe życie! To narkotyk, który uzależnia cię do końca twoich dni! Otworzyć jeszcze jedną flaszkę bourbona? - Nie. A zresztą, do diabła, czemu nie? Upijmy się, Kevinie. Rozumiem, co chcesz mi powie- dzieć o Paulu, nie jestem przecież kretynek, ale widzisz, jego filozofia nigdy nie była przeznaczona dla takich ludzi jak ty. Jesteś artystą. Posiadasz własną specyficzną władzę, która cię izoluje i unieza- leżnia od tego rodzaju władzy, o jakiej mówił Paul. Kiedy opowiadał o władzy i sukcesie, adresował to do takich ludzi jak ja, do Sama i Jake'a oczywiście też, ale przede wszystkim do mnie, bo ja wie- działem, że nie będę szczęśliwy, dopóki ten świat nie będzie mój. - A teraz jesteś szczęśliwy, Neil? - Jasne, że tak! Pewnie, od czasu do czasu miewam drobne problemy, ale tylko głupiec mógłby oczekiwać, że jego życie będzie w stu procentach idealne. Naprawdę jestem bardzo szczęśliwy. Życie jest cudowne. - To świetnie. W takim razie możesz się wygodnie rozsiaść i z kołtuńskim zadowoleniem na twarzy posłuchać, jak będę ci mówił, że ostatnio ogarnęło mnie mroczne przygnębienie i że według mnie życie jest obrzydliwe i w ogóle do dupy. - Czy to ma coś wspólnego z... - Nie, uspokój się, to nie ma nic wspólnego z moim życiem seksualnym! Chodzi właśnie o to, że jestem tym, co byłeś łaskaw nazwać artystą. Jeżeli zdołasz się na chwilę zamknąć, opowiem ci, jak to jest być uznanym amerykańskim dramaturgiem, który odchodzi od zmysłów, bo nie jest tak dobry jak Eliot albo Fry... - Założę się, że zarabiasz więcej niż tamci dwaj razem wzięci! - Nie rozumiesz, że właśnie to jest najbardziej ohydne? Gdybym miał odwagę napisać taką sztu- kę, jaką rzeczywiście chciałbym stworzyć, nikt by jej nie tknął. Ale czasami sobie myślę, że wolałbym odnieść pierwszorzędną klapę niż drugorzędny sukces. - Ależ twój sukces nie jest drugorzędny! Poza tym wolę cię od Eliota i Frya. Nigdy nie rozumia- łem, o co właściwie chodzi w "Cocktail Party", a co do "Szkoda tej damy na stos"... - Neil, jesteś cudowny. Powinieneś częściej przychodzić się ze mną napić. Po jakimś trudnym do określenia czasie powiedziałem z uczuciem: - Kevinie, tak mi przykro, że zachowałem się wobec ciebie jak drań, kiedy wszyscy się dowie- dzieli, że jesteś homoseksualistą. Przepraszam, że usunąłem twoje nazwisko z książeczki adresowej numer jeden i przeniósłem je do książeczki numer pięć, i że nie chodziłem na twoje przyjęcia. Jest mi bardzo, bardzo przykro, naprawdę! Ale chcę, żebyś wiedział, że nie jestem aż takim draniem... Nie w rzeczywistości, nie tam, w środku. - Owszem, jesteś - rzekł Kevin - ale to nic nie szkodzi, bo skoro możesz mnie zaakceptować ta- kim, jakim jestem, ja też mogę cię zaakceptować takim, jakim jesteś, mimo że jesteś draniem. Gorąco uścisnęliśmy sobie ręce i poprzysięgliśmy wieczną przyjaźń. To zabawne, jakie życie wydaje się proste i nieskomplikowane, kiedy człowiek jest pijany. Niecałe sześć tygodni później nie

rozmawialiśmy już ze sobą. Rozdział trzeci 1 Cały problem zaczął się wtedy, kiedy Kevin otrzymał wezwanie do stawienia się przed Państwową Komisją do Spraw Działalności Antyamerykańskiej. Zbliżał się koniec roku 1952, a w Senacie McCarthy osiągnął szczyty swych możliwości. W ogóle wina za cały kataklizm spoczywa na McCarthy. Gdyby nie ten wątpliwy sukces w pozbyciu się komunistów ze sfer rządowych, Państwowa Komisja mogłaby pozostać tym, czym była przed owym fatalnym okresem przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych - spokojną przystanią dla politycznych bankrutów wyznających uprzedzenia rasowe. Gdy McCarthy zaczął szaleć w Senacie, Komisja dostrzegła wyjątkową okazję wzmocnienia swych wpływów i jeszcze przed końcem 1952 roku zwróciła uwagę na ludzi sztuki - komunistów albo radykałów - którzy mogli jej dostarczyć informacji o zakamuflowanych w Ameryce czerwonych. Kevin nigdy nie był komunistą, ale podobnie jak wielu literatów i artystów w przeszłości wyznawał dość radykalne poglądy i często spotykał się z ludźmi, których opinie polityczne można było określić jako niepewne. Trudno zatem się dziwić, że Komisja, węsząc dookoła za nowymi źródłami informacji, uznała, iż powinien zdać przed nią relację ze swoich przeszłych i obecnych znajomości. Mimo to przeżyłem szok, gdy pewnego wieczoru Teresa uraczyła mnie wieścią, że Kevin dostał wezwanie. Jeszcze większego wstrząsu doznałem, kiedy dodała, że ma zamiar skorzystać z Piątej Poprawki do konstytucji i odmówić zeznań na temat swoich przyjaciół. Natychmiast do niego pojechałem. Wykazałem mu, że jakakolwiek próba posłużenia się Piątą Poprawką będzie miała tylko ten efekt, iż jego nazwisko znajdzie się na czarnej liście. Nikt nie ośmielił się wystawiać jego sztuk i jego kariera legnie w gruzach. - Mogą cię nawet wsadzić za obrazę rządu - dodałem. - Patrz, co się stało z Dashielllem Hammettem, pisarzem, który odmówił składania zeznań! Kevin, masz tylko jedną szansę: musisz tam pójść i powiedzieć im wszystko, co wiesz. Wszyscy tak teraz robią. Twoi przyjaciele na pewno rozumieją, że nie miałeś wyboru. - Ależ, Neil - rzekł Kevin - cały problem polega na tym, że ja mam możliwość wyboru. Czy do prawdy nie potrafisz tego dostrzec? Spieraliśmy się przez jakiś czas, ale do niczego nie udało nam się dojść. Kevin oświadczył, że jeżeli nikt nie sprzeciwi się Komisji, rząd niebawem może zacząć prześladować Żydów albo homoseksualistów, tak samo jak dotąd komunistów. Odrzekłem, iż z chwilą gdy w fotelu prezydenckim zasiądzie Eisenhower, rozpocznie się nowa era w podejściu do zimnej wojny, w której efekcie sekowanie komunistów nie będzie już politycznie konieczne. - Tak więc to, że poświęcisz karierę w imię jakichś tam idealistycznych liberalnych pryncypiów, nie będzie miało najmniejszego znaczenia dla przyszłości Ameryki - skonkludowałem. - Będzie nieistotne. Sam siebie zgubisz, i to dla sprawy, która istnieje wyłącznie w umysłach podobnych tobie intelektualistów! On jednak tego nie rozumiał. Sprzeczaaliśmy się dalej, aż w końcu Kevin powiedział: - Neil, nie chcę, żeby to się przerodziło w poważną kłótnię. Idź swoją drogą, a mnie pozwól iść moją. Ostatecznie to moje życie i moja kariera. Uznałem, że nie warto strzepić sobie języka, choć naturalnie nie zrezygnowałem z walki o jego przyszłość. Dwa dni później znalazłem jakiś pretekst, wsiadłem na pokład mojego prywatnego samolotu i w tę pędę poleciałem do Waszyngtonu. Na szczęście nie musiałem się dobijać aż do Owального Gabinetu, choć dotarłbym tam, gdyby okazało się to konieczne. Poszedłem po prostu do znajomego kongresmena, który był równocześnie najbardziej zaangażowany w działalność Komisji. Przypomniał mi, kto ostatnio pomógł mu się wywinąć z kielkującego skandalu - swoją drogą, dlaczego ci politycy są tacy pazerni na łapówki? - powiedziałem, że byłoby mi przykro, gdyby jego problemik znów wyszedł na światło dzienne, i to w tak krótkim czasie po jego powtórnej elekcji. W rozmowie rzuciłem mimochodem, iż byłbym uszczęśliwiony, gdyby Komisja zapomniała o istnieniu nowojorskiego dramaturga nazwiskiem Kevin Daly, który nigdy nie był członkiem żadnej partii, a którego znam osobiście i mogę zaręczyć, że jest uczciwym i lojalnym Amerykaninem. Z przyjemnością muszę stwierdzić, że kongresmen okazał pełne zrozumienie - do tego stopnia, że gdy już uścisnęliśmy sobie dłonie, zapewnił

mnie solennie, że nie muszę się o nic martwić. Bardzo z siebie zadowolony wróciłem do Nowego Jorku i poszedłem prosto do Teresy, żeby jej oznajmić, iż problem Kevina z Komisją został rozwiązany raz na zawsze. Uszczęśliwiona Teresa natychmiast do niego zadzwoniła, ale on bez słowa odłożył słuchawkę. Wydało mi się to dziwne, lecz uznałem, iż obezwładniająca ulga odebrała mu mowę. Kiedy po powrocie na Piątą Aleję dowiedziałem się, że przyszedł i czeka na mnie, naturalnie myślałem, iż chce uczcić swe ocalenie. Jego wściekłość, która wybuchła, gdy tylko znaleźliśmy się sami w bibliotece, była dla mnie tak dużym zaskoczeniem, że omal nie upuściłem butelki "Dzikiego Indyka", którą przechowywałem specjalnie z myślą o jego wizycie. - Ty cholerny zarozumiały skurczybyku, jak śmiesz się wtrącać do mojego życia? - Kevin! O co ci chodzi? Miałeś kłopot, a ja cię z niego wyciągnąłem, to wszystko! Czemu się złościł? - Nie prosiłem cię, żebyś odgrywał dobrą wróżkę! - wrzasnął Kevin. - Nie prosiłem, żebyś machał magiczną różdżką swoich skorumpowanych politycznych wpływów! Mówiłem, żebyś zostawił mnie w spokoju i pozwolił mi dołożyć Komisji między oczy! Miałem adwokatów, którzy chcieli mi pomóc, miałem duże poparcie w kołach liberalnych, miałem po swojej stronie prasę... - Dużo byście wszyscy działali! Poza tym uważam, iż miałem moralny obowiązek powstrzymać cię przed zrujnowaniem kariery... - Jeżeli zechcę zrujnować sobie karierę, zrobię to! To nie twój interes, do cholery! - Dobrze, ale mógłbyś przynajmniej okazać mi trochę wdzięczności za to, że... - Wdzięczność! Mam być wdzięczny za to, że starasz się dowartościować, obnosząc się wokoło ze swoją potęgą, jakby to był colt kaliber 45 albo jakiś inny falliczny symbol! - Słuchaj no, przyjacielu! - powiedziałem, z trzaskiem odstawiając bourbona na stolik. - Zachowaj te psychologiczne brednie do jednego ze swoich głupich sztuczydeł. Poniosłem duże koszty i niewygody, a nawet pewne ryzyko, oddając ci największą przysługę, jaką ktokolwiek ci w życiu wyświadczył. Jeżeli myślisz, że czerpię z tego jakąś zdegenerowaną seksualną podniecie, to chyba całkiem ci już odjęło ten zboczony komunistyczny rozum! Kevin odwrócił się bez słowa i ruszył do drzwi. - Kevin! - ruszyłem za nim. Na plecach skropił mi się zimny pot. Zacząłem mieć kłopoty z oddychaniem, lecz byłem tak zdenerwowany, że nawet nie zwróciłem na to uwagi. - Kevinie... - zdołałem złapać go za ramię, zanim otworzył drzwi, on jednak odepchnął mnie gwałtownie. - Odwal się! Każdemu innemu już dawno bym dał w zęby! - Ależ, Kevinie, przecież jesteśmy przyjaciółmi! - Już nie - rzekł gwałtownie i zatrzęsął mi drzwi biblioteki przed nosem. 2 - ...i zatrzęsął mi drzwi przed nosem - powiedziałem do Jake'a pół godziny później. Siedziałem w bibliotece domu Reichmanów, położonego o trzy przecznice na północ od mojego domu. Obfite oliwkowozielone draperie zasłaniały duże brzydkie okna. Przyćmione światło sączyło się spod wysokiego sufitu na dzieła niemieckich klasyków w oryginale oraz perły literatury angielskiej. Siedzieliśmy z Jakim w dwóch skórzanych fotelach, ustawionych po przeciwnych stronach ogromnego kominka. Jake pił szkocką, czarnego Johnnie Walkera. Ja zdążyłem już przejść na czystą brandy. - Boże, jaki jestem wściekły! - powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to gniewnie, lecz efekt okazał się żalospny. - Jak daleko może się posunąć ludzka niewdzięczność? Przecież ja tylko chciałem pomóc! - Daj spokój, Neil. - Jake obdarzył mnie jednym z tych swoich ironicznych uśmieszeków. - Nie jesteś chyba aż tak naiwny. - Chciałem tylko mu pomóc! - powtórzyłem z uporem, choć wiedziałem, co ma na myśli. Teraz do rozżalenia dołączył się jeszcze wstyd. - A niech to diabli, dobra, może chciałem zrobić na nim wrażenie. Na Teresie zrobiłem i było to bardzo przyjemne! Może zresztą chciałem mu czegoś dowiedzieć... że jestem odporny... że nie trzeba się nade mną użalać... a zresztą mniejsza z tym, cofam to, co powiedziałem. Ale poza wszystkim innym chciałem także mu pomóc, Jake! Nie robiłem tego wyłącznie z egoistycznych pobudek! Chciałem dobrze, przysięgam! - Mniejsza teraz o twoje pobudki. Ważniejsze jest to, że powinieneś uczyć się na własnych błędach. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie błędy popełniłeś? Punkt pierwszy: nigdy nie należy zmuszać przyjaciół, by mieli wobec ciebie długi wdzięczności, posługując się w

tym celu jawną de- monstracją siły. Ci ludzie tylko dlatego są twoimi przyjaciółmi, że lubią się okłamywać, że pomimo tych wszystkich milionów jesteś w gruncie rzeczy tak samo zwyczajny jak oni. Ty z kolei pozwalasz im się łudzić, bo lubisz myśleć, że jest ktoś, kto darzy cię sympatią nie dla twoich pieniędzy. Ale jeżeli zaczynasz manipulować cudzym życiem, niezależnie od tego, czy wypływa to z altruizmu, czy nie, niszczysz tę wzajemną iluzję, doprowadzając do sytuacji, w której żadne z was nie może się pogodzić z nagą prawdą. A prawda wygląda oczywiście tak, że nie jesteś zupełnie zwyczajny. Posiadasz nad- wyżki dobra, którego w tajemnicy łaknie większość ludzi - władzy. Masz nad nimi zbyt dużą władzę, by psychologicznie byli to w stanie znieść. - To prawda. Masz rację. Boże, jak mogłem być takim... - Twój drugi błąd - ciągnął Jake, odpalając następnego papierosa od gasnącego mu w palcach niedopałka - polegał na tym, że nie zrozumiałeś jego stanowiska w całej tej sprawie. Fakt, że czegoś nie pojmujesz, nie oznacza jeszcze, że to coś jest jedną wielką intelektualną mrzonką. Mimo to za- chowałeś się tak, jakby Kevin okazał się niespełna rozumu. Nic dziwnego, że się tak wściekł. W rze- czywistości próbowałeś ośmieszyć jego pogląd na życie, lub na realia, jeśli wolisz, usiłując narzucić mu własny. - Do diabła, chyba rzeczywiście masz rację. Ale wcale nie miałem takiego zamiaru! Chciałem tylko... - Tak, tak, mówiłeś już, czego chciałeś. Trzeci błąd... - Chryste, jeszcze jeden? - byłem bliski rozpacz. - ...trzeci błąd popełniłeś, perorując na temat tak zwanego moralnego obowiązku niczym jakiś prowincjonalny ortodoksyjny kaznodzieja. Postaraj się wykazywać nieco więcej ogłady, Neil! Mój Boże, dwadzieścia pięć lat w Nowym Jorku, a ty nadal potrafisz się zachowywać jak wieśniak z Ohio! - Ależ ja szczerze uważam, że to był mój moralny obowiązek! - Szczerokość jest prawie zawsze niedyplomatyczna, a bardzo często przynosi katastrofalne skutki. Zresztą i tak śmiem wątpić w twoją szczerokość. Może ty też nie powinieneś w nią wierzyć bez zastrzeżeń. Gadanie o moralnym obowiązku stanowi dogodny pretekst do ingerencji, a sam przyznałeś, że twoje motywy nie były tak czyste, jak wolałbyś wierzyć. - Tak, ale... - westchnąłem. Czuję się zmęczony, rozkojarzony i przygnębiony. Jake chyba się tego domyślił, bo wstał, poklepał mnie po ramieniu i dolał mi brandy. - Odpręż się, Neil. Nikt nigdy nie działa z idealnie czystych pobudek. Próbowałeś zrobić to, co szczeroko uważałeś za słuszne, a jedna czy dwie ukryte myśli nie wpływają na zmianę tego zasadnicze- go faktu. Nie byłeś zorientowany w sytuacji, rezultat okazał się fatalny, ale wierzę w to, iż generalnie miałeś dobre intencje. - Współczujesz mi? - Oczywiście. Wiem, jak bardzo lubisz Kevina. Wiem, jak ważny jest przyjaciel, który zna cię od samego początku. Odczułem gwałtowną falę ulgi i wdzięczności. Cokolwiek by mówić, żaden z moich przyjaciół nie był mi tak bliski jak Jake. Tylko on rozumiał problem bogactwa i izolacji, znajdował się bowiem w identycznej sytuacji jak ja. - Jak mam się pogodzić z Kevinem? - zapytałem w końcu i zasepiłem się. - Może do niego napi- sać? Jeśli zadzwonię, zaraz odłoży słuchawkę. - Nagle doznałem olśnienia. - Napiszę do niego list. Odręcznie. To go przekona, że byłem szczeroko. Wie, że całą moją korespondencję odwalają na maszy- nie sekretarki. - Ja bym go zostawił w spokoju. Jakikolwiek krok w kierunku pojednania każe mu prawdopod- obnie przypuszczać, że znów starasz się na niego wpłynąć, i tym gorzej go do ciebie nastawi. To on musi zrobić pierwszy krok. - A jeśli go nie zrobi? - To możliwe, ale kiedy popełnia się kardynalne błędy, trzeba za nie odpokutować. - "Za każde zło pewnego dnia zapłacisz" - zacytowałem piosenkę Hanka Williama. - Chyba w to nie wierzysz, Jake? Jake zastanawiał się przez chwilę. - Nie - odparł. Zaśmialiśmy się, dwaj cyniczni nowojorczy, którzy mają ze sobą bardzo wiele wspólnego. - Jak się ma Vicky? - spytał Jake, kiedy wstałem, zbierając się do odejścia. - Sądząc z tego, co pisze, doskonale. A jak tam twoje dzieci? - Radzą sobie. Jake zawsze sprawiał wrażenie, że jego dzieci niewiele go obchodzą. Kiedy rozmowa zбочyła na tematy rodzinne, poczułem, że wznosi się między nami dziwna, ledwie wyczuwalna bariera prze- gradzająca kanały, którymi zwykle się porozumiewaliśmy. - Co słychać u Amy? - spytałem, odruchowo dopełniając wymogów rytualnego zainteresowania rodziną rozmówcy. - Wszystko

w porządku. A u Alicji? - O, świetnie! Ostatnio znów zaczęła przejawiać większe zainteresowanie życiem. Znalazła sobie jakąś nową akcję dobroczynną, a prócz tego uczy układania kwiatów na jakimś kursie dla młodzieży. Jestem bardzo zadowolony. Po ślubie Vicky trochę się o nią martwiłem. Dla kobiety to ciężkie do zniesienia, gdy wszystkie dzieci wyfruwają z domu. - Naturalnie. Odprowadził mnie do drzwi. Po wyjściu z biblioteki przecięliśmy olbrzymie posępne atrium, a nasze kroki dudniły niesamowitym echem na marmurowej posadzce otaczającej wbudowaną dla celów zdobniczych sadzawkę. Połączone piszczałki organów ginęły w mroku pod sklepieniem sufitu. - Co sądzisz na temat tych ostatnich szwindli w aferze antytrustowej? - zagadnął. - Do tej pory sędzia Medina pewnie się już całkiem załamał. Automatycznie odpowiedziałem na jego ruch, zmierzający do udroźnienia kanałów komunikacyjnych. - Żałuję tylko, że Van Zale nie znalazł się na liście pozwanych razem z tymi siedemnastoma bankami inwestycyjnymi - powiedziałem. - Już ja bym powiedział prokuratorom, co o tym wszystkim myślę! - Lepiej pomyśl, że musiałbyś wydać majątek na adwokatów. I zmarnować mnóstwo czasu. - To prawda. Zatrzymaliśmy się przy pseudogotyckich drzwiach i uścisnęliśmy sobie ręce. - Dzięki, Jake. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Naprawdę to doceniam. - Dobranoc, Neil. Pamiętaj: nie afiszuj się ze swoją potęgą w obecności przyjaciół, słowa "obowiązek moralny" zarezerwuj na dyskusję z proboszczem i choć od czasu do czasu staraj się nie zachowywać tak, jak gdybyś mocno podejrzewał, że Bóg jest białym anglosaskim protestantem. - Ja tego nie podejrzewam, ja to wiem! - odparowałem, czując, jak kamień spada mi z serca. Za plecami usłyszałem dźwięczny śmiech Jake'a i lekki odgłos zamykanych drzwi. 3 Kiedy sześć miesięcy później Vicky urodziła w Londynie drugiego syna, któremu natychmiast nadano imiona Paul Cornelius, Kevin nadal nie utrzymywał ze mną stosunków. Sam i Vicky, każde z osobna, telefonicznie zaprosili mnie do Anglii na chrzciny, choć więc nie chciałem robić wrażenia, że skwapliwie korzystam z okazji do odwiedzin, obiecałem, iż wraz z Alicją przyjedziemy do nich w sierpniu. Zadbalem o to, by podkreślić, że zatrzymamy się w hotelu. Nie wątpiłem, że dom, który Sam kupił przy Hyde Parku, jest dość przestronny, by nas pomieścić, nie chciałem jednak wystawiać na próbę jego gościnności. Nie miałem ponadto zamiaru niepokoić Vicky, pogłębiając jeszcze napięcie, które z pewnością będzie towarzyszyć każdemu mojemu spotkaniu z jej mężem. Miałem wrażenie, że Vicky dobrze zadomowiła się w Londynie. Zapisała się na kurs niemieckiego, ale zrezygnowała z niego, kiedy zaszła w ciążę. I tak zresztą miała za dużo roboty przy urządzaniu nowego domu, by poważniej poświęcić się nauce. Opisowała w listach potyczki z angielskimi dekoratorami wnętrz, pierwszy dzień Erica w angielskim przedszkolu, trudności w sprośowaniu wymaganiami angielskich służących (pomyślałem o Carrawayu i zacząłem jej współczuć), doskonałą jakość angielskich programów radiowych i telewizyjnych, najświeższą fascynację królową i jej koronacją oraz pogodę. Od czasu do czasu napomykała o jakimś nowym filmie albo importowanym ze Stanów musicalu, który oglądali z Samem na West Endzie, ponieważ jednak zbyt wiele czasu zajmowało im nawiązywanie stosunków z nowymi klientami Sama, rzadko szukali rozrywek na mieście. Kilka razy w tygodniu rozmawiałem z Samem przez telefon, aby się upewnić, że londyńskie biuro rozwija się w sposób zadowalający. Wiedziałem, że nie lubi, kiedy wiszę mu nad głową, ale zawarłem się, że będę go trzymał na baczność i regularnie przypominał, kto jest szefem. W tych okolicznościach wydawało mi się to minimalnym zabiegiem w kierunku przywrócenia między nami właściwej równowagi sił, dla niego zaś niewielką ceną za nowe życie w Europie. Dbałem jednak o to, by nasze rozmowy przebiegały w tonie przyjaznym, i gdyby ktoś nas podsłuchiwał, nigdy by nie zgadł, że ta dobroduszna wymiana zdań maskuje rozgoryczenie z mojej strony, a prawdopodobnie irytację, jeśli nie gorzej, ze strony Sama. - Jak tam Anglicy, Sam? - zapytałem w lipcu, w pierwszy roboczy dzień po koronacji. - Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś, pijąc zdrowie królowej i słuchając deklaracji, że duch, który zdobył Mount Everest, zwyciężył również w drugiej wojnie

światowej! - No cóż, zawsze uważałem, że każdemu należy oddać sprawiedliwość - rzekł pogodnie Sam - a poza tym dlaczego nie miałbym pić zdrowia królowej? Lubię rodzinę królewską. Zresztą to i tak Niemcy. Było to jedno z naszych łagodniejszych starć. Przypomniałem mu, że życie w Europie nie jest usłane różami, ona zaś odparował cios, chępiąc się, jak świetnie sobie radzi z potencjalnie wrogim otoczeniem. Najbardziej zjadliwa dyskusja rozpętała się na temat "image'u", który zgodnie z moim życzeniem miało prezentować londyńskie biuro Van Zale'a. Londyński oddział istniał od sześćdziesięciu lat, ale przed wybuchem wojny w 1939 zamknąłem go i wycofałem cały kapitał do Stanów. W ciągu tych sześćdziesięciu lat w bankowości zaszły wielkie zmiany. Początkowo specjalizowaliśmy się w akredytywach i pożyczkach dla zagranicznych rządów, jednakże po pierwszej wojnie światowej ten interes się skończył i zanim jeszcze Steve wyjechał do Londynu w 1929 roku w charakterze rezydenta, zaczęliśmy się interesować inwestowaniem amerykańskich pieniędzy w brytyjski przemysł. Zadanie nie było łatwe, gdyż Brytyjczycy często zbierają potrzebny im kapitał bez uciekania się do pomocy domów maklerskich. Mimo tych nie sprzyjających warunków Steve spisał się na medal i filia w Londynie wykazywała zyski do czasu, gdy nadszła wojna rzuciła cień na całość europejskich finansów. Teraz czasy znów się zmieniły: cień się rozprzecznił, amerykańskie korporacje szykowały się do ekonomicznej inwazji na Europę i było rzeczą naturalną, że zwracały się o pomoc do banków dysponujących najlepszymi koneksjami za oceanem. - Musimy jasno dać do zrozumienia, że jesteśmy przyczółkiem Ameryki - stwierdziłem stanowczo. - Ostatecznie to też jest wojna, tyle że ekonomiczna. Wiem, że Brytyjczycy czują do nas sentyment, bo pobiliśmy za nich Hitlera, ale realia ekonomiczne znacznie się różnią od tych dyplomatycznych fantazji głoszonych przez polityków, którzy starają się przekonać Rosjan, że Zachód jest zjednoczony. Realia ekonomiczne są takie, że walczymy o władzę nad Anglią, Europą i światem. Nie zawracaj sobie głowy tym gadaniem na temat przyjaźni. Przyszłość to butelka amerykańskiego keczupu na angielskim stole. Chcę mieć najnowocześniejszy lokal, jaki uda ci się zdobyć, najnowocześniejszy sprzęt i, na ile to możliwe, amerykański personel. Chcę, żeby w holu wisiał portret prezydenta, a obok Union Jacka powiewał gwiazdzisty sztandar... - Neil, ty chyba śnisz. Obudź się. Brytyjczycy wcale nie żywią do nas sentymentu. Nie chcą nawet przyznać, że wygraliśmy za nich tę wojnę. Wcale nie zapomnieli, że pozwoliliśmy im samotnie toczyć bitwę o Anglię, a jeżeli jest coś, co dziś doprowadza ich do szału, to właśnie tacy Amerykanie jak ty, którzy uważają, że Ameryka może się sprężyć i w ciągu jednej nocy przekształcić Wielką Brytanię w swojego satelitę. Nie wolno nam nadużywać amerykańskiego "image'u". Musimy postępować cicho, dyskretnie i po dżentelmeńsku. - Czy jest jakieś prawo, które mówi, że nie można być cichym, dyskretnym i dżentelmeńskim - Jezus, jak parszywie to brzmi! - w nowocześnie wyposażonym biurze? Nasze dawne biuro na Milk Street, stary i ohydny relikwiarz epoki wiktoriańskiej, na całe szczęście rozleciało się na kawałki podczas bombardowania, nie mogło więc być mowy o powrocie do niego. Bardzo mnie to cieszyło. Potrzebny nam był nowy styl, poza tym wcale mnie nie wzruszają stare budynki. Po jakimś czasie człowiek ma już dość niesprawnej kanalizacji. Sam jednakże poinformował mnie, że odpowiednia lokalizacja jest ważniejsza od nowoczesnych udogodnień, i po jakimś czasie dowiedziałem się, że wynajął piętro budynku niedaleko Lombard Street. - Ile ta chałupa ma lat? - spytałem podejrzliwie, słysząc, że przetrwała naloty. - Według angielskich norm jest nowa. Zbudowano ją w 1910. - W 1910! Jezu Chryste, jesteś pewien, że nie jest przeznaczona do rozbiórki? Sam próbował mi wytłumaczyć, że ponieważ większość City wciąż jeszcze leży w ruinach, mieliśmy szczęście, że udało nam się znaleźć przyzwoity lokal, lecz mu przerwałem: - Boże, czasami poważnie się zastanawiam, po co zawracamy sobie głowę tą europejską filią - powiedziałem. - Czy to się w ogóle opłaca? Podejrzewam, że Europa i tak jest splukana. Ten boom gospodarczy nigdy w życiu się nie utrzyma. - Cały problem z tobą, Neil, polega na tym, że nigdy nie mieszkałeś w

Europie. Od ostatniego przodka, który się tu wychował, dzieli cię Bóg wie ile pokoleń, i po prostu jej nie rozumiesz. Powi- nienes sobie darować tę płaską amerykańską wizję spustoszonej Europy. Europa zawsze była pusto- szona, to nic nie znaczy! Pustoszyli ją Rzymianie, Attyła, Napoleon i Hitler. Chodzi właśnie o to, że Europa nie traci barw, obojętnie, ile razy jest, jak to ładnie ująłeś, "płukana". Europa trwa. Zainwestuj w nią. I, na miłość boską, daj mi "carte blanche", żebym mógł robić to, co dla Van Zale'a jest najlep- sze. Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie trudne, ale postaraj się nie kierować samochodem z tylnego siedzenia! Obaj chłodno zaśmialiśmy się z tego dowcipu. Dałem mu "carte blanche". Rozłączyliśmy się, zgrzytając zębami. - Naprawdę chciałbym, żebyś się tu do nas pofatygował - powiedział mi Sam po narodzinach syna. - Przystałbyś się martwić o londyńską filię, gdybyś na własne oczy zobaczył, jak dobrze sobie radzimy. - To nie jest kwestia fatygi - odparłem, choć oczywiście była to kwestia fatygi. Człowiek musi włożyć pewien wysiłek w podróż do kraju, w którym nie ma nadziei się zaaklimatyzować. - Natural- nie, że przyjadę! Sądziś, że chciałbym zwlekać z poznaniem nowego członka rodziny? Sam się roześmiał, ja jednak podejrzewałem, iż potajemnie żywił nadzieję, że nigdy nie zmobili- zuję się na tyle, by wyjechać ze Stanów. Wydawał się szczęśliwy, ponownie zostając ojcem, ale byłem ciekaw, jak naprawdę się czuje z dwójką małych dzieci, które wrzeszczą wniebogłosy, dają niańce straszliwy wycisk i mówią do niego "tata". Przypuszczam, że miało to dla niego urok nowości, choć podobnie jak Jake nigdy nie interesował się dziećmi. Zawsze uważałem, że to wielka szkoda. Tymczasem ja dojrzałem do urlopu, nawet jeśli miał to być urlop spędzony w Europie. Od wy- jazdu Sama i Vicky byłem bardzo zapracowany. Śledziłem działalność naftowego lobby w kongresie, uruchomiłem kilka dużych emisji w celu usprawnienia krajowego systemu autostrad, a także uczestni- czyłem w niezliczonych zebraniach Fundacji Sztuk Pięknych Van Zale'a. Z ulgą powitałem pojawienie się Eisenhowera w Białym Domu, z radością - umorzenie tasiemcowego procesu banków inwestycyj- nych przed urzędem antymonopolowym. Zainwestowałem w obraz Kokoschki, który nie podobał się nikomu, nawet Teresie. Wyraźnie już rysował się koniec zamieszania w Korei i wraz z nastaniem po- koju przewidywałem rekordowe zapotrzebowanie na fundusze inwestycyjne. Z pewnością była to od- powiednia pora, żeby nieco odetchnąć, zanim tętno gospodarki znów przyspieszy i wszyscy zacznie- my korzystać z dobrodziejstw nowej administracji, kiedy wszakże w końcu dopuściłem do siebie myśl o wakacjach za oceanem, mało brakowało, a byłbym ją odrzucił. Europa była tak upiornie daleko. Nie mogłem się zdecydować, w jaki sposób mam się tam dostać. Czy powinienem zarezerwować miejsca w jednym z rejsowych samolotów Stratocruiser Speedbirds, które codziennie latały do Londynu? Uznałem, iż podróż powietrzna wcale mi się nie uśmiecha, jeżeli nie znam pilota osobiście. Alicja poddała mi myśl, że rejs oceaniczny mógłby być całkiem przyjemny, kazałem więc asystentowi zamó- wić kabiny na transatlantyckim liniowcu, a kiedy rezerwacja była już zrobiona, powiedziałem, żeby mi kupili wszystkie najnowsze przewodniki po Anglii. Czułem, że muszę się dobrze przygotować do wi- zyty w tym kraju. Żaden Europejczyk nie będzie mnie uważał za amerykańskiego barbarzyńcę pozba- wionego szacunku dla innych nacji. Czytałem pilnie, często nawet do późna w noc. - Wcale mnie nie cieszy myśl o tej podróży - zwierzyłem się wreszcie Alicji. - Szkoda, że nie je- dziemy do Bar Harbor, jak zwykle. - Ależ, Korneliuszu, pomyśl, jak cudownie będzie znów zobaczyć Vicky! - Tak - odparłem - ale w Europie nigdy nie spotkało mnie nic dobrego. Przypomniła mi się po- przednia wizyta w 1940 roku, kiedy to zostałem przechytrzony przez Dinę Slade. - Mam paskudne przeczucie - dodałem - że jak tylko postawię stopę na angielskiej ziemi, zdarzy się nieszczęście. - Nonsens! - stwierdziła stanowczo Alicja, po czym zaczęła mówić o apartamencie zarezerwo- wanym dla nas na pokładzie statku. Miałem wrażenie, że nie może się już doczekać wyjazdu, choć do Europy nie żywiła cieplejszych uczuć niż ja. Najwyraźniej podniecała ją myśl o podróży. - A więc będziesz dzielił kajutę z żoną! - powiedziała Teresa, kiedy wreszcie ujawniłem jej kilka

szczegółów dotyczących mojego wyjazdu. - Świetnie! A ja pewnie mam się z wdziękiem usunąć na bok i machać ci chusteczką, kiedy będziesz odpływał w drugi miesiąc miodowy! - Ależ nic takiego się nie stanie! - zaprotestowałem, mile polectany tą zaborczą demonstracją. - Rzecz jasna dla zachowania pozorów musimy spać w jednej kabinie, ale będziemy mieli oddzielne łóżka. - Doprawdy? - wycedziła Teresa. - No cóż, wobec tego baw się dobrze, a jeżeli po powrocie nie rzucisz się na mnie już w progu, zacznę w tym węszyć jakiś grubszy szwindel! - Będę o tym pamiętał! - obiecałem, zadowolony jak nigdy, i zaraz pomyślałem: Jakie to szczęście, że jesteśmy ze sobą już ponad cztery lata, a wciąż się nam tak dobrze układa. Od czasu do czasu zastanawiałem się, czy mnie nie zdradza, zawsze jednak pocieszałem się myślą, że przy swoim bałaga- niarstwie nie byłaby w stanie na dłuższą metę ukryć niewierności. W każdym razie zawsze zachowywała się tak, jakby mnie lubiła. Ja też z biegiem lat coraz bardziej się do niej przywiązywałem. - Do zobaczenia, Tereso - powiedziałem ostatniego wieczoru przed wyjazdem. - Bądź tu grzeczna. - Ty też, aniołku. Żadnych skoków na boki! Pocałowaliśmy się z godną podziwu namiętnością i tak się rozstaliśmy. Westchnąłem. W dali majaczyła Europa, chłodna i niegościnna niczym góra lodowa. Starając się nie myśleć, że jestem tak samo skazany na spotkanie z tą górą jak "Titanic", podreptałem z powrotem do domu i poszedłem do łóżka z najnowszym numerem londyńskiego "Timesa". Rozdział czwarty Alicja podróżowała tylko w towarzystwie pokojówki, ja natomiast zabrałem ze sobą dwóch sekretarzy, lokaja i członka obstawy. Lubię być osłaniany przed mniej przyjemnymi aspektami podróży, a gdy sekretarze załatwiali wszystkie nużące drobiazgi, lokaj dbał o to, by moja odzież prezentowała się zawsze nienagannie, ochroniarz zaś zapobiegał niepożądanym najściom dziennikarzy, żebraków albo zwykłych ciekawskich, rejs do Europy przebiegał bez zakłóceń. Los zaoszczędził nam również zakłopotania. Martwiłem się, że sypianie ze mną w jednej kajucie dla zachowania pozorów będzie dla Alicji udręką, jednakże apartament był tak przestronny, a bliźnia- cze łóżka stały tak daleko od siebie, że skrępowanie wkrótce się rozwiąło. Poczułem się nawet szczęśliwy: po latach sypiania w oddzielnych pokojach czułem bolesne podniecenie na myśl, że znów będę blisko Alicji. Naturalnie wiedziałem, że nie wolno mi jej niepokoić jakąkolwiek bezmyślną propozycją, ale mogłem się do woli przyglądać, jak szcztokuje włosy albo nakłada makijaż, i podziwiać jej urodę. Miałem wrażenie, że widzę ją po długiej nieobecności, a im bardziej oddalaliśmy się od Nowego Jorku, tym bardziej nierealna wydawała mi się myśl, że mogłem ochoczo zdradzać ją z inną kobietą. Na szczęście liniowiec zawinął do Southampton, zanim moje rojenia o cudownym pojednaniu wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem, lecz Alicja chyba wyczuła, że jestem szczęśliwy będąc blisko niej, bo jej zwykła chłodna uprzejmość przybrała mniej oficjalne cieplejsze tony. Mówiłem Vicky, że nie musi po nas przyjeżdżać, Southampton bowiem jest nieco oddalone od Londynu, mimo to naturalnie stawiała się na nabrzeżu wraz z Erikiem, nianią i niemowlęciem. Paul Cornelius Keller był ciemny i ponury. Z ulgą odwróciłem się do Erica. Miał teraz trzy lata i wyglądał kropka w kropkę jak Vicky, ale zrobił się strasznie nieśmiały i trudno było wyciągnąć z niego choć słowo. - Przechodzi teraz taki okres - powiedziała zmieszana Vicky. - Jasne, rozumiem - przytaknąłem, ponieważ jednak oczekiwałem wylewnego powitania, mimo woli poczułem rozczarowanie. - Co słyhać u Sama? - O, wszystko w jak najlepszym porządku! Powiedział, że bardzo mu przykro, że nie mógł cię tu powitać, ale ma pewne bardzo ważne spotkanie... - No cóż, to oczywiste, interesy przede wszystkim! - stwierdziłem, choć nie spodobało mi się, że Sam wyłamał się z komitetu powitalnego. Moi asystenci zamówili dwie limuzyny, które miały nas zawieźć do Londynu, lecz ja wsiadłem z Vicky do nieśmiertelnego mercedesa-benza Kellerów. Na co dzień Sam używał daimlera, żeby zrobić wrażenie na swoich klientach z City. Ostrożnie przyjrzałem się Anglii zza solidnych szyb mercedesa, a kiedy już opuściliśmy Southampton i zagłębiliśmy się w wiejski pejzaż Hampshire, poczułem, jak wzbiera we mnie owo doskona- le mi znane napięcie, doprowadzając moje nerwy do granicy

wytrzymałości. Chcąc opisać je możliwie najdokładniej, musiałbym powiedzieć, iż jest to uczucie swego rodzaju nagości - nagości żołnierza idącego do ataku na baterię ciężkiej artylerii. Patrzyłem na zadbane pola i małe dziwaczne wioski i czułem się nie tylko cudzoziemcem, lecz człowiekiem pozbawionym tożsamości, która ożywiała mnie w Nowym Jorku. W Nowym Jorku byłem kimś wyjątkowym - Korneliuszem Van Zale'em, słynnym bankierem i filantropem. Tutaj stawałem się nikim, banitą na ziemi tak mi obcej jak druga strona księżyca. Znowu czułem się niczym nastolatek nękany kompleksem niższości, przerażony, że ludzie będą się z niego śmiać albo okazywać mu zdawkową pogardę. Powrócił też gniew, który tak dokładnie pamiętałem z lat młodości. Ten sam głos w mojej głowie powiedział: "Nikt nie będzie bezkarnie się ze mnie naśmiewał". Mijaliśmy jakieś miasteczko. Spojrzałem przez okno na Brytyjczyków i pomyślałem: "Ja im pokażę!" - Czyż Anglia nie jest piękna? - rzekła z westchnieniem Vicky. - Przyjemnie pomyśleć, że pochodzi stąd większość naszych przodków, nie sądzisz? - Tak - odparłem, lecz nie potrafiłem sobie wyobrazić moich przodków w jakimkolwiek kraju oprócz Ameryki. W ogóle nie potrafiłem sobie wyobrazić moich przodków. Jedyнным przodkiem, który kiedykolwiek mnie interesował, był mój ojciec, nim zaś interesowałem się wyłącznie dlatego, że w piekle zgotowanym mi przez terażniejszość przeszłość jawiła się jako mająca coś do zaoferowania. Myliłem się. Przeszłość była pusta. Mój ojciec zapewne był dostatecznie wytrwały, by rozbudować swoje małe poletko w ogromne i doskonale prosperujące gospodarstwo rolne, miał dość tupetu, by wziąć sobie za żonę pannę z wyższych sfer, i dość uporczywości, by znieść ciężar dezaprobaty Van Zale'ów. Możliwe nawet, że należał do ludzi, z którymi łatwo mógłbym się porozumieć. Ale jaki był z tego pożytek, skoro umarł, gdy miałem cztery lata? Jeszcze przed wojną kupiłem fermę, która kiedyś była jego własnością, w nadziei, że jego pamięć stanie mi się przez to bliższa. Niepotrzebnie traciłem czas. Przeszłość umarła, została pogrzebana i zaorana, a gdybym wmawiał sobie coś innego, popuszczałbym tylko wodzy fantazji. - Naprawdę podoba ci się Anglia, Vicky? - Och, tak, tatusiu! Wszystko jest tu takie cywilizowane i takie arystokratyczne, a ja po prostu uwielbiam całą tę tradycję i... Udało mi się powstrzymać od komentarza, chociaż ogarnęło mnie niewysłowione przygnębienie. Miałem nadzieję, że Vicky zaczęło już doskwierać nowe otoczenie, najwyraźniej jednak chciałem zbyt wiele i zbyt szybko. Moja depresja jeszcze się pogłębiła, gdy dotarliśmy do Londynu. W tym mieście jest coś, co przywodzi na myśl senny koszmar - szare ulice ciągnące się w nieskończoność we wszystkich kierunkach, wielkie wyniosłe budynki, niesamowicie wypielęgnowane parki, nieprzyjaźni mieszkańcy mówiący po angielsku w całej gamie zupełnie niezrozumiałych akcentów. Londyn przypomina wyrafinowany labirynt zaprojektowany dla minotaura, którego umiłowanie porządku graniczy z obsesją. Pomyślałem o Nowym Jorku, o ciasnym przytulnym Manhattanie tryskającym życiem i kolorem, o lśniących drapaczach chmur, pomiędzy którymi można dostrzec skrawki migoczącej wody, o widokach ujmujących geometryczną prostotą, i zanim jeszcze dotarliśmy do hotelu Savoy, już tak bardzo tęskniłem za domem, że nie chciało mi się wysiadać z samochodu. Wziąłem się w garść. Teraz najważniejsze było zrobienie dobrego wrażenia, ponieważ w oczach personelu Savoya byłem jedynie kolejnym amerykańskim turystą, który niekoniecznie wie, jak należy się zachować przy ludziach. Dziękowałem Bogu, że podróżuję konwojem złożonym z dwóch rollsów i mercedesa w towarzystwie pięciorga służby, pięknej żony i góry skórzanych walizek w najlepszym gatunku. Anglicy już na pierwszy rzut oka mogli stwierdzić, że nie jestem żadnym oberwańcem z Kalifornii lub co gorsza jakimś świeżo wzbogaconym na bydle teksańskim baronem w dziesięciogalonym kapeluszu. Zerknąłem szybko na swój czarny garnitur. Strzepnąłem mankiety, ukryłem zdenerwowanie za beznamietną maską i przygotowywałem się do tego, by reprezentować swój kraj z możliwie jak największą godnością. Moi asystenci odwalili kawał dobrej roboty. W holu powitano mnie z wszelkimi honorami, a następnie zaprowadzono na górę do gigantycznego

apartamentu z widokiem na rzekę. Wszędzie stały kwiaty. W srebrnym kubelku z lodem chłodziła się nieodzowna butelka szampana. Zostałem też przedstawiony obsługującemu piętro kelnerowi, który mnie zapewnił, iż zrobi wszystko, co konieczne, by zadowolić moje podniebienie. - Dziękuję bardzo - odparłem z kamienną twarzą, żeby dać im do zrozumienia, iż wielkie euro-pejskie hotele nie są dla mnie nowością, po czym skinąłem na sekretarza, który zaczął rozdawać na-piwki. Nastrój trochę mi się poprawił. Savoy potwierdził, że jestem znacznym gościem, i powoli świtała mi nadzieja, że moja nowojorska tożsamość może znów znaleźć się w zasięgu ręki. Spostrzegłem aparat telefoniczny i podniosłem słuchawkę. To sprawiło, że poczułem się jeszcze lepiej. Wykręcając numer, odniosłem wrażenie, że choć moja moc została czasowo wyłączona jak prąd elektryczny, wkrótce znów popłynie bez przeszkód. - Zostawię was, żebyście się zadomowili - powiedziała Vicky, kiedy odłożyłem słuchawkę po rozmowie z Samem - ale bardzo was proszę, przyjdźcie do nas, jak tylko będziecie gotowi, dobrze? Eric nie może się doczekać, żeby pokazać wam swój pokój! Przeprowadziłem jeszcze kilka rozmów z ludźmi, z którymi łączyły mnie kontakty zawodowe, wyłącznie po to, by zwiększyć woltaż płynącego mi w żyłach prądu. Kiedy skończyłem, poczułem, że znów jestem sobą. Do tego stopnia, że żal mi było odchodzić od telefonu. Pod wpływem nagłego impulsu powiedziałem do sekretarza: - Przynieś mi ostatni list, który dostałem od siostry. Sekretarz klusem pobiegł po list. - Do kogo dzwonisz, Korneliuszu? - zawołała Alicja z jednej z sypialni. - Obiecałem Emily, że skontaktuję się z jej angielskimi pasierbami. Pomyślałem, że najlepiej od razu mieć to z głowy. Odnalazłem numer telefonu w Cambridge i poleciłem sekretarzowi połączyć się z nim. Alicja stanęła w drzwiach. - Może powinniśmy się z nimi spotkać, skoro już tu jesteśmy? - A po co, u licha? Nie kontaktowali się z nami przez pięć lat. Nie chciałem się skarżyć przed Emily, która bez przerwy obnosi się z sympatią do nich, ale muszę przyznać, że oburzyła mnie ich niewdzięczność. - Powinieneś jej o tym powiedzieć. Może Emily sprawia przyjemność zabawa w męczennicę piastującą dzieci splodzone przez jej męża z inną kobietą, ale nie widzę powodu, dla którego ty miałbyś iść w jej ślady. - I tak nie doszliśmy ze sobą do ładu w związku z tym, że tak uparcie kanonizuje pamięć Steve'a. Nie chciałem jeszcze pogarszać sprawy, wyklócając się z nią o te dzieci. - Jest połączenie, proszę pana - wtrącił sekretarz i dodał: - Halo? Czy zastałem pannę Elfrydę Sullivan? Będzie mówił pan Korneliusz Van Zale. Dziękuję, proszę się nie rozłączać - po czym przekazał mi słuchawkę. Przybrałem ton neutralny. - Elfryda? - Tak. - Ta monosylaba zabrzmiała obojętnie i bezkompromisowo. - Dzień dobry, jak się masz? - powiedziałem, starając się zachować neutralny ton, co przychodziło mi z coraz większym trudem. - Właśnie spędzam wakacje w Londynie, a Emily prosiła mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Jak się miewają Edred i George? - Dobrze. - No, to świetnie. Czy mam coś przekazać Emily? - Nie. Nagle zdałem sobie sprawę, że uwikłałem się w bardzo nieprzyjemną rozmowę. - Widziałaś się może ostatnio z Vicky? - spytałem. - Nie wspominała o tobie, ale zakładam, że byliście w kontakcie. - Nie. - O! Czy jest jakiś szczególny powód? - Tak. - Tak? A jakież to? - Zabił pan mego ojca - powiedziała Elfryda Sullivan i odłożyła słuchawkę. 2 Oczywiście niczego takiego nie zrobiłem. Steve Sullivan zginął w wypadku. Kiedy w 1939 wydałem Samowi ostateczny rozkaz, nie powiedziałem: "Zabij go". Powiedziałem... No cóż, nieważne, co dokładnie mówiłem. Steve prześladował mnie od lat i nie miałem wyboru. Musiałem się postarać, żeby jego kariera, którą rzucił na szalę w wojnie ze mną, legła w gruzach. To nie moja wina, że nie był w stanie żyć dalej po tym, jak z Samem dowiedliśmy światu, że jest niezrównoważonym alkoholem, który był leczony w jednej z najbardziej znanych londyńskich klinik odwykowych. "Załatw go - powiedziałem wtedy do Sama. - Mówię poważnie. Załatw go raz na zawsze." Pamiętam roztrzęsiony głos Sama, który zadzwonił do mnie zza oceanu. "Kiedy Steve zobaczył to zdjęcie i zrozumiał, że jest skończony, wypił butelkę whisky i wsiadł do samochodu, żeby mnie dopaść w Londynie..." Do dziś nie pozostał przy życiu nikt, kto dokładnie wiedział, jak

to było ze Steve'em w 1939 roku, nikt oprócz Sama i mnie - oraz najwyraźniej Elfrydy Sullivan. Nagle uświadomiłem sobie, co naprawdę oznacza ten przerażający fakt. Skąd o tym wiedziała? Od jak dawna? I kto mógł jej o tym powiedzieć? - Co słysząc u Elfrydy? - zawołała z sypialni Alicja. - Wszystko w porządku. Byłem tak wstrząśnięty, że słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Olbrzymim wysiłkiem zmusiłem się do tego, żeby usiąść i zacząć porządkować znane fakty w jakiś spójny system. Możliwe, iż po śmierci Stevena jego żona Dina rozgłosiła wszem wobec prawdziwe okoliczności tego wypadku, aczkolwiek wszystko zdawało się dowodzić, iż wiedziały o nich tylko nieliczne osoby. Gdyby Dina narobiła hałasu, na pewno bym o tym usłyszał, ponieważ jednak nic do mnie nie do- tarło, doszedłem do wniosku, że jest nazbyt przygnębiona, by jeszcze pogłębiać swój ból urządzaniem nieprzyjemnych publicznych scen. Być może nawet była tak rozżalona, że nie miała ochoty rozmawiać o śmierci Steve'a także z najbliższymi, ale to była już czysta spekulacja. Jednego byłem pewien: po śmierci Diny pod Dunkierką całą prawdę znały tylko dwie osoby. Jedną z nich był Alan Slade, owoc jej słynnego romansu z Paulem Van Zale'em w latach dwudziestych, drugą zaś jeden z synów Steve'a, Tony Sullivan, młodszy brat Scotta. Byłem w tym czasie w Anglii i spotkałem się z nimi w Londynie. Emily zadeszowała do mnie, że chętnie zajmie się trójką małych dzieci Steve'a i Diny. Alan i Tony byli jeszcze bardzo młodzi i wy- dawało się wątpliwe, czy zdołają zapewnić właściwą opiekę przyrodniemu rodzeństwu, propozycja Emily była więc dla nich najrozsądniejszym wyjściem. Alan odniósł się do niej niechętnie. Drażniła go myśl, że dzieci wyjadą ze mną do Stanów. Jednakże Tony, który podobnie jak Scott został wychowa- ny przez Emily po śmierci matki, przekonał go, że Emily jest niedoścignioną macochą. Ostateczną zgodę poprzedziła bardzo nieprzyjemna rozmowa, a gdy doszliśmy wreszcie do po- rozumienia, Tony dalej się upierał, żeby powiedzieć dzieciom, iż to ja jestem odpowiedzialny za śmierć ich ojca. Rozpętała się straszliwa awantura zakończona dopiero moim rozsądnym stwierdze- niem, że dzieci nie zgodzą się jechać ze mną do Stanów, jeśli będą mnie uważały za mordercę, i że w ogóle byłoby o wiele lepiej na razie nie poruszać tematu śmierci ich ojca. Tony, który pod wieloma względami był głupi, jak muł obstawał przy tezie, że dziesięcioletnie bliźniaki są już na tyle duże, by usłyszeć prawdę. Alan, o wiele inteligentniejszy, dostrzegł jednak logikę w moim rozumowaniu i w końcu obaj zgodzili się na razie zachować milczenie. Tony i Alan zginęli w 1944 roku i, o ile się orientowałem, przed śmiercią żaden z nich nie roz- mawiał o mnie z Edredem, Elfrydą ani George'em. Dzieci, wychowywane przez Emily z jej wrodzo- nym talentem, przez cały okres pobytu w Ameryce były dla mnie grzeczne, a nawet po powrocie do Anglii chętnie przyjeżdżały na dwumiesięczne wakacje do mojej letniej posiadłości w Bar Harbor. Kiedy wszakże w styczniu czterdziestego ósmego roku bliźniaki skończyły osiemnaście lat, zwróciły czek, który posłałem im na urodziny, i od tej pory nie odezwały się do mnie ani słowem. W owym czasie byłem zaskoczony tak nieuprzejmym postępkim, choć szczerze mówiąc zawsze uważałem, że trudno się z nimi porozumieć, poza tym osiemnaście lat to wiek, w którym młodzież zwykle zachowu- je się ekscentrycznie. W istocie przemknęło mi przez myśl, że mogły odkryć prawdę o śmierci ojca, lecz odrzuciłem ten pomysł, byłem bowiem przekonany, że nikt im o tym nie powiedział. Było to nie- możliwe. A jednak tak właśnie musiało się stać. Ciśnienie wzrosło mi na tyle, że wezwałem sekretarza. - Połącz mnie z moją siostrą w Velletrii w stanie Ohio. Odnalezienie Emily zajęło trochę czasu, w końcu jednak słuchawka znalazła się w mojej dłoni. - Korneliuszu? Dlaczego dzwonicz, kochanie? Czy coś się stało? - Emily, co powiedziałaś po wojnie angielskim Sullivanom o moich nieporozumieniach z ich oj- cem? - O twoich nieporozumieniach z... naturalnie, że nie! W ogóle nie mówiłam im o niczym, co nie było powszechnie wiadome. Powiedziałam tylko, że wynikła pomiędzy wami różnica zdań, skutkiem której Steve odszedł od Van Zale'a i otworzył nową firmę w Londynie. Korneliuszu, o co ci chodzi? Zdaje się, że jesteś bardzo zdenerwowany. Co się stało? - Właśnie przed chwilą Elfryda oskarżyła mnie o zamordowanie

jej ojca. W słuchawce zaległa głucha cisza. - To oczywiście oszczerstwo - dodałem - i spróbuję się dowiedzieć, kto za tym stoi. Mam wrażenie, że Elfyda jest o tym przekonana od czasu swoich osiemnastych urodzin, ale w styczniu 1948 roku nie żył już nikt, kto mógłby mieć ochotę podać jej tak przewrotną wersję wydarzeń. Chyba że ty sama wyciągnęłaś z przeszłości jakieś niefortunne wnioski i bez porozumienia ze mną napisałaś wtedy do bliźniaków... - Nic podobnego! Zanim moje zdumienie jeszcze się nasiliło, poczułem głęboką ulgę. - Napiszę do Elfydy - rzekła stanowczo Emily. - Bardzo mnie zmartwiłeś. Nienawiść to takie destrukcyjne uczucie. Elfyda na pewno cierpi. To było dla niej typowe. Jak zwykle umknęła jej istota problemu, a zamiast tego zaczęła się rozdrabniać nad stroną moralną. Nie interesowały mnie skutki nienawiści. Nie obchodziło mnie nawet, czy trójka najmłodszych dzieci Steve'a Sullivana mnie nienawidzi, czy też nie. Niepokoił mnie fakt, że Steve był także ojcem Scotta. Jeżeli ktoś podsunął Elfydzie zupełnie nowy pogląd na przeszłe sprawy, cóż ją mogło powstrzymać przed podzieleniem się nim z przyrodnim bratem w Nowym Jorku? I jak miałem zapobiec temu, by Scott jej uwierzył i zwrócił się przeciwko mnie? Rzecz jasna, wpołem w niego moją opinię na temat całej tej sprawy, ale gdyby się dowiedział... Odsunąłem od siebie myśl o tym, o czym Scott nie powinien się dowiedzieć, i otarłem pot z czoła. - Emily, ty nic nie rozumiesz. Posłuchaj... - Przrzekam ci, zrobię co w mojej mocy i postaram się skłonić Elfydę, żeby ci wybaczyła. Co prawda w przeszłości postąpiłeś źle, ale przecież robiłeś wszystko, by naprawić krzywdy, a poza tym nie do nas należy osądzanie bliźnich. Należy to zostawić w rękach Boga. Byłem tak osłupiały, że nawet nie pomyślałem, aby odłożyć słuchawkę i odciąć się od tych teologicznych wynurzeń. - O czym ty, u licha, mówisz?! - "Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni..." - Emily najspokojniej w świecie zaczęła cytować Biblię. - Nie, nie o to mi chodzi! Co to za insynuacje na temat rzekomych krzywd, jakie wyrządziłem w przeszłości? Na litość boską, czy ciebie też ktoś podbechtał przeciwko mnie? Nikomu nie zrobiłem krzywdy, Emily! Przyznaję, że wojna ze Steve'em przybrała drastyczne formy, ale przecież to on ją zaczął! Ja tylko działałem w samoobronie! Odpowiedział mi szum w kablu transatlantycznej linii. - Emily! - Słucham cię, mój drogi. - Co tu się w ogóle dzieje? Kto z tobą rozmawiał? Kto mnie oczernia? Kto... - Skoro uważasz się za niewinnego, dlaczego wpadasz w taką panikę? - Nie wpadam w żadną panikę! Po prostu... No cóż, prawdę mówiąc, niepokoję się o Scotta. Nie chciałem, żeby dotarły do niego histeryczne oskarżenia Elfydy. Sama wiesz, jak bardzo wazjennie się lubimy. To mogłoby stworzyć między nami niezdrową atmosferę. - O, wcale nie musisz się martwić o Scotta - powiedziała Emily, po czym czując, że stwierdzenie to wymaga wyjaśnienia, dodała po krótkiej przerwie: - Twój stosunek do niego pokazuje cię z najlepszej strony, Korneliuszu. Byłam dumna, widząc, jak się nim zająłeś, kiedy był zagubionym czternastoletnim chłopcem, i jaki sukces odniosłeś w jego wychowaniu. Ty także możesz być z tego dumny. Ten epizod zasługuje jedynie na pochwałę. Poczułem przypływ wstydu, tak nieoczekiwany i gwałtowny, że odjęło mi mowę. Pomyślałem: "Tak właśnie powinno być. Ale czy rzeczywiście tak było?" A potem przyszła mi do głowy jeszcze jedna nieznośnie wyraźna myśl: "Ależ narozrabiałem w swoim życiu osobistym. Chryste, przecież byłem taki nieszczęśliwy, nadal jestem taki nieszczęśliwy..." Odciałem się od tej myśli. Zatrzasnąłem drzwi przed świadomością tego, czego nie mógłbym wyrazić słowami, i zapaliłem lampę swoich odruchów samozachowawczych, przygotowując się do ponownego zajęcia ogrodzonej stalowymi sztabami celi, którą zbudowałem dla siebie w przeciągu tych lat. - Owszem, jestem dumny ze swojej przeszłości. Nie zrobiłem niczego, czego mógłbym się wstydić. W życiu to Bóg rozdaje karty, a człowiek stara się wygrać najlepszy kontrakt, jaki w tych warunkach może wylicytować. To nie moja wina, że od czasu do czasu dostawałem do ręki same blotki. - Tak, kochanie - Emily odchrząknęła. - Ucałuj ode mnie Vicky i Sama, dobrze? No i oczywiście chłopaczków! Powiedz Vicky, że nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie przyśle mi jakieś zdjęcie Paula. Chyba się nie martwią, że to nie dziewczynka? Nawet się nie

trudziłem, żeby jej odpowiedzieć. Któż mógłby czuć się zawiedziony, mając dwóch synów? Pożegnałem się z Emily i dopiero gdy odłożyłem słuchawkę, przyszło mi do głowy, że wciąż nie mam pojęcia, kto mógł rozmawiać z Elfydą o mojej przeszłości. Nie potrafiłem przestać o tym myśleć. Rozwazałem tę tajemnicę pod każdym kątem, aż wreszcie moje podejrzenia nieuchronnie zaczęły się koncentrować wokół Tony'ego Sullivana. Pamiętałem, jak wytrwale upierał się przy tym, że dzieci powinny znać prawdę. Zaopiekowałem się Tonym w 1933 roku, czyli w tym samym czasie gdy zająłem się Scottem. Nigdy jednak nie mogliśmy się porozumieć. W końcu Tony całkowicie się ode mnie odwrócił i odpłynął do Anglii do ostatniej rodziny swego ojca. Steve wtedy już nie żył, ale Dina przyjęła go z otwartymi rękami. Zamieszkał z nią, Alanem i trójką małych dzieci Steve'a w Mallingham w hrabstwie Norfolk, gdzie ród Diny miał swą siedzibę od stuleci. Scott, nieugięty lojalny wobec mnie, poróżnił się wtedy z Tonym, a po jego wyjeździe bracia pozostali skłócony i więcej się już nie spotkali. Nie będę zaprzeczał, że sprawiło mi to wielką ulgę. Wiedziałem, co usłyszy na mój temat Tony, gdy tylko zacznie nowe życie w Mallingham. Myśl o Tonym nie budziła we mnie żadnych emocji, te wygasły już dawno temu. W 1931 roku zaraził mnie świnką, tą idiotyczną dziecięcą chorobą, która miała zaćmić całe moje życie. Od chwili gdy się dowiedziałem, że jestem bezpłodny, jego widok wciąż mi o tym przypominał. Nie znaczy to, że go winię - w końcu trudno było obciążać go winą - ale przy nim nie mogłem zapomnieć. Był żywym przypomnieniem. Do tego wyglądał zupełnie tak samo jak Steve. I znów zaczęła działać pamięć. W ogóle za dużo mi przypominał. Poza tym miałem niesamowite wrażenie, że los wybrał go na moją Nemezis. To dziwne, lecz prawdziwe: istnieją ludzie, których ścieżki bez przerwy krzyżują się z twoimi, czego efekty czasami są błogosławione, a czasami katastrofalne. W moim wypadku Tony Sullivan zawsze działał jak katalizator nieszczęścia. Wieczorem nie mogłem zasnąć. Myślałem: Za tym wszystkim musi w jakiś sposób kryć się Tony. Ale jak? Zginął w 1944. A może wciąż żyje? Może udało mu się uratować? Obóz jeniecki... amnezja, z której dopiero teraz się wyleczył... powrót do Mallingham... Sen litościwie położył kres tym neurotycznym fantazjom, lecz następnego ranka obudziłem się i znów zacząłem się martwić. Przez cały dzień powtarzałem sobie bez ustanku: Przeszłość jest martwa. Przeszłość nie może mnie już osiągnąć. I wtedy wybuchła bomba. Elfyda osobiście przybyła do Savoyu i oznajmiła, że chce się ze mną widzieć. 3 Przebierałem się właśnie do kolacji. Sam i Vicky mieli po nas przyjść i zabrać nas do teatru. - W holu jest niejaka panna Sullivan, proszę pana - oznajmił jeden z moich sekretarzy. - Pyta, czy może wejść na górę. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć "nie", ale to, co z nich wyszło, brzmiało: "Porozmawiam z nią". Musiałem dotrzeć do sedna tej tajemnicy, zanim wyjadę z Anglii. Mogłem się co prawda pocieszać, że nikt nie jest w stanie niczego dowiedzieć, a Scott prędzej uwierzy mnie niż Elfydzie, lecz po prostu nie chciałem go niepokoić. Wziąłem od sekretarza słuchawkę i odezwałem się życzliwie: - A, to znowu ty? Mam nadzieję, że nie zamierzasz dalej bawić się w prokuratora. Jakiego oskarżenia mam się dzisiaj spodziewać? - Chcę z panem porozmawiać o Mallingham - powiedziała Elfyda. W 1922 roku stary dom Diny Slade przeszedł na własność Paula, a po jego śmierci cztery lata później dostał się mnie jako jego spadkobiercy. Sam dom był wypaloną ruiną, ziemia jednak należała do mnie. Nosilem się z zamiarem, żeby zrzec się jej na dobro rządowego funduszu powierniczego, ponieważ leżała na obszarze, na którym miał powstać rezerwat przyrody, ale jakoś nigdy nie udało mi się zmobilizować na tyle, by wydać odpowiednie polecenia prawnikom. Starłem się nie myśleć o Mallingham, gdyż wtedy nieuchronnie zaczynałem myśleć o Dinie, Stevenie i całej serii wypadków, o których rozsądniej było zapomnieć. Teraz także nie chciałem o tym myśleć. - Posłuchaj, Elfydo, jestem zapracowanym człowiekiem i nie mam ochoty marnować czasu, grzebiąc się wraz z tobą w przeszłości... - Mam zamiar mówić o przyszłości. Przyszło mi na myśl, że chce odzyskać swój dawny dom. Nagle pojąłem, w jaki sposób mogę ją uciszyć, zneutralizować zagrożenie, które sobą przedstawiała. - Dobrze, wejdz -

powiedziałem i gwałtownie odłożyłem słuchawkę. 4 Była wysoka i koścista, raczej w męskim typie. Jasne wijące się włosy miała krótko obcięte, a sposób, w jaki się ubierała, z góry wykluczał wszelkie podejrzenia o kokieterię. Jej oczy miały od- cień jasnego błękitu. Zdażyłem już zażyć dwie pastylki przeciw astmie i oddychałem równo. Pozbyłem się z aparta- mentu wszystkich oprócz Alicji i jej pokojówki. Wychodząc do przedpokoju, żeby otworzyć drzwi, słyszałem, jak rozmawiają w oddalonej sypialni. Elfryda miała dwadzieścia trzy lata. Ukończywszy literaturę angielską na uniwersytecie w Cam- bridge, studiowała jeszcze przez rok, żeby uzyskać dyplom nauczycielski, a następnie zaczęła się sta- rać o posadę w prywatnej szkole w pobliżu Cambridge. Jej bliźniaczy brat Edred uczył muzyki w tej samej szkole, ale zgodnie z tym, co słyszałem od Emily, usiłował się dostać do orkiestry. Młodszy George kończył w tym roku szkołę z internatem, a na jesieni miał rozpocząć studia w jednym z now- szych angielskich uniwersytetów. Emily mówiła mi, co ma zamiar studiować, lecz zapomniałem. Ża- łowałem, że nie mogę w ogóle raz na zawsze zapomnieć o angielskich Sullivanach, o Europie i w ogó- le o wszystkich i wszystkim, co znajduje się na wschód od stanu Maine. Otwarłem drzwi i wpuściłem ją do środka. - No, dobrze - powiedziałem, prowadząc ją do salonu, lecz nie prosząc, żeby usiadła. - Właśnie wychodziłem, ale chyba mogę ci poświęcić minutę lub dwie. Powinnaś była wcześniej zadzwonić, że- by się ze mną umówić. W czym problem? Chcesz odzyskać posiadłość w Mallingham? Planowałem ją przekazać na rzecz National Trust, ale jeśli ci na tym zależy, mogę podarować ją tobie. Wystąpiłbym z tą propozycją już wcześniej, ale po tym, jak ty i Edred rozmyślnie zerwaliście ze mną wszelkie kon- takty... - Dziękuję - przerwała mi gładko Elfryda. - Przyjmuję pańską ofertę. To bardzo miło z pana strony. A skoro już o tym mowa, może mi pan wypisać czek na milion dolarów. Zatrzęsło mnie. To nie była zwyczajna prośba o pieniądze. Byłem przyzwyczajony do takich prośb ze strony ubogich. Nie chodziło też o fantastyczną wysokość kwoty; ubodzy często tracą kon- takt z rzeczywistością. Tym, co mną najbardziej wstrząsnęło, był ton słusznej zemsty, implikacja, że jestem jej winien tę wielką sumę, która miała jej wynagrodzić równie wielką krzywdę. Wstrząsnęła mną przeszłość, która nagle wyrwała się z zaplombowanej trumny, grożąc, że wszystko powtórzy się od nowa. Matka Elfrydy, Dina Slade, zażądała ongiś od mojego wuja, Paula Van Zale'a, dziesięciu ty- sięcy funtów. - Milion dolarów? - powtórzyłem. Wiedziałem, że powinienem roześmiać się i zawołać: "Chyba żartujesz!", lecz zdołałem tylko wyjąkać: - O czym ty, u diabła mówisz? - Chcę otworzyć szkołę - odparła Elfryda, nie tracąc nawet na moment błogiej pewności siebie. - Postanowiłam odbudować Mallingham Hall, przywracając mu w miarę możliwości dawny kształt, i przekształcić go w szkołę z internatem dla dziewcząt. Chcę nadać jej imię mojej matki. Bardzo żywo interesowała się edukacją kobiet. - Rozumiem - odzyskałem panowanie nad sobą. - Idea godna pochwały! - Zabrzmiało to zbyt ślisko, zbyt nieszczerze. Uderzyłem w inny ton, lepszy, bardziej stanowczy, ton filantropa, który z ca- łego serca pragnie wspierać wartościowe pomysły. - No cóż - powiedziałem łagodnie. - Jak wiesz, prowadzę szeroką działalność dobroczynną i od wielu lat sporą część swych dochodów przeznaczam na fundusz edukacyjny. Nie widzę powodu, dla którego miałbym odmówić ci pomocy, ale oczywiście oboje musimy do tego podejść rozsądnie. Nie mogę ot, tak usiąść i wypisać ci czeku na sumę, która wydaje mi się mocno przesadzona. - Jest mi pan winien każdego centa tej sumy! - Nie sądzę - odparłem jeszcze łagodniej. - Kiedy zostaliście osieroceni, zrobiłem dla was, co tylko było w mojej mocy, a mimo twoich niedawnych wysiłków, żeby mnie obrazić, nadal jestem zde- cydowany ci pomóc, kontaktując cię z doradcami prawnymi Van Zale'a w Londynie i funduszem edu- kacyjnym w Nowym Jorku. Zapadła cisza. Dokonałem błyskawicznej kalkulacji. Oczywiście wszystko da się potracić z po- datku. Moi księgowi będą zachwyceni, ja też. Koszt netto będzie minimalny, a w zamian zyskam sa- tysfakcję, że unieszkodliwiłem na stałe najbardziej niebezpieczną z angielskich Sullivanów - ugłaska- łem ją chrześcijańskim miłosierdziem. Nawet Emily byłaby ze mnie dumna. Elfryda miała podejrzliwą minę. Może

brakowało jej doświadczenia w wielkim świecie, z pewnością jednak nie była głupia. - Chcę to mieć na piśmie - powiedziała. - Oczywiście - odparłem - pod warunkiem, że przestaniesz rozpowiadać, że zabiłem twojego ojca. Jeżeli kiedykolwiek do mnie dotrze, że zachowujesz się tak nieodpowiedzialnie, wycofam pomoc finansową. Obrzuciła mnie wzrokiem, który przywiódł mi na myśl Stevena. Było w nim rozbawienie zmieszane z szyderstwem, ironia walcząca o lepsze ze wzdargą. - Niech mi pan da pieniądze - powiedziała - a tej demonstracji wyrzutów sumienia może pan nam obojgu oszczędzić. Zaśmiałem się, po czym obdarzyłem ją najbardziej promiennym z moich uśmiechów. - Ależ oczywiście, że dostaniesz pieniądze! Z prawdziwą przyjemnością ci je przekażę! Chciałem tylko, żebyśmy się dobrze zrozumieli; nie jestem aż takim potworem, za jakiego mnie uważasz! A skoro już mówimy o twoich osądach... kto właściwie próbował ci wmówić, że jestem odpowiedzialny za śmierć twojego ojca? Elfryda gwałtownie poderwała głowę. Malujący się na jej twarzy wyraz zaskoczył mnie. Była zdumiona. - Niech pan nie udaje, że pan nie wie - rzuciła odruchowo. Jak grom uderzyło we mnie przecucie katastrofy. Zachowałem kamienną twarz, lecz moje dłonie ciasno splotły się za plecami. - Naturalnie, że nie wiem! Gdybym wiedział, pozwałbym drania do sądu za oszczerstwo! - Nie może pan pozwać kogoś, kto nie żyje. Spojrzałem na nią. Oddała mi spojrzenie, wciąż pełne niedowierzania, w końcu jednak otworzyła torebkę i wyjęła z niej pogniecioną kopertę. - Przyniosłam ten list - powiedziała - ale nie przypuszczałam, że będę musiała panu przypomnieć o jego istnieniu. Wiedziałem, że znajduję się na skraju jakiejś przerażającej otchłani, przed osunięciem się w którąś stronę nic nie zdoła mnie uchronić. Wciąż patrzyłem na Elfrydę. Potem nagle dotarło do mnie, że patrzę na ten list. - Niech pan nie mówi, że nie widział listu Tony'ego! - wybuchnęła Elfryda. - Czy nikt nie zażądał od pana wyjaśnień? - Tony - rzekłem. - Tak... wiedziałem, że to on. To musiał być Tony, nikt inny. Napisał list? - W 1944, zanim wyjechał do Normandii. Alan zginął wcześniej i Tony chciał być pewien, że jeśli on również zginie, Edred, George i ja nie będziemy wzrastać w nieświadomości tego, jaki los spotkał naszych rodziców. - W 1944. Napisał ten list w czterdziestym czwartym roku? - Tak. Na maszynie. Oryginał i dwie kopie. - Kopie. Powiedziałaś "kopie"? - Tak. Włożył każdy egzemplarz do osobnej koperty i wszystkie trzy zostawił u adwokatów mojej matki w Norwich z adnotacją, że oryginał ma zostać przechowany do czasu, gdy Edred i ja skończymy osiemnaście lat. Czy nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego w styczniu czterdziestego ósmego całkowicie zerwaliśmy z panem kontakt? Wtedy właśnie otrzymaliśmy ten list. - A jego dwie kopie... - Zostały wysłane do Stanów po śmierci Tony'ego w czterdziestym czwartym roku. Jedna do Emily. Tony miał wyrzuty sumienia, że tak obcesowo wyprowadził się do Mallingham. Czuł, że jest jej winien wyjaśnienie, dlaczego zwrócił się przeciwko panu. A drugą kopię listu otrzymał oczywiście... - Scott - wtrąciłem. - Któż by inny? - powiedziała Elfryda. Oddychałem bardzo ostrożnie: wdech, wydech, wdech, wydech. Musiałem skupić się na oddychaniu. Nie mogłem sobie pozwolić na dramatyczny atak astmy. Wdech, wydech, wdech, wydech. - Tony chciał, żeby Scott także się o wszystkim dowiedział - mówiła Elfryda. - Nie mógł się pogodzić z tym, że się ze sobą poróżnili, i miał nadzieję, że jeśli Scott przeczyta o wszystkim w jego pośmiertnym liście, być może wreszcie mu uwierzy. Oczywiście Tony chciał się z nim spotkać po wojnie i uczynić jeszcze jeden wysiłek, żeby go przekonać, ale nie mógł się zdawać na los. Ten list był dla niego gwarancją, że prawda nie pójdzie w niepamięć. Nie mogłem myśleć o Scotcie. Chciałem, lecz zdawałem sobie sprawę, że może mnie to nazbyt wytrącić z równowagi. Pragnąłem, żeby Elfryda zamilkła, nie śmiałem się jednak odezwać. Musiałem poczekać. Nie wolno mi było robić niczego, co mogłoby zaburzyć rytm oddychania. Zastanawiałem się, czy w ogóle odważę się wyciągnąć rękę, czy też ten drobny fizyczny wysiłek okaże się zabójczy. Wdech, wydech, wdech, wydech. Nie, musiałem zaryzykować. Musiałem się dowiedzieć. Wyciągnąłem rękę. Podała mi list. Przez długą chwilę stałem, wsłuchany w swój wysiłony oddech. Potem usiadłem, otworzyłem kopertę i

znalazłem się w rozpędzonym wagoniku górskiej kolejki, który unosił mnie z powrotem w przeszłość. 6 Przeczytałem list. Później trudno mi było się zdecydować, co powiedzieć. Doskonale zdawałem sobie sprawę ze swych odczuć, lecz nie potrafiłem ująć ich w słowa. Nie jestem intelektualistą i nie znam tych sztuczek, które pozwalają przerzucać się metafizycznymi abstrakcjami, jakby to były kon- kretne fakty, a choć o moralności umiem mówić równie płynnie jak każdy, kto został wychowany w wierze, język ten wydał mi się teraz równie obcy jak język filozofii, powtarzane bezmyślnie zwroty zaś stały się nieprzydatne dla abstrakcyjnej dyskusji. Zresztą i tak nigdy nie cierpiałem filozoficznych debat. Zaciemniają tylko trzeźwy ogląd rzeczywistości. O wiele praktyczniej jest postrzegać sytuację jedynie w czerni i bieli, bez żadnych barw pośrednich, które łamią wyrazistość obrazu. W ten sposób podejmuje się lepsze decyzje. A żeby przebić się przez życie i osiągnąć w nim sukces, trzeba podej- mować diabelnie trafne decyzje. Teraz wszakże ktoś posłużył się moją metodą przeciwko mnie. Tony Sullivan też widział prze- szłość w czarno-białych barwach, lecz jego czerń była moją bielą, a jego biel moją czernią, tak więc jego obraz przeszłości był negatywem mojego. Chciałem o tym powiedzieć Elfrydzie, choć wiedzia- łem, że to nie wystarczy. Chciałem jej wyjaśnić, że pozbawiony wszelkich kolorów, nawet szarości pejzaż Tony'ego nie jest wart więcej niż mój własny stylizowany wizerunek przeszłości, który pod- trzymywał mnie przez tyle lat. Prawda jest jednak abstrakcją; nie potrafiłem wyrazić tego, co chciałem przekazać. Nagle przyszła mi na myśl uwaga Kevina, poczyniona w trakcie dyskusji o tym, dlaczego ludzie ukrywają się za maskami: "Chyba dlatego, że życie jest tak niesamowicie skomplikowane..." - Życie jest takie skomplikowane - powiedziałem w końcu. - Takie niejednoznaczne. Każdy wi- dzi prawdę inaczej. Dla różnych ludzi istnieją różne prawdy. Naoczni świadkowie składają zupełnie odmienne relacje z tych samych faktów. Szanuję osąd Tony'ego, bo widzę, że jest szczery, ale jego list nie zawiera całej prawdy. - Czyżby? - rzuciła gorzko dziewczyna. - Czy pan zaprzeczy, że był pan do tego stopnia opęta- ny żądzą władzy, że dokładał pan wszelkich starań, aby zniszczyć karierę ojca i zatruć życie mojej matce? Wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na brutalną ripostę. Zamiast tego intensywnie myśla- łem, szukając właściwych słów, które możliwie najdokładniej odzwierciedlałyby prawdę. - Nie wierzę - rzekłem powoli - że byłem bardziej opętany żądzą władzy niż twój ojciec. Ale być może władza była bardziej potrzebna mnie niż jemu. Steve był wielkim pociągającym twardzielem i władza nie była mu niezbędna, po prostu sprawiała mu przyjemność. Widzisz, miał inne sposoby na to, by ludzie go zauważali. Władza nie była jego jedynym środkiem porozumiewania się. - Porozumiewania? - Elfryda spojrzała na mnie tak, jak gdybym zwariował. Może zwariowałem. Znów pożałowałem, że nie potrafię lepiej wyrazić tych abstrakcyjnych idei. Żałowałem, że nie ma żadnych namacalnych faktów, którymi mógłbym się posłużyć, lecz była tylko prawda, mroczna i ślis- ka, i świadomość, że muszę jej stawić czoło, zamiast kryć się za tarczą krzepiących frazesów. Przy- szły mi na myśl te wszystkie banały - "byłem do tego zmuszony", "zostałem skrzywdzony ciężiej, niż sam krzywdziłem", "uważałem to za swój moralny obowiązek"... - wszystkie te znajome zdania, zwy- kle tak pocieszające, brzęczały mi w mózgu pustym echem i nagle poczułem się ogromnie zmęczony. Tak bardzo chciałem wycofać się do mojego znajomego czarno-białego świata, jednakże w dłoni trzymałem list, w którym mój czarno- biały świat został przenicowany, zwrócony przeciwko mnie, w którym oskarżenia wypełniały wiersz po wierszu. "Korneliusz zmusił ojca do odejścia z Van Zale'a, ale to mu nie wystarczyło... uczeplił się go... próbował zniszczyć jego nową firmę... rozpuszczał pogłoski o pijaństwie ojca po obu stronach Atlan- tyku... Sam Keller sfalszował fotografię... tato wiedział, że jest zrujnowany... jechał... droga była pus- ta... mimo to Korneliusz nie zostawił Diny w spokoju... prześladował ją... ale to ona wystrychnęła go na dudka... Wygrała..." Wygrała. - Proszę, idź już sobie - rzekłem. - Nic więcej nie jest pan w stanie powiedzieć? - spytała drżącym głosem. - Nic? - A cóż mam jeszcze powiedzieć? Mógłbym przez następane

pięć godzin opowiadać ci historię swego życia i wyjaśniać, dlaczego postąpiłem tak a nie inaczej, ale jaki w tym sens? Tak naprawdę nie interesuje cię ani ja, ani cała prawda o tym, co zdarzyło się w latach trzydziestych. Obchodzi cię przede wszystkim twoja własna osoba. Próbujesz uśmierzyć ból po stracie rodziców, obciążając kogoś winą za ich śmierć, a ja jestem stworzony do tej roli. No dalej, nie krępuj się. Możesz mnie obwiniać. Nie udaję świętego. Nie udaję, że nie robiłem rzeczy, których później żałowałem, i że nie popełniałem błędów. Ale czy to czyni mnie potworem? Nie, do licha! To dowodzi, że jestem tylko człowiekiem, a kiedy będziesz trochę starsza, dużo mądrzejsza i bardziej tolerancyjna, dostrzeżesz przeblysłk piekła, które zgotował mi twój ojciec ciągłymi szyderstwami, kpinami i... nie, nie będę się nad tym rozwodził. Wystarczy. Nic, co bym powiedział, nie jest w stanie zmienić przeszłości, więc po co o niej rozprawić? Przeszłość minęła, dokonała się. - Ale wszyscy musimy z nią żyć - powiedziała Elfryda. - Przeszłość nigdy nie mija. Trwa w te- raźniejszości. - To stwierdzenie nie ma pokrycia w realiach - wypaliłem nieco zbyt głośno. Chyba byłem potwornie zdenerwowany. Bolała mnie klatka piersiowa. Wiedziałem, że zaraz zaczniesz się atakować. - To stwierdzenie jest intelektualną mrzonką. To stwierdzenie - ciągnąłem - to stwierdzenie... jest nie do przyjęcia... jest dla mnie nie do przyjęcia ani teraz... ani kiedykolwiek. Odwróciłem się i wyszedłem. Musiałem. Udało mi się dotrzeć do najbliższej łazienki. Usiadłem na brzeжку wanny. Z wysiłkiem chwytałem powietrze, walczyłem o nie zaciekle, lecz starałem się zachować spokój i całą siłą woli próbowałem rozluźnić duszący ucisk w piersi. Przez chwilę myślałem nawet, że skończy się na strachu. Oddech stał się regularniejszy, a ból zelżał. W końcu odkryłem, że mogę się poruszać. Używając wieszaka na ręczniki podciągnąłem się do pozycji stojącej, odczekałem chwilę, żeby się upewnić, że słabość nie wróci, a potem bardzo powoli przeniosłem się do salonu. Elfrydy już nie było. Ubrana w wieczorową sukienkę Alicja czekała na mnie, oglądając telewizję. - Korneliuszu, jesteś chory? - zawołała, kiedy zobaczyła moją twarz. - To astma. Obawiam się, że się z tym nie uporam. Powiedz Samowi i Vicky, że bardzo mi przykro. - Czy to z powodu Elfrydy? Słyszałam, że krzyczeliście do siebie, i zastanawiałam się... - Nie chcę o tym mówić. Stała w milczeniu; dłonie w rękawiczkach ścisnęły ozdobną wieczorową torebkę. Tak bardzo do niej tęskniłem, choć wiedziałem, że jest dla mnie nieosiągalna. - Kevin miał rację - powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. - Tak ciężko jest... dotrzeć do ludzi... a jednak nikt nie chce być sam. Samotność jest podobna do śmierci. Alicjo... - Co ty mówisz? - Była błąda z niepokoju, zbita z tropu złym stanem mego zdrowia. Widziałem, jak obraca w dłoniach cienki błyszczący pasek torebki. - Pamiętasz... w zeszłym tygodniu... w gazecie... pisali, jak umarł ostatni ze Stuyvesantów? Wyraźnie zaskoczona, zmusiła się do odpowiedzi. - Tak, biedny staruszek! Był ostatnim potomkiem słynnej nowojorskiej rodziny, a wiele lat spędził w odosobnieniu. To wszystko w ogóle było bardzo smutne, prawda? - Umarł samotnie - powiedziałem. - Jeden z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku mieszkał zupełnie sam w pałacu przy Piątej Alei... i umarł samotnie... - Korneliuszu, usiądź, zaraz wezwę lekarza. Lekarstwo masz przy sobie czy jest w łazience? - Był całkowicie odizolowany - powiedziałem. - Z nikim się nie porozumiewał... był odcięty... Widzisz, to wszystko jest kwestią porozumiewania się... Elfryda tego nie rozumie, ale to kwestia porozumiewania się. Muszę mieć władzę, muszę się porozumiewać, a jak zdołam się z kimkolwiek porozumieć, jeśli nie będę miał władzy? Nikt mnie nie zauważy... Steven Sullivan nigdy mnie nie zauważył, ale zdołałem go do tego zmusić. Dotarłem do niego... jedyny sposób... dla kogoś takiego jak ja... tylko dlaczego nie działa bez zarzutu? Dlaczego jestem taki wyizolowany? Alicjo, czy ty mnie słyszysz? Słyszysz, co mówię? - Tak, kochanie, ale teraz nic już nie mów. To ci szkodzi, kiedy tak ciężko oddychasz... Centrala? Proszę natychmiast wezwać lekarza. Nagły wypadek. - Alicjo, ty mnie nie słuchasz. Alicjo, musisz mnie wysłuchać, Alicjo... W tej samej chwili ostatecznie zabrakło mi tchu. Żelazna obręcz zacisnęła się wokół mojej piersi i zanim straciłem przytomność, zobaczyłem jeszcze Alicję biegnącą ku mnie i równocześnie w czarodziejski

sposób umykającą w dal. 7 Kiedy przyszedłem do siebie, było mi wstyd na wspomnienie tej sceny, ale widocznie Alicja była równie zakłopotana jak ja, bo nigdy więcej do tego nie wracała. Brednie na temat ostatniego ze Stuy- vesantów, niezborny bełkot o porozumiewaniu się - dreszcz mnie przeszywał na myśl o tak obłąkań- czym zachowaniu i w końcu uznałem, że musiałem znajdować się w stanie szoku, który czasowo zaćmił moje zmysły. Wciąż byłem wstrząśnięty tym, czego dowiedziałem się od Elfrydy, postanowi- łem wszakże o tym nie myśleć, dopóki mój stan się nie poprawi. Pierwszym i najważniejszym zada- niem był mozolny powrót do zdrowia. Przewieziono mnie do szpitala. Ostatni raz przydarzyło mi się to w dzieciństwie i zdążyłem już zapomnieć, jak bardzo nie cierpię szpitali. - Wyciągnij mnie stąd! - powiedziałem do Alicji, gdy tylko odważyłem się poświęcić nieco cen- nego oddechu na słowa. - Wywieź mnie z tego kraju! Po prostu zabierz mnie stąd! Skróciliśmy wakacje i wyjechaliśmy na początku września. Kiedy Europa zniknęła za horyzon- tem, poczułem się lepiej. Teraz nie leżałem już nocami bezsennie, zastanawiając się, skąd wziąć po- wietrze na następny oddech. Zamiast tego mogłem w końcu zacząć analizować tę koszmarną rozmo- wę z Elfrydą. I teraz wreszcie nie miałem już wyboru: musiałem się zastanowić nad dziwnym zacho- waniem Scotta. Nie potrafiłem dociec, dlaczego Scott nigdy otwarcie nie poruszył sprawy listu Tony'ego. Przy- padek Emily był odmienny. Dokładnie wiedziałem, dlaczego nie pokazała mi listu. Było jej wstyd. Za- stosowała w praktyce to, co głosiła, i w miarę swych sił wybaczyła mi, chociaż teraz rozumiałem już, dlaczego wyprowadziła się ode mnie z powrotem do Velletrii, i rozumiałem, dlaczego w trakcie na- szych spotkań tak mało mieliśmy sobie do powiedzenia. Emily łatwo było rozszyfrować. Jednakże Scott pozostawał tajemnicą. Przyszło mi na myśl jego wyznanie na temat sprawiedliwości. Scott jawił mi się niczym współ- czesny rycerz poszukujący tajemniczego świętego Graala, którego nigdy precyzyjnie nie zdefiniował, a im więcej o nim myślałem, tym wyraźniej widziałem jego obraz: inteligentny, zdolny i twardy Scott, zawsze taki zajmujący. Miły, uprzejmy i pełen szacunku. Zawsze pod ręką, kiedy go potrzebuję, za- wsze jest idealnym antidotum na moją samotność... "Oczywiście będę się go musiał pozbyć - pomyślałem. - Po tym wszystkim, co się zdarzyło, sza- leństwem byłoby postąpić inaczej." 8 - Cześć, Korneliuszu! - przywitał mnie w tydzień później Scott. - Jak się masz? Od razu zauważyłem, że jest wypoczęty i odprężony. Miał na sobie jasny garnitur, dostatecznie lekki na wrześniowe upały. Kolor ubrania podkreślał jego opaleniznę, a w czarnych oczach błyszczało ożywienie. - Doskonale - odparłem. - Jak ci się udały wakacje? - Cudownie! - wykrzyknął. Nigdy nie rozwodził się na temat swoich wakacji i zaczynałem po- dejrzewać, że poświęca je na pławienie się w rozkoszach cielesnych, i to tak intensywnych, jak to tyl- ko możliwe. - Popłynąłem statkiem na Alaskę. Boże, powinieneś kiedyś zobaczyć Cieśniny Wew- nętrzne! - Mhm. - A jak tam twój urlop, Korneliuszu? Słyszałem, że musiałeś go skrócić? - Angielskie powietrze raczej nie sprzyja mojej astmie. - O, to fatalnie. Bardzo mi przykro. - Tak, rzeczywiście szkoda. A przy okazji, widziałem się w Londynie z twoją przyrodnią siostrą. Kontaktowałeś się z nią ostatnio? - Nie, wymieniamy tylko życzenia świąteczne. Co u niej słychać? Minę masz dość ponurą. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? - Wręcz przeciwnie. Podjęliśmy razem pewien projekt. Elfryda chce założyć w Mallingham szkołę i w ten sposób uczcić pamięć matki. Mam zamiar przekazać jej ziemię i sfinansować przed- sięwzięcie poprzez Fundację na Rzecz Edukacji Van Zale'a. - Fantastyczny pomysł! Cieszę się, że wreszcie znaleźliście wspólny język. - Czy ja wiem... Elfryda zachowywała się tak, jakby dokonywała aktu zemsty. - Doprawdy? - Scott wydawał się szczerze ubawiony. Nawet się roześmiał. - Święta naiwność- ci! - Co masz na myśli? - Przecież nie będzie cię to kosztować ani centa, prawda? Wszystko odliczysz od podatku Wstałem bez słowa i przeszedłem do drugiej części pomieszczenia. Byłem w swoim biurze. Na patio prażyło słońce, lecz dzięki klimatyzacji w pokoju było chłodno jak w lodówce. Podeszedłem do kominka i spojrzałem na cyfrowy zegar, po czym wróciłem do biurka, żeby zerknąć na płótno Kandin- sky'ego wiszące nad kominkiem. Scott wydawał się niewzruszony,

choć na pewno zdążył się już zorientować, że coś jest grubo nie w porządku. Rozmowa, punktowana moim niewytłumaczalnym milczeniem i pozbawionymi wyrazu uwagami, różniła się znacznie od naszych zwykłych pogawędek. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Uniósł pytająco brwi i uśmiechnął się do mnie. - O co chodzi? - spytał tak naturalnie, jak tylko można to sobie wyobrazić. Ten chłopak musi mieć stalowe nerwy. - Elfryda pokazała mi list Tony'ego - odparłem gwałtownie. - A, to? - rzekł lekceważąco Scott. - Zawsze się zastanawiałem, kiedy ten stary kościotrup w końcu wypełźnie z szafy. Swego czasu sugerowałem Emily, że powinniśmy ci pokazać ten list, ale ona nie chciała o tym słyszeć, więc z czystego szacunku postanowiłem się z nią nie spierać. Myślała, zdaje się, że mógłbyś się zdenerwować. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Z pewnością zdawałeś sobie sprawę, że Tony nas nienawidzi. Zawsze uważałem za pewnik, że jego wersja wydarzeń nie jest cię w stanie zaskoczyć lub zaniepokoić. Mam nadzieję, że się nie myliłem. Nie odpowiedziałem od razu. Prawdę mówiąc, oniemiałem z podziwu, widząc, w jaki sposób prowadzi tę rozmowę. Ale być może przygotowywał się do niej od lat. Zawsze istniała możliwość, że w końcu wpadnie mi w ręce ten list. Uznałem, że jeszcze za wcześnie, bym mógł odetchnąć z ulgą. Ośmielę się na to dopiero wówczas, gdy będę w stu procentach pewny, że mam prawo czuć się spokojny. Po chwili milczenia zapytałem: - No i jakie wrażenie zrobił na tobie ten list? - Niewielkie - odparł Scott, jak gdyby omawiał artykuł w "New York Timesie". - Podobnie jak w wypadku zemsty Elfrydy uderzyła mnie jego naiwność. - O! - Naturalnie. Dajże spokój, Korneliuszu, nie jestem dzieckiem i wiem, jak urządzony jest ten świat. Walczyliście z moim ojcem o władzę. W wielkim biznesie takie rzeczy wcale nie są rzadkie. Ba! Zdarzają się bez przerwy. Ty wygrałeś. Jestem przekonany, że mój ojciec popełnił tę samą pomyłkę, jakiej w przeszłości dopuściło się wielu ludzi. Nie docenił cię. Fatalny błąd. Miałeś pecha, ojczulku, ale naprawdę powinieneś być wykazać nieco więcej sprytu. No i co robi mój ojciec, żeby odzyskać utracone wpływy? Jedzie do Anglii. Ma fantastyczną okazję, żeby powrócić jako zwycięzca, ale czy ją wykorzystuje? Nie. Marnuje wszystkie swoje szanse, ponieważ nie potrafi rozstać się z butelką. Umiera. I znów przykra sprawa, ale alkoholicy często umierają przedwcześnie. Skutkiem czego na placu boju pozostajesz ty. Skupiasz w swoim ręku pełnię władzy na Willow Street numer 1. Czy mam się spodziewać, że jesteś świętym? Nic błędniejszego. Święci nie zajmują dyrektorskich foteli na Willow Street numer 1. Jesteś potężnym, niebezpiecznym i pozbawionym skrupułów despota, a jeśli ktośkolwiek z twoich pracowników nie zdaje sobie z tego sprawy, musi być niedorozwinięty umysłowo. Nie uważam się bynajmniej za krety. Jestem... czy mam mówić dalej? Nie chciałbym cię zanudzać niepotrzebnym wdawaniem się w szczegóły, ale być może w tych okolicznościach... - Mów dalej. Miałem trudności z utrzymaniem się na nogach. Ulga wyssała ze mnie resztę sił. Dość gwałtownie opadłem na swój dyrektorski fotel. - Powiedziałeś, że nie uważasz się za krety... - Bo nim nie jestem. Jestem ambitny, jak ci doskonale wiadomo, w bankowości mam zamiar dojść na sam szczyt, o czym również doskonale wiesz, i w tym celu skorzystam z każdej szansy, jaka się nadarzy, co jak sądzę, powinno być dla ciebie jasne. Po cóż miałbym temu zaprzeczać? I dlaczego ty nagle miałbyś wpaść w panikę, skoro zawsze kontrolowałeś i zawsze będziesz całkowicie kontrolował postępowanie mojej kariery u Van Zale'a? - To prawda, dlaczego? - jak przez mgłę usłyszałem własne słowa. Ulga była tak wielka, że z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, iż w każdej chwili mogę się rozplakać. - A zatem pytam cię - ciągnął Scott - o co ten cały krzyk? Możliwe, że Tony czerpał przyjemność z odmalowywania twojego portretu na wzór hrabiego Drakuli w nowoczesnym ubranku, ale szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Nie interesuje mnie gość, jakim cię okrzyknięto, czyli współczesny Drakula, ani ten, jakim powinieneś być, czyli złotowłosy anioł ze skrzydłami i aureolą. Interesuje mnie wyłącznie to, jaki jesteś naprawdę. A wiesz dlaczego, Korneliuszu? - Chętnie się dowiem. Z każdą mijającą sekundą czułem się silniejszy. Zdołałem się nawet uśmiechnąć. - Interesuje mnie, jaki jesteś, bo jako mój szef trzymasz w ręku klucze do mojej

przyszłości, a wierz mi, Korneliuszu, dla mnie ważna jest tylko przyszłość. Po co miałbym cierpieć męki krzyżowe z powodu czegoś, co zdarzyło się dawno temu i jest albo nie jest prawdą? A cóż bym na tym zyskał? Sam mnie uczyłeś pragmatycznego podejścia do życia i utrzymywania się na powierzchni. Spójrz na mnie i pogratuluj sobie dydaktycznych osiągnięć! Wybuchnąłem śmiechem. Scott też się roześmiał i nagle znów poczułem się szczęśliwy. Miałem uczucie, jak gdybym zgubił gdzieś worek złota i po długich męczących poszukiwaniach wreszcie go zlokalizował. Samotność i żal nagle się rozwiały. Żałowałem tylko, że nie jesteśmy w domu, gdzie moglibyśmy jak zwykle zasiąść nad partyjką szachów i pogawędzić na temat wieczności. - A zatem stworzyłem cię na swój obraz i podobieństwo, czy tak? - zauważyłem z humorem. - Potężny, niebezpieczny i pozbawiony skrupułów; jeżeli się nie mylę, tych właśnie słów użyłeś? - Dokładnie. - Jestem przerażony! I wcale nie wiem, czy mi się to podoba! - Naturalnie, że tak! Nie podobałbym ci się, gdybym był inny! Znów zaczęliśmy się śmiać, a wszystkie moje lęki wydały mi się irracjonalne, pozbawione związku z sympatią, która nas łączyła. Uznałem, iż Anglia wpłynęła na mnie o wiele bardziej dezorientująco, niż byłem to sobie w stanie uświadomić. Chyba straciłem poczucie rzeczywistości. Scott wciąż był moim chłopcem, nic go nie łączyło ze Steve'em a przeszłość pozostała zapieczętowana. - Oczywiście powinienem się ciebie natychmiast pozbyć! - oświadczyłem, myśląc, jak śmieszny wydaje się sam ten pomysł, wypowiedziany na głos. - No cóż, byłoby to niezmiernie przygnębiające - przyznał szczerze Scott - i nie mam powodu ukrywać, że poczułbym się dotknięty, ale jak już stwierdziłem, potrafię się utrzymać na powierzchni i bez większych trudności wdrapałbym się na sam szczyt gdzie indziej. - Do diabła, przecież nie wypuszczę od siebie najlepszego bankowca! - Dzięki Bogu. Na moment mnie zmartwiłeś. Wydawało mi się, że masz zamiar porąbać mnie na kawałki i rzucić gołębiami na pożarcie. - Tego bym nie zrobił! Żal by mi było tych biednych ptaków! A skoro już mowa o ptakach... jak się nazywał ten facet, który pisał o jaskółce w oświetlonej sali? - Będa. - Przyjdź wieczorem na Piątą Aleję, opowiesz mi jeszcze o nim. Kupię baterię coca-coli i odkurzacza twoją ulubioną szachownicę. Co ty na to? Scott odparł, że już się nie może doczekać. Kiedy zostałem sam, przez jakiś czas siedziałem przy biurku, bazgrząc w notatniku i próbując ogarnąć sytuację chłodnym, racjonalnym spojrzeniem. Zanim nacisnąłem guzik, by wezwać sekretarkę, pomyślałem jeszcze: "Tak, ufam mu. A nie powinienem." Rozdział piąty

1 Z Emily zobaczyłem się ponownie dopiero na wiosnę. Zwykle przyjeżdżała do nas na Święto Dziękczynienia, lecz tego roku jakaś niezbyt poważna choroba zatrzymała ją w Velletrii, a gdy przed Bożym Narodzeniem ponowiłem zaproszenie, odpowiedziała, że jest zajęta przygotowaniem do wielkiej zabawy gwiazdkowej w miejscowym sierocińcu. Starsza córka Emily, Rose, ukończyła college w Wellesley i matka wciągnęła ją do pomocy w swojej działalności dobroczynnej do czasu, aż dziewczyna zdecyduje, co ze sobą począć. Tymczasem Lori, która otwarcie przyznawała, że "dobrymi czynkami można się zanudzić na śmierć", zaliczyła Foxworth i jakieś seminarium w Szwajcarii, a te- raz leniuchowała beztrudnie, kończąc kurs gotowania dla zaawansowanych w pobliskim Cincinnati. Miała ochotę wyprowadzić się z domu, Emily jednak, moim zdaniem słusznie, nie zgodziła się na to, dopóki Lori nie skończy dwudziestu jeden lat. Młode dziewczęta wymagają dozoru, zwłaszcza takie jak Lori, która nosi obcisłe sweterki, a na ścianie w sypialni przypięła olbrzymi fotos Marlona Brandona. - Lori jest kapitalna! - zwierzył się nam kiedyś Andrew. - Rany, chyba w tym seminarium rzeczywiście zrobili z niej kobietę! Kiedy pierwszy raz wpadłem do Velletrii po jej powrocie ze Szwajcarii, nie chciało mi się wierzyć, że to ta sama mała zaraza, która w Bar Harbor rozniosła w strzępy moją raketę tenisową! Siedziała na sofie z nogą założoną na nogę jak Rita Hayworth, z łokciem opadającym na jedno oko jak Laureen Bacall i paliła papierosa przysmykając oczy jak Marilyn Monroe. A kiedy gapiłem się na nią z otwartymi ustami niczym jakiś prowincjonalny palant, powiedziała: "Cześć, przystojniaku! Fantastycznie ci w tym mundurze." Ośłupiałem! To było niesamowite! Nie

wiem dla- czego, ale salon ciotki Emily wydawał mi się ostatnim miejscem, gdzie mógłbym spotkać chodzący symbol seksu! - Emily będzie miała kłopoty z tą dziewczyną - powiedziałem ponuro do Alicji, lecz okazało się, że się myliłem. W ostatecznym rozrachunku Emily nie miała z nią żadnych kłopotów, Lori bowiem zdecydowała się wyjść za mąż, w dodatku za człowieka, do którego nie mogliśmy mieć zastrzeżeń. Wybrała Andy'ego. Wątpię, czy sam Andrew miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. W lecie 1953 roku, kiedy ja bawiłem w Europie, został przeniesiony do bazy lotniczej w pobliżu Cincinnati i często spędzał przepustki w towarzystwie Emily i jej dziewcząt. Na Boże Narodzenie odbyły się jego zaręczyny z Lori, podczas których młodzi oświadczyli, że zamierzają się pobrać na wiosnę. - Pomyśl tylko, Korneliuszu! - w głosie Alicji brzmiało wzruszenie, choć nigdy specjalnie nie przepadała za Lori - mój syn niedługo ożeni się z twoją siostrzenicą! - Mhm - przytaknąłem. Nie czułem specjalnego pokrewieństwa z Lori, której hałaśliwa witalność aż nazbyt często przypominała mi jej ojca Steve'a Sullivana. - Mam nadzieję, że będzie się zachowywać przyzwoicie w czasie, gdy on będzie bujał w obłokach. Podobno w tych bazach lotniczych wyprawiają się różne rzeczy! Alicja nie powiedziała już nic więcej na ten temat, wyczułem jednak, że jest zawiedziona, i uświadomiłem sobie, iż ma nadzieję, że to małżeństwo może stać się udanym substytutem jej romantycznego marzenia o ślubie Vicky i Sebastiana. Andy'ego lubiłem o wiele bardziej niż Sebastiana, chociaż łączyło nas jedynie zamiłowanie do baseballu. Andy był pogodny i szczery, i tak typowo amerykański. Jego lekkie fizyczne podobieństwo do matki sprawiało, że łatwiej mi było okazywać mu czułość, a choć w przeciwieństwie do niej był ekstrawertykiem, bez trudu udawało mi się pamiętać, że jest synem najważniejszej kobiety w moim życiu, który zasługuje na najtroskliwszą ojcowską opiekę, jaką jestem mu w stanie zapewnić. Intelak- tualnie nie dorównywał Sebastianowi, ale był bystry, a co więcej, wygadany. Przewidywałem, że w wybranym zawodzie odniesie sukces, i mimo iż samoloty nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu, poparłem go solidarnie, kiedy zdecydował się wstąpić do sił powietrznych. Wiedziałem, że nie nadaje się na bankiera, odczułem więc ulgę, gdy wybrał tak patriotyczny i godny szacunku sposób zarabiania na życie. Z wojny koreańskiej wyszedł nie tylko cało, ale i z honorami, a teraz starał się o przeniesienie do Niemiec, ponieważ Lori uważała, że przydział w Europie byłby "fantastyczny". - Ta dziewczyna będzie nim komenderować, aż w końcu Andy nie zrobi bez niej kroku - powiedziałem do Alicji na krótko przed weselem. - Andrew twierdzi, że uwielbia wykonywać rozkazy. Powstrzymałem się od komentarza, chociaż całym sercem uważam, że mężczyzna powinien być szefem we własnym domu. Stanowczo potępiam silne, władcze kobiety, które mają własne zdanie i wymagają, by się do niego stosować. Gdyby Bóg chciał, żeby takie były, stworzyłby tylko jedną płęć, mężczyzn, rozmnażać zaś kazałby im się podobnie jak amebom - przez jakiś tam wydumany podział. Wkrótce jednak zapomniałem o dezaprobachie dla Lori, gdy Vicky przyjechała do Stanów na wesele. Sam pojawił się nieco później i zaraz po kilku dniach odleciał z powrotem do Londynu, żeby dopilnować spraw służbowych, ale Vicky wraz z chłopcami została z nami na cały maj. Odkryłem z rozpaczą, że wciąż jeszcze jest zauroczona Europą. Ku swemu przerażeniu dowiedziałem się również, że pilnie uczy się niemieckiego. A kiedy Sam zaczął na mnie wymuszać otwarcie biura w Niemczech, wpadłem we wściekłość. - Dwa lata w Londynie - przypomniałem mu. - Taka była umowa. - Zgadza się. Przyszły rok to już 1955 i nasze londyńskie biuro będzie obchodzić drugą rocznicę istnienia. Jeżeli w tej chwili nie rozpoczniemy przygotowań, do Niemiec wyjadę dopiero w pięćdziesiątym szóstym. Pomyślałem, że w ten sposób dałbym Vicky jeszcze jeden rok na powrót do zdrowych zmysłów i być może zaczęłaby ją dręczyć tęsknota za Ameryką. - Tyle lat czekałeś na wyjazd do Niemiec - powiedziałem. - Nie mógłbyś poczekać jeszcze roku? - Słuchaj, Neil... - Nie dam ci się poganiać. Generalnie uznaję zasadność powołania naszego oddziału w Niemczech, ale nie chcę rozpoczynać ekspansji na całą Europę, dopóki nie będziemy do niej przygotowani. Chyba wolno mi zachować umiar i

rozsądek, kiedy chodzi o twoje ukochane Niemcy? Spojrzał na mnie bez słowa. Gdyby wzrok mógł zabijać, na miejscu doznałbym ataku serca, ja jednak ciągnąłem dalej z życzliwym uśmiechem, a na koniec podałem mu nawet rękę. Widziałem, że ma ochotę natychmiast zrezygnować z posady, choć naturalnie tego nie zrobił. Warto było poczekać jeszcze jeden rok pod lukratywnym parasolem Van Zale'a, ze spokojną i szczęśliwą Vicky u boku. Sam Keller grał o wysoką stawkę i nie miał zamiaru się wycofać, dopóki otwarcie nie odmówię mu wyjazdu do Niemiec. Jakoś zdołał uścisnąć mi rękę i rozstaliśmy się po przyjacielsku w atmosferze naładowanej wrogością. Po tak wyczerpującej rozmowie poczułem niemal ulgę, wyjeżdżając na wesele do Velletrii, ogłupiająco nudnego przedmieścia Cincinnati, w którym się marnowałem od piątego do osiemnastego roku życia. Z natury nie jestem zdolny do życia na bogatej środkowozachodniej prowincji, którą jej liczni przywoici mieszkańcy uważają za raj na ziemi. Nawet Pan Bóg, gdy wyprowadził dzieci Izraela z Egiptu, nie oddał im większej przysługi, niż Paul Van Zale oddał mnie, wyrывая mnie z Velletrii w stanie Ohio i prowadząc na wschód do Nowego Jorku. Ślub odbył się w tym samym kościele episkopalnym, w którym jako dziecko musiałem znosić niezliczone ponure kazania, przyjęcie zaś Emily urządziła w Country Club. Uroczystość należało uznać za udaną, chociaż Lori miała na sobie niesłychanie obcisłą suknię, w której wyglądała jak syrena. Zastanawiałem się, czy możliwe, aby była dziewczicą, ale doszedłem do wniosku, iż nie - wiele na to wskazuje. Emily płakała przez całe nabożeństwo, chyba z ulgi. Kiedy oddałem już rękę panny młodej jej wybrankowi, zapatrzyłem się w kościelne witraże myśląc, co by na to wszystko powiedziała moja matka. Matka była energiczną kobietą, która rządziła swoim drugim mężem, a zapewne i pierwszym także, z godną podziwu skutecznością. Wiele razy walczyłem z nią o dominację, a ponieważ miałem silniejszą wolę, w rezultacie wygrałem; mimo to byłem do niej bardzo przywiązany, a jej śmierć okryła mnie szczerą żalobą. Była apodyktyczna i na każdy temat miała własne zdanie, lecz kochała mnie i robiła dla mnie to, co uważała za najlepsze. Trudno więc oczekiwać od matki. Prawdę mówiąc tego dnia myślałem o niej z takim wzruszeniem, że wieczorem skorzystałem z okazji, by posiedzieć nieco dłużej z Emily i powspominać naszą wspólną przeszłość. Jak później skonstatowałem, trudno o większy błąd niż pochopne uleganie sentymentalnym odruchom. - Och, jakież to było piękne wesele! - westchnęła Emily, manipulując chusteczką do nosa. - Lori wyglądała prześlicznie - stwierdziłem wielkodusznie, obejmując siostrę ramieniem i ściskając lekko. Naprawdę byłem w niebezpiecznie sentymentalnym nastroju. - Drogi Steven byłby taki dumny! - szepnęła Emily. - Oglądając ją z fotela na kółkach. Ile miałby teraz lat? Siedemdziesiąt? - Sześćdziesiąt siedem - odparła zimno Emily. - Ależ ty potrafisz być małostkowy, Korneliuszu, jakże brakuje ci wielkoduszności! Myślałam, że przynajmniej tego wieczoru zdobędziesz się na to, by znaleźć w swoim sercu trochę litości dla Steve'a. - Ależ ja nie powiedziałem nic złego! Poczyłem tylko uwagę na temat jego wieku! - Sugerowałeś, że byłby dziecięciniałym ramolem. Korneliuszu, od ilu to już lat znoszę twoje cyniczne uwagi, kwaśne komentarze, twoje... - Chwileczkę! Chyba nie oczekujesz, że pójde za twoim przykładem i zacznę kanonizować jego pamięć! - Nie kanonizuję pamięci Steve'a. Nie powinnam była za niego wychodzić, bo przez niego byłam bardzo nieszczęśliwa, ale mam moje dwie wspaniałe dziewczynki i przynajmniej tyle chrześcijańskiej przyzwoitości, żeby pamiętać jego dobre cechy tak samo jak złe i żeby przebaczyć mu wszystkie krzywdy, które wyrządził! Dawno już jednak przestałam oczekiwać, że ty okażesz choć trochę chrześcijańskiego ducha. Paul go unicestwił, kiedy okaleczył cię swoim bogactwem. Czasami wręcz się cieszę, że mama nie żyła dłużej. Łaska boska, że chociaż jej została oszczędzona wiedza o twoich późniejszych poczynaniach! - O Chryste, Emily, wygadujesz wierutne bzdury! Tylko z tego powodu, że Tony Sullivan napisał jeden melodramatyczny list... - Kto ci powiedział o liście Tony'ego? - Pokazała mi go Elfyda, kiedy w sierpniu byłem w Londynie. Byłem przerażony i zdumiony. Dlaczego nigdy mi o nim nie powiedziałaś?

Dlaczego dręczyłaś się nim w tajemnicy przez te wszystkie lata? Czy nie sądzisz, że miałaś moralny obowiązek wysłuchać mojej wersji tej historii, zanim bez słowa postawiłaś mnie przed trybunałem i wydałaś werdykt, że byłem w każdym calu tak zły, jak twierdził Tony? Wiedziałaś, że Tony mnie nienawidził. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego automatycznie przyjęłaś za dogmat słowa stronniczego, zapalonego młodzika, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by wysłuchać własnego brata! Mogę tylko stwierdzić, że czuję się dotknięty. Nie chciałem poruszać tego tematu, ale skoro już wyciągnęłaś go na światło dzienne... - To ty pierwszy wspomniałaś o Tonym, i na pewno skłoniły cię do tego wyrzuty sumienia. Zawsze uważałam, że traktujesz tego chłopca haniebnie. Prawie w ogóle się do niego nie odzywałeś, zawsze liczył się dla ciebie tylko Scott. Scott to, Scott tamto, ciągle Scott i Scott! Podejrzewam, że było tak dlatego, iż Tony przypominał Stevena, podczas gdy Scott jest podobny do Caroline. Tylko jego widok nie wywołuje w tobie przytłaczającego poczucia winy! - To nieprawda. Posłuchaj... - Nie, to ty mnie posłuchaj! Milczałam przez te wszystkie lata i zapewne popełniłam błąd. Powinnaś być przemówić już dawno temu, żeby ocalić cię przed tobą samym! - O, mój Boże! - Zrezygnuj z tego banku, Korneliuszu. To on leży u korzeni wszelkich twoich teraźniejszych problemów i przeszłych nieszczęść. Zrezygnuj z niego i poświęć się swojej Fundacji Sztuk Pięknych i Funduszowi na Rzecz Edukacji. Byłaby to cenna i godna pochwały działalność. - Bankowość też jest cenna i godna pochwały! I dlatego, na miłość boską, uważasz, że Fundacja i Fundusz stanowią ekwiwalent religijnego zakonu, w którym mógłbym się schronić, by prowadzić czyste i nieskażone interesy? Mój Boże, powinnaś przyjść kiedyś na zebranie Rady i zobaczyć, jak ci wszyscy milionerzy wrywają sobie nawzajem stołki! Bardzo prędko wyzbyłabyś się tych złudzeń! - Widzę, że celowo starasz się mnie nie zrozumieć. Spróbuję jeszcze raz. Korneliuszu, teraz, kiedy jesteś już w średnim wieku... - Dziękuję ci bardzo, ale uważam, że wciąż jestem młody! - ...powinieneś zastanowić się nad swoim życiem i dokonać pewnych przewartościowań. Czy kiedykolwiek zadajesz sobie pytanie o wartości, Korneliuszu? Czy też twoje bogactwo do tego stopnia oderwało cię od rzeczywistości, że nie jesteś już w stanie dostrzec tego, co naprawdę ważne? - Mam wrażenie, że to ty straciłaś kontakt z rzeczywistością! Cały kłopot z tobą, Emily, polega na tym, że żyjesz w zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze jak w klasztorze i nie masz pojęcia, co się dzieje na świecie. Mogłabyś powtórnie wyjść za mąż albo wziąć sobie kochankę, schudnąć dwadzieścia funtów, ufarbować te siwe włosy albo wyjechać na jakąś wycieczkę, słowem, dla odmiany zrobić coś interesującego. Wszystkie te nie kończące się dobre uczynki w połączeniu z samotnością w łóżku to aż nadto, by doprowadzić do obłędu każdą zdrową psychicznie kobietę! - No cóż - Emily podniosła się na znak, że nie zamierza kontynuować tej rozmowy - oczywiście zawsze wiedziałam, że masz obsesję na punkcie seksu. - A ja zawsze wiedziałem - wykrzyknąłem, również zrywając się z miejsca - że źródłem tej nie-normalnej dewocji jest niewyżyty popęd płciowy! Podobnie jak we wszystkich gwałtownych kłótniach, element absurdu połączony z ostrzem gniewu nadał temu wybuchowi jeszcze bardziej brutalny wydźwięk. Chyba oboje zdaliśmy sobie z tego sprawę, przez dłuższą bowiem chwilę staliśmy nieruchomo, jakby próbując się zdecydować, czy uściskać się ze śmiechem, czy rozstać w złości. Ale nie było już powrotu do zgody. Emily oświadczyła zimno: - Biedna mama przewraca się pewnie w grobie, słysząc, jak się bezwstydnie kłócimy. Przepraszam, że próbowałam rozmówić się z tobą otwarcie, i mam nadzieję, że mi wybaczysz, bo powodowała mną jedynie miłość i troska. Cokolwiek robisz, nie przestajesz być moim bratem i nikt nigdy nie usłyszy ode mnie złego słowa na twój temat, ale nie sądz, że moja lojalność oznacza pochwałę twoich poglądów czy też sposobu życia. A teraz, jeśli pozwolisz, zakończmy tę rozmowę i nigdy do niej nie wracajmy. Wymaszerowała z pokoju. Roześmiałem się, próbując przekonać samego siebie, iż wyszedłem z tego pojedynku zwycięsko, choć wiedziałem, że tak nie było. Później, kiedy się położyłem, jeszcze długo przewracałem się bezsennie w ciemności. Przed zaśnięciem zdecydowałem, jak

powiniennem po- stąpić. Następnego ranka odezwałem się pokornie do Emily: - Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru. Wiesz, jak cię lubię i jak wiele dla mnie znaczysz. Żałuję, że nie mogę cofnąć tych wszystkich bzdur, które wczoraj wygadywałem. - Temat jest zamknięty - Emily ucięła rozmowę z miażdżącą bezwzględnością. - Możesz się usprawiedliwiać, jeśli chcesz, ale ja nie mam już nic więcej do powiedzenia. Zobaczyłem lodowaty błysk w jej szarych oczach i nagle zrozumiałem, że ją straciłem. Choć być może naprawdę straciłem ją wiele lat temu, kiedy skłoniłem ją do małżeństwa ze Stevenem Sullivanem po to tylko, by przynajmniej na krótko umocnić swoją chwiejną pozycję w banku. - Emily? - Słucham cię, mój drogi? - A, nic. To bez znaczenia - powiedziałem, głęboko dotknięty, i gwałtownie odwróciłem się do niej plecami. 2 W dziesięć miesięcy po weselu Andy'ego i Lori Vicky powiła córeczkę, tym razem wszakże nawet chęć zobaczenia rodziny nie zdołała mnie zmusić do wejścia na pokład transatlantyku i udania się do Europy. Dziecku nadano imię Samantha - według mnie ohydne - powstrzymałem się jednak od komentarzy i z okazji chrzcin wysłałem stosowny prezent od Tiffany'ego. Myśl o małej wnuczce podobnej do Vicky sprawiła mi dużą radość, napisałem więc do Kellerów, by odwiedzili nas latem w Bar Harbor. Potem moją uwagę odwrócił kryzys spowodowany przez Sebastiana. Właściwie lubiłem Sebastiana, choć trzeba przyznać, że nie było to łatwe. Rola przybranego oj- ca byłaby o wiele prostsza, gdyby choć trochę przypominał Alicję, a doprawdy trudno było uwierzyć, że taka matka urodziła takiego syna. Ponieważ jednak Sebastian był synem Alicji, postanowiłem utrzymywać z nim dobre stosunki, co logicznie rzecz biorąc, powinno było mi przyjść bez problemów. Sebastian ukończył studia z doskonałym wynikiem, nigdy nie uchylał się od kariery bankowej i uczci- wie pracował u Van Zale'a po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej (w tajemnicy użyłem swoich wpływów, by nie wysłano go do Korei). W dzieciństwie nie wymagał szczególnego ojcowskiego nadzoru. Andy zawsze był rozchukany, Sebastian natomiast stronił od towarzystwa i wystarczała tylko sporadyczna nagana, aby utrzymać go w ryzach. To prawda, że często miałem ochotę go uderzyć, ale to dlatego, że doprowadzał mnie do rozpacz, a nie dlatego, iżbym uznał jego zachowanie za niegrzeczne. Problem z Sebastianem, w teorii idealnym pasierbem, polegał na tym, że był całkowicie pozbawiony uroku osobistego. Ponury i pełen rezerwy, siadywał z nami do posiłków niczym wielki pniak, roztaczając wokół siebie miazmaty godne bajkowego kościotrupa przy uczcie. Pragnąłem go polubić, lecz moje wysiłki nigdy nie przyniosły pożądanego efektów. Jego rozpaczliwie nieatrakcyjna osobo- wość sprawiała również, że zaczynałem się martwić o jego przyszłość w banku. Praca bankiera polega na czymś więcej niż tylko na sprawnym finansowym opracowaniu emisji i rozprowadzeniu akcji wśród klientów. Bankier musi zapraszać swoich klientów na lunch i z równym zainteresowaniem wypytywać ich o zdrowie rodziny, jak o zdolność kredytową, a zaczynałem wątpić, czy Sebastian kiedykolwiek zdoła wydusić z siebie cokolwiek poza sztywnym powitaniem i kilkoma zwierzęcymi chrząknięciami z nieodmiennie następującym po nich długim i uciążliwym milczeniem. Był dla mnie stałym źródłem zmartwień. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Alicja go uwielbiała, a ja żyłem w ciągłym strachu, że jeśli w końcu nieodwołalnie go do siebie zrażę, stracę również i jej uczucie. Najcięższą próbą dla naszego małżeństwa wcale nie był początek mojego ro- mansu z Teresą; najbliżej rozwodu znaleźliśmy się w roku 1945, kiedy pokłóciliśmy się o Sebastiana. Aby jak najzwężlej streścić ów haniebny incydent, powiem tylko, że Sebastian nieprzyzwoicie obnażył się przed Vicky w czasie naszych rodzinnych wakacji w Bar Harbor. Nadludzkim wysiłkiem zdołałem opanować gniew i odrazę na tyle, że nawet go nie tknąłem. Wyjechał do swoich krewnych ze strony ojca. Moja kłótnia z Alicją okazała się natomiast fatalna w skutkach i przez wiele miesięcy za każdym razem, kiedy wracałem do domu z pracy, czułem strach, że już jej nie zastanę. Alicja jed- nakże mnie nie opuściła i kolejnym nadludzkim wysiłkiem nauczyłem się spoglądać na ten incydent bez emocji. Wielu dorastających chłopców ma kłopoty z

opanowaniem budzących się zmysłów, a Vicky była wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną. Nie łączyły ich żadne więzy krwi. Pod jednym dachem zamieszkali dopiero wówczas, gdy oboje zbliżali się już do okresu dojrzewania, a okres ten jeszcze spotęgował napięcie wynikłe z naszych wojen o opiekę nad dziećmi. W tych okolicznościach uznałem, że powinno mi być żal Sebastiana. Zresztą i tak musiałem okazać mu współczucie, bo, jak bez przerwy sobie powtarzałem, leżało to w moim dobrze pojętym interesie, a nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach zawsze starałem się dbać o swoje interesy. Z zasady jestem człowiekiem praktycznym. Po wyjściu z wojska Sebastian przez jakiś czas mieszkał z nami na Piątej Alei, ale wkrótce po ślubie Andy'ego przeprowadził się do ponurego apartamentu na Murray Hill. Kiedy wreszcie zaprosił nas do siebie, zastaliśmy czarny dywan na podłodze, czarne obicia na krzesłach i czarny stolik do kawy obok czarnej skórzanej sofy. Ścianę zdobiły dwie ryciny Hieronima Boscha, a z kąta holu straszyl jakiś horror pędzla Salvadore'a Dali, pochodzący z okresu zanim artysta złagodniał i zaczął malować Madonny. Bóg jeden wie, co mogło wisieć w sypialni. Sporo nerwowych chwil spędziłem na rozmyślaniach, czy te dziwaczne gusta nie wynikają z jakiejś perwersji seksualnej i nawet odnalazłem hasło "Freud" w "Encyclopaedia Britannica", jednakże jego poglądy wydały mi się tak bzdurne, że nawet nie doczytałem do końca. Nic dziwnego, że zdanem Kevina Freud nigdy nie dotarł do Staten Island, Brooklynu czy Queens w swej podróży przez psychologiczny odpowiednik planu pięciu nowojorskich dzielnic! Doszedłem do wniosku, że Kevin i tak był nazbyt hojny, przypisując mu znajomość Manhattanu i Bronxu. Moja wiedza na temat teorii Freuda ograniczała się do intrygujących plotek, które niezawodnie ożywiały atmosferę na każdym usypiającym przyjęciu, lecz teraz dopiero pojąłem, jak mądrym posunięciem było ograniczanie owej wiedzy. Cała ta gadanina o id, libido i symbolach fallicznych sprawiała, że normalny człowiek zaczął wątpić w swoją poczytalność. Skoro Freud nie zdołał dostarczyć mi odpowiedzi, zwróciłem się do Sebastiana. - Dlaczego tak lubisz czerń? - spytałem zaciekawiony. - Bo jest ciemna - odparł Sebastian z miną pokerzysty. Poddąłem się. Powiedziałem sobie, że zrobiłem wszystko, co jest w stanie zrobić ojciec, aby wychować normalnego, przystosowanego do życia syna, a jeśli Sebastian jest dziwny, to z pewnością mnie nie należy za to winić. Mój własny ojczym nie potrafił mi udzielić nawet najbardziej podstawowych rad, zadbałem więc o to, by moi pasierbowie wyruszyli w świat, umiając odróżnić jeden koniec kondomu od drugiego i wiedząc, że skrót "VD" nie odnosi się do zwycięstwa aliantów w drugiej wojnie światowej, a oznacza chorobę weneryczną. Cała ta sprawa z Sebastianem zaczęła się wiosną 1955 roku. Pogoda była piękna, indeksy giedowe szły w górę, a ja właśnie kupiłem sobie nowego mlecznobiałego cadillaca z bladobłękitną tapicerką. Prawdę mówiąc byłem w tak dobrym nastroju, że po pracy kupiłem butelkę szampana dla Terezy, kiedy jednak przybyłem do budynku Dakoty, zastałem ją w kwaśnym humorze. Jej twórczość wyraźnie zeszła na niewłaściwe tory. Udało mi się wybić jej z głowy postimpresjonizm, ale teraz dla odmiany dała się zbałamucić najnowszą modą na amerykański abstrakcjonizm i złowrogi wpływ Jacksona Pollocka wzywał ku mnie z każdego jej płótna. Powiedziałem jej grzecznie, że powinna wrócić do swego wcześniejszego naiwnego stylu. Odparła, że oczekuje od życia czegoś więcej niż tylko reputacji drugiej Babczi Moses i czy do diabła mógłbym nie wtykać nosa w jej sprawy. Nasze stosunki seksualne stały się odrażająco mechaniczne. Kiedyś nawet zapytałem ją, czy chce zakończyć nasz związek, na co ona bardzo uprzejmie odpowiedziała: "Nie, dziękuję" i przy następnej okazji przyrzadziła mi wspaniały stek w sosie "béarnaise". Później zapytała, czy mi zależy na zerwaniu, na co ja jej równie grzecznie odparłem: "Nie, dziękuję" i dałem jej złotą bransoletkę od Cartiera. Miałem nadzieję, że wprowadzi to nieco odprężenia do naszych wzajemnych stosunków, kiedy wszakże owego dnia przybyłem do Dakoty, dowiedziałem się, że właśnie zaczęła się miesiączka, o seksie nie ma mowy, a nowy obraz to katastrofa. Miała rację. Obraz był koszmarny. Odrzuciłem wymuszone zaproszenie na hamburgera,

zostawiłem szampana w lodówce i ruszyłem swoim nowym cadillakiem do domu. Kiedy wszedłem do holu, pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Jake Reischman. - Neil! - wykrzyknął od razu. - Dzięki Bogu, że jesteś! Właśnie miałem jechać po ciebie do Da- koty. Czy Teresa zawsze o tej porze wyłącza telefon? Uwaga na temat Teresy wcale mnie nie zaskoczyła, Jake bowiem spotykał ją na każdej wysta- wie jej prac i od lat wiedział, że opłacam jej mieszkanie w Dakocie, jego obecność natomiast zbiła mnie z tropu. - Co ty tu robisz? - zapytałem głupawo. - Alicja wpadła w panikę i zadzwoniła do mnie. Próbowwała się z tobą skontaktować, ale wyszed- łaś już z biura, a kiedy nie wróciłeś do domu, zwróciła się do mnie jako do jednego z członków daw- nego bractwa z Bar Harbor, kogoś, na kim w razie potrzeby można się oprzeć. A oto i ona. Alicjo, przyszedł Neil - Jake ujął mnie za ramię i wprowadził do biblioteki. - Siadaj, zaraz zrobię ci drinka. Alicjo, czy chcesz, żebym powtórzył Neilowi, co powiedziała policja? Powinnaś się chyba położyć. Alicja była blada jak śmierć. - I tak nie mogłabym zasnąć - stwierdziła siadając sztywno na krześle obok drzwi. - Zostań, proszę, Jake, i opowiedz Korneliuszowi o wszystkim. Jake zdążył już otworzyć barek. - Szkockiej, Neil? - Chętnie. Ale co, u diabła... - Moment, naleję tylko drinki. Mogę ci zagwarantować, że wszystkim nam dobrze zrobią. - Dobrze, ale... czekaj, Jake, Alicja nie pije whisky. - Od jakiegoś czasu już piję, Korneliuszu - odparła mechanicznie Alicja. - Kiedy przyszedłem, piłaś szkocką - wyjaśnił natychmiast Jake. - Założyłem, że... - Tak, oczywiście. Poproszę o jeszcze jedną. Dziękuję, Jake. - Na miłość boską, dlaczego marnujemy czas, rozprawiając o tym, co Alicja pije! - Byłem tak poirytowany, że mało brakowało, a zacząłbym sobie wrywać włosy z głowy. - Jake, co tu się dzieje? Skąd tu się wzięła policja? Było jakieś włamanie? - Nie. Chodzi o Sebastiana. Ma kłopoty. Policja twierdzi, że pobił jakąś kobietę na Upper West Side. Jednym haustem wychyliłem szkocką, złapałem za telefon i rzuciłem się do działania. - Middleton, połącz mnie z komisarzem policji - trzepnąłem w widelki i wcisnąłem następny gu- zik. - Schuyler, daj mi tu zaraz prawnika. - Odłożyłem słuchawkę, przełączyłem się na linię zewnętr- ną i wykręciłem numer Sebastiana. - Halo? - odezwał się lakonicznie Sebastian. - Sebastianie, co się u diabła dzieje? Są u ciebie gliny? - Tak. To jakaś wariacka pomyłka. Dzwoniłem do adwokata. - Nie odzywaj się ani słowem, dopóki nie przyjdzie. Zaraz tam będę. Kiedy się rozłączyłem, telefon natychmiast zadzwonił. - Słucham? - Mam na linii komisarza policji, proszę pana. - Dawaj go tu. Halo? Tak, tu Korneliusz Van Zale. Jakim prawem prześladowacie mojego pa- sierba? Co? Nic pan o tym nie wie? Wobec tego czy nie sądzi pan, że byłoby lepiej, gdyby się pan do- wiedział? Mój pasierb nazywa się Sebastian Foxworth i pańscy ludzie nękają go w tej chwili na Wschodniej Trzydziestej Szóstej numer sto czternaście. Powtarzam: Wschodnia Trzydziesta Szósta jeden-jeden-cztery. Niech pan się skontaktuje z tym nadgorliwym kapitanem i powie mu, że w wy- padku nieuzasadnionego aresztowania natychmiast wytoczę mu proces. Odłożyłem słuchawkę. Nie zdążyłem jeszcze cofnąć ręki, gdy rozległ się kolejny dzwonek tele- fonu. Dzwonił mój osobisty adwokat. - Co się stało, Korneliuszu? - Ile kosztuje uciszenie sprawy o pobicie? Alicja pochyliła się, jakby miała za chwilę zemdleć. Jake odruchowo podskoczył do niej, zaraz jednak stanął jak krawiecki manekin, nie mogąc się zdecydować, co robić. - Na litość boską, Jake! - warknąłem, przerywając prawnikowi, który zasypywał mnie stekiem trudnych do powtórzenia bredni na temat łapówkarstwa. - Połóż Alicję na kozetce i zadzwoń po po- kojówkę! Tyle możesz chyba zrobić? Jake posłusznie uczynił wysiłek, żeby być użyteczny. Zakończyłem rozmowę z prawnikiem i wezwałem samochód. - Pojadę tam - powiedziałem do Alicji, całując ją lekko. - Nie martw się, wszystko załatwię, to żaden problem. Zadzwonię do ciebie jutro, Jake. I dzięki za pomoc. Pośpiesznie ruszyłem do mieszkania Sebastiana, żeby spełnić daną mu obietnicę. Sytuacja była paskudnie niezręczna, bo poszkodowana kobieta, prostytutka z West Side, miała portfel Sebastiana, w którym znajdowało się jego prawo jazdy ze starym adresem na Piątej Alei. Kie- dy jednak powąchała moich pieniędzy, okazała daleko posunięty rozsądek, policja zaś bez trudu dała się przekonać, że ofiarę pobił jej konkubent,

kiedy nakrył ją z Sebastianem. Nikt nie chciał marnować czasu na dochodzenie w drobnej sprawie o napaść, kiedy w rejestrach policyjnych pełno jest nie wyjaśnionych morderstw, gwałtów i podpałek, które należy jak najprędzej rozwikłać. Zostawszy sam na sam z Sebastianem, oznajmiłem mu: - Teraz obaj powinniśmy skorzystać z okazji i trochę się przespać, ale rano chcę cię widzieć w moim gabinecie punktualnie o godzinie dziewiątej. Jeżeli spóźnisz się choć o sekundę, czuj się zwolniony. - Dobra - odparł. Zmierzyłem go wzrokiem. Milczałem, ale po pięciu sekundach przestał się opierać o ścianę, a po dziesięciu poczerwieniał i wymamrotał: - Tak jest. Obróciłem się na pięcie i wyszedłem z mieszkania. 3 Nazajutrz rano punktualnie o dziewiątej zapukał do moich drzwi. Wstałem od biurka i wprowadziłem go do drugiej części podwójnego pomieszczenia, w którym pracowałem. W czasach Paula pokój wychodzący na patio miał wystrój biblioteki, a za łukowatym przejściem znajdował się elegancki salon, w którym codziennie po południu paru wybranych ludzi zbierało się, żeby wypić herbatę. Zmieniłem go z dziewiętnastowieczną tradycją. Główne pomieszczenie zmieniło się w surowo urządzone gabinet, tylny pokój zaś - jak wynikało z podsłuchanych szeptów młodszych pracowników stał się jaskinią grozy. Tam właśnie wyrzucałem ludzi z pracy, przywoływałem ich do porządku, a także odbywałem rozmowy z klientami, którzy sądzą, że cierpliwy bankier siedzi w branży wyłącznie po to, żeby ich trzymać za rączkę, podczas gdy ścieżki automatycznie brukuje się złotem. - Usiądź, Sebastianie - powiedziałem do pasierba, którego twarz już okrywała niezdrowa blade dość. Niezgrabnie usiadł na sofie, ja zaś stanąłem przy kominku, opierając dłoń na bladym marmurowym gzymsie. - No? - odezwałem się zniecierpliwiony. Chłopak odchrząknął. Chrząknięcie odbiło się wibrującym echem od jasnopopielatego sufitu i nagich ścian. Dywan w pokoju był stalowoszary. Tuż za moim ramieniem mrugały szkarłatne cyfry zegara; życiodajna krew czasu sączyła się w nieskończoność. - Słucham cię, Sebastianie - odezwałem się ponownie, patrząc, jak usiłuje odzyskać panowanie nad sobą. - Dziękuję ci za to, że zatuszowałaś całą sprawę, Korneliuszu. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem. Przepraszam, że sprawiłem ci kłopot. Jak na Sebastiana była to długa przemowa, ja jednak udałem, że tego nie zauważam. Cisza się przedłużała. Nawet nie drgnąłem, za to Sebastian zaczął się wiercić na sofie. - Wciąż czekam, Sebastianie. - Przepraszam bardzo, ale nie rozumiem... - Czekam na wyjaśnienia. - Aha. - Znów się przesunął, starając się przyjąć wygodniejszą pozycję, lecz - o czym doskonale wiedziałem - nowoczesna kanapka, której oparcie stanowiła tylko wąska tekowa poręcz, z góry wykluczała wszelkie nadzieje na wygodę. - Chcę wiedzieć - powiedziałem z kamienną twarzą - dlaczego inteligentny młody człowiek, starannie wychowany w szczęśliwej rodzinie i obdarzony wszystkimi przywilejami, jakie może zapewnić bogactwo, zachowuje się w tak haniebny i niepojęty sposób. Milczał. Czuję, że zaczyna mnie ponosić. Przemaszerowałem spod kominka do okna tak gwałtownie, że aż podskoczył. - Czy nigdy nie wpadło ci do głowy - zapytałem - żeby umówić się z jakąś miłą dziewczyną, za-prosić ją na kolację albo zabrać do kina? - Nie. - Dlaczego? - Wolę sam jadać kolację i chodzić do kina. - Dlaczego? - Nie cierpię głupiego gadania. - Więc dlaczego nie umówisz się z kimś inteligentnym? - Inteligentne dziewczęta się mną nie interesują. - A czemuż to? - Ponieważ mnie generalnie nie interesuje ich umysłowość, a wystarczy trochę inteligencji, żeby to dostrzec i uznać za obraźliwe. Wątek został wyczerpany. Sebastian, zgarbiony na brzeжку kanapy, pośpiesznie wpatrywał się w dywan. Z irytacją zdałem sobie sprawę, że zamiast go skruszyć i zmusić do mówienia, pozwoliłem mu się zamknąć w buntowniczym milczeniu. Wróciłem do kominka i lekko szturchnąłem butem ekran. - Sebastianie - powiedziałem, odwracając się do niego tyłem, lecz bacznie obserwując go w lusterze - bardzo cię proszę, żebyś zechciał ze mną współdziałać. Musimy wspólnie dotrzeć do sedna problemu. Czy nie rozumiesz, że jeśli go nie rozwiążemy, takie incydenty zaczną się powtarzać? Chciałbym usłyszeć fakty. Nie musisz się bać, że przyprawisz mnie o wstrząs, bo mogę cię zapewnić, że trudno mnie poruszyć. Zaczniemy od pytania, które się samo narzuca:

dłaczego uderzyłeś tę kobietę? Sebastian podniósł wzrok. Jego ciemne oczy stwardniały; malowała się w nich wrogość. - Może byś tak czasami poczytał Markiza de Sade? - odparł. Udało mu się mną wstrząsnąć. Uchwyciłem się gzymsu kominka, powtarzając sobie, że to jest syn Alicji, którego wychowywałem od czasu, gdy skończył dziewięć lat, i który w głębi serca jest, musi być, dobrym, porządnym chłopcem. - Chcesz powiedzieć - rzekłem powoli - że bijąc tę kobietę podniecałeś się seksualnie? - Zgadza się. Po dwudziestu pięciu latach utrzymywania się na wodzie w sztormowych warunkach byłem wy- czulony na kłamstwa. Od razu wychwyciłem fałszywą nutkę w jego głosie. - To poza - powiedziałem zimno. - Wolalbym, żebyś nie marnował mojego cennego czasu. W ten sposób możesz jedynie pogłębić niesmak, jakim już napawa mnie twoje zachowanie. Sebastian poczerwieniał i spuścił wzrok. Ponieważ surowość jak dotąd nie dała rezultatów, zmieniłem ton, usiadłem obok niego na sofie i objąłem go ramieniem. - Posłuchaj - odezwałem się - powiedz mi prawdę. Jestem twoim ojcem i chcę ci pomóc. - Nie jesteś moim ojcem - Sebastian wstał i przeszedł w drugi kąt pokoju. Zerwałem się z zaciśniętymi pięściami, ale zanim zdążyłem się odezwać, wymamrotał: - Powiedziała coś głupiego i straciłem panowanie nad sobą. Nienawidzę głupoty. - Zaczął krą- żyć po pokoju, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby szturchnąć obcasem dywan. - Powiedziała, że ją boli - mruknął. - Powiedziała to tak, jak gdybym celowo chciał sprawić jej ból. Byłem zdumiony, że plecie takie bzdury. Niby co miałem robić? Skurczyć się? A do tego zaczęła z tym w takim idiotycz- nym momencie, właśnie kiedy... Potem próbowała się wyrwać, więc wpadłem we wściekłość i odep- chnąłem ją od siebie tak mocno, że zleciała z łóżka i uderzyła głową o nocną szafkę. Z nosa pociekła jej krew, więc zaczęła wrzeszczeć i w ogóle to wszystko było tak idiotyczne, że miałem ochotę się znaleźć o milion mil stamtąd. Ulotniłem się najszybciej, jak to było możliwe, ale w całym tym zamie- szaniu zapomniałem portfela, a kiedy zobaczyła, że mieszkam na Piątej Alei, oczywiście nie mogła się oprzeć, żeby nie zrobić afery... Przykro mi, Korneliuszu. Teraz sam rozumiesz, że to był tylko idio- tyczny przypadek, który się już nie powtórzy. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. - Ależ ja bardzo się o ciebie martwię, Sebastianie - wyrwało mi się, zanim zdołałem się po- wstrzymać. Zapomniałem o irytacji, zapomniałem o chłodzie tego pokoju przesłuchań i o wyreżyse- rowanej z kliniczną precyzją demonstracji siły. Miałem przed sobą nieszczęśliwego młodego człowie- ka, za którego byłem odpowiedzialny i któremu przez wzgląd na jego matkę powinienem udzielić wszelkiej możliwej pomocy. Wiedziałem, że jeśli zacznę mu okazywać współczucie, znów zamknie się w sobie, przybrałem więc możliwie najbardziej rzeczowy ton: - Sądzę, że powinieneś spróbować nawiązać jakieś... społecznie dopuszczalne stosunki z przed- stawicielką przeciwnej płci. Nie chce mi się wierzyć, że czerpiesz... - znów przerwałem, szukając sto- sownych słów - ...długofalowe korzyści z tych przelotnych epizodów. Uważam, że powinieneś sobie poszukać inteligentnej dziewczyny, która będzie cię pociągać fizycznie, a następnie, po stosownej próbie, po- prosić o jej rękę. Masz już dwadzieścia sześć lat i chyba powinieneś rozważyć, czy swych zupełnie na- turalnych fizycznych potrzeb nie realizować w strukturze, którą zarówno tradycja, jak i współczesna socjologia uważa za najlepszy model stosunków seksualnych. - Jakoś twoje naturalne potrzeby nie za bardzo się w nim mieszczą, prawda? - wypalił. - I kimże ty jesteś, żeby krytykować mnie za to, że chodzę na dziwki? Podskoczyłem do niego i uderzyłem go w twarz. Obaj trzęśliśmy się ze złości. Nienawidziłem go za to, że wyprowadził mnie z równowagi, choć starałem się być dla niego miły. On nienawidził mnie z powodów, których wolałem nie analizować, a które prawdopodobnie wynikały z faktu, że odebrałem mu matkę, kiedy był jeszcze dzieckiem. Te- raz moja pozorna zdrada Alicji dała mu jeszcze jeden powód do gniewu. - Przepraszam cię, Korneliuszu, ale... - Milcz! - huknąłem na niego. - Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz: ja nie chodzę na dziwki. Przez ostatnie sześć lat miałem jedną i tylko jedną kochankę wyłącznie dlatego, żeby zaoszczędzić twojej matce tych aspektów naszego wspólnego życia, które obecnie są dla niej odrażające. A teraz

posłu- chaj mnie, i to uważnie. Jeżeli chcesz nadal pracować w tym banku, musisz wprowadzić pewne zmia- ny w swoim życiu prywatnym. Nie wybieram partnerów spośród zwichniętych neurotyków, niezdol- nych do normalnego życia. Jeżeli w tej chwili jesteś przeciwny małżeństwu, możesz to odłożyć na później. Nie mam zamiaru cię zmuszać, żebyś oświadczył się pierwszej napotkanej dzierlatce. Ale do końca roku masz sobie znaleźć stałą sympatię, inaczej wylecisz stąd na zbity pysk i będziesz mógł so- bie poszukać innej pracy. Rozumiesz? Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Przestraszyłem go. Oczywiście nie miał pojęcia, że blefuję. Nigdy niezdobyłbym się na to, żeby oświadczyć Alicji, iż wyrzuciłem z pracy jej syna, lecz Sebastian nie wiedział, jakie stosunki łączą mnie z jego matką, poza tym wychował się w domu, gdzie moje słowo było prawem. - Tak - szepnął. - To świetnie. A teraz zabieraj się stąd i wracaj do roboty. Niezgrabnie wytoczył się za drzwi, a ja opadłem wyczerpany na najbliższe krzesło. Minęło trochę czasu, zanim ochłonałem po tej scenie, kiedy wszakże wszystko jeszcze raz przemyślałem, doszedłem do wniosku, że dałem mu dobrą radę. Z pewnością nic nie straci wiążąc się na dłużej z jakąś dziewczyną, a choć podejrzewałem, że zawsze będzie wolał prostytutki, wykazałem dość praktycyzmu, by uświadomić sobie, że nie zdołam go zwieść z tej ścieżki. Niektórzy mężczyźni przedkładają takie kobiety nad inne z tajemniczych przyczyn, których korzenie tkwią zapewne w tej części planu Nowego Jorku, o którą Freud nigdy nawet nie zahaczył, może Queens, a może Staten Is- land. Nigdy nie byłem na Staten Island i często przychodziło mi do głowy, że pewnie dzieją się tam najdziwniejsze rzeczy. Za największe osiągnięcie mogłem jednakże uznać to, iż w końcu wytłumaczyłem Sebastianowi, jak ważna jest dla świata prezentacja normalnej domowej fasady. Miałem nadzieję, że kiedyś, być mo- że około czterdziestki, wybierze sobie odpowiednią kobietę na żonę, mając na względzie rozwój swo- jej kariery. Tymczasem nadal pozostał moim krzyżem pańskim, ale nie było w tym nic nowego; przy- zwyczyłem się już, że dźwigam na barkach to brzemie, i dawno nauczyłem się z nim żyć. Westchnąłem z rezygnacją i starając się zagłuszyć strapienie, zadzwoniłem do Jake'a, żeby mu podziękować za tak serdeczne zaopiekowanie się Alicją podczas wstrząsających wydarzeń wczoraj- szego wieczoru. 4 Sebastian rzucił bombę dwa miesiące później, w czerwcu. Pojawił się w samo południe w nie- dziele, wiedząc, że zastanie nas z Alicją przy lunchu, i bez ostrzeżenia czy nawet taktownego wstępu oświadczył, że się żeni. - Żenisz się?! - oboje z Alicją osłupielimy. Jedliśmy lunch na tarasie; wielki kwiciasty parasol osłaniał przed słońcem biały stolik na giętych żelaznych nóżkach. Ogród ciągnął się aż do odległego kortu tenisowego. Natryskiwacz zraszał trawnik, na balustradzie śpiewały ptaki i tylko zawodzący szum ruchu ulicznego za wysokim kamiennym murem przypominał, że znajdujemy się w centrum miasta. - Tak. Żenię się. - Sebastian zajrzał do dzbanka stojącego na podręcznym stoliku. - Co to jest? Tom Collins? - Ależ, Sebastianie... - Alicja uniosła się z miejsca i z powrotem opadła na krzesło. - Czy w tym dzbanku jest Tom Collins? - powtórzył pytanie Sebastian. - Nie, lemoniada - usiłowałem możliwie szybko otrząsnąć się z szoku. - Czy istnieje szansa, że zdradzisz nam imię swojej narzeczonej? - Elsa. - Sebastian zwrócił się do najbliższego lokaja, równie oniemiałego jak my: - Czy mogę prosić o szklanę Toma Collinsa? - Elsa? - powtórzyliśmy z Alicją tak głośno, że z pewnością było nas słychać w oddalonym o trzy przecznice domu Reischmanów. - Tak. Córka Jake'a. Ta gruba. - Sebastian znalazł czysty talerz i zaczął sobie nakładać sadzone jajka. Ruchem ręki odprawiłem służbę, która z ociąganiem weszła do domu. Alicja zrozpaczonym wzrokiem błagała mnie o pomoc. Jej zielone oczy zmatowiały ze zdumienia. Byłem tak wściekły, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Żeby się uspokoić, dolałem sobie kawy i sięgnąłem po świeżą bułeczkę. - Nie wiedziałem, że umawiasz się z córką Jake'a - powiedziałem najbardziej przyjaznym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć. - Od jak dawna to trwa? - Ze dwa miesiące. W każdy piątek jeździliśmy razem do kina dla zmotoryzowanych w New Jersey. Gdyby oświadczył, że zabierał ją na drugą stronę księżycy, nie byłibyśmy chyba bardziej zasko- czeni. Spojrzeliśmy

na niego z otwartymi ustami. - Lubię New Jersey - Sebastian przysunął sobie krzesło i usiadł na nim z trzaskiem. - Podobają mi się kioski z hamburgerami, tablice reklamowe i sklepy przy drodze numer 22, które wyglądają, jakby były z plastyku. Podoba mi się też ten kawałek Turnpike, kiedy mija się te wszystkie rafinerie. Jest surrealistyczny. Tak samo przydrożne bary - dodał po namyśle. - Można jechać i jechać, a za każdym razem serwują identyczne żarcie. Człowiek ma wrażenie, że znalazł się w filmie science-fiction. - Rozumiem - powiedziałem. - To znaczy, że widywałeś się z Elsą tylko raz w tygodniu? - Nie, do licha, widywałem ją o wiele częściej! Przyjeżdżała do centrum, jedliśmy razem lunch i płynęliśmy promem na Staten Island. - Staten Island! - wykrzyknąłem. Sebastian podniósł wzrok znad talerza. - Masz coś przeciwko Staten Island? - zapytał urażony. - Ja na przykład lubię ten moment, kiedy prom odbija od nabrzeża i widać cały paskudny Manhattan, który rysuje się na tle nieba jak rząd zębów dinozaura. To fantastyczny sposób na wydanie piątką. - Hm - wykrztusiłem. Nagle uświadomiłem sobie, że odebrało mi mowę. - Mhm. - Kochanie - Alicja była bardzo blada, ale odzyskiwała już panowanie nad sobą. - Czy Reischmanowie wiedzą, że widzisz się z Elsą? - Oczywiście, że nie! Dlaczego mielibyśmy sami ściągać sobie na głowę kłopoty? Elsa powiedziała im, że noc z piątku na sobotę spędza u Ruth w Englewood. Ruth była od niedawna zamężną starszą córką Reischmanów. - Spędza... noc... - Sebastianie, czy chcesz nam powiedzieć... - Nie ma o czym mówić - rzekł jowialnie Sebastian. - Ruth obiecała, że da jej alibi. Powiedziała nawet, że żałuje, że nie miała nikogo, kto by jej stworzył alibi, kiedy rozglądała się za jakimś sposobem, żeby zrzucić pas cnoty. Czy Carraway przyniesie mi w końcu tego Toma Collinsa, czy nie? - Sebastian obejrzał się przez ramię, po czym z nowym zapalem rzucił się na jedzenie. - Korneliuszu... - odezwała się Alicja mdlejącym głosem. Musiałem przejąć kontrolę nad sytuacją. - Powiadasz nam - zacząłem, artykułując wyraźnie każde słowo, żeby wykluczyć możliwość nieporozumienia - że każdej nocy z piątku na sobotę w ciągu ostatnich dwóch miesięcy... - Jednego - przerwał mi Sebastian. - Przez pierwszy miesiąc byliśmy tylko przyjaciółmi, ale potem zatrzymaliśmy się w motelu koło Turnpike. Odłożył widelec i spojrzał mi prosto w oczy. - Zrobiłem dokładnie tak, jak mi radziłeś - powiedział. - Wypełniłem twoje wskazówki co do jo-ty. Znalazłem inteligentną dziewczynę, która pociąga mnie fizycznie, umówiłem się z nią ileś tam razy, a potem, po stosownej próbie, poprosiłem o jej rękę. Czy nie to mi sugerowałaś? Z domu wyłonił się Carraway z błyszczącą w słońcu srebrną tacą. - Pański Tom Collins, panie Foxworth. - Świetnie. Poprosimy od razu o butelkę szampana, dobrze? Właśnie się zaręczyłem. - Moje gratulacje, panie Foxworth! - Dzięki. - Sebastian wychylił połowę Toma Collinsa i znów napchał sobie usta jajkiem. - A może byście tak poszli za przykładem Carrawaya, zamiast zadawać mi niedyskretne pytania na temat moich spotkań z narzeczoną? - Korneliuszu - wyszeptła Alicja - czy naprawdę mu powiedziałeś... - Nigdy, nigdy nie mówiłem mu, żeby... - Jasne, że tak! - syknął wściekle Sebastian. Zerwałem się na nogi, lecz Alicja złapała mnie za ramię i zanim zdołałem otworzyć usta, powiedziała szybko: - Dość tego, Sebastianie. Nie wolno ci w ten sposób rozmawiać ze swoim ojczymem. Poza tym przestań jeść, usiądź prosto i patrz mi w oczy, kiedy do ciebie mówię!!! Sebastian zacisnął w dłoni widelec, wyprostował się i utkwiał wzrok w jakimś punkcie ponad lewym ramieniem Alicji. - Przepraszam cię, mamó, ale... - I nie przerywaj mi! - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Alicja była na niego taka wściekła. - Jak śmiesz się w ten sposób zachowywać! Jak gdybyśmy nie mieli już dość twoich haniebnych wyczyńców! Jeszcze nigdy w życiu nie najadłam się przez ciebie tyle wstydu! Potraktowałaś córkę jednego z najbliższych przyjaciół Korneliusza jak jakąś tanią prostytutkę! - Ale on... - I nie waz się twierdzić, że Korneliusz ci to doradził! - Wybacz, mamó, ale powiedział, że powinienem się przespać z dziewczyną, którą mam zamiar poślubić, i szczerze mówiąc, uważam, że to dobra rada. Nie ośmieliłbym się związać z kobietą, z którą nie byłem w łóżku. Przykro mi, jeśli uważasz, że to nieprzyzwoite, ale... - Chyba nie chcesz się ożenić z Elsą! - Owszem, chcę! - Sebastian

uparcie zacisnął usta. Skorzystałem z okazji, żeby się wtrącić. - Alicjo, obawiam się, że Sebastian chce mi odplacić za pewną przykrą rozmowę, która miała miejsce po tym incydencie z policją. - Bardziej już nie mógłbyś się minąć z prawdą - oświadczył Sebastian. Doszedłem do wniosku, że dałeś mi znakomitą radę. W gruncie rzeczy właśnie myślałem, że byłbym głupi, gdybym z niej nie skorzystał, kiedy pewnego dnia spotkałem Elbę w mieście, koło Korvettes. Przywitaliśmy się i nagle pomyślałem: "Może ona się nada", więc zaprosiłem ją do najbliższej kawiarni na piwo słodowe. Nie mówiliśmy wiele, bo ona była zbyt onieśmielona. Spytałem, czy ma chłopaka, a ona odpowiedziała, że nie, ponieważ mężczyźni chyba uważają ją za grubasa. Pomyślałem, że jest całkiem apetyczna. Podo- bają mi się pulchne dziewczyny. No a kiedy zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że wcale nie jest taka nudna. Studiuje wzornictwo w szkole plastycznej i kiedy później pokazała mi niektóre swoje projekty, uznałem, że są kapitalne, zupełnie surrealistyczne. Dała mi jeden, żebyś sobie powiesił w mieszkaniu. Potem rozmawialiśmy o Dalim i poszliśmy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Dlaczego nigdy nie ku- pujesz Salvadora Dali, Korneliuszu? Żałuję, że nie potrafię malować jak on albo projektować takich wzorów jak Elsa. W każdym razie na następnej randce powiedziałem: "Teraz ja ci pokażę coś na- prawdę surrealistycznego". Pojechaliśmy razem drogą numer 22 i w przydrożnym kinie obejrzeliliśmy naprawdę wdechowy film o wilkołaku. Było bardzo zabawnie. Jakies dwa tygodnie później, kiedy już zameldowaliśmy się w tym motelu... - Korneliuszu - odezwała się Alicja. - Chyba nie musimy tego wysłuchiwać, prawda? - ...znaleźliśmy automat do sprzedaży coca-coli, który wyglądał zupełnie jak jakiś fantastyczny robot. Zrywaliśmy boki ze śmiechu! Tak czy owak, napiliśmy się coli i poszliśmy do łóżka, i było bar- dzo przyjemnie, a potem włączyliśmy telewizor i obejrzeliliśmy powtórkę "Kocham Lucy". Jezu, mało nie popękaliśmy ze śmiechu! To był jeden z najzabawniejszych odcinków "Kocham Lucy", jakie w ży- ciu widziałem. Może go znacie? Ten, w którym Ricky mówi do Lucy... Drzwi na taras otworzyły się i Carraway w asyście dwóch lokajów wykonał uroczyste wejście z szampanem. - ...A Lucy odpowiada mu na to... Przykuty do krzesła patrzyłem, jak Carraway otwiera butelkę. Sytuacja całkowicie wymknęła mi się spod kontroli. - ...i właśnie wtedy na scenę wkraczają Ethel i Fred... Służący, choć z ociąganiem, nareszcie opuścili taras. - No to wypijmy za mnie i za Elbę! - uwagę Sebastiana przykuł w końcu musujący płyn. Pod- niósł kieliszek do ust. Ani Alicja, ani ja nie poszliśmy w jego ślady. - Sebastianie - powiedziała, ku memu zaskoczeniu znów przejmując ciężar prowadzenia roz- mowy - bardzo mi przykro, rozumiem, że dobrze się bawiłeś z Elbą, ale nie możesz ode mnie żądać, bym zaakceptowała twoje plany małżeńskie względem grubej, brzydkiej Żydówki, całkowicie pozba- wionej zarówno wdzięku, jak i innych zalet, skoro bez trudu możesz sobie znaleźć kogoś o wiele bar- dziej odpowiedniego. - I, na Boga, Sebastianie! - dodałem, śpiesząc jej z pomocą - jeśli Jake kiedykolwiek się dowie, że miałeś romans z jego córką, połamie kości nie tylko tobie, ale i mnie na dodatek! - Nic podobnego! - w ciemnych oczach Sebastiana nagle pojawił się cyniczny błysk. - Dlaczego nie miałbym sypiać z jego córką, skoro on romansuje z twoją żoną? Wszystko zamarło. Zapanowała cisza. Potem jakiś ptak zrobił kilka lekkich susów po balustra- dzie i odfrunął gdzieś w krzaki. Po plecach zaczął mi się sączyć pot. Twarz Alicji wyglądała jak rzeźbiona kość słoniowa - gładka, nieprzenikniona, wytworna. - W tej chwili odejdz od stołu, Sebastianie - powiedziała nie podnosząc głosu. - Doskonale ro- zumiem, dlaczego chciałeś mnie zranić, wymyślając to złośliwe kłamstwo, ale być może, kiedy się uspokoisz na tyle, by rozważyć przyczyny, dla których jestem przeciwna twoim planom, zdecydujesz się mnie przeprosić. A teraz proszę cię, odejdz. Sebastian osuszył kieliszek, złapał butelkę szampana i oddalił się w kierunku altany. - Alicjo - usłyszałem swój głos. - Czy ty... - Nie bądź śmieszny, Korneliuszu - odparła. - Wyobrażasz sobie, że mogłabym mieć romans z Żydem? Tego nie potrafiłem sobie wyobrazić. Otarłem pot z czoła. - Ale skąd, u licha, Sebastian wpadł na podobnie idiotyczny pomysł? - zapytałem, zupełnie zbity z tropu. - Bóg jeden wie. Nie,

czekaj... to musiało być wtedy... Ależ to rzeczywiście idiotyzm! Jake był tu raz, kiedy Sebastian mieszkał jeszcze u nas. Musiało to być wkrótce po jego powrocie z wojska. Ciebie nie było. Wyjechałeś gdzieś, do Bostonu, o ile dobrze pamiętam. Jake myślał, że miałaś wyjechać dopiero następnego dnia, i wpadł po pracy, żeby omówić z tobą jakąś sprawę związaną z Fundacją Sztuk Pięknych, pamiętasz? Mówiłam ci po powrocie. - Tak, chyba pamiętam. Ale dlaczego Sebastian... - Naturalnie zaprosiłam go na drinka i Sebastian zastał nas w Złotym Salonie, kiedy Jake opowiedział mi jakąś tasiemcową historię o jednej ze swoich córek. Jeśli Sebastian uznał to za schadzkę, musiał chyba postradać zmysły. Jestem pewna, że posunął się do tej bzdurnej uwagi tylko dlatego, że poczuł się urażony moim brakiem zgody na jego małżeństwo z tą wielką flejtuchowatą dziewczuchą, która wygląda jak dynia i nie potrafi wydusić z siebie ani słowa, jeśli się jej nie szturchnie. Och Boże, Korneliuszu, co my teraz zrobimy? Carraway, któremu za tę niedzielę z pewnością należała się premia, po raz kolejny otworzył wysokie francuskie drzwi. - Państwo wybaczą, ale pan i pani Reischman... Reischmanowie skierowali się na taras, odsuwając go na bok ze zręcznością charakterystyczną dla starych fortun, przywykłych traktować służbę jak część umeblowania. - Dzień dobry, Neil - powiedział błądzący ze złości Jake. - Dzień dobry, Alicjo. Przepraszamy, że przeszkodził nam w posiłku. Jak jeden mąż zerwaliś się na nogi. - Dzień dobry, Jake. Dzień dobry, Amy - powiedziałem. - Dzień dobry, Amy i Jake'u - powiedziała Alicja. - Dzień dobry, Korneliuszu i Alicjo - powiedziała Amy. - Usiądźcie, proszę - zagałem uprzejmie. - Czy macie ochotę się czegoś napić? - Nie, dziękujemy. Ale chętnie usiądziemy na chwilę. Siadaj, Amy. Amy, tęga wystrojona kobieta o siwiejących włosach skręconych najciaśniejszą trwałą ondulacją, jaką w życiu widziałem, posłusznie zajęła opuszczone przez Sebastiana miejsce, podczas gdy ja przysunąłem czwarte krzesło dla Jake'a. Kiedy sam siadałem, udało mi się nieznacznie kopnąć Alicję pod stołem i wskazać palcem siebie na znak, żeby pozostawiła mi prowadzenie rozmowy. Reischmanowie byli wściekli, miałem jednak poważne powody, by przypuszczać, że wiedzą mniej od nas. Elsa prędzej poderżnęłaby sobie gardło, niż przyznałaby się rodzicom, że straciła dziewictwo w jakimś motelu w New Jersey przed ekranem telewizyjnym, na którym toczyło się galowe przedstawienie "Kocham Lucy". - Zakładam, że podobnie jak my, zostaliście właśnie poinformowani - rzekł Jake - że wasz syn spotykał się z naszą córką w trakcie czegoś, co da się określić jedynie mianem potajemnych schadzek? - Chcesz powiedzieć, że umawiał się z nią na randki? - sprostowałem. - Nie zapytał nas o pozwolenie! - Jake, mamy rok 1955. W którym ty wieku żyjesz? - Nasza córka za namową waszego syna uknuła spisek ze swoją siostrą, która dołożyła starań, żebyśmy się nie dowiedzieli, że Sebastian notorycznie zabiera Elbę do kin dla zmotoryzowanych w New Jersey! - Jake, nie ja jestem odpowiedzialny za to, co robią twoje córki. A poza tym cóż takiego złego widzisz w jeżdżeniu do kina? - Toż to dno! - wyszeptowała Amy ze zgrozą. - To rozpusta! - Zamilcz, proszę cię, Amy. Wszyscy dobrze wiemy, co się dzieje w kinach dla zmotoryzowanych. Nie rozumiem, dlaczego Sebastian nie mógł zapewnić mojej córce godziwej rozrywki. Czyżby na to nie zasłużyła? Cała sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby otwarcie zaprosił ją do Carnegie Hall albo Metropolitan Opera, ale potajemne wycieczki do kina w New Jersey uważam za obrazę zarówno dla mojej córki, jak i domu, w którym została wychowana! - Nie przesadzaj, Jake! - powiedziałem z humorem. - Spróbuj sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy się jest młodym! Wiem, że sam pomysł z kinem w New Jersey brzmi dość wariacko, ale czy tak bardzo różni się od naszych niegdyśszych rozrywek? Pamiętasz, jak wymykaliśmy się z dziewczynami, żeby podziwiać Mae West w "Rozrywkowym facecie", zanim policja kazała zdjąć go z afisza? - Naprawdę tak było, Jakubie? - zainteresowała się Amy. - Amy, proszę cię, milcz. A ty mnie posłuchaj, Neil. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Mam osiemnastoletnią córkę, która ma pozostać dziewicą aż do ślubu, i nie zamierzam pozwolić, żeby włóczyła się po New Jersey z mężczyzną, który, jak zapewne przyznasz, nie jest bynajmniej niedoświadczony w tych

sprawach. - Nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie mnie to wyjaśniasz - odparłem. - Sebastian skończył dwadzieścia jeden lat i sam odpowiada za siebie. Dlaczego jemu tego nie powiesz? - Doskonale wiesz dlaczego. Ponieważ wszyscy czworo powinniśmy się zjednoczyć przeciwko temu obłąkanemu pomysłowi, by Sebastian i Elsa brali ślub po dwumiesięcznym flircie odmierzonym wizytami w kinach dla zmotoryzowanych. Na chwilę zapadła cisza, w czasie której opadliśmy na krzesła, myśląc z ulgą, iż pomimo tak nie sprzyjających okoliczności nadal pozostaniemy przyjaciółmi. - Naturalnie - podjął Jake - jestem tak samo jak ty przeciwny związkowi ludzi wywodzących się z różnych kręgów kulturowych i wyznaniowych. Małżeństwo, nawet jeśli okoliczności mu sprzyjają, i tak jest dość trudnym przedsięwzięciem. Zawierać je, mając na karku taki bagaż przeciwności, jest czystym szaleństwem. Nie daję tu, rzecz jasna, wyrazu jakimkolwiek uprzedzeniom religijnym czy też rasowym. Po prostu stwierdzam fakty. Jednym uchem słuchałem tej przewidywalnej tyrady, w głębi ducha zaś wspominałem, jak bardzo szczęśliwy byłem w młodości z Alicją. Przypomniał mi się pewien kalifornijski hotel sprzed lat, gdzie oboje pękaliśmy ze śmiechu nad torebką orzeszków ziemnych. W owych czasach nie było telewizji, a my leżeliśmy na dekadentckim ogromnym łóżku - ja z krzyżówką, ona z jakimś magazynem dla pań - i życie było wspaniałe, szczęśliwe i ciepłe. Ogarnęła mnie nostalgia. Pomyślałem o Sebastianie i Elsie, beztrudnie oglądających razem telewizję, i po raz pierwszy w życiu poczułem, że całym sercem stoję po stronie mojego pasierba. Być może nie zawsze potrafiłem go zrozumieć, może popełniłem kilka błędów, lecz teraz wreszcie byłem w stanie wynagrodzić mu wszystkie moje niedociągnięcia. - Jake, przerwij na chwilę i zastanów się nad tym, co mówisz - powiedziałem. - Nie mam zamiaru cię oskarżać o uprzedzenia rasowe, ale przemyśl jeszcze raz swoje słowa i zastanów się, czy nie powinieneś ich zrewidować. Nie podoba mi się ta próba dyskryminacji mojego syna. - Wcale nie starałem się zdyskryminować twojego syna! - Doprawdy? Jesteś tego pewien? Jake, czasy, gdy bliźniacze arystokracje Nowego Jorku przepływały obok siebie jak olej i woda i nigdy się nie mieszały, należą już do przeszłości. Dlaczego nie mógłbyś mieć goja w rodzinie i dlaczego w mojej rodzinie nie miałyby się znaleźć Żydówka? Przecież jesteśmy nowojorczykami, żyjemy w najbardziej kosmopolitycznym państwie świata, które być może stanowi najwierniejszy współczesny odpowiednik starożytnego Rzymu, tego tygla, w którym stykały i mieszały się rasy! Przypomnij sobie to, o czym uczyliśmy się dawno temu w Bar Harbor podczas tych cholernych wykładów z kultury antycznej! Istniała arystokracja etruska i arystokracja łacińska, ale czy wzniosły między sobą nieprzebyty mur? Nic podobnego! Stopiły się, by wspólnie stworzyć jedną rzymską elitę! - Jestem zdumiony twoją pojemną pamięcią. Jednakże, nawet jeśli odsuniemy na bok wszelkie obiekcje natury rasowej czy też wyznaniowej, pozostaje faktem, że Elsa i Sebastian zupełnie do siebie nie pasują. - Doprawdy? - wtrąciłem. - Korneliuszu! - nie wytrzymała Alicja. - Chyba nie popierasz tego pomysłu, to niemożliwe! - Słuchaj - powiedziałem do niej, do Jake'a, a nawet do usuniętej na dalszy plan Amy, która patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. - Odrzucmy wreszcie mity, uprzedzenia i średniowieczne poglądy, które mogą nas co najwyżej ośmieszyć, i rozważmy sytuację taką, jaka jest w rzeczywistości. Sebastian jest zamknięty w sobie i w przeszłości miał pewne problemy, ale to dobry chłopak, który doskonale sobie radzi, a będzie sobie radzić jeszcze lepiej. Nigdy dotąd nie zainteresował się poważnie żadną miłą dziewczyną, bo był zbyt nieśmiały, ale teraz, kiedy już się przełamał, możecie być pewni, że o wiele lepiej doceni zalety Elsy niż jeden z tych młodzieńców, którzy większość czasu spędzają na balach debutantek w każdym kolejnym sezonie. Chce się ustatkować i być dobrym mężem, zaś za żonę wybrał sobie waszą córkę, która też jest nieśmiała i jeszcze nigdy nie miała chłopaka, i która - czy wybaczycie mi szczerłość? - raczej nie ma szans na zdobycie tytułu Miss Ameryki. Sam przyznaj, Jake! Sebastian to dobra partia dla Elsy. Amy, ty to też przynasz, nawet jeśli Jake nabiera wody w usta! - Chwileczkę, Amy - rzekł odruchowo Jake

w momencie, gdy Amy otworzyła usta. Wyjął chusteczkę i otarł sobie pot z czoła. - Neil, nie chce mi się wierzyć, że mówisz poważnie. - On nie mówi poważnie, Jake - wtrąciła Alicja. - Ależ tak! Kochana... - przezornie posłużyłem się pieszczotliwym słowem, którego nie używałem od lat, aby dać jej do zrozumienia, że jestem szczerzy. - Po prostu nagle pojąłem, że dla Sebastiana to początek nowej epoki. Czy pamiętasz, jak bardzo byliśmy szczęśliwi w grudniu trzydziestego roku w Kalifornii? - Sebastian jest przystojny, Jakubie - powiedziała z ociąganiem Amy. - I inteligentny. Czy kiedyś zostanie prezesem banku, Korneliuszu? - Amy, a kimże ja jestem, by przepowiadać przyszłość? - Sebastian nie dostanie banku, Amy - rzekł Jake. - Neil zawładnie jednym z młodych Kellerów i wyszkoli go na Paula Corneliusa Van Zale'a III. Krew jest zawsze gęstsza niż woda. - Przykro mi - zwróciła się Alicja do Amy - ale sądzę, że nie powinni się pobierać. To nie ma nic wspólnego z uprzedzeniami. Po prostu jestem przekonana, że Sebastian nie kocha Elsy. Na pewno bardzo się lubią, ale... - Całkowicie się z tobą zgadzam - wpadł jej w słowo Jake. - Elsa także nie kocha Sebastiana. To zwykle dziewczęce zauroczenie. - Oczywiście dzieci będą wychowywane w wierze mojżeszowej - powiedziała do mnie Amy. - Amy, jestem pewien, że Sebastian i Elsa znajdą jakieś rozwiązanie, które dla obojwojga będzie do przyjęcia! - odwróciłem się do jej męża. Przestań, Jake! - powiedziałem życzliwie. - Staw czoła realiom! Jeśli nadal będziesz uparcie chował głowę w piasek, pewnego dnia zamiast w kinie wyładują w motelu! - Boże! - Jake wzdrygnął się, znalazł czystą szklanę na podręcznym stoliku i nalał sobie szklanę lemoniady. - Czy to Tom Collins? - zapytał. - Nie. Carraway! - zawołałem. Carraway pojawił się na tarasie w ułamku sekundy. Oczywiście zarówno on, jak i młodszy lokaj bez wątpliwości nastawiali uszu przy najbliższym oknie. Czułem się trochę jak Aladyn pocierający czarodziejską lampę. - Proszę nam przynieść jeszcze jedną butelkę szampana. - Sprzeciwiam się temu małżeństwu - oświadczył Jake. - Stanowczo mu się sprzeciwiam. - Nie możesz powstrzymać dziewczyny od małżeństwa, jeśli już się zdecydowała, Jake - powiedziałem łagodnie. - Znam ten bolesny fakt z własnego doświadczenia, a jeśli nadal będziesz się zachowywał tak, jak gdyby był rok 1855, a nie 1955, twoja córka może też wyjdzie za mąż w jakimś obskurnym ratuszu w Marylandzie. - Och, Jakubie - wtrąciła Amy. - Musimy jej urządzić cudowne wesele! Chybabym umarła, gdyby wszystko nie odbyło się tak, jak należy! - Amy, czy ty tego nie rozumiesz? Ona go nie kocha! - Tak, Jakubie, ale być może nigdy nie będzie miała już szansy wyjść za kogoś, kto nie zapragnie jej tylko dla pieniędzy. Może rujnujesz życie swojej własnej córce! A Sebastian to taki przystojny chłopiec, taki wysoki i męski. Dla Elsy to spełnienie wszystkich marzeń. Nie wiesz, jak bardzo się martwiła, jak płakała każdego wieczoru, powtarzała, że jest gruba i brzydka i nie ma swojej sympatii... - Dość! - wrzasnął Jake. - Ależ, Jakubie, przecież chyba chcesz, żeby nasza córka była szczęśliwa, prawda? Jake patrzył na dzbanek z lemoniadą tak, jakby chciał rzucić nim w okno. - Nie wydaje mi się, żeby Sebastian uczynił ją szczęśliwą - odparł. - Sądzę, że to małżeństwo okaże się katastrofą - powiedziała Alicja - ale cały problem, Jake, polega na tym, że nikt nas nie słucha. Trudno się też nie zgodzić z poglądem Korneliusza na tę sytuację. Widzę, że Sebastian zdecydował się z nią ożenić, a Elsa prawdopodobnie nie zawaha się przed pójściem w ślady Vicky i potajemnym ślubem w Marylandzie. W dawnych czasach moglibyśmy uknuć jakiś spisek, żeby ich rozdzielić, ale dzisiaj dzieci robią, co chcą, i do diabła z rodzicami. Jake zazgrzytał zębami. Wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem. W końcu powiedział: - Roczne zaręczyny. - Jakubie! - jęknęła Amy. - Młodzi ludzie nie chcą dziś czekać cały rok! - No cóż, może powinniśmy napomknąć o seksie przedmałżeńskim - zacząłem miękko. - Wykluczone! - oświadczył wściekle Jake. - Nie w wypadku mojej córki! No dobrze, dziewięć miesięcy. - Ślub byłby na wiosnę! - rozmarzyła się Amy. Kątem oka dostrzegłem, że Carraway zmierza ku nam majestatycznie z butelką szampana, która miała przypieczętować umowę. 5 Tegoż wieczoru, kiedy samotnie pracowałem w bibliotece nad kosztorysem mojego nowego magazynu o sztuce, do drzwi zapukał Sebastian. Zajrzał do

pokoju. Nie widziałem go od chwili, gdy czmychnął z tarasu z butelką szampana, choć po wyjściu Reischmanów Alicja dzwoniła do niego z prośbą, by do nas wrócił. - Cześć - powiedziałem ostrożnie. - Wejdz. Przeczłapał przez pokój, upchnął się w fotelu po przeciwnej stronie mojego biurka i spojrzał na mnie posepnie. Jego mina, na poły żałobna, na poły buntownicza, wskazywała, że po wybuchu euforii w porze lunchu na nowo wrócił do swego zwykłego nastroju. - Dzięki - rzekł kwaśno. - Co? A, nie ma za co, Sebastianie. Całkiem serio uważam, że małżeństwo dobrze ci zrobi. Jak zwykle zapadło niezręczne milczenie. Rozpaczliwie próbując podtrzymać rozmowę, rzuciłem lekko: - Nie wiedziałem, że jesteś miłośnikiem "Kocham Lucy"! - i od razu poczułem wyrzuty sumienia. Powiniennem być o tym wiedzieć. - Tak, Lucy jest świetna. Znow zapadła cisza. Sebastian poprawił się na krześle. - Korneliuszu... - Tak? - bąknąłem, siłąc się na cierpliwość. - Przepraszam - Sebastian z wysiłkiem przełknął ślinę. - Naprawdę bardzo przepraszam. - Hmm... - usiłowałem się domyślić, za co mnie przeprasza. - Nie ma sprawy, Sebastianie - powiedziałem pośpiesznie. - Nie przejmuj się tym. - Wiem, że mama nigdy by tego nie zrobiła. Przez ułamek sekundy byłem znow na tarasie, a z balustrady dolatywał mnie świergot jakiegoś ptaka. Siedziałem nieruchomo w fotelu. - Byłem na nią wściekły - ciągnął Sebastian - za to, że nazwała Elsię grubą brzydką Żydówką. To było obrzydliwe. - Z pewnością nietaktowne - przyznałem ostrożnie - ale nie zapominaj, że twoja matka przeżyła silny wstrząs. Sebastianie... a tak z ciekawości... co dokładnie skłoniło cię do poczynienia tej niezwykłej uwagi na temat matki i Jake'a? - Właściwie nic. Zastałem ich razem przy drinku pewnego wieczoru, kiedy ciebie nie było, to wszystko. - Tak, twoja matka wspominała mi o tym. Mówiła mi o tym zaraz po moim przyjeździe. Ale co sprawiło, że ten błahy incydent wydał ci się aż tak niezwykły, że nie tylko go zapamiętałeś, ale posłużyłeś się nim wiele miesięcy później? - Nie wiem - Sebastian ściągnął brwi i zadumał się. Wyglądał jak te plastikowe figurki człekokształtnych małp, które sprzedają w sklepach z osobliwościami. W chwili gdy już uznałem, iż nadzieja na uzyskanie logicznego uzasadnienia tak nielogicznego zachowania jest całkiem bezcelowa, nagle powiedział: - Chyba to, że mama piła szkocką. Rozdział szósty 1 W pokoju panowała cisza, lecz w pamięci dźwięczał mi mój własny głos z niedalekiej przeszłości: "Na litość boską dlaczego marnujemy czas rozprawiając o tym, co Alicja pije, a czego nie pije!" Wspomnienie rozbudowywało się, automatycznie, niepowstrzymanie. Drobne, trywialne wręcz szczegóły odtwarzały się gładko przed moimi oczyma. "Alicja nie pije szkockiej, Jake." "Od jakiegoś czasu piję, Korneliuszu." "Piłaś szkocką, kiedy przyszedłem. Założyłem..." "Tak, oczywiście..." Widziałem ich niczym aktorów na scenie: Alicja myli tekst, Jake podpowiada jej właściwą kwestię, Alicja pokrywa pomyłkę tak szybko, że ja - siedzący na widowni i pochłonięty dramatem rozgrywającym się poza sceną - nie zwracam uwagi na ukryty wątek, który przez chwilę jawi się moim oczom. Patrzyłem na Sebastiana. Znow coś mówił. Próbowałem się skoncentrować na jego słowach, lecz mój własny mózg bez przerwy powtarzał: Nie, to nie może być prawda, wyciągam pochopne wnioski, wpadam w histerię, nie wierzę w to, nie mogę w to uwierzyć i nie uwierzę, to jakaś chorobliwa fantazja, chyba tracę rozum. - Tak - mówił w zadumie Sebastian - to było chyba to. Znasz te staromodne poglądy mamy na temat tego, co kobiecie wypada pić. Wiesz, że pozwala sobie co najwyżej na sherry, chyba że sytuacja jest kryzysowa, jak wtedy w Bar Harbor, kiedy Andrew złamał nogę i zrobiłeś mamie martini. Więc kiedy tamtego dnia zajrzałem do Złotego Salonu i mama proponowała, żebym przysiadł się do nich na drinka, od razu zauważyłem, że Jake pije whisky. Rzuciło mi się to w oczy, bo na stole w kubelku z lodem stała butelka bardzo dobrej szkockiej, Granta czy czegoś w tym rodzaju... nie, to był czarny Johnny Walker, więc miałem ochotę się napić, bo w końcu to nie to samo co te plebejskie trunki, do których ty na przykład żywisz upodobał. I wtedy ku swemu zdumieniu ujrzałem, że w zasięgu oka nie ma kieliszka z sherry, a mama pije to samo co Jake. No cóż, pomyślałem, nie ma żadnego powodu, dla którego mama nie miałaby na starość przekonać się

do szkockiej, ale cała ta scena została mi w pamięci przy- puszczałnie dlatego, że pomyślałem jeszcze: Rany, dla mamy to prawie rozpusta, sączyć szkocką w towarzystwie mężczyzny, który nie jest jej mężem! Głupie, prawda? To znaczy, chciałem powiedzieć, że jednego możemy być pewni: mama nigdy by czegoś takiego nie zrobi- ła. - Tak. To prawda. - Chryste, nie zdawałem sobie sprawy, jaka z niej antysemitka! - Sebastian dźwignął się z krzesła i poczłapał do drzwi. - Chyba już pójdę. Na razie, Korneliuszu. Jeszcze raz ci dzięku- je. - Dobranoc, Sebastianie. Wyszedł. Nie mogłem się podnieść z za biurka. Potem nagle wpadło mi do głowy, że prawdopodobnie istnieje jakieś banalnie proste wyjaśnienie i że jeśli zapytam Alicję, a ona mi wszystko wyjaśni, na pewno poczuję się lepiej. Próbowałem ułożyć sobie w myśli pytanie. "Wybacz mi, Alicjo, ale jak to się stało, że od miesięcy w tajemnicy pijesz szkocką i Jake do- skonale o tym wie, a ja nie?" Absurd. Kompletna głupota. Kiedy zdradzę się przed Alicją, że wiem o wszystkim, na pewno zacznę się nade mną litować i nasz związek, ostatnio tak spokojny, przerodzi się w sy- tuację do tego stopnia niezręczną, że wolałem nawet o tym nie myśleć. Cokolwiek by się dzia- ło, ani ona, ani Jake nie mogą się domyślić, że ja wiem. Zresztą o czymże takim się dowiedziałem? Nie było w tym nic strasznego. W 1949 roku - sześć lat temu - powiedziałem żonie, żeby wzięła sobie kochanka, a ona któregoś dnia poszła za moją radą. Postąpiła bardzo rozsądnie i zgodnie z naszą umową. Mało tego: wybrała jedy- nego człowieka w Nowym Jorku, co do którego mogłem być pewien, że będzie trzymał język za zębami i nie wykorzysta swojego zwycięstwa, żeby się ze mnie wyśmiewać, ilekroć odwró- cę się tyłem. Podziwiałem zdrowy rozsądek Alicji. Westchnąłem z ulgą na myśl o perfekcyjnej dyskrecji Jake'a. Wszyscy troje byliśmy tacy postępowi i cywilizowani. Nie było się czym mar- twić. Na biurku stało zdjęcie Alicji i w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że na nie pa- trzę. Patrzyłem na gładkie, lśniące czarne włosy, na lekko skośne szarzielone oczy i nagle z przeraźliwą ostrością stanęła mi przed oczyma gładka skóra Alicji, jej małe jędrne i okrągłe piersi, jej... Miałem ochotę go zabić. Chwiejnym krokiem podszedłem do barku i nalałem sobie czegoś do szklanki. Nie wiem, co to było. Nie miało smaku. Wszystkie moje zmysły były okaleczone; byłem ślepy, głuchy i oniemiały z bólu. Próbowałem jak zwykle odgrodzić się od tej nieznośnej świadomości solid- nymi drzwiami, ale drzwi się zacięły, nie mogłem ich uchwycić i nie mogłem odciąć się od tego bólu. Rozchodził się po moim drżącym ciele i rozkojarzonym umyśle, zdolnym jedynie powta- rzać: Nie zniosę takiego bólu, nie zdołam z nim żyć, nie mam nad nim władzy... Słowo "władza" rozdarło moją strzaskaną świadomość i doznałem uczucia, że za chwilę wykrwawię się na śmierć. Ktoś zapukał do drzwi. Stałem przy barku z pustą szklanką w dłoni. Obok stała otwarta butelka kanadyjskiej żytniówki. Podniosłem ją i znowu sobie nalałem. - Tak? - odezwał się. Drzwi się uchyliły. - Korneliuszu... Nie byłem w stanie na nią spojrzeć. Podniosłem szklankę i przechyliłem ją jednym ru- chem. Nadal drżały mi ręce. - ...wybacz, że ci przeszkadzam, ale chciałam się upewnić, czy Sebastian przed wyjściem cię przeprosił. - Tak. Owszem. - Wróciłem do biurka, cały czas zwrócony do niej tyłem. Kosztorysy le- żały tam, gdzie je zostawiłem, niczym przedpotopowa skamielina, relikwii innego świata. - To dobrze. Och, Korneliuszu, nie mogę się pogodzić z myślą o tym małżeństwie! Wiem, że muszę jakoś wziąć się w garść i postarać się być rozsądną teściową, ale trudno mi być rozsądną, kiedy po prostu nie rozumiem, co Sebastian widzi w tej dziewczynie. - Tak. - A czy ty potrafisz zrozumieć, co on w niej widzi? - Nie. Na chwilę zapadła cisza. - Korneliuszu, czy coś się stało? - Nie. Od jak dawna pijesz szkocką? - Co? - Pytałem, od jak dawna pijesz szkocką? - O... Nagle uświadomiłem sobie, że stoję z nią twarzą w twarz, choć nie pamiętam, bym się odwracał. Jednakże Alicja nie patrzyła już na mnie. Jej oczy przybrały dziwny nieobecny wy- raz, jak gdyby zaglądała w odległą przeszłość. - Od jakiegoś czasu - powiedziała. - Nie mówiłam ci o tym, bo nie chciałam cię dener- wować. Wiem, że pochwalałeś moje staroświeckie poglądy na temat alkoholi. Spojrzała mi prosto w oczy. Trwało to nie dłużej niż dwie sekundy, lecz w ciągu tych dwóch sekund objawiła się

nam naga prawda. Kiedy dwoje ludzi przez dłuższy czas mieszka ze sobą i kocha się głęboko, są pewne okoliczności, w których niczego nie mogą przed sobą ukryć. - No cóż, pij dalej - powiedziałem. - Nie mam prawa ci tego zabraniać. Zamyśliła się na chwilę. - Chyba już nie mam ochoty - odparła wreszcie i szybko wyszła z pokoju. 2 Przez całą noc próbowałem obmyślić, w jaki sposób jeszcze raz mam poruszyć ten temat, lecz bez skutku. Po prostu nie istniała możliwość podjęcia dyskusji. Alicja była wobec mnie uprzejma, a równocześnie trzymała się na dystans. Raz omal nie wrzasnąłem: "Musimy o tym porozmawiać!", ale zrezygnowałem. Za bardzo się bałem tego, co mógłbym usłyszeć, i stopniowo zdałem sobie sprawę, że Alicja również się obawia skutków takiej rozmowy. Tak więc nadal żyliśmy obok siebie - dwoje ludzi owładniętych ciągłym strachem, że zerwą wąłłą nić, jaka wciąż jeszcze ich łączy. Oboje porozumiewaliśmy się grzecznościowymi zwrotami, oboje skrupulatnie tłumiliśmy emocje, a napięcie wciąż rosło, aż w końcu nie wiedziałem już, jak zdołam uniknąć jakiegó gwałtownej, katastrofalnej w skutkach eksplozji. 3 - Tak więc będzie to rzeczywiście wielka emisja - mówił Jake, sącząc wino. - Zgadzam się, że nie tak duża jak styczniowa emisja General Motors, ale mimo to znaczna. Syndykat obejmuje dwieście pięćdziesiąt bankowych firm inwestycyjnych z całego kraju. Zasadnicze pytanie jak zwykle brzmi: na ile ważniejsi udziałowcy zechcą wykorzystać posiadane opcje. - To jasne. Jedliśmy razem lunch w L'Aiglon w dwa dni po tym, jak Sebastian ogłosił swoje zaręczyny. Jake wymógł na mnie spotkanie w mieście, choć wiedział, że postarałbym się o cichy kącik w bankowej sali jadalnej. Od dwudziestu lat uparcie trzymał się tezy, że na południe od Canal Street nie sposób znaleźć strawnej europejskiej kuchni. Zamówił ślimaki, filet z soli w migdałach i butelkę francuskiego chablis. Ja rozdziobałem połówkę grejpfruta, a teraz wpatrywałem się ponuro w okonia sauté. Kelner przystanął, żeby napełnić winem mój pusty kieliszek. Zanim wyszedłem z biura, wypilem już dwa martini. - W tej chwili największym udziałowcem Hammaco - ciągnął Jake - jest Pan-Pacific Harvester. Wiedziałaś o tym? Mają coś koło dziesięciu milionów akcji i jeżeli wykorzystają przysługujące im opcje, będą musieli wyłożyć około czterdziestu milionów dolarów, a to w każdym języku jest kupa forsy. - Fakt. Sporo. Nie mogłem się zmusić, żeby podnieść na niego wzrok. Rozejrzałem się po restauracji. Patrzyłem na elegancką salę, nieskazitelnych kelnerów i wytworną klientelę. Od chwili gdy zabrałem Jake'a sprzed jego banku swoim nowym miętowozielonym cadillakiem, bez przerwy mówił o interesach. - W tej chwili tworzymy listę dealerów, którzy przejmą opcje, jeśli Pan-Pacific odpadnie. Rzeczywiście emisja jest spora, ale sądzę, że to realne. Naturalnie Hammaco będzie musiało uzbierać jeszcze jakieś sto dwadzieścia pięć milionów, żeby sprostać dodatkowym potrzebom produkcyjnym. Neil, czy ty mnie słuchasz? - Tak. Sto dwadzieścia pięć milionów na dodatkowe potrzeby produkcyjne. Zdołałem wreszcie na niego spojrzeć. Miał na sobie prosty szary garnitur i jak zawsze roztaczał wokół aury dyskretnej, lecz wyrafinowanej pewności siebie. Trudno było uwierzyć, że jego pradziad rozpoczął karierę w Ameryce jako domokrażca. Jake pozbawiony był cech składających się na stereotypowy i pod wieloma względami fałszywy obraz Żyda, jaki wykształcił się w świadomości co bardziej niedouczonego gojów, a jednak jego twarz była dla mnie niezaprzeczalnie semicka. Odznaczał się tym subtelnym szykiem, stanowiącym owoc wysokiej inteligencji połączonej z trzymaną w ryzach zmysłowością - kombinacją, którą często można zauważyć na starych portretach sefardyjskich Żydów, choć, o ile wiedziałem, w żyłach Reischmanów nie płynęła ani kropla sefardyjskiej krwi. Całe życie przyjmowałem za pewnik, że Jake podoba się kobietom; w każdym razie on zawsze dbał o to, by robić takie wrażenie. - Rosenthal z PPH mówi, że boi się, jak zareaguje rynek, ale nie wiem, dlaczego się martwi, skoro produkcja stali niedługo osiągnie nowy rekord... Nie mogłem się zmusić do przełknięcia ryby. Skinąłem na kelnera, żeby ponownie napełnił mi kieliszek. - ...a potem zaczął mówić o wpływie kredytów konsumpcyjnych na stan gospodarki i... Neil, czy z tą rybą jest coś nie tak? - Nie. Wszystko w porządku. Po prostu nudzą mnie już rozmowy o

interesach, to wszystko. Dlaczego zawsze musimy rozmawiać o interesach? Chętnie bym dla odmiany po- rozmawiał o sprawach osobistych. Chyba już najwyższy czas, żeby o nich pomówić. Widelec Jake'a na sekundę zawisł nad talerzem. - Co masz na myśli? Chcesz przedysku- tować jakiś konkretny problem? - Tak, prawdę mówiąc mam pewien drobny problem. Od jak dawna pieprzysz moją żo- nę? Otaczał nas nieustający szmer rozmów. Przy najbliższym stoliku kelner rozpoczął rytuał smażenia "crepe suzette" i kątem oka zauważyłem płomienie skaczące po patelni. Moje palce zacisnęły się wokół fiolki z lekarstwem w kieszeni, lecz wciąż oddychałem równo: wdech, wydech, wdech, wydech, a serce bez wysiłku biło pomiędzy płucami. Jake odłożył widelec. - Najwidoczniej zaszła jakaś pomyłka - oznajmił tonem arystokraty zmuszonego do dys- kusji z jakimś nieokrzesanym gburem, który najwyraźniej nie ma pojęcia, jak należy się za- chować wśród cywilizowanych ludzi. - Szczerze podziwiam twoją żonę, ale ona jest bez reszty oddana tobie. - Kto nauczył ją pić czarnego Johnnie Walkera? Jake upił mały łyk wina, nie dlatego, że miał na nie ochotę, lecz dlatego, że uznał za ko- nieczne jakimś wymyślnym gestem dać mi do zrozumienia, iż podobną niedelikatność uważa za wysoce niesmaczną. Twarz miał zupełnie białą. - Ach, to - powiedział. - To było już tak dawno, ot, taki nasz wspólny żarcik. Zdażyłem już o tym zapomnieć. - Słuchaj no, ty... - Sądzę, że powinniśmy stąd wyjść - Jake przywołał skinieniem kierownika sali. - Przecież wiem, co się dzieje! Po co to udawanie! Masz mnie za kompletnego idiotę? Myślisz, że jak długo będę się dawał nabierać na te kłamstwa? - Poproszę o rachunek - powiedział Jake. - Przepraszam najmocniej, czy nie smakował panom posiłek? - Rachunek, proszę. - W tej chwili - maitre d'hôtel odbiegł truchtem. - Pewnie opowiedziała ci o naszych problemach - postyszałem swój głos. - Zapewne wiesz już wszystko. Nie pominęła niczego. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł Jake. - W ogóle o niczym nie wiem. - Pański rachunek, panie Reischman - maitre d'hôtel uklonił się nerwowo, zaniepokojony, że zostawiamy prawie pełne talerze. Jake podpisał rachunek, ponieważ jednak przy dodawaniu napiwku pomylił się i dwu- krotnie skreślał liczby, wciąż jeszcze pisał, kiedy ja wstałem i wyszedłem z sali. Mój cadillac parkował przy krawężniku, ale nawet nie zwróciłem na niego uwagi. Zatrzymałem się na chodniku, a kiedy Jake wyszedł z restauracji, wycedziłem: - Zostaw ją w spokoju. Jeśli jeszcze raz tkniesz ją choćby palcem, to cię... Nagle nie wytrzymał. - Spieprzaj! - warknął trzęsącym się z wściekłości głosem. - Niedobrze się robi od tych twoich kazań! Masz chyba najwspanialszą żonę na całym tym cholernym świecie, i co? Każesz jej wziąć sobie kochanka! A kiedy rzeczywiście bierze sobie kochanka - wyłącznie po to, żeby ocalić twój spokój ducha - czy potrafisz się z tym pogodzić? Nie, skądże! Nie tylko brak ci męskości, żeby kochać się z żoną, brak ci jej nawet na tyle, żeby stawić czoło konsekwencjom! Długą chwilę staliśmy, prawnuk niemieckiego domokrażcy naprzeciw prawnuka ubogie- go farmera z Ohio, a potem trzy pokolenia kultury, wykształcenia i ogłady spłynęły z nas pros- to do rynsztoka. Rzuciłem się na niego. Uderzyłem go pięścią w twarz tak mocno, że skóra na kłykciach mi pękła, kiedy jednak próbował mi oddać, rozdzielił nas mój ochroniarz i powstrzymał go. Zebrałem się w sobie, usiłując zadać Jake'owi następny cios. Miałem wrażenie, że poruszam się w gorącej mgłę. Łzy stanęły mi w oczach. Mój głośny urywany oddech przypominał szloch. - Spokojnie, proszę pana - powiedział mój szofer, chwytając mnie za rękę. - Spokojnie. Rzuciłem się na szofera. Kiedy ochroniarz delikatnie odciągnął mnie na bok, chciałem pobić i jego. Miałem ochotę zmieść z powierzchni ziemi wszystkich, cały świat. - Spokój, panowie! Co tu się, u diabła, dzieje? Zbliżał się policjant. Wokół już zrobiło się zbiegowisko, a nad naszymi głowami rozcią- gało się parne bladobłękitne niebo, zupełnie takie samo jak owego długiego dnia w 1933 roku, kiedy moje marzenia o dużej rodzinie zawałyły się nagle i boleśnie. Dziś skończyła się inna epoka. Rozpoczął ją w dziewiętnastym wieku Paul Van Zale, kiedy poprosił o posadę w banku Reischmanów. Patrząc, jak Jake ociera krew z ust, zrozumia- łem, że oto pękło ostatnie ogniwo łączące mnie z Bar Harbor. Na rękach, na ubraniu miałem krew,

krwiew była także na chodniku. Patrzyłem na nią w osłupieniu. Skąd wzięło się tyle krwi? Jak to się stało? Co ja robię na tym pobojowisku? Miałem uczucie, jak gdybym dusił się krwią. Chciałem wymiotować, ale tylko mi się odbiło. - Tędy, proszę pana - rzekł ochroniarz troskliwie sadzając mnie w cadillacu, jak gdybym był kaleką. Szofer siedział już za kierownicą. - Hej, ty! - zawołał gliniarz. - Czekał no! Mój ochroniarz wyjął pięćdziesięciodolarowy banknot, który na wszelki wypadek za- wsze trzymał w kieszeni, i ostatnią rzeczą jaką zobaczyłem z oddalającego się samochodu, by- ła zadowolona twarz policjanta, upychającego banknot w kieszeni munduru. 4 Pojechałem do domu i zamknąłem się w sypialni. Kiedy wreszcie zdecydowałem się ją opuścić, było już ciemno i z początku nie zauważyłem wepchniętej pod drzwi koperty. Wy- chodząc, zaważyłem o nią nogą, wróciłem więc do pokoju, żeby przeczytać zawartą w niej wiadomość. "Pomyślałam - pisała Alicja - że mogłabym spędzić kilka dni u Andy'ego i Lori. Tak chy- ba byłoby najlepiej. Powiedz mi, co Ty o tym sądzisz." Zbiegłem na dół. Nie było jej tam. W panice wróciłem na piętro i w końcu znalazłem ją w pokoju telewizyjnym. Telewizor był wyłączony. Alicja trzymała w dłoniach jakiś magazyn, lecz nawet go nie otworzyła. Na stoliku stała pusta szklanka, chociaż nigdzie nie zauważyłem butelki. - Nie jedź - powiedziałem. - Proszę. - Myślałam, że tak będzie nam łatwiej. Tylko na kilka dni... - Nie. Proszę cię. - Dobrze. - Chcesz jechać? - Nie. - Chcesz... - jak zwykle słowo "rozwód" uwięzło mi w gardle. - Oczywiście, że nie. - Myślałem, że... On wyraża się o tobie w takich superlatywach, że... - O, to już skończone - odparła Alicja i zaczęła kartkować magazyn. - Kiedy? - W niedzielę wieczorem. Kiedy zdałam sobie sprawę, że wiesz. Zadzwońiłam do niego i naturalnie z nim zerwałam. To oczywiste. - Ale... - brakowało mi słów. Alicja nadal przeglądała magazyn. - Co powiedział? - zapy- tałem w końcu. - Nie chciał mi wierzyć. Myślał, że tylko tak mi się wydaje. Dziś po południu zadzwonił, żeby powiedzieć, że to on się pomylił. Chciał się ze mną spotkać, ale odmówiłam. Nie widzia- łem w tym sensu. Potem przyszło mi do głowy, że mogłabym wyjechać - od niego, nie od cie- bie. Ale to nie ma znaczenia. Sądzę, że rozumie, co czuję. Umilkła, lecz ja słuchałem dalej, jak gdybym mógł usłyszeć nie dopowiedziane wyjaśnie- nie. W końcu się odezwał: - No cóż, myślę, że znajdziesz sobie kogoś innego. - Po tym wszystkim? Oszałałeś? Sądzisz, że chciałabym jeszcze raz przeżywać ubiegłe czterdzieści osiem godzin? - Tak mi przykro - ze wstydem uświadomiłem sobie, że przez swoje głupie egoistyczne zachowanie odebrałem jej jakąkolwiek możliwość znalezienia sekretnego szczęścia i od nowa uwięziłem ją w naszym pustym małżeństwie. Zdrętwiałem z zakłopotania. Wiedziałem, że musi mną pogardzać tak samo jak Jake. - Rozwiedziemy się - powiedziałem pośpiesznie. - To jedyne rozwiązanie. Narobiłem za dużo zamieszania i krzywdy i nie chcę, żebyś dłużej musiała to znosić. - O, nie! - rzuciła zaciekle. - Żadnego rozwodu! Nie po tym wszystkim, co przesłałam! Jeżeli teraz cię stracę, będzie to oznaczało, że cierpiałam na próżno. Bardzo mi przykro, ale nie mogę się na to zgodzić. Jeśli spróbujesz się ze mną rozwieść, to... - Nie chcę się z tobą rozwodzić. - Więc po co w ogóle wywlekasz ten temat? - Alicja rzuciła magazyn na stolik i wstała. - Chyba jednak pojedę do Andy'ego i Lori - powiedziała. - Wyjadę na tydzień, a kiedy wrócę, nie chcę więcej o tym mówić - nigdy, rozumiesz? Będziemy żyli jak dawniej i udawali, że nic się nie stało. Tak będzie najlepiej. Ludzie mówią, że hipokryzja to potworna rzecz, ale w grun- cie rzeczy nic o tym nie wiedzą. Hipokryzja chroni człowieka przed obłudą. Jest tarczą, za którą można się schować, kiedy prawda jest zbyt okropna, by stawić jej czoło. Ilu ludzi ma rzeczywiście odwagę, by żyć w prawdzie? Nie ja, to pewne. I ty także nie. Lepiej udawać, że wszystko jest takie, jakie być powinno, niż samemu zadawać sobie męki, usiłując żyć z tym, co nas rzeczywiście dotyka. Dobranoc, Korneliuszu. Muszę się położyć. Wybacz mi, jestem straszliwie zmęczona. 5 Poszedłem do biblioteki i dość długo siedziałem w niej samotnie. Przez chwilę zastana- wiałem się, czy nie zadzwonić do Scotta, ale nie miałem ochoty na szachy, a nie mogłem prze- cież rozmawiać ze Scottem o swoim życiu osobistym. Mówiliśmy zawsze albo o interesach, albo o wieczności; nie było żadnej

stacji pośredniej. Przypomniałem sobie oświetloną salę Be- dy i pomyślałem: wcale nie jest tak jasno oświetlona, jak myślał stary mnich, w kątach czają się cienie, a im dalej się człowiek posuwa, tym stają się ciemniejsze. Przyszedł mi na myśl ostatni z Stuyvesantów, konający samotnie po latach odosobnienia w pałacu przy Piątej Alei. Ale mnie to nie spotka. Zawsze będzie na tym świecie ktoś, kto sprawi, że nie będę samotny. Napisałem na białym listowym słowo Vicky i obwiodłem je kółkiem. Zrozumiałem, że muszę ją ściągnąć z powrotem. Nie wiedziałem, ile mnie to będzie kosztować, i nie dbałem o to. Chciałem, żeby Vicky wróciła do Stanów - do mnie - i nikt, na- wet Sam Keller, nie mógł mi w tym przeszkodzić. 6 Kellerowie nie mogli nas odwiedzić w sierpniu w Bar Harbor, bo Sam planował jakieś ważne posunięcie w interesach i Vicky pomagała mu organizować przyjęcia dla klientów. Za- sugerowałem więc, żeby przyjechali do Nowego Jorku w listopadzie i spędzili z rodziną Świę- to Dziękczynienia. Odpowiedź Vicky dosłownie odmieniła mi życie. Pisała, jak to cudownie, że nie będzie musiała biegać do Fortnuma i Masona w poszukiwaniu importowanego sosu borówkowego, i że nie może się doczekać, kiedy w końcu się naje prawdziwego amerykańskiego placka z dy- nią. Wreszcie zatęskniła za domem. Rozpoczął się przypływ. Podczas najbliższej transoceanicznej rozmowy Sam znów zaczął mówić o wyjeździe do Niemiec, ja jednak szybko zamknąłem mu usta. - Nie mam teraz do tego głowy. Dość problemów przysparza mi utrzymanie naszych stosunków z Reischmanami. Chyba ci mówiłem, jak strasznie pokłóciłem się z Jakiem z powo- du tych wszystkich antysemitycznych poglądów, które wyszły na jaw, kiedy Sebastian i Elsa ogło- sili swoje zaręczyny? - Chryste, jeszcze nie udało się wam tego załatać? - Tu nie łąty trzeba, a cementu. Rozziew jest potężny. Możliwe, że będę cię nawet mu- siał odwołać do Nowego Jorku. - Ale... - Tymczasem siedź w Anglii, ale na razie zapomnij o wyjeździe do Niemiec. Nie chcę o tym słyszeć. W słuchawce zapadła wściekła cisza. Potem Sam zaczął mi wypominać, że zezwoliłem mu na uruchomienie filii w Niemczech w 1956 roku, lecz wpadłem mu w słowo: - Miałem wrażenie, że Vicky naprawdę się cieszy na myśl o przyjeździe do domu na Święto Dziękczynienia - zauważyłem lekko. - Nie wiem, czy tylko mi się wydawało, czy też rzeczywiście tęskni już za krajem? Sam zamilkł na chwilę, po czym rzucił szorstko: - Vicky tęskni za domem tylko wtedy, kiedy jest przygnębiona a przygnębiona jest wy- łącznie na skutek ciąży. Doktor twierdzi, że to dość powszechne. - Mhm. Znów zapadła cisza. Czekałem, kiedy ponownie napomknie o Niemczech, ale nie zrobił tego, a ja z ogromnym zadowoleniem uświadomiłem sobie, że nie pomyliłem się w swoich oczekiwaniach. Układ sił znów przechylił się na moją korzyść. Teraz Sam będzie tańczyć tak, jak ja mu zagram. Zanim jednak zdążyłem uczynić jakikolwiek ruch, by przerwać tę europejską idyllę, z Londynu zadzwoniła Vicky. Ostatnio dzwoniła coraz częściej. - Wspaniała nowina, tatusiu! W lecie będę miała jeszcze jedno dziecko! Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka, żeby Samantha miała się z kim bawić! - Kochanie, cóż to za cudowna wiadomość! - powiedziałem skwapliwie, rozczarowany, że będę musiał odłożyć decydującą rozmowę z Samem do chwili, gdy urodzi się dziecko. Nie chciałem denerwować Vicky podczas ciąży, tym bardziej że stało się to tak szybko po urodze- niu Samantha. Przypomniałem sobie rozmowę o depresji poporodowej i zacząłem się martwić o Vicky. - Jak się czujesz, maleńka? - spytałem odruchowo. - Wszystko w porządku? - Naturalnie! Jak mogłoby cokolwiek być nie w porządku, skoro jestem taka szczęśliwa i mam wszystko, czego może zapragnąć dziewczyna? Czasem nawet nie mogę w nocy zasnąć; leżę i myślę sobie, jaka ze mnie szczęściara! Uznałem, że byłaby jeszcze szczęśliwsza, gdybym sprowadził ją do Nowego Jorku, lecz nie mówiłem o tym, żeby jej nie martwić zbliżającą się próbą sił pomiędzy mną a jej mężem. Zresztą kobiety i tak nie należy wciągać w męskie sprawy. Kobiety powinny zajmować się do- mem i dziećmi. Uważałem, że mam moralny obowiązek - prawdziwy moralny obowiązek - chronić Vicky przed brudnym światem tego rodzaju rozgrywek, tak żeby mogła nadal być ide- alną żoną i matką. Zaczynałem myśleć, że w życiu udało mi się tylko córka. Z westchnieniem pomyślałem o Samie, choć wcale nie było

mi go żal. Prawdopodobnie i tak byłby nieszczęśliwy, gdyby osiadł na stałe w Niemczech. Wiedziałem, że we własnych oczach jest Niemcem, tęskniącym za ojczyzną, jednakże Niemcy bez wahania uznaliby go za Amerykanina, i rzecz jasna mieliby rację. Niemcy wcale nie są głupi, Sama niechybnie spotkałoby więc ogromne rozczarowanie. W gruncie rzeczy odwołując go do Nowego Jorku oszczędzałem mu tylko przykrości. Tak przynajmniej uważałem, choć zdawałem sobie sprawę, że Sam raczej nie chce ujrzeć mojej decyzji w tym świetle. Musiałem działać bardzo ostrożnie. Być może balans sił przechylił się lekko na moją stronę, ale Sam był groźnym przeciwnikiem i wystarczy jeden błędny krok, a zręcznym manewrem bez trudu odzyska przewagę. Wiedziałem, że aby ściągnąć go zza Atlantyku, potrzebny mi będzie cały dyplomatyczny talent i wszelkie atuty przetargowe, jakie tylko zdołam zgromadzić w ręku. Prawdę powiedziawszy, miała to być najbardziej ryzykowna przeprawa w moim życiu. Rozdział siódmy 1 W maju następnego roku Vicky urodziła jeszcze jedną córkę, której dano na imię Kristin. Była to zamerykanizowana forma kolejnego niemieckiego imienia. Po wymianie entuzjastycznych transatlantyckich telefonów Sam przysłał mi długie memorandum z oddziału Van Zelle'a w Londynie. Pisał, że dostatecznie długo odwlekał wprowadzenie w życie swoich niemieckich planów; sugerował trzytygodniowy rekonesans w Bonn w lipcu, konferencję w Nowym Jorku we wrześniu i otwarcie niemieckiego oddziału w styczniu 1957 roku. Zrozumiałem, że zdecydował się przystąpić do ataku w nadziei, że nie zdobędzie się na jawną próbę sił. Uśmiechnąłem się ze smutkiem i potrząsałem głową. Do tej pory wszystko już wskazywało na to, że Vicky ma dość Europy, i choć nigdy nie powiedziała tego na głos, czułem, że marzy o powrocie do domu. Odpowiedź, której udzieliłem Samowi, była majstersztykiem. Wyznałem ze smutkiem, że postanowiłem zrezygnować z niemieckiej filii, ponieważ uważam, że rozbudowa jeszcze jednego oddziału uniemożliwi mi ścisły nadzór nad bankiem, do którego wszyscy od dawna przywykli. Z beczelnym entuzjazmem wychwalałem jego osiągnięcia w Londynie. Potem stwierdziłem, że planuję reorganizację na Willow Street numer 1 i chcę go mieć na miejscu. W odpowiedzi otrzymałem depezę: "Przylatuję Idelwild środa #/14#30 omówić plany stop Sam." Środa była nazajutrz. Poleciałem wysłać po niego cadillaca na lotnisko, z tym że miał to być zeszłoroczny model. Zadzwoił z hotelu Pierre. - Dzięki, że załatwiłeś mi lokum, Neil, ten apartament jest boski! - wykrzyknął, dając mi do zrozumienia, iż zauważył, że nie zaprosił go na Piątą Aleję. Zrobił to zręcznie; udało mu się zneutralizować chłód mojego powitania. - Może spotkamy się na kolacji? Teraz chciałbym się zdrzemnąć. W żadnym wypadku nie mogłem się na to zgodzić. Jeżeli pozwolę, by choć na sekundę dyktował mi harmonogram naszej konfrontacji, ustawię się na straconej pozycji. - Zobaczymy się tutaj za pół godziny - powiedziałem i rozłączyłem się. Przyszedł punktualnie. Najwyraźniej uznał, że nie oplaca mu się drażnić mnie jeszcze bardziej, co niechybnie by się stało, gdyby kazał mi czekać. Kiedy sekretarka wprowadziła go do mojego gabinetu, zmierzyłem go wzrokiem od stóp do głów niczym bokser starający się oszacować przeciwnika na ringu. Zauważyłem parę szczegółów, które uprzednio umknęły mi w czasie pośpiesznych konsultacji bankowych i hałaśliwych spotkań rodzinnych. Ongiś ciemne włosy Sama były już zupełnie siwe, a zmarszczki na twarzy pogłębiły się. Nie miałem wątpliwości, że ja też się postarzałem, jednakże blondyni lepiej znoszą upływ czasu: moje włosy miały teraz bledszy odcień, lecz z pewnej odległości srebrnych nitki nie było widać, a choć i ja miałem zmarszczki, los oszczędził mi worków pod oczami i zwiotczalej skóry wokół szczęk. Regularne ćwiczenia i całkowita rezygnacja z nikotyny pomogły mi się utrzymać w dobrej formie pomimo kłopotów z układem oddechowym, a choć po odkryciu romansu Alicji piłem nieco więcej niż zwykle, wkrótce się z tym uporałem. Sam wyglądał źle, a gdy już odprawiliśmy rytuał czułego powitania i usiedliśmy, musiał zapalić papierosa, żeby uspokoić nerwy. Oczywiście w przybliżeniu wiedziałem, co teraz będzie: projekt scenariusza został już dawno temu. Sam inteligentnie przyjął opartą na faktach taktykę, zgodnie z którą zaczął mi

tłumaczyć, że istnieją solidne i zachęcające podstawy do dalszej ekspansji w Europie. Mógł, rzecz jasna, forsować swoją koncepcję, nie wdając się w wyjaśnienia, lecz znał mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że najlepszą polityką nie jest ciosanie mi kołków na głowie, a delikatne kuszenie do chwili, gdy nie znajdę już ważkich powodów, by odmówić jego żądaniom. Najwyraźniej ze względu na Vicky dokładał starań, by obchodzić się ze mną jak z jajkiem i nie irytować mnie bez powodu. Żeby zaprowadzić konia do wodopoju, wystarczy jeden człowiek ale nawet dwudziestu nie zdoła zmusić go, żeby się napił. Sam zwabił mnie na brzeg strumienia i zademonstrował, jak wspaniały napitek może mi zaoferować. Nie zdziwiłbym się, gdyby stracił cierpliwość widząc, że nie chcę być rozsądnym koniem i uparcie wzdragam się zaspokoić pragnienie. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak grozi, że zrezygnuje z posady, za to absolutnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, iż rzeczywiście składa rezygnację. Słabość jego położenia zasadzała się właśnie na tym, że nie miał ochoty odchodzić z banku; wiedział, że Vicky będzie cierpieć, jeśli zerwie ze mną wszelkie stosunki, i nie chciał też umniejszać przyszłych perspektyw swoich synów, pozbawiając ich dostępu do fortuny Van Zale'ów. Gdyby Sam zagroził mi rezygnacją, a ja wziąłbym go za słowo, łatwo przewidzieć, że znalazłby się w kłopotcie. Uśmiechnąłem się do niego, żeby pokazać, iż czuję się pewnie, on jednak na mnie nie patrzył. Wciąż dłużył przy tym swoim obrzydliwym papierosie. - Ograniczmy się do spraw czysto zawodowych, dobrze? - powiedział, energicznie gasząc zapalniczkę. - Zawsze, kiedy poruszamy sprawy osobiste, dajemy się ponieść emocjom. Jakakolwiek dyskusja ograniczona do spraw zawodowych miałaby tylko jeden efekt: z upokarzającą łatwością zdołałby mi udowodnić, jaki jestem tępy i krótkowzroczny i jak irracjonalnie postępuję, odmawiając mu zgody na ekspansję w Niemczech. Zacząłby sypać z pamięci najświeższymi faktami i liczbami i w przeciągu pięciu minut zrobiłby ze mnie kompletnego głupca. - Do diabła, Sam! - rzekłem dobrodusznie. - Zaczynasz mnie nudzić. Zmień płytę, dobrze? Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich argumentów przemawiających za uruchomieniem filii w Niemczech. Znam je już tak dobrze, że mógłbym je wymieniać przez sen! Brytyjczycy są skończeni, powiadasz, nic nie robią, tylko siedzą i piją herbatę, osiedli na laurach, odkąd Macmillan im powiedział, że jeszcze nigdy nie powodziło się im tak dobrze. Za to Niemcy harują jak woły, wypelzają z rynsztoka i pną się w górę w tych swoich żołnierskich butach. Kurs marki przez cały czas rośnie. Funt za to wkrótce nie będzie wart nawet zaśnieżonego miedziaka. Jeżeli teraz otworzę oddział w Niemczech, zarobię tyle pieniędzy, że będę mógł sobie kupić całą Anglię i przerobić ją na wesołe miasteczko, coś w rodzaju europejskiego Coney Island. Boże wszechmogący, Sam, mógłbym tak recytować przez całą wieczność, ale czy nie lepiej dać sobie spokój z pozorami i przejść do tego, co nas naprawdę dręczy? A to, co nas dręczy, nie ma nic wspólnego z interesami. - Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o Vicky. - Chyba będziesz musiał. Pomówmy o realiach. Wysłałem cię do Europy nie tylko po to, żebyś zarabiał pieniądze dla Van Zale'a. Wysłałem cię przede wszystkim dlatego, że w 1952 roku Vicky miała pewne problemy i musiała na jakiś czas zmienić otoczenie. - To prawda. Ale... - A teraz - ciągnąłem, opierając się głębiej w obrotowym fotelu i kołysząc się lekko tam i z powrotem - Vicky doszła już ze sobą do ładu. Teraz Vicky chce wrócić do domu. Co w tym dziwnego? Spędziła w Europie cztery lata i było to cudowne przeżycie, ale teraz chce widzieć wokoło gwiazdziste sztandary zamiast Union Jacka, chce jeść prawdziwy świąteczny obiad z okazji Dnia Dziękczynienia, oglądać w telewizji Waltera Cronkite'a, mieć rachunek u Saksa i chce, żeby jej dzieci miały amerykański akcent. I pozwól, że coś ci powiem, Sam. Uważam, że Vicky ma rację. Nic mnie tak nie wkurza jak imigranci, którzy zaczynają wybrzydząć na Stany Zjednoczone. Zapadła cisza. Po chwili Sam zdjął okulary i przetarł je. - Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, Korneliuszu - powiedział, a dźwięk imienia, którego nigdy nie używał, zasygnalizował mi, że zdecydował się podjąć rzuconą mu pod nogi rękawicę. - To smutny koniec trzydziestoletniej przyjaźni. - A cóż to znowu ma znaczyć? - zapytałem,

wiedząc, że teraz będzie mi machał przed nosem rzekomą dymisją. - A cóż sobie, u diabła, myślisz? - odparował, lecz ja wiedziałem, że nie jest to mecz szermierki. To była partia pokera, w której potrajaliśmy stawki za każdym okrażeniem licytacji. - Wiesz, Neil, zastanawiam się, czy ty tak naprawdę wiesz, co robisz. Ujmując rzecz bez ogródek, starasz się rozwalić moje małżeństwo. Chcę pozostać w Europie i mam prawo oczekiwać, że moja żona poprze każdą moją decyzję dotyczącą spraw zawodowych, ale ty oczywiście starasz się ją uszczęśliwiać na siłę; wykorzystujesz jej przejściową nostalgię, by do- wieść, że wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie, gdy tylko mała Vicky wróci do tatusia! No cóż, przykro mi, ale nie jestem przygotowany na tego typu ingerencję w moje prywatne życie. Skoro nie chcesz się zgodzić na otwarcie oddziału w Niemczech, jak zrobiłby każdy szanujący się i rozsądny biznesmen, zmuszony będę zrezygnować z pracy u ciebie. W Europie mam bardzo dobrą reputację i jeżeli ty mi odmówisz, znajdą się inni. - A co powiesz Vicky? - zapytałem od niechcienia, nadal kołyszając się w fotelu. Popatrzył na mnie. - A, to już moja sprawa - powiedział. - Nie powinno cię to interesować. Byłem nieprzyjemnie zdziwiony, że Sam nie chce stawić czoła faktom. Przestałem się kołysać. - Innymi słowy, masz zamiar nadal unieszczęśliwiać moją córkę! Zerwał się na nogi. - Słuchaj, kolego... - Na litość boską, Sam, usiądź i nie gorączkuj się tak! - Zamknij się. Chyba już najwyższy czas, żebyś się obudził i przyjął do wiadomości twarde życiowe realia. Vicky jest moją żoną. Kocha mnie i na pewno mnie nie opuści, żeby wrócić do tatusia. W moim domu ja jestem szefem i jeżeli powiem, że zamieszkamy w Niemczech, to tam zamieszkamy. Jeśli chcesz się ze mną rozstać, proszę bardzo, ale wtedy roz- staniesz się również z nią. Oczywiście blefował, choć brzmiało to tak przekonująco, że sam byłem zdumiony. Zaczęłem się czuć niepewnie. Wciąż oddychałem równo, ale w ustach mi wyschło, a dłonie zaczęły się pocić. Ponadwszystko pragnąłem zakończyć tę rozmowę. Wtedy mógłbym się wreszcie odprężyć, napawając się swoim zwycięstwem. Na razie jednak ogarnęło mnie nie- przyjemne wrażenie, że w każdej chwili mogę ponieść klęskę. - Och, przestań mnie podpuszczać, Sam! - powiedziałem z rozdrażnieniem. - Przecież nie odejdziesz z Van Zale'a! Pomyśl o swoich synach! A gdybym ich tak wydziedziczył? - Zaczynam dochodzić do wniosku, że to najlepsza rzecz, jaka mogłaby im się przyda- rzyć. Na moment wpadłem w kompletną panikę. To nie był blef. On rzeczywiście miał zamiar zrezygnować. Właśnie podarł na strzępy moją kartę atutową. Zabierze Vicky do Niemiec. Już jej nie odzyskam. Przegram. Skończę samotny... - Czekaj no - powiedziałem. - Chwileczkę. Na pewno dojdziemy do jakiegoś porozu- mienia. Przecież nie trzeba od razu stawiać sprawy na ostrzu noża, prawda? Na miłość boską! Można chyba znaleźć jakiś kompromis! Hm... Teraz rozumiem, że przedstawiłem ci to wszys- tko w niewłaściwym świetle. Widzisz, Sam, ty rzeczywiście jesteś mi potrzebny w Nowym Jorku. Pisałem ci o tym, prawda? Nie chciałem od tego zaczynać rozmowy, bo byłem przeko- nany, że nie zrezygnujesz z niemieckiego projektu tylko dlatego, że jesteś mi potrzebny, więc wdałem się w dyskusję na temat Vicky i chłopców, ale teraz widzę, że popełniłem błąd. Nic dziwnego, że poczułeś się urażony. Bardzo cię przepraszam. To jasne, że Vicky jest twoją żo- ną, i przyznaję, że nie miałem prawa wtrącać się w twoje sprawy rodzinne. I oczywiście nigdy bym nie wydziedziczył tych malców. Przecież wiesz, jak wiele dla mnie znaczą. Przepraszam, że tak cię potraktowałem; postąpiłem jak głupiec, ale prawda wygląda tak, że... - przerwałem dla zaczerpnięcia oddechu, gwałtownie poszukując natchnienia - że jeśli chodzi o Reischmanów, znalazłem się w kompletnym impasie. Przez wszystkie te reperkusje sytuacja zrobiła się tak niewygodna, że nie jestem w stanie rozsądnie negocjować z Jakiem spraw, które tradycyj- nie mieściły się w obszarze naszych wspólnych zainteresowań. Ja sam nie mogę już prowadzić z nim rozmów, a pozostali pracownicy banku są beużyteczni. Nie sięgają mu do pięt. Wysy- łałem ich na pole bitwy, a wracają zmieleni jak paczkowana wołowina. Wiem, że już nie przy- jaźnisz się z Jakiem, ale przynajmniej potrafiś mu sprostać. Jaki szanuje twoją wiedzę i umie- jętności, więc nie wrócisz z zebrania u Reischmanów posiekany na drobne

kawałki... Ciągnąłem w tym stylu jeszcze przez jakiś czas, umiejętnie mieszając fakty z fikcją, by wbić mu do głowy, że jest mi niezbędny. Przez cały czas czekałem, kiedy mi przerwie. Lecz Sam nie przerywał. Siedział i pozwalał mi mówić. Po chwili zapalił nawet papierosa, jak gdyby nigdzie mu się nie śpieszyło. W pierwszej chwili zanadto osłabłem z ulgi, by zastanawiać się nad tym nagłym odwrotem ciężkiej artylerii, potem wszakże ulga przerodziła się w zmieszanie, a w końcu w oszołomienie. Mówiłem i mówiłem, a Sam słuchał i kiwał głową, aż nagle prawda uderzyła we mnie z takim impetem, że omal nie zemdlałem. Nie ma w tym żadnej przesady. Zabrakło mi tchu i doznałem uczucia, że moja przepona została przykuta do żeber. Sam bez słowa przyniósł mi szklanekę wody i stanął przy oknie, czekając, aż astmatyczny napad minie. - Tak więc rozumiesz, prawda? - wyszeptałem, gdy tylko wróciła mi zdolność mówienia. - Rozumiesz, dlaczego tak bardzo chcę, żebyś wrócił? - Tak - odparł Sam i usiadł. Po chwili milczenia podjął flegmatycznie: - Nie twierdzą, że nie jestem w stanie wyobrazić sobie sytuacji, w której uznałbym powrót do Nowego Jorku za bardziej atrakcyjny od wyjazdu do Niemiec. Ale trzeba do tego naprawdę bujnej wyobraźni. Może ty mógłbyś podziałać na nią inspirująco. - Jasne - powiedziałem. - Mam bardzo bujną wyobraźnię. Pomyślmy... No cóż, oczywiście- cie będą dodatkowe pieniądze, ale o tym nawet nie mówię, bo to zrozumiałe, że nie zrezygnowałbyś z marzenia o Niemczech bez solidnej rekompensaty finansowej... - Wspólnictwo. - Co takiego? - Wrócę do Nowego Jorku, jeżeli zrobisz mnie swoim wspólnikiem. - O... no cóż... hm... właściwie czemu nie? To znaczy, nie sądzę, że wszystko da się do- kładnie podzielić fifty-fifty, ale z pewnością tytuł... - To na początek wystarczy. Jestem pewien, że później znajdziesz wiele okazji, by popi- sać się swoją hojnością. - O, tak - wyjąkałem. - Z pewnością okazja nie da na siebie długo czekać. Patrzyliśmy na siebie. Milczenie się przedłużało. Zastanawiałem się, dlaczego pozwolił mi wygrać, kiedy porażka już zaglądała mi w oczy, ale uznałem, że głupotą byłoby popychać go za daleko wyłącznie po to, żeby się tego dowiedzieć. Wygrałem. Tylko to miało znaczenie. Wygrałem. Vicky wraca do domu. - Nadal chcesz, żebym wrócił? - spytał Sam. - Bezwzględnie. Znowu zapadła cisza. Potem Sam rzekł półgłosem: - Neil, nie wiem, jakiego rodzaju masz problemy, ale uwierz mi: w ten sposób ich nie rozwiążesz. - No cóż, pozwól mi przynajmniej spróbować! - odparłem, odprężając się wreszcie na ty- le, aby się uśmiechnąć, chociaż gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zacząłem się zastanawiać, czy mój triumf nie okaże się pyrrusowym zwycięstwem. 2 Upłynęło jednak całe sześć miesięcy, zanim znów zobaczyłem Vicky. Należało wybrać następcę Sama, odprawić go do Londynu i zapoznać z wszystkimi klientami. Sam musiał do- kończyć rozpoczęte negocjacje, Vicky zaś jeszcze raz stanęła przed skomplikowanym proble- mem, jakim jest przeprowadzka na drugi kontynent. Kiedy dom został wreszcie sprzedany, służba opłacona, a meble oddane do wysyłki, nie byłem zaskoczony, czytając w liście, że Vic- ky nie może się już doczekać pięciodniowego wypoczynku na morzu. Statek zawinął do Nowego Jorku na tydzień przed świętami, wioząc na pokładzie moją córkę z mężem, czworgiem dzieci i dwiema piastunkami, ja zaś oczywiście stałem w pierw- szym rzędzie oczekujących na nabrzeżu. Pasażerowie "Queen Elisabeth" przeszli do komory celnej. Osobisty sekretarz Sama zajął się górą bagażu, tak więc nie było przestojów. Jedną z pierwszych osób, które zobaczyłem, była Vicky. Na mój widok natychmiast podbiegła do barierki. Wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Miała na sobie płaszcz z jagnięcej wełny i dopaso- wany do niego kapelusik. Ku memu zaskoczeniu z daleka przypominała Vivienne, po której odziedziczyła figurę. Vivienne przed dwoma laty opuściła swoje mieszkanie w Westchester i wynajęła domek na południowym wybrzeżu Anglii, a Sam wielkodusznie pozwalał jej raz w miesiącu odwiedzać wnuki w Londynie. Nie miałem pojęcia, czy nie zechce teraz wrócić do Nowego Jorku, ale miałem nadzieję, że kwestie finansowe zdołają ją przekonać, że w Europie będzie jej o wiele lepiej niż w Nowym Jorku, gdzie czeka ją nędzna egzystencja. Zamierzałem jasno powiedzieć Samowi, iż moim zdaniem zrobił już dla niej dosyć i nie ma potrzeby, by na- dal podsycił jej macierzyńskie instynkty. -

Tatusiu! - krzyknęła radośnie moja córeczka i rzuciła mi się w ramiona. Przyszły mi na myśl słowa Scotta: "Warto było?" Jakiś głos w mojej głowie odpowiedział: "Tak, tak i jeszcze raz tak". Nie byłem już sam. Tylko to się liczyło. Kiedy wreszcie zmusiłem się, by wypuścić ją z objęć i przekazać Alicji, ujrzałem przed sobą Sama. - Cześć - powiedział. - Cześć - wyszeptalem, usiłując opanować wzruszenie. Za plecami Sama nieśmiało tulili się do siebie dwaj chłopcy, a jeszcze dalej dwie nianki trzymały na rękach dziewczynki. Cała czwórka znacznie podrosła od czasu, gdy ją ostatnio widziałem, i nawet siedmiomiesięczna Kristin była już sporym dzieckiem. Zauważyłem, że tak jak pozostałe odziedziczyła piwne oczy Sama. - No, dalej, dzieci! - rzekł Sam, lekko popychając Erica w moją stronę. - Pobudka! Eric miał sześć lat i jasne włosy Vicky, ale nie wiedzieć czemu nie był już do niej tak łudząco podobny jak kiedyś. W odpowiedzi na słowa ojca wystąpił naprzód i grzecznie podał mi rączkę. - Dzień dobry, dziadku - powiedział ze sztywnym brytyjskim akcentem. - Tak już lepiej - rzekł Sam, który widać kilkakrotnie ćwiczył z nimi tę scenę. - Teraz ty, Paul! Przywitaj się z dziadkiem! Paul, od urodzenia podobny do Sama, był teraz tęgim nieładnym trzylatkiem, najwyraźniej pozbawionym daru mowy. Nagle przypadło do mnie jakieś małe jasne stworzenie. - Cześć - powiedziało, podskakując jak szczeniak, który domaga się pieśczoć. Wziąłem Samanthę na rękę i uściśniłem mocno. Ubrana była w różową sukieneczkę, a jasne faliste włoski związane miała różową kokardą i natychmiast przyszła mi na myśl Vicky. - Cześć! A ty kim jesteś? - powiedziałem, udając, że nie wiem, i pomyślałem, jakie to dziwne, że wszyscy czworo mają oczy Sama. - Samantha jest urocza - powiedziałem do Vicky, kiedy jechaliśmy przez miasto moim nowym kasztanowym cadillakiem. Próbowałem zagłuszyć myśl: "Ale Samantha nie może zostać prezesem banku". - Proszę, nie miej za złe chłopcom, że są tacy nieśmiały - powiedziała ze zmieszaniem Vicky, kiedy wszyscy wypoczywaliśmy po lunchu w Pokoju Rembrandta. - To dlatego, że wszystko jest dla nich takie nowe i dziwne. Byłem wściekły na siebie za to, że nie zdołałem ukryć swoich uczuć. - Kochanie, naturalnie, że nie mam im tego za złe! Mnie też brakowało śmiałości, kiedy byłem mały! - To naprawdę bardzo kochane dzieci - powiedziała Vicky i z niewiadomej przyczyny zaczęła płakać. Byłem wstrząśnięty. - Córeczko, oni są cudowni! Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że... - Tak bardzo chciałam ci dać to, czego pragnęłaś - przerwała mi. Łzy ciekły jej po twarzy. - Tak bardzo starałam się być dobrą córką... i wynagrodzić ci to, że nie jestem chłopcem... - Vicky! - byłem jak porażony. W drugim końcu pokoju Sam przerwał rozmowę z Alicją i ruszył w naszym kierunku. - Vicky, przecież ja cię kocham taką, jaka jesteś, i nigdy nie chciałem, żebyś była inna! Żadnego chłopca nie mógłbym kochać bardziej! - W porządku, Neil - rzekł Sam cicho. - Ja się nią zajmę. Chodź, kochanie. Jesteś bardzo zmęczona. Odpoczniesz sobie trochę na górze. Z płaczem pozwoliła mu się wyprowadzić z pokoju. Nawet nie zauważyłem, kiedy nianki zabrały również dzieci. Siedziałem nieruchomo w fotelu, dopóki w końcu nie podeszła do mnie Alicja. - Co się stało, Korneliuszu? - spytała z niepokojem. - Nie rozumiem. To niemożliwe, żeby myślała... - głos mi się załamał. - Nie rozumiem - powtórzyłem po chwili. - Nie martw się. Najprawdopodobniej jest po prostu przemęczona. Ostatnie sześć miesięcy musiało być dla niej bardzo wyczerpujące. - Ale co ona miała na myśli? Powiedziała... Alicjo, czy kiedykolwiek w ciągu naszego małżeństwa mówiłem, że żałuję, że Vicky nie jest chłopcem? - Nie. Ale sądzę, że od czasu do czasu tak myślałeś. - Nigdy! - strasznie się zdenerwowałem. - Kochałem ją taką, jaka była! - Ale kim ona była, Korneliuszu? Wszyscy wiemy, że zawsze ją kochałeś, ale kogo tak naprawdę kochałeś? Vicky? Czy też jakąś idealną postać, która istnieje tylko w twym umyśle? A jeśli naprawdę kochasz Vicky, to jaką Vicky, Korneliuszu? Wcale nie jestem pewna, czy potrafisz odpowiedzieć na to pytanie. Dziś, po tylu latach mogę ci się już przyznać, że Vicky jest dla mnie zagadką. Nigdy jej nie rozumiałam i wątpię, czy kiedykolwiek zrozumiem. Przez chwilę milczeliśmy oboje. W końcu Alicja podjęła łagodnie, ze współczującą troską: - No, Korneliuszu! Powiedz szczerze! Na ile naprawdę znasz swoją

własną córkę? - Opowiadasz bzdury - rzuciłem szorstko i odwróciłem się do niej plecami. 3 - Tatusiu - powiedziała do mnie Vicky następnego dnia rano, kiedy razem udaliśmy się na przechadzkę po ogrodzie - przepraszam cię za tę upiorną scenę, którą wczoraj urządziłam. Mam wrażenie, że cały ten zamęt związany z przeprowadzką w końcu się na mnie odbił. Proszę, potraktujmy tę rzecz jak niebyłą, dobrze? Przypomniały mi się słowa Alicji, wypowiedziane osiemnaście miesięcy wcześniej: "Bę- dziemy udawać, że to się nie zdarzyło... Iluż ludzi ma odwagę żyć w prawdzie? Nie ja, to pewne. I ty też nie." - Vicky, musisz być ze mną szczerą - odparłem bez namysłu. - Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu i jeżeli coś jest nie tak, muszę o tym wiedzieć, żeby pomóc ci wszystko uł- dzić. Nie jesteś szczęśliwa z Samem? - Ależ oczywiście, że jestem! Sam jest kochany... To prawdziwy anioł. Naprawdę, tatusiu, nie mogłabym chyba znaleźć bardziej cierpliwego, miłego i wyrozumiałego męża. Na- prawdę urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. - Więc może zdenerwowała cię decyzja Sama, żeby kupić dom w Westchester? O to chodzi? Martwi cię myśl, że zamieszkaż na przedmieściu? - Skądże, jestem pewna, że tak będzie najlepiej dla dzieci. Sam na pewno ma rację. Sam zawsze ma rację. Jest cudowny, podejmuje wszystkie ważne decyzje i oszczędza mi w ten sposób zmartwień i niepokojów. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. - Mówisz poważnie? Podniosła na mnie wielkie, szare, przejrzyste i szczerze oczy. - Oczywiście, że mówię poważnie! - powtórzyła ze zniecierpliwieniem, po czym ucałowała mnie, ujęła za rękę i wykrzyknęła ze śmiechem: - Och, tatusiu, proszę cię, nie zadawaj takich głupich pytań... 4 Od katastrofy dzieliło nas jeszcze czternaście miesięcy, choć miesiące te upływały z co- raz większą szybkością. Na początku Vicky zajęta była poszukiwaniem odpowiedniego domu, a później, kiedy Sam zaaprobował jej wybór, ustalała przeróbki, które trzeba było wykonać, zanim zostaną wniesione meble. Widywałem ją o wiele rzadziej niż wnuki, które na czas tego mieszkaniowego zamieszania pozostały w moim domu przy Piątej Alei. Tymczasem Sam po- prosił Alicję, żeby pomogła Vicky, a gdy Alicja nie miała na głowie mojej rodziny, zajmowała się swoją. Sebastian, który wiosną zeszłego roku ożenił się z Elsą, wkrótce został ojcem, An- drew i Lori zaś rozmnażali się ze stałą częstotliwością. Alicja straciła co prawda kochankę, za to nie mogła już narzekać, że nie wie, co począć z nadmiarem wolnego czasu. Sam i ja również byliśmy zajęci: zajęci sobą nawzajem. Kiedy zażądał, żebym podzielił się z nim stanowiskiem, nie mogłem oczekiwać, że z powrotem zajmie miejsce uległego po- mocnika, byłem jednak wstrząśnięty, kiedy się okazało, że nie tylko w mgnieniu oka stał się autokratą, ale też z żelaznym uporem prześladował mnie dopóty, dopóki jego rola "współpre- zesa" nie znalazła stosownego odbicia w statucie spółki. Przed jego powrotem z Europy nikt nie mógł mi zarzucić, że nie jestem szefem w swoim własnym banku, kiedy jednak Sam zaczął się w nim rozpychać, odkryłem, iż jestem zmuszony czynić ustępstwo za ustępstwem, aż doszedłem do wniosku, że okrawam swoje królestwo, by- le tylko trzymać nieprzyjaciela z dala od granic. Dreszcz pełzał mi po plecach, gdy patrzyłem, jak zatrudnia tylu asystentów, ilu miałem ja, i żąda biura wielkością równego mojemu. Miał nawet na tyle tupetu, by zasugerować, że powinienem podzielić swój gabinet i dać mu lepszą połowę z wyjściem na patio. Co prawda żądanie to miało swój precedens w czasach przedwojennych, lecz było nie do pomyślenia w sytuacji, gdy urzędujący prezes sprawował niezachwianą władzę przez dwadzieścia lat. Od- rzuciłem ten bzdurny pomysł, zacisnąłem zęby i przydzieliłem mu równie duże biuro gdzie in- dziej. Wkrótce musiałem zacisnąć je po raz wtóry, zatwierdzając jego kosztowne zamówienie na najnowocześniejszy sprzęt biurowy i różne elektroniczne gadżety. Zaciskanie zębów przychodziło mi z coraz większym trudem. Musiałem obciąć własne dywidendy, żeby sprostać przesadnym finansowym żądaniom Sama, nie niepokojąc pozosta- łych partnerów, podobnie jednak jak każdy szantażysta, Sam nigdy nie miał dosyć: wkrótce znów nagabywał mnie o podwyżkę, która zrównałaby jego udział w dywidendzie z moim. Oprócz tego zaczął mnie zmuszać, bym zrezygnował na jego rzecz z części prestiżo- wych podróży do

Waszyngtonu na spotkania z sekretarzem skarbu, a także od czasu do czasu z prezydentem. Zawarł kontrakt z Morganem na poważną emisję bez konsultacji ze mną. Uparł się, że dwa razy w roku będzie jeździł do Europy na inspekcje w londyńskim biurze. Próbował uczyć Scotta, jak ma negocjować z Hammaco. Krążyły pogłoski, że usiłował nawet wywierać presję na Jake'a. Wycofał się dopiero wówczas, gdy Jake oddelegował do rozmów jednego ze swych wspólników, który był więźniem Dachau. Mimo woli poczułem podziw dla Jake'a. Wszystko wskazywało na to, iż pozostał jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który jeszcze potrafi utrzymać w ryzach mojego partnera, tego potwora, którego sam stworzyłem. W tym okresie wściekłość, niepokój i ogólne nerwowe wyczerpanie osiągnęły już u mnie stały poziom, lecz przez cały czas świadom byłem gorzkiej prawdy, że jeśli chcę zatrzymać Vicky w Nowym Jorku, muszę dbać o to, by Sam był zadowolony. Z przyczyn, które wciąż były dla mnie niejednoznaczne, pozwolił mi się ściągnąć do Stanów. Podejrzywałem, że nie mógł się oprzeć pokusie, by zostać równoprawnym wspólnikiem Korneliusza Van Zale'a, ale Sam nie był z natury męczennikiem. Wiedziałem, że jeśli przestanę go traktować po królewsku, złoży mi wymówienie i zabierze Vicky z powrotem do Europy. A Vicky naturalnie pojeździe z nim. Kocha męża i dzieci, jest idealną żoną i matką i żadna inna możliwość nie zmieściłaby się jej w głowie. Rok 1957 był straszny. Rok 1958 zapowiadał się jeszcze gorzej i kiedy w lutym Sam spytał, czy nie mógłbym spotkać się z nim po pracy w St. Regis, natychmiast zacząłem podejrzewać, że kroi się jakieś nowe nieszczęście. Starłem się zachować kamienną twarz, lecz chyba zbladłem, bo Sam powiedział kwaśno: - Nie musisz się tak ekscytować. Nie planuję następnego "coup d'état". Bóg mi świadkiem, zanadto mam dość tego banku, żeby jeszcze o nim rozmawiać. Bardziej nie mógł mnie już chyba zaniepokoić: Sam, który stracił zainteresowanie bankiem, był jak Pan Bóg, który znudził się w połowie dzieła stworzenia. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Tego popołudnia miałem spotkanie z prezesem naszego banku komercyjnego Van Zale Manhattan Trust, ale o piątej trzydzieści pojawiłem się w St. Regis. Sam czekał już na mnie w zacisznym kącie baru King Cole. Na stoliku stała opróżniona do połowy szklanka martini. - Napij się ze mną - powiedział. - Uważasz, że powinienem? - Tak. Po chwili kelner przyniósł mi martini. - W czym problem? - ośmieliłem się wreszcie zapytać. - Sam nie wiem, jak ci to powiedzieć. Pociągnąłem martini, starając się oddychać, jakby nic się nie stało. - To ma coś wspólnego z bankiem? - spytałem. - Nie. Ogarnięty przerażeniem przypomniałem sobie jednego z byłych wspólników Van Zale'a, który wpadł w takie kłopoty, że usiłował nawet popełnić morderstwo. - Chryste, chodzi o pieniądze? - Nie, Neil, nie chodzi o pieniądze. - Wobec tego o twoje zdrowie? - rzuciłem na chybił trafił. Przemknęła mi myśl o raku płuc. Palił stanowczo za dużo. - Nie chodzi o moje zdrowie - rzekł - tylko o zdrowie Vicky. Będzie miała następne dziecko, Neil, a ja po prostu nie wiem, co robić. Mam wrażenie, że jestem o krok od obłędu. Zmartwiałem. - Czy coś jej grozi? - Nie, to nasze małżeństwo jest w niebezpieczeństwie. Neil, naprawdę mogę z tobą o tym mówić czy lepiej dać sobie spokój? Czy możemy wrócić do czasów, gdy byliśmy przyjaciółmi i rozmawialiśmy ze sobą otwarcie? Do okresu, zanim przyłapałem cię z Teresą? Wiem, że w zeszłym roku dałem ci niezły wycisk, ale naprawdę się wściekłem, kiedy zobaczyłem, że gotów jesteś nadużywać swej władzy moim kosztem. Uznałem, iż dobrze byłoby zaaplikować ci trochę twojego własnego lekarstwa... - Wiem. Rozumiem. Tak, naturalnie, że możemy znów ze sobą rozmawiać. Jestem tego pewien. Byłem tak roztrzęsiony, że sam nie wiedziałem, co mówię. Wiedziałem tylko, że Sam jest na skraju kompletnego załamania i że wybrał właśnie mnie, żebym go zebrał do kupy. Spróbowałem przejąć kontrolę nad tą wymianą zdań. - Uspokój się, Sam, i zacznij od początku. Dlaczego ta nowa ciąża to taka katastrofa? - Każda ciąża to katastrofa. Sceny, łyzy, zamknięte drzwi sypialni - dośpiewaj sobie, co chcesz. Potem, kiedy dziecko już jest na świecie, udaje się nam jakoś wrócić do normy, a tu bum! Nowa ciąża. Nie zrozum mnie źle. Nie gonię w piętkę dlatego, że ze mną nie sypia. Z tym jestem sobie w stanie poradzić, dotąd sobie radziłem, może nie zawsze

najmądrzej, ale zawsze tak, żeby jej nie denerwować. Na nieszczęście Vicky i bez tego jest już chyba o krok od przepaści. - Wobec tego musi iść do psychiatry. - Chryste, wysiaduje u psychiatrów od lat! Była u wszystkich najlepszych specjalistów w Londynie! - Chcesz powiedzieć... - z trudem wydobywałem z siebie głos ...że przez te wszystkie la- ta... Od jak dawna to trwa? - Zaczęło się, kiedy wyjechaliśmy do Anglii, i od tego czasu jest coraz gorzej. Jak myś- lisz, dlaczego w końcu pozwoliłem ci się tu ściągnąć? Śmiertelnie się bałem o Vicky. Myśla- łem, że może trochę się jej poprawi, kiedy wróci do domu, i przez jakiś czas rzeczywiście było lepiej, ale teraz jest gorzej niż kiedykolwiek. Najbardziej boję się tego, że któregoś dnia mnie opuści. - Co?! - zerwałem się z krzesła, po czym znów opadłem na siedzenie. Mój oddech zaczął się rwać. Niezdarnie wyłożyłem z kieszeni pastylki. - Uwierz mi, Neil, kiedy mówię, że nasze małżeństwo przeżywa ciężkie chwile, to wcale nie znaczy, że ja mam ochotę odejść od niej. Sądzisz, że rozmawiałbym z tobą, gdyby tak nie było? Jestem tutaj, bo szaleję za Vicky i muszę się komuś zwierzyć, więc pomyślałem sobie, że chyba nie będziesz na mnie wściekły, kiedy się dowiesz, jak bardzo ją kocham. To prawda, nie kochałem jej, kiedy się z nią żeniłem, ale potem... była taka śliczna, taka urocza i młoda, że... Widziałem, że zaraz się załamie. Cała ta scena przypominała jeden wielki koszmar. Po- dałem mu chusteczkę i pocieszająco położyłem dłoń na ramieniu. - Głowa do góry, Sam. Moje bezużyteczne słowa utonęły bez echa w ogromnym morzu jego bóleści. Wątpię, czy je w ogóle usłyszał. Wiedziałem, że jedynym sposobem skierowania rozmowy na spokoj- niejsze wody będzie szorstki i pozbawiony sentymentów ton. Wiedziałem też, jakie to ważne, bym źródła jego bólu nie utożsamiał z Vicky. Próbowałem myśleć o niej jak o zwykłej znajo- mej, żonie współnika, z którą nic mnie nie łączy. - Wróćmy do obecnego problemu, Sam. Następne dziecko jest w drodze. Zakładam, że to był wypadek? - Jezu, od czasu Paula za każdym razem to był wypadek! Z początku używałem prezer- watyw, bo uznałem, że jest za młoda i nie poradzi sobie z kontrolą urodzin, ale kiedy Paul przyszedł na świat, Vicky powiedziała, że chce sobie założyć krążek, więc stwierdziłem: w po- rządku, chcesz, spróbuj. No cóż, to chyba nie było zbyt skuteczne, a my zrobiliśmy się trochę nieostrożni i... spłodziliśmy Samanthę. Potem powiedziałem: do diabła z tym krążkiem, wra- camy do gumek, i ona się zgodziła, ale myślała, że nie może zająć w ciążę, dopóki karmi pier- sią. Nigdy przedtem w ten sposób nie karmiła, a kiedyś przeczytała, że kobiety w Indiach kar- mią piersią, żeby rzadziej rodzić. Ale z tego też nic nie wyszło. Znów zaszła w ciążę. Tym ra- zem to była Kristin. Chłopie, co ja przeszedłem! Potem usłyszała o jakiejś eksperymentalnej pigułce, ale doktor nie chciał jej zapisać, mówił, że powoduje raka, więc postanowiłem już nie ryzykować i po narodzinach Kristin znowu zacząłem używać prezerwatyw. Chciałem go zapytać, dlaczego była tak bardzo przeciwna prezerwatywom, lecz nie by- łem w stanie. To dlatego, że "ona" była moją córką. Nie mogłem mu zadać takiego pytania. Wołałem nawet o tym nie myśleć. - No i - ciągnął Sam - było dobrze. Szło nam świetnie do czasu... cholera, przecież sam wiesz, jak to jest, gdy się ma czterdzieści dziewięć lat... a może zresztą nie wiesz. Nie mam po- jęcia o twoim obecnym życiu seksualnym. W każdym razie harowałem jak wół, żeby jakoś utrzymać całą tę władzę w banku, którą ci wydarłem, i zacząłem pić, żeby się nie załamać, i chociaż nadal miałem ochotę na seks, przestało mi to wychodzić tak dobrze jak kiedyś. A po- tem pewnej nocy cholernie jej pragnąłem, ale z tą przeklętą gumą to było zupełnie niewyko- nalne... Pomyślałem: "On mówi o obcej kobiecie, czyjejś żonie, kimś, kogo znam tylko przelot- nie". - ...no więc ją zdjąłem i narozrabiałem jak osioł, nie zdążyłem wycofać się w porę i... Chryste, co za pech, tak się uziemić. Nie, to gorzej niż pech, to katastrofa, najgorsze możliwe nieszczęście, jakaś straszliwa kara... Usłyszałem swój zimny rzeczowy głos: - Sam, nie ma sensu, żebyście się tak męczyci. Ta ciąża fatalnie wpływa na zdrowie psy- chiczne zarówno twoje, jak Vicky, trzeba ją po prostu przerwać. - Racja. Też to powiedziałem. Bóg mi świadkiem, że zawsze byłem przeciwny aborcji, ale... - Kiedy Vicky będzie miała zabieg? - Nie będzie zabiegu. - Nie będzie? - myślałem, że się przesłyszałem. -

Nie. Wszystko było już przygotowane, ale kiedy pojechaliśmy do szpitala, nie mogła się na to zdobyć. Zabrałem ją z powrotem do domu. Przez całą drogę płakała. - Kiedy to było? - Wczoraj. Neil, jestem przerażony, że Vicky odejdzie. Ona chyba mnie nienawidzi. Mam wrażenie, że nienawidzi dzieci. I nie wiem dlaczego, Neil. Gdybym wiedział, mógłbym coś zrobić, jakoś to zażegnać. A koszmar tej sytuacji pogłębia jeszcze to, że Vicky też tego nie wie. To obłąd. Mam uczucie, że oboje odchodzimy od zmysłów. - To chyba oczywiste - powiedziałem - że Vicky przechodzi załamanie nerwowe. Po- winna iść do szpitala. Gdybyś sam nie był tak bliski załamania, też uznałbyś to za oczywiste. Porozmawiam ze swoim lekarzem i załatwię jej miejsce w najlepszej klinice. - Vicky nie da się zamknąć w domu wariatów, a na siłę jej tam nie wsadzę. Jest załama- na, to fakt, ale to nie jest takie załamanie - nie ma wizji ani nie wydaje się jej, że ją gonia małe zielone ludziki. Wciąż jeszcze walczy. Zachowuje pozory przed dziećmi i przed tobą także, Neil. Rozumiesz chyba, że w żadnym razie nie może się dowiedzieć o tej rozmowie. To by ją chyba zabiło. Bardzo zależy jej na tym, żebyś myślał, że jest szczęśliwa, a nasze małżeństwo sprawdza się na piątkę. Czułem się tak, jak gdybym zgubił drogę w jakiejś ciemnej dolinie, lecz wysoko na wzgórzu widział piękny dom o oświetlonych oknach. Znajdowali się w nim wszyscy ci ludzie, do których nie mogłem dotrzeć. Widziałem Emily, Alicję i Sebastiana, nawet Andy'ego. Byli tam Kevin i Jake, a także Vicky; jej przyciśnięta do szyby twarz niemo błagała mnie o pomoc. Lecz ja byłem od niej odcięty. Nie mogłem wydostać się z doliny, i choć bez ustanku szukałem drogi, która wyprowadziłaby mnie do góry, pod drzwi tego domu, wciąż bezskutecznie błąka- łem się w mroku. - Jezu, spójrz, która godzina! - spłoszył się Sam. - Muszę lecieć, Vicky może mnie po- trzebować. - Pośpiesznie zgasił papierosa, dokończył martini i dodał, siląc się na optymizm: - No cóż, musimy jakoś przetrwać. Kocham ją, a to chyba najważniejsze, prawda? W końcu ja- koś załagodzimy ten problem. - Naturalnie. Sam, jeśli mógłbym ci jakoś pomóc... - Nie, w tej chwili raczej nie. Poczułem się trochę lepiej, kiedy to z siebie zrzuciłem, i dziękuję ci, że zgodziłeś się mnie wysłuchać. Wiem, że musiało to być dla ciebie straszne. Bardzo mi przykro. - Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać. Na zewnątrz było zimno. Na Pięćdziesiątej Piątej wiał przenikliwy wiatr, kierując się na wschód wprost do skutego lodem wnętrza kontynentu. Zatrzymaliśmy się przy samochodach, żeby na pożegnanie uścisnąć sobie dłonie. - Między nami już wszystko w porządku? - zapytał nagle. - Tak, Sam - powiedziałem. - W porządku. - Będziemy jeszcze słuchać "Alexander's Ragtime Band"? - Tak. I będziemy rozmawiać. Jak za dawnych lat. - To świetnie. Brakowało mi ciebie, Neil. To już tyle czasu... A przy okazji, widzisz się jeszcze z Teresą? - Właśnie do niej jadę. - Zabawne, jakie to wszystko wydaje się dziś nieważne... Koniecznie pozdrów ją ode mnie. Zawsze ją bardzo lubiłem. Wsiadł do mercedesa, a gdy auto ruszyło, odwrócił się jeszcze i pomachał do mnie. Uniosłem rękę. Potem wgramoliłem się do cadillaca z takim wysiłkiem, jakbym w całym ciele nie miał ani jednej całej kości, i samochód powiózł mnie do budynku Dakota. 5 Z biegiem lat upodobniliśmy się z Teresą do specyficznej pary małżeńskiej: od czasu do czasu kłóciliśmy się, z przyzwyczajenia uprawialiśmy seks, większość czasu spędzaliśmy nie w sypialni, a przed telewizorem i w skrytości ducha cieszyliśmy się tą zaciszną namiastką do- mu. Nasz związek przerodził się w nawyk, ale był to nawyk, z którym równie trudno zerwać jak z paleniem papierosów. Teresa zmieniła się od czasu, gdy się poznaliśmy. W końcu wróciła do swego wczesne- go, naturalnego stylu i malowała teraz mniej, za to lepiej, gdy zaś praca twórcza znalazła się pod ściślejszą kontrolą, jej otoczenie również zaczęło przejawiać pewne cechy porządku. Mieszkanie utrzymane było w czystości, Teresa ubierała się o wiele porządniej, poza pracow- nią rzecz jasna, i czyniła poważne wysiłki, żeby zrzucić nadwagę. Lewackie książki już dawno zniknęły z mieszkania, zastąpione najpierw przez romanse, potem przez popularno-naukowe dzieła z zakresu psychologii i diety. Cygański tryb życia poszedł w zapomnienie; Teresa z rozkoszą osiadła w koleinach typowej klasy średniej, ja zaś zacząłem podejrzewać, że traktu- je nasz

układ bardziej jak nieformalne małżeństwo niż cudzołożny związek i że sprawia jej to przyjemność. Zaproponowałem, że otworzę jej kredyt u Saksa, a ona odpowiedziała, że wolałaby u Bloomingdale'a. Powiedziałem, żeby wybrała sobie jakiś prezent u Tiffany'ego, a ona zaśmiała się pogardliwie, ale przez pół godziny oglądała gabloty i w końcu zdecydowała się na koszmarnie brzydką złotą szpilkę. Co roku z okazji jej urodzin zabierałem ją na kolację. Po- czątkowo ciągnęła mnie po tanich egzotycznych knajpkach w Greenwich Village, teraz nato- miast bywaliśmy w eleganckich restauracjach w śródmieściu. Czasem rozmawialiśmy jeszcze o sztuce, zwykle jednak nie chciało nam się wysilać na inteligentne dyskusje. Wymienialiśmy leniwe uwagi o rzeczach oczywistych, rzucaliśmy zdania bez związku i oglądaliśmy razem "Sieć" albo kolejną powtórkę "Kocham Lucy", która nieod- łącznie kojarzyła mi się z wyczynami Sebastiana w New Jersey. Tego wieczoru Teresa miała na sobie elegancką wełnianą sukienkę, która uwydatniała jej piersi, czarną szyfonową apaszkę i złotą spinkę od Tiffany'ego. - Czemu, u licha, nie mówiłeś, że przyjdiesz później? - powiedziała z wyrzutem, kiedy stanąłem w drzwiach. - Kurczak po kijowsku od pół godziny suszy się w piekarniku! - Cicho, Tereso, miałem koszmarny dzień - zamiast całusa poklepałem ją po policzku, znużonym krokiem wszedłem do salonu i opadłem na obskurną pomarańczową sofę, którą dawno temu Teresa kupiła pod kolor do obskurnego pomarańczowego szezlongu. Teresa zrezygnowała z dalszych pytań, zrobiła mi drinka, włączyła telewizor i powie- działa, że zaraz poda kolację. - Wybacz, złotko, ale chyba nie zdołam niczego przelknąć. Dowiedziałem się strasznych rzeczy o Vicky i bardzo się o nią martwię. Nie chcę się zagłębiać w szczegóły i muszę cię pro- sić o zachowanie tego w tajemnicy, ale okazało się, że Vicky jest nieszczęśliwa. - Biedna mała - stwierdziła z nieprzeniknioną miną Teresa i wyłączyła telewizor. - Nic z tego nie rozumiem, Tereso. Chciałbym jej jakoś pomóc, ale nie wiem jak. - Najlepiej wypisz komuś czek. A przede wszystkim strzel sobie kielicha, od razu poczu- jesz się lepiej. - Tereso, bardzo cię proszę, nie żartuj! Tego się nie da załatwić czekiem. - Wobec tego witaj w klubie dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych pro- cent mieszkańców tego świata, którzy nie mogą rozwiązać swoich problemów, wypisując czek! Nie zrozum mnie źle: bardzo mi przykro, że to biedne dziecko czuje się nieszczęśliwe, ale jeśli mam być szczerą, dla mnie to żadna niespodzianka. Sytuacja się powtarza, czyż nie? Nigdy nie mówiłeś mi wiele o waszych młodych latach, kiedy to razem z Samem rozbijaliście się po Wall Street, terroryzując wszystkich pięćdziesięcioma milionami dolców, ale przez cały czas utrzymuję kontakt z Kevinem i raz czy dwa wyrwało mu się coś na temat waszej mniej świetlanej przeszłości. Ty wydawałeś rozkazy, a Sam je wykonywał, czy nie tak było? No i proszę, znów mamy to samo. Wydałeś rozkaz, że Vicky ma być szczęśliwa, i Sam stawał na rzęsach, żeby udowodnić swoją przydatność, ale na nieszczęście dla wszystkich zainteresowa- nych rozkaz był błędny, a Sam oddał ci niedźwiedzią przysługę. Usiłowałem się skupić na toku jej wypowiedzi. - Tereso, równie dobrze mogłabyś mówić po chińsku. Co ty właściwie masz na myśli? - Vicky nie powinna była za niego wychodzić. Sam przez cztery miesiące był moim ko- chankiem, więc chyba wiem, o czym mówię! Gdyby Vicky była dorosła, tak jak ja, może uda- łoby się jej przetrwać, ale przecież nie była dorosła, prawda? Była dzieckiem, które ucieka od rodziców i przez zbieg okoliczności (a może to wcale nie był zbieg okoliczności?) trafia do łóżka mężczyzny, który mimo całej tej zręcznej gadki nie umie postępować z kobietami... - Nie umie? Sam? Rany boskie, swego czasu miał kobiety na każdej ulicy w Nowym Jorku! - A wszystkie, które były coś warte, pośpiesznie go opuszczały, czyż nie? Żadna baba przy zdrowych zmysłach nie zostanie z Samem Kellerem. Sam bardzo sztywno traktuje swój ideał kobiety. Ma być słodka, chętna i uległa wobec jego autorytetu, ale bądźmy szczerzy: w dzisiejszych czasach nie każda kobieta gotowa jest bez mrugnięcia okiem przyjmować za dogmat te dziewiętnastowieczne frazesy, nie każda ma ochotę poświęcić życie na owijanie męskiego "ego" ląbedzim puszką, a część w ogóle doszła do wniosku, że istnieją przyjem- niejsze sposoby spędzania wolnego czasu! - Tereso, o

czym ty u diabła mówisz? - Mówię o życiu, Korneliuszu, o prawdziwym świecie, który mijasz codziennie w hermetycznie zamkniętej bańce cadillaca, który odsuwasz od siebie na długość ramienia, wypisując te swoje czeki! Nie mówię o męskich iluzjach na temat ideału kobiety, ale o tym, jakie rzeczywiście jesteście! Wierz mi, bardzo lubię Sama i jeśli chce mieć za żonę lalkę, która płacze, chodzi, śpi, je i oddycha, ja nie mam nic przeciwko temu. Zawsze uważałam, że każdy ma prawo do własnego gustu, ale Sam powinien był wybrać kobietę, która naprawdę taka jest, kobietę, która chce taka być, a nie skołowaną dziewczuszkę, która nie wie, kim jest ani czego naprawdę chce! Spojrzałem na nią. - No, dobrze, może rzeczywiście Vicky nie powinna była za niego wychodzić - powiedziałem szybko - ale kogoś musiała przecież poślubić. Było jasne, że dla własnego dobra powinna jak najszybciej wyjść za męża, a ja zawsze chciałem tylko jej dobra... - Może wiesz, co jest dobre dla banku, kiedy prowadzisz jakąś wielomilionową transakcję, ale nie masz zielonego pojęcia, co jest dobre dla jakiegokolwiek kobiety! A niby dlaczego musiała tak młodo wyjść za męża? Tylko nie zaczynaj mi znowu wciskać kitu, że jest dzieckiem fortuny i musiałeś ją chronić przed tymi wszystkimi podstępными żigolakami! Nie mogłeś się doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie za męża, ponieważ odczuwałeś psychologiczną potrzebę ujrzenia w niej idealnej żony i matki i rozpaczliwie snułeś fantazje, bez których nie mogłeś się obejść! - Co za bzdury! - wybuchnąłem. - Co za wierutne bzdury! - Doprawdy? Żyję z tobą od dziewięciu lat, kochanie, i zaczynam myśleć, że znam cię lepiej niż ty sam siebie. Twój problem polega na tym, że masz bzika na punkcie, cytuję: "odniesienia w życiu sukcesu". Dlaczego przez cały czas gonisz za pieniędzmi i władzą? Dlatego, że bardzo dawno temu, kiedy uczyłeś się życiowych prawd, ktoś - wujek Paul? - wbił ci do głowy, że dla całej męskiej połowy światowej populacji jedyna godna polecenia formuła na szczęście i poczucie pełnej męskości brzmi: pieniądze plus władza równa się sukces. A co z pozostałą połową? Jakaż to magiczna formuła miała zapewnić pozostałym pięćdziesięciu procentom szczęście i pełnię kobiecości? Ach, tak! Małżeństwo i macierzyństwo to doskonale spełnienie wszystkich osobników płci żeńskiej! Małżeństwo plus macierzyństwo równa się sukces! Nieważne, kto cię tego nauczył - matka? siostra? - bo właściwie to nie ma znaczenia. Mogłeś to podchwycić gdziekolwiek. To najbardziej rozpowszechniona bajeczka naszych czasów. Omal nie straciłem panowania nad sobą. Przybrałem ton, w którym dźwięczała chłodna odmierzona logika, i powiedziałem spokojnie: - Chciałem, żeby Vicky była szczęśliwa. Myślałem, że będzie szczęśliwa jako żona i matka. A skoro sądziłem, że tego typu szczęście można uznać za sukces, może mi powiesz, dlaczego nie miałem pragnąć takiego sukcesu dla córki? - Dlaczego? Zaraz ci powiem dlaczego! Dlatego, że nie pragnąłeś go dla niej, ale dla siebie! Chciałeś, wciąż jeszcze chcesz, mieć tak zwaną udaną córkę, żeby cały świat mógł wzdychać z podziwem: "O rany, jaki to wspaniały ojciec, skoro ma tak wspaniałą córkę!" Sam to nie jedyny facet, który jest o wiele mniej dowartościowany, niż można się po nim spodziewać, i nie on jeden ze znanych mi mężczyzn posługuje się kobietami, żeby podbudować swoje "ja"! - Jezu Chryste! - krzyknąłem, choć i tym razem udało mi się opanować. - Słuchaj, mam już dość tych pseudonaukowych bzdur, którymi usiłujesz mnie karmić. Skąd je w ogóle wytrzasnąłeś? Z tych nędznych samouczków dla psychologów amatorów, które kupujesz w kiosku za piętnaście centów? Wróćmy do faktów, bo tylko one mnie interesują. Fakt numer jeden: Vicky naprawdę chciała być żoną i matką. Fakt numer dwa: wszystkie kobiety zasadniczo chcą być żonami i matkami... - Nie, kotku, wcale tak nie jest. Przykro mi, ale się mylisz. Moje pięćdziesiąt procent ras ludzkiej to nie skrzynka identycznych plastikowych lalek. Jesteśmy istotami ludzkimi. Różnimy się między sobą, i choć może ci się to wydać niewiarygodne, nie wszystkie chcemy tego samego. W gruncie rzeczy jedynym pewnym i niewzruszalnym faktem jest to, że jesteśmy tak samo zróżnicowane jak pozostała część ludzkości, ta, do której przynależnością tak arogancko się chęłpisz! Odzyskałem już pełnię władzy nad sobą, choć wciąż targał mną gniew. - Nie zaprzeczam, że rasa ludzka jest

zróznicowana! Mówię o wspólnych dla wszystkich podstawowych instynktach łączenia się w pary i rozmnażania! Oczywiście, że są różne kobie- ty, Bóg świadkiem, że trudno o bardziej odmienne niż Vicky i ty... - Jak możesz wysuwać taką tezę! Przecież ty mnie w ogóle nie znasz! Prawdopodobnie tak samo nic nie wiesz o własnej córce! Masz klapki na oczach, ot co! - Mój Boże, jak mógłbym dziewięć lat z tobą sypiać i nie poznać cię przez ten czas? Jesteś... - Jestem Teresa Kowalewski i do życiowych potrzeb zaliczam płótno, jakiś pokój do ma- lowania i jeszcze to, żebym nie musiała się martwić, skąd wziąć pieniądze, i... a tak, trochę zdrowego seksu w regularnych odstępach czasu. Gdybym nie miała faceta, pewnie by mi tego brakowało, choć przeważnie więcej z tym kłopotu niż pożytku. Jednakże znając twój talent do postrzegania kobiet tylko w jednym świetle, przypuszczam, że twoim zdaniem jesteśmy czymś w rodzaju małżeństwa. Jasne, zapewne jestem trochę ekscentryczna, ale przecież żyję tylko w oczekiwaniu na twoje wizyty, kiedy mogę pobawić się w dom, ugotować ci coś smacznego i udawać, że jestem jeszcze jedną pogrążoną w błogostanie kurą domową, typową przedstawi- cielką klasy średniej. Otóż mam dla ciebie niespodziankę, złotko. Prowadzę bogate i wartoś- ciowe życie, które istnieje całkiem niezależnie od ciebie, i choć jestem zadowolona, że wpa- dasz tu od czasu do czasu, to naprawdę widzę w tobie tylko książeczkę czekową i sprawnego fiuta. To jest realny świat, Korneliuszu. Tak naprawdę wygląda życie. Dociera to do ciebie czy nadal mówię po chińsku? Rozległ się dzwonek do drzwi. Nadal patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Dzwonek rozległ się jeszcze raz. - Cholera - odezwała się Teresa. - Chyba muszę zobaczyć, kto to. Wyszła do przedpo- koju. Siedziałem bez ruchu na sofie, wpatrując się w nietkniętą szklankę whisky. Jak przez mgłę docierały do mnie jakieś głosy. - Przykro mi, ale muszę się z nim zobaczyć. - Hej, chwileczkę! Co jest, do cholery... - Proszę mnie przepuścić. Moje dwa odrębne światy zaciekle się ze sobą zderzały. Park jakby przestał istnieć. Piąta Aleja wlewała się na Central Park West grzmiącą autostradą, a ja byłem uwięziony na betono- wej wysepce w samym środku tego chaosu. Wstałem dokładnie w chwili, gdy w progu ukazała się Alicja. Spojrzałem na nią, niczego nie rozumiejąc. Teresa przepchnęła się obok niej do pokoju. - Co tu się, u diabła, dzieje? Słuchajcie, jeżeli kroi się tu jakaś karczemna awantura, to czy możecie ją urządzić gdzie indziej? Wzrok Alicji zetknął się z moim. Serce zaczęło mi bić cicho jak morze uderzające o brzeg gdzieś w oddali. - Korneliuszu, jeśli Alicja ma zamiar zrobić jakąś paskudną scenę, to może byś tak, na miłość boską, wyprowadził ją stąd? Nadal znajdowaliśmy się w połowie drogi przez oświetloną salę Bedy, lecz ktoś nas wy- przedził, wymknął się w mrok. - Jezu Chryste, o co chodzi? Dlaczego nikt nic nie mówi? Co się stało, na litość boską? - Chodzi o Sama, Korneliuszu - powiedziała Alicja. Morze runęło ku mnie i nagle ogarnął mnie ryk fal. - No i co z Samem? - spytała podejrzliwie Teresa. - Co on takiego zrobił? Nie odpowiedziałem, bo znajdowałem się w dawno minionej epoce, lata pędziły w tył przed moimi oczyma i nagle zobaczyłem wysokiego pospolitego chłopaka z Bar Harbor, który wyciąga do mnie rękę i mówi: "Cześć! Miło cię poznać!" Kalejdoskop czasu ruszył z powro- tem. Byłem na rogu Willow i Wall, gdy mordercy Paula pozabijali się nawzajem i obaj trzęs- liśmy się ze strachu, podnosząc z podłogi Steve'a Sullivana. Byłem na Piątej Alei tego cudo- wnego słonecznego lata 1929 roku, kiedy się nam wydawało, że dobre czasy nigdy się nie skończą. Tańczyłem z dziewczętami o zapomnianych imionach, byłem pijany pędzonym pota- jemnie dżinem, bawiłem się cudownie razem z najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, a w dali słychać było, jak Miff Mole i jego Molersi grają "Alexander's Ragtime Band". - Dostał ataku serca w połowie drogi do domu - powiedziała Alicja. - Szofer skręcił od razu do najbliższego szpitala, ale było już za późno. Zmarł prawie na miejscu. Znow przyszedł mi na myśl Scott, pytający: "Warto było?" i kiedy z perspektywy czasu spojrzałem na swoją wojnę z Samem, zrozumiałem od razu, że była ona pozbawiona sensu. Nic nie miało znaczenia - wszystkie nasze intrygi, zemsta i odwet, wszystkie nasze próżne igraszki z władzą, nawet sama władza traciły jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ kiedy czło- wiek docierał do

przeciwległych drzwi oświetlonej sali, nie było takiej mocy, która mogłaby go uchronić przed ciemnością. Cały mój świat zatrząsł się w posadach, a potem runął niczym starty na pył w jakimś ogromnym tyglu. Jeżeli wszelka siła pozbawiona jest znaczenia, nieistotne jest także i to, czy miałem w sobie dość męskiej mocy, by spłodzić dzieci. W ostatecznym rozrachunku nie jest ważne, czy miałem jedną córkę, czy dziesięciu synów. W końcu, płodni, czy bezpłodni, i tak wszyscy musimy umrzeć. Jediną niepodważalną życiową prawdą jest śmierć. Kiedy odważyłem się po raz pierwszy spojrzeć jej z bliska w oczy, pojąłem, że muszę znaleźć jakiś sposób, by żyć dalej z nie-znośną świadomością, że w jej obliczu wszystko jest względne. Muszę znaleźć jakieś antidotum na potworną myśl o niebycie, a przeciwieństwem niebytu jest przecież byt - muszę istnieć, żyć, komunikować się z ludźmi już nie w ten stary jałowy sposób poprzez władzę. Władza odgradzała mnie tylko od świata, a przecież teraz muszę do niego dotrzeć, wyrwać się ze stalowej celi, jaką wzniosła wokół mnie moja potęga, muszę się porozumiewać z innymi, jeśli mam uniknąć izolacji - śmierci, która mogła mnie dotknąć jeszcze za życia. Spojrzałem na Alicję i zobaczyłem, że jej aktorska maska pęka. Patrzyłem na wskroś przez jej nieskazitelne opanowanie, przez wszystkie obronne bariery, przez cierpienie i ból, które dzieliły nas od tak dawna. Patrzyłem na nią i widziałem, że jest jej mnie żal, że litość, która zawsze napawała mnie tak zacieklą odrazą, nie jest wcale litością, lecz czymś o wiele subtelniejszym - współczuciem wyzutyk z wszelkiej pogardy i poświęceniem gotowym na każdą ofiarę. Patrzyłem na nią i nagle cała przeszłość uległa przemianom w moich oczach. Jakże już się nie liczył, tak samo jak nie liczyła się Teresa. Alicja nie musiała mi tłumaczyć, dlaczego zerwała z nim natychmiast, gdy tylko odkryłem ich romans: wiedziałem, że zrobiła to, ponieważ za bardzo mnie kochała, by narzucać mi rolę pobłażliwego męża i ranić mnie jeszcze raz, znajdując sobie kogoś innego. Zawsze mnie kochała, a ja zawsze kochałem ją i dzięki jakiemuś cudowi, zbyt wielkiemu, by go pojąć, teraz w jej twarzy zobaczyłem, że wciąż jeszcze mnie kocha. - To straszne... - szeptała cicho Teresa. - Straszne... Był taki młody... Przecież chyba nie miał jeszcze pięćdziesiątki? Nie mogę w to uwierzyć... Sam?... Słyszałem jej głos, lecz jej nie widziałem. Moje oczy widziały tylko Alicję. Zaczęłem iść ku niej po miękkim dywanie. - Kochanie, tak mi przykro - mówiła Teresa. - To musi być dla ciebie straszne. Ale przecież oddaliliście się od siebie dawno temu, prawda? Nie byliście już prawdziwymi przyjaciółmi. Alicja odezwała się lodowatym tonem, wyraźnie akcentując każde słowo: - Panno Kowalewski, czy pani nie rozumie, co to oznacza dla Korneliusza? To tak, jak gdyby odcięto mu rękę. Czy pani nie widzi, że został zupełnie sam? Nie byłem jednak sam. Szedłem z wysiłkiem dalej, zostawiając za sobą pomarańczowy szezlong, ohydny fotel, i cały czas myślałem: "Muszę dojść. Muszę wytrzymać. Ale w końcu nie musiałem iść aż tak daleko. Alicja wyszła mi na spotkanie. Zrobiła krok do przodu i wyciągnęła ramiona, a gdy po chwili do niej dotarłem, nasz długi koszmar wreszcie dobiegł końca. Łzy Alicji moczyły mi policzki. Zamknąłem oczy i przytuliłem ją do siebie w ciemności, a ogromna pustynia naszych żalów rozwiewała się, przestawała istnieć. - Zabierz mnie do domu - powiedziałem. Część czwarta Sebastian 1958-1960 12 lutego 1958. Sam Keller umarł, za to ja czuję się jak nowo narodzony. Trafia mi się druga szansa, by zdobyć to, czego pragnę, i tym razem mam zamiar dopiąć swego. Spotykam Korneliusza. Wygląda jak gruźlik w ostatnim stadium choroby. Nie wiem, co powiedzieć. W końcu mamrocę: "Tak mi przykro". Patrzy na mnie, jak gdybym był gadającą małpą, ale jest tak wstrząśnięty, że przyjmuje moje kondolencje za dobrą monetę. Nigdy się nie dowie, jak bardzo nienawidziłem Sama. 17 lutego. Pogrzeb Sama Kellera. Zimowa sceneria ohydnych cmentarzy w Westchester rozjaśnia się jaskrawymi barwami. Korneliusz udostępnił swojemu nieoficjalnie przybranemu bratu miejsce w rodzinnym grobowcu Van Zale'ów. Matka Sama zmarła w zeszłym roku, a poza nią nie miał żadnych krewnych. Świeci słońce. Hordy żałobników tłoczą się dookoła grobu. Sam zraził do siebie mnóstwo ludzi na rogu Willow i Wall w ciągu ostatniego roku swego życia, kiedy to rozpychał się łokciami i zgrywał

większego sukinsyna niż Korneliusz. Ale teraz wszystko poszło w niepa- mięć, a ludzie widzą jedynie to, jak bardzo był dawniej lubiany. Każdy wspomina ów sławetny urok Kellera. Na zamarzniętej ziemi nieprzywoicie promienieją stopy kwiatów. Odrażająca ceremonia cał po calu posuwa się naprzód. To potworne. Dlaczego nie możemy bardziej elegancko po- zbywać się naszych zmarłych? Starożytni Rzymianie wpadli na lepszy pomysł: ogromny stos pogrzebowy i kwiecista, patetyczna oracja. Nawet celtyckie treny i czuwanie przy zwłokach były bardziej naturalne. Niektóre plemiona germańskie paliły swoich zmarłych w pięknym sty- lu, ale kiedy Anglowie i Sasi połączyli się na dobre, wytworzyła się owa przyprawiająca o mdłości tradycja polegająca na tym, że wygrzebuje się dołek w ziemi, wrzuca doń ciało i pośpiesznie je zasypuje. Całkiem jak kot, który grzebie swoje odchody. Ohyda. Zastanawiam się, co myślą Reichmanowie o tych wszystkich zamkniętych anglosaskich twarzach starają- cych się zachować beznamienne milczenie. Jeszcze nigdy nie byłem na żydowskim pogrzebie, choć ta atrakcja pewnie mnie nie ominie. O Boże. Patrzę na matkę. Jej twarz przypomina marmurowe popiersie. Dlaczego nie płacze? Dla- czego nikt nie płacze? To nie jest normalne. Powinniśmy wyć, krzyczeć i wyrwać sobie włosy z głów, powinniśmy się burzyć przeciwko grozie śmierci. O, to byłaby ciekawa scena. Nieźle odmalowałby ją Dali: mnóstwo wykrzywionych cierpieniem twarzy, którym z ust sypią się po- grzebowe wieńce, a wszystko rozgrywa się na pustyni symbolizującej jałowość tłumionych emocji. Chociaż może lepszy byłby Bosch: płótno usiane drobnymi udręczonymi postaciami, w tle mającymi ciemne przerażające zjawy. Widzę Lori. Wygląda świetnie; obok niej stoi Andrew w mundurze. Dzieci zostawili na Manhattanie, bo najstarsze ma dopiero trzy lata. Mimo wszystko uważam, że powinno się za- bierać dzieci na pogrzeby, niezależnie od tego, ile mają lat. Muszę porozmawiać z Andym, aczkolwiek to będzie trudne. Ciekawe, co mu chodzi po głowie? Czy to możliwe, żeby był taki szczęśliwy, na jakiego wygląda? Prawdopodobnie tak. Zapewne ma dość rozumu, by nauczyć się pilotować samolot, nie rozbijając go przy tym, lecz nawet najbardziej tępemu zwierzęciu można wpoić różne sprytne sztuczki, a Andrew w gruncie rzeczy jest tępy. Tacy ludzie to prawdziwi szczęściarze. Brak inteligencji nie pozwala im dostrzec, jakie życie w rzeczywistości jest podłe. Ale Lori i tak lubię. Ciekawe, jaka jest w łóżku. A zresztą, co za różnica? Widzę ciotkę Emily, która wygląda jak dziewczyna, a przy niej Rose, która dziewczyną bez wątplenia jest i pozostanie do śmierci. Rose jest podobna do ciotki Emily: bezpłciowa, bynaj- mniej nie ograniczona, choć zachowuje się jak ktoś, kto nie dostrzega wszystkiego; rasowa klacz z klapkami na oczach. Właściwie lubię ciotkę Emily, i Rose także, lecz nie potrafię się z nimi porozumieć. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Widzę udziałowców Van Zale'a - koszule wypchane mięsem; z wyjątkiem Scotta wszys- cy są głupszy ode mnie. Lubię Scotta. Scott rzuca się w oczy dzięki tym czarnym włosom, czar- nym oczom i białej napiętej twarzy. Sądzę, że tak właśnie mógł wyglądać Wyclif, przypusz- czalnie wszyscy średniowieczni heretycy wyglądali tak samo, kiedy wstępowali na stos, by zginąć za coś, co istnieje wyłącznie na poziomie mózgu. Scott jest dziwny. Ma w sobie coś niesamowitego. Ale dobrze gra w squasha i jest błyskotliwym fachowcem. Pamiętam, jak roz- pracował Coastal Aluminium - niczym szef kuchni filetujący solę. Patrzę na bractwo z Bar Harbor. Siwi panowie w średnim wieku, odziani w czerń, o twarzach okrytych żałobą. Korneliusz i Jake trzymają się z dala od siebie, Kevin natomiast stoi tuż przy Korneliuszu. Kiedy spotkali się przed nabożeństwem, uściśnęli sobie ręce i roz- mawiali przez chwilę. Lubię Kevina, choć nie znam go zbyt dobrze. Przypuszczalnie nigdy go nie poznam. Jakże żałuję, że nie jestem do niego podobny - Kevin po prostu błyszczy, nigdy nie zapomina języka w gębie i zawsze jest pełen uroku, przy czym nie jest to celebrowany ma- nieryzm Sama Kellera, który dla mnie zawsze trącił czymś sztucznym. Urok Sama przypomi- nał wodę sączącą się z kranu, urok Kevina to woda, która tryska ze źródła. Tak, podziwiam Kevina Daly'ego i lubię jego sztuki. Jest lepszy od Williama, chociaż sztuki Williama, pełne południowej zmysłowości i neurotycznych napięć, też mi się podobają. Kevin również pisze o

seksie i nerwicach, jednakże mniej uwagi poświęca mechanice płci. Seks interesuje go bardziej jako sposób porozumiewania się, zadziwiająca gama środków, za pomocą których można osiągnąć błogi ideał, lecz także ponieść miazdzącą porażkę. Czasami mam wrażenie, że Kevin dorównuje Millerowi, chociaż nie wierzę, by w Ameryce żył jakikolwiek dramaturg zdolny wspiąć się ponad "Śmierć komiwojażera". Tak, Kevin ma talent... Ciekawe, jak to jest, kiedy się to robi z chłopcami. Może powinienem był spróbować... chociaż nie, brakowałoby mi tego wszystkiego, co mnie pociąga w kobietach. Śmieszna rzecz z tymi seksualnymi upodobaniami Kevina. Na oko wygląda tak samo jak ta część populacji Amerykanów płci męskiej, którą Kinsey wielkodusznie - lub nie- rozważnie - określił jako normalną. Kevin to jedyny członek bractwa z Bar Harbor, na którego mogę patrzeć i nie mam przy tym ochoty czegoś rozwalić. Jake, stary hipokryta, robi wrażenie chorego. Nienawidził Sama za to, że ten należał do rasy panów. Z drugiej strony to musi być paskudne uczucie, kiedy umiera twój rówieśnik, nawet jeśli akurat jest to eks-nazista, na widok którego zawsze chciało się rzygać. Boże, ależ ci Żydzi cierpieli w czasie wojny. Korneliusz wygląda jak trup. Pewnego dnia stanie się trupem, a gdzie wtedy będę ja? Jeśli dopisze mi szczęście, będę opływał w dostatki, pasąc się na zielonych pastwiskach urzędu prezesa banku na rogu Willow i Wall. Nie lubię Korneliusza i on też mnie nie lubi, lecz żywię dla niego szacunek. Myślę, że on także czuje do mnie trochę szacunku. Poczuję więcej. Mam wrażenie, że Korneliusz wie, iż będzie musiał bardziej mnie szanować. Jedno muszę mu przyznać: pod wieloma względami jest niewyobrażalnie tępy, jednakże w chwili gdy przekracza próg budynku na rogu Willow i Wall, przestaje być głupcem. W gruncie rzeczy nie znam sprytniejszego faceta na całej Wall Street. Nie bez wysiłku przychodzi mi podziwianie człowieka, który rzadko zagląda do książki, a o sztuce myśli głównie w kategoriach korzystnych inwestycji, ale ten wysiłek się opłaca, bo kto nie docenia Korneliusza, zwykle tego żałuje. Pamiętają o tym wszyscy na rogu Willow i Wall. Wśród zapominalskich stopa bezrobocia wynosi równe sto procent. Widzę innych bankierów; widzę maklerów, prawników i polityków. Widzę nie kończące się rzędy pustych twarzy. Wszyscy przybyli na ten ponury cmentarz, by wdychać skażone mdlącym zapachem kwiatów powietrze, wszyscy oprócz najważniejszej osoby dramatu: dziewczyny, która kiedyś będzie moja, heroiny, którą chcę ocalić. Vicky jest w szpitalu. Złamane nerwowe. Trzech doktorów zaklinało się, że jej stan nie pozwala na udział w pogrzebie męża. Kocham Vicky. John Donne napisał: "Na miły Bóg, zamilknij i pozwól mi kochać". Gdyby Vicky przestała wreszcie gadać i zaczęła słuchać mojego milczenia, tyle by się dowiedziała! Brakuje mi słów, by wyrazić wszystko, co chcę jej powiedzieć, lecz gdyby dano mi szansę, łatwo dowiódłbym, jak bardzo ją kocham. Mowa jako system pozbawiona jest sensu. To w ogóle dziwne, że mamy się porozumiewać otwierając usta, kłapiąc językiem i wydając dźwięki. Powinien istnieć jakiś bardziej zwięzły sposób komunikacji. Powinniśmy mieć światełka na czołach albo pięćdziesiąt palców u rąk, którymi moglibyśmy wystukiwać jakiś w stu procentach jednoznaczny szyfr. Jeśli istnieje Bóg, w co wątpię, na polu komunikacji wybitnie się nie popisał. "Och, Sebastianie! - wzdycha w drodze powrotnej moja żona Elsa. - Wspaniały pogrzeb, nie sądzisz?" Lubię Elbę, chociaż jest głupia. Z początku myślałam, że jest inteligentna, bo robi naprawdę dobre projekty, ale to lipa. Kiedyś czytałem o umysłowo chorym człowieku, który nie umiał się podpisać, za to obliczał w pamięci logarytmy. Z Elsą jest tak samo. Projektuje bardzo oryginalne tkaniny - ludzkie oczy na bogatym, wzorzystym tle - lecz nie ma w nich głębszej treści. Jeździłem z nią do Jersey, gdyż stwierdziłem, że to miasto stanowi zabawny, odbity w krzywym zwierciadle obraz naszej ohydnej kultury. Mimo że Elsa śmiała się razem ze mną, w głębi duszy jej się tam podobało. Odkryłem to, gdy zapytałem, gdzie chce spędzić miodowy miesiąc. "W Las Vegas" - odparła, i mówiła poważnie. Proponowałem jej całą Amerykę Południową, ponieważ po okresie zesłania w Niemczech w charakterze oficera wojsk okupacyjnych Europy chwilowo miałem powyżej dziurek w nosie, proponowałem jej Rio de Janeiro, ruiny miast peruwiańskich Inków, nawet

eleganckie nadmorskie kurorty Chile, ona jednak uparła się przy Las Vegas, i "czy moglibyśmy się zatrzymać w motelu". No więc zrobiłem, co chciała, i muszę przyznać, że w porównaniu z Vegas Jersey to wzór umiaru. Boże, ta nasza kultura! Któregoś dnia zniknie z powierzchni ziemi, to oczywiste. Dają jej jeszcze pięćdziesiąt lat. Ze wszystkich wielkich imperiów, jakie znał świat, nasze przetrwa najkrócej. Dwieście lat pościgu za Wszchemogącym Dolarem, i co udało się nam stworzyć? Bombę A i "Kocham Lu-cy". Mimo to wcale nie miałem powodu narzekać. Elsa była urocza, głupiotka, ale urocza, i cieszyłem się, że mogę się nią opiekować. Nigdy dotąd nie miałem nikogo, kim mógłbym się opiekować, bo o całą rodzinę dba zawsze Korneliusz. Podobało mi się, że mogę uprawiać seks, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Elsa nigdy nie odmawiała i nie miała mi za złe, że oprócz motelowej sypialni niewiele obejrzelśmy w Las Vegas. Czułem się mile połączony. Zresztą po to właśnie jest miesiąc miodowy. Kiedy osiedliśmy w naszym nowym mieszkaniu na East Side, stwierdziłem, że właściwie moglibyśmy się postarać o dziecko. Elsa nie zgłaszała sprzeciwu, więc się postaraliśmy. Żaden problem. Bardzo mile wspominam okres ciąży. Ucieszyłem się, kiedy urodził się chłopiec. Dziewczynką też bym się cieszył, ale zawsze byłem zdania, że lepiej najpierw mieć chłopca, żeby później opiekował się młodszymi siostrami. Okazało się jednak, że nasz syn nie będzie miał sióstr, ponieważ wkrótce po porodzie Elsie zaczęły nawalać jajniki i w końcu doktor powiedział: "Przykro mi, ale więcej dzieci nie będzie". Szkoda. Polubiłem tego małego. Był czerwony, miał czarne włoski, a oczka przez większość czasu zamknięte. Zainteresował mnie. Chyba go pokochałem, choć uczucie, jakiego doświadczyłem, nie przypominało miłości w zwykłym znaczeniu tego słowa. Gdyby jednak ktoś próbował porwać mi syna, bez namysłu pognałbym za rabusiem, rozerwał go na strzępy i zabrał małego z powrotem. Elsa jęczała, że karmienie piersią jest bolesne i że hemoroidy wpędzą ją do grobu, a dziecko leżało sobie w łóżeczku jak u Pana Boga za piecem i przynajmniej nie plotło żadnych bzdur. Ten mikroskopijny człowieczek ma swój rozum. Sprytny mądrała. Głupia, bezmyślna Elsa. Biedna Elsa. Na swój sposób - na wiele sposobów - nadal jednak ją lubię. Problem z Elsą przynajmniej w połowie polegał na tym, że jej kultura pozostała dla mnie całkiem obca. Naprawdę starałem się ją poznać, lecz nie znalazłem nic, co związałoby mnie emocjonalnie z jej orientalnym aspektem, poza tym przez cały czas miałem świadomość, że dla nich jestem kimś obcym; gojem, który miał na tyle tupetu, by przez małżeństwo wedrzeć się do wielkiego rodu Reischmanów. Byłem też świadomy, jak bardzo różnią się od nas Żydzi. Nie są niższą ani wyższą rasą, po prostu odmienną i już. Patrzą na świat pod innym kątem, historię postrzegają z innego punktu widzenia i wykształcili inny mechanizm, który pozwala im radzić sobie z ogromną zbiorową świadomością cierpienia i bólu. Oczywiście w dzisiejszych czasach nie należy porywać się na uogólnienia dotyczące grup rasowych, kulturalnych i religijnych. Dawniej, kiedy te grupy były ściśle zdefiniowane, istniały po temu podstawy lub choćby preteksty. Celtowie mieli rude włosy i nosili wąsy, Anglosasi byli wysocy i jasnowłosi i tak dalej, i tak dalej. Każda grupa była na tyle homogeniczna, iż ktoś z zewnątrz mógł dokonywać pewnych inteligentnych uogólnień w nadziei, że okażą się trafne. (Mimo to zastanawiające są niektóre co bardziej stronne uwagi historyków w rodzaju Cezara czy Tacyty.) Dziś jesteśmy tak przemieszani, że jakiegokolwiek generalizacje są po prostu bzdurne, wszelkie uprzedzenia zaś niedopuszczalne zarówno z antropologicznego, jak i moralnego punktu widzenia. Co nie przeszkadza Reischmanom traktować mnie jak przedstawiciela podrzędnego gatunku i co nie zmienia faktu, że sam zaczynam się z rozpaczą zastanawiać, czy też przypadkiem nie mają racji. Z teściową nie mam problemów (zdaje się, że po prostu czuje do mnie miłość), teściu natomiast to katastrofa. Z początku myślałem, że zdobędzie się na pewien wysiłek, żeby być dla mnie miły - w końcu Korneliusz jest jednym z jego najstarszych przyjaciół - ale widocznie mniej więcej w czasie naszych zaręczyn zdał się na niego obrazić. Zachowuje się tak, jakby nie mógł na mnie patrzeć, bo mu przypominam o jakiejś głębokiej urazie. Prawdopodobnie

do- tarły do niego w końcu pogłoski o napastliwym antysemityzmie mojej matki, a biorąc pod uwagę niektóre hasła, jakimi uraczyła mnie z okazji zaręczyn, nie ma w tym nic zaskakującego. Poza paroma wyjątkami reszta rodziny jest równie niestrawna. Młodszy brat Elsy to dobry dzieciak i tak samo jak ja uważa rodzinne układy za absurdalne, natomiast zameżna siostra w New Jersey to potwór, który w niczym nie ustępuje matce, a dalsza rodzina jest po prostu straszna. Nie jestem antysemitą. Część Foxworthów także jest straszna, ale przynajm- niej potrafię sobie z nimi radzić, bo wiem, że jestem równie dobry jak oni. Postanowiłem znaleźć jakiś sposób na Reischmanów i odruchowo sięgnąłem po pomoc do swojej kultury. Jeżeli Żydzi mogą gloryfikować Paschę, a Irlandczycy rozpylić się nad Brianem Boru, to ja także z pewnością jestem w stanie wygrzebać z szafy jakiś odpowiedni anglosaski szkielet! Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie wiem prawie nic o swoich zamierzonych przodkach. Anglosasi przeszli jak burza przez zachodnią cywilizację i wypłynęli na samym jej szczycie, skutkiem czego nie musieli się zbytnio interesować swoimi korzeniami. Po co marnować czas rozgrzebując plemienne mity, skoro można czerpać przyjemność ze swojej pozycji na czubku piramidy? Poza tym wspaniała cywilizowana terażniejszość, wypełniona przywilejami, snobizmem i władzą, jest o wiele bardziej zajmująca niż krwawa, półdzika, wyraźnie mroczna przeszłość. O tak, wiedziałem dokładnie, czym jest przynależność do uprzywilejowanej mniejszości! Jednakże na przekór wszystkiemu już w pierwszym półroczu mojego małżeństwa Reischmanom udało się mnie nauczyć, jak czuje się członek prześladowanej rasy. Zdołali mnie wprowadzić w utrzymujący się stan wrzącego upokorzenia, urazy i złości. Nic dziwnego, że doszedłem do wniosku, iż muszę zrobić jakiś drastyczny krok. Poczuliśmy chęć odwetu. Scott polecił mi parę książek, a ja, wciąż dotknięty myślą, że ktokolwiek miałby mnie traktować jak obywatela drugiej kategorii, rozpocząłem badania historyczne. Wkrótce zapomniałem o gniewie. W gruncie rzeczy poczułem nawet wdzięczność do Reischmanów za to, że dali mi bodziec do studiów nad dawnymi rasami i na nowo wzbudzili we mnie zainteresowanie historią. Z pewną przykrością stwierdziłem, że Anglowie i Sasi nie byli w rzeczywistości takimi łotrami, jakimi chcieli ich widzieć wrogowie, rozczarowanie wszakże minęło, kiedy się dowiedziałem, iż nie byli też bandą zawieszonych obwiesiów puszczających z dymem każdą napotkaną po drodze rzymską willę. Cieszyłem się, że mogę ich poznać. Zainteresowała mnie zwłaszcza historia największego saskiego króla, Alfreda. Był on najmłodszym z czterech synów i w dzieciństwie nie odznaczył się niczym szczególnym poza tym, że w nieodpowiednich momentach puszczaly mu zwieracze. W związku z tym ludzie uważali go za półgłówka, lecz to właśnie Alfred odparł inwazję Danów i został królem nie tylko rodzinnego Wessex, ale też całej Anglii, królem wszystkich plemion. Cenił kulturę, w wieku trzydziestu ośmiu lat nauczył się czytać i rozwinął w sobie intelektualne ambicje mogące zawstydić większość współczesnych Amerykanów. Tak, polubiłem Alfreda. Bardzo go polubiłem, a w mojej nowej roli prześladowanego Anglosasa nieraz podnosiła mnie na duchu pamięć jego chwały. Kiedy urodził mi się syn, rodzina, nie troszcząc się nawet o to, by wtrącić: "Za twoim pozwoleniem" lub: "Jeżeli nie masz nic przeciw temu", poinformowała mnie, że dziecko otrzyma imiona Jakub i Izaak. - Wybijcie to sobie z głowy - odparłem. Prawdopodobnie brzmiało to tak, jak gdybym był faszystą, choć przecież nim nie jestem. Chętnie i z dużą przyjemnością ożeniłem się z żydowską dziewczyną. To prawda, że nie przepadam za imionami Jakub i Izaak, lecz forma Jake bardzo mi się podoba pomimo wszelkich wysiłków mojego teścia, by zmienić ją w synonim obelgi. Jednakże nikt na świecie, ani Żyd, ani goj, nie będzie mi świecił w oczy swoimi uprzedzeniami, dyktując, jak mam nazwać własnego syna. - Będzie miał na imię Alfred - oświadczyłem, kiedy doszło do nieuchronnej konfrontacji. - Alfred? - powtórzył z niedowierzaniem dumny dziadek. - Alfred? A cóż to za imię? - Anglosaskie - powiedziałem. - To sprawa dumy rasowej, religijnej i kulturowej. Myślałem, że dostanie apopleksji. Jake ma jasną karnację i oczy koloru błękitnego lodu, ale wtedy zrobił się jaskrawopurpurowy. W

końcu wykrztusił: - Czy to jakiś dowcip? - Nie, drogi teściu. Pochodzę z wielkiego narodu i chcę, żeby mój syn był z tego dumny. Alfred zwyciężył pogańskich Danów i ocalił w Anglii chrześcijaństwo. Był naprawdę wielkim człowiekiem. - Mój naród - Jake był tak rozwścieczony, że mimo woli popełnił poważny błąd - stworzył wielką kulturę na długo przedtem, nim niepiśmienni i dzicy przodkowie Alfreda zaczęli miotać na Cezara obelgi z drugiej strony Renu. - Wasz naród - powiedziałem - to banda koczowniczych pasożytów. Mój zbudował świat. - Słuchaj no... - Właśnie! - wpadłem mu w słowo. - Teraz wiesz, jak się czuję, kiedy mieszacie mnie z błotem! Jestem wściekły i mam ochotę wykrzykiwać takie właśnie niesmaczne i głupie obelgi, które, jak obaj wiemy, nie mają za grosz sensu. Nigdy bym się do tego nie posunął, gdybyś nie wyraził się pogardliwie o imieniu Alfred. A teraz mnie posłuchaj: chciałbym szanować waszą kulturę, ale niech mnie diabli, jeśli ma to być miłość bez wzajemności. Wy też musicie mnie uszanować, a na początek dobrze by było, gdybyście uznali fakt, że to ja jestem ojcem tego dziecka. Dam mu na drugie imię Jakub, ale tylko pod warunkiem, że będziecie mnie traktować z respektem, na jaki zasługuję. Po chwili Jake spytał: - A jego wyznanie? - Będzie chrześcijaninem. To ja mam prawo decydować, nie wy. - Elsa... - Elsa - przerwałem mu - dostosuje się do mnie. - Zamilkłem na chwilę, żeby zdążyło to do niego dotrzeć, po czym podjąłem: - Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i w końcu poczuję się w tej rodzinie osobą mile widzianą, dopilnuję, żeby został gruntownie zaznajomiony z żydowską kulturą. Jeżeli nie, możesz o tym zapomnieć. Twój wnuk zostanie całkowitym gojem i nie będziesz go zbyt często widywać. Znow zapadło milczenie. W końcu Jake odezwał się gładko: - Tak, rozumiem... Właśnie mi się przypomniało, że jeden z Seligmanów miał na imię Alfred. No i oczywiście był też Alfred Heidelbach z Heidelbachu, poza tym Ickenheimer... To dobre niemieckie imię! O co my się właściwie kłócimy? Burza w szklance wody! Jake jest starym chytrym draniem i natychmiast zorientował się, z kim ma do czynienia. Prawdopodobnie przejrzał mnie dokładniej niż Korneliusz, choć Korneliusz też powoli i po omacku zaczyna sobie zdawać sprawę z pewnych rzeczy. Po tym zajściu moje stosunki z Jake'em ułożyły się o wiele lepiej, bo Jake poczuł do mnie szacunek za to, że nie pozwoliłem skrzyknąć sobie po głowie. Ludziom tego rodzaju należy się przeciwstawiać, a kiedy mówię o "ludziach tego rodzaju", nie mam na myśli Żydów. Mówię o bractwie z Bar Harbor, ludziach, których Paul Van Zale naznaczył piętnem sukcesu. Trzeba z nimi rozmawiać ich własnym językiem, a ja potrafię nim mówić, kiedy tylko zechcę, wszystkie jego słowa znam na pamięć. Podobno Paul Van Zale dobierał sobie niezwykłych protegowanych, ludzi, których inni zapewne by nie dostrzegli. Sądzę, że zauważyłby kogoś takiego jak Alfred z Wessex. Sądzę, że mnie też by zauważył. 26 lutego. Idę odwiedzić Vicky. Od dwóch tygodni jest w szpitalu jutro ma wyjść, właśnie dlatego na wizytę wybrałem dzisiejszy wieczór. Do tej pory trzymałem się na uboczu. Nie chciałem jej odwiedzać w tłumie innych gości, myślę jednak, że dziś, ostatniego wieczoru, nie będzie u niej nikogo. Zaczekają, aż wróci do domu. Vicky ma w klinice osobny pokój. Pełno w nim jaskrawych kwiatów, jakby ludzie chcieli jej wynagrodzić to przyprawiające o mdłości zbiegowisko na cmentarzu, którego nie miała okazji sobie obejrzeć. Lubię kwiaty, ale powinny się znajdować pod gołym niebem, jak magnolia na patio przy Willow Street numer 1. Cudownie kwitnie na wiosnę. Jak Vicky. Vicky jest ubrana w białą nocną koszulę obrzeżoną białą koronką, a włosy ma ściągnięte do tyłu i związane białą wstążką. Kiedy mnie widzi, jest zaskoczona i bynajmniej nie uszczęśliwiona, chociaż stara się być uprzejma. - Sebastianie! Jak to miło, że przyszedłeś! Naprawdę nie musiałeś się fatygować. - Racja - przysuwam sobie krzesło i siadam obok łóżka. Nie pytam, jak się czuje. Głupie pytanie. Widać, że jest zgnębiona. Nie mówię, że mi przykro z powodu Sama. Prawdopodobnie słyszała to już tyle razy, że ma ochotę wyć, poza tym w dniu śmierci Sama napisałem do niej: "Droga Vicky! Bardzo ci współczuję. Wielu ludziom będzie brakować Sama. Pozdrowienia, Sebastian." Daję jej tomik poezji Johna Donne'a. Żadnych kwiatów, czekoladek czy

ilustrowanych magazynów. Nie chcę jej dawać niczego, co mógłby przynieść każdy, ponieważ w przeciwnie- stwie do innych pieczołowicie i bez pośpiechu wybrałem prezent, który nie jest pozbawiony znaczenia. - Znasz Donne'a? - pytam. - Tak, ze słyszenia - odpowiada Vicky niedbale. - Chyba nawet czytałam jakieś jego wiersze, ale to było wieki temu. - Powinno się go częściej czytać w szkołach, zamiast w kółko wałkować Szekspira. Spotkałem kiedyś gościa, który przez lata analizował "Hamleta". Takie rzeczy powinny być zakazane przez prawo. Po dwóch latach nawet Szekspir znienawidziłby własną sztukę. A część tego czasu można poświęcić Donne'owi. Dziś, kiedy ktoś mówi "poeta", człowiekowi od razu przychodzi na myśl jeden z tych rozmamłanych beatników, którzy włóczą się po Kalifornii, ale w owych czasach słowo "poeta" rzeczywiście miało swoją wagę. Mówiło się "litera- tura", a miało na myśli poezję jako środek przekazu. Donne porozumiewał się z ludźmi. Jako pisarz jest ostry, dosadny, ma fantastyczne wyczucie składni i umysł, który zatriumfował nad niedoskonałością języka. Język to trudne narzędzie i większość ludzi nie jest w stanie wyrazić swych uczuć za jego pośrednictwem, Donne natomiast uczynił go zwierciadłem duszy. U Donne'a język nie jest zbiorem pustych dźwięków, język żyje. Vicky wytrzeszcza na mnie szare oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby miała tak osłupiałą minę. Uważa mnie za goryla niezdolnego do sklecenia trzech spójnych zdań. Myśli, że naprawdę lubię oglądać filmy o wilkołakach w kinach dla zmotoryzowanych. - O! - mówi zakłopotana. - To brzmi niesamowicie. Dzięki. Na pewno to przeczytam. Patrzę na leżący na nocnym stoliku magazyn. Obok leży powieść szpiegowska, dwu- dziestowieczna bajka dla ludzi usiłujących się wyrwać z piekła współczesności. - W przyszłym miesiącu Kevin wystawia na Broadwayu nową sztukę - mówię. - Zdaje się, że lubisz sztuki Kevina? - Tak, większość. - Chciałabyś zobaczyć tę nową? Mogę cię zabrać. Patrzy na mnie czujnie. - Z Elsa? - Nie. Elsa nie rozumie dramatów Kevina. Myśli, że traktują po prostu o parach małżeń- skich, które nadal są dla siebie grzeczne, choć sytuacja dojrzała do awantury. - Ale czy to nie będzie wyglądać dziwnie, jeżeli pójdziemy we dwójkę, a Elsa zostanie w domu? - Nie. Dlaczego nie miałbym pomóc swojej przybranej siostrze trochę się rozerwać po tym, co przeszła? A skoro ma ochotę na przedstawienie, które Elsie na pewno się nie spodoba, cóż w tym złego, że Elsa zostanie w domu? Widzę, jak pośpiesznie przetyka ślinę na myśl o swojej tragedii i od razu usuwam z myśli obraz sceny łóżkowej, w której występuje z Samem. Dla mnie to proste ćwiczenie siły woli - ostatecznie miałem dziewięć lat na to, by dojść w nim do perfekcji. Wciąż na nią patrzę i za- stanawiam się, jakiego straszego zamętu Sam narobił w jej życiu. Gdybym mógł otworzyć jej głowę i zajrzeć do środka, podejrzewam, że znalazłbym tam coś w rodzaju kłębka wełny szar- panego przez kilka kotów. Zanim będzie z powrotem zdalny do użytku, trzeba by go rozplą- tać i nawinąć z powrotem. Potrzebny jest więc ktoś na tyle uparty, by zdołał z siebie wykrze- sać nieodzowną cierpliwość. Sam Keller nie był cierpliwym człowiekiem. Po prostu nie miał na to czasu. Był za bardzo zajęty udowadnianiem różnych rzeczy sobie i innym. Próbował udo- wodnić, że jest sprytniejszy od Korneliusza (nie był), równie twardy jak którykolwiek błękitno krwisty arystokrata ze Wschodniego Wybrzeża (rzeczywiście był taki twardy) oraz przesiak- nięty większą nienawiścią do Hitlera niż Churchill, Roosevelt i wujek Józio Stalin razem wzię- ci (mnie nie oszukał). Niestety, w rzeczywistości był tylko pracowitym łajdakiem pozbawio- nym wyobraźni, jakichkolwiek intelektualnych zainteresowań, a także niezależności (Korne- liusz wiele lat temu kupił go na własność) i nie gustował w rozplątywaniu kłębków. Co praw- da swego czasu chwalił się, że potrafi rozmontować i złożyć telewizor. "Słusznie, maszyny naj- lepiej robią maszyny" - skomentował to jakiś żartowniś w biurze. Było to w czasach, zanim jeszcze obrzydły mi dowcipy na tematy narodowościowe. Podejrzewam jednak, że kiedy przy- szło do składania własnej żony, Sam nie miał pojęcia, od czego zacząć. - No cóż... - mówi Vicky z powątpiewaniem. - To oczywiście bardzo miło z twojej stro- ny, że chcesz mnie zabrać do teatru, Sebastianie, ale... Drzwi się otwierają i wchodzi Korneliusz. Powinienem się był

spodziewać, że nie prze- puści ani jednego dnia. Skacze koło Vicky, jakby była Elektrą. Zresztą Grecy rzeczywiście wiedzieli, jakim zacznem tragedii może stać się rodzina. Szczerze ich podziwiam. Szkoda, że w końcu ulegli postępowi, który popchnął ich do ruiny. Takie jest chyba przeznaczenie czło- wieka - obojętne, czy jest on przedstawicielem niedoścignionej antycznej cywilizacji, czy też współczesnej kultury rodem ze śmietnika: najpierw ciężka praca, stopniowe bogacenie się, po- tem pławienie się w luksusie, a na końcu ruina. Korneliusz, arcyreprezentant naszej plastyko- wej epoki, wygląda, jak gdyby już chylił się ku upadkowi, choć na Willow Street nie sposób go uszczerbić nawet za pomocą maszyny do cięcia diamentów. Prawdopodobnie jest ostatnim z rodu, który zdołał uniknąć dekadencji. Synowie Vicky wtopią się w tłum naśladowców Jac- ka Kerouaca, których "Time" łaskawie nazwie Beat Generation schyłku lat sześćdziesiątych. Nazwa może się zmienić, lecz sceneria pozostanie ta sama: narkotyki, ogólny bezwład i śmier- telna nuda. - Cześć - mówi do mnie Korneliusz, odprawivszy powitalny rytuał nad Vicky. - Cześć. Czeka, aż wyjdę. Zostaję. Wszyscy odruchowo myślimy o pewnym idiotycznym zajściu, które wiele lat temu miało miejsce w Bar Harbor. Korneliusz urządził wtedy wyjątkowo niesmaczną scenę. Pamiętam, że siedziałem w słońcu obok basenu i czytałem "Ziemie jałową" Eliota (byłem wtedy o wiele za młody, żeby pojąć wszystkie zawarte w niej aluzje). Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że Vicky przysła popływać. Ja w owym czasie w ogóle nie kąpałem się już w świetle dziennym, bo wszyscy zwracali uwagę na moje gęste owłosienie, co mnie doprowadzało do pasji. Nie przeszkadza mi to, że jestem włochaty, ale nie cierpię, kiedy ludzie się na mnie gapią. Elsie się to podoba. Mówi, że tak jest sexy. Lubię ją za to. Dotąd nikt mi nic takiego nie mówił; ba, ni- komu nawet nie przyszło to do głowy. Vicky ma na sobie granatowy jednoczęściowy kostium, trochę za mały, i jej biust wy- raźnie się w nim nie mieści. Vicky jest piękna, ma czternaście lat jak Julia, a ja mam możliwość przekonać się na własnej skórze, co przeżywał ten biedak Romeo. Siada do mnie plecami, jak gdybym w ogóle nie istniał, macha nogami w wodzie i wpa- truje się w morze. Dostaję wzvodu, jest mi cholernie niewygodnie, rozpinam więc spodenki i próbuję się jakoś poprawić. Wyplatane krzesło trzeszczy, Vicky ogląda się przez ramię, żeby sprawdzić, co to za rumor. Katastrofa. Łzy i spazmy. Matka ma taką minę, jakby męskie genitalia były najobrzyd- liwszym wynalazkiem wszechświata, mimo to próbuje mnie bronić. Próżny trud. Korneliusz wpada w histerię, traktuje mnie jak gwałciciela i resztę lata muszę spędzić u krewnych ze stro- ny Foxworthów, których nie cierpię. W końcu emocje opadają, Korneliusz uświadamia sobie, że zachował się jak klasyczny przypadek z podręcznika Freuda, i każe nam wszystkim przy- siać, że całą rzecz puścimy w niepamięć. Oczywiście nikomu z nas nie udaje się o tym zapom- nieć. Vicky ma zahamowania na tle seksualnym, to pewne, lecz nie ja jestem temu winien. Każda normalna dziewczyna, widząc, że jej przybrany brat z niewyraźną miną grzebie koło rozporka, powiedziałaaby po prostu z irytacją: "A cóż ty, u licha, wyprawiasz?", a gdyby była nieśmiała, odwróciłaby wzrok, udając, że nic nie widzi. Jednakże to, że w ataku histerii uciekła z płaczem do tatusia, dowodzi, że coś jest nie tak, i kiedy o tym myślę, po raz kolejny zasta- nawiam się, jak naprawdę układało się pożycie małżeńskie Vicky z Samem Kellerem. Wszyscy powtarzają, jakim byli wspaniałym małżeństwem - żywą reklamą matrymonialnych rozkoszy - aczkolwiek ja wcale nie jestem tego taki pewien. - Dzięki, że wpadłeś, Sebastianie - Vicky uprzejmie mnie splawia, nie dlatego, że na- prawdę chce się mnie pozbyć, lecz dlatego, że widzi, iż tatuś chce zostać z nią sam, a Vicky zawsze robi to, czego chce tatuś. - I dziękuję za książkę. Sprawileś mi ogromną przyjemność. Mam ochotę ją pocałować, żeby wystraszyć Korneliusza, ale rezygnuję. Głaskam lewą dłoń Vicky, leżącą na kółdrze i mówię: - Na razie. Nawet nie pytam, co ma zamiar zrobić po wyjściu ze szpitala. Łatwo się można domyś- lić. Korneliusz sprzedaje dom Kellerów w Westchester, przetransportuje dzieci wraz z niańkami do siebie na Piątą Aleję i ściągnie Vicky z powrotem na łono rodziny. Jak zawsze postawi na swoim i będzie mógł nadal mącić w życiu swojej

córki. Ale ja kocham Vicky i mam zamiar ją przed nim ocalić. Wydaje mu się, że z chwilą gdy mnie bezpiecznie ożenił, problem przestał istnieć. Korneliusz nie jest głupi, lecz w sprawach dotyczących Vicky głowę ma tak nabita schematami z greckich tragedii, że nie potrafi myśleć logicznie. Ja potrafię. Nie łudź się, Korneliuszu, to dopiero początek twoich problemów. 6 marca. Korneliusz mówi: - Scott jest dziś umówiony z Jakiem na lunch. Mam nadzieję, że wreszcie wyjdziemy z tego impasu z Pan-Pacific Harvester. Coś zaszło między Jakiem a Korneliuszem, lecz nikt nie wie, co. Z różnych względów praktycznych bank Reischmanów nadal prowadzi interesy z Van Zale'em, ale widać wyraźnie, że dawne przyjacielskie układy dogorywają z braku życzliwych uczuć. Jake i Korneliusz nie prowadzą już rozmów osobiście, a jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wpadną na siebie na jakimś towarzyskim spotkaniu, od razu tracą wigor i stają się przesadnie uprzejmi. Przypominają wtedy dwóch chińskich mandarynów. Krążą różne plotki na temat przyczyn tej schizmy, jak dotąd wszakże nikt nie przebił mojej teorii. Uważam, że wszystko zaczęło się od moich zaręczyn z Elszą. Cała rodzina zatrzęsała się od antysemitycznych komentarzy, z których widocznie co nieco musiało dojść do Reischmanów, a znając ich, jestem gotów się założyć, że wzięli sobie obrazę do serca i równie zawzięcie zmieszali z błotem nas, gojów. - Sam Jake się z nim umówił? - pytam. Jake ma na Wall Street opinię trudnego przeciwnika, a opinia ta z dnia na dzień się umacnia. Można z góry założyć, że po kilku spotkaniach znajdzie jakąś wadę u każdego delegata Van Zale'a i następnym razem wyśle swego zastępcę. Ostatnio stwierdził, że nie będzie prowadził rozmów ze Scottem, mianowanym łącznikiem z Reischmanami po śmierci Sama, ponieważ Scott jest za młody. Można by pomyśleć, że chodzi o jakiegoś nieopierzonego smarkacza, a tymczasem facet ma prawie trzydzieści dziewięć lat i potężne doświadczenie. - Myślałem, że do rozmów ze Scottem oddelegował Phila - dodaję ze zdziwieniem. - Wylał go. - Miał facet pecha - kwituję lakonicznie, wyobrażając sobie przelotnie spadającą do kosa głowę. - Co takiego sknocił? Korneliusz wrzusza ramionami. Czystki go nie interesują, no, chyba że to on podpisuje wyrok śmierci. Obaj z Jakiem należą do wymierającego gatunku. Wielkie prywatne banki nieuchronnie odchodzą w przeszłość, ponieważ ze względów podatkowych opłaca się przekształcić spółkę cywilną w kapitałową. A choćby jej prezes usiłował nadal rządzić równie żelazną ręką jak za czasów, gdy bank był jego własnością, rada nadzorcza ma nad nim większą kontrolę. Poza tym zmieniło się nastawienie ludzi: wojna i zmiana struktury zatrudnienia sprawiły, że potencjalny pracownik dwa razy się zastanowi, nim złoży swój los w ręce autokraty. Zresztą system korporacyjny nie tylko zwiększa bezpieczeństwo działania powojennego bankiera, zwiększa też zyski. - Najważniejsze - mówi Korneliusz - że Jake postanowił dać Scottowi jeszcze jedną szansę. Co więcej, zaprasza na lunch nie tylko jego, ale i ciebie. Wie, że pomagałeś mu przy sprawie PPH. - Świetnie - kwituję półgębkiem, choć jestem mocno podekscytowany, bo Jake nigdy nie zaprasza nikogo, kto nie jest członkiem zarządu. Jego gest jest dla mnie dużym krokiem na przód i Korneliusz o tym wie. Zdaje sobie sprawę, że Jake nigdy nie zawracałby sobie mną głowy, mimo iż jestem jego zięciem, gdyby nie uznał, że warto. Dochodzę do wniosku, iż pora delikatnie przypomnieć Korneliuszowi parę faktów, które mu umknęły. - Jake wie, że w przyszłym roku skończę trzydzieści lat - mówię. Zdaje sobie sprawę, że nie jestem już dzieckiem. - Mhm. - Mówił mi kiedyś, że w dniu swoich trzydziestych urodzin został członkiem zarządu. - Pamiętam to jak dziś! - Korneliusz wzdycha z nostalgią, lecz widać, że intensywnie myśli. - A propos, Sebastianie, dobrze, że mi przypomniałeś! Miałem zamiar poruszyć ten temat nieco później, ale skoro już o tym mowa... Oferuje mi miejsce w zarządzie. Przyjmuję je. - Dobra robota! - kwituje o dziesięć lat ode mnie starszy Scott, który już od jakiegoś czasu jest członkiem zarządu. Wydaje się szczerze uradowany. Co w tobie naprawdę siedzi? - myślę. - Poza mną i Korneliuszem jesteś najmądrzejszym facetem w tym banku, a Korneliusz za tobą przepada. Lubi cię o wiele bardziej niż mnie. Ja też cię lubię, jest jednak w tobie coś dziwnego, Scotcie Sullivanie. Nie chodzi o to, że nie palisz, nie pijesz i

żyjesz samotnie w tej pustelniczej celi, do której nigdy nikogo nie zapraszasz, ani o to, że obsesja na punkcie średniowiecznej literatury osiągnęła u ciebie taki poziom, że kręcisz nosem nawet wtedy, gdy próbuję ci przybliżyć taką perłę naszego wieku, jaką są "Cztery kwartety". Nie przeszkadza mi twój ascetyczny styl, bo nie jesteś aż tak zarozumiały, by chęć się swoją pożałować Boże cnotą, dzięki zaś twoim intelektualnym gustom, obojętne, jak ekscentrycznym, możemy się ze sobą porozumieć. W gruncie rzeczy rozmowa z kimś, kto nie jest rozpaczliwie tępy, to dla mnie duchowa uczta. A zatem lubię cię, aczkolwiek coraz wyraźniej zdaję sobie sprawę, że coś mi się w tobie nie zgadza. Na przykład często pleciesz bzdury na temat wstrzemięźliwości, mającej jakoby obdarzać mężczyznę nadnaturalną siłą, nigdy jednak nie wspominasz o korzeniach tej niezdrowej fascynacji abstynencją, nigdy nie wyjaśniasz, dlaczego owa nadnaturalna siła jest ci aż tak niezbędna. Zresztą i tak nie wierzę, że żyjesz w czystości. Mam wrażenie, że kiedy wyjeżdżasz na wakacje do Meksyku, Kalifornii albo na Alaskę, otwierasz zawory bezpieczeństwa i ruszasz w prawdziwe tango. Czyżbym tak sądził dlatego, że sama myśl o życiu w celibacie jest dla mnie niewyobrażalna? To możliwe, choć jestem pewien, że mam rację. Kiedy wracasz, widzę płonący w tobie ogień, a wątpię, by rozpałał się on wyłącznie pod wpływem cnotliwego leżenia na słońcu. Ale co to wszystko oznacza? Nie wiem, ale na pewno zacznę cię obserwować, Scotcie Sullivanie. Będę ci się przyglądał dotąd, aż odkryję twój sekret.

Wielkanoc 1958. Coś dzieje się pomiędzy matką a Korneliuszem. Bez przerwy się dotykają i wymieniają nieznaczne uśmiechy. Gdyby to był ktokolwiek inny, a nie moja matka, pomyślałbym, że Korneliusz jest właśnie w trakcie bardzo ekscytującego flirtu. Czy między dwojgiem ludzi zbliżających się do pięćdziesiątki, którzy od niemal trzydziestu lat są małżeństwem, może istnieć coś, co choć w przybliżeniu przypomina podniecające - lub jakiegokolwiek - życie seksualne? Wydaje się to nieprawdopodobne, lecz cóż innego mam myśleć? O, znowu: uśmiecha się do niej, jakby była najseksowniejszą babką od chwili, gdy Mae West zatrzepotała rękami do Cary'ego Granta, chociaż Bóg mi świadkiem, że matka jest ostatnią osobą przywołującą na myśl Mae West. Mama ma taką minę, jak gdyby doszła do wniosku, że męskie genitalia to jednak wcale nie najgorszy wynalazek. Sama myśl, że twoi rodzice mogą uprawiać seks, jest w ogóle nie do pojęcia. Matka z całą pewnością jest oziębła, aczkolwiek w tej chwili to ja stanowią doskonały materiał do freudowskich analiz, udając Edypa w stosunku do Jokasty, a może Orestesa w stosunku do Klitajmestry? Edyp przynajmniej podniecał się w nieświadomości, że Jokasta jest jego matką. Muszę gdzieś dorwać przekład Ajschylosa i jeszcze raz przeczytać "Oresteję", a potem tebańskie dramaty Sofoklesa. Mogę się z nich dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. W obliczu tego szalonego romansu, który pochłoniął naszych rodziców, Vicky znalazła się nieco na uboczu. Mówi niewiele; prawdopodobnie korzysta z okazji, by trochę się odprężyć. W ogólnym świątecznym rozgardiaszu przyglądam się jej dzieciom. Jest wśród nich mała śliczna pieszczoszka o imieniu Samantha, którą wszyscy bezwstydnie rozpuszczają. Druga dziewczynka, Kristin, jest nieładna jak Sam, ale bardzo radosna. Chłopcy, którzy przybyli do Stanów tak onieśmieleni, że nie sposób było wydusić z nich nawet słowa, są teraz hałaśliwi i rozchukani, Korneliusz jednak zdaje się uważać, że mają prawo tarmosić się po kątach, tłuc cenną porcelaną i jeść palcami przy stole. "Chłopcy zawsze są tacy sami!" - powiada wesoło. Nie mówił tak wtedy, gdy podczas bójki z Andym zrzuciliśmy ze ściany obraz Kandinsky'ego. Zastanawiam się, czy już ogłupiał na punkcie wnuków do tego stopnia, że zrezygnuje ze swoich twardych przemysłanych zasad. Nie, muszę mu oddać sprawiedliwość: w sprawach banku Korneliusz nie jest zdolny do zrobienia autentycznego głupstwa. Jeżeli chłopcy okażą się do niczego, bez wahania skreśli ich ze swoich planów. Co z nich wyrośnie? Nie sposób przewidzieć. Jeżeli dziedziczność ma jakiegokolwiek znaczenie, powinni być dosyć lotni. Eric ma większe szanse wkręcić się w łaski dziadka: wijące się jasne włosy nadają mu lekkie podobieństwo do Vicky. Ale całkiem możliwe, że Paul jest in-

teligentniejszy. Czas pokaże. Matka twierdzi, że Vicky będzie miała jeszcze jedno dziecko. Cholera. To oznacza, że aż do końca lata zajęta będzie reprodukcją. Choć może to i lepiej, nikt nie będzie na mnie pa-trzył wilkiem, jeśli od czasu do czasu gdzieś z nią wyjdę. Nikt nie uwodzi ciężarnych kobiet - nikt oprócz Korneliusza, ma się rozumieć. Kiedy Korneliusz poderwał naszą matkę, była w ciąży, ale ostatecznie wszyscy wiedzą, że Korneliusz jest zdolny do wszystkiego. Największe zgromadzenia rodzinne mają zwykle miejsce w Święto Dziękczynienia, a nie na Wielkanoc, jednakże w tym roku Andrew z jakiegoś powodu dostał dodatkowy urlop, przy-jechali więc do Nowego Jorku wraz z dziećmi. Dzieciaki co do jednego są wesołe i zupełnie normalne, takie jak Andy. Lori też jest normalna, dyskutuje z mamą o modzie i opowiada, że chodzi na kurs francuskiej kuchni. Czy to możliwe, by ludzie byli aż tak normalni? Widocznie tak. - Jak leci? - pytam sceptycznie Andy'ego w Wielką Niedzielę, kiedy wszyscy, napchani po uszy pieczonym indykiem, wytaczamy się chwiejnie z jadalni. - Bombowo. Jest taki świetny nowy projekt... Boże, jaki on jest nudny. Założę się zresztą, że Andy myśli o mnie to samo. - A jak się tobie powodzi, stary? - pyta wesoło, klepiąc mnie po ramieniu. - Nadal całymi dniami liczysz pięciocentówki? Andrew wychował się w słynnej bankierskiej rodzinie, a mimo to jestem pewien, że wciąż uważa Van Zale'a za bank komercyjny. Oczywiście istnieje taki bank, Van Zale Manhat-tan Trust, współpracujący z nami ręką w rękę, lecz ja jestem bankierem inwestycyjnym, który kieruje publiczny kapitał w długoterminowe inwestycje zwiększające potencjał wielkich korpo-racji, a nie kasjerem, który wypłaca groszowe czeki klientom pobierającym tygodniowe pensje. - Wszystko w porządku - mówię Andy'emu. Co jeszcze można powiedzieć do kogoś, kto jest aż tak tępy? Jak można się porozumieć z podobnie bezmyślnym facetem? Andrew zaczyna mówić o jakichś naszych kuzynach ze strony Foxworthów. Wszyscy Foxworthowie go uwielbiają. Podejrzewam, że wdał się w ojca i dlatego tak doskonale pasuje do jego rodziny. Tato zapewne także był głupcem - porzucił fascynujący świat ekonomii dla bezsensownego zbierania głosów w pogoni za władzą, która w głównej mierze jest iluzorycz-na. Przyznaję, że władza stanowi dla mnie pewien magnes, lecz nie ten jej rodzaj, jaki przypa-da w udziale politykom. Jest on niczym w porównaniu z potęgą największych członków finan-sjery zawiadujących całą światową gospodarką. Nie zajmuję się jednak finansami wyłącznie ze względu na władzę, jak Korneliusz, ani też dla pieniędzy i statusu społecznego, jak Sam Keller. Dziadek ze strony matki zostawił mi kupę forsy. Od urodzenia należę do tego, co kiedyś określano mianem jankeskiej arystokracji. Zajmuję się bankowością, bo to zajęcie bardzo mi odpowiada. Lubię liczby. Lubię wyzwanie, jakie stawia przed człowiekiem skomplikowany kontrakt. I jestem w tym dobry. Może nie po-siadam syntetycznego uroku Sama Kellera ani brutalnej siły przebiccia Korneliusza, za to mam coś, o co nie podejrzewam żadnego z nich: prawdziwy mózg finansisty. Gdybym stwierdził, że lubię pieniądze, stworzyłbym błędny obraz biednego ciułacza, który składa forszę pod łóżkiem, albo goniącego za wszechmogącym dolarem materialistyczne-go idola naszej współczesnej kultury, a nie w tym rzecz. Ja lubię abstrakcyjną naturę pieniądza i jego właściwości matematyczne, dużą przyjemność sprawia mi zgłębianie różnych wariantów teorii ekonomicznych, i co nie mniej ważne, fascynuje mnie wyzwanie, którego unika więk-szość naszego bogatego płytkiego społeczeństwa: nie kończąca się konfrontacja pomiędzy pieniądzem a moralnością, bitwa będąca źródłem filozoficznych spekulacji na temat obiektyw-nej wartości, pożytku, a nawet realności niezmiernych bogactw, istniejących dziś w ciemnym, chaotycznym, potępińczym świecie naszego przerażającego dwudziestego wieku. Nie jestem filozofem. Jednakże filozofia bardzo mnie interesuje (tylko tacy ludzie jak Korneliusz nazywają ją towarzyskim flirtem dla jajogłowych). I nie jestem zdehumanizowaną małpą. Nuży mnie widok miliardów dolarów wydawanych na nowe środki uśmiercania ludzi, a także widok uprzywilejowanych obywateli najbogatszego kraju na świecie pławiących się w bezmyślnym luksusie, podczas gdy miliony ludzi żyją w piekle krańcowej nędzy. Oczywiście nie mówię tego na głos.

Nazwano by mnie "idealistą" i sklasyfikowano jako "nieodpowiedzialnego". Ludzie dołożyliby starań, żeby moja kariera dobiegła "dramatycznego" końca, co oznacza hojną odprawę po nieuniknionym załamaniu nerwowym. Ale czasami marzę, że jestem prezesem banku, który stara się kierować finansowe zastrzyki nie tylko do biednych krajów, lecz także na rzecz ludzi żyjących poniżej granicy ubóstwa tu, w Ameryce - w mojej Ameryce, którą równocześnie kocham i nienawidzę, na której zbyt mi zależy, bym powstrzymał się od krytyki, Ameryce, której symbolem nie jest bomba A ani "Kocham Lucy", lecz plan Marshalla. - Ależ jesteś dziś małowówny! - wykrzykuje mój hałaśliwy braciszek i znów jowialnie klepie mnie w ramię, jak gdyby był kandydatem w nadchodzących wyborach, a ja opornym członkiem elektoratu. Znów przypomina mi ojca. Mam wrażenie, że ojciec mnie lubił, ale wal- czył tak zaciekle o opiekę nad mną wyłącznie dlatego, że chciał odplacić matce za ucieczkę z Korneliuszem. Drażniło go, że tak za nią tęskniłem. To matka mnie kochała, tylko ona, muszę jej to przyznać. Ja też w głębi serca ją kocham, choć czasami doprowadza mnie do szału. Matki w ogóle powinny się bardziej pilnować, żeby nie wpaść w obsesję na punkcie swoich dzieci, z drugiej strony, jak mógłbym się złościć na biedną mamę za to, że usiłuje wypełnić swoją osobą jakąś emocjonalną pustkę w swoim życiu? Małżeństwo z Korneliuszem z pewnością nie zawsze było usłane różami. Mama sądzi, że mnie rozumie, ale to nieprawda. Ja też do końca jej nie rozumiem, aczkolwiek wyczuwam, że rzadko jest szczęśliwa i automatycznie ogarnia mnie złość na Korneliusza. Różnię się od matki wyglądem, chociaż kiedyś mi powiedziała, że jestem podobny do jej rodziny. Przypominam rzekomo jej ojca Deana Blaise'a, który był prezesem banku inwestycyjnego Blaise, Bailey, Ludlow i Adams. Umarł, kiedy miałem sześć lat, ja jednak bardzo dokładnie go pamiętam. Siadywał do obiadu, gromiąc wzrokiem wszystkich swoich gości, a jeżeli ktoś był na tyle nieuważny, by poczynić jakąś niezbyt lotną uwagę, dzia- dek warczał: "Co za cholerne bzdury!" Na Wall Street był grubą rybą, podobno należał do nielicznej grupy zdolnej przechrzyć Paula Van Zale'a. Twardy gość. Sprytny. Mamm nadzieję, że jestem do niego podobny. - A kiedy ty i Elsa będziecie mieli następnego dzidziusia? - ożywia się Andrew. - Pilnuj swego nosa. - Dobrze już, dobrze! Jezu, jesteś drażliwy jak stary grizzly! Chciałem ci tylko okazać zainteresowanie, to wszystko. Sam powiedz, czy to nie wspaniale być ojcem? Ja to uwielbiam! Znów mogę się bawić w kowbojów i Indian, a Chuck ma taką fantastyczną kolejkę... Scott przychodzi mi na ratunek. Jako pasierb ciotki Emily również należy do rodziny i zawsze je z nami przynajmniej jeden posiłek podczas tych rodzinnych spędów. Zagaduje Andy'ego. Pyta, jakie to uczucie, kiedy się sunie w powietrzu na wysokości dwudziestu tysięcy stóp. - Fantastyczne! - mówi z rozmarzeniem Andrew. - Patrzę na ziemię i myślę: "O, rany! Gdzieś tam na dole Chuck bawi się kolejką, Lori gotuje jakieś kapitalne francuskie danie, a niania zmienia małemu pieluszkę..." Scottowi jakoś udaje się podtrzymać konwersację. Nie wiem, jak on to robi. Mój Boże, ten facet jest naprawdę inteligentny! - Powinieneś się ożenić, Scott! - mówi z entuzjazmem Andrew. - Kapitalna sprawa! Mama podchodzi do niego z tyłu i staje na palcach, żeby go pocałować. - Cieszę się, że jesteś taki szczęśliwy, kochanie! Stoją oboje w zadumie nad zaletami stanu małżeńskiego, podczas gdy ja ponownie się zastanawiam, co u licha zaszło między nią a Korneliuszem i spowodowało ten uczuciowy renesans. Nie podoba mi się to, że matka farbuję włosy. Podchodzi do nas Elsa z dzieckiem na ręku. Biedny Scott musi się czuć przytłoczony tym matrymonialnym szczęściem, które osacza go ze wszystkich stron. - Hej - mówię do Elsy i uśmiecham się pokrępiąco. Podczas świąt wielkanocnych w posiadłości Van Zale'ów Elsa czuje się obco, odsuwam więc od siebie irytację na myśl, że snuje się za mną, jakby bała się spuścić mnie z oczu. - Cześć, Alfredzie! - dodaję i podsuwam mu palec do potrzymania. Alfred ma siedem miesięcy i wydaje z siebie różne dźwięki, za pomocą których komunikuje nam, na co miałby ochotę. Próbuje się porozumiewać, lecz zdążył już odkryć, że większość dorosłych jest tępa. Być takim małym dzieckiem z pewnością jest straszne. Wszyscy uważają, że to cudowne nie

robić nic poza jedzeniem, spaniem i ewentualnie zabawą, ale moim zdaniem to koszmar, kiedy człowiek musi wkładać tyle wysiłku w to, żeby inni go zrozumieli. Alfred wierci się w ramionach Elsy. Odpycha mój palec. - Połóż go, Elso. On też chce mieć trochę swobody. Alfred zawzięcie próbuje wypełznąć z pokoju. - Chłopie, ależ to spryciarz! - mówi dobrodusznie Andrew. Spryciarz! Alfred jest mądrzejszy niż całe potomstwo Andy'ego razem wzięte. Vicky siedzi na sofie w drugim końcu długiego salonu, z dala od wszystkich dzieciaków, które biegają wokół, próbując się nawzajem pozabijać. Podchodzę do niej w chwili, gdy matka każe piastunkom usunąć do pokoju dziecinnego każdego osobnika poniżej dziesiątego roku życia. - Masz już dość tego rodzinnego spędu? - pytam. Vicky podnosi głowę i nagle się uśmiecha. Czuję dziwną słabość, jak gdyby moje jelita prawem pokrewieństwa przypomniły sobie o dziecinnym przypadłości króla Alfreda. - Naturalnie, że nie! - mówi Vicky. - To cudowny widok, kiedy cała rodzina jest razem. Oczywiście myśli zupełnie co innego. To jest męczące, nudne i nie ma nic wspólnego z prawdziwą ideą Wielkiej Nocy. Vicky wie o tym równie dobrze jak ja, lecz przeżywa klasyczny dylemat, czując się zobowiązana do mówienia pewnych rzeczy, podczas gdy w głębi ducha uważa, że jest na odwrót. Próbuję nadważyć te jej psychologiczne kajdany. Mówię: - Mam bilety na nową sztukę Kevina. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś trochę przewietrzyła mózg, który od tak dawna musisz trzymać w lamusie. Uśmiecha się niepewnie. - Chyba tak. Dzięki. Tatuś też mówił całkiem niedawno, że powinnam częściej wychodzić. Proponował mi nawet, żebym poszła z nim i Alicją na kolację do Colony, ale ja nie chciałam. Czułabym się... no, zbędna. - Zauważyłaś? - Naturalnie! To takie oczywiste. Ale dlaczego człowiek ma wrażenie, że to takie dziwne? - Właśnie czytam Sofoklesa i Ajschylosa, żeby się tego dowiedzieć. Zjedź ze mną kolację po przedstawieniu, a powiem ci, dlaczego nie możemy znieść widoku naszych rodziców czujących się do siebie, jakby właśnie wynaleźli seks. Vicky się śmieje. Dziwna słabość w moim żołądku jeszcze przybiera na sile. - Dobrze - mówi Vicky. - Już się nie mogę doczekać. Sztuka mnie zaciekawia. Traktuje o przywódcy politycznym pochodzenia irlandzkiego z przełomu stuleci i podejrzewam, że musiała zostać oparta na dziejach ojca Kevina, który w owym czasie pociągał za wiele politycznych sznurków w stanie Massachusetts. Błądząc po meandrach polityki, bohater z przerażeniem stwierdza, że droga do władzy jest równocześnie drogą do izolacji, a w końcu do agonii ducha, śmierci za życia, najstraszliwszego ludzkiego piekła. Może się porozumiewać wyłącznie egzekwując swą władzę, lecz paradoksalnie właśnie władza wyklucza prawdziwą możliwość porozumienia. Traci przyjaciół, żonę, w końcu przegrywa wybory. Ostatnia scena pokazuje go w towarzystwie kochanki. Nie pada ani słowo. Sztuka kończy się milczeniem. - Dlaczego on nic nie mówi? - dziwi się jakiś idiota w rządzie za nami. Mam paskudne przeczucie, że sztuka zrobi klapę. Lwia część broadwayowskiej widowni potrafi strawić jedynie musicale i farsy i w przeważającej większości nie lubi, żeby jej przypominać o własnych emocjonalnych porażkach, które Kevin z taką szczerością wyciąga na światło dzienne. Niewykluczone, że krytycy nadal będą go chwalić, lecz jest całkiem prawdopodobne, że jakiś impresario, który trzyma rękę na forsie, każe mu przestać pisać białym wierszem i przerzucić się na happy endy, żeby nie psuć humoru półgłówkom. Żałuję, że nie mam okazji powiedzieć Kevinowi, jak wspaniałym narzędziem jest jego wiersz. Chciałbym móc mu powiedzieć, że powinien stawić czoło nie tylko impresariom, ale też tym krytykom, którzy twierdzą, że w odniesieniu do dwudziestowiecznych rozmówek typu: "Czy możesz mi podać ogień?" biały wiersz staje się przestarzały i nazbyt patetyczny. Kevin nie jest może Eliotem ani Fry'em, lecz to jeden z niewielu angielskojęzycznych dramaturgów, którzy ośmielają się dążyć do literackiej elegancji przestrzegając dyscypliny metrum. Powinno się go zachęcać i wspierać. Powinni słać go wszyscy, którym leży na sercu los współczesnego dramatu. Dzięki jednemu z owych dziwnych zbiegów okoliczności, które każą nam nieomal wierzyć w tak idiotyczne terminy jak "los" albo "przeznaczenie", przed teatrem wpadamy na Keviną we własnej

osobie. Towarzyszy mu jakiś przystojny młody aktor i właśnie idą razem do Sardiego. Wiem, że na wyrażenie swych przemyśleń mam tylko kilka sekund, szukam więc słów, by mu podziękować za wszystkie te godziny, które spędził, pieszcząc każdą kwestię. Zwyczajne "dziękuję" byłoby bez sensu, to jasne. Gdybym powiedział: "Bardzo mi się podoba- ło", zabrzmiałoby to tak, jakby wcale mi się nie podobało, ale nie chciałem być niegrzeczny. Muszę pochwalić tę sztukę, nie mogę wszakże chlapać bezmyślnie: "To było świetne!" Muszę zdobyć się na coś, czego nie powiedziałyby nikt inny, wydobyć ze swego słownika coś naprawdę elektryzującego. To nie szkodzi, jeśli przesadzę. O ile uda mi się trącić właściwą oryginalną strunę, Kevin sam się domyśli, co chciałem mu powiedzieć. - To było zwycięstwo nad językiem - mówię. - Przypomina mi pan Johna Donne'a. - Mój Boże! - wzdycha zdumiony. - Dlaczego, u licha, nie jesteś krytykiem teatralnym w "New York Timesie"! Młody aktor się śmieje, lecz Kevin, błyskotliwy jak zawsze, woła tylko: - Nie zwracaj na niego uwagi! On myśli, że John Donne był jednym z tych facetów, którzy podpisali Deklarację Niepodległości, zapewne krewnym po kądzieli Thomasa Jeffersona! Słuchajcie, dzieci, chodźcie się z nami napić! Vicky, namów go! - Odpada - uśmiecham się do niego - bo my właśnie idziemy coś zjeść. Ale dzięki za za- proszenie, Kevinie. - Wobec tego wpadnij kiedyś do mnie do Greenwich - rzuca Kevin nagłaco przez ramię. Aktor ma urażoną minę; nic nie rozumie. Jest taki sam jak Elsa. Nie jest w stanie pojąć, jak cieszy Kevina fakt, że ktoś porównał go do poety, którego od ponad trzystu lat nie ma już po- śród żywych. Osiągnęliśmy porozumienie. - Kevin jest taki przystojny! - wzdycha Vicky. - Co za marnotrawstwo! - Liczę się tylko miłość - powiadam. - Nieważne, kogo i jak się kocha, dopóki człowiek jest zdolny do miłości, bo jeżeli przestaje ją odczuwać, umiera. To temat w sam raz dla Ing- mara Bergmana. Widziałas któryś z jego filmów? - Nie. Sam lubił tylko westerny i thrillery. Idziemy do Le Chanteclair na Czterdziestej Dziewiątej Wschodniej. Zamawiamy zupełną cebulową, potrawkę cielęcą z ryżem i butelkę białego burgunda. - A jednak francuskie wino jest pyszne - mówi Vicky, myśląc owszystkich tych latach, kiedy Sam poił ją reńskim, a Korneliusz tym kalifornijskim Bóg wie czym. Rozmawiamy o naszych rodzicach. - Jak myślisz, co im się stało? - Nigdy się nie dowiemy. - Czyż to nie dziwne? - Wcale nie takie dziwne - mówię. - Tak niewiele wiemy o życiu innych ludzi. - To prawda - Vicky nagle robi się nerwowa. - Każdy stara się zachować pozory. - Tak - bąka Vicky i oczy jej mierzchną od wspomnień. - Każdy to robi. Pośpiesznie zmieniam temat. Mówimy o przedstawieniu; po chwili uświadamiam sobie, że dotarło do niej znaczenie każdej linijki tekstu. To wspaniałe uczucie dyskutować z kobietą, która nie ogranicza się do wykrzykników na temat swego domu, dzieci i najnowszego futra z norek, właśnie zakupionego u Bergdorfa Goodmana. Odprowadzam ją do domu. Staram się jej nie dotykać. - Słuchaj, Vicky, wybierzemy się znowu na jakąś wspólną eskapadę! Ta była świetna. - No cóż, ja... Sebastianie, to był cudowny wieczór, taka odmiana, ale... - Przecież to nic zdrożnego, prawda? - mówię beztrasko. - Jestem twoim przybranym bratem, a do tego statecznym małżonkiem. Ty jesteś ciężarną wdową. Gdyby Korneliusz do- patrywał się w tym tego samego, co w tej nieszczęsnej scenie w Bar Harbor, poradziłbym mu, żeby dał się zbadać. - Och... - Vicky jest zażenowana. - Cóż... - Założę się, że już dawno przestałaś się przejmować tym zajściem - wtrącam zręcznie. - Przez dziewięć lat żyłaś z mężczyzną i wiesz, jak łatwo się podniecamy na widok pięknych dziewcząt w strojach kąpielowych. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie podnieciłaś mnie ty - mam na myśli ciebie jako Vicky - a po prostu widok półnagiego kobiecego ciała. Z pewnością nie było to bardziej osobliwe niż często spotykany obrazek, kiedy gruba baba ślini się przed wystawą cukierni, i chyba nie przypisałaś temu większego znaczenia? Poważna, spięta mina niknie z jej twarzy. Vicky wybucha śmiechem. - Chcesz powiedzieć, że byłam w tym wszystkim tak samo mało ważna jak posypany cukrem pączek? - Nie. Zawsze byłaś dla mnie bardzo ważna, Vicky. To ten incydent był tak niewiary- godnie trywialny. Zastanawia się głęboko. Prawdopodobnie od czternastego roku życia ani razu nie

odwa- żyła się stawić czoła temu wspomnieniu w całej jego istocie. Nie poganiam jej. Czekam. To sprawa wielkiej wagi. - No cóż, chyba masz rację - rzuca w końcu od niechcienia. Nie potrafi się zdobyć na to, by spojrzeć mi w oczy, ale w jej głosie brzmi spokój. - Wiele hałasu o nic, prawda? To odważne stwierdzenie, wspaniała mowa pogrzebowa nad trupem, którego możemy teraz pochować i okryć kwiatami. Nadal jej nie dotykam, choć bardzo tego pragnę. Chcę, że- by wiedziała, jak bardzo mi na niej zależy. Nie może się jednak domyślić, iż w tej chwili marzę wyłącznie o tym, by zedrzeć z niej ubranie, okryć ją pocałunkami i kochać się z nią przez całą długą noc. Vicky potrzeba czasu i ja go jej dam. Chcę, żeby wiedziała, że będę cierpliwie czekał choćby do końca świata. - Na razie, Vicky - rzucam zdawkowo pod drzwiami domu jej ojca. - Zadzwoń do cie- bie. Ale pod przykrywką tych niedbałych słów jestem bardzo, bardzo podniecony. Funda- menty mych marzeń okrzepły właśnie w granitową opokę i nareszcie mogę zacząć sobie wy- obrażać pałac, który od tak dawna chciałem zbudować. W domu Elsa siedzi zgarbiona w łóżku i wygląda jak wcielenie Bożego gniewu - mam oczywiście na myśli jej Boga, który nawet na moment nie rozjaśnia oblicza, tego samego, któ- ry zesłał dziesięć plag, jedną po drugiej, aby życie Egipcjan zmienić w piekło. Im jestem star- szy, tym bardziej żal mi faraona. - Gdzie byłeś? - mówi, patrząc na mnie bladymi oczyma Jake'a. - Co się stało? - A jak myślisz, gdzie byłem? W łóżku z ciężarną kobietą? - Tylko seks ci w głowie - mówi, ocierając łzę. - To tobie zależy na tym, żebym o niczym innym nie myślał - odpowiadam i wprowa- dzam swoje słowa w czyn. Po chwili brakuje jej tchu, żeby dalej się skarżyć. - Och, Sebastianie! - wzdycha, tuląc się do mnie, kiedy już jest po wszystkim. - Przepra- szam, że byłam na ciebie taka zła! Lubię Elbę. Jest ciepła, delikatna i miękka. Najbardziej lubię ją, kiedy jestem z nią w łóż- ku, i ona chyba też wtedy najbardziej mnie lubi. Nie mówię konkretnie o seksie ani o miłości, tylko o tym miłym, komfortowym uczuciu, którego człowiek doznaje, kiedy jest blisko kogoś i wie, że ten ktoś jest jego przyjacielem. Elsa zasypia. Jej tęgie ciało przyciska się do mnie, przypominając mi po raz kolejny, ja- kie jest miękkie, ciepłe i kobiece. Leżę w ciemności, ale nie śpię. Przyszłość zapowiada się bezkonfliktowo. Nie interesuje mnie małżeństwo z Vicky. Małżeństwo to tylko fasada wzno- szona na użytek bliźnich. Minęło trochę czasu, nim to sobie uświadomiłem, w końcu jednak Korneliusz wyłożył kawę na ławę. "Nie dobieram partnerów spośród zwichniętych neuroty- ków niezdolnych do normalnego życia" - powiedział. Zrozumiałem, co chciał mi przekazać. Aby cokolwiek osiągnąć, musisz sprawić, by wszyscy uwierzyli, że jesteś doskonale przysto- sowany do życia w społeczeństwie. Oczywiście nikt taki nie jest, zwłaszcza na Wall Street, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, iż wszyscy udają, że każdy kto nie siedzi w domu wariatów, jest swego rodzaju robotem z pieczętką "normalny" na czole. Kiedy się żenisz, włączasz syg- nał mówiący: "normalny, normalny!" i otoczenie przestaje się o ciebie martwić. Osiedzasz w ja- kimś miejscu, kupujesz żonie ładny dom, zakładasz rodzinę i zamawiasz szampana i kwiaty na każdą rocznicę ślubu. Normalny, normalny! - piszczy sygnalizator, oznajmiając ludziom, że ni- czym się od nich nie różnisz. Przysuwam się bliżej do Elsy i myślę, jak jest miła. Pozostaniemy małżeństwem do gro- bowej deski - Elsa i ja - bez hałasu, bez kłopotu. Nie może być żadnych powikłań, bo w prze- ciwnym wypadku Reischmanowie wyciągną łapy po Alfreda. Nikomu nie pozwolę odebrać sobie Alfreda. Jednakże Vicky też będzie miała swoje miejsce w moim życiu. Vicky nie będzie zależeć na małżeństwie. Była już mężatką i na razie ma dosyć. Znam Vicky i rozumiem ją lepiej niż ktokolwiek inny. Będziemy mieli to, co w dawnych dobrych czasach określano mianem "liaison". To od- powiednie słowo. Przywodzi na myśl obraz eleganckiej, błyskotliwej kobiety spoczywającej na sofie jak madame Recamier. Paul Van Zale przez trzydzieści lat utrzymywał taki związek z kobietą o nazwisku Elisabeth Clayton, która zresztą już od dawna nie żyje. Jego żona i mąż Elisabeth o tym wiedzieli, lecz oboje pogodzili się z sytuacją, udało im się z tym żyć. I choć cały ten układ odbiegał od normy, wszyscy tak bardzo się starali, by ich małżeństwa wyglądały szacownie, że ta anomalia umknęła uwadze świata.

Mojemu małżeństwu nikt nie będzie mógł niczego zarzucić. Elsie się to z początku nie spodoba. Będą sceny i łzy, ale Elsa w żaden sposób nie zdoła zmienić faktu, że jest tusta i brzydka i mało prawdopodobne, by zdołała poderwać innego mężczyznę, chociaż więc przez jakiś czas będzie wściekła, uspokoi się, gdy tylko sobie uświadomi, że mam zamiar z nią zostać i podtrzymać pozory, które świat będzie mógł przełknąć. Będziemy nadal wysyłali sygnały: normalny, normalny! i nikt nie ośmieli się krzywo na nią spojrzeć. Vicky nadal będzie mieszkać z tatusiem, żeby tatuś mógł urzeczywistniać swoje ambicje przejmując kontrolę nad dziećmi, a ja wynajmę gdzieś apartament, może przy Sutton Place, i będziemy się w nim spotykać, ilekroć zapagniemy być sami. Urządzimy go po swojemu. Będziemy mieli łóżko z czarną satynową pościelą w sypialni wyłożonej białym futrzanym dywanem. Lubię połączenie czerni z bielą. Wywołuje erotyczne skojarzenia. Spróbuję znaleźć parę czarno-białych rysunków Beardsleya, które można by powiesić na ścianach. Nie, Beardsley nie będzie najlepszy. Jest zbyt dekadentki. Przydałoby się coś o czystej, wyraźnej kresce, coś szlachetnego. Może japoński drzeworyt. Albo szkic nagiej kobiety Picassa. Vicky będzie mogła urządzać salon, książki jednak wybierzemy razem. Mnóstwo poezji. Cały zestaw klasyków plus Beowulf w oryginale. Nie szkodzi, że żadne z nas nie zna języka dawnych Anglosasów i że Beowulf to jeden z najtrudniejszych poematów, jakie kiedykolwiek napisano. Będziemy go mieli na półce z tego samego powodu, dla którego Rzymianie trzymali w atrium popiersia swoich przodków. I oczywiście Beda, doskonałe towarzystwo dla Beowulfa. Wciąż mam ten przekład, który polecił mi Scott, kiedy czułem się jak przedstawiciel uciśnionej rasy. Ciekawe, czy Vicky czytała o słynnym locie jaskółki przez oświetloną salę. Oczyma duszy widzę Scotta, który rozprawia o Bedzie. Scott to jedna wielka anomalia. Jest wyjątkiem, który potwierdza regułę, że ludzie muszą zawierać związki małżeńskie, by dowieść swej normalności. Scott łamie regułę, mimo to nie ponosi żadnych konsekwencji, w niewytłumaczalny sposób bowiem udaje mu się stworzyć wrażenie, że jest równie normalny jak klasyczna amerykańska szarlotka. Problem polega na tym, że on nie jest normalny - nie, jeśli przyjrzeć mu się z bliska. Im dłużej o nim myślę, tym większe wrażenie wywiera na mnie jego inteligencja. Prawdę mówiąc, Scott mnie fascynuje. Ucieleśnia wszystko, czym Korneliusz pogardza. Po pierwsze, jest kawalerem, po drugie, intelektualistą, po trzecie, żyje (przeważnie) w celibacie. I poczwarte, jest synem Stevena Sullivana. A mimo to Korneliusz traktuje go jak ulubionego kociaka. Wcale mi się to nie podoba. Jest w tym coś niesamowitego, co sprawia, że ciarki chodzą człowiekowi po grzbiecie. Czy ja sam jednak powinienem czuć się zagrożony? Mało prawdopodobne. Korneliusz nigdy nie dopuści do tego, by jakkolwiek potomek jego dawnego wroga Stevena Sullivana przejął pakiet kontrolny banku, moja przyszłość więc powinna być równie bezpieczna jak diament w sejfie obstawionym uzbrojoną strażą, ale pomimo wszystko fakt, że Korneliusz aż tak faworyzuje Scotta, jest dla mnie mocno podejrzany. Może powinienem dać mu to do zrozumienia, choć lepiej nie; jeżeli na tym etapie spróbuję przyciąć kotu wąsiki, ktoś może spróbować podciąć mi skrzydła. Co sobie pomyśli Korneliusz o mojej liaison z Vicky? Nie będzie zachwycony, za to mama tak. Mama będzie się cieszyć, a Korneliusz nie zechce mącić jej radości, zwłaszcza teraz, kiedy znowu tak świetnie się bawią w sypialni. Boże, to obrzydliwe. Elsa cicho jęczy przez sen, a ja troskliwie obejmuję ją ramieniem. Lubię cię, Elso, i mam szczęście, że jesteś ze mną. Jestem ci wdzięczny. Dzięki tobie wszyscy myślą, że jestem takim miłym normalnym facetem... Sobota, 7 czerwca 1958. W klubie gram w squasha ze Scottem i wygrywam. Bierzymy prysznic, potem ja wypijam dwa piwa, a on sączy colę. - ...tak więc pytanie brzmi - mówi Scott - czy angielska legenda o rycerzu Rolandzie ma w rzeczywistości jakikolwiek związek z Rolandem, siostrzeńcem Karola Wielkiego, bohaterem słynnej "chanson de geste"? - To niemożliwe, żeby nie miała z nim związku. Jeżeli czytałeś poemat Browninga... Scott machnięciem ręki zbywa Roberta Browninga, który nie zdążył urodzić się w wiekach średnich, ba, spóźnił się o dobre trzysta lat. - Dorothy Sayers

twierdzi, że nie ma żadnych związków. Uważa... Dorothy Sayers, dwudziestowieczna autorka powieści kryminalnych, podobnie jak Browning nie jest dla Scotta autorytetem, aczkolwiek jako znakomita mediewistka zdołała zyskać jego szacunek. Słucham przez grzeczność i dochodzę do wniosku, że obaj, Scott Sullivan i ja, spędzi- liśmy już dość czasu na odkopywaniu zmurszałych średniowiecznych szczątków. Pora, byśmy wynurzyli się z naszych scholastycznych wież z kości słoniowej, zeszli na ziemię i zaczęli ba- dać ciemniejsze rubieże dwudziestowiecznej dżungli, w której przyszło nam spędzić życie. - Skoro już mówimy o Rolandzie, Mrocznej Wieży i innych starych budowlach - rzucam od niechcenia - co tam ostatnio słysząc w Mallingham? Mallingham to średniowieczna wiocha w hrabstwie Norfolk, gdzie został pochowany oj- ciec Scotta i gdzie Dina Slade - wróg numer jeden Korneliusza Van Zale'a - była kiedyś panią na włościach. O Dinie Slade wiadomo mi niewiele poza tym, że rozbiła małżeństwo Steve'a z ciotką Emily, a na dodatek zgromadziła spory majątek, cholernie dała się we znaki Korneliu- szowi i zginęła bohaterską śmiercią pod Dunkierką. - O, w Mallingham wszystko w porządku - mówi Scott tonem towarzyskiej pogawędki. Rzekłbyś, miły zwyczajny facet opowiada o swojej rodzinie. - Elfryda jest całkowicie pochło- nięta prowadzeniem szkoły. Ma więcej zajęć, odkąd Edred się wyniósł. Ale wydaje mi się, że dobrze zrobił, podejmując pracę w orkiestrze. Elfrydzie nie podobał się jego styl nauczania muzyki i często się o to kłócili. Edred i Elfryda są przyrodnim rodzeństwem Scotta, o które Steve i Dina postarali się na długo przedtem, zanim zdecydowali się pobrać. Tylko najmłodszy George miał to szczęście, że urodził się po ślubie. - To ładnie ze strony Korneliusza, że wspomógł Elfrydę, nie sądzisz? - zauważam nie- winnie. Uśmiech Scotta jeszcze się poszerza. - Prawdziwe chrześcijańskie miłosierdzie! - mówi, rozśmieszając mnie tym do łez. Milknę i zastanawiam się nad następnym ruchem. Wszyscy na Willow Street wiedzą, że w la- tach trzydziestych Steve i Korneliusz walczyli ze sobą na noże. Wszyscy też wiemy, że była to prawdopodobnie nieczysta rozgrywka, obfitująca w ciosy poniżej pasa, jakkolwiek nikt nie zna szczegółów wielkiego szlema, a przynajmniej nikt się do tego nie przyznaje. Mnie w każ- dym razie nie udało się dotąd wykryć całej prawdy, choć i tak wątpię, czy zdołałaby mnie za- skoczyć. Gdy w grę wchodzi Korneliusz, zawsze stawiam na najgorszy wariant, gdyż ten zwykle okazuje się prawdziwy. Ciekawe, co sądzi na ten temat Scott? Z pewnością jest na tyle inteligentny i zna Korneliusza wystarczająco dobrze, żeby nie ufać bezkrytycznie jego oficjalnej wersji wydarzeń. Wątpię, by uwierzył, iż to Steve stwarzał zagrożenie, obracając wszystko w perzynę, podczas gdy Korne- liusz, biedny niewinny Korneliuszek, który by muchy nie skrzywdził, został przez niego zmu- szony do działania w obronie własnej. Mogę przyjąć, że Scott nie czuł więzi z ojcem - awan- turnicy w rodzaju Steve'a Sullivana aż nazbyt często żyją w takim tempie, że ich dzieci po prostu gubią się gdzieś po drodze - lecz jak głęboko sięga to zobojętnienie? Nie mam żadnych wspomnień związanych ze Steve'em, który w 1933 roku wyjechał ze Stanów na dobre, ale pamiętam, jak Tony, brat Scotta, opowiadał mi kiedyś o domku na drzewie, który ojciec zbu- dował dla nich koło plaży na Long Island, gdzie mieszkali w latach dwudziestych. Pamiętam, że powiedziałem wtedy z zazdrością: - Jak to fajnie mieć ojca, który spędza z tobą tyle czasu! A Tony odpowiedział z naiwną szczerością sprawiającą, że nie potrafił udawać: - Tato był najlepszym ojcem na świecie. To szczególne świadectwo stawało się jeszcze bardziej godne uwagi w zestawieniu z wyrażaną niezmiennie przez Korneliusza opinią, że Steve zupełnie nie nadawał się na ojca i karygodnie zaniedbał swoje rodzicielskie obowiązki. (Korneliusz żywił wiktoriański senty- ment do słowa "obowiązek" i traktował je jak zakłęcie kończące każdą dyskusję na tematy moralne). Pytanie tylko, czy Scott kiedykolwiek był równie uparcie lojalny wobec ojca jak Tony? Bracia znacznie się różnili temperamentem i inteligencją, a w ciągu ostatnich kilku lat przed śmiercią Tony'ego nie utrzymywali już ze sobą stosunków. Umysł Tony'ego był otwarty i przejrzysty, Scotta - zamknięty i nieodgadniony. Czy w obu rysował się ten sam obraz prze- szłości, czy też nie? Nie sposób tego stwierdzić, nie sposób

nawet zgadywać. Patrzę na Scotta i czuję nieodpartą pokusę, by włamać się do tego strzeżonego enigma- tycznego umysłu. - Czy sądzisz, że Korneliusz dał jej pieniądze powodowany wyrzutami sumienia? - py- tam znieca. - Jak myślisz, czy traktował to jako zadośćuczynienie za to, iż w latach trzy- dziestych wykończył waszego ojca? - Wątpię - rzuca lekko, zupełnie nie zbity z tropu. - Potrafię sobie wyobrazić, że skłonił go do tego zmysł praktyczny - "Pozbędę się tej dziewczuchy dając jej to, czego chce!", jak rów- nież, że przemówił w nim zdrowy rozsądek - "Jeśli będę dla niej miły, sprawi mi mniej kłopo- tu", albo nawet jego słynne chrześcijańskie miłosierdzie - "Jeżeli jej pomogę, będę miał krze- piące uczucie, że spełniłem dobry uczynek", ale jakoś nie jestem w stanie wyobrazić sobie Korneliusza, który mówi: "O Boże, pozwól, bym odpokutował za grzechy, obdarowując tę dziewczynę szkołą!". Wybucham śmiechem i mimo woli czuję dla niego podziw: ta obiektywna i pozbawiona sentymentów analiza motywów Korneliusza jest nie do odparcia, a dobroduszne przywiązanie do niego brzmi w głosie Scotta tak szczerze, że zaczynam myśleć, iż cierpię na paranoję, wie- trząc zdradę tam, gdzie nie może być o niej mowy. Powtarzam sobie, że jest przecież możliwe, iż Scott całkowicie usunął z serca swego ojca; możliwe, że lubi Korneliusza, choć nie ma co do niego złudzeń. Jednym z paradoksów, z którymi w okresie dorastania nie potrafiłem się pogodzić, było to, że choć Korneliusz generalnie mnie mierzył, zdarzało mi się myśleć o nim z sympatią, a nawet - niech mi Bóg wybaczy - podziwiać go. Tak było, kiedy zaraz po ukoń- czeniu przeze mnie Groton udzielił mi nietuzinkowego wykładu o kondomach, a także wtedy, gdy nie tylko zatwierdził moje matrymonialne plany, ale wspierał mnie przez całą drogę do oł- tarza. Podziwiałem klasę, z jaką znosił astmę: nigdy się nie poddawał ani nie uskarżał, nigdy się nad sobą nie litował. Z przyjemnością zniecierpliwiałbym go do szpiku kości, lecz nie byłem do tego zdolny, a skoro już musiałem się przyznać do okazjonalnych przyływów sympatii do Korneliusza, dlaczego miałbym odmawiać do nich prawa Scottowi? Scott jest w porządku. To po prostu normalny facet, który ma parę ekscentrycznych nawyków, a jego umysł w sumie wcale nie jest aż tak nieodgadniony i przebiegły. A może jest? Dlaczego mimo wszystko wciąż mam wrażenie, że Scott odgrywa jakąś średniowieczną alegorię, w której przybiera rolę Odwetu gromiącego Zło w poszukiwaniu Świętego Graala Sprawiedliwości? Tak, chyba rzeczywiście wpadam w paranoję. Wszystkie te średniowieczne brednie, którymi karmił mnie Scott, musiały się wreszcie odbić na stanie moje- go umysłu. Muszę się jakoś pozbierać, zanim ulegnę pokusie, by zacząć wprowadzać w czyn "Opowieści kanterburyjskie". - Jaki był twój ojciec, Scott? - pytam nagle ku własnemu zaskoczeniu. - Wszyscy mówią o nim jak o pierwszym lepszym rozhukanym i rzadko trzeźwiejącym Irlandczyku, ale przecież na pewno był o wiele bardziej skomplikowanym człowiekiem. - On nie był Irlandczykiem. Patrzył na świat oczyma Anglosasa i uważał to za czysty przypadek, iż nosi irlandzkie nazwisko. Przenosimy się na znajomy grunt. Kiedy zaraz po ślubie z Elsą czułem się jak podczło- wiek, wiele godzin spędziliśmy dyskutując na temat dawnych ras i narodów. - I naprawdę nie miał żadnych celtyckich cech? - pytam od niechcienia, z przyjemnością przygotowując się do kolejnej wycieczki na tereny zamierchłych kultur. - Nie, do licha! - mówi Scott, odprężając się tak samo jak ja. - Znał tylko jeden świat, tylko jedną epokę i jedną rzeczywistość. Wyznawał światopogląd, który Anglosasi nazywają "logicznym, rozsądnym i pragmatycznym", ten, który zdominował dziś cały zachodni świat. - Ja też go wyznaję - uśmiecham się do niego. - Tak, ale ja nie. Zrobił to. Niewiarygodne, a jednak to zrobił. Popełnił błąd. Wieko uchyliło się nieznac- nie, pozwalając mi na oślepiający ułamek sekundy zajrzeć w głąb tego nieprzejrzystego tajem- niczego umysłu. - Nie, to bez sensu! - wykrzykuje z rozbawieniem. - Zdaje się, że plotę bzdury. Cofam to, co powiedziałem. Obaj wiemy, że nie jestem bardziej Celtem niż ty Anglosasem. Jesteśmy dwoma Amerykanami mieszkającymi w wielkim tyglu Nowego Jorku, a jakakolwiek inna teo- ria byłaby czystą fantazją. - To prawda - potwierdzam uspokajająco. - Czysty absurd! - A poza tym - Scott nadal zaciekle stara się nasunąć wieko z

powrotem - sam mi mówi- leś, jak bezsensowne jest czynienie rozróżnień pomiędzy rasami w dzisiejszych czasach, kiedy jesteśmy już tak dokumentnie wymieszani! - Rzeczywiście tak powiedziałem. I nadal tak uważam - mówię, żeby mi pomóc odzyskać równowagę, choć w głowie mi dźwięczy stwierdzenie Junga, że nie należymy do dnia dzisiejszego ani wczorajszego, mówią przez nas wieki. A zatem uważasz się za Celta, nieprawdaż, Scotcie Sulliwane? To bardzo interesujące. Dzięki, że dałeś mi brakujący klucz do twojej osobowości. Możesz być pewien, że będę się nim umiał posłużyć. Pamiętam wszystko, czego się dowiedziałem o Celtach. W czasie badań nad dziejami Anglosasów natknąłem się na nich wielokrotnie. Ich wrogowie nigdy ich nie rozumieli. Logiczni, praktyczni i mocno stąpający po ziemi ludzie jak Rzymianie czy Anglosasi tracili cały kontens w zetknięciu z rasą, której pogląd na świat tak radykalnie różnił się od ich poglądów. Celtowie byli tajemniczy i obcy. Ich literatura mówi o światach wewnątrz światów, wymiar rzeczywisty miesza się z ponadmysłowym, w magiczny sposób wykrzywając czas i przestrzeń. Celtowie wierzyli w życie pozagrobowe, śmierć zatem nie budziła w nich trwogi. W gruncie rzeczy przenikała całe ich życie społeczne, wśród innych bowiem celtyckich cech, które ich uporządkowanym, zdyscyplinowanym przeciwnikom wydawały się barbarzyńskie, pierwsze i najważniejsze miejsce zajmuje potężna wielowiekowa tradycja krwawej zemsty sprawiająca, że Celtowie bez przerwy mordowali się między sobą równie zaciekle, jak mordowali swoich nieprzyjaciół, kiedy ci weszli im w drogę. Gdybyś był Celtem, a ktoś zabiłby ci ojca, nie zaznałbyś spoczynku, dopóki byś nie odplacił mu tym samym. Na szali znalazłby się twój honor. "Wybaczyć i puścić w niepamięć" zabrzmiałoby w pogańskich celtyckich uszach jak śmieszny wymysł zbzikowanych chrześcijan, i to nie tylko dlatego, że nie wolno było wybaczyć, lecz także dlatego, że nie sposób było zapomnieć. Celtowie nigdy nie puszczali przeszłości w niepamięć. Była dla nich częścią teraźniejszości, bez trudu utrzymywana przy życiu poprzez to, iż Celtowie postrzegali czas zupełnie inaczej niż ich sąsiedzi. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość istniały równolegle w zwiędzianym świecie, w którym śmierć - jedyny realny fakt - traktowana była jako mit, przez co bez żalu marnowali życie w pościgu za słuszną zemstą. - Wciąż dumasz o wymarłych Celtach i Anglosasach? - pyta ze śmiechem Scott. - Wymarłych! A co powiesz o Amerykanach irlandzkiego pochodzenia albo tak zwanych białych anglosaskich protestantach? A propos, czy będąc w Waszyngtonie spotkałeś może Jacka Kennedy'ego? Zaczynamy rozmawiać o klanie Kennedych, tak spójnym i zhierarchizowanym jak wszystkie najlepsze celtyckie rodziny, dążącym teraz do odwetu na białych anglosaskich protestanckich arystokratkach, którzy kiedyś potraktowali ich z góry. Przez cały jednak czas nie mogę się pozbyć myśli o Scotcie, który przekazaną mi w genach pamięć krwawej rodowej wendety ozdobił intelektualnym blaskiem średniowiecznej legendy. Świętym Graalem Scotta jest zemsta. Jestem już tego pewien, tak samo jak jestem pewien, że przebaczył ojcu wszystko, co ongiś przez niego wycierpiał. Niestety, mimo iż uczyniłem niebywały postęp, wciąż mam przed sobą ścianę, bo za żadne skarby świata nie jestem w stanie dociec, co on zamierza. Co może zrobić? Nie jest chyba na tyle szalony, by myśleć, iż kiedykolwiek zdoła przejąć bank, skoro powszechnie wiadomo, że Korneliusz potrafi zwietrzyć podstęp z odległości pięćdziesięciu kroków i zmiażdżyć przeciwnika, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu? To bezsensowne. Jeśli jednak Scott nie planuje jakiegoś spektakularnego fortelu, do czego u licha zmierza? Poddaję się. Nie jestem w stanie go przejrzeć. Jedno wszakże jest pewne: muszę się tego dowiedzieć. Skoro wszyscy gramy o wysoką stawkę, a Scott ma w rękawie asa pik, dla własnego bezpieczeństwa muszę przynajmniej odkryć, jakie karty zaciska w dłoni. Scott może okazać się groźny nie tylko dla Korneliusza, dla mnie też. Po raz pierwszy w życiu widzę w nim nie przyjaciela, lecz rywala.

4 lipca 1958. Znowu upiorny spęd rodzinny, choć tym razem niezbyt liczny. Andrew i Lori świętują w swojej bazie lotniczej, a Rose, która uczy angielskiego w żeńskiej szkole z internatem w pobliżu Velletrii, wybrała się do Anglii, żeby przedyskutować z Elfrydą pewne

zagadnienia teorii edukacji. Ciotka Emily ma szczerzy zamiar jechać do Andy'ego i Lori, aczkolwiek w końcu ląduje na Piątej Alei. Podejrzewam, że matka zasygnalizowała jej, iż martwi się o Vicky, a ciotka Emily uwielbia pomagać ludziom w nieszczęściu. Vicky nic nie jest, po prostu nudzi ją ciąża i to, że jest traktowana niczym bezcenna wa- za z epoki Tang. Oczywiście nie ma nic do roboty i to doprowadza ją do szału. Bóg mi świad- kiem, że chyba gryzłbym ściany, gdybym musiał mieszkać w tym koszmarnym domu z czwór- ką dzieci próbujących obrócić w perzynę wszystko w zasięgu wzroku, a także matką i Korne- liuszem, którzy czują się do siebie jak gołąbki, kiedy im się wydaje, że nikt nie patrzy. Przy- niosłem jej nowy przekład listów Cycerona. Jego język jest w nich tak pełen życia, że człowiek niemal się spodziewa zastać słynnego mędrca bawiącego towarzystwo w Knickerbocker Club. Trudno uwierzyć, że nie prowadzi gdzieś konferencji prasowej na temat zgubnego wpływu kanciarzy z Wall Street na moralność publiczną. Podoba mi się ten fragment, w którym Cycero mówi, że Cezar napawa go lękiem takim samym jak lśniąca powierzchnia morza. Miał rację. Cezar chował wiele tajemnic i nigdy nie odsłonił swoich kart. Podobnie jak Scott. Ostatnio moją ulubioną zabawą jest stawianie się na miejscu Scotta i wyobrażanie sobie, co bym zrobił, gdybym chciał pomścić ojca. Najbardziej oczywistym sposobem byłoby przeję- cie kontroli nad bankiem, może nawet przemianowanie go z Van Zale'a na bank Sullivana po to, by przyćmić wspomnienie rządów Korneliusza, a równocześnie zbudować pomnik ku czci Steve'a. To załatwiłoby kwestię rewanżu, co więcej, nadałoby przeszłości inne zabarwienie, czyli, jak powiedział T.S. Eliot, to, co mogło być, stałoby się równie rzeczywiste jak to, co było. Mając to na uwadze, zakładam, że się nie mylę, przypuszczając, iż celem Scotta jest przejęcie banku. Teoria jest kusząca. Szkoda tylko, że nierealna. Scott nie zawładnie firmą. Mógłby, gdyby była to oligarchiczna korporacja, ale tak nie jest. To dyktatura, na której czele stoi Korneliusz, a trudno sądzić, by Scott zdołał mu ode- brać kontrolny pakiet udziałów. Tak więc jesteśmy z powrotem na pierwszej bazie, bogatsi o wiedzę, że skoro Korneliu- sza nie da się wysadzić siłą, musiałby ustąpić z własnej woli, a przecież na tym niepewnym świecie istnieje tylko jeden niewzruszony pewnik: Korneliusz nie odda dorobku całego życia synowi Steve'a Sullivana. Pozwalam sobie na westchnienie ulgi, lecz najzabawniejsze jest to, że wcale jej nie czuję; wręcz przeciwnie, jestem bardziej zbity z tropu niż kiedykolwiek przedtem. Czy Korneliusz naprawdę jest zdolny do tego, by podać bank synowi Steve'a na srebrnej tacy? Z pewnością nie! Ma przecież wnuki! Chłopcy są jeszcze mali i nie wiadomo, co z nich wyrosnie, niemniej jednak Korneliusz bez wątpienia będzie się starał utrzymać na stanowisku do chwili, gdy Eric skończy osiemnaście lat. Tylko czy zdoła? Zdrowie może go w końcu zawieść. A skoro już mowa o utrzymaniu się na stanowisku, jak ma się do tego ta niewiarygodnie sentymentalna oracja, którą ostatnio wygłosił z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin? Mówił, że są rzeczy ważniejsze niż dążenie do władzy i robienie pieniędzy. Stwierdził nawet, że ma zamiar przejść na emeryturę i wyprowadzić się z matką do Arizony! To wszystko było takie śmieszne, że nie potraktowałem go poważnie, choć może powinienem. Może tłumiąc chichot na myśl o Korne- liuszu w roli świętego eremity, który kontempluje na pustyni zgubne skutki materializmu, nie dostrzegłem czegoś, co ma istotne znaczenie. Zastanawiam się nad tym głębiej. Jeżeli Korneliusz wycofa się z interesu lub padnie tru- pem, zanim jego wnuki osiągną pełnoletność, prezesura dostanie się albo mnie, jego bogoboj- nemu, sumiennemu, cierpliwemu i cholernie kompetentnemu pasierbowi, albo Scottowi, który jako jedyny w tym banku dorównuje mi inteligencją. Jednakże Scott odpada, bo jest synem swego ojca. A zresztą czy mam wierzyć, że te wszystkie łzawe brednie płynęły prosto z serca? Wątpię. Korneliusz był nadal wstrząśnięty śmiercią Sama, na dodatek udało mu się ponownie zakochać w matce, należy zatem przyjąć, że chwilowo nie był odpowiedzialny za swoje czyny. Ludzie ewoluują z biegiem lat, lecz nie ulegają żadnym fundamentalnym zmianom, tak więc wszelkie nagłe deklaracje o rozpoczęciu "nowego życia" należy traktować z najdalej posunię- tym sceptycyzmem. Być może Korneliusz wierzy, że z

radością wyrzeknie się władzy i pogrzebie w arizońskim nieróbstwie, jeśli jednak tak, sam się okłamuje. Kto jak kto, ale on jest lampartem, który nigdy nie zmieni cętek. Scott liczy widocznie na to, że stary się wycofa. Wie, że z chwilą gdy chłopcy dorosną, jego szanse na przejście banku zmaleją do zera. Może to on wpłynął na Korneliusza, on go namówił na wcześniejszą emeryturę. W głowie się nie mieści, by Korneliusz mógł stać się ofiarą zgubnych wpływów, jeśli jednak w istocie cierpi na związane z wiekiem rozmiękczenie mózgu, to wszystko jest możliwe. Bóg jeden wie, co się dzieje w trakcie tych nocnych szachowych nasiadówek. Scott twierdzi, że rozmawiają o wieczności. Jezu, facet, który zdołał zainteresować Korneliusza wiecznością, chyba rzeczywiście zasługuje na to, żeby dostać ten bank. Mimo to Scott w roli pieśczocho dostatecznie mnie niepokoi. Jeśli dodać do tego rolę Rasputina, sytuacja staje się poważna. Muszę się przekonać, co naprawdę zamierza. Będę z nim nadal rozmawiał w nadziei, że w chwili targnienia znowu mu się coś wymknie. - Wciąż dyskutujecie przy szachach o wieczności? - pytam Scotta pod koniec lipca. Skończyliśmy właśnie grać w tenisa na korcie w letniej posiadłości Korneliusza w Maine, teraz siedzimy i pijemy coca-colę na ocienionym patio. Pytanie pada i natychmiast uświadamiam sobie, że popełniłem błąd. Było zbyt bezpośrednie. Scott ostentacyjnie robi przed nim unik z wprawą doświadczonego matadora. - Na razie daliśmy sobie spokój z teologią - mówi, otwierając następną butelkę coli. - Rozważamy teraz pewne kwestie filozoficzne. - Filozofia? Z Korneliuszem? Chryste, Scott, to chyba cud! Jak ci się to udało? - To żaden cud. Dlaczego sądzisz, że Korneliusza nie stać na poważne przemyślenia teraz, gdy jest już u progu starości? Poza tym byłby znacznie mniej irytujący, gdyby zamiast: "Uważam, że mam moralny obowiązek zrobić to i to", mówił: "Uważam, że gdybym tak zrobił, o wiele bardziej zbliżyłbym się do platońskiej teorii absolutnego dobra!" - O mój Boże! Przerabiasz z nim Platona, tak? I co o nim myślisz? - Na początku bardzo mu się podobał. Ale kiedy się dowiedział, że Platon był homoseksualistą, stracił dla niego wszelkie zainteresowanie. Śmiejemy się serdecznie. Tak jak przypuszczałem, matador z nonszalancką gracją wywinął muletą i bez trudu uniknął gwałtownego ataku byka. Czekam na stosowną chwilę, by zadać mu cios numer dwa. - W gruncie rzeczy - mówi Scott - chyba bardziej trafia do niego Kartezjusz. Mam wrażenie, że postawił wszystko pod znakiem zapytania, eksperymentuje z nowymi teoriami, podaje próbie swoje dawne wartości. Najwyraźniej pięćdziesiąte urodziny wywarły na niego potężny wpływ. - Powiedziałbym raczej, że śmierć Sama. - Możliwe. Tak czy owak, oba te wydarzenia poważnie nim wstrząsnęły. - Jak długo to potrwa? Scott z rozmarzeniem patrzy w niebo. - Kto wie? Może jego horyzonty poszerzyły się już na stałe? Zawsze miałem wrażenie, że go nie doceniasz, Sebastianie - nie, nie w banku. W życiu. Jeżeli odrzec go z tych despotycznych manier i póz, jakie przybiera, żeby się wydać twardzielem, okazuje się zaskakująco wrażliwy. I bardzo samotny. - Scott, ty chyba żartujesz? To opętany żądzą władzy egomaniak! - Owszem, w banku. Ale o pierwszej w nocy przy szachownicy jest zupełnie innym człowiekiem. - Muszę ci wierzyć na słowo. Gdybym miał regularnie grywać z nim nocą w szachy, w ciągu miesiąca znalazłbym się u czubków. A zatem co nas czeka? - Nie mogę się dziś powstrzymać przed zadawaniem bezpośrednich pytań, aczkolwiek w kontekście rozmowy to akurat pytanie wydaje się naturalne, może więc tym razem mi się uda. - Czy Korneliusz rzeczywiście w ciągu najbliższych pięciu lat odejdzie na emeryturę i zaszyje się gdzieś w Arizonie? - Myślę, że po tygodniu miałyby serdecznie dość Arizony, ale nie powtarzaj mu tego. Co do emerytury... Czy ja wiem? Czy ktokolwiek wie? Ja tylko siedzę i słucham jego rozważań. Jestem zdumiony tym pozornym brakiem zainteresowania emerytalnymi planami Korneliusza. Jeśli Scott kiedykolwiek ma dopiąć swego, Korneliusz musi wycofać się młodo. - A myślałem, że siedzisz i wykładasz mu Platona! - Tylko na wyraźne życzenie! - Scott uśmiecha się leniwie. Jest taki spokojny, taki pewny siebie. Robi wrażenie, że nic nie jest go w stanie sprowadzić z raz obranej drogi. Nie liczę się ani ja, ani młodzi Kellerowie, ani cała reszta współników. Scott i Korneliusz grają w

szachy o bank, a Scott dobrze wie, jak doprowadzić do mata. Tym razem matador nie tylko wywinął muletą, ale dodatkowo sypnął mi piaskiem w oczy. Nic nie widzę. Nic nie rozumiem i jestem zupełnie zbity z tropu. Poddaję się. Pora się wycofać z areny. - No cóż - mówię. - Za jakieś pięćdziesiąt lat i tak wszyscy będziemy już martwi, więc jakie to ma znaczenie? Właśnie mi się przypomniał ten fragment "East Coker" z "Czterech kwartetów"... Jezu, mógłbyś wreszcie dać się przekonać do Eliota! - Właśnie ostatnio się do niego przekonałem. Nie pojmuję, dlaczego dotąd miałem wrażenie, że tego się nie da czytać. Który fragment? - Ten o śmierci. "O mrok mrok mrok. Wszyscy odchodzą w mrok. W próżne przestrzenie międzygwiazdne, próżni w próżne, kapitanowie, kupcy..." - "Bankierzy!" (Przeł. Władysław Dulęba) - wpada mi w słowo Scott i obaj wybuchamy śmiechem. - No cóż, takie jest życie! - komentuję flegmatycznie. - Nawet Korneliusz będzie musiał pewnego dnia odejść w mrok. - Tak, i mam wrażenie, że wreszcie sobie umyślił, w jaki sposób przekabaci tego swojego twardego Boga rodem ze Środkowego Zachodu, kiedy już dotrze do krańca oświetlonej sali. To jest to. Wiem, że to jest to. Co prawda nie wiem dokładnie, czym "to" jest, choć w końcu i tego się dowiem. Tymczasem powinienem mówić dalej, zachowywać się naturalnie i nie pozwolić mu się domyślić, że wiem. - O, Korneliusz bez trudu załatwi Pana Boga na cacy! - mówię bez zająknięcia. - A potem ruszy wzwyż świetlistą ścieżką prosto do wielkiego banku, który czeka na niego w niebiosach... Scott wybucha śmiechem i rozchlapuje colę na swoją tenisową koszulkę. - Patrz, co narobiłeś, Sebastianie! - Ja? - Tak, ty! Nikt inny nie potrafi mnie do tego stopnia rozśmieszyć! Miła pogawędka dwóch starych przyjaciół. Skomplikowana rozgrywka dwóch świeżo upieczonych rywali, którzy kiedyś mogą skończyć jako zażarci wrogowie. Scott idzie się przebrać, a ja czekam na niego, siedząc na patio, i myślę, myślę, myślę. Myślę, że w chwili gdy Korneliusz dopuścił do siebie myśl o własnej śmierci, zaczął się czuć winny w związku ze swoją przeszłością. Czy ktoś tak amoralny jak Korneliusz jest w ogóle zdolny do wyrzutów sumienia? Tak. To, czy jest amoralny, czy niemoralny, nie ma tu znaczenia. Pozostaje faktem, że został rygorystycznie wychowany w wierze i prawdopodobnie aż dotąd odsuwał od siebie poczucie winy. Poza tym zwykle najbardziej daje się ono we znaki facetom, którzy na co dzień zachowują się tak, jak gdyby w ogóle nie mieli pojęcia, co znaczy słowo "sumienie". Poczucie winy przytłacza ich tak bardzo, że starają się zaprzeczyć jej istnieniu. Założę się, że Korneliusz ma ochotę oddać Scottowi bank, by odkupić swoje przewiny wobec Steve'a. Widzi w tym jedyny sposób prześlągnięcia twardego środkowo zachodniego Boga, jedyną szansę stawienia czoła ciemności na końcu oświetlonej sali. Oczywiście Scott pracował przez lata, żeby go urobić. Był mu oddany, zdyscyplinowany, fanatyczny. Szuka sprawiedliwości - "naturalnej sprawiedliwości", jak ją nazywa - dając do zrozumienia, że istnieje nieubłagana siła, będąca lub nie będąca w gestii Pana Boga. Ale czy uda mu się wyegzekwować tę swoją sprawiedliwość? Wątpię. Wiele rzeczy może stanąć mu na przeszkodzie. Na przykład Korneliusz opanuje swoje wyrzuty sumienia i przestanie się przejmować Scottem. Albo też zrezygnuje z przejścia na emeryturę i będzie żył bardzo długo, dłużej niż Scott, który jest od niego tylko o jedenaście lat młodszy. Co zrobi, jeżeli naturalna sprawiedliwość nie zadziała dokładnie w taki sposób, w jaki według niego powinna? A skoro już o tym mówimy, co w tej sytuacji byłoby przejawem wyższej sprawiedliwości? Czy uznam to za sprawiedliwe, jeżeli Scott sprzątnie mi bank sprzed nosa? Najprawdopodobniej nie. Możliwe, że istnieje wyższa sprawiedliwość. Może istnieje też Bóg. Nie wiem. Nie jestem aż tak arogancki, by uważać, że znam wszystkie odpowiedzi. Wiem jedno: jeśli Bóg istnieje, wierzę głęboko, iż pomaga tym, którzy starają się pomóc sobie. Mam szczerzy zamiar zadbać o siebie. Co więcej, myślę, że Scott robi to samo, jeśli droga stanie się wyboista, obawiam się tylko, że może się znaleźć w lepszej sytuacji ode mnie. Scott bowiem już dawno wepchnął Korneliusza w emocjonalne imadło, a pewnego dnia, gdy Korneliusz będzie już stary, zmęczony i bezbronny, Scott zacznie przykręcać śruby. Nazajutrz znów gramy w tenisa i Scott wygrywa. Mam uczucie, że

to zły omen, i kiedy po meczu pijemy colę w cieniu na patio, jestem bardziej milczący niż zwykle. Co ja mam z nim zrobić? Gdybym mógł przekonać Korneliusza, jak niebezpieczny jest Scott, pozbyłbym się rywala od ręki, ale nie bardzo wiem, jak zdołałbym uzyskać konkretny dowód na to, co dzieje się w jego głowie. Poza tym nie chce mi się wierzyć, by Korneliusz, z tym swoim niewiarygodnym talentem do utrzymywania się na powierzchni, nie przeczuł, jak daleko sięgają ambicje Scotta. Czy nigdy nie przyszło mu na myśl, że jest świnką morską w laboratorium fanatycznego naukowca? Scott musiał go jakoś otumanić, choć zachodzę w głowę, jak mu się to udało. To niepodobne do Korneliusza, by nie dostrzegął, że ktoś zaczyna mu zagrazać. Gdy któryś z podwładnych staje się potencjalnie niebezpieczny, natychmiast wylatuje z pracy. Dlaczego więc Korneliusz nie wyrzucił Scotta? Dlaczego w stosunku do niego ma bielmo na oczach? Próbuję dociec, co dzieje się w umyśle Korneliusza. Być może nie jest to kwestia bielma, lecz zmażone widzenie tyрана. Korneliusz tak długo był wszechmocny, że prawdopodobnie nie potrafi sobie wyobrazić, iż Scott może zacząć parzyć go w palce. Ja jednak potrafię. Przypuśćmy, że Scott znudzi się czekaniem i postanowi troszkę pomóc naturalnej sprawiedliwości. Przypuśćmy, że Korneliusz zachoruje, i to tak ciężko, że będzie musiał oddać władzę w obce ręce i ograniczy się do składania podpisów w miejscu, które wskaże Scott. Przypuśćmy, że Scott zawrze tajną umowę z resztą wspólników, którzy mogą jedynie zyskać na osłabieniu władzy Korneliusza, i zmusi go do przekształcenia firmy w spółkę kapitałową. Prezesem zarządu nowej korporacji zostanie oczywiście Scott, a Korneliusz, osłabiony chorobą, dostanie kopa w górę na stanowisko prezesa rady nadzorczej. Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć, gdyby Korneliusz, jak początkowo przypuszczałem, nie był w stanie znieść faktu, że Scott jest synem Steve'a. Hipoteza staje się całkiem realna w momencie, gdy - jak teraz sądzę - obraz Stevena rozmywa się w mrocznej przeszłości, a Korneliusz z przyczyn, których wciąż nie potrafię zrozumieć, wmawia sobie, że Scott nie stanowi dla niego zagrożenia. Rozważam własne opcje. Mogę trzymać język za zębami. Mogę też otworzyć usta i spróbować wyjaśnić Korneliuszowi w drastycznych szczegółach, co będzie, jeżeli Scott zdecyduje się pomóc wyższej sprawiedliwości. Czy Korneliusz mnie w ogóle wysłucha? Raczej nie. Skoro zdołał przekonać samego siebie, że Scott to tylko wesoły dworski pochlebca, a nie sabotażysta przebrany w błazeńską czapkę, wyśmiejemy moje wizje Sądu Ostatecznego. Nie, nie będzie się śmiał: będzie wściekły. Pomyśli: "Biedny zgorzkniały Sebastian, jest zazdrosny o Scotta i próbuje zrobić aferę, wysysając z palca te niedorzeczne, paranoiczne i nie dowiedzione teorie. Sebastian, mój krzyż, mój garb, moje wieczne strapienie. Do diabła z Sebastianem" - powie sobie Korneliusz i jeszcze bardziej zbliży się do Scotta. Muszę zagrać na przeczekanie. Nie mam innego wyjścia, muszę się przyczaić i wyteżyć uszy w nadziei, że gdzieś, kiedyś, jakimś cudem natknę się na potrzebny mi dowód. - O Boże, ależ gorąco! - sapie Scott. - No. - Dobrze chociaż, że wieje od morza. - Mhm. To tylko wymiana słów, nic poza tym. To niedobrze. Muszę pilnować, żeby łączyła nas zawsze czynne, inaczej nabierze podejrzeń. Scott usiłuje podejść Korneliusza. A ja usiłuję podejść Scotta. Upiorne. 11 sierpnia 1958. Vicky rodzi dziecko. Kolejny chłopiec, który w przyszłości może przysporzyć mi kłopotów w banku. Uśmiecham się życzliwie i mówię: "To wspaniale". Vicky zwleka z wyborem imienia i nazywa małego Postumus. Tylko ja wiem dlaczego. Dwa tygodnie wcześniej w Bar Harbor podczas dyskusji o listach Cycerona napomknąłem Vicky, jak rozsądnie podchodzili do kwestii imion Rzymianie. Jeżeli dziecko było chłopcem, miało się do wyboru nie więcej niż tuzin różnych imion, jeśli dziewczynką, automatycznie nadawano jej żeńską formę patronimicum, a chcąc odróżnić ją od sióstr, dorzucano przydomek, na przykład Tertia. Syn, który przyszedł na świat po śmierci swego ojca, otrzymywał jego imię z dodatkiem "Postumus". Współcześni rodzice, całymi dniami bledzący się nad spisami imion, powinni zazdrościć Rzymianom owego całkowitego braku twórczej wyobraźni w przedmiocie, który często staje się przyczyną rodzinnych waśni. - Mały Keller Postumus - mówi Vicky. Oczywiście ma

suche. Nie myśli o Samie, nie myśli o niczym poza tym, że ma nareszcie za sobą ten poród i że oto wyłoniła się z długiego cienia swego małżeństwa. - Biedny mały Postumus. Pięć dni po porodzie dzwoni do mnie do banku. - Sebastianie, czy mógłbyś przyjść dzisiaj w czasie odwiedzin, a jeśli zacznę krzyczeć, wyrzucić wszystkich za drzwi? - Jasne. Do szpitala można wchodzić o każdej porze, Vicky jednak prosiła doktora, żeby w sto- sunku do niej ograniczył godziny odwiedzin. Goście są męczący, szczególnie tacy jak matka i Korneliusz, którzy nadal zachowują się niczym nowożeńcy. Kiedy przychodzę, u Vicky są dwie przyjaciółki z dawnych lat, wycofuję się więc w stronę okna i patrzę jak po East River przesuwają się brudna piana. Po chwili wchodzi Korneliusz i matka, a z nimi cała czwórka dzieci plus główna piastunka. Przyjaciółki taktownie znikają za drzwiami. Eric i Paul jak zwykle próbują się pozabijać i przy tej okazji stracają na ziemię wazę z owocami. - Proszę ich wyprowadzić - mówi zimno matka do niańki. - Vicky, mówiłam im wcześniej, że w szpitalu mają się zachowywać przyzwoicie. - Tak, Alicjo - odpowiada mechanicznie Vicky. Samantha podskakuje i piszczy: - Mamusiu, czy mogę zobaczyć Postumusa? Wszyscy się śmieją, bo mała rzeczywiście ma mnóstwo uroku. - Ależ, córeczko, on wcale się nie nazywa Postumus! - mówi Vicky. Widać, że kocha Samanthę. - No właśnie, jak go nazwiesz, kochanie? - pyta Korneliusz. - Wiesz, pomyślałem sobie, że mój ojciec miał dobre amerykańskie imię, to znaczy, nie mój ojczym Wade Blackett, który mnie wychował, ale mój prawdziwy ojciec, który zmarł, kiedy miałem cztery lata. Mogłabyś dać małemu na imię... - Nie - przerywa mu stanowczo Vicky. - Nie ty będziesz wybierał mu imię. Przez całe lata siedziałam cicho, podczas gdy razem z Samem decydowaliście, jak się będą nazywać moje dzieci, ale dłużej nie będę biernie się temu przyglądać. To moje dziecko i tylko ja mam tu prawo głosu. Postumus będzie miał na imię Benjamin. - Benjamin? - wykrzykują chórem zaskoczeni dziadkowie. Jak się należało spodziewać, matka dodaje: - Przecież to żydowskie imię! - Może sobie nawet być chińskie! - woła Vicky. - Albo i marsjańskie, co z tego? Mnie się podoba. Sebastian to rozumie, prawda, Sebastianie? Ty też nie pozwoliłeś Jake'owi i Amy wybierać imienia dla Alfreda. - Racja - mówię, wkraczając do akcji. - Nazwij Postumusa Beniaminem. Korneliusz i matka patrzą na mnie zdumieni. Widzę, że zaczynają rozumieć, iż w rodzinie zaszła jakaś zmiana. Po raz pierwszy Vicky i ja połączyliśmy szyki przeciw nim. - Cóż, Sebastianie - mówi z irytacją matka - nie rozumiem, co ty masz z tym wspólnego. - Nic, tak samo jak ty i Korneliusz, mamó. Decyzja należy do Vicky i nikt nie ma prawa jej w tym wyřęcać. Oboje mają obrażone miny. Stoję na straży przy łóżku Vicky niczym menhir ze Stonehenge. Vicky naciska dzwonek. - Siostró, czy mogłaby siostra przynieść tu maleństwo? - mówi, podniecona swoim triumfalnym zwycięstwem. To pierwszy samodzielny czyn dorosłej Vicky, wielki krok naprzód, dzięki któremu nareszcie wstąpiła na drogę wiodącą do poznania samej siebie. Pod wpływem impulsu całuję ją w policzek, żeby wiedziała, że jestem z nią. Zaskoczona, podnosi głowę, ale się uśmiecha, a kiedy patrzę na rodziców, widzę, że oczy rozszerzają im się ze zdumienia. Vicky i Sebastian. Sebastian i Vicky. Czy... Czy to możliwe... Nieomal widzę myśli matki, krążące jej po głowie jak stado chartów w pogoni za elektrycznym zającem. Korneliusz skamieniał ze zdziwienia. - Oto Postumus, pani Keller - mówi pielęgniarka, wnosząc do pokoju ciasno owinięty tłumoczek. To zadziwiające, jak chwytny jest ten stary rzymski przydomek. Obawiam się, że w końcu mało kto będzie o nim mówił "Benjamin". 28 sierpnia. Nieoczekiwanie przyjeżdża matka Vicky, która mieszka teraz w Anglii. Chce zobaczyć swojego najmłodszego wnuka. Vicky dzwoni do mnie w ataku histerii; mówi, że nie chce jej widzieć, że Sam zmuszał ją, żeby była dla niej miła, ale już nie może udawać. Na sam widok matki robi jej się słabo, matka jest czarownicą, dziwką i złem wcielonym. - Dobra - mówię lakonicznie, wyobrażając sobie dwudziestowieczną wersję matki Grendela z "Beowulfa". - Zajmę się nią. Matka Vicky nazywa się Vivienne Diaconi. Hotel, w którym się zatrzymała, z daleka trąci Bowery. Jest szósta. Umówiłem się z nią w holu. Rozglądam się za matką Grendela, lecz widzę tylko apetyczną, drobniutką staruszkę odpicowaną na błysk -

farbowane włosy, rzęsy, malowane paznokcie, niski gardłowy głos i zmyślowe ruchy, na widok których nawet Beowulfowi zrobiłoby się gorąco. - Dzień dobry - mówię. - Jestem Sebastian Foxworth. - Witaj! - pani Diaconi mierzy mnie spojrzeniem z góry na dół, jak gdybym był najseksowniejszym mężczyzną, jakiego widziała od roku. Łapię się na myśli, kto tu właściwie zważywał: ja, Vicky, Vivienne czy może Korneliusz. Jedynym przestępstwem, do którego byłaby zdolna starsza dama, jest co najwyżej porwanie dziecka z kolebki. - Czy nie miałaby pani ochoty czegoś się napić? - proponuję uprzejmie. - Kochanie, jak to miło, że o tym pomyślałaś! Mam wielką ochotę na kieliszek szampana w hotelu Plaza! No i w porządku. Lubię starszki, które wiedzą, czego chcą. Jedziemy taksówką do Plaza i siadamy w Sali Palmowej. Zamawiam butelkę szampana. Vivienne nie przestaje opowiadać, jakim to potworem jest Korneliusz, który urobił córkę do tego stopnia, że dziewczyna dostaje drgawek na widok własnej matki. - Tak - wtrącam, kiedy przerywa, żeby się napić szampana. - Zgoda. Tyle, co do przeszłości. Pytanie, co teraz? Nie przyjechała pani do Nowego Jorku tylko po to, żeby mi się wywalić na Korneliusza. Mogę kazać niance, żeby przywiozła pani wszystkie dzieci, nie wyłączając Beniamina, choć myślę, że byłoby z pewnością, gdyby zmieniła pani hotel. Odpowiada, że nie widzi problemu. Plaza będzie w sam raz, dziękuję bardzo, a najlepiej, gdyby okna apartamentu wychodziły na park. - W porządku - mówię. - Załatwię to, zanim wyjdę. Mówi, że jestem słodki. Mierzę ją groźnym wzrokiem, lecz to na nic, nie potrafię zachować powagi, a kiedy wybucham śmiechem, ona również się śmieje. Tak oto zaprzyjaźniam się z matką Grendela. - Zakładam, że wróciła pani do Nowego Jorku na stałe, żeby znowu być bliżej wnuków - mówię gdzieś w połowie butelki. Mała twarz tężeje pod warstwą makijażu. - Nie chcę jej denerwować - odpowiada. - Przeprowadziłam się z Florydy do Nowego Jorku, a potem do Anglii, żeby być blisko Vicky, ale to nie zdało egzaminu. Nie mogę tak naśmiało deptać jej po piętach. Jedyne, co mi pozostało, to czekać w nadziei, że któregoś dnia zmieni zdanie. Mam mocne przeczucie, że gdyby tylko wyzwoliła się spod wpływu Korneliusza... - Czy jest pani w stanie określić problem Vicky, nie wypowiadając słowa "Korneliusz"? - przerywam. Nie potrafi. Korneliusz stał się częścią ukutej przez nią legendy. Musi przypisać komuś winę za to, że po wielu szampańskich latach czeka ją samotna starość, a łatwiej jest winić jego niż siebie. Mówi, że Korneliusz z pełną premedytacją nastawił Vicky przeciwko niej. Mówi, że kiedyś było im razem tak dobrze. To prawda, że romans z Dannym Diaconim wyszedł trochę niezręcznie, ale załagodziła wszystko, wychodząc za niego za męża. Poza tym Danny był cudowny, taki rodzinny. Byli bardzo szczęśliwi we trójkę, dopóki Korneliusz się nie wtrącił i nie zniszczył ich domowej sielanki. Zastanawiam się, jak mam sprawić, żeby wreszcie zeszła z tematu Korneliusza arcyłotra, ale Vivienne nie jest głupia: widzi, że nuży mnie wysłuchiwanie jej subiektywnych wspomnień, i mówi: - Wracając do teraźniejszości... - O, właśnie. - Odniosłam wrażenie, że mówisz o Vicky w taki szczególny sposób. Czy to możliwe, żeby... - Tak, jestem w niej zakochany. Oczywiście, że tak. - Kochanie, jak to cudownie! Częstuje ją papierosem. Pochyla się z wdziękiem, kiedy podaje jej ogień. Trzydzieści lat temu musiała być nie lada sensacją. Nic dziwnego, że Korneliusz do tego stopnia stracił głowę, że z faktu, iż najbardziej pociągały ją w nim jego pieniądze, zdał sobie sprawę dopiero wówczas, kiedy już było za późno. - A czy Vicky cię kocha? - pyta z podnieceniem. Na samą myśl o romansie jej głos nabiera bardziej zmyślowych tonów. - Cały czas nad tym pracuję. Vivienne trzepocze rzęsami i mówi, że byłaby uszczęśliwiona, gdybym pewnego dnia został jej zięciem. Nie informuję jej, że Vicky i ja nigdy się nie pobierzemy, i nie próbuję jej wyjaśnić mojej koncepcji "liaison". Zamiast tego wynajmuję dla niej najdroższy dostępny apartament, zamawiam do niego sześć butelek szampana, żeby nie musiała się martwić, i oświadczam, że cieszę się, iż wreszcie znalazła właściwe tło, bo taka kobieta jak ona nabiera pełnego blasku dopiero w zbytkownym apartamencie, otoczona kwiatami i szampanem. Oczywiście Vivienne zasnuwają się mgłą. Szepcze, że zawsze uwielbiała silnych małomównych

mężczyzn o złotych sercach. Zjeżdżam windą do recepcji i mówię kasjerowi, żeby należnością za hotel obciążył konto Korneliusza. Vivienne spędza w Nowym Jorku dwa tygodnie i codziennie widuje się z wnukami. Pyta, czy nie mógłbym jej pożyczyć stu dolarów na hotelowe napiwki. Daję jej dwieście i mówię, żeby nie zwracała sobie głowy oddawaniem. Potem wykupuję jej kabinę pierwszej klasy na "Queen Mary" i zamawiam szampana, który ma na nią czekać, gdy tylko pojawi się na pokładzie. Vicky, która w ciągu tych dwóch tygodni zmusiła się do dwukrotnych odwiedzin u matki, teraz zdobywa się na najwyższy wysiłek i wraz z dziećmi odprowadza ją na nabrzeże. W drodze powrotnej rozmawiamy o Vivienne. Nie naciskam, Vicky bowiem nie jest w stanie racjonalnie podejść do tematu, mimo to jednak uważam, że powinna z kimś o tym pomówić. Kiedy stosunki między rodzicem a dzieckiem przybierają zły obrót, problem należy od czasu do czasu przewietrzyć, a nie spychać go za zasłonę podświadomości, by tam powoli nabrzmiewał. Przypomina mi się nasza nieszczęsna scena z "Romea i Julii" w Bar Harbor. Najgorsze, co mogliśmy zrobić, to przysiąc Korneliuszowi, że nigdy nie będziemy do tego wracać. To, że Vicky nie czuje żadnych więzów z matką, jest dla mnie nie do pojęcia. Vivienne natomiast w sposób widoczny zależy na córce. Równie wyraźnie widać i to, że była kiedyś "femme fatale", co oczywiście wcale nie oznacza, że nie mogła być dobrą matką. Zadawanie się z rodziną Diaconich - największym producentem gangsterów na całym Zachodzie - było prawdopodobnie aktem szczytowej głupoty, lecz przecież nie prowadziła wraz z nimi działalności przestępczej; poznała Danny'ego przez swego kuzyna Grega Da Costę który zarządzał dla ojca Danny'ego najzupełniej legalną siecią kalifornijskich hoteli. A więc dlaczego Vicky ma zawsze taką minę, jakby jej matka była królową zbrodni, złą wiedźmą, od której należy się trzymać jak najdalej? Nie ma w tym za grosz sensu. - Twoja matka ma dobre intencje - mówię niezobowiązująco, posługując się tym wyświechtanym frazesem, żeby zmniejszyć napięcie, jakie zawsze towarzyszy rozmowom na ten temat. - Możliwe. Co nie zmienia faktu, że mnie od niej odrzuca. - Dlaczego? To przecież tylko mała staruszka, pełna "ochów" i "achów". Moim zdaniem jest przesympatyczna! Vicky otrząsa się, nic jednak nie mówi. - Co się właściwie stało, kiedy twój ojciec przejął nad tobą opiekę? Czy Danny próbował się do ciebie dobierać, a matka tak się wściekła, że pozbyła się ciebie z domu? - Sebastianie! - Vicky była zdumiona moją bujną wyobraźnią. Zdaje się, że trafiłem kulą w płot. - Naturalnie, że nie! Co ty wygadujesz? Przecież miałam zaledwie dziesięć lat! - Niektórzy mężczyźni lubią małe dziewczynki. Poczytaj sobie Nabokova. - Nie, Danny nie był Humbertem. A przede wszystkim ja nie byłam Lolitą. - Wobec tego nic nie rozumiem - mówię szczerze. - Czegoś mi brakuje w tej łamigłówce. Lubiałś Danny'ego? - Z początku tak, ale później przestałam, kiedy zaczął się kłócić z tatusiem. Był dużo młodszy od matki i całkiem sympatyczny. Wyglądał trochę jak Elvis Presley... Właściwie Elvis mi się nawet podoba - dodaje Vicky po namyśle - choć nie mam pojęcia dlaczego. Ja mam. Elvis jest nieszkodliwy. Więzi go ekran kinowy i dlatego Vicky może napawać się jego zmysłowością, nie czując się zagrożona. Jestem teraz na sto procent pewny, że jej małżeństwo z Samem zakończyło się seksualną katastrofą. Bardzo żałuję, że nie mogę otworzyć drzwi jej psychiki i wypuścić na światło dzienne tych wszystkich splątanych odczuć. Co on takiego zrobił, że Vicky boi się seksu? Nie, chwileczkę. Chyba wyciągam pochopne wnioski. Wiem już, że sama myśl o seksie budzi w niej odrazę, jednakże odrazę i strach to niekoniecznie to samo. A najśmieszniejsze jest to, że chociaż seks napawa ją obrzydzeniem, nadal interesuje ją na tyle, że odzywają się potajemne ciągotki do Elvisa. Przypadek Vicky nie jest więc chyba całkiem beznadziejny. Gdyby rzeczywiście uważała seks za hobby szatana, głosiłaby wszem wobec, iż Elvisa należy ukrzyżować na wzgórzu przed Kapitołem za jego sex-appeal. Jeśli mam zamiar kiedykolwiek dojść z nią do ładu, muszę najpierw rozplątać ten gordyjski węzeł i trochę go uporządkować. Myśleć, myśleć, myśleć! Najwyraźniej z początku seks ją śmiertelnie przerażał. Incydent w Bar Harbor jest tego najlepszym dowodem, a w świetle nowej wiedzy

dochodzę do przekonania, że przez cały okres dojrzewania umierała ze strachu, że kiedy dorośnie, stanie się podobna do matki. To by tłumaczyło, dlaczego tak wcześnie wyszła za mąż, dlaczego aż do ślubu pozostała dziewicą i dlaczego nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek była Samowi niewierna. Dziewczeta tak ładne jak Vicky miewają mnóstwo okazji, ale Vicky za bardzo się bała, by z którejkolwiek skorzystać. Być może kiedy w Bar Harbor przyłapała mnie, mówiąc obrazowo, bez majtek, dostała ataku hysterii nie dlatego, że przeraził ją widok ciała niezbyt atrakcyjnego wyrostka, lecz przeciwnie - widok ten ją poruszył i w rezultacie dostała spazmów na myśl, że oto prze- kształca się w młodsze wydanie matki, tej wyuzdanej bachantki. Tak, to całkiem niezła teoria, która mogłaby wyjaśnić zachowanie podlotka, trudno wszakże zastosować ją do dzisiejszej Vicky, którą tak wiele dzieli od Bar Harbor, dziewictwa i szczenięcych seksualnych lęków. Myślę, że przezwyciężyła strach przed swoją zmysłowością, kierując cały popęd płciowy w stronę małżeństwa. Na tym etapie małżeństwo było dla niej jedynym rozwiązaniem. Mając w pamięci matkę, musiała sobie pomyśleć: seks pozamałżeński jest be i grozi mi wiecznym potępieniem, ale współżycie małżeńskie jest cacy, jest dopuszczalne, oznacza, że mogę się wreszcie odprężyć i czerpać z niego przyjemność. Założę się, że Korneliusz nie raz dawał jej to do zrozumienia. Jak go znam, prawdopodobnie wyraził się nawet całkiem jasno. Jestem pewien, że w domu przy Piątej Alei nie tylko Vicky umierała ze strachu, że okaże się taka jak matka. Nadal nie wiem, dlaczego postanowiła traktować rodzoną matkę jak monstrum w ludzkiej skórze, na razie jednak to pomińmy, dajmy spokój Vivienne i zastanówmy się nad Korneliuszem. Nie ulega kwestii, że Vicky ma bzika na punkcie ojca, lecz w takiej czy innej formie dotyka to większość dziewcząt i samo w sobie nie oznacza jeszcze nieszczęścia. Tak czy owak, ślub ze starszym panem pomógł jej opanować szkodliwe efekty tej konkretnej sytuacji, ponieważ stworzył jej szansę odreagowania, a przez to zneutralizowania hipotetycznego kompleksu Edypa. Mój Boże, biedny Edyp. Freudowi udało się zepsuć mu opinię raz na zawsze. Skąd, u licha, facet miał wiedzieć, że Jokasta jest jego matką, skoro nie widział jej od niemowlęctwa? Niektórzy naprawdę mają pecha... - Sebastianie - odzywa się Vicky - twoje napady milczenia mogą naprawdę wyprowadzić człowieka z równowagi. O czym tak dumasz? Nie, nie mów mi, sama zgadnę. Myślisz, że jestem nienormalna? - Zgadza się. Zresztą bardzo się cieszę, że jesteś nienormalna. Nie lubię normalnych ludzi. Zwykle są nudni i głupi. Gdyby na świecie było więcej takich wariatów jak my, wszystkim żyłoby się o wiele lepiej. Vicky się śmieje. - Ale ja nie jestem wariatką, Sebastianie! O tak, jesteś, tylko boisz się do tego przyznać. Jesteś nienormalna w najlepszym tego słowa znaczeniu: oryginalna i odmienna, nie tępa, nudna i tuzinkowa. Dlatego tak bardzo cię lubię. Dlatego cię kocham. I dlatego zrobię, co w mojej mocy, żeby cię wydobyć z tego więzienia normalności, w którym tkwiłaś tak długo i tak niesprawiedliwie. Do czego doszedłem, zanim zacząłem się roztkliwiać nad Edypem? Chyba do koszmarnej konkluzji, że dla Vicky małżeństwo z Samem Kellerem było prawdopodobnie najrozsądniejszym wyjściem. Pozwoliło jej oswoić się z wrodzoną zmysłowością i uwolnić od kompleksu ojca. A zatem wszystko powinno być cacy. Tyle tylko że wcale nie było. Zdaje się, że pierwszy rok przeszedł gładko; wszyscy mogli się na własne oczy przekonać, że Vicky jest w siódmym niebie, w łóżku więc też musiało im być dobrze. Co w takim razie zaszło? Dlaczego potem wszystko się popsuło? - W ogóle mnie nie słuchasz, Sebastianie! - mówi Vicky ze złością. - Powiedziałam, że nie jestem nienormalna! - W porządku. Może "nienormalna" to złe określenie. Co powiesz na "niekonwencjonalna"? - Trudno sobie wyobrazić coś bardziej konwencjonalnego niż rola żony i matki! Poza tym wcale nie chcę być niekonwencjonalna. Wszyscy musimy się dostosować, jeśli chcemy żyć w społeczeństwie i jakoś sobie radzić, nieprawdaż? A ja chcę sobie dobrze radzić. Chcę osiągnąć sukces, nie żenującą porażkę. - Największy sukces, jaki można w życiu osiągnąć - mówię - to uświadomić sobie, kim się jest, i być sobą. To straszny błąd, kiedy ktoś usiłuje być kimś innym niż w rzeczywistości. To jest

równoznaczne z morderstwem, bo zabija się swoją tożsamość. W ten sposób nie osiągnie się szczęścia, co najwyżej frustrację i rozpacz. Vicky otwiera szeroko oczy. Dotarło do niej to, o czym mówię. Po chwili wybucha. - A jeśli ktoś nie lubi swojego prawdziwego "ja"? Jeżeli z punktu widzenia społeczeństwa jest ono nie do przyjęcia? - No cóż, jeżeli notorycznie łamiesz prawo, zgadzam się, że masz problem, ale zakładając, że jesteś uczciwym obywatelem na pewnym poziomie inteligencji, a twoja powierzchowność nie przyprawia ludzi o wstrząs, dlaczego u licha, miałabyś siebie nie lubić? Jeżeli ktoś cię krytykuje i twierdzi, że jesteś do niczego, dlaczego automatycznie zakładasz, że ma rację? A zresztą kto powiedział, że to on ma ustalać reguły? Kto mu dał prawo cię osądzać? I za co, do cholery, on się uważa? Vicky myśli. Milczymy oboje. W końcu mówi: - Nie jestem nawet pewna, czy znam swoje prawdziwe "ja". Czasami zdaje mi się, że w ogóle nie wiem, kim jestem. Ale wiem, kim powinnam być, i wierz mi Sebastianie, tak jest łatwiej. To bezpieczna, jasno wyznaczona droga i wiem, że ludzie, których kocham, będą ze mnie zadowoleni, jeśli postaram się sprostać ich oczekiwaniom. - Nie, Vicky - mówię łagodnie. - Tak wcale nie jest łatwiej. Ta droga już raz doprowadziła cię na sam skraj przepaści. A zresztą, trawestując jedną z najbardziej wyświechtanych maksym twojego ojca, nie interesuje mnie to, jaka powinnaś być. Interesuje mnie, jaka naprawdę jesteś. 7 września 1958. Alfred ma roczek. Błyskawicznie przenosi się z miejsca na miejsce, pełzając na czworakach z pochyloną głową jak miniaturowy byczek, chociaż nie umie jeszcze chodzić. Wie, kim jestem. Na mój widok zawsze się uśmiecha, a ponieważ nie jestem wylewny, wszyscy zachodzą w głowę, z czego ten malec tak się cieszy. Jednakże Alfred zdaje sobie sprawę, że ja zawsze wiem, czego on chce. Potrafimy się porozumieć. Ma ciemne włoski i jest mocno zbudowany, jak ja. Siedzi rozpromieniony przy torcie z jedną świeczką, a jego bladobłękitne oczy zasnuwa mgielka marzeń o przyszłych triumfach. Elsa tuli go do siebie, wszyscy Reischmanowie gruchają, aż człowiekowi robi się niedobrze, a matka ma taką minę, jakby lada moment miała pęknąć z dumy. Zostawcie go, głupcy. Czy nie widzicie, że chce sobie trochę pomarzyć? Vicky też przyszła na przyjęcie z całą piątką dzieci. Eric i Paul usiłują się nawzajem pozabijać, jak zwykle. Szkoda, że dotąd im się to nie udało. Mały Postumus śpi. Noworodki są jednak najrozsądniejsze. - Sebastianie... Na twarzy Vicky maluje się rozpacz. Kristin wymiotuje na dywan, Samantha tupie nogami ze złości, a chłopcy okładają się pięściami w najbliższej toalecie. Ani śladu niańki. Wyzionęła ducha albo po prostu wyszła, i któż mógłby ją za to winić? - Sebastianie, ja już tego dłużej nie zniosę. Oczy jej błyszczą, lecz to nie łzy, tylko krucha, pełna napięcia wesołość. Cisza przed burzą. - Idź do łazienki za naszą sypialnią i zamknij się od wewnątrz - mówię. Wyławiam matkę z tłumu wielbicieli Alfreda. - Mamo, czy nadal kochasz dzieci? - Ależ, synku, co za pytanie! Oczywiście, że tak! - Wobec tego zajmij się wnuczkami swego męża. To załatwia sprawę Kristin i Samantha. Biorę głęboki oddech, lokalizuję chłopców, łapię obu za karki i oznajmiam, że spiorę ich na kwaśne jabłko, jeżeli natychmiast się nie uspokoją. Dzieci lubią, kiedy na nie od czasu do czasu pokrzyżeć, to im dobrze robi. Malcy patrzą na mnie z otwartymi ustami i nagle uświadamiam sobie, że nikt jeszcze nigdy w ten sposób do nich nie mówił. Vicky będzie miała z nimi kłopoty. Kiedy zaczną dorastać, Korneliusz prawdopodobnie przyjmie na siebie rolę zastępczego ojca, aczkolwiek na razie jest zanadto pobłażliwym dziadkiem, by był z niego jakikolwiek pożytek. Bębnię do drzwi łazienki. - Vicky! Droga wolna! - O mój Boże! - Vicky się zatacza, ale to nie histeria, tylko serdeczny śmiech. Ujmuję ją lekko za ramię i wciągam głębiej do sypialni. - Usiądź i odpocznij przez chwilę. - I pomyśleć, że to dopiero pierwsze urodziny Alfreda! - Vicky przysiadła na brzegu łóżka. - Jak my przetrwamy następne? Czy Elsa jeszcze zipie w tym kataklizmie? - A co mnie obchodzi Elsa! - siadam obok niej. Natychmiast się odsuwa. - W porządku - mówię bez zastanowienia. - Zaczekam. - Sebastianie, nie mam ochoty na te rzeczy... - Dobrze. - ...po prostu wątpię, czy zdołam się przełamać na tyle, żeby pójść jeszcze z kimkolwiek do łóżka. - Nie ma sprawy. Siedzi obok mnie w liliowej sukience,

która nadaje jej pełnym piersiom piękny zmysłowy kształt. Zastanawiam się, czy karmi nimi Postumusa. - Z Samem było aż tak źle? Wiem, że nie powinienem o to pytać, lecz nie mogę się powstrzymać. Chciałbym mieć świętą cierpliwość, jestem jednak tylko człowiekiem, któremu daleko do kanonizacji. - Na końcu było strasznie - odpowiada, powstrzymując łzy. - Ale z początku dobrze? - jak zwykle nie zwracam uwagi na jej łzy. Vicky ma już dość rozczulania się nad nią, kiedy płacze. - Tak, z początku było przyjemnie. Kochałam Sama. Był taki dobry, miły i wyrozumiały... Zaciskam zęby, starając się nimi nie zgrzytać. Tymczasem Vicky nieco się uspokaja, ale i tak podaje jej swoją chusteczkę. - I dlatego to jest takie potworne - mówi, wbijając wzrok w chustkę. - Kochałam go, ale potem już nie mogłam znieść jego bliskości... Boże, na samą myśl o tym czuję się taka winna! Dlaczego nie mogłam go kochać tak, jak na to zasługiwał? Co się między nami stało?... Doznaję objawienia, lecz nie jest to mistyczny promień intuicyjnej mądrości. To wynik logicznego myślenia. Próbuję pogodzić jej obraz dobrego, miłego, wyrozumiałego Sama z bezwzględnym egocentrycznym robotem, jakiego pamiętam, ale mam z tym kłopoty. Istoty ludzkie przeważnie są dość skomplikowane, jednakże osobniki typu Jekylla i Hyde'a, ukrywające dwie całkowicie różne osobowości w wodoszczelnych przegrodach, na całe szczęście zdarzają się rzadko. Możliwe, że wkraczając do budynku na rogu Willow Street Sam chował pod kluczem dobrą, miłą i wyrozumiałą stronę swego charakteru, czy jednak jest możliwe, by przestawał być bezwzględny egocentryczny robotem w chwili, gdy przekraczał próg swego domu? Nie wierzę. - Jakim cudem udawało ci się kochać kogoś, kto traktował cię tak samolubnie? - pytam. Moje objawienie rozszerza się. Widzę teraz cały panoramiczny obraz jej małżeństwa. Robi mi się słabo: z przerażenia, ulgi albo wysiłku umysłowego, sam nie wiem. - Zastanów się, Vicky - mówię. - Pomyśl o tych latach wygnania, na które cię skazał, próbując urzeczywistnić własne ambicje, o studiach filozoficznych, z których zrezygnowałaś, żeby się o niego troszczyć, o tych wszystkich ciężarach, które musiałaś znosić po to, żeby on mógł czuć się mężczyzną... Źle. Posuwam się za szybko i za daleko. Vicky nie potrafi objąć tej panoramy, jeszcze na to za wcześnie. Potrzebna jest jej wiara w mityczną postać świętego Sama, bo czuje się winna porażki w roli idealnej żony i chce sama siebie ukarać. Gdy tylko z moich ust pada słowo "ciężko, wtrąca: - Kocham dzieci, Sebastianie. Przynajmniej może się jeszcze pocieszać, udając, że jest idealną matką. - Wiem, że je kochasz, Vicky - odpowiadam i myślę: "To takie samo uczucie jak moja miłość do matki: szczerze oddanie wymieszane z nieustanną dokuczliwą irytacją podobną do bólu zębów". Mam ochotę zapytać, ile dzieci naprawdę chciała mieć i na ile są one jej szczęściem i spełnieniem, lecz nie mogę tego zrobić. Już i tak zanadto się zapędziłem, a burzenie wszystkich iluzji od razu mogłoby się okazać groźne w skutkach. Te złudzenia są jej w tej chwili niezbędne; pełnią rolę kul, na których się opiera, kuśtykając do pełnego wyzdrowienia. Nie odbiera się kul rannemu. Pomaga mu się iść do chwili, gdy sam będzie je gotów odrzucić. Nie mam złudzeń co do macierzyństwa. Może dlatego, że jestem mężczyzną i potrafię rozpatrywać ten temat bez emocji, choć nie, mężczyźni często podchodzą do tego jeszcze bardziej emocjonalnie niż kobiety (by wspomnieć biednego Edypa). Może zawdzięczam to temu, że kiedy byłem mały, rzadko widywałem się z matką. Jej obecność nie była czymś dającym raz na zawsze i dlatego nie zżyłem się z nią na tyle, by wejść jej na głowę, wręcz przeciwnie, postrzegałem ją dość obiektywnie, aby sobie uświadomić, jakie mam cholerne szczęście, iż jestem synem kobiety, która naprawdę chciała zostać matką. Istnieje całkiem sporo takich kobiet i każda z nich powinna mieć tyle dzieci, ile tylko zechce. Nigdy natomiast nie należy zachęcać do macierzyństwa traktowanego jako sztuka dla sztuki. Nie trzeba pracować w opiece społecznej i na własne oczy oglądać tłumów pozbawionych opieki dzieciaków, żeby się przekonać, że pewna grupa kobiet w ogóle nie powinna rodzić, a nie mówię tu tylko o pozbawionych grosza sadystycznych pijaczkach z samego dołu drabiny społecznej. W okresie dojrzewania aż nazbyt wyraźnie dostrzegłem, że niektóre z bogatych przyjaciółek mojej matki traktują

dzieci jak coś, czym się można pochwalić zamiast nowego futra z norek, a potem odesłać do dzieciennego pokoju jak do szatni. Wtedy w pełni mogłem docenić moją matkę. Nie byłem głupi i wiedziałem, że mam sporo szczęścia. Było mi bardzo przykro, kiedy matka próbowała wyjaśnić Andy'emu i mnie, dlaczego odeszła z Korneliuszem. Bardzo się denerwowała, a przecież to było zupełnie niepotrzebne. Przelotne oczarowanie nie sprawiło bynajmniej, że przestała nas kochać. Zresztą wszyscy wie- dzieli, że zawsze kochała dzieci. To było oczywiste. Biedna mama. Powinienem jej kiedyś po- wiedzieć, jak wielkie znaczenie ma dla mnie to, że zawsze była taką czułą, troskliwą matką, choć pewnie nigdy tego nie zrobię, bo po pierwsze, mama się rozplacze, a tego chyba nie zniosę, po drugie, w moich ustach zabrzmiałoby to odrażająco niezręcznie, a co za tym idzie, po- zostanie mi po tym tylko niesmak. Jak strasznie trudne jest współzycie matki i syna!... Choć właściwie każdy układ typu dziecko-rodzic najeżony jest trudnościami i dlatego nikt, nikt nie powinien się decydować na dziecko, jeżeli nie wie dokładnie, w co się pakuje, i nie może ucz- ciwie stwierdzić, że jest w stanie przyjąć na siebie taką odpowiedzialność. - Nie wiem, co bym zrobiła bez dzieci - mówi Vicky, opierając się mocno na swoich psychologicznych protezach, lecz już w następnej chwili zaskakuje mnie nieśmiałą próbą utrzymania się w pionie o własnych siłach: - ...ale najgorsze jest to, że tak samo nie wiem, co mam zrobić z nimi. Po prostu nie mam pojęcia, jak sobie sama poradzę... i dlatego wciąż od- kładam na później wszystkie ważniejsze decyzje dotyczące przyszłości. - Bardzo rozsądnie. Potrzeba ci mnóstwo czasu. - Trochę na pewno. Czuję, że do tego wszystkiego nie dorastam. Tatusz bez przerwy mnie pociesza: "Nie przejmuj się, kochanie, przynajmniej nie musisz się martwić o pieniądze!", ale to wcale sprawy nie ułatwia. To ją tylko zmienia. - Pieniądze rozwiązują wiele problemów, ale też stwarzają wiele nowych. - Właśnie. Oczywiście wiem, że mam niesamowite szczęście, nie musząc się martwić o pieniądze. Mam szczęście, że stać mnie na pomoc do dzieci. Ale im więcej ludzi zatrudniam, tym bardziej skomplikowane staje się moje życie, a poza tym... o Boże, wstyd się do tego przyznać, bo to brzmi, jakbym była zupełnie bezwolna... ale tak się składa, że nie umiem pro- wadzić domu. Widzisz, wszystko zawsze załatwiał Sam. Miał sekretarza i asystentów i zawsze na miejscu był ktoś, kto płacił rachunki, zatrudniał i zwalniał personel, podejmował ważne de- cyzje. Tatusz mówi, że też mogę mieć sekretariat, i to tak liczny, jak tylko mi się zamarzy, ale on nie rozumie istoty rzeczy. Nie cierpię, kiedy ci wszyscy ludzie kłębiami się przed nosem, traktując mnie jak bezwolną idiotkę. Dostaję szału, kiedy nie mogę nawet kichnąć tak, żeby nikt nie widział... - To piekło, a nie życie. Często się zastanawiałem, jakim cudem Ludwikowi XIV udało się wytrzymać w Wersalu. - Chciałabym uprościć sobie życie, a nie komplikować je jeszcze bardziej, ale jak mogę cokolwiek uprościć z piątką dzieci? Na początku myślałam, że najłatwiej będzie zamieszkać z tatusiem, bo to uwalniałoby mnie od potwornej konieczności prowadzenia odrębnego gos- podarstwa, ale w tej chwili wcale nie jestem taka pewna, czy postąpiłam właściwie. Po prostu nie mogę już wytrzymać na Piątej Alei. Nie chodzi o twoją matkę. Nasze stosunki ułożyły się ostatnio zaskakująco dobrze. Myślę, że problem dotyczy tatusia, choć nie potrafię tego zdefi- niować. Dostaję przy nim klaustrofobii, zupełnie jak gdybym miała na sobie kaftan bezpieczeń- stwa. Rozumiesz, co mam na myśli? - Chryste, Vicky, przez pół życia czułem to samo! Posłuchaj... pozwól, że coś ci dora- dzę. Przez jakiś czas zostań jeszcze na Piątej Alei. Nie możesz brać na barki zbyt dużo na raz, bo się załamiesz. Ale nie spędzaj tam całego czasu. Wynajmij sobie małe mieszkanie, może w pobliżu Sutton Place, skąd miałabyś widok na rzekę. Potrzebne ci miejsce, w którym mog- łybyś być sobą, nie tylko wdową po Samie, matką dzieciom albo córką Korneliusza. Miejsce, w którym mogłabyś myśleć. Myślenie jest bardzo ważne. Każdy obdarzony rozumem człowiek musi być od czasu do czasu sam, żeby mógł się w spokoju zastanowić. A kiedy już poczujesz się silniejsza, wtedy będziesz mogła się porwać na to tytaniczne zadanie, jakim będzie stwo- rzenie niezależnego domu dla ciebie i twoich dzieci. - Jak ty przejrzycie rozumujesz, Sebastianie! Co za wspaniały pomysł! Ale na razie nie będę o

tym mówić tatusiowi. To by go uraziło. Chciałby, żebym została u niego do czasu, gdy powtórnie wyjdę za mąż. Chwilami myślę, że straszy mnie sekretarkami i całym tym personelem wyłącznie po to, żeby obrzydzić mi samodzielne życie. - Vicky, koniecznie, i to koniecznie musisz mieć własne mieszkanie, gdzie mogłabyś prowadzić jakieś własne życie. Jeśli chcesz, znajdę ci lokum. Potem, jak już podpiszę umowę najmu, pomożesz mi wybrać meble. Oczy Vicky rozjaśniają się. - Bardzo chętnie! - mówi tęsknym głosem. - Chciałam umeblować nasz dom w Londy- nie, ale Sam powiedział, że musimy wynająć najlepszego dekoratora wnętrz, żeby mieć pew- ność, że wszystko będzie urządzone jak należy... - jej głos zamiera. Potem nagle dodaje: - Pod koniec byłam w Europie bardzo nieszczęśliwa. Miałaś rację, kiedy określiłeś to jako wygnanie. Z początku była to dla mnie atrakcja, ale przerażała mnie myśl o wyjeździe do Niemiec. Nie mam zdolności językowych... Bałam się, że zawiodę Sama... rozczaruję go... - Czy Sam nigdy cię nie zapytał, czy nie chcesz wrócić do domu? Kiedy powtarzałaś po- słuszenie: "Sam, chcę tego, czego ty chcesz!" czy nigdy nie usiadł z tobą i nie zapytał: "Ale czego ty chcesz? I gdzie chciałabyś mieszkać?" - Tak - odpowiada. - Na samym końcu. Po urodzeniu Kristin przedawkowałam tabletki nasenne. Nie chciałam się zabić. Chciałam tylko... czy ja wiem? Jakoś do niego dotrzeć... ale to było obrzydliwe z mojej strony. Biedny Sam, omal nie postradał zmysłów. Czułam się win- na i było mi tak bardzo wstyd... Ja też czuję wyrzuty sumienia i wstyd - wstyd mi za tego samolubnego skurczybyka Sa- ma Kellera, który omal nie doprowadził żony do samobójstwa i obarczył ją poczuciem winy, które prawie zgmiotło ją na miazgę. - Do diabła z nim! - mruczę, bardzo nierozsądnie. Jeśli ktoś chce napytać sobie biedy, wystarczy, że zacznie krytykować swojego rywala w obecności kobiety, która czuje się mo- ralnie zobowiązana go bronić. - Ale on mnie kochał - wtrąca z przekonaniem Vicky. - Naprawdę bardzo mnie kochał i był taki dobry, taki miły, taki... Znów muszę zacisnąć zęby. Bóg jeden wie, jak udaje mi się opanować, lecz opanowuję się. - Tak... No cóż... to już minęło, prawda, Vicky? Już po wszystkim i teraz czeka cię całe długie nowe życie... - Mieszkanie jest wspaniałe! - wykrzykuje Vicky. - I jak to cudownie, że mam teraz miejsce, gdzie nikt nie będzie mi zaglądał przez ramię! Patrz, jaka bombowa kuchenka! Sebas- tianie, będę się musiała nauczyć gotować! Czy przyjdiesz do mnie na pierwszy proszony obiad? - Co mi podasz? Jajko na twardo? Szukanie mieszkania zajęło trochę czasu, bo zależało mi na tym, żeby było porządne. Znajduje się na północ od Sutton Place i zarówno okna salonu, jak i jedynej sypialni wychodzą na rzekę. Budynek jest powojenny, dobrze utrzymany, bez skazy. Otwieram wszystkie szafy, ale nie znajduję ani śladu karaluchów. Instalacje są nowe, podłogi pokryte parkietem, ogrze- wanie działa. Jest też klimatyzacja. - Sebastianie, aż się boję pomyśleć, co by było, gdyby tatuś dowiedział się o tym miejscu! Kiedy już przebolełby urazę, sprowadziłby mi dekoratorów wnętrz i zaczął dawać obrazy ze swojej kolekcji, a wtedy chyba bym oszalała. Jestem tak podniecona na myśl, że urządzimy je sami! Kiedy się wybierzemy po meble? W przyszły weekend? - Dobrze. Ty je wybierzesz, ja zapłacę, a potem kiedyś zwrócisz mi pieniądze. - Czy to będzie dużo kosztować? - Dużo. Musisz się nauczyć liczyć pieniądze, Vicky. - Chcę się nauczyć, Sebastianie - mówi. - Zawsze chciałam się nauczyć. Vicky to przypadek zatrzymanego rozwoju. Ma już prawie dwadzieścia osiem lat, lecz po dziewięciu latach z Samem, który trzymał ją pod kloszem i izolował od wszystkiego z wy- jątkiem macierzyństwa - jedynej rzeczy pod słońcem, przed którą powinien był ją chronić - często zachowuje się tak, jakby miała najwyżej osiemnaście lat. - Nic się nie martw - uspokajam ją. - Ja cię nauczę. - Och, Sebastianie, co za frajda! Patrz, jaki cudny salon! Teraz to prawdziwy dom, a nie muzeum! I jak to ładnie z twojej strony, że przyniosłeś te wszystkie śliczne książki, żeby pokój wyglądał na zamieszkały! - Ty głuptasie, przyniosłem je do czytania! A propos, wiem, że to twoje mieszkanie, ale czy nie mógłbym wpaść tu czasami poczytać? - Naturalnie! Kiedy tylko zechcesz! Słuchaj, a jak urządzimy sypialnię? - Mam pomysł, zostaw to mnie. To będzie niespodzianka. - Rany, to dopiero będzie podniecające! Nie będę tam zaglądać i cały pokój

będzie jak puszka Pandory! - Zrób coś dla mnie, Vicky. Nie przychodź tu przez trzy dni, a ja w tym czasie rozejrzę się za czymś. Dobrze? - Wszystko mam już przygotowane, ona jednak o tym nie wie. - Dobrze, Sebastianie. Stokrotne dzięki... Elsa idzie na babski comber do jednej ze swych przyjaciółek. Zabieram Vicky na kolację do Colony. Jemy ostrygi á la Rockefeller, homara i zapijamy to wszystko szampanem. - Za twoje nowe mieszkanie! - mówię, unosząc kieliszek. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę sypialnię! Śmiejemy się po przyjacielsku. Na deser zamawiamy mus truskawkowy, czarną kawę i Courvoisiera. - Ojej, Sebastianie, chyba mam już w czubie. Nie jestem przyzwyczajona do takich ilości alkoholu. - To znaczy, że Postumus będzie jutro pijany? - Nie karmię Postumusa piersią. Ojejku, przestań go nazywać Postumusem! Znów się śmiejemy. Zastanawiam się, dlaczego go nie karmi. To w ogóle ciekawe zja- wisko. Zważywszy, jak daleko nasze plastikowe społeczeństwo odeszło od naturalnego po- rządku, dziwne, że w ogóle ostały się jeszcze takie relikty jak karmienie piersią. To rodzi nad- zieję na przyszłość. Może człowiek przeżyje plastikową erę, nie zmieniając się w skomputery- zowanego robota. Wracamy do mieszkania. Salon jest piękny: najlepsze meble z oferty W.J. Sloana, ciem- noniebieskie dywaniki, mnóstwo szkła i akwarela, którą Vicky kupiła za pięć dolarów w Gre- enwich Village wyłącznie z tego powodu, że obrazek się jej spodobał. Przedstawia ośnieżony szczyt odbijający się w wodzie. Krajobraz przypomina Tahoe w Nowadzie, choć na odwrocie malarz napisał: "Wyspa Południowa widziana z wybrzeża koło Wellington". Domyślamy się, że akwarela pochodzi z Nowej Zelandii, pięknego dalekiego kraju, jednego z tych miejsc, któ- re podobnie jak niebo stanowią wymarzony i uparcie odkładany na później cel. W lodówce mam jeszcze jedną butelkę szampana; wpadam do kuchni i szamocę się z korkiem. - Sebastianie, nie! Nie przełknę już ani kropli! - Tylko kieliszczyk! Zabieramy kieliszki do sypialni. - Uwaga... - ogłaszam. - Orkiestra, tusz! Fanfary! Otwieram drzwi sypialni i przekręcam wyłącznik. Czerni i biel tańczą mi przed oczami. Chiaroscuro. Czysty erotyzm. Czuję wewnątrz jakieś dziwne ciepło. Duszką piję szampana. - Mój Boże! - wzdycha zdumiona Vicky. Podchodzi na palcach do wiszącego na ścianie rysunku Picassa. - Sebastianie, czy to oryginał? - Jasne, że nie. Uważam, że to nieprzyzwoite wydawać dziesiątki tysięcy dolarów na przereklamowane oryginały. To pierwszorzędna kopia, która kosztowała mnie dwadzieścia dolarów, co moim zdaniem doskonale oddaje wartość tego rysunku. Jest przyjemny dla oka, prawda? Podoba mi się ta długa linia jej szyi i pleców. - Jest piękna. Cały ten pokój jest cudowny - Vicky miękko opada na łóżko i przez nieu- wagę rozlewa szampana na podłogę. - Och, nie! - woła. - Biały dywan! Prędko, gdzie jest jakaś ścierka? Przynoszę dwie ścierki, po jednej dla każdego z nas, i na czworakach gorączkowo wy- cieramy plamę. - Myślę, że będzie dobrze - mówi w końcu Vicky poważnie. - Ja wiem, że będzie dobrze - odzywam się, patrząc jej prosto w oczy. Słyszy tę szczególną nutę w moim głosie i odsuwa się, opiera plecami o łóżko. Milczymy. Po chwili Vicky bąka: - Ależ byłam głupia! - Nie, Vicky. Nie jesteś aż tak głupia. Przez cały czas tego pragnęłaś, choć sama przed sobą próbowałaś temu zaprzeczyć, bo ta myśl wprawia cię w złość, właśnie w złość, nie w przerażenie, a nie chcesz na mnie się złościć. Zrozum, ja nie mam zamiaru traktować cię tak, jak cię traktowano dotychczas. Kocham cię i szanuję, i dlatego wszystko będzie inaczej. - Nie wiem, o czym mówisz - odpowiada bez wahania. - Nie jestem zła. Nikt jeszcze mnie nie rozgniewał. Nikt nie traktował mnie źle. Wstaję, przynoszę z kuchni butelkę, napełniam nasze kieliszki i wlewam w siebie tyle szampana, ile jestem w stanie bez zaczerpnięcia tchu. Potem mówię obojętnym akademickim tonem godnym profesora, który stara się dotrzeć do inteligentnego, lecz upartego studenta: - Zgoda. Nie jesteś zła. Po prostu seks przestał ci się podobać. I co z tego? Wielu ludzi nie lubi seksu. Całe gałęzie przemysłu poświęcono ludziom, którzy nie lubią seksu. To nie jest karalne. Żyjemy w wielkim, pięknym, wspaniałym kraju i nie mamy obowiązku zachwycać się seksem w taki sam sposób, w jaki musimy kochać inne narodowe świętości. Ale dlaczego upa- trywać w nim zło? Dlaczego biedny stary seks nie miałby otrzymać drugiej szansy? Ostatecz- nie

człowiek otrzymał za darmo to pierwszorzędne wyposażenie, więc czemu nie miałby go od czasu do czasu używać? Czytałaś może sztuki Middletona? Zdaje się, że zbiłem ją z tropu. - Kogo? - Middletona. Był współczesnym Johna Webstera i Cyrila Tourneura. Opisywał właśnie takie układy jak nasz, tyle tylko że zdobił je melodramatyczną ornamentyką, typową dla siedemnastego wieku. Czarny charakter prześladowa dziewczynę. Ta z odrazą odrzuca jego zaloty. Łotrzykowi udaje się jakoś zmusić ją do uległości i nagle niespodzianka! Heroina dochodzi do wniosku, że właściwie to nawet całkiem przyjemne. - Dotykam jej lekko wskazującym palcem. Tym razem się nie cofa. - Nie chcę cię skrzywdzić, Vicky - mówię żarliwie, przysuwając się nieco bliżej. Nadal się nie uchyla. Moja dłoń ślizga się po jej udzie. Czuję się tak, jak gdybym zamiast wnętrzości miał kłębowisko żmij. Najchętniej od razu zrzuciłbym z siebie odzież. - Będzie dobrze - mówię cicho, natarczywie. - Nie jestem taki jak Sam. Każdy mężczyzna jest inny. Każdy uprawia miłość inaczej. To tak jak charakter pisma. - Przysuwam się bliżej. Moja dłoń wędruje teraz po jej biodrze, potem po lewej piersi. Całuję ją w szyję. Moja krew zmienia się w płynny metal, kipiący w surrealistycznych fantazjach. - Chcę się kochać z tobą, Vicky - mówię. - Nie tylko z kobiecym ciałem, w ten czy inny sposób odpowiadającym średniej, ale z tobą, z osobą, która wraz ze mną słucha dramatów Kevina i rozumie ich znaczenie, która wie, że Cynceron był nie tylko mówcą, lecz także filozofem; osobą, która lubi kolor niebieski, ostrzygi i odbłaski świateł na mokrych chodnikach, i fontannę przed hotelem Plaza, i piosenki Franka Sinatry, i utwory grane na klarnecie przez Gervase'a de Peyera. Z tobą, tobą, tobą. Pozwala mi się całować. Milczy. Mam wrażenie, że pocę się całym ciałem. Nie chcę się rozbić przy świetle, bo mogłoby to wskrzesić krępujące wspomnienie naszej sceny Romea i Julii z Bar Harbor. Zamiast tego rozpinam jej sukienkę. Nie protestuje. Moje palce poruszają się niezręcznie, jak gdyby nie miały połączenia z mózgiem. Nie potrafię rozpiąć stanika. Chole- ra. Nie mogę być aż tak niezgrabny. Boże, proszę cię, spraw, żebym był spokojny, gładki i pewny siebie jak głos Franka Sinatry, który też jest formą płynnego metalu, wydobywającego się bez wysiłku z gramofonu. Rozbieram ją do naga. Vicky nie porusza się i nie odzywa. Całuję ją po całym ciele w nadziei, że wzbudzę w niej jakąś reakcję, lecz bez skutku. Nagle uświadamiam sobie, że nie mogę już dłużej czekać. Odrzucam kapę i kładę Vicky na czarnej satynowej pościeli. Jezu Chryste! Próbuję zgasić lampę i strącam ją przy tym na podłogę, gdzie sama gaśnie. To było głupie. Muszę trochę ochłónąć, ale nie jestem w stanie. Wszystko staje się płynne, nie tylko ja, lecz wszystko; jestem pogrążony w rozpalonej do białości lawie, która wybuchła z Wezuwiusza, by okryć Pompeje w roku pańskim siedemdziesiątym dziewiątym. W ciemności zdzieram z siebie ubranie i odkrywam, że satynowe prześcieradła są w dotyku jak lód; powinien rozleć się sykk, gdy gorąca lawa toczy się do lodowatej wody, ale nie, jest tu tylko Vicky, jędrna, krągła, piękna, doskonała... Musi gdzieś być Bóg, musi, bo jestem w niebie. Jestem w niebie i żyję. Najwyższy triumf. Vicky krzyczy. Mówię jej, że wszystko w porządku. Sam nie wiem, co mówię. Nie wiem nic oprócz tego, że nie mogę przestać. Drapie mnie po plecach, próbuje odepchnąć. Może się boi, że zajdzie w ciążę. Nie bój się, Vicky, nie jestem głupim szczeniakiem; wiem, co robię nawet wtedy, kiedy niemal tracę panowanie nad sobą, kiedy prawie... Jezu, ależ było blisko. Lecz się udało. Wycofałem się w porę. Następnym razem założę prezerwatywę, ale ten raz był szczególny. Byliśmy tylko ja i ty i nic nie mogło nas dzielić. O Boże. O Boże. O Boże. Jestem taki szczęśliwy. Leżę na czarnych prześcieradłach, oddychając gwałtownie, lecz Vicky wyrywa mi się, biegnie do łazienki i zamyka się na klucz. Słyszę jej szloch. Natychmiast wstaję i pukam do drzwi łazienki. Z trudem utrzymuję się na nogach. - Vicky, wszystko w porządku? Głupie pytanie. Przecież widzę, że nie. Poruszam klamką. - Vicky, proszę, wpuść mnie. Słyszę szum prysznicy. Zmywa z siebie wszystko, pocałunki, nasienie, całą intymność. Pytanie, czy zawsze tak robi, czy to skutek odrazy? Nie wiem. Muszę wierzyć, że nie jest tak źle. Zapalam światło w sypialni i niezgrabnie wdziewam ubranie. Nie chcę jej jeszcze bardziej zrażać

widokiem mojej nagości. Potem nale-
wam sobie kolejną lampkę szampana i wypijam ją
duszkami. Czekam. Po długiej chwili wychodzi owinięta w czerwony ręcznik. Chcę nawiązać
z nią kontakt, jednakże nie przychodzi mi na myśl odpowiednie słowa. Moje milczenie
denerwuje ją, choć przecież nie powinno. Odwraca zapuchnięte oczy i mówi: - To nic.
Zawsze pierwszy raz po porodzie to koszmar. Tak już jest. Chciałbym wziąć ją w ramiona i
delikatnie przytulić, ale wiem, że mnie odepchnie. Jes-
tem włochatym, spoconym i
nachalnym zwierzątkiem, który sprawia jej ból. Boże, jakie piekło czasem muszą znosić
kobiety i jakie męki cierpią wówczas mężczyźni! - Kocham cię - mówię w końcu. - Tak -
odpowiada ze znużeniem, lecz mnie nie rozumie. Nie zdołaliśmy się porozumieć. Muszę się
postarać o coś, co zmniejszy jej ból. Jeżeli dotrze do niej, że się tym martwię, nawiążemy
kontakt. - Kupię płyn zwilżający - mówię. Nie odpowiada. Myśli o czym innym, a może po
prostu jest w szoku. Zbiera swoje szmatki i idzie do łazienki się ubrać. Słyszę szcęk
przekręcanej zasuwki. Wypijam jeszcze jedną lampkę szampana. Mam już dość szampana.
Smakuje jak jakaś zboczona lemoniada, 7-Up, które wymknęło się spod kontroli. Kończę
butelkę i wrzucam ją do kosza na śmieci. Kiedy Vicky wychodzi z łazienki, wygląda świeżo i
schludnie, oczy jednak ma wciąż za-
puchnięte. - Chcę już wracać do domu - mówi. - Dobrze.
Odwożę ją do domu. - Dobranoc - mówi, kiedy taksówka się zatrzymuje. - Dobranoc. Nie
dotykamy się, nie całujemy. Ja jestem sam, ona jest sama, choć oboje smażymy się w tym
samym piekle. Wracam do Elsy. W chwili gdy krzyczy, gdzie się, u diabła, podziewałem,
cały wypity alkohol bierze nade mną górę i tracę przytomność. 15 stycznia 1959. Piszę do
Vicky, bo nie mogę się z nią rozmówić. "Najdroższa Vicky! Bardzo Cię kocham. Chciałbym,
żeby wszystko ułożyło się dobrze. Proszę, pozwól mi spró-
bować. Sebastian. PS. Mam
ochotę po raz trzeci obejrzeć film Bergmana "Siódma pieczęć". Może wybrałaś się ze mną?
Nie musimy iść potem do łóżka. Po prostu chcę się z Tobą spotkać." Vicky dzwoni do biura. -
Dzięki za list. - Nie ma za co. Co z kinem? - Dobrze. Jeśli chcesz. - Mhm. Vicky? - Tak? - A
jaki film ty byś chciała obejrzeć? Chwila ciszy. - "Więzienny rock" z Elvisem Presleyem. -
Dobra. No to jesteśmy umówieni. Film nie jest nowy, kiedy jednak na krótko przed śmiercią
Sama wszedł na ekrany, Sam orzekł, że to kicz, i Vicky go nie widziała. Ja też jestem gotów
się założyć, że to kicz, lecz to nieistotne. Jeśli sprawi Vicky przyjemność, będę zadowolony.
Jedziemy do centrum. Wyświet-
lają go w jakiejś niewiarygodnej ruderze na Avenue B. Obaj
z Samem mieliśmy rację. To kicz. Znów nurzamy się w plastikowej subkulturze, staczamy
się do najniższych popularnych symboli, ale to nic nie szkodzi. Jest śmiesznie. Śmie-
jemy się oboje. Jediną obroną przed konsumpcyjną kulturą jest śmiech z jej brzydoty, w prze-
ciwnym wypadku zaczyna człowieka przytłaczać. Vicky też zdaje sobie z tego sprawę i nagle znów się
rozumiemy. Szturchamy się łokciami z uciechy, kiedy Elvis zatacza się po dopraco-
wanym w
najdrobniejszych szczegółach planie i wydaje z siebie ochryple pienia podczas zaba-
wy w
okręgowym więzieniu. Film jest czarno-biały. Chiaroscuro. Ekscytujące. Kiedy ujmuję Vicky
za rękę, nie wrywa jej, a potem zgadza się, kiedy proponuję, że-
byśmy się zatrzymali na
hamburgera i piwo w jakimś barze w Greenwich Village. - Może byśmy poszli do naszego
mieszkania, Vicky? - ośmielam się w końcu powie-
dzieć. - Czy nie chcesz? - W porządku.
Idziemy do mieszkania, gdzie czeka mnie miła niespodzianka. Vicky posprzątała, a na stole
leży prezent dla mnie. Jestem tak poruszony, że nie mogę wydobyć z siebie głosu.
Niegrabnie rozwijam pa-
czuszkę i wyjmuję z niej wspólne wydanie dwóch sztuk
Middletona: "Odmieńca" i "Kobiety, strzeżcie się kobiet". Okrywam ją pocałunkami. W
końcu idziemy do łóżka. Tym razem lepiej się kontroluję i ze wszystkich sił staram się być
delikatny, gdyż wiem, iż mam cholerne szczęście, że dała mi drugą szansę. Nie napieram zbyt
mocno; zaopatrzyłem się w paczkę "Trojanek" i tyle nawilża-
cza, że można by nim
wypastować podłogę w sali balowej. Tym razem nie krzyczy. Mam ochotę się z nią wykapać,
lecz nie chcę, żeby widziała mnie w pełnym świetle. Może później, kiedy poczuję się
pewniej. Ubieramy się i ja piję szkocką, a ona coca-colę. Sia-
damy na sofie w salonie i

patrzemy na migające za oknami światła. Czuję się o wiele lepiej. Na to, bym czuł się szczęśliwy, jeszcze za wcześnie, aczkolwiek mam wrażenie, że wkrótce stanie się to możliwe.

- Jak tam Postumus? - pytam po dłuższej chwili. Moje milczenie chyba już nie przeszkadza Vicky, przynajmniej więc tym nie muszę się przejmować. - Postumus jest słodki. Tak ślicznie się teraz uśmiecha. - Lubię go - mówię. - Czasami mam uczucie, jakby był mój. Vicky duma przez chwilę. - Dlatego, że mnie poparłeś, kiedy chciałam dać mu na imię Benjamin? - Mhm. I dlatego, że po jego narodzinach zwróciłaś się do mnie o pomoc. Dlatego, że kochałem cię przez cały ten czas, kiedy byłaś w ciąży, i później. Dlatego, że nie było już Sama, który by mi przypominał, że Postumus mimo wszystko nie jest mój. Vicky pyta, czy Elsa nie chce mieć więcej dzieci. - Elsa nie może mieć więcej dzieci. Szkoda. Dobrze, że mamy Alfreda. - Sebastianie... Jak właściwie wygląda sytuacja z Elszą? t Wyjaśnij mi moją koncepcję liaison.

- Nie jesteś zainteresowana małżeństwem, prawda? - pytam, żeby się upewnić. - Nie - odpowiada odruchowo i dodaje pośpiesznie: - To znaczy, nie w tej chwili. Naturalnie wiem, że kiedyś powinnam powtórnie wyjść za mąż ze względu na dzieci... - A co z tobą, Vicky? - Och, ze względu na siebie również, to jasne! Nie ma innej właściwej alternatywy. - Jest ta, którą właśnie tworzymy. - Tak, ale małżeństwo... - Małżeństwo to tylko hasło obrazujące wysiłek społeczeństwa, by jakoś uporządkować ten chaos w stosunkach obu płci. Podobnie jest w filozofii, która mówi o Absolutcie i Jedności, by choć trochę uporządkować chaotyczny wszechświat. Ale można filozofować, nie odnosząc się do Absolutu, i można kogoś kochać, nie robiąc odniesień do małżeństwa. - Mówisz, jak gdyby nie istniała moralność. Nasz związek może nam odpowiadać, ale co z biedną Elszą? Jak zdołasz moralnie usprawiedliwić swój romans ze mną, skoro równocześnie unieszczęśliwiasz żonę? - Elsa wcale nie będzie nieszczęśliwa. Do szczęścia potrzeba jej niewiele, ładny dom, odpowiedni rachunek kredytowy, Alfred i od czasu do czasu mała zabawa w łóżku. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli się czasem z nią prześpię, żeby poprawić jej nastrój? - Owszem, będę. Wcale mi się nie podoba ten pomysł. Szczeka mi opada. Szybko zamykam usta, choć i tak nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. - Uważam, że to niedopuszczalne sypiać z dwoma kobietami równocześnie - mówi stanowczo Vicky. - Muzułmanie nic sobie z tego nie robią, ale spójrz tylko na ich kobiety! Anonimowe zakwefione tłumaczki! A przecież kobieta nie jest tylko przedmiotem, Sebastianie! To istota ludzka, której łatwo jest zadać ból!

- Chryste, Vicky, nie musisz mi tego mówić! Może inni mężczyźni myślą o kobietach jak o stadzie krów, ale ja przecież nie jestem takim idiotą! - Więc dlaczego nie widzisz w Elsie człowieka, tylko jakąś nieokreśloną bryłę oznaczoną naklejką "żona"? Ona też odczuwa, tak jak każdy z nas! - A ja szanuję jej uczucia! - protestuję. Vicky podnosi płaszcz, biegnę za nią do drzwi. - Nadal będę się nią opiekował! - Nadal będziesz ją upokarzał! - Vicky jest wściekła. Wychodzimy z mieszkania; idę za nią, kiedy maszeruje korytarzem w kierunku windy. - Posłuchaj, Vicky... - Jasne, nie żałuj sobie! Upokarzaj ją! Twoje małżeństwo to niemoja sprawa! - O rany, mówisz, jakbyś była zazdrosna! - Wiem, że nie jest, lecz usiłuję złagodzić tę rozmowę szczyptą humoru. Vicky obrzuca mnie pogardliwym spojrzeniem i w tej samej chwili winda dojeżdża na parter. - Dobranoc, Sebastianie. Dziękuję, sama wrócę do domu. Wsadzam ją do taksówki i patrzę, jak odjeżdża. Cholera, cholera, cholera! 15 marca 1959. Alfred patrzy na mnie jasnymi wesołymi oczkami i mówi z zadowoleniem: - Tata! Mądry dzieciak. Wie, kto go naprawdę rozumie. Biorę go na rękę, a on szturcha mnie piąstką w ucho. Myśli: "Nie bądź taki sentymentalny, stary draniu, nie wygłupiaj się. Mam już po dziurki w nosie tych komedii." Wkładam go z powrotem do kojca. Obserwuję, jak się bawi. Bębni w małe cymbałki, a ja przyglądam się jego skoncentrowanej minie, gdy usiłuje odnaleźć właściwą sekwencję nut. W zalanym słońcem pokoju pojawia się cień. Elsa. - Alfredzie, mój najdroższy, mój aniołeczku! - przy wtórze dziecięcego szczebiotu porywa go na rękę i odrywa od cymbałków. Alfred wrzeszczy ze złości. - Na litość boską, Elso, połóż go! Elsa patrzy na mnie gniewnie lodowatymi oczyma Jake'a. - Chcę z tobą pomówić. Alfred

łąduje z powrotem w kojcu, ale jest zdenerwowany. Wciąż krzyczy z oburzenia. Do pokoju wślizguje się niania i znowu bierze go na ręce. Wrzask się nasila. Biedny Alfred. Tylko jedna osoba go rozumie. Wchodzimy do sypialni i Elsa zatrzaskuje drzwi. - Sypiasz z nią, prawda? - mówi. O Boże, wiedziałem, że prędzej czy później do tego dojdzie! Równie dobrze możemy to załatwić teraz i mieć to z głowy. - Jak się tego domyśliłaś? - pytam, żeby dać sobie czas na dojście do równowagi. - Bo teraz robimy to tylko raz w tygodniu, a pozostałe sześć dni diabli wzięli! Vicky i ja w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kochaliśmy się tylko pięciokrotnie, za każdym razem, kiedy idziemy do łóżka, sprawa kończy się kłótnią, która pozwala Vicky trzymać mnie na dystans przez kilka dni. Ja jednak jestem cierpliwy i chętnie zaczekam, aż Vicky się uspokoi i pogodzi z myślą, że można kochać się częściej. Nie sprawia jej to przykrości. Gdyby tak było, nie zmuszałbym jej do tego, ale na razie po prostu nie dociera do niej, że można z seksu czerpać przyjemność. W tej chwili robi to z grzeczności, na tej samej zasadzie, na jakiej pije się różowego szampana, którego postawił ci dobry, choć niezbyt obyty przyjaciel. Godzę się z tym, że zmiana jej nastawienia zabierze trochę czasu, a zresztą nawet te sporadyczne chwile są rajem w porównaniu z latami, gdy w ogóle była dla mnie nieosiągalna. Mimo woli przestałem się jednak interesować Elsą. Związek z Vicky, choć wciąż niedoskonały, zaciążył na moim małżeństwie w stopniu, jakiego się nie spodziewałem. - Ty łajdaku! - syczy z wściekłością Elsa, wprawiając mnie w osłupienie. Zbieram wszystkie siły. - Dobra - mówię. - Sypiam z nią, ale nie ma powodu do niepokoju. Wcale nie mam zamiaru cię opuścić! Zostanę z tobą i będę dobrym mężem, ale prawda jest taka, że bardzo niewiele dobrych mężów dochowuje wierności swoim żonom. Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj własnego ojca. Twój ojciec zawsze dbał o dobro rodziny jak każdy dobry mąż, choć jest tajemniczą poliszynelą, że równocześnie miał wiele innych kobiet... - Mój ojciec - przerywa mi Elsa - jest nędznym hipokrytą. Siada z rozmachem na taborecie przy toalecie i patrzy na siebie w lustrze. Jest chłodna, spokojna i opanowana. Żadnych łez, żadnej hysterii, żadnej paniki. To dziwne. Coś jest nie tak. Ta scena nie rozgrywa się zgodnie z planem. - Moja matka na zbyt wiele mu pozwalała w ciągu tych wszystkich lat - mówi Elsa, wciąż patrząc na tęgą nieładną twarz w lustrze. - Biedna mama, nie miała wyboru. Była ofiarą swojej klasy, swojej kultury, swoich czasów. Ale ja nie jestem do niej podobna i nie żyję w tamtej epoce. Nie mam zamiaru pozwolić się traktować tak, jak traktował ją ojciec. Myślisz, że jestem pozbawionym rozumu, wielkim jak beczka tłumokiem, ale się mylisz, Sebastianie. Bardzo się mylisz. Kołnierz zaczyna mnie uwierać. Dosłownie. Muszę przesunąć pod nim palcem, żeby go odlepić od ciała. Czuję się bardzo nieswojo. Czy to naprawdę Elsa? Czy to możliwe, by mówiła to biedna, głupiutka, sympatyczna Elsa, która tuli się do mnie w łóżku i mówi, jaki jestem wspaniały? Coś musiało pójść źle. Nie wziąłem pod uwagę jakiegoś ważnego ogniwa. Przeliczylem się. - Słuchaj, chłopaczkę. - Szorstki ton Elsy przywodzi mi na myśl filmy z Jamesem Cagneyem; nagle widzę w niej fragment granitowej skały, z której zrobieni są Reichmanowie. - Pozwól, że ci powiem, jak ja to widzę. Małżeństwo jest małżeństwem. Przysięgałeś mi wierność przy świadkach i trzymam cię za słowo. Jeżeli nie miałeś zamiaru go dotrzymać, nie trzeba było ze mną żenić. Jestem twoją żoną i nie będę się tobą dzielić z nikim, a już najmniej z Vicky. Musisz się zdecydować, Sebastianie. Albo wrócisz do domu, zostaniesz w nim, będziesz co noc sypiał przy moim boku i zachowywał się jak prawdziwy mąż, albo skontaktuję się z adwokatem i dopilnuję, żebyś po rozwodzie został goły i bosy. Próbuję się obudzić, lecz nie, to nie jest koszmarny sen, to rzeczywistość i pocę się na myśl, że ugrzęzłem w samym środku tego bagna. Próbuję zbić ją z tropu. - Nie rozwiedziesz się ze mną! Wiesz doskonale, że nigdy nie złapiesz innego faceta! Patrzy na mnie zimno. - Chcesz się założyć? - pyta. Stoję jak kołek, ogłupiały i niemy. - Ależ to niemożliwe! Nie odważysz się ze mną rozwieść! - parskam. - Przekonasz się - mówi Elsa, a pod spojrzeniem jej niebieskich oczu lustro nieomal pokrywa się szronem. Obracam się na pięcie i wychodzę, czy raczej, ściślej mówiąc, wytaczam się z pokoju. Po omacku docieram

do salonu, nalewam sobie potrójną whisky i wypijam ją. Na stoliku pod oknem stoi zdjęcie Alfreda, sprytnego bąka w wieku sześciu miesięcy, który siedzi z marsmem na czole, świadom, iż zupełnie bezprawnie narzuca mu się jakiś tępy do- rosły i grucha, żeby się uśmiechnął do obiektywu. t Kiedy szklanka jest pusta, wracam do sypialni, ale Elsy tam nie ma. Idę do pokoju dzie- cinnego i widzę, że wpycha Alfreda w nowy kombinezon. Jak w każdą niedzielę, zabiera go z wizytą do swojej matki. Niańki nie ma, poszła po płaszczyk i butki. Nie odzywamy się, patrzymy tylko na siebie. - Tata! - rozpromienia się Alfred i wyciąga w moją stronę paluszek. Mam ochotę coś zmiażdżyć. Chciałbym potłuc wszystkie naczynia w kuchni, a potem pobić Elbę do krwi. Lecz tego nie robię. Co więcej, nigdy tego nie zrobię. Raz straciłem pa- nowanie nad sobą i popchnąłem kobietę tak, że rozbiła sobie głowę o nocną szafkę. Potem przysiągłem sobie, że już nigdy więcej nie zniżę się do przemocy. Przemoc jest zła. Przemoc jest objawem patologii. To przemocy, nie seksu powinniśmy się wstydzić. Usuwam z mózgu wszystkie gwałtowne myśli. Podnoszę Alfreda i bezbarwnym głosem mówię do Elsy: - No, to chodźmy z tą wizytą do babci. Dzwonię do Vicky. - Vicky, muszę się z tobą zobaczyć. Nigdy nie mówię do niej "kochanie", "najdroższa" albo "kotku". Nasłuchiwała się dość pieśczośliwych słów od ludzi, którzy jej nie rozumieli. Spotykamy się w naszym mieszkaniu. - Mam kłopoty - mówię i opowiadam jej o Elsie. Piję tak, jak gdyby wszystkie gorzelnie nagle miały przerwać produkcję. - Nie możemy się nadal tu spotykać. Niewykłuczone, że ka- zała mnie śledzić - dodaję. - Będziemy musieli umawiać się na Piątą Alei. Detektywi mogą tam za mną chodzić aż do zderzenia zelówek, a i tak mi nie udowodnią, że nie bywam tam w odwiedzinach u matki. - Boże, nie potrafię sobie wyobrazić, że coś bardziej może psuć romantyczny nastrój niż skradanie się po tym starym mauzoleum, żeby nie wpaść na tatusia albo Alicję! Ciekawe, co sobie pomyśla. - Spodoba im się to. Będą mogli odczuwać lubieżny dreszczyk. - Mój drogi, oni wcale nie potrzebują zastępczych dreszczyków! Dostarczają ich sobie aż nadto! - Jezu, to jeszcze się nie skończyło? Omawiamy szerzej naszą sytuację i snujemy plany. - Najgorsze jest to - mówi w końcu z westchnieniem Vicky - że nie będziemy już mogli chodzić do teatru ani do kina. To będzie całkiem jak uwspółcześniona wersja "Zaułka", choć Piąta Aleja mało przypomina zaułek, nie sądzisz? Podchodzę do niej. - Vicky, oszedłbym od Elsy choćby jutro, ale... - Wiem. Alfred. Rozumiem. Chcę się z nią kochać, Vicky jednak mówi: nie, okres jest nieodpowiedni. Z Elsą rzadko zwracam na to uwagę, ale szanuję życzenia Vicky także w kwestiach intymnych, całuję ją więc i wychodzę. Martwię się, strasznie się martwię i wlokąc się do domu, powtarzam sobie, że to jeszcze wcale nie koniec kłopotów. Zaczynamy się spotykać raz w tygodniu, po pracy, w nie używanym zachodnim skrzydle posiadłości Van Zale'ów. Nie jest tak źle, jak się obawialiśmy. Przejmujemy na własny użytek jedną z odległych sypialni. Vicky przynosi adapter i zbiór płyt Franka Sinatry, a ja najwspa- nialsze dzieła Mozarta, w tym mój ulubiony koncert z triumfalnym solo na klawecie w wyko- naniu Gervase'a de Peyera. Próbuję przekonać Vicky do Wagnera, lecz nie może go znieść. Szkoda. Pozostaję przy bezpiecznych utworach Beethovena, do których z rzadka dodaję nieco Brahmsa. Z Brucknerem też nie mam szczęścia, a po próbce Mahlera Vicky idzie prosto do sklepu z płytami i kupuje klasyczny już krążek Presleya, z którego dowiaduję się, że jestem tylko gończym psem. To trochę niesamowite - kochać się pod dachem Korneliusza. Mamy wręcz uczucie, że popełniamy kazirodztwo, ale zaścielamy łóżko naszą czarną satyną i wkrótce znów zaczynamy korzystać z uciech życia. Ja w każdym razie z nich korzystam, a Vicky też chyba przestała uważać seks za krzyż pański, bo zgadza się na dwa razy w tygodniu. Bardzo mnie to cieszy i wiele bym dał, żeby sama mogła czerpać z tego więcej przyjemności. Trudno rozmawiać o mechanice seksu, jeśli człowiek nie chce wyjść przy tym na durnia albo na postać z satyry Elaine May i Mike'a Nichollsa, w końcu jednak przełamuję się i napomykam mimochodem: - Powiedz mi, jeśli chcesz, żebym zrobił coś, co sprawiłoby ci szczególną przyjemność... Patrzy na mnie podejrzliwie. - Co masz na myśli? - Hm... - wiem, że ślizgam

się po cienkim lodzie i teraz już widzę, że krucha tafla nie utrzyma mego ciężaru. Próbuje się jakoś wycofać. - Nie twierdzę, że ludzki żywot jest nie- kompletny bez okazjonalnych orgazmów, ale... - Nie wymawiaj przy mnie tego słowa! - wrzeszczy. - Nigdy więcej go nie wymawiaj! - Ze złością wyskakuje z łóżka i zamyka się w przyległej łazience, żeby ochłoniąć pod prysznicem. Ubieram się, nalewam nam po dużym drinku, a kiedy Vicky pojawia się z powrotem, dokładam starań, żeby rozwikłać tajemnicę jej zachowania. Jak się okazuje, Sam również zetknął się z tym problemem, ale Sam Keller to Sam Keller - powiedział jej po prostu, że wszystkie kobiety od czasu do czasu miewają orgazmy, a jeśli Vicky ich nie odczuwa, to znaczy, że ma jakieś zahamowania i powinna się poradzić psychiatry. - I co powiedział psychiatra? - pytam łagodnie. - Nic szczególnego. Właściwie z żadnym z nich nie byłam w stanie rozmawiać szczerze. Kiedyś myślałam, że może łatwiej byłoby mi się zwierzyć kobiecie, ale Sam powiedział, że wszyscy najlepsi psychiatrzy to mężczyźni. - Tak - mówię, łapię butelkę szkockiej za szyjkę i nalewam sobie podwójną whisky. - Tego się można było domyślić. A co powiedział, kiedy żaden z tych wspaniałych psychiatrów nie zdołał ci pomóc? - O, Sam był pewien, że mi pomogli! Potem udawałam, że już wszystko w porządku. Myślałam, że tak będzie najłatwiej. Nie chciałam, żeby cierpiał dlatego, że ja nie jestem normalna. - Aha, rozumiem. Więc ty wzięłaś na siebie całą winę i cały ten ciężar po to, żeby Sam się nie martwił? To dopiero! Szczęściarz z tego Sama. Muszę oddać mu hołd! - unoszę szklanke i piję. Vicky spogląda na mnie. - Co mi próbujesz powiedzieć? - Próbuje ci powiedzieć, że do miłości potrzeba dwoje, a jeżeli tobie nigdy to nie wychodziło, może, powtarzam, może twój mąż też w pewnej części był za to odpowiedzialny. A nawet jeśli nie, nawet jeśli w łóżku wychodził z niego szatan, a mimo to nie byłaś w stanie się do niego dostroić, powinien był dołożyć więcej starań, żeby pomóc ci wyjść z dołka, a nie tylko posyłać cię do lekarzy, którym nie mogłaś się nawet zwierzyć! - Ale Sam był taki cudowny, taki dobry, taki... Mam tego dość. Po prostu nie jestem już w stanie zaciskać zębów ani sekundy dłużej. Z trzaskiem odstawiam szklanke i obracam się do niej gwałtownie. - Vicky, możliwe, że Sam robił takie wrażenie, ale jeśli pozwolił, żebyś dźwigała na barkach całe poczucie winy za waszą małżeńską porażkę, to nie był takim ideałem, za jakiego go wciąż uważasz. Możliwe, że nie był łotrem, ale wierz mi, aniołem także nie. - Ale... Chwytam ją za ramiona i potrząsam gwałtownie, żeby wiedziała, iż nie wolno jej patrzeć na Sama przez pryzmat aureoli, w jaką ubrały go jej wyrzuty sumienia. - Nie rób z niego świętego - mówię stanowczo. - To poważny błąd. Sam nie był świętym, Vicky. Był człowiekiem i miał swoje wady, tak jak my wszyscy, chociaż tak zrećcznie je pokrywał swoim osławionym urokiem, że prawdopodobnie w ogóle ich nie zauważałaś. Masz pełne prawo być na niego zła za niektóre rzeczy, tak samo jak masz prawo kochać go za inne. Złość się! Wściekaj! Nie mów: "To moja wina, to ja jako żona zawiodłam męża!" Nie kieruj tego gniewu przeciwko samej sobie! Spróbuj zamiast tego powiedzieć: "Co za skurczybyk z tego Sama Kellera! To on wypiał się na mnie, kiedy go potrzebowałam! To on nie był dla mnie dobrym mężem!" Możliwe, że nie jest to całkowicie zgodne z prawdą, ale założę się o ostatniego dolara, że jest to o wiele bliższe prawdy niż ten mit nieudacznicy, który od tak dawna taszczysz na grzbiecie! Vicky patrzy na mnie, aż w końcu mam uczucie, że jestem lustrem, jednym z tych zwierciadeł, które zamiast odbicia stojącego przed nimi człowieka pokazują mu trupią czaszkę. Dolewam jej szkockiej i wciskam szklanke do ręki. - Przepraszam - mrużę. - Nie - odpowiada. - Nie mów "przepraszam" i nie... - I nie mów już o orgazmie? Dobrze, Vicky, jak chcesz. W przeciwieństwie do Sama nie będę rwał włosów z głowy tylko dlatego, że nie miotasz się w pościeli jak jakaś akolitka w czasie dionizyjskich misteriów. Mówiąc zupełnie szczerze, nie obchodzi mnie, co robisz, o ile tylko nie sprawiam ci przykrości. Czy sprawiam ci przykrość? Całuje mnie. - Nie. Sprawiasz mi bardzo wiele radości. Sprawiasz, że zaczynam wierzyć... - urywa. - W siebie? Czy naprawdę sprawiam, że zaczynasz wierzyć w tę zaniedbaną, zapomnianą osobę, wciąż istniejącą pod maską nieprzystosowanej neurotyczki, która nie

chciała być żoną na pokaz i wzorcową matką i nie lubiła robić tego wszystkiego, co wszystkim bez wyjątku kobietom powinno przynosić najdalej idącą satysfakcję? Czy wreszcie przestajesz się czuć winna, że nie sprawiało ci rozkoszy tłumienie własnej osobowości i poświęcanie się dla dobra męża? I czy wreszcie zdołałem cię przekonać, że jeśli związek mężczyzny i kobiety ma mieć jakąś wartość, oboje muszą coś dawać i coś otrzymywać, że źle jest, gdy jedno tylko bierze, a drugie daje, ulega, zapiera się samego siebie i gubi własną duszę? Vicky nie odpowiada. Łzy płyną jej po twarzy. Po chwili mówi: - Wszystko było nie tak, jak powinno, prawda? Ja też. Przypominałam tych jeńców wojennych z Korei. Tych, którzy przeszli pranie mózgu. Obejmuję ją i mocno przytulam. Przez dłuższy czas panuje cisza, lecz kiedy w końcu Vicky mówi: - Chyba zaczynam być zła! - wiem, że wreszcie odłożyła kule i zaczęła mozolną wspinaczkę z najgłębszego piekła w stronę nowego życia, które jeszcze się nawet nie zaczęło. Jestem u F.A.O. Schwartza. Kupuję prezent dla Postumusa. W zeszłym roku Alfred dostał bardzo praktyczny sznur kolorowych kulek, które mógł gryźć bez obawy, że się otruje. Mam wrażenie, że Postumus będzie nimi zachwycony tak samo jak Alfred. Po wyjściu ze sklepu wsiałam do taksówki i jadę do centrum, ale nagle przypominam sobie, że skończyły mi się "Trojanki". Cholera. Gdzie jest najbliższa apteka? Pochyliłam się do kierowcy. - Skręć w Madison. Kierowca myśli, że zwariowałam, mimo to jedziemy na Madison. Widzę tylko rząd małych sklepików - w każdym oknie wystawowym jedna sukienka i ani śladu wywieszki z ceną. - Teraz Lexington. - Czego szukasz, kolego? - Apteki. - Trzeba było od razu tak mówić! - szofer jedzie dalej Madison w kierunku przeciwnym do centrum, mijają trzy przecznice i zatrzymuje się przed apteką na rogu. Każę mu czekać i wbiegam do środka. "Trojanek" nie ma. Kupuję inne i pędem wracam do taksówki. Ruszamy w stronę Piątej Alei. Straciłem mnóstwo czasu, a muszę być przecież w domu o ósmej, inaczej Elsa nie uwierzy, że zostałem dłużej w pracy. W holu wpadam na matkę. Niech to szlag! - O, kochanie, myślałam, że to Korneliusz! Usiądź na chwilę i napij się czegoś. Korneliusz lada moment powinien wrócić. - Przyniosłem prezent dla Beniamina. Może... - Cześć, Sebastianie! - woła Vicky ze szczytu schodów. Próbuje mi przyjść na ratunek. - Czy dobrze słyszałam, że masz coś dla Beniamina? Co za miła niespodzianka! Wejdz na górę do dzieci! Wchodzi Korneliusz. - O, Sebastian! Zapraszam cię na kieliszek! Zwykle dokładałam starań, żeby pojawiać się na tyle wcześnie, by uniknąć zaproszeń na drinka, tym razem wszakże F.A.O. Schwartz w połączeniu z gonitwą za prezerwatywami całkowicie położył mi harmonogram. - Powiedz, co tam słysząc u Alfreda! - mówi matka. Naprawdę chce się wreszcie mną nacieszyć, a ja czuję się winny, przeważnie bowiem skradam się po schodach do zachodniego skrzydła na spotkanie z Vicky. Wszyscy idziemy na drinka do Złotego Salonu. Korneliusz i matka siadają na sofie, trzymając się za ręce. Vicky i ja siadamy naprzeciw siebie i staramy się wyglądać nobliwie. Powietrze jest gęste od seksualnych miazmatów. Nawet Grekom byłoby trudno to znieść. Kiedy w końcu udaje się nam wyrwać, zapominamy o Postumusie i pędzimy prosto do naszej odległej sypialni. - Za dziesięć minut muszę wyjść! - sypię. - Chyba nie warto już iść do łóżka? Może po prostu napijemy się jeszcze i pogadamy? - Nie zmrużę oka. Przez całą noc będę o tobie myślał. Pośpiesznie wskakujemy do łóżka i przez kilka pierwszych cennych minut wszystko jest w porządku, potem jednak zdarza się jeden z tych niebywałych wypadków, które zawsze trafiają się komuś innemu, zwykle smarkaczom zaopatrującym się w prezerwatywy w automatach stanowiących wyposażenie męskich toalet. To opakowanie w ogóle nie powinno było opuścić fabryki. Kontrola jakości musiała coś przeoczyć. Nic nie mówię, choć w głębi ducha się modlę. Vicky też milczy. Kiedy spuszcza w ustępie wybrakowany produkt, mija mnie i wchodzi pod prysznic. Tym razem oboje mamy szczęście, gdyż ten konkretny wypadek przechodzi bez konsekwencji. Dziesięć dni później Vicky oznajmia, że rozpoczął się ten okres miesiąca. Chyba na twarzy maluje mi się ulga, bo Vicky dodaje: - Słuchaj, Sebastianie, może teraz dla odmiany ja zajmę się antykoncepcją? Przez jakiś czas używałam

krążka i chciałabym znowu spróbować. - Jesteś pewna? - Najzupełniej. Vicky wraca do krążka i - przynajmniej z mojego punktu widzenia - jest to wielki postęp. Trzykrotnie ją pytam, czy jest zadowolona z tej zmiany, a ona odpowiada, że wprawdzie nie szaleje ze szczęścia, ale czuje się bezpieczniej niż wówczas, gdy używałem prezerwatyw. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że w kwestii antykoncepcji nie ma zaufania do swojego partnera. Zastanowiwszy się nad tym głębiej, wcale nie jestem zdziwiony. To podobne do Sama Kellera, praktykować kontrolę urodzin w taki sam sposób, w jaki gracz-samobójca uprawia rosyjską ruletkę. Vicky gwałtownie nalega, żebym pozwolił jej używać krążka za każdym razem, a kiedy ją zapewniam, że rosyjska ruletka nigdy nie była moją ulubioną rozrywką, jej oczy wypełniają się łzami. Ożywają straszne wspomnienia z przeszłości. Biorę ją w ramiona i tulę mocno, dopóki nie zblakną. Nie jestem Samem Kellerem i nigdy, przenigdy nie znajduję się w jego skórze. 12 czerwca 1959. Postumus jest w pokoju dzieciennym; gryzie swoje koraliki i uśmiecha się przebiegle do sympatycznego wujka Sebastiana. Jego dwaj starsi bracia mają na tyle rozumu, żeby mi się nie pokazywać na oczy, mała Samantha natomiast otwarcie ze mną flirtuje, a Kristin wita mnie uśmiechem Sama Kellera. W domu Elsa traktuje mnie uprzejmie i obojętnie. Rozjaśnia włosy i kupuje sobie książkę o odchudzaniu. Alfred biega po domu, włączając ze sobą rozklekotane cymbałki, i próbuje zmienić wystrój korytarza za pomocą matczynej lakiery do paznokci. Daję mu mocnego klapsa w pupę. Wrzeszczy i krzyczy. Elsa nazywa mnie brutalem. W rozgniewanych bladoniebieskich oczach Alfreda maluje się jednak respekt. Więcej tego nie robi. Można by pomyśleć, że wszystko tego lata idzie dobrze, gdy nagle na horyzoncie pojawia się chmurka, która z dnia na dzień staje się większa. Czekamy z Vicky na jej niedyspozycję, lecz nic się nie dzieje i stopniowo zdajemy sobie sprawę, że czekamy na próżno. Katastrofa. Vicky jest w ciąży. - Jak to się, u diabła, stało? - Doktor powiedział, że powinnam była od nowa dopasować krążek. - Ale... - trudno mi znaleźć słowa, by wyrazić niedowierzanie i przerażenie. - Nie kupiłaś nowego? - pytam w końcu zdumiony. - Owszem. Obejrzałam stary i ta gumowa część wyglądała niepewnie, więc kupiłam sobie nowy w jednej z tych wielkich aptek w śródmieściu. Nie chciałam prosić doktora o nowy krążek teraz, kiedy wiadomo, że jestem niezamężna. Mógłby mnie zacząć pouczać. - Co takiego? - Och, lekarze zawsze usiłują pouczać kobiety. Nie masz pojęcia, jak to wygląda. Kiedy byłam w ciąży z Postumusem i rozważałam możliwość aborcji, omal mnie nie roznieśli na strzępy. Nie mogłam tego znieść. Znienawidziłam potem wszystkich lekarzy, a zwłaszcza ginekologów... - Dobra. Zaczekaj. Rozumiem. Lekarze to fanatyczni kaznodzieje, wyszkoleni w technikach prania mózgu KGB i czyhający na Bogu ducha winne kobiety wokół Park Avenue. Ale istnieją przecież i takie kliniki, gdzie każdy uzna za najnormalniejszą rzecz pod słońcem wydanie krążka kobiecie, która ma już pięcioro dzieci, choć jeszcze nie przekroczyła trzydziestki! Dlaczego... - Nic nie rozumiesz. Nie wiedziałam, że muszę jeszcze raz przechodzić przez cały ten cyrk z dopasowywaniem krążka. Znałam swój rozmiar i myślałam, że ma się taki sam przez całe życie, jak numer buta. Ostatecznie nie mierzysz przecież stopy raz do roku, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie urosła albo nie zmalała... - Ale ktoś musiał ci o tym powiedzieć! - Nie. Nikt mi o tym nie mówił. Widzisz, posługiwałam się krążkiem tylko przez krótki okres, kiedy byłam mężatką, w sumie niecały rok. Potem znów zaszłam w ciążę, a później Sam się uparł, że lepiej będzie, jeśli on zajmie się antykoncepcją... - No i zajął się nią tak gorliwie, jakby chciał zdobyć medal w konkurencji zarodowych ogierów. Dobra, zastanówmy się przez chwilę. I tak jesteśmy już dostatecznie wytrąceni z równowagi, żeby jeszcze dokładać sobie zmartwień, rozważając przeszłe tragedie. Spróbujmy się skupić na teraźniejszości. - Podaję jej chusteczkę, żeby otarła łzy, i w duchu strząsam z siebie skórę Sama Kellera, która podstępnie próbuje do mnie przylgnąć. W tym celu mówię sobie stanowczo, że nie jestem tu tylko niewinną ofiarą; nie mam prawa twierdzić, iż to nie moja wina. Wiedziałem aż za dobrze, że Vicky dzięki Samowi żyła pod szczelnym kloszem, a nie obarcza się wyłączną odpowiedzialnością za kontrolę

urodzin kompletnie nie uświadomionej osoby, nie przeprowadziwszy z nią uprzednio wyczerpującej dyskusji na ten temat, aby się upewnić, iż w jej zasobie wiedzy nie ma śmiertelnie niebezpiecznych białych plam. Vicky popełniła błąd, ale ja także, i to wielki. Teraz do mnie należy następny krok; muszę stanąć przy niej i pomóc jej w nieszczęściu najlepiej, jak potrafię. Nalewam nam obojgu po dużym drinku, obejmuję ją i mówię: - Vicky, nie mam zamiaru ci niczego narzucać. Przez dziewięć lat podporządkowywałaś się dyktatowi Sama, a ja nie chcę być taki jak on. Oboje popełniliśmy błąd i przyjmuję pełną odpowiedzialność, cokolwiek by jednak mówić, sprawa dotyczy twego ciała. To ty będziesz nosić w sobie to dziecko przez dziewięć miesięcy i ty będziesz cierpieć, wydając je na świat. Ty musisz postanowić, co dalej z tym zrobimy, ale zanim podejmiesz decyzję, chcę ci powiedzieć jedno: cokolwiek postanowisz, ja cię poprę. Decyzja należy do ciebie, ale nie będziesz samotnie ponosić jej konsekwencji. Tyle mogę ci przyrzec. Całuje mnie w usta. - Kocham cię - mówi. Przyciskam ją mocno do siebie i oddaję jej pocałunek. Nic innego się nie liczy, nic na całym świecie. Chciałbym coś powiedzieć, lecz nie jestem w stanie. Całuję ją znowu i szukam słów, aż w końcu udaje mi się wyjąkać: - Czy wiesz, co chcesz zrobić, Vicky? Masz jakiś pomysł? - Chcę wyjść za ciebie za męża - odpowiada. Róg Willow i Wall. Idę do Korneliusza. Korneliusz siedzi za wielkim biurkiem w sterylnym gabinecie, który mógłby być piękny, ale nie jest, bo umieścił w nim niewłaściwe przedmioty. Wyobraźcie to sobie: Kandinsky nad kominkiem w stylu Adama. To dla niego typowe. - Szefie - zwykle w biurze mówię do niego "szefie", próbując w ten sposób wydostać się z cienia jego nepotyzmu - chciałem prosić o trzymiesięczny bezpłatny urlop. Przepraszam, jeśli sprawiam tym kłopot. Korneliusz już wietrzy problemy; przygląda mi się czujnie. - Dlaczego potrzebny ci urlop? - Chcę jechać do Reno i na jakiś czas zameldować się w Nowadzie. Postanowiłem się rozwieść. - Usiądź, Sebastianie - mówi zimno. Rozwód nie jest normalny. Oczywiście takie rzeczy się zdarzają, lecz nie mieszczą się w standardzie zachowań. Należy podejść do tego z najwyższą ostrożnością, żeby ludzie nie wyrobili sobie nieprzychylnych opinii. Ależ męczący jest ten Sebastian, myśli Korneliusz. Tkwi mi w boku jak cierń. - Sebastianie - mówi - mam ogromne wyrzuty sumienia, że wcześniej nie porozmawiałem z tobą otwarcie. Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale dotąd nie interweniowałem częściowo dlatego, że robiliście to bardzo dyskretnie, a częściowo dlatego... - zaczyna się. To nie jest dla niego łatwe. Z jednej strony wie, że matka szaleje ze szczęścia, ponieważ Vicky i ja wreszcie się zeszliliśmy, a chce, żeby matka była szczęśliwa, z drugiej zaś nie może znieść myśli, że Vicky sypia z kimś, kto nie jest jej ślubnym małżonkiem, choć nawet ślubny małżonek mógłby się dla niego okazać trudny do przełknięcia. Jednakże cały ten emocjonalny galimatias przykrywa ciężkie żelazne wieko jego pragmatyzmu i jak zawsze w wypadku Korneliusza, pragmatyzm zwycięża. - Nie chciałbym zostać źle zrozumiany - mówi ostrożnie. - Jestem przeciwny niemoralnemu prowadzeniu się, ale jak mógłbym odmawiać Vicky prawa do odrobiny szczęścia z mężczyzną, któremu na niej zależy? To byłoby okrutne... i nazbyt zasadnicze. Nie mam zamiaru cię krytykować, Sebastianie, chociaż uważam, że twoja zażyłość z Vicky nie powinna cię skłaniać do pochopnych decyzji. Czy nie byłoby lepiej utrzymać przez jakiś czas status quo? Uznaję, że mam już dość kazań, którymi mnie raczy, nie znając wszystkich faktów, ładu - jem mu więc prawdę między oczy: - Vicky będzie miała dziecko - oświadczam szorstko. - Pobierzemy się, jak tylko dostanę rozwód. Na twarzy Korneliusza maluje się niedowierzanie. Nie potrafi pojąć, jak mogłem być tak głupi, żeby zmaistrować Vicky nieślubne dziecko. Potem przeważa wściekłość: jestem łajdakiem, który zhańbił jego córeczkę. W końcu w jego oczach pojawia się wyraz mimowolnej fascynacji. Wbrew wszelkim przeciwnościom melodramatyczne marzenia mojej matki wreszcie się spełniają. Nareszcie będą mieli wspólnego wnuka. Eric, Paul i Benjamin mogą już iść w odstawkę. To tylko synowie Sama. Vicky i Sebastian dadzą im syna, którego nigdy nie mieli, i odtąd wszyscy będziemy się pławić w rodzinnym szczęściu aż do grobowej deski. Nagle Korneliusz zaczyna się

gorączkować. - Rozumiem - mówi, usiłując zachować spokój. - Tak... Tak, oczywiście, że musicie się pobrać! - Stara się przywdziać swoją zwykłą praktyczną maskę. - Czy Reischmanowie już o tym wiedzą? - pyta. Denerwuje go myśl o Jake'u. To może się okazać ostatnim gwoździem do trumny, w której spocznie nieformalne partnerstwo pomiędzy Bankiem Reischmanów a Bankiem Van Zale'ów. - Elsa już zagroziła mi rozwodem - mówię - ale ze względu na Vicky liczy się czas, więc nie będę czekać, aż Elsa uruchomi ospałą i nieprzyjemną maszynę prawa rozwodowego stanu Nowy Jork. Poza tym sądzę, że Elsa też będzie zadowolona, jeśli pojedę do Reno i załatwię wszystko tak szybko, jak się da. Ponieważ Elsa podchodzi do tego bardzo zdecydowanie, przypuszczam, że Jake nie zmartwi się zbytnio, kiedy o tym usłyszy. Co innego gdyby była załamana i nieszczęśliwa jak Vicky po śmierci Sama, ale tak nie jest. Jest w dobrej formie, nasze małżeństwo już spisała na straty i rozgląda się za kimś innym. Tak samo jak Jake będzie zachwycona, że się mnie wreszcie pozbyła. Korneliusz jest pod wrażeniem tej krzepiącej analizy. Już układa instrukcje dla Scotta, żeby teraz postępował z Jake'm bardzo delikatnie. - No cóż, to brzmi całkiem nieźle - mówi, odprężając się nieco. - Świetnie. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak z płatka. Kiedy wyjeżdżasz? - Jutro w południe, jeżeli zatwierdzisz mój urlop. Korneliusz wyraża zgodę. Już wyłazi ze skóry z podniecenia i gdy tylko odwracam się w stronę drzwi, podnosi słuchawkę, żeby zadzwonić do matki. 29 września 1959. Udaję, że wychodzę do biura, zaraz jednak po kryjomu wracam, żeby spakować walizki. We wtorek rano Elsa zawsze chodzi do fryzjera, a potem umawia się z przyjaciółką na lunch. Kiedy jestem już spakowany, idę do pokoju dziecinnego. Alfred usiłuje dociec, jak dopasować klocki różnych rozmiarów do właściwych otworów w jaskrawoczerwonym pudełku. Piastunka jest za drzwiami, w sypialni; układa w szafach czyste ubranka. Przyglądam mu się przez chwilę. Jest taki wiersz Johna Donne'a, który zaczyna się słowami: "Czy mi wybaczysz?" Próbuje sobie przypomnieć dalszy ciąg, lecz nie potrafię. Czy mi wybaczysz, Alfredzie? Nie, najprawdopodobniej nie. "Cholerny drań!" - powiesz, kiedy będziesz już duży. Odwrócisz się ode mnie i nie będę ci mógł nawet wytłumaczyć, że ja wcale się od ciebie nie odwracam, nie jestem do tego zdolny. Może wygląda to tak, jak gdybym się ciebie wyparł, jednakże odtąd zawsze będę spoglądał w obie strony, zawsze bowiem będę widział we wspomnieniach, jak wybierasz klocki i wkładasz je do właściwych otworów w tym wesołym kolorowym pudełku. - Mądrala - mówię na głos. Alfred podnosi głowę. - Tata! - wykrzykuje i rzuca we mnie klockiem. Podnoszę go i pokazuję, do której przegródki należy go włożyć. Alfred upuszcza klocek i uśmiecha się do mnie radośnie. Porozumieliśmy się po raz ostatni. Chciałbym zabrać go ze sobą do Reno, chciałbym go zabrać do mojej matki, ale jaki w tym sens? Reischmanowie i tak go dostaną. Elsa jest niewinną opuszczoną żoną i to jej sąd przyzna prawo do opieki nad dzieckiem. Nie będę toczył bitwy o Alfreda. Pozwolę im go zabrać, i to nie tylko dlatego, że nie mam szans na wygranie sprawy sądowej. Pozwolę mu odejść, ponieważ wiem, co czuje dziecko rozdarte pomiędzy rodzicami, którzy wrywają je sobie nawzajem. Mój syn nie będzie miał tego rodzaju wspomnień, jeżeli tylko zdołam temu zapobiec. Przypuszczalnie po jakimś czasie będę się mógł z nim widywać. Elsa zrzuci czterdzieści funtów, a kiedy ponownie wyjdzie za mąż, stanie się wielkoduszną, tak samo jak mój ojciec, który po powtórny ożenku puścił w niepamięć wszystkie urazy. Zobaczę go jeszcze. To na pewno koniec czegoś, lecz nie koniec świata. Chociaż tak właśnie wygląda. Mam uczucie, że to koniec świata. Gorzej. Podnoszę Alfreda i tulę go. Potem sadzam go z powrotem, wybiegam z pokoju, po drodze łapię z salonu jego zdjęcie w wieku sześciu miesięcy, wpycham je do jednej z walizek i wypadam na zewnątrz. Widzę żółty samochód, wzywam go, okazuje się jednak, że to nie taksówka. Nie widzę wyraźnie. Głupota. Nienawidzę głupoty. Łzy są głupie, płakać mogą kobiety i każda rasa na ziemi z wyjątkiem Anglosasów. Może wcale nie jestem takim wzorem Anglosasa. Jedziemy do Reno i przez sześć tygodni pławimy się w plastikowej kulturze. Kiedy otrzymuję kartę stałego pobytu, składam podanie o rozwód i przekupuję wszystkich dookoła,

żeby maksymalnie przyspieszyć sprawę. Elsa podpisuje stosowne dokumenty, a w dzień po otrzymaniu rozvodu biorę Vicky za żonę w ślubnym przybytku zawalonym plastikowymi kwiatami. Tego samego dnia wyjeżdżamy do Los Angeles, skąd nazajutrz lecimy na tydzień na Hawaje. Nie mogę się doczekać miodowego miesiąca, ale seks sprawia teraz Vicky ból, chodzę więc na samotne spacerunki po cudownych, bardzo romantycznych plażach, słucham szumu morza i staram się nie myśleć za często o Alfredzie. Rozmawiamy od czasu do czasu, wyczuwam jednak w Vicky napięcie. W końcu decydujemy, że nie jest to odpowiednia pora na miesiąc miodowy, i wracamy do Nowego Jorku. Vicky pilno na Piątą Aleję zobaczyć dzieci. Przyglądam się ich radosnemu spotkaniu i myślę o Alfredzie. Potem witam się z Postumusem, który ma już ponad rok, gęste kasztanowe włosy, niebieskie oczy i pewną siebie minę. Uśmiecha się do mnie z ożywieniem, odpowiadam mu więc uśmiechem, próbując udawać, że jest mój. Nie jest. Jest synem Sama Kellera i bratem tych dwóch małych potworów, Erica i Paula. Myśl, że zostałem ojczymem Erica i Paula, nie sprawia mi najmniejszej przyjemności. Wkrótce zaczniemy się rozglądać za kamienicą, która zdoła pomieścić wszystkich członków rodziny i całą służbę konieczną, by utrzymać dom na jakim takim poziomie. Żałuję, że nie możemy zostawić czwórki starszych dzieci u Korneliusza i matki, i zabrać ze sobą tylko Postumusa. Mam wrażenie, że Vicky też wolałaby takie rozwiązanie, jednakże nigdy tego nie robi, a powodem jest nie tylko miłość do dzieci. Nie zostawi ich, ponieważ do końca życia nie zdołaby się otrząsnąć z poczucia winy. Vicky i ja nie jesteśmy stworzeni na rodziców gromadki dzieci. Niektóre pary się do tego nadają, inne nie. Z Elsą dalibyśmy sobie radę nawet z szóstką i sprawiłoby nam to sporą przyjemność. Elsa roztkliwia się nad Alfredem, bo wie, że nie może mieć więcej dzieci. Gdyby jednak miała dużą rodzinę, szybko odnalazłaby się w roli "mater familias" i doszła w niej do perfekcji. W przeciwieństwie do Elsy Vicky nie nadaje się na "mater familias". Jej dzieci są dla niej zagadką. Okazuje im wiele uczucia, co jest pożądanym zjawiskiem, lecz poza tym nie ma pojęcia, na czym powinna polegać rola matki. W razie jakichkolwiek nieprzyjemnych scen zasłania się nianią. Nie tylko nie daje sobie rady z konfliktami występującymi w każdej dużej rodzinie, ale wyraźnie nie dostrzega faktu, że jeżeli naprawdę kocha się swoje dzieci, trzeba od czasu do czasu zaprowadzić wśród nich porządek, by zrozumiały, że nie mogą galopować przez życie deptając wszystko i wszystkich, byle tylko zdobyć to, czego chcą. Być może jej rozpaczliwe dążenie do udowodnienia miłości poprzez hojnie rozdawane pocałunki i źle pojętą pobłażliwość wypływa z podświadomej wiedzy, że w rzeczywistości nie kocha ich tak, jak powinna. Problem w tym, że Vicky nie cofnie się przed niczym, usiłując ukryć to przed nimi, przed światem i przed sobą samą. Robi, co może, żeby sprostać własnemu wyobrażeniu o tym, jaka powinna być dobra matka, i w rezultacie te małe zarazy, rozpuszczone jak dziadowskie biczyska, chodzą jej po głowie. To z kolei podważa jej pewność siebie, a im bardziej ją traci, tym bardziej łaknie ich miłości i tym bardziej ich psuje w złudnej nadziei, iż tym sposobem przemieni ich w oddanych synów i córki. Na horyzoncie widzę tylko jeden jaśniejszy promyk, który zresztą może wcale nie być promykiem, a mirażem stworzonym przez moje własne pragnienie, by postrzegać przyszłość w jasnych barwach. Jest możliwe, zaledwie niewykluczone, iż Vicky, w przeciwieństwie do większości rodziców, zacznie sobie lepiej z nimi radzić, gdy będą mieli po kilkanaście lat. Sądzę, że posiada potencjalną zdolność trzeźwej oceny własnych lat młodzieńczych i potrafi z nich wyciągać rozsądne uczciwe wnioski. Tymczasem jednak ma pięcioro kilkuletnich dzieci i jako matka jest bezużyteczna. Mając lotnego i pomocnego męża, Vicky przypuszczalnie byłaby w stanie zapanować nad jednym dzieckiem. Dwoje wystawiłoby na próbę jej małżeństwo, choć przy pewnej dozie szczęścia i tym samym lotnym i pomocnym mężu prawdopodobnie wciąż jeszcze dałaby sobie radę. Jednakże pięcioro to katastrofa, a szóstka to wyraźne zaranie tragedii. Nie wiem, jak my to przetrwamy, ale musimy spróbować. Śmiem twierdzić, że dalibyśmy sobie radę z Postumusem i tym małym, który dopiero ma przyjść na

świat. Bez wątpienia poradzilibyśmy sobie z naszym jedynakiem. Prawda jednak wygląda tak, że powinniśmy być bezdzietną parą. Zawsze to przeczuwałem i dlatego uznałem "liaison" za taki dobry pomysł. Matka i Korneliusz mogą sobie chlipać ze szczęścia na myśl o nowym dziecku, Vicky i ja natomiast w głębi duszy jesteśmy przerażeni. Tego rodzaju myśli są tabu. Ktoś, kto nie chce mieć dzieci, nie jest normalny. Stwierdzenie, że niektóre pary powinny pozostać bezdzietne, godzi w moralność społeczną. Tak więc Vicky i ja zachowujemy nasze wątpliwości dla siebie i udajemy, że bardzo nas to cieszy. Wysyłamy sygnały: "normalny, normalny!" do każdego, kogo napotkamy. - Jesteś pewna, że nie chcesz usunąć tej ciąży? - pytam Vicky po raz kolejny. - Nie mogę. Myślę, że kobiety powinny mieć prawo do decyzji o ewentualnej aborcji, ale wątpię, żebym sama mogła się na to zdobyć, no, chyba że ciąża byłaby wynikiem gwałtu albo gdyby lekarze przysięgali, że dziecko będzie potworkiem. Chodzi o poczucie winy. Przeraża mnie. Bałabym się, że go nie udźwignę. Ma rację. Tak długo przygniatały ją wyrzuty sumienia, że choć pomogłem jej pozbyć się części z nich, nadal nie powinna ryzykować obarczania się dodatkowym ciężarem. Oczywiście niektóre kobiety nie odczuwają wyrzutów sumienia z powodu aborcji, jeśli wszakże ktoś lubi się zadrećzać albo jeżeli już raz został doprowadzony na skraj samobójstwa przez wstyd i poczucie klęski, usuwając płód, sam kładłby głowę pod topór. Podpowiada to zdrowy rozsądek, a jeśli Vicky jest w stanie to pojąć, to ja tym bardziej. - Chcesz, żebym przerwała ciążę, Sebastianie? - Nie. Chcę tego, co będzie dobre dla ciebie, a biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że podjęłaś jedyną właściwą decyzję. Musiałem się tylko upewnić, że nie zmieniłaś zdania, póki wciąż jeszcze masz możliwość wyboru. - Nie mogłabym... nie... - Więc nie rób tego. Masz słuszność. Cieszę się. Damy sobie radę. - Będę go kochać, kiedy się narodzi - mówi Vicky, sięgając do banałów, by odsunąć gnębiące nas troski. - Ja też. To prawda. Będziemy go kochać, co jednak nie zmienia faktu, że jego poczęcie było ogromną pomyłką, która będzie miała dalekosiężne, może nawet tragiczne konsekwencje. Postanawiamy wstrzymać się z urządzaniem własnego domu do czasu narodzin dziecka. Zostajemy na Piątej Alei, a kiedy czujemy, że nie wytrzymamy tam ani sekundy dłużej, wymykamy się i szukamy błogosławionego spokoju w naszym apartamencie. Miło znów się tam znaleźć. Vicky też się cieszy, lecz wkrótce jej radość pierzcha, gdyż wie, że chciałbym się z nią kochać, czuje się nie w porządku, bo sama tego nie chce, i wpada w emocjonalny dołek, w którym przekonanie o własnym nieudacznictwie miesza się z poczuciem winy i wstydem. - Słuchaj - mówię do niej - nic nie szkodzi. Dam sobie radę. Nie umrę z tego powodu. W szkole musiałem wytrwać w celibacie, więc i teraz wytrwam przez jakiś czas. To nic wielkiego. Nie traktuj tego jako obciążenia. Patrzy na mnie zatroskanymi szarymi oczyma i pyta: - Będiesz mnie zdradzał? - Nawet o tym nie myślę. Inne kobiety dla mnie nie istnieją. - Wobec tego jak to wytrzymasz? Czasem jest tak naiwna, że od razu przypomina mi się katastrofa z krążkiem. Wyjaśniam, że ulę sobie zamknięty w łazience. - Sam prawdopodobnie też tak robił, tyle tylko, że ci o tym nie mówił - dodaję, wzruszając ramionami, by zasygnalizować jej, jak dalece ten problem jest błahy, choć równocześnie nie mogę się pozbyć myśli, że to właśnie byłoby podobne do Sama Kellera, gładkiego sprytnego światowca. On śmiało mógłby sobie wmówić, że jej awersja daje mu uzasadniony pretekst do tego, by ją zdradzać. Czuję, jak skóra Sama zaczyna mnie otulać. Nieco uwiera i przy pewnym wysiłku wciąż jeszcze mogę ją z siebie zedrzyć. Nie wejść w skórę Sama Kellera, ponieważ kocham Vicky i niezależnie od tego, co się będzie działo, mam zamiar ją ocalić; chcę zwrócić jej życie, które Samowi nieomal udało się zniszczyć. Dzwonię do Elsy. To głupie, lecz nie mogę się powstrzymać. Muszę wiedzieć, jak się miewa Alfred. Mama mówi, że świetnie, ale ona też nie widziała go od naszego wyjazdu do Reno. Amy Reischman zabrała Elsę z Alfredem na wycieczkę do Europy, z której dopiero co wrócili. - Cześć - mówię. - Nie odkładaj słuchawki. Jak on się czuje? - Świetnie - mówi Elsa i odkłada słuchawkę. Wpadam w złość. Gniew dobrze robi na krążenie. Dzwonię jeszcze raz. - Chcę go zobaczyć. - Ha! Nadzieja jest matką głupich! - parska w pierwszej chwili Elsa,

zaraz jednak ustępu- je i mogę się zobaczyć z Alfredem. Pamięta mnie. Twarzyczka mu się rozjaśnia. Biegnie do mnie, buzia mu się nie zamyka. Nie mówi jeszcze wyraźnie, lecz ja go rozumiem. Spędzam u niego dziesięć minut, patrzę, jak się bawi. Nie spotykam Elsy. Niania wychodzi mi na powi- tanie i później niania odprowadza mnie do drzwi. Po wizycie u Alfreda czuję się o wiele lepiej. Boże Narodzenie zbliża się i mija. Świta nowa dekada. Vicky i ja już nie próbujemy się kochać, ale pozytywnym aspektem naszego małżeństwa jest to, że możemy teraz często wy- chodzić do miasta, nie troszcząc się o detektywów Elsy. Chodzimy do teatrów, galerii i na koncerty, nawet na ostatni film Presleya "Kreolski król", wyświetlany wciąż od nowa po to, by utrzymać fanatycznych miłośników Elvise przy życiu do chwili, gdy ich idol znowu pojawi się na ekranie. Często zaśmiewamy się do rozpuku, prowadzimy ze sobą interesujące rozmowy i w ogóle świetnie się bawimy. Prawie rekompensuje mi to niedostępne życie seksualne, które zresztą podejmiemy po narodzinach dziecka. Na razie do marca... nie, do kwietnia albo nawet do początku maja muszę się zabawiać jak uczniak. Dziecko ma przyjść na świat w marcu, jed- nakże Vicky musi mieć trochę czasu, żeby dojść do siebie po porodzie. Boże, jak to straszliwie długo trwa. 21 marca 1960. Vicky rodzi naszego syna. Jestem szczęśliwy, ale najszczęśliwsi są Kor- neliusz i matka. Mam nadzieję, że nie zamęczą Vicky, która jest blada i wycieńczona. - Nic mi nie jest - mówi, choć widzę, że to nieprawda. Coś dzieje się w jej umyśle. Vicky myśli, myśli, myśli. Znajduje się o milion mil stąd. Nauczyłem ją myśleć. Pokazałem jej widok na świat z innego okna. Pomogłem jej uwie- rzyć, że jest jednostką obdarzoną własnym rozumem. Ironią losu okaże się, jeśli... Nie. Nie wolno mi nawet brać tego pod uwagę. Nie powinienem tak myśleć. Wróć, Vicky. Proszę cię, wróć. Kocham cię i naprawdę wierzę, że się nam uda. Może Sam Keller też kiedyś coś takiego powiedział. Znowu mam wrażenie, że opina mnie jego skóra. Tym razem przywarła na amen i nie mogę jej zrzucić. Czy rzeczywiście nie powiodło mi się lepiej niż jemu? Być może nie. A przecież jestem pewien, że spisałem się lepiej! Kocham Vicky i dlatego mogę ją prze- rzeć na wylot. Nie tylko dostrzegam jej cierpienie, mogę też bez wahania określić jego źródło. Rozumiem ją. Wiem, przez co przeszła. To ja pomogłem jej przetrwać. Czy mógłbym zrobić więcej? A jednak coś poszło źle. Może to ja, nie Elsa, jestem jak ten "idiot savant", który nie po- trafi się podpisać, choć oblicza w pamięci logarytmy? Może i jestem ekspertem w sprawach Vicky, lecz generalnie nie znam się na kobietach - dowodzi tego fakt, że nie doceniłem Elsy. W sprzyjających okolicznościach wykazuję spore jak na amatora zdolności analityczne, ale co mnie popycha, skąd naprawdę wypływa ten niepowstrzymany strumień mojego współczucia, miłości i troski? Być może pragnąłem uleczyć Vicky nie tyle dla jej dobra, co ze względu na siebie. Mo- że, podobnie jak Sam, próbowałem zrobić z niej kogoś, kogo chciałem w niej widzieć - towa- rzyszkę intelektualnych doznań, podniecającą partnerkę w łóżku, kochankę, która sprawi, że będę mógł w pełni cieszyć się życiem. Czy tego pragnęła Vicky? Sądzę, że rola, jaką jej chcia- łem przeznaczyć, przypadłaby jej do gustu; sądzą, że nasz związek miał szansę powodzenia. Jednakże nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że po pierwsze Vicky nadal nie żyje własnym życiem, a po drugie nie jest już moją kochanką. Jest moją żoną, a chyba nie bardziej nadaje się na żonę, niż Sam Keller nadawał się na męża. Czy naprawdę myślę, że prowadzenie dużego domu i użeranie się z bandą dzieciaków będzie jej sprawiać większą przyjemność teraz niż w czasach, gdy była żoną Sama? Nie sądzą. I czy naprawdę uważam, że po odwaleniu tych wszystkich herkulesowych prac zostanie jej choć trochę energii, którą mogłaby poświęcić mnie - więcej niż mogła przeznaczyć na użytek Sama? Nie, tak nie uważam. Zresztą nie chodzi tu o mnie, zapomnijmy o tym na moment. Prawda jest taka, że Vicky nie będzie miała nawet dość sił, by zatroszczyć się o siebie, stwo- rzyć sobie własne życie, o które przez cały czas dla niej walczyłem. Do reszty przytłoczą ją sprawy, które w głębi serca w ogóle jej nie obchodzą, i nie będzie miała nawet okazji się prze- konać, co byłoby dla niej najlepsze. Innymi słowy wbrew wszystkim wysiłkom znajdzie się z powrotem na pierwszej bazie. Gdybyż udało nam się zachować pierwotną formę naszej

"liaison"! Dziś wyraźniej niż kiedykolwiek widzę, że byliśmy stworzeni na kochanków, nie na parę małżeńską, ukształto- wana zgodnie z wymogami naszego plastikowego społeczeństwa. Mimo to jesteśmy małżon- kami, mamy własne dziecko, a pięcioro innych czeka za kulisami. Dla każdego z nas sprawy przybrały zły obrót i oboje o tym wiemy, choć żadne nie mówi tego na głos. Cierpię tak bardzo, że nie jestem w stanie dalej analizować sytuacji; nie mogę dociec, jak ją należy rozwiązać - jeśli w ogóle istnieje rozwiązanie, w co wątpię. Wiem tylko, że pogrą- żamy się w coraz większych kłopotach, w coraz większym cierpieniu i że nasz związek zaczy- na się rozpadać. Wydaje mi się, że bardziej nie można już cierpieć, lecz się mylę. Dziecko zaczyna chorować. Postanowiliśmy nadać mu imiona Edward John. Waży osiem funtów i dwie uncje, jest białoróżowy i zupełnie łysy. Bardzo go polubiłem i jego cho- roba straszliwie mnie niepokoi. Leży w inkubatorze, walcząc o każdy oddech. Doktor mówi, że to błonica. U noworodków błonica jest śmiertelna. Edward John umiera, spędziwszy na świecie sześć dni. Za dużo piję. Poprosiłem matkę, żeby na jakiś czas zabrała dzieci, i oboje z Korneliu- szem zdołali się zmobilizować na tyle, by całe towarzystwo, nie wyłączając siebie, wyprawić do Arizony. Korneliusz kupił ostatnio dom na zimę nie tylko dlatego, że tamtejsze powietrze jest dobre dla astmatyków, ale i dlatego, że nadal się oszukuje, iż niedługo przejdzie na wcześniejszą emeryturę, którą spędzi beztrosko wśród kaktusów. Siedzę sam na Piątej Alei i piję. Potem idę do szpitala na spotkanie z pracownicą socjal- ną i z jej pomocą organizuję mały, bardzo mały pogrzeb dla małej, bardzo małej trumienki. Jes- tem jedynym żałobnikiem i w ciągu paru minut jest już po wszystkim. Wypijam jeszcze trochę i wracam do szpitala, żeby zobaczyć się z Vicky. Trudno mi się odezwać, muszę jednak spróbować. - Koszmar, prawda? - mówię. - Jak sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić? Moglibyśmy wyjechać... ale jeżeli nie masz ochoty na podróżę, równie dobrze możemy zostać w domu. Vicky wpatruje się w kołdrę. W końcu odpowiada: - Chcę być sama, Sebastianie. Tego się właśnie bałem. - Żeby to i owo przemyśleć? - Tak. Żeby to i owo przemyśleć. - Dobrze. Skórę Sama Kellera mam przybitą ćwiekami do ciała. Właściwie już się z nim zrosła. Jes- tem obolały od stóp do głów. Nie wiem, jak wytrzymam ten ból. Zabieram Vicky do naszego mieszkania. - Zadzwoń, kiedy będziesz chciała się ze mną zobaczyć - mówię, całując ją przelotnie w policzek. Kiwa głową. Wychodzę. Wracam do pałacu Van Zale'ów i zastanawiam się, jak długo będę musiał czekać. Dzwoni. Nie widziałem jej od dwóch tygodni. Korneliusz bez przerwy bombarduje mnie telefonami z Arizony i powtarza, że Vicky może się targnąć na życie, bo utrata dziecka za- chwiała jej równowagę umysłową. Ponieważ nie jestem w stanie nawiązać z nim racjonalnej dyskusji, proszę matkę, żeby mu wyjaśniła, iż Vicky chce być sama i nikt, a już najmniej Kor- neliusz, nie ma prawa się jej narzucać. Matka najwyraźniej pojmuję, o co mi chodzi - za co jes- tem jej ogromnie wdzięczny - i obiecuje, że powstrzyma Korneliusza przed pośpieszną wy- prawą na ratunek Vicky. Mam właśnie zamiar wyjść z banku, kiedy odzywa się telefon. - Sebastianie, czy możemy się spotkać w Plaza? Czekam na mnie w holu. Ma na sobie bury płaszcz i nie ułożyła włosów, nie zwijają się więc w loki, tylko opadają delikatnymi falami. Wygląda przez to młodziej i nieoczekiwanie przypominam sobie, jaka była wiele lat temu, kiedy to w Bar Harbor nieświadomie odegrała rolę Julii, a ja poniosłem zupełną klępkę jako Romeo. Zamawiamy drinki w Oak Bar. - Jak się czujesz? - pytam. - Lepiej. Wszystko wreszcie wydaje mi się bardziej zrozumiałe. Siedzimy w kącie. Ja piję zbyt szybko szkocką, Vicky miesza nietkniętego Toma Collinsa. Jej głos brzmi spokojnie, a oczy są suche, lecz wciąż miesza, jak gdyby nie mogła przestać. Nie jest w stanie podnieść na mnie wzroku. - To było potworne - mówi w końcu. - Takie bezcelowe dawać dziecku życie, które trwa ledwie sześć dni. Ten bezsens najbardziej mnie zabolął. Czułam, że muszę się w tym doszukać jakiegoś głę- szego znaczenia. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że przeszliśmy przez to wszystko na próżno. - Tak. Daremnie. Bez Boga. Jasne. Kiedy o tym myślę, mam ochotę wyć. - Wypijam szkocką niemal do dna i kiwam na kelnera, żeby mi przyniósł następną. - Ale to już nie ma

znaczenia. Nic nie ma znaczenia, o ile tylko możemy jeszcze być razem. - Nie to chcę powiedzieć, lecz słowa same się wyrwywają i teraz to ja spuszcza wzrok, wbijam go w swoją szklanke, niezdolny spojrzeć jej w oczy. Słyszę jej głos. - Sebastianie, ja naprawdę na wiele różnych sposobów cię kocham i nigdy nie zapomnę, ile ci zawdzięczam, bo to ty stałeś przy mnie, kiedy byłam w rozpacz, ale... - Nie mów tego. Proszę cię. Nie mów. - Muszę - odpowiada. - Muszę stawić czoło realiom. To kwestia życia i śmierci. Patrzę na nią i po raz pierwszy widzę w niej Korneliusza. Nigdy dotąd nie wydawała mi się do niego podobna. Przypomina go nieco fizycznie, dotąd jednak żadna cecha jej charakteru czy osobowości nie przywołała mi na myśl jej ojca. Przez sekundę widzę nową Vicky, nie, nie nową, a prawdziwą Vicky, osobę, której nikt, nawet ja, nie starał się naprawdę poznać. - Mogłabym się nadal okłamywać - mówi. - Mogłabym stwierdzić, że Edward John przyszedł na świat po to, żebyśmy mogli się połączyć świętym węzłem małżeńskim i żyć potem długo i szczęśliwie. Przez jakiś czas rzeczywiście to sobie wmawiałam, bo w przeciwnym wypadku jego życie i śmierć wydawały się takie bezcelowe, ale stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać, że nie chodzi o to, bym dalej żyła w tych samych starych kłamstwach. Sens jego życia i śmierci polegał na tym, że musiałam stanąć twarzą w twarz z prawdą, która oczywiście... - Wiem, że nie powinniśmy byli go spłodzić, ale... - Nie, chyba nie, choć to nie jest sprawa pierwszej wagi. Najważniejsze jest to, że w ogóle nie powinnam była za ciebie wychodzić. To prawda, że związek z tobą był o wiele bardziej udany niż małżeństwo z Samem, ale to nam nie przeszkodziło wpakować się w identyczne bagno, prawda? Jes- teś taki cudowny, miły i wyrozumiały, że oddaję ci się nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że czuję, iż powinnam. Skądś już to znamy, prawda? Przypuszczalnie lepiej ci było z Elszą niż kiedykolwiek ze mną. - Nieprawda, Vicky. Tak wspaniale jak z tobą nie było mi nigdy z nikim. - Przynoszą mi następnego drinka. Nabieram do ust duży łyk, lecz alkohol ledwie przechodzi mi przez gardło. - Vicky, wie- rzę, że wciąż jeszcze może się nam udać. Jestem pewien, że zdołamy rozwiązać nasze problemy. Przecież tyle nas łączy. - Tak - mówi - tylko seks jakoś nam nie wychodzi. Są po temu aż dwa powody. Gdyby był tylko jeden, może udałoby się nam go przezwyciężyć, ale... - Nie wiem, co masz na myśli - wtrącam. Oczywiście wiem. - Pierwsza oczywista przyczyna jest natury fizycznej: po prostu nie pasujemy do siebie. Na pewno o tym wiesz, niemożliwe, żebyś nie zdawał sobie z tego sprawy. Fizycznie jesteśmy niedobrani. - Tak ci się tylko wydaje, Vicky. - Ale... - To, co mówisz, jest sprzeczne z anatomią. To tylko jeden z tych starych seksualnych mitów, w które wszyscy wierzą, choć żaden nie znajduje potwierdzenia w naukach medycznych. Vicky wzrusza ramionami. - Skoro się przy tym upierasz, nie będę cię przekonywać. Pociągam kolejny łyk whisky. Vicky jeszcze nie tknęła swego drinka. Przed oczyma staje mi Korneliusz, bawiący się od niechcienia kieliszkiem sherry wielkości naparstka w trakcie rozmowy, która wymaga od niego całego kunsztu i zdolności koncentracji. "Skoro się przy tym upierasz, nie będę cię przekonywać". W akcentowanych szorstko sylabach brzmi nieugięty pragmatyzm. Znów przez ułamek sekundy widzę kobietę, która wygląda tak intrygująco znajomo, obcą kobietę, która wie, czego chce. - Vicky... - W porządku, masz prawo się ze mną nie zgodzić. Wobec tego pozwól, że podam ci drugą przyczynę, dla której w łóżku nam nie wychodzi. Po prostu motywy, które mnie do tego skłaniają, są z gruntu błędne. Podobnie było z Samem. Zarówno tobie, jak jemu chciałam w ten sposób powiedzieć: "Pomóż mi, zaopiekuj się mną, sama nie dam sobie rady w życiu". Powiedziałam ci to, kiedy zaszłam w ciążę i wpadłam w panikę, chociaż wtedy słowa te brzmiały: "Chcę wyjść za ciebie za mąż". Sebastianie, muszę się nauczyć stać na własnych nogach. Czy nie rozumiesz, że jeśli nadal będę szukała mężczyzny, który zechce się mną zająć, bez przerwy będę się pakować w te same kłopoty? W rzeczywistości sprzedaję swoje ciało w zamian za ojcowską opiekę. Ciągłe się prostytuuję; nic dziwnego, że tak często czuję obrzydzenie na samą myśl o seksie. To cud, że w ogóle udaje mi się jeszcze pójść z kimkolwiek do łóżka. Muszę się wyrwać z tego zaklętego kręgu, Sebastianie. Muszę się

uwolnić. Nie odpowiadam. Nie potrafię jej odpowiedzieć. Prawdopodobnie ma rację, wiem, że ma rację, lecz co będzie ze mną? Jak mam żyć, skoro Vicky mnie już nie chce? - Ale chyba nie zawsze sprawiałem ci ból? - Przeważnie. - Nie odczuwałaś najmniejszej przyjemności? - Żadnej. Jak brutalna potrafi być prawda. Nic dziwnego, że tyle czasu zajmują nam kłamstwa, wzajemne oszukiwanie się. Niebezpiecznie jest patrzeć prosto w słońce. Słońce może cię oślepić. Do końca życia pozostaniesz kaleką. - Sebastianie... - Nie mów już nic więcej. To nie ma sensu. Cóż więcej można powiedzieć? Kocham ją. Zawsze będę ją kochał i być może któregoś dnia do mnie wróci. Tymczasem jednak istotne jest tylko to, że nie jestem w stanie jej pomóc i że jeśli ją Kocham, powinienem pozwolić jej odejść. Wyciągam z kieszeni pięciodolarowy banknot i zostawiam go na stoliku. Nagle Vicky zaczyna płakać i znów jest dawną Vicky, zagubioną, skonsternowaną i nieszczęśliwą. Znów szuka opiekuna, silnego męskiego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć. To jakiś nawyk, który wykształcił w niej Korneliusz. Teraz już wiem, że powinienem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc jej go przełamać. - Wybacz mi, Sebastianie... Przepraszam, że sprawiałem ci ból... Tak bardzo cię Kocham... Och, Sebastianie, wcale nie chciałam ci tego wszystkiego mówić, chodźmy do domu, spróbujmy jeszcze raz... - W takim razie Edward John rzeczywiście żyłby i umarł na próżno - teraz na mnie kolej, bym uświadomił jej brutalną prawdę. - Jasne, że mnie Kochasz, Vicky, jak siostra brata. I lepiej niech tak zostanie, prawda? Nie dotykam jej. Nie całuję na pożegnanie. Mówię cicho najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogę się zdobyć: - Powodzenia, Vicky. Życzę ci wiele szczęścia. I pamiętaj, gdziekolwiek będziesz i cokolwiek ci się przydarzy, pamiętaj, że jestem z tobą. Vicky chce coś powiedzieć, lecz tylko kryje twarz w dłoniach. Wychodzę. Ból mnie oślepia. Idę, choć nie wiem dokąd. Wstępuję do jakiegoś baru, lecz nie mogę już pić. Chciałbym z kimś porozmawiać, ale nie ma już słów. Wrócić do Elsy? Nie, Elsa już mnie nie przyjmie. Schowałbym dumę do kieszeni, byle tylko móc być z Alfredem, jednakże Elsa jest taka sama jak wszyscy Reischmanowie. Nigdy mi nie przebaczy, że ją opuściłem. Zastanawiam się, jak odtąd będzie wyglądać moje życie płciowe. Może kiedyś w końcu związę się z jakąś kobietą, mimo że w tej chwili zakrawa to na absurd. Nie czuję takiej potrzeby. Od pasa w dół jestem martwy. Idę przed siebie. Wiem, że jest późno, bo na ulicach widzę coraz mniej ludzi. Pora wracać do domu, ale gdzie jest dom? Istnieje miejsce, w którym mieszka Elsa, i takie, w którym mieszka Vicky, i jeszcze inne, w którym mieszka moja matka, lecz żadne z nich nie jest moim domem. Muszę znaleźć jakieś miejsce dla siebie. Najchętniej zamieszkałbym w jednym pokoju jak w mnisiej celi. Zastanawiam się, kto w tej chwili zajmuje strych u Kevina. Chętnie zamieniłbym z Kevinem parę słów. Mam ochotę porozmawiać z człowiekiem, który rozumie, że dwoje ludzi może się Kochać, a mimo to każde z nich mówi w próżnię. Z człowiekiem, który wie, że miłość niekoniecznie zwycięża. Jednakże Kevin jest taki sławny, rozrywany, zajęty. Nie mogę mu się narzucać. Gdzie ja, u diabła, jestem? Zatrzymuję się i rozglądam. Zdaje się, że to Osiemdziesiąta, na zachód od Piątej Alei. Niedaleko Kevina. Znajduję budkę telefoniczną i proszę centralę o podanie numeru. Kevin figuruje w spisach pod pseudonimem Q.X. O'Daly. Pamiętam, jak kiedyś, bardzo dawno, śmiałyśmy się z tego z Vicky. Telefon dzwoni. - Halo? - odzywa się Kevin. - Dobry wieczór - mówię. Słowa więzną mi w gardle, ale podaję mu swoje nazwisko. - A! - Kevin jest przytomny jak zawsze. - Człowiek, który porównał mnie z Johnem Donne'em! Kiedy wreszcie wpadniesz mnie odwiedzić? Chcę być grzeczny i ceremonialny, lecz to ponad moje siły. Pytam tylko: - Może teraz? - Świetnie. Znasz adres, prawda? - Tak. Mówię mu "Do zobaczenia". Potem odkładam słuchawkę i patrzę na zegarek. Jest wpół do drugiej w nocy. Kevin ma na sobie prostą niebieską piżamę i biały szlafrok. Otwiera mi drzwi i od razu mówi, że już parzy kawę. Czy nie mam nic przeciwko temu, że posiedzimy w kuchni? Próbuję go przeproszać, on jednak tylko macha ręką i jakoś udaje mu się stworzyć wrażenie, że jestem mile widzianym gościem. Jego kuchnia jest ciepła i bezpretensjonalna. Mówię to i widzę, że sprawiłem mu radość. Siadamy przy kawie. Nie wiem, co mam powiedzieć - nie jestem nawet

pewien, czy w ogóle mam ochotę się odzywać - ale cieszę się, że siedzę w jasnym pomieszczeniu z kimś, kto jest wobec mnie przyjazny. To lepsze niż samotne błąkanie się w ciemności. - Jak ci leci, Kevinie? - pytam. Muszę się wysilić choćby na kilka słów, skoro on jest dla mnie taki uprzejmy. - Fatalnie - odpowiada. - Moje życie osobiste wygląda jak Hiroshima po wybuchu bomby. A co tam u ciebie? Prawdopodobnie kłamie, lecz to nie ma znaczenia, gdyż sygnalizuje mi coś, co nie ma żadnego związku z powierzchownym znaczeniem tej ekstrawaganckiej deklaracji. Zauważył, że jestem załamany. Przyznaje, że życie bywa czasami upiorne. Mówi, że jeśli chcę się wygadać, wysłucha mnie. Bąkam parę zdań, niewiele, bo cały czas się boję, że zachowam się w sposób niegodny Anglosasa. - Chryste, ta kawa jest okropna! - woła Kevin. - Może przejdziemy na coś mocniejszego? Chce mi zaszerwować coś, co byłoby w stanie mi pomóc. - Dobra - mówię. - Masz jakieś specjalne życzenia? - Nie. Kevin wyciąga butelkę z jakimś ptakiem na etykiecie i rozmowa wkrótce zaczyna toczyć się łatwiej. Nie potrafię się zmusić, żeby powiedzieć mu wszystko, ale to nie szkodzi, Kevin bowiem wiąże moje oderwane zdania i jak nikt inny czyta między wierszami. Wypijamy po następnym kieliszku. - Bez przerwy myślę, co z nią teraz będzie - mówię w końcu. - Czy rzeczywiście zdoła stanąć na własnych nogach? A jeżeli tak, czy nowe życie spodoba jej się bardziej niż stare, z którego zrezygnowała? A w ogóle czym jest dla kobiety niezależność? Czy to nie jest wewnętrznie sprzeczne? Jak kobieta może pogodzić ideę niezależności z biologicznym faktem, że w większości stosunków damsko-męskich obie strony czują się lepiej, jeśli dominującym partnerem jest mężczyzna? - Tak, tylko czy to jest kwestia biologii? - wtrąca szybko Kevin. - Czy tylko uwarunkowanie społeczne? Pamiętam, że dyskutowałem kiedyś na ten temat z moją siostrą Anne... czy kiedykolwiek słyszałeś o mojej siostrze Anne? - Nie sądzę. - Fakt, ostatnio rzadko o niej wspominam. A więc Anne nazywała ten problem klasycznym damskim dylematem i wiele lat temu, kiedy umarł jej mąż... a może wtedy, kiedy od niego odeszła? To stało się niemal równocześnie. W każdym razie siedzieliśmy tu, przy tym stole, i dyskutowaliśmy właśnie na ten temat. Ja przyjąłem postawę optymistyczną: twierdziłem, że jeśli tylko kobieta ma dość odwagi, by być sobą, automatycznie rosną jej szanse na znalezienie mężczyzny, który zaakceptuje ją jako niezależną jednostkę, nawet jeśli jej osobowość kłóci się z ogólnie przyjętym wizerunkiem ideału kobiety. Anne jednak powiedziała, że sam się okłamuję. Uznała moją postawę za naiwny romantyzm, nic więcej. - Twoja siostra Anne wygląda mi na straszną cyniczkę. - Moja siostra Anne jest piękna, dowcipna, inteligentna i utalentowana. Ale uważa, że kobieta, która pragnie być niezależna, odcina się w ten sposób od zdominowanego przez mężczyzn społeczeństwa, w którym dziś żyjemy, ponieważ pozwala ono mężczyznom dać sobie radę najwyżej ze sztucznymi plastikowymi symbolami kobiecości. Tresura, jaką przechodzą, by móc toczyć wojny i gonić za wszechmogącym dolarem, drenuje ich tak, że nie są w stanie sprostać jakiegokolwiek kobiecie mądrzejszej od gadającej lalki. Anne powiedziała mi wtedy, że dopóki nie zmieni się ten schemat, nie zmieni się także stosunek mężczyzn do kobiet, na to zaś nie ma nadziei, dopóki zajmujemy się wojną i walką o dobra doczesne. Kazała mi się modlić o lepszy świat. - I modlisz się? - Nie, uznałem, że ona zrobi to lepiej. Jest teraz zakonnicą, chociaż niech mnie diabli, jeśli wiem, czy poszła do klasztoru, żeby modlić się o lepszy świat, czy dlatego, że doszła do wniosku, iż żaden mężczyzna nie dorasta jej do pięt. W każde święta Bożego Narodzenia jadę do Massachusetts, żeby się z nią zobaczyć, i regularnie co roku z wściekłości upijam się jak bęła. Anne mówi, że jestem za zdrosny o Boga. Może ma rację. Chryste! Napij się jeszcze. - Chętnie. Kevinie, twoja siostra... - Tak, wiem, to tylko zwyczajna więź między rodzeństwem, zwykle "powsze-czasy-póki-śmierci-nas-nie-rozłączy". Niby nic, ale... byłem zadowolony, kiedy jej małżeństwo się rozpadło. To było zaraz po wojnie; kupiłem wtedy ten dom i Anne miała zamieszkać ze mną. Przerobiłem strych, bo swego czasu sporo malowała... Boże, jak mi się podobały jej obrazy! Namawiałem Neila, żeby któryś kupił, ale znasz go przecież, pewnie uważał, że to nie jest dobra

inwestycja... - Mhm. Nie wątpię. - Potem Anne poszła do klasztoru, a ja zostałem z atelier na strychu, tylko że już nie było artystki, która mogłaby z niego skorzystać. Wtedy właśnie rozpoczął się korowód moich słynnych dozorczyń. Naturalnie nie była mi potrzebna dozorczyń, ale nikomu nie wpadło do głowy, że zachowuję się z lekka dziwacznie. To tylko dowodzi, że jeśli człowiek ma dość tupetu, ludzie przyznają mu rację i nikt się niczemu nie dziwi. Niewiarygodne. Czy nikomu nie przyszło na myśl, że ten pomysł to istna bzdura? Widocznie nie. W ogóle nie wiem, dlaczego ci to wszystko opowiadam. Zwykle się nie zwiadam ze swoich większych dziwactw. - Wcale nie uważam tego za dziwactwo. Czy którakolwiek z tych kobiet dorównywała Anne? - Nie, oczywiście, że nie. Zresztą nawet gdybym trafił na taką kobietę, i tak mógłbym ją traktować co najwyżej jak siostrę. Boże, życie to istna katanga! Łodu? - Dziękuję. Słuchaj, Kevinie, a skoro już mowa o twoich dozorczyń, czy w tej chwili ktoś mieszka na strychu? - Nie. Prawdę mówiąc, właśnie mam za sobą katastrofalny kryzys. Moja ostatnia dozorczyń za-kochała się we mnie. Nie potrafię ci opisać, jaki z tego wynikł galimatias. W tym czasie ktoś u mnie mieszkał. Było to dość niezwykle odstępstwo od moich zwyczajów, bo zwykle dostają szalu, jak ktoś mi się płacze pod nogami, kiedy piszę. No i w chwili słabości poszedłem do łóżka z obojgiem, oczywiście nie razem, jestem już za stary na orgie. Pech chciał, że się ze sobą zgadali, a kiedy porównali zapiski, rozpętało się piekło. Najbardziej idiotyczne było to, że właśnie z Betty, moją dozorczyń, żyło mi się bardzo przyjemnie... a raczej nie żyło, jeśli za mną nadażasz, podczas gdy mój drugi gość... sam możesz domyślić się reszty. Sedno całej sprawy polega na tym, że nie jestem zdolny do utrzymania bliskich osobistych stosunków z żadną płcią. To jakiś defekt w moim systemie komunikacyjnym. Porozumiewam się poprzez słowo pisane, nie przez miłość. Mój tak zwany talent to po prostu intratny sposób na zdyskontowanie poważnego kalectwa. - Chryste, Kevinie, gdyby taki talent jak twój był oznaką kalectwa, to padłbym na kolana i modlił się, żeby na świecie było więcej kalek! - Cóż za bezwstydne pochlebstwo! Uwielbiam słuchać takich rzeczy. Napijmy się jeszcze po jednym. Śmieję się, a on śmieje się ze mną. Czy możliwe, żebym się śmiał? Tak, możliwe. Nie wolno mi tylko myśleć o Vicky, wówczas bowiem znów zaczniesz boleć. O Boże. - A właściwie dlaczego pytałeś, czy mam wolny strych? - odzywa się Kevin, ponownie napełniając szkło. - Zastanawiałem się, czy mógłbym go na jakiś czas od ciebie wynająć. Nie bardzo mam się gdzie podziać. Obiecuję, że będę cicho jak myszka i nie sprawię ci kłopotu. - Nie ma sprawy. Jeżeli zrobisz się dokuczliwy, wywalę cię za drzwi. Jasne, że możesz się wprowadzić na strych. Chyba powinienem już sobie dać spokój z tymi dozorczyń. - Ile mam ci płacić? - Nie bądź śmieszny. Od czasu do czasu kup mi flaszkę bourbona w miejsce tych, które spija twój ojczym. - Często tu zagląda? - Mniej więcej raz w miesiącu. Po śmierci Sama uznaliśmy obaj, że czasem dobrze człowiekowi robi rozmowa z przyjacielem o ponad trzydziestoletnim stażu. Widzisz, po pięćdziesiątce człowiek staje się obrzydliwie sentymentalny. - Ciekawe, co sobie pomyśli, kiedy się dowie, że mieszkam u ciebie! - Będzie się domyślał najgorszego - mówi Kevin z miną pokerzysty. Znów się śmiejemy i znów jestem zdumiony, że potrafię się śmiać. Jestem mu głęboko wdzięczny, chociaż nie wiem, jak mam swą wdzięczność wyrazić. Wiem tylko, że nie mogę nadużywać jego gościnności. Wstaję i zbieram się do wyjścia. - A ty dokąd? - dziwi się Kevin. - Mówiłeś, zdaje się, że nie masz się gdzie podziać? - No cóż, zawsze mogę pójść na Piątą Aleję... - Wybij to sobie z głowy. Powieszysz się z rozpaczą, zanim jeszcze dobrze przekroczysz próg. Na poddaszu jest w tej chwili straszny bałagan, ale mam dwa pokoje gościnne. Możesz z któregoś skorzystać. Korzystam. Zostaję sam; siadam i myślę, że zrozumienie jest jak miłość: nieważne, gdzie, kiedy i z kim cię łączy, póki trwa, bo jeżeli go nie znajdujesz, umierasz. Będę żył. Kładę się na łóżku i myślę: "Na pewno nie zasnę". Ale zasypiam. Część piąta Scott 1960-1963 Rozdział pierwszy 1 Telefon. - Scott? Tu Korneliusz. Znasz ostatnie wieści w związku z tą aferą z Sebastianem? Chce podjąć pracę w londyńskiej filii. Mówi, że lepiej będzie, jeśli na jakiś czas wyjedzie z kraju, i ja

osobiście jestem za tym. Nie chcę, żeby mi się tu pętał i denerwował Vicky, chociaż Alicja do- staje hysterii na samą myśl, że miałby zamieszkać tak daleko, a o Vicky wyraża się bardzo cier- pko. Cholera mnie bierze, kiedy tego słucham... ..Jeśli chcesz wiedzieć, atmosfera jest straszna i w ogóle mam wrazenie, że za chwilę zwariuję. Wszystko byłoby prostsze, gdybyśmy z Alicją wiedzieli, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło, ale nikt nic nie mówi, nikt nam niczego nie tłumaczy i musimy się bawić w zgady- wanki... ..Myślisz, że to ma coś wspólnego z seksem? Wiesz, jeśli dwojgu ludziom dobrze się układa, a jednak czują, że powinni się rozejść, czy to nie oznacza, że mają problemy w łóżku? Chryste, ten Sebastian to potwór! Najpierw porzuca Elbę, potem Vicky... widać, że jest seksu- alnie niestały. Nigdy ci tego nie mówiłem, Scott, ale kiedyś zdarzyły się dwa nieprzyjemne in- cydenty, jeden w Bar Harbor, a drugi tu, w Nowym Jorku... Co mówiłeś? Tak, wiem, że to Vicky od niego odeszła i z pozoru Sebastian jest niewinny, ale czy moja mała miała inne wyj- ście, kiedy się okazało, że poślubiła zbrodnicę? Co powiedziałaś? Och, przestań, na litość boską! Co ty w ogóle wiesz o małżeństwie? Jesteś czterdziestoletnim kawalerem, który nigdy z nikim się nie związał! A idź do diabła! - krzyknął Korneliusz ze złością i trzasnął słu- chawką. 2 Pięć minut później zadzwonił jeszcze raz. - Cześć, Scott, to znowu ja. Przepraszam, że cię zrugalem. Prawdę mówiąc, jestem tak skołatany, że nie mogę się skupić. Vicky poszła do tego swojego mieszkania przy Sutton Pla- ce, Alicja się do mnie nie odzywa, Kevinowi nie mogę się zwierzyć, bo jest po stronie Sebas- tiana, a mnie tylko zasuwa hasła w rodzaju: "Neil, odpieprz się, na miłość boską, i zajmij włas- nymi sprawami!" Przecież to jest moja sprawa! To mój wnuk umarł i moja córka ma złamane serce, a moja żona... zresztą nie mówmy o Alicji. Próbowałem to wyjaśnić Kevinowi, ale on odłożył słuchawkę, a wtedy poczułem się taki zgnębiony, że automatycznie wykręciłem twój numer... Co? W szachy? Wiesz, Scott, wstyd mi cię prosić, bo zdaję sobie sprawę, jak jest późno, ale... Przyjdiesz? To cudownie z twojej strony i naprawdę jestem ci wdzięczny. Boże, czasem się zastanawiam, co ja bym zrobił bez ciebie... 3 - To chyba już ostatni prywatny dom na Piątej Alei, nie? - odezwał się taksówkarz po kolejnych pięciu minutach. - Ja cię kręcę, ale musieli mu przyłądować podatek! Ciekawe, skąd bierze na to, żeby tu mieszkać? Na jego miejscu sprzedałbym to wszystko w cholere facetom od nieruchomości, wyniosłbym się do Miami i przez cały boży dzień byczył się na słońcu... Kierowca terkotał dalej, bezmyślny, nieczuły, całkowicie nieświadom, że jest tylko mikroskopijnym strzępkiem uwieczonym w kaftanie bezpie- czeństwa czasu. Scott też żył w czasie, lecz ja byłem ponad to. Scott widział obskurne wną- trze taksówki i słyszał latynoski akcent kierowcy, ja natomiast widziałem wielkie bramy zam- czyska Van Zale'ów i myślałem jak tyle razy przedtem: "I oto rycerz Roland do Mrocznej przybył Wieży..." To Scott wszedł do domu, kiedy otwarto przed nim drzwi, ale ja jak zawsze byłem ra- zem z nim i pozostając dla wszystkich niewidzialny, obserwowałem chłodno jego świat zza je- go uśmiechniętych oczu. - Scott! Cieszę się, że przyszedłeś! - Korneliusz, opatulony w trzy swetry, kulił się przy elektrycznym kominku na końcu biblioteki z książką Harolda Robinsa. W pokoju było co naj- mniej trzydzieści stopni. - Czego się napijesz? Coli? 7-Up? Piwa korzennego? Widok Korneliusza znów przypomniał mi portret świętego Jana na obrazie Masaccia pod tytułem "Grosz czynszowy". Według Masaccia święty Jan jest piękny. Ma wijące się złote włosy, szare oczy i wspaniale rzeźbione rysy, jednakże mimo tej oszałamiającej urody twarz jest bezwzględna, powieki złośliwie przymrużone. Masaccio uległ humanizmowi Odrodzenia, choć równocześnie brutalnie skaził swą idealistyczną wizję zaciekłym despotyzmem Medyceu- szy. - Zimno, nie? Chciałbym być teraz w Arizonie, ale Bóg jeden wie, kiedy znów będę się mógł wyrwać. Alicja oświadczyła mi bez ogródek, że jej się tam nie podoba i że nie ma zamia- ru przebywać tam dłużej niż dwa tygodnie w roku, tak więc zdaje się, że moje marzenia o wcześniejszej emeryturze i przeprowadzce na ranczo mogą sobie schować do kieszeni... A zresztą to i tak bez znaczenia. Doszedłem właśnie do wniosku, że Bóg nie stworzył mnie po to, żebyśmy żył w Tucson w stanie Arizona, podobnie

jak nie stworzył mnie dla Velle- trii w Ohio. Prawdę mówiąc nie wiem, co mógłbym tam robić, żeby nie umrzeć z nudów. Pewnie w końcu otworzyłbym jakieś muzeum sztuk pięknych, choć wątpię, czy sprawiłoby mi to taką przyjemność jak nowojorska galeria... W gruncie rzeczy w tej głuszy nie ma nic, co nawet w przybliżeniu mogłoby się równać z Nowym Jorkiem, a poza tym... co ja bym robił bez banku? Chyba jednak na razie dam sobie spokój z tą emeryturą... Tak, przyznaję, że po śmierci Sama chciałem się ze wszystkiego wycofać i zacząć pro- wadzić ciche, spokojne życie rodzinne gdzieś na dalekiej prowincji, ale chyba musiałem być w szoku, bo dziś wydaje mi się to zupełnym absurdem. Jeżeli astma zmusi mnie do rezygnacji z pracy, w porządku, trudno, ale dopóki mam jeszcze czas... Jasne, wiem, że pieniądze i władza mają w rzeczywistości bardzo niewielkie znaczenie, ja jednak całe życie poświęciłem bankowości, a poza tym, niech mnie diabli, przecież ktoś mu- si zarządzać bankami w tym kraju. Gdyby Bóg nie chciał, żebym był bankierem, po co stwa- rzałyby mnie takiego, jakim jestem? Skoro Bóg daje nam konkretne uzdolnienia, naszą sprawą jest wykorzystać je najlepiej, jak potrafimy. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mam moralny obowiązek pracować dalej. - Korneliuszu, nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać, a zwłaszcza wtedy, gdy zaczynasz się wgłębiać w problemy metafizyczne! Może byśmy tak ustawili figury? Minęło pół godziny. Opróżniliśmy dwie butelki coca-coli, łagodne światło lampy spływa- ło na figury z kości słoniowej ścigające się po szachownicy. - Nie jesteś na mnie zły, Scott? - Dlaczego miałbym być na ciebie zły? - Bo odkładałem tę emeryturę. - Nie. Widzę, że wybierasz wyjście, które jest najlepsze dla ciebie i dla banku. Trudno, bym się spodziewał, że postąpisz inaczej. - No cóż, mimo to chcę być uczciwy. Nadal chcę... Mam szczerzy zamiar być sprawied- liwy i hojny. Chciałbym, żeby wszyscy byli zadowoleni. - To doprawdy chwalebny cel! - Nie śmieję się, Scott! Mówię poważnie. Posłuchaj, jak ja to widzę: mam pięćdziesiąt dwa lata i jeśli nie podupadnę na zdrowiu, myślę, że mogę pracować jeszcze do sześćdziesiąt- ki. Wtedy dam sobie spokój, wycofam się z bankowości i będę działał tylko w Fundacji Sztuk Pięknych i organizacjach charytatywnych, słowem, ograniczę się do dobrych uczynków, jeżeli rozumiesz, co ma na myśli... - Mhm. - ...a bank przekażę tobie. Kiedy ja skończę sześćdziesiąt lat, ty będziesz miał zaledwie czterdzieści dziewięć. Zrobię jedynie zastrzeżenie, że dziedziczyć po tobie będą moi wnuko- wie, ale to cię chyba nie rani, prawda? Nie masz własnych synów, więc możesz z nich zrobić swoich spadkobierców, tak jak ja uczyniłem z tobą. Widzę w tobie kogoś w rodzaju dobrotli- wego regenta w okresie bezkrólewia na tronie Van Zale'ów... to chyba właściwe rozwiązanie, zgadzasz się ze mną? - Zgadzam. Twój ruch, Korneliuszu. Koń skoczył do przodu i w bok. Pionek wysunął się naprzód, żeby chronić królową. - W rzeczywistości sprawa wygląda tak - ciągnął Korneliusz - że chciałem się wycofać tuż po śmierci Sama, ale wtedy po prostu nie było to możliwe. Chyba też zdawałeś sobie z te- go sprawę. Potrzebny mi był pierwszorzędny fachowiec, który zatroszczyłby się o bank dla moich wnuków, a kiedy Sam umarł, w układzie sił powstała luka, bo to on był najlepszy. Po- tem w rezultacie posunięć pozostałych współników na sam szczyt wspiął się ty, ja jednak wciąż miałem związane ręce. Nie mogłem po prostu pominąć Sebastiana, jeśli nie chciałem zniszczyć małżeńskiej harmonii, którą na nowo osiągnęliśmy z Alicją. Nie byłoby problemu, gdyby Sebastian był głupcem, ale, jak obaj wiemy, głupcem nie jest. Jest bardzo kompetentny i zdolny. Aż do tej chwili nie mogłem znaleźć pretekstu, żeby go odsunąć, teraz natomiast... - Korneliusz wykonał mało znaczący ruch wieżą - teraz będzie mi łatwiej. - Rozumiem. - Zatrzymam Sebastiana w Europie, dam mu spory fundusz na wydatki i wolną rękę w interesach, a Alicja nawet się nie domyśli, że został wpuszczony w maliny. Na jej użytek mogę nawet stworzyć wrażenie, że w rzeczywistości był to awans, ale wszystko musi potwać, Scott, i właśnie dlatego koniecznie muszę mieć trochę więcej czasu, żeby skutecznie uniesz- kodliwić Sebastiana, zanim przekażę ci władzę. Chyba możesz się zdobyć na cierpliwość? To leży tak samo w twoim interesie jak w moim. - Oczywiście. - Przyjąłeś mądrą taktykę w stosunku do Sebastiana! Zauważyłem, że zawsze starałeś się z nim

utrzymywać przyjacielskie stosunki. Twój ruch. - Może cię to zaskoczy, Korneliuszu, ale ja naprawdę lubię Sebastiana. Korneliusz roześmiał się dobrodusznie, jak gdyby właśnie usłyszał świetny dowcip, po czym dodał ciepło: - Mój Boże, Scott, ale z ciebie spryciarz! Zauważyłem, że mimowolnie zaciska dłonie - czekał, kiedy popełnię pomyłkę, która da mu przewagę w grze. Czas upływał. Nad Central Parkiem zaczęło świtać; niebo, widoczne przez szczelinę w ciężkiej pokrywie chmur, zmieniło barwę z czarnej na granatową, potem na lazurową, a w końcu bladobłękitną. Cienka, delikatna skóra Korneliusza zaróżowiła się z podniecenia; światło wyłuskiwało srebrne nitki z jego włosów i odbijało się w błyszczących oczach. - Szach i mat! Mam cię, Scott! - Cholera! Śmiech. Król przewrócił się na szachownicę. - Oto chwila prawdy! - rzekł rozpromieniony Korneliusz. - Zaiste. "Rycerz Roland do Mrocznej przybył Wieży..." - Nigdy nie mogłem zrozumieć tej historii - powiedział Korneliusz, otwierając dwie ostatnie butelki coca-coli. - Przypomnij mi, jak to było. Mówiłeś, że Roland był na jakiejś wyprawie, chociaż czytelnik do końca się nie dowiaduje, co to była za wyprawa. Nie uważasz, że to irytujące, że nie wiemy dokładnie, o co mu właściwie chodzi? Potem rycerz dociera do Mrocznej Wieży i myśli: "To jest to!", i widzi swoich dawnych towarzyszy, którzy spoglądają na niego ze zbocza góry, ale żaden z nich już nie żyje. Lekko upiorne, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Rycerz przytyka do ust róg i dmie w niego, i na tym rzecz się zamyka. Ale dlaczego Browning właśnie w tym miejscu zakończył swój poemat? W ogóle to do mnie nie trafia. - Roland napotkał swoje przeznaczenie w chwili, gdy podniósł róg do ust. - Ale co było mu przeznaczone? - Życie lub śmierć. Być może śmierć. Kiedy Galahad osiągnął cel swej wyprawy, umarł. T.H. White jest zdania, że kiedy człowiek osiąga doskonałość, umiera, ponieważ nie ma już nic, do czego mógłby dążyć. - Phi! Zwykle metafizyczne bzdury! Masz obsesję na punkcie śmierci, Scott, i na tym polega twój problem! - Czyż każdy jej nie ulega, świadomie lub podświadomie? Ostatecznie, jak powiedział Spencer: "Wszystkie rzeczy marnieją i znajdują swój koniec". - Ależ to cholernie przygnębiające! Nie lubię, jak mówisz w ten sposób. Mam wrażenie, że mówi przez ciebie ktoś inny, kto tylko pożyczył sobie twój głos... O Jezusie, no sam posłuchaj! Wygaduję wierutne bzdury; chyba mnie zaraziłeś tym swoim wisielczym nastrojem! Dobrze, Scott, myślę, że teraz obaj powinniśmy się trochę zdrzemnąć. Jeszcze raz ci dziękuję, że przyszedłeś. Naprawdę to doceniam. Na razie. - Na razie, Korneliuszu - odpowiadam głosem Scotta i wychodząc myślę o przyszłości, w której kiedyś odwiedzę Korneliusza jako prezesa świeżo przekształconego w spółkę akcyjną imperium Sullivana. On będzie wtedy emerytowanym współnikiem skulonym w fotelu na kółkach, jego wnukowie zaś zasilą szeregi wałęsających się po Wall Street bezrobotnych. "Witaj, Scott" - powie, lecz w myślach nazwie mnie imieniem mego ojca, w istocie bowiem będę jego duchem czekającym, by go wyprowadzić z oświetlonej sali życia. W tej posępnej przyszłości Korneliusz zobaczy przeszłość napisaną od nowa moją ręką, jego triumf spłonie w apokaliptycznej pożodze, a porażka ojca zamieni się we wspańnię zwycięstwo. 4 Słońce sączyło się ze szpitalnego okna wprost na łóżko Emily. Parę dni wcześniej wycięto jej kamienie żółciowe. Włosy miała już całkiem siwe, twarz pobrużdżoną, wychudłą i zapadniętą. - Scott, najdroższy, jak to miło z twojej strony, że przejechałeś taki szmat drogi, żeby spędzić weekend w Velletri! Jestem ci naprawdę wdzięczna. Przepraszam za ten ponury telefon, wiesz, zanim jeszcze poszłam do szpitala. Dziwne, miałam silne przeczucie, że już stąd nie wyjdę. To oczywiście głupota, choć prawdę mówiąc, nie cierpię szpitali... Cóż, nie wolno mi więcej myśleć o śmierci. Powiedz, co u ciebie słychać? Aż się boję pytać, jak potoczyły się sprawy w Nowym Jorku? - Już jest lepiej. Sebastian wyjechał do Europy, a Alicja chyba wreszcie pogodziła się z faktem, że nie jest im w stanie pomóc w po sklepaniu tego małżeństwa. Vicky postanowiła zamieszkać osobno i właśnie szuka domu, który byłby na tyle duży, żeby pomieścić dzieciarnię i służbę. - Tak mi przykro, że w żaden sposób nie mogę pomóc tej dziewczynie. Mam wrażenie, że ostatnio oddaliła się ode mnie tak samo jak Korneliusz. Prawdę mówiąc, nie powinnam w

ogóle myśleć o Korneliuszu, bo tylko się denerwuję. Zrobiłam dla niego, co mogłam, więcej już nie zdołam. Żałuję tylko, że nie mogę nic zrobić dla Vicky, i dla ciebie także, Scotcie. O, tak! Często mam uczucie, że cię zawiodłam. - Zawiodłaś mnie? Ty? W życiu nie słyszałem podobnych bredni! - Gdybym tylko była doroślejsza, kiedy wyszłam za Steve'a, na tyle dorosła, by zastąpić ci matkę! Ale nie zdążyłam do tego dojrzeć, prawda? Byłam starsza od ciebie zaledwie o kilka lat i traktowałeś mnie jak królewnę z bajki, a gdy Steve odszedł, w ciągu jednej nocy zmieniłam się w heroinę dramatu. Powinnam była wtedy coś powiedzieć, wytłumaczyć ci, powinniśmy byli usiąść we dwoje i przynajmniej raz szczerze porozmawiać... - Emily, proszę! Przestań się dręczyć! - ...ale milczałam. Pozostawiłam wszystko w rękach Korneliusza. Byłam słaba, tchórzliwa, pochłonięta swoją własną tragedią; pozwoliłam, żeby cię wykorzystał, użył do wypełnienia pustki w swoim życiu... - Emily, dlaczego mówimy o tym jak o jakiejś straszliwej katastrofie? Przecież wszystko skończyło się dobrze! - To się nie skończyło. To wszystko trwa i właśnie dlatego prowadzisz to anormalne życie. O, nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co się dzieje! Jak tylko przeczytałam list Tony'ego... - Na litość boską, zapomnijmy wreszcie o tym liście! - Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jakie uczucia musisz żywić do Korneliusza! - Ależ, Emily, moje uczucia do Korneliusza naprawdę są tu mało istotne... - Musisz mu przebaczyć, musisz! Inaczej nigdy nie pogodzisz się z sobą, nigdy nie zdołasz się na to, żeby żyć normalnie... - Emily, przykro mi to mówić, ale absolutnie nic nie rozumiesz. Zapadła cisza. Po chwili Emily z irytacją wzruszyła ramionami i odwróciła się twarzą do ściany. - Skoro nie potrafisz być ze mną szczerą, chyba nie ma sensu, żebyśmy dalej ciągnęli tę rozmowę. - Ale tak właśnie jest! Nienawiść do twojego brata nie jest siłą napędową mojego życia. Sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż może ci się wydawać na podstawie prostej analizy faktów. - Nie rozumiem. Milczałem. - Czy możesz mi to wyjaśnić? Nadal milczałem. - Och, Scotcie! - powiedziała z rozpaczą Emily. - Jaka szkoda, że nie chcesz ze mną rozmawiać! Czy doprawdy nikomu nie potrafisz się zwierzyć? Nie mogę znieść myśli, że żyjesz tak, jak gdybyś się znalazł na bezludnej wyspie! - Ale ja lubię być sam! - To nie samotność - przerwała mi. - To izolacja. To śmierć za życia. - No cóż, to ty tak uważasz, Emily, i jestem pewien, że masz do tego prawo, ale pozwolisz, że się z tobą nie zgodzę. A teraz proszę cię, porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym... 5 Emily umarła tydzień później z powodu niewydolności płuc. Wielki rodzinny pogrzeb odbył się w Velletrii. Korneliusz płakał. Ostatnia osoba związana z jego przeszłością odeszła spośród żywych i było to tak, jakby owego dnia jakaś część jego samego została pogrzebana wraz z Emily na tym zaściankowym przedmieściu, którym zawsze pogardzał. - Z prochu powstałeś - rzekł pastor - i w proch się obrócisz. Powróciły wspomnienia - wspomnienia złotowłosej kochanej Emily, która wiele lat temu zmieniła pusty dom w miejsce, gdzie byliśmy szczęśliwi; wspomnienia lat dawno minionych, lecz nie zapomnianych czasów, kiedy śmierć wydawała się równie daleka jak śnieg w środku lata, ból i cierpienie zaś koił spokój. Znów powiał zimny wiatr. Oczy Scotta widziały słoneczny blask chłodnego przedwiosennego dnia, moje patrzyły w ciemność, a wielki zegar wybijał południe. W świetle Scotta pastor odczytywał modlitwy za zmarłych, lecz choć słyszałem słowa, nic dla mnie nie znaczyły. Znajdowałem się w innym czasie, zanurzony w najgłębszych pokładach świadomości, gdzie utrwaliła się odziedziczona po ojcu pamięć przodków; gdzie zapisał się odmienny kodeks moralny. Krew zmywa się krwią, przemoc przemocą; chrześcijaństwo to tylko fornir, warstewka cywilizacji jest zaledwie naskórkiem, wewnątrz zaś w beczkowej, chaotycznej ekstazie niepodzielnie panuje ciemność. Scott stał nad grobem w czarnym garniturze, z pochyloną głową, połączony w modlitwie z innymi żałobnikami, ale ja byłem teraz gdzie indziej, uciekałem od swego żalu, odpływałem od niego w inny świat - świat mojej samotności, moich marzeń. 6 Kiedyś śniłem, że jestem rycerzem z filmu Bergmana "Siódma pieczęć". Rycerz grał w szachy z zakapturzoną Śmiercią na wspaniałym opustoszałym brzegu i nim Śmierci przypadło

nieuchronne zwycięstwo, rycerz ubłagał ją o trochę więcej czasu. Często miałem wrażenie, że ja też błagam Śmierć o czas. Tak bardzo się bałem, że umrę, zanim zdołam urzeczywistnić swe ambicje - albo też zanim moja wyprawa dobiegnie końca, jak powtarzałem w marzeniach, zrzucając z siebie zbroję Bergmanowskiego rycerza i przeis- taczając się w Rolanda, bohatera poematu, którego sens próbowałem wyjaśnić Korneliuszowi. Czasami nawet na jawie czułem się tak, jak gdybym odtwarzał mit, mit średniowiecznego rycerza, który poświęca swe życie dążeniu do osiągnięcia jakiegoś wielkiego duchowego celu, i choć ową mityczną wizję samego siebie starannie oddzielałem od własnej rzeczywistości, wiedziałem, że spotykają się we śnie, i czułem, że kiedyś być może zetkną się i stopią w godzinie brzasku. Moja fascynacja Rolandem Browninga częściowo wynikała z pogłębiającego się przekonania, iż pewnego dnia będę musiał stanąć przed własną Mroczną Wieżą i podobnie jak Roland podnieść róg do ust. Zostanę zmuszony do jakiegoś wielkiego gestu, poprzez który dopełni się moje przeznaczenie, a cel wyprawy zostanie osiągnięty. Lecz to były moje rojenia, a świat mej samotności, moich snów, znajdował się daleko od świata Scotta Sullivana, prozaicznego, drobiazgowego bankiera, który zawsze pamiętał o urodzinach sióstr, cierpliwie wysłuchiwał Korneliusza drącego szaty nad coraz bardziej pogmat- wanym prywatnym życiem Vicky i sumiennie brał udział we wszystkich rodzinnych spotka- niach organizowanych z okazji ważniejszych świąt. - Halo, Scott, mówi Alicja. Przyjedziesz do nas jak zwykle w Święto Dziękczynienia? - ...wpadniesz na Wigilię? - ...Wielkanoc? - ... Czwartego Lipca? Świąta przesuwają się jak w kalejdoskopie. Mozolnie upływały lata. Kryzys z roku 1960, kiedy to Vicky opuściła Sebastiana, odchodził coraz głębiej w przeszłość. Minął rok 1961, po- tem 1962. A w 1963... - Cześć, Vicky! jak się masz? - Cześć, Scott! Co słyhać dobrego? Puste słowa, wymieniane przez obcych sobie ludzi, luźno związanych przez dziesiątki lat. Patrząc na Vicky oczyma Scotta widziałem tylko córkę Korneliusza Van Zale'a, nerwową, niezadowoloną z życia kobietę, która brutalnie rozwiodła się z kochającym mężczyzną, a teraz marnuje sobie życie, włócząc się po eleganckich nocnych klubach na Manhattanie. Korneliusz od dawna przestał czytać gazety, zamieszczające plotki towarzyskie, a ostatnio - ku mej bez- miernej uldze - uznał, że nie będzie ze mną dyskutował na temat swojej córki. - Jak się czuje tatuś? - spytała. - Dawno go nie widziałam. - Znakomicie. Po kilku miesiącach rozterki Korneliusz przeprowadził się na dwudzieste piętro nowego czynszowego budynku przy Piątej Alei. Przeprowadzka wynikała częściowo z wściekłości - Vicky oznajmiła, że nie będzie z nim mieszkać w posiadłości Van Zale'ów - częściowo prze- ważył pragmatyzm: z ekonomicznego punktu widzenia utrzymywanie prywatnego lenna prze- stało mieć sens. Podejrzywałem także, iż na zmianę nalegała Alicja, a po zamieszeniu związa- nym z wyjazdem Sebastiana do Anglii Korneliusz wyłaził ze skóry, żeby się jej przypodobać. Pałac, w którym pozostała jedynie ochrona, został przekazany pod zarząd Fundacji Sztuk Pięknych Van Zale'a i wkrótce miał zostać udostępniony dla zwiedzających. Plotka głosiła, że ceremonii otwarcia miała przewodniczyć sama pani Kennedy. - Pewnie Korneliusz i Alicja świetnie się bawią, urządzając nowe mieszkanie - zauważy- łem. - Tak, choć trudno ręczyć za wynik tej zabawy, bo tatuś ma taki fatalny gust! Czy wi- działeś te jego okropne nowe szachy, w których każdy pionek jest astronautą? Specjalnie je zamówił, żeby uczcić przemówienie prezydenta na temat podboju Księżyca. - Nie tylko je widziałem, grałem nimi! Cóż, wybacz, że cię opuszczę... Hałaśliwe przyjęcie toczyło się nadal. Dla niepijącego była to nuda, strata czasu, pienię- dzy i zbędny wysiłek, mimo to długo pamiętałem roześmianą, otoczoną wiankiem mężczyzn Vicky z ręką wyciągniętą po podawane jej przez gospodarza martini. Rozdział drugi 1 - Śmiesz mi to, jak Kevin kursuje do Waszyngtonu i składa hołdy Kennedym w tej ich uwspółcześnionej wersji Kamelotu - powiedział Jake Reischman w trakcie pogawędki, któ- ra zawsze poprzedzała rozmowę o interesach. - W gruncie rzeczy śmiesz mi myśl, że ci Ir- landczycy zachowują się jak rodzina królewska. Pamiętam jeszcze z młodych lat czasy, kiedy

Joe Kennedy w rekordowym tempie dorabiał się forsy na Wall Street... Zamówiłem pół butelki wina, nie całą, i proszę przynieść jeszcze jedno piwo imbirowe dla pana. Co się ostatnio dzieje z tymi restauracjami? Nie potraficie przyjąć zamówienia? Te małże są twarde, proszę je za- brać. Kiedy Jake chciał zaprosić kontrahenta na lunch, wybierał nieodmiennie którąś z wy- twornych śródmijskich restauracji, gdzie jego despotyczne zapędy znajdowały szersze pole do popisu niż w jego własnej bankowej sali jadalnej lub jednym z klubów obarczonych brze- mieniem jego członkostwa. 'w tęgi łysiejący mężczyzna w średnim wieku bez wysiłku rozta- czał wokół siebie aurę lodowatego niezadowolenia. - Nie widzę nic dziwnego w tym, że Kevin pragnie wpuścić do Waszyngtonu powiew kultury, Jake. Gdy Celtowie zdobywali władzę, zawsze zwracali się w stronę sztuki. Dlatego właśnie pisarze i artyści osiągnęli najwyższy status w celtyckich społeczeństwach. - Chcesz powiedzieć, że powinienem łaskawie przyznać, że to błogosławiona odmiana po anglosaskich filistynach, którzy poprzednio zajmowali Biały Dom? Dobrze zatem, będę wspaniałomyślny. Ale moim zdaniem pod tym pieczołowicie kreowanym celtyckim image'em nie ma nic prócz typowo amerykańskiej obsesji na punkcie bogactwa i władzy. A skoro już mówimy o wszechmogącym dolarze... Przygotowałem się w duchu na rozmowę o in- teresach. - ...czuje się w obowiązku stwierdzić, że jestem poważnie zaniepokojony przyszłością stosunków między naszymi bankami. Nawiązuję, jak zapewne się domyślasz, do działań waszej filii w Londynie. Jake miał na sobie szary garnitur w takim samym odcieniu jak niebo za wielkimi oknami restauracji. Jego oczy także wydawały się szare, ale było to złudzenie, spowodowane grą światła; zwykle miały bladawy kolor przywodzący na myśl błękitne, mokro połyskujące ka- mienie. Gdy mówił, jego krótkie niekształtne palce zajęte były kruszeniem bułki; w słodkim jak miód głosie przebijało stalowe ostrze, zdolne nawet komplement przyprawić smakiem groźby. - Minęły trzy lata, odkąd Neil wyprawił Sebastiana do Londynu, i co się dzieje? Sebas- tian zostaje szefem - nie mam wątpliwości, że Neil się o to postarał, żeby udobruchać Alicję - a potem, zanim ktokolwiek się zdążył obejrzeć, robi, co w jego mocy, żeby wypchnąć z rynku moje londyńskie biuro! Możesz powiedzieć swemu pracodawcy, że mam już dość przygląda- nia się, jak Sebastian Foxworth podkupuje moich klientów. Jestem wściekły! - To prawda, zdarzył się jeden dość niefortunny incydent... - Nie pleć bzdur. Wydarzył się cały szereg bardzo nieprzyjemnych zajść. Przekaż Neilo- wi, że chcę, aby odwołał Sebastiana do Nowego Jorku i tu ostatecznie przykrócił mu cugli. Wiem, że na próżno oczekiwałem, iż go zwolni. Boże, kto by przypuszczał, że Neil okaże się takim pantoflarzem! Maître d'hôtel pojawił się znowu z wypełnioną do połowy butelką wina i szklanką imbi- rowego piwa. Za nim przybiegł kelner ze świeżym półmiskiem małży. Jake przerwał swoją ty- radę, żeby ich skosztować, lecz mimo najlepszych chęci nie był w stanie im niczego zarzucić. Maître d'hôtel z ulgą przymknął oczy i wycofał się. - Przyznaję, że Korneliusz liczy się ze zdaniem Alicji, ale nie określiłbym go mianem... - Och, mniejsza z tym, w sumie nic mnie to nie obchodzi. Nie mówmy o ich małżeństwie, tylko o tym draniu Sebastianie. Prawda jest taka, że Neil chce go zatrzymać w Londynie, bo nie może go znieść, a boi się go wylać ze względu na Alicję... - Jake, to przecież ty bez przerwy wywlekasz kwestię ich stosunków małżeńskich! - ...a ty też chcesz, żeby został w Londynie, bo jego nieobecność daje ci szansę wzmoc- nienia własnych wpływów na stanowisku prawej ręki Neila. Dałeś się omotać gigantycznemu złudzeniu, że jeśli właściwie rozegrasz karty, Neil wręczy ci bank na srebrnej tacy. Nie oszukuj się, Scott! Neil nie ma najmniejszego zamiaru podarować ci banku. Jedyne powód, dla którego tak długo trzyma cię w firmie, polega na tym, iż stanowisz doskonałą przeciwwagę dla coraz potężniejszego Sebastiana, i dopóki może was przeciwko sobie wygrywać, łatwiej mu się utrzymać na dyrektorskim fotelu tak długo, jak to będzie konieczne, żeby przekazać bank bez- pośrednio w ręce wnuków. I w końcu właśnie wnukowie go dostaną, wierz mi. Krew zawsze jest gęstsza niż woda, a ta, która płynie w twoich żyłach, zupełnie się nie nadaje do transfuzji. Piwo miało bladozłoty kolor, w

wysokiej szklance odbijały się migotliwe refleksy plusz- czącej w samym środku sali fontanny. Srebrne noże lśniły na chirurgicznej bieli obrusu. - Do czego właściwie zmierzasz? O ile dobrze rozumiem, próbujesz mi powiedzieć, że tracę czas, usiłując przytrzymać Sebastiana w Londynie, bo mimo iż prawdopodobnie jestem najwłaściwszym człowiekiem, który mógłby przejąć od Korneliusza pałeczkę, Korneliusz ja- kimś cudem zgłupieje do tego stopnia, że odrzuci moją kandydaturę! - Próbuję ci powiedzieć, że powinieneś dać sobie spokój z Korneliuszem i Sebastianem i przenieść się do mnie. - Przepraszam, ale chyba się przesłyszałem. Powiedziałeś... - Tak właśnie powiedziałem. Oczywiście wiesz, że planuję przekształcić firmę w korpo- rację? Postanowiłem, że ostatnim aktem mego despotyzmu będzie wystawienie do wiatru wszystkich niekompetentnych wspólników, którzy mają nadzieję wpełznąć na moje miejsce, kiedy ja sam przeniosę się piętro wyżej na stanowisko prezesa rady nadzorczej. Mam zamiar sprowadzić szefa zarządu spoza firmy i chcę zatrudnić najlepszego fachowca, jakiego zdołam znaleźć, obojętne, czy będzie to Żyd, czy goj. Innymi słowy potrzebny mi ktoś, kto miałby wszystkie zalety twego ojca, a byłby pozbawiony jego wad. Wymień tylko cenę i posada jest twoja. - Hm... Oczywiście bardzo mi to pochlebia... - Mogę nawet umieścić twoje nazwisko na szyldzie. Reischman i Sullivan. Brzmi chyba niezłe, co? Czy zdoła ci to zrekompensować spektakularny upadek twego ojca w latach trzydziestych? O, nie myśl, że cię nie przejrzałem! Obserwuję cię uważnie już od dawna i mam całkowitą pewność, że jesteś właśnie takim człowiekiem, jakiego chciałbym widzieć w roli swojego następcy. - Który wystawi do wiatru twoich wspólników? Albo Korneliusza? Do czego ty na- prawdę zmierzasz, Jake? A skoro już o tym mówimy, co właściwie poróżniło was z Korneliu- szem w pięćdziesiątym piątym? Czy to miało coś wspólnego z Alicją? Jake z cyniczną miną uniósł brwi, spojrzał na mnie tak, jakby głęboko litował się nad każdym, kto roi sobie równie fantastyczne pomysły, i rzekł krótko: - Skoro Neil nigdy się aż tak nie zagalopował, żeby tłumaczyć ci, o co poszło, to ja tym bardziej nie będę się wdawał w niepotrzebne wyjaśnienia, które zresztą nie powinny cię w ogó- le obchodzić. Wróćmy do meritum. No i cóż powiesz? Zastanowisz się nad moją ofertą? - Oczywiście. To niezmiernie hojna oferta i z pewnością warta zastanowienia. Czy dał- byś mi trochę czasu, żebym mógł ją przemyśleć? - Spotkamy się na lunchu, kiedy wrócisz z urlopu. A tymczasem proszę cię, żebyś jasno dał Neilowi do zrozumienia, iż musi wreszcie ukrócić poczynania Sebastiana w Londynie. Być może się mylę, ale sądzę, że Neilowi wciąż zależy na dobrych stosunkach między naszymi fir- mami przynajmniej na tyle, by wiadomość, iż moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, potrakto- wał z całym szacunkiem, na jaki ona zasługuje... 2 - Korneliuszu, Jake bez ogródek daję do zrozumienia, że nie podoba mu się sposób, w jaki Sebastian szarogęsi się w Anglii. - Szczerze mówiąc, nie jestem tym zaskoczony. Jak myślisz, co Sebastian chce przez to osiągnąć? - No cóż, może nie jest to osobista wendeta przeciwko rodzinie Reischmanów, choć z pewnością tak właśnie wygląda. - Dla mnie to bardzo kłopotliwe. Nie chciałbym doprowadzić do konfrontacji z Jakiem. - Chcesz, żebym pojechał do Londynu i zbadał, jak sprawy się mają? Mogę odwołać ur- lop. - W żadnym wypadku. Pracujesz ciężko i należy ci się odpoczynek. Sprowadzę tu Se- bastiana, a jak wrócisz z urlopu, przeprowadzimy wnikliwe śledztwo, żeby się dowiedzieć, dlaczego za wszelką cenę stara się wyprowadzić z równowagi Reischmanów. Teraz zasta- nówmy się, czy zostało coś jeszcze do omówienia, zanim wyjedziesz na wakacje? - To załatwiałoby sprawę Reischmanów. Chciałbym jeszcze na moment zaprzątnąć two- ją uwagę potencjalnym klientem. Jest to młody człowiek nazwiskiem Donald Shine... 3 - Cześć, Scott! Dobrze, że cię widzę! Wyglądasz bombowo! Co słychać? Donald Shine miał dwadzieścia dwa lata, obfitą strzechę puszystych ciemnych włosów, wielkie niewinne piwne oczy i fatalny gust w dobieraniu ubiorów. Mówił szybko i dużo z wy- raźnym brooklyńskim akcentem. - Cześć, Don! Siadaj. Donald Shine usiadł, uśmiechnięty, wylewny, przekonany, że jeszcze przed trzydziestką będzie multimilionerem. - Rozmawiałem z panem Van Zale'em. Chętnie się z tobą spotka, ale chciałbym cię ostrzec:

pochodzi ze starej szkoły i do współczesnej technologii odnosi się nieco podejrzliwie. Jego zdanie na temat twojego projektu leasingu komputerów będzie brzmiało albo: "Nie ma na to rynku", albo: "Zostawmy to IBM". Postaraj się streszczać i trzymaj się konkretów, a przede wszystkim nie podniecaj się zbyt i nie przesadzaj z okazywaniem entuzjazmu. Pan Van Zale chce usłyszeć fakty, nie reklamowe slogany czy pienia rodem z estrady. - Rozumiem. Mam się zachowywać jak biały anglosaski manekin, a nie jak żydowska swatka. W porządku, żaden problem. - Możliwe, że łatwiej by ci się ułożyła współpraca z jakimś mniej konserwatywnym ban-kiem... - Słuchaj, Scott, już ci mówiłem, że chcę się zobaczyć z panem Van Zale'em, bo tak sobie myślę, że skoro sam zrobił karierę mając ledwie dwadzieścia dwa lata, nie skreśli mnie w przedbiegach tylko dlatego, że świeżo wyszedłem ze szkoły. Poza tym nie chcę tracić czasu. Jeśli już muszę wdawać się w interesy z bankierami, chcę, żeby to byli najlepsi. Nie obchodzą mnie jacyś drugorzędni lichwiarze! W ogóle nie mam zamiaru zawracać sobie głowy niczym drugorzędnym! Czas ucieka, na miłość boską, a ja chcę uruchomić ten projekt, zanim zdąży osiwieć, i nie mam ochoty czekać latami na sukces. Chcę go mieć już! - Hm. Rozumiem twój pośpiech, czy byłbyś jednak skłonny zmarnować jeszcze chwilę i wysłuchać rady na temat twojego wyglądu? Przed spotkaniem z panem Van Zale'em idź się ostrzyć i kup sobie ciemny garnitur... aha, przydałby się też krawat. Sandały schowaj do szafy i włóż gładkie czarne skarpetki i zwykłe czarne buty. I masz mieć białą koszulę, rozumiesz? B-i-a-l-ą. Skoro chcesz zawrzeć sojusz z establishmentem Wschodniego Wybrzeża, musisz się zachowywać tak, jakbyś nigdy w życiu nie słyszał słów: "Stary porządek się zmienia, ustępuje nowemu". - Nie ma problemu, i tak ich nie słyszałem. Kto to powiedział? Ed Murrow? Słowo ci da-ję, Scott, to był naprawdę mój szczęśliwy dzień, kiedy po trupie sekretarza dostałem się do twojego gabinetu! Żałuję, że nie mogę załatwić wszystkiego z tobą, zamiast się użerać z tym starym wapniakiem Van Zale'em! Hej, a może byś ty sam dał mi parę milionów dolców, żebym wreszcie mógł ruszyć z kopyta? - To doprawdy kusząca propozycja, Don, ale niestety muszę się oprzeć pokusie. Nie chcę, żeby pan Van Zale kiedyś rzekł do mnie z pretensją: "A kimże, u diabła, jest to cudowne dziecko Donald Shine i dlaczego nigdy nie miałem okazji go poznać?" Wolę nie ryzykować i od razu mu cię przedstawić. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo się różnisz od naszych zwykłych klientów. - Bracie, to wiek młodości! Dziś bankierzy popierają takich ludzi jak ja w przemyśle mu- zycznym, odzieżowym, w reklamie, w... - Drobne firmy maklerskie mają oczywiście prawo do podejmowania niepewnych przed- sięwzięć. Pierwszorzędne banki są zwykle zbyt zajęte. Jutro o trzeciej, Don, i pamiętaj o białej koszuli. 4 - Czyś ty zwariował? - spytał ze złością Korneliusz. - A może uważasz, że ja zwariowa-łem? Naprawdę myślisz, że zgodziłbym się marnować pieniądze na jakiegoś długowłosego smarkacza, który przychodzi do mnie w garniturze, najwyraźniej skradzionym z ulicznego ba- zaru na Lower East Side, i zasypuje mnie potokiem bzdur na temat rzekomego popytu na usługi leasingowe w zakresie komputerów, skoro każdy wie, że technologia przetwarzania danych zmienia się tak szybko, że jedyną nadzieją na utrzymanie się na fali jest kupno najnow- szego modelu IBM? Przyznaję, że ten dzieciak wyrośnie na świetnego handlarza, najpewniej sprzedawcę używanych samochodów w jakimś zawszonym brooklyńskim autokomisie, ale su- gestia, że powinniśmy wspierać jego mrzonki o tym, że zostanie rekinem... - Jedną chwilę, Korneliuszu. Chłopak jest nieobyty, z tym się zgadzam. Pochodzi ze śro- dowiska, jakiego nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, cóż dopiero mówić o jakichkolwiek bliższych stosunkach, co się zaś tyczy jego ubrań... trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć. Ale to inteligentny dzieciak, Korneliuszu. Wiem, że chodził tylko do jakiegoś podłego college'u, ale po pierwsze go skończył, a po drugie wykorzystał do maksimum każdą godzinę nauki. Zna przedmiot na wylot, prawdopodobnie wie o komputerach tyle samo co najlepsi fachowcy z IBM, i sądzę, że wpadł na bardzo aktualny pomysł. Zaryzykujmy i dajmy mu kredyt. - Nie potrzebujemy tego rodzaju klientów. Wiem, że dziś wszyscy wyrywają sobie klien- tów, ale mimo to wciąż są

tacy, o których nie warto się bić. - Popelniasz błąd. Czemu się tak upierasz? Chodzi ci o to, że jest za młody? Pamiętaj, że sam też nie zawsze miałeś pięćdziesiąt lat! Poza tym czasy się zmieniają... - Tak, i to na gorsze! Przykro mi, Scott, ale nie będę finansował szczeniaka, który wy- gląda jak nic nie warty beatnik, a mówi jak Żyd z dowcipu. I to jest moje ostatnie słowo w tej sprawie... 5 - Jake, czy interesowałby cię pewien dosyć niezwykły klient? Uważam, że ma wielkie możliwości, ale Korneliusz nie chce o nim słyszeć. - Możliwe. Powiedz, co o nim wiesz. - Ma dwadzieścia dwa lata, ukończył college i jest ekspertem od komputerów. Nazywa się Donald Shine... 6 - I co o nim myślisz? - O tym Donaldzie Shinie? Zatrważający młodzieniec. Oczywiście dałem mu kredyt - Ja- ke westchnął i wyjrzał przez okno swojego gabinetu. - Ten chłopak zrobi fortunę. Obojętnie, czego się tknie, na pewno zrobi pieniądze. Trzeba będzie roztoczyć nad nim ścisły nadzór, ale to samo tyczy się i niektórych starszych, bardziej konwencjonalnych klientów. - Mądrze postąpiłeś, nie żywiąc wobec niego uprzedzeń. - Miałem w stosunku do niego bardzo wiele uprzedzeń - słowa Jake'a zabrzmiały jak ironiczne echo tyrady Korneliusza. - Jak mogłem swobodnie zaakceptować długowłosego młodzika, który wygląda jak goniec z Siódmej Alei i przemawia jak postać z kiepskiego dowcipu? Ale ostatecznie trzeba się czasami wysilić na nieco tolerancji. Nie wszyscy możemy ro- dzić się w czepku... dlaczego się uśmiechasz? - Myślałem sobie właśnie, że koniec końców Marks miał jednak rację: tym, co dzieli lu- dzi, nie jest kolor skóry ani nawet religia, a przynależność klasowa. 7 - Sie masz, Scott, dzwonię, żeby ci z serca podziękować za pomoc. Jake Reischman to klawy gość. Wiesz, mogłem się z nim dogadać i w ogóle nieźle nam poszło. Słuchaj, chętnie postawiłbym ci lunch w przyszłym tygodniu na znak dożgonnej wdzięczności. - Dzięki, Don, ale właśnie wyjeżdżam na urlop. Tak czy owak, trzymam cię za słowo. - Jasne! Gdzie jedziesz? Do Europy? - Na Karaiby. - Ale ci zazdroszczę! No, to baw się dobrze pod tymi szpanerskimi palmami. Zobaczymy się, jak wrócisz. A, i jeszcze jedno, przekaż moje pozdrowienia temu skurczybykowi Van Za- le'owi i powiedz mu, że pewnego dnia zrobię go jeszcze na szmaty - Donald Shine zaśmiał się niezbyt życzliwie i odłożył słuchawkę. 8 Rozmowy. Słowa wymawiane ustami Scotta. Sceny oglądane jego oczyma. Lecz Scott istnieje tylko w umysłach tych ludzi, jest ledwie cieniem rzucanym przez siłę woli - mojej woli, woli jednos- tki, która stoi za cieniem, a jednostka, jak przed wiekami napisał średniowieczny filozof, Wil- helm z Ockham, jest jedynym rzeczywistym bytem. Scott powiedział wszystkim, że jedzie na urlop, ale to było kłamstwo. Scott nigdy nie ruszał się z Nowego Jorku. To ja wyjeżdżałem z miasta i to ja wypoczywałem w jego miesz- kaniu, kiedy Scott codziennie wracał z pracy do domu. Tak samo wrócił owego listopadowego dnia 1963 roku i jak zwykle, gdy tylko zamknęły się za nim frontowe drzwi, przestał istnieć. To ja poszedłem do łazienki i spojrzałem na siebie w lustrze. Potem zdjąłem z siebie ubranie Scotta - ciemny garnitur, białą koszulę i gładki kra- wat, symbole życia, którym pogardzałem. Wszedłem pod prysznic, żeby usunąć z ciała osad pozostawiony przez jego życie. Kiedy byłem już czysty, ubrałem się we własną odzież: luźne białe spodnie, pas nabijany srebrnymi ćwiekami i jaskrawoniebieską koszulę, której nie dopina- łem pod szyją. Wszedłem do kuchni, nie zrobiłem sobie jednak drinka, na którego zawsze mia- łem ochotę, kiedy byłem sobą, lecz napój Scotta, który w żadnym razie nie mógł mi zaszko- dzić - wysoką szklankę pieniącej się hałaśliwie na kostkach lodu ciemnej coca-coli, doprawio- nej odrobiną soku z cytryny, żeby zabić słodycz. Ze szklanką w ręku usiadłem na fotelu, oparłem nogi na otomanie i powoli, z ulgą wy- puściłem powietrze z płuc. Alpinista dotarł wreszcie do bazy po kolejnej wyczerpującej wspi- naczce. Teraz rysowała się przede mną kusząca perspektywa dwóch tygodni wypoczynku, który miał mi przywrócić siły. Rozejrzałem się po mieszkaniu. Z okien rozciągał się widok na park Carla Schurza na Upper East Side, ale przeważnie wracałem z banku tak późno, że rzadko widywałem East Ri- ver w dziennym świetle. Tylko w weekendy przyglądałem się roziskrzonej w słońcu wodzie znad filiżanki porannej czarnej kawy. Rzeka była zanieczyszczona, lecz rankiem wyglądała pięknie; przypominała mi

nadmorski pejzaż, wśród którego chciałem zamieszkać, gdy moje dzieło dobiegnie już końca. Mimo iż nigdy nie napotkałem na jawie tak wspaniałego miejsca, oczyma duszy widziałem je bardzo wyraźnie: cudowny pusty brzeg nad ciemnym szklistym morzem. Piasek był biały i czysty, a w tle majaczyły góry, choć tego akurat nie byłem zupełnie pewien. Nigdy nie zapraszałem do siebie gości, bo każda wolna chwila potrzebna mi była, by ochłonać z napięcia, jakie towarzyszyło wcielaniu się w Scotta, dlatego też nigdy nie zadałem sobie fatygi, by kupić jakieś meble poza absolutnie niezbędnymi. Na dywanie stały tylko fotel i otomana, ściany pokrywały regały z książkami, a w jednym kącie szersza półka mieściła stereofoniczny gramofon i kolekcję płyt. Telewizora nie było. Przez większość dnia ocierałem się o pozbawione znaczenia trivia, nie miałem ochoty odtwarzać tego samego klimatu także w domu. Zamiast oglądać telewizję, czas spędzałem na lekturze. Wbrew temu, co wszyscy sądzili, nie trzymałem się na ścisłej diecie złożonej wyłącznie z owoców średniowiecza, lecz czytałem powieści, książki historyczne, a także dzieła na temat psychologii, antropologii i filozofii. Podczas weekendów grałem w squasha i chodziłem na długie spacerunki, a czasem, kiedy przerwa między urlopami dłużyła się już nieznośnie, wsiadałem do samolotu i leciałem gdzie bądź, na Bermudy, do Kanady albo do jakiegoś dużego miasta w Stanach, i spędzałem weekend oddając się aktywności fizycznej zupełnie innego rodzaju. Gdy po wojnie całkowicie odstawiłem alkohol, zdałem sobie sprawę, że potrzebna mi będzie inna droga ucieczki, jeśli stres stanie się nie do zniesienia. Choć wiedziałem, że każda ucieczka stanowi potencjalne zagrożenie samodyscypliny, opracowałem jednak szereg reguł, które miały zmniejszyć ryzyko do minimum. Cel był zawsze ten sam: zakończyć znajomość, zanim zdoła się przerodzić w niezdrową obsesję. W związku z tym moje romanse zawsze były krótkie i rozgrywały się możliwie jak najdalej od domu. Ten sposób odreagowywania wielu ludzi uznaliby za niewystarczający, ale mówiąc szczerze, seks nigdy nie dostarczał mi wielkich uniesień. Kiedy chciałem po prostu rozładować napięcie, wołałem radzić sobie sam, albowiem jeśli nie była w to wplątana inna osoba, mogłem pozbyć się strachu, że na parę minut stracę kontrolę nad sobą. Kiedy natomiast potrzebne mi było coś więcej niż tylko fizyczna ulga, udawałem się na wycieczkę do jednego z dalekich miast. Bawiło mnie zarówno poszukiwanie kontaktu, jak i cieszył sam kontakt, jakkolwiek przelotny, z drugą ludzką istotą. Miało to dla mnie ogromne znaczenie jako odskocznia psychiczna, nie fizyczna, stanowiło bowiem szansę na zrzućcenie, choćby na jakiś czas, brzemienia izolacji. Zanim jeszcze powojenna decyzja odmieniła moje życie, i tak nigdy nie udało mi się przedłużyć żadnej znajomości poza kilka pierwszych spotkań. Sam pomysł, że mógłbym się zakochać, przerażał mnie. Miałem czternaście lat, kiedy w 1933 ojciec odszedł od Emily, gnany obsesją na punkcie Diny Slade. Zrozumiałem wtedy aż za dobrze, że tego typu namiętność przynosi jedynie cierpienia i krzywdę niewinnych osób. Po kataklizmie, jakim stało się odejście mego ojca, nie byłem w stanie zaufać żadnej kobiecie z wyjątkiem mojej ukochanej Emily i przez wiele lat regularnie okłamywałem Korneliusza, kiedy z ojcowską troską dyskretnie mnie wypytywał o moje prywatne życie. W marynarce wołałem się nie wyróżniać, bo się bałem, że wezmą mnie za pedała, więc pewnego wieczoru w czasie przepustki upiłem się dostatecznie, by wreszcie wprowadzić w życie standardowy wzorzec męskiego zachowania. Po tym zajściu przestałem się martwić, że jestem nienormalny, choć wiedziałem, że Korneliusz, który święcie wierzył, iż mężczyzna, chcąc sprostać normom z raportu Kinseya, musi mieć co najmniej trzy stosunki tygodniowo, często martwił się moim brakiem zainteresowania dla stanu małżeńskiego. Sama idea małżeństwa zawsze była dla mnie czymś niezmiernie odległym, a zaraz po wojnie, kiedy starałem się zdecydować, co zrobić ze swoim życiem, wydawała mi się wręcz niewyobrażalna. W gruncie rzeczy byłem tak dalece przeciwny wszelkim długotrwałym związkom czy to w małżeństwie, czy poza nim, że wcale mnie nie dziwiło, kiedy kobiety wyczuwały tę odrazę i reagowały na nią tak, jak się należało spodziewać. Ukrywając ambicje i szczelnie osłaniając woalem tajemnicy nieszczęsną

przeszłość, stanowiąc dla nich niewiadomą - z początku prowokującą, a później, kiedy nie były w stanie sforsować muru mojej rezerwy, wręcz odpychającą. Doskonale wiedziałem, że gdybym kiedykolwiek popełnił błąd i starał się przedłużyć romans, moja wybranka wkrótce porzuciłaby mnie pod pierwszym lepszym pretekstem. Na ironię losu zakrawał jednak fakt, że mimo iż tak niewiele miałem do zaoferowania, nigdy nie brakowało mi partnerek do łóżka. Swego czasu byłem zdumiony, że kobiety czują do mnie pociąg, nie byłem bowiem ani tak przystojny, ani tak męski jak chociażby mój brat Tony. W końcu doszedłem do wniosku, że trudno zrozumieć damskie gusta i że śmiało mogę skorzystać z tej niespodziewanej przewagi. Kiedy więc co jakiś czas wyrwiałem się w świat, zawsze starałem się zaliczyć tyle kobiet, ile to było możliwe, lecz tu objawiła się kolejna ironia mojego niekonwencjonalnego życia intymnego: nie mogłem w pełni wykorzystać tego łutu szczęścia. Zanadto się bałem, że stracę nad sobą kontrolę. Póki służyłem w marynarce, wszystko było w najlepszym porządku. Lęk przed zaangażowaniem się tłumiałem alkoholem i nie miałem najmniejszych trudności z dopełnieniem aktu płciowego w sposób, który nawet wielki Kinsey uznałby za normalny, kiedy wszakże po wojnie przestałem pić i zacząłem zwracać coraz większą uwagę na to, by trzymać się w ryzach, sprawy uległy całkowitej zmianie. Już od lat cierpiałem na chroniczną niezdolność do osiągnięcia orgazmu w zwykły sposób, choć na szczęście - i to była już największa ironia mego dziwnego losu - większość kobiet w ogóle nie zdawała sobie sprawy z rozmiaru moich zahamowań i z głęboką wdzięcznością zakładała, że przedłużam stosunek dla ich przyjemności. Czasem się tym martwiłem, choć niezbyt często. Bywają gorsze problemy z seksem. Jakiego powodu do narzekania może mieć facet uznawany przez panie za niezawodnego i do tego troskliwego ogiera? Miałem na tyle zdrowego rozsądku, by dostrzegać humorystyczny aspekt tej sytuacji, kiedy więc zaczynałem się martwić, uśmiechałem się do siebie, wzruszałem ramionami i udawałem, że moje kalectwo jest w gruncie rzeczy bez znaczenia. Dopóki mogłem zachować pozory, że robię furorę wśród kobiet, jaką wagę mogła mieć rzeczywistość? Jednakże rzeczywistość oznaczała samotne przebudzenia w hotelowych pokojach daleko od domu. W rzeczywistości ocierałem się tylko o ludzi, nie nawiązując kontaktu. Rzeczywistość niosła mi nie kończący się pościg, tęsknotę, której nikt nie był w stanie zaspokoić, i strach, od którego nie mogłem się uwolnić. Rzeczywistość oznaczała izolację, żywot pozbawiony ożywczego tchnienia, lub jak to określiła Emily, zanim sama umarła, śmierć za życia. Długo siedziałem w ciemności, myśląc o Emily, potem wstałem i wróciłem do kuchni po następną butelkę coca-coli. Byłem zdecydowanej nocy nie poddawać się smutkom. Później, po wakacjach, będę mógł sobie pozwolić na kilka minut użalania się nad sobą, ale nie teraz, kiedy czeka mnie urlop, szansa dwutygodniowej ucieczki od Scotta z rogu Willow i Wall. Myśl o banku przypomniła mi o Korneliuszu i spojrzałem na obraz na ścianie. Był to jedyny obraz w mieszkaniu. Wisiał w kuchni nad zlewem, bo zarówno w sypialni, jak i salonie wydawał mi się nie na miejscu. Był to fragment "Grosza czynszowego" Masaccia, powiększone nie złośliwego portretu świętego Jana. Zastanawiałem się kiedyś, czy Korneliusz rozpoznałby się na tym portrecie, i doszedłem do wniosku że nie. Nigdy nie widzimy siebie tak, jak widzą nas inni. Włączyłem stojącą lampę z giętką szyjką i wziąłem z półki książkę pod tytułem "J.F.K.: człowiek i legenda". Victor Lasky dokonał mocno krytycznej oceny, która mnie zirytowała, i po chwili odłożyłem książkę. Atakowanie Kennedy'ego było ostatnio w modzie, postanowiłem jednak, że nie przyłożę do tego ręki. Jack Kennedy i ja byliśmy prawie rówieśnikami i nie raz myślałem, że jego odwaga, sława i spektakularne spełnienie marzeń jego ojca dały mi siły, by nie ustawać w dążeniu do celu. Stanowił żywy dowód na to, że każda ofiara popłaca; wykażał, że jeśli ma się dość ambicji, można iść dalej i dalej, aż w końcu ziści się wszystkie sny. Nastawiłem płytę - delikatny jazz w wykonaniu Dave'a Brubecka - i zacząłem rozmyślać o swoich marzeniach. Byłem zadowolony z poczynionych postępów. Osiągnąłem doskonałą pozycję. Oczywiście nie mogłem przyjąć propozycji Jake'a, aczkolwiek dyplomacja

nakazywała polećtać go nieco, zwlekając z jej odrzuceniem. Później opowiem o wszystkim Korneliuszowi i będziemy się razem z tego śmiać. Korneliusz będzie uszczęśliwiony, a jego zaufanie do mnie sięgnie no- wych, nie znanych dotąd szczytów. Jake popełnił kardynalne błędy w ocenie sytuacji. Trudno się temu dziwić, skoro oglądał ją z zewnątrz, starając się z dała rozszyfrować skomplikowany układ. O ile nagle mi nie odbije albo nie palnę jakiejś niewiarygodnej pomyłki, dostanę bank. Wyrzuty sumienia, które od dawna tak starannie podsyciałem w Korneliuszu, nie dadzą mu spokoju, dopóki nie przekaże mi większej władzy, niż powinien, a kiedy to się stanie, cel wy- prawy zacznie się do mnie przybliżać ze zdwojoną szybkością. Od roku 1968, w którym to obiecał zrzec się na moją korzyść prezesury, dzieliło mnie jeszcze pięć lat, lecz często się za- stanawiałem, czy wytrzyma aż tak długo. Miał pięćdziesiąt pięć lat, a astma sprawiała mu co- raz większe kłopoty. I tak już o trzy lata przeżył mojego ojca. Zacząłem rozmyślać o ojcu. Świadomie starałem się nie myśleć o nim zbyt często, on jednak zawsze był przy mnie obecny - jako cień w duszy, ciężar na sercu, wspomnienie wyryte w mózgu. Wchłonałem go w siebie tak zupełnie, że przeważnie po prostu nim byłem, choć czasami udawało mi się stanąć z boku i spojrzeć na niego beznamiętnie jak na odrębną istotę. Żałowałem, że nie potrafię do końca zrozumieć, co widział w Dinie Slade. Godziłem się z tym, że postradał zmysły w rezultacie seksualnej obsesji, ale irracjonalność jego poczynań wciąż budziła we mnie niepokój. "Dina była miłością jego życia" - napisał Tony w swoim sławetnym liście, który tak bardzo wzburzył Korneliusza, kiedy jednak na długo przednim czytałem te słowa, czułem się o wiele bardziej zagubiony niż kiedykolwiek wcześniej. Dina Slade? Przy- pomyślałem sobie rosłą brzydką kobietę z irytującym brytyjskim akcentem. Przebaczyłem ojcu, ale wciąż byłem daleki od zrozumienia go. Ponownie zadumałem się nad owym fenomenem, jakim jest pociąg płciowy, i równo- cześnie przyszedł mi na myśl Sebastian, który zrujnował swoją karierę, opętany niezdrową ob- sesją na punkcie Vicky. Vicky? Nie pojmowałem, co go w niej tak pociągało. Vicky jest ładna, to prawda, lecz umysłowo równie ograniczona jak jej ojciec, a jej frywolna osobowość jest moim zdaniem o wiele za płytka, by oczarować mężczyznę kalibru Sebastiana. Jego zaurocze- nie Vicky było tak samo niewytłumaczalne jak zauroczenie mego ojca Diną Slade i sprawiło, że ponownie zacząłem się zastanawiać, jak ktokolwiek zdrowy na umyśle może uważać zako- chanie za romantyczny sen. Nie ma w tym krzty romantyzmu. Zakochanie to koszmar. Na myśl o Sebastianie westchnąłem. Brakowało mi go. Gdyby tu był, pomyślałem, mog- libyśmy porozmawiać o greckiej koncepcji Erosa i przeciwstawić jej średniowieczną konwen- cję miłości dwornej, a Sebastian na pewno stwierdziłby, że cała ta dworność to mit, potem zaś moglibyśmy się spierać, czy mit jest nadrzędny w stosunku do rzeczywistości. Ja broniłbym mitu, przytaczając legendy o Finnie McCoolu i Cuchullainie, a Sebastian, który uważał, że cel- tyckie legendy są niezrozumiałe, zawezwałby na pomoc wszystkich swoich anglosaskich hero- sów dowodząc, że rzeczywistość zawsze przewyższa mit. Zawołałby: "Weź choćby Alfreda - albo Edwina - albo Oswalda, niosącego wielki krzyż do boju! To byli prawdziwi ludzie!" Śmia- libyśmy się razem jak przyjaciele, na których zostaliśmy stworzeni, a nie rywale, odsuwani od siebie coraz dalej przez własne ambicje. Wstałem nerwowo, podszedłem do okna i uchyliłem żaluzje, wpatrując się ponad ciem- nym parkiem w światła Queens. Słowo "ambicja" znowu przywiodło mi na myśl Korneliusza. Co teraz do niego czułem? Zabarwioną rozdrażnieniem niechęć? Nie, nawet to nie. Kiedyś, dawno temu, nienawidziłem go, lecz rozpalona do białości nienawiść wypaliła wszelkie emo- cje, pozostawiając tylko spieczone blizny obojętności. To Scott do tego doprowadził. Scott zrozumiał, że człowiek opętany nienawiścią robi błędy tak samo jak człowiek opętany miłoś- cią. To Scott mi wyjaśnił, że w moim życiu nie ma miejsca na gwałtowne, skrajne emocje, po- za tym Scott lubił Korneliusza i uważał, że jest zabawny. Korneliusz był bardzo dobry dla Scotta - choć dla mnie nie miało to znaczenia - i oczywiście nic dziwnego, że Scott był mu za to wdzięczny. W rzeczywistości Korneliusz był w moich oczach już tylko przedmiotem, małą

figurką z kości słoniowej, cofającą się przede mną po szachownicy. Któregoś dnia będę mógł sięgnąć na tę szachownicę, podnieść go i wyrzucić do kubła na śmieci, a wraz z nim jego wnuki. Czy wtedy coś poczujesz? Tak, prawdopodobnie odczuję gwałtowną ulgę, że długotrwała gra została w końcu rozstrzygnięta, a potem... Potem będę mógł wreszcie odsunąć od siebie strach przed śmiercią, potem będę już mógł prowadzić normalne życie... Zadzwoił telefon. - Cześć, Scott, tu Korneliusz - nie, spokojnie! Nie mam zamiaru namawiać cię na szachy; wiem, że przygotowujesz się do wyjazdu. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się dobrze bawił i przesłał mi pocztówkę, jeśli będziesz miał chwilę czasu, i... słuchaj, może byś mi tak powiedział, dokąd jedziesz? Zawsze jesteś taki tajemniczy, gdy chodzi o twoje wakacje! - Do Kalifornii. Często podawałem mu zmyślone miejsca pobytu, bo nie chciałem, żeby mnie wzywał do banku w razie jakichś nieprzewidzianych komplikacji. - No, to wspaniale! W listopadzie potrzeba człowiekowi trochę słońca. - Właśnie. - No cóż... to chyba wszystko. Do zobaczenia i szczęśliwej podróży. Scott pożegnał go i zniknął. Odłożyłem słuchawkę i z beznamiętnym naukowym zacięciem zacząłem się zastanawiać, czy całkowity brak emocji jest odchyleniem od normy. Zdecydowałem, że normalny czy nie, jest bezpieczny. Dowodzi tylko, że moje życie znajduje się pod ścisłą kontrolą. Położyłem się spać. Śniło mi się, że wypilem pół butelki whisky i tłukłem o ścianę czyjąś zakrwawioną, pozbawioną twarzy głowę. 9 Zylem. Odrzuciłem martwy balast osobowości Scotta i mój duch wzlatywał równie wysoko jak Boeing 707 linii PanAm, który porwał mnie z lotniska w Nowym Jorku i wzbił się w górę ku skrzącemu się słońcu mego wyzwolenia. Bank został daleko poza mną, tak daleko jak pustelnicy żywot, który musiałem pędzić po godzinach pracy, żeby odreagować związany z nią stres, i tak daleko jak wieki średnie, w których mit i rzeczywistość bez trudu splatały się w jedno na spustoszonej wojną i morowym powietrzem, naznaczonej piętnem śmierci ziemi. Byłem w teraźniejszości dwudziestego wieku, otaczały mnie wytwory nowej technologii, byłem dwudziestowiecznym Amerykaninem, wyposażonym w magazyn "Time", a młoda śliczna stewardesa czekała na moje skinienie. - Czy zechciałby się pan czegoś napić? Uśmiechnąłem się do niej, a kiedy uroczo się zaróżowiła, zapragnąłem nagle wszystkich rozkoszy, jakie mi mogło dać życie: pragnąłem szampana, pieniącego się z butelki o złotej szyjce, czułem apetyt na kawior, chciałem mieć wielkie łóżko pod umieszczonym w suficie lustrem, a w nim sześć kobiet, jedną po drugiej, chciałem wydawać tysiąc dolarów na minutę przez okrągłą dobę, pragnąłem każdego z siedmiu grzechów głównych, opakowanego w ozdobny papier jak prezent i przewiązanego szkarłatną kokardą. Zaśmiałem się z siebie, a śliczna stewardesa zaśmiała się razem ze mną. Nie rozumiała, lecz instynktownie wyczuła mój nastrój. - Może jednak szampana? - spytała, pamiętając, że już raz odmówiłem. - Niech będzie piwo imbirowe. Zradź mi, na jak długo zatrzymujesz się w Portoryko? O szóstej po południu dotarłem do hotelu Sheraton w San Juan, gdzie wynająłem apartament z widokiem na morze. Przedpokój, sypialnia i łazienka zajmowały większą powierzchnię niż całe moje nowojorskie mieszkanie. Po natrysku wytarłem się do sucha przed oknem wychodzącym nad ocean i pomyślałem, jaką odrazą napęłniłyby Scotta, ascetycznego intelektualistę, wszystkie te wyściełane pluszem amerykańskie hotele za granicą. Ale mnie bawił dwudziestowieczny przepych i nieskrępowana wulgarność gości korzystających z uciech życia tak łączywie, jak tylko się dało. Zszedłem do baru. Brunetka w nieokreślonym wieku, za to wyposażona w określone wdzięki sączyła w barze daiquiri dla zabicia czasu przed odlotem do Nowego Orleanu. Zaoferowałem, że postawię jej następnego drinka, i propozycja została przyjęta. Dwie godziny później odprowadziłem ją do taksówki i biegiem wróciłem do pokoju. Zdażyłem właśnie wygładzić skotłowaną pościel, kiedy z holu zadzwoiła do mnie piękna stewardesa. Nazajutrz o dziewiątej rano stewardesa musiała mnie opuścić, lecz o wpół do dziesiątej opalałem się już przy basenie. Miałem na sobie białe opięte kąpielówki, choć nie musiałem się aż tak trudzić, żeby wyróżnić się z tłumu. Wystarczało, bym tylko leżał w słońcu na

leżaku i podziwiał oryginalne pomysły mnóstwa kobiet próbujących chytrze nawiązać ze mną rozmowę. Dzień zszedł mi mniej więcej na tym samym co noc, zaś następna noc w dużej mierze przypominała poprzedni dzień. Potem wyprowadziłem się z Sheratona i przeniosłem do Hiltona, zmieniając basen i leżak. W owym czasie byłem już przekonany, że szykują mi się bardzo udane wakacje. Jak dotąd kobiety piałły z zachwytu nade mną, a kiedy trzeba było pokryć niedoskonałość, zasłaniałem się moją ulubioną wymówką z wdziękiem, którego mógłby mi pozazdrościć zawodowy oszust. - Wierzę w prawo zachowania energii... Nie chcę wyładować baterii już na początku urlopu... Gdyby sytuacja była mniej niezręczna, śmiałybym się w głos, słysząc podobne nonsensy, i często rzeczywiście parskałem śmiechem, widząc, jak moje partnerki przyjmują je bez zmrużenia oka - zwłaszcza gdy towarzyszyły temu pełne uwielbienia uwagi na temat mojej techniki, wigoru i dbałości o partnerkę. Pewna dama zapytała mnie nawet, czy są na to jakieś sposoby, których po powrocie do domu mogłaby nauczyć swojego kochanka. Większość jednakże uważała mój śmiech za przejaw skromności, tak więc bez trudu udawało mi się je zwodzić i każda kolejna przygoda wzmagiała we mnie, oprócz kondycji fizycznej, mgliste zdumienie, że kobiety są takie łatwowierne. Kiedy wszakże któregoś popołudnia znalazłem się w łóżku z cnotliwie wyglądającą nauczycielką - zawsze najbardziej pociągały mnie te, które robiły wrażenie cnotliwych - w ciągu paru minut zdałem sobie sprawę nie tylko z tego, że jej cnota jest równie złudna jak moja wspaniała technika, lecz także z tego, że jest na tyle bystra, by wyśmiać każdy kit, jaki spróbuję jej wcisnąć, gdy przyjdzie pora na wyjaśnienia. Nie była to dla mnie sytuacja całkiem nieznaną, choć takie zdarzenia zawsze napawały mnie trwogą. Żaden oszust nie lubi, kiedy go demaskują. W obliczu podobnej katastrofy wielu mężczyzn straciłoby męską moc, ale na mnie podziałało to wręcz odwrotnie. Gdy tylko uświadomiłem sobie, że partnerka zaraz mnie rozszyfruje, krańcowe napięcie nie tylko z góry wykluczyło orgazm, lecz sprawiło także, że bałem się wycofać z obawy, iż moja ułomność będzie tym bardziej widoczna. - Masz jakiś problem? - spytała, kiedy sama była już zaspokojona i najwyraźniej nie miała ochoty na więcej. - Żadnego. Ja... - nie mogłem się zdecydować, co jej odpowiedzieć. Z mniej doświadczoną kobietą mógłbym udawać; zwykle to skutkowało, aczkolwiek przypuszczam, że moje partnerki czyniły później różne domysły na temat dowodów rzeczowych, a raczej ich braku. Przeszło mi przez głowę, że mógłbym odegrać przekonujący atak korzonków albo udać, że w najmniej odpowiednim momencie wypadł mi dysk. Leżałem, oparty na łokciach, spocony jak ruda mysz, dyszałem głośno i wyglądałem z pewnością tak samo idiotycznie, jak się czułem. Zanim jednak zdążyłem obrać właściwą taktykę, żeby wydostać się z matni, kobieta wzięła inicjatywę w swoje ręce. - I to by było na tyle - powiedziała, odsuwając mnie stanowczo obiema nadzwyczaj kompetentnymi dłońmi. - Spotykałam już takich jak ty. W ogóle nie zwracacie uwagi na partnerkę, nie macie na to czasu. Za bardzo zajmuje was własne ego i rozmyślania, dlatego cały ten rozrywkowy ekwipunek nie działa jak należy. Jakoś zdołałem się wycofać i naciągnąć na siebie prześcieradło. Drżałem na całym ciele i miałem trudności z wykonaniem nawet najprostszych ruchów. Byłem podrażniony i obolały. - Ja nie narzekam - wykrztusiłem, nie patrząc na nią. - A jeżeli tobie nie odpowiada mój ekwipunek, rozejrzyj się za czymś innym. Powlokłem się do łazienki, żeby sobie ulżyć. Minęło kilka minut, zanim zdecydowałem się na powrót do sypialni. Kiedy w końcu uchyliłem drzwi, zobaczyłem, że łóżko jest puste. Znowu byłem sam w kolejnym hotelowym pokoju z dala od domu, nieznośnie samotny, nieznośnie upokorzony, nieznośnie świadomy dotkliwej porażki. Chciałem się odprężyć, ale nie byłem w stanie. Ubrałem się, zszedłem do najbliższego baru i poderwałem kolejną kobietę. Odegrałem ponownie to samo przedstawienie, tyle tylko, że tym razem moja towarzyszka wyszła zadowolona, niczego nie podejrzewając. Lecz nadal byłem sam, nadal przygniatała mnie świadomość porażki. Powiedziałem na głos: "To nie ma znaczenia. To nieważne", mimo to wiedziałem, że tak nie jest. Miałem ochotę się upić, zdawałem sobie jednak sprawę, że nie

wolno mi próbować tej drogi ucieczki, zamiast tego więc poszedłem do kasyna i zmieniłem tysiąc dolarów na żetony. Przegranie wszystkiego zajęło mi całą noc - na nieszczęście, nie chciałem bowiem wracać do pustego pokoju. Poczułem ulgę na myśl, że następnego ranka opuszczę hotel i wsiadę w porcie na statek wycieczkowy. Wiedziałem z doświadczenia, że na statku samotność jest prawie nieosiągalna. Był to jeden z powodów, dla których tak często spędzałem wakacje na morzu, drugą przyczyną oczywiście był fakt, że tego typu rejs stwarzał mnóstwo okazji do przelotnych podbojów. Starając się wymazać z myśli wspomnienie nieudanej przygody z nauczycielką, wymeldowałem się z hotelu, pojechałem taksówką do portu i wszedłem na pokład śnieżnobiałego europejskiego statku, postanawiając solennie odzyskać dobry humor i ocalić resztę wakacji. Moja kabina na pokładzie A wydawała się ze wszech miar odpowiednia dla nocnych igraszek. Wezwałem stewardesę, stwierdziłem, że jest nieciekawa, po czym rozpakowałem walizkę i wyszedłem na pokład spacerowy, żeby rzucić okiem na pomieszczenia rekreacyjne. Bary, w których miałem odtąd spijać olbrzymie ilości bezalkoholowego piwa, obite były pluszem, a w strategicznym punkcie dyskretnie umieszczono nieodzowne kasyno. Pasażerowie jak zawsze stanowili niewiadomą, ponieważ jednak rejs był krótki, przypuszczałem, że większość będzie młoda. Zawsze unikałem długich rejsów, zdominowanych przez mocno geriatryczne towarzystwo. Uznałem z satysfakcją, że czeka mnie dziesięć wesołych dni i dziesięć równie rozrywkowych nocy. Z rozmyślań wyrwała mnie grupka zadbanych licealistek, pytając, jak dojść do baru na rufie. Rozejrzałem się, żeby stwierdzić, gdzie jestem. Przed sobą miałem główny hol, skierowawszy więc dziewczęta do góry najbliższą klatką schodową, ruszyłem w stronę biura płatnika, żeby zamienić u niego czek podróżny na gotówkę. W holu było tłoczno, gdyż pasażerowie wciąż jeszcze napływali na statek. Odsunąłem się na bok, żeby uniknąć zderzenia z marynarzem pchającym wózek bagażowy, i wpadłem wprost na kobietę stojącą tyłem do mnie przy ladzie recepcyjnej. Skutkiem kolizji jej wielki słomkowy kapeluszek przekrzywił się na bok, a pasek torebki zjechał z ramienia. Odwróciła się do mnie oburzona. - Przepraszam! - wykrzyknąłem. - Nie... Słowa uwięzły mi w gardle. Scott czynił wysiłki, żeby mnie zasłonić, lecz Scott pozostał przecież w Nowym Jorku i próżno bym go przywoływał. Stałem odarty z ochronnej maski i czułem się tak bezbronny, jakby na golasa wsadzono mnie w mrowisko. - Scott! - rozległ się pełen zaskoczenia znajomy głos. Niczym pstryknięcie palców hipnotyzera dźwięk jego imienia popchnął mnie do działania. Nie było sensu udawać, że jestem Scottem. Scott nie postawiłby nogi na pokładzie takiego statku, nie włożyłby na siebie barwnych opiętych sportowych ciuchów ani srebrnego medalionu. Nigdy nie znalazłby się twarzą w twarz z niewłaściwą kobietą w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwej porze. - Scott? To ty, Scott, prawda? Czy to twój sobowtór? - Oczywiście, że ja! - roześmiałem się, stwierdzając ze zdumieniem, że jest tak samo zdezorientowana jak ja. Ona także zostawiła Vicky w Nowym Jorku, podobnie jak ja zostawiłem Scotta, i tak samo jak ja przybyła tu w innym wcieleniu, aby zrealizować ów szczytny nakaz moralny dwudziestego wieku, jakim jest rozkosz bez zobowiązań, całkowicie wyzuta z wszelkiej bliskości. - Vicky, co za niespodzianka! - powiedziałem gładko. - Witaj w dobrych czasach. Rozdział trzeci 1 Miała na sobie plażową sukienkę w przydymionym pomarańczowym odcieniu i cienki złoty łańcuszek na szyi. Jasne, krótko przycięte włosy były ledwie widoczne spod wielkiego kapelusza. Jej skóra zdążyła się już pokryć delikatną opalenizną. W wielkich szarych oczach wciąż malowało się osłupienie. - Ale, na Boga, co ty tu robisz, Scott? - Zgadnij! Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby miała tak zmieszaną minę. - Nie denerwuj się, Vicky, w czym problem? Zawrzemy pakt. Ty będziesz robić swoje, ja swoje i żadne z nas nie piśnie o tym słowa Korneliuszowi ani komukolwiek innemu w Nowym Jorku. Zgoda? - Zgoda... To znaczy, że jednak mimo wszystko nie jesteś eunuchem? W odpowiedzi tylko się zaśmiałem. Vicky zarumieniła się. - Przepraszam! Wiem, że zachowuję się jak idiotka, ale przeżyłam szok, widząc cię takiego... - Wobec tego zostawię cię, żebyś mogła ochłónąć. Na razie,

Vicky. Baw się dobrze. Zacząłem się przepychać przez tłum, kiedy jednak dotarłem do biura płatnika, obejrzałem się. Stała wciąż w tym samym miejscu. Wyraz osłupienia nie zdążył pierchnąć z jej oczu, ale kąciaki stanowczych ust, których kształt odziedziczyła po ojcu, wyginał lekki uśmieszek. 2 Statek wypłynął z portu, kierując się na St. Thomas. Wkrótce pasażerowie porzucili wytworne maniery narzucone przez dwudziestowieczną etykietę, zmieniając je na nieco sprośną zażyłość, taką samą jaka panowała wśród pielgrzymów Chaucera podczas ich nieśmiertelnej podróży do Canterbury. Odsunąłem od siebie wszelkie wspomnienia o Scotcie w jego miejscowej roli klerka z Oxenfordu, wcieliłem się w postać rycerza i wyruszyłem na podbój świata z własnym dworskim kodeksem trwale wyrytym pod czaszką. Zwróciłem uwagę na pewną młodą dziewczynę, która mi się spodobała, ale zrezygnowałem, ponieważ wydawała się nazbyt wrażliwa. Później poznałem inną kobietę, nieco od niej starszą, lecz ta z kolei była strasznie nerwowa, a nie chciałem przecież ich ranić. W ciągu paru godzin znalazłem jednak wdowę w moim wieku, pochodzącą z Atlanty. Kiedy się okazało, że jej poglądy na temat wakacji są zbieżne z moimi, zajęliśmy się udowadnianiem sobie wzajemnie teorii, że rejs morski bywa zwykle o wiele ciekawszy od wakacji na brzegu. Ze wszystkich sił starałem się unikać Vicky, jednakże na statku jest dosyć trudno - jeśli nie wręcz niepodobna - przeoczyć młodą atrakcyjną rozwódkę, która ściąga ogólną uwagę. Wyelegantowani oficerowie w białych mundurach zaczynali się wokół niej roić, gdy tylko słońce pogrążyło się w morzu, przystojni młodzi mężczyźni z obsługi, których zadaniem było dbać o gości, bezlitośnie zapominali o tkwiących pod ścianą pannach, żeby z nią zatańczyć. Z początku Vicky wołała towarzystwo obsługi, której umizgi w większości nie były aż tak jednoznaczne, ale po pewnym czasie uważnie przejrzała grono oficerskie i wybrała głównego mechanika. Kapitan, nieodgadniony facet działający z wielką dyskrecją, przypuszczalnie przekazał jej sygnał, że wołałby nieco poczekać. Świetnie się bawiłem w towarzystwie wdowy z Atlanty, choć rzecz jasna polowanie musiało trwać dalej. Katastrofa w San Juan tylko wzmogła we mnie strach, że moja niekompetencja wyjdzie na jaw, jeśli nie będę regularnie zmieniał partnerkę. Ze szczerym żalem porzuciłem towarzyszkę, wykręciłem szybki numer z inną wdową, po czym nawiązałem przelotną znajomość ze stewardesą z pokładu B, która niestety okazała się oziębłą. Przygnębienie znów zaczęło dawać mi się we znaki, kiedy tuż przed zawinięciem na Martynikę zauważyłem dość interesującą kobietę, która dzieliła kabinę z indywiduum znanym powszechnie jako "Sinej Popłuczyna". Zaciekawiała mnie; nie była może zbyt ładna, za to wyróżniała się doskonałą figurą. Okazała się ubogą krewną owej straszliwej matrony z Miami, która sfinansowała jej wycieczkę pod warunkiem, że obdarowana będzie nadskakiwać swej dobrodziejce od świtu do nocy. Zataczałem ostrożnie koła wokół tej pary. Początkowo obawiałem się, że jeśli zacznę okazywać względy trzydziestokilkuletniej, na oko przyzwoitej kobiecie, będzie się spodziewać zbyt wiele, potem jednak zmieniłem zdanie. Nędzny żywot w roli popychadła Sinej Popłuczyny na pewno ugasił już w niej wszelkie nadzieje co do tego rejsu i byłem coraz bardziej pewien, że jakakolwiek znajomość, choćby i przelotna, objawi się jej jako nieoczekiwany uśmiech losu. Nie namyślając się dłużej postanowiłem, że sprawię, aby był to dla niej pamiętny rejs. - Jak się masz, Judy! - zagadnąłem ją pewnego popołudnia, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem pod drzwiami biblioteki. - Może zagrałabyś w kręgle? Było to niezbyt błyskotliwe otwarcie, na statku jednak uchodzą nawet najmniej oryginalne zaczepki. Judy wyraźnie ucieszyła się, że ktoś ją zauważył, mimo to odrzuciła zaproszenie. Wypoczyła właśnie z biblioteki książkę, którą jak co dzień po południu miała czytać na głos strasznej babie. - Może wobec tego pójdziemy wieczorem na drinka? - nalegałem, nie próbując nawet ukryć swych prawdziwych intencji. - Ojej, byłoby mi bardzo miło, ale... - moja oferta wprawiła ją w stan graniczący z ekstazą, aczkolwiek nie pozwoliła zapomnieć o Sinej Popłuczynie. - Mogę poczekać - powiedziałem - aż Postrach Miami nakręci sobie wałki i wejdzie pod pierzynę. - O! W takim razie... Czy ja wiem... - Przemysł to - poddałem

łagodnie, ruszając w stronę biblioteki. Będę w barze na dzio- bie. Judy wyjąkała coś na kształt podziękowania i zmieszana pobiegła do swojego Cerbera. Z uczuciem, jakie mógłby mieć Święty Mikołaj, który jeszcze przed Gwiazdką odwiedził grzeczne dziecko, wszedłem do środka, żeby rzucić okiem na półki. Tuż przy drzwiach, z podwiniętymi nogami, siedziała na kozetce Vicky. - Cześć - powiedziałem. - Czytasz jakieś bzdury? - Cudowny banał! - pokazała mi tytuł romansu i oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Czuję się teraz swobodniej w jej towarzystwie, gdyż nauczyłem się już myśleć o niej jak o kimś całkowicie odmiennym od Vicky, którą Scott znał w Nowym Jorku. Tamta Vicky była ograniczoną ignorantką przybierającą fałszywe intelektualne pozy, czym nieodmiennie iry- towała Scotta. Ta była dość bystra, by wiedzieć, że wszelkie pozy są tylko stratą czasu. Nowo- jorska Vicky, przesłonięta gromadą dzieci, służbą i oddanym mężem czy ojcem, była roztarg- niona, chimeryczna i wiecznie niezadowolona jak większość bogatych rozpuszczonych kobiet. Ta Vicky była tak samo bezpośrednia i zrelaksowana jak jej ojciec, gdy nocą spotykał się ze Scottem nad szachownicą. Spojrzałem na kostiumowy romans, który trzymała w ręku, i przed oczyma stanął mi Korneliusz z książką Harolda Robinsa. Dziwne, że Vicky przypominała mi właśnie Korneliu- sza, nie Emily, choć od dawna wiedziałem, że Vicky diametralnie różni się od ciotki. Równie dawno zdałem sobie sprawę, że był to największy psikus, jaki los spletał Korneliuszowi. Prag- nał mieć córkę będącą lustrzanym odbiciem jego siostry, która dla niego uosabiała wszystkie tradycyjne kobiece zalety. Zamiast tego spłodził swoją następczynię, zbyt do niego podobną, by mógł się z tym pogodzić. Jeśli Korneliusz był w ogóle zdolny do postrzegania córki taką, jaką była, niepotrzebnie tracił czas na żalobne prorocтва, że skraca sobie życie pijąc, paląc i puszczając się na prawo i lewo. Tej kobiety nic nie było w stanie złamać. Odziedziczyła po nim tę samą delikatną, kru- chą powierzchowność, którą Korneliusz wygładził do perfekcji dla zmylenia wrogów, lecz ja przejrzałem ją na wylot. Patrząc z boku, widziałem wyraźnie, że doświadczona rozbitym mał- żeństwem rodziców, dwoma nieszczęśliwymi związkami, pięciorgiem dzieci, fortuną Van Za- le'ów, a wreszcie wysiłkami samego Korneliusza, by ukształtować ją na obraz i podobieństwo Emily, miała jeszcze dość sił, by z tych gruzów zbudować sobie własne życie. Przypomniało mi się, że Korneliusz też przetrwał izolację w dzieciństwie, kłopoty ze zdrowiem, despotyczną matkę, lata ogłupiającej mieszczańskiej nudy w Velletrii, a jednak udało mu się nie tylko stam- tąd uciec, lecz jeszcze zdobyć bank Van Zale'ów i niechętny szacunek wszystkich, którzy po- przednio nie brali go pod uwagę i traktowali jak zero. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo obydwójce godni byli podziwu, należeli do ludzi, wobec których zawsze trzeba być czujnym. Są nie do zdarcia; dążą do tego, czego chcą, i nie ustępują, póki tego nie dostaną, a taki upór może być niebezpieczny. Toteż zaliczywszy Vicky na równi z jej ojcem do gatunku urodzonych zwycięzców, postanowiłem zarazem trzymać się od niej z daleka. - Nie uważasz, że takie rejsy są niezwykle? - zauważyła z rozbawieniem. - Jeszcze nigdy nie znalazłam się w tak nierealnym świecie! - W którym wszyscy pośpiesznie ulegają najniższym biologicznym instynktom? Dla mnie jest to jak najbardziej realne. Można by się spierać, czy nie bardziej realne niż to, co nas ota- cza w Nowym Jorku! - Też mi rzeczywistość! Mam nadzieję, że Judy uda się dzisiaj wyrwać. Na jej miejscu zamordowałabym tę starą torbę pierwszego dnia na morzu! - Wierzę! Oddaliłem się bez pośpiechu, leniwie porównując w myśli wakacje Judy z wakacjami Vicky. Pod koniec postoju na Martynice Vicky porzuciła głównego mechanika i ku ogólnemu wzburzeniu zaanektowała pierwszego oficera. Kapitan nadal czekał dyskretnie za kulisami. Podejrzywałem, że wykona swój ruch, kiedy wypłyniemy z Curaçao w ostatni etap drogi po- wrotnej na Portoryko. Wróciwszy do kabiny, zdrzemnąłem się nieco, żeby nadrobić poważne już braki snu, i wygramoliłem się z łóżka dopiero na kolację. W czasie gdy spałem, pod drzwi wsunięto dwie koperty. W jednej było zaproszenie na przyjęcie, w drugiej zaś następujący liścik: "Chciałabym się z Tobą dziś spotkać, ale raczej nie w barze, bo pani B. mogłaby się o tym dowiedzieć. Czy mogłabym przyjść do Ciebie? Pani B. o #/11#30 już śpi,

więc mogła- bym się wymknąć około północy. Jeśli się zgadzasz, przyjdź dziś na kolację z białym goździ-kiem w butonierce. Judy. PS. Proszę Cię, zgaś wszystkie światła, bo zwykle nie robię tego rodzaju rzeczy i jestem bardzo nieśmiała." Gwizdnąłem z uznaniem. To prawda, że Sina Popłuczyna zdołałaby popchnąć najprzy- zwoitszą kobietę na tajną schadzke z nieznajomym, i prawdą było też, że na statku wszystko może się zdarzyć, ale mimo to odwaga tej dziewczyny zrobiła na mnie wrażenie. Biały goździk w butonierce przy kolacji, a zaraz potem randka o północy - w pościeli, bez żadnych nudnych wstępów! Byłem nie tylko szczerze ubawiony tą dziwną mieszaniną romantyzmu i tupetu; mo- je podniebienie, nieco już otepiałe, zostało tym razem wyraźnie połączane. Natychmiast za- pomniałem o depresji, kupiłem w kwaciarni ogromny biały goździk i pobiegłem na kolację z niespotykaną werwą. Gdybym nie był abstynentem, zamówiłbym szampana dla całego stołu. Uśmiechnąłem się do Judy przez całą długość jadalni. Odpowiedziała uśmiechem. Spędziwszy wieczór w kasynie, gdzie udało mi się nie przegrać zbyt wiele, wróciłem do siebie i przed północą leżałem już w łóżku przy zgaszonym świetle. Gdybym stwierdził, że by- łem podniecony, byłby to największy eufemizm roku. W pewnej chwili otworzyły się drzwi. Nie widziałem ich, bo kabina miała kształt litery "L" i drzwi otwierały się do małego przedpokoju. Łóżko znajdowało się w najdalszym kącie kabiny, mogłem z niego więc dostrzec zaledwie początek rzędu wbudowanych w ścianę szafek. Kiedy drzwi lekko się uchyliły, zoba- czyłem tylko smugę światła wpadającą do środka z głównego korytarza. Drzwi się zamknęły. Zapadła ciemność. W kompletnej ciszy oboje wstrzymaliśmy od- dech. - Cześć! - odezwałem się w końcu półgłosem. - Widzisz cokolwiek? Może jednak zapa- lić światło? - Nie, wszystko w porządku - szepnęła. - Proszę, tylko nie światło! Nie wiedziałabym, gdzie podziąć oczy. - Spokojnie! Podziwiam klasę, z jaką czmychnęłaś tej babie, żeby wreszcie się trochę za- bawić! Jesteś wspaniała! Miałem wrażenie, że moje słowa dodały jej odwagi, gdyż po omacku ruszyła w stronę łóżka. Posłyszałem szelest zdejmowanej sukienki. Rozgrzany nylon zaiskrzył się w ciemności, ale poza ruchomym bezimiennym cieniem nie widziałem nic. Wśliznęła się między prześcieradła, prosto w moje ramiona. Ponieważ okoliczności były wyjątkowe, nawet biorąc pod uwagę moje bogate doświad- czenia zebrane w morskich podróżach i ponieważ szczerze uważałem, że jej oryginalność za- służyła na najwyższą nagrodę, postanowiłem, że zrobię wszystko, by ta noc pozostała jej w pamięci na zawsze. Nie śpieszyłem się, przedłużałem każdą pieszczotę, a gdy moje dłonie wędrowały po jej ciele, ze zdumieniem odkryłem, że figurę ma jeszcze lepszą, niż podejrzewa- łem. Reagowała żywo, choć w milczeniu. Przez kilka minut wiliśmy się w narastającej go- rączce, potem, zakończywszy zewnętrzny rekonesans, poddałem się najsilniejszemu pragnieniu i wszedłem w nią. Była to niezwykła podróż. Najbardziej podniecające było to, że przez cały czas nie wydała z siebie nawet jęku. Nig- dy przedtem nie kochałem się z tak cichą kobietą, ale z ruchów jej ciała, z dotyku ukrytej w mroku skóry odgadywałem, że to przeżycie jest tak samo wyjątkowe dla niej, jak bez wąt- pienia dla mnie. Oddychała szybko, wciąż jednak hamowała nawet szept i nagle to anonimowe milczenie uwolniło mnie od nagromadzonego napięcia. Czuję się tak, jak gdybym nie trzymał w ra- mionach żadnej konkretnej kobiety, lecz cały świat, do którego dotychczas zakazywano mi wstępu, a który teraz mnie oczarował, wciągał coraz głębiej, aż słowo "zakazane" przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczył się tylko magnetyczny blask tego świata, istniejącego w wymiarze, w którym śmierć nie odgrywa żadnej roli. W ciszy, nie zakłóconej nawet jednym słowem, zniknęły gdzieś więzy pętające moją jaźń i oto umysł wraz z ciałem mogły swobodnie świętować ucieczkę z cienia śmierci, który tak mnie przerażał. Przestałem się bać, że jeden fał- szywy krok sprowadzi mnie do grobu, zanim zrealizuję ambicję swego życia; odzyskałem swobodę, mogłem znowu być sobą i wreszcie byłem wolny, wolny od strachu, że utracę nad sobą kontrolę... 3 - O Boże! - zawołała leżąca pode mną kobieta, strącając mnie gwałtownie z powrotem do tego świata. Mimowolny skurcz jej ciała popchnął nas oboje na ścianę przy łóżku. Szok objął mnie jak

potężna eksplozja. Znałem ten głos. To nie był głos Judy. Uderzeniem pięści zapaliłem światło. Krzyknęła. Na sekundę oboje musieliśmy zasłonić oczy przed blaskiem, ale kiedy opuściliśmy dłoń - nie, znaleźliśmy się twarzą w twarz, niezdolni oderwać od siebie wzroku. Jej źrenice były teraz zupełnie nieprzejrzyste. Tęczówki skamieniały w szarość pierwotnych skał. Milczeliśmy. W sekundę później odzyskałem zdolność poruszania się. Kopnięciem odrzuciłem na bok skłębione prześcieradło i zerwałem się. Podłoga była zimna. Kręciło mi się w głowie, musiałem się oprzeć o ścianę, żeby utrzymać równowagę, w końcu jednak dotarłem do zbawczego schronienia w łazience, zatrzasnąłem za sobą drzwi i przekręciłem zasuwkę. 4 Vicky nieśmiało zapukała do łazienki. - Scott? Nie odpowiedziałem. Próbowałem odkręcić kran z zimną wodą, ale nie miałem dość siły w palcach. Spróbowałem jeszcze raz, posługując się obiema dłońmi, i po chwili lodowata woda zaczęła parzyć mnie w ręce niczym ciekły azot. Oplukałem twarz i zmusiłem się do spojrzania w lustro. Zobaczyłem w nim to, co chciałem zobaczyć, i wiedziałem, że jestem bezpieczny. Bałem się, że ujrzę Scotta. Byłoby to bardzo groźne, lecz Scott najwyraźniej nadal przebywał w Nowym Jorku, tak samo jak nowojorska Vicky. Wciąż byłem sobą; miałem za sobą kolejną przelotną przygodę z kolejną przypadkową dziewczyną. Sytuacja była dość przejścia. Mogłem z niej wybrnąć z jedną ręką związaną na plecach. Wszystko znajdowało się pod kontrolą. Zdjąłem ręcznik, owinałem się nim w pasie i otworzyłem drzwi. Wciąż tam była. Miała na sobie jedną z moich koszul; przyciskała ją kurczowo do siebie, żeby ukryć nagość. Jasne włosy miała zmierzwiłone i była biała ze strachu. - Scott... - Chcesz skorzystać z łazienki? Proszę bardzo. Przepraszam, że zająłem ją na tak długo. Minałem ją, a kiedy drzwi zamknęły się cicho, zacząłem ścielić łóżko, jak gdybym mógł w ten sposób odwrócić to, co się w nim stało. W połowie wygładzania koców musiałem usiąść. Byłem wyczerpany, nagle dotarł do mnie widok zbrakanych prześcieradeł, zapach seksu, sytość lędzwi, niebezpieczeństwo, zgroza, strach... Szok oświadczył mi w końcu, ogłuszył mnie. Nie czułem radości, triumfu, podniecenia. Teraz, gdy wiedziałem, kim była, nigdy więcej nie uda mi się powtórzyć tego sukcesu. I teraz, gdy już wiedziałem, sukces przestał być sukcesem, a stał się niewybaczalnym fiaskiem mojej samokontroli. Szok pogłębiał się. Zrezygnowałem z dalszego ścielenia łóżka i zacząłem po omacku szukać ubrania. Nie potrafiłem już myśleć jasno. Z trudem uświadamiałem sobie, co robię. Drzwi łazienki otwarły się. - Scott, proszę cię, pozwól mi wytłumaczyć! Muszę ci wyjaśnić, jak bardzo mi przykro; chcę cię prosić o wybaczenie! To była głupia, tania, dekadencja sztuczka, o Boże, już nigdy nie popłynę na taką wycieczkę, nigdy, przenigdy... Urwała. Czułem instynktownie - jak świetny aktor, który ma właśnie wygłosić słynny monolog Szekspira - że nadeszła chwila, gdy muszę wykorzystać efekt wieloletnich ćwiczeń, pokazać doświadczenie i klasę. Sięgnąłem po swą tożsamość - lecz którą? Nie Scotta, to pewne. Scott nigdy nie wdałby się w taką aferę. Pozostawałem ja, wmawiający innym kaleka, że jest zupełnie zdrowy. I natychmiast, z gwałtowną pogardą dla samego siebie, zrozumiałem, że choć dopiero co udowodniłem, że wcale nie jestem kaleką, nadal będę musiał wieść to ułomne życie. Jedynym sposobem na zażegnanie niebezpieczeństwa było powtórne wcielenie się w rolę oszusta. Odtąd nadal musiałem kłamać - i nadal przegrywać. - O co ten gwałt, Vicky? - powiedziałem ze śmiechem. - Oszczędź mi tych rozziewających wywodów! I cóż się takiego stało? Było świetnie! Jasne, że na brzegu nie wpadłoby ci do głowy, żeby wykręcić taki numer, ale co z tego? Cała przyjemność rejsu polega na tym, że człowiek robi tu rzeczy, jakich nie ośmieliłby się zrobić gdziekolwiek indziej! Bądźmy szczerzy, był to błyskotliwy, świetnie wykonany manewr, który nam dał sporo przyjemności. Właściwie dlaczego nie mieliśmy tego uczcić? Zapraszam do baru! Możemy tam wypić zdrowie, zanim rozejdziemy się w przeciwne strony! - Jasne. Czemu nie? - odparła po chwili opanowanym głosem i rzuciła mi przelotny uśmiech. Jak na razie szło dobrze, mimo to pocilem się ze zdenerwowania. Odgrywanie playboya nigdy nie przychodziło mi z takim trudem i nigdy nie wydawało się bardziej ohydne. Dostawanie się do tego kostiumu

kosztowało mnie tyle wysiłku, że ledwie wydobywałem głos z krtani, w końcu jednak udało mi się spytać nonszalancko: - Chcesz się ze mną wykapać, zanim się ubierzemy? - Mowa! - odparła, lecz to slangowe wyrażenie zabrzmiało karykaturalnie, obróciło wniwecz jej starania, by wydać się spontaniczną i wyzwoloną. Staliśmy naprzeciw siebie. Vicky nadal miała na sobie moją koszulę, ja w którymś momencie zdążyłem wciągnąć spodni, ale teraz, wcielając się w rolę playboya, zrzuciłem je beztrąsko i ruszyłem w stronę łazienki. Vicky stała bez ruchu. Podeszedłem do niej, wciąż jednak blokowała mi przejście i wtedy właśnie zrozumiałem, że jest tak samo dezorientowana jak ja i tak samo zmuszona do odgrywania roli, której wcale nie ma ochoty grać. Dałem sobie spokój z udawaniem. Nie była to świadoma decyzja, a po prostu nieprze- parta chęć, by być sobą. Kiedy spojrzałem na Vicky, zrozumiałem, że nie mogę podrzeć swojej przepustki do świata, który nagle został odmieniony. Nie dotarliśmy pod prysznic. Nie dotarliśmy też do baru na rufie, gdzie mieliśmy święcić koniec udanej zabawy. Nie dotarliśmy nawet do łóżka. Zrobiłem krok do przodu w tej samej chwili, w której ona wyciągnęła ku mnie ramiona. W przyćmionym świetle lampy stojącej w kącie pokoju gwałtownie przyciągnąłem Vicky do siebie i posiadałem, opierając ją plecami o ścianę. 5 O świcie zaczęliśmy rozmawiać. - Masz kogoś w Nowym Jorku? - Nie. Tam jestem inny. - Ja też. Nie mogę żyć tak, jak naprawdę chciałabym żyć. - A kto może? Wolność to jedna wielka iluzja. Chodzimy w kieracie, z którego nie można się wyrwać. - A ty czym czujesz się zniewolony? - Myślałem, że to oczywiste. Czuję przymus, by dojść na sam szczyt w swoim zawodzie i w ten sposób zrekompensować sobie porażkę ojca. Każdy psychoanalityk ci powie, że moje zachowanie jest aż nazbyt przewidywalne. Po chwili milczenia spytała: - I to naprawdę jest aż tak proste? - Dlaczego pytasz? - Bo życie rzadko jest proste. Co naprawdę myślisz o moim ojcu? - Vicky, nie powinnaś sądzić, jak zapewne uważa Sebastian, że jestem uwikłany w jakiś potężny dramat krwawej zemsty. Prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. - Ale jaka jest ta prawda? Milczałem. Potem nagle odezwałem się: - Żałuję, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Może zdobyłbym się na to, gdybym sądził, że mnie zrozumiesz. Może kiedyś... 6 Później, kiedy słońce zaczęło wpadać przez bulaj, a morze przybrało świetlistą błękitną barwę, zapytała: - I naprawdę nie masz czasu ani sił na życie osobiste w Nowym Jorku? - Czy to tak trudno zrozumieć? - Wręcz przeciwnie, może nawet zbyt łatwo. Praktycznie jadę na tym samym wozie. Życie rodzinne, do którego jestem zmuszona, nie zostawia mi ani czasu, ani energii na to, żeby szczerze zająć się sobą. Ale motorem moich poczynań nie jest ambicja, jak w twoim wypadku. Są nim wyrzuty sumienia. Wstałem i podeszedłem do bulaja. Nagle zabrakło mi słów. - Wcale nie sądzę, że robimy to, co musimy - dodała. - Myślę, że robimy to, do czego zmusza nas poczucie winy. Nadal nie byłem w stanie się odezwać. - Czasami człowiek nie może się go pozbyć - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Chce, ale nie może. Jest do niego przybity gwoździami, jak do krzyża; kiedy chce się oderwać, wykrwawia się na śmierć, a na dodatek cierpią przy tym niewinni ludzie. Więc człowiek dalej robi to, co dyktują mu wyrzuty sumienia, a jedyna ucieczka, na jaką go stać, to stworzenie sobie podwójnego życia, jak gdyby rozdwojenie własnej osobowości. To oczywiście także potworny ciężar, ale mniejszy niż codzienne borykanie się z winą, której nie sposób znieść. Stałem niemy. Gorąca wilgoć w oczach mąciła mi obraz. - Przepraszam - powiedziała. - Pewnie uważasz, że gadam bzdury. Zapomnijmy o tym. - Vicky... - To i tak bez znaczenia. Wróć do łóżka. 7 Później to ona stała przy bulaju. Zobaczyłem, że jej skóra w miejscach, gdzie nie sięgała złotawa opalenizna, ma kolor kości słoniowej. - Zbliżamy się do Curaçao - powiedziała. - Chyba już czas, żebym poszła do siebie. Muszę się jakoś przemknąć w tej wieczorowej sukience... O czym myślisz? - Myślę, że wyglądasz teraz tak, jak powinny były wyglądać Maeve i Grainne, choć pewnie żadnej z nich się to nie udało. - O kim ty, u diabła, mówisz? Nie, nie tłumacz, nie jestem w nastroju do przyswajania wiedzy. Słuchaj, zejdźmy razem na brzeg, kiedy statek zawinie do portu. Jestem co prawda umówiona na lunch z kapitanem, ale mogę to odwołać. - Nie, ja... nie będę schodził na brzeg. W jej

oczach pojawił się cień zawodu. - Dlaczego? - Bo jestem zmęczony. Nie jestem Supermanem. Muszę trochę odpocząć. A Curaçao to nic ciekawego, ot, wyspa, zagarnięta kiedyś przez Holendrów i natychmiast przez nich zapomniana. - Tak, ale... a zresztą dobrze, skoro tak uważasz. Może ja też trochę odpocznę, a wieczorem... - urwała. - Wieczorem - powtórzyłem. - Tak, wpadnę po ciebie. Uśmiechnęła się. Patrzyłem, jak się ubiera. Gdy była już gotowa, podeszła do drzwi i z daleka przesłała mi całusa. - Do zobaczenia! Promieniowała z niej radość. Chciałem ją zatrzymać, zamknąć drzwi na klucz i wyrzucić go w morze, lecz nie zrobiłem tego. Sparaliżowała mnie wojna myśli, rozdartych pomiędzy marzeniem o normalnym życiu a nakazem osiągnięcia celu mojej mistycznej wyprawy. Kiedy zostałem sam, uświadomiłem sobie, że nie mam wyboru. Muszę zebrać się w garść i stawić czoło rzeczywistości. Sen się skończył; żeby wygrać, muszę się bronić. Najlepiej bez zwłoki uciec do domu, do Scotta. Zanim jeszcze zawinęliśmy na Curaçao, załatwiłem wszystkie formalności z płatnikiem, a wkrótce po opuszczeniu trapu zszedłem ze statku i wyruszyłem w powrotną drogę do Nowego Jorku. 8 Pierwszy list, który zamierzałem jej zostawić, brzmiał następująco: "Najdroższa Vicky! Przede wszystkim chcę Ci podziękować za uwiedzenie mnie w tak wysoce oryginalny sposób. Chaucer byłby tobą zachwycony! Nieomal wyobrażam sobie, jak pisze <Opowieść niewiasty z Nowego Jorku> i znacznie upiększa <Opowieść młynarza>, w której wszystkie sceny damsko-męskie rozgrywają się pod osłoną ciemności. Jeżeli Ty możesz sobie wyobrazić <Opowieść bankiera> - choć Chaucer nazwałby mnie raczej bogatym lichwiarzem - przyznasz zapewne, iż potrafiłby mnie opisać w równie żywych barwach, w jakich bez wątpienia opisałby Ciebie. Tyle, co się tyczy wieków średnich. Na nieszczęście przyszło nam żyć w czasach nowożytnych, nie sądzę więc, byśmy nadal mogli odgrywać naszą współczesną wersję <Opowieści kanterberyjskich>. Wiele razy podróżowałem już statkiem i wiem, że rzeczywistość tworzona na jego pokładzie rozwiewa się, gdy człowiek powraca na ląd. Skoro więc nowy wariant naszej znajomości, jakkolwiek bardzo przyjemny, nie ma perspektyw na przyszłość, nie widzę powodu, byśmy mieli przedłużać tę zabawę aż do końca rejsu. Lepiej zachować ulotne wspomnienie jednej cudownej nocy, niż z bólem rozpamiętywać emocjonalną pułapkę, jakiej - jestem tego pewien - oboje wolimy uniknąć. Życzę Ci bezpiecznej podróży do domu i dużo szczęścia na przyszłość. Scott." Dopiero gdy podpisałem się jego imieniem, dotarło do mnie, że przez cały czas próbowałem się pod niego podszyć. Przeczytałem list ponownie i najbardziej uderzył mnie nawet nie jego niewątpliwy chłód, ton wyższości i stylizowana intelektualna maniera, lecz fałsz, którym przesycony był od początku do końca. To, co napisałem, nie miało nic wspólnego z tym, co rzeczywiście zaprzątało moje myśli. Złożyłem kartkę, lecz zdałem sobie sprawę, że nie mogę jej przesłać Vicky. Podarłem ją. Statek wpływał już do portu; miałem coraz mniej czasu, a równocześnie wiedziałem, że nie mogę odejść bez słowa. W końcu, ponieważ nie byłem w stanie niczego tłumaczyć, a przeprosząc czułbym się nie tylko jak tchórz, ale i półgłówek, napisałem tylko: "Vicky! Muszę przerwać tę nową znajomość. Nie chcę tego, ale to konieczne. Jeśli będziemy brnąć dalej, czekają nas jedynie nierozwiązywalne problemy, wobec czego zdrowy rozsądek nakazuje się nie angażować. Wierz mi, że zapamiętam Cię na zawsze taką, jaka byłaś ubiegłej nocy, gdy sprawiłaś, że romantyczny mit ożył - choć na krótką chwilę - w rzeczywistości." Nie chciałem się podpisywać imieniem Scotta, na tym więc zakończyłem. Zakleiliśmy kołtę i zostawiłem ją w biurze płatnika do doręczenia. Próbowałem odsunąć od siebie myśl, jak będzie się czuła, kiedy otworzy list i odkryje, że kopnięciem zamknąłem drzwi, które czarodziejską mocą otworzyły się między nami. 9 Bezpośrednie połączenie z Nowym Jorkiem było tylko jedno w ciągu dnia. Musiałem odczekać cztery godziny na lotnisku. Nadałem bagaż i kupiłem sobie kilka gazet, ale kiedy zacząłem się do czytania, okazało się, że nie mogę się skoncentrować. W końcu odłożyłem je na bok i zacząłem rozmyślać o Vicky. Powtarzałem sobie, że cały ten incydent był niczym więcej jak tylko chemiczną reakcją pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy w specyficznych

okolicznościach ujrzeli się nawzajem w nieodparcie korzystnym świetle. Nie zdołałem jednak sam siebie do końca przekonać, że nasze spotkanie da się podsumować tak prosto. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego odkrycie jej tożsamości nie zniszczyło tego przyciągania. Jak mogłem w dalszym ciągu z powodzeniem uprawiać z nią seks, skoro już wiedziałem, kim jest? W panice usiłowałem znaleźć racjonalne wytłumaczenie własnego zachowania. Czuję, że zależy od tego moje zdrowie psychiczne. Echo słów Vicky rozbrzmiewało mi w myślach. "Masz kogoś w Nowym Jorku?" "Nie, tam jestem inny." Nie zapytała nawet, co przez to rozumiem. Wiedziała, że nie jestem Scottem. Ujrzała we mnie moje własne "ja", a co ważniejsze, zaakceptowała mnie takim, jakim jestem. A ja także dojrzałem jej prawdziwą postać i zaakceptowałem ją. Nie córkę Korneliusza Van Zale'a, nie byłą żonę Sebastiana, nie udęconą matkę wszystkich tych hałaśliwych i źle wychowanych dzieci. Vicky tak jak ja prowadziła podwójne życie. Była wiecznym włóczęgą, lecz przy tym twardym zawodnikiem, usiłującym narzucić sobie dyscyplinę i dęczonym przez motywy, których nikt nie rozumiał. Była towarzyszką, jakiej zawsze pragnąłem, zdolną położyć kres mojej izolacji. Kobieta, na której znalezienie dawno już przestałem liczyć. Nie czułem nawet żalu, że była także kimś, kto tak dobrze znał świat Scotta. To tylko pomagało nam się zrozumieć, bo nie musiałem jej o nim opowiadać. Wiedziała doskonale, kim jest Scott, pominęliśmy więc etap wszystkich tych nudnych pytań, które kobiety czują się w obowiązku zadawać: gdzie mieszkasz, czym się zajmujesz, czy byłeś kiedyś żonaty... Myślałem o tych wszystkich upiornych pytaniach, ciesząc się, że nie padły. Potem przypomniałem sobie, że w którymś momencie tej nocy powiedziałem do niej: "Ale przecież Tony był przyśrodkowany ode mnie - jak to możliwe, że to ja podobałem ci się bardziej?" A Vicky rzuciła lekko: "Owszem, był ładny, ale zawsze trochę nudził, podobnie jak Andrew". Byłem w siódmym niebie i nagle pomyślałem, jak to dobrze, że Vicky zna ich obu i że nie muszę się wdawać w kłopotliwe wyjaśnienia. Tak więc Vicky mogła zmniejszyć bagaż mojej rezerwy, wyrosła bowiem w tym samym otoczeniu, a kiedy wnikliwiej zastanowiłem się nad jej pochodzeniem, dostrzegłem jeszcze coś, co dawało jej przewagę nad innymi: nie obchodziło jej, ile pieniędzy zarabiam i na co mnie stać. Sama była bogata i moje pieniądze nie przesłaniały jej mojej osoby. Już to wystarczało, by różniła się diametralnie od większości kobiet, które napotkałem w czasie swoich wędrówek. Nagle odkryłem, że bardzo chciałbym się znów z nią spotkać. Natychmiast zerwałem się na nogi. Oczywiście miałem otwarte, lecz widać wciąż poruszałem się we śnie. Najwyraźniej uwikłałem się w pajęczynę iluzji, nie mającej związku z moim nowojorskim życiem, ale ku swemu przerażeniu stwierdziłem, że teraz Nowy Jork wydaje mi się złudzeniem, a Vicky stanowi jedyną rzeczywistość w zmienionym, chaotycznym świecie. Usiadłem ponownie i zmusiłem się do spokoju. Byłem oczywiście bardzo poruszony. To dlatego rozróżnienie fantazji i rzeczywistości sprawiało mi tyle kłopotu i dlatego instynkt samozachowawczy gnał mnie z powrotem do Nowego Jorku, gdzie kontrolę nad moim życiem mógł znowu przejąć Scott. A może to Scott był złudzeniem? Nie. Scott był mitem, a równocześnie częścią mojej rzeczywistości, gdyż w przeciwieństwie do złudzeń mity stanowią tylko inne wymiary prawdy. Dlatego właśnie mit może być równie ważny jak rzeczywistość i dlatego mit, towarzyszący najbardziej znanym ludziom, nie kłóci się z rzeczywistością, lecz ją dopełnia, skutkiem czego prawda i legenda sączą się razem przez czas. Zerknąłem do gazety i zobaczyłem zdjęcie Kennedy'ego. Odwiedził Florydę, żeby zapewnić tamtejszych mieszkańców, że "nie jest przeciwny przedsiębiorczości", a teraz wybierał się do Teksasu z podobną misją. Takie były realia, choć był również i mit towarzyszący całemu jego życiu, legenda J.F.K., człowieka, który podjął dążenia swego ojca i doprowadził je do samego końca. Pewnego dnia mój mit też na zawsze stopi się w jedno z rzeczywistością i będę mógł zacząć żyć tak, jak zawsze pragnąłem. Najpierw jednak muszę skończyć partię szachów ze Śmiercią; muszę ją przechytrzyć i pokonać. Jutro znajdę się w Nowym Jorku. Jutro prezydent Kennedy znajdzie się w Dallas w Teksasie. Takie były realia. Ale na końcu drogi,

wytyczonej przez ambicję, czekało światło i życie, a kiedy ponownie spojrzałem na uśmiechniętą twarz Jacka Kennedy'ego, pomyślałem, że Śmierć chyba nigdy nie wydawała mi się tak odległa. - Pasażerowie oczekujący na lot Easter Airlines do Nowego Jorku proszeni są... Przemogłem się i wsiadłem do samolotu. - Czego się pan napije? - spytała ładna stewardesa, zatrzymując się obok mnie. Chciałem jej odpowiedzieć, lecz bałem się, że zamówię coś niewłaściwego. Byłem po- twornie spięty. Mój sąsiad zamówił szkocką. - Może kawy? - poddała stewardesa. Skinąłem głową i zdałem sobie sprawę, że jest ze mną gorzej, niż sobie wyobrażałem. Im prędzej dotrę do Nowego Jorku, tym lepiej. Scott przytrzyma mój kaftan bezpieczeństwa, ja z ulgą wśliznę się do środka i wtedy nastąpi koniec tych wszystkich niebezpiecznych złudzeń i błogosławiony powrót do normy. 10 Gdy tylko wylądowałem w Nowym Jorku, zacząłem się za nim rozglądać. Poszedłem do toalety i myjąc ręce przejrzałem się w lustrze, lecz zobaczyłem tylko własną, szarą ze znużenia twarz i własne, coraz bardziej zmieszane oczy. Nieco później, kiedy taksówkarz czekał na ins- trukcję, spodziewałem się, że usłyszę pewny siebie głos Scotta, który poda mu znajomy adres, ale posłyszałem własny stroskany głos, mówiący: "Na Manhattan, róg Osiemdziesiątej Piątej i York" - tak jak gdybym był tylko przyjezdny, a jedyny przyjaciel, jakiego miałem w tym mieście, zapomniał mnie odebrać z lotniska. Zobaczyłem z dala zarys Manhattanu, dziwnie odmieniony nowym budynkiem PanAm, a zmiana w znajomym krajobrazie zakłóciła pionową strukturę czasu i nadała mu w moim umyśle kształt pętli. W wieżowcach widziałem gigantyczne dolmeny, ustawione w szyku tak samo złowieszczym jak megalityczne kamienne kręgi na krańcu Europy, i wiedziałem, że wkraczam do makabrycznego świętego gaju, w którym życie ludzkie codziennie składane jest w ofierze dla udobruchania nienasyconych bóstw. Przez sekundę wydawało mi się, że na dol- menach lśni krew, ale oczywiście to było złudzenie, refleks zachodzącego słońca w szklanych oknach. - Nie ma jak w domu! - zawołał wesoło kierowca, kiedy taksówka mknęła przez most na Pięćdziesiątej Dziewiątej. Jednakże to nie był mój dom. Nie mogłem się już pogodzić z tym, że mieszkam wśród ociekających krwią głazów, gdzie co dnia ucieka ze mnie życie w więzieniu tożsamości Scotta. - Tutaj, przyjacielu? - spytał kierowca, zatrzymując się przed budynkiem, w którym mieszkał Scott. Byłem tak rozstrojony, że nie potrafiłem odpowiedzieć. Wcisnąłem mu do garści dwa- dziesiąt dolarów, nie czekając na resztę wbiegłem do budynku i wjechałem windą na dwunaste piętro. W tym czasie panika zdążyła mnie już chwycić za gardło i gdy tylko wyostałem się z windy, pobiegłem korytarzem do swojego mieszkania. Usiłowałem wepchnąć klucz do za- mka, lecz wysliznął mi się z ręki i upadł na podłogę. Podniosłem go i spróbowałem jeszcze raz. Drzwi ustąpiły. Pchnąłem je, aż uderzyły o ścianę, i wpadłem do środka. W mieszkaniu unosiła się woń stęchlizny, jakby ktoś tu umarł i został sprawnie zabalsa- mowany. Zamknąłem drzwi. Ich trzask przywiódł mi na myśl nie kończące się echo w mroc- nych salach zakładu pogrzebowego, ale nie zatrzymałem się, by go posłuchać. Wszedłem wprost do łazienki, żeby zerknąć do lustra. Nie zobaczyłem w nim Scotta. Powlokłem się do kuchni i przyrządziłem jego ulubiony napój - coca-colę z lodem i kroplą skondensowanego soku cytrynowego, ale to ja opróżniłem szklankę i ja odstawiłem ją na kuchenny blat. W sypialni ubrałem się w jego odzież: ciemny garnitur, białą koszulę i ponury krawat, wziąłem nawet jedną z jego ulubionych książek, to ja jednak siadłem z nią na fotelu w salonie i ja na próżno czekałem na człowieka, który nie przy- szedł. I gdy tak siedziałem otepiały z "Piersem oraczem" w dłoni, powoli zaświtała mi prawda. Scotta tu nie było i już nigdy nie miał się pojawić. Scott umarł. Zostałem sam. Rozdział czwarty 1 Wróciłem do łazienki, lecz tym razem lustro było puste. Nie widząc żadnego odbicia, nawet własnego, doznałem tak silnego szoku, że zaparło mi dech. Uświadomiłem sobie, że jest to halucynacja spowodowana nie tyle zaburzeniami umysłowymi, co wyczerpaniem fizycznym. Ta trzeźwa diagnoza uruchomiła jakąś reakcję chemiczną w moim mózgu, i gdy tylko przesta- łem trzeć oczy, zobaczyłem swoje odbicie. Gębę miałem mizerną i śmiertelnie przerażoną, zaśmiałem

się więc, żeby dodać sobie odwagi, i stwierdziłem na głos do lustra: - Powinieneś się napić. To przstraszyło mnie bardziej niż cokolwiek dotąd, zamknąłem się więc w sypialni, gdzie nie było książki telefonicznej z numerami sklepów monopolowych. Podniosłem notatnik i pióro, które zawsze trzymałem na nocnym stoliku. Pomyślałem, że jeśli będę się zachowywał w sposób możliwie najbardziej zbliżony do Scotta i sporządzę listę rzeczy, które muszę wyko-nać, może uda mi się osiągnąć jakieś pozory normalnego życia. Napisałem: "1. Rozpakować się. 2. Kupić jedzenie. 3. Posortować pranie. 4. Zjeść." Po-tem podarłem listę, na następnej stronie wielkimi literami napisałem: "Spać" i rozluźniłem krawat. Byłem tak wyczerpany, że zasnąłem w sekundę po tym, jak moja głowa dotknęła po- duszki. W jednej chwili myślałem: "Jakoś przeżyję bez niego", w następnej spadałem ze szczy- tu budynku PanAm w płynącą wiele pięter poniżej rzekę krwi. 2 Kiedy się obudziłem, poczułem się lepiej. Spałem czternaście godzin, co tylko dowodzi- ło, jak bardzo byłem zmęczony. Rzadko sypiałem dłużej niż sześć godzin na dobę. Obejrzałem się dokładnie w łazienkowym lustrze, ale przy goleniu ręka mi nie zadrzała. Potem włożyłem czyste dżinsy i trykotową koszulkę i głodny pognałem do kuchni tylko po to, żeby sobie przy- pomnieć, że nie mam nic do jedzenia. Zadzwoiłem do najbliższych delikatesów i złożyłem zamówienie. Pół godziny później, kiedy już przyrządziłem jajka, bekon, grzanekę i świeżą ka- wę, poczułem się nie tylko bardziej zorganizowany, ale też o wiele pogodniejszy. Scott umarł, czy jednak była to taka wielka strata? Planowałem już, jak zaadaptuję się do nowej sytuacji, nie narażając swoich ambicji. Scott na pewno doradziłby mi, żebym zapomniał o Vicky, lecz Scott był pedantycznym intelektualnym nudziarzem, który nigdy nie podjąłby żadnego ryzyka mogącego nadać jego życiu sens. Do diabła ze Scottem! Naturalnie nie mogłem porzucić wszystkich planów - to by- ło wykluczone - ale z Vicky także nie chciałem zrezygnować. To nie ulegało kwestii. Oczywiście Korneliusz znów weźmie mnie pod lupę, dopóki wszakże moje intencje będą całkowicie jasne, nie widzę powodu, dla którego miałby powziąć podejrzenie, iż zamierzam odebrać mu rodzinę żeniąc się z Vicky. Nie miałem ochoty zenić się z Vicky - ani też odbierać mu tych jego upiornych wnucząt. Nie wierzyłem w małżeństwo. Najlepsze małżeństwa w ogóle się nie utrzymują, reszta nieapetycznie kuleje aż do cmentarnych bram. Małżeństwo jest przyczyną cierpień i urazy; pamiętałem o tym aż za dobrze. Nie wierzyłem też we wspólne życie. Pewna doza samotności była mi niezbędna, żeby otrząsnąć się ze stresów, których nie szczeniło mi życie na Wall Street, a to nieuniknioną ko- lejną rzeczą sprawiło, że nie mieściłem się w żadnym modelu domowej harmonii, czy to w małżeństwie, czy też poza nim. Nie stać mnie było na to, by poddawać się jeszcze większej presji, usiłując żyć w sposób z gruntu mi obcy. I bez tego nacisk był już tak wielki, że chwila- mi wydawał się nie do zniesienia. Chciałem jednak regularnie widywać się z Vicky i oczywiście chciałem też z nią sypiać. Na szczęście nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym tego dopiąć. Uważałem, że Vic- ky bardziej niż chętnie skorzysta z tego, co miałem jej do zaoferowania, bo dodatkowy stres, związany z podwójnym życiem, był jej potrzebny nie bardziej niż mnie, a obecnie podobnie jak ja nie miała ochoty podejmować ryzyka, jakie niesie ze sobą stały związek. Myślami wróciłem do Korneliusza. Nie powinien chyba protestować, jeśli Vicky i ja na- wiążemy dyskretny romans, który w niczym nie wpłynie ani na życie jej i dzieci, ani na moją karierę bankową. Wiadomo, że Vicky i tak będzie z kimś sypiać, a po wszystkich przelotnych znajomościach, jakie zaliczyła w ciągu ostatnich trzech lat, Korneliusz przypuszczalnie odet- chnie z ulgą, jeśli na jakiś czas ją przytrzymam. Może mi zaufać, że nie zrobię żadnego głups- twa. Nie zamierzałem przecieź sprawiać mu zawodu. Gwałtownie usunąłem z myśli Korneliusza, włożyłem sweter i skórzaną kurtkę i wyszed- łem z mieszkania, żeby kupić gazetę. Przy okazji uznałem, że krótki spacer dobrze mi zrobi, ruszyłem więc wzdłuż Osiedzia Szóstej i w chwili gdy dotarłem do świateł przy Lexing- ton, jakiś obcy mężczyzna, blade i najwyraźniej będący w stanie szoku, zaczął mnie słowami: - Słyszał pan już nowinę? - Jaką nowinę? - Postrzelili go. - Kogo? -

Kennedy'ego. - Kogo? - Prezydenta. John F. Kennedy został ranny w Dallas w Teksasie. - To niemożliwe! - On umiera. Jakiś samochód zatrzymał się na światłach obok nas i kierowca wychylił się przez okno. - Czy to prawda? Ludzie zaczęli wysiadać z samochodów. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że przechodnie też się zatrzymują. "Nie żyje? Czy to prawda? Umiera? Czy to prawda? Czy to prawda, czy to prawda, czy to prawda?..." Straszliwe pytania powtarzały się jak fuga Bacha i gdzieś z zamierzchłych wspomnień wyłonił się obraz Emily, wkładającej do gramofonu płytę z "Pasją świętego Mateusza". Było to w którąś Wielkanoc. Pamiętam moment, w którym apostołowie dowiadują się od Chrystusa, że jeden z nich go zdradzi, a potem śpiewają w cudownym niezwykłym kontrapunkcie: "Czy to ja? Czy to ja? Czy to ja?" Straszne pytania. Straszne odpowiedzi. Straszna, potworna prawda. Wszedłem do baru ze słowami: "Był zamach na Kennedy'ego", ale już o tym wiedzieli. W telewizji odtwarzano czarno-biały zapis odrażającej rzeczywistości, ktoś łamiącym się głosem mówił do mikrofonu, a barman spojrzał tylko na mnie i powiedział: - Już nie żyje. - Nalej chłopu kielicha, Paddy - powiedział stojący obok mnie mężczyzna i zorientowa-łem się, że wszedłem do irlandzkiego pubu. Tafle luster zdobiły malowane liście koniczyny, na ścianach wisiały plakaty ze zdjęciami Irlandii, i patrząc na Urwiska Moheru, Pierścień Kerry i Dwanaście Izbic Connemary, wyobraziłem sobie piękny mityczny pejzaż, w którym legenda Jacka Kennedy'ego została utopiona we krwi i wessana w mrok. Przedemną na szynkwasię stała szklanka irlandzkiej whisky, lecz mnie dławili mdłości. Odwróciłem się, wybiegłem i zwymiotowałem do kratki ściekowej. - Czy pan słyszał?... Czy to prawda... Nie żyje... nie żyje... nie żyje... Szedłem. Szedłem przed siebie. Nie zatrzymywałem się ze strachu, że znów wejdę do jakiegoś baru; jeden po drugim mijałem sklepy z alkoholami, widziałem te wszystkie butelki, rząd za rzędem, wystawa za wystawą, na których stały dzin Beefeatera i francuskie cinzano, Tanqueray, J & B i koniak Hennessy, Grand Marinier, rum Ronrico, Drambuie, Remy Martin, Cutty Sark, Harvey's Bristol Cream, Lancers Vin Rosé, Kahlua, pernod i John Jameson, du-bonnet i wódka. Crème de menthe nigdy nie był taki zielony, chartreuse takie żółte, a etykiety na Johnnym Walkerze takie czerwone i takie czarne, nadal jednak szedłem prosto przed siebie. Głosy, które do mnie docierały, stopniowo zaczynały się zmieniać. Ludzie pytali: "Gdzie była jego ochrona? Jaki szalowiec mógł się na to poważyć?", powtarzali: "Ci cholerni Teksas- czycy w niczym nie są lepsi od dzikich zwierząt", by w końcu ze zgrozą uświadomić sobie: "Jeździł po całym świecie, a zamordowano go we własnym kraju... zabił go jeden z nas..." Wreszcie zobaczyłem ciemne tło mitu, na które nikt nie zwrócił dotąd uwagi. Król Artur nie cieszył się długim i szczęśliwym życiem. Zginął z ręki krewniaka i wszystko, czego symbolem był Kamelot, rozpląnęło się wraz z nim w ciemności. Byłem na Piątej Alei. W oknie wystawowym Besta umieszczono amerykańską flagę na drzewcu okrytym krepą. U Saksa zdjęcie Kennedy'ego otaczały z dwóch stron wazony pełne czerwonych róż. Przez cały czas urzędnicy wysypywali się z biur, rozmawiali cichymi żałob- nymi głosami, a gdy ich szepty wypełniły powietrze, odezwał się wielki dzwon u Świętego Pa- tryka, wysokie odrzwia rozwarły się szeroko i tłum zaczął się wlewać po stopniach do nawy. - Jak to się mogło zdarzyć? Co myśmy zrobili? - słyszałem wokół, wchodząc wraz z nimi po katedralnych stopniach, jak gdybym także wierzył, że wewnątrz znajdę odpowiedź na te pytania bez odpowiedzi. Długo stałem w mroku wielkiego kościoła zbudowanego przez Irlan- dczyków, którzy chcieli nadać swym marzeniom realny kształt z kamienia i szkła. Czekałem, nie wiedząc, na co czekam, aż nagle w mszy nastąpiła przerwa. Zapadła magiczna cisza, po której zerwał się dramatyczny grzmot tysięcy głosów wzniesionych unisono, gdy biskup wez- wał wiernych do odśpiewania hymnu narodowego. Później znów szedłem, szedłem na zachód przez miasto w zapadającej ciemności. Na Times Square ludzie płakali, a słynny bar w Astorze był pusty i cichy. - Słucham pana? - odezwał się barman. - Poproszę coca-colę. - Coca-colę? Odwróciłem się i wyszedłem, ale kiedy mijałem drzwi hotelu, skamieniałem: na Times Square gasły światła.

Patrzyłem urzeczony, a w pamięci rozbrzmiały mi słynne słowa sir Ed-warda Greya: "Światła gasną dziś w całej Europie; nie zobaczymy ich ponownie za naszego życia". I znów oczyma duszy ujrzałem Amerykę wkraczającą w ogromny dziejowy zakręt, za-trzymującą się na chwilę w pełnej żalu zadumie nad minioną prostą, niewinną przeszłością, a potem ruszającą w niezbadany jeszcze i nieskończenie bardziej skomplikowany świat. Ostatnie światła zgasły. Zacząłem iść w stronę domu, lecz tuż przy mnie jak zawsze kro-czyła Śmierć, nieodłączna towarzyszka, i w duchu powtarzałem jej: "Jeszcze nie. Muszę mieć więcej czasu." Lecz dla Johna Kennedy'ego czas się skończył w Dallas. I czas dowiódł, że na końcu szczytnej drogi nie ma nic prócz kuli i mogiły. Nic poza tym. Nic, nic, nic... 3 Nazajutrz kupiłem sobie telewizor i spędziłem przed nim cały dzień. Odwołano wszys-kie zwykłe programy i komentowana nieprzerwanie śmierć Kennedy'ego stała się nie odległym incydentem, lecz tragicznym, bardzo osobistym przeżyciem. Co jakiś czas wstawałem z posta-nowieniem, że nie będę dłużej tego oglądał, lecz nie mogłem się zmusić, żeby wyłączyć od-biornik. Bez przerwy coś piłem: coca-colę, bezalkoholowe piwo korzenne i imbirowe, nawet gazowany napój z winogron. Poświęcałem dużo czasu na zamieszanie każdej porcji napoju i udekorowanie jej plasterkiem cytryny lub wisienkami z maraschino. Staralem się pić powoli, nie więcej niż trzy łyki na raz. Od czasu do czasu robiłem sobie grzanekę, przeważnie jednak zapominałem o jedzeniu. Później wyszedłem, ale Times Square wciąż pogrążony był w ciem-ności, a całe miasto wyglądało jak kostnica. Dzień się skończył, zaczął się nowy dzień, który odsłonił nowy akt przemocy. Ruby za-mordował Oswalda. Oglądałem w telewizji sfilmowane na żywo zabójstwo, lecz to, co się działo na ekranie, tak bardzo przypominało fantazje chorego umysłu, że zacząłem się zastana-wiać, czy przypadkiem to wszystko mi się nie przyśniło. Odczułem ulgę, kiedy wyszedłem i stwierdziłem, że ludzie mówią o kolejnym zabójstwie. Mimo całej zgrozy zrobiło mi się lżej na myśl, że nie mam halucynacji, że to jest Ameryka dnia 24 października 1963 roku, że pre-zydent zginął w zamachu, a teraz ktoś zabił zabójcę. Przeszedłem przez Central Park, mijając ludzi słuchających tranzystorowych odbiorników radiowych, lecz po chwili poczułem, że nie mogę już dłużej pozostawać poza domem i wróciłem przed telewizor. Dzień minął. Zaświtał poniedziałek. Nowy Jork przypominał kościół i jak w kościele pa-nowała w nim cisza i powaga. Wszyscy oglądali telewizję, wszyscy uczestniczyli w pogrzebie. Ja także zacząłem oglądać transmisję, ponieważ jednak nie mogłem już dłużej znieść zamknięcia w mieszkaniu, wyszedłem. Od telewizji i tak nie mogłem uciec. Tysiące ludzi stało w milczeniu przed ogromnym ekranem na stacji Grand Central, i choć znów starałem się nie patrzeć, było to niemożliwe. Widok konia bez jeźdźca przyprawiał mnie o męki, opuściłem więc dworzec i ruszyłem na zachód Czterdziestą Drugą Ulicą. W południe policja zatrzymała ruch na Times Square i gdy wszyscy przechodnie pochyli-li głowy, ze szczytu budynku Astora rozbrzmiał dźwięk wojskowej trąbki. Na bezchmurnym niebie świeciło jaskrawe słońce. Dzień był przepiękny. Stałem w pro-mieniach światła i z całych sił starałem się uwierzyć, że śmierć jest tylko przejściem między tym światem a innym, w którym każdy jest wiecznie młody i piękny, a słońce nie zachodzi, aczkolwiek dwudziesty wiek musiał chyba doprowadzić do nieodwołalnej mutacji w moich genach, bo nie mogłem już pogodzić się z istnieniem życia po śmierci. Wierzyłem w tamten świat, ale wierzyłem także, że istnieje on tylko na poziomie umysłu. Wróciłem do domu i po kolei wysączyłem sześć butelek coli, za każdym razem używając innej szklanki i odmiennie ją przybierając. Telewizor wciąż gadał i w końcu zdecydowałem się go wyłączyć. Kennedy nie żył, Oswald nie żył, nawet Scott był już martwy, a ja nie mogłem dłużej patrzeć Śmierci prosto w twarz. Wciąż była przy mnie, patrzyła na mnie spoza sza-chownicy, ale teraz mogłem się na chwilę od niej odwrócić i pomyśleć o życiu. Dziś Vicky miała wrócić z Karaibów. Zerknąłem na zegarek, otworzyłem butelkę 7-Up, a potem zadzwo-niłem na lotnisko, żeby dowiedzieć się o pory przylotów z Portoryko. 4 - Do pani Foxworth - oznajmiłem portierowi. Było wpół do siódmej wieczorem

w poniedziałek. Obliczyłem, że Vicky powinna być w domu już od trzech godzin - na tyle długo, by odbębnić rodzinne powitania i zatęsknić za jakąś cichą, kameralną kolacją. Spodziewałem się w duchu, że do mnie zadzwoni, lecz dozna-łem zawodu. Telefon odezwał się tylko raz: Korneliusz, który wiedział, że miałem wrócić z wakacji w niedzielę późnym wieczorem, zadzwonił w poniedziałek rano, żeby przekazać mi plotki na temat zamachu. W zwykłych okolicznościach spotkalibyśmy się w banku, ale z okazji pogrzebu Kennedy'ego wszystkie biura były zamknięte. - Pana nazwisko, sir? - spytał portier w holu budynku, w którym znajdowały się oba mieszkania Vicky. - Sullivan. Portier podszedł do interkomu. Gospodyni w większym mieszkaniu poinformowała go, że pani Foxworth udała się właśnie do mniejszego apartamentu na trzecim piętrze. Portier spróbował jeszcze raz i tym razem odebrała Vicky, kiedy jednak mnie zaanonsował, połączenie zostało przerwane tak gwałtownie, że aż się wzdrygnął. - Sądzę, że pani Foxworth nie przyjmuje dziś gości, panie Sullivan... Wręczyłem mu dwadzieścia dolarów, żeby go uciszyć, i skierowałem się do windy. Nigdy nie byłem w prywatnym mieszkaniu Vicky i o ile wiedziałem, nawet Korneliuszowi nie udało się przekroczyć jego progów. Powszechnie przypuszczano, że Vicky zaprasza tam jedynie swoich kochanków. Nacisnąłem dzwonek. Minęło trochę czasu, zanim w końcu rozległo się ciche skrobnięcie odsuwanej pokrywki wizjera. - Przykro mi - zawołała przez drzwi. - Pogotowie seksualne jest dziś nieczynne, ale w apartamencie 5G urzęduje luksusowa prostytutka. Sprawdź, może ma wolne miejsce w terminarzu. - Prostitutki mnie nie interesują - powiedziałem neutralnym głosem, z którego pieczołowicie usunąłem wszelki ślad mojej bezmyślnej arogancji. - Nazywam się Piotr Abelard i szukam Heloizy. Jadąc windą na górę zdążyłem się gruntownie skłąć za naiwne przypuszczenie, że Vicky przyjmie mnie z otwartymi ramionami po tym, jak zwiąłem od niej w Curaçao. Odczekałem pełną minutę, starając się obrać najlepszą linię postępowania. Wiedziałem, że od dawna rości sobie pewne filozoficzne ambicje, doszedłem więc do wniosku, że odniesienie do Abelarda może przełamać mur jej niechęci, gdy wszakże cisza zaczęła się przedłużać, serce we mnie upadło. Pomyślałem, że możliwe, iż cały ten filozoficzny szpan jest tylko próżną pozą. - Vicky - zacząłem z wahaniem, ale nie dopuściła mnie do głosu. - Słyszałam - stwierdziła zimno. - Niestety, drogi Abelardzie, uciech cielesnych nie znajdziesz tu nawet ty, choć, oczywiście, jeżeli masz cokolwiek mądrego do powiedzenia na temat sprzeczności między systemem arystotelejskim a augustyńskim, możesz na chwilę wejść. Drzwi uchylły się. Spojrzeliśmy na siebie. Pulsujące napięcie skrzepło w silny, nieustanny ból. - Dziękuję - powiedziałem, kiedy otwarła drzwi szerzej. - Zdaje się, że miota mną nieodparta chęć, by zademonstrować ci mój kunszt dialektyczny. Przekroczyłem próg i stanęliśmy naprzeciw sobie w małym przedpokoju, oddzieleni przepaścią czterech stóp. Vicky miała na sobie biały sweter, czarną spódnicę i czarne buty na wysokich obcasach. W karaibskim słońcu włosy jej wyjaśniały, a na nosie pod bladozłotą opalenizną znaczyły się piegi. Nie była umalowana. - Cóż za koszmarny dzień! - odezwała się nagle, jakby czuła, że rozmowa może zmniejszyć napięcie, rosnące między nami w milczeniu. - I pomyśleć, że przez cały czas świeciło słońce! Myślałam, że się rozplaczę, kiedy zobaczyłam, jak pięknie wygląda Waszyngton, nie- czym miasto ze snu o klasycznych, niewyobrażalnie białych budowlach, a na jego tle kondukt wydawał się tym bardziej makabryczny... och, to było potworne, nie mogłam znieść widoku tego konia bez jeźdźcy, bijącego kopytami w udęce... Boże, co za koszmar! Jak w ogóle zdołałaś to znieść na trzeźwo? Nie masz ochoty się napić? Miałem ochotę zamknąć ją w ramionach, wiedziałem jednak, że mówi to wszystko celowo, by utrzymać mnie na odległość wyciągniętej ręki. Zanim zdążyłem otworzyć usta, odwróciła się do mnie tyłem. - Przejdźmy lepiej do salonu - powiedziała szorstko, ruszając w stronę otwartych drzwi. Poszedłem za nią. - A zatem widziałas pogrzeb? - spytałem, całą siłą woli zmuszając się do podtrzymania tematu dnia. - W takim razie wróciłaś do domu wcześniej, niż przypuszczałem. - W sobotę, jak tylko statek zawinął do San Juan, przesiadłam się na samolot. Sądziś, że

byłabym w stanie nadal cieszyć się rejsem po tym, co w piątek wydarzyło się w Dallas? - Ja...
- Och, nie mówmy już o tym! Mam już dość słuchania o rozlewie krwi i przemocy, robi mi się od tego niedobrze! Miałam takie dziwne uczucie, kiedy zobaczyłam Jackie całą we krwi - wydawało mi się, że to wszystko przytrafiło się mnie, nie jej, byłam tak potwornie przerażona... Chcę się wreszcie od tego uwolnić. Nie mam już sił borykać się z posepną rzeczywistością. Chcę porozmawiać o czymś zupełnie innym, o czymś, co dotyczy spraw ducha, na przykład o średniowiecznej filozofii. Tylko dlatego pozwoliłam ci wejść, Piotrze Abelardzie, więc dalej, mów do mnie! - Dobrze - powiedziałem. - Porozmawiajmy o Wilhelmie z Ockham. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem. - Nie sądzę, byś mógł o nim mówić, Abelardzie. Umarłeś na długo przedtem, nim się na-rodził. Zatkąło mnie. Vicky parsknęła śmiechem. - A jak ci się wydaje, co tutaj robisz? - zapytała. - Urządzam orgie? Zapytaj pierwszej z brzegu matki pięciorga dzieci, a każda ci odpowie, że u schyłku przeciętnego dnia nie pragnie bynajmniej seksu, lecz ciszy i spokoju. Przychodzę tu, żeby być sama. Przychodzę, żeby otrząsnąć się z tego trybu życia, do którego nie jestem zbyt dobrze przygotowana. I czytam. Czytam wiele rzeczy, większość z nich to śmieci, ale od czasu do czasu, kiedy czuję się niezwykle lotna i ambitna - co nie zdarza się często - czytam o ludziach, których nazwiska twoim zdaniem nawet nie obły mi się o uszy, takich jak Piotr Abelard czy Wilhelm z Ockham, albo... - Jan Szkot Eriugena? - A, ten Irlandczyk! Dobrze, porozmawiajmy o Eriugenie. Był oczywiście neoplatoni-kiem... - ...ukształtowanym przez swą znajomość greki. - Nareszcie zdołałem się odprężyć na ty-le, by zacząć dostrzegać otoczenie. Zobaczyłem, że podobnie jak Korneliusz, Vicky wzięła rozbrat z antykami, które otaczały ją przez większość życia, i umeblowała swoje mieszkanie w ultranowoczesnym stylu. Długie niskie sofy obite białym winylem przywoziliśmy mi na myśl poczekalnię na lotnisku. W akwarium pod oknem pływały dwie różowe rybki, a gładkie białe ściany zdobiły trzy nowoczesne obrazy, geometryczne abstrakcje. Na ścianie ponad akwariem ktoś przylepił taśmą prymitywny wizerunek beczułkowatej żółtowołosej kobiety. Kiedy pod-szedłem bliżej, zauważyłem, że artysta podpisał swoje dzieło czarną kredką: "Moja mama - rys. Samanta Keller, lat 8." - Jan Szkot Eriugena - podjąłem od niechcienia, kiedy Vicky nachyliła się, żeby wyjąć papierosa z pudełka stojącego na szklanym stoliku do kawy - utrzymywał, iż poprzez grzech pierworodny człowiek utracił zdolność bezpośredniego widzenia prawdy i może ją poznać jedynie za pośrednictwem doświadczeń zmysłowych... i właśnie na ten temat chciałem z tobą pomówić. - Mój Boże, zręczny z ciebie lawirant! - Chciałem rzec, co następuje: Vicky, doznania zmysłowe, jakie stały się moim udziałem, kiedy byłaś ze mną, objawiły mi prawdę, której wbrew rozsądkowi starałem się zaprzeczyć w przekazanym ci liście... - Masz zapalniczkę? - Oczywiście, że nie. Nie palę. Zatrzasnęła papierośnicę i wyszła z pokoju. Kiedy wróciła, trzymając w palcach zapalnego papierosa, próbowałem podjąć przerwany wątek, lecz nie dała mi dojść do słowa. - Posłuchaj, Scott, mam dość własnych problemów, żeby na dokładkę zajmować się jeszcze twoimi. Skoro wolisz uciekać z obawy, że zaangażujesz się emocjonalnie, wolna droga. To twój problem i nie jestem na tyle szalona, by wierzyć, że umiałabym go kiedykolwiek rozwiązać. Ale bardzo cię proszę, nie staraj się ponownie wkraczać w moje życie. Nie mam najmniejszego zamiaru wiązać się z kimś, kto nie chce się wiązać. Nie wyobrażam sobie większego marnotrawstwa moich sił i energii. - Tam na statku myślałem... że nie interesują cię stałe związki... - Tam to był inny świat - odparła - a tu jest inny. Nie mogę tu żyć tak samo, jak żyłam na statku. To droga do samozniszczenia. Próbowałam tego, więc wiem. W Nowym Jorku zależy mi na kimś oddanym, pomocnym, kto jest dobry nie tylko w łóżku. Nie nadajesz się na tę posadę. Przykro mi. Było świetnie, ale się skończyło. Musiało się skończyć. Wyjaśniłeś wszystko w tym liście i nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. - Ależ ty nie rozumiesz! Sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż początkowo wydawała się na statku! Zapewniam cię, że nie przyszedłem tu tylko po to, żeby iść z tobą do łóżka... Roześmiała mi się w twarz. - Co ty powiesz?

Zadzwoił telefon. - Niech dzwoni! - prychnąłem, wściekły, że ktoś mam przeszkadza. Vicky natychmiast podniosła słuchawkę. - Halo? Przez moment milczała, ale zauważyłem, że oczy jej łagodnieją, a zaciśnięte wargi się odprężają. Odwróciła się, żeby pozbyć się mnie z pola widzenia. - Cześć... Alicja mi mówiła, że dzisiaj przyjeżdżasz... Dochodzisz do siebie po locie? Współczuję. Sama dopiero w sobotę wróciłam z Portoryko i przelot był koszmarem... A, zwykła wycieczka. Wszędzie straszna wilgoć, a ludzie okropni. Mam dość palm na resztę życia... Co? Prezent dla Postumusa? O, będzie wniebowzięty! Musisz koniecznie wpaść do nas jutro... Obojętnie, o której. Postumus budzi się o wpół do szóstej, no, jeśli wstanie o szóstej, mamy wielkie święto. Za piętnaście dziewiąta wychodzi do przedszkola. Wraca o wpół do dwunastej, zneca się nad nianią do czwartej, a potem ogląda telewizję, dopóki się go siłą nie wyrzuci z pokoju... Dziękuję, wszystkie są zdrowe. Eric w przyszłym roku jedzie do Choate - czy to nie zdumiewające, jak ten czas leci? Posłuchaj, kochany, ja... Jutro na kolację? Czy ja wiem... Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Najprawdopodobniej emocje znów wezmą górę, a wtedy... Tak, to było straszne. Od piątku nie mogę się otrząsnąć. Słuchaj, muszę już lecieć, coś mi kipi w kuchni... Dobra. Cześć. - Vicky odłożyła słuchawkę. Stała bez ruchu, nadal wpatrzona w aparat. - Sebastian? - odezwałem się w końcu. - Co on tutaj robi? Spojrzała na mnie zdziwiona. - Myślałam, że wiesz. Alicja mówi, że chodzi o interesy. Przypomniało mi się mgliście, że Korneliusz zapowiadał, iż wezwie Sebastiana na naradę w sprawie problemów z Reischmanami, które wynikły w Londynie. - A, racja, już sobie przypominam. Całkiem mi to wyleciało z głowy. Vicky podeszła do barku i zaczęła mieszać sobie drinka. - Czy mógłbyś już iść? - rzuciła przez ramię. - Mam dość patrzenia, jak krążysz po pokoju niczym postać ze sztuki Tennessee Williamsa. Nie rozumiem, dlaczego, do cholery, wyglądasz tak seksownie. Myślałam, że zawsze zmieniasz się w bezpłciowego, cnotliwego Scotta, jak tylko z powrotem postawisz stopę w Nowym Jorku! - Scott zmarł. Martini pociekło na blat. Vicky gwałtownie odwróciła się w moją stronę. Patrzyliśmy na siebie, lecz nie zapytała, co miałem na myśli. Podeszedłem do akwarium, w którym rybki pływały wokół siebie w niezrozumiałym rytuale zalotów. Kiedy się odwróciłem, by znów na nią spojrzeć, powiedziała tylko: - To stwierdzenie nie ma pokrycia w rzeczywistości. Puste słowa. - A czymże jest rzeczywistość? - odparowałem bez chwili wahania. Zdaje się, że w ten sposób wracamy znów do Ockhama, dla którego jedynym rzeczywistym bytem jest jednostka. Uważał, że wszystko inne istnieje tylko w umyśle. Wierzył... - nagle znalazłem się obok barku, tuż przy niej - ...wierzył w potęgę woli. - Potęga woli - powtórzyła. - Tak... W jej jasnych oczach zabłysło jakieś wielkie, nieokreślone uczucie. Nagle uświadomiłem sobie, że uczucie to zrodziło się we mnie, zostało jej przekazane i oślepiło mnie, odbite w zwierciadle jej umysłu. Wrażenie płynącego między nami prądu elektrycznego było tak silne, że nie śmiałem jej dotknąć z obawy, iż spowoduję eksplozję jakiejś siły, nad którą nie będę umiał zapanować. - Niech cię wszyscy diabli! - zawołała nagle. - Ni stąd, ni zowąd odchodzisz, a potem oczekujesz, że... - Wszyscy popełniamy błędy. - O, tak! A ja zaraz popełnię największy błąd mego życia, ty... ty... ty... Zabrakło jej słów. Trzęsła się z wściekłości. - Ty łajdaku! - krzyknęła w końcu przez łzy. Porwałem ją w ramiona, czując, jak obejmuje mnie za szyję, przyciąga moją twarz ku sobie i gwałtownie całuje mnie w usta.

Rozdział piąty 1 - Mamo! - rozległ się w dali przeraźliwy dyszkant, któremu towarzyszył ostry dźwięk elektrycznej wiertarki. W pierwszej chwili myślałem, że to mój brat Tony. Widziałem go wyraźnie: miał sześć lat, kręte włosy ojca i niebieskie oczy. Wiedziałem, że zaraz zacznie broić jak zwykle, będzie podbierał i psuł moje zabawki, plątał się pod nogami i bez przerwy przeszkadzał. Taki rozbrykany młodszy brat to ciężkie brzemie dla każdego cywilizowanego dziewięciolatka. - Mamo! - wrzasnął znów przenikliwy głos. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, bo nasza matka kazała nam mówić do siebie "matko", gdy tylko przestały się nam plątać języki. Wiertarka znów zaczęła hałasować i nagle zdałem sobie sprawę, że to nie wiertarka, tylko dzwonek do drzwi. Już nie spałem; gwałtownie usiadłem w

łóżku. Byłem w mieszkaniu Vicky, która właśnie gorączkowo naciągała szlafrok. - Co, u diabła... - Nic takiego, to tylko Benjamin wpadł, żeby się ze mną przywitać, zanim wyjdzie do przedszkola - wybiegła z sypialni, zatraskując drzwi do łazienki tak niezgrabnie, że odbiły się z powrotem. Odruchowo wyskoczyłem z pościeli, żeby się upewnić, iż nikt nie zdoła zajrzeć do sypialni, zanim jednak zdążyłem domknąć drzwi, do przedpokoju wpadł galopem Benjamin, piszcząc: - Cześć, mammo! Niespodzianka! Wujek Sebastian przyszedł! Zamarłem. Vicky stała o kilka stóp ode mnie, jej również odebrało mowę. W końcu Sebastian odezwał się w typowy dla siebie monosylabiczny sposób: - Cześć. Zdaje się, że palnąłem gafę. Tępak ze mnie. Wrócę, jak się ubierzesz. Na razie. - Nie, zaczekaj, Sebastianie! Przepraszam, zupełnie mnie zaskoczyłeś... nie spodziewałam się... - Nie śpię od piątej. Różnica czasu. Potem przypomniałem sobie, że Postumus też wcześniej wstaje i pomyślałem, że złożę wam poranną wizytę. - Oczywiście. Tak. No cóż... - Hej, mammo! - wrzasnął Benjamin, przerywając tę niezręczną wymianę zdań. - Patrz, jaki fajny prezent dostałem od wujka! To czołg, i strzela prawdziwymi kulami! - Och, Sebastianie, chyba nie pochwalasz militarnych zabawek dla dzieci? Robiła błąd, przedłużając tę rozmowę, a równocześnie nie czyniąc żadnego gestu, żeby go zaprosić do środka. Sebastian się zorientuje, że nie jest tu sama, o ile już się tego nie domyślił. Zastanawiałem się, dlaczego Vicky nie zachowa się bardziej naturalnie i nie zaprosi go do salonu, gdy jednak bezszelestnie cofnąłem się od drzwi i rozejrzałem za czymś do ubrania, odgadłem przyczynę. Nie było tu mojej odzieży. Zaścielala podłogę salonu, w którym kochaliśmy się po raz pierwszy na sofie pod zgorzonym spojrzeniem różowych rybek. - Wojna jest faktem, prawda? - mówił Sebastian. - Chcesz, żeby Postumus rósł, nie mając pojęcia, co się dzieje na świecie? - Nie nazywaj mnie Postumusem, wujku Sebastianie! Mammo, czy mogę zabrać czołg do przedszkola? - Sebastianie, to chyba nie strzela prawdziwymi kulami? - Oczywiście, że nie! Co za pytanie! - Mammo, czy mogę... - Nie wiem, czy... - Oj, mammo! - No dobrze, weź go ze sobą. Sebastianie, wpadnę do ciebie później, kiedy się do końca obudzę i pozbieram, bo teraz... - Mammo, mogę nakarmić rybki? - Spóźnisz się do przedszkola! - Oj, mammo!!! - Hej - wtrącił się Sebastian - jak na takiego berbecia robisz strasznie dużo hałasu. Mógłbyś się trochę uciszyć. - Wujku, chodź obejrzyć rybki! Nazywają się Don i Phil, tak jak bracia Everly! - Ben, czekaj... Ben, w kuchni mam pyszne ciasteczka... - O rany, mammo, co te wszystkie ciuchy robią na podłodze w salonie? - Ben, rób, co mówię i w tej chwili tu przyjdź! O, niania cię woła! Proszę, kochanie, tu masz pysznego herbatniczka w polewie czekoladowej... - Mogę wziąć dwa? - Czy ja wiem... - Oj, mammo! - Dobrze, dobrze! Wszystko za chwilę spokoju! A teraz już biegnij, kochanie... - Vicky, czy ten chłopak zawsze dostaje to, czego chce? - Och, zamknij się. Sebastianie! Nie mogę się użerać z wami dwoma naraz! Benjaminie, wyjdź, zanim naprawdę się zdenerwuję! I nie zapomnij podziękować wujkowi za... Benjamin triumfalnie opuścił mieszkanie z czołgiem i dwoma ciastkami, z hukiem zatraskując drzwi. Zapadła cisza. Nie mogłem się powstrzymać: podkradłem się z powrotem do drzwi i wyjrzałem przez szparę między zawiasami. Sebastian stał na progu salonu i właśnie podnosił coś ze stolika stojącego tuż przy drzwiach. - Ładny - powiedział uprzejmie do Vicky. - Gdzie go kupiłaś? Był to mój srebrny medalion z Irlandii. - W Meksyku - odparła Vicky po chwili milczenia. - Tak? Wygląda na celtycki. - Sebastian odłożył medalion z powrotem, pozbawionym wyrazu spojrzeniem obrzucił bałagan w pokoju i odwrócił się, jak gdyby to, co ujrzał, było dla niego całkiem nieistotne. - Sebastianie... - Dobra, już idę. Nie musisz mnie wyrzucać. Przepraszam, że wprawiłem cię w zakłopotanie, przychodząc o niewłaściwej porze. - Sebastianie, chciałam tylko powiedzieć... - Po co? To nie moja sprawa, czyimi ubraniami dekorujesz swój salon. Co prawda trudno mi pochwalić jego gust. Levisy i czarna skórzana kurtka! Wygląda na to, że w końcu skusił się Elvisa Presleya, żeby zszedł do ciebie ze srebrnego ekranu! Nie, nic nie mów. Puśćmy to w niepamięć. Ale kolację ze mną dzisiaj zjesz? Obiecuję, że nie dam się ponieść emocjom. Zresztą i tak nie starczy na to czasu, bo będę ci miał sporo do opowiedzenia. W banku szykuje się dziś wielka

awantura i chyba uda mi się podpuścić Korneliusza, żeby mnie odwołał z Euro- py. On oczywiście nie ma takiego zamiaru, ale celowo doprowadziłem do tego, że w Londynie zrobiło się dla mnie za gorąco, a ponieważ nie może mnie wylać, bo matka się wtedy obrazi i zamknie przed nim sypialnię... - Sebastianie, bardzo cię przepraszam, ale w tej chwili to wszystko do mnie nie dociera. Czy mógłbyś, z łaski swojej... - Dobra, już idę. Na razie. Do zobaczenia. Przepraszam. Drzwi wejściowe zamknęły się gwałtownie. Odgłos kroków ucichł w oddali. Usiadłem na łóżku, czekając w milczeniu, aż Vicky wróci do sypialni. Weszła. Moje ubranie i srebrny medalion zostały ciśnięte na podłogę u mych stóp. Podniosłem głowę, lecz Vicky już zniknęła za drzwiami. - Vicky, przepraszam cię. Widzę, że jesteś zdenerwowana. Ale chyba zdawał sobie sprawę, że po rozwodzie nie żyjesz jak zakonnica! - To, co podpowiada zdrowy rozsądek, to jedna sprawa, kiedy natomiast widzi się nie- zbity dowód tych przypuszczeń, to coś zupełnie innego. Bądź tak dobry i idź już. - Wygląda na to, że nadal go kochasz - rzuciłem, starając się, by mój głos zabrzmiał obojętnie. Odwróciła się do mnie ze złością. - Tak - powiedziała. - Kocham go. Zawsze kochałam Sebastiana. Pomógł mi się pozbyć, kiedy byłam o krok od przepaści. Uratował mi życie - i to nie żadna przenośnia! Nie ma w tym żdźbła przesady. Przedtem to była tylko roślinność. Byłam nikim, dodatkiem do różnych osób, które starały się mnie przekształcić na swoją modłę. A teraz proszę, wyjdź, bo chcę zostać sama. Przeciagnałeś już swoją powitalną wizytę mniej więcej o sześć godzin. - Co masz na myśli? - spytałem zaskoczony. - Nie zapraszałam cię, żebyś został na noc, prawda? - No cóż, założyłem, że... - No właśnie - wpadła mi w słowo. - Na tym polega cały kłopot z mężczyznami, którzy mają zbyt duże powodzenie u kobiet. Nie dociera do nich, że czasami są zbędni! - Chwileczkę... - Ani chwili! Jestem wściekła, upokorzona i zirytowana i chcę zostać sama! Na litość boską, czy jesteś zupełnie pozbawiony wszelkich uczuć? - wrzasnęła Vicky, tym razem już z furją, i zatrzasnęła mi drzwi łazienki przed nosem. W sekundę później syk prysznicza uniemożliwił powtórne nawiązanie rozmowy. Stałem pod drzwiami goły jak święty turecki. Miały mną rozmaite uczucia, z których każde walczyło o prymat, żadne zaś nie było przyjemne. Byłem zły, urażony, zdenerwowany i zazdrosny. W pewien nieokreślony sposób czułem się również winny, choć powtarzałem sobie, że nie ma takiej potrzeby, bo Vicky nie jest już przecież żoną Sebastiana. Niezgrabnie wciągnąłem spodnie, potem podkoszulek i powiedziałem sobie, że Vicky zachowuje się irracjonalnie, to jednak tylko wzmoгло moją złość, urazę, zdenerwowanie i zazdrość. Gwałtowność tych emocji wprawiła mnie w zakłopotanie. Nie byłem do tego przyzwyczajony i nie wiedziałem, jak mam nad nimi zapanować. Właśnie myślałem, jak bardzo takie wzburzone emocje przeraziłyby Scotta, kiedy mój wzrok padł na tarczę budzika stojącego na nocnej szafce. W następnej chwili wszystkie introspektywne refleksje pierzchnęły, wymiecione czystą paniką. Minęła dziewiąta. Powinienem być w biurze. Scott na pewno byłby już w biurze, Scott bowiem nigdy nie spóźniał się do pracy, a gdyby dziś się spóźnił, byłby to katastrofalny początek mojej nowej aktorskiej kariery w roli Scotta. Z szybkością błyskawicy narzuciłem resztę ubrania i podbiegłem do drzwi łazienki. - Kochanie, przepraszam za wszystko! - zawołałem. - Naprawdę mi przykro, słowo daję. Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Nie było odpowiedzi. Wydało mi się tylko, że szum prysznicza nasilił się, jak gdyby po to, żeby mnie zagłuszyć. Rzuciłem się do drzwi i wtedy sobie przypomniałem, co mówił Sebastian o swoim planowanym powrocie z Europy. Była to cenna informacja i gdybym posłużył się nią umiejętnie, zdołałbym ją wykorzystać dla własnego dobra. Pędem wróciłem do sypialni, złapałem słuchawkę i wykręciłem numer mieszkania Van Zale'ów, ale Korneliusza oczywiście nie zastałem, wyszedł już do pracy. Z roztargnieniem podrapałem się w głowę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zwariowałem. Nie była to odpowiednia pora na to, żeby się miotać jak słoń w sklepie z porcelaną. Musiałem się uspokoić i wcielić w Scotta, lecz przecież nie byłem Scottem, przestałem nim być i zamiast się uspokoić, denerwowałem się coraz bardziej. Wybiegłem z mieszkania, zniecierpliwilem się na korytarzu, gdyż winda nie

zjechała na- tychmiast, i już miałem skoczyć ku schodom przeciwpożarowym, kiedy nad drzwiami zabłyśło czerwone światelko, oznajmiając, że winda wreszcie dotarła na trzecie piętro. Wpadłem do środka. Minęła wieczność, nim znalazłem się na parterze. Do tego czasu społem się już obfi- cie z nerwów i gdy tylko drzwi się otworzyły, ruszyłem pędem przez hol. W następnym momencie wszystkie mięśnie mego ciała stężały. Zatrzymałem się. Wstrząs zaciążył mi w żołądku jak bryłka ołowiu. Przy ladzie portiera stał Sebastian. Chciałem się cofnąć, lecz było już za późno. Obserwował windy, czekając na człowieka w nonszalanckim odzieniu, którego Scott nigdy by na siebie nie włożył, i robiącego błędy, na jakie Scott nigdy by sobie nie pozwolił. Zobaczył mnie od razu. Obaj staliśmy jak skamieniali. Ludzie wychodzili z wind, mijali mnie, mówili portierowi "dzień dobry", a za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, promienie słońca odbijały się od medalionu, który Sebastian oglądał z taką uwagą. Pomyłka była wykluczona. W ciągu trzech sekund rozpoznał mnie, postawił przed sądem i skazał, i w ciągu tych trzech sekund nasza długoletnia przyjaźń brutalnie dobiegła końca. Nie było nic do powiedzenia, milczeliśmy więc obaj. Musiał być tak samo zaskoczony jak ja, w końcu jednak to on pierwszy się odwrócił i wyszedł. Znalazłem się przed budynkiem w samą porę, by usłyszeć, jak mówi do kierowcy najbliższej taksówki: "Róg Willow i Wall". Myślałem tylko o jednym: muszę pierwszy dostać się do Korneliusza. Przez długą chwilę przyglądałem się powolnemu ruchowi uwieczonych w korku samochodów, a potem biegiem przebyłem całą drogę do rogu i rzuciłem się po schodach do metra. 2 W połowie drogi do podziemia zdałem sobie sprawę, że chyba naprawdę oszalałem. Nie mogłem pokazać się w pracy nie ogolony, w dżinsach i czarnej skórce. Jak strzała popędziłem z powrotem na górę i złapałem taksówkę, żeby się dostać do swojego oddalonego o sześć przecznic mieszkania. Siedziałem na brzeżku fotela, myśląc nie o Korneliuszu, a o Samie Kellerze, który wiele lat temu zbeształ mnie za to, że zastał mnie w biurze w dość niechlujnym stanie po tym, jak poprzedniego wieczoru zasnąłem nad biurkiem. Wspomnienie o Samie Kellerze, człowieku, który posłał mego ojca w ostatnią milę jego ziemskiej drogi do zagłady, zawsze sprawiało, że zaciskałem pięści, lecz tym razem już były zaciśnięte. Czułem się jak pasażer samolotu, który lada moment się rozbije. - Nie może pan jechać szybciej? - rzuciłem do kierowcy. - A to niby co? Samobójcza misja? Cisnąłem na siedzenie obok niego pięciodolarowy banknot. - Dodaj gazu. Kiedy przeskoczyliśmy skrzyżowanie na czerwonych światłach, rozległy się klaksony, a jakiś kierowca wychylił się z wozu, żeby obrzucić nas stekiem obelg. Taksówka z piskiem opon gnała ulicą. W łazience woda z natrysku kłuła mnie w plecy, a ręcznik przypominał papier ścierny. Ogoliłem się, złapałem świeżą bieliznę i sięgnąłem po telefon. - Już jest? - zapytałem sekretarkę Korneliusza, przytrzymując słuchawkę ramieniem przy uchu i jednocześnie naciągając spodenki. - Jeszcze go nie ma. Straszne dziś korki. Mam coś przekazać, panie Sullivan? - Nie. Tak. Moment, niech pomyślę. Prawdę mówiąc, sytuacja tak dalece wymknęła mi się spod kontroli, że w panice skłon- ny byłem dokonać szeregu nieprzemyślanych posunięć, z których każde następne miałyby jeszcze bardziej opłakane skutki niż poprzednie. Nadszedł czas, by zwolnić, rozważyć fakty, których nie mogłem zmienić. Nie miałem szans dostać się do biura przed Sebastianem, tak sa- mo jak nie mogłem go powstrzymać przed doniesieniem na mnie Korneliuszowi, mimo to jed- nak moja sytuacja nie była jeszcze beznadziejna. Korneliusz nie darzył sympatią Sebastiana, nie znosił, gdy ktokolwiek krytykował mnie, jego ulubionego partnera, i nie cierpiał, kiedy mu przypominano, że jego niezamężna córka bynajmniej nie żyje w cnotcie. Gdybym przywołał na pomoc całą swą zimną krew, przestał się miotać niczym nękany wyrzutami sumienia playboy i przeprowadził zdecydowany kontratak, mógłbym - co najdziwniejsze - oddalić od siebie nie- szczęście i zagadać go tak, że przestałby uważać mnie za wroga. Mój srebrny medalion, symbol srebrnoustnej rasy, leżał na nocnej szafce obok telefonu. Przybrałem gładki czarujący ton: - Proszę powiedzieć panu Van Zale'owi - oznajmiłem czekającej cierpliwie sekretarce - że zatrzymała mnie pewna niespodziewana

sprawa, ale zjawię się u niego najprędzej, jak to będzie możliwe. Dziękuję pani bardzo. A, i czy mogłaby pani przekazać mu sugestię, żeby przelożył naradę na temat londyńskiego biura na dziesiątą trzydzieści? Jeszcze raz dziękuję. Odłożyłem słuchawkę, zerknąłem na zegarek i zdecydowałem, że skoro kupiłem sobie trochę czasu, powinienem go dobrze spożytkować. Ubrałem się, zamarudziłem chwilę nad filiżanką czarnej kawy, w końcu wszakże nie mogłem już dłużej zwlekać. Wstałem, czując się równie nagi jak starożytny Celt, który z okrzykiem rusza do boju, i milczący, nienagannie ubrany, doskonale opanowany wyruszyłem na Wall Street, żeby walczyć o swój zawodowy byt. 3 Kiedy mijałem budynek Morgana, zbliżając się do rogu Willow i Wall Street, świeciło słońce. Bankowy portier powitał mnie z uśmiechem. Zmusiłem się do tego, żeby bez pośpiechu przejść przez wielką salę, zamieniając po drodze słówko z tym lub owym spośród współpracowników, którzy tu pracowali. W tylnym holu szybko minąłem zamknięte drzwi biura Korneliusza i wbiegłem po schodach, zanim jednak wszedłem do mojego pokoju, upewniłem się, że oddycham równo. To miała być moja próba kostiumowa. Musiałem dojść do pracy w niewymuszonym, swobodnym zachowaniu beztróskiego kawalera, który dopiero co wrócił z udanych wakacji na Karaibach. Zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi. Sekretarka i asystent stali przy moim biurku z takimi minami, jakby oczekiwali na pluton egzekucyjny. Przypominałem sobie, że Scott nigdy nie opowiadał o wakacjach, lecz natychmiast zabierał się do roboty, usiłując zmieścić w dobie dwadzieścia pięć godzin pracy. - Cześć - powiedziałem, myśląc, jakim musiał być piekielnym szefem. - Jak leci? Wytrzeszczyli oczy, ale uznali, że moje radosne pytanie jest tylko odchyleniem od normy. - Panie Sullivan, pan Van Zale chce, żeby pan natychmiast do niego przyszedł... - ...sprawa z Hammaco nie wygląda dobrze... - ...nawalił komputer... - ...i przysłała pilna wiadomość od... Pomyślałem: "Biedny Scott, co za nuda zajmować się codziennie podobnymi bzdurami!" - Chwileczkę! - zaprotestowałem. - Nie tak szybko! To wszystko może poczekać. Pytałem, co słychać u was. Popatrzyli na mnie z otwartymi ustami. - No cóż - odezwała się w końcu sekretarka. - Wciąż nie możemy dojść do siebie po zamachu. Może by pan lepiej zadzwonił do pana Van Zale'a? Naprawdę powiedział: "Natychmiast". W tym momencie rozległ się telefon. - Jeszcze mnie nie ma - powiedziałem, zdejmując płaszcz. Sekretarka sprawnie pozbyła się natręta. - Kto to był? - spytałem, patrząc z roztargnieniem na nagromadzoną korespondencję. - Donald Shine. - Donald jaki? Tym razem oboje spojrzeli na mnie jak na szaleńca. - Donald Shine! Niemożliwe, żeby pan nie pamiętał tego chłopaka z Brooklynu, który chce rozpocząć leasing komputerów! Pytał, kiedy mógłby pan zjeść z nim lunch. - A, Donald Shine! Jasne, oddzwon i umów mnie z nim. Gdzie się podziała ta piękna blondyna z hali maszyn z moją kawą? Oboje głośno wciągnęli powietrze. Sekretarka upuściła nawet notatnik. Śmiałem się z ich min, gdy nagle zadzwonił czerwony telefon, przyprawiając mnie nieomal o wstrząs. Oczekałem do trzeciego sygnału, po czym przysiadłem na skraju biurka i podniosłem słuchawkę. - Sullivan - rzuciłem wesoło. W słuchawce zapadła cisza. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że Scott zawsze mówił: "Tak?" albo "Słucham?", odbierając czerwony telefon. - Witaj, Korneliuszu! - dodałem szybko. - Scott? - odezwał się niepewnie. Zmieniony ton głosu zmienił moje imię w pytanie. - A któż by inny? Znów zamilkł. Potem rzekł z namaszczaniem: - Czy mógłbym cię tu poprosić? - Naturalnie, już schodzę. - Odłożyłem słuchawkę i wstałem. - Zaraz wracam, a wy dwoje pilnujcie tymczasem domowego ogniska. Ich oniemiałe spojrzenia odprowadziły mnie do drzwi. Dopiero w tylnym holu nerwy mnie zawiodły i musiałem przystanąć. Z przerażeniem stwierdziłem, że się boję - nie zbliżającej się bitwy, którą wciąż jeszcze mogłem wygrać. Bałem się Korneliusza. Nie byłem już beznamiętnym Scottem o stalowych nerwach, który mógł go oglądać bez emocji. Byłem w stanie myśleć wyłącznie o tym, że Scott umarł i teraz ja muszę stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który w straszliwy sposób przeinaczył mi życie, choć Scott nigdy nie pozwalał mi się nad tym głębiej zastanawiać. Teraz to do mnie dotarło. Zrobiło mi się niedobrze. Byłem nie tylko przerażony, ale fizycznie obolały ze zgrozy

i obrzydzenia. Otwarłem drzwi. Był u siebie. Wszedłem do pokoju. Czułem, że powinienem zdrześć, zadygotać, lecz poruszałem się tak swobodnie, jak gdyby to wszystko w ogóle mnie nie obchodziło. Korneliusz z równą swobodą wstał zza biurka i wyszedł mi na powitanie. Za jego plecami nagie gałęzie magnolii na patio kapały się w bladym słonecznym świetle, a jaskrawe czerwienie i czernie arcydzieła Kandinsky'ego nad kominkiem przywodziły na myśl zmasakrowane ludzkie ciało namalowane przez szaleńca. Przesuwane drzwi dzielące dwuczęściowy pokój były zamknięte, co tworzyło jeszcze bardziej złowróżbną i klaustrofobiczną atmosferę. Zatrzymałem się, Korneliusz jednak szedł dalej. Stał przy mnie z wyciągniętą ręką i obdarzył mnie ciepłym uśmiechem. - Cześć - powiedział. - Witaj w domu! Miło cię znów zobaczyć. Bez słowa uściśnięłem mu dłoń. Doświadczałem równie mieszanych uczuć jak w czasach, gdy miałem kilkanaście lat, a on był dla mnie miły, choć równocześnie robił mi pranie mózgu, wpajając niechęć do ojca. Zdążyłem już zapomnieć, jakie to uczucie, gdy wszystko tak nieźnośnie się gmatwa. Scott chronił mnie przed Korneliuszem murem emocjonalnej rezerwy, teraz wszakże mur leżał w gruzach, a w moim umyśle otwierały się stare rany. Nie wiedziałem, czy zdołam wytrzymać taki wielki ból, mimo to zachowywałem przytomność. Łaknąłem brandy, mnóstwa brandy, ogromnego kieliszka pełnego aż po brzegi. - Dobrze się czujesz? - spytał Korneliusz. Przeszedł mi na myśl ojciec, który umierał po pijanemu. Pragnienie brandy rozwiało się, a wraz z nim mój strach. Patrząc na stojącego przede mną mężczyznę czułem tylko mroczną, prymitywną nienawiść. Zdusiłem ją, nie bez walki, udało mi się jednak nad nią zapanować. Chyba był to największy wysiłek w moim życiu. Potem odparłem zyczliwie: - Dobrze, Korneliuszu, ale muszę przyznać, że ranek miałem koszmarny. Nie chcę cię jednak zanudzać opisami uciążliwych aspektów mojego prywatnego życia. Wiem zresztą, że nigdy nie pochwalaleś prania domowych brudów w miejscu pracy. - To prawda - przyznał, uśmiechając się do mnie na znak, że pochwała mój zdrowy rozsądek, i zwrócił się w stronę drzwi dzielących pomieszczenie. - A przy okazji - rzucił do mnie przez ramię - przełożyłem na później spotkanie w sprawie działalności londyńskiego oddziału. Zważywszy okoliczności, pomyślałem, że wstępna rozmowa mogłaby wiele wyjaśnić. - Wstępna rozmowa? - zdumiałem się. - Dobrze, jak sobie życzysz. Korneliusz rozsunął drzwi i gestem zaprosił mnie do drugiej części pokoju. Wyminąłem go i zatrzymałem się w progu. Ohydny cyfrowy zegar wciąż tkwił na gzymsie kominka, znajoma skandynawska kanapa wciąż straszyla na środku pokoju jak pusta płyta nagrobna w zakładzie pogrzebowym, przy oknie zaś stał Sebastian. 4 - Sebastian bawił mnie właśnie rozmową - przerwał milczenie Korneliusz, od niechcenia wodząc palcem po gzymsie, jakby sprawdzał, czy nie ma na nim kurzu, i obserwując nas w lustrze. - Wysunął kilka teorii, równie ciekawych, co dramatycznych. Powinieneś ich wysłuchać, Scott. Możesz mi wierzyć lub nie, ale wszystkie dotyczą ciebie. - Znakomicie - odparłem bez wahania. - No cóż, ja także mam kilka teorii i wierz mi lub nie, wszystkie dotyczą Sebastiana. Czemu nie mielibyśmy dokonać wymiany informacji? - Właśnie, czemu nie? - przyznał łaskawie Korneliusz. - Zanim jednak do tego dojdzie, chcę, żeby jedno było jasne: imię Vicky nie padnie w tej dyskusji. Jej prywatne życie to wyłącznie jej sprawa i już dawno dałem sobie słowo, że nie będę się wtrącał. Tak więc, jeżeli ktoś z was zamierzał posłużyć się Vicky jak pionkiem w waszej wzajemnej rozgrywce, może od razu wybić to sobie z głowy. Nie jestem ciekaw, kto akurat jest jej najnowszym kochankiem. To dla mnie rzecz bez znaczenia. - Chwileczkę - odezwał się Sebastian. Drgnąłem, lecz on nie patrzył na mnie. Zwrócił się do ojczyzny, który demonstracyjnie przybrał cierpliwą, zrezygnowaną minę. - To jakieś przedstawienie, czy co? - rzekł Sebastian. - Trudno mi uwierzyć, że jesteś aż tak ślepy. Ten facet przez cały czas próbuje cię wymanewrować! A kiedy w końcu mu się uda odsunąć cię na boczny tor, to nie twój portret będzie wisiał w gabinecie prezesa nowo przemianowanego banku Sullivana, tylko portret jego ojca! Korneliusz westchnął, ze znużeniem oparł się o gzyms i odwrócił do mnie. - Dobra, Scott, teraz twoja kolej. Chcesz odpowiedzieć?

Śmiało. Robisz to po mis- trzowsku. Zawsze podziwiałem sposób, w jaki znajdujesz właściwe odpowiedzi na wszystkie kłopotliwe zarzuty, które od czasu do czasu padają pod twoim adresem. - A ja zawsze podziwiałem twoją zdolność dostrzegania prawdy, Korneliuszu! Sebastia- nie, jeżeli myślisz, że powoduje mną żądza zemsty, to kompletnie nic nie rozumiesz... - Mniejsza o to, co tobą powoduje! - krzyknął Sebastian. - Jesteś tak zakłamany, pod- stępny i w ogóle zdziwaczały, że twoja motywacja nie ma tu znaczenia. Najważniejsze jest to, że chcesz zagarnąć bank, a kiedy już będziesz go miał w ręku, wymażesz wszelki ślad Korne- liusza z taką samą precyzją, z jaką on zmazał wszelki ślad twego ojca! To przecież oczywis- te... - Oczywiście dla kogoś, komu odbiło z zazdrości! - Nie waż się... Gwałtownie obróciłem się do Korneliusza, który przyglądał się nam niczym współczesny Zeus Olimpijski, wszechmocny władca, z zaciekawieniem przypatrujący się waśni dwóch po- mniejszych bóstw. - Nietrudno zgadnąć, co go gryzie, Korneliuszu - powiedziałem. - Przynajmniej jego mo- tywy są kryształowo przejrzyste! Wie, że nie masz zamiaru odwołać go z Europy, więc spryt- nym manewrem doprowadził do tego, że musisz go ściągnąć z powrotem, bo nie masz innego wyjścia. A kiedy wróci, użyje wpływu, jaki ma na ciebie jego matka, żeby osiągnąć to, czego chce się dochrapać w banku. A jak już to dostanie, czy sądzisz, że kiwnie palcem, by pomóc twoim wnukom, których nigdy nie cierpiał? Naprawdę myślisz, że zachowa szyld Van Zale'a na pamiątkę człowieka, którym skrycie gardzi? Sam mówiłeś, że trzeba mu się przyjrzeć! To on narobił ci kłopotów! Moje osiągnięcia w Nowym Jorku można stawiać innym za przykład, ale czy możesz to samo powiedzieć o jego wyczynach w Londynie? - Dobrze, dobrze - wtrącił się Korneliusz. - Bardzo ładnie powiedziane, celnie. Potrafię to ocenić. Ale teraz, chłopcy, spróbujcie się uspokoić i porozmawiajmy rozsądnie. Nudzi mnie słuchanie, jak wzajemnie obrzucacie się błotem. Sebastianie, co to za bzdury, że musiałeś za- ranżować swój powrót z Londynu? W 1960 sam zdecydowałeś się jechać, chociaż twoja mat- ka była temu bardzo przeciwna. Jeżeli chciałeś wrócić, trzeba było tylko poprosić. - Ty cholerny hipokryto! - wybuchnął Sebastian z taką siłą, że Korneliusz na moment się skurczył. - Owszem, postanowiłem na krótki czas przenieść się do Londynu, ale ty byłeś prze- cię tym zachwycony! Nie mogłeś się doczekać, kiedy wreszcie się mnie pozbędziesz! A chcia- łem się mnie pozbyć nie tylko dlatego, że jak zwykle, kiedy chodzi o Vicky, pojąłeś wszystko na odwrót i uznałeś, że to ja wyrządziłem jej krzywdę! Chciałeś usunąć mnie z drogi, bo pod moją nieobecność zyskiwałeś niepodzielną uwagę mojej matki. Chryste, i jeszcze masz czel- ność pozwalać temu psychopacie oskarżać mnie o zazdrość! Odkąd pamiętam, zazdrościłeś mi miejsca w jej myślach! Korneliusz ruszył w kierunku rozsuwanych drzwi. - Pozwolisz, że położę koniec tej dyskusji. Nie będę marnować czasu, słuchając irracjo- nalnych hysterii. - To nie histeria, Korneliuszu, tylko nazywanie rzeczy po imieniu! Dobrze, wobec tego biorę cię za słowo: odwołaj mnie z Londynu! Skoro wystarczy, żebym poprosił, zgoda. Właś- nie proszę. Ale powiem ci jedno. Jeśli ja wrócę, on będzie musiał odejść. Może tobie to nie przeszkadza, że wydziera ci bank i bar łoży się z twoją córką, ale... - Jesteś zwolniony - rzekł lakonicznie Korneliusz i nie odwracając się przeszedł do głównego pomieszczenia, gdzie otworzył balkonowe drzwi i wyszedł na patio. Zapadła cisza. Sebastian oniemiał, ja też. Korneliusz wyjął paczuszkę ziarna, którą prze- chowywał dla ptaków, i zajął się karmieniem gołębi. W końcu Sebastian ruszył z miejsca, zahaczając o biurko i omal nie wybijając jednego skrzydła drzwi. - Chyba oszalałeś. Nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci. - To ja jestem właścicielem tego banku i wolno mi zatrudniać i zwalniać, kogo zechcę, a nikt, nawet najukochańszy syn mojej żony, nie będzie mi dyktował, jak mam zarządzać moją własną firmą - Korneliusz odłożył paczkę ziarna do zdobionej urny przy wejściu, otrzepał ręce i wszedł z powrotem do biura. Sebastian ruszył za nim. Ja nadal stałem jak wryty. - Czy mógłbym cię prosić, żebyś wyszedł? - Korneliusz zasiadł przy biurku i zaczął od niechcenia przerzucać papiery. - Wątpię, czy możesz jeszcze dodać cokolwiek z pożytkiem dla tej rozmowy. - A Scott? Co ze Scottem? - Od tej chwili to już nie twoja sprawa. - Ale... Korneliusz zerwał się tak

gwałtownie, że Sebastian się cofnął. Potem oparł obie ręce na biurku, pochylił się do przodu i bardzo wyraźnie wycodził: - Ta rozmowa, podobnie jak twoja kariera u Van Zale'a, jest już nieodwołalnie skończona. Zrozumiano? Koniec. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Sebastian zbladł jak ściana. Bez słowa powłókł się do drzwi, lecz zanim wyszedł, obejrzał się jeszcze przez ramię. - Mam nadzieję, że Scott cię wykończy, ty draniu! - rzekł trzęsącym się głosem. - Ale jeśli będziesz jeszcze żył, kiedy się z tobą załatwi, nie przychodź do mnie i nie błagaj o pomoc, chyba że ofiarujesz mi w zamian stanowisko prezesa i własną dymisję! Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Korneliusz usiadł, rozluźnił krawat i wyjął pigułkę z niewielkiego złotego pudełeczka. Czekałem. W końcu spojrzał na mnie. Jego wzrok był zimny i obcy. - Teraz - rzekł - kolej na ciebie. Czy możesz mi podać chociaż jeden sensowny powód, dla którego nie miałbym cię wyrzucić razem z Sebastianem, na co w tak oczywisty sposób sobie zasłużyłeś? - Spóźniłeś się, i to sporo - odparłem. - Jeśli mnie wyrzucisz, przejdę po prostu na drugą stronę ulicy i zabiorę ze sobą wszystkich swoich klientów. Jake proponował mi już stanowisko prezesa nowej korporacji pod firmą Reischmana. Teraz, jeśli zechcę, naprawdę cię wykończę. Nie powinieneś o tym zapominać. W chwili gdy skończyłem mówić, zdałem sobie sprawę, że popełniłem niewybaczalny błąd. Cały sukces Scotta opierał się na przekonaniu Korneliusza, że owszem, Scott pragnie pewnego dnia objąć zarząd w banku, zasadniczo jednak jest mu przyjazny. Scott nie ukrywał, że jeśli Korneliusz będzie dla niego hojny i da mu to, czego chce, on także wspaniałomyślnie zachowa nazwę banku i zadba o jego wnuków. Była to historyjka, w którą pragnął wierzyć Korneliusz, i Scott poświęcił wiele czasu, by mu ją mocno wpoić. Tymczasem jednym brutalnie szczerym zdaniem zburzyłem gmach iluzji, którego zbudowanie zajęło Scottowi lata. Korneliusz skrzywił się i spojrzał na mnie ze zgrozą. Pojąłem, że widzi we mnie syna mego ojca i w tej straszliwie nieprzyjemnej chwili zagłębia się głęboko we wstydliwą przeszłość. - A, do diabła z tym wszystkim! - odezwałem się nagle, a wiedząc, że od tego zależy moja przyszłość, uzbroiłem się w cały spokój, jaki jeszcze we mnie pozostał. - Dlaczego w ogóle rozmawiamy ze sobą w ten sposób? Skaczemy sobie do gardeł jak zaprzysięgli wrogowie! Chyba rzeczywiście ta niesmaczna scena wstrząsnęła nami tak mocno, że na chwilę postradaliśmy rozum! Przerwałem, lecz odpowiedziało mi tylko milczenie. Korneliusz jak gdyby się postarzał, zmalął. Rozluźnił bardziej krawat i zażył następną pastylkę. Wciąż nie patrzył na mnie. - Posłuchaj - powiedziałem, z wysiłkiem nastrojając głos na rozsądny, opanowany ton. - Jest mi przykro. To prawda, że Sebastian sam włożył głowę pod topór i nie dał ci wyboru, tak że musiałeś go zwolnić, choć przyznaję, że to moja wina, bo to przede wszystkim ja go rozwścieczyłem. Wkroczyłem na tereny, które widocznie wciąż uważał za swoje, ale uwierz mi, był ostatnią osobą, którą chciałbym informować o rozwoju wydarzeń w moim życiu prywatnym! Wszystkiemu winien głupi, ślepy traf! - Myślałem, że nie masz prywatnego życia. - Cóż... w zasadzie nie, ale... - To wyjątek potwierdzający regułę? Dobrze, zapomnijmy o tym. Twoje sprawy osobiste mnie nie interesują. - Chyba przy okazji powinienem podkreślić... - Nie trudź się. - ...że nie planuję ożenić się z Vicky... - Żenić się z Vicky? Ty? Wziąć sobie rozwódkę z pięciorgiem dzieci? Nie rozśmieszaj mnie! - No cóż, rozumiem, że pewnie martwisz się teraz o Vicky, ale... - Nie, wcale się o nią nie martwię - oznajmił nieoczekiwanie Korneliusz. - Vicky nie jest taka głupia, jak niektórzy sądzą. Martwię się o ciebie. - Zapewniam cię, że nie ma potrzeby... - Przestań wreszcie mydlić mi oczy. - Do diabła, wcale nie chcę przenosić się do Reischmanów! Powiedziałem to tylko dlatego, że byłeś taki obcesowy! - Jake jednak zaoferował ci pracę. - Tak, ale... - I mógłbyś mi odpłacić zawiązka, gdybym cię teraz zwolnił. - Rany boskie, Korneliuszu, przestań, dobrze? Nie mam zamiaru się nad tobą zneść! Nie jestem Drakulą ani Frankensteinem, ani też Kubą... - Wiem, kim jesteś - przerwał mi Korneliusz. - Wobec tego przestań się zachowywać tak, jak gdybym był płatnym mordercą! Proszę cię, spróbujmy wszystko sobie wyjaśnić i przestańmy wreszcie się na siebie bocyć. Sprawa jest bardzo prosta: chcę zostać w firmie z przyczyn, które doskonale

znasz. Jak dotąd nie miałeś powodów na mnie narzekać i nadal nie będziesz ich miał, jeśli wciąż będę u ciebie pracować. Chyba nie zwątpiłeś w moją całkowitą lojalność tylko dlatego, że Jake zaoferował mi pracę. Jak idiota straciłem panowanie nad sobą w czasie tej awantury między tobą a Sebastianem. Pozwól mi dowieść, że działałam w dobrej wierze; naprawdę zależy mi na tym, żeby utrzymać zarówno status quo, jak i dobre stosunki, które nas zawsze łączyły. Chciałbym ci ją-koś wynagrodzić to, że się przyczyniłem do tej tragicznej w skutkach sceny z Sebastianem. Powiedz, co mam zrobić? Wydadź tylko rozkaz, a ja go wykonam najlepiej, jak potrafię. - No to świetnie - odparł. - Dzięki. Możesz na przykład jechać do Europy i doprowadzić do porządku ten chaos, który zostawił po sobie Sebastian. - Jasne. Kiedy mam jechać? - Tak szybko, jak tylko będziesz mógł. - Dobrze. A po powrocie... - Nie wrócisz. Poczulem się tak, jak gdybym zainkasował cios poniżej pasa. - Chcesz powiedzieć... - Chcę powiedzieć, że to nie będzie dwutygodniowa wycieczka do Londynu. Zostaniesz oddelegowany na cztery lata, powiedzmy do pierwszego stycznia 1968. Sześćdziesiąty ósmy będzie rokiem krytycznym, bo wtedy właśnie skończę sześćdziesiąt lat i będę musiał podjąć decyzję o przyszłości. Jedź do Londynu, a jeżeli zależy ci na karierze, wykorzystaj te lata, aby mnie przekonać, że masz jeszcze przed sobą jakieś perspektywy. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Zawahałem się. Co by w takiej sytuacji zrobił Scott? Nie miałem pojęcia, poza tym to było bez znaczenia. Wiedziałem, co ja muszę zrobić. Nie miałem wyboru. Korneliusz wpychał mnie do wąskiej drewnianej skrzynki, a im bliżej niej się znajdowałem, tym wyraźniej widziałem, że to trumna. - Korneliuszu - odezwałem się. Spojrzał na mnie pustymi szarymi oczyma. - Bardzo chętnie pojedę do Londynu - powiedziałem. - Bardzo chętnie zostanę tam cztery lata i wykonam pierwszorzędną robotę. Ale muszę mieć pisemną gwarancję w umowie spółki, że pierwszego stycznia 1968 zostanę tu wezwany z powrotem. Nie pozwolę ci się wywieść w pole tak, jak wywiodeś mojego ojca. Jasna delikatna skóra Korneliusza wydawała się teraz niemal przezroczysta. Milczał. - Prędeż złożę dymisję - dodałem - niż wyjadę do Europy bez gwarancji powrotu. Wciąż milczał. Na zegarze w drugim końcu pokoju mrugały szkarłatne cyfry. Kątem oka widziałem ich pośpieszny błysk. - Nie będę się starał wymóc na tobie żadnych innych gwarancji dotyczących przyszłości - ciągnąłem - ponieważ jestem pewien, iż zdołam cię przekonać, że nie znajdziesz lepszego współnika niż ja. Ta jednak jest konieczna. Muszę się zabezpieczyć przed twoją wyraźną, choć mam nadzieję przejściową, niełaską. Nie chcę, żebyś powodowany nagłym kryzysem zaufania wylał mnie pod moją nieobecność. Albo uległ paranoicznej chęci przetrzymania mnie w Anglii po Nowym Roku 1968. Czyżbym żądał za wiele? Nie sądzę. A ty, będąc na moim miejscu, nie zażądałbyś podobnej gwarancji? - Gdybym ja był na twoim miejscu - rzekł Korneliusz - jednej rzeczy nie zrobiłbym na pewno: niełożyłbym dymisji. To błąd szyty grubymi nićmi. - Wobec tego sam się o tym przekonaj i spróbuj wysłać mnie do Europy bez gwarancji. To oczywiste, że wolałbym pozostać u Van Zale'a, ale proszę cię, nie lekceważ oferty Jake'a. Dołożył wszelkich starań, żeby mnie zachęcić. Proponował nawet, że zmieni nazwę firmy, włączając moje nazwisko. To ładnie z jego strony, nie sądzisz? Naturalnie znacznie też zyskałbym finansowo. Cisza. Szkarłatne błyski w oddali z prawej strony. Płytki, urywany oddech Korneliusza. Pot, ciekący mi wolno po plecach. - Hm - odezwał się w końcu Korneliusz - no dobrze, zgoda. Nie rozumiem, dlaczego stwarzamy wokół tego taką atmosferę. To, co mówisz, ma sens, chociaż, jak dobrze wiesz, nie lubię, kiedy ktoś wydaje mi polecenia i stara się na mnie wywierać presję. Spróbuję jednak nie zwracać na to uwagi, bo widzę, że czynisz wysiłki, by okazać mi szacunek i posłuszeństwo, a to z kolei lubię i uważam za godne pochwały. Dlaczego zatem nie porozmawiamy o interesach, zamiast w melodramatyczny sposób wymieniać zbyt emocjonalne opinie? Wolę konkretne rozmowy. Są zdrowe, kojące i racjonalne. Pozwalają rozmówcom zachować poczucie proporcji, a tego nam teraz trzeba, nie sądzisz? Poczucia proporcji. Skoncentrowania się na dniu dzisiejszym, nie przeszłych ani przyszłych czasach. Na razie

wystarczy, jeśli zatroszczymy się o teraźniejszość. - Zgadzą się z tobą. - To dobrze. Oto, co zrobię: zwołam prawników i wprowadzę korektę do umowy spółki, wykluczając z niej Sebastiana i umieszczając klauzulę, że zostaniesz odwołany do Stanów nie później niż pierwszego stycznia 1968 roku. Dodam tutaj zapis, że w ciągu tego czasu nie mogę cię zwolnić bez zgody wszystkich bez wyjątku współników. - Bez... - Bądź rozsądny, Scott! W tym punkcie ty musisz ustąpić! A jeśli narozrabiasz w Europie? Ja też muszę mieć jakąś gwarancję! - Dobrze. Ale zgoda musi być jednogłówna. - Czy nie powiedziałem: wszystkich bez wyjątku? - Chcę, żeby klauzula została ujęta w ten sposób, że nie mogę zostać zwolniony, nawet za zgodą wszystkich współników, jeżeli nie okażą się winny postępowania narażającego na szwank dobro firmy. - W porządku. W ten sposób zabezpieczysz się przed konsekwencjami faktu, że współnicy wolą mi przytakiwać, kiedy jestem w pobliżu. Nie ma dymisji bez ważnej przyczyny. Czy to już wszystko, czy też może zmieniłeś zdanie i zażadasz dalszych gwarancji? - Nie, wystarczy mi, że jestem bezpieczny do sześćdziesiątego ósmego. Oczywiście miałbym ochotę na parę innych klauzul, ale nic się nie martw. Nie będę cię naciskał. - Na przykład jakich? - Takich, jak oświadczenie, że jeżeli firma przed rokiem 1968 zostanie przekształcona w korporację, ja będę prezesem zarządu. Nie obraziłbym się też za gwarancję, że jeśli umrzesz w czasie mojego pobytu w Europie, twoje udziały zostaną przekazane mnie, rzecz jasna z zastrzeżeniem, że ostatecznie przekażę bank twoim wnukom. Innymi słowy, Korneliuszu chętnie przyjąłbym od ciebie gwarancję, że dostanę to, co od dawna mi obiecujesz. Chętnie usłyszałbym zapewnienie, że Sebastian nie wystraszył cię do tego stopnia, iż w ostatniej chwili zechcesz mnie wystawić do wiatru. Korneliusz uśmiechnął się przelotnie - niezbyt promiennie ani też przyjaźnie, za to z uprzejmym rozbawieniem. - Sebastian to za mało, żeby mnie wystraszyć! - Mam nadzieję. - Nadal możesz mi ufać, Scott, jeżeli tylko zdołasz mnie przekonać, że ja wciąż mogę ufać tobie. - Obserwuj mnie w Londynie! - Będę cię obserwował. Znów się uśmiechnął. Zastanawiałem się, co naprawdę chodzi mu po głowie. Myślałem, że go mam, ale nie byłem pewien. Wiedziałem, że pragnie znów mi zaufać. Gdybym tylko mógł znaleźć odpowiednie klapki, sam założyłby je sobie na oczy, lecz choć szukałem wytrwale, wszystko jak gdyby umykało mi z rąk. - Wiesz, co mnie naprawdę przeraża, Scott? Początkowo uznałem to za pytanie retoryczne, po chwili wszakże zdałem sobie sprawę, że czeka na odpowiedź. - Nie... nie śmiałybym zgadywać - odparłem niepewnie, ale już wiedziałem. Odgadłem. Nie miałem wątpliwości, co teraz nastąpi. - Wobec tego ci powiem - rzekł Korneliusz. - Przeraża mnie, gdy patrzę na ciebie i widzę, jak snujesz się niczym duch twego ojca. Tylko że wcale nie chodzi o mnie. Boję się o ciebie. Twój ojciec podjął kilka fatalnych decyzji. Strach pomyśleć, że mógłbyś pójść w jego ślady. Ponownie zapadła cisza. W końcu powiedziałem: - To mi chyba nie grozi, prawda? Ostatecznie to nie on mnie kształtował. Nauczyłem się wszystkiego od ciebie i Sama. Spojrzeliśmy na siebie i nagle Korneliusz się roześmiał. - I sądzisz, że to mnie pociesza? - parsknął. Cierpki dowcip, będący jedną z najbardziej pociągających cech jego osobowości, rozładował panujące między nami napięcie. - Choć właściwie dlaczego nie? - znów się uśmiechnął, wzruszył ramionami i nieznacznie machnął ręką. - Do diabła, o czym my właściwie mówimy? Praktycznie nic się nie zmieniło poza tym, że pozbyliśmy się Sebastiana, a przecież niczego innego nie pragnęliśmy od lat. Przyznaję, że początkowo byłem zły, bo Alicja na pewno będzie robić problemy, ale może nawet to się opłaci, może cała ta poranna awantura okaże się jeszcze błogosławieństwem. - Mam taką nadzieję. - I przyznaję, że byłem nieco zaniepokojony, kiedy usłyszałem, że interesujesz się Vicky. Chyba jak zwykle okazałem się nadopiekuńczy. Ostatecznie Vicky potrafi już o siebie zadbać i nie stanie jej się żadna krzywda. Prawda? Ufam, że oboje potraficie zachować się dyskretnie i nie zaczniecie popadać w skrajności. - To prawda. Obiecuję ci, Korneliuszu, że nie doznasz zawodu. - Przykro mi z powodu tego Londynu, ale z praktycznego punktu widzenia jest to najlepsze wyjście. Bóg jeden wie, co się tam teraz

dzieje. Potrzebny mi jest facet twojej klasy, że- by wszystko uporządkować. - Wiesz, że możesz na mnie polegać. - Tak, wiem. Chyba nie uznasz tego za odstawkę? Zwiększymy twój fundusz na wydatki, żebyś miał swobodę manewru, a w aneksie do umowy podwyższymy od razu twój udział w zyskach jako rekompensatę za konieczność wyjazdu z Ameryki. - To bardzo hojny gest. Dziękuję. - Cóż, chcę być wobec ciebie hojny. Zawsze chciałem być hojny... Chyba aż tak się nie martwisz o te dodatkowe gwarancje? Na przykład w razie gdybym umarł przed sześćdziesiątym ósmym i tak dalej? To był test. Gdybym teraz okazał mu brak zaufania, on z pewnością postąpiłby tak samo. Musiałem go uspokoić. Z ulgą przygotowałem się do założenia mu kłapek na oczy. - Nie, Korneliuszu, wcale mnie to nie martwi. Poruszyłem ten temat wyłącznie dlatego, że czułem się urażony odprawą do Londynu, ale skoro tak bardzo się starasz uprzyjemnić mi pobyt w Anglii... Gdyby umarł, i tak zdobyłbym władzę w banku; żaden ze współników nie miał dość siły, by mi się przeciwstawić. A nawet gdyby zechciał przed 1968 utworzyć korporację, nie zdołał- by tego zrobić za moimi plecami, dowiedziawszy się zaś o jego zamiarach, natychmiast zacząłbym zabezpieczać własne interesy. Poza tym na pewno nie zrobi tego tak wcześnie. Kurczowo trzyma się władzy, dopóki to tylko możliwe. - ...a skoro już o tym mówimy, Korneliuszu - dodałem - nie powiedziałaś mi jeszcze, kiedy mam wyjechać. - Powiedzmy, za tydzień od dzisiaj. - Tydzień! Tak prędko? - To chyba żaden problem? Jesteś wolny jak ptak, a w tym twoim mikroskopijnym mieszkaniu nie masz chyba aż tylu gratów? Zdaję sobie sprawę, że jesteś w tej chwili w... ro- mansowym nastroju, ale to przecież nic poważnego, prawda? Po prostu przelotne zainteresowanie z obu stron. O, nie myśl, że nie rozumiem! Nie jestem takim wapniakiem, za jakiego mnie wszyscy uważacie! To znaczy... chyba się nie mylę, Scott? Tak właśnie jest? - Nie, nie mylisz się. Tak właśnie jest. Tak przynajmniej powinno być. Tydzień. Tylko tydzień. O Boże... - Coś cię zmartwiło? - Chodzi o pracę. Będę miał mnóstwo roboty przed wyjazdem. - Chodź dzisiaj ze mną na lunch. Ustalimy, jak z tego wybrnąć. - Dobra. Dziękuję. - Hm... Scott? - Tak? - Wiem, że to nie moja sprawa... i oczywiście nie musisz mi odpowiadać, ale... dlaczego, na miłość boską, nagle zdecydowałeś się uwieść Vicky? - To nie ja ją uwiodłem - odparłem. - Ona uwiodła mnie. Korneliusz osłupiał. Szczeka mu opadła. Miałem więc ostatnie słowo w tej dyskusji, choć nie wątpiłem, że wszystko zaaranżował tak, iż to on w końcu będzie się śmiał ostatni. Wymówiłem się od dalszych wyjaśnień i resztką sił dowlokłem do swojego biura, gdzie wyczerpany opadłem na najbliższe krzesło. Rozdział szósty 1 Kiedy w końcu wieczorem dotarłem do swojego mieszkania, dzwonił telefon. Byłem tak zmęczony, że ledwo starczyło mi siły, by wyciągnąć ku niemu rękę. Rozcierając obolały kark osunąłem się na fotel i podniosłem słuchawkę. - Tak? - Scott? To była Vicky. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że miałem do niej zadzwonić. Próbowałem ją sobie wyobrazić, ale wydawała się zbyt odległa, rozmywała się w oczach. Zacisnąłem powieki, usiłując wyostrzyć obraz. - Jesteś na mnie zły, że rano tak się wściekłam? - zapytała nerwowo. - Nie. - Aha. Myślałam, że dlatego nie dzwonisz. - Mówiąc szczerze, dotąd nawet o tym nie myślałem. Miałem fatalny dzień w biurze. - Rozumiem. No cóż, ja też miałam fatalny dzień w domu. Co byś powiedział na wspólną rekonwalescencję? Gdy przypomniałem sobie naszą szaloną noc, rozmyte obrazy nagle nabrały kształtów. - Świetnie - powiedziałem. - Niczego bardziej nie pragnę, niż wyłączyć się na jakiś czas, wskoczyć do łóżka i zająć się czymś przyjemniejszym. Ale najpierw muszę być przez chwilę sam. Włóż jakąś seksowną koszulkę i pościel łóżko, a ja postaram się wpaść około dziesiątej. Odłożyła słuchawkę z trzaskiem, który wyrwał mnie z otepienia. Zakląłem na głos. Jawnie dałem wyraz postawie obraźliwej dla każdej kobiety. Na moment pożałowałem, że nie jesteśmy na statku, gdzie seks traktowany był jak naturalna potrzeba, a nie zbiór mrocznych praktyk, dokonywanych w najgłębszej tajemnicy. Zadzwoniłem jeszcze raz. Vicky odebrała telefon dopiero po osiemnastym sygnale. - Tak? - odezwała się zimno, niczym echo mojego własnego głosu w poprzedniej rozmowie. - Słuchaj, przepraszam, że

potraktowałem cię jak część wyposażenia sypialni, swego rodzaju w pełni zautomatyzowany elektryczny koc. Może pójdziemy gdzieś na jakąś cichą kolację? Wpadłbym po ciebie za pół godziny. To znaczy... Czy nie byłaś umówiona na dziś z Sebastianem? - Odwołał spotkanie. - Czy wiesz, dlaczego? - Podejrzewam, że się rozmyślił. Nie było mnie, kiedy dzwonił. Przekazał wiadomość mojej gospodyni. - Aha. - Nie był to właściwy moment na wyjaśnienie, co spotkało dziś Sebastiana. - No cóż, w takim razie... - Chętnie zjadłabym z tobą kolację, ale jest pewna komplikacja. Kupiłam dziś bilety na nową sztukę Kevina Daly'ego. To miała być niespodzianka dla Sebastiana, ale skoro się z nim nie spotkam... - Vicky zawiesiła głos, a kiedy nie odpowiedziałem, dodała pośpiesznie: - O co chodzi? Nie masz ochoty na teatr? Chciałem jej powiedzieć, że mam ochotę tylko na jedno, powstrzymałem się jednak i bąknąłem ostrożnie: - Nie podobają mi się sztuki Kevina. - Nie? - powtórzyła zdumiona. Zapadła niezręczna cisza. Zły na siebie zdałem sobie sprawę, że znowu popełniłem błąd. Z wysiłkiem podjąłem kolejną próbę sprostania jej oczekiwaniom. - Ale może ta mi się spodoba - rzuciłem pośpiesznie. - To komedia, prawda? Świetnie! Mam ochotę na coś, co nie wymaga wielkiego umysłowego wysiłku. Będę u ciebie najprędzej, jak to tylko możliwe, powiedzmy, za piętnaście minut. Szkoda byłoby stracić cały pierwszy akt. Kiedy po półgodzinie pojawiłem się w holu jej kamienicy, czekała już na mnie. Miała na sobie białe futro z norek, błękitną, zbyt wydekoltowaną sukienkę, pantofle na cienkich, zbyt wysokich obcasach i nonszalancką kolekcję brylantów. - Myślałam, że wystawisz mnie do wiatru! - zawołała lekko. Ścisnęła torebkę tak mocno, że skóra wokół szkarłatnych paznokci była zupełnie biała. - Zaczynałam się już trochę złościć. - Przepraszam. Nie mogłem złapać taksówki. - Pocałowałem ją i czując, że powinienem wysilić się na jakiś komplement, zerknąłem jeszcze raz na biżuterię i futro, które w duchu uznałem za szczyt złego smaku. - Wyglądasz jak gwiazda filmowa! - zauważyłem z uśmiechem. Natychmiast zeszywniała ze zdenerwowania. - Ubrałam się jak idiotka, co? - Dekolt jest pierwsza klasa - powiedziałem, nie przestając się uśmiechać - a kto by się przejmował resztą? Nieoczekiwanie zaczerwieniła się i zaczęła podciągać pod szyję kłapy futra, żeby zakryć piersi. - Chodźmy - rzuciła. - Hej, przepraszam, nie chciałem cię urazić! - Nie, nic nie szkodzi! - uśmiechnęła się także, gorączkowo usiłując zatuszować panującą między nami skrępowanie. Bezskutecznie szukając w głowie jakiegoś relaksowego tematu, pomyślałem, że to dziwne, iż oboje zmuszamy się do robienia rzeczy całkowicie odmiennych od tego, na co oboje mamy ochotę, czyli od intymnego tete-a-tete. Byłem jednak zdecydowany nie drażnić jej bardziej i dostosować się do scenariusza, jaki najwyraźniej uznała za konieczny. Lepiej było przecierpieć całą sztukę i późną kolację w jakiejś superekskluzywnej restauracji, niż wylądować samotnie we własnym łóżku, kiedy wieczór dobiegnie końca. Problem z Kevinem Dalym polegał na tym, że jako pisarz nie miał nic do powiedzenia. Kiedyś ukrywał tę pustkę pod staroświeckim metrum, oczarowując część jajogłowych, którzy wierzyli, że dramat, do tego wierszem, musi koniecznie zasługiwać na poklask. Jego najnowszą sztuką napisaną była prozą i o ile mogłem to ocenić, pozbawiona wszelkiej głębszej treści. Rozumiałem teraz, dlaczego zebrała tyle krytyk. Panowie jajogłowi zorientowali się, że zostali wyprowadzeni w pole. Fabuła - historyjka o bogatym przemysłowcu, który ulega gwałtownej namiętności do własnej sekretarki i rezygnuje z majątku i stanowiska, by wraz z nią żyć długo i szczęśliwie (w biedzie, jak sądzę) - niespecjalnie mnie wciągnęła, choć widownia słuchała z zapartym tchem, co chwila wybuchając śmiechem. Doszedłem do wniosku, że tego typu fabuła stanowi przypuszczalnie górną granicę dramatycznych zdolności Kevina. Rzeczywiście zaprezentował pewien łatwo przyswajalny dowcip i umiejętność konstrukcji błyskotliwego dialogu, aczkolwiek nie potrafił stworzyć choćby pozorów artystycznej głębi. Tłumiąc ziewanie, przycisnąłem mocniej udo do uda Vicky i w końcu całkiem przestałem zwracać uwagę na scenę. Myślałem o przyszłości. Udało mi się załatać pęknięcie w niezachwianej wierze, jaką pokładał we mnie Korneliusz, choć zanim wszystko wróciło na swoje miejsce, śmiertelnie go

przestraszyłem i on mnie też. Wiedziałem, że jeśli pojedę do Londynu i przez okres najbliższych czterech lat będę się tam nienagannie prowadził, demonstrując swoją głęboką lojalność, mogę się nie obawiać, że poderżnie mi gardło. Korneliusz chciał się tylko co do mnie upewnić. Nie chciał utracić do mnie zaufania, podobnie jak wcale nie pragnął wyrzucić mnie na bruk. Byłem dla niego zbyt cenny - zarówno z zawodowego, jak i osobistego punktu widzenia. W półmroku ukradkiem przyjrzałem się Vicky i zadałem sobie pytanie, czy Korneliusz jest zadowolony, że trafiła mu się okazja, by przerwać nasz romans. Niemal na pewno odpowiedź brzmiała twierdząco. Gdyby nadal miał do mnie pełne zaufanie, zaakceptowałby mój związek z Vicky niezależnie od jego formy, teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Bez wątplenia uznał, że lepiej nas rozdzielić. Na szczęście dla Vicky i dla mnie, Korneliusz popełnił błąd w ocenie szerokości Atlantyku. Weszliśmy przecież w erę odrzutowców. Korneliusz szczycił się, że nie jest "wapniakiem", lecz jeśli uważał, że wyjazd do Londynu automatycznie oderwie mnie od Vicky, najwyraźniej nie był na bieżąco z faktami. Cóż w dzisiejszych czasach znaczyło marne kilka tysięcy mil, zwłaszcza dla kochanków mających dość pieniędzy, by palić nimi w piecu? Będę regularnie przyjeżdżał do Nowego Jorku w interesach, a nic nie stoi na przeszkodzie równie częstym wizytom Vicky w Londynie. I być może jej wizyty zaczną się stopniowo wydłużać... Korneliusz i Alicja są przecież pod ręką, mogą się zająć dziećmi... Mimo moich początkowych obaw, że czeka nas masa kłopotów, widziałem teraz, że jest wręcz przeciwnie. Przyszłość zapowiadała się bardzo obiecująco. Pod osłoną ciemności ująłem Vicky za rękę. Jej dłoń lekko się o mnie otarła, co sprawiło mi wręcz fizyczną rozkosz. Kiedy chwilę później zapaliły się światła na koniec pierwszego aktu, poczułem się tak, jak gdyby ktoś przeszkodził mi w szczytowym punkcie zbliżenia. - Chcesz już wyjść? - spytała Vicky półgłosem. - Jasne, szkoda czasu - palnąłem, zanim zdążyłem się powstrzymać, ale na szczęście Vicky błędnie zrozumiała przyczynę mojego zniecierpliwienia. - Mnie też nie podoba się ta sztuka - powiedziała, kiedy schodziliśmy do holu. - Burleska to chyba nie najlepszy środek wyrazu dla Kevina. - Ta przynajmniej nie była pretensjonalna. Inne jego sztuki udają wielką głębię, choć w rzeczywistości są tak samo puste jak i chwydumana forma. Vicky przystanęła, żeby na mnie spojrzeć. - Ależ umyka ci cały ich sens! Wiem, że często wydaje się, iż bohaterowie nie mają sobie nic do powiedzenia, ale Kevin właśnie o tym pisze, o pustce, jaka powstaje, gdy nie sposób się porozumieć z drugim człowiekiem! - Tak twierdzą krytycy. Mnie jakoś nigdy nie udało się tego dostrzec. Byliśmy już na ulicy. Powietrze było zimne, a tandetna sceneria kapiała się w ostrym blasku neonów jałowej pustyni Broadwayu. Czuję, jak pogrążam się w tym pustkowiu, w krainie, którą Roland Browninga przemierzał przez wiele lat, uparcie poszukując swego celu. Nagle poczucie wyobcowania stało się nie do zniesienia. Kurczowo ująłem ją za rękę. - Wracajmy do ciebie. - Nie dostanę niczego do jedzenia? - Oczywiście! Przepraszam. Często zapominam o jedzeniu. - Patrzyłem na jej norki i brylanty zastanawiając się, dokąd mógłbym ją zabrać. Miałem ochotę wpaść do Nedicka na hot-doga i sok pomarańczowy. Skinieniem ręki zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę. - Do Four Seasons - powiedziałem, otwierając przed Vicky drzwi. - Wspaniale! - wykrzyknęła. - Uwielbiam Four Seasons! Świetny pomysł! Nareszcie zrobiłem coś tak, jak trzeba. W restauracji Vicky zamówiła duże martini, które wprowadziło ją w swobodny nastrój, pozwalając jej zmieścić nie tylko ostrygi, ale dodatkowo i solę. Oprócz tego wypiła pół butelki szampana. Ja wziąłem sobie wodę sodową z plasterkiem cytryny, połówkę grejpfruta i filet mignon z zieloną sałatą. Jedzenie z trudem przechodziło mi przez gardło. Zastanawiałem się właśnie, czy będziemy musieli tkwić tu jeszcze nad deserem, kiedy kątem oka spostrzegłem, że ktoś zbliżył się do naszego stolika. W następnej chwili Vicky wydała zachwycony okrzyk: - Kevin! Co za miła niespodzianka! - Vicky, kochanie, jak ty cudownie wyglądasz! - Kevin zerknął w moją stronę i krótko skinął mi głową. Odkłoniłem się. Nigdy nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Kevin już dawno wy czuł, że jego dzieła nie robią na mnie wrażenia,

co oczywiście głęboko raniło jego próżność. Czasem wygłaszał kąśliwe uwagi na mój temat do Korneliusza. Wiedziałem o tym, gdyż Kor-neliusz zawsze mi je powtarzał, uważając - i słusznie - że te dziecinne przejawy oburzenia raczej mnie ubawią, niż zirytują. W pewnym sensie żal mi było Kevina. Wątpliwa przyjemność - być pedałem, i to nie pierwszej młodości! Na dodatek Kevin wyglądał teraz i zachowywał się dokładnie tak, jak powinien, czyli jak starzejąca się ciota. - Jak się masz, Kevinie? - wypytywała go czule Vicky. - Co nowego u ciebie słychać? - Kochanie, cieszę się, że o to pytasz. Jestem tak nieprzyzwoicie szczęśliwy, że każdy, kto na mnie spojrzy, odwraca się z obrzydzeniem. Życie zaczyna się po pięćdziesiątce, moja droga, i nie pozwól nikomu wmawiać sobie, że skoro skończyłaś osiemnaście lat, czy ile ich tam masz, to teraz zjeżdżasz już w dół. Przysiadźcie się do mnie na chwilę, przedstawię wam Charlesa. To mój angielski przyjaciel; przybył właśnie z Londynu na parę tygodni w interesach. Przez niewiarygodny przypadek poznałem go za sprawą Sebastiana, kiedy zeszłego lata bawiłem w Londynie... a propos, omal nie zemdlałem, słysząc o Sebastianie. Neil musiał chyba do reszty pożegnać się z rozsądkiem! Natychmiast zerwałem się z krzesła. - Vicky, musimy już iść. Wybacz nam, Kevinie. - Scott, zaczekaj chwileczkę! - Vicky była zupełnie zdezorientowana. Odwróciła się do Kevina. - O czym ty mówisz? Co takiego się stało? Kevin zrobił zdziwioną minę. - Scott nic ci nie mówił? Myślałem, że skoro odtwarzał jedną z głównych ról w porannym dramacie na rogu Willow i Wall... - Jakim dramacie? Zrobiłem krok do przodu. - Miałem zamiar powiedzieć ci o tym później - odezwał się do Vicky. Próbowałem ukryć złość, lecz było to trudne. - Nie chciałem psuć nam wieczoru. - Powiedzieć mi? O czym? Na litość boską, co się stało? - Vicky była teraz zaniepokojona i wytracona z równowagi. Odwróciłem się ze złością do Kevina. - Sam jej powiedz. Widzę, że aż podskakujesz z ochoty. Tacy faceci jak ty zawsze kochają się w plotkach. - Faceci jak ja? - powtórzył Kevin. - Masz na myśli facetów, którzy szczerze troszczą się o bliźnich, w przeciwieństwie do takich jak ty, żyjących w zamkach, do których ludzie w ogóle nie mają wstępu? Straciłem panowanie nad sobą. Miałem za sobą wyczerpujący dzień, moja cierpliwość już była naciągnięta do granic i nie mogłem się doczekać chwili, kiedy wreszcie zostanę sam na sam z Vicky. W tej sytuacji złośliwa ingerencja Kevina oznaczała więcej, niż byłem w stanie znieść. - Nie - powiedziałem. - Mam na myśli facetów, którzy nie potrafią się przyzwoicie przyć i podniecają się mówiąc o takich, którzy to potrafią. - Scott! - syknęła Vicky. - Boże, ale ubaw! - wykrzyknął Kevin. - No nie, takiego wyzwania nie mógłbym odrzucić! Pozwól, że postawię ci flaszkę wody sodowej czy czegoś w tym rodzaju... woda sodowa w Four Seasons! Ty to masz klasę!... I koniecznie musisz mi wyjaśnić, jak definiujesz słowo "przyzwoicie" w połączeniu ze słowem "pieprzyć". - Innym razem. - Byłem wściekły na siebie, że sam mu się podłożyłem. Rzuciłem na stół kilka banknotów i przysunąłem się do Vicky. - Chodźmy, kochanie - powiedziałem, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Odwiozę cię do domu. Vicky wyrwała rękę. - Chcę wiedzieć, co się stało z Sebastianem. Bezlitośnie zdusiłem emocje i oświadczyłem obojętnym tonem: - Stracił dziś pracę u Van Zale'a. Sam jest sobie winien. Próbował dyktować twojemu ojcu, jak ma zarządzać firmą. - Wybacz, mój drogi - wtrącił Kevin tonem gładkim jak szkło - ale czy nie uważasz, że Vicky powinna znać całą prawdę, a nie tylko twoją, mocno subiektywną wersję? Odwróciłem się gwałtownie do niego. - Pilnuj swojego nosa! A zresztą co ty możesz wiedzieć o tym konkretnym zdarzeniu? - Rzekłbym, iż nieomal wszystko. Sebastian i Neil odwiedzili mnie dziś, jeden po drugim, i wypili mi cały zapas bourbona "Wild Turkey". - W takim razie przypuszczam, że jesteś już nazbyt pijany, żeby wysłuchać tej historii z mojego punktu widzenia! - Nigdy nie jestem za bardzo pijany, by słuchać. Obawiam się tylko, że ty masz za dużo zahamowań, żeby zacząć mówić. Szkoda. W pewnym sensie żal mi ciebie. Vicky, kochanie, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie problemy wzięłaś sobie na kark razem z tym facetem? - Słuchaj no, ty gnojku... - Scott, proszę cię! Kevinie... - Małeńka, ten gość ściągnie na ciebie kłopoty. Jest zbyt zakompleksiony, żeby z kimkolwiek nawiązać

kontakt. Jedyne, co go obchodzi, to jego ambicje. Gdyby nie był tak niebez- pieczny, byłby żaloszny. - Ty draniu, ty skurwysynu, ty nędzny pieprzony zboczeńcu... - Może byś tak dał sobie spokój z ciągłymi aluzjami do seksu? To zaczyna być nudne, a na dodatek nie ma nic wspólnego... - ...kto ci dał prawo, żeby mnie osądzać? Wyobrazasz sobie, że masz jakiś dany od Boga dar przenikania ludzi i stawiasz amatorską pseudopsychologiczną diagnozę, nie znając nawet wszystkich faktów? Nie wiesz nic ani o mnie, ani o sytuacji, w jakiej się znajduję! Nic! A teraz zjeżdżaj stąd do diabła i zostaw nas w spokoju, bo przysięgam, że rozkweszę ci mordę, a zęby będziesz zbierał z podłogi! Mówiłem cicho, lecz mój głos brzmiał coraz donośniej, a kiedy w końcu zamilkłem, zro- zumiałem dlaczego. Klótnia zwróciła powszechną uwagę na nasz stolik i teraz już wszyscy na nas patrzyli. Kierownik sali, wietrząc kłopoty, przyglądał się nam ze strachem. Wokół panowała cisza. Przelotnie mignęły mi wielkie szare oczy Vicky w zbielełej ze zdenerwowania twarzy, ja jednak całą uwagę skupiłem na Kevinie. Widziałem teraz, że wcale nie jest trzeźwy, chociaż znosił alkohol tak dobrze, że na oko nic nie wskazywało, jak bardzo jest pijany. Stał bez ruchu, nie chwiejąc się na nogach. Nie bełkotał, każde słowo było wyraź- ne i cięte. Zdradzało go tylko jego zachowanie: charakterystyczna jowialna wylewność zniknę- ła, ujawniając zjadliwe, twarde jak kamień jądro jego osobowości. Przez krótką chwilę ta przedziwna dekonspiracja dokonała się też na jego twarzy: dołek w brodzie wydawał się teraz bardzo głęboki, piwne oczy o długich rzęsach bardzo błyszczące, zarys kwadratowej szczęki bardzo twarde. Miał taką minę, jakby gotów był mnie uderzyć, choć wiedziałem, że tego nie zrobi. Tacy faceci nigdy tego nie robią. - Cóż za brutalny ton! - rzekł w końcu miłym głosem, zakładając na powrót maskę. - Gardzę przemocą. Ale może ty czujesz się dzięki niej bardziej męski. Dobranoc, Vicky. Lepiej się usunę, zanim Scott rozpęta tu karczemną burdę. Przepraszam, że cię zdenerwowaliśmy. Odszedł. Gwałtownie usiadłem z powrotem. - Czy życzy pan sobie, żeby podać deser? - zamruczał maître d'hôtel, pragnąc, by sytua- cja jak najprędzej wróciła do normy. - Kawę? Koniak? Koniak. Courvoisier, Rémy Martin, Hennessy. Ciemnobrązowy o gorzkawym bogatym bukacie. Czulem jego zapach, smak na języku i nagle znalazłem się znów w tamtym śró- dziennomorskim porcie, na którego redzie stał szary wojenny okręt. Czekał na mnie, czekał, aż wrócę z przepustki na brzeg. Zobaczyłem potłuczone butelki i porozbijane sprzęty. Usłysza- łem głos kapitana: "Z takimi jak ty zawsze są kłopoty". Czulem ból, kiedy okrętowy lekarz zszywał mi ranę na głowie, a co gorsza pamiętałem, z jakim wstydem obudziłem się następnę- go dnia, powtarzając sobie, że życie to zabawa nie dla mnie. - Nie - powiedziałem na głos w eleganckiej nowojorskiej restauracji dwadzieścia lat później. - Dziękuję za koniak. To wszystko. - Nie - powiedziałem do właściciela pubu w Mallingham po wizycie na grobie ojca w 1946. - Za piwo dziękuję, chyba że ma pan bezalkoholowe. Vicky wstała. - Chciałabym już stąd wyjść - powiedziała w Four Seasons w 1963. - Nie śpiesz się, mamy czas - powiedziała Śmierć do rycerza z filmu Bergmana w świecie moich fantazji - ale jeśli zrobisz jeden fałszywy krok, będę na ciebie czekać. Postać Śmierci była tak wyraźna, że mimo woli obejrzałem się za nią, lecz zobaczyłem tylko jaskrawo oświetloną bryłę budynku PanAm, kiedy weszliśmy na Park Avenue, a już w następnej chwili przywoływałem taksówkę, otwierałem drzwi... Zawahałem się przed poda- niem adresu. - Może pojechalibyśmy do mnie? - zapytałem ku własnemu zaskoczeniu. - Do ciebie? - odparła twardym, obojętnym głosem. - Wydawało mi się, że nigdy nikogo nie zapraszasz! - Chciałbym, żebyś zobaczyła, jak mieszkam. - Dziękuję. Bardzo chętnie - odparła tylko, choć jej oczy napełniły się łzami, a kiedy po- nownie sięgnąłem po jej dłoń, nie cofnęła jej. Taksówka ruszyła. Początkowo milczeliśmy oboje, potem powiedziałem: - Przepraszam cię. Wybacz. Nie wiem, co mi się stało. To był koszmarny dzień. - To wszystko, co masz mi zamiar oznajmić? - Ja... - Kevin miał rację, tak? Zawsze jesteś zbyt zamknięty w sobie, żeby cokolwiek powie- dzieć? - Vicky, nie powinnaś go słuchać... - Nie, to ciebie mam ochotę wysłuchać. Właśnie słucham. Tyle tylko, że nic nie słyszę. - Ja... Zrozum... - Tak? -

Chcę z tobą rozmawiać. Naprawdę chcę. Dlatego zaprosiłem cię do siebie. Nie chcę dłużej być tam sam... odcięty... - Dobrze. Rozumiem. Zaczekajmy, aż będziemy u ciebie. Pocałowałem ją, a potem w chwili paniki - tym straszniejszej, że niespodziewanej - zadałem sobie pytanie, czy znów się okaże kaleką, kiedy znajdziemy się w łóżku. Miałem uczucie, że Kevin oderwał ode mnie Vicky, która teraz stopniowo się oddala, umyka mi z rąk. Byłem jak w gorączce. Poważylbym się na wszystko, byle ją odzyskać. Myśl, że mógłbym zostać zepchnięty z powrotem do pustelniczej roślinności, była nie do zniesienia. Cisza, panująca w taksówce, nagle zmieniła barwę, i ze zdumieniem stwierdziłem, że kierowca wyłączył silnik. To, co powiedział, potwierdziło tylko, że już od dłuższej chwili stoję przed moim domem. - Mają państwo zamiar wysiąść? - zapytał. - Czy może przynieść parę poduszek i koc, żeby wam było wygodniej? Zapłaciłem mu i bez słowa poprowadziłem Vicky do mojego mieszkania. 2 A jednak to w końcu Vicky, nie ja, położyła kres naszemu oddalaniu się i sprawiła, że na nowo znaleźliśmy wspólny język. Ja nie byłem w stanie tego zrobić. Przez moment myślałem, że ona też nie, gdy jednak ujrzałem jej determinację, odkryłem podobną i w sobie, a razem z nią siłę, by jej pomóc. Zaczęła natychmiast, gdy przekroczyliśmy próg. - Kevin się mylił, prawda? - powiedziała. - Mylił się sądząc, że wiodącą siłą w twoim życiu jest ambicja. Że zależy ci tylko na pieniądzach i karierze. To dla ciebie rzecz drugorzędna, czyż nie? - To prawda. - Sebastian też się mylił, twierdząc, że motorem twoich czynów jest żądza zemsty. Nie jesteś bohaterem dramatu Middletona lub Tournera. - Zgadza się. Staliśmy przy oknie w salonie. Przed nami rozciągały się światła Queens. Trzymałem ją mocno za rękę, żałując, że nie jestem bardziej rozmowny. Ścisnęło mnie w krtani, a głowa pękała mi z bólu. - Nikt cię nie przejrzał? Kiwnąłem głową. - To poczucie winy, czy tak? Światła Queens zaczęły się rozmywać. - Jesteś taki jak ja - ciągnęła Vicky. - W końcu spostrzegłam to podobieństwo. Wiodącą siłą w twoim życiu są wyrzuty sumienia. Czujesz się straszliwie, przytłaczająco winny. Ale dla czego? Co takiego zrobiłeś? Czy możesz mi o tym powiedzieć? Skinałem głowę. Vicky czekała, lecz ja nie mogłem znaleźć słów. - To się stało w latach trzydziestych? Ponownie przytaknąłem ruchem głowy. - Między tobą a moim ojcem? Zaprzeczyłem. - Moim ojcem - rzekłem. Sekundę później nie byłem już pewien, czy rzeczywiście powiedziałem to na głos, powtórzyłem więc: - Moim ojcem. Moim. - Coś zaszło między tobą a twoim ojcem? Rozumiem. Co to było? - Ja... - Tak? - Jestem współwinny... - Współwinny? - ...tego, co wówczas się wydarzyło. - Co takiego się wydarzyło? - Zamordowano go - powiedziałem. - A cóż by innego? Opadłem na otomanę i ukryłem twarz w dłoniach. 3 - Przecież twój ojciec nie został zamordowany - powiedziała Vicky. - Owszem, został. Wpędzono go w alkoholizm i prześladowano aż do dnia jego śmierci. A ja obojętnie się temu przyglądałem. Odwróciłem się od niego. Byłem lojalny tylko względem człowieka, który go zabił. - Przecież to ojciec cię porzucił! - Nieprawda. Zawsze chciał, żebyśmy wraz z Tonym przenieśli się do niego. Odszedł od Emily, ale nie od nas. - Tak, ale... - Byłem zupełnie rozbity, bo bardzo kochałem Emily. Miałem tylko czternaście lat i nic nie rozumiałem. Potem włączył się Korneliusz i całkiem mnie przekabacił. Nie powinienem był mu na to pozwolić. Ale pozwoliłem, dopuściłem się strasznego czynu. Odwróciłem się od własnego ojca i przysięgłem sobie, że nie chcę mieć z nim do czynienia. Vicky spojrzała na mnie z goryczą. - Chcesz powiedzieć, że mój ojciec... - Twój ojciec jest tu postacią drugorzędną. Nie odchodź od sedna sprawy. Cała sprawa rozegrała się między mną a moim ojcem. Twój ojciec jest tylko figurą na szachownicy, którą muszę manipulować, żeby dotrzeć do własnego ojca i wynagrodzić mu wszystko. Rozumiesz? Muszę naprawić to, co zrobiłem. To jedyny powód, dla którego żyję, jedyne usprawiedliwienie. Bez tego nie potrafiłbym żyć. Zrobiłem coś strasznego, wziąłem stronę jego zabójcy, wydałem na niego wyrok. Jak można zrobić coś takiego i żyć nadal? Mój ojciec zginął, brat zginął, matka umarła... a ja wciąż żyję. To takie niesprawiedliwe... Właśnie dlatego muszę nadać temu sens, nie mogę umrzeć, zanim nie dowiodę, że nie przeżyłem na próżno. Jeśli poświęcę życie, na

które nie zasłużyłem, aby naprawić to, co się zdarzyło w przeszłości... Rozumiesz, prawda? Rozumiesz? - Przecież na pewno nie potraktowałeś ojca aż tak źle! Byłeś bardzo młody, zupełnie skołowany, to wszystko urosło ci w głowie do monstrualnych rozmiarów... - Mój ojciec mnie kochał. A ja go nienawidziłem i życzyłem mu śmierci. Kiedy zginął, ucieszyłem się. Powiedziałem do Korneliusza: "Dzięki Bogu, nie będzie nam już bruździł". Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Tak właśnie powiedziałem, kiedy... - To wszystko wina tatusia, wiem, że tak jest. Popelniasz straszny błąd, obwiniając siebie w ten sposób... - Nie powinienem był ulegać jego wpływowi. Tony mu nie uległ. Przejrzał go na wylot. - Tony był w zupełnie innym położeniu. Był młodszy, podczas gdy ty przechodziłeś właśnie najbardziej krytyczny okres. Poza tym tatuś nigdy nie lubił Tony'ego. Nie starał się aż tak na niego wpłynąć. Nie możesz porównywać się z Tonym. - Od niego też się odwróciłem, a później nie miałem już okazji, żeby mu wszystko wyjaśnić. Tak samo nie miałem okazji pogodzić się z ojcem. Obaj nie żyją, a ja zostałem z ciężarem winy, którego niezdolam zrzucić, jeśli choć na krok zejść z obranej drogi... Boże, czy nie rozumiesz, z czym musiałem żyć, kiedy przeczytałem list Tony'ego i uświadomiłem sobie dokładnie, co zrobiłem? Prawdę powiedziawszy, nie byłem w stanie z tym żyć. Zrozumiałem od razu, że muszę wszystko zmienić, a posłuży mi do tego Korneliusz i bank. Nie miałem wyboru. Nic innego mi nie pozostało. Myślałem o tym, żeby się zabić, ale... - Scott! - Oczywiście, że o tym myślałem! To chyba rozumiałe! A jeśli nie zdołam odmienić przeszłości, pomyślę o tym znowu, bo wtedy nie zechcę już żyć. - Nie wolno ci tak mówić! To zbrodnia! To grzech! - Dlaczego? Śmierć i ja jesteśmy starymi kumplami. Często o niej myślę, przez cały czas z nią żyję. Czasami, kiedy patrzę na siebie w lustrze, widzę, jak mi się przygląda. Idę wtedy do łazienki, biorę brzytwę, niekiedy nawet napuszczam wody do wanny... Rzymianie odbierali sobie życie w ten sposób: gorąca kąpiel, podcięte żyły, śmierć wtedy przychodzi bez bólu, spokojnie, człowiek po prostu powoli traci przytomność... Zawsze dotąd jednak mówiłem sobie: nie, jeszcze nie, nie mogę umrzeć, dopóki nie osiągnę celu swej drogi, nie zatriumfuję tam, gdzie mój ojciec poniósł porażkę... - Scott... Scott, posłuchaj... Scott, proszę cię... - Och, Vicky, Vicky, nie znałaś mego ojca, a to był taki wspaniały, pełen życia człowiek... tak, najdokładniej właśnie pamiętam to płonące w nim życie, i dlatego nie mogę ustąpić, dlatego żyję tak, jak żyję, dlatego nie liczy się nic prócz jednego: muszę wynagrodzić mu przeszłość, muszę go wskrzesić z martwych, sprawić, by znowu żył... 4 Siedziałem w kuchni, w ciemności. Moim ciałem wstrząsał bezgłośny szloch, a oczy paliły żywym ogniem. Byłem tak nieprzywykły do płaczu, że nie potrafiłem sobie dać rady z takim upokorzeniem. Mogłem się tylko poddać i czekać, aż minie. - Scott... - Vicky była za drzwiami, w oświetlonym salonie. Mówiła cicho, łagodnie. Próbowałem powiedzieć: "Nic mi nie jest", lecz nie byłem w stanie. - Chcesz zostać sam? - spytała. - Mam sobie pójść? Byłem pewien, że zdołam odpowiedzieć "nie". To takie proste słowo jedno z pierwszych, jakich uczy się dziecko. Mimo to nie potrafiłem go wymówić. - Zastanów się - powiedziała. - Nie ma pośpiechu. Wróciła do salonu, a ja zostałem, tocząc w samotności bitwę z upokorzeniem. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakałem. Uznałem, że musiało to być po śmierci matki. Miałem wtedy dziesięć lat, wtedy jednak była przy mnie Emily, a Emily oczekiwała, że osiercone dziecko będzie płakać, więc płakałem. W gruncie rzeczy rzadko widywałem swoją matkę. Tony'ego i mnie wychowały zmieniające się nianki, a jedyną stałą postacią mego dzieciństwa nie była wiecznie rozrywana matka, lecz ojciec. Ojciec przez cały tydzień ciężko pracował w mieście, ale weekendy spędzał w domu na Long Island, bawił się z nami i zabierał nas na wycieczki. Otworzyłem lodówkę i spojrzałem na tkwiące w niej butelki. - Boże, ale mam ochotę się napić - powiedziałem i sam się zdziwiłem, jak normalnie to zabrzmiało. Być może droga do ukojenia wiodła poprzez trywialne uwagi. - Więc dlaczego się nie napijesz? - zawołała Vicky od niechcienia. - Przecież nie jesteś alkoholikiem, prawda? - Nie, i nigdy nie byłem. Ale alkohol wyraźnie mi nie służy - powiedziałem, płaczącymi się palcami otwierając butelkę coca-coli. - Poczuję się lepiej,

kiedy przestałem pić. - Zazdroszczę ci siły woli. Wiem, że sama piję w tej chwili za dużo. - Wątpię, czy zdajesz sobie sprawę, co oznaczają te słowa. - Och, naturalnie nie zalewam się w trupa! Ale codziennie wypijam dwa martini, a moim zdaniem to o jedno za dużo... Czy mogłabym dostać kawy? Jeśli chcesz, sama ją zrobię. - Nie, ja się tym zajmę - zapaliłem światło, nalałem wody do czajnika i postawiłem go na palniku kuchenki. Stałem, przyglądając się równym płomykom. - Już od dawna miałam z tym zerwać - powiedziała Vicky, stając przy mnie i także wpa- trując się w ogień. - Ale jakoś zawsze mi się wydawało, że nie przetrwam kolejnego dnia bez pomocy martini. - I od czasu do czasu jakiegoś miłego playboya? - Ach, oni! Nigdy się nie liczyli. Próbowалаm po prostu udowodnić sobie, że nie jestem oziębła. - Oziębła? - po raz pierwszy odważyłem się spojrzeć jej w oczy. Modliłem się w duchu, żeby moje nie były spuchnięte i zaczerwienione. - Ty? Nie wierzę! Zaśmiała się. - Gdybym powiedziała ci prawdę o swoim osławionym życiu prywatnym, głowa spuch- łaby ci do tego stopnia, że nie zmieściłbyś się w tych drzwiach! Spróbowałem to sobie wyobrazić. Czuję się już lepiej, chociaż wciąż miałem zamęt w głowie. Musiałem się bardzo starać, żeby na moment się skupić. - A gdybym ja ci opowiedział o swoim osławionym życiu prywatnym - odparłem - głowa spuchłaby ci tak samo jak mnie. Zabrzmiało to całkiem gładko. Przez ułamek sekundy oczyma duszy widziałem nas dwo- je, stojących nad czajnikiem i wymieniających lekkie, błyskotliwe uwagi. - Mam wrażenie, że oboje mamy te same kłopoty - powiedziała Vicky zaskoczona. - Ale przecież mężczyźni nie mają takich problemów... też je mają? - Mężczyźni mają wszelkie możliwe problemy, uwierz mi. - Chcesz powiedzieć, że ci nie... - Nie, z tym nigdy nie było kłopotu. - Rozumiem. Wobec tego pewnie nie możesz... - Tak. Oczywiście to takie trywialne. - Oczywiście. Ale czy nie sądzisz, że często najbardziej trywialne rzeczy przysparzają nam największych cierpień, zwłaszcza gdy się kumulują i ich ciężar zaczyna nas w końcu przygniatać? - Chryste, wyjęłaś mi to z ust. Woda w czajniku zaczęła się gotować. Po omacku sięgnąłem po dłoń Vicky i znalazłem ją. - Często myślę, że z seksem jest tak jak z pieniędzmi -powiedziała. - Kiedy ich nie braku- je, człowiek w ogóle o nich nie pamięta, ale kiedy ich nie ma, nie potrafi myśleć o niczym in- nym. Uścisnąłem mocno jej rękę, nie spuszczać oczu z czajnika. - A co ty możesz wiedzieć o braku pieniędzy! - Cóż za obraźliwa uwaga! Sądzisz, że jestem całkowicie pozbawiona rozumu i wyob- raźni? Myślisz, że nigdy nie zastanawiałam się, jak wygląda życie w nędzy, na jakiejś garści ry- żu, z dziesiątką drobnych dzieci i bez żadnej kontroli urodzin? - A propos... - Byłam ciekawa, kiedy o to zapytasz. Tak, biorę małe różowe pastylki. Zero hałasu, ze- ro kłopotu, zero pomyłek. Sebastian nazwałby je na pewno ostatecznym produktem naszego plastikowego społeczeństwa. - A jak ty je nazywasz? - Wyzwoleniem. Wypiliśmy kawę w salonie. Vicky wybrała miejsce na otomanie, ja usiadłem naprzeciw niej w fotelu, po chwili jednak przestało nam to odpowiadać, oboje więc usiedliśmy na podło- dze pod ścianą i znowu ujęliśmy się za ręce. - Co takiego robiłem w łóżku, czego nikt przede mną nie robił? - spytałem z zaciekawie- niem. - Chyba nic szczególnego. O Boże, przepraszam! Nie zabrzmiało to jak komplement. Oczywiście byłeś wspaniały, nie muszę ci chyba tego mówić, ale chodziło mi o to... - O anonimowość, prawda? Cały sekret polegał na tym, że brałem cię za kogo innego. Dzięki temu mogłaś być sobą. - Tak. Właśnie tak. A później... - Umocniłaś się w nowej tożsamości i przestałaś się czuć więźniem? - Później - sprostowała Vicky z naciskiem - doszłam do wniosku że jesteś najbardziej podniecającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. - Jestem zaszczycony! Tylko proszę, nie czuj się w obowiązku leczyć moich ran za po- mocą komplementów. - Wcale tego nie robię! Skoro jednak rozmawiamy ze sobą szczerze... - O, tak. Nie wyobrażasz sobie, jaka to dla mnie ulga. - Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak wiele potrafię sobie wyobrazić. Doskonale wiem, jakie to uczucie, kiedy się tkwi w kaftanie bezpieczeństwa z rękoma związanymi na plecach i kneblem w ustach. Pocałowałem ją. - Chcesz teraz iść do łóżka? - zapytała po chwili. - Bardzo. Ale wciąż czuję się taki rozbity, że prawdopodobnie nie będzie ze mnie użyt- ku. -

Przecież nikt nas do niczego nie zmusza. Nie jesteśmy akrobatami w cyrku. Nikt nas nie ogląda; na kim chcesz zrobić wrażenie? - Mój Boże, jesteś najcudowniejszą z kobiet! - powiedziałem prowadząc ją do sypialni. - Nie rozumiem, o co się tak martwiłeś - powiedziała później, kiedy podałem jej ogień. - Ja też nie. - Pobiegłem do kuchni i przyniosłem jeszcze dwie butelki coca-coli. - Scott? - Mhm? - Jeżeli ma cię to zdenerwować, nie odpowiadaj. Ale... czy mój ojciec specjalnie nastawił cię wrogo do twojego ojca? To znaczy... nie ograniczył się do paru luźnych uwag, czy tak? To było całościowe, rozmyślne pranie mózgu? - Tak. - To straszne. To po prostu nieludzkie. I naprawdę nic dziś dla ciebie nie znaczy? Przecież musisz go chyba nienawidzić, pogardzać nim! - Nie można przeżywać tak gwałtownych emocji na co dzień, Vicky. Człowiek musi się od nich odgradzić, żeby nie zwariować. Poza tym wątpię, czy Korneliusz zamierzał być nie- ludzki. Znając go, przypuszczałbym raczej, iż w jego własnym przekonaniu działał z najczystszych możliwych pobudek. - Ale to tym ohydniejsze! Jak ci się udało pracować tyle lat w jego banku i pozwalać, żeby cię traktował jak przybranego syna? - Mnie tam w ogóle nie było - odparłem. - Ja zostawałem w domu. To Scott szedł do banku i miał do czynienia z Korneliuszem. Vicky zapaliła lampkę. Leżeliśmy wtuleni w siebie na moim wąskim łóżku; poczułem, że jej ciało drży lekko i sztywnieje w moich ramionach. - Przepraszam - powiedziałem. - Błąd. Teraz myślisz, że zwariowałem. - Nie. Po prostu zgroza mnie ogarnia na myśl, w jakim stresie musiałeś żyć. - Ale czy nie rozumiesz? Scott był lekarstwem na wszystkie moje stesy, sposobem od- gradzenia się od tych gwałtownych emocji, których w innym wypadku bym nie wytrzymał! - Ale wczoraj mówiłeś - wtrąciła - że Scott umarł. - Tak, musiał umrzeć. W jego życiu nie byłoby miejsca dla ciebie. Musiałem dokonać wyboru między wami. Wybrałem ciebie. - Rozumiem. A czy wolno mi spytać, jak sobie bez niego poradzisz? - Jakoś to będzie. Ważne, że jesteś ze mną. Uda się, zobaczysz. - To świetnie. A co z moim ojcem? Otrzymał już zawiadomienie o śmierci Scotta? - Śmiejesz się ze mnie. - Zapewniam cię, że nie. Tu nie ma się z czego śmiać, nie sądzisz? Odetchnąłem. - Tak, wie o tym. - Przeżył przykry szok? - Tak. Właśnie pozbył się Sebastiana, kiedy nagle odkrył, że został zamknięty w ciasnej klatce z tygrysem. - Opowiedz mi, co się działo. Dokładnie. Muszę wiedzieć. Mówiłem przez dłuższą chwilę, w czasie której Vicky wypaliła następnego papierosa. - Biedny Sebastian - powiedziała, kiedy skończyłem. - Nic mu nie będzie. Bez trudu wdrapie się na wysokie stanowisko gdzie indziej. - Zależało mu na pracy u Van Zale'a. - Nie wątpię. Też mi go żal, ale sam do tego doprowadził. Zachował się jak głupiec. - I co teraz? - Otrząśniemy się po tej eksplozji i wszystko wróci do normy. Myślę, że jeżeli będę bar- dzo ostrożny, uda mi się uciszyć wzburzone wody. - To dobrze. Chciałabym, żebyś dostał ten bank. Zważywszy, jak tatuś postąpił przed wojną, to jedyne wyjście. Sprawiedliwość musi przecież zwyciężyć... Co zrobisz, kiedy już będziesz szefem? Uzupełnisz nazwę firmy o nazwisko Sullivan? To też byłoby swego rodzaju zadośćuczynienie, nie uważasz? - No cóż... - Nie rozumiem, dlaczego tatuś nie chce się na to zgodzić. Bank i tak wróci w końcu do rodziny Van Zale'ów, bo przecież nie masz własnych synów, więc dlaczego nie chce ustąpić? - Hm... - Co najśmieszniejsze, Eric marzy o tym, żeby zostać bankierem. Nie za bardzo rozu- miem dlaczego, choć cieszę się ze względu na tatusia. Biedny tatuś. Nic na to nie poradzę, ale mimo wszystko jest mi go żal. Może tu także działają wyrzuty sumienia? Zawsze miałam wra- żenie, że jego życie ułożyłoby się zupełnie inaczej, gdyby zamiast córki miał syna. - Bardzo w to wątpię. Myśl o synu przerodziła się u niego w obsesję. Zawsze idealizu- jemy to, czego nie mamy. Gdyby miał syna, prawie na pewno byłby nim rozczarowany. - Może... Gdybym tylko mogła cię przekonać, żebyś przestał myśleć, iż zawiodłeś Ste- ve'a. Pomyśl, Scott, jeśli rzeczywiście był takim wspaniałym ojcem, na pewno wybaczyłby ci wszystkie twoje błędy! - Tym gorzej. Brzemie winy staje się przez to jeszcze cięższe. Skoro wybaczyłby mi bez względu na wszystko... chyba rozumiesz, że tym bardziej mi wstyd? - Musisz spróbować spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Inaczej nigdy nie zaznasz spokoju. Na zawsze

pozostaniesz w tym zakętym kręgu... - Kiedy zdobędę bank, osiągnę także spokój. - Wątpię. Bardzo w to wątpię. Usiadłem. - Co chcesz przez to powiedzieć? - Mam paskudne przeczucie, że cokolwiek zrobisz, żeby zmazać swą winę, nigdy nie będzie ci dosyć. Podejrzewam, że ta wyprawa, jak ją nazywasz, nigdy się nie skończy. - Nie, mylisz się! Gdy tylko naprawię błędy przeszłości... - Och, Scott, to takie puste słowa! Frazes, który w rzeczywistości nic nie znaczy! Nie da się zmienić przeszłości. Przeszłość minęła, dokonała się, a cała ta gadanina o powrocie do niej jest, że się tak wyrażę, oderwanym od rzeczywistości, klasycznym sentymentalnym banałem rodem z epoki fin-de siècle'u! - Nie postrzegasz czasu tak jak ja - powiedziałem. - Mój czas jest inny niż twój. - Ależ to wierutna... - Vicky urwała. Po chwili wykrzyknęła z pasją: - Scott, czy nie po- trafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Marnujesz swoje życie na coś, czego w rzeczywistości wca- le nie chcesz robić, i po co? Żeby uśmierzyć ból, który sam sobie sprawiasz! Sam się przykułeś do jakiejś koszarnej karuzeli, ale przecież nie musisz na niej tkwić, nie musisz wciąż krążyć w kółko, bo to także iluzja! Gdybyś tylko potrafił sobie wybaczyć, mógłbyś z niej zsiąść, uwolnić się od tych wszystkich majaków i wreszcie zacząć życie, jakiego naprawdę prag- niesz... - Wtedy nie pragnąłbym już żyć. Przykro mi, że tak to widzisz. Przykro mi, że nie rozu- miesz - spuściłem nogi na podłogę, lecz Vicky złapała mnie za ramię i pociągnęła z powrotem. - Przepraszam - powiedziała szybko. - Nie złość się. Kocham cię. Nie odgradzaj się ode mnie. Naprawdę staram się zrozumieć. Bardzo chciałabym zrozumieć. Uwierz mi, proszę. - Pst... - zgasilem jej papierosa i zacząłem ją całować. - Skończmy już tę rozmowę. Na- gadaliśmy się aż nadto, a mamy tak mało czasu. Słowa wyrwały mi się z ust, zanim uświadomiłem sobie, co mówię. Vicky gwałtownie wciągnęła powietrze, jej oczy rozszerzyły się, a ja przekląłem się w duchu za sprowokowanie sceny, którą tak chciałem odwlec. - Co ty mówisz? - spytała. - Dlaczego mamy mało czasu? Wyjaśniłem jej niechętnie, że Korneliusz przenosi mnie do Londynu. 5 - Wsiądź z tej karuzeli - powiedziała Vicky. - Odejdź. To właśnie pora, żebyś umył ręce z całego tego brudu i zaczął nowe życie. Chyba nie chcesz jechać do Londynu? - Masz na myśli naszą znajomość? No cóż, zgadzam się, że jest to pewien kłopot, ale... - Kłopot? Powiedziałeś: kłopot? - Mimo to będziemy się przecież widywać! Ja będę regularnie przyjeżdżał do Nowego Jorku w interesach, a ty także możesz bywać w Londynie tak często, jak to... - Międzykontynentalny romans? Aha. Rozumiem. Jak cudownie. Jak wspaniale. Czegóż więcej mogłabym pragnąć? - zaczęła płakać. - Vicky... - Och, przestań! Przecież ty w ogóle nie dostrzegasz realnego świata! - wyskoczyła z łóżka i zaczęła szukać swojego ubrania. Usiłowałem zrozumieć, co dzieje się w jej umyśle. Poniewczasie przypomniałem sobie, że kiedyś mówiła, iż tęskni za czymś więcej niż tylko przelotną rozkoszą. Zrozumiałem, że po- trzebuje oparcia, które ja muszę jej dać. Międzykontynentalny romans to za mało. Musiałem ją przekonać, że i ja pragnę czegoś więcej poza dorywczymi odwiedzinami. Musiałem jej złożyć ofertę, która stworzy jej poczucie bezpieczeństwa. - Jedź ze mną do Londynu - powiedziałem nagle. - Zamieszkamy razem. Ja też nie chcę się z tobą rozłączać. Przestała płakać i spojrzała na mnie. - A co z dziećmi? - Cóż... - nagle uprzytomniłem sobie, że nie wiem, co odpowiedzieć. - Jestem pewien, że je kochasz, ale myślałem... skoro mogłabyś ułożyć sobie życie inaczej... Jestem pewien, że Korneliusz chętnie by ci pomógł... - Wyjaśnijmy to sobie od razu - przerwała. - Nie zostawię dzieci. Jeśli wyjadę, to z nimi. - Zdaje się, że na statku dawałaś mi do zrozumienia, że nienawidzisz tego życia, a jedy- nym, co cię trzyma przy dzieciach, jest poczucie winy! - To prawda. Czuję się winna. Wydałam je na świat, podczas gdy w rzeczywistości wca- le ich nie pragnęłam. Chyba nic gorszego już nie mogłam zrobić. Teraz, żeby im to wynagro- dzić, muszę przynajmniej być przy nich i próbować, choćby nieudolnie, okazać, że są mi blis- kie. - Ale skoro tak nie jest, czy to nie zwykła hipokryzja? - Mój Boże, od razu widać, że jesteś bezdzietny! Kocham swoje dzieci. Bardzo mi na nich zależy. Kocham je wszystkie, choć równocześ- nie nienawidzę za to, że komplikują mi życie i codziennie wysysają ze mnie wszystkie siły. Ale

skoro ty nie potrafisz zerwać z życiem, które wymusza na tobie poczucie winy, jak możesz oczekiwać, że ja to zrobię? Wstałem z łóżka, poszedłem do łazienki i poświęciłem trzy minuty na intensywne myślenie. Potem spuściłem wodę, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność, i wróciłem do sypialni. Vicky stała przy oknie w samej bieliźnie, paląc następnego papierosa. Włożyłem szlafrok i skrupulatnie zawiązałem pasek. - Napijmy się jeszcze kawy - powiedziałem. Milcząc usiedliśmy w kuchni nad filiżankami Sanki. - Musi być jakiś sposób, żeby to rozwikłać - odezwałem się w końcu. - Szanuję twoje uczucia, ale proszę, zrozum, że mnie też nie jest łatwo. Nie jestem przyzwyczajony do dzieci. Nigdy nawet nie mieszkałem z kobietą. Chciałbym móc ci powiedzieć, że bez trudu poradzę sobie z twoją dzieciarnią, ale to by było kłamstwo. Muszę to rozłożyć w czasie. - Mamy właśnie wszystko z wyjątkiem czasu! - To prawda, skoro jednak będziemy się nadal widywać... Rozumiem, że w tej chwili nie możesz rzucić wszystkiego, żeby zamieszkać ze mną w Londynie, więc... - Problem polega na tym - przerwała mi Vicky - że ten międzykontynentalny romans, wyznaczony rozkładem lotów, w gruncie rzeczy bardzo ci odpowiada. Przywykłeś do długich okresów celibatu, dzielących wybuchy wzmożonej aktywności, a jeśli i ja przystanę na ten model, nie będziesz miał bodźca, żeby kiedykolwiek go zmienić. - Kiedy wrócę do Nowego Jorku... - Wrócisz za cztery lata! Przykro mi, może ty potrafisz prowadzić takie życie przez cztery lata, ale ja nie. Nie wytrzymam tego. Nie zniosę napięcia, tych ciągłych rozstań i świadomości, że nie ma cię przy mnie wtedy, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebny... Nie widzisz, że to beznadziejne? Poza tym dość mam stresów na co dzień i na więcej po prostu mnie nie stać. Zapadła cisza. Dokończyliśmy kawę, Vicky zgasła papierosa. - No - powiedziała. - Tyle co do nierozwiązywalnej przyszłości. Pozostaje nam teraz niejszość. Niewiele, ale musimy się tym zadowolić. - Nie mogę się z tym pogodzić. - Och, Scott, ja też nie... Nagle znalazła się w moich ramionach. Szlafrok rozchylił się. Vicky zrzuciła z siebie wszystkie szmatki. W ciągu dziesięciu sekund byliśmy z powrotem w łóżku, a tam czas przestał się liczyć. Noc eksplodowała nam w oczach tysiącem barw. 6 Zadzwoiła do mnie następnego dnia o dziewiątej wieczorem. Właśnie nagrywałem na taśmę ostatnie memorandum. Głowa mnie bolała, światło lampy na biurku boleśnie raziło w oczy. Brzęk aparatu łączącego mnie z miastem był tak przeraźliwy, że aż się skrzywiłem. - Cześć - odezwała się. - Jak się masz? - Fatalnie. Przepraszam, że nie zadzwoniłem. - Masz ochotę wpaść do mnie, jak skończysz? - Wiesz, że tak. Ale jestem bardzo zmęczony. Zanudzisz się przy mnie na śmierć. - Jadłeś dziś cokolwiek? - Nie. A właściwie tak, zjadłem pół hot-doga przy biurku, ale jakoś nie zdążyłem go skończyć. Tyle mam roboty przed wyjazdem. - Zabieraj się z tego straszego miejsca i zaraz tu przyjdź. Usłuchałem. Otworzyła mi drzwi w białej plisowanej podomce. Była bez makijażu. Objąłem ją, czując pod palcami jej puszyste miękkie włosy. - Kupiłam w kiosku za rogiem pieczonego kurczaka i frytki - oznajmiła - i jeszcze sześć butelek coca-coli. Pomyślałam, że przyda się nam jakaś odmiana po Four Seasons. Zjedliśmy całego kurczaka, wszystkie frytki i opróżniliśmy wszystkie butelki coca-coli. - Czujesz się lepiej? - Jak nowo narodzony. Poszliśmy do łóżka. - Masz jeszcze coś do picia? - zapytałem później. - Mam roztwór chininy, który Anglicy nazywają tonikiem i piją go z dżinem. Skoro wybierasz się do Londynu, powinieneś się zacząć do niego przyzwyczajać. Wstałem bez słowa i poszedłem do kuchni. Znalazłem tonik na dolnej półce w drzwiach lodówki. - Wkroję ci do niego plasterek cytryny - powiedziała Vicky. Milczałem. - Przepraszam - podjęła. - Nie powinnam była wspominać o Londynie, ale nie mogłam się powstrzymać. Przez cały dzień myślałam o przyszłości. Pociągnąłem łyk gorzkiego płynu i stwierdziłem, że da się go pić. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk. - Czy jest jakaś szansa, że tatuś zmieni zdanie? - Żadnej. - Przecież będzie za tobą strasznie tęsknił! Z kim będzie grać wieczorami w szachy? Nadal milczałem. - Nie jest mu teraz łatwo - ciągnęła Vicky. - Alicja się do niego nie odzywa z powodu Sebastiana. Biedny tatuś, jest strasznie zgnębiony. - To przykre - dołałem sobie toniku i wrzuciłem do szklanki jeszcze jedną kostkę

lodu. - Jak myślisz, może za parę miesięcy cię odwoła? - Nie ma szans. - A gdybyś tak...
gdybyś... - Co? - Gdybyś po prostu otwarcie odmówił wyjazdu? Zwolniłby cię? Chyba nie,
skoro tak się przeraził na myśl, że mógłbyś zostać prezesem banku Reischmanów. Sam
mówiłeś! - Nie zrobiliby tego od razu. Wylałby mnie trochę później, przy pierwszej
nadarzającej się okazji. - Do tego czasu pewnie by ci już przebaczył! - Nie. Na pewno nie.
Tak jawne nieposłuszeństwo nawet mnie nieuszłoby na sucho. - A przypuśćmy...
przypuśćmy... Scott, a gdybyśmy się tak pobrali? Odwróciłem się, patrząc na różowe rybki
krążące sennie w akwarium. - Rozumiesz? - podjęła Vicky drżącym głosem. - Gdybyś się ze
mną ożenił, pozostałbyś w firmie i dostał to, czego chcesz. Tatuś nie mógłby zlekceważyć
swego zięcia. Dopilem tonik, wciąż przyglądając się rybkom. - Wiem, że nie lubisz dzieci,
ale... - Nie o to chodzi - powiedziałem, szybko odsuwając od siebie wspomnienie Rose i Lori,
zajmujących Emily nazbyt wiele czasu w przeszłości. - ...ale Eric i Paul już wkrótce będą
spędzać większość roku w szkole, a dziewczynki są mniej kłopotliwe - dziewczynki zawsze
są grzeczniejsze od chłopców. Pozostaje Benjamin, ale on jest naprawdę miłutki i sama dam
sobie z nim radę. Nie pozwoliłabym, żeby wszedł ci na głowę... Urwała. Potem roześmiała się
z zakłopotaniem i dodała: - Możesz mi wierzyć, że zwykle nie oświadczam się mężczyznom
w ten sposób, ale na- prawdę nie widzę innego wyjścia. Wiedziałem, że będę musiał teraz
bardzo starannie dobierać słowa. - To bardzo kuszące wyjście - powiedziałem serdecznie i
pocałowałem ją. - I teoretycz- nie świetny pomysł. - Teoretycznie? A w praktyce nie?
Uważasz, że to nie wyjdzie? - Nie. Pora jest nieodpowiednia. - Nie chciałem przesadzać, tym
razem więc powstrzy- małem się od całusa. Ująłem jej dłonie i uścisnąłem mocno. - Posłuchaj
mnie, Vicky. Jeżeli te- raz się z tobą ożenię i w ten sposób wykręcę się od delegacji w
Londynie, Korneliusz dostanie szału. Nie uwierzy, że zrobiłem to, ponieważ cię kocham.
Natychmiast pomyśli, że chciałem w ten sposób zabezpieczyć się na przyszłość, i czy można
go winić za to, że w tych okolicz- nościach wyciągnie taki a nie inny wniosek? - Co cię
obchodzi tatuś! Ja się nim zajmę! - Śmiem twierdzić, że bez skutku. Wiem, że masz na niego
znaczący wpływ, ale nie, kie- dy chodzi o bank. - Rozumiem. A zatem nie masz odwagi się ze
mną ożenić, bo się boisz, że zdenerwujesz tatusia! - Vicky wyrwała ręce z uścisku i wstała. -
To nie takie proste. Powiedzmy, że się pobierzemy i małżeństwo okaże się nieudane. To
przecież możliwe. Wiele przemawia za tym, że pasujemy do siebie, ale życie we dwoje nie
jest usłane różami i zawsze mogą pojawić się problemy. Co wtedy? Zgadzam się, że Korne-
liusz pójdzie na ustępstwa wobec swego zięcia, jeśli jednak przed ową magiczną datą pierw-
szego stycznia sześćdziesiątego ósmego roku będę już tylko jego byłym zięciem? Wtedy
mogę się pożegnać ze wszystkim. - Teraz rozumiem, co Kevin miał na myśli - powiedziała. -
Chyba w końcu będę musiała przyznać mu rację. W ogóle nie potrafisz współżyć z ludźmi.
Jedyne, co cię obchodzi, to twoje ambicje. - Ależ co ty mówisz? Posłuchaj mnie uważnie! Nie
twierdzą, że nie możemy się pobrać. Bardzo chcę, żebyś została moją żoną. Mówię tylko, że
zawierając małżeństwo w pośpiechu, popełnilibyśmy straszny błąd. Nasz związek musi
najpierw okrzepnąć, a na to potrzebny jest czas. Musimy wpierw rozwikłać wszelkie różnice
zdań, które na pewno wyjdą w praniu. Są- dzę, że powinniśmy się pobrać, kiedy wrócę do
Nowego Jorku w 1968. - Wspaniale - wycodziła. - Rzecz jasna będzie to idealny moment na
scementowanie two- jej bankowej kariery raz na zawsze, i to bez rozwścieczania tatusia.
Trudno, żeby sprzeciwiał się legalizacji trwającego od czterech lat romansu. - Vicky, ja
naprawdę w głębi serca czuję... - Ty nic nie czujesz. W ogóle ci na mnie nie zależy. Jedyne,
co cię obchodzi, to ten cho- lerny bank. Cała ta sytuacja da się zsumować w trzech słowach:
nie kochasz mnie. - Ależ ja cię kocham! - krzyknąłem. - Szaleję za tobą! To ty mnie nie
kochasz! Gdybyś mnie kochała, nie puściłabyś mnie samego do Londynu! Pojechałabyś ze
mną! Kiedy kobieta kocha naprawdę, dąży jedynie do tego, żeby być ze swoim mężczyzną!
Zapomina nawet o dzieciach! Przypomnij sobie, jak było, kiedy Alicja poznała Korneliusza! -
Nie muszę sobie przypominać - przerwała mi. - Patrzyłam na to przez lata. Byłam jed- ną z

ich ofiar. - Tak, ale... - W porządku, może rzeczywiście cię nie Kocham! Może tylko dobrze mi z tobą w łóżku! Czuję się zlekceważona i jestem tak skołowana, zraniona i najnormalniej w świecie choler- nie nieszczęśliwa, że niczego już nie wiem na pewno! Może byś tak już poszedł? Nie chcę się znowu z tobą Kochać. Nie zniosłabym tego. - Vicky - zacząłem z rozpaczą. - Vicky, będziemy jeszcze szczęśliwi, wiem, że będziemy. - Scott, spójrz prawdzie w oczy! To jest życie, nie bajka! Przeżyliśmy piękny romans, który już się skończył. Musiał się skończyć. Zabrnął w ślepią uliczkę. - Ależ, mała... kotku... W jej szarych oczach rozgorzał płomień gniewu. Łzy płynęły jej po twarzy, lecz chyba nie zwróciła na nie uwagi. - Żałuję, że nie jestem już z Sebastianem! - powiedziała brutalnie. - On mnie naprawdę kochał! I nigdy nie nazywał mnie tymi głupimi, pustymi, pozbawionymi znaczenia słowami! Zazdrość ukłuła mnie z taką siłą, że poczułem zawrót głowy. Cofnąłem się o krok, potrąciłem stolik. Tonik rozkołysał się gwałtownie w szklance. - No to wróć do niego - powiedziałem. - Dlaczego do niego nie wrócisz? Po omacku dotarłem do sypialni i zacząłem się ubierać. - Jeśli on jest lekarstwem na wszystkie twoje problemy - krzyknąłem - biegnij do niego! Na zdrowie! Życzę szczęścia! Posłyszałem stłumiony szloch. Zawiązałem krawat, trzęsącą się ręką przegarnąłem włosy i wróciłem do salonu. Vicky siedziała skulona na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach. - W czym problem? - zapytałem. - Może Sebastian nie jest wyrafinowanym kochankiem, ale dla ciebie to przecież żadne zmartwienie. Jeśli kiedykolwiek zapragniesz mocnych łóżkowych wrażeń, zawsze możesz wsiąść w samolot i przylecieć do Londynu, a jeśli nie będę na- zbyt zajęty, poświęcę ci ze dwie godziny mojego cennego czasu. Przecież tylko o to ci chodzi- ło, czyż nie? Posłużyłaś się mną, żeby coś sobie udowodnić, a teraz, gdy masz już dowód, na którym ci tak zależało, nie jestem ci dłużej potrzebny! Podniosła ku mnie zalaną łzami, spuchniętą od płaczu twarz. Przez jedną bolesną chwilę zobaczyłem Emily, rozpaczającą za moim ojcem. - Vicky, wybac... Przepraszam cię... Nie chciałem tego powiedzieć... - Milcz! - krzyknęła. - I wynoś się stąd! Dość już zdrowia mnie kosztowałaś, zostaw mnie wreszcie w spokoju! Boże, i pomyśleć, że masz jeszcze czelność oskarżać mnie, że cię wykorzystywałam! To ty wykorzystywałam mnie przez cały czas! Nie potrafisz traktować kobiet inaczej! Jesteś chory! To nieważne, jak dobry jesteś w łóżku, i tak zawsze czeka cię kłapa, bo jesteś nędznym emocjonalnym kaleką! Podniosłem szklankę z tonikiem i rzuciłem ją o ścianę. Vicky krzyknęła. Odłamki szkła posypały się na dywan. Obróciłem się. Stałem przy barku. Porwałem z niego butelkę dżinu i cisnąłem ją w ślad za szklanką. Rozległ się następny trzask, następny krzyk, a w powietrzu uniósł się mdlący odór alkoholu. - Przestań! - zawołała Vicky. - Przestań, bo wezwę policję! Nie... Spojrzałem w dół. W ręce miałem butelkę whisky. Odstawiłem ją powoli do barku i przetrąłem oczy wierzchem dłoni. - Przepraszam - powiedziałem oszołomiony. - Nie wiem, co mi się stało. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się to na trzeźwo. Odwróciła wzrok. Widziałem, że się mnie boi. - Proszę, idź już - powiedziała nienaturalnie wysokim głosem. - Wybac mi, naprawdę jest mi bardzo przykro. - Wyjdz. - Zadzwoń jeszcze do ciebie. Nie odpowiedziała. Chwiejnym krokiem dotarłem do drzwi, nie oglądając się za siebie. Długo szedłem jasno oświetlonym korytarzem, który w końcu wyprowadził mnie w czekającą na zewnątrz ciemność. Rozdział siódmy 1 - Wszystko w porządku? - zapytał Korneliusz. - Jak najlepszym. - Nadal uważasz, że zdążysz wyjechać we wtorek? - Sekretarka zrobiła mi już rezerwację na samolot. - Dobrze... Żadnych problemów? - Żadnych. Zadzwoń do niej zaraz po powrocie do biura. Zamierzałem zaczekać do wieczora, ale teraz wiedziałem już, że to niemożliwe. Musiałem z nią porozmawiać, i to zaraz. W garsonierze nikt nie podniósł słuchawki, zadzwoniłem więc do mieszkania. Telefon odebrała gospodyni. - Pani Foxworth wyjechała na kilka dni, proszę pana. Wyszła z domu godzinę temu. - Dokąd wyjechała? - Nie wiem, ale w razie pilnej potrzeby zostawiła adres u ojca. Najlepiej, gdyby zapytał pan pana Van Zale'a... Rozłączyłem się. Nic dziwnego, że Korneliusz tak troskliwie dopytywał się o moje sa- mopoczucie. Zadzwoń do jego domów w Arizonie i Bar Harbor, lecz nikt nie

spodziewał się jej przyjazdu. Nieco później zadzwoniłem ponownie, Vicky jednak tam nie było. Z dużym wysiłkiem przebrnąłem przez resztę dnia, a kiedy późnym wieczorem wróciłem do domu, zastałem wysłany ekspresem list. Vicky pisała: "Nie chcę się już z Tobą widzieć przed wyjazdem i nie chcę, żebyś dzwonił do mnie z Londynu. Na pewno się jeszcze spotkamy, ale muszę mieć trochę czasu, żeby po tym wszystkim ochłonać. Mam szczerą nadzieję, że będziesz w Anglii szczęśliwy i zdobędziesz to, czego pragniesz od życia. Pogodziłam się już z faktem, że nie jestem to ja." Włączyłem telewizor, żeby o niej nie myśleć, lecz było to zadanie ponad moje siły. Wyłączyłem odbiornik i jeszcze raz przeczytałem list. Zaczynałem się bać, że w końcu zadzwonię do sklepu po jakiś alkohol, pośpiesznie więc nalałem sobie coli z większą niż zwykle ilością cytryny, jednakże ku swemu przerażeniu wypilem ją w ciągu paru sekund. Niedobrze. Zawsze starałem się pić powoli. Postanowiłem przerzucić się na tonik. Tego nie dało się szybko pić. Czy w supermarkecie mieli tonik? Nie mogłem sobie przypomnieć. Zdecydowałem, że zapytam o niego w sklepie monopolowym. Z tą myślą wyszedłem. Nagle wpadło mi do głowy, że byłoby łatwiej - nie mądrzej ani lepiej, po prostu łatwiej - gdybym jednak poszedł do supermarketu, co też uczyniłem. Kupiłem od razu sześć puszek 7Up. W domu zrobiłem sobie fałszywego Toma Collinsa i wypilem go bardzo powoli. Potem znalazłem blok listowy i poszedłem do kuchni. - Napisałem: "Droga Vicky!", lecz wydało mi się to takie chłodne, że podarłem kartkę i spróbowałem jeszcze raz. Brakowało mi słów. Przyszły mi na myśl jej słowa: "Zejdź z tej karuzeli!" i nagle wyobraziłem sobie, jak wspaniale byłoby odzyskać wolność. Ciekawe, co bym zrobił? Doszedłem do wniosku, że chciałbym mieszkać z Vicky na jachcie, z dala od Nowego Jorku. Kochałem morze i byłem dobrym żeglarzem. Ojciec miał jacht i latem w każdy weekend zabierał mnie na przejażdżkę cieśniną Long Island. Wstałem gwałtownie. Szklanka była pusta. Zamieszałem sobie następnego niby-Toma Collinsa i wykorzystałem blok do sporządzenia listy spraw, jakie pozostały mi jeszcze do załatwienia przed wyjazdem. Potem zadzwoniłem do zarządcy budynku w sprawie podnajmu mieszkania, przerzuciłem książkę telefoniczną i znalazłem firmę, która usunie zeń i przechowa mój skromny dobytek, a wreszcie spisałem płyty i książki, które miały zostać spakowane w skrzynię i przesłane pocztą lotniczą do Londynu. To zajęło mi trochę czasu. Zrobiłem sobie hamburgera, ale nie mogłem go przełknąć. Zmarnowałem nad nim następny kwadrans, noc jednak zdawała się nie mieć końca. Odsunąłem szklankę i jeszcze raz spróbowałem skupić się nad listem. Tym razem mi się powiodło. Napisałem: "Vicky! Bardzo Cię kocham. Sądzę, że zbyt pochopnie położyłaś koniec temu, co było między nami, i wiem, że popełniłem błąd, odrzucając wszelki kompromis. Czy zechciałabyś spotkać się ze mną chociaż raz, zanim wyjadę? Może uda się nam do czegoś dojść? Wiem, że miałaś rację, poruszając temat małżeństwa, i przykro mi, że się tak zachowałem. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Tak tu pusto bez Ciebie. Tęsknię za Tobą. Scott." 2 Kiedy list został już napisany, zaświtał mi promyk nadziei na przyszłość. Pomyślałem, że jeśli zdołam ją udobruchać, zgodzi się przyjechać na Nowy Rok do Londynu, a gdy spędzimy razem choćby krótki czas, droga do dalszych spotkań znacznie się wygładzi. Muszę, oczywiście, dać jej zaręczynowy pierścienek, żeby ją upewnić, iż jestem zdecydowany na ślub, bo kiedy ją o tym przekonam, łatwiej zniesie myśl o czteroletnich zaręczynach. Chętnie przyznam, że tak długie narzeczeństwo dalekie jest od ideału, z drugiej jednak strony historia zna takie przypadki i ludzie doskonale sobie z nimi radzą. W czasie wojny spotykałem mężczyzn zaręczonych od lat, którzy widywali swe panny przy sporadycznych okazjach, i nikt nie uważał, że jest w tym coś niezwykłego. - Czy mógłbyś wysłać ten list do Vicky? - zapytałem później Korneliusza. - To bardzo ważne, a wiem, że masz jej adres. Był Dzień Dziękczynienia i bank był oficjalnie zamknięty, choć właśnie tam się wybierałem, żeby popchnąć naprzód papierkową robotę. Wymówiłem się od świątecznego obiadu z rodziną Van Zale'ów. Kiedy wpadłem do nich po drodze, Korneliusz skończył już śniadanie i siedział w jadalni nad filiżanką kawy. Obrzucił mnie twardym

spojrzeniem. - Powiedziała, żeby nikt jej nie nękał. Była bardzo zdenerwowana. - Zdaję sobie z tego sprawę. Napisałem ten list właśnie po to, żeby ją uspokoić. Chcesz go przeczytać? Śmiało. Otworzę kopertę. - Dobry Boże, oczywiście, że nie chcę czytać twojej prywatnej korespondencji! To, co się stało między tobą a Vicky, w ogóle mnie nie dotyczy! - Wobec tego przekaz jej list. - Dobrze - Korneliusz chłodno zerknął na kopertę. Usiadłem obok niego przy stole. - Przepraszam, że sprawiłem ci tyle kłopotów, Korneliuszu. - Masz powody przepraszać. Zepsułeś mi całe święto. Liczyłem, że Vicky tu będzie. Ali- cja wyjechała do Andy'ego i Lori i też nie wiem, kiedy wróci. - Na pewno nie zostawi cię samego na długo. - Nie, pewnie nie, ale mimo wszystko... Nie masz pojęcia, co tu się działo. Miałem następną awanturę z Sebastianem. - Jeszcze jedną? Na miłość boską, o co? - Hm... wiesz, że nigdy nie cofam ważniejszych decyzji, ale... - zaproponowałeś mi, żeby wrócił? - usiłowałem nie okazać przerażenia. - Bo widzisz, Alicja tak się zmartwiła i... hm, doszedłem do wniosku, że może odrobinę się pośpieszyłem i... a zresztą, do diabła, co to ma za znaczenie! Sebastian i tak nie chciał o tym słyszeć, więc w końcu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. - Sebastian odrzucił twoją propozycję? - tym razem mimo moich wysiłków wyraz niedowierzania sam wypelzał mi na twarz. - Dokładnie. "Kiedy mnie zwolniłeś, mówiłem całkiem poważnie", tak mi odpowiedział. "Nie wrócę, chyba że złożysz dymisję i przekażesz mi zarząd banku". Wściekłem się tak, że mu zagroziłem, że do końca życia nie dostanie pracy na Wall Street, i wiesz, co on mi na to? "Oszczędź sobie fatygi!", powiada. "Skończyłem z bankowością. Mam dość. Rób, co chcesz, mnie to i tak zwisa. Jadę do Europy. To jedyne cywilizowane miejsce. Mam już dość dzikusów, filistynów i tego plastikowego świata." - On oszalał! - pomyślałem, jak bardzo Sebastian kochał Nowy Jork. - Chyba nie mówił poważnie! - To właśnie mu powiedziałem. "Nie możesz tego zrobić", mówię. - "A co z twoją matką? Nie wyprowadzisz się przecież tak daleko! Co ona bez ciebie pocznie?" "A, to już twój problem" - odparł "i życzę powodzenia w rozwiązywaniu go". Potem wyszedł. Boże! Mówię ci, dwie ostatnie doby były jednym wielkim koszmarem! - Tak mi przykro. Naprawdę mi przykro. Wiem, że myślisz, że to wszystko moja wina... - Zgadza się. Może teraz będzie trochę spokoju, jak wreszcie odlecieś do Europy. Dzięki Bogu, że to już wkrótce - rzekł Korneliusz, wsuwając list do kieszeni i bez pożegnania wyszedł z pokoju. 3 W piątek mój dobytek został zabrany bądź do magazynu, bądź też do wysyłki. Opróżniony mieszkanie, przenieśliśmy się do hotelu Carlyle na resztę mego pobytu w Nowym Jorku. Nie miałem nawet czasu dokładnie obejrzeć apartamentu, cały weekend bowiem spędziłem w pracy, a kiedy w poniedziałek wieczorem wreszcie zamknąłem wszystkie sprawy, byłem tak wyczerpany, że zastanawiałem się, skąd wezmę siły na powrót do hotelu. Właśnie miałem po raz ostatni wyjść z biura, kiedy zadzwonił czerwony telefon. Najwyraźniej Korneliusz też został dłużej w pracy. Może chciał odwlec moment powrotu do pustego mieszkania. Alicja nadal była w Kalifornii, a Vicky nie odpowiedziała na mój list. Nabierałem pewności, że w ogóle go nie dostała. - Tak? - rzuciłem szorstko do słuchawki. - Długo jeszcze będziesz tu siedział? - Właśnie wychodzę. - Dobra, podrzucę cię do miasta. Znalazłszy się w cadillacu, siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu, aż w końcu gdzieś na północ od Canal Street Korneliusz zapytał: - Miałeś jakąś wiadomość od Vicky? - Nie. - Aha. Przekazałem list. Pewnie teraz myślisz, że tego nie zrobiłem. - Zgadza się. - Jesteś w błędzie. - W porządku, mogę się mylić. Jechaliśmy dalej. - Przepraszam, że byłem wtedy dla ciebie taki cierpki - odezwał się Korneliusz. - Zresztą w sumie święto było udane. Te dzieciaki sprawiają mi wiele radości. Cholerny ze mnie szczęściarz, że mam pięcioro wnucząt. Samochód zatrzymał się na światłach. Wyrząłem przez okno. Byłem znużony; jałowy pejzaż jeszcze nigdy nie wydał mi się tak brzydki. - Oczywiście to jeszcze małe dzieci - podjął Korneliusz. - Są wspaniałe, ale chyba nie potrafię z nimi rozmawiać, wiesz, nie czuję... sam nie wiem, jak to określić. Próbowałem nauczyć Erica i Paula grać w szachy, ale miałem wrażenie, że ich to nie pociąga. Hm... Scott... może byśmy tak dzisiaj zagrali? Ostatni raz, zanim wyjedziesz? Tylko jedna odpowiedź mogła

zaświadczyć o mojej dobrej woli. - Dobrze. - Nie musimy grać, jeśli jesteś bardzo zmęczony - rzekł ostrożnie. - Po prostu zjedźmy razem kolację i napijmy się coca-coli. - W porządku. - Uczyniłem wysiłek, by się skupić. - Dziękuję za zaproszenie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Korneliusz otworzył dwie butelki coli i usiedliśmy, czekając, aż usmażą nam steki. - Co sądzisz o tym zamieszaniu w Indochinach? - zagadnął. - Zastanawiam się, czy Johnson postępuje słusznie, trzymając się polityki Kennedy'ego w tamtym regionie. Tyle tylko, że wojna stymuluje wielkie interesy. Pamiętasz, jak było z Koreą? - To prawda. - Mam nadzieję, że Andy'ego tam nie wyślą. Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby go przed tym uchronić, ale chłopak twierdzi, że chce jechać. Dla Alicji byłaby to kropla, która przepełnia czarę. Chryste, co za straszliwy rok. A tak przy okazji, co sądzisz o ostatnich wynikach śledztwa w sprawie zabójstwa? Moim zdaniem to wszystko spisek komunistów. Jeszcze w czterdziestym dziewiątym powiedziałem Samowi... Wyłączyłem się. Korneliusz mówił dalej, a ja przyglądałem się brzydkim meblom w pokoju, abstrakcyjnym obrazom, z których każdy nasuwał ukrytą myśl o przemocy, półkompletnym nie przeczytanych książek, jałowemu blichtrowi jałowego życia. W milczeniu zjedliśmy steki. Ku memu zaskoczeniu Korneliusz kazał przynieść pół butelki czerwonego wina i wypił je do dna. W końcu powiedział: - Widzę, że jesteś bardzo zmęczony. Przepraszam, byłem samolubny, ciągnąc cię tu na kolację. Ale prawdę mówiąc, wcale nie cieszy mnie twój wyjazd. Będzie mi ciebie bardzo brakować. - To twoja decyzja, Korneliuszu. Nie moja. - Decyzja? A miałem jakiś wybór? Nie, nie odpowiadaj. Posłuchaj... rozstajemy się w przyjaźni, prawda? - Oczywiście. - To dobrze. Chciałbym, żebyś zrozumiał, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że zlikwidujesz bezkrólewie w Londynie. I nie sądz, że zapomniałem, jak mam wyrazić swoją wdzięczność, gdy przyjdzie na to czas. - Dziękuję - odparłem po chwili milczenia. - Myślę, że nie będziesz rozczarowany moimi dokonaniem w Londynie. - Zawsze w ciebie wierzyłem. Dobrze. Cieszę się, że się rozumiemy. Po kolacji odprowadził mnie do holu. - No cóż, to chyba już wszystko - powiedział. - Pora się pożegnać - nieśmiało wyciągnął do mnie rękę. Spojrzałem na nią. Potem ująłem ją, ścisnąłem i wypuściłem. - Do zobaczenia. Podniósł wzrok. W oczach błyszczały mu łzy. Tak niezwykle u niego sentymentalizm uznałem za skutek wina. Jego odarta nagle z maski twarz przypawiła mi o dreszcz obrzydzenia. - Na zawsze pozostaniesz moim chłopcem, Scott - rzekł. - Cokolwiek się zdarzy. Chcę, żebyś o tym pamiętał. Pomyślałem, że zamordował mego ojca, i poczułem ochotę, żeby zwymiotować mu w twarz, połamać wszystkie kości, złapać za szyję i wyciskać z niego życie tak powoli, by odczuł pełną groźbę umierania na raty. Mimo to nawet nie drgnąłem. "W końcu i tak go załatwię - przemknęło mi przez głowę, a na głos powiedziałem tylko: - Będę pamiętał. Potem wyszedłem i pieszo wróciłem do hotelu. 4 Od Vicky nadal nie było żadnej wieści. Zadzwoeniłem do jej gospodyni, która również nie miała mi nic do przekazania. Zrozumiałem, że Vicky zdecydowała się ze mną zerwać. Zacząłem się zastanawiać, czy nie mógłbym przełożyć wyjazdu, spotkać się z nią, kiedy wróci do miasta, i skłonić do zmiany stanowiska. Doszedłem jednak do wniosku, że odkładanie wyjazdu może okazać się groźne. Jeżeli raz to zrobię, będzie mnie kusilo, żeby zwlekać dalej. W końcu wysiądą mi nerwy. Już czułem się tak, jak gdyby wtrącono mnie do emocjonalnej katowni, z której mogę nie wydostać się żywy. Noc upływała powoli. Wyczuwałem, że Śmierć jest bardzo blisko. Bez przerwy myślałem o Vicky. Zastanawiałem się, jak zdołam przeżyć, jeśli nie zechce do mnie wrócić. Moje życie stało się naraz cienką nitką, która mogła pęknąć w każdej chwili. Patrząc, jak nad East River wreszcie wstaje świt, widziałem Śmierć kroczącą ku mnie powoli przez szachownicę na pustym morskim brzegu. 5 I tak fantazja stopiła się wreszcie z rzeczywistością. Zacząłem odtwarzać mit, który od tak dawna mnie urzekał. Wchodząc do sekcji BOAC w budynku odlotów międzynarodowego portu lotniczego imienia Johna F. Kennedy'ego, wkroczyłem zarazem do posępnej krainy, przez którą wiodła droga Rolanda, a gdy ujrzałem tę schorzałą pustynię z betonu i szkła, rozpoznałem w niej wymarłe, jałowe ziemie, strzegące Mrocznej

Wieży. Wszystko to sprawiło, że się zawahałem. Wiedziałem, że musi być gdzieś znak wskazujący mi drogę do nieuchronnego punktu, w którym podjęta decyzja przypieczętuje całą moją przyszłość. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem miejsce odpraw, a nad nim napis głoszący: Londyn. W tej samej chwili wyobraziłem sobie samolot, który zabierze mnie do Anglii. Widziałem go tak wyraźnie, jak Roland widział swoją Mroczną Wieżę. I nagle pojąłem, że to był ten czas, to miejsce, że właśnie teraz miałem dokonać wyboru, czy dalej ścigać swe ambicje, czy też je porzucić; w tej właśnie chwili Roland, unosząc czarodziejski róg do warg, musiał stanąć twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem. Ktoś zawołał mnie po imieniu. Obejrzałem się i zobaczyłem, że ona tu jest, ubrana na biało w przeciwieństwie do czarnej zakapturzonej postaci z moich snów, otulona szczelnie futerką z norek, jak gdyby mogło ją ochronić przed chłodem śmierci. Zaczęła biec ku mnie poprzez tłum; wyciągnęła ręce i krzyknęła: - Scott! Nie jedź! I wtedy wysoko nad nami rozległ się obojętny głos: "Lot numer 510 do Londynu British Overseas Airways..." Znalazła się w moich ramionach. Przez moment liczyło się tylko to. Wiedziałem dokładnie, co muszę zrobić. - Och, Scott, proszę! Nie możesz tam jechać, nie wolno ci! Czy nie rozumiesz, co się dzieje? Nie jesteś w stanie tego pojąć? "Pasażerowie proszeni są o przejście do..." - Rzuciłabym wszystko, pojechałabym z tobą do Londynu, ale to na nic się nie zda, główny problem, który cię paraliżuje, nadal pozostanie nie rozwiązany, a dopóki ten problem istnieje, w twoim życiu nigdy nie będzie dość miejsca dla mnie... " Pasażerowie Air France oczekujący na przelot do Paryża, Rzymu i Bejrutu..." - Wybacz sobie samemu, wybacz mojemu ojcu, skończ z tym, ustąp, zostań i przeżyj, pomogę ci, przysięgam, zostań ze mną, a razem na pewno nam się uda, wiem, że tak, po prostu wiem... Ja też o tym wiedziałem. Zdrowa, logicznie myśląca część mego mózgu, ta część, która kochała Vicky, wiedziała o tym. Spojrzałem na trzymany w ręku paszport, spojrzałem na bilet, ująłem go w palce, żeby przedrzeć na dwoje, nagle jednak znów odezwała się przeszłość, spaliła mnie i palce nawet nie drgnęły. Podnosiłem do ust magiczny róg, ale nie dobyła się z niego fanfara na cześć życia i podczas gdy walczyłem o jedno, jedyne tchnienie, mogące mnie uwolnić, ujrzałem, jak los - nie ten, którego pragnąłem, lecz ten, którego nie mogłem uniknąć - wysuwa się naprzód, okrąża mnie i wciąga do Mrocznej Wieży. - Nie mogę zostać - szepnąłem. - Chciałbym, ale nie mogę. Nie mogę, nie mogę, nie mogę. Odsunęła się ode mnie. - Wobec tego nie potrafię już nic więcej dla ciebie zrobić. Nie potrafię ci pomóc. Nie potrafię do ciebie przemówić. I nie będę mogła już nigdy się z tobą spotkać. Milczeliśmy. Patrzyła na mnie tępo, zbyt przerażona, by szczerze okazać, co czuje, zbyt wyczerpana, by na próżno powtarzać racjonalne wywody. W końcu odwróciła się i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia. "Pasażerowie British Overseas Airways udający się lotem numer 510 do Londynu po raz ostatni proszeni są..." Szedłem przez wielką salę, szedłem ku najdalszym rubieżom pustyni ze szkła i betonu, szedłem z Rolandem i jako Roland aż do krańca mitu, który uczyniłem swoim własnym. Dotarłem do Mrocznej Wieży i wszedłem do środka. - Pierwsza klasa? Proszę tędy. Miejsce przy oknie... Czy mogę zabrać pański płaszcz? Usiadłem i czekałem. Po chwili znów ktoś się do mnie odezwał. - Czy zechce się pan czegoś napić przed startem? - spytała stojąca obok mnie ładna stewardesa. Spojrzałem na nią i zatęskniłem za śmiercią. Ból życia był już nie do zniesienia. - Tak - powiedziałem. - Napiję się. Proszę mi przynieść podwójne martini z lodem. Część szósta Vicky 1963-1967 Rozdział pierwszy 1 - Dzień dobry - odezwał się bezosobowy głos. - Tu prywatna linia pana Van Zale'a. Czym mogę pani służyć? - Mówi Foxworth. Daj go do telefonu. W słuchawce zapadła pełna zgorszenia cisza. Nawet frywolne damy z towarzystwa powinny wiedzieć, że do sekretarki samego wielkiego szefa należy się zwracać z szacunkiem. - Przykro mi, pani Foxworth, ale pan Van Zale jest w tej chwili na zebraniu... - To proszę go stamtąd wywołać. - Ale... - Wywołaj go! Sekretarka westchnęła ze zgrozą. Następnie przycisnęła jakiś guzik i na linii zapanowała cisza. Zapaliłam kolejnego papierosa i wygrzebałam z portmonetki następną dziesięciocentówkę, na wypadek gdyby automat

zażądał dopłaty, cisza jednak trwała nieprzerwanie do chwili, kiedy znów coś pstryknęło i rozległ się zdyszany głos mego ojca: - Vicky? Kochanie, co się stało? Skąd dzwonicz? Nadal jesteś w Ritzu w Bostonie? - Jestem na lotnisku Kennedy'ego. - Ale o co chodzi? Jakiś wypadek? Czy Scott... - Scott leci w tej chwili do Londynu - przerwałam - i chyba pora już zacząć zbierać szczątki naszego życia, które tak umiejętnie przewróciłeś do góry nogami. Bardzo cię proszę, żebyś tu zaraz przyjechał. Będę czekać w sali przylotów. - Ależ, kotku! Maleńka! Rozumiem, że jesteś bardzo zdenerwowana i oczywiście przyjadę najprędzej, jak tylko będę mógł, ale teraz mam bardzo ważne zebranie i... - Do diabła z twoim zebraniem! Mówimy przecież o moim życiu! Albo natychmiast tu przyjedziesz, albo wsiądę w pierwszy samolot do Londynu. 2 Trzy kwadransy później przed budynkiem zatrzymał się lśniący cadillac i wysiadł z niego mój ojciec w asyście dwóch sekretarzy i ochroniarza. Szofer eskortował go nieomal do samych drzwi. Czekałam; przerzucone przez ramię futro ciążyło mi jak balast. Po telefonie zdążyłam napić się kawy i wykonać nowy makijaż, który miał zamaskować ślady łez. Główny asystent rzucił się w moim kierunku. - Może przejdą państwo do poczekalni dla VIP-ów, pani Foxworth... - To zbyteczne. Usiądziemy w barze. - Jego astma... - Och, niechże pan przestanie pleść o tej astmie! Chodźmy, ojcze. Postawię ci brandy i od razu poczujesz się lepiej. Ojciec obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem, usiłując coś wyrzucić swoim najbardziej imponującym astmatycznym szeptem, lecz nie dopuściłam go do głosu. - Panowie będą łaskawi zaczekać w samochodzie - powiedziałam do sekretarzy, a do ochroniarza rzuciłam: - Pan może pójść z nami, ale usiądzie pan w drugim końcu sali. Trzej mężczyźni zmierz yli mnie takim wzrokiem, jakby nagle wyrosły mi rogi i ogon. Potem jak na komendę spojrzeli na ojca, który z bólem pokiwał głową. Twarz miał ziemisto-szarą, a jego oddech był nieprzyjemnie głośny. - Pozwól, ojcze - powiedziałam, ujmując go za ramię. - Tędy. Wolnym krokiem przemieściliśmy się do baru, gdzie usadziłam go w kącie i poszłam zamówić martini i podwójne brandy. Ochroniarz usunął się ze szklanką piwa do odległego stolika. Zostaliśmy sami. - Nie powinienem tego pić - wyszeptał ojciec, mimo to wypił. Pociągnął najpierw mały łyk, później większy, w końcu zaczął się wiercić, otrzepywać mankiety, chrząkać i bębnić palcami w stolik. Kiedy wreszcie zdecydował się na odpowiedni ton, rzekł miękko, nie patrząc na mnie: - Przykro mi, że wyjazd Scotta tak cię poruszył. Rzecz jasna nie pochwalam tego, że w ataku hysterii zmuszasz mnie do przerywania niezmiernie ważnego zebrania i ciągniesz na lotnisko, ale rozumiem, że w obliczu miłosnego zawodu kobiety często zachowują się nieodpowiedzialnie, więc tym razem będę tolerancyjny. Najważniejsze, żebyś się uspokoiła, zaczęła się zachowywać rozsądnie i ujrzała całą rzecz we właściwych proporcjach. Pewnie myślisz, że wysłałem Scotta do Anglii, żeby przerwać wasz romans. Otóż nie. Powodowały mną wyłącznie względy zawodowe. Już od dawna przestałem się mieszać do twoich prywatnych spraw. Uważam, że jesteś dorosła i masz prawo żyć tak, jak ci się podoba. Przerwał i spojrział mi prosto w oczy. Spojrzenie było szczere, mina typu "nie mam nic do ukrycia", z każdego zaś słowa wprost buchała dobra wola. Poczulałam, że robi mi się nie-dobrze. - Skończyłeś? - zapytałam. - Ależ, kotku... - Nie jestem żadnym kotkiem! - wrzasnęłam. - Z tego, co mówisz, wynika, że doprowadziłeś Scotta do punktu, w którym nie jest już w stanie zachowywać się racjonalnie, a teraz zamierzasz umyć od tego ręce niczym Poncjusz Piłat i rzec obłudnie: "To nie moja wina! Nie miałem z tym nic wspólnego!" - Nie rozumiem, o czym ty mówisz! - Nie rozumiesz, że wszyscy ponosimy konsekwencje tego, co zrobiłeś? - Ależ ja nie zrobiłem nic złego! Chciałem jak najlepiej dla ciebie i Scotta... - To dlaczego tak długo robiłeś mu sieczkę z mózgu, aż w końcu zniemawidził ojca, który go kochał? - Ależ... - Chyba nie zaprzeczysz? - Nic nie rozumiesz! Widzisz, to wcale nie było tak... - Tak właśnie było, ojcze. Może nie tak powinno być. Ale tak właśnie było. - Jestem usprawiedliwiony. Steve nie zasługiwał na Scotta. Sam wyrzekł się swoich praw. - Nie wierzę. To ty chciałeś w to wierzyć, zwłaszcza wtedy, ale... - Stevenowi wcale na nim nie zależało. Czemuż by zresztą miało mu zależeć?

Płodził dzieci wszędzie, gdzie tylko się pojawił - co za różnica: jeden syn więcej lub mniej? A Scottem przecież trzeba było się zająć. Pomyślałem, że tak będzie sprawiedliwie. Miałem uczucie, że sam Pan Bóg mi go zesłał... - Ty i twój Bóg! - wykrzyknęłam. - Tylko nie zaczynaj mi tu wygłaszać swoich poglądów na temat Boga i moralności! Postąpiłeś egoistycznie i podle i już czas, żeby ktoś ci to powiedział prosto w oczy! Nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłeś? Okaleczyłeś Scotta tak, że teraz nie jest w stanie żyć jak normalny człowiek! Zwichnąłeś go! - Czyste babskie nonsensy. Bardzo cię proszę, weź się w garść i przestań histeryzować. Scott zrobił przecież błyskotliwą karierę. - Karierę! To nazywasz karierą? - Naturalnie, że tak! - Za jaką cenę? - Posłuchaj, Vicky... - Zrujnowałeś go, ojciec. Taka jest prawda. Może nie potrafisz jej stawić czoła, ale nie staję się przez to mniej prawdziwa. Zniszczyłeś go. - Jak mogłem go zniszczyć? - wrzasnął ojciec. - Chciałem tylko... - Nie zaczynaj od nowa, że chciałeś tylko jego dobra. Jedyne dobro, jakie kiedykolwiek miałeś na względzie, to twoje własne. Powiedz mi tylko jedno: skoro wtedy tak bardzo zależało ci na tym, żeby mieć syna, dlaczego sam się o niego nie postarałeś? Dlaczego tyle lat żyłeś z tą zimną jędrą, z którą byłeś taki nieszczęśliwy? Ojciec skrzywił się. Choć nie próbował niczego wyjaśniać, jego żal stał się nieomal namacalna, stworzyła wokół niego aurę wstydu i rozpacz. Odchyliłam się do tyłu ze zgrozą. - Och, Vicky - powiedział. - Gdybyś wiedziała... gdybyś ty wiedziała... Ja jednak wiedziałam. Dostrzegłam nagle wszystko, każdy szczegół małżeńskiego pejzażu, który go otaczał. Znałam ten pejzaż tak dobrze! Sama też w nim żyłam. Cały mój gniew nagle przeminął, pozostała jedynie miłość. 3 - Nie rozumiałabyś - powiedział. - Czuję się taki winny, taki bezużyteczny, taki do niczego. W tym wspaniałym małżeństwie to ja byłem partnerem, który zawiódł. Musiałem patrzeć, jak wszystko się rozpada, wiedząc, że to moja wina. Ty nie wiesz, jak to jest. Nie rozumiałabyś. - Ja bym nie rozumiała? Tatusiu, czy masz pojęcie, jakiegokolwiek pojęcie, co się działo w moich obu małżeństwach? Patrzyliśmy na siebie. Patrzyliśmy długo. - A więc rozumiesz... - zająknął się ojciec - jak było naprawdę. - Im bardziej ciążyła ci porażka, tym bardziej pragnąłeś otoczyć się ludźmi, najlepiej dziećmi, które by cię nadal kochały i uważały za bohatera? - Właśnie. - I dlatego nie cofnąłeś się przed niczym, by odebrać Steve'owi Scotta. - Tak. - Wiedziałaś, że postępujesz źle, ale to było silniejsze od ciebie. - Tak. - Doszedłeś do wniosku, że jeśli tylko będziesz wymarzoną ojcem dla Scotta, wszystko skończy się dobrze i nikomu nie stanie się krzywda. - Zgadza się. Dokładnie. Tak właśnie powinno było się zdarzyć. Poruszyłem niebo i ziemię, by tak było. Nie wiem... naprawdę nie rozumiem, co się stało... Tak bardzo się starałem. Dokończyłam martini i podniosłam się. - Dokąd idziesz? - spłoszył się ojciec. - Zamówić jeszcze po jednym. Kiedy wróciłam, siedział bez ruchu - drobna, wąła postać skulona w czarnym płaszczu, już nie potwór, lecz uosobienie porażki, którą sam zawsze tak otwarcie gardził, żalony i godny politowania, rozżalony i zdezorientowany. Daleka byłam od tego, żeby go potępiać, aż nadto dobrze zdawałam sobie sprawę z własnych porażek. Nawet ze Scottem mi się nie udało. Nie zdołałam go zatrzymać, uleczyć, nawet pokochać dostatecznie mocno... Łzy zakłuły mnie w oczy, ale przypomniałam sobie słowa Sebastiana: "Złość się! Wściekaj!" i z pasją powiedziałam sobie: "Nie. To nie ja go zawiódłam. To on mnie zawiódł." Spojrzałam na ojca, zastanawiając się, jak dużo wie. - Na ile jesteś w stanie zrozumieć Scotta, tatusiu? - spytałam nagle. Miałam wrażenie, że twarz ojca starzeje się z sekundy na sekundę. - Aż za dobrze - odparł. - Jesteś pewien? - pociągnęłam łyk świeżego martini. - Nie pojmuję, dlaczego tak długo pozwalałeś mu sobą manipulować. - On wcale tego nie robił. - Ale... - Całkowicie się mylisz, Vicky, tak samo zresztą jak wszyscy. To nie on mną manipulował. To ja pociągałam za sznurki. Przez cały czas mydliłem oczy wszystkim, nie wyłączając Scotta. 4 Spojrzałam na niego wstrząśnięta. - O czym ty mówisz, na miłość boską? - Nadal nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? - Zdaje się, że mówimy o dwóch różnych rzeczach, może zresztą zaszło jakieś nieporozumienie... - Wątpię, ale rozpatrzmy sytuację z punktu widzenia Scotta, żeby się

upewnić, iż nic nam nie umknęło. Scott myślał, że jeśli pójdzie do banku, będzie harował jak niewolnik i doło- ży wszelkich starań, by stać się dla mnie nieodzowny, osiągnie pozornie nieosiągalny cel: zρέcznie mnie skłoni, bym w końcu z własnej woli przekazał mu bank. Wysznuł sobie taką eks- trawagancką teorię, której istnienie zresztą dawał mi do zrozumienia podczas licznych noc- nych posiedzeń przy szachach, a mianowicie, że skłonią mnie do tego wyrzuty sumienia. Owe- go pokazowego zadořuczynienia miałem rzekomo dokonać, przechodząc na emeryturę... czemu tak na mnie patrzysz? Niezgadzasz się z tym, co mówię? - A więc wiedziałeř - wyjąkałam słabo. - Wiedziałeř o wszystkim. - Oczywiście! Scott na swój mętny mistyczny sposób wyraźnie mi to wszystko przeka- zał. Zabawne, jakie bzdury potrafią wymyślić intelektualiřci, kiedy się do tego przyłożą. Mają słabość do wydumanych teorii, które istnieją tylko w wyobraźni, a Scott naturalnie uwielbia takie rzeczy - mity, alegorie, średniowieczne bańnie i tym podobne cuda... Nigdy nie zrozu- miem, co go w nich tak pociąga, ale skoro chciał sobie naciągać na oczy ten starořwiecki kap- turek, po cóż bym miał mu w tym przeszkadzać? Zrobiło mi się słabo. - Mów dalej - wyszeptalam. - Nie twierdżę, że w ogóle nie czuję się winny - ciągnął ojciec. To byłoby kłamstwo. Steve i ja prowadziliśmy ze sobą obrzydliwie nieczystą walkę i nie wygrałem jej dzięki rycers- kim gestom, zanim jednak ktokolwiek nazwie mnie łajdakiem, powinien wziąć pod uwagę dwie rzeczy. Po pierwsze, gdybym nie ja wykończył Steve'a, on z całą pewnością wykończyłby mnie. A po drugie, Paul jasno wyznaczył mnie na swojego następcę i w związku z tym miałem do banku o wiele większe prawo niż Steve Sullivan. Te dwa fakty zawsze jakoř wszystkim umykają. Nie pojmuję dlaczego, bo są bardzo ważne. Stanowią powód, dla którego nie żałuję swoich przeszłych uczynków, choć niektóre z nich ciążą mi na sumieniu. A już z pewnością nie poddałbym się wyrzutom sumienia do tego stopnia, żeby całkiem się załamać nerwowo i pochopnie oddać dorobek mego życia tylko po to, by je uspokoić... Nadażasz? Potrafisz już spojrzeć na to wszystko nie z punktu widzenia Scotta, lecz mojego? Kiwnęłam głową bez słowa. - To dobrze - rzekł ojciec - bo teraz przechodzimy do sedna sprawy. Brzmi ono następu- jąco: nigdy nie przekazałbym banku człowiekowi, do którego miałbym poważne zastrzeżenia, a cokolwiek by mówić, takich zastrzeżeń do Scotta nie miałem. Innymi słowy nie była mi wca- le potrzebna ta wymyřlna i mało realistyczna intelektualna motywacja, którą przez cały czas starał się mi wpoić. - Chcesz powiedzieć, że chciałeř... że zawsze chciałeř... - Tak - odparł ojciec. - Zawsze. Zawsze chciałem, żeby to on przejął bank. Patrzyłam na niego. W ustach mi zaschło. - Tatusiu, nigdy, przenigdy nie mořesz mu tego powiedzieć! Nie moře się domyřlić, że poświęcił życie na to, by spełnić najgorętsze pragnienie wroga swego ojca. Jeśli się dowie, że cel, jaki przed sobą postawił, był tylko gigantycznym złudzeniem, to go zniszczy. - Tak sądzisz? Wątpię. Scott jest twardy. Zawsze z podziwem patrzyłem, jak bardzo jest twardy... Teraz rozumiesz, prawda? Nie powodowały mną wyrzuty sumienia. Kwestia winy nie ma tu nic do rzeczy. Chciałem, żeby Scott przejął bank, bo... - ...bo był dla ciebie młodszym bratem, a równocześnie upragnionym synem, i myślałeř, że należy wyłącznie do ciebie. Z twojego punktu widzenia jego pokrewieństwo ze Steve'em było tylko biologicznym przypadkiem. - Zgadza się. Chciałem, żeby dostał ten bank, bo go kochałem. Dziwne, jak prosto to brzmi, kiedy wreszcie mówię to otwarcie. Nigdy dotąd się do tego nie przyznałem, nawet przed samym sobą. Bałem się, że kiedyř przed kimś się zdradżę. - Musiałeř ukrywać prawdę? - Tak, o ile w końcu chciałem dopiąć swego! Nie mogłem jej ujawnić! Chyba rozumiesz, w jak niezręcznej sytuacji się znajdowałem? Przede wszystkim musiałem myśleć o Alicji, która naturalnie pragnęła, bym swoim spadkobiercą uczynił Sebastiana. Jak miałem jej powiedzieć, że zamierzam go pominąć i w ogóle mało mnie obchodzą obaj jej synowie? Zresztą kwestia Alicji była tu sprawą poboczną. Od początku wiedziałem, że głównym problemem będzie sam Scott. - Podejrzewam - wtrąciłam z namysłem - że bałeř się go stracić. Gdyby się dowiedział, że jego ambicje prowadzą do spełnienia twoich pragnień, odszedłby w sińą dal. - Nie, wypuszczasz się za daleko. Przeoczyłař kluczowy fakt, że przez wiele lat w

ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że Scott jest do mnie wrogo nastawiony. Przed wojną staliśmy się bardzo sobie bliscy, a kiedy po wojnie wrócił do domu, nie miałem powodu przypuszczać, że jego stosunek do mnie uległ zmianie. Nie; problem, tak jak ja go postrzegałem, nie polegał na tym, że zniknie w sieni dala, jeśli dowie się prawdy; wydawało mi się po prostu, że gdy się zorientuje, iż bez większego wysiłku może dostać bank, przestanie się nim interesować i obierze jakiś inny zawód, by sobie udowodnić, że jest lepszy, zdolniejszy i inteligentniejszy od ojca. - Chyba rozumiem. Twierdzisz, że Scottowi potrzebna była walka. Sam się umartwiał, stawiając przed sobą zadania niemal ponad siły. - No cóż, nie jestem ekspertem w zakresie psychologii i nie poddawałem go aż tak głębokiej analizie, ale instynkt podpowiadał mi, że Scott chciał, a może nawet musiał wierzyć, iż toczymy jakąś wielką mitologiczną potyczkę. Jeśli miałem osiągnąć swój cel, musiałem się włączyć do gry. Musiałem pozwolić mu skakać przez wyimaginowane przeszkody, które sam przed sobą stawiał. Zresztą, czemu by nie? W owym czasie nie widziałem w tym nic złowieszczego. Całkowicie potwierdzało to moją teorię, że Scott żywi mieszane uczucia w stosunku do swego ojca i w taki właśnie sposób próbuje dojść z sobą do ładu. Jeszcze raz powtarzam, że nigdy, nawet w najmniejszym stopniu nie dał mi odczuć wrogości. Nigdy. Oszukiwał mnie równie zręcznie jak ja jego. - A kiedy go przejrzałeś? - W pięćdziesiątym piątym. Do tego czasu wszystko układało się znakomicie, choć patrząc wstecz, sam jestem zdumiony, że udało mi się stworzyć aż tak przekonujące wrażenie, iż wykluczam Scotta z grona moich ewentualnych sukcesorów. O tym, jak sprawy mają się naprawdę, świadczyły aż dwie rzeczy. Pierwsza to fakt, że zatrudniłem go w firmie. Niektórzy, jak Emily, sądzili, że skłoniło mnie do tego chrześcijańskie miłosierdzie, ale to czysty nonsens. Nigdy bym mu nie dał pracy, gdybym nie wierzył, że się do niej nadaje. Drugi klucz to fakt, że go nie zwolniłem. Sam Keller twierdził, że stwarza zagrożenie. Mnóstwo ludzi chciało się go pozbyć w ciągu tego czasu, ale ja go chroniłem i pomagałem mu na każdym etapie tej gry, oczywiście dopóki w końcu nie odkryłem, że sam kopię sobie grób. Ojciec umilkł. Oddychał już swobodniej, a jego twarz, choć nadal blada i ściągnięta, straciła siny odcień. Łyknął jeszcze trochę brandy. Dookoła słychać było szum lotniska, odgłosy licznych kroków, szmer rozmów i pogłos podawanych przez megafon informacji. - Co się stało w pięćdziesiątym piątym? - spytałam. - Odkryłem, że Tony Sullivan zostawił pośmiertny list. - Ojciec zamyślił się na chwilę i dodał ostrożnie: - Reprezentujący pogląd Steve'a na przeszłe zdarzenia. Oczywiście ja przekazałem Scottowi mój. - Ale dlaczego Scott odrzucił twój pogląd i uwierzył Tony'emu? - Jego list był bardzo sugestywny. - Ojciec przerwał, jak gdyby rozważał to stwierdzenie. - Bardzo przekonujący - dodał. - Naturalnie był również nieścisły i stronniczy, ale... - Naprawdę? Przecież Tony był zawsze taki uczciwy! Myślałam, że to ostatnia osoba zdolna do wymyślenia steku kłamstw! - To prawda, i właśnie dlatego ten list wywarł taki wpływ na Scotta. Są jednak różne sposoby postrzegania prawdy i choć przyznaję, że ostro starłem się ze Steve'em, w głębi serca tego nie żałuję, bo zawsze uważałem, że moje działania były usprawiedliwione. - Scott uważa, że zabiłeś Steve'a. Ojciec zbladł. - Tak ci powiedział? Ale... - Nie martw się, nie wzięłam tego dosłownie. Scott ma obsesję na punkcie ojca i nie jest w stanie rozpatrywać tego racjonalnie. Widzi przeszłość w spaczonych proporcjach. Westchnęłam i uczyniłam wysiłek, by ponownie zwrócić rozmowę ku teraźniejszości. Śmierć Steve'a była zapewne tragedią, nie widziałam jednak powodu, dla którego właśnie ja miałabym się nurzać we wszystkich jej ponurych szczegółach. Interesował mnie Scott, nie jego ojciec. - Kiedy Scott przeczytał ten list? - zapytałam szorstko. - W czterdziestym czwartym, po śmierci Tony'ego. Na nieszczęście ja aż do pięćdziesiątego piątego w ogóle nie wiedziałam, że ten list istnieje. Kiedy go w końcu przeczytałam, zrozumiałem natychmiast, że Scott jest moim wrogiem. Wiedziałem, że muszę go zwolnić. - Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Co się stało? - Widzisz, Vicky - ojciec nagle wydał mi się stary i zmęczony - wcale nie jestem tak twardy, jak sam chciałbym wierzyć. W rzeczywistości czasami jestem

tak miękki, że nie potrafię spojrzeć prawdzie w oczy. Nie tylko Scott odczuwał psychologiczną potrzebę postępowania według pewnego schematu. - Innymi słowy, nie byłeś w stanie się na to zdobyć? - Och, naturalnie, że byłem w stanie! Zawsze wyrzucam współników, gdy tylko przestają im ufać na sto procent. To odruch, poza tym tak jest o wiele szybciej i łatwiej, niż gdybym ich nadal trzymał i trząś się nad nimi do czasu, aż znowu spróbują wbić mi nóż w plecy. Nie; mogłem go wylać, ale sam siebie przekonałem, że to nie jest konieczne. Myślałem, że dam sobie z nim radę. Prawdopodobnie była to najbardziej chybiona decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem. - Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego... - Przechodziłem bardzo ciężki okres w życiu osobistym i po prostu nie mogłem znieść myśli, że nie będzie go obok mnie. Poza tym ciągle myślałem, że jednak mnie lubi. Widzisz, ja chciałem w to wierzyć. To był mój mit. Złudzenie niezbędne dlatego, że chroniło mnie przed rzeczywistością, której nie byłem zdolny stawić czoła. - Ale przecież wiedziałeś, że Scott jest twoim wrogiem! - Zdawałem sobie sprawę, że bank potrzebny mu jest nie tylko jako sposób dojścia do ładu ze sobą, ale także po to, by wziąć odwet za ojca. Chociaż wiedziałem, że chce wymierzyć mi sprawiedliwość, myślałem: w porządku, chce sprawiedliwości, niech ma. Uważałem, że wciąż jeszcze zdołam znaleźć rozwiązanie, na którym nikt nie ucierpi. Wymyśliłem, że Scott przejmie bank na okres od mojego przejścia na emeryturę do czasu, gdy chłopcy będą już na tyle dorośli, by zadbać o firmę... Wciąż nie widziałem w nim wroga. Może antagonistę... zdecydowanego, trudnego przeciwnika... ale nie wroga. Do samego końca wierzyłem, że mimo wszystko na swój sposób mnie lubi. - A potem wszystko runęło? - Tak - powiedział ojciec. - Potem wszystko runęło. - To było tydzień temu, prawda? Kiedy wrócił do banku z wakacji na Karaibach? - Tak. Podarł mój mit i rzucił mi go w twarz. To było tak, jak gdyby Scott, ten Scott, którego znałem, umarł, a jego miejsce zajął ktoś groźny i brutalny. Najbardziej wstrząsnęła mną ta agresja. Panował nad nią, rzecz jasna, ale była ewidentna, równie ewidentna jak jego nienawiść. Nie potrafię ci opisać, co wtedy czułem. Nie wiedziałem, jak dotrzeć do końca tej rozmowy. Nie wiedziałem, czy ją przeżyję. - Ale przeżyłeś, prawda? Wziąłeś się w garść, zapędziłeś Scotta w kozi róg i czym prędzej wyprawieś go do Europy! - A co miałem zrobić? Nie mogłem go wyrzucić, bo posłużyłby się Reischmanem przeciwko mnie. Nie mogłem go też zatrzymać w Nowym Jorku - nie miałbym ani chwili spokoju. Jedynym wyjściem było odizolowanie go na jakiś czas, wystarczający, by zorganizować linię obrony. - Tatusiu... - Co? - Tatusiu, chyba nie wylejesz go natychmiast, jak tylko będziesz mógł sobie pozwolić na to ryzyko? Mam na myśli to, że mimo wszystko nie mógłbyś chyba... - Nie mogę go wylać do 1968 roku. Ma to na piśmie. - Ale nawet potem... Tatusiu, jeśli choć trochę ci na nim zależy... - Oczywiście, że tak. Cokolwiek się zdarzy, na zawsze pozostanie moim chłopcem. Po wiedziałem mu to przed wyjazdem. - Ojciec spojrzał na mnie czujnie. - Coś mi się zdaje, że w ogóle nie rozumiesz, czym grozi mi nienawiść Scotta. - Oczywiście, że rozumiem! Jest do ciebie wrogo nastawiony, ale zasadniczo nie chodzi mu o ciebie. Chce przede wszystkim przejąć bank, żeby, jak to określił, "wskrzesić swojego ojca", i o ile tylko dasz mu to, czego chce, nie posunie się dalej, przynajmniej ja w to wątpię. Przeciwnie, sądzę, że wreszcie zdoła ci wszystko wybaczyć i wyciągnie rękę do zgody. Ojciec milczał przez chwilę, po czym rzekł: - Wybacz Vicky, ale to, co mówisz, to typowy babski romantyzm. - Nieprawda! Jak możesz tak mówić! Co za obraźliwe stwierdzenie! - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może zechcieć mnie wykończyć, zmienić nazwę firmy na bank Sullivana i dołożyć wszelkich starań, by moi wnukowie nigdy nie przestąpili progu budynku na rogu Willow i Wall? - Cóż to za bzdurny pomysł! Typowo męska mrzonka, ociekająca agresją i żądzą władzy! - Dobrze, dobrze - wtrącił pośpiesznie ojciec. - Nie kłóćmy się o to. Tak świetnie nam szło... Nic się nie martw, kochanie. Wiem, że lubisz Scotta i wszystko to bardzo cię zdenerwowało, ale proszę, uspokój się. Na pewno coś wymyślę, zobaczysz. Obaj potrzebujemy teraz nieco czasu, żeby ochłonać. Potem wypracujemy sobie nowy "modus vivendi" i wszystko się ułoży... jeśli Scott

będzie rozsądny. Obawiam się tylko, że będzie się starał posłużyć tobą, że- by mnie przechytryć. - To do ciebie podobne, prawda? Znowu snujesz fantazje! - Przyznaję, że dotąd tego nie próbował, i mogę cię zapewnić, że jest mi przez to o wiele lżej na sercu. Naturalnie gdy posłyszałem, że zaczął cię uwodzić, nie mogłem się oprzeć myśl- li... - Ojciec - przerwałam - wyjaśnijmy sobie jedno: kiedy Scott pierwszy raz ze mną spał, w ogóle nie wiedział, kim jestem. Ojciec wytrzeszczył oczy: - Co, u licha, chcesz przez to powiedzieć? - Dokładnie to, co powiedziałam. O Boże, czy dotąd do ciebie nie dotarło, że nie jestem królewną z bajki, jaką sobie wymarzyłeś? - syknęłam, doprowadzona do furii, i wtedy po raz pierwszy w życiu odbyliśmy szczerą rozmowę o mojej tragicznie nieudanej przeszłości. 5 - Biedny Sam - powiedziałam. Byłam spokojniejsza, nawet mój głos przybrał obojętną barwę. - Nasz związek stał się dla niego takim samym przekleństwem jak dla mnie. Już był nieszczęśliwy, a ja tylko unieszczęśliwiłam go bardziej. Zmarnował sobie życie, tęskniąc za tym wszystkim, czego w końcu i tak nie osiągnął. Podejrzewam, że z Teresą też nie byłby szczęśliwy. Tatusiu, no i co w końcu stało się z Teresą? Często chciałam cię o to zapytać, ale nigdy nie miałam odwagi. Poznałam ją na jakiejś wystawie i nawet polubiłam. Ojciec zrobił zdumioną minę, lecz odpowiedział tylko: - Związała się z jakimś bogatym Meksykaninem i wyjechała do Acapulco. Maluje teraz obrazy w stylu Diega Riviery. Są straszne. Na pewno ich nie wystawię. Spojrzał ponuro na tonącą w strugach deszczu autostradę. Ten etap dyskusji odbywał się już w jego nowym pomarańczowym cadillacu. Ochroniarz siedział z przodu obok szofera, asystenci jechali za nami taksówką. Ojciec trzymał mnie za rękę. Nie przeszkadzało mi to, zresztą byłam już na lekkim rauszu; od rana nie jadłam nic prócz oliwek z martini. - Powiedziałem ci o wiele więcej, niż powinnaś wiedzieć - rzekł ojciec. - Im dłużej o tym mówię, tym wyraźniej widzę, jak niewybaczalnie postąpiłem, aranżując twoje pierwsze małżeństwo. Powinienem być trzymać język za zębami. - Mylisz się, i to bardzo. Nie sądzisz, że po czternastu latach mam prawo wiedzieć, dla- czego Sam postanowił się ze mną ożenić? - Tak, ale na pewno jesteś teraz wściekła! - Przeciwnie. Czuję przede wszystkim ogromną ulgę. Nareszcie udało mi się to wszystko zrozumieć. Nie muszę się już złościć. - Chyba nie nadażam. Chcesz powiedzieć... - Chcę powiedzieć, że teraz, kiedy wiem, że nasze małżeństwo od początku skazane było na porażkę, o wiele łatwiej jest mi się z tym pogodzić. Nie muszę nadal grzebać się we wspomnieniach i myśleć; "A może, gdybym zrobiła to" lub "Gdybym zrobiła tamto". Mogę so- bie po prostu powiedzieć: "I tak by się nie udało, obojętnie, co bym zrobiła", i na tym sprawę zakończyć. - Bez wyrzutów sumienia. - Właśnie. Jest mi smutno, to prawda. Ale nie czuję się winna. Teraz będę mogła wspo- minać Sama i myśleć o tych chwilach, które były dobre. Przez lata usiłowałam w ogóle o nim nie myśleć, bo bałam się swoich wspomnień. Samochód w ciszy przedzierał się przez ścianę deszczu. W końcu ojciec powiedział: - Wiesz, Vicky, bardzo żałuję, że nie możemy teraz omówić twojego związku ze Scot- tem tak samo rzeczowo i beznamiętnie, jak to zrobiliśmy z Samem. Powiedz mi, co właściwie miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś... - Nie sądzę, abyś naprawdę chciał o tym usłyszeć, tatusiu - bąknęłam, gwałtownie cofa- jąc rękę. - Na pewno nie. Co prawda omówiliśmy niedawno fakt, że wybitnie nie udało mi się skopiować ciotki Emily, ale... - Jakże się cieszę - wtrącił ojciec - że nie jesteś kopią Emily! - Wydawało mi się, że zawsze tego pragnęłaś! - Tak, ale to był błąd, podobnie jak to, że od czasu do czasu żałowałam, że nie jesteś chłopcem. Pomyśl, co by było, gdybyś nim była! Rozstawiałabyś mnie teraz po kątach, starała się mnie wypchnąć na wczesną emeryturę i na każdym kroku przysparzała mi siwych włosów, a ja stałbym już pewnie jedną nogą w grobie! Chryste, słabo mi się robi na samą myśl o tym! Muszę przyznać, że mi się udało. Miałem wprost niewiarygodne szczęście! Samochód zbliżał się do śródmiejskiego tunelu. - Czy mam rozumieć - spytałam ostrożnie - że ten hymn dziękczynny oznacza, iż podo- bam ci się taka, jaka jestem? - Owszem. Pytanie tylko, czy ty możesz powiedzieć to samo o mnie. Bóg jeden wie, co sobie o mnie myślisz po tej szczerzej rozmowie. Wątpię, bym mógł oczekiwać, że

twoje uczucia w stosunku do mnie w ogóle się nie zmieniły. - Chyba masz rację, ale cóż w tym złego? Wcale nie żałuję naszych dawnych układów, skoro opierały się głównie na iluzjach i pustych słowach. - Ale przynajmniej przedtem mnie kochałaś! - westchnął ojciec, z uporem uderzając w rzewny ton. Gdyby jego rozpacz nie była tak wyraźnie szczera, pewnie uległabym pokusie, by zwarzyć ten sentymentalizm paroma cierpkimi uwagami, zamiast tego jednak wyjaśniłam cierpliwie: - Kochałam człowieka, za którego cię uważałam, tak samo jak ty kochałeś dziewczynę, którą chciałeś we mnie widzieć. Oboje kochaliśmy nie istniejące postacie, więc o co ten krzyk? Wolę szczere stosunki z prawdziwą osobą niż wymaginowane więzi z tworem mojej wyobraźni. - Ale czy potrafisz zaakceptować mnie prawdziwego? - w jakiś niezrozumiały sposób ojcu udało się wzbudzić we mnie równocześnie wzruszenie i irytację. Widziałam w nim starca o dziecinnej duszy, znużonego światem, lecz zarazem rozbijającego naiwnego. - Tatusiu - powiedziałam - skoro ty masz odwagę zaakceptować mnie taką, jaką jestem, dlaczego ja nie miałabym mieć na tyle odwagi? Samochód pograżył się w tunelu i wszystkie dźwięki przybrały nagle inną barwę. Spogladaliśmy na siebie nieufnie w sztucznym świetle. - I co teraz czujesz, Vicky? - Nie wiem. Dzisiaj rano, kiedy odkryłam, jakim wrakiem jest Scott, wydawało mi się, że cię nienawidzę. - Tak. - Ale prawdę mówiąc, teraz mam wrażenie, że to wszystko jest zbyt skomplikowane, by wystarczyła tylko prosta nienawiść. Ta szczera rozmowa powinna była mi pomóc, choć chyba tylko pogubiłam się jeszcze bardziej. I co teraz? - No cóż - rzekł nieśmiało ojciec niczym milczkowaty student filozofii, występujący z nową rewolucyjną teorią - może uda się nam zostać przyjaciółmi. - Teoretycznie to jest niemożliwe. Pytanie, dlaczego mam straszne przeczucie, że może mieć rację? - Bo nic nie jest niemożliwe, jeżeli tylko bardzo się tego chce - powiedział mój ojciec. Samochód wyprysnął z tunelu na mokre lśniące ulice Manhattanu. - Nie wiem, czy uda mi się z tobą zaprzyjaźnić - odparłam, biorąc go znów za rękę. - Nie wiem, czy rodzice i dzieci mogą być przyjaciółmi w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Zawsze jest między nimi za wiele miłości i nienawiści. Może większe szanse ma zwykła koegzystencja. - Cudownie pragmatyczne! - rzekł ojciec z zachwytem. - Moim zdaniem nasza koegzystencja będzie miała wielkie szanse powodzenia. 6 Oświadczył, że nie wraca już dzisiaj na Wall Street. - Nie chcę cię odrywać od pracy - powiedziałam. - Do licha z pracą. Ty jesteś ważniejsza. - Nic mi nie jest. - Nieprawda. Znów zaczynasz płakać. Usiedliśmy razem w bibliotece ojca - pięknym przestronnym pokoju pełnym szkła i mebli godnych ery kosmicznej, dzięki którym przypominał plan filmu science-fiction. Poniżej Central Park tonął w rzadkiej mgłę. Wciąż padał deszcz. Ojciec zmieszał mi martini, które sądząc po smaku, składało się z czterech części wermutu i jednej dzinu, i podał mi je w kieliszku do likieru, byłam jednakże tak wyczerpana, że nie miałam nawet siły się uskarżać. Przyjęłam je z wdzięcznością. Ojciec usiadł przy mnie na sofie. - Nadal chciałbym, żebyś mnie przekonała, że to nie Scott zaaranżował wasz romans - powiedział. - Wiem, że to nie moja sprawa. Ale naprawdę się o ciebie martwię i chciałbym się uspokoić. Zapewniam cię, że jestem odporny na wszelkie wstrząsy. - Byłbyś wstrząśnięty. Ja sama byłam wstrząśnięta, kiedy to zrobiłam. I właśnie dlatego nie chcę ci o tym mówić. Nie boję się, że urażę twoje wyrafinowane poczucie tactu, bo wiem, że takowego nie posiadasz. Boję się, że znów będzie mi wstyd, chociaż tak naprawdę wcale się tego nie wstydzę. Cieszę się, że wszystko odbyło się właśnie w taki sposób i że to ja wzięłam inicjatywę we własne ręce. - Vicky, te aluzje i niedomówienia zaraz doprowadzą mnie do szału! Albo powiedz mi wszystko, albo nie mów nic, na litość boską! - No dobra. Jestem tak wykończona, że właściwie mi już nie zależy. Powiem ci, tylko jeśli nie będziesz zachwycony, pamiętaj, że sam tego chciałeś! Rozpoczęłam opowieść o swoim karaibskim rejsie, regularnie przerywaną przez ojca wykrzyknikami w rodzaju: "Boże!", "O Jezule!" i "To niemożliwe!" - I jak? - spytałam ze znużeniem, kiedy podniosłam wzrok i zobaczyłam wyraz jego twarzy. - Dojrzałeś już do tego, żeby mnie wydziedziczyć? - Czyżbym miał przerażoną minę? - odparował. - Myślałem tylko o wszystkich wacacjach,

które zmarnowałem na własnym jachcie. Powinienem być je spędzać na statku wycieczkowym, uwodzony przez piękne kobiety! Roześmiałam się, potem zaczęłam płakać i znów się roześmiałam. - Tatusiu, to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałam! - No, no, kochanie... - Tylko nic nie mów! Wcale mi się tam nie podobało. W rzeczywistości to nie było za- bawne. Panowała tam tak niesmaczna atmosfera; wszyscy wokół kopulowali ze sobą jak zwie- rzęta! - Niesmaczne - potwierdził ojciec. Zerknęłam na niego, lecz minę miał nieprzeniknioną. - Naprawdę! - dodałam z naciskiem. - Czy ja coś mówię? - Hipokryta! Ojciec uspokajająco poklepał mnie po ręce. - No dobrze, przekonałaś mnie, że inicjatorem waszego romansu nie był Scott. Ale jak szybko spróbował wyciągnąć z niego korzyść dla siebie? - W ogóle nie próbował. Na początku uznał, że to jedna wielka katastrofa, a potem... potem nasz związek stał się przeszkodą dla jego ambicji i Scott po prostu usunął mnie ze swojego życia. - Jeśli tak było, to dlaczego chciał nadal się z tobą widywać po powrocie z rejsu? - Zdał sobie sprawę, że dla niego jestem jedyną kobietą na milion, podobnie jak on jest dla mnie tym wybranym z miliona. - Vicky, szkoda, że się nie słyszysz! Błagam, oszczędź mi tych banałów rodem z ulubio- nych seriali Alicji! - Nic na to nie poradzę. Po prostu stwierdzam fakt. Zadałaś mi pytanie, a ja odpowie- działam ci na nie zgodnie z prawdą. Jeśli dla ciebie brzmi to nazbyt sentymentalnie, to już twój problem, nie mój. - Po prostu zdaje mi się... - W gruncie rzeczy cała ta sprawa ma bardzo niewiele wspólnego z sentymentami, a o wiele więcej z tak zwaną prozą życia. - Masz na myśli seks? Rozumiem, że Scott zasunął ci jakiś rzewny kawałek na temat swoich problemów, po czym oświadczył, że tylko ty możesz je rozwiązać? - Ja je rozwiązałam. - Niech mnie... To znaczy, że przedtem był impotentem? - Oj, tatusiu, niczego nie rozumiesz? - Może jakiś niedorozwój genitaliów...? - Oczywiście, że nie! Dorównuje Sebastianowi, co mnie szczerze zaskoczyło, bo zawsze myślałam... - Czekaj, czekaj - zmitygował mnie ojciec. - To chyba nie jest materiał do dyskusji mię- dzy tatusiem a córeczką. Czy nie odeszliśmy nieco od tematu? - Chciałam ci tylko wyjaśnić... - W porządku, już wyjaśniłaś! Teraz powtórz dokładnie, co Scott mówił ci o mnie. Streściłam ojcu w zarysie długą spowiedź Scotta po starciu z Kevinem w Four Seasons. - I dlatego wiem na sto procent, że nie jest wobec ciebie tak wrogi, jak ci się wydaje - skonkludowałam stanowczo. - Nigdy nawet nie wspomniał, że mógłby zdjąć z szyldu nazwis- ko Van Zale'a i uniemożliwić Ericowi objęcie w przyszłości prezesury. - Vicky, ta uwaga brzmi bardzo naiwnie w ustach tak inteligentnej kobiety. - A twoja z kolei brzmi bardzo cynicznie, nawet w ustach człowieka, który chełpi się swoim cynizmem! Obudź się, tatusiu, i zacznij myśleć logicznie! Zejdź z tych twoich zblazo- wanych obłoków! Jak mam cię przekonać, że Scott nigdy by mnie nie zranił, krzywdząc moją rodzinę? Gdybyśmy się pobrali... - Pobrali! Kto mówił o małżeństwie? - Ja. Chcę za niego wyjść. Jeżeli o mnie chodzi, liczy się tylko on i nikt inny. - Chyba nie mówisz poważnie - ojciec nagle zbladł. - Żartujesz, mam nadzieję? Zrozu- miałem, że to był tylko przelotny romans! - Przelotny romans? Pewnie miałaś prawo tak sobie pomyśleć, kiedy wysłuchałaś mojej relacji o dziwnym początku tej znajomości, ale przecież mówiłam, że mnie taki ktoś jak Scott trafia się raz na milion! - Tak, ale chodziło tylko o seks. Vicky, na miłość boską, co w ciebie wstąpiło? Nie wie- rzę, że go kochasz! To niemożliwe! - Tatusiu, jestem w nim straszliwie, beznadziejnie i do szaleństwa zakochana! Myślisz, że w przeciwnym wypadku chciałabym za niego wyjść? - Ale... - ojciec zaniemówił na chwilę, po czym wyjąkał: - Ale Scott nie chce się żenić! W życiu go do tego nie zmusisz! - Coś takiego? Czy to nie ty przed chwilą mi mówiłaś, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko wystarczająco mocno się tego chce? - Łzy znów zaczęły mi płynąć po policzkach; nie próbowałam już ich powstrzymywać. - Tatusiu, to silniejsze ode mnie. Szaleję na jego punkcie. Zdaję sobie sprawę, że to bez sensu, ale nie mogę się z tym pogodzić; wiem, że Scott jest rui- ną człowieka, a mimo to wciąż mi się wydaje, że zdołam go jakoś uleczyć, naprawić wszystkie szkody. Boże, gdybym sądziła, że to cokolwiek da, pojechałabym za nim, zamieszkała w Lon- dynie, zostawiłabym nawet dzieci... - Ja chyba śnię - rzekł ojciec. - To nie może być

jawa. To koszmar. Zaraz się obudzę, a może ty się obudzisz i upewnisz mnie, że do reszty nie postradałaś rozumu. Naprawdę powiedziałaś, że zostawiłabyś dzieci? - Tak, ale jeżeli Scott ujrzy szansę, że będę z nim żyła bez dzieci, nigdy mnie nie poślubi. Dlatego się uparłam, kiedy mnie namawiał, żebym pojechała z nim do Londynu. Myślałam, że ustąpi, jeśli będę obstawać przy swoim, ale... Byłam pewna, że tego nie zrobi... pewna, że jednak jestem dla niego ważniejsza... ale nie wybrał mnie... nie mógł... to jakiś obłąd... to jest silniejszy od niego... to nie jego wina... - reszta słów utonęła we łzach. Ojciec podał mi chusteczkę i poklepał po ramieniu, a potem siedział przy mnie nieruchomo jak posąg, dopóki nie zdołałam się opanować. - Przepraszam - szepnęłam. - Muszę się wziąć w garść. - Słusznie - odparł. Uderzyła mnie brutalna nuta w jego głosie. - Musisz. Spójrz prawdzie w oczy. Ten facet cię porzucił. Postawiłaś na złego konia. On nigdy się z nikim nie ożeni. Po prostu było mu z tobą dobrze w łóżku, to wszystko. - Nie! - krzyknęłam. - To nieprawda, to wcale nie tak! - Owszem, Vicky, to właśnie tak, chociaż nie wiem, jak mógłbym ci to udowodnić. Wiedzę jeden sposób: jedź do Londynu i żyj z nim, aż ci się sprzykry. Ja zajmę się dziećmi. Zresztą i tak wkrótce wrócisz, bo ten romans wypali się w ciągu pół roku. Dzieci nie będą o niczym wiedzieć, wymyślimy na ich użytek jakąś historyjkę, a jak już będzie po wszystkim, swobodnie wrócisz do kraju i znów zaczniesz prowadzić normalne życie. Zapadła długa cisza. W końcu otarłam oczy, dokończyłam martini i oświadczyłam: - Nie. To rzeczywiście doskonały pomysł na wykończenie niewygodnego romansu, ale to nie jest niewygodny romans. Chcę za niego wyjść i mam zamiar dobrze to rozegrać. Nie pojedę za nim do Londynu i nie padnę mu mdlejąc w ramiona, gdy tylko pojawi się tu w interesach. Musi sobie w końcu uświadomić, że nie robi ze mnie kochanki na samolot, a poza tym... - gwałtownie odstawiłam pustą szklankę - poza tym ja naprawdę nie mogę zostawić dzieci. Nie zniosłabym tego. Za bardzo bym sobą gardziła. Ojciec milczał. Upłynęła dość długa chwila. - Kocham go, tatusiu. Naprawdę go... - Daj sobie z nim spokój, Vicky. Na litość boską, spróbuj o nim zapomnieć. Mój Boże, chyba już bym wolał, żebyś powtórnie wyszła za Sebastiana! Podejrzewam, że i tak nie ma takiej możliwości, ale... - Nie. Nie mogłabym już pójść do łóżka z żadnym mężczyzną prócz Scotta. To jego chcę mieć. I będę go miała. Przykro mi, tatusiu. Może nie tak być powinno. Ale tak właśnie jest. Rozdział drugi 1 "Droga Vicky! Mam nadzieję, iż nie masz mi za złe, że piszę. Jeśli tak, daj mi znać, a zaraz przestanę. Jak się miewasz? Być może niezbyt dobrze, skoro Ty jesteś tam, a on tutaj. On nic mnie nie obchodzi, ale przykro mi, jeśli Ty nie jesteś szczęśliwa. Postanowiłem nie osiedlać się w Londynie, ponieważ wszyscy moi znajomi w tym mieście powiązani są z bankowością, a chcę raz na zawsze zerwać z tym środowiskiem. Zamieszkałem w Cambridge. Kilka lat temu byłem tu z wycieczką i w King's College Chapel wpadłem na Elfrydę Sullivan, która gruntownie oprowadziła mnie po mieście. Studiowała w Cambridge i doskonale je zna. To precudowne miejsce. Bardzo mi się podoba. Tak wiele je różni od naszej plastikowej kultury. Dzięki Bogu, dziadek zostawił mi trochę pieniędzy i nie muszę marnować czasu zajmując się bzdurami (na przykład bankowością), żeby zarobić na życie. Mam zamiar napisać książkę. Właściwie nie chcę jej pisać, ale prace badawcze sprawią mi dużą przyjemność. Może nawet nie będę musiał niczego pisać - po prostu całkowicie poświęcę się badaniom. Elfryda Sullivan twierdzi, że świat rozpaczliwie łaknie porządnej historii gospodarczej Brytanii z czasów rzymskich i że mógłbym się tym zająć. W zasadzie polubiłem Elfrydę Sullivan. Jest bardzo inteligentna, chociaż robi na mnie wrażenie lesbijki. Oddany S. Foxworth". 2 - Vicky, kochanie - powiedziała moja kuzynka Lori - wyglądasz strasznie. Czy coś się stało? Spojrzałam na nią i przyszedł mi na myśl Scott. Nie łączyło ich żadne wyraźne fizyczne podobieństwo, choć teraz dostrzegałam jasno, że byli dziećmi tego samego ojca. Lori nie miała w sobie nic z ciotki Emily. Była lotna, seksowna i pod powłoką wspaniałej kalifornijskiej opalenizny twarda jak skała. Bez większego wysiłku potrafiła ukierunkowywać swoją energię na osiągnięcie sukcesu. Miała mądre, ładne, schludne i grzeczne dzieci. Jej

mąż, obecnie walczący w Wietnamie, był kochającym, szczęśliwym, skończonym pantoflarzem; nieodzowna działalność dobroczynna i członkostwo w odpowiednich organizacjach kobiecych przychodziły jej z niezrównaną łatwością i wdziękiem. Jej stosunek do mnie wahał się pomiędzy krytycznym a mentorskim. Nie cierpiałam jej. - Wszystko w porządku, Lori - odparłam. - W jak najlepszym porządku. - Nie powinnaś pić tyle martini, Vicky - wtrąciła się starsza siostra Lori, Rose, która z wiekiem coraz bardziej upodabniała się do ciotki Emily. Rose była doskonałą nauczycielką w doskonałej szkole z internatem dla dziewcząt. Podobno wszystkie jej uczennice zdobywały stypendia najlepszych amerykańskich college'ów. Teraz Rose spoglądała na mnie jak na jakiś obiekt wymagający całego chrześcijańskiego miłosierdzia, jakie miała na podorędziu. Miałam ochotę dać jej po buzi. - Odczep się - powiedziałam. - Piję to, co lubię. Sama też od czasu do czasu powinnaś sobie strzelić martini. Miałoby zbawienny wpływ na twój charakter. - O, dajże spokój, kochana! - Lori wydobyła ze swego arsenału nieodparty urok, odziedziczony po Sullivanach. - Przecież nie będziemy się chyba kłócić w Boże Narodzenie! Ja osobiście nie lubię martini, ma paskudny smak. Co innego crème de menthe, uwielbiam miętowy zapach, choć prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego niektórzy muszą pić codziennie. Życie jest takie piękne, takie wspaniałe, po co je zacierać, zmieniać w chwiejny, rozmazany obraz? To dla mnie zagadka, no chyba że ktoś jest bardzo nieszczęśliwy... Vicky, wybaczone, że poruszam sprawy osobiste, ale czy nie sądzisz, że dobrze byłoby, gdybyś zajęła się czymś konstruktywnym? Niekoniecznie dobroczynnością, bo bądźmy szczerzy, większość akcji dobroczynnych to czysty pic... o! przepraszam cię, Rose, kochana!... ale w Nowym Jorku można sobie przecież znaleźć tyle interesujących zajęć. Gdybyś na ten przykład zapisała się na kurs układania kwiatów... - Lori, jeśli będę potrzebować rady, co zrobić ze swoim życiem, sama o nią poproszę. A tymczasem bądź tak dobra i zamknij się. - Chciałam ci tylko pomóc! - Tak bardzo się o ciebie martwimy... - A dajcież mi święty spokój! - wrzasnęłam i na oślep wypadłam z pokoju. 3 - Co się dzieje z Vicky, Korneliuszu? Robi wrażenie bardzo przygnębionej, o wiele bardziej niż zwykle. Nie sądzisz, że powinieneś z nią porozmawiać? Naprawdę uważam, że przy najmniej przy dzieciach powinna bardziej nad sobą panować. - Alicjo, tego rodzaju uwagi z pewnością jej teraz nie pomogą. - No cóż, przykro mi, ale sądzę, że skoro już zmarnowała życie mojego syna, w żadnym wypadku nie można pozwolić, żeby na dodatek zmarnowała własne, unieszczęśliwiając przy tym wszystkich dookoła... - To wcale nie Vicky zmarnowała mu życie! Sam, z własnej woli wycofał się z bankowości, chociaż proponowałem, że przyjmę go z powrotem, i tak samo z własnej woli przeprowadził się do Anglii. I to nieprawda, że Vicky unieszczęśliwia wszystkich dookoła! Mnie na przykład wcale nie unieszczęśliwia! I przestań się jej czepiać! - Ciiiicho, już przyszła. Witaj, kochanie, jak się masz? - Witaj, Alicjo. Doskonale. Cześć, tatusiu. - Cześć. Zapadło niezręczne milczenie. Przerwałam je, mówiąc grzecznie: - Dziękuję, że przechowaliście moją dzieciarnię. Mam nadzieję, że niania utrzymała porządek i malcy nie sprawiali wam nazbyt dużo kłopotu. - Ależ skąd, kochanie, oczywiście, że nie. Znowu zapadło milczenie. - Vicky - odezwał się impulsywnie ojciec. - Wpadnij do mnie dziś po kolacji. Nauczę cię grać w szachy. - Och, tatusiu, jestem tak wykończona... Powiedziałeś: "szachy"? Przecież zawsze twierdziłeś, że to gra dla mężczyzn! - Ja coś takiego mówiłem? - zdziwił się ojciec. - Im jestem starszy, tym bardziej zdumiewają mnie głupoty, jakie wygadywałem, kiedy byłem jeszcze zbyt młody, by na cokolwiek się znać. Szachy to cudowna gra, która potrafi cię oderwać od wszystkich problemów. Każdy powinien w nie grać. - Ale ja jestem taka tępa. Nigdy się nie nauczę. - Kogo chcesz zwięść? Wcale nie jesteś głupiotką blondyneczką! Nie bądź taka samokrytyczna i taka samolubna! Żaden z moich obecnych asystentów nie potrafi porządnie grać i w tej chwili jestem pozbawiony partnera. Gdybyś miała choć szczyptę współczucia dla biednego starego ojca... - Tatusiu, jesteś okropny. Gorszy niż Benjamin. On też zawsze stawia na swoim. No dobrze, spróbuję się nauczyć. Skoro twierdzisz, że to mój

moralny obowiązek, nie będę się z tobą sprzeczać, ale na pewno sam uznasz, że to kompletna strata czasu... 4 - Mamo - powiedział Eric. - Czy mogłabyś zmusić Paula, żeby przyciszył ten przeklęty adapter? Dłużej tego nie zniosę! - Przecież to Beatlesi! - wtrąciła się Samantha z błyskiem w oku. - Oni są bajeczni! - Nic mnie to nie obchodzi, może być nawet chór archaniołów śpiewający "Alleluja!" Przysięgam, że jeśli on tego nie przyciszy, to wezmę tasak i... - Chryste, chyba umrę ze szczęścia, kiedy wreszcie wyjedziesz do Choate! - wrzasnął Paul, wystawiając głowę ze swego pokoju. - Mam cię już dosyć! - Ojej, tylko się nie kłóćcie! - załkała mała Kristin. - To okropne, jak wszyscy się kłóca! - Mamo - odezwał się Benjamin - moje białe myszki gdzieś uciekły. - Mamusiu, niech oni wreszcie przestaną się kłócić... - Paul, puść tę, na której Ringo śpiewa: "Daj mi Forse! Tego tylko chcę!" - Tylko spróbuj jeszcze raz puścić tę cholerną płytę, a zobaczysz... - To nie Ringo! Solówkę w "Forsie" ma John Lennon! - Pani Foxworth, pani Foxworth, w kuchni skądś się wzięły myszy! - Mamo, czy mogę sobie wziąć ciasteczko? - Pani Foxworth... - Chryste, za jakie grzechy muszę się gnieść w tej miejskiej norze z bandą wariatów! Mamo, dlaczego nie możemy zamieszkać w Westchester, jak za życia taty? Chciałbym mieć ogród, potrzebne mi powietrze i jakieś miejsce, gdzie nie byłoby słychać tej piekielnej maszyny! - Mamo, a kucharka zabiła moją ulubioną myszkę! - Pani Foxworth, proszę sobie poszukać kogoś innego na moje miejsce, bo ja już dłużej tego nie zniosę... - Mamusiu, biedna myszka... - Mamusiu... - Mamo, ty wcale nie słuchasz! - Mamo... - Mamo!... - Mamo!... 5 "Zasadniczo problem, podnoszony przez Kierkegarda w jego pracach, da się streścić pytaniem: <Jaki jest sens życia? Jaką wagę można nadać ludzkiej egzystencji? Jaki jest cel tego, co się nam przydarza?> W swych dziełach literackich Kierkegaard próbował przedstawić życie ludzkie jako naznaczone cierpieniem i absurdalne, pełne udręki i pozbawione znaczenia..." Zamknęłam książkę. Była północ; siedziałam w moim małym mieszkaniu, zaciszu, w którym się chroniłam, kiedy otaczający mnie hałas stawał się nie do zniesienia, bezcennej przystani, w której pozostały wspomnienia nocy ze Scottem... Chciałam o nim myśleć, lecz wiedziałam, że nie powinnam. Miałam ochotę na drinka, zdawałam sobie jednak sprawę, że tego mi również nie wolno. Kwestia picia zaczęła mnie już niepokoić - nie, żebym popadła w alkoholizm, ale przybrałam na wadze, ograniczyłam się więc do kieliszka wina dziennie. Rezygnacja z martini przyszła mi nadszpodziewanie łatwo. Idąc za ciosem, spróbowałam ograniczyć palenie, to wszakże okazało się trudne. Zerknęłam do tabeli, którą sobie sporządziłam. Tabela potwierdziła to, co i tak wiedziałam, a mianowicie, że palę właśnie ostatniego przewidzianego na ten dzień papierosa. Wypaliłam go, zastanawiając się, czy znów będę oszukiwać i sięgnę po następnego. Uznałam, że nie mogę. Musiałam szybko znaleźć się czym innym, tak żeby nie mieć czasu na myślenie o papierosie, którego nie palę. Żałowałam, że nie mam twórczej natury. Gdyby tak było, mogłabym poświęcić całą uwagę tworzeniu czegoś cennego, ale niestety: to, co ewentualnie miałam do roboty, dawało się określić jedynie jako błahe. Nie potrafiłam się już nawet skupić na poważnej lekturze. Brak jakichkolwiek zdolności sprawiał, że czułam się bezużyteczna, a mimo to wiedziałam, że moje życie nie byłoby takie jałowe, gdybym tylko umiała się zdecydować, co ze sobą począć. Czuję, że moja inteligencja jest podobna do pary oczu wykrzywionych zezem, które po odpowiedniej kuracji mogłyby widzieć wyraźnie. Wciąż usiłowałam wyprostować swój świat, wciąż szukałam sposobu, który by sprawił, że co dzień rano będę się budzić z radością, a nie ze strachem i zniechęceniem. Zaczynam myśleć, że nigdy mi się to nie uda. Nie byłam już młoda, a moje życie wciąż przypominało kaskadę wlewającą się do rynsztoka. - Czuję się winna - powiedziałam kiedyś do Sebastiana. - Dlaczego się tak czuję, skoro mam wszystko, czego kobieta może zapragnąć? - Masz na myśli wszystko, czego mogłaby zapragnąć jakaś kobieta - sprostował. - A czego ty pragniesz, Vicky? Podziało to na mnie jak zimny prysznic. Ze wstydem zwiesiłam głowę i wyznałam, że nie wiem. - To zresztą i tak nie ma znaczenia - powiedziałam. - Nawet gdybym wiedziała, i tak pewnie nie mogłabym tego robić. Dzieci

wysysają ze mnie całą energię. Kiedy wreszcie miałam czas dla siebie, byłam zwykle tak wyczerpana, że po prostu opa- dałam na najbliższe krzesło i gapiłam się w ścianę. - Zbliłam się do trzydziestki - powiedziałam do Sebastiana w 1960 roku - i nie dokona- łam niczego. Wszyscy myślą, że jestem płytka, frywolna i głupia; nawet ja tak o sobie myślę, a przecież jestem pewna, że coś w sobie mam, tylko nie potrafię tego odszukać. - Cezar nie dokonał niczego przed czterdziestką - odparł Sebastian. - Był przystojny, bogaty, i wszyscy z góry stawiali na nim krzyżyk, twierdząc, że to przeżyty próżniak i hulaka. A jednak niedługo po ukończeniu czterdziestu lat udał się do Galii, a dziesięć lat później pod- bił świat. Niezłe jak na kogoś, o kim wszyscy mówili, że jest płytki, frywolny i głupi! Przypomniał mi się Sebastian w chwili, kiedy to mówił. Pamiętałam całą tę scenę tak wyraźnie, jak gdyby to było wczoraj, i nagle wykrzyknęłam na głos: "Och, jak mi cię brakuje, Sebastianie!" A potem dodałam w duchu: zwłaszcza w takie dni jak dziś, kiedy w domu nic mi się nie układa, Kierkegaard twierdzi, że życie jest bezsensowną udręką, ja zaś potrafię tylko myśleć, jaka ze mnie nieudacznica i jak niczego nie umiem doprowadzić do końca... Wstałam gwałtownie. Użalenie się nad sobą na pewno mi nie pomoże. Znalazłam papier i pióro, usiadłam przy biurku z listem od Sebastiana sprzed kilku tygodni i wreszcie zmusiłam się, by mu odpowiedzieć. 6 "Droga Vicky! Czytanie o Kierkegaardzie każdego może doprowadzić do rozpaczy. Daj sobie na razie spokój z filozofią. Czy naprawdę przynosi Ci to jakąś korzyść? Sądząc z Twego listu, jesteś zbyt przygnębiona, by należycie skoncentrować się na kwestiach typu: <Czy życie ma sens, a jeżeli tak, to u diabła jaki?>, które, nawiasem mówiąc, są równie przydatne dla podniesienia nastroju jak mokry koc. Dlaczego nie zabierzesz się do prawdziwego czytania? Najlepiej weź się za coś, co jest gwałtowne, a nawet brutalne, jak na przykład <Wichrowe wzgórza> (swoją drogą, zastana- wiam się, kto wpadł na pomysł, że to romans?), a jeżeli uważasz, że to genialne, obsesyjnie zaprzątnięte śmiercią dzieło nie natchnie Cię myślą, jak cudownie jest cieszyć się życiem w Ameryce połowy dwudziestego wieku, polecam Ci w zamian nieco współczesniejszą perłę literatury, <Cztery kwartety> T.S. Eliota. Tak, to poezja, ale nie zrażaj się tym. Napisana jest bardzo prostym językiem, zrozumiałym nawet dla dziecka. Cały kruczek polega na tym, że Eliot pisze o rzeczach istniejących jedynie na peryferiach ludzkiego umysłu. Może to zaspokoi Twój filozoficzny głód. A zatem wyzywam Cię: przeczytaj te wiersze. Tylko mi później nie pisz, że stchórzyłaś i jednak wybrałaś, Heathcliffa. Mój stary egzemplarz <Czterech kwartetów> znajdziesz w drugim pokoju gościnnym tego szkaradnego lokum, w którym urzęduje teraz Twój ojciec. Czwararty tom od prawej na górnej półce. Twój przyjaciel i mentor, Sebastian. PS. Ofertę Korneliusza, że nauczy Cię grać w szachy, potraktowałbym na Twoim miejs- cu z najwyższą ostrożnością. Nie pozwól mu się znów zdominować. Nie jesteś jego lustrza- nym odbiciem w damskim ciele (i chwała Bogu). Jesteś sobą. Nigdy o tym nie zapominaj. S." 7 - Przyjeżdża - rzekł ojciec, obracając w palcach pionka astronautę. - Twój ruch. Układ figur na szachownicy natychmiast stracił dla mnie sens. Odwróciłam wzrok. - Kiedy? - Za dwa tygodnie. Zatrzyma się w hotelu Carlyle. Może zmienisz zdanie i spotkasz się z nim, kiedy tu będzie? Wątpię, czy zdoła cię wpędzić w większą depresję niż ta, w jaką wpad- łaś po jego wyjeździe. - Wiesz co, tatusiu, nie przypuszczałam, że doczekam dnia, w którym będziesz mnie namawiał na pójście do łóżka z mężczyzną, który nie jest moim mężem - ostentacyjnie popch- nęłam wieżę w jego stronę. - Głupi ruch - powiedział ojciec, zbijając wieżę gońcem. Zawsze zapominałam, że goniec porusza się po przekątnej. - No cóż, znasz moje zdanie na ten temat. Morały nie na wiele się tu przydadzą. Najlepiej zrobisz, jeśli o nim zapomnisz. - Moralność nie istnieje tylko po to, żeby była przydatna. Co ty wyprawiasz? - Zwracam ci twoją wieżę. Wykonując ten ruch, w ogóle nie myślałaś o grze. Spróbuj jeszcze raz. - Wykluczone! Straciłam wieżę i nie mam zamiaru odbierać jej z powrotem! Mój ojciec westchnął i przesunął pozornie nic nie znaczącego pionka na skraju sza- chownicy. - Nie mów, że nie starałem się pomóc. - Nie potrzebuję twojej pomocy. Boże, twoja życzliwość starczy za legion wrogów! - Ależ,

kochanie... - Cicho bądź, tatusiu, daj mi pomyśleć. Rozpraszasz mnie i podejrzewam, że robisz to celowo. 8 Obudziłam się ze świadomością, że Scott jest w Nowym Jorku. Wygramoliłam się z łóżka i podbiegłam do okna, a kiedy rozchyliłam zasłony, wiosenne słońce wtargnęło do pokoju z bezchmurnego nieba. Hotel Carlyle dzielił od mojego mieszkania pięciominutowy spacer. Ubrałam się bardzo starannie, na wypadek gdyby zdecydował się wpaść bez opowiedzenia, tak jak kiedyś, po pogrzebie Kennedy'ego, a gdy dzieci wyszły do szkoły, pobiegłam na dół, do mojej garsoniery, i usiadłam przy telefonie. Postanowiłam, że tego wieczoru nie pójdę z nim do łóżka. Musi sobie uświadomić, że powtórne zaistnienie w moim życiu nie przyjdzie mu tak łatwo, ale oczywiście zjemy razem kolację i oczywiście będzie przy mnie, tuż obok mnie, i nic, zwłaszcza ubiegłe pół roku, nie będzie się już liczyć. Pomyślałam o tajonych szlochach w moim pokoju, o potwornym wysiłku, jaki kosztowało mnie udawanie przy dzieciach, że jestem szczęśliwa, o krytycznym politywa- niu moich kuzynek, o źle skrywanej wrogości Alicji i o moich głupich przyjaciółkach, które dzwoniły do mnie i paplały o niczym, nie domyślając się nawet, przez jakie piekło przechodzę. Odsunęłam od siebie wszystkie te wspomnienia. Znów go zobaczę. Odtąd wszystko potoczy się zupełnie inaczej. Już dawno doszłam do wniosku, że postanawiając zerwać z nim wszelkie kontakty na czas jego pobytu w Europie, okazałam się za mało elastyczna. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że powinnam się z nim od czasu do czasu spotykać, choćby po to, by przypomnieć mu o swoim istnieniu. Mało prawdopodobne, by kobiety pozwoliły mu w spokoju pielegnować marzenia o mnie, a skoro raz znalazł partnerkę, która odpowiadała mu bez zastrzeżeń, nie było powodu, dla którego nie mogłaby mu się trafić inna, tym bardziej iż miał prawo sądzić, że już mi na nim nie zależy. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek mam za niego wyjść, muszę dołożyć pewnych ograniczonych starań, by nasz romans nie wygasł. Nadal nie miałam zamiaru latać do Londynu w regularnych odstępach czasu, choć przygotowałam się psychicznie na to, że w czasie jego pobytów w Nowym Jorku przeprowadzę się do hotelu Carlyle. Czekałam przy telefonie. Dzień zdawał się nie mieć końca. Po jakimś czasie przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie ma w banku za duże urwanie głowy, żeby dzwonić w sprawach prywatnych, i wątpliwe, by odezwał się przed wieczorem. Wróciłam na górę sprawdzić, co robią dzieci, i podjęłam wartę przy telefonie w sypialni. Nadeszła pora kolacji, ja jednak nie mogłam jeść. Nie byłam w stanie przełknąć nawet martini. Powiedziałam wszystkim, że mam migrenę. Długie godziny czekałam w swoim pokoju, lecz noc przeszła tak samo jak dzień, i wciąż byłam sama. Nazajutrz rano zadzwoniłam do hotelu, ale Scott wyszedł już do biura. - Czy zostawi pani wiadomość? - spytał recepcjonista. - Nie, to zbyteczne. Zadzwoniłam do banku na rogu Willow i Wall. - Van Zale i spółka - zaintonowała telefonistka. - Dzień dobry, czym mogę pani służyć? Po dłuższej chwili powiedziałam: - Przepraszam, to pomyłka - i odłożyłam słuchawkę. Drżałam na całym ciele. Powiedziałam sobie, że muszę trochę odczekać, zanim zacznę się mu narzucać. Jeśli za nim pobiegnę, pojednanie przyjdzie mu łatwiej, niż na to zasłużył. Muszę prezentować pełną godności rezerwę, nie unizoną pokorę, która w końcu obudzi w nim wzgardę. Rozpoczęłam następną wartę przy telefonie. Przyszło mi do głowy, że zwleka z obawy przed kosztem, lecz zaraz odrzuciłam tę myśl. Mężczyznom typu Scotta Sullivana trudno jest nawet sobie wyobrazić, że mogliby dostać kosza, skoro kobiety zebrzą o najbardziej błahy przejaw ich zainteresowania. Pomyślałam o biednej Judy, której miejsce zajęłam w łóżku Scotta na statku. Jakże żałośnie była mu wdzięczna, kiedy raczył ją zauważyć, i jakże musiała być zrozpaczona, kiedy się okazało, że wystawił ją do wiatru! Zerknęłam na siebie w lustrze. Mo- że koniec końców nie będę miała więcej szczęścia od Judy. I może ostatecznie Scott wcale nie miał zamiaru traktować mnie poważniej, niż potraktował ją. Kilka godzin później nie mogłam już dłużej zamykać oczu na fakty. Scott nie zadzwoni. Od naszego rozstania w listopadzie nic się nie zmieniło oprócz tego, że być może teraz jeszcze bardziej niż przedtem zdecydowany był usunąć mnie ze swojego życia. Ojciec

miał rację, twierdząc, że postawiłam na złego konia. Teraz, gdy wyścig nieodwołalnie się skończył, aż nazbyt jasno widziałam swój błąd. Ukryłam twarz w dłoniach i w bolesnym otępieniu zaczęłam się zastanawiać, kiedy wreszcie zdołam przerwać tę złą passę i wydobyć się z dołka. 9 - I jakże się miewa ten drań? - spytałam ojca, kiedy po raz pierwszy od dwóch tygodni usiedliśmy nad szachownicą. - Nawet nie zadzwonił. - Tak, dał mi do zrozumienia, że uważa romans z tobą za sprawę zamkniętą. Przykro mi, ale muszę się przyznać, że odczułem ulgę. - Zdaje się, że zrobiłam z siebie idiotkę. No cóż, przynajmniej zdołałam się powstrzymać od wydzwaniania do niego i błagania o spotkanie. To byłoby już dno. A więc? Nie powiesz mi, jak się wam układa współpraca? Czy wybaczyliście sobie wszelkie przewiny i znów jesteście przyjaciółmi od serca? - Scott przyjął taką linię postępowania i nie widziałem powodu, żeby go zniechęcać. - Niedobrze się robi! Dzięki Bogu, że umył ręce ode mnie! Jak się czuje? Wygląda na to, że wrócił już do siebie po listopadowym kryzysie? Ojciec uśmiechnął się nieznacznie. - Możliwe. Jedna rzecz się zmieniła. Pije. - Pije? Nie do wiary! I co? Panuje nad tym? - Na to wygląda. Nie zauważyłem, żeby wypijał więcej niż dwie whisky w ciągu wieczoru, a już na pewno nie widziałem go na rauszu. Prawdę mówiąc odniosłem wrażenie, że alkohol mu służy. Jest teraz o wiele swobodniejszy i bardziej zajmujący. - Rozumiem. Cóż, widocznie odzyskał pełną kontrolę nad swoim życiem po tym przejściowym zaćmieniu. Wspaniale. Zazdroszczę mu. Czy mogłabym prosić o martini? - Vicky - odezwał się ojciec - uważam, że już najwyższy czas, abyś znalazła sobie coś do roboty poza pić martini i graniem ze mną w szachy. Może być tak... - Przestań mi rozkazywać, bo ręczę, że tym razem ci to nie przejdzie! - Rusz tyłek, zainteresuj się czymś, znajdź sobie pracę albo kogoś do łóżka... - Tato! - byłam głęboko wstrząśnięta. - ...wydobądź się z tego marazmu, na litość boską! Cierpiałaś przez pół roku, nie myśl, że tego nie zauważyłem, ale teraz musisz się pozbierać... nie, nie, niczego ci nie dyktuję! I nie próbuję cię znowu wcisnąć w cudzą skórę. Po prostu chcę ci pomóc, żebyś była trochę szczęśliwsza. A teraz po- słuchaj. Dowiadywałem się tu i ówdzie i odkryłem dobry letni kurs ekonomii w New School... - Nawet o tym nie myśl. - Dobrze, a co powiesz na kurs filozofii? - Jeśli to letni kurs, i tak prawdopodobnie większość materiału już znam. - Wobec tego zapisz się na uczelnię. - Tatusiu, to piękne marzenie, ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece niewykonalne. To kwestia energii psychicznej. Wątpię, czy zdołałabym ukończyć letni kurs. Możliwe, że nie stać mnie nawet na dwudniowe seminarium. Jestem za stara, za bardzo znużona, przybita. Mam wszystkiego dość. Pogodziłam się z faktem, że nie mam szans na to, by ukończyć studia, więc po co mam się dręczyć, uczęszczając na kurs, który mi tylko przypomni, co straciłam? - Nie popadasz czasem w zbyt wielki pesymizm? - Nie. Jestem po prostu realistką. Myślę, że lepiej zrobiłaby mi praca niż udawanie studentki, ale jaką ja mogę dostać pracę? Nie mam zawodu, a nawet gdybym miała, i tak nie dałabym sobie rady. Trzeba samemu mieć pięcioro dzieci, żeby zrozumieć. - Przecież do dzieci masz pomoc! Nie każdy ma tyle szczęścia! Co byś zrobiła, gdybyś była jedną z tych matek, które nie mają wyboru - muszą pracować, żeby utrzymać rodzinę! - To nie wchodzi w rachubę. Nieraz myślę, jak inne byłoby moje życie, gdybym była biedna. - Musiałabyś jakoś dać sobie radę! - Nie jestem tego pewna. Wiem tylko, że w przeciwieństwie do Lori nie potrafię jedną ręką radzić sobie z domem, mężem, dziećmi i jeszcze Bóg wie czym. Ilekroć usiłuję stać się superkobietą, kończy się to jedną wielką kląpą. - Może uda mi się znaleźć ci jakąś posadkę w Fundacji Sztuk Pięknych, niezbyt absorbującą, ale taką, która pozwoli ci przestać myśleć o sobie i wydobyć się z tej depresji. - Tak, chyba jakaś skromna synekura byłaby lepsza niż nic, ale jeszcze nie teraz, tatusiu. Później. Nie mogę tak po prostu wyłączyć sprawy Scotta i błyskawicznie przestawić się na nową drogę życia. Musisz mi dać jeszcze jedną szansę na samodzielne wydostanie się z tego bagna. Potrzebuję trochę więcej czasu... 10 Mój księgowy przysłał mi list z informacją o nowych akcjach, które kupił dla mnie zatrudniony przez niego makler. Cisnęłam list do kosza na śmieci. Po chwili, nie mając nic lepszego do roboty, wyjęłam go z powrotem i przeczytałam

uważnie. Księgowy znał mnie od dziecka i pozwalał sobie na lekko mentorski ton. Wcale mi się to nie podobało. Pomyślałam: Cholerni mężczyźni, przesuwają mnie z kąta w kąt, mają się za Bóg wie kogo, a mnie za idiotkę. Jak im pokażę. Przeczytałam list jeszcze raz. Potem wyszłam z domu, kupiłam "Wall Street Journal" i posta- nowiłam zapisać się na kurs operacji giełdowych. 11 "Czas terażniejszy i ten, który minął Istnieją chyba razem w czasie przyszłym, a przyszły czas zawiera się w minionym. Jeśli zaś społem trwają całą wieczność, Żadnego czasu nie sposób odzyskać". (Przeł. A. Piotrowski). Natychmiast przyszedł mi na myśl Scott, opętany obsesją czasu i naginający przeszłość tak, by objęła przyszłość. Przerwał mi dzwonek telefonu. - Witaj, kochanie! No i jak ci się podobały zajęcia? Jak to wyglądało? Było dużo ludzi? - Nie poszłam. Niania jest chora, Nora uparła się, że chce mieć wychodne, a doktor mówi, że Kristin ma wietrzną ospę. Tatusiu, czy mogę zadzwonić do ciebie później? "To, co być mogło, jest tylko abstrakcją I pozostaje w świecie rozważania Jako nieustająca możliwość jedynie. To, co mogło być, i to co już było, Ma cel jedyny - wiecznie terażniejszy". (Przeł. A. Piotrowski) Drzwi się otwały. - Mamusiu, a Samantha mnie uderzyła i chyba mam rękę złamaną w trzech miejscach, i jeszcze mam wielkiego siniaka na nodze, a z kolana to mi krew sika strumieniem. - Mhm. Momencik. - Mamusiu! - Cicho, Ben! Mówisz o tym zadrapaniu, którego nawet dokładnie nie widać bez lupy? Zmykaj stąd i przeproś Samanthę. Na pewno coś spsościłeś, skoro chciała cię zbić. - No, właściwie tak jakby niechcący siadłem na jej najlepszym zdjęciu Beatlesów... "Jeszcze w pamięci dudni echo kroków W korytarzu, który nas nie poprowadził, Ku drzwiom, których nie dane nam było otworzyć, Do różanego ogrodu..." Zatrzymałam się i przeczytałam ten ustęp jeszcze raz. Potem robiłam to po raz trzeci i czwarty. Pomyślałam o utraconej szansie na studia filozoficzne i nagle posłyszałam echo kroków brzmiących w mojej własnej pamięci, na nie tkniętym moją stopą korytarzu, wiodącym do zamykanych drzwi mo- jego prywatnego różanego ogrodu. Czytałam dalej. Proste, zrozumiałe słowa, wyrażające złożone przesłanie, wślizgiwały się cicho, zwodniczo do mojego umysłu. Rozumiałam je, a jednak ich nie rozumiałam. Po chwili zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek pojęłam. A może pojęłam, lecz po prostu nie umiałam znaleźć własnych słów, by opisać zrozumienie kielkujące powoli w mojej świadomości? W końcu przestało mnie martwić, czy rozumiem, czy nie. Na powrót zatopiłam się w lekturze, zatrzymując się tylko po to, by posmakować to lub owo zdanie. "Róże wyglądały na kwiaty, które ktoś ogląda...", "Tylko w czasie można zapamiętać chwilę w ogrodzie róż...", "Czas przewyciężyć można tylko w czasie..." (Przeł. W. Dulęba). Podniosłam wzrok. Oto przeczytałam pierwszy z "Czterech kwartetów" T.S. Eliota. Zamknę-łam książkę, usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać list do Sebastiana. 12 "Droga Vicky! Nie martw się, że wyleciałaś z tego kursu operacji giełdowych. Przypuszczalnie i tak nie powie- dzieliby Ci nic takiego, do czego nie potrafisz dojść sama. Podoba mi się ten pomysł z zadaniem bobu Twoim doradcom finansowym. Tak trzymać. Daj im niezły wycisk. Pytasz, czy Eliot mówi, że żadna okazja nie przepada nieodwołalnie. Czy możliwy jest powrót, przejście nietkniętą dotąd ścieżką do różanego ogrodu? Możliwe. Według jednego z komentatorów Eliota, przesłanie "Burnt Norton" polega na tym, że chwile, które zaistniały, i te, które mogły zaistnieć, w rzeczywistości istnieją obecnie. Doskonały temat do rozważań między jednym a drugim marti- ni! Przy okazji posyłam Ci pocztą lotniczą sztukę Eliota pod tytułem "Zjazd rodzinny", w której znaj- dziesz dalsze odniesienia do różanych ogrodów, włącznie z możliwością rzeczywistego przejścia przez nie otwierane drzwi, et caetera, et caetera. Cieszę się, że polubiłaś Eliota. Uważam, że mam moralny obowiązek (ha, ha!) dopomóc Ci w intelektualnym wzbiciu się ponad poziom Twojego ojca (sprawa banalnie prosta, bo jego poziom jest denny). U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Mam domek, który zmieściłby się w jednym skrzydle mieszkania Korneliusza, i żadnej służby poza gospodynią na przychodne, bezzębną jęzdą. Zaczęłam już zbierać materiały do książki. W końcu zdecydowałam się na - trzymaj się mocno! - historię ban- kowości. Zdaje się, że ten temat

mocniej mi zalał za skórę, niż skłonny byłem przypuszczać. Pozostaję z poważaniem Twój szczęśliwy wyrzutek plastikowego społeczeństwa S. Foxworth esquire PS. Ucałuj ode mnie Postumusa i nie pozwól, żeby skakał Ci po głowie". 13 "A to, co było, równie jest prawdziwe jak to, czego nie było, O, miła, a gdy przeszłaś przez furtkę maleńką, Biegłem, by cię powitać w różanym ogrodzie..." Zadzwoił telefon, odłożyłam więc wymiętoszony tomik "Zjazdu rodzinnego" i podniosłam słuchawkę. - Vicky? - odezwał się mój ojciec. - Słuchaj, właśnie przed chwilą rozmawiałem z Kingsleyem Donahue. Mówi, że wylałaś na zbity łeb nie tylko księgowych, ale także maklerów! Kochanie, czy to aby mądre? Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? Kingsley jest ogromnie urażony! - Trudno - powiedziałam. - Przeżyje. - Ale nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś? - Och, tatusiu, bo byli tacy konserwatywni i tacy nudni, a moim zdaniem, jeżeli ktoś ma trochę pieniędzy, giełda może mu dostarczyć naprawdę ciekawych przeżyć! Jake polecił mi młodego obiecującego maklera nazwiskiem Jordan Salomon i postanowiłam zatrudnić go na próbę. - Jake? A od kiedy to jesteście w takiej przyjaźni? Myślałam, że wciąż ma ci za złe rozbitcie małżeństwa Elsy! - Odkąd Elsa ponownie wyszła za mąż, przestał się tym przejmować. Poza tym jego nowa koleżanka jest moją koleżanką ze szkoły. Spotkaliśmy się kiedyś u niej na przyjęciu i był dla mnie bardzo miły. - Na przyjęciu? A więc znowu wychodzisz z domu? Cieszę się, że to słyszę. Może poznasz gościa nowego? - O, bez przerwy spotykam nowych ludzi. Łowców posagów, żigolaków, erotomanów, nudziarzy i idiotów. Świat jest pełen nowych ludzi umierających z pragnienia, by mnie poznać. - Córeczko, nie bądź taka cyniczna... - A ty nie mów głupstw. Dobranoc, tatusiu. Nie cierpię sobie przerywać, kiedy czytam Eliota. Porozmawiamy innym razem. 14 Kiedy się obudziłam, wiedziałam od razu, że ten dzień będzie się różnił od innych. Edward John skończyłby dziś pięć lat. Patrząc na ukośne promienie słońca przebijające się przez zasłony, bez trudu wyobrażałam sobie jasnowłosego i szarookiego chłopczyka, wyglądającego trochę jak mały chórzysta - nie rozbrykanego i niegrzecznego jak prawdziwe żyjące dzieci, lecz miłego i delikatnego, szlachetnego i kochającego. Wyobrażałam sobie aż do bólu, jak biegnie do mnie z wyciągniętymi rękami przez różany ogród, a ja nie mogę otworzyć furtki i pobiec mu na spotkanie. Aparat przy łóżku zaterkotał. Sięgnęłam po słuchawkę. - Łączę rozmowę z Cambridge w Anglii dla pani Foxworth. - O! - zerwałam się do pozycji siedzącej. - Tak, jestem przy telefonie. - Proszę mówić. - Cześć, Vicky. - Cześć. Jak się masz? - W porządku. Wpadło mi właśnie do głowy, żeby do ciebie zadzwonić. - Tak... Dziękuję. Nastąpiła niezręczna cisza. - Zarobiłaś ostatnio jakąś forszę? - przerwał ją w końcu Sebastian. - Prawdę mówiąc, tak. Przekazałam wszystko na fundusz opieki nad wietnamskimi sierotami wojennymi. Zdaje się, że wreszcie znalazłam jakiś rodzaj dobroczynności, który mi odpowiada. - To znakomicie. Na rynku jest hossa, nieprawdaż? Zaprenumerowałam sobie "Wall Street Journal". - Och, Sebastianie, chyba tęsknisz za domem, prawda? - Nie. Po prostu lubię trzymać rękę na pulsie. No i w jaki sposób dokonało się twoje efektowne wejście na giełdę? - Zainwestowałam w pewnego klienta Rieschmanów. Słyszałeś może o młodym człowieku nazwiskiem Donald Shine? - Jasne. Leasing komputerów. Mądrała z ciebie, niech ja skonom! Pozbyłaś się jeszcze jakichś niedorozwiniętych maklerów? Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Napięcie wreszcie ze mnie opadło. - Jak ci idzie praca nad książką? - Nieźle, ale teraz będę ją musiał odstawić, bo niedługo przyjeżdża do mnie na dwa tygodnie Alfred. Od kiedy Elsa ponownie wyszła za mąż, można ją do rany przyłożyć. Nie wiesz czasem, co to za człowiek, ten jej nowy mąż? Facet chyba musi być święty, że zdecydował się wejść do tej rodziny! - No cóż, jest Żydem, więc nie będzie miał tych problemów, na jakie ty się natknęłaś. Elsa, ma się rozumieć, wygląda teraz niezziemsko. Widziałam ją kiedyś u Tiffany'ego. Przycupnęłam skromnie na zapleczu, bo właśnie zamawiałam papeterię, podczas gdy ona królowała od frontu, przymierzając brylanty. Wyglądała jak gwiazda filmowa. - Chryste, ależ to życie dziwnie się czasem układa! - Bardzo dziwnie. Umilkliśmy oboje. Wiedziałam, że on też myśli o Edwardzie Johnie. - Cóż, dziękuję, że zadzwoniłaś... -

Znalazłaś już swój różany ogród? - Jeszcze nie. Wiem, że gdzieś jest, ale nie mogę tam trafić. Czasem myślę, że nawet jeśli pójde właściwą drogą i wreszcie się tam znajdę, mogę go nie rozpoznać, bo wciąż nie wiem dokładnie, co to jest. - To będzie tak jak ze słoniem. Trudno go opisać, ale od razu wiesz, że to on. - Może. - Nie poddawaj się, Vicky. Na razie po prostu nie daj się swoim dzieciom, walcz z maklerami i pracuj na ryż dla wietnamskich sierot. Nikt nie mógłby więcej od ciebie wymagać. - Chyba masz rację. Cóż... - Dobra. Na razie. Trzymaj się. I nic się nie martw, nie będę cię zadreślał telefonami z drugiej półkuli. Po prostu chciałem dziś z tobą porozmawiać, bo... - urwał. - Tak - powiedziałam. Łzy napłynęły mi do oczu. - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Dziękuję. Miej się dobrze. - Ty też. Odłożyliśmy słuchawki. Wyobraziłam go sobie, oddalonego o tysiąc mil i wpatrującego się w swój telefon tak samo, jak ja wpatrywałam się w mój. W końcu udało mi się nie rozplakać, ale przez długi czas siedziałam bez ruchu, rozmyślając o Sebastianie, rozmyślając o Edwardzie Johnie, rozmyślając z nieznośną ostrością o wszystkim, co mogło się być zdarzyć. 15 - Vicky, kochanie - powiedział do mnie Jake Reischman na koktajlu - pozwól, że ci przedstawię mojego klienta, pana Donalda Shine'a. Zobaczyłam wysokiego, smukłego młodego mężczyznę z kręтыми włosami opadającymi na kołnierzyk i długimi gęstymi baczkami. Miał na sobie różową ko- szulę, dobrany do niej odcieniem różowy krawat w kwiaty i garnitur, który wyglądał tak, jak gdyby przyplął tu przez Atlantyk prosto z Carnaby Street. - Miło mi - powiedziałam. - Proszę przyjąć moje gratulacje z okazji przejęcia Syntax Data Pro- cessing! - Serdeczne dzięki! Mam nadzieję, że przy tej okazji zbiła pani kupę forsy. Jake mówił mi, że postawiła pani na mnie! - Donald Shine przyjaźnie wyciągnął do mnie rękę i błysnął zębami w szcze- rym, zwycięskim uśmiechu. Czułam nieomal, jak jego osobowość owija się wokół mnie i wysysa każdą uncję podziwu, żeby ją zakonserwować do przyszłego użytku. - Jestem niezmiernie ciekawa pańskich przyszłych posunięć - powiedziałam. - Czy może to ściś- le tajne? - Cóż, dla nikogo chyba nie jest tajemnicą, że mam wielkie plany -odparował, z takim mistrzos- twem maskując swą arogancję żywiołowym entuzjazmem, że udało mu się osiągnąć rzecz niemożliwą: zabrzmiało to niemal skromnie. - Tak jak ja to widzę, korporacyjnej strukturze finansowej tego kraju przydałby się porządny wstrząs, który by pomógł jej dorósć do ery Wodnika... Uczyniłam wysiłek, by ukryć zdumienie. Czy to możliwe, by ten człowiek był finansową sensa- cją roku? Przypominał bardziej długowłosego dysk dżokeja niezdolnego do dyskusji o niczym poza ostatnim notowaniem listy przebojów. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem, rozumiejąc dokładnie, dlaczego trzeźwa, stateczna, konserwatywna Wall Street była tak zaskoczona i urażona jego sukce- sem. - ...tak więc zobaczę, co mi podłeci - mówił. - Jake to klawy gość, nie? Skąd go pani zna? - Jest starym przyjacielem mojego ojca. - A kto jest pani ojcem? - Korneliusz Van Zale. Donad Shine parsknął śmiechem. - Wolne żarty! - Zna pan mojego ojca? - Jasne. Pewnego razu mnie spławił. Zostałem zmierzony, zważony, spakowany i wyrzucony na ulicę w przeciągu niecałych trzydziestu sekund. Nie zapomniałem tego - dodał, znów z tym olśniewa- jącym uśmiechem - i nigdy nie zapomnę. Poczulałam zmieszanie. - Przykro mi, że nie ma pan miłszych wspomnień związanych z moim ojcem - powiedziałam - ale bez wątpienia w tej chwili on także żałuje, że nie zrobił na panu lepszego wrażenia. - Całkiem możliwe! - Donald Shine zaśmiał się i wzruszył ramionami. - Zresztą on wcale się tak bardzo nie różni od innych facetów, z którymi miałem przyjemność. Nigdy nie ufaj nikomu po trzy- dziesiątce, oto moja dewiza. - Widzę, że czas na mnie. Jeśli pan wybaczy... - Chyba się pani nie wściekła na mnie za to, że nie jestem fanem pani ojca? Naprawdę ma pani trzy dychy na karku? Sądząc z pani wyglądu, byłem przekonany, że jesteśmy sobie współcześni, jeśli tak można powiedzieć! - Vicky - Jake przyszedł mi na ratunek - chciałbym, żebyś poznała jeszcze jednego z moich przy- jaciół. Pozwolisz, Don... Z ulgą wmieszałam się w tłum. - Zadziwiający człowiek! - powiedziałam do Jake'a. Czułam się ogłuszona, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w głowę. Kąciki wąskich arystokratycznych ust Jake'a skrzywiły się z pogardą, ale rzekł tylko: - Moja droga, kupuj jego akcje. 16 - Przykro

mi, Jordan, ale nic z tego nie będzie. Myślałam, że jestem do tego zdolna, ale okazuje się, że nie. Poza tym to chyba kiepski pomysł, żeby baba spała ze swoim maklerem. - To dlatego, że jestem jeszcze żonaty? Na dniach dostanę rozwód i... - To nie ma nic wspólnego z twoim rozwodem. - To dlatego, że jestem od ciebie młodszy? - Nie, Jordan. Zresztą jesteś młodszy zaledwie o dwa lata. Nie mów do mnie tak, jak gdybym była emerytką! - To dlatego... - Prrrr! Nie pozwolę, żeby ta rozmowa przerodziła się w parodię zgadujzgaduli! - No to co ci przeszkadza? - To proste: jestem oziębła. Wszyscy na to cierpią. - Oziębła? Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? Słuchaj, Vicky, znam świetny sposób... - Przykro mi, nie palę trawki. I tak mam już dość kłopotów z papierosami i alkoholem. - Trawka! Vicky, ja jestem poważnym maklerem! Miałem na myśli doskonały podręcznik sztuki kochania... - Jordan, złotko, czy mógłbyś wyjść, zanim cię wyrzucę? - Chodzi o to, że nie jesteś w formie? Trzeba było mówić od razu! Wpadnę do ciebie jutro. - Nie fatyguj się. Stracisz tylko czas. - Tego nikt nie wie na pewno! - Ja wiem - ucięłam. - Uwierz mi, wiem to na pewno. - Ale... - Dobranoc, Jordan. Pozostała mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Wstałam i z hukiem zatrzęsiałam drzwiami. Potem się położyłam i zaczęłam myśleć o Scotcie. Od listopada 1963 przeszłam długą drogę i teraz już sprawnie dawałam sobie radę bez niego, choć myśl, by to nowe życie dzielić z jakimś innym mężczyzną, wciąż nie mieściła mi się w głowie. Nie widziałam go od ponad trzech lat. W tym czasie bawił w Nowym Jorku trzy lub cztery razy, zawsze jednak przezornie wyjeżdżał na ten okres z miasta - na wypadek gdybym uległa nagłej chęci samozniszczenia i pośpieszyła do hotelu Carlyle zebrać u jego stóp. Po powrocie z tych przymusowych wakacji uprzejmie zapytywałam, jak mu się powodzi, a mój ojciec równie uprzejmie odpowiadał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Uparcie zmuszałam się do myślenia o nim tak, jak gdyby już nie żył, mimo to każdej wiosny nieodmiennie wiedziałam, że żyje, a gdy drzewa w parku pokrywały się liśćmi i niebo nad Nowym Jorkiem przybierało ten rzadki odcień świeżego wiosennego błękitu, myślałam tylko o nim i na długie godziny pogrążałam się we wspomnieniach. Znowu była wiosna, wiosna 1967 roku. Eric miał już siedemnaście lat, zbierał pochwały w Chocoma - niedawno zaczął nosić okulary, które zmieniły go w młodsze, szalenie poważne wydanie Sama. Paul przestał się strzyc i zaprzedał duszę wojującemu nihilizmowi Rolling Stonesów, podczas gdy Samantha, zajęta chłopcami bardziej niż kiedykolwiek, nudziła mnie o mocno watowany biustonosz i trzymała nad łóżkiem plakat z Mickiem Jaggerem. Kristin miała inne problemy: ciągle była najgorsza w klasie i codziennie płakała na myśl o pójściu do szkoły. Benjamin kontynuował karierę "enfant terrible"; pewnego dnia przyłapałam go w garderobie na waczeniu kleju i stłukłam tak mocno, że przez dwa dni był spokojny. Ojciec stanowczo oświadczył, że powinnam pouczyć dzieci o niebezpieczeństwie, jakie niosą ze sobą narkotyki. Odpowiedziałam mu, że porad, owszem, udzielam, natomiast pouczać nie będę, albowiem jedynym efektem tego rodzaju wykładów może być nieodwołalne zerwanie i tak już wątłych nici porozumienia. W trakcie rodzinnej dyskusji o młodym pokoleniu Rose poinformowała mnie, iż na Środkowym Zachodzie jest zupełnie inaczej: nikt tam nie pali marihuany ani kart powołania. Lori wyraziła całkowitą pewność, że żadne z jej cudownych dzieci nie wpakuje się w kłopoty, po czym dała mi do zrozumienia, jak bardzo ubolewa nad tym, że ja nie mogę tego powiedzieć o swoich. Alicja słabym głosem nadmieniła, że żyjemy w straszliwych czasach. Wiedziałam, że myśli przy tym o Andym, który, odsłużywszy jeden rok w Wietnamie, zaciągnął się ponownie i znowu regularnie pisał do domu o wojnie. Trawa porośla grób Johna Kennedy'ego, lecz w Ameryce wciąż płynęła krew, a narastająca przemoc zdawała się przesycać nawet powietrze, którym oddychaliśmy. - Co nowego? - zapytałam, sadowiąc się przy stole owego rześkiego wiosennego poranka 1967 roku. - Właściwie nic - odparł Paul, ledwie podnosząc wzrok znad "World Journal Tribune". - W przyszłym tygodniu będzie parada dla poparcia naszych wojsk w Wietnamie. Parada! Potrafisz to sobie wyobrazić? Znowu mamy większe straty. Jakiś facet dokonał masowego morderstwa na wzór tego gościa z Chicago, który w zeszłym roku wykończył osiem pielęgniarek. A, i jeszcze gdzieś tam znowu

były zamieszki i jakiś nowy Murzyn wzywa do rewolucji. Innymi słowy ten sam chłam co zwykle, nic nowego. - Mój Boże - powiedziałam. - Czasami budzę się rano i myślę, że ten kraj zwariował. Może Sebastian miał rację, wynosząc się do Anglii. - Anglia! - westchnęła Samantha. - Stonesi! Mick! Jeju! - Och, przymknij się wreszcie! - wpadł jej w słowo Paul. - Boże, jakie to nudne, mieszkać pod jednym dachem z dwunastoletnią erotomanką! - Mówisz tak, bo sam jesteś czternastoletnią pryszczatą oferumą, która boi się umówić z dziewczyną na randkę! - Paul! Samantha! Bardzo was proszę! Nie mam zamiaru wysłuchiwać tego przy śniadaniu, i to jeszcze przed kawą! Zadzwoił telefon. - Ja odbiorę! - pisnęła Samantha. Jej rozmowy z kolegą z klasy, który wyjechał do Kalifornii, kosztowały mnie ostatnio trzysta dolarów. - Jeśli to Billy - krzyknęłam za nią - masz się upewnić, czy nie dzwoni na rachunek odbiorcy! - Rodzice Billy'ego zorientowali się w tych transkontynentalnych rozmowach wcześniej niż ja. Przez dłuższą chwilę panował błogi spokój. Paul w milczeniu czytał doniesienia sportowe, ja sączyłam kawę, Kristin i Benjamin byli razem z nią gdzieś w drugim końcu mieszkania. Benjamin darł się, postanowiłam jednak nie zwracać na niego uwagi. - Mamusiu, to do ciebie - powiedziała nadąsana Samantha. - Już idę - z ociąganiem podniosłam się z krzesła. - Nie wiesz, kto dzwoni? - Chyba wujek Sebastian. Ta z centrali powiedziała, że to rozmowa z Anglii. - O nieba! - zaskoczona pośpieszyłam do swojego pokoju, żeby odebrać telefon. Sebastian do- tądzwoił tylko raz, w urodziny Edwarda Johna. Miałam nadzieję, że nie stało się nic złego. - Halo? - odezwał się z niepokojem. - Sebastian? Miła niespodzianka! Co się stało, że dzwo- nisz? W słuchawce panowała cisza, zmacona jedynie szumem przewodów. - Halo? - powtórzyłam. - Halo, słyszysz mnie? Nagle zrobiło mi się słabo. Serce zaczęło mi walić o wiele za szybko. - Londyn, proszę mówić - ponagliła telefonistka. - Halo? - powiedziałam. - Halo... - Halo, Vicky - odezwał się Scott. - Nie odkładaj słuchawki. Muszę z tobą pomówić. Rozdział trzeci 1 Zapomniałam już, jaką barwę ma jego głos, lecz gdy się odezwał, poczułam się tak, jak gdybym od naszego ostatniego spotkania nieustannie miała go w pamięci. Płaski neutralny akcent Wschodnie- go Wybrzeża nie był ani ładny, ani oryginalny, jednakże Scott potrafił mówić bez wahania, co nadawa- ło jego słowom władcze brzmienie i pozwalało wierzyć bez zastrzeżeń, że zawsze gotowy jest dopiąć swego. - Vicky? - głos w słuchawce był szorstki, pewny siebie i zimny. - Tak, słucham. Skóra lepiła mi się od potu. Przetarłam oczy, a kiedy otwierałam je ponownie, otaczające mnie sprzęty nie rozplýwały się już we mgle, lecz były oślepiająco wyraźne; jaskrawe barwy kłuły mnie w oczy, a bardziej stonowane sprawiały wrażenie, że lśnią własnym blaskiem. - Słuchaj, dzwonię w sprawie twojej matki. Próbowałam skoncentrować się na tym, co mówił, ale było mi ciężko, bo nigdy nie lubiłam myś- leć o mojej matce. Miała teraz siedemdziesiąt cztery lata i mieszkała w Londynie. Nie pisałam do niej, tylko co roku na Gwiazdkę posyłałam jej aktualne zdjęcia dzieci, a w styczniu matka niezmiennie od- pisywała, jak się cieszy, że mogła uzupełnić swój album. - Vicky! Co się dzieje z tą linią? Słyszałaś, co mówiłem? - O matce? Tak. Co się stało? Nie żyje? - Miała wypadek. Leży w szpitalu ze złamaną miednicą. - A... Myślałam byłam z nim w łóżku. Czułam napięte mięśnie jego klatki piersiowej, słyszałam chrap- liwy oddech, gdy eksplodowały w nas kolejne fale dławionych ostatkiem sił emocji. Znów zakręciło mi się w głowie. - Zabrałem ją z jakiegoś koszmarnego państwowego szpitala, który przypominał sceny z Dic- kensa, i umieściłem w Klinice Londyńskiej. Policja zawiadomiła mnie po wypadku, bo twoja matka miała w torebce taką kartkę, wiesz, z numerem telefonu, pod który należy dzwonić w razie nagłej po- trzeby, i z jakiegoś powodu podała numer banku. Zdaje się, że nie ma przyjaciół i oczywiście nie ma też tu żadnych krewnych. Poza tym brakuje jej pieniędzy. Jej stały dochód zjadły rosnące ceny i ostat- nio mieszkała w jakiejś rudrze na południowym brzegu rzeki. Ocknęłam się raptownie ze wspomnień. - Przepraszam - powiedziałam. - Czy mógłbyś powtórzyć ostatnie zdanie? Powtórzył i dodał: - Pozwól, że wezwę centralę. To połączenie jest straszne. - Nie, słyszę cię, tylko nie rozumiem. Dlaczego nie poprosiła mnie o pieniądze? - Powiedziała, że

nie chce już być dla ciebie ciężarem. - Och, ale przecież mam moralny obowiązek... - No, właśnie. Powiedziała, że wie, jak do tego podejdziesz. Najlepiej, jeśli się tu pojawisz i sama to załatwisz. Jak szybko możesz wsiąść w samolot? - Ale... Nie sądzę, abym mogła... Oczywiście zaraz wyślę telegraficzny przekaz, ale... - Vicky, mam tu starą zrozpaczoną kobietę, która chce cię zobaczyć. Czy ci się to podoba, czy nie, jest twoją matką. Opiekowała się tobą przez pierwsze dziesięć lat twojego życia i uważam, że jesteś jej coś winna niezależnie od tego, jakie niewybaczalne błędy popełniła później. Zresztą czy jesteś pewna, że były niewybaczalne? I tak z ciekawości, pozwolisz, że spytam, czy to sama z siebie nagle zaczęłaś nienawidzić matki? A może pomógł ci w tym ktoś inny, ktoś, kogo imienia nie muszę chyba wymawiać? Odjęło mi głos, lecz coś we mnie krzychało: nie, to nieprawda, nie zrobił tego, nie mógł tego zrobić... Czułam się tak, jak gdyby ktoś rozciągnął mnie na kole tortur. Próbowałam przemówić, nie mogłam jednak znaleźć słów. - Daj mi telegraficznie znać, kiedy przyjeżdżasz - rzucił Scott. - Wyślę po ciebie samochód na Heathrow i zarezerwuję apartament w Savoyu. Nie musimy się spotykać, jeśli miałoby to być dla ciebie niemiłe. - Niemiłe? Po drugiej stronie zaległa cisza. - Nie jestem tak zupełnie nieświadomy tego, co dzieje się w Nowym Jorku - rzekł w końcu Scott - a z więcej niż jednego źródła doszły mi pogłoski, że w twoim życiu jest ktoś inny. W tej sytuacji oczywiście rozumiem, że nie masz ochoty wracać do przeszłości, o której wolałabyś zapomnieć. - Chodzi ci o Jordana Salomona? Ależ... - To nieistotne. W tej chwili ważne jest, żebyś dla własnej wygody wysłała mi telegram, bo wtedy będę mógł poczynić odpowiednie przygotowania. Mam nadzieję, że wkrótce się odezwiesz. Na razie. - Scott... - jęknęłam, ale już się rozłączył. Siedziałam przy telefonie ze słuchawką w ręce i drżąc od stóp do głów szeptałam: "Scott... Scott...", dopóki na linię nie włączyła się telefonistka z centrali, pytając, czy rozmowa została przerwana. Odłożyłam słuchawkę, nadal jednak siedziałam na brzegu łóżka. Zdecydowałam, że nie będę myśleć o matce. W całej tej sytuacji ukryta była jakaś apokaliptyczna prawda, lecz to mi nie przeszkadzało. Już dawno nauczyłam się odsuwać ją na dalszy plan tak, abym nie była zmuszona się nad nią zastanawiać. Bez wysiłku wyrzuciwszy matkę z myśli, mogłam się całkowicie poświęcić marzeniom o Scotcie. Nagle zauważyłam, że do pokoju wpada strumień światła, a kiedy podeszłam do okna, odkryłam, że cała drzę z podniecenia. Na zewnątrz świat kapał się w jasnych promieniach i niespodziewanie przestało mi się wydawać, że stoję u progu jesieni życia. Rozpacz pierzchła, a z nią poczucie bezsensu i zmarnowanego czasu. Bo przecież miałam dopiero trzydzieści sześć lat, w moim życiu wciąż jeszcze trwała wiosna, a jedyny człowiek, jakiego pragnęłam, nareszcie zdecydował się znów ze mną spotkać twarzą w twarz. 2 Postanowiłam, że nic nie powiem ojcu. Był przekonany, że zauroczenie Scottem już dawno mi przeszło, i nie chciałam go martwić. W 1963, kiedy zdawać się mogło, że całkiem straciłam głowę, sam mnie co prawda zachęcał do kontynuacji romansu, ale podejrzewałam, iż gdyby teraz się okazało, że romans trwa nadal, choć powinien był już dawno umrzeć śmiercią naturalną, jego pogląd na sytuację byłby zupełnie inny. Do końca pobytu Scotta w Londynie zostało już tylko kilka miesięcy, tak więc bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jak na wieść o odnowieniu naszego związku ojciec robi się nerwowy, zaczyna snuć pogmatwane makiaweliczne intrygi i przypisuje Scottowi najgorsze z możliwych pobudek, a równocześnie doskonale zdawałam sobie sprawę, że trudno oczekiwać, by którykolwiek z nich zachowywał się racjonalnie, gdy w grę wchodzi bank. Najprawdopodobniej będę musiała sama podjąć się mediacji. Nigdy nie zaufają sobie wzajemnie na tyle, by osiągnąć zadowalający rozejm - chyba że wymuszę na nich rozwiązanie, które raz na zawsze zakończy tę grę sił. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, jak dziecinni i głupi potrafią być mężczyźni. Nic dziwnego, że świat przez nich rządzony splota krwią, skoro ciągle zamykają się w ciemnych kątach, z których nie są w stanie wydostać się bez użycia siły. Wydawało mi się wręcz niewiarygodne, że nigdy w pełni nie zdołali pojąć, jak bezcelowa jest w gruncie rzeczy agresja. Dawno by już wymarli,

gdy- by nie kobiety; zniszczyłyby ich własna głupota, choć oczywiście kobiety też były głupie, pozwalając im pielęgnować ten czysty nihilizm i uznając agresję za nieodzowny męski atrybut. Z tym konkretnym konfliktem nie miałam zamiaru się godzić ani też uznawać, że jest nieunik- niony. W ciągu minionych trzech lat starałam się za wiele nie myśleć o przyszłości Scotta, gdy jednak z biegiem czasu okazało się, że londyńskie zadania w typowy dla siebie sposób spełnia bez zarzutu, pomyślałam, iż mógłby nawiązać z ojcem nowego rodzaju porozumienie, które pozwoliłoby im ściśle ze sobą współpracować, choćby nawet prywatnie pozostali skłóceni. Nie chciało mi się wierzyć, żeby ojciec, który tak kochał Scotta, podjął jakieś kroki, by go wyeliminować na dobre, i nie wierzyłam także, by Scott zagroził ojcu, o ile tylko będzie traktowany uczciwie. Gdyby udało mi się w jakiś spo- sób położyć koniec ich prywatnej wojnie, stosunki służbowe, wolne od goryczy i podejrzliwości, uło- żyłyby się już same. Trzeba im było tylko dać szansę powrotu do normalnej koegzystencji, tak by przestali się nawzajem doszukiwać u siebie ukrytych motywów, i ja byłam gotowa im tę szansę dać. Miałam zamiar pogodzić tych dwóch mężczyzn. Chciałam zgody i wiedziałam, że do niej doprowadzę, po raz pierwszy w życiu to ja trzymałam klucz do przyszłości. Władza zaszumiła mi w żyłach jak afrodyzjak. Nareszcie czułam się dość silna, aby podbić świat. Z uśmiechem przypominając sobie słowa Sebastiana o zużytym hulace Juliuszu Cezarze, który nagle stał się największym twar dzielem w mieście, wykreśliłam numer Pan American Airways i zare- zerwowałam bilet na lot do Londynu. 3 Rodzinie oświadczyłam, że otrzymałam nieoczekiwane zaproszenie od przyjaciółki z Wirginii i mam zamiar spędzić u niej kilka dni. Jedyną wtajemniczoną osobą była niania. Musiała wiedzieć, gdzie jestem, w razie gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Powiedziałam jej zresztą, że ukry- wam wyjazd, bo nie chcę martwić dzieci. Spakowałam się starannie, pamiętając, że wiosna w Anglii często bywa zimna. Przypomniałam sobie także, że Scott lubi kobiety ubrane przyzwoicie, jak ciotka Emily, oprócz więc spódnic i swe- trów wzięłam sięgającą wysoko pod szyję sukienkę. Potem zerknęłam w kalendarz, uświadomiłam sobie, że nie mam czasu do stracenia, i pośpieszyłam do najbliższej kliniki po nowy zapas pigułek. Przestałam je brać, kiedy Scott mnie porzucił, z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy mi się wydawało, że flirt z Jordanem przerodzi się w romans. Pojechałam na lotnisko. Wsiadłam do samolotu. Wyruszyłam w długą podróż na wschód - do innego świata. Lecieliśmy bez końca nad morzem mgieł, aż wreszcie po długim zmierzchu zapadł zmrok, samolot powoli zaczął schodzić w dół i luna bijąca z londyńskich neonów rozciągnęła się przed nami daleko jak okiem sięgnąć. 4 Gdy tylko przeszłam przez komorę celną, poczułam, że jest gdzieś w pobliżu. Gorączkowo przeszukiwałam wzrokiem przylepiony do barierki tłum, lecz w masie obcych twarzy nie dostrzegłam żadnego znaku, że jednak wyszedł mi na spotkanie. Potem go zobaczyłam. Przeszłam wzdłuż brzegu zbiegowiska i właśnie oglądałam się z powro- tem za siebie, kiedy wszedł do sali przylotów. Był oddalony ode mnie o trzydzieści jardów. Uśmiechnął się nieznacznie i sztywno podniósł rękę na powitanie. Chciałam wyjść mu naprzeciw, ale bezskutecznie. Tkwiłam jak wryta z walizką w ręku, dotkli- wie świadoma upływu czasu, który tym razem nie stał w miejscu, lecz po niezmiernie długiej przerwie nareszcie ruszył naprzód. Zapomniałam o mojej trzeźwej analizie przyszłych posunięć, w wyniku których sprawnie, gład- ko i bez wysiłku rozwiązywałam problemy wszystkich zainteresowanych osób. Zapomniałam o trudnej terażniejszości obciążonej przeszłymi błędami. A przede wszystkim zapomniałam o bolesnej prze- szłości, w której codziennie od nowa głowiłam się, jak przeżyję, zdana tylko na siebie. W chwili gdy go ujrzałam, wszystkie moje myśli z takim nasileniem skupiły się na czasie terażniejszym, że każdy gest Scotta zdawał mi się objawieniem jakiejś hipnotyzującej prawdy, a każdy szczegół jego powierz- chowności nabierał nagle jaskrawego znaczenia. Posiwał na skroniach i zapuścił nieco dłuższe włosy, zgodnie z aktualną męską modą. Aż do tej chwili nie zwróciłam uwagi, jak krótko strzygł się przedtem. W pierwszej chwili wydawało mi się, że jest gładko wygolony, i dopiero po kilku sekundach zauważyłam, że nosi

teraz cienkie przystrzyżone baczki. Trochę przytył, dzięki temu jednak wyglądał o wiele lepiej, bo zawsze był zbyt chudy. Jego czarne oczy lśniły jak połyskująca wulkaniczna skała. Poruszał się szybko, lecz zarazem zręcznie i z wielką pewnością siebie. Ubrany był w świetnie skrojony ciemny garnitur, koszulę w dyskretne biało-błękitne paski i granatowy krawat. Buty błyszczały. Srebrne spinki również. Pragnęłam go tak bardzo, że z podniecenia kręciło mi się w głowie. - Cześć - powiedział. - Jak się masz? Dobrą miałaś podróż? Samochód czeka na zewnątrz. Wziął ode mnie walizkę i ruszył przodem. Poszłam za nim na uginających się nogach. Oddychałam z trudem i było mi nieznośnie gorąco. W ogóle przestałam być zdolna do logicznego myślenia. Na ulicy policjant - angielski policjant, bez pistoletu, za to w hełmie - gawędził przyjaźnie z szoferem mlecznobiałego rolls-royce'a. Kiedy wyszliśmy z budynku, odwrócił się w naszą stronę, szofer zaś rzucił się naprzód, by otworzyć tylne drzwi. Scott postawił walizkę na chodniku. - Przepraszam, panie władzo, zaraz odjeżdżamy. - Doskonale, proszę pana, ale serdecznie proszę, aby był pan tak łaskaw i następnym razem poleciał szoferowi odprowadzić samochód na parking. Przypomniałam sobie, że jestem teraz cudzoziemką w kraju, gdzie nawet groźba kryje się pod płaszczkiem nienagannej uprzejmości. Rozglądając się dookoła w oszołomieniu, zobaczyłam niezgrabne małe samochodziki z kierownicami po niewłaściwej stronie, ludzi w sfatygowanych płaszczach przeciwdeszczowych i drobną mżawkę sączącą się bez ustanku z obcego, podbarwionego neonami nieba. Nagle uświadomiłam sobie, że wszyscy na mnie czekają, wgramoliłam się więc do rollsa i opadłam na miękkie siedzenie. Scott usiadł z tyłu obok mnie. W milczeniu czekaliśmy, aż szofer włoży moją walizkę do bagażnika i wróci na swoje miejsce za kierownicą. - Rozmawiałem dziś przez telefon z twoją matką - rzekł Scott swobodnie, podczas gdy ja wciąż głowiłam się, jak by tu zagaić rozmowę. - Czuje się o wiele lepiej. Sądzę, że niedługo wypuszczą ją z kliniki. Kazałem sekretarce załatwić jej miejsce w którymś z sanatoriów na południowym wybrzeżu. - No, tak. Świetny pomysł. Dziękuję ci bardzo. Samochód zmierzał w stronę tunelu, którym wyjeżdżało się z terenu lotniska. - Naturalnie nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy. - Tak, prawda. Dobrze - nie śmiałam na niego spojrzeć z obawy, że stracę panowanie nad sobą i zrobię coś głupiego, czym wytrącę go z równowagi. Jego beznamiętny ton wyraźnie dawał do zrozumienia, że ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, jest niezręczna demonstracja moich uczuć. Jechaliśmy w milczeniu, aż w końcu, czując, że nawet najbardziej wyświechtany frazes będzie lepszy od tej przytłaczającej ciszy, zapytałam: - I jak ci się podoba w Londynie? - Nie bardzo. - O! A dlaczego? - Bo ty mieszkasz o trzy tysiące mil stąd Poderwałam głowę, zanim zdołałam się powstrzymać, lecz w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. A potem powoli, bardzo powoli, Scott uśmiechnął się. - Chryste, Vicky - powiedział - tak długo cię nie widziałem. - O Boże, Scott... Ja... O Boże... - Przepraszam cię za to wszystko. Nawet nie oczekuję, że mi wybaczysz, ale... - Jasne, że na to czekasz! - wypaliłam. - Bierzesz mnie pod włos i spodziewasz się, że będę że- brać u twych stóp, ty łajdaku, ty egoisto, ty... Zaczął się śmiać. - Przecież ja tylko chciałem cię przeprosić! - Zaraz ci powiem, gdzie możesz sobie wsadzić te przeprosiny! - oświadczyłam, lecz nie zdążyłam powiedzieć nic więcej. Uniosłam twarz ku niemu w tej samej chwili, w której on się pochylił, by mnie pocałować, a już w następnej czułam pod palcami jego szorstkie włosy czułam na ciele jego stonowcze dłonie, a gdy zaschło mi w ustach, czubek mojego języka wśliznął się między jego rozchylone wargi. Rolls najspokojniej w świecie sunął w kierunku Londynu. 5 - No dobra, ty draniu, czekam na wyjaśnienia. Dlaczego nie zadzwoniłeś? - Nie miałem ci nic do zaoferowania. Jak mogłem rozdrapywać stare rany, skoro nie posunąłem się ani o krok bliżej do rozwiązania problemu, który rozdzielił nas cztery lata temu? - I nigdy cię nie kusiło...? - Kusiło! Naturalnie, że tak! Wiele razy powstrzymywałem się w ostatniej chwili, kiedy już-już miałem do ciebie zadzwonić i zaproponować kolejną wyprawę w tę samą ślepią uliczkę, ale zawsze powtarzałem sobie, że nie mogę ci tego zrobić. Za bardzo mi na tobie zależało. A potem twój

ojciec powiedział... - Jeżeli skłamał, chyba go zabiję. Obedrę go ze skóry! Mam już dość jego ciągłych kłamstw i niszczyielskich zapędów! - Tym razem nie możesz winić ojca - roześmiał się Scott. - Także wielu innych ludzi mi mówiło, że ułożyłaś sobie życie, że czynnie interesujesz się giełdą, nadzorujesz własne inwestycje, chodzisz na przyjęcia, poznajesz nowych ludzi, a nawet... - No, nie - przerwałam mu. - Plotkami o Jordanie możesz się nie przejmować. - No cóż, oczywiście musieli być inni. W pełni zdaję sobie z tego sprawę. - Nie. - Nie? - Nie. Miałam już po dziurki w nosie mechanicznego seksu, a poza tym nie pragnęłam nikogo oprócz ciebie. Mój Boże, po co ja ci to wszystko mówię? Chyba zwariowałam! Jedno, czego na pew- no nie powinieneś słuchać, to wyznać, że jakaś tam baba przez trzy i pół roku spała sama, bo nie po- trafiła przestać o tobie myśleć. - Vicky, nie oceniaj się tak surowo. - A mam jakieś inne wyjście? Wszystko wskazuje na to, że z założenia nie umiem być surowa dla ciebie. Tym gorzej dla mnie. - Ciiiicho... - znów zaczął mnie całować. - Wszystko będzie dobrze, Vicky. Nasza ślepa uliczka w końcu wyprowadzi nas na autostradę. To kwestia paru miesięcy. Wrócę do Nowego Jorku, a wte- dy... - Savoy, proszę pana - oznajmił szofer, otwierając drzwi. Wymieniliśmy jeszcze jeden pocałunek. Potem Scott odprawił szofera razem z rollsem i wszedł ze mną do hotelu. 6 - Dobrze - powiedziałam. - Byłam z tobą szczerą, stanowczo nazbyt szczerą, a teraz oczekuję w zamian trochę szczerości z twojej strony. Opowiedz mi o swoim zapierającym dech w piersi życiu osobistym na przestrzeni ostatnich trzech i pół roku. Scott uśmiechnął się. Siedzieliśmy oparci o stos poduszek i popijaliśmy szampana z butelki, któ- rą znaleźliśmy w chłodzonym barku w salonie mojego apartamentu. Dla Scotta, który żył według eu- ropejskiego czasu, była druga w nocy, dla mnie natomiast dopiero dziewiąta wieczorem. Byłam roz- budzona, podniecona i szczęśliwa. Zerknęłam na niego. Łagodne światło lampki przy łóżku padało na wymięte prześcieradło, które owijało mi stopy, biegło w poprzek ud Scotta i kończyło się na moim brzuchu. Moje piersi przybrały delikatny różowy odcień, jak gdyby to, co przed chwilą się działo, było dla nich czymś szokującym. Podciągnęłam prześcieradło pod brodę, żeby ukryć ten absurdalny kolor, pozbawiając przy tym Scot- ta i tak skąpego okrycia. Natychmiast uderzył mnie jego wzrost, mocna budowa, wyraźny rysunek włosów na piersi, brzuchu i łędźwiach. - I jak? - zapytałam. - Nie opowiesz mi o swoich licznych a wspaniałych romansach? Też się uśmiechałam, żeby mu pokazać, iż nie dbam o to, co robił. Niestety, wiedzieliśmy oboje, jak bardzo mnie to obchodzi. Racjonalna część mojego mózgu zdawała sobie sprawę, że musiał mieć inne kobiety, podczas gdy część irracjonalna czuła się urażona i zazdrosna. Świadomość, że kochał się z kim innym, doprowadzała mnie do pasji. Ale tak samo nie mogłam ścierpieć myśli, że kłamałby, chcąc mnie oszczędzić. - Chcę znać prawdę! - oświadczyłam zaciekle, nie patrząc na niego. - Na tyle chyba zasługuję! Jesteś mi to winien! - Oczywiście - Scott ujął mnie za rękę i wskazującym palcem delikatnie pogładził wnętrze mojej dłoni. - Kiedy tu przyjechałem - rzekł po chwili - byłem w fatalnym nastroju. Myślałem, że jedyne co mogę zrobić, to znaleźć sobie kogoś na twoje miejsce, i to jak najszybciej. Miałem romans z pewną bibliotekarką. Nie była ładna, ale inteligentna, i polubiłem ją. Mieszkaliśmy razem przez sześć tygodni. Potem odeszła. Czekałam na wyjaśnienie, kiedy jednak Scott milczał, zapytałam ostrożnie: - Znalazła sobie kogoś innego? - Nie, po prostu uznała, że ze mną żyć nie sposób. Ja... w tamtym okresie dużo piłem - Scott spojrzał na lampkę szampana, którą trzymał w dłoni, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że ledwie go skosztował. - Rozwiązałem ten problem, przenosząc się z wynajętego mieszkania do większego do- mu, gdzie musiałem zatrudnić służbę. W momencie gdy byłem zmuszony zachowywać się we włas- nym domu tak samo przyzwoicie jak w biurze, o wiele łatwiej mi było zapanować nad piciem. - Rozumiem - z jakiegoś powodu wołałam nie drażnić tej kwestii. - I co, z następną dziewczyną byłeś dłużej? - Następną? Nie, po wpadce z bibliotekarką nie chciałem ryzykować kolejnego związku. Na ja- kiś czas wróciłem do starej zabawy w przygodę na jedną noc, ale to też nie zdało egzaminu. Za bar- dzo się bałem, że wrócą dawne

problemy. Zresztą wkrótce odkryłem, że jestem do niczego, o ile przedtem się nie upiję, a to, jak się przekonałem, była droga wprost do katastrofy. No cóż, wiedziałem, że nie mogę wpaść w nałóg, więc pomyślałem: do diabła, po co zawracać sobie głowę kobietami, po co się męczyć, próbując się odprężyć za pomocą seksu, skoro w rezultacie jestem bardziej spięty niż przedtem? - Scott zaśmiał się drwiąco, jak gdyby właśnie brał rozbrat z błędami młodości. W oczach płonął mu ból. - Więc w końcu - podjął, odwracając głowę i pieczołowicie ustawiając kieliszek na nocnej szafce - w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek i trzeźwość umysłu, a moje oszalałości - ce życie intymne dobiegło niechlubnego kresu. Na pewno myślisz sobie teraz, że mam to, na co zasłużyłem, zważywszy, jak potraktowałem cię w Nowym Jorku. W każdym razie ja tak właśnie myślę i nie wątpię, że podzielasz ten pogląd. Nakryłam dłonią jego dłoń. Scott zgasił światło. Dzięki temu nie musiał już ukrywać twarzy. Leżeliśmy obok siebie w kojącej ciemności. Po dłuższej chwili powiedział: - Sądzę, że mimo wszystko odbiłem się od dna. Nie wiedziałem, jak uda mi się wytrzymać tak długo bez ciebie. Często myślałem, że tego nie przeżyję. Delikatnie położyłam mu palec na ustach. Potem go pocałowałam. - Przyjechałabym do Londynu. Zrobiłabym wszystko... Gdybyś tylko... - Nie - odparł. - Żadnego "gdybania". Twój przyjazd do Londynu rozwiązałby pewne problemy, za to stworzył inne i nasze życie stałoby się tak samo nieznośne. Sądziś, że nie rozważyłem wszystkich możliwości? Myślisz, że nie zastanawiałem się nad tym wciąż od nowa? Jedyne wyjście, jakie w ogóle dostrzegłem, polegało na tym, że musiałem przeżyć samotnie w Londynie, modląc się do Boga, abyś jakimś cudem była jeszcze wolna i chciała mnie znów przyjąć, kiedy nadejdzie czas. - Zapalił światło i z wysiłkiem dokończył szampana. - To dziwne - powiedział, zaglądając do wnętrza kieliszka - ja właściwie nawet nie lubię alkoholu. Piję szkocką, bo po dwóch kieliszkach nie mam już ochoty na więcej. Naprawdę smakuje mi wódka. Można ją pić i człowiek nawet nie czuje, że wlewa do gardła alkohol... chociaż to także ma swoje wady. W czasie wojny raz czy dwa wdałem się w awanturę, bo... zresztą to już nie ma znaczenia. Nie wpadłem w nałóg, więc po co wskrzeszać dawne czasy? - Pómy o czymś innym - nachylił się nade mną z uśmiechem i powoli przejechał palcami przez moją czuprynę. - Podobasz mi się z długimi włosami. - To dobrze. Alicja uważa, że wyglądam jak baran, który udaje jagniątko. - Alicja jak zwykle jest o ciebie zazdrosna. - Tak, ale już przestało mnie to drażnić. Mam ją w nosie. - Jak im się ostatnio układa z Korneliuszem? - Trudno powiedzieć. Swego czasu myślałam, że znów są o krok od rozvodu, ale teraz mam wrażenie, że ich małżeństwo jakby się pogłębiło. Wbrew samej sobie dochodzę do wniosku, że na swój dość szczególny sposób są naprawdę wyjątkową parą i że zamiast z nich kpić, powinnam ich zacząć podziwiać. Czy zdajesz sobie sprawę, że są małżeństwem od trzydziestu sześciu lat? To nie byle co, prawda? Boże! Ciekawe, jakie to uczucie być z tą samą osobą przez trzydzieści sześć lat? - Może spróbujemy się o tym przekonać? Rozlałam szampana na pościel. - Czy to są oświadczenia? - A jak myślisz? Zaproszenie do udziału w naukowym eksperymencie? - Och, Scott... kochany... Ból minął. Scott zaczął się śmiać. Roześmiałam się wraz z nim i w szale radosnej ulgi niezgrabnie padliśmy sobie w ramiona. - Jesteś pewien, że chcesz się ze mną ożenić? - spytałam niespokojnie w jakiś czas później. - Zawsze twierdziłeś, że nie nadajesz się do życia w stadle. - Wiem tylko - odparł - że nie nadaję się do życia bez ciebie. Jeżeli będziesz przy mnie, mogę żyć w świętym związku małżeńskim lub w grzechu, a nawet w klatce w zoo. - W takim razie będziesz miał równocześnie związek małżeński i zoo! Och, czy na pewno zniesiesz moje dzieci? Znam twoją opinię na temat... - Przestańmy ciągle mówić o moich odczuciach, a zajmijmy się wreszcie tobą. Wiem, ile znaczą dla ciebie twoje dzieci. Wiem też, że chciałabyś mieć na stałe mężczyznę, na którym mogłabyś polegać, a w twojej sytuacji lepiej będzie, jeśli ów mężczyzna będzie twoim mężem, a nie tylko kochankiem. To wszystko jest bardzo logiczne, a do tego zupełnie naturalne. Chyba nie myślisz, że jestem do tego stopnia wytracony z równowagi emocjonalnej, że nie potrafię zrozumieć twojego położenia, uszanować go i

dostosować się do niego. - Ojejku, jasne, że tak o tobie nie myślę, ale... - Postaram się dogadać z dziećmi, Vicky. Obiecuję. Może na początku będę miał problemy, ale postaram się je przezwyciężyć. Kocham cię i zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Jeżeli chodzi o dzieci, możesz się nie martwić. Łzy napłynęły mi do oczu, bo tak bardzo chciałam to od niego usłyszeć. Wyszeptałam słowa podzięków i ucałowałam go lekko w policzek. Milczeliśmy przez chwilę. Było już bardzo późno i zaczynałam być senna. - Naturalnie - przerwał milczenie Scott - twojemu ojcu się to nie spodoba. Nagle przestało mi się chcieć spać. Po raz pierwszy spostrzegłam, że nad lampą był owalny gip- sowy plafon, a cztery rogi sufitu powtarzały ten sam ornament. - W tej chwili nasze stosunki układają się bardzo dobrze - ciągnął Scott. - Chyba zdołaliśmy już zasypać przepaść, która utworzyła się między nami w sześćdziesiątym trzecim roku. Mimo to na pewno bardzo podejrzliwym okiem będzie patrzył na nasze małżeńskie plany. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Mam nadzieję, że nie będzie ci zatruwał życia. - Niech no tylko spróbuje! Nadal patrzyłam na sufit. Przyćmione światło nocnej lampki odbijało się w szklanych kryształ- kach żyrandola. - Jesteście teraz o wiele sobie bliżsi, prawda? - odezwał się Scott. - Wyczuwam to ze sposobu, w jaki o tobie mówi. - Jakoś sobie radzimy. Nie ma o czym mówić. - Jeśli będzie próbował cię do mnie zrazić... - Scott, mam trzydzieści sześć lat, jestem samodzielna i żaden mężczyzna nie będzie mi dykto- wał, jak mam postępować. - Naturalnie! Pomyślałem tylko, że powinienem cię ostrzec... - No i dobrze, ostrzegłeś mnie. A teraz lepiej zmień temat. Dostaję szału na myśl, że nadal bawicie się z ojcem w te mętne i destrukcyjne intrygi. Dzięki Bogu nasz ślub położy temu kres! Będzie wam dosyć trudno toczyć te markowane boje, kiedy twardo wkroczę pomiędzy was z białą flagą w jednej i gałązką oliwną w drugiej ręce! Usłyszałam, że się śmieje. - Chcesz być sędzią ringowym? - Czemu nie? - oderwałam wzrok od sufitu i spojrzałam na niego. - Już chyba czas, żeby ktoś wpompował wam nieco oleju do głowy! Scott uśmiechnął się do mnie. - No, no, nie zaperzaj się tak! Ja bardzo chętnie zawrę rozejm. To z twoim ojcem będą proble- my. - Zostaw go mnie - powiedziałam. - Już ja go unieszkodliwię. 8 Później, dużo później otwarłam oczy i zobaczyłam, że Scott pochyla się nade mną. Był ubrany. W korytarzyku, łączącym salon z sypialnią, paliło się światło. - Idę już, Vicky. Muszę wpaść do domu, ogolić się i przebrać, zanim pójdę do pracy. Zadzwoń do mnie po spotkaniu z matką, umówimy się na wieczór. - Mhmmm... - kiwnęłam głową, wciąż jeszcze odurzona snem. Jego usta musnęły moje. Kątem oka zauważyłam oddalający się cień, a w chwilę potem w przedpokoju zgasło światło. - Powodzenia z matką. - Mhm. - Kocham cię. Gdzieś w oddali zamknęły się cicho drzwi. Usnęłam. 9 Śniły mi się czasy, gdy byłam małym dzieckiem - dziewczynką w sztychach na miarę sukienecz- kach i miniaturowym futerku z norek, która miała angielską nianię, szafy pełne zabawek, starannie do- bierane koleżanki i przez większość dnia zawodową ochronę (porwanie dziecka Lindberghów zrobiło straszliwe wrażenie na mojej matce). Byłam bardzo bogata i bardzo szczęśliwa, niania zaś dokładała starań, żebym przy tym nie była do cna zepsuta. Nieraz chyba musiała sobie myśleć, że toczy z góry przegraną bitwę. Mama bardzo się martwiła, że niania jest dla mnie zbyt surowa, lecz ja w gruncie rzeczy lubiłam te ściśle uregulowane godziny, spędzane w jej towarzystwie, bo dzięki nim czas, w którym rozpusz- czali mnie rodzice, przybierał ekscytujący posmak zakazanego owocu. Gdybym była rozpieszczana bez przerwy, na pewno czułabym się bardzo nieszczęśliwa. Przypomniałam sobie o tym, kiedy sama zostałam matką, i gdy tylko dowiedziałam się, że jestem w ciąży, postanowiłam zatrudnić angielską piastunkę, tak by w domu była przynajmniej jedna osoba, która nie będzie natychmiast ulegać wszel- kim kaprysom moich dzieci. Wiedziałam, że bogactwo stworzy im później aż nazbyt wiele okazji do spełniania rozmaitych zachcianek. Starając się je jak najdłużej uchronić przed destrukcyjnym wpływem pieniądza, wykazywałam niezbędne minimum zdrowego matczynego rozsądku. Lubiłam nadmorską willę w stylu hiszpańskim w Palm Beach, gdzie mieszkaliśmy z mamą, baj- kową dobrą wróżką, która nosiła piękne suknie, tanecznym krokiem przemierzała pokoje i paliła pa-

pierosy w wysadzonej brylantami cygarnicze. Mama nigdy nie mówiła do mnie "Vicky", lecz "kochanie", i pyszniła się mną do tego stopnia, że stałam się trwałą ozdobą jej eleganckich przyjęć, na których wszyscy rozpylali się nad moimi "mądrymi" uwagami (były to czasy Shirley Temple). Niania skutecznie wybijała mi z głowy nazbyt wygórowane mniemanie o sobie, ale i tak wierzyłam niezachwianie, iż starczy, by moja mama skinęła magiczną różdżką, a wszelkie smutki pierzchną, gdzie pieprz rośnie. A potem pojawił się Danny. Mama poznała go wiele lat wcześniej w Kalifornii. W 1940 Danny przyjechał do Palm Beach na wakacje i zadzwonił, żeby odnowić znajomość. Danny był wysoki i szczupły, miał ciemne melancholijne oczy i nienaganne maniery. Mówił bez śladu cudzoziemskiego akcentu, choć kiedyś w trakcie rozmowy telefonicznej ze swoim ojcem popisał się płynną znajomością włoskiego. - Jaki to piękny język! - westchnęła moja mama, nieuleczalna romantyczka. Promieniała z dumy, że poderwała Danny'ego, który był od niej o dziesięć lat młodszy, Danny zaś coraz więcej czasu spędzał w Palm Beach. Najwyraźniej nie musiał ciężko pracować na swoje utrzymanie. Wkrótce też to on stał się główną atrakcją na przyjęciach mamy, ja zaś grałam odtąd drugie skrzypce. Wcale mi się to nie podobało. Ojcu także nie. Bitwa o prawo do opieki nade mną rozgorzała od nowa. Lubiłam, kiedy się o mnie kłócili. Czułam się wtedy bardzo ważna, poza tym przyjemnie było pomyśleć, że rodzice bez przerwy walczą ze sobą o zaszczyt przebywania w moim towarzystwie. Nie czułam się dzieckiem z rozbitej rodziny. Rodzina zdążyła się rozpaść, zanim jeszcze przyszedłam na świat, nie miałam więc materiału do porównań. Co więcej, stosunki między moimi rodzicami były zawsze tak złe, że nawet mi do głowy nie wpadło, że mogliby się pogodzić. Z mojego punktu widzenia liczyło się tylko to, że ich kochałam, a oni kochali mnie. Nie przeszkadzało mi to, że mieszkali osobno. Nie przeszkadzało mi nawet to, że się nienawidzili, choć od czasu do czasu żałowałam, że dwoje najbardziej przeze mnie ukochanych ludzi nie potrafi zostać przyjaciółmi. Ponieważ jednak za mojej pamięci zawsze byli dla siebie nieprzyjemni, zaakceptowałam ich antagonizm jako coś, co jest po prostu dane i co w niczym mi nie zagraża, bo przecież oboje bardzo mnie kochają. Oczekując w spokoju ducha zbliżającej się rozprawy, zastanawiałam się, co na siebie włożę, kiedy zgodnie z przyjętą praktyką udam się do sędziego, żeby pogawędzić z nim o sytuacji. - O nic się nie martw, cukiereczku - rzekł Danny, wręczając mi nowe pudełko czekoladek. - Ożenię się z twoją mamą, a tatuś niech się udławi kwiatem pomarańczy. Czepia się nas, bo mu się wydaje, że jestem jakimś nicponiem, który chce zerować na alimentach twojej mamusi. Mam własne pieniądze, mam perspektywy, jakich on nawet sobie nie wyobraża, więc może sobie zabrać te swoje alimenty, bo mnie one na pewno nie są potrzebne. A kiedy Viv za mnie wyjdzie, będzie szanowaną mężatką i roszczenia twojego ojca odpadną w przedbiegach, sama zobaczysz. Sukinsyn będzie się mógł co najwyżej pocałować w tyłek. Wygłaszając tę końcową frazę, Danny popełnił fatalny błąd. Źle dobrane słowa sprawiły, że przestałam w nim widzieć szczodrego dostawcę słodczy, którego jedyną wadą było to, że zaprzętał zbyt wiele uwagi mojej mamy. Teraz nagle zobaczyłam w nim wroga mego ojca. Tylko mamie wolno było nazywać tatusia sukinsynem. Miała do tego prawo jako jego eks-zona. Nikomu innemu jednak nie mogło to ująć płazem. Za nic! Postanowiłam, że Danny będzie musiał odejść. Inteligentna, przemądrzała dziesięcioletnia dziewczynka uznała, że ma moralny obowiązek ustrzec matkę przed zawarciem niewłaściwego małżeństwa. - Niech mnie pan posłucha - powiedziałam do sędziego, kiedy usiedliśmy razem w jego gabinecie. - Cała ta sprawa naprawdę bardzo mnie martwi. Nigdy przedtem nie martwili mnie przyjaciele mamy, ale tym razem jest inaczej. Boję się, że Danny złamie mamie serce. Myślę, że po ślubie będzie uwodził inne panie. Myślę - przywołałam na twarz swój najbardziej światowy uśmiech - że może nawet próbować uwieść mnie. Wiecznie przynosi mi czekoladki i przytula mnie, kiedy mama nie patrzy. Pamiętam, jak dostojnym krokiem wypłynęłam z pokoju, myśląc z błogim uczuciem: "To go załatwi. Sędzia powie mamie i na tym cała sprawa się zakończy." Po chwili poczułam się

nawet dumna, że tak zręcznie posłużyłam się życiowymi realiami, by wybrnąć z niewygodnej sytuacji. Oczywiście wiedziałam wszystko o sławetnych życiowych realiach. Jeśli byłaś kobietą, pewnego dnia zakochiwa- łaś się do szaleństwa w mężczyźnie swoich marzeń, szłaś z nim do łóżka, całowałaś go namiętnie w usta i natychmiast byłaś wniebowzięta. Mama zawsze mówiła, że to niebiańskie uczucie. Nie mog- łaś się doczekać, kiedy sama zakosztuje tych rozkoszy, i z utęsknieniem myślałam o chwili, kiedy wreszcie zacznę dojrzywać. - Ale jak mogłaś naopowiadać sędziemu takich ohydnych kłamstw! - krzyknęła matka, kiedy sę- dzia wydał wyrok przyznający mnie memu ojcu. Jej gniew bardzo mnie zaskoczył. Oczekiwałam, że będzie smutna, nie zła. Uczucie triumfu gdzieś się rozwiało, pozostał strach. - Danny mówił paskudne rzeczy o tatusiu! - wrzasnęłam w odpowiedzi. - Więc dlaczego ja nie mogę mówić paskudnych rzeczy o nim? - Ty głuptasku, nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłaś? - mama opadła na krzesło i zaczęła szlo- chać. Jej łzy podniosły mnie nieco na duchu. Spodziewałam się, że będzie płakać na myśl o utracie Danny'ego. Nareszcie wszystko zaczęło iść zgodnie z planem. - Nie martw się, mamusiu, wszystko będzie dobrze, a kiedy Danny sobie pójdzie, będziemy ra- zem żyły długo i szczęśliwie... - Co? - spytała matka. - Danny nigdzie nie pójdzie! Nie pozwolę mu odejść! I nie pozwoliła. W końcu to ja musiałam odejść. - Nie oddam cię! - mówiła matka zaciekle. - Nie oddam ani Danny'ego, ani ciebie. Pójdziemy do sędziego i wyjaśnimy mu, że zaszła pomyłka. Odbyło się jeszcze kilka rozpraw, lecz żadna nie była już zabawna. Straciłam apetyt i przestało mnie obchodzić, co na siebie włożę. Wreszcie załamalam się i zaczęłam płakać na sali rozpraw. Było mi tak bardzo wstyd. - Temu dziecku grozi silny rozstrój nerwowy - oznajmił sędzia. - Przykro mi, ale nie mogę po- zwolić, by ta sytuacja trwała dalej. Matka wpadła w histerię, a potem przez wiele godzin leżała w zaciemnionym pokoju, aż zaczęło mi się wydawać, że umiera i że to ja jestem temu winna. W końcu byłam już rozżalona do tego stop- nia, że wpadłam do jej pokoju i zaczęłam krzyczeć: - Chcę do tatusia! Ty mnie już nie kochasz, a on tak! Zrobiłam najgłupiej, jak mogłam, bo matka znów dostała ataku nerwowego, a ja przestraszyłam się jeszcze bardziej. - Ależ, kochanie, przecież ja cię kocham, kocham cię, tylko że ty nic nie rozumiesz... Nie mogę zerwać z Dannym! Z wymarzoną mężczyzną! Och, kochanie, ty nie wiesz, jak to jest, nie wyobra- żasz sobie, co czuje kobieta pod pięćdziesiątkę, nie masz pojęcia, jaka to zgroza starzeć się, wiedząc, że wkrótce żaden mężczyzna na ciebie nie spojrzy... Nie mogę tego znieść, tak się boję, że umrę sa- motna i nie kochana... - Ale przecież ja cię kocham, mamusiu... - Och, kochanie, jesteś cudowna, jesteś słodka, jesteś najwspanialszą dziewczynką na świecie, ale... - Chodzi o te życiowe realia, o których mi mówiłaś? - przerwałam jej. Tylko one się dla ciebie liczą. Ja cię w ogóle nie obchodzę. Wolisz odesłać mnie do tatusia, bo wtedy będziesz mogła przez ca- ły czas bawić się w życiowe realia z Dannym. - Vicky, nie! Kochanie... moja najdroższa... O Boże, ja tego nie wytrzymam, nie zniosę już dłu- żej tego rozdarcia! A więc dobrze, zerwę z nim... - Nie fatyguj się - oświadczyłam. - Już mi na tym nie zależy. Pojadę do tatusia, a ciebie nie chcę widzieć na oczy. Przeniosłam się do tatusia. Jednakże wraz z nim otrzymałam również wielki i zimny dom w Nowym Jorku, dwóch przyrodnych braci, których nie cierpiałam, i macochę, która zwolniła moją ukochaną nianię, gdyż uważała, że lepiej dla mnie będzie zacząć wszystko "od nowa", a wszystkie mo- je ulubione sukienki rozdała biednym, uznając je za "nieodpowiednie". Ojciec rzecz jasna mnie kochał, ponieważ jednak w przeszłości widywałam go sporadycznie, nie zdawałam sobie sprawy, jak dużo pracuje i jak wiele czasu spędza poza domem. W marzeniach o nowym życiu było nas zawsze dwoje: ojciec i ja. W rzeczywistości byliśmy zawsze tylko we dwie z Alicją. Sebastian i Andrew wkrótce wy- jechali do szkoły i odtąd dzień za dniem spędzałam sama z macochą w rozległym pałacu przy Piątej Alei. Dojrzałość, do której tak tęskniłam podczas słonecznych lat mego dzieciństwa, przyszła nagle pewnego ciemnego poranka, kiedy padał śnieg. Wcale jej nie pragnęłam. Alicja udzieliła mi zwięzłego wykładu na temat podpasek higienicznych, a także wyjaśniła, jak zachowują się chłopcy w stosunku do

dorastających dziewcząt. Było to dość niesmaczne. Alicja objaśniła mi też prawdziwe życiowe realia, jakże inne od wpojonych mi przez matkę romantycznych iluzji. Byłam wstrząśnięta. Pomyślałam: a więc to wszystko przedstawia się jeszcze gorzej, o wiele gorzej, niż mi się wydawało. Matka się mnie wyrzekła, żeby robić "to". Nie chodziło tylko o uściski i pocałunki. Chodziło o "to". Niewiarygodne. Odrażające. Potworne. Mimo to przez cały czas wiedziałam, że matka nie chciała się mnie wyrzec. Wiedziałam, że mnie kocha. I wiedziałam też, że całe to nieszczęście wynikło z mojej winy. Nakłamałam sędziemu, a teraz pokutowałam za to nie tylko ja, ale i moja mama. Czasami myślałam, że chyba umrę ze wstydu. Wyrzuty sumienia nie dawały mi żyć. Wtedy jednak na ratunek przyszedł mi tatuś, cudowny tatuś, który zawsze umiał obchodzić się z dziećmi, taki serdeczny, cierpliwy i zatroskany. Oczywiście on zaraz się domyślił, że coś jest nie tak. On wiedział, że jestem nieszczęśliwa. - Opowiedz mi o wszystkim, córeczko - rzekł, a ja go posłuchałam. Zrzuciłam z serca cały ciężar, a on kiwał głową i tulił mnie w ramionach. I to on wszystko naprawił. Powiedział: - Kochanie, to nie ty powinnaś się obwiniać za to, co się stało. Od początku do końca winna jest twoja matka. Gdyby nie zaczęła się zadawać z takim gangsterem jak Danny Diaconi, nie byłabyś zmuszona tak postąpić. Twoja matka jest złą, zepsutą i pozbawioną wszelkich zasad kobietą. Taka osoba nie może wychowywać małej niewinnej dziewczynki. Mówił dalej, jak niemoralna jest moja matka, jak to sypia z każdym, kto jej się nawinie, i już po chwili zaczęłam się czuć o wiele lepiej, bo nabrałam przekonania, że to nie ja ponoszę odpowiedzialność za ów ciąg wydarzeń, w wyniku którego znalazłam się w Nowym Jorku. Zaczęłam wierzyć, że matka naprawdę dawała mi zły przykład i że ojciec miał pełne prawo upominać się o opiekę nad mną, mimo iż ja tymczasem zdążyłam zmienić zdanie i błagałam sędziego, żeby pozwolił mi zostać z mamą. Wtedy wszystko wydawało mi się takie proste. Jeśli znienawidzę matkę, nie będę musiała czuć się winna tego, co zrobiłam, a jeśli uwierzę, że mama jest zła, nie będę już miała żalu do ukochanego tatusia za to, że nas rozdzielił. - Ja nie chcę być taka jak ona! - szlochałam. - Nie chcę! - Oczywiście, że nie będziesz taka jak ona, kochanie - rzekł ojciec. - Zawsze będziesz dobrą dziewczynką, a gdy się zakochasz, wyjdiesz za męża i będziesz doskonałą żoną i matką, i w ten sposób będziesz w życiu szczęśliwa. Przecież chcesz tego, prawda? Jesteś dobrym dzieckiem i na pewno chcesz, żebym był z ciebie dumny. Oczywiście miał rację. Dokładnie tego chciałam, ponieważ kochałam tatusia, mojego cudownego tatusia, który pojawił się na białym koniu, żeby mnie ocalić, gdy byłam w rozpaczce. Przez wszystkie następne lata robiłam co w mojej mocy, żeby okazać mu, jak bardzo go kocham. Gdybym bowiem tak go nie kochała, mogłabym znów zacząć kochać matkę, a wówczas nie potrafiłabym już wierzyć, że jest tak zła, jak mi mówiono, gdybym zaś choć raz dopuściła do siebie zwątpienie, mogłabym się zacząć zastanawiać, czy to naprawdę matka była wtedy taka niedobra i pozbawiona skrupułów. Oczywiście te wszystkie straszliwe dylematy nie miały szansy się zrodzić, dusiłam je w zarodku, nie chcąc przyznać, że w ogóle miałyby rację bytu. Tak długo, jak długo kochałam ojca i nienawidziłam matki, byłam bezpieczna, i właśnie dlatego jakakolwiek zmiana mojej opinii o którymkolwiek z rodziców była dosłownie nie do pomyślenia... nie do pomyślenia... nie do pomyślenia... 10 - Nie do pomyślenia! - krzyknęłam, budząc się w swoim apartamencie w Savoyu. W Nowym Jorku była dopiero piąta rano, ale tu, w Anglii, ranek przechylał się już w stronę południa i trzeba było się zbierać. Wiedziałam z góry, że nie zdołam niczego przełknąć, zamówiłam więc tylko kawę. Później, gdy się ubrałam, zadzwoniłam do kliniki. Powiedziano mi, że mogę odwiedzić panią Diaconi o każdej porze, gdyż jej stan znacznie się poprawił. Przysiadłam na skraju łóżka. Byłam rozbita, pełna nieokreślonych lęków, które sprawiały, że miałam ochotę zamknąć się w pokoju na resztę dnia. Po chwili ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że myślę o Danny'cu. Danny zginął podczas strzelaniny, jaka wybuchła w kasynie należącym do jego ojca. Podejrzewam, że matka przeżyła wtedy dramat. Byli małżeństwem od pięciu lat, choć naturalnie nie orientowałam się, jak im się układało, ojciec

bowiem zabronił mi ich odwiedzać. Pośpiesznie wyszłam z hotelu i pojechałam taksówką do kliniki. Ulice Londynu przesuwały się za oknami. Rejestrowałam przelotnie szare niebo, szare budynki, szarych ludzi i szare gołębie. Czerwone autobusy troszeczkę rozjaśniały ten odpychający pejzaż, mimo to miasto zdawało się lodowato obce, przywodziło mi na myśl ostatnie koszmarne lata z Samem. Za- stanawiałam się, jak Scott tu wytrzymał tyle lat zesłania, po chwili wszakże odkryłam, że nie jestem w stanie skupić na nim myśli. Wszystkie uparcie wracały do mojej matki. - Czy mógłby się pan zatrzymać koło jakiejś kwiaciarni? Chwała Bogu, że przypomniałam sobie o kwiatach. Zawsze zanosił kwiaty do szpitala. Pamiętałam, jak wszyscy zasypywali mnie kwiatami, kiedy leżałam w szpitalu po śmierci Sama - wszyscy prócz Sebastiana, który przyniósł mi tomik poezji. Dotarliśmy do kliniki. W tym samym czasie zrobiło mi się słabo, rzuciłam więc pięciofuntowy banknot na fotel obok kierowcy i wbiegłam do środka nie czekając na resztę. Recepcjonistka skierowała mnie na właściwe piętro, wiele wysiłku kosztowało mnie jednak, by tam ruszyć. - Och, pani Diaconi będzie szczęśliwa, że panią zobaczy... Przyleciała pani aż z Nowego Jorku? Doprawdy, nasza pacjentka będzie zachwycona!... Nieszczególną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż? Podobno później ma się pokazać słońce... Pielęgniarka zasypała mnie angielskimi grzecznościami, lecz prawie jej nie słyszałam. Szłyśmy długim korytarzem; kilka sekund później pielęgniarka otworzyła drzwi na samym jego końcu. - Dzień dobry, pani Diaconi! Mam dziś dla pani wspaniałą niespodziankę! Pokój był jasny, przestronny, świeżo odmalowany i nieskazitelnie czysty. Sekretarka Scotta zadbała o kwiaty, czekoladki i czasopisma. Z najwyższym wysiłkiem oderwałam wzrok od tych sym- boli choroby i spojrzałam na leżącą w łóżku pacjentkę. Nie widziałam jej od 1959 roku, kiedy to złożyła ostatnią wizytę w Stanach i Sebastian pomógł mi się z nią uporać. Zapamiętałam kobietę o ufarbowanych na kruczają czerni włosach, z maską makija- żu na twarzy, zmanierowaną i mówiącą o niczym tak sztucznie, że zbierało mi się na wymioty. Z bie- giem lat odtwarzana przez nią parodia hollywoodzkich wampów stawała się coraz bardziej niesmacz- na, a w owym czasie osiągnęła poziom groteski. Wystarczyło, że na nią spojrzałam, a już czułam ob- rzydzenie. Odwróciłam się do niej, przygotowana, że i tym razem będzie tak samo, ale się myliłam. Cóż, nie byłam już tą samą kobietą, która osiem lat temu witała matkę w Nowym Jorku, a i ona także bar- dzo się zmieniła. W łóżku, podparta poduszkami, leżała stara kobieta o siwych, spłowiałych włosach, pomarsz- czonej twarzy i rozlanym ciele. Tylko jej oczy pozostały takie same - błękitne oczy, które odziedziczył po niej Benjamin, choć nigdy, nawet przed sobą, nie chciałam tego przyznać. Popatrzyła na mnie i te oczy zamglily się z miłości. - Och, Vicky - powiedziała. - Jak to dobrze, o, jak to dobrze, że przyjechałaś. I nagle posłyszałam głos mego ojca, odbijający się echem przez te wszystkie lata, i z przeraż- liwą ostrością przypomniałam sobie scenę, jaka rozegrała się na lotnisku Kennedy'ego po wyjeździe Scotta. Przypomniałam sobie wyznania mego ojca o jego nieudanym życiu osobistym. Przypomniałam sobie, jak powiedziałam do niego: "Dlatego nie cofnąłeś się przed niczym, żeby odebrać Stevenowi Scotta", i w tej samej chwili zanim zdążyłam odepchnąć od siebie tę myśl, usłyszałam słowa, które nigdy nie zostały wypowiedziane. Dodałam w duchu: "I dlatego nie cofnąłeś się przed niczym, żeby odebrać mnie matce". Zrozumiałam, co zrobił. Wiedział, że ją kochałam. Bał się, że zechcę do niej wrócić, gdy będę nieszczęśliwa w jego po- nurym domu przy Piątej Alei, zniekształcił więc prawdę, nagiął ją i nasycił swoimi kłamstwami, aż w końcu znenawidziłam własną matkę, a jego pokochałam bardziej niż kogokolwiek. Patrzyłam na kobietę, która nie przestała mnie kochać przez te wszystkie lata, kiedy ja starałam się o niej zapomnieć. W końcu - po tylu latach - ujrzałam w niej człowieka, jakim naprawdę była: nie potwora, nie ohydne ucieleśnienie niewysłowionych wad, lecz po prostu niezbyt mądrą kobietkę, któ- ra popełniła błędy i płaciła za nie, zwyczajną matkę, nie tak dobrą jak niektóre, ale lepszą niż inne; po prostu kolejną ofiarę mego ojca. 11 Ojciec czekał na mnie na lotnisku, kiedy w cztery dni później wróciłam do Stanów po długim weekendzie, spędzonym ze

Scottem. Wysłałam do niego telegram, w którym prosiłam, żeby po mnie wyszedł. Wydzwaniał potem do najlepszych londyńskich hoteli, próbując mnie zlokalizować, kiedy wszakże połączył się z Savoyem, powiedziałam, że nie przyjmę rozmowy. Wychodząc z sali odpraw, zobaczyłam go tuż przy barierce. Był blady i zdenerwowany. Jak zwykle orbitowało wokół niego trzech lub czterech asystentów, ja jednak nie zwracałam na nich uwagi. Podeszłam do niego i oświadczyłam: - Chcę z tobą porozmawiać. - Vicky, coś ty robiła w Londynie? Co się stało? Jakież kłopoty? Minęłam go bez słowa, a on gorączkowo pośpieszył za mną. Przy krawężniku czekał jego najnowszy model cadillaca - brzydki wytwór przemysłu samochodowego w bladokremowym kolorze. - Vicky... - ojciec z trudem zaczerpnął oddech. Potknął się, wsiadając za mną na tylne siedzenie, a kiedy się do niego odwróciłam, zobaczyłam, że drżącymi rękami otwiera fiolkę z lekarstwem. - Powiedz mi... proszę... Sprawdziłam, czy dzieląca nas od szofera i ochroniarza szyba jest szczelnie zasunięta. Ojciec zawsze montował dźwiękoszczelne szyby w swoich samochodach, bo często w drodze do banku lub z banku przeprowadzał poufne dyskusje ze swymi asystentami, tak więc naszej rozmowy nie mogły usłyszeć osoby siedzące z przodu. - Matka była chora - oznajmiłam krótko. - Musiałam lecieć do Londynu, żeby zorganizować coś na okres jej rekonwalescencji. Ze Scottem też się spotkałam, ale o nim porozmawiamy później. Teraz chcę z tobą pomówić o matce. Mam zamiar sprowadzić ją do Nowego Jorku. Wynajmę jej apartament w hotelu Pierre, a ty za niego zapłacisz. - Ja? - wyrzęził ojciec. Twarz miał barwy popiołu. - Nic nie rozumiem. - O tak, rozumiesz! Odebrałeś mnie matce i zatrąłeś mi umysł nienawiścią do niej! - Ależ... Vicky, chyba zdajesz sobie sprawę, jak to było? Twoja matka nie zasługiwała na taką kochaną małą dziewczynkę jak ty... - To ty na mnie nie zasłużyłeś! Kochałam matkę i ona mnie kochała, ale ty usunąłeś ją z mojego życia... Boże, to zupełnie tak, jak gdybyś ją zamordował! - Musiałem to zrobić ze względu na ciebie. Ci wszyscy mężczyźni... ta rozpusta... - Och, przestań mi opowiadać wciąż te same bzdury! Moja matka była seksowną kobietą, która nie potrafiła ułożyć sobie życia. Owszem, porozwodnie z tobą miała parę romansów - nie zamknęła się przecież w klasztorze! Ale zawsze żyła nadzieją, że znowu wyjdzie za męża. Czekala wiele lat, żeby się upewnić, że znów nie popełni tego samego błędu, jaki popełniła wychodząc za ciebie, aż w końcu znalazła kogoś, z kim mogła być szczęśliwa. Tym kimś był Danny Diaconi. W porządku, może i był gangsterem. A może nie był. Sieć hoteli Diaconich była najzupełniej legalna. Może po prostu łatwo jest myśleć o nim jak o gangsterze, bo był Włochem, a jego ojciec miał różne powiązania, ale co dziś w końcu znaczy słowo "gangster"! Kiedy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że jesteś gangsterem w o wiele większym stopniu, niż kiedykolwiek był nim Danny Diaconi! - Ależ, Vicky, przecież nie cierpiałaś Danny'ego! - Byłam o niego zazdrosna. Byłam głupiutką smarkulą, a ty to wykorzystałeś, żeby rozdzielić mnie z matką i zatrzymać wyłącznie dla siebie! - Naprawdę wierzyłem, że tak będzie dla ciebie najlepiej... - Jak mogłeś? Naprawdę myślałeś, że takie pranie mózgu wyjdzie mi na dobre? Robiło mi się słabo, kiedy wymieniano przy mnie imię mojej matki! Nie tylko ona strasznie cierpiała przez ciebie, ja też! - No cóż... Słuchaj, ja... Vicky, nie gniewaj się na mnie. Proszę, przebac mi, nie zniósłbym tego, gdybyś... Posłuchaj, daj mi szansę, żebym to choć w części naprawił. Apartament u Pierre'a powiadasz? W porządku, dostanie najlepszy. - Rozumie się, że najlepszy, a to dopiero początek. Teraz ty mnie posłuchaj. Nigdy, do końca twoich dni, nie chcę więcej słyszeć, że mówisz coś złego o matce. Masz ją traktować przyzwoicie i z szacunkiem, odnosić się do niej jak do człowieka. Rozumiesz? Dobrze, wobec tego chciałabym, żebyś zrozumiał jeszcze coś: jeśli kiedykolwiek znowu posuniesz się do czegoś takiego, koniec z nami. Mówię poważnie. Nie wolno ci myśleć, że ujdzie ci na sucho ciągłe niszczenie innych tylko dla jakichś tam twoich egoistycznych celów! Jesteś moim ojcem i mimo wszystko nadal cię kocham - przypuszczalnie zawsze będę cię kochać, niezależnie od tego, co zrobisz - ale w końcu przychodzi czas, gdy człowiek musi się przeciwstawić, nawet tym, których kocha, a taki czas właśnie

nadszedł. Koniec z tym, ojcze, niech dzisiejszy dzień będzie dla ciebie granicą. Stoisz tuż nad nią. Możesz zostać w tym miejscu albo nawet się cofnąć, a nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy żyć ze sobą w zgo- dzie. Jeśli jednak przekroczysz ją choć o krok, zerwę z tobą na dobre. Wybaczyłam ci to, co zrobiłeś Scottowi. W tej chwili wybaczam ci krzywdę, którą wyrządziłeś mnie. Ale nie mogę ci wiecznie wy- baczać, tatusiu. Nie jestem świętą. Jestem twoją córką, a to jest ostatnia szansa na poprawę, jaką ci daję. Umilkłam. Cisza przedłużała się. - I jak, ojcze? - Dobrze. - Umowa stoi? - Stoi. Spojrzeliśmy na siebie. Ojciec był trochę spocony, a w oczach malowało mu się cierpienie. - Astma ci dokucza? - Mhm. - Czy w tej obrzydliwej bryce jest barek? Należę ci trochę brandy. Jednakże w samochodzie nie było barku ani brandy. Spojrzałam na niego ponownie i zobaczy- łam, że położył rękę na siedzeniu, w połowie dzielącej nas odległości. Patrzyłam na nią przez chwilę, potem podniosłam i uściśnęłam. Jego palce czule, z wdzięcznością splotły się z moimi. Przez resztę drogi milczeliśmy. Kiedy samochód podjechał pod moją kamienicę, zaprosiłam go do środka, nie do wspólnego mieszkania, lecz do mojej prywatnej garsoniery, gdzie mogliśmy być sami. - Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? - szepnął ze strachem, przechodząc ze mną przez próg. - Tak - odparłam, kierując się prosto do barku, żeby nalać mu podwójną brandy. - Chcę z tobą porozmawiać o Scotcie. Rozdział czwarty 1 - Scott i ja zamierzamy się pobrać - powiedziałam. - Za miesiąc weźmiemy cichy ślub w Londy- nie. Przez moment myślałam, że ojciec zemdleje, choć naturalnie nic takiego się nie stało. Nie wpadł również w panikę, nie zaczął krzyczeć, nie wychylił brandy jednym tchem ani nie okazał innych oznak słabości. Przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że doszedł do siebie w podziwu godnym tempie. Moje wynurzenia na temat matki musiały go przyprawić o prawdziwy wstrząs, deklaracja na temat Scotta natomiast dotyczyła czegoś, czego się obawiał już przed trzema laty. Przyglądałam się, jak po- ciąga mały łyk z kieliszka, żeby zyskać na czasie, i zastanawiałam się, czy nie próbuje sobie przypom- nieć swojej partii w dialogu, który w duchu przećwiczył już wtedy. - Cóż za niespodzianka! - rzekł. - Zawsze sądziłem, że Scott jest zagorzałym przeciwnikiem małżeństwa. To miłe, że jednak w końcu nie miałem racji! Spojrzałam na niego podejrzliwie, lecz nie odezwałam się. Ojciec podjął jeszcze jeden wysiłek. - Kupił ci pierścionek zaręczynowy? - spytał niewinnie. Zdjęłam rękawiczkę i błysnęłam mu brylantami przed nosem. - Bardzo ładny! - orzekł. - Moje gratulacje! Pewnie jesteś bardzo szczęśliwa i podekscytowana... Trochę to nagle, nie sądzisz? A może już od jakiegoś czasu w tajemnicy utrzymywaliście ze sobą kon- takt? Objśniłam mu kolejność wydarzeń. Siedzieliśmy na długiej białej sofie, on na jednym jej końcu, ja na drugim. Dzielili nas spora od- ległość. W akwarium pod oknem pływały sennie dwie ostatnie różowe rybki, którymi w czasie mojej nieobecności opiekował się Benjamin. W pokoju było chłodno i ciemnawo. - Ojcze, doskonale wiem, co sobie myślisz, ale... - Vicky, proszę, nie mów do mnie "ojcze". To takie lodowate słowo. Skoro nie chcesz już na- zywać mnie tatusiem, możesz mi mówić "Korneliusz". - O, nie! Stanowczo potępiam zwracanie się do rodziców po imieniu. Oj, tatusiu, postaraj się być rozsądny! - Czyżbym był nierozsądny? Czyżbym histeryzował i wykrzykiwał sprzeciwy? Przecież dopiero co złożyłem ci szczere gratulacje! Miałam paskudne przeczucie, że właśnie w tej chwili próbuje mnie wymanewrować. - Na pewno były szczere? - wyjąkałam. - Oczywiście. Kobieta, zdolna zaciągnąć Scotta Sullivana do ołtarza, zasługuje na moje naj- szersze gratulacje. - Myślisz, że Scott mną manipuluje, tak? - wybuchnęłam. - Posądzasz go o wszystkie najniższe pobudki! - Myślę tylko, że nie jest dla ciebie odpowiedni - rzekł krótko ojciec. - Ale co z tego? Nie mam prawa się wtrącać. To twoje życie. Wstał. - Już idziesz? - spytałam, nieco zbита z tropu. - Muszę wracać do biura. Mam ważne spotkanie. Ale chętnie zabrałbym cię dziś na kolację, że- by cię upewnić, że nie mam zamiaru się z tobą kłócić ani stawać ci na drodze. - O - powiedziałam, zdumiona jeszcze bardziej - dziękuję! Ale może niedzisiaj. Będę padać z nóg. Wiesz, ten poślizg czasowy. Co powiesz na jutrzejszy lunch? - Doskonale - ojciec rozejrzał się po pokoju, jak gdyby

podziwiał jego przytulną i przesyconą spokojem atmosferę. - Czy moglibyśmy zjeść tutaj? Drogie restauracje zaczynają mnie nudzić... cho- ciaz, oczywiście, jeżeli masz ochotę na elegancki lunch, będę uszczęśliwiony, mogąc... - Nie. W Londynie codziennie jadłam lunch w eleganckich restauracjach. Podoba mi się twój pomysł z jedzeniem w stylu niedbałym. Na co byś miał apetyt? Kupię coś w Hamburger Heaven. Ojciec zastanowił się. - Jeden średnio wypieczony hamburger ze wszystkim oprócz plasterków cebuli. Frytki i dużą colę. - Twarz mu pojaśniała. - To będzie ucztą! Niespodziewanie odkryłam, że się do niego uśmiecham. Podniosłam się. - Muszę iść na górę sprawdzić, czy dzieci wróciły już ze szkoły. Na korytarzu przystanęliśmy koło windy. - Uwierz mi Vicky, chcę tylko twego szczęścia. - Nie strasz mnie, tatusiu. Tak dobrze ci szło! Uścisnęliśmy się ze śmiechem, i choć próbowałam zachować zdrowy sceptycyzm, pomyślałam z ulgą: "To jest możliwe, wszystko będzie dobrze, w końcu i tak dopnę swego." 2 - Podwójne frytki! - ucieszył się ojciec maczając frytkę w pojemniczku z keczupem. - Delicje! Dziękuję ci, kochanie. - Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz może zdradzisz mi prawdziwy powód tego te- te-a-tete? Z twarzy ojca w sposób prawie niedostrzegalny zniknął wszelki wyraz do tego stopnia, że wy- raźniej ujawniła się drobnokoścista struktura jego czaszki. Ponieważ był szczupły i bardzo przystojny, wyglądał zwodniczo młodo, zwłaszcza gdy stał tyłem do światła. Włosy, wciąż gęste, choć ich barwa przybladła, potęgowały jeszcze to wrażenie. Jego oczy miały rzadki świetlistoszary kolor. - Chciałem nieco dokładniej omówić z tobą twoje plany na przyszłość. - Tak właśnie myślałam. - Niestety, trudno mi udawać, że będzie to łatwa rozmowa. - Nie jestem tym zaskoczona. - Mam nadzieję, że zdołamy zachować rozsądek, nie wyprowadzając się nawzajem z równowagi. - Ja też mam taką nadzieję. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie uprzejmie. Potem ojciec zaczął się bawić hamburgerem, po- prawiać liść sałaty, skrapiać go keczupem i uważnie oglądać marynaty. - Nie cofam tego, co mówiłem wczoraj - powiedział. - Jeśli chcesz, wyjdź za niego. Nie mam zamiaru ci w tym przeszkadzać, a i potem zrobię wszystko, żeby zaadaptował się w rodzinie i w roli mojego zięcia. - To świetnie. Dziękuję. - Chciałbym jednak poczynić pewną drobną sugestię. Oczywiście nie masz obowiązku się do niej dostosować. - To się samo przez się rozumie. Ojciec westchnął, ugryzł kęs hamburgera, przeżuł go, połknął i popił resztą coli ze szklanki. Ja zjadłam do tej pory dwie frytki i właśnie sobie uświadomiłam, że już więcej nie przełknę. Odstawiłam na bok cocacolę i podeszłam do barku, żeby zrobić sobie martini. - Chcę się odwołać do twojej dojrzałości i zdrowego rozsądku - rzekł ojciec. - Jak to przyjemnie brzmi! Mam nadzieję, że moja dojrzałość i zdrowy rozsądek staną na wyso- kości zadania. - Ja również mam tę nadzieję. Vicky, nie śpiesz się do tego ślubu. Jedźna miesiąc do Anglii i spędź z nim całe lato, ale jako jego kochanka, nie żona. Milczałam. - Nie wspominałaś o tym wczoraj, choć podejrzewam, że i tak miałaś zamiar spędzić z nim okres, gdy dzieci jak zwykle wyjadą do Bar Harbor. - Tak. Uznałam, że powinien najpierw oswoić się z żoną, zanim wróci do Nowego Jorku i bę- dzie się musiał oswoić z piątką dzieci. - Zgadza się. Też o tym pomyślałem. Ale dlaczego nie możecie poczekać ze ślubem do przyszłe- go roku, kiedy wróci tu na stałe? Posłuchaj, Vicky, spróbuj na chwilę zapomnieć, że ten człowiek to Scott Sullivan. Fakt, że jest Scottem, zaciemnia tylko obraz. W każdym innym wypadku udzieliłbym ci tej samej rady. Masz już za sobą dwa związki, z których żaden nie był szczególnie udany. Czyli, nie owijając w bawełnę: żyłaś już z dwoma mężczyznami i za każdym razem kończyło się to klęską. Nie możesz sobie pozwolić na kolejny błąd. Ucierpiałabyś i ty, i dzieci. Jeśli chcesz po raz trzeci wyjść za mąż, musisz się najpierw upewnić, że znowu nie czeka cię zawód, i dlatego uważam, że byłabyś głu- pia, gdybyś zrezygnowała z szansy, jaką daje związek na próbę, zanim postawisz wszystko na jedną kartę i po raz kolejny staniesz przed ołtarzem. Pociągnęłam łyk martini, patrząc na swojego nietkniętego hamburgera. - Nie mam zamiaru - dodał po krótkiej przerwie ojciec - czynić tu skądinąd uzasadnionych uwag na temat potencjalnej zdolności bądź niezdolności Scotta do życia we dwoje. Powiem tylko tyle: o ile mi wiadomo, jak dotąd nigdy

mu się to nie udało. Nie sądzisz, że i względem niego byłoby to uczciw- sze? Pomieszkaj z nim najpierw, zanim w majestacie prawa narzucisz mu więzy, których mimo najlep- szych chęci może na dłuższą metę nie znieść. Moim zdaniem za takim wariantem przemawia nie tylko rozważa i ostrożność, ale także współczucie i szacunek dla drugiego człowieka. Znów umilkł. Wciąż nie mogłam się zdobyć na odpowiedź. Niezdecydowanie obracałam w pal- cach kieliszek z martini. - Przenieś się na lato do Londynu - ciągnął ojciec. - Jesienią wrócisz do Nowego Jorku i roz- poczniesz przygotowania do wesela. A zaraz po Nowym Roku możesz za niego wyjść... - Zaraz po tym, jak go wylejesz? Ojciec skrzywił się. - Nie bądź głupia, Vicky. Nie mam zamiaru narażać dobrych stosunków z tobą. Zaczynijże wreszcie myśleć! Sytuacja i tak jest wystarczająco trudna. Nie musisz na siłę przypisywać mi roli czarnego charakteru. - Czy możesz mi obiecać, że go nie wyrzucisz, kiedy zostanie moim mężem? - Oczywiście! Sądzisz, że jest mi całkiem obojętne, czy ze mną rozmawiasz, czy nie? - Chciałabym usłyszeć twoją obietnicę. - Obiecuję ci, że go nie wyrzucę, kiedy się z tobą ożeni. Poza tym, jak wiesz, nie mogę go wy- rzucić przed pierwszym stycznia 1968 roku, chyba że popełni jakieś poważne wykroczenie natury za- wodowej, a i wtedy muszę mieć zgodę wszystkich współników. Skoro więc tak się mnie boisz, wyjdź za niego jeszcze przed tą datą. - Bez obawy. Mam szczerzy zamiar poślubić go jeszcze w tym roku. Ale co potem? Przechodzisz na emeryturę? A jeżeli tak, co z bankiem? - Obawiałem się, że o to zapytasz - ojciec znowu przesunął liść sałaty na talerzu. - Niestety, Vicky, to będzie najprzykrzejsza część naszej rozmowy, bo muszę ci wyznać coś, co ci się na pewno nie spodoba. Prawda jest taka: czy Scott zostanie twoim mężem, czy nie, postanowiłem, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie uzyska władzy nad bankiem. 3 Zapadła martwa cisza. Poczulałam nagły strach; wypilałam resztę martini i wstałam, żeby sobie zro- bić następne. - Nie wpadaj w panikę - ciągnął ojciec. - To wcale nie takie nieszczęście, jak ci się wydaje. Nie potrafisz myśleć o Scotcie obiektywnie, bo jesteś w nim zakochana, ale ja to potrafię i już dawno wszystko przemyślałam... może byś tak odstawiła to martini? Wcale ci nie jest potrzebne, a jeśli na- wet, to i tak nie powinnaś go pić. W trakcie trudnych rozmów nie sięga się po alkohol; to zasada, któ- rej musisz zawsze przestrzegać. - Co ty powiesz! - bąknęłam, mimo to odstawiłam kieliszek i usiadłam naprzeciw niego przy sto- liku. Ojciec dolał mi coca-coli, odczekał chwilę i rzekł: - Mam zamiar pozostać na swoim stanowisku do czasu, gdy przejmie je Eric. Moja astma co prawda wcale się nie cofa, ale też i nie pogarsza. Myślę, że dam sobie radę. Muszę sobie dać radę. Nie mam wyboru. Nie zaufałbym żadnemu z pozostałych współników. Jeśli Scott ma zostać w firmie, ja nie mogę ustąpić, bo jeśli mnie zabraknie, w ciągu tygodnia przekabaci ich na swoją stronę. - Tatusiu... - Zaczekaj, pozwól mi skończyć. Nie skrzywdzę Scotta, nie chcę go także ranić. Nie powiem mu prosto z mostu, że nigdy w życiu nie dostanie tego, czego chce. Pozwolę, by stopniowo i bezbo- leśnie uświadomił to sobie z biegiem lat. Będę odwlekał przejście na emeryturę, będę się wykręcał od precyzowania konkretnych planów na przyszłość; załatwię to delikatnie, przyrzekam, a on w końcu pogodzi się z porażką i jakoś to przeżyje. Wiem, że przeżyje. Scott jest o wiele bardziej wytrzymały, niż ci się wydaje. - Jest o wiele wrażliwszy, niż potrafisz to sobie wyobrazić. - Być może, w pewnych dziedzinach życia osobistego, za to w życiu zawodowym jest praktycz- nie niezniszczalny i dlatego, jeśli zatrzymam go w firmie - a zatrzymam, skoro tego chcesz - muszę powziąć pewne środki ostrożności. Na przykład muszę się go pozbyć z Nowego Jorku. Nie odeślę go do Europy, bo oboje na pewno uznalibyście to za wygnanie, ale przyszło mi na myśl, że mógłbym otworzyć filię w Kalifornii. Co byś powiedziała na parę lat w San Francisco? To tylko kilka godzin lo- tu stąd, a wciąż byłabyś u siebie, we własnym kraju. Ależby się Sylwia ucieszyła! Choć ma już ponad osiemdziesiąt lat, wciąż jeszcze jest bardzo czynna... - Tatusiu, proszę cię... Proszę... - Przykro mi. Wiedziałem, że to cię zmartwi, dla mnie jednak to kwestia wyboru. Nie wyrzucę Scotta. Ale jeśli nadal chce u mnie pracować, musi przyjąć moje warunki. Jeśli nie, może się przenieść do innego banku. Jest

przecież wolnym człowiekiem. - Nie jest. Nigdy nie był wolny. Jest więźniem przeszłości, a ty trzymasz w ręku klucz do jego więzienia i nie chcesz mu go oddać! - Z przykrością stwierdzam, że nie dostrzegam w jego sytuacji aż tyle dramatyzmu - odparował uprzejmie ojciec. - Podejrzewam, że fakty są o wiele bardziej prozaiczne. Scott żywi całkiem zrozumiałą ambicję, żeby przejąć bank. Oczywiście go nie dostanie, ale przecież zrobił pierwszorzędną karierę w bankowości i z pewnością dowiódł tym całemu światu, że o niebo przerasta ojca, a to, jeśli chcesz znać moje zdanie, stanowi sedno całej sprawy. Skoro zaś tego dowiódł, sądzę, że w końcu dojdzie do wniosku, że życie nie jest takim pasmem nieszczęść. Zwłaszcza że ty mu je opromienisz. Prawdę mówiąc, twoja rola będzie miała zasadnicze znaczenie dla jego uzdrowienia. To ty wypełnisz powstałą pustkę i dasz mu nowy cel, dla którego warto żyć. Nic mu nie będzie. Wszystko skończy się dobrze, zaręczam ci. - Nie rozumiem, dlaczego z takim uporem nie chcesz mu zaufać! Przecież kiedy się pobierzemy, chyba wreszcie uwierzysz, że nie zrobi niczego, czym mógłby mnie zranić? - A niby dlaczego? Mężowie często ranią swoje żony, Vicky. Ojciec Scotta o mały włos nie wykończył mojej siostry. Skąd mam wiedzieć, czy Scott nie byłby zdolny zniszczyć ciebie? Nie mogę podarować mu władzy nad bankiem tylko dlatego, że wykazał się godnym podziwu refleksem i ustrzegł przed dymisją, prosząc o twoją rękę! Zerwałam się na równe nogi. - Ty draniu! - krzyknęłam. - Jak śmiesz tak mówić! Jak śmiesz wszystko przekreślać, niszczyć i brukać... - Nie tym razem, Vicky. Ten nurt został już zbrukany. Ja tylko staram się rozeznaczyć w mętnej wodzie. Dziękuję za lunch. Przykro mi, że musiałem poruszyć tak niemiłe sprawy, i bardzo proszę, nie każ mi żałować, że oddałem ci honor, mówiąc z tobą otwarcie. Mam nadzieję, że zastanowisz się nad moją radą, nawet jeśli w całości odrzucisz wszystkie późniejsze uwagi. Nie oglądając się wyszedł do przedpokoju i otworzył drzwi. - Na razie, Vicky. Zadzwoń, kiedy przemyślisz to, co ci powiedziałem. Drzwi delikatnie zamknęły mi się przed nosem. Stałam, przysłuchując się milknącym w korytarzu krokom, a potem, przecierając oczy, jak gdyby chciała się pozbyć nieprzyjemnej wizji, podeszłam do telefonu, żeby zadzwonić do Scotta. 4 - Cześć! - odezwał się Scott. - Co za zbieg okoliczności, właśnie miałem do ciebie dzwonić! - Naprawdę? - Tak, bo wygląda na to, że za dwa tygodnie będę w Nowym Jorku. Wynikła tu pewna sprawa i chcę ją omówić z Korneliuszem. - To świetnie! - usiłowałam się skupić. - Wspaniała wiadomość! - Jak twoje samopoczucie? - No cóż, skoro już o to pytasz, przyznam, że czuję się tak, jakby ktoś zdmuchnął mnie obuchem w głowę. Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy też naprawdę z wiekiem człowiek coraz ciężiej znosi te przeskoki czasowe? - Przez chwilę miałem paskudne wrażenie, że stoczyłaś ciężką potyczkę z ojcem! Jak przyjął nowiny? - Nieźle. W gruncie rzeczy nawet całkiem dobrze. Dlatego właśnie dzwonię, ale skoro przyjeżdżasz, oszczędzę ci szczegółów. Porozmawiamy o nich, kiedy się zobaczymy. Tylko broń Boże się nie martw, kochanie. Ojciec pogodził się z myślą o naszym ślubie, a oprócz tego dowiódł, że nie ma zamiaru robić nam żadnych wstrętów. - Pragmatyczny jak zawsze! Chryste, ten Korneliusz to stary spryciarz! Zapadła cisza. - Vicky? Jesteś tam? - Tak - odpowiedziałam. - Tak, jestem. No cóż, kochanie, nie będę cię odrywać od pracy. Nie- długo znów się odezwę. Powiedział mi, że mnie kocha, i odłożył słuchawkę. Przez dłuższy czas siedziałam przy milczącym telefonie. 5 - Tatusiu, przepraszam, że napadam cię w biurze, ale dzwonię, żeby ci powiedzieć, iż zdecydowałam się pójść za twoją radą w kwestii próbnego pożycia i odłożyć ślub do Bożego Narodzenia... a ściślej mówiąc do Wigilii, bo wtedy są również moje urodziny. Ostatecznie uciekałam już z Samem do Marylandu i z Sebastianem do Reno, i chyba czas najwyższy urządzić jakieś normalne rodzinne wesele w Nowym Jorku, to znaczy bez żadnej pompy i różnych cyrków, po prostu cichą rodzinną uroczystość, w której wezmą udział wszystkie moje dzieci. Ojciec powiedział tylko: - Cieszę się. Jestem pewien, że postąpiłaś słusznie. Dziękuję ci, Vicky... Scott już wie? - Czekam z tym, aż przyjedzie do Stanów. - Mam nadzieję, że się nie wścieknie i nie zacznie mnie oskarżać o manipulację. -

Nie bądź śmieszny, tatusiu. Scott wie, że mam własny rozum... 6 Dwa tygodnie później znalazłam się ze Scottem w Carlyle'u. Był wczesny wieczór. Samolot wy- lądował o czasie i po spotkaniu na lotnisku odwiozłam Scotta do hotelu swoim wozem - nie wielką landarą, służącą mi do transportowania dzieci, lecz małym angielskim sportowym samochodem, którego rzadko miałam okazję używać. Scott dojechał na miejsce cały i zdrowy, choć blady jak ściana. - Chcesz trochę odpocząć? - spytałam spokojnie, na co on nagle odzyskał siły i zaprosił mnie do swojego pokoju. Później, o wiele później, przeciągnął się leniwie w pościeli i z nowym przyływem energii zawo- łał: - Chodźmy gdzieś na drinka! Trzeba to uczcić! - Dobrze - oparta na łokciu paliłam papierosa, w rozmarzeniu przyglądając się jego srebrzyście połyskującym skroniom. Kiedy podłożył sobie ręce pod głowę, syciłam oczy widokiem jego ramion i klatki piersiowej. Wyciągnęłam rękę i lekko powiodłam palcem od jego warg do pępka i dalej, do twardych ud. - Gdzie chcesz świętować? - zapytałam. - Zaraz się zastanowię - odparł, uśmiechając się sennie gorącymi czarnymi oczyma, po czym znów przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Włosy na karku miał gęste i na tyle długie, że dawały się ująć w palce. Szorstki policzek przy- pominał, ile czasu minęło od porannego golenia w Londynie. Baczki, widziane z tej odległości, nie by- ły już cienkie i gładkie, lecz gęste i krzaczaste, a czerń dokładnie mieszała się w nich ze srebrem. Scott nie palił i miał bardzo ładne zęby, olśniewająco białe, choć niezbyt równe, o czym zresztą nigdy nie pamiętałam. Dopiero gdy patrzyłam na niego z bliska, zwracałam uwagę na to, że dwa odrobinę wystają z szeregu. Kiedy się odprężył, jego usta przybierały zmysłowy wyraz, choć zwykle były zacię- te i uparte, a wąska górna warga bezlitośnie dominowała nad pełniejszą dolną. Z kącików oczu biegły drobne zmarszczki świadczące o tłumionym w sobie cierpieniu. Była to twarz znamionująca siłę, lecz nie można było jej nazwać szczęśliwą. Znów zaczął mnie pieścić. Jego skupienie mogło się wydawać niemile bezosobowe, ale mnie zawsze podniecało do granic transu, mimo że nie byłam pewna, skąd bierze się ten hipnotyczny wpływ. Pewną rolę musiała tu odgrywać męska uroda Scotta, lecz nie tylko; jedną z najsmutniejszych życiowych prawd jest to, że uderzająco przystojni mężczyźni niekoniecznie są równie atrakcyjni w łóżku. Może trafniejsze byłoby stwierdzenie, że sama chciałam dać się zaczarować i wiedziałam, że Scott potrafi mnie wprowadzić w stan całkowitego odprężenia. Przy nim się nie bałam, że popełnię jakąś niezręczność, która obydwójce wprawi w zakłopotanie. Jego zatracająca niemal o rutynę wprawa mogłaby zmrozić wiele innych kobiet, mnie natomiast pomagała pokonać strach, że zrobię fałszywy krok i cały nastrój pryśnie. Za każdym razem pokładałam ufność w tej jego mechanicznej kontroli i nigdy się nie zawiodłam. A jednak, kiedy zastanawiałam się nad tym głębiej, dochodziłam do wnios- ku, że tym, co mnie tak rozpala, nie jest bezosobowa bezlitosna rutyna, lecz końcowy wybuch z daw- na tłumionych emocji, nagłe otwarcie się tego niedostępnego, zagadkowego umysłu. - Chodź, moja ty enigmo - powiedziałam. - Obiecałeś mi drinka. - Czyżbym był aż tak tajemniczy? - Jesteś inny. Gdyby to był film science-fiction, grałbyś rolę kosmity w ludzkiej skórze. - Gdyby to był film science-fiction, to ja byłbym jedyną istotą ludzką w otoczeniu kosmitów przebranych za roboty! Wybuchnęliśmy śmiechem. Potem się ubraliśmy i bez pośpiechu zeszliśmy do holu. - Zaczynam się tu czuć jak turysta - powiedział Scott, wzywając taksówkę przed wejściem do hotelu - więc może zabawmy się w prawdziwych turystów i chodźmy na Beekman Tower. Będziemy podziwiać zachód słońca nad Manhattanem. - Wspaniale, ale po co nam taksówka? Nie podoba ci się mój samochód? - Błagam, tylko nie to! Nie chcę zaczynać wieczoru od brandy w formie lekarstwa na szok! - zaprotestował ze śmiechem, wsiedliśmy więc do taksówki i przez całą drogę całowaliśmy się na tyl- nym siedzeniu jak para nastolatków. Szofer ze zgorzeniem obserwował nas w lusterku. W koktajlbarze na szczycie Beekman Tower, wysoko ponad Pierwszą Aleją, znaleźliśmy stolik przy oknie wychodzącym na zachód, wprost na lśniące wieżowce Manhattanu, dziwnie dwuwymia- rowe na nierealnym tle szkarłatnego nieba. - Dla pani proszę martini, bez wody, z jedną oliwką - rzekł Scott do

kelnera - a dla mnie... - za- wahał się, przebiegając wzrokiem sążnisty spis serwowanych trunków - dla mnie wódkę. Z lodem i odrobiną soku cytrynowego. Podwójną. - Spojrzał, że na niego patrzę, i dodał z uśmiechem: - Muszę sobie strzelić coś, co mnie postawi na nogi! W Anglii jest już północ, a ja miałem dzisiaj pra- cowity dzień. - I tak jesteś w znakomitej formie. Nie wiem, jak to robisz. Lot przez Atlantyk jest w stanie człowieka wykończyć. Właśnie miałam coś dodać, kiedy kątem oka zauważyłam przy pobliskim stoliku młodego ciem- nowłosego człowieka. Był w towarzystwie oszalamiającej brunetki, która w dawnych czasach bez wątpienia robiłaby karierę w Hollywood, a dziś przypuszczalnie zarabiała na życie w jakiejś nowojor- skiej wytwórni płytowej. - Dobry Boże! - wykrzyknęłam. - Toż to Donald Shine! Scott obejrzał się, lecz młody człowiek nas nie zauważył. Całą jego uwagę zaprzętała piękna towarzyszka. - Nie mówiłaś mi, że go znasz. - Nie? Poznałam go jakieś dwa lata temu na przyjęciu u Jake'a. Wkrótce po tym, jak Shine prze- jął tę firmę komputerową. Scott uśmiechnął się cierpko. - Od tego czasu przeszedł długą drogę. Trudno było temu zaprzeczyć. Niedawno Donald Shine przejął kontrolę nad Stamford-Hartford Reliance, jedną z największych i najstarszych firm ubezpieczeniowych w kraju, po czym oświadczył, że jego nowa firma, po przemianowaniu na Shine & General, przekształci się w konglomerat specjalizujący się w usługach finansowych. Wall Street przyglądała mu się teraz z trwożną fascynacją, niczym grupka podstarzałych królików osaczonych przez młodą, głodną kobrę. - Twój ojciec o mało nie dostał apopleksji, kiedy Shine zgarnął Stamforda - powiedział Scott, kiedy kelner przyniósł nam drinki. - Przez okrągłą godzinę opowiadał mi przez telefon o tym potwor- nym smarkaczu z Brooklynu, który ośmiela się wydawać rozkazy statecznym anglosaskim protestan- tom i bogobojnym członkom Ivy League. Przy okazji wyluszczył w całości swój pogląd na zło, które zalewa ten kraj, a wiesz, jaki jest Korneliusz, kiedy już zaczniesz nawijać o facetach wystawiających czek bez pokrycia, czarnych anarchistach i młodocianych narkomanach... A właśnie, skoro już o nim mówimy; powiedz, jak zareagował na wieść o naszych zaręczynach. Kamień spadł mi z serca, kiedy się dowiedziałem, że zdecydował się nie wypowiadać nam otwartej wojny. - Właśnie. Pewnie trudno będzie ci w to uwierzyć, ale nawet wystąpił z pewną rozsądną radą. Przynajmniej ja za taką ją uznałam. Mam nadzieję, że ty również będziesz tego zdania. - Prosił cię, żebyś odłożyła ślub? Zaskoczył mnie. - No... owszem. - Boże, nie powiesz mi chyba, że ustąpiłaś? - Nie ujęłabym tego w ten sposób - sprostowałam. Czulałam, że twarz zaczyna mi płonąć. - Parę istotnych kwestii przemawia za weselem w Boże Narodzenie. Pomyślałam... - Krótko mówiąc, Korneliusz użył swoich machinacji, żeby opóźnić chwilę, w której zwiążesz się ze mną - Scott wychylił kieliszek do dna i skinął na najbliższego kelnera. - Jeszcze jedna podwójna wódka. - Jesteś niesprawiedliwy, a poza tym wcale tak nie było - zdenerwowałam się. - Nie mówię już o tym, że marzę o cichym rodzinnym weselu tu, w Nowym Jorku, kiedy wreszcie wrócisz z Europy, ale uważam, że oboje jesteśmy sobie winni choć trochę prawdziwego romansu zamiast tych niereal- nych, wyrwanych z kontekstu odrzutowych spotkań! Chcę za ciebie wyjść, pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, ale nie chcę, żebyś później zmienił zdanie i oskarżył mnie o to, że zmusiłam cię do małżeństwa w chwili, gdy byliśmy jeszcze parą obcych ludzi! - Obcych! - Tak, obcych! Spędziliśmy ze sobą tydzień w Nowym Jorku ponad trzy lata temu, potem wee- kend w Londynie w tym roku, a teraz czeka nas jeszcze kilka wspólnych dni. To oczywiście wspania- łą, romantyczne i podniecające, ale tak dalekie od normalnego małżeńskiego życia, jak gdyby rozgry- wało się na innej planecie! Ojciec radzi, żebyśmy zamieszkali razem tego lata w Londynie i spróbowali żyć w związku przynajmniej w pewnym stopniu podobnym do małżeństwa. Małżeństwo na próbę to naturalnie nie to samo co prawdziwe, dzięki niemu jednak oboje zyskamy choćby blade pojęcie o tym, jak będzie wyglądać nasze wspólne życie. Przykro mi, ale uważam, że w tej kwestii ojciec ma rację. Jego machinacje nie mają tu nic do rzeczy. Decyzję podjęłam sama. - Twój ojciec gra na czas. Stawia na to, że ci się znudzę i zerwiesz zaręczyny albo odłożysz

ślub do nowego roku, a wtedy będzie się mógł mnie pozbyć... - Och, mam już dosyć tych paranoicznych podejrzeń, którymi się obaj zarzucacie! Możesz się uspokoić. Tatusь dał mi słowo, że cię nie zwolni, a ja mu wierzę. Nie zaryzykuje, że kompletnie zerwę z nim wszelkie stosunki. - Gdy gra się toczy o bank - rzekł Scott - Korneliusz jest zdolny do wszystkiego. No dobrze, co ci jeszcze obiecał? - Nie rozumiem - spojrzałam na niego. - Rozumiesz mnie doskonale! Skoro Korneliusz obiecał ci, że mnie nie wyleje, to znaczy, że rozmawialiście na temat mojej przyszłości. Kiedy ma zamiar przejść na emeryturę i wyznaczyć mnie na swego następcę? - Nie... nie pytałam go o to. - Daj spokój, Vicky, nie wciskaj mi kitu! Pytałaś go, a on ci powiedział. - Wystarczyła mi świadomość, że nie ma zamiaru cię zwolnić. - Nie sądzisz chyba, że ci w to uwierzę? Dlaczego kłamiesz? Czyją ty stronę trzymasz, na litość boską? Kelner przyniósł następną podwójną wódkę. - Scott - powiedziałam. - Jeżeli masz zamiar się awanturować i traktować mnie w ten sposób, pogłębisz tylko moje przekonanie, że powinniśmy pewien okres spędzić ze sobą na próbie. I bardzo cię proszę, czy koniecznie musisz pić w tym tempie? Zawsze mi mówiłeś, że ten styl ci nie odpowiada. Scott podniósł kieliszek i za jednym zamachem osuszył go do dna. Wstałam. - Chciałabym wrócić do domu. Milczał. Patrzył na swoje ręce z oszołomioną miną, jakby nagle znalazł się w bardzo nieprzyjemnym położeniu, lecz nie pamiętał, jak do tego doszło. Potem starannie odstawił kieliszek, położył dłonie na stole, jak gdyby szukał oparcia, i powiedział z pokorą, która mnie wzruszyła, była bowiem tak wyraźnie szczerą: - Przepraszam. Wybacz mi. Palnąłem głupstwo. Usiadłam z powrotem. W ciszy, która nastąpiła, zdałam sobie sprawę, że mój ruch przyciągnął uwagę Donalda Shine'a. Nie patrzyłam wprost na niego, choć kątem oka zauważyłam, że odwrócił się w stronę naszego stolika. - Potrafię wymyślić tylko jeden powód, dla którego nie chcesz mi powtórzyć, co powiedział Korneliusz - ciągnął Scott opanowanym tonem. - Widocznie postanowił wystawić mnie do wiatru. Nie wyrzuci mnie - zatrzyma w firmie, żeby cię nie rozzłościć, ale dopilnuje, żebym wylądował gdzieś, gdzie przestanę być dla niego problemem. Co sugerował? Znowu Europę? Nie, nie byłby przecież za- dowolony, gdybyś po raz drugi zniknęła mu sprzed nosa, zakładając rzecz jasna, że szczęście mu nie dopisze i nie zdoła zapobiec naszemu małżeństwu. Boston? Nie, to za blisko. Nie mógłby spać spokojnie, gdyby wiedział, że jestem od niego oddalony tylko o godzinę lotu. Może Kalifornia? Banki na Zachodnim Wybrzeżu przeżywają boom, a Korneliusz wie, że jesteś zakochana w San Francisco... - Patrzcie, kogo ja widzę! Oboje wzdrzygnęliśmy się nerwowo, kiedy nad stolikiem zamajaczył czyjś cień. Donald Shine. - Scott Sullivan! Cześć, jak się masz! Cieszę się, że cię widzę! Wciąż walczysz z Angolami, czy może zwlokłeś się tu na stałe? - Shine popatrzył na mnie z szerokim wylewnym uśmiechem, jak gdyby chciał mnie zmusić, żebym go polubiła. - Cześć, śliczna. Nie pamiętam, jak masz na imię, ale buźkę pamiętam, jakżebym mógł zapomnieć! Córka Korneliusza Van Zale'a, dobrze mówię? - Vicky Foxworth. Dobry wieczór, panie Shine. - Moje gratulacje, Don! - uśmiechnął się Scott. - Za co? A, ten ubezpieczeniowy wrak z Connecticut? No, ciągle jeszcze zbierają trociny, które z nich wytrzymałam, ale, kurczę, to już przeszłe wieki, a kogo obchodzi historia? Dzisiejsze pokolenie żyje chwilą obecną. Słuchaj no, Scott, na długo przyjechałeś? Zapraszam cię na lunch! - odwrócił się do mnie, powiewając kokieteryjnie długimi włosami, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Pani może o tym nie wie - oznajmił ale normalnie mam słabość do tego gościa. To on dał mi pierwszą wielką szansę, kiedy byłem zwyczajnym smarkiem w dzinsach i tenisówkach. - Shine zaśmiał się na to wspomnienie i rzekł do Scotta: - Co ty na to, kolego? Jutro o wpół do pierwszej w Twenty One. No, nie bądź żyła! Scott patrzył na niego przez długą chwilę. Zauważyłam, że zaciska palce na pustym kieliszku. Potem nagle roześmiał się i rzucił lekko: - Jasne! Czemu nie? - Ekstra! To na razie! - Shine przystanął, żeby puścić do mnie oko. - Trzymaj się, śliczna! Odszedł, a wraz z nim w cudowny sposób zniknęło nasze napięcie. Patrzyliśmy na siebie, powstrzymując chichot. - Czyż on nie jest okropny? - szepnęłam. - Nie bądź taką snobką!

Prawdę mówiąc, ten chłopak zawsze mi się podobał. Podziwiam ludzi, którzy potrafią tak uparcie dążyć do celu! - Owszem, on dąży do celu z delikatnością wilczego stada i dyskrecją czołgu na poligonie! Mo- że na starość robię się konserwatywna, ale w jednym muszę przyznać ojcu rację: wcale nie cieszy mnie myśl, że Donald Shine zmienia Wall Street w plac zabaw dla dzieci Wodnika... O, Boże, znów mówię o ojcu. Scott... - Spokojnie. Masz rację, to ja zachowuję się jak paranoik. Jeżeli sama, niezależnie od niego, uważasz, że powinniśmy poczekać trochę ze ślubem, ja nie mam nic przeciwko temu. - Naprawdę? Jesteś pewien? Och, Scott, nie martw się, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze... - Naturalnie - rzekł uspokajająco. - Oczywiście - jego dłoń mocno zacisnęła się na mojej. - Wy- bacz, że zrobiłem z siebie idiotę. Chyba jestem bardziej zmęczony, niż mi się wydawało. - Wracajmy do hotelu. Kiedy w połowie drogi taksówka zatrzymała się na jakichś światłach, zapytał od niechcenia: - Trafiłem? - Z czym? - Z Kalifornią. Milczałam przez dłuższą chwilę. W końcu, nie widząc powodu, dla którego nie miałabym mu powiedzieć prawdy, skoro oboje uznaliśmy, że ostatecznie zdołam skłonić ojca do zmiany zdania, przyznałam: - Tak. San Francisco. Scott objął mnie krzepiąco ramieniem. - Założę się, że on wciąż nie wierzy w nasz ślub! Będę miał nielichą satysfakcję, dowodząc mu, że jest w błędzie. - Scott, wyjdę za ciebie choćby jutro, jeśli naprawdę tego chcesz. Wystarczy, żebyś powiedział, wiesz o tym. - Nie, weźmy go za słowo i zaczekajmy do grudnia. Niech sam się przekona, że w tej partii to on dostanie mata. - Kochanie, chyba wierzysz, że potem go przekonam? Przyrzeknij mi, że będziesz święcie w to wierzył! - Kiedy tak na mnie patrzysz, jestem w stanie uwierzyć we wszystko! - odparł wesoło. Ogarnęła mnie obezwładniająca radość i ulga, tym bardziej że już po chwili poczułam na wargach jego bardzo miękkie pocałunki. Rozdział piąty 1 "Droga Vicky! Wiem od matki, że wkrótce wybierasz się do Londynu. Czy mogę liczyć na to, że będąc w Anglii wpadniesz do mnie do Cambridge? Podróż pociągiem trwa niecałe dwie godziny, mogłabyś więc urządzić sobie całodniową wycieczkę. Obiecuję, że nie będę się lubieżnie obnażał, nie dopuszczę się również gwałtu ani innych gaf towarzyskich. Będziemy rozmawiać o Eliocie, Elvisie i Egzystencji. Ucałowania, Sebastian. PS. Wiem, że przyjeżdżasz do Scotta. Nie ma sprawy". 2 "Kochana Vicky! Neil dzwonił do mnie ostatnio zza Atlantyku, co należy uznać za jego kolejny ekstrawagancki wyskok (Boże, ależ ci bankierzy potrafią trwonić pieniądze), i przy tej okazji powiadomił mnie, że tego lata zabawisz nieco w Londynie. Od razu więc zapraszam Cię na uroczystą kolację dla uczczenia Twoich zaręczyn. Koniecznie zadzwoń do mnie zaraz po przyjeździe, umówimy się wtedy na konkretny dzień. Jestem w Londynie już od ponad roku i powiadam Ci, złotko, jakąż to cudowna odmiana po tej kupie śmiecia u ujścia Hudsonu! Rzykując, iż upodobnię się do jednego z tych zgrzybiałych nudziarzy, których człowiek rozpaczliwie stara się uniknąć na przyjęciach, czuję się w obowiązku stwierdzić, że Nowy Jork nie jest już tym, czym był. "Całkiem zszedł na psy, moja droga!" - jak mawiają wszyscy angloindyjscy pułkownicy z powieści Agathy Christie. A propos, jeżeli przywieziesz mi flaszkę bourbona "Wild Turkey", zrewanżuję Ci się ucztą duchową: zabiorę Cię do teatru na "Pułapkę na myszy", która stała się tu już czymś w rodzaju pomnika kultury narodowej. Jestem tak oczarowany tym bajecznie cywilizowanym miastem, że poważnie się zastanawiam, czy nie sprzedać domu w Greenwich Village. Problem polega na tym, że nie potrafię się rozstać ze swoją kuchnią. Charles myśli, że zwariowałem, ale jako Brytyjczyk jest nazbyt uprzejmy, by mi to powiedzieć wprost. Pamiętam, że nie zdażyłaś go poznać owego wieczoru, kiedy to wpadłem na was w Four Seasons, prowokując Scotta do zjadliwych uwag o homoseksualistach, ale czy przypadkiem nie spotkaliście się później? Moja pamięć najwyraźniej szwankuje ze strachu na myśl, że w przyszłym roku skończę sześćdziesiąt lat! Tak czy owak, Kochana, dość próżnej gadaniny - przyjeżdżaj czym prędzej, aby się odrodzić w promieniach wielkiego twórczego renesansu, który ogarnął Brytanię! Już się nie mogę doczekać. Całusy, Kevin. PS. To cudowne: znów piszę powieść! Broadway pozostawiłem na pastwę Neila Simona. PPS. Oczywiście przyprowadź ze sobą Scotta. Nie jestem człowiekiem,

który chowa urazy. 3 "Droga Vicky! Mój list zapewne Cię zaskoczy, ponieważ nigdy jakoś nie udało nam się zaprzyjaźnić, ale mam nadzieję, że przyjmiesz go jako gałązkę oliwną. Piszę, by złożyć Ci najlepsze życzenia z okazji Waszych zaręczyn. Wierzę, iż będziecie ze sobą szczęśliwi. Scott jest co prawda moim przyrodnim bratem, ale w gruncie rzeczy znam go bardzo słabo - po pierwsze dlatego, że jest dużo ode mnie starszy, po drugie dlatego, że w dzieciństwie praktycznie nie mieliśmy ze sobą kontaktu, po trzecie zaś dlatego, iż zawsze trudno było go zgłębić i tak jest nadal. Mimo iż jest w Londynie od trzech lat i w tym czasie często odwiedzał Mallingham, nadal wyczuwam w nim jakiś nie znany mi pierwiastek. Uważam go jednak za wartościowego człowieka, któremu naprawdę przydałby się ktoś, kto będzie dzielić z nim życie. Jakimż to fortem udało Ci się go skłonić do porzucenia kawalerskich nawyków? Szczęściara - zawsze uważałam, że Scott jest jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich znam. Łączę pozdrowienia, Elfryda. PS. Edred i George też chcą do Ciebie napisać, ale możliwe, iż trochę to potrwa, bo jako korespondenci obaj są beznadziejni. 4 "Drogi Sebastianie! Dzięki za list i zaproszenie. Zadzwoń do Ciebie z Londynu. Ucałowania, Vicky. PS. Elfryda Sullivan zdecydowanie nie jest lesbijką. 5 - Ależ, mammo! - Za męża? - Znowu? Nie jesteś już trochę za stara na te rzeczy - Oczywiście, że nie, Paul! Nie bądź bezczelny! A teraz uwaga: być może was to zdziwi, ale człowiekiem, którego zdecydowałam się poślubić, jest Scott. - Scott! - Jaki Scott? - Scott Sullivan? Dlaczego właśnie on? - Nie lubię Scotta - oznajmił Benjamin. - Nigdy mi nic nie przynosi. Mammo, a nie mogłabyś wyjść z powrotem za wujka Sebastiana? On mi daje takie ekstrafajowe prezenty! - Scott jak dotąd w ogóle się nami nie zainteresował - wtrącił Eric, który wrócił z Choate na weekend. - Nie chcę być niegrzeczny, mammo, ale czy na pewno wiesz, co robisz? - Ale dlaczego zawsze wychodzisz za facetów, których znasz od wieków? Mogłabyś dla odmiany wyjść za kogoś obcego! - Interesująca kwestia, Samantho. No cóż, to nie przypadek, że zawsze wybieram mężczyzn, których dobrze znam, bo tylko oni poza moją powierzchownością i książeczką czekową dostrzegają osobę, jaką naprawdę jestem. Obawiam się, że kiedy będziesz starsza, sama dojdiesz do wniosku... - Kiedy ślub? - Na Boże Narodzenie. Ale postanowiłam lato spędzić w Londynie, żeby... - Będziesz z nim mieszkać? - wytrzeszczyła oczy Samantha. - To chyba niezbyt moralne, prawda? - zauważył Paul. - Skoro ty w czasie wakacji możesz uprawiać seks i trąbić martini, to dlaczego ja nie mogę palić trawki? - Seks i martini nie są karalne. Palenie trawki owszem. - Co za idiotyczny przepis! - Jak wiele innych - wtrąciłam. - Spytaj jakiejkolwiek kobiety. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że prawa trzeba przestrzegać, inaczej można się wpakować w kłopoty. Jeśli prawo ci się nie podoba, pracuj, żeby je zmienić, a nie jęcz wszystkim do ucha, że jest niesprawiedliwe. A teraz posłuchajcie, dzieci... - Mammo, czy to znaczy, że pochwalasz seks przedmałżeński? - Uważam, że każdy seks, w małżeństwie czy poza nim, powinien się łączyć z miłością i szacunkiem. To nie jest coś, z czym można się uwinąć w pięć minut dla zabawy, jak z torcikiem lodowym. A teraz... - Ale, mammo... - Cisza!!! W tej chwili przestańcie mnie przekrzykiwać! Nie słyszę własnych myśli! O, tak dobrze. Dziękuję. Chciałam wam powiedzieć... - Co to jest seks przedmałżeński? - zainteresował się Benjamin. - Mamusiu, ale ja nie rozumiem, dlaczego musisz jechać do Londynu! - Kristin już miała łzy w oczach. - Och, mammo! - zawył Benjamin, jak zwykle usiłując ją przekrzyknąć. - Kristin, kochanie, właśnie miałam wam zamiar to wytłumaczyć, tylko że nikt nie chce mnie dopuścić do słowa... W tej chwili się uspokój, Benjaminie! Uff, teraz lepiej. Chodzi o to, że mamy ze Scottem wiele rzeczy do omówienia przed ślubem. Musimy się też przyzwyczaić do swojego ciągłego towarzystwa, co nie zawsze jest takie łatwe, jak się wam wydaje... - A więc jednak będziesz z nim żyła! - westchnęła z rozmarzeniem Samantha. - Ale fajnie! Uważam, że Scott jest bomba! - Chyba zwariowałaś - Paul spojrzął na nią z niesmakiem. - Maniaczka seksualna! Jesteś nie-przywoita! - Phi! A ty jesteś zazdrosny, bo wiesz, że nie możesz się równać z wysokim, przystojnym, eleganckim i seksownym staruszkiem! - Ano właśnie - rzekł Paul. -

Scott jest potwornie stary! Założę się, że nigdy nie słyszał o Rolling Stonesach! - Szczęściarz - mruknął Eric, zbierając się do wyjścia. - Mamo, mam, ale jak my bez ciebie wytrzymamy przez całe lato? Możemy poumierać! - za- wyrokował Benjamin i wielce zaintrygowany taką możliwością dodał: - A wtedy będziesz żałować! - Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Eric. - To małe skaranie boskie zapomni o tobie na- tychmiast, jak tylko znajdzie się w Bar Harbor. Okręca sobie dziadka wokół palca i nigdy nawet o to- bie nie wspomni! - Wstrętny kłamczuch! - kwiknął Benjamin. - Mamo, będziesz używać środków antykoncepcyjnych? - Samantha, moja higiena osobista nie powinna cię w ogóle interesować. Powiem ci jedno: mam prawie trzydzieści siedem lat i staram się być kobietą odpowiedzialną, która przykłada wagę do pew- nych życiowych zasad. Nie zawsze udaje mi się tym zasadom sprostać, bo nie jestem świętą ani żad- nym ideałem, ale mimo to nadal się staram. Ani ty, ani nikt inny nie ma prawa mnie wypytywać o moje prywatne życie, jeśli jednak zamieszkać ze Scottem i będę praktykować kontrolę urodzin, to dlatego, że jako osoba odpowiedzialna będę się starała przygotować grunt dla szczęśliwego, udanego małżeńs- twa. Dobrze, czy macie jeszcze jakieś pytania, czy mogę już zadzwonić do Scotta i zaprosić go dziś na kolację? Chcę, żeby was lepiej poznał, zanim jutro wyjedzie do Londynu. - Mamo, jeszcze jedno pytanie w kwestii przedmałżeńskiego seksu... - Chryste! - westchnął Eric. - Raz w życiu zgadzam się z Paulem. Czy istnieje coś gorszego od dwunastoletniej dziewczyny, która właśnie przechodzi okres dojrzewania? - Jasne! - odparowała Samantha. - Rozmowa z siedemnastoletnim chłopcem, który nigdy nie był na randce, w ogóle nie myśli o dziewczynach i przez cały czas gada do kwiatków. To zboczenie, na li- tość boską! - Co to jest okres dojrzewania? - zapytał Benjamin. - Mamusi - odezwała się Kristin - ile razy dziennie będziesz do nas dzwonić z Anglii? - Kochanie, to jasne, że będę dzwonić tak często, jak tylko zdołam... - Idę podlać kwiaty. - Mam wrażenie, że on czuje pociąg do macierzanki - Samantha konfidencjonalnie zwróciła się do Paula. - Łapiesz? Freud. Macierzanka - macierz, czyli matka. - Odbiło ci? Z jakiej paki Eric miałby czuć pociąg do mamy? - Mamusi, przyrzekasz, że będziesz do nas dzwonić codziennie? - Mamo, co to jest okres dojrzewania? 6 - I jak Scott poradził sobie z dziećmi? - spytał mnie ojciec wkrótce po odlocie Scotta do Londy- nu. - Moim zdaniem świetnie, zwłaszcza z Samanthą i Kristin. Podejrzewam, że wykorzystał do- świadczenia z dzieciństwa Rose i Lori. Bardzo się starał znaleźć wspólny język z chłopcami, ale Eric wciąż jest taki nieśmiały, a Paul nigdy nie ma nic do powiedzenia nikomu, kto skończył dwadzieścia lat. Benjamin jak zwykle był nieznośny. Wpadł w zazdrość, kiedy Scott poświęcił tyle uwagi dzie- czynkom. - Oprócz Sebastiana nikt sobie z nim nie radzi. Nie odezwałam się. - Spotkasz się z Sebastianem w Anglii? - Możliwe. Znow zapadła cisza. - Zabawne - rzekł w końcu ojciec z wahaniem. - Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś to po- wiem, ale czasami trochę mi go brakuje. Nie odpowiedziałam. Zanadto zaprzętało mnie liczenie dni do wyjazdu, zanadto pochłaniała tęsknota do chwili, gdy spotkam się ze Scottem w Londynie. 7 Scott mieszkał na granicy Knightsbridge i Belgravii. Jego wąski, wysoki, murowany biały dom mieścił trzy kondygnacje, nie licząc sutereny, którą zajmowali szofer i gosposia. Na parterze po dwóch stronach holu znajdowały się biblioteka i jadalnia, a ponad nimi na piętrze duży piękny salon - wymarzone miejsce przyjęć, które Scott musiał wydawać jako prezes londyńskiego oddziału. W No- wym Jorku prowadził pustelniczy tryb życia, a jeśli kogoś zapraszał, to tylko do restauracji. W No- wym Jorku jednak był zaledwie podwładnym mego ojca, i to na ojcu spoczywał obowiązek podejmo- wania klientów u siebie. Dziwiłam się, że tak łatwo pogodził się z życiem towarzyskim, które dla niego musiało mieć niewiele uroku. Wiedziałam, że samotność jest mu potrzebna dla odzyskania równowagi, którą jego obecna absorbująca praca nieraz musiała zachwiać. Teraz czas, spędzany przez niego w odosobnieniu, bardzo się skurczył. Zastanawiałam się, w jakim stopniu ciąglą nudę i niesmak pomaga mu zwalczyć alkohol. Próbowaliśmy przemykać na to oczy, chociaż zaniepokoiły mnie podwójne wódki w Beekman Tower. Scott nie interesował się wystrojem wnętrza, nie

gromadził też antyków i obrazów. Obchodziło go tylko to, żeby mieć dach nad głową i możliwie jak najmniej niewygód. Był najbardziej koczowniczą naturą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Jego dom, urządzone przez zawodowców i zaskakująco pozbawiony wyrazu, całkowicie odzwierciedlał jego obojętny stosunek do otoczenia. W przeciwieństwie do mojego ojca, który za granicą stawał się natychmiast skrajnym ksenofobem, Scott akceptował każde środowisko i przystosowywał się do niego, przyjmując bez kwękania zarówno jego plusy, jak minusy. Bez wątplenia miał do tego szczególne predyspozycje, ponieważ żyjąc przede wszystkim w sferze ducha, nie był aż tak bardzo zależny od otaczającego go świata. Mimo to owa rzadko spotykana nomadyczna zdolność osiedlania się w dowolnym miejscu bez zapuszczania korzeni wydawała mi się nie tylko dziwna, ale wręcz nienaturalna. Słowo "dom" i wszystkie ukryte w nim znaczenia miały dla mnie bardzo dużą wagę. Określałam się mianem mieszkanki Nowego Jorku, co oznaczało, że właśnie to miasto było moim domem, miejscem, gdzie mogłam odpocząć i poczuć ten czarodziejski psychiczny komfort wpływający stąd, że jest się częścią określonej kultury, członkiem określonej społeczności, przedstawicielem określonego sposobu bycia. Mogłam na pewien czas zmienić miejsce pobytu i sprawiało mi to nawet przyjemność, niezależnie jednak od tego, jak długo mieszkalam poza krajem, moim domem nieodmiennie pozostawał Nowy Jork. Scott nosił swój dom we własnym wnętrzu. Zapytany, odpowiedziałby zapewne bez wahania, że jest nowojorczykiem, ale nie odczuwał tego cynicznego, beznadziejnego, namiętnego oddania, jakie prawdziwy nowojorczyk żywi dla swego miasta. Było dla niego zaledwie tłem, miejscem, w którym przyszło mu żyć i pracować. W chwili gdy został przerwany do Londynu, zmieniła się jedynie sceneria. Własny duchowy pejzaż był dla niego o wiele bardziej rzeczywisty niż jakiegokolwiek miasto. Wiele długich godzin poświęcałam próbom rozgryzienia problemu, jak ułożyć sobie życie z człowiekiem, który nie tylko jest samotnikiem, lecz na dodatek postrzega świat zupełnie inaczej niż ja. Kiedy rankiem po moim przyjeździe do Londynu piliśmy kawę na tarasie w ogrodzie, odezwałam się, starannie dobierając słowa: - Scott, nie chcę być dla ciebie ciężarem i nie oczekuję, że będziesz bez przerwy mnie zabawiał. Wiem, że ciężko pracujesz i musisz mieć trochę czasu dla siebie. Nagła diametralna zmiana trybu życia podziałałaby nam obojgu na nerwy. Dlatego muszę znaleźć sobie zajęcie, zorganizować swój czas tak, żebym go nie spędzała czekając na telefon z informacją, że wrócisz później z biura. Muszę sobie zbudować własny mały światek tu, w Anglii. Chciałabym się zapisać na jakieś seminarium. - Seminarium? - Tak, teraz, kiedy dzieci nie brzęczą wokół mnie jak rój wściekłych pszczół, powinnam się wreszcie zmusić do pracy umysłowej. Dotąd w ogóle nie brałam pod uwagę letnich kursów, głównie dlatego, że nie miałam na to ani czasu, ani dość energii. Teraz mam czas i chyba zdołam się na tyle wysilić, by wykrzesać coś z tego otępiającego, rozmiękczonego przez martini mózgu. - Nie ma sprawy - odparł. Czekałam, lecz nie dodał nic ponadto. Przez moment zastanawiałam się, czy się nie obraził, czy nie jest jednym z tych mężczyzn, którzy kręcą nosami, kiedy ich żony spędzają czas poza domem. Między nimi miał jednak spokojną i niewzruszoną. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że właśnie dlatego jego reakcja wydała mi się niewłaściwa: po prostu w ogóle go to nie obchodziło. Mogłam robić ze swoim czasem, co chciałam, o ile tylko byłam pod ręką, kiedy mnie potrzebował. Upomniałam się w duchu, że nie jest przyzwyczajony do dzielenia swego życia z kimkolwiek, i z pewnym wysiłkiem przełknęłam urazę. - Mógłbyś wykazać nieco więcej zainteresowania! - zaprotestowałam pogodnie. - Ja jestem ciekawa twojej pracy, a ciebie w ogóle nie obchodzi, co będę robić? - Nie rozmawiam na temat pracy - uciął. - Wychodzę z biura i na tym koniec. Ostatnie, co bym chciał zrobić po powrocie do domu, to składać ci relację z całego dnia. Poczulałam się dotknięta - do tego stopnia, że nie potrafiłam się zdecydować, jak zareagować. Ani Sam, ani Sebastian nie zasypywali mnie szczegółami emisji, fuzji, przetargów i innych bankowych delicji; zrekompensował to ojciec,

który wielokrotnie zwierzał mi się w ciągu minionych trzech lat. To on dał mi dokładniejsze pojęcie o świecie, w którym moi mężowie spędzali większą część życia, ale Sebastian znosił garściami zabawne anegdotki, obrazujące bardziej prozaiczną stronę życia finansisty, a Sam potrafił bez końca opowiadać, jakim to ważnym osobom udzielał konsultacji. Czasami było to ciekawe, czasem nudne, zawsze jednak miałam świadomość, że czynią pewien wysiłek, choćby i ogra- niczony, żeby wprowadzić mnie w tę wielką sferę ich życia, do której nie miałam dostępu. Myśl o tym, że Scott chce mnie z niej całkowicie wykluczyć, przypominała uczucie człowieka, który ran- kiem odsłania okno i odkrywa, że nocą ktoś je zamurował. - Orientuję się w bankowości lepiej, niż byłbyś skłonny przypuszczać - powiedziałam z waha- niem. - Poza tym bardzo lubię grać na giełdzie. - Doskonale - odparł. - Będziesz miała o czym paplać z gośćmi na tych cholernych przyjęciach. Mam nadzieję, że nie zanudzisz się przy tym na śmierć. Musiałam przyznać, że zamknął mi usta. Upiłam łyk kawy i rozejrzałam się wokół z roztargnie- niem, szukając innego tematu do rozmowy. W ogrodzie było chłodno, chyba nie więcej niż osiemnaś- cie stopni, lecz pozbawione wilgoci powietrze było tak przyjemne, że nie brakowało mi nowojorskiej duchoty. Białe obłoki piętrzyły się na letnim niebie, małe angielskie drozdy podśpiewywały na szczycie muru z jasnej cegły, a wokół stolika o giętych żelaznych nogach kwitły miniaturowe szkarłatne ró- zyczki. Była niedziela rano. - Londyn nigdy mi się specjalnie nie podobał - powiedziałam w końcu - ale naprawdę pociąga mnie ten spokojny, leniwy angielski tryb życia. Kevin jest tu chyba bardzo szczęśliwy... A propos, Ke- vin chce nas zaprosić na kolację. Co ty na to? Scott wzruszył ramionami. - Skoro on zmusił się, żeby mnie zaprosić, ja mogę się wysilić na tyle, żeby pójść. Nie brzmiało to zachęcająco. - Może zadzwonię do niego i zaproponuję, że zjemy lunch we dwoje? - Tak chyba będzie najlepiej. Uznałam, że to niewłaściwy moment, by mówić o Sebastianie. Pośpiesznie skierowałam roz- mowę na bezpieczniejszy temat. Po południu mieliśmy jechać z wizytą do mojej matki. Przebywała te- raz w nadmorskim pensjonacie dla rekonwalescentów, gdzie z niekłamaną radością pławała się w luk- susie. Planowałam zabrać ją do Nowego Jorku w końcu sierpnia. - Moja mama jest tobą zachwycona! - zauważyłam z uśmiechem. - Oprócz tego szalenie podnie- ca ją myśl, że spędzam z tobą wakacje... słuchaj, czy to, że tu mieszkam, nie przysporzy ci żadnych kłopotów? Wiem, że ta dzielnica nie jest aż tak konserwatywna jak inne, ale czy wszyscy ci sztywni finansiści z City i ich zapięte po szyję żony nie będą miały za złe, że żyjemy ze sobą bez błogosławień- stwa anglikańskiego Kościoła? - Najważniejsze to nigdy nie wdawać się w wyjaśnienia. Najlepiej w ogóle nie mów, co tu ro- bisz. Brytyjczycy są w stanie zaakceptować niemal wszystko pod warunkiem, że ma się dość dobrego smaku, by udawać obojnaka. Wybuchnęłam śmiechem. - A poza tym - ciągnął Scott - nie spędzimy przecież całego lata w towarzystwie londyńskich biznesmenów i ich żon. Chciałbym cię zabrać do Elfrydy, do Mallingham. Nigdy tam nie byłaś, praw- da? To interesujące miejsce. Na pewno ci się spodoba. Milczałam. Mallingham było jedynym miejscem, którego w ogóle nie miałam ochoty oglądać. Znajdował się tam grób Stevena Sullivana i płyta poświęcona pamięci Tony'ego, brata Scotta. Mallin- gham symbolizowało przeszłość, która wciąż zagradzała Scottowi drogę do przyszłości, do życia, na jakie zasłużył. Nazwa tego miejsca streszczała w sobie wszystko, co nam zagrażało. Wolałam się trzymać od niego jak najdalej. - I co tam jest takiego ciekawego? - spytałam starając się ukryć niechęć. - Czas płynie tam niezależnie od umysłu. Nastąpiła cisza. Gorączkowo szukałam jakichś słów, owładnięta nagłą wizją naszych światów tworzących dwa zamknięte okręgi, które mogą się zetknąć, lecz nie mogą przeciąć. - Nie jestem pewna, co przez to rozumiesz. Scott zrobił przeproszącą minę, jak gdyby popełnił towarzyskie "faux pas", odzywając się do mnie w nieznanym mi języku. - Tylko to, że dom jest bardzo stary i panuje tam niesamowity spokój. - Ach, tak? - Na własny użytek mam inną wizję krainy poza czasem. Jest nią biały piaszczysty morski brzeg, na którym rozbijają się ciemne fale, a w dali widać nieco zamglone góry. Mallingham wcale jej nie przypomina. Leży na płaskim podmokłym terenie o półtorej mili od

brzegu, a mimo to nie odczuwa się tam biegu czasu. Zawsze miałem wrażenie, że to jedno z tych miejsc, w których człowiek na krótką chwilę może się całkowicie uwolnić i zająrzeć w otchłań, w której czas nie istnieje. Cieszę się, że ojciec tam leży. To dobrze. Znalazł prawdziwy dom, gdzie odpoczywa w pokoju. Taki dom nie może istnieć w czasie, bo czas wszystko niszczy. Można go budować jedynie w takich miejscach jak Mallingham. Nigdy w życiu własny umysł nie wydawał mi się równie mało elastyczny. Ostrożnie próbowałam go nagiąć, wyjść Scottowi naprzeciw, i nagle zrozumiałam, dlaczego Scott zawsze był dla mnie zagadką. Jego światem nie rządziła logika ani zdrowy rozsądek jak moim. Jego świat otwierał się na inne światy, ograniczone jedynie jego intelektem i wyobraźnią. - To znaczy - powiedziałam z namysłem - że tobie Mallingham przypomina trochę ten różany ogród Eliota, magiczne miejsce, w którym wszystko się łączy, a to, co było i to, co mogło być, współistnieje i... jest. Sam wysiłek, z jakim przychodziło mi wyrażanie tak dla mnie niezwykle myśli, sprawił, że poczułam się w pewnym sensie ułomna. - Zgadza się - kiwnął głową Scott, utalentowany lingwista, operujący na przemian dwoma znymi do perfekcji językami. - Mallingham jest podobne do Burnt Norton. - Nagle wrócił do mojego języka i mojego świata: - Hej, nigdy mi nie mówiłaś, że czytasz Eliota! - Och, nie jestem taką kołtunką, za jaką mnie uważasz! - odparowałam lekko, ale chociaż napięcie między nami znikło, nie powiedziałam mu, kto pierwszy wprowadził mnie w "Cztery kwartety" Eliota. Jakoś łatwiej mi było nie wspominać o Sebastianie... 8 Byłam przerażona, choć niezbyt zaskoczona, tym, jak ciężko pracował. Co prawda spodziewałam się, że będzie wracał późno i szukał samotności, która pomoże mu pokonać zmęczenie, nie skarżyłam się więc i nie zmuszałam go do rozmowy natychmiast po powrocie do domu. Pozwalałam mu chwilę odetchnąć w bibliotece, jego ulubionym schronieniu, do którego ja zaglądałam dość rzadko. Scott zwykle serwował tam sobie dwa wieczorne drinki i czytał przez pół godziny. Żałowałam w duchu, że chociaż jednego nie chce wypić w moim towarzystwie, on jednak uparł się, że woli być sam. Przypomniawszy sobie wszystkie artykuły na temat alkoholizmu, które regularnie czytałam, zdrowo się przy tym denerwując, od razu nabrałam podejrzeń i zaczęłam codziennie sprawdzać poziom trunek w butelkach. Na szczęście, wbrew gazetowym wyroczniom, które przysięgały, że picie w samotności to najprostsza droga do stoczenia się, Scott nigdy nie pozwalał sobie na więcej niż dwa. Ostentacyjnie uznałam, że pije sam, bo po prostu lubi być sam, i że ów nawyk, dotyczący w równej mierze czytania i słuchania muzyki, nie jest niczym złowieszczy. Sprawilo mi to znaczną ulgę. Około wpół do dziesiątej jedliśmy razem kolację. Scott nie przywiązywał wagi do jedzenia i chyba nigdy nie odczuwał głodu, za to mnie pusty żołądek dawał się we znaki już o wiele wcześniej. Umówiłam się z gospodynią, że codziennie o siódmej wpuści mnie do kuchni, żebym mogła sobie przygotować jakąś nietuczającą przekąskę. Po kolacji, w czasie której Scott nigdy nie pił, choć ja często skrycie marzyłam o winie, siadaliśmy w salonie i czytaliśmy albo słuchaliśmy płyt. Telewizji nie oglądaliśmy, Scott bowiem nie miał odbiornika. Muszę mu oddać sprawiedliwość: proponował, że wypożyczy go dla mnie, lecz doszłam do wniosku, że dwa miesiące bez telewizora na pewno mi nie zaszkodzą. O północy szliśmy do łóżka i przeważnie na tym się kończyło: rozbieraliśmy się, kładli i zasypiali. 'w nader prozaiczny koniec dnia początkowo wprawiał mnie w zakłopotanie, skoro wszakże w weekendy Scott miał ochotę prawie wyłącznie na miłość, wkrótce przestałam żałować nudnawych wieczorów w dni powszednie. Ku własnemu zdziwieniu odkryłam, iż zaczyna mi się podobać ten pełen skrajności model życia intymnego, wahający się od abstynencji do wyuzdania. Wstrzemięźliwość sprawiała, że nasze spełnienia dawały nam tym więcej rozkoszy. Magnetyczne napięcie, zawsze między nami obecne, rosło z upływem czasu, pod koniec tygodnia stając się prawie nie do zniesienia. - Może to wiktoriańskie podejście do seksu wcale nie było takie głupie, jak nam się dziś wydaje - zauważyłam pewnego razu. - Pomyśl, jak podniecający musiał być stosunek, gdy wszyscy odkładali go w nieskończoność,

doprowadzając się niemal do obłędu! - Odkładali małżeństwo - rzekł Scott - a nie seks. Mit, jakoby wystrzegali się uciech cielesnych, jest bujda. Epoka wiktoriańska to czasy prostytutek, pornografii i powszechnego lęku przed chorobą weneryczną. - Tak, ale... - westchnęłam. Przy Scotcie często czułam się kompletną ignorantką. Nie robił tego rozmyślnie; odruchowo sięgał do bogatych zasobów swej wiedzy, efekt jednak był przygnębiający. Próbowałam kiedyś rozmawiać z nim na temat swoich zajęć na Uniwersytecie Londyńskim - zapisałam się na wykłady poświęcone egzystencjalizmowi we współczesnej literaturze - jednakże i w literaturze, i w filozofii Scott był tak odczytany, że tym dotkliwiej uświadomiłam sobie, jak rozległe są to dziedziny i jak mało wciąż o nich wiem. Mimo to postanowiłam nie upadać na duchu, tym bardziej że miałam wszelkie powody do radości. Powiedziałam sobie, że mam szczęście, iż trafiłam na Scotta, który mobilizuje mnie do poszerzania horyzontów i pracy nad sobą, a nie wiodę nudnego żywota z mężczyzną typu Sama, którego ulubioną rozrywką było rozbieranie telewizora na części. - Nie rozumiem, jak możesz czytać te bzdury - skrzywił się kiedyś Scott, zastając mnie przy śniadaniu z nosem w "Daily Expressie". - Lubię felietony Williama Hickeya. A poza tym, kochanie, muszę czasem zaserwować sobie coś lżejszego, zwłaszcza rano! Nie mogę przez całą dobę utrzymywać się na intelektualnych wyżynach! - Skoro tak twierdzisz - mruknął, otwierając "Timesa". - Drukują zdjęcie Elvisa. Pewnie znów nakręcił jakiś okropny film. - Kto? - Elvis Presley. - Mhm. "Muszę wreszcie zadzwonić do Sebastiana - przemknęło mi przez głowę. - To wstyd, że tak długo zwlekam". Ale potem zerknęłam spod oka na Scotta i pomyślałam: "Mam czas". Wciąż jeszcze nie byliśmy w Mallingham. Elfyda, bardzo zapracowana w końcu letniego sezonu, zaproponowała, abyśmy przełożyli wizytę na później. Odwołaliśmy więc wycieczkę do Norfolk, choć i tak program był napięty: żeglowaliśmy w Sussex, pieszo zwiedzaliśmy Surrey i słuchaliśmy Szekspira w Stratford-on-Avon. Całkiem dobrze bawiłam się też na przyjęciach, które Scotta tak bardzo nudziły. W niedługim czasie zawarłam sporo znajomości i ze zdumieniem stwierdziłam, że w tym obcym mieście, w którym z Samem byłam taka nieszczęśliwa, zaczynam się czuć jak u siebie w domu. Przestałam się denerwować; mierzyłam minispódniczki w zamkniętej na klucz sypialni i próbowałam śmieiej malować oczy. Na szczęście Scott oszczędził mi rozterek: lubił mnie w cnotliwych, tradycyjnych sukniach, więc moje nowe ultramodne wcielenie nigdy nie przekroczyło progu sypialni, ale i tak bawiłam się wyśmienicie. Pewnego niedzielnego sierpniowego poranka pomyślałam sobie: "Nie mogę tego dłużej odkładać. Muszę w końcu zadzwonić do Sebastiana, a żeby zadzwonić, muszę o nim wspomnieć". - Coś nie tak? - spytał Scott, kiedy po śniadaniu skończyliśmy się kochać i całkiem serio doszliśmy do wniosku, że pora już wstać z łóżka. - Nie, zastanawiałam się tylko, czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym w tym tygodniu pojechała do Cambridge. Jeszcze przed wyjazdem dostałam od Sebastiana zaproszenie na lunch, a skoro spędzam całe lato w Anglii, wypada mi się z nim spotkać. Zapadła cisza. Scott wstał bez słowa i sięgnął po szlafrok. - Scott, nie muszę ci chyba mówić, że nie masz się czego obawiać. Z Sebastianem łączy mnie już tylko platoniczna przyjaźń. Wiem, że to brzmi staroświecko, ale... - Nie tylko staroświecko - przerwał mi. - Nieprzekonująco. - Ależ, Scott... - Kogo ty, u licha, chcesz oszukać? Żyłaś z tym facetem, urodziłaś mu dziecko, a on miał, i pewnie nadal ma obsesję na twoim punkcie. Uwierz mi, Vicky, może was łączyć wszystko, tylko nie platoniczna przyjaźń. Zbyt silnie byliście ze sobą związani. - Ale ty nie rozumiesz... - Rozumiem aż za dobrze! Trzymaj się od niego z daleka! - Chyba sam nie wierzysz, że próbowałby mnie uwieść, wiedząc, że jestem zaręczona z kim innym! - To, czy Sebastian zachowa się znów jak narwaniec, czy też będzie udawał rycerza w lśniącej zbroi, jest tu bez znaczenia. Przede wszystkim wytrąci cię z równowagi, wracając do przeszłości, o której lepiej zapomnieć. - I któż to mówi? Tak dobrze radzisz sobie z przeszłością, żeby mnie pouczać? Usta Scotta zacisnęły się w wąską kreskę. Przez moment miałam wrażenie, że pod jego pozbowioną wyrazu twarzą kipi furia. - W porządku - rzekł. - Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

Nie podniósł głosu. Przeciwnie, jego ton stał się dziwnie martwy, jak gdyby bez litości wyprano z niego wszystkie uczucia. Równocześnie coraz silniej zdawałam sobie sprawę, że jest wściekły. - Masz zamiar za mnie wyjść - ciągnął. - Trenujemy w tej chwili małżeństwo na próbę, a skoro tak, przypuszczam, że mam jakieś prawa jako twój przyszły mąż. Na przykład mam chyba prawo wymagać, żebyś trzymała się z dala od człowieka, którego jedyną życiową ambicją jest zaciągnięcie cię do łóżka. - A ja to co? Uważasz mnie za szmacianą lale, całkowicie pozbawioną własnej woli? Żadnej wa- gi nie przywiązujesz do tego, czego ja chcę? Nie mam ochoty iść do łóżka z Sebastianem. Chcę tyl- ko... - Widzę, że za wszelką cenę usiłujesz zrobić z siebie idiotkę. - Posłuchaj, Scott, gdybyś kiedykolwiek był żonaty, wiedziałbyś, że małżeństwo to coś więcej niż tylko wydawanie rozkazów i egzekwowanie praw w sytuacji, która jest dla ciebie niemiła. Czasami trzeba zaufać partnerowi, pójść na jakiś kompromis... - Tak, ale w tej sytuacji nie może być o tym mowy. Pozwolisz, że na tym zakończymy temat. Drzwi do łazienki zamknęły się z trzaskiem. Odczekałam minutę, żeby trochę ochłonąć, po czym weszłam do drugiej łazienki i dla pełniejszego uspokojenia zaaplikowałam sobie gorącą kąpiel. Kiedy wyszłam z wanny, Scotta nigdzie nie było. Ubrałam się pośpiesznie, zbiegłam na dół i zastuka- łam do biblioteki. Nikt nie podszedł do drzwi, uznałam więc, że nikogo w niej nie ma. Ruszyłam dalej, lecz jakiś instynkt kazał mi zawrócić. Zapukałam jeszcze raz i zajrzałam do środka. Scott stał przy oknie z kieliszkiem wódki w ręce. Na stoliku zauważyłam wypełnioną w jednej czwartej butelkę. - O! - bąknęłam. Byłam tak zdenerwowana, że nic więcej nie przyszło mi do głowy. Z niewy- raźną miną zatrzymałam się w progu. Scott obejrzał się przez ramię. - Chcę być sam. Jeśli nie możesz zostawić mnie w spokoju, wyjdę z domu. - Tak. Naturalnie. Przepraszam - cofnęłam się i delikatnie zamknęłam za sobą drzwi, jak gdy- bym się bała, że rozsypią mi się w palcach. Wróciłam na górę, weszłam do salonu i spojrzałam na te- lefon, lecz nie odważyłam się dzwonić do Sebastiana. Usiadłam bezmyślnie i zaczęłam czekać, choć nie bardzo wiedziałam, na co. Dziesięć minut później Scott wyszedł. Kiedy usłyszałam trzask frontowych drzwi, podbiegłam do okna i zobaczyłam, jak maszeruje przed siebie w strugach deszczu. W bibliotece znalazłam pustą butelkę po wódce. Zegar na kominku beznamyślnie wskazywał jedenastą. 9 Czekałam na niego cały dzień. Co jakiś czas zaczynałam płakać, zaraz jednak przełykałam łzy i zmuszałam się do spokoju. Nie mogłam jeść ani pić. Po prostu czekałam, czekałam na okazję, żeby mu powiedzieć, że nie spotkam się z Sebastianem, jeśli tak go to martwi, bo najważniejsza dla mnie jest jego wiara, iż kocham go zbyt mocno, by cokolwiek miało nas rozdzielić. Wrócił przed północą. Siedziałam przy toalecie w sypialni, machinalnie szcztokując włosy, ale gdy posłyszałam odgłos zamykanych drzwi, zerwałam się i wybiegłam na schody. Spodziewałam się, że wróci pijany, będzie się zataczał od jednej ściany do drugiej, może nawet śpiewał. Myliłam się. Nie zataczał się, milczał. Kiedy dotarłam do szczytu schodów, opierał się non- szalancko o drzwi i dopiero gdy go zawołałam, a on podniósł głowę, zobaczyłam, jak dalece jego stan odbiega od normy. Jego oczy były niczym czarne dziury. Patrzyły na mnie, lecz mnie nie widziały. Bardzo powoli oderwał się od drzwi i wyprostował plecy, ale wciąż się nie zataczał, nie potykał. Na pozór zachowy- wał zwykłą kontrolę nad sobą. Pomyślałam z ulgą, że jest wściekły, lecz trzeźwy, i zaczęłam zbiegać ze schodów, by go objąć. Zatrzymałam się na piątym stopniu od dołu. Chyba to jego bezruch osadził mnie w miejscu. Włos mi się zjeżył na głowie; nagle wyczułam wibrującą w powietrzu aurę przemocy i zrozumiałam, że jego nieskazitelna samokontrola jest tylko iluzją, fasadą, która już zaczyna się kruszyć. - Zaczekaj chwileczkę, zaraz do ciebie przyjdę! - zawołałam, pokonując opór zdrętwiałych warg. Wróciłam pędem do sypialni i zdążyłam tylko naciągnąć dzinsy i sweter, kiedy wpadł do poko- ju. Najbardziej przeraziła mnie jego niewiarygodna szybkość. Kiedy zaś uświadomiłam sobie, że się boję, przeraziłam się jeszcze bardziej. Próbowałam zapanować nad strachem, powtarzając w myślach, że wszystko będzie dobrze, lecz wiedziałam, że to, co na schodach podszeptał mi instynkt, jest praw- dą. Nie

będzie dobrze. Będzie źle, bardzo źle. Otworzył szeroko drzwi, a potem ze wszystkich sił zatrzasnął je za sobą. Drewniana framuga pękła. Hałas odbił mi się mdlącym echem pod czaszką. Scott przez chwilę szarpał się z zamkiem, ale drzwi musiały chyba opaść na zawiasach, bo klucz nie chciał się przekręcić. Z wściekłością wyrwał go z zamka i cisnął przez cały pokój w stronę toaletki. Lustro rozsypało się w drobne kawałki. Podłoga zasłana była szkłem, a moje serce biło jak oszalałe. Próbowалам się uspokoić, próbowałaм działać rozumnie. - Scott - powiedziałam łagodnie - bardzo mi przykro, że... - Milcz! - wrzasnął. - Milcz, ty pieprzona dziwko! Nareszcie do mnie dotarło, że jest pijany do nieprzytomności. Fakt, że do tego stopnia umiał to zataić, tylko spotęgował moje przerażenie. Zaczynałam już myśleć, że oszalał bez pomocy alkoholu, i zapewne wierzyłabym w to jeszcze przez jakiś czas, gdyby nie zawadził o nocną szafkę. Okazało się wtedy, że wcale nie trzyma się pewnie na nogach. Zderzenie wprawilo go w furie. Wściekły, że coś stoi mu na przeszkodzie, złapał nocną lampkę, gotów ją rozbić o ścianę, lecz lampa wysliznęła mu się z rąk. Zaczął kląć; wreszcie dosłyszałam bełkotliwe spółgłoski i zrozumiałam, że choć ze wszystkich sił stara się ukryć oznaki pijaństwa, jego żelazna wola ustępuje pod naporem zatruwającego mu mózgu jadu. - Zaparzę ci kawy - powiedziałam, zdobywając się na możliwie normalny ton, i spróbowałam go ominąć, kierując się w stronę drzwi. Złapał mnie za nadgarstek, wykręcił rękę na plecy tak mocno, że krzyknęłam z bólu, i odepchnął od siebie. Znow krzyknęłam, potknęłam się i upadłam na łóżko. - Scott!... - Zamknij się, bo cię zabiję. Zrozumiałam, że mój wysiłek, by zachować spokój i mówić do niego logicznie, nie ma sensu. Słowa miłości i pocieszenia nie mogły go już osiągnąć. Nie byłam w stanie mu pomóc. Mogłam naj- wyżej wyjść. Jeśli zdołam. Zrobił krok w stronę łóżka. Udało mi się odsunąć od niego jak najdalej, choć było to trudne, ręce i nogi bowiem ciążyły mi jak bryły ołowiu. Zaczął mówić; z początku w ogóle go nie słyszałam, gdyż uderzenia serca dudniły mi w uszach, lecz kiedy podniósł głos, żałowałam, że nadal nie ogłusza mnie strach. Mówił, żebym mu nie rozkazywała, bo to on tu rządzi, on wydaje polecenia, nagradza i karze. Mówił, że nienawidzi tych, którzy go krzywdzą, ale to tym lepiej, ponieważ nienawiść utrzymuje człowieka przy życiu. To miłość zabija. - Słyszysz, co mówię? - wrzasnął. - Dlaczego nie odpowiadasz? Głucha jesteś? - Słyszę. Chciałam zsunąć się z łóżka, lecz bałam się ruszyć; bałam się, że jakiś gest wyzwoli w nim niekontrolowaną agresję, zamarłam więc w miejscu i słuchałam, jak mówi, że miłość niszczy ludzi, że kobiety doprowadzają mężczyzn do zguby, że trzeba je za to karać, bić, miażdżyć... Zakryłam dłońmi uszy. - Masz słuchać! - przygniótł mnie, wykręcając mi ręce. - Słuchaj, co do ciebie mówię! Czekaj, dam ja ci nauczkę, dam ci taką lekcję, że nigdy jej nie zapomnisz, zaraz ci pokażę... Wątpliwe, czy w tym stanie był w ogóle zdolny do stosunku. Bałam się tylko, co będzie, kiedy się przekona, że jest bezsilny. Na tym etapie myśli nie rozbłykiwały mi już w głowie nieartykułowanymi obrazami, lecz przybrały postać krótkich, ostrych przekazów słownych. Odwrócić jego uwagę. Nie wiem, jak. Nie zauważy. Nic nie widzi. Nie widzi nawet mnie. Dostrzega tylko symbol. Tonie we własnym mroku, dusi się własną krwią. Scott szarpał się z odzieżą i znow zaczął kląć, kiedy palce odmówiły mu posłuszeństwa. Zamek przy rozporoku zaciął się, puścił i znow się zaciął. Nie mogę ulec panice. Nie wolno mi okazać strachu. Mój strach tylko go podkreśli. - Kochanie, strasznie mnie podniecasz, kiedy jesteś taki męski! - powiedziałam. - Zaczekaj, nie zniszcz zamka. Pozwól, ja to zrobię... Odprężył się automatycznie, jego ręce opadły, straciły czujność. Uderzyłam go z całej siły i w ułamku sekundy zerwałam się do ucieczki. Biegłam; biegłam przez pokój, po schodach, długich schodach, biegłam przez hol, dopadłam frontowych drzwi, mocowałam się z kluczem, a on ścigał mnie z krzykiem, z tą demoniczną nadnaturalną szybkością... Nagle drzwi się otworzyły, noc była ciemna, mokra i zimna, a ja biegłam dalej, biegłam boso ulicą, aż nagle zobaczyłam jasne światła, wysokie budynki i przechodzących ludzi. Byłam w Knightsbridge. Mijała mnie taksówka, zawołałam ją, taksówka zatrzymała się, a ja wpadłam do środka. - Dokąd? - spytał znudzony szofer. -

Dokądkolwiek - szepnęłam. - Proszę po prostu jechać. Ruszył. Trzy razy objechaliśmy dokoła Hyde Park Corner, a gdy rozpoczęliśmy czwartą rundę, wiedziałam już, gdzie chcę się znaleźć. Trzy minuty później byłam w Chelsey i drżącą ręką dzwoniłam do drzwi Kevina. 10 - Golnij sobie trochę irlandzkiej whisky, moja droga - powiedział Kevin. - Po paru pierwszych jeżących włos na głowie łykach na pewno w niej zasmakujesz. Nie, nie powtarzaj, jak bardzo jest późno i jak ci przykro, że zawracasz mi głowę, i co sobie, u diabła, pomyśli Charles. Charles śpi i wątpię, by się obudził, ja osobiście nie dbam o to, która jest godzina, a poza tym uwielbiam, kiedy zawracają mi głowę piękne kobiety w rozterce. Człowiek w moim wieku ma tak niewiele okazji do podniet... Scott cię wyrzucił? - Uciekłam - wyjaśniłam i rozkleiłam się do reszty. Trzęsłam się od szlochu, łyzy ciekły mi po policzkach, whisky wylewała się ze szklanki. - Tak lepiej - rzekł Kevin. - Tak jest o wiele naturalniej. - Poczułam, jak jedną ręką mnie obejmuję, a drugą wyjmuję mi szklankę z dłoni. Potem dodał: - Zaraz przyniosę ci sweter i jakieś skarpetki. Jesteś zziębnięta na kość. Płakałam nadal, lecz zanim wrócił, opanowałam łkanie i zaczęłam wycierać łyzy. - Masz - usłyszałam. - Włóż to na siebie i zawiń się w koc. Zaraz zrobię ci coś gorącego do picia. Zniknął ponownie. Z trudem naciągnęłam na bose stopy szare skarpety. Szło mi to opornie, bo palce zeszytywniały mi z zimna. Potem wbiłam się w gruby niebieski sweter i opatuliłam wełnianym kocem. W tej samej chwili pojawił się Kevin z dzbankiem ciemnej słodkiej herbaty. Siedzieliśmy na sofie. Powoli, bardzo powoli zaczęłam się rozgrzewać. Sącząc herbatę, przyglądałam się typowo angielskiej spłowiełej elegancji wygodnego salonu zagraconego od niechcenia antykami, które wyglądały, jakby wyrosły tu z podłogi dziesiątki lat temu. Zbiór rozmaitych książek zajmował półki nad kominkiem, na biurku walały się rozrzucone papiery, na stole stała kryształowa waza z Waterford, pełna żółtych róż. - "A róże wyglądały na kwiaty, które ktoś ogląda..." - pomyślałam i nagle zdałam sobie sprawę, że cytuję Eliota na głos. - Niesamowite, prawda? - rzucił Kevin. - Charles ciągle je kupuje, choć moim zdaniem ich sztuczny przepych nadaje temu pomieszczeniu zupełnie nierealny klimat... Czujesz się już nieco bliżej rzeczywistości czy wciąż masz wrażenie, że błądzisz w sennym koszmarze? - Czuję się lepiej. Ale... - Ale koszmar się jeszcze nie skończył? Opowiedz mi o wszystkim. Dzieląc z kimś zgrozę, sprowadza się ją do poręczniejszych proporcji. Poza tym i tak nigdy nie lubiłem Scotta, więc nie będę ani rozczarowany, ani wstrząśnięty. - Przeżyjesz wstrząs. - No i dobrze. Jestem tak niepodatny na tego rodzaju emocje... przez to życie staje się nudne. Wstrząśnij mnie. Mówiłam przez kilka minut urywanymi zdaniami, a kiedy w końcu zamilkłam i spojrzałam na niego, zobaczyłam, że jest naprawdę wstrząśnięty. - Kevinie... - Tak, tak. Przepraszam za tępy wyraz twarzy. Próbowałam się właśnie zmusić do myślenia. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że to alkoholik? - Ależ właśnie to jest zupełnie niezrozumiałe! On nie jest alkoholikiem! Całkowicie nad tym panuj! - Moja droga - rzekł Kevin - jeśli to prawda, dlaczego się tu znalazłaś? - To po prostu odosobniony przypadek! - Naprawdę wierzysz, że to się nigdy dotąd nie zdarzyło? Pomyślałam o nagłym rozstaniu Scotta z bibliotekarką. Przypomniało mi się, jak mówił: "W marynarce miałem pewne kłopoty". Powróciło mi na myśl jego zwierzenie, że zrezygnował z przelotnych znajomości, kiedy zdał sobie sprawę, że nie potrafi sobie z nimi radzić bez alkoholu. Milczałam. - Mogę się założyć, że to nie był pierwszy raz - mówił Kevin - i założę się, że nie będzie ostatni, dopóki Scott nie rozstanie się z alkoholem na dobre. Bóg świadkiem, że ja sam piję tego, ale przynajmniej nie utrudniam życia sobie i swoim bliźnim. Masz zamiar do niego wrócić? - Muszę! - znów zaczęłam płakać. - Chcę mu jakoś pomóc... ocalić go... Wszystko zależy ode mnie! - Nie, Vicky. Wszystko zależy od niego. Mój Boże, wstyd mi to mówić, ale muszę się napić. To straszne! Zdaje się, że wytrąciłaś mnie z równowagi, przejawiając wszelkie oznaki kompleksu zbawiciela. Nie próbuj się w to bawić, Vicky. To ślepa uliczka. - Ale ja go kocham! - To raczej oczywiste, choć nie jest dla mnie równie oczywiste dlaczego. Nie chce mi się wierzyć, że za wszelką cenę postanowiłaś go zbawić. Nie robisz na mnie wrażenia masochistki,

która za- kochuje się w mężczyźnie nie pomimo jego wad, ale z ich powodu - Kevin westchnął, dolał sobie trochę wody sodowej do whisky i znów usiadł obok mnie na sofie. - Na swój sposób przypominasz mi Neila. Oboje znaleźliście w życiu wielką miłość, której obiekt okazał się emocjonalnie zamknięty i niezbyt dobry w okazywaniu uczuć. To cię jednak nie zraża, bo masz tę niezmiernie amerykańską pewność, że wszystko da się naprawić. Oczywiście podejmujesz się naprawy, co jest jawną demotracją siły, i nagle zdruzgotana odkrywasz, że nie jesteś taką niezawodną złotą rączką, za jaką się uważasz. Rezultat: nieszczęście, rozwiane złudzenia, a wielka namiętność ląduje na mieliźnie. Dobra, weź do przemyślenia inną teorię: to, co czujesz do Scotta, to nie miłość, lecz poczucie winy. Czujesz się w obowiązku odkupić błędy twego ojca. - Och, przecież... - Nie? Wobec tego uprośmy jeszcze naszą teoryjkę i powiedzmy, że ten twój romans jest po prostu aktem buntu wobec ojca. - Kevinie... - Oczywiście prawdy są trudne do przełknięcia, czyż nie? A może jestem od nich daleki? - Nie mógłbyś już trafić dalej. Scott jest jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek mogłam nawiązać stosunek. - Cóż za diaboliczny zbieg okoliczności. Nie mówiąc już o tym, że słowo "stosunek" też ostatnio nabrało diabolicznego wydźwięku. Może oznaczać wszystko, począwszy od pobieżnych uścisków dłoni, skończywszy zaś na orgazmie, ale rzecz jasna nie mówimy tu o pobieżnych uściskach dłoni, prawda? Szkoda. Wolałbym, żeby tak było. - Nie mówimy też o orgazmach. Słuchaj, to nie ma znaczenia, dlaczego kocham Scotta... - W porządku, poddam się. Chcesz do niego wrócić. - Tak. - Kiedy wytrzeźwieje. - Tak. - I tylko, jeśli przysięgnie, że raz na zawsze skończy z alkoholem. - Zgadza się. - Niechże i tak będzie. Nie mam prawa ingerować w to głębiej. A teraz przygotuję ci pokój. Musisz być wykończona. Nie pozwoliłam mu nawet porządnie zaścielić łóżka. Wpełzłam pod stertę koców i długo leżałam dygocząc, z otwartymi oczyma, aż w końcu dreszcze ustąpiły, a gdy przez okno zaczął się saczyć brzask, oczy same mi się zamknęły i nareszcie znalazłam odpoczynek. 11 - Przykro mi - powiedział Kevin - ale nie puszcę cię tam samej. Scott co prawda na pewno osiągnął już etap, w którym jest bardziej skłonny do wymiotów niż do ataków paranoi, mimo to nie będę ryzykował. Idę z tobą. Siedzieliśmy samotnie przy stole jadalnym w staromodnej kuchni. Charles, którego widocznie nie dane mi było poznać, wyszedł do biura na długo przed dziesiątą, kiedy to zwlokłam się z łóżka. Byłam spokojna, nadal jednak nie mogłam nic przełknąć. - Jeszcze kawy? - spytał Kevin. - Dzięki. Patrzyłam, jak sięga po dzbanek. Z wiekiem utracił wygląd niebieskiego ptaka, a zaczął przypominać dystyngowanego literata. Jego włosy, zachodzące na kark, ale starannie przycięte, lśniły najczystsza bielą, i choć był teraz o wiele cięższy niż za młodu, zachował pewien wdzięk, który sprawił, że najbardziej niedbałe ubranie wyglądało na nimelegancko. Akcent, będący poprzednio dziwaczną mieszaniną naleciałości z prywatnych szkół i broadwayowskich teatrów, obecnie wyraźnie trącił BBC. Kevin nosił okulary, które ciągle zdejmował, jak gdyby bał się, że go postarzają, i gestykulował nimi w trakcie rozmowy. Ten nawyk pogłębiał tylko otaczającą go aurę dystynkcji. - Weźmiemy taksówkę - rzekł, kiedy wyszliśmy z domu. - Tylko raz prowadziłem samochód w tym kraju i skończyło się to katastrofą. Mam nieuleczalny nawyk trzymania się prawej strony. Uśmiechnęłam się z wysiłkiem. Myślałam wyłącznie o Scotcie. Niepokój ciążył mi w żołądku jak kamień. Kiedy znaleźliśmy się pod drzwiami, nie mogłam trafić kluczem do zamka i Kevin musiał mi pomóc otworzyć drzwi. Weszliśmy do holu. Gospodyni odkurzała salon na piętrze i ten zwyczajny hałas sprawił mi niewypowiedzianą ulgę i dał odwagę, by zapukać do drzwi biblioteki. - Scott? Nie było odpowiedzi. Spojrzeliśmy na siebie. - Mój Boże - zdziwił się Kevin. - Czy to możliwe, że wybrał się dziś rano do pracy? W tej samej chwili Scott wyszedł z biblioteki. Był świeżo ogolony i nieskazitelnie ubrany, a gdy uświadomiłam sobie, ile wysiłku musiało go kosztować doprowadzenie się do przyzwoitego stanu, pod powiekami zakręciły mi się łzy. Oczy miał przekrwione, twarz wypraną z koloru. Nie odzywał się, tylko stał i patrzył na mnie, a jego nieme cierpienie sprawiło, że instynktownie chciałam go utulić. - Scott... kochany...

myśleliśmy... baliśmy się... Scott przełknął ślinę, lecz nadal nic nie mówił. Odwróciłam się do Kevina. - Już dobrze - powiedziałam. - Dziękuję ci za wszystko. - Przedzwoń do mnie później - odparł krótko i wyszedł. Frontowe drzwi zamknęły się za nim cicho. Pierwsze słowa, jakie padły z ust Scotta, brzmiały: - Nie opuszczaj mnie. Błagam cię, nie odchodź. Nie przeżyłbym tego. - Nie opuszczę cię, miły. Zostanę z tobą. - Nie mogę cię stracić. Wolałbym umrzeć. I tak nie zasługuję na to, żeby żyć. Zachowałem się jak bestia. - Cicho - wzięłam go w ramiona i pogłaskałam po włosach. Scott przywarł do mnie kurczowo. - Myślałem, że nie wrócisz - powiedział. - Myślałem, że to już koniec. Przygotowałem nawet kąpiel i żyletkę... - Chodź, usiądźmy. Usiedliśmy obok siebie na sofie w bibliotece. Gdzieś, w innym świecie, gospodyni wciąż jeździła odkurzaczem po salonie. - Scott - odezwałam się - potrzebna ci jest pomoc. Pójdiesz do lekarza? Energicznie pokiwał głową. - Pójdę po tabletki. Pomogą mi przetrwać kilka pierwszych dni. Już nigdy nie wezmę do ust al- koholu, nigdy, przysięgam!

Pocałowałam go i mocniej przygarnęłam do siebie. - Nie mówiłam wyłącznie o wódce. Ktoś musi ci poradzić, jak zapanować nad tymi wszystkimi gwałtownymi emocjami, które w sobie ukrywasz. Spojrzał na mnie zmieszany. - Kiedy nie piję, nie miewam takich ataków. - Scott, alkohol nie jest siłą stwórczą. Nie kreuje agresji, co najwyżej otwiera twój umysł i po- maga jej się wyzwolić. Scott zamyślił się. Po chwili podniósł dłoń do czoła, jak gdyby ból głowy przeszkadzał mu się skoncentrować. Nie poskarżył się jednak na złe samopoczucie. W końcu rzekł: - Nie wiem. Może masz rację. Ale lekarze nic na to nie poradzą. Sam muszę sobie pomóc. Kiedy spłacę swój dług wobec ojca, odzyskam spokój ducha, a wtedy i agresja straci rację bytu. Po krótkim milczeniu odparłam: - Myślę, że twój ojciec już dawno odpoczywa w pokoju. Na pewno pragnąłby, żebyś wreszcie zadbał o siebie. Gdybyś porozmawiał z lekarzem... - Masz na myśli psychiatrę? - Tak, psychiatrę. Nie twierdzę, że jesteś chory... - Założę się, że tak właśnie uważasz. A po ostatniej nocy nie mogę mieć do ciebie pretensji... - Nie uważam, że jesteś chory - powtórzyłam, nie zwracając na niego uwagi - ale widzę, że bez- ustannie się męczysz. Po co masz tak cierpieć, skoro być może, powtarzam, być może, dzięki facho- wej pomocy wrócisz do równowagi. Nie sądzisz, że warto przynajmniej spróbować? - Oczywiście, zrobię, co zechcesz - odpowiedział. - Cokolwiek uznasz za stosowne. Skoro uważasz, że powinienem iść do psychiatry, pójdę. Zdałam sobie sprawę, że Scott co prawda zgadza się na konsultację lekarską, lecz robi to z nie- właściwych pobudek. Odetchnęłam głęboko i uczyniłam jeszcze jeden wysiłek, aby do niego dotrzeć. - Musisz sam chcieć wyzdrowieć - powiedziałam. - Jeżeli ty nie zechcesz, nikt cię nie wyleczy. - Chcę się wyleczyć. Przez cały powojenny okres próbowałam się leczyć jedyną metodą, która może się okazać skuteczna. Miałam wrażenie, że oboje chodzimy w kółko. Niechętnie doszłam do wniosku, że nie mam wyboru: muszę mu to powiedzieć bez ogródek. - Chcę, żebyś zrozumiał jedno - oświadczyłam spokojnie. - Jeżeli nie zapanujesz nad swoją agresją, odejdę. Dawniej myślałam, że nic nas nie zdoła rozdzielić. Teraz wiem, że grzeszyłam pychą. Uważałam się za superkobietę, która potrafi osiągnąć dosłownie wszystko, jeśli się tylko postara. Nie jestem nadczołowiekiem, ale nie jestem też masochistką. Nienawidzę przemocy i nie ścierpię jej w ży- ciu osobistym. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć. Może dzięki temu łatwiej ci będzie uwierzyć, że gdyby wczorajsza scena kiedykolwiek się powtórzyła... - Obiecuję ci - przerwał - przysięgam, że to się nigdy więcej nie powtórzy. - Wierzę, że przestaniesz pić. Jeżeli o to chodzi, ufam ci bez zastrzeżeń. - Wobec tego możesz być spokojna. O nic więcej nie musisz się martwić. Milczałam. - Oczywiście pójdę do psychiatry - podjął - ale nie tutaj. Zrobię to po powrocie do Nowego Jorku. Wątpię, by Europejczyk potrafił zrozumieć kogoś, kto wychował się w Stanach. W duchu przyznałam mu rację. Wiele lat temu ja również odwiedzałam londyńskich psychia- trów. Pamiętam, jak bardzo wydawali mi się obcy. Nie byłam im w stanie przekazać swoich odczuć. - Dobrze - powiedziałam. - To brzmi rozsądnie. Zaczekamy, aż wrócisz do domu. Pocałował mnie, a ja znów przytuliłam go do siebie i przegarnęłam dłonią jego włosy. Milcze- liśmy długo. W końcu Scott rzekł cicho: - Chcę ci coś powiedzieć

na temat Sebastiana. - Nie - wyrwałam się z jego objęć. - Już nigdy więcej nie będziemy o nim wspominać. Napiszę do niego, że nie mogę się z nim zobaczyć. - Ależ to właśnie byłby kardynalny błąd! - w głosie Scotta zabrzmiała rozpacz. - Od czasu do czasu będziemy musieli o nim mówić i naturalnie powinnaś go odwiedzić, skoro jesteś w Anglii... Oczywiście, że tak! W ogóle nie ma o czym dyskutować! Nigdy nie wybaczę sobie wczorajszego zachowania, ale może przynajmniej będzie mi łatwiej z tym żyć, jeżeli będę miał świadomość, że nie przeszkodziłem ci w spotkaniu z kimś, kto odegrał tak ważną rolę w twoim życiu. Proszę, zadzwoń do niego i umów się z nim od razu. Łzy znów stanęły mi w oczach, tak bardzo bowiem starał się sprostać moim oczekiwaniom. Czułam, jak niezdarnie próbuje zgadywać moje myśli. Ponownie przyszły mi na myśl dwa okręgi - stykające się, lecz nie przecinające. Chciałam przytrzymać go w miejscu, ukoić, nie pozwolić, by jeszcze raz ześliznął się w otchłań izolacji. Bałam się na niego spojrzeć. Trzymałam go w ramionach, aż w końcu byłam już w stanie zapłakać nad głosem. Powiedziałam łagodnie: - Dobrze. Dziękuję. Zaraz do niego zadzwonię. 12 - To jest mój samochód - powiedział Sebastian. - Tylko się nie śmieję! Roześmiałam się. Był to jaskrawoczerwony wozik wielkości pudełka na lunch, zaopatrzony w cztery maleńkie kółka. - Jak się w nim mieścisz? - Zmieściłby się w nim nawet olbrzym z bajki o złotej harfie! Hej, wolnego, nie z tej strony! Kończ nie chcesz prowadzić? Wepchnęliśmy się do środka. Sebastian złożył się w scyzoryk za kierownicą i po chwili samochód ryknął dziko i ruszył z kopyta wąskimi uliczkami Cambridge. Zobaczyłam rzędy miniaturowych domków, kępy drzew i widoczne w oddali wieże. - Oxford też jest niezły - rzucił Sebastian - choć tu jest lepiej. Z tej drogi nie widać głównych atrakcji miasta, ale potem zabiorę cię na wycieczkę. Będziesz mogła klaskać w ręce, wzdychać: "och! i "ach i wydawać z siebie wszystkie odgłosy, które zwykle wydają amerykańscy turyści. Sebastian miał na sobie typowo angielski strój składający się z workowatych szarych flanelowych spodni, wymiętej tweedowej marynarki ze skórzanymi łątami na łokciach i sportowej koszuli, która jakiś czas temu przestała być śnieżnobiała. Zaczynał łysieć na czubku głowy i nie starał się tego ukryć. Prowadził z wielką wprawą i często kłął pod nosem, kiedy większy samochód zajeżdżał mu drogę. - Co słyhać w Nowym Jorku? - zapytał. - Słyszałem, że młody Shine nadal terroryzuje Wall Street. Na co teraz ostrzy sobie ząbki? Co mówi się w kuluarach? - Podobno upatrzył sobie następną firmę ubezpieczeniową, ale nikt nie dałby za to głowy. Znadto fascynował mnie krajobraz, bym miała ochotę rozmawiać o Donaldzie Shinie. Rozciągająca się przed nami olbrzymia trawiasta połać przywodziła mi na myśl dawną angielską wieś. W chwilę później Sebastian, przedzierając się przez rondo, powiedział: - To tutaj nazywa się Letni Wygon. Mój dom jest zaraz na skraju. Ten czarny z białymi drzwiami. Stojący w szeregu domek był kwadratowy i miał względnie symetryczną fasadę. Frontowy ogródek stykał się z łąką, musieliśmy więc zaparkować w zaułku na tyłach. Do środka weszliśmy kuchennymi drzwiami. - I jak się tu podobało twojemu Alfredowi? - spytałam mimo woli. Elsa lubiła ogromne, luksusowe, współczesne wnętrza, a jej obecny mąż najwyraźniej podzielał jej gust. Mieli potężną willę w Westchester i piętnastopokojowe mieszkanie na Manhattanie. - Bardzo mnie namawiał, żebym spakował chałupkę i przesłał ją do Stanów. Postawiłby ją w ogródku i miałby własny domek w sam raz do zabawy. Sebastian wprowadził mnie do niewielkiego przytulnego salonu. W czasie gdy przygotowywał drinki, obeszłam pokój dookoła, oglądając jego ulubione obrazy, sztychy i książki. Oboje milczeliśmy, lecz właśnie tak było nam dobrze. Dawno przyzwyczaiałam się do jego milczenia. - Jak ci idzie praca nad książką? - spytałam, gdy podał mi martini. - Niespecjalnie. Doszedłem do wniosku, że mój styl nie pasuje do dzieła o bankowości. - Chcesz powiedzieć, że masz zamiar zrezygnować? - Chyba tak. - Wobec tego co będziesz robić? - Nie wiem. Może po prostu zwariuję. Okazuje się, że tęsknię nie tylko za bankiem, ale także za plastikową kulturą. Chociaż... - Sebastian zerknął przez okno na sielski krajobraz Letniego Wygonu - ...zdobyłem się jednak na bunt. Każdy powinien mieć przynajmniej jedną

szansę, by machnąć ręką na wszystko i odjechać w siną dal, niczym kowboj ze starego filmu, któremu przyjaciel zabrał ukochaną dziewczynę... Często się zastanawiam, jakie były dalsze losy tych staroświeckich kowbojów. Czy umierali z żalu pod jakimś samotnym kaktusem? Mało prawdopodobne. Założę się, że w końcu wrócili na szlak i dalej zarabiali na życie w jedyny sposób, do którego czuli smykałkę, ponieważ tylko to środowisko, obojętnie jak trudne, a nawet odrażające, dawało im szansę, żeby być sobą. - Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz wrócić do Stanów? Wydawało mi się, że uwielbiasz Anglię! - Uwielbiam ją. Tyle że po prostu do niej nie pasuję. Może jestem za młody, by przejść na cichą emeryturę w tym cywilizowanym azylu dla mędrców. A może jestem zbyt amerykański. Życie cudzoziemca nie jest usłane różami, nawet jeśli trafi do kraju, gdzie tubylcy są stosunkowo przyjaźni. Uśmiechnęłam się do niego. - Skończysz jak postać z powieści Orwella. Na twoim grobie będzie widniał napis: "A jednak umiłował plastikową kulturę!" - Możliwe - Sebastian sposepniał. Potem westchnął i dodał cierpko: - Henry James i T.S. Eliot przybyli do Europy i byli zgorznięci, że jest tak dekadentka. Ja również przybyłem do Europy i jestem zgorznięty, że jest aż tak nudna. Chciałbym już wrócić do akcji. Na wieść o wyczynach Shine'a odczuwam niemal lubieżny dreszczyk... Dobra, chodźmy na lunch. Tuż nad rzeką jest bardzo miła knajpka. Położona na piętrze restauracyjka sprawiała wrażenie, że chyli się nad wodą. Pod oknem przepływały łódki pełne wycieczkowiczów, w dali ponad dachami i wierzchołkami wzgórz strzelały w niebo iglice uniwersytetu. Jedliśmy ziołowe omlety, zapijając je białym winem. - Wiesz - palnęłam bez zastanowienia - zapisałam się na wykłady o literaturze egzystencjalnej i choć rozumiem tylko mniej więcej jedno słowo na dziesięć, to jednak temat jest fascynujący. Czytałeś może "Drogi wolności" Sartre'a? - Pierwsza część podobała mi się bardzo, druga wcale, a trzeciej nie czytałem. Zaczęliśmy beztrząsco gawędzić o Sartrze, lecz gdy już zmietliśmy wszystkie omlety, a kelnerka przyniosła kawę, Sebastian sprowadził mnie z powrotem na ziemię. Zapytał o dzieci. Powiedziałam mu, że martwię się o Erica, bo w ogóle nie interesują go dziewczęta, i o Paula, bo boję się, że potajemnie pali trawkę, i o Samanthę, bo ma bzika na punkcie chłopców, i o Kristin, bo ciągle pozostaje w cieniu ładniejszej siostry, i o Beniamina, bo to Beniamin. Sebastian roześmiał się i powiedział, że o wiele przyjemniej mieć dzieci z charakterem niż bezbłędnie wyregulowane roboty w rodzaju tych, jakie produkują Andrew z Lori. Nagle przestałam się martwić. Ilekroć rozmawiałam z Sebastianem o dzieciach, zawsze udawało mi się wpoić we mnie krzepiące poczucie, że nie jestem aż tak beznadziejną matką, a kto wie, być może nawet niezłe sobie radzę. Dokończyliśmy kawę i wyszliśmy na zewnątrz. - Zwiedzanie zaczniemy od tyłu - oznajmił Sebastian, wioząc mnie przez łąki ciągnące się na tyłach największych kolegów. Obsadzoną płaczącymi wierzbami aleją zeszedliśmy znów nad rzekę. Na moście Klary przystanęliśmy, oparłszy się o balustradę, obserwując słoneczne refleksy tańczące na spłowiałych ścianach budynków. - Pomyśl, jaka to frajda studiować w takim mieście! - westchnęłam z zazdrością. - Ci smarkacze prawdopodobnie myślą, że im się to należy. Chodź, pokażę ci kaplicę w King's College. Pełno tam co prawda turystów, ale nie możesz przecież wyjechać z Cambridge, nie obejrzawszy najważniejszego zabytku. Kaplica okazała się pełno wymiarowym kościołem, a gdy podeszliśmy bliżej, na własne oczy zobaczyłam architektoniczne cuda, które przysporzyły jej tak słusznej sławy. Podziwiałam strzeliste mury i wysokie okna i nagle stanęłam jak wryta. - Boże! - jęknęłam w oszołomieniu. - Co się stało? - Te róże! Sebastianie, spójrz na te cudowne kamienne róże! O, i tam też! W jaki sposób udało im się wyrzeźbić coś takiego? Są jak żywe! - Współcześni Anglicy uważają, że są wulgarnie. Elfryda Sullivan określiła je mianem "typowej nowobogackiej przesady Tudorów". - Chętnie dałabym jej za to po buzi. A ty co na to? - Powiedziałem, że wolę nowobogacką przesadę niż zdegenerowaną staroświecczyznę. Elfryda stwierdziła, że jedno jest warte drugiego i zaczęła się rozpląwać nad świątyniami klasycznej Grecji. - Elfryda jest przemądrzała - patrzyłam na ogromne sklepienie i zdawało mi się, że podtrzymują je

cienkie kolumny pną się ku górze w jakimś mistycznym dążeniu, którego nie da się wyrazić słowami. - To jest niesamowite - wyszeptalam. - To cud. - Niebrzydkie, prawda? Jezu, następna amerykańska wycieczka! Sierpień w Cambridge przypomina zjazd Narodów Zjednoczonych. Chodź, usiądziemy sobie z tyłu na trawniku i będziemy udawać, że jesteśmy tu od urodzenia. Znaleźliśmy pustą ławkę na łące ciągnącej się od rzeki aż do murów King's College. Usiedliśmy na chwilę w słońcu. Było bardzo cicho, spokojnie. - Nie wiem, jak mógłbyś opuścić tak cudowne miejsce, Sebastianie. - Szaleństwo, nieprawdaż? Dlaczego musiałem się urodzić bankierem i do tego mieć wrodzony instynkt gnieźdzenia się w Nowym Jorku? To bez sensu. - Jestem pewna, że bez trudu dostaniesz dobrą posadę na Wall Street. - Jest tylko jedna posada, o którą byłbym skłonny się ubiegać. Siedzieliśmy dalej. Sielankowy krajobraz wciąż pławił się w słońcu, lecz mnie nagle przeszył dreszcz. Otworzyłam torebkę i zaczęłam szukać papierosów. - To nic - ciągnął Sebastian. - Właściwie nie ma o czym mówić, bo w końcu Korneliusz i tak wezwie mnie z powrotem. A wtedy to ja będę stawiał warunki. Matka mu nie da spokoju, więc schowa dumę do kieszeni i znów przyjdzie do mnie na kolanach, i to właśnie będzie wyższa sprawiedliwość, o jakiej marzy Scott: Korneliusz będzie musiał oddać dorobek swego życia nie jemu, facetowi, którego zawsze skrycie lubił, lecz mnie, czyli facetowi, którym zawsze w głębi skrycie gardził. Boże, co za ironia! Będę się śmiał przez całą drogę do Stanów! - A Scott? - postłyszałam swój głos. - Co Scott? - zdziwił się Sebastian. - Korneliusz najwyraźniej skreślił go z rozważań, inaczej po co zsyłałby go do Europy na tak długo? Scott, jeśli będzie miał szczęście, zachowa swoje udziały, ale niczego więcej nie osiągnie. Sam się pograżył. Korneliusz ostatecznie go wymanewrował. Podejrzewam, że tylko czeka, kiedy się z nim rozstanie, żeby go wyrzucić na bruk. - Ale ja zamierzam za niego wyjść, Sebastianie. Nie będziemy przecież zaręczeni bez końca. Chcemy wziąć ślub na Boże Narodzenie. Zapadła cisza. Potem gdzieś w dali odezwał się dzwon, a od rzeki doleciał śmiech wioślarzy. - Aha - mruknął Sebastian. - No cóż, jeżeli tego właśnie chcesz, życzę powodzenia. Zawsze ci mówiłem, żebyś dążyła do tego, czego pragniesz, Vicky, i nie pozwalała innym układać sobie życia. I nadal powtarzam, że cokolwiek się zdarzy, zawsze możesz na mnie liczyć. Milczałam. Miałam uczucie, jak gdyby ktoś obracał mi nóż w ranie. Tak zagubiona nie byłam od chwili, gdy w Oak Bar w hotelu Plaza postanowiliśmy się rozwieść. Mijała nas grupa turystów. Mały, jasnowłosy i niebieskooki chłopczyk odłączył się od niej i wybiegł daleko naprzód, ściskając w ręku wianek ze stokrotek. - Edward John byłby w tym samym wieku - Sebastian wypowiedział na głos moje myśli. - Pewnie do tej pory wyrósłby z niego przyprawiający nas o nieustanny ból głowy rozbójnik, ale jakoś nigdy nie myślę o nim w ten sposób. Wyobrażam sobie, że mówiłby "proszę" i "dziękuję", przynosił ci kwiaty z okazji Dnia Matki, a w wolnych chwilach zaszywał się w kąciaku i czytał "Wyspę Skarbów". Jakże człowiek lubi idealizować zmarłych. "Nie zestarzeją się, jak nam dane jest się zestarzeć..." A propos, zawsze myślałem, że to słowa Ruperta Brooke'a i dopiero niedawno dowiedziałem się, że napisał je gość nazwiskiem Binyon. Szkoda, że masz tak mało czasu. Zabrałbym cię do Grantchester, skąd pochodził Brooke... Chyba powinniśmy już wracać na stację. Pociąg ci ucieknie. Bez słowa wróciliśmy do samochodu. Milczeliśmy przez całą drogę do dworca. - Nie będę parkował wozu i odprowadzał cię aż na peron - rzekł Sebastian. - Ten rodzaj dżentelmeńskiego masochizmu wygląda naturalnie tylko w przedwojennych filmach. To na razie. Dzięki, że wpadłaś. Trzymaj się. - Sebastianie... - Każdy robi to, co musi. Przecież wiem. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. - Tak bardzo żałuję... - Nie żałuj. To nic nie da. Jeżeli kiedykolwiek będę ci potrzebny, zadzwoń. A teraz zmykaj już, z łaski swojej, bo spóźnisz się na pociąg i cały Londyn będzie myślał, że cię porwałem. Wysiadłam z samochodu i potykając się ruszyłam w stronę dworca. Pomimo zmieszania nie mogłam pozbyć się myśli, że Scott miał rację, starając się nie dopuścić do tego spotkania. Przewidział, że mnie poruszy, i rzeczywiście, byłam zupełnie wytracona z równowagi. Powtarzałam sobie, że nie powinnam była jechać do

Cambridge, nie powinnam była odwiedzać Sebastiana i stawiać się w tak nieznośnej sytuacji, kiedy jednak zadałam sobie pytanie, na czym właściwie polega problem, nie po- trafiłam znaleźć na nie odpowiedzi. Stałam na końcu peronu, myśląc o Edwardzie Johnie. Płakałam przez cały czas aż do przyjaz- du pociągu. Rozdział szósty 1 - Vicky, chciałbym ci złożyć najlepsze życzenia - powiedział do mnie przez telefon Jake Reis- chman. - Słyszałem, że zaręczyliście się już oficjalnie. Był wrzesień. Dzieci wróciły do szkoły, a ja z matką przyplłynęłam do Ameryki liniowcem "Qu- een Elisabeth". Scott już w październiku wybierał się służbowo do Nowego Jorku, zatem rozłąka za- powiadała się krótka, lecz mimo to cierpiałam na myśl, że zostawiam go samego. Czułam jednak, że skoro poświęciłam mu całe lato, teraz na pierwszym miejscu powinny znaleźć się dzieci, znacznym więc wysiłkiem woli oparłam się pokusie, by pozostać w Londynie. - Jake, jak to miło, że dzwonicz!... - byłam w sypialni i właśnie wkładałam sukienkę, by pójść do ojca na partyjkę szachów i plotki. Na nocnej szafce stało moje najlepsze zdjęcie Scotta i rozmawiając z Jakiem myślałam o tym, jak wiatr targał jego włosy, kiedy uśmiechał się do obiektywu. Żeglowaliś- my jachtem u wybrzeży Sussex, a Scott właśnie na dobre wyrzekł się alkoholu. Z czystej solidarności poszłam w jego ślady i odkryłam z zachwytem, iż prawie natychmiast straciłam na wadze, nie mówiąc już o tym, że czułam się dużo lepiej. Uznałam stanowczo, że głupotą byłoby znów sięgać po kieliszek; cóż, kiedy wkrótce potem znalazłam się wraz z matką na pokładzie "Queen Elisabeth" i w przeciągu pół godziny rozglądałam się już za martini. W czasie rejsu matce udało się mnie doprowadzić do skrajnej rozpacz. Flirtowała z siedemdziesięcio ośmioletnim wdowcem, opijała się szampanem od ra- na do nocy i zwyczajem starsuszków bez przerwy rozpamiętywała "dawne dobre czasy". - To naprawdę miło z twojej strony, Jake - powtórzyłam, starając się skupić na rozmowie. Scott uśmiechał się do mnie z fotografii. Jednakże Jake nawet nie wspominał o Scotcie. Nie zapytał też o zbliżający się ślub. Powiedział tylko: - Chcę cię prosić o pewną przysługę. Kiedy będziesz się widziała z ojcem? - Właśnie się do niego wybieram. - Proszę, powiedz mu, że koniecznie musimy porozmawiać. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie byłem w stanie sforsować tych facetów, którym płaci za to, żeby spławiali natrętów. Zos- tawiłem wiadomość, ale nie oddzwonił. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała mi pomóc. - Naturalnie. Czułam się urażona, że moje zaręczyny posłużyły mu tylko jako pretekst, by wykorzystać mnie w charakterze gońca. Ponieważ jednak Jake był dla mnie miły, przebaczył mi udział w rozpadzie mał- żeństwa Elsy i nadal mnie lubił, mimo że od dawna skłócony był z moim ojcem, postarałam się ukryć zawód. - Co u ciebie słysząc, Jake? - spytałam uprzejmie. - Dawno cię nie widziałam. - Ostatnio nie czuję się dobrze i jest to jedna z przyczyn, dla których muszę jak najszybciej po- rozumieć się z twoim ojcem. Chodzi o interesy, sprawa dotyczy nas obydwu. Znowu zaczęły mi do- kuczać wrzody. Jutro będą mnie operować w klinice Mount Sinai. - O, jak mi przykro! - zaskoczona, natychmiast zapomniałam o urazie. - Życzę ci szybkiego po- wrotu do zdrowia. Dopilnuję, żeby tatuś jeszcze dziś do ciebie zadzwonił. Masz na to moje słowo. - Zaraz ci podam mój nowy numer telefonu. Neil na pewno go nie zna. - Szybko podyktował mi numer i dodał tym bezbarwnym tonem, który często przybierają autokraci, kiedy nie chcą robić wra- żenia, iż wydają rozkazy: - Nie słuchaj go, jeśli będzie ci mówił, że zadzwoni później. Każ mu to zro- bić od razu, a jeżeli będzie się wykręcał, powiedz mu... - Jake urwał na chwilę, jak gdyby szukał naj- właściwszych słów - powiedz mu, że na starość robię się sentymentalny. Powiedz, że bractwo z Bar Harbor znaczy dla mnie więcej niż nowa generacja, która nadaje ton tej wariackiej dekadzie. Nagle dotarło do mnie, że jest poważnie chory i chce załagodzić przyszłe nieporozumienia, za- nim odda się w ręce lekarzy. - Nic się nie martw, Jake - powiedziałam. - Obiecuję ci, że zadzwoni. 2 - Pokażę ci moją nową zabawkę! - powitał mnie ojciec z entuzjazmem. - Magnetofon, który uruchamia się samoczynnie na dźwięk ludzkiego głosu! Świętej pamięci Sam byłby nim zachwycony! Zainstaluję go w biurze i w ten sposób będę mógł bez hałasu nagrywać każdą rozmowę. Ba,

klienci nawet się nie domyślą, że wszystko rejestruję na taśmie! Czy to nie sprytnie? Jak sobie przypomnę dawne czasy, kiedy Sam musiał się szarpać z tym starym dyktafonem, a potem Dailygraphem... - Wspaniale, tatusiu. Posłuchaj... - Teraz wystarczy, że sekretarka codziennie założy nową taśmę. Nawet ja mogę zapomnieć, że wszystko się nagrywa! Żadnych pokręteł, guzików ani klawiszy... przepraszam cię, co mówiłaś? Powtórzyłam mu słowa Jake'a. Siedzieliśmy w bibliotece ojca. Za oknem słońce znikало już pośród drzew Central Parku. Mag- netofon spoczywał na stoliku do kawy wraz z nowym numerem "The Economist". Na drugim stoliku, pod metalowym regałem, pionki w kształcie astronautów spoglądały na siebie wyczekująco. Nieco da- lej, nad telewizorem, wisiał nowy nabytek - płótno Andy'ego Warchola przedstawiające butelkę ke- czupu. Ojciec pochylał się nad magnetofonem, ale gdy skończyłam mówić, wyprostował się i spojrzął przez okno na zaróżowione niebo. Głowę miał lekko odwróconą, a ukośne światło, wpadające zza niego do pokoju, całkowicie uniemożliwiało mi odgadnięcie wyrazu jego twarzy. - Zadzwoń do niego, tatusiu, dobrze? - powiedziałam, kładąc obok telefonu karteczkę z nume- rem Jake'a. - Proszę cię! Ojciec podniósł kartkę, ale czułam, że wcale jej nie widzi. Przed oczyma miał kort tenisowy w Bar Harbor i czterech chłopców, którzy wiele lat temu wesoło uganiaли się po nim pod letnim bez- chmurnym niebem. Bez słowa podniósł słuchawkę i wykręcił numer. - Proszę z panem Reischmanem. Mówi Korneliusz Van Zale. Usiadł za biurkiem i czekając, aż Jake podniesie słuchawkę, machinalnie kreślił jakiś wzór na bi- bule. Właśnie sobie uświadomiłam, że ciąg prostokątów tworzy ni mniej, ni więcej, tylko kort teniso- wy, kiedy się odezwał: - Jake? Vicky przekazała mi wiadomość od ciebie. Potem umilkł i słuchał długich wywodów Jake'a. Bezmyślnie bawiłam się pionkiem, przez cały czas go obserwując. Po chwili ojciec delikatnie odłożył pióro i obrócił się na fotelu w stronę okna, tak że przestałam widzieć jego twarz. - Rozumiem - rzekł w końcu. - Tak. Dziękuję ci bardzo. - Zamilkł, po czym dodał: - Przykro mi to słyszeć. Koniecznie daj mi znać, jeśli mógłbym ci w czymkolwiek pomóc. - I po chwili: - Tak, zaj- mę się tym. Jeszcze raz ci dziękuję. Powoli odwrócił się z powrotem do biurka i odłożył słuchawkę. Twarz miał poważną i dziwnie wyrazistą, jak gdyby była to nieruchoma, wyrzeźbiona w kamieniu twarz posagu. Jego szare prze- rzyste oczy były puste. - Czy on umiera? - zapytałam. - Tak. Ma tylko pięćdziesiąt procent szans, że przeżyje jutrzejszą operację. A jeśli nawet, nie pozostało mu więcej niż rok. To nowotwór. Nie tak dawno ktoś mi opowiadał, jak bardzo schudł. Pomyślałam o wujku Jake'u, którego znałam w dzieciństwie, i poczułam, że dławi mnie w gard- le. Nie odzywaliśmy się przez dłuższą chwilę. Ojciec siedział przy biurku i patrzył na kort tenisowy, wyrysowany bezwiednie na bibule. Ja siedziałam na krześle i patrzyłam na niego. W końcu zapytałam: - Tatusiu, właściwie dlaczego pokłóciłeś się z Jakiem? - To już nie ma znaczenia. Minuty upływały, a ojciec nadal się nie poruszał. Kiedy sama się nieco otrząsnęłam, zrozumia- łam, że jest w szoku. - Co to za ważna sprawa, o której chciał z tobą rozmawiać? Ojciec był blady jak ściana. Kiedy ponownie obrócił się w stronę okna, zobaczyłam, że długi za- chód słońca się skończył i na miasto spływa wreszcie mrok. - Nic takiego - odparł. - Wybacz mi, Vicky, ale chyba będę musiał zrezygnować z dzisiejszej rozgrywki. - Naturalnie. - Wzruszyło mnie, że tak bardzo załamała go wieść o chorobie Jake'a. Podeszłam do niego i pocałowałam w czubek głowy. - Chcesz, żebym posiedziała tu jeszcze trochę? Możemy po prostu chwilę porozmawiać. Czy raczej wolisz być sam? - Muszę zostać sam - odpowiedział. - Mam sporo do przemyślenia. - Jasne. Wobec tego dobrej nocy, tatusiu - powiedziałam, całując go jeszcze raz, po czym wy- szłam. Ojciec został sam ze swoimi myślami w mrocznym nieubłaganie pokoju. 3 Jake przeżył operację, lecz przez pierwsze trzy dni dopuszczano do niego tylko najbliższą ro- dzinę. Słyszałam, że jego starsza córka Ruth, która po drugim rozwodzie zamieszkała w Europie, przyleciała natychmiast do Nowego Jorku. Odwiedziła go także Elsa, natomiast z synem Jake'a, Davi- dem, który zerwał więzy z rodziną i wyniósł się do Kalifornii, nie zdołano nawiązać kontaktu. Była żona Jake'a, Amy, pozostała na Florydzie.

Kiedy zakaz odwiedzin został zniesiony, przez pewien czas nie mogłam się zdobyć na wizytę w szpitalu z obawy, że spotkam tam Elbę, ale po tygodniu rozterki kupiłam mały bukiet i nieśmiało wkroczyłam do holu recepcyjnego kliniki Mount Sinai. - Czy mogłabym się na chwilę zobaczyć z panem Jakubem Reischmanem? - zagadnęłam, kiedy skierowano mnie do właściwej siostry oddziałowej. Pielęgniarka milczała przez chwilę. Zdażyłam w tym czasie zauważyć, że ma niebieskie oczy, naznaczone w kącikach drobną siateczką zmarszczek, oraz gładkie ciemne włosy pod czepkiem. W końcu odezwała się cicho: - Bardzo mi przykro, proszę pani, ale mam dla pani złą wiadomość. Dziś rano stan zdrowia pana Reischmana raptownie się pogorszył. Umarł pół godziny temu. Czy pani jest członkiem rodziny? - Nie - powiedziałam. - Tak. W pewnym sensie. Przepraszam. Odwróciłam się od niej i ruszyłam szybko korytarzem, minęłam windy i zbiegłam po schodach do holu. 4 Nieomal w drzwiach mieszkania ojca natknęłam się na Alicję. Ubrana była jak zwykle, trudno powiedzieć, że źle, jej stroje bowiem miały zawsze świetny krój, ale nieciekawie: w prostą granatową garsonkę i białą bluzkę bez żadnej biżuterii. Mały granatowy kapelusik częściowo zakrywał jej wijące się, farbowane na naturalny brąz włosy. - Witaj, moja droga - powiedziała. - Właśnie wychodziłam na lunch. Jesteś bardzo blada; czy coś się stało? - Och, Alicjo! - wybuchnęłam bezładnie. - Tak mi smutno, bo właśnie byłam w szpitalu i powie- dzieli mi, że Jake umarł dziś rano... Sama nie wiem, dlaczego tak to mną wstrząsnęło, skoro ostatnio rzadko go widywałam, ale w jakiś sposób był dla mnie symbolem przeszłości, czegoś, co teraz bezpowrotnie odeszło... Nagle zobaczyłam wyraz oczu Alicji i urwałam. Jej twarz nawet nie drgnęła, wciąż była ułożona w beznamiętną maskę, która zawsze tak mnie odpychała, lecz w oczach błyszczały wspomnienia i nim jeszcze zaczęła mówić, domyśliłam się, że była w nim zakochana. 5 - Oczywiście nigdy nie zamierzałam porzucić twego ojca - powiedziała. Zawsze kochałam go bardziej niż kogokolwiek innego. Ale czasami bywało nam ciężko. Siedziałyśmy przy oknie w jej sypialni na niewygodnym szezlongu, którego Alicja z jakiegoś powodu nigdy nie chciała się pozbyć. Palila papierosa; na stoliku stał pusty dzbanek po martini, ale nasze kieliszki były jeszcze pełne. - Więc sama rozumiesz, jakie to było trudne - powiedziała ta niezwykła kobieta, której w ciągu tylu lat nie zdołałam poznać. - Strasznie mnie irytuje, że o cudzołóstwie mówi się dziś jak o niewinnej randce dwojga nastolatków. Wiem, że ostatnio bardzo modna jest walka z hipokryzją, ale mogę tylko powiedzieć, że żyjemy w nieuczciwych czasach. Nie jesteśmy mechanicznymi kukłami, nastawionymi na beznamiętną kopulację z każdym, kogo znamy z widzenia, a udawanie, że tak właśnie jest - bardzo powszechne u młodej generacji - moim zdaniem jest nie tylko groźne, ale naiwne i co tu dużo mówić, żałosne. Co za ironia, że dziś najmodniejszym słowem jest "luz"! Igranie z uczuciami innych ludzi nie ma nic wspólnego z luzem. To stąpanie po cienkiej naprężonej linie, rozpiętej nad ogniem. Alicja urwała na chwilę, żeby wygasić papierosa. Podsunęłam jej następnego. - Poparzyliśmy się wszyscy - podjęła, kiedy podałam jej ogień - choć po śmierci Sama sytuacja trochę się unormowała. Korneliusz zerwał z Teresą, a ja już wcześniej rozstałam się z Jakiem. Podej- rzewam, że Teresa była z tego zadowolona, natomiast Jake... To nie był typ człowieka, który się łat- wo poddaje. Próbował jeszcze raz w okresie, gdy Sebastian wyleciał z pracy i stosunki między mną a Korneliuszem znów stały się napięte, ja jednak nawet przez moment nie brałam pod uwagę odno- wienia naszego romansu, bo wówczas wierzyłam święcie, że ja i Korneliusz zawsze jeszcze możemy być szczęśliwi, choćbyśmy bardzo się od siebie oddalili. Dowiedliśmy tego po śmierci Sama i byłam pewna, że możemy tego dowieść znowu, trzeba tylko cierpliwie czekać. - I dowiedliście? - Nie. Wątpię, czy jeszcze kiedyś nam się to uda. Czekałam na próżno... Tylko nie zrozum mnie źle! Nie jesteśmy już sobie tak bliscy, ale się nie kłócimy i nadal się lubimy, a to już jest więcej, niż może o sobie powiedzieć większość par po trzydziestu sześciu latach pożycia. Jestem zadowolona. Mam synów i wnuki, zdrowie mi dopisuje i wciąż jeszcze wyglądam nie najgorzej. W sumie życie było dla mnie bardzo łaskawe. Tylko czasem, w takie dni jak dziś,

kiedy coś z tego życia ubywa, chce mi się płakać za utraconą przeszłością i tymi wszystkimi snami, które się nie spełniły. - Alicjo, jaka szkoda, że nigdy tak ze sobą nie rozmawiałyśmy! - Nie miałyśmy o czym rozmawiać. Nasze losy biegły obok siebie jak linie równoległe, które się nie przecinają. Mimo to cieszę się, że ci powiedziałam o Jake'u. Od dawna chciałam komuś o nim opowiedzieć, ale nie miałam komu - Alicja zerknęła przez ramię na milczący telefon. - Zastanawiam się, czy powinnam teraz zadzwonić do twojego ojca. Nie, niech się o tym dowie od kogo innego. Tak będzie lepiej. - Ja do niego zadzwonię - orzekłam po namyśle i zaczęłam wykręcać numer banku na rogu Wil- low i Wall. 6 Dwudziestego drugiego listopada, zaledwie w miesiąc po tym, jak pięćdziesiąt tysięcy ludzi ruszyło na Waszyngton protestując przeciwko wojnie, armia Stanów Zjednoczonych zdobyła wzgórze numer 875 koło Dak To w jednej z najkrwawszych bitew wietnamskiej kampanii. Kiedy oglądałam wiadomości telewizyjne, miałam wrażenie, że krew płynie strumieniami przez mój salon. Tegoż wieczoru napisałam do Sebastiana: "Trzeba położyć kres temu bezsensownemu marnowaniu ludzkich istnień. Ktoś musi wreszcie powiedzieć: <Dość!>". Nikt jednak tego nie powiedział, życie więc toczyło się dalej, przynosząc codziennie nowe listy zabitych i rannych, codziennie nowe obietnice zbawienia narodu, jakich nie szczędził nam prezydent Johnson, codziennie nowe przejawy niezgody i śmierci. Werbel przemocy rozbrzmiewał coraz głośniejszym "crescendo", lecz równocześnie zmieniała tonację akompaniująca mu muzyka epoki, z czego dotkliwie zdałam sobie sprawę, gdy autorzy tekstów porzucili niewinne piosenki o miłości, a zaczęli gloryfikować coraz powszechniejszą narkomanię. - Stanowczo sprzeciwiam się tego typu utworom - oświadczyłam, gdy moje dzieci zmusiły mnie do wysłuchania najnowszego przeboju od początku do końca. - Oj, mamgo! - Możesz sobie krzyczeć, ile chcesz, a ja i tak nie ustąpię i nie będę udawać, że strasznie mi się podoba. Chyba nie chcecie mieć matki hipokrytki, prawda? - Ale, mamgo, ty w ogóle nie rozumiesz, o co tu... - Doskonale rozumiem, o co chodzi. I dlatego nie mam zamiaru tego tolerować. Te bezmyślne introspekcje, dokonywane w biernym narkotycznym odurzeniu, są tak samo szkodliwe jak bezmyślna eskalacja przemocy w kraju i za granicą. Boże, czasami poważnie się zastanawiam, jak uda nam się przeżyć tę wariacką dekadę! - wykrzyknęłam z pasją, i nagle sobie uświadomiłam, że powtarzam słowa Jake'a - słowa, których użył, by odżegnać się od budzącej kiedyś wielkie nadzieje, a teraz rozłaziłej się w szwach kultury. - Przykro mi - powiedziałam moim dzieciom. - Nie chcę być takim beznadziejnym wapniakiem, ale spróbujcie przez moment spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Komuś, kto tak jak ja pamięta lepsze czasy, nie jest łatwo przyglądać się z uśmiechem, jak całym krajem wstrząsa wyjątkowo przykra histeria. Żyjemy w czasach społecznego kryzysu i trudno nie czuć niepokoju, kiedy stare znajome wzorce obyczajowe, które dotąd pełniły rolę drogowskazów, jeden po drugim padają na pobocze. Choć może wcale nie giną, może świat zmienił się tylko powierzchownie a młodzi ludzie są w gruncie rzeczy tacy sami jak zawsze... - O czym ona mówi? - Próbuje nam powiedzieć, że nasze pokolenie nie jest niczym niezwykłym. To skandal! Przecież wszyscy wiedzą, że jesteśmy unikatowym produktem bomby wodorowej i społeczeństwa ery postindustrialnej. Wiadomo, że takiego pokolenia jak nasze nie było jeszcze w dziejach ludzkości! - Mama też o tym wie. Po prostu chce być dla nas miła, więc przestań się do niej tak nieładnie odnosić! - Nie odnoszę się do niej nieładnie. Chciałem tylko powiedzieć, że trudno wymagać od kogoś w tym wieku, żeby zrozumiał, jak bardzo jesteśmy wyjątkowi... - Nie traktuj mnie tak, jak gdybym była sklerotyczną staruszką! - wrzasnęłam ze złością. - I przestań być taki cholernie arogancki! Masz rację, to pokolenie rzeczywiście nie ma sobie równych! Jako pierwsze w dziejach jest na tyle nieczułe, że zapomina o dobrych manierach! - Wyluzuj się, mamgo. Wcale nam nie przeszkadza to, że jesteś stara. I tak cię kochamy. - Te dzieci doprowadzą mnie kiedyś do obłądu - powiedziałam do ojca, kiedy tego samego wieczoru usiedliśmy przy szachownicy. - Całe młode pokolenie doprowadza mnie do szału. Na widok każdego, kto nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat, chce mi się wyć. -

Wiem, co czujesz - ojciec posępnie kiwnął głową. - Dzisiaj zwolniłem dwóch urzędników za rozprowadzanie marihuany w hali maszyn, ale kiedy opowiedziałem o tym Harry'emu - jedliśmy dziś razem lunch w Truście - odparł na to, że spora część niższych urzędników z Wall Street zażywa nar- kotyki. Wyobrazasz sobie coś takiego! Byłem wstrząśnięty, ale Harry wzruszył tylko ramionami i po- wiedział, że to znamię czasów... Harry Morton, prezes Van Zale Manhattan Trust, komercyjnej gałęzi Van Zale'a, był o piętnaś- cie lat młodszy od mojego ojca. Ojciec próbował kiedyś dyskretnie nas skojarzyć, lecz mężczyźni tacy jak Harry - dwukrotnie rozwiedziony, zaślubiony bez reszty swojej pracy i poza nią dostrzegający je- dynie swój nowy prywatny odrzutowiec - nie stanowili dla mnie żadnego wabika. - Nie możesz jakoś pocieszyć swego taty? - rzekł do mnie Harry, kiedy pod koniec listopada spotkaliśmy się na jakimś przyjęciu u ojca. Ma taką minę, jakby zbli- żał się koniec świata! - Możliwe, że się zbliża - skwitowałam sucho i rzeczywiście, dwa dni później miało miejsce pierwsze z serii posunięć obliczonych na doprowadzenie do ruiny świata, którym ojciec rządził przez ponad trzydzieści lat. Sąznisty artykuł na pierwszej stronie "Wall Street Journal" ujawnił, iż osławiony już konglomerat Shine & General przymierza się do przejścia kolejnej firmy. Tym razem nie miała to być następna spółka ubezpieczeniowa, lecz podlegający Harry'emu Mortonowi Van Zale Manhattan Trust, kluczowe uzupełnienie inwestycyjnego banku mego ojca na rogu Willow i Wall. 7 - Nic z tego nie rozumiem - rzekł Eric. Obaj z Paulem zdążyli już wrócić do Choate, narobiwszy wprzód w domu takiego zamętu, że niechęć do młodego pokolenia ugruntowała się we mnie na dob- re. Natychmiast jednak po ukazaniu się wspomnianego artykułu w "Wall Street Journal" Eric zadz- wonił do mnie ze szkoły. - Dlaczego dziadek ma się czuć zagrożony? Przecież Trust to odrębna jed- nostka, a nie część banku Van Zale'a? - Formalnie tak, w praktyce natomiast tworzą jak gdyby jeden wielki bank. Trust oferuje usługi, które przedtem były w gestii Van Zale'a, zanim ustawa bankowa Glassa i Steagalla doprowadziła do rozdziału banków komercyjnych i inwestycyjnych w 1933 roku. Są to dwie połówki czegoś, co nie- gdyś było całością, a jeżeli jedna z nich upadnie, druga będzie miała poważne kłopoty. - Ale Shine i tak nie zdoła przejąć Van Zale'a! - zaprotestował przerażony Eric. - Van Zale to spółka cywilna, a nie korporacja jak Trust! Dziadek na pewno ma w niej dostateczne wpływy, żeby nie wpuścić Shine'a na róg Willow i Wall! - Jeżeli Trust wpadnie w ręce Shine'a, dni Van Zale'a będą policzone. Dziadek może stawiać opór do dnia, w którym przejdzie na emeryturę lub umrze, ale potem Shine rozgości się tam na dobre. Pojawią się naciski, by przekształcić firmę w spółkę akcyjną, wspólnicy zaczną sprzedawać swoje udziały, żeby wejść do nowego zarządu, a wtedy Shine posadzi swojego człowieka na fotelu prezesa. W rezultacie będzie miał zarówno bank inwestycyjny, jak i komercyjny, co w połączeniu z firmą ubezpieczeniową, którą już posiada, pozwoli mu urzeczywistnić plan stworzenia konglomeratu obej- mującego praktycznie całość usług w zakresie finansów, a do tego dążył od samego początku. - Ale chyba... chyba mu się nie uda? - Cóż, dziadek ma taką minę, jak gdyby był pewny zwycięstwa, ale powoli zaczynam się zasta- nawiać, czy nie jest to tylko mina na użytek publiczny. Wszyscy dookoła twierdzą, że sprawa jest z góry przegrana... 8 - Eric dzwonił - powiedziałam do ojca - żeby życzyć ci powodzenia w nadchodzącej potyczce. Co słyhać na froncie? Jaki będzie twój następny ruch? - Próbujemy właśnie znaleźć jakiś sposób, żeby zbić ceny akcji Shine & General i tą drogą osła- bić artylerię wroga. - Wydawało mi się, że ustawa zakazuje takich praktyk? Ojciec uśmiechnął się cynicznie. - Naturalnie - odparł. Zaczynałam się już powoli orientować w sytuacji. Obracając pieniędzmi pod przykrywką pew- nego banku z New Jersey, Donald Shine rozpoczął w październiku dokładnie te same kroki, które do- prowadziły do upadku i głośnego przejścia kompanii ubezpieczeniowej Stamford-Hartford Reliance. Shine & General zaczęło wykupować potężne pakiety akcji Van Zale Manhattan Trust, ale - o czym Shine nie wiedział - ojciec został uprzedzony o jego zamiarach i zakupy, które miały pozostać tajem- nicą, były uważnie śledzone i analizowane. Shine i jego przybocznicy wciąż jeszcze ściągali wolne akcje z

rynku i nadal pracowali nad ceną, której nie mogliby się oprzeć więksi udziałowcy, kiedy mój ojciec za pośrednictwem Harry'ego Mortona zmusił ich do odsłonięcia kart, powiadamiając o wszystkim "Wall Street Journal". Shine, nie przygotowany na taki obrót spraw, udzielił dość wykrętnego oświadczenia, które tyl- ko podgrzało prasowe emocje, a nazajutrz po cynicznym stwierdzeniu mego ojca, że zbijanie kursu rzeczywiście jest nielegalne, ceny akcji Shine & General zaczęły spadać. - Jak wy to robicie? - spytałam zaintrygowana. - Plotki o ekspansji firmy zwykle podnoszą kurs akcji, a nie ściągają go w dół! - Shine & General wcale nie stoi tak pewnie, jak się wszystkim wydaje. Po cichu badaliśmy ich sytuację od początku września i w krótkim czasie udało nam się odkryć, że firma nadmiernie rozbu- dowiała działalność i już jest przeciążona. Owszem, Donald Shine to całkiem bystry chłoptaş, ale wszelkie dane wskazują, że ugryzł więcej, niż jest w stanie przełknąć. Ci młodzi - westchnął ojciec - są tacy niecierpliwi! - Nadal nie rozumiem, jak udało się wam zbić kurs! Ojciec roześmiał się. - Poprzez technikę zwaną "multiple flogging". Jest to nowa nazwa starego jak świat zabiegu, ty- le tylko, że teraz władze nie są w stanie go wykryć! Dwa dni później Shine, zaniepokojony hałasem w prasie i niską tendencją na giełdzie, zadzwonił do Harry'ego Mortona i poprosił o spotkanie. Jako że formalnie bank Van Zale'a i Trust nie prowadziły wspólnych interesów, ojciec nie wziął w nim udziału, a tylko wysłuchał później nagrania z rozmowy, która była krótka i niezbyt przyjazna. Morton oświadczył, że Shine jest naiwny, jeżeli są- dzi, że uda mu się przejąć ważny komercyjny bank, na co Shine odparł, że miał dobre intencje i chce tylko usprawnić działanie sieci bankowej w kraju, reformując ją w duchu demokracji. W siedzibie Trustu odbyła się następnie strategiczna narada. Wziął w niej udział nie tylko mój ojciec, ale i wszyscy wyżsi urzędnicy wielkich banków, którym zależało na położeniu tamy zapędowi Shine'a. - W końcu - wyjaśnił mi ojciec - jeśli Shine wygra z nami, kto wie, po co zechce sięgnąć w na- stępnej kolejności? Omówiono różne warianty działania. Najbardziej skrajny sugerował, że Trust powinien wejść w fuzję z inną firmą wynajmu komputerów, wówczas bowiem Shine nie mógłby nabyć banku, nie gwałcąc przy tym ustawy antymonopolowej. Najwięcej przychylnych opinii zyskała jednak strategia zakładająca wprowadzenie poprawek w przepisach stanowych i federalnych, na mocy których prze- prowadzone w taki sposób zawładnięcie firmą byłoby sprzeczne z prawem. Tymczasem giełdowy kurs akcji Shine & General z wolna się ustabilizował, a Shine gromadził środki, by przystąpić do ostatecz- nego natarcia. Wtedy właśnie ojciec zaprosił go na lunch. Shine przyjął zaproszenie i został podjęty bardzo skromnym posiłkiem (stek, pieczone ziemniaki i sałata - bez wina) w bankowej restauracji na rogu Willow i Wall. Ojciec zaczął mówić o szkodach, jakie poniesie bank w efekcie wymuszonego przejęcia. Zazna- czył, że cały zarząd z pewnością złoży rezygnację, i napomknął, iż najważniejsi klienci mogą przenieść swoje konta gdzie indziej. Shine oburzył się na wzmiankę o wymuszonym przejęciu i powtórzył, że chce tylko zmodyfikować bank zgodnie z oczekiwaniami udziałowców oraz poszerzyć zakres usług świadczonych klientom. Ojciec delikatnie mu wytknął, że jest bardzo młody, nie zna się na finansach i nie zdoła poprowadzić banku. Shine odparował, że już czas, by stara gwardia ustąpiła miejsca nowej krwi. Ojciec oświadczył na to, iż ofiarowuje mu ostatnią szansę wycofania się z honorem a jeśli z niej nie skorzysta, bryzgi tej samej nowej krwi pokryją całą Wall Street. Ale Donald Shine roześmiał się tylko i powiedział: - To się jeszcze zobaczy! Tego samego dnia Shine zaczął odbierać telefony od wiodących banków inwestycyjnych (w tym także banku Reischmana), które informowały go, że pod żadnym pozorem nie będą partycypować w jakiegokolwiek ofercie Shine'a na wykup Van Zale Manhattan Trust. Dwa dni później dowiedział się też, że Trust zastrzegł sobie usługi dwóch największych zespołów doradców i przedstawicieli praw- nych, skutkiem czego stali się oni niedostępni dla jego korporacji. Akcje Shine & General znów zaczęły spadać. Zeszły do stu dwudziestu i spadały nadal. Na po- czątku grudnia prawnicy Van Zale'a opracowali projekt ustawy zapobiegającej wykupywaniu banków takich jak Trust przez konglomeraty w rodzaju Shine & General, która

miała zostać zatwierdzona przez parlament stanowy w Albany. Tymczasem waszyngtoński Departament Sprawiedliwości wystosował do Shine'a pismo stwierdzające, iż co prawda jego działania nie stoją w jaskrawej sprzeczności z ustawą antymonopolową, jednak planowana fuzja budzi pewne wątpliwości, które chcieliby z nim przedyskutować. Akcje Shine & General spadły do stu piętnastu. W Waszyngtonie Shine dowiedział się, iż jego projekt krytykują zarówno członkowie senackiej komisji bankowo-walutowej, jak i większość zarządu Rezerwy Federalnej. Co więcej, stwierdził, że ciągnie się za nim opinia pirata, i w końcu zrozumiał, że mając przeciwko sobie nie tylko wielką finansjery, ale i rząd, będzie musiał się poddać. Na ostatnim spotkaniu z ekipą Mortona w Van Zale Manhattan Trust Shine oznajmił, że wycofuje ofertę kupna. Kiedy wyszedł, jego przeciwnicy omal nie powylały sobie nawzajem ścisłych w ekstazie ulgi rąk. Pierwszym człowiekiem z zewnątrz, z którym Harry podzielił się radosną nowiną, był mój ojciec. 9 - Teraz, kiedy jest po wszystkim - rzekł do mnie następnego dnia Harry na przyjęciu z szampnem u mojego ojca - mogę się wreszcie przyznać, że mało brakowało. Bóg jeden wie, co by było, gdybyśmy nie mieli dość czasu na dokładną analizę Shine & General i gdybyśmy ich nie zmusili do wyłożenia kart w momencie, kiedy nie byli gotowi do ataku. Przechodzący lokaj napełnił mi kieliszek. - To znaczy - powiedziałam, próbując się skoncentrować wśród gwaru setki rozbawionych gości - że mieliście cholerne szczęście, dowiadując się wcześniej o jego zamiarach. Ale słuchaj, Harry - musiałam podnieść głos, bo stojąca za mną grupa wybuchnęła śmiechem, słysząc kolejny niewybredny dowcip, oczywiście na temat Shine'a - kto was poinformował? Czyżby jeden z popleczników Shine'a grał na dwa fronty? - Na miłość boską, Vicky, ojciec nic ci nie mówił? To Jake dał nam znać! Jake Reischman! Miałam wrażenie, że panujący hałas urwał się jak ucięty nożem. Kątem oka wciąż widziałam ludzi, przesuających się wokół bezgłośnie niczym zjawy, podczas gdy ja zostałam sama z Harrym na pustej widmowej scenie. - Chyba żartujesz - powiedziałam. Harry roześmiał się. Był wysoki, prawie tak wysoki jak Scott i przystojny w tym dystyngowanym stylu, który często widuje się w radach nadzorczych dużych korporacji, gdzie ujmująca powierzone służą do tuszowania mniej imponujących manier. Miał ciemne włosy, efektownie okryte szronem, szczere niebieskie oczy i niewiarygodnie równe zęby, które pokazywał w uśmiechu. Nadawały mu one drapieżny wygląd, którego wdzięk nie był w stanie do końca zamaskować. Sebastian ponownie - równał go kiedyś do piranii. - Przysięgam ci, że to prawda! - zaśmiał się ponownie. - Ironia losu, nie sądzisz? Shine ufał mu bez zastrzeżeń, bo Jake stanowił dla niego autorytet, reprezentował śmietankę amerykańskiego żydostwa. Ale Jake oczywiście nim gardził, bo był snobem. Pochodził ze starej szkoły. Nie zapominaj, że gdy na przełomie wieków do Nowego Jorku zaczęli napływać Żydzi z Rosji, to nie goje załamywali ręce ze zgrozą, tylko niemieccy Żydzi ze śródmieścia. Przypomniałam sobie niezgrabny rysunek kortu i znów zabrzmiały mi w uszach suche słowa Jake'a o bractwie z Bar Harbor. Już miałam się odezwać, gdy Harry pociągnął mnie za łokieć w spokojniejszy kąt ogromnego salonu, mówiąc od niechcenia: - Tu będzie lepiej. Teraz człowiek może usłyszeć własne myśli. Naprawdę nie wiedziałaś, że to on? Korneliusz mówił, że Jake skorzystał z twego pośrednictwa. - Owszem, ale w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje. Ojciec trzymał to przede mną w tajemnicy. Jakiś głos w mojej głowie zapytał: "Dlaczego?", lecz natychmiast zagłuszył go inny: "Czy to ważne, skoro niebezpieczeństwo minęło?" - No cóż, pewnie uznał, że to męska sprawa - rzekł pobłaźliwie Harry - i nie chciał, żebyś sobie łamała nad tym śliczną główkę. Zresztą kto nam doniósł, nie jest tak istotne. Prawdziwą zagadką jest, kto informował Shine'a? Spojrzałam na niego zdumiona. - Co masz na myśli? - To przecież jasne, że ktoś go musiał napuścić! - Dlaczego? I jak? Harry zerknął na mnie z jeszcze większym niż zwykle rozbawieniem. - Moja droga, Shine musiał mieć dostęp do tajnych informacji o Truście, inaczej nie byłby w stanie opracować strategii zawładnięcia firmą, a wszystko wskazuje na to, że dysponował bardzo dokładnymi danymi. Nie chciałbym

wskazywać palcem na któregokolwiek z członków rady lub zarządu, ale informator Shine'a musiał pochodzić ze ścisłego kierownictwa firmy, bo poza tą grupą nie widzę nikogo, naturalnie oprócz twego ojca i jednego lub dwóch jego wspólników, kto mógłby mu udzielić niezbędnych informacji. - Szampana? - zagadnął nas lokaj. Szampan był bladozłoty. Patrzyłam, jak się pieni w kieliszku Harry'ego, i słuchałam, jak Harry mówi: - Oczywiście muszę przeprowadzić śledztwo i wyznam, że bardzo mnie to martwi. Z natury chętnie niebawem bym każdemu przychylił i fatalnie się czuję w takiej niemiłej atmosferze. Uznałam, że nie będę dłużej słuchać tych bzdur. - Kiedy, twoim zdaniem, Shine wpadł na pomysł, że może przejąć Trust? przerwałam mu dość obcesowo. - Powiedziałbym, że na wiosnę. Jake zmarł we wrześniu, a wtedy Shine miał już wszystkie potrzebne dane i przygotowywał ścisły plan natarcia. Jeżeli założymy, że musiał nad tym ślęczeć co najmniej przez trzy miesiące, daje to nam czerwiec albo może maj. - Maj był w tym roku piękny - stwierdziłam z roztargnieniem. - Pamiętam, jak oglądaliśmy ze Scottem cudowny zachód słońca z Beckman Tower... choć właściwie z trudem już go sobie przypominam, wszystko powoli się zaciera... - dopiłam szampana i odwróciłam się. - Pozwolisz, że cię przeproszę, Harry. Zostawiłam go i zaczęłam się przedzierać przez tłum do wyjścia, cały czas obserwując ojca, który stał pod kandelabrem w samym środku salonu, otoczony grupką najstarszych przyjaciół. Sposobnie mnie i uśmiechnął się do mnie, więc ja także zmusiłam się do uśmiechu. Nie chciałam, żeby się domyślił, iż coś jest nie tak. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet sama do siebie nie chciałam dopuścić tej myśli. Głos w mojej głowie odezwał się ponownie, powtarzając, że jeśli tylko postaram się wyrzucić z myśli rewelacje Harry'ego, na pewno wkrótce wymażę je z pamięci. Wróciłam do domu i z żelazną konsekwencją zaczęłam układać plany wesela, które miało się odbyć w Wigilię. 10 - Cześć, złotko, jak sobie radzisz beze mnie? - Nie najgorzej. Strasznie się cieszę, że dzwonisz! Właśnie wróciłam z wyjątkowo męczących bachanaliów, które w tej chwili odbywają się u tatusia. Wszyscy chyba się wściekli ze szczęścia i kiedy wychodziłam, wlewali w siebie szampana galonami. Dopiero będą pomstować na Shine'a, jak jutro obudzą się z kacem! - Widzę, że ominął mnie niezły ubaw! - zaśmiał się Scott. - Nie, cała ta dzika orgia była koszmarnie nudna, a poza tym... poza tym mam już serdecznie dość Donalda Shine'a! Nie mam ochoty dłużej o nim słuchać, dla mnie sprawa jest zakończona i odtąd mam zamiar myśleć wyłącznie o przyszłości. Och, kochanie, nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczę cię na lotnisku! Oddałam wóz do przeglądu specjalnie na tę okazję. - Nawet o tym nie myśl! Mogłabyś pożyczyć od ojca cadillaca z szoferem i wstawić do niego podwójne łóżko z kotarą! A propos, jak się miewa Korneliusz? Nie było go w biurze, kiedy ostatnio dzwoniłem, ale doszedłem do wniosku, że ma mnóstwo roboty w związku z akcją Shine'a. - Aż tak się nim nie przejmuj! Ja też ostatnio rzadko go widywałam, ale czuje się dobrze, wszyscy są w porządku i naprawdę nie musisz się o niego martwić! - Kochanie, czy coś się stało? Mówisz tak, jakby... - Nie, po prostu zaczynam dostawać szału, bo tyle jest do zrobienia przed ślubem, poza tym bez przerwy męczą mnie jakieś neurotyczne sny... - Erotyczne? Mnie też! Gdyby nie one, chyba bym się wściekł. - Nie erotyczne, tylko neurotyczne! Nerwowe, wariackie i całkiem paranoiczne. Kochanie, proszę cię, nie pozwól się przejechać przez autobus ani zabić w wypadku samochodowym i broń Boże nie wsiadaj do niesprawnych samolotów! Będiesz na siebie uważał? Przysięgnij! Ciągle mam koszmary, że już się nie zobaczymy... - Mam nadzieję, że to nie są twoje pobożne życzenia! - No wiesz! Najdroższy, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię kocham i tak nie dbam o nic, absolutnie o nic poza naszą przyszłością... - Wobec tego przestań się zadreć. Widocznie cierpisz na przedślubną histerię. Słyszałem, że to bardzo powszechne. - Czy ja wiem?... Zdaje się, że tak. Ty też się denerwujesz? - Naturalnie! Na samą myśl o tym upiornym sportowym samochodzie włos mi się jeży! Czy nie mogłabyś go dać komuś w prezencie? Miałbym wtedy nieśmiałą nadzieję, że będziemy żyli długo i szczęśliwie! Musiałam się roześmiać. - Od razu mi lepiej, kiedy z tobą rozmawiam. - O nic się nie martw, kochanie. Uwierz mi, nie mam

najmniejszego zamiaru wpaść pod autobus. Przyjedź na lotnisko i ustaw się przed komorą celną. Na pewno się tam pojawię. - Wiem, że tam będziesz - szepnęłam. - Wiem. - Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Zobaczysz, wszystko się świetnie ułoży... 11 - Mamo - odezwał się Eric. - Czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? Następnego dnia rano Scott miał przylecieć do Nowego Jorku. Eric i Paul wrócili już do domu na ferie świąteczne. Siedziałam przy biurku w sypialni i obliczałam wypłaty dla służby. Do kolacji zostało jeszcze pół godziny. - Naturalnie, synku, wejdź. Usiadł na stojącym obok biurka krześle i przyjrzał mi się poważnie. Było to dla niego charakterystyczne: wyrósł na bardzo zasadniczego młodzieńca. Zdążył już osiągnąć wzrost Sama, ale był szczuplejszy i bardziej kanciasty, a jasne włosy, które w dzieciństwie upodobały go do mnie, po- ciemniały z upływem lat. Jego oczy z powagą spoglądały na mnie spoza szkieł, kiedy zaś głośno prze- łknął ślinę, ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że jest zdenerwowany. Sama myśl, że którekolwiek z moich dzieci mogłoby się mnie bać, wydała mi się tak ekscentryczna, że minęła chwila, nim oprzytomniałam i spytałam go, co się stało. - Uschły moje dwie najładniejsze rośliny - odparł. - Ojej, jaka szkoda! A niania tak o nie dbała, kiedy nie było cię w domu! - To nie wina niani, tylko tego powietrza. Jestem przekonany, że zanieczyszczenie bez przerwy się zwiększa i dlatego... dlatego uważam, że powinniśmy bardziej zdecydowanie chronić środowisko. I właśnie postanowiłem, że kiedy pójdę do college'u... Urwał. Był bardzo błąd. Wiedziałam, że walczy ze sobą, by powiedzieć mi prawdę, i pochyliłam się ku niemu coraz bliżej, aż w końcu zawisłam na samym brzeжку krzesła. - Kiedy pójdziesz do college'u...? - W college'u chcę... nie tylko chcę, muszę wybrać sobie coś odpowiedniego. Przepraszam cię, mamo, ale nie mogę dłużej udawać. Nie będę się specjalizował w ekonomii. Nie chcę zostać bankierem. Chciałbym studiować ekologię, a potem znaleźć sobie pracę w ochronie środowiska. Czułam, że nie powinnam okazywać zawodu, lecz było mi przykro ze względu na ojca. Z trudem udało mi się ukryć rozczarowanie. Jednakże Eric wziął mnie przez zaskoczenie. Pochylił się do mnie i rzekł błagalnie: - Zrozum mnie, mamo! Tak zwana wielka finansjera pustoszy naszą planetę za pomocą pieniędzy, którymi karmią ją instytucje w rodzaju Van Zale'a, i dlatego w żadnym razie nie mogę zostać bankierem. Wiem, że mam zobowiązania wobec dziadka, zwłaszcza że Paul za skarby nie pójdzie do banku, a co do Beniamina, to na razie trudno sobie wyobrazić, że wyrośnie z niego coś więcej niż skaranie boskie. Nie mogę jednak wyrzec się swoich zasad, żeby robić coś, w co nie wierzę. Chyba rozumiesz, że to byłby straszny błąd? Usiłowałbym stać się kimś, kim nie jestem, i po jakimś czasie na pewno bym się za to znienawidził, gardziłbym swoją pracą i w końcu doszedłbym do wniosku, że zmarnowałem życie... Mamo, proszę, pozwól mi być sobą! Pozwól mi robić to, czego naprawdę pragnę! Ostatecznie więc wszystko okazało się jasne i proste; o wiele prostsze, niż sobie wyobrażałam. Znalazłam w sobie siłę, by pokonać smutek, gdy zdałam sobie sprawę, jak nieistotne jest moje rozczarowanie w porównaniu ze szczęściem Erica. O mały włos nie popełniłam tego samego błędu, który popełnił mój ojciec, próbując mnie ukształtować na obraz i podobieństwo Emily. Na szczęście nie byłam ojcem i nie miałam zamiaru iść w jego ślady. Byłam sobą, a gdy się odezwałam, przemówił nie jego, a mój głos. - Naturalnie, że musisz iść za swoim powołaniem - powiedziałam. - Cieszę się, że miałaś odwagę powiedzieć to na głos. Jestem z ciebie dumna i całym sercem jestem z tobą. Eric niezgrabnie rzucił mi się na szyję. Byłam wzruszona, zwykle bowiem odnosił się do mnie z rezerwą. W nagłym olśnieniu pojęłam, dlaczego od tak dawna tak trudno mu było się przede mną otworzyć. Żył z tym wewnętrznym konfliktem od chwili, gdy dorósł na tyle, by zrozumieć, że wszyscy widzą w nim spadkobiercę dziadka. - Mamo... a dziadek? - Nie martw się, ja mu powiem. Ale jeszcze nie teraz. Muszę wybrać właściwy moment. Znów mnie uściśnął i posłyszałam jego stłumiony głos: - On tego nie zrozumie, prawda? - Nie. Chyba nie. Ale myślę, że ojciec by cię rozumiał. Przez całe życie robił coś, na co w rzeczywistości wcale nie miał ochoty. Chyba dzięki temu Eric poczuł się trochę mniej winny. Wyznał, iż żałuje, że

nie zdążył lepiej po- znać ojca, i zaczęliśmy rozmawiać o Samie. Czas mijał. Gospodyni zajrzała do nas, oznajmiając, że podano kolację, przeszliśmy więc do jadalni, gdzie czekała już reszta rodziny. Tego wieczoru, gdy dzieci położyły się spać, ja jeszcze długo zadawałam sobie w kółko jedno i to samo pytanie: Jak po- wiem o tym ojcu? Jak mi to przejdzie przez gardło? Tuż przed świtem przyszło mi nagle na myśl, że decyzja Erica umocni moją pozycję rozjemcy, kiedy trzeba będzie doprowadzić do zawieszenia broni między Scottem a moim ojcem. Skoro wnu- ków można było wykluczyć z rozważań o przyszłości banku, być może ojciec da się nakłonić do po- jednania ze swoim przybranym synem. Taka możliwość wydawała się nie tylko rozsądna, lecz ze wszech miar zadowalająca. Uświadomiwszy to sobie, natychmiast usnęłam jak zabita. Rozdział siódmy 1 Scott wyszedł z odprawy celnej i pobięłam mu na spotkanie. Niósł w ręku płaszcz i niewielką walizkę, ale upuścił i jedno, i drugie, żeby mnie porwać w ramiona. Kiedy poczułam znajomy smak jego ust, zakręciło mi się w głowie ze szczęścia, że jednak nic nie stanęło nam na przeszkodzie, że w końcu jesteśmy razem. Rozgarniając palcami jego włosy, tuliłam do siebie jego twarz, a ramiona Scotta zaciskały się wokół mnie coraz mocniej. - Witaj w domu! - zdołałam wreszcie wyszeptać. - A widzisz! - zawołał ze śmiechem. - Udało się! Bagażowy oddalał się już z resztą dobytku Scotta, a przed budynkiem czekał na nas najnowszy cadillac mego ojca. - Są w nim kotary i podwójne łóżce? - Tylko nieprzejrzyste szyby! - Więc tak się przejęłaś, że nie chciałem jeździć twoim sportowym wozem? - Zaczęłam się bać, że rozbiję się w drodze na lotnisko! - Moje ty biedactwo! - rzekł zdumiony, po raz pierwszy traktując poważnie moje nerwicowe lę- ki. - Tak mi przykro, że śmiałem się z ciebie przez telefon! - Nic nie szkodzi, najważniejsze, że jesteś! Zapadliśmy w wyściełane siedzenia cadillaca i Scott znów wziął mnie w ramiona. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że ulegając paranoicznym obawom mego ojca, który nie mógł ścierpieć Scotta obok siebie, w styczniu przeprowadzimy się do Kalifornii, nie szukałam dla nas domu w mieście. Zamiast tego dołożyłam starań, by przekształcić moje obszerne mieszkanie w mał- żeńskie gniazdko. Chociaż nie przewidywałam, by nasz pobyt w Kalifornii miał się zbyt długo wydłużyć, doszłam jednak do wniosku, że jeśli w początkowym etapie pójdę ojcu na rękę, on także będzie bar- dziej ugodowy, kiedy go zacznę naciskać, żeby odwołał nas z powrotem do Nowego Jorku. Zapowiadało się na to, iż wszystkie te dyplomatyczne zabiegi będą męczące i nudne, ale czułam, że w chwili gdy wreszcie przestał nas dzielić Atlantyk, gdy lada moment mam zostać żoną Scotta, zdo- lam sprostać wszystkiemu, co przyniesie mi los. - Co słychać u dzieci? - zapytał. - Wszystko w porządku... Mieszkając pod jednym dachem z dorastającymi dziećmi czułam, że byłoby niezręcznie, gdybym jeszcze przed ślubem udostępniła mu swoją sypialnię. Scott zgodził się spędzić ostatnie dni kawalers- kiego żywota w wynajętym apartamencie w Carlyle. Proponowałam, żeby zajął moją garsonierę, ale uznał, że wygodniej mu będzie w hotelu z pełną obsługą. - A jak się miewa twój ojciec? - Całkiem dobrze. Kochanie, umieram z ciekawości, co powiesz, kiedy zobaczysz, jak odnowi- lam mieszkanie. Całkowicie zmieniłam wystrój sypialni, a w buduarze urządziłam ci gabinet, żebyś miał się gdzie przed nami chronić. Kurczowo trzymałam go za rękę; wprost nie mogłam uwierzyć, że jest tak blisko. Każda kość w jego dłoni zdawała się bardzo istotna, drganie każdego palca miało niezwykłą wagę. - No, to brzmi wspaniale! - rzekł z uśmiechem. - Nie mogę się już doczekać, kiedy mi pokażesz te cuda. Poczułam wielką ulgę, choć nie byłam pewna, dlaczego. - Jesteś taki spokojny - powiedziałam. - Taki odprężony. Spodziewałam się, że będziesz równie spięty jak ja. - Dlaczego? Wyrwałem się z Europy, niedługo biorę ślub, no i wreszcie jestem w Nowym Jorku! Jeżeli kiedykolwiek człowiek się może odprężyć, to chyba właśnie w takiej sytuacji! - Naturalnie! Ależ ze mnie głuptas!... Po prostu ostatnie miesiące były nie do zniesienia... w mieszkaniu panoszyli się dekoratorzy wnętrz, a na Wall Street szalał Donald Shine... - Biedny Don! - rzucił Scott pobłażliwie. - A zatem śmietanka Wschodniego Wybrzeża w końcu go nauczyła, że tupet to jeszcze za mało, by osiągnąć wszystko? Jakże

gorzka pigułka! Podejrzewam, że zanadto uwierzył w swoje siły, kiedy zdobył poparcie Jake'a dla planu przejęcia Trustu. W pierwszej chwili myślałam, że się przesłyszałam. - Czekaj... mógłbyś jeszcze raz powtórzyć ostatnie zdanie? Powtórzył. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. - Ależ, Scott - powiedziałam - Jake wcale nie poparł Shine'a. - Jak to nie? Shine musiał mieć dostęp do wszechstronnych danych o Truście i wydaje się jasne, że to właśnie Jake pomógł mu je zdobyć. Znał osobiście wszystkich członków zarządu i przynajmniej jednego musiał przeciągnąć na swoją stronę. Teraz Jake nie żyje i bardzo wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy, który z nich zdradził, ale Harry Morton i tak musi przeprowadzić do końca tę swoją te-rapeutyczną czystkę, która, jak sądzę, przybrała formę polowania na czarownice. Muszę zapytać Korneliusza, jak przebiega śledztwo, choć ja na przykład uważam je za stratę czasu... Czemu tak na mnie patrzysz? Coś nie tak? - Właściwie wszystko - odparłam niepewnie. - Owszem, Jake przekazał informację, ale przeka-zał ją nam. Dlatego wygraliśmy. Jeszcze we wrześniu zawiadomił ojca, że Shine ostrzy sobie zęby na Trust. Nastąpiła cisza, zmacona tylko stłumionym warkotem silnika. Jechaliśmy z lotniska w stronę au- tostrady Van Wycka. Za barwionymi szybami niebo miało nienaturalnie szary kolor. - Nikt ci nie powiedział? - spytałam. - Nikt? - Nie - Scott zawahał się, po czym dodał: - Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. W Londynie byłam odcięta od tutejszych spraw, a o pewnych rzeczach nie mówi się przez telefon. Prawdę mó- wiąc, nie bardzo chce mi się wierzyć... Kochanie, jesteś pewna, że było tak, jak mówisz? Wydawało się oczywiste, że Jake jest sojusznikiem Shine'a. Nienawidził twego ojca od lat. - Tuż przed śmiercią nie przywiązywał już wagi do tej waśni. - Mimo to... Jesteś pewna? Najzupełniej pewna? - Scott, od tak dawna byłeś za granicą, że nie masz pojęcia, do jakiego stopnia konserwatystów z Wall Street oburzał fakt, że młody, sprytny przedsiębiorca próbuje podporządkować sobie całą fi- nansjerę! Jake zachował się tak, jak można się było spodziewać. Podobnie jak cała stara gwardia żywił w stosunku do Shine'a uprzedzenia, złość i najzwyczajszą odrazę. - Ale jeśli nie Jake dostarczył mi informacji, to kto? Wzruszyłam ramionami i potrząsnęłam głową. - Nie wiem. Wątpię, by ktokolwiek wiedział. Przecież właśnie dlatego Harry przeprowadza tę spóźnioną obdukcję w Truście. - Bóg jeden wie, co chce przez to osiągnąć. Nic z tego nie rozumiem i nadal trudno mi uwierzyć w tę historię o Jake'u. Od kogo ją usłyszałaś? - Od Harry'ego. - Harry rozmawiał bezpośrednio z Jakim? - Nie. - Sama widzisz! Cała ta afera składa się wyłącznie z wyspanych z palca plotek! Zdziwiłabyś się, jakie domysły rodzą się po tego rodzaju spięciach! Zastanawiam się, od kogo usłyszał ją Harry. Nie przypuszczałem, że jest aż tak łatwowierny. - Harry wie o tym od mojego ojca. - Od Korneliusza? - Jake rozmawiał z nim na krótko przed śmiercią. - Niemożliwe! Nie zamienili ze sobą słowa od ponad dziesięciu lat! - Byłam przy tym, jak ojciec do niego dzwonił. Jake prosił mnie o pośrednictwo, chciał, żebym go przekonała. To wszystko prawda, Scott. To nie plotka. To prawda. Przyglądał mi się w milczeniu. Potem odwrócił się i wyjrzał przez okno na obskurne przedmieś- cia Long Island. - Oczywiście - podjęłam - mimo iż byłam w pokoju, nie słyszałam, co mówi Jake, a ojciec nie puścił pary z ust. Bardzo się zdenerwował, ale myślałam, że to z powodu choroby Jake'a. Wtedy na- wet nie wpadło mi do głowy, że mogli rozmawiać o... mniejsza z tym, nic mnie to nie obchodzi, zresz- tą jakie to ma teraz znaczenie! Shine się wycofał, Trust jest bezpieczny i to jest najważniejsze. Proszę cię, Scott, zapomnijmy o całej tej sprawie! Czy nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - Jasne - Scott siedział bez ruchu i nadal wpatrywał się w okno. W końcu się opamiętał: - Prze- praszam cię. Opowiedz mi jeszcze o dzieciach. Jakie świadectwo przywiózł Paul po pierwszym se- mestrze w Choate? Zaczęłam mówić o Paulu. Przez moment zastanawiałam się, czy powinnam wspomnieć, że Eric zdecydował nie pracować w banku, lecz miałam już taki wstręt do wszystkiego, co w jakikolwiek sposób wiązało się z budynkiem przy Willow Street numer 1, że postanowiłam milczeć. Zamiast tego zaczęłam opowiadać o swoich planach na święta, które zamierzałam spędzić z całą rodziną. Paplałam beztrzesko patrząc, jak zębate wieże Manhattanu dziurawią stalowe niebo ponad

betonową wstęgą au- tostrady. Kiedy weszliśmy do jego apartamentu w Carlyle, marzyłam tylko o tym, by pójść z nim do łóżka i zaryglować drzwi na kilka cennych godzin, ale Scott bąknął: - Zamów coś do picia, a ja w tym czasie wezmę prysznic. Połączyłam się z obsługą, zamówiłam sześć butelek coca-coli, kubełek lodu i jedno podwójne martini, po czym usiadłam, nie spuszczać oczu z zamkniętych drzwi. Minęło kilka chwil i telefon w salonie brzęknął delikatnie, zwiastując, że Scott podniósł słuchawkę w sypialni. Powiedziałam sobie, że nie będę podsłuchiwać, i natychmiast złamałam słowo. W sekundę później przyciskałam płonący policzek do drzwi sypialni. Posłyszałam, jak Scott mówi szorstko: - Nie zastałem go? Dobrze, proszę mu powtórzyć, żeby przedzwonił do Scotta Sullivana. Jestem w hotelu Carlyle. Dziękuję. Szczęknięta odkładana słuchawka. Zanim Scott zdążył otworzyć drzwi, ja stałam już w bezpiecznej odległości pod oknem. Był ubrany w nowy garnitur, świeżą koszulę i krawat. Zdziwiłam się bardzo i właśnie miałam go spytać, po co mu ten oficjalny strój, kiedy kelner przyniósł zamówione napoje. W chwili gdy Scott wręczał mu napiwek, zadzwonił telefon. - Mam odebrać? - spytałam, ale już sięgał po słuchawkę. - Halo? - rzucił, najwyraźniej jednak nie był to telefon, którego oczekiwał. Zobaczyłam, że odprężył się na moment, choć już po chwili z powrotem był spięty, a kiedy zauważył, że mu się przyglądam, odwrócił się, jakby chciał mnie wykluczyć z tej rozmowy. - Oczywiście - rzekł do słuchawki. - Zaraz tam będę. To żaden problem. A w ogóle powiedz, co u ciebie słychać, Korneliuszu? Lecz słuchawka umilkła mu w dłoni. Patrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie. - Twój ojciec - oznajmił. - Jakaś nowa afery. Chce, żebym zaraz przyszedł. - Tak, ale... - zabrakło mi tchu. To wszystko było takie dziwne. Miałam wrażenie, że moje płuca nagle zgubiły rytm. Zaczęłam się zastanawiać, czy w późnym wieku nie dopadła mnie ojcowska astma. - Oczywiście robi, co może, żeby mi dopieć - rzekł szybko Scott - ale najlepszym sposobem na despotów jest uległość. Wolalibyśmy nie stawać mu okoniem, kiedy wczuwa się w rolę wielkiego dyktatora. Posłuchaj, kochanie, nie wiem, jak długo to potrwa, więc może po prostu wrócisz na razie do domu, a ja wpadnę do was, jak tylko zdołam się wyrwać? - Dobrze - oddychałam miarowo, choć każdy oddech sprawiał mi ból. Ostrożnie przysiadłam na brzeжку sofy. - Idź, ja tylko dokończę drinka. - Jasne - pochylił się, żeby mnie pocałować; jego wargi musnęły mnie w czoło, a w następnej chwili już go nie było. Wypiłam martini, lecz ucisk w piersi nie ustąpił. Właśnie zaczęłam sobie uświadamiać, że chyba nigdy w życiu nie byłam jeszcze taka przerażona, kiedy tuż obok mnie ponownie rozdzwonił się telefon. Spłoszył mnie do tego stopnia, że minęło kilka sekund, zanim wreszcie zmusiłam się, żeby podnieść słuchawkę. - Halo? - szepnęłam. - Vicky? - odezwał się ostrożnie męski głos. - Tak. - O, witaj, śliczna! Tak sobie myślałem, że to na pewno ty. Mówi Donald Shine... 2 - Słuchaj, jest tam Scott? - spytał. - Wpadłem właśnie do biura a kiedy usłyszałem, że dzwonił, przyszło mi na myśl, że Carlyle jest właściwie tuż za rogiem, więc postanowiłem zajrzeć. Jestem na dole w holu. Mogę wejść? Do tego czasu zdążyłam już przeżyć całe piekło gniewu, żalu, miłości i nienawiści, ale kiedy się odezwała, mój głos był wyprany z emocji. - Naturalnie - powiedziałam. - Czemu nie? - po czym odłożyłam słuchawkę i podeszłam do drzwi, żeby na niego zaczekać. Wyglądał bardzo elegancko w doskonale skrojonym ciemnozielonym garniturze, koszuli w oliwkowozielone paski i wzorzystym, dobranym kolorystycznie krawacie. Jego włosy, lśniące i puszyste, jakby świeżo umyte, były dłuższe niż zwykle i kokieteryjnie zawijały się nad uszami. Mimo niedawnej porażki jego oczy nie straciły nic ze swego blasku, a gdy wszedł do pokoju, przekonałam się, że jego przebojowy styl bycia także nie uległ zmianie. - Cześć! - zawołał wkraczając do środka w taki sposób, jak gdyby uprzednio wykupił cały hotel. - Gdzie Scott? - Wyszedł. Ale ja chciałam z panem porozmawiać. - Coś takiego! - Shine gwałtownie odwrócił się do mnie. Ból w piersi nagle zniknął. Teraz, kiedy znałam już prawdę, przestał mnie paraliżować strach, że usłyszę coś, czego nie będę mogła znieść. Nagle bez trudu odzyskałam spokój. Powiedziałam gładko: - Proszę, niechże pan siada, panie Shine. - Chwileczkę! Jeżeli

masz zamiar na mnie psioczyć w związku z Trustem, to na pewno nie będę się rozsiadała! Słuchaj, jeżeli chodzi o mnie, Trust może sobie leżeć w ciemnej mogile, poza tym prę- dzej odgryzę sobie język, niż wdam się w dyskusję z tobą po tym, jak mnie przerobiłaś! - Ja pana przerobiłam? A cóż to ma, u licha, znaczyć? - No, przecież to ty, nie? Roznosiłaś łożkowe plotki, jak powiedziała Doris Day do Rocka Hud- sona, zanim straciła dziewictwo. Właściwie nie wiem, straciła je w końcu czy nie? Nie byłem na tym filmie. - Próbuje mi pan powiedzieć... - Och, dajże spokój, Vicky! Po co ta błaga! Scott ci zaufał, a powinien był trzymać jeźora za zę- bami, zgadza się? Ledwie się odwrócił, poleciałaś prosto do tatusia i wszystko mu wychlapałaś. Jak- żeby inaczej Korneliusz Van Zale dowiedział się tak wcześniej o moich zamiarach? Kurczę, dziwię się, że Scott jeszcze z tobą kręci, choć pewnie doszedł do wniosku, że przyda mu się spadochron. W koń- cu zleciał z liny, ale jeśli się z tobą ożeni, może jeszcze wylądować w fotelu prezesa spółki akcyjnej Van Zale'a w dniu, w którym stary wreszcie kopnie w kalendarz! - Ale... - Zresztą, do cholery, czemu nie miałby się z tobą ożenić? Jesteś taka ładna, że nawet ja nie po- trafię się na ciebie złościć! Skurczybyk ma szczęście i możesz mu to powtórzyć! - Shine uśmiechnął się dobrodusznie i ruszył w stronę drzwi. - Wybacz, ale muszę już lecieć. - To nie ja doniosłam ojcu - powiedziałam - tylko Jake Reichman. Shine błyskawicznie odwrócił się ku mnie. Po raz pierwszy zauważyłam, że jego tęczówki nie są całkiem brązowe, rozjaśniają je drobne zielone cętki. Jego źrenice nagle zogromniały, a cały tupet spelzł mu z twarzy. - Robisz mnie w konia - rzucił z niedowierzaniem. - Nie. Sam mi powiedział, że stary przyjaciel znaczy dla niego więcej niż nowy kontrahent. Zapadła cisza. - O, kurczę - rzekł w końcu Shine. - O, jasna cholera! Otworzył drzwi, lecz chęć wylądowania na kimś złości pomogła. Zatrzasnął je z powrotem i na- chylił się ku mnie: - Jeżeli to prawda, ten twój kochaś ma poważne kłopoty - wycedził. - Jake wiedział o wszyst- kim. Wiedział, że to Scott podsunął mi w maju pomysł, że następnym celem powinien być Trust, i wiedział, że to on dostarczył mi wszystkich potrzebnych informacji. Niczego przed nim nie tailem. - Dziękuję - oznajmiłam. - Jestem pewna, że o to właśnie chciał zapytać Scott, kiedy do pana dzwonił. Do widzenia, panie Shine. - A tatusiowi możesz ode mnie powiedzieć... - Drzwi są tuż za panem. Żegnam. - Do diabła z tobą, do diabła z wami wszystkimi, cholerne pieprzone snoby! - wrzasnął Donald Shine i wyszedł, znikając raz na zawsze z mego życia. Drzwi zamknęły się za nim i zostałam sama na pobjowisku, które za sobą zostawił. 3 Na oślep zbiegłam ze schodów, złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć na róg Willow i Wall. Spokój pierzchnął, teraz narastał we mnie strach graniczący z paniką. Wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej skontaktować się ze Scottem. - Czym mogę pani służyć? - powitał mnie w drzwiach banku młody, świeżo zatrudniony straź- nik. - Chciałam się zobaczyć z panem Sullivanem... to jeden z udziałowców, wysoki brunet po czterdziestce. Miał tu być około pół godziny temu. - Już wyszedł, proszę pani. Nie zatrzymał się długo. - Jest pan pewien, że wyszedł? Dobrze, wobec tego wstąpię do ojca... to znaczy do pana Van Zale'a... - Niestety, pana Van Zale'a także już nie ma. Odjechał swoim samochodem wkrótce po panu Sullivanie. - Rozumiem... Wybacz pan, ale muszę usiąść. Nie czuję się najlepiej. Czy znajdzie się tu jakieś krzesło Strażnik pośpiesznie wprowadził mnie do holu, gdzie opadłam na najbliższy fotel. Wpatrywałam się w otaczające główną salę bankową kolumny, usiłując powstrzymać mdłości. Jeden z urzędników zerwał się zza biurka i podbiegł do mnie. - Vicky! Źle się czujesz? - Peter... Prawdę mówiąc, chyba zaraz zemdleję. Macie tu może odrobinę brandy? Może w bar- ku u ojca... Wiem, że już wyszedł, ale gdybym tak posiedziała przez chwilę w jego gabinecie... - Naturalnie, zaraz cię tam zaprowadzę. Czy mam wezwać lekarza? Wykrztusiłam, że to nie jest konieczne. Peter poprowadził mnie przez wielką salę. Wbijałam wzrok w podłogę, nie chcąc odpowiadać na pozdrowienia urzędników, których biurka mijałam. Do gabinetu ojca wchodziło się z tylnego holu, a kiedy wreszcie się tam znalazłam, pozbyłam się eskorty, duszkiem wypiłam brandy, którą nalał mi Peter, i osunęłam się na dyrektorski fotel. Na biurku

stało kilka telefonów. Zaczęłam od czarnego i po krótkiej zwłóce uzyskałam wyjście na miasto. Recepcjonistka w Carlyle'u poinformowała mnie, że Scott jeszcze nie wrócił. Po pięciu minu- tach zadzwoniłam ponownie, ale w jego apartamencie nadal nikt nie odpowiadał. Wtedy wykreściłam numer do mieszkania ojca. Złapałam go w chwili, gdy przekraczał próg. - Vicky? - odezwał się, kiedy lokaj podał mu słuchawkę. - Tak - nie mogłam wydusić nic więcej. - Gdzie jesteś? - W banku. - Rozmawiałaś ze Scottem? - Nie. Z Donaldem Shine'em. - Zaraz tam będę - rzekł krótko ojciec. - Proszę cię, nigdzie nie wychodź. Przyjadę tak szybko, jak to tylko możliwe. - Tatusiu... - Jak dużo wiesz? - Wszystko. O mój Boże, wszystko... - Więc rozumiesz, że nie miałem wyboru. - Nie! Chyba go nie zwolniłeś! Proszę, powiedz, że... - To nie była moja osobista decyzja, Vicky. Nie mam nawet prawa bez zgody wspólników zwolnić go przed upływem tego roku, kiedy jednak wspólnicy dowiedzieli się, jak haniebnie postąpił, narażając nie tylko Trust, ale cały bank... - Tatusiu, nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci. Musisz go przyjąć z powrotem. To jakieś straszliwe nieporozumienie; Scott nigdy nie wdałby się w konszachty z Shine'em gdyby sobie nie ubz- durał, że masz zamiar wystawić go do wiatru... - Vicky, nie dramatyzuj! Sytuacja wcale nie jest taka zła, jak sobie wyobrażasz. Naturalnie Scott zdawał sobie sprawę, że nie mam wyboru i że muszę go zwolnić. Przeszedł do mnie przygotowany na najgorsze, rzekłbym nawet, że pogodzony z losem. Nie było żadnych awantur, wręcz przeciwnie! Przeprowadziliśmy spokojną, otwartą rozmowę i zaproponowałem mu, że zrobię, co w mojej mocy, by otrzymał równorzędne stanowisko w innym banku. Wyjaśniłem mu też, że choć nie mogę pozwo- lić, by nadal był moim wspólnikiem, przez wzgląd na ciebie zależy mi na tym, abyśmy pozostali w przyjaznych stosunkach. Wszystko się ułoży, Vicky. Zdarzyło się nieszczęście, nie przeczę, ale wspólnymi siłami jakoś z tego wybniemy. Słyszysz? Czy ty mnie słuchasz, Vicky? Musimy przez to przejść. Wszystko będzie... Odłożyłam słuchawkę i jeszcze raz wybrałam numer hotelu, lecz u Scotta wciąż nikt nie odbierał telefonu. Czułam, że powinnam natychmiast tam jechać, gdy wszakże wstałam, przed oczyma zatań- czyły mi czarne plamy i musiałam usiąść z powrotem. Nalałam sobie jeszcze trochę brandy i kiedy tak siedziałam ogłuszona w ojcowskim fotelu, z kłębowiska przetaczających mi się przez głowę myśli wy- odrębniła się jedna, jasna i wyraźna. Pomyślałam: "Nie wierzę mu. Nie wierzę w ani jedno jego sło- wo". Spojrzałam na biurko. Po chwili uświadomiłam sobie, że czegoś szukam, choć nie bardzo wiem, czego. Pod szklanym przyciskiem leżało kilka listów, obok dwie cienkie teczki, nieco dalej stało oprawione zdjęcie Alicji, moja fotografia, skórzany piórnik i nadszpodziewanie duża szkatułka na pa- pierosy. Ojciec nigdy nie częstował gości papierosami; nie znosił, kiedy ktoś palił w jego obecności. Wyciągnęłam rękę i uniosłam wieczko. - O Boże! - powiedziałam i w tej samej chwili szpule ukrytego w szkatułce małego wymyślnego magnetofonu zaczęły się obracać. Znalazłam najnowszą zabawkę ojca. Dociekanie metodą prób i błędów, jak się ją obsługuje, zajęło mi nieco czasu, w końcu jednak przewinęłam taśmę na początek. Nacisnęłam guzik. Przedstawienie się rozpoczęło. Przez pierwsze dwie minuty słuchałam ojca, który rozmawiał przez telefon z Harrym Morto- nem, w sekundę po tym zaś, jak odłożył słuchawkę, damski głos oznajmił przez interkom: "Przyszedł pan Sullivan, panie Van Zale". "Wpuść go". Kolejna pauza. Zgrzyt otwieranych drzwi i głos Scotta, mówiący przyjaźnie: "Korneliuszu! Jak- że się cieszę, że cię znowu widzę!" Czekałam, wstrzymując oddech, ale w pokoju panowała cisza. Przerwał ją dopiero ostry głos Scotta: "No cóż, skoro, jak widzę, nie chcesz podać mi ręki, może powinienem zażądać wyjaśnień..." I wtedy odezwał się ojciec. Mówił beznamiętnie, jak wytrawny szachista rozgrywający w sku- pieniu najtrudniejszą partię swego życia: "Może najpierw pozwól, że ci czegoś naleję..." 4 Słuchałam, niczym ślepy świadek zbrodni, podczas gdy maleńkie szpule obracały się w lśniącej skrzyneczce. Cały świat zawęził się nagle do blatu tego biurka i głosów, które po chwili wydały mi się obce, bo w żaden sposób nie mogłam ich powiązać z ludźmi, których kochałam. Powtarzałam sobie, że słucham nieznajomych, że mam

halucynacje, że senne koszmary musiały zawładnąć moją podświadomością. Wmawiałam sobie, że to nie ja tego słucham, tylko ktoś inny, i że zaraz pokonam barierę iluzji i przedrę się przez nią z powrotem do rzeczywistego świata. Ale gorączkowo powtarzając sobie te kłamstwa wiedziałam, że rzeczywistość to obracające się szpule, że jestem tu, patrzę na nie, a z każdym calem przesuwającej się taśmy moje marzenia odpływają ode mnie tam, gdzie nie zdołam ich już dogonić. "Właśnie zmarnowałeś całe swoje życie, Scott. W końcu jesteś tak samo przegrany jak twój ojciec. A najzabawniejsze jest to, że przez cały czas chciałem ci dać ten bank. W rzeczywistości nieświadomie poświęciłeś się spełnieniu moich najgorętszych pragnień." - Nie! - krzyknęłam. - Nie mów mu! Błagam, nie mów mu tego! Szpule jednak nawet na moment nie przestały się obracać i głos ojca ciągnął: "Ale tobie nie dość było banku, prawda? Twoje szaleństwo przybrało takie rozmiary, że nie chciałeś spocząć, dopóki nie zniszczysz wszystkiego, co jest mi drogie, więc zacząłeś kręcić z moją córką i odbierać mi tych, których kocham." - Nie! - załkałam. - Nie, nie! "Nie! - krzyknął Scott. - Wcale tak nie było! To ty jesteś chory, to ty wszystko wykrzywiasz, wmawiasz sobie i mnie, że nie kocham Vicky! - W tej chwili możesz już o niej zapomnieć. Vicky z tobą skończyła. Sama mi to powiedziała. Kiedy we wrześniu dowiedziała się od Jake'a całej prawdy, zrozumiała, że była dla ciebie tylko gwarancją dalszej kariery! - To kłamstwo! - Doprawdy? Mówię ci, że chciała natychmiast z tobą zerwać, ale ją przekonałem, żeby się wstrzymała do chwili, gdy uporam się z Shine'em. Nie chciała czekać. Ona się ciebie boi. Boi się już od dawna - nie zauważyłeś, jaka jest ostatnio spięta i nerwowa? Nie miała nawet ochoty wyjść po ciebie dzisiaj na lotnisko, ale dałem jej słowo, że wezwę cię natychmiast, jak tylko znajdziecie się w hotelu. Nie chciałem ryzykować, że zrobisz jej krzywdę. - Ależ ja nigdy nie skrzywdziłbym Vicky! Nigdy!... - Mój Boże, masz tupet, żeby coś takiego mówić! I to ty mnie oskarżasz, że kłamię! Widzę, że jest z tobą o wiele gorzej, niż przypuszczałem! - Przysięgam ci, że nigdy nie skrzywdziłbym Vicky! - Nie pleć bzdur. W sierpniu chciałeś ją zabić." Pomyślałam mgliście: "To Kevin mnie zdradził. W końcu, tak samo jak Jake, stanął po stronie człowieka, z którym związała go przyjaźń na długo przed moim urodzeniem." "Wszystko mi opowiedziała. Próbowałeś ją pobić. Groziłeś, że ją zabijesz. Do dziś nie zdołała się z tego otrząsnąć, ale była zanadto przerażona, żeby od razu zerwać wasze zaręczyny. A kiedy wróciła do Nowego Jorku i poznała całą prawdę o tobie, zrozumiała, jak dalece ją wykorzystałeś i upokorzyłeś! - Kłamiesz, kłamiesz tak samo, jak kiedyś o moim ojcu!... - Doskonale wiesz, że nie kłamię. To prawda. Po prostu nie potrafisz stawić jej czoła, to wszystko. Jesteś psychicznie chory. Powinieneś przebywać pod kluczem. W każdym razie nie pozwolę ci dłużej terroryzować mojej córki i postaram się, żebyś do końca życia nie dostał pracy w żadnym banku. Cała Wall Street się dowie, jak próbowałeś mnie sprzedać Donaldowi Shine'owi! Wynająłem już strażników, którzy będą pilnować mojej rodziny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Spróbuj tylko, chociaż jeszcze raz spróbuj zobaczyć się z Vicky, a zostaniesz przymknięty za usiłowanie gwałtu, i nie mów mi, że to mi się nie uda, bo obaj doskonale wiemy, że zrobię to, jeśli zechcę. Jesteś skończony. Rozumiesz? Ja nie chcę cię znać, Vicky nie chce cię znać, odtąd nikt się do ciebie nie przyzna. Przegrałeś. Jesteś niczym. A teraz zabieraj się stąd, im dalej, tym lepiej, i żyj z tym, jeśli zdołasz. Od tej chwili nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Koniec. Już po wszystkim. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia." Wyłączyłam magnetofon. - Nie mogę słuchać takich potwornych kłamstw - powiedziałam na głos, lecz moje słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy włączyłam magnetofon z powrotem. - Nie mogę tego słuchać - powtórzyłam. - Nie mogę. Jednakże słuchałam nadal. Słyszałam, jak ojciec tak spokojnie, tak wiarygodnie sączy jad w żyły człowieka, który był mi droższy nad wszystko. Słyszałam, jak Scott wykrzykuje przekleństwa, aż w całym pokoju huczy echo jego oderwanych, pozbawionych sensu zdań. Potem do gabinetu wpadli ochroniarze ojca, wywiązała się szarpanina i ktoś - to nie mógł być Scott, to musiał być ktoś bardzo chory - groził czymś

straszny, na co ojciec powiedział: "Spróbuj jeszcze raz zagrozić mi przy świadkach, a gwarantuję ci, że zanim zapadnie wieczór, znajdziesz się w oddziale psychiatrycznym najbliższego więzienia". Wtedy Scott znów zaczął wykrzykiwać obelgi, a ja zamknęłam magnetofon. Ale tym razem nie włączyłam go z powrotem. Byłam jak ogłuszona. Długo wpatrywałam się w kasetę. Potem przewinęłam ją, wyjęłam z magnetofonu i włożyłam do torebki. Oczy miałam już suche i nawet ręce przestały mi drżeć. Wyszedłam z pokoju. Z utkwionym przed siebie wzrokiem przeszłam przez wielką salę, a kiedy portier zaoferował się, że wezwie dla mnie taksówkę, odparłam takim tonem, jakbym się wybierała na towarzyskie spotkanie: - Tak. Dziękuję. To bardzo ładnie z pana strony. W połowie drogi miałam ochotę poprosić kierowcę, żeby zatrzymał się przy budce telefonicznej, doszłam jednak do wniosku, że wydzwanianie do hotelu nie ma sensu. Scott najwyraźniej nie chciał z nikim rozmawiać. Pod hotelem zapłaciłam kierowcy, weszłam do holu i skierowałam się do windy. Zaczynało mi się wydawać, że poruszam się we śnie: wszystko było wyraźne, ale oddalone, jak gdybym patrzyła na świat przez drugi koniec lunety. Nie słyszałam nic z tego, co wokół mnie mówiono. Pewną ręką włożyłam klucz do zamka, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Oczywiście zos- tawił list. Podejrzewam, że w takich razach zawsze zostawia się list. Pisał: "Najdroższa Vicky! Nie wierz w to, co powie Ci Twój ojciec. Źle zrobiłem, wiążąc się z Shine'em, ale wiedziałem, że Korneliusz postanowił okraść mnie z tego, co powinno należeć do mnie. Shine był dla mnie ostat- nią szansą, by odzyskać spokój ducha, za którym od tak dawna tęskniłem. Teraz już wiem, że nie istnieje ani pokój, ani sprawiedliwość. Nigdy nie naprawię krzywdy, któ- rą wyrządziłem ojcu, tak samo jak nigdy nie wynagrodzę Ci tego, iż kazałem Ci wierzyć, że znajdziesz przy mnie szczęście, na jakie zasłużyłaś. Zdałem sobie sprawę, że oboje się oszukiwaliśmy myśląc, iż nasze małżeństwo przetrwa aż po grób. Nie jestem Ciebie wart, nie jestem wart tego, żeby żyć. Nigdy nie zdołałbym wyrzec się przemocy. Dawałem sobie radę przez te wszystkie lata, bo kierowałem swo- ją agresję na zewnątrz. Karmiąc nią swoją ambicję byłem w stanie ze sobą wytrzymać, ale odkąd moja ambicja legła w gruzach, nie mam już wentyla dla agresji, a ta, nie znajdując innego ujścia, zwraca się przeciwko mnie. Być może jednak od samego początku właśnie tego pragnąłem. Może śmierć nie jest najgorszą rzeczą, która może się człowiekowi przytrafić. Czasem bywa nią życie ze świadomością te- go, co się zrobiło - albo czego się nie zrobiło. Kocham Cię tak bardzo, że trudno mi uwierzyć, że Ty już mnie nie kochasz. Ale jeśli rzeczy- wiście tak jest, przebac mi, że przysporzyłem Ci tyle bólu i żalu, i proszę, uwierz, że odchodzę w mrok myśląc tylko o Tobie i dziękując Ci za wszystkie słoneczne chwile, które przeżyliśmy razem. Z wyrazami miłości, Scott". Wszłam do łazienki i uklęknłam przy wypełnionej krwawą ciecżą wannie. Już nie żył, chociaż ciało było jeszcze ciepłe. Oparłam policzki o jego twarz i pogłaskałam go po głowie, a przed oczyma przesuwały mi się wizje konającego w Dallas Kennedy'ego, splamionej krwią sukni Jackie, bagnistej ziemi Wietnamu i płonących miast Ameryki - wszystkie te przypadkowe obrazy przemocy zlewały się w jedno, tworząc tło dla naszej miłości. Nagle wydało mi się, że Scott i ja nie stoimy już w centrum sceny, lecz rozpływamy się we krwi, która tryska spośród dekoracji i sięga po nas, by nas porwać. Środek sceny zajęła teraz przemoc, która zdominowała i zniszczyła nasze życie. - Muszę go zabrać gdzieś, gdzie będzie miał spokój - powiedziałam na głos. Nagle zatęskniłam za spokojem, zapragnęłam położyć kres tym nieznośnym, gwałtownym cierpieniom. Czułam, że mu- szę wyjechać jak najdalej; czułam, że muszę zacząć wszystko od początku, lecz to marzenie wydawa- ło się nieosiągalne, rodziło nową wizję świata widzianego przez odwrotny koniec lunety. Nie wiedzia- łam, w jaki sposób uda mi się do niego dotrzeć. Nadal klęczałam pośród tej krwistoczerwonej łaźni i głaskałam ciemne włosy Scotta, aż w końcu powiedziałam: - Muszę teraz coś zrobić - i wróciłam do salonu. Przyszło mi na myśl, że nie chcę, aby ktoś tu wszedł, wywiesiłam więc plakietkę "Proszę nie przeszkadzać" na zewnętrznej klamce, po czym, nie mając nic więcej do roboty, usiadłam na sofie. Przez jakiś

czas siedziałam bez ruchu. Na zewnątrz zaczęło się ściemniać. Zastanawiałam się, czy nie powinnam zadzwonić na policję, lecz wiedziałam, że nie jestem w stanie z nikim rozmawiać. W zwykłych okolicznościach zwróciłabym się do ojca, ale oczywiście nie mogłam się do niego zwrócić. Już nie. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, zapaliłam światło i ruszyłam w kierunku łazienki. Chciałam jeszcze trochę posiedzieć ze Scottem, stanąwszy jednak przed drzwiami, nie mogłam się zdobyć na to, żeby je otworzyć. Posłyszałam, jak mój głos mówi: "Scott umarł" i nagle zobaczyłam swoje odbicie w wysokim lustrze; zobaczyłam kobietę w niebieskim płaszczu, kobietę zagubioną w jakimś prywatnym piekle, gdzie nikt nie mógł pośpieszyć jej na ratunek, zawieszoną w czasie, schwytaną w sidła przeszłości, sparaliżowaną przez teraźniejszość, niezdolną do myśli o przyszłości. - Scott umarł - powiedziałam. - Umarł. Potem przypomniało mi się, że umarłym wyprawia się pogrzeb. Myśl ta przyniosła mi ulgę; wiedziałam już, dokąd go zabiorę. Zaczęłam się zastanawiać, jak zdołam załatwić przewóz zwłok do Anglii. Na pewno było to bardzo skomplikowane. Postanowiłam zwrócić się do kogoś o pomoc, a gdy już podjęłam tę decyzję, poczułam się o wiele lepiej, wreszcie bowiem czułam, że postępuję rozsądnie. Podeszłam do telefonu, połączyłam się z centralą międzynarodową i zamówiłam rozmowę z moim domkiem Sebastiana w Cambridge. Sebastian podniósł słuchawkę po drugim sygnale. - Cześć - powiedziałam. - To ja. Słuchaj, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale Scott nie żyje - popełnił samobójstwo - i nie jestem pewna, co właściwie mam robić. Siedzę tu z nim i głowię się, jak przebrnę przez tę całą biurokrację, żeby zabrać go do Mallingham. Jak myślisz, od czego mam zacząć? Nie mogę zapytać ojca. Chyba rozumiesz, Sebastianie, że nie mogę pytać o to ojca? - Zaczekaj. Zamilkłam posłusznie. - Powoli i po kolei. Jesteś pewna, że on nie żyje? - Oczywiście. - Dzwoniłaś na policję? - Nie, jeszcze nie. - Gdzie jesteś? - W jego apartamencie w Carlyle'u. - Dobrze. Teraz ci powiem, co dalej. Weź torebkę i pozbieraj wszystkie swoje rzeczy, ale klucz zostaw na komodzie w sypialni. Zrozumiałaś? Dobra, zrób to i wróć do telefonu. Zrobiłam, co mi kazał. - Świetnie - rzekł Sebastian, kiedy znów się odezwałam. - Teraz wyjdź z hotelu, zachowując się tak naturalnie, jak to tylko możliwe, i idź do domu. Nie bierz taksówki. Chodzi o to, jak się zapewne domyślasz, żebyś nie zostawiła wyraźnych śladów swojego pobytu w hotelu. Jeśli ci się to uda, policja najpewniej rozpocznie indagacje od banku i zanim zdążą się do ciebie przyczepić, twój ojciec już się nimi zajmie. - Rozumiem. Tak. - Kiedy wrócisz do domu, otwórz książkę telefoniczną pod hasłem "Ochrona" i wynajmij dwóch strażników, którzy przez najbliższe trzydzieści sześć godzin będą stać pod drzwiami i nikogo nie wpuszczą. Zaznacz, że nikt nie ma prawa przekroczyć progu z wyjątkiem dzieci i służby. Zadzwonię do ciebie zaraz po przyjeździe. Jeśli dostanę bilet na poranny samolot, będę u ciebie jutro około czwartej po południu. Zapamiętałaś wszystko? Chcesz, żebym to powtórzył? - Nie, starczy. - Jeszcze jedno: jest krew? - O, tak - odparłam zaskoczona. - Podciął sobie żyły. Woda w wannie jest całkiem czerwona. - Aha - rzekł Sebastian po chwili milczenia. - Rozumiem. No dobrze, przed wyjściem sprawdź, czy nie masz krwi na ubraniu. Nie powinnaś zwracać na siebie uwagi. - W porządku. Krew jest tylko w łazience. - Tak... przypuszczam, że tak. Vicky, mam do ciebie prośbę: wezwij lekarza, niech ci da jakiś środek uspokajający, dobrze? - Nic mi nie jest, Sebastianie. Teraz, kiedy już wiem, co robić, czuję się o wiele lepiej. Po prostu potrzebowałam rady. - Mhm. Ale i tak zadzwoń do doktora. Zrób mi tę przysługę. - Jasne, skoro nalegasz... - Dzięki. Pamiętaj, przylecę najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Postaraj się trzymać do tego czasu. - Nie ma sprawy. Nie martw się o mnie - odpowiedziałam i zdążyłam jeszcze odłożyć słuchawkę, zanim straciłam przytomność. Zemdlalam dosłownie na chwilę, kiedy jednak się podniosłam, ogarnęła mnie obawa, że nie dam rady wyjść z hotelu, tak źle się czułam. Wysłałam jednak i zgodnie z poleceniami Sebastiana powlokłam się do domu, wezwałam lekarza, wynajęłam dwóch ochroniarzy i położyłam się do łóżka. Dzieciom powiedziałam, że podejrzewam u siebie początki grypy, a obecność ochrony umotywo wałam rzekomą groźbą kradzieży biżuterii. Telefon dzwonił bez

przerwy, ale oznajmiłam, że jestem za bar- dzo chora, by z kimkolwiek rozmawiać. Doktor dał mi środek uspokajający, mimo to nie zdołałam zasnąć na dłużej. Kilkakrotnie w cią- gu nocy wymiotowałam i za każdym razem czułam się nieco lepiej. Wypiłam trochę wody, nie mog- łałam jednak przełknąć nawet kęsa jedzenia. Następnego ranka telefon nadal dzwonił w regularnych odstępach czasu. Raz usłyszałam w holu podniesione głosy. Ktoś starał się dostać do mieszkania, ale ochroniarze znali swoją robotę i nikt nie zakłócił mojej samotności. Policja się nie pojawiła, za to zaczęły nadchodzić listy; jeden po drugim wpadały do holu przez szparę w drzwiach wejściowych. Ojciec zawsze dyktował listy, które następnie przepisywały na ma- szynie jego sekretarki, te natomiast napisane były odręcznie. Miał drobne staranne pismo, biegnące prostymi, wyraźnie oddzielonymi rzędami. Żadnych skreśleń. Zastanawiałam się, czy przez całą noc nie układał na brudno tego, co chciał mi powiedzieć. "Kochana Vicky! Kiedy nie zastałem Cię w banku po naszej rozmowie telefonicznej, pojechałem do hotelu sprawdzić, czy nie ma Cię u Scotta, ale w pokoju nikt nie odpowiadał. Wróciłem do domu, gdy jed- nak nadal nie udało mi się skontaktować z żadnym z was, zacząłem się niepokoić, wróciłem więc do hotelu i kazałem kierownikowi otworzyć drzwi zapasowym kluczem. To, co zobaczyłem, było przera- żające, a ponieważ nie chcesz się ze mną widzieć, domyślałam się, iż wiesz, co się stało, i częściową odpowiedzialnością obciążasz za to mnie. Kochanie, nigdy nawet przez moment nie przypuszczałem, że może dojść do takiej strasznej tragedii, więc bardzo proszę, nie wiń mnie. Przysięgam, że wszystko Ci wyjaśnię, jeżeli tylko dasz mi szansę. Tymczasem nie martw się policją ani śledztwem, ja się wszys- tkim zajmę. Proszę, pozwól, żebym Cię odwiedził. Ucałowania, Tatuś". "Najdroższa Vicky! Skoro nadal uparcie nie chcesz się ze mną zobaczyć, być może najlepiej będzie, jeśli w sposób możliwie prosty i beznamiętny podam Ci fakty, tak abyś mogła mnie osądzać na podstawie tego, co rzeczywiście zaszło pomiędzy mną a Scottem, nie zaś podług własnych o tym zająci wyobrażeń. Jak wiesz, byłem mu szczerze oddany i w listopadzie 1963 przeżyłem silny wstrząs, stając nagle twarzą w twarz z prawdą, którą powinienem był uznać o wiele wcześniej: że uczucie to nie jest w za- den sposób odwzajemnione i Scott szuka zemsty za śmierć swego ojca, zemsty możliwie jak najbar- dziej dotkliwej. Zrozumiałem, że muszę się go pozbyć, gdy tylko nadarzy się okazja, ale Scott rów- nież o tym wiedział i dlatego postanowił ostatecznie mnie wymanewrować w czasie czteroletniej de- legacji w Londynie, którą na mnie wymusił. Jego plan obejmował i Ciebie, ponieważ to jasne, że gdyby posłużył się Tobą umiejętnie, miał- bym związane ręce po jego powrocie do Nowego Jorku. Wiem, że to wypadek Twojej matki dopro- wadził do ponownego rozkwitu waszej znajomości, ale możesz być pewna: gdyby Vivienne nie zna- lazła się w szpitalu, Scott znalazłby jakiś inny pretekst do pojednania. Nie twierdzę, iż był całkowicie nieszczerzy. Jesteś czarującą i atrakcyjną kobietą i wierzę, że czerpał prawdziwą przyjemność z Twego towarzystwa, ale niestety, kiedy zgodził się na małżeństwo, uległ przede wszystkim swojej ambicji, która do tego czasu zdążyła się już przerodzić w niebezpieczną obsesję. Oczywiście początkowo myślał, że zdoła mnie zmusić nie tylko do tego, bym zatrzymał go w firmie, ale też przekazał mu zwierzchnictwo banku. Mimo to jednak udało mi się do niego dotrzeć (poprzez Ciebie - naturalnie wiedziałem, że powtarzasz mu każde moje słowo). W ten sposób zako- munikowałem mu, że przestałem go brać pod uwagę jako swego następcę. Pomyślałem, że gdy się o tym dowie, zrezygnuje ze ślubu, Scott jednak był zdecydowany odebrać mi i bank, i Ciebie. Wtedy właśnie postanowił skorzystać z pomocy Donalda Shine'a. Gdyby jego plan się powiódł, zdobyłby wszystko. Może musiałby nieco zaczekać, ale funkcję prezesa w zreorganizowanym banku Van Zale'a wcielonym do Shine & General miał już właściwie zagwarantowaną. Byłaś ze mną wtedy we wrześniu, kiedy Jake zdradził mi zamysły Shine'a i fakt, że Scott jest w to zamieszany aż po same uszy. Wątpię, czy muszę Ci przypominać, jaki to był dla mnie wstrząs i jak długo trwało, nim doszedłem do siebie po tym strasznym ciosie. Postanowiłem najpierw zająć się Shine'em. Gdybym natychmiast wylał Scotta (a po tym, jak

po- stał, miałem do tego prawo - inni współnicy niechybnie by mnie poparli), ostrzegłbym Shine'a, że jestem na jego tropie. Trzymałem więc Scotta w nieświadomości, a to oznacza, że Tobie także nie pisałem słowa. Byłem pewien, że jesteś tylko niewinnym pionkiem w jego ręku, choć nie mogłem wykluczyć możliwości, że sprzymierzyłaś się z nim przeciwko mnie. Zakochana kobieta jest zdolna do wszystkiego, a jej osąd w takich okolicznościach bywa bardzo zawodny. Kiedy pozbyłem się Shine'a, nadal musiałem tać wszystko przed Scottem aż do chwili ostatecznej konfrontacji. W przeciwnym wypadku mógłby narobić niepowetowanych szkód, tak więc kazałem Harry'emu przeprowadzić pełne dochodzenie w Van Zale Manhattan Trust, w dalszym ciągu udając, że nie wiem, kto nas wydał na pastwę Shine'a. Przyznam Ci się szczerze, że w owym czasie bałem się Scotta. To jasne, że jego równowaga psychiczna uległa zachwianiu - byłem przerażony, kiedy Kevin opowiedział mi, co zaszło w sierpniu w Londynie. Nie gniewaj się na niego, że mi o tym doniósł. Był przekonany, że informując mnie o wszystkim, działa w Twoim najlepiej pojętym interesie, i bardzo się martwił, że możesz wyjść za takiego człowieka. Wiedziałem, że wyrzucając Scotta pozbawiam go motywu do ożenku z Tobą, i liczyłem się z oskarżeniem o to, iż znów mieszam się do Twojego prywatnego życia, ale na swoją obronę powiem tylko, że i tak musiałem go zwolnić z przyczyn zawodowych i że na pewno o wiele lepiej będzie Ci bez tego zmiennego, niebezpiecznego mężczyzny, który Cię wykorzystywał. Rozumiem jednak, że bardzo go kochałaś, i dlatego musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że przez wzgląd na Ciebie jestem głęboko poruszony tą tragedią i zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, by uśmierzyć Twój ból. Musisz sobie uświadomić, że pomimo wszystko ja również czuję się osierocony. Zawsze w myślach nazywałem go moim chłopcem, a jednym z boleśniejszych aspektów rodzicielstwa jest to, że kocha się swoje dzieci niezależnie od tego, jak głęboko Cię zranią. Proszę, spotkajmy się wreszcie; obojgu nam trzeba nieco pociechy. Pozostaję Twoim kochającym i oddanym ojcem. K.P.V.Z." "Droga Vicky! Nareszcie zrozumiałem, dlaczego nie odpowiadasz na listy. Otrzymałem właśnie potwierdzenie, że z magnetofonu w moim biurze zniknęła ostatnia taśma. Acz niechętnie, muszę jednak wyłożyć wszystko bez ogródek. Po pierwsze: musisz zrozumieć, jak głęboko dotknął mnie postępek Scotta. Byłem rozgoryczony i zły, tak bardzo, że straciłem panowanie nad sobą i mówiłem rzeczy, których nie powinienem był mówić. Kiedy ktoś Cię uderzy, Twoim naturalnym odruchem jest chęć, by mu oddać. Może to niezbyt chrześcijańska reakcja, ale śmiem twierdzić, że bardzo ludzka. Prawda jest taka, że nie mogłem przeboleć faktu, iż Scott tak brutalnie mnie odepchnął, choć w tej chwili łatwiej mi się z tym pogodzić, ponieważ rozumiałem, że to nie było zależne od jego woli. Był chory. Dowodzi tego jego samobójstwo. Pamiętaj: zdrowi ludzie nie odbierają sobie życia. Robią to ci, którym pomieszało się w głowie. Jestem przekonany, że Scott miał kłopoty już od dłuższego czasu. W każdym razie bezsprzecznie stracił kontakt z rzeczywistością. To jedno jest pewne. Nie mogłem Ci pozwolić na ślub z takim człowiekiem. Trzeba Cię było przed nim ochronić. Bałem się, że jeśli go zwolnię, może Cię zabić w ataku niekontrolowanej złości. Dlatego musiałem się posunąć do kłamstwa, mówiąc, że nie chcesz go więcej widzieć. Musiałem go wykluczyć nie tylko z własnego życia, ale z Twojego także - musiałem, czy nie rozumiesz? Zrobiłem to dla Twojego dobra. Zrobiłem to, bo Cię kocham. Wszystko to zrobiłem dla Ciebie. Musisz się ze mną zobaczyć. Musimy porozmawiać. Proszę, przestań się przede mną ukrywać. Spotkajmy się wreszcie twarzą w twarz. K.P.V.Z." "Vicky! Błagam Cię; nie mogę znieść tego, że starasz się ode mnie odciąć. Znaczysz dla mnie więcej niż ktokolwiek na świecie i w ten sposób straszliwie mnie ranisz. Przecież wiesz, że choć mam wielu przyjaciół, tak naprawdę pogadać sobie mogę jedynie z Tobą i z Kevinem, a wygląda na to, że Kevin osiadł w Londynie na dobre i pewnie nieprędko go zobaczę. Rzecz jasna kocham Alicję, ale mamy ze sobą niewiele wspólnego i tak ciężko się nam porozumieć. Mam tylko Ciebie, Vicky, no i oczywiście wnuki, które są wspaniałe, ale to dzisiejsze młode pokolenie w ogóle jest osobliwe. Często nie wiem, o czym mam z nimi rozmawiać. Musimy

jakoś przetrwać tę tragedię i razem stawić czoło przyszłości. Nie możemy być sobie obcy choćby ze względu na dzieci! Nie mogę się już doczekać, kiedy wezmą Erica do banku. Sądzę, że wytrwam na swoim stanowisku do chwili, gdy skończy dwadzieścia pięć lat i zdobędzie własną pozycję. Jestem bardzo dumny z Erica. On znów nada wszystkiemu sens i zre- kompensuje mi potworną zdradę Scotta. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Ty też znajdziesz sobie kogoś innego, tym razem odpowiedniejszego, i pewnego dnia znów będziesz szczęśliwa, przysięgam. Kochanie, proszę, napisz do mnie lub zadzwoń - będę Cię wspierał, pomogę Ci w tych ciężkich chwilach, zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żeby naprawić nasze stosunki. Z wyrazami miłości, Tatuś". "Ojczy! Eric nie będzie pracował w banku. Ma zamiar studiować nauki przyrodnicze. To jego ostatecz- na decyzja i ja ją w pełni popieram. Nie widzę, czemu miałyby służyć nasze ewentualne spotkanie. Zabiłeś człowieka, którego kochałam. Cóż można do tego dodać? Vicky". 7 Sebastian przyleciał, oznajmił lakonicznie: "Ja to załatwię" i zabrał się do roboty. Porozmawiał z dziećmi i omówił z nianią wszystkie szczegóły ich późniejszego wyjazdu do Europy, tak, abyśmy razem spędzili Boże Narodzenie. Nawet mojej matce załatwił świąteczny rejs, żeby nie była w tym okre- sie sama. Rozmawiał z policją, z lekarzami, z biurokratami. Zorganizował przewóz zwłok Scotta do Mallingham. Zatrzymał ochroniarzy, by nikt mi się nie narzucał. Przeprowadził naradę z asystentami ojca, by możliwie jak najbardziej wyciszyć prasowe echa tragedii. Spotkał się z moim ojcem, lecz nie zdradził mi, o czym mówili. A w końcu zabrał mnie do Anglii. Na lotnisku powitali nas angielscy Sullivanowie: przyrodni bracia Scotta, Edred i George, i jego przyrodnia siostra Elfryda. Nie widziałam ich poprzedniego lata. Kiedy uparłam się, że nie chcę jechać do Mallingham, i Scott w końcu dał za wygraną, jego rodzeństwo, mocno urażone, również nie od- wiedziło nas w Londynie, skutkiem czego nie stali mi się ani trochę bliżsi. Gdy teraz ich zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że wszelkie dzielące nas animozje już wygasły. Musiałam wciąż od nowa sobie przypominać, jak blisko byli spokrewnieni ze Scottem. Wszystko - ich angielskie ubrania, maniery, akcent - wydawało mi się obce, lecz na swój dyskretny, typowo angielski sposób byli dla mnie bardzo życzliwi; mówili, jak im przykro i żebym się nie martwiła, bo wszystkie przygotowania do pogrzebu zostały już poczynione, a kiedy poprosiłam o martini, upewniali się, czy mam na myśli sam wermut, czy też wytrawny koktajl. Potem zawieźli mnie do hotelu w Londynie, gdzie czekało na mnie wygod- ne łóżko. Położyłam się i zasnęłam jak kamień. Nazajutrz przyjechała z Velletrii Rose. Była sama; Lori nie wybierała się na pogrzeb. Właśnie otrzymała wiadomość, że samolot Andy'ego nie wrócił z bojowego lotu nad Wietnamem, a jej najstar- szy syn został aresztowany za handel narkotykami, w związku z czym psychiatra odradził jej długą podróż do Europy. - Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Rose, kiedy myślała, że nie słyszę. - Eric wyrósł na chłopca, z którego Vicky naprawdę może być dumna, gdy tymczasem Chuck wyleciał ze szkoły i zajął się rozprowadzaniem LSD. Jak to się mogło stać? Gdzie Lori popełniła błąd? - Może to Vicky zrobiła coś bezbłędnie - wtrącił Sebastian. - W ogóle ci to nie przyszło do głó- wy? - Problem z Lori - powiedziała Elfryda, dyrektorka szkoły - polega na tym, że dla niej dzieci są wyciętymi z papieru postaciami, które wzmagają jej poczucie własnej wartości i zdołają jej piękny dom. Nigdy nie ufam matkom, które bez przerwy chwala się swoimi idealnymi dziećmi. Zwykle ozna- cza to, że nie mają zielonego pojęcia, co się naprawdę dzieje. - Vicky wie, co się dzieje - oświadczył Sebastian. - Vicky słucha, kiedy te małe potwory do niej mówią. Vicky potrafi się z nimi porozumieć - dodał tonem kończącym wszelką dyskusję. Jego pogląd musiał zostać przyjęty z dużym niedowierzaniem, gdyż w owym czasie nie byłam w stanie porozumieć się z nikim. Prawie się nie odzywałam, prawie nie jadłam, prawie nie oddychałam powietrzem, którym Scott przestał oddychać. Kiedy jednak w końcu znalazłam się w Mallingham, po- jełam, co miał na myśli, mówiąc o czasie płynącym tam niezależnie od umysłu. Patrząc na świat jego oczyma zdołałam wreszcie wyzwolić się z żalu i przyjąć jego śmierć jako coś, z czym on sam się po- godził, jako koniec

przemocy, dematerializację utkanej z czasu klatki, w której był uwięziony. Teraz nie miało znaczenia już nic oprócz tego, że wreszcie pojednał się ze swoim ojcem w dalekiej, pięknej, pradawnej krainie, gdzie morski wiatr szumiał nad moczarami; liczyło się tylko to, że przywiozłam go do domu. Znowu zaczęły docierać do mnie głosy. Jedne zwracały się do mnie, inne rozbrzmiewały gdzieś obok, jeszcze inne w dali, przekonane, że ich nie słyszę. - Vicky wygląda, jakby zaraz miała zemdleć... - Czy ona w ogóle przetrzyma ten pogrzeb?... - Vicky, kochanie, może się położyć?... - Powinniśmy wezwać lekarza... - Nic jej nie będzie - uciał Sebastian. - Wszystko jest w porządku. Głosy, głosy unoszące się w powietrzu, ludzie przepływający obok mnie jak postaci ze snu, podczas gdy ja patrzę przez łąkę na wody jeziora albo wychylam się z okna mojego pokoju pozwalając, by morski wiatr chłodził mi twarz, i przez cały czas myślę, że Scott trafił w sedno, że miał rację, kiedy chciał tu przyjechać, ponieważ tu mógł znaleźć spokój. - Posłuchaj, Vicky - zagadnęła mnie rzeczowo Elfryda, znalazłszy mnie w ogrodzie rankiem w dniu pogrzebu. - Będę bardzo apodyktyczna i zaraz zacznę ci się narzucać ze swoim zdaniem, ale szczerze mówiąc, uważam, że ktoś powinien ci już pewne rzeczy uświadomić. Nie sądź, proszę, że jestem ci niezyczliwa, bo nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Doświadczenie pedagogiczne nauczyło mnie, że dzieci najokropniejszych rodziców nieraz okazują się zaskakująco miłe, więc nie żywię już do ciebie uprzedzeń ze względu na twego ojca. Oceniam cię pod kątem tego, co sobą reprezentujesz. Przeszliśmy razem kawalek i Elfryda podjęła: - Zrobiłaś na mnie wrażenie inteligentnej kobiety, obdarzonej rozumem i bogatym wnętrzem, w związku z czym nie widzę powodu, żebyś, jak to wszystko się skończy, nie miała sobie zapewnić sensownej i satysfakcjonującej przyszłości. Ale najpierw musisz wziąć się w garść i zacząć układać plany. Czy myślałaś o tym, żeby wyrwać się z tego ohydneho Nowego Jorku i spędzić jakiś czas w Anglii? Sebastian mówił, że często zastanawiałaś się nad podjęciem studiów. Nie obrazisz się chyba, jeśli ci zasugeruję, że pora przestać już się zastanawiać, a zacząć działać? W ten sposób zyskasz nie tylko nowe horyzonty, lecz od nowa ułożysz sobie życie, a tego właśnie ci trzeba, żeby dojść do siebie po tej tragedii. Zastanów się nad Cambridge, moją dawną uczelnią! Przyjmują tam starszych studentów, których jedynym atutem jest inteligencja i silne pragnienie zdobywania wiedzy. Jest tam jeszcze moja dawna promotorka. Zapoznam cię z nią i wiem, że zrobi wszystko, by ci pomóc. Sebastian też mógłby być użyteczny, dobrze zna Cambridge i z pewnością pomoże ci się zdomowić w tym mieście... Och, tak, wiem, co chcesz powiedzieć! Powiesz: "Nie mogę, jestem potrzebna dzieciom!" Posłuchaj, Vicky, musisz podejść do tego bardziej realistycznie. Twoje dzieci są coraz starsze i jeśli teraz nie zapewnisz sobie przyszłości, pewnego ranka obudzisz się i odkryjesz, że wszystkie ptaszki wyfrunęły z gniazda, a twoje życie jest zupełnie puste, bo poświęciwszy je wyłącznie dzieciom, nie zostawiłaś sobie nic, co mogłoby cię podtrzymać, gdy odejdą. Regularnie obserwuję ten syndrom u matek moich uczniów i wierz mi, szczerze mi ich żal... Nie, tylko się ze mną nie sprzeczasz! Eric i Paul zapewne dokończą edukację w Stanach, ale Samantha i Kristin mogą się swobodnie przenieść do jakiejś szkoły z internatem tu, w Anglii. Mój Boże, sama chętnie je przyjmę! Mieścimy się dość blisko Cambridge, a w szkole panuje cudowna atmosfera i na pewno w ten sposób w miarę bezboleśnie przystosują się do nowego kraju i zawrą mnóstwo nowych znajomości. Co się zaś tyczy Beniamina, jest akurat w odpowiednim wieku, by rozpocząć naukę w szkole przygotowawczej. Tak, Vicky, nie mów, że jest za mały! W Anglii, o ile tylko rodziców na to stać, posyła się chłopców do szkoły jak najwcześniej. Wiadomo, że jest to dla nich lepsze niż chowanie pod kloszem. Rozczulamy się nad zwierzętami, ale nie nad dziećmi, a zresztą z tego, co słyszałam o Beniaminie, wnoszę, że będzie zachwycony szkołą... Elfryda umilkła na chwilę. - Skoro więc wszystkie dzieci będą w szkole - dodała - większość czasu i tak spędzisz sama, a ponieważ rozumiem, że musi to być dla ciebie przerażająca myśl, ośmielę się zaproponować... Vicky, co ci jest? Dlaczego się śmiejesz? Boże, Vicky, chyba nie wpadasz w histerię?... Opanowałam się i zapewniłam ją

solennie, że nie. Później, jak gdyby po to, by dowieść jej i sobie, że potrafię być chłodna i rozsądna, odsunęłam od siebie myśl o dzieciach i postawiłam pytanie, do zadania którego przygotowywałam się psychicznie od chwili, gdy przeczytałam, w jaki sposób ojciec starał się usprawiedliwić swój udział w samobójstwie Scotta. - Elfrydo - zapytałam - czy masz jeszcze ten pośmiertny list Tony'ego? 8 Preczytałam list dwukrotnie, raz pośpiesznie, raz bardzo powoli. Kiedy skończyłam, zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem mogłam zbagatelizować okoliczności śmierci Steve'a, uznać je za serię przypadków, które mnie nie dotyczyły. Zastanawiałam się też, dlaczego automatycznie uznałam, że Scott histeryzuje, nazywając mojego ojca mordercą, i dlaczego nie zażądałam od ojca dokładniejszych wyjaśnień, gdy niechętnie i enigmatycznie napomknął o liście Tony'ego. Potem przypomniałam sobie, jak kiedyś traktowałam swoją matkę. Być może przez cały czas podświadomie znałam prawdę. Może, powtarzając wytarty wzorec obronny, zamykałam umysł przed bolesnymi faktami, o których nie chciałam wiedzieć. Myślałam o tych faktach. Rozważałam je z chłodną obojętnością, która często przychodzi, gdy człowiek jest już emocjonalnie wyczerpany do cna. Długo nad nimi dumałam. W rezultacie celowych, dokonanych z zimną krwią pociągnięć mego ojca w 1939 roku Steve Sullivan upił się, usiadł za kierownicą i poniósł śmierć w wypadku na pustej wiejskiej drodze. Istota rzeczy polegała na tym, że to ojciec go do tego popchnął równie brutalnie, jak popchnął Scotta w kierunku tej krwawej łaźni. W obu wypadkach zaś twierdził z uporem, że jego niewybaczalne zbrodnie były usprawiedliwione. Nie podobała mi się myśl, że jego czyny ujdą mu bezkarnie. Nie wydawało mi się to sprawiedliwe, choć i tak nie miałam na to wpływu. Byłam roztrzęsiona i nie mogłam już rozumować logicznie, zdecydowałam więc, że o ojcu będę myśleć później, po pogrzebie. Zeszłam do innych, którzy zgromadzili się na dole przed pójściem do kościoła. Znowu słyszałam nieznośny szmer otaczających mnie rozmów - wokół głosy mówiły o przyszłości, o teraźniejszości, o przeszłości, lecz wspomnienie Scotta unosiło mnie daleko poza nie, i gdy nadszedł moment pogrzebu, nagle uświadomiłam sobie, że znowu widzę świat jego oczyma i że wychodzę mu na spotkanie na granicy czasu. - "Być świadomym - powiedziałam na głos - nie znaczy być obecnym w czasie." (Przeł. A. Piotrowski). - To Eliot, prawda? - odezwała się Rose. - Uważam, że jako poeta jest przereklamowany. Ale Sebastian ujął mnie za rękę, gdy weszliśmy do kościoła, i powiedział, cytując z "Czterech kwartetów": "Co zwiemy początkiem, często bywa końcem, A kończyć oznacza nie mniej, niż zaczynać. U kresu więc zaczynamy..." 9 Niebo nad kwadratową wieżą kościoła w Mallingham było szare, drzewa przy cmentarzu straciły już liście. Msza trwała krótko; trumnę opuszczono do grobu, anglikański pastor zamknął modlitewnik, a chłodny wschodni wiatr od morza poruszył wstęgi wieńców. Zamówiłam dużo kwiatów, nie tylko dla Scotta, lecz i dla Steve'a, i Tony'ego, dla Diny i jej syna Alana. Ich kamienie nagrobne stały tu, osłonięte gałęziami wiśni, którą zasadziła Dina, by kwitła każdej wiosny. Otarłam oczy i zaczęłam przyglądać się kwiatom, żółtawym i rudym chryzantemom. Ich widok przynosił mi ulgę, ale po chwili Elfryda szepnęła: "Vicky..." i wiedziałam, że pora już iść. - Na pewno chciałaby zostać przez chwilę sama - odezwał się Sebastian. Odeszli. Zostałam sama. Już w następnej chwili moje oczy znowu były oczyma Scotta i widziałam nimi, tak jak on by widział, zawirowany czas, w którym przeszłość i teraźniejszość karmiły się nawzajem w długiej nieprzerwanej pętli. Rozejrzałam się po cmentarzu, i choć wiśnia również była naga, ja jakimś cudem widziałam ją w pełni kwiecia. Spojrzałam na wieżę kościoła i przez ułamek sekundy tysiąc lat istniało równocześnie w jednej strunie czasu. Łzy wyschły mi na policzkach. Stałam nieruchomo, nie śmiejąc odetchnąć, by nie zniweczyć czaru. Potem w oddali szcęknęła klamka przy bramie i od razu wiedziałam, że na cmentarz wszedł mój ojciec. Powoli zbliżył się do mnie. Był ubrany na czarno; wyglądał bardzo schludnie, spokojnie i staro. - A więc jesteś - powiedziałam, kiedy się zatrzymał. - Mówili, że nie przyjedziesz. Ale ja wiedziałam, że tu będziesz. Oddychał miarowo, lecz głośno, jak zawsze po poważnym ataku. - Tak - odparł. -

Musiałem przyjechać. Odwrócił wzrok ode mnie i spojrzął na kwiaty. Nagle w oczach zalśniły mu łzy. - Vicky - szepnął - Vicky, proszę cię... Wybacz mi i wróć do domu. Proszę cię, Vicky. Proszę... Patrzyłam na niego, a gdy ujrzałam swoje odbicie w jego oczach, ujrzałam też sprawiedliwość, której nie wyobrażało sobie żadne z nas, nawet Scott. Zrozumiałam także, iż owa wyższa sprawiedliwość jest przerażająca w swym bezlitosnym wyrafinowaniu, o wiele straszniejsza niż jakikolwiek jej wymiar będący dziełem człowieka. Nie tylko wiedziałam, co muszę uczynić; wiedziałam, że nie mam wyboru. Miałam wrażenie, że jestem narzędziem w rękach sił, które opierają się ludzkiemu rozumieniu. W najlepszym wypadku byłam tylko jednostką, pozbawioną przez okoliczności jakiegokolwiek swobody działania. - Nie zobaczymy się więcej - powiedziałam uprzejmie. Ojciec zaczął z trudem łapać oddech. - Ale, Vicky... Boże, Vicky, proszę... musisz mnie wysłuchać... Tak wyraźnie widziałam jego przyszłość: będzie żył samotnie jeszcze długo po śmierci swoich wszystkich przyjaciół; będzie żył wiedząc, że ja również żyję, choć pewnie nigdy już się nie spotkamy; dożyje późnego wieku, bo jego pokutą nie miała być śmierć, a życie ze świadomością tego, co uczynił. - Vicky, musisz mi wybaczyć, musisz... Oto nadszedł moment, by ogłosić wyrok; nagle usłyszałam, jak unicestwiam go tymi samymi słowami, których tak często używał, by unicestwić innych: - To koniec. Już po wszystkim. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. 10 Zostawiłam go między grobami i ruszyłam ścieżką przed siebie. Kiedy kościelny zegar wybił godzinę, przystanąłam w cieniu pod bramą. Z wyjątkiem czarnej limuzyny mego ojca i czerwonego mini Sebastiana reszta samochodów zniknęła i początkowo myślałam, że na dróżce nie ma nikogo. Potem zobaczyłam Sebastiana. Stał o kilka jardów ode mnie; zrywał z żywopłotu gałązkę ostrokrzewu. Dopiero wtedy zauważyłam krzaki dzikich róż i nagle ujrzałam żywopłot tak, jak wyglądał wiosną. Podobnie jak wiśnię za cmentarnym murem, widziałam cały szpaler w pełnym kwieciu - tysiące róż, świetlnych punktów w ciemnym, niezrozumiałym wszechświecie, triumfalne symbole zwycięstwa nad czasem. Zawołałam go. Odwrócił się, uśmiechnął i ruszył mi na spotkanie z jaśniejącą gałązką ostrokrzewu w dłoni. Poczułam, że rodzą się we mnie nowe siły. Wyciągnęłam rękę, nacisnęłam klamkę krytej daszkiem bramy i nareszcie przez nigdy dotąd nie otwierane drzwi weszłam do różanego ogrodu.

1/ 1